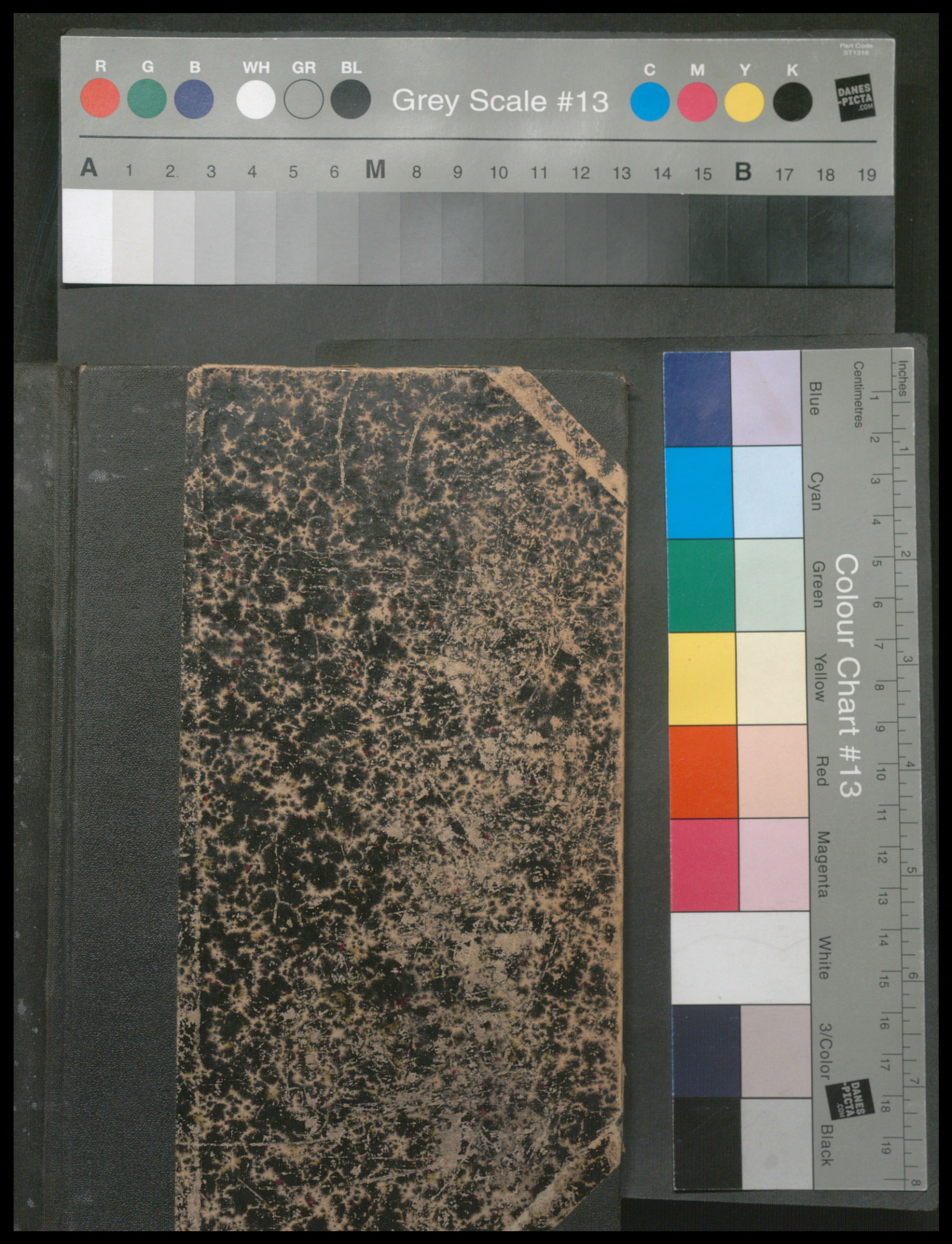

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
Part Code ST1316
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

WYPISY Z LITERATURY POLSKIEJ

CZASÓW NAJNOWSZYCH

DRUK M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.

WYPISY Z LITERATURY

POLSKIEJ

CZASÓW NAJNOWSZYCH

UZUPEŁNIENIE DZIEJÓW LITERATURY

(1864—1905)

zestawił i opracował

WILHELM FELDMAN

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

1908

Kraków: S. A. Krzyżanowski.

889-8

Dr. inw. 10/11.

BIBLJOTEKA
KORPUSU KADETÓW Nr. 2
w MODLINIE

BIBLIOTEKA PODRĘCZNIKÓW SZKOLNYCH
KORPUSU KADETÓW Nr 2.
w RAWICZU
Nr 189/2

31905/2

PRZEDMOWA.

Wypisy z literatury polskiej dla młodzieży starszej— podwójne mają zadanie: zaznajamiania z najwybitniejszemi artystami słowa, oraz z głównemi idejami duchowemi, jakie w danym okresie w społeczeństwie panowały.

Podwójny charakter zadania niezmiernie utrudnia jego spełnienie. Utwory, reprezentujące pewne typowe ideje, niezawsze są też typowemi ze stanowiska artyzmu. Trudność tę starałem się pokonać, zwracając przedewszystkim uwagę na najwybitniejsze indywidualności literackie i dając im przemawiać utworami, charakteryzującymi, o ile możności, typowo ich własną duszę i drogi jej rozwoju. W ten sposób uzyskało się w przybliżeniu pełny obraz najważniejszych postaci literackich danej epoki— co jest głównym „Historji Literatury" zadaniem — zarazem tak jej Piękna, jak i zasadniczych prądów ducha.

Wynikła też stąd konieczność ugrupowania obszernego materjału około nielicznej stosunkowo ilości pisarzy, istotnie zato reprezentatywnych. Wogóle uważam, że przeładowanie pamięci uczących się mnóstwem nazwisk autorów trzecio-i czwartorzędnych jest rzeczą niepedagogiczną i niepotrzebną. Sprzyja ono płytkości, szermującej nazwiskami, bez dokładnej znajomości dzieł, w zastosowaniu zaś do literatury współczesnej prowadzi do bezmyślnego hołdowania modzie chwili i sławom przemijającym.

Tymbardziej należy wymagać gruntownego poznania autorów, którzy nazwisko swoje w literaturze zapisali w sposób istotnie trwały. Poznanie to nawet na ławie szkolnej powinno obejmować jeśli nie całokształt twórczości, to całości pewnych dzieł; inaczej nie można wyrobić sobie zdania o formie i duchu. Tylko z konieczności podawałem też wyjątki, jak najrzadziej zaś streszczenia.

Przy wybitniejszych autorach podane są najważniejsze dane bibljograficzne, co jest rzeczą ważniejszą od życiorysów, i monografje ich twórczości. Prócz tych ostatnich, oraz dla pragnących studjować przedmiot w szerszym zakresie, należy wymienić: „Zarys najnowszej Literatury polskiej" (1864—1897) *Piotra Chmielowskiego*; „Dzieje Literatury Polskiej w zarysie" Literaturę prof. *Aleksandra Brücknera* (tom II) i *Obraz Współczesnej Literatury polskiej* piszącego te słowa.

Kraków w Styczniu 1907.

Wilhelm Feldman.

Katastrofa roku 1863 stanowi w życiu polskim datę nietylko pod względem politycznym, ale także pod literackim, wogóle duchowym. Pod jej wpływem zmienił się sposób myślenia i treść uczuciowa większości narodu. Zmiana ta wyraża się w przejściu od romantyzmu do realizmu.

Rok 1863 był poniekąd spełnieniem testamentu, wcieleniem ideału poezji romantycznej polskiej; rzeczywistość nauczyła, że nie można mierzyć sił zamiarami, ani samym tylko bohaterstwem woli—zaprowadzać na ziemi Królestwa bożego. Ideał był zaszczytny, duch za wielki; rzeczywistość do realizacji nie była dojrzała. Trzeba było z hymnu poezji zstąpić na grunt codzienności, z jej wymogami praktycznemi: stąd powstała ideologja, propagująca na wszystkich polach życia panowanie zasady bezpośredniej użyteczności i posługująca się nie wiarą i ekstazą ducha, lecz środkami pozytywnemi.

Bezwzględna rusyfikacja, która nastąpiła na ziemiach polskich pod berłem rosyjskim, i giermanizacja, coraz brutalniej ogarniająca zabór pruski, przytłumiała wszelki polot ducha, podcinała mu skrzydła. Młodzież, uczęszczając do szkół, w których uczono w obcym jej języku i duchu, nie miała sposobności do poznania najwspanialszych utworów literatury ojczystej, do poznania najwznioślejszych ideałów jej ducha. Mając przed sobą zamknięte wszystkie urzędy publiczne i stanowiska nauczycielskie, skazaną się czuła na pracę w zakresie bardzo ciasnym, głównie przemysłowym, co powiększało jeszcze kierunek wszelkich dążeń utylitarny, pozbawiony polotu i widnokręgów romantycznych. Poznańskie uniwersytetu polskiego nigdy nie miało; w Warszawie *Szkoła główna*, zamieniona na uniwersytet czysto rosyjski, miała wprawdzie katedrę literatury polskiej, ale w takich warunkach, że ciepło miłości i zapału dla najświetniejszych okresów piśmiennictwa narodowego stąd nie spływało. W szczęśliwszym położeniu znalazła się Galicja: tu od rozpoczęcia w Austrji ery konstytucyjnej (1867), język polski zapanował we wszystkich szkołach, niebawem też i na uniwersytetach. Jednakowoż i tutaj po okresie powstańczym rychło

zapanował zwrot ku „trzeźwości" i praktyczności we wszystkich sferach ducha i życia publicznego. Do spotęgowania tego usposobienia społeczeństwa niemało przyczynił się duch filozofji, jaki wówczas wiał z Zachodu. Jest to czas ustępowania z pola filozofji idealistycznej, wzrastających tryumfów wiedzy doświadczalnej i filozofji pozytywistycznej. Metafizykami i idealistami (rozmaitych kierunków) byli filozofowie poprzedniej epoki: Gołuchowski, Trentowski, Cieszkowski, Kremer, Libelt i wielcy poeci, którzy szczyty swej twórczości artystycznej uwieńczyli niebotycznemi wieżami rodzimej filozofji romantycznej: Mickiewicz (*Wykłady o Literaturze słowiańskiej*), Słowacki, Krasiński. Połowa wieku XIX otwiera początek wspaniałych zdobyczy nauk przyrodniczych, które wraz z poprzedniemi burzą mnóstwo zasadniczych pojęć dotychczasowych o świecie i życiu, i wprowadzają w nie wielką ideję stopniowej, *naturalnej* ewolucji (Lyell, Darwin, Haeckel). Ze wzrostem tej wiedzy i zwycięstwem indukcyjnej metody badań (Johna Stuarta Milla), objawiło się wszędzie niezadowolenie z aprjorystycznej, gardzącej realnemi podstawami spekulacji myślowej; z upadkiem idealizmu w życiu po r. 1848 spadł też ruch i polot filozoficzny; w Niemczech wystąpił z końcem lat pięćdziesiątych materjalizm filozoficzny, (którego nie należy utożsamiać z życiowym), i sam będąc nieświadomą siebie metafizyką, wydał walkę wszelkiej metafizyce. Przedstawiciele tego kierunku Ludwik Büchner (główne dzieło: *Siła i meterja*), Karol Vogt i Moleschott w latach siedemdziesiątych, za pośrednictwem tłómaczeń zaczęli oddziaływać też na inteligiencję polską.

Z Francji zaczął wpływ wywierać August Comte, który tytułem zasadniczego swego dzieła (*Cours de Philosophie positive*, dał nazwę i hasło całemu ruchowi umysłowemu młodszego pokolenia w Królestwie. *Pozytywiści* odrzucali dążenia filozofji idealistycznej do ujmowania istoty, ducha świata; przekonani o względności wszelkiej wiedzy, dążyli tylko do określania *praw*, rządzących przyrodą i społeczeństwem, a poznawanych przez naukę szerszą, doświadczalną.

Filozofję „ścisłą," popularyzował u nas głównie *Juljan Ochorowicz*; z większym krytycyzmem i bogactwem wiedzy, szczególnie na polu psychologji—*Adam Mahrburg*; wzbogacił zaś wiedzę polską *Bolesław Limanowski*, pracując na polu stworzonej przez Comte'a nauki o społeczeństwie (Socjologji).

W latach ośmdziesiątych silny wpływ na umysły wywierał Herbert Spencer, umysł bogaty w ogromną ilość faktów pozytywnych z wszystkich prawie dziedzin wiedzy, które starał się ująć w formuły mechanicznego rozwoju, z wykluczeniem wszelkiego działania siły nadnaturalnej. Myśliciele ci i ich uczniowie

stali się poniekąd wychowawcami pokolenia; w związku z tryumfującemi naukami przyrodniczemi i matematycznemi nadali życiu charakter, ogołocony z tych wzlotów, tęsknot i marzeń, w które obfitowała epoka romantyczna. Filozofja ta pozytywna przystępu nie znalazła do uniwersytetu Jagiellońskiego; wogóle duch ortodoksyjno-katolicki stanął w Galicji na przeszkodzie tak tej filozofji, jak i jej konsekwencjom anti-teologicznym; jednakowoż i tutaj dogmatyka kościelna spełniła misję poniekąd tę samą, co pozytywizm w Warszawie: położyła tamę mistycyzmowi i niebotycznym wzlotom uczuć indywidualnych i narodowych.

Najważniejszym był jednak grunt psychologiczny społeczeństwa, obolały po doznanych niedawno nieszczęściach i rozczarowaniach, wrogi więc wszystkim usiłowaniom, sprzecznym z trzeźwym rozsądkiem i koniecznościami życia praktycznego. Wpływ tego usposobienia wyraził się najsamprzód w *dziejopisarstwie* polskim. Zapanowała w niem reakcja przeciw historjografji okresu poprzedniego; zaczęto dochodzić przyczyny nieszczęść narodowych, zaczęto ich szukać w czasach coraz dawniejszych, w epoce, poprzedzającej rozbiory, potym jeszcze wcześniej. Wychodząc z założenia: *historia—vitae magistra*, całe pokolenie pisarzy nie szukało w dokumentach przeszłości prawdy dla prawdy, lecz nauki wyciągało dla użytku żyjących, i z punktu widzenia współczesnych uczuć i interesów pisało o czasach ubiegłych. Nietyle historycy, ile niektórzy poeci pokolenia poprzedniego idealizowali przeszłość i otaczali ją czcią bezgraniczną: („Polska Chrystusem narodów"; Krasińskiego: „Ty nie szukaj w ojcach winy"; gawędy Rzewuskiego, Pola). Teraz *Kalinka* swym dziełem o „ostatnich latach panowania Stanisława Augusta" dał początek szeregowi publikacji, dowodzących, „że upadku swego Polacy sami są sprawcami i że nieszczęścia, które na nas spadły wówczas lub później, zasłużoną są przez naród pokutą". Powstała t. zw. historyczna szkoła krakowska, której uczeni byli równocześnie publicystami i mężami stanu pewnego stronnictwa politycznego, i która snuła z wypadków przeszłości nauki dla narodu w myśl przekonania ks. Kalinki. Najwybitniejszemi ich przedstawicielami, są: *Józef Szujski*, *Stan. Tarnowski*, *Michał Bobrzyński*; nie szczędząc narodowi mnóstwa gorzkich a uzasadnionych prawd, główne jego przewinienia w przeszłości widzieli w upadku ducha karności, w małym poszanowaniu powagi kościelnej i królewskiej, w rozbujałej, anarchicznej uczuciowości; stąd nawoływanie do leczenia się z tych wad, do oparcia bytu narodowego na konserwatyzmie kościelnym, społecznym i politycznym.

Jak historja i publicystyka z realnego, utylitarnego pun-

ktu widzenia rozpatrywały życie bieżące, tak *krytyka literacka* z tego stanowiska jęła rozpatrywać dzieła literackie, tak doby poprzedniej, jak i bieżące. Powstał szereg wybitnych krytyków, którzy przy wszystkich dzielących ich różnicach metody i zapatrywań, to z sobą mają wspólnego, że są przeciwnikami wygórowanego idealizmu i romantyczności, cechującej wielką poezję polską. Niektórzy z nich subtelniejszym, bogatszym są obdarzeni smakiem estetycznym, niektórzy są naturami bardziej oschłemi i głównie w erudycji mają swą siłę; jednakowoż czy to *Małecki i Tarnowski*, czy też *Spasowicz lub Chmielowski* potępiają owe wzloty ducha, jakie cechują ostatnie lata życia i twórczości wielkich poetów romantycznych, potępiają metafizyczną ich ciemność i zawiłą symbolikę; niektóre z nich, powstałe pod wpływem idei mesjanicznych, uważają wprost za aberrację; Spasowicz przytym, a jeszcze więcej Tarnowski, nie zapominali do rozbiorów czysto estetycznych dodawać zawsze konsekwencje polityczne, nauki moralne—ze stanowiska najczęściej doktryny partyjnej.

Cechy, określające cały ten okres, najsilniej występują w jej twórczości artystyczno-literackiej.

Okres w literaturze jest uwarunkowany odrębnym jej *stylem*. Miał go klasycyzm, miał go romantyzm, podobnie posiada go dwudziestopięciolecie po upadku powstania. Styl ten jest wyrazem nie bezpośredniego uczucia poetyckiego, gdyż czas romantyzmu kompas ten odrzucił, lecz myśli pracującej, czujnej, analitycznej, zaprzęgniętej zawsze do celów użyteczności społecznej, więc tendencyjnej, utylitarnej. Znamię to widzieliśmy także w filozofji, historjografji, publicystyce. Z literatury znika świat duchów, baśni, uczuć rozpalonych na czerwono, bohaterstw cudownych i cudów bohaterskich;—zimny prąd, ostudziwszy całe społeczeństwo, przeniknął także do świątyni sztuki i duchowi jej nadał chłód krytyczny, sztywność rozumowania, bezustanną dążność do utylitaryzmu. Zgodnie z tą treścią zmieniła się forma literacka. Znika świat czarów fantastycznych, elfów i duchów, któremi tak chętnie zapełniali swe utwory poeci romantyczni, znikają nieba i piekła uczuć, ludzie przypominający aniołów lub djabłów; panuje dążenie do prawdy, spychanie sztuki do narzędzia odtwarzania rzeczywistości: tak w powieści, jak i w teatrze, a nawet w poezji zwycięża realizm.

Nie wszyscy oczywiście kierunkowi temu się poddali. Żyli twórcy, którzy wpatrzeni w odwieczne wzory piękna poetyckiego, hołdowali mu dalej, nie troszcząc się o ducha czasu (w krytyce i przekładach: *Kaz. Kaszewski*; w poezji i dramacie: zimna, deklamacyjna *Deotyma* (Jadw. Łuszczewska) i artysta prawdziwy: *Felicjan Faleński*); inni szamotali się z na-

rzuconą przez czas przemocą, i życie ich, podobnie jak twórczość, jest obrazem walki ducha, częściej: przeżytka, epigona romantycznego, z koniecznością rozwojową. Zresztą tylko największe talenty umiały wznosić się nad przemijającą tendencję chwili i oddając czasowi, do czego on miał prawo, czego wymagał obowiązek obywatelski, z głębi serca samotnego śpiewali nieprzedawnione, przedmiot wieczystego piękna stanowiące, pieśni tęsknoty, zachwytów, bolów i marzeń.

Zgodnie z charakterem racjonalistycznym okresu przeważa powieść, reprezentowana tak bogato i wspaniale, jak nigdy dotąd w literaturze polskiej. Najsilniejsze talenty poświęcały jej swe pióra i mało jest poetów lub dramaturgów, którzyby tej formy nie byli próbowali. Pracował jeszcze na tym polu niemały zastęp pisarzy poprzedniej gieneracji, przedewszystkim zaś niezmordowany *J. I. Kraszewski*, który opuściwszy w r. 1863 Warszawę, osiadł na stałe w Dreznie i tu niezmiernie dużą a wszechstronną rozwinął działalność literacką: specjalnie zaś beletrystykę obdarzył szeregiem opowiadań na tle wypadków 1860—64 r. (pod pseudonimem *B. Bolesławity*,) mnóstwem momentów i obrazów rodzajowych, nareszcie szeregiem powieści historycznych, które miały scharakteryzować całokształt dziejów Polski (najlepsza: *Stara Baśń*; cykl doprowadzony do połowy 18 wieku). Z dawniejszej gieneracji odezwał się jeszcze *Zygmunt Kaczkowski* dobremi powieściami historycznemi *Olbrachtowi Rycerze* i *Abraham Kitaj* i utworem, mającym odmalować gieneracyę po r. 1848 pt. *Zaklika*.

Wcześniej zaczął ogłaszać swe utwory, ale dopiero po r. 1864 rozwinął szeroką działalność literacką *T. T. Jeż*. Najwybitniejszy to obok Kraszewskiego pisarz, pozostający na emigracji; zresztą w przeciwstawieniu do czasu po r. 1831, literatura kwitła w samym kraju. Charakter dzielnicowy talentów jest niezaprzeczony. W Krakowie pracował *Michał Bałucki*, celujący w odtwarzaniu życia mieszczaństwa krakowskiego, talent o rubasznym humorze, jaskrawym rysunku, idejach za młodu liberalnych, potym małomieszczańskich; zasilał on przez trzydzieści lat także teatr polski komedjami i farsami o tym samym charakterze; niektóre dotąd utrzymują się na scenie, wywołując śmiech niewyszukanemi efektami satyrycznemi. O wiele wytworniejszy i zjadliwszy dowcip miał *Jan Lam*, którego powieści (*Panna Emilja*, czyli *Wielki świat Capowic*, *Głowy do pozłoty*, *Dziwne karjery*) wraz z *kronikami* niedzielnemi, drukowanemi w liberalnym *Dzienniku lwowskim*, przypominają najlepszych humorystów angielskich (Dickens, Thackeray), przepysznemi (oczywiście jednostronnemi) są dokumentami do ówczesnych dziejów Galicji.

Najwspanialej zakwitła powieść w zaborze rosyjskim, gdzie obok pracy była jedyną mównicą publiczną, musiała zastąpić społeczeństwu sejm i szkołę, zgromadzenie publiczne i instytucje kulturalne. Z tego stanowiska rozpatrywana powieść polska doskonale spełniła swe zadanie i dobrze się zasłużyła narodowi. Była wychowawczynią dorastających pokoleń i mistrzynią starszych, uczyła bronić dóbr narodu idealnych i materjalnych i torowała drogę nowym idejom. Nie wszystkie kiełkujące myśli i żywotne sprawy społeczeństwa znalazły w niej oddźwięk: zbyt ciążyła na niej dłoń cenzury, mimo to spełniła swe zadanie.

Najwybitniejszą siłą na tym polu okazała się *Eliza Orzeszkowa*, pisarka o bardzo rozległej skali, talentu i niespożytych zasługach na polu pomnażania kultury narodowej. Wielką popularność zdobył *Henryk Sienkiewicz*, który szeregiem nowel uderzył w sentyment czytelników i przebojem ich zdobył powieściami historycznemi, stanowiącemi gloryfikację przeszłości szlacheckiej narodu, pojętej w sposób zupełnie bezkrytyczny. Zamało stosunkowo jest czytany *Bolesław Prus (Aleksander Głowacki)*, umysł głęboki, sięgający w kilku świetnych powieściach źródła zjawisk tak indywidualnie — psychologicznych jak i społecznych.

Obok tych sił pierwszorzędnych grupuje się mnóstwo talentów przesiąkniętych duchem epoki. Rozkwita nowelistyka. Forma ta poprzednio mało uprawiana, teraz zyskuje pierwszorzędne znaczenie: pozwala w małej kropli rosy odbić się słońcu, w drobne epizodyczne zdarzenia życiowe zamknąć dużo uczucia, myśl głęboką. Celują w tej formie zarówno Sienkiewicz, Orzeszkowa i Prus, jak i Aleks. Świętochowski; i poeci, jak Gomulicki, Konopnicka; i narratorzy szlacheccy, jak Sewer, Junosza. *Sewer* (*Ignacy Maciejowski*) to pełen życia i werwy temperament, natura śmiała, rzutka, wrażliwa, szukająca bezustannie wrażeń, myśli, nowych kręgów społecznych, rozwinięta przytym wysoką kulturą duchową. Wyemigrowawszy po powstaniu do Anglji (*Szkice z Anglji*) od tamtejszego społeczeństwa przejął potrzebę pracy pozytywnej i szczepił te ideje w szeregu powieści; lepszemi okazały się jednak obrazki, osnute na tle życia ludu (*Przybłędy*, *Dla świętej ziemi*, *Biedronie*), niektóre nowele (*Wiosna*, *Maciek w powstaniu*) niezapomniane pozostawiają wrażenie. W wielkich powieściach (*Zyzma*, *Nafta*, *Ponad siły*) malował stosunki kulturalne i społeczne Galicji. *Junosza* (*Klemens Szaniawski*) miał więcej skłonności do śmiechu przez łzy; malował dolę-niedolę drobnej szlachty, nieporadność jej, pracę i ciężkie walki o byt (*Na zgliszczach*, *Pod wodą*, *Syzyf*), zaś postacie chłopskie i żydowskie odtwarzał z wielką plastyką i indywidualnym humorem (*Łaciarz*,

Muzykanci, *Z mazurskiej ziemi*). Pierwszorzędnej wartości nowele pisał *Adam Szymański* (*Szkice*), który uderzył w ton zapomniany, obrazując z wielką, a po męsku skupioną siłą uczucia życie wygnańców na Syberji. Odrębne stanowisko zdobył *Adolf Dygasiński*, osnuwając swe opowieści na tle świata zwierzęcego, przeplatał je wprzódy doktrynami i uwagami dydaktyczno-filozoficznemi w duchu pozytywistycznym (był jednym z najzasłużeńszych u nas pedagogów), za niemi kryła się jednak natura prawdziwego poety, złączonego uczuciem z całym światem żyjącym, śpiewającego o jego losach z głębokim zrozumieniem i wzruszeniem (*Wilk*, *Psy i ludzie*, *Z pól i lasów*, *Gody życia*).

Z hasłami pozytywizmu i pracy organicznej, z reakcją przeciw nadmiarowi poezji w okresie poprzednim, nie mógł iść w parze rozwój twórczości czysto-poetyckiej; nie sprzyjało jej usposobienie publiczności, i epigoni romantyzmu, przeżytki minionej doby, smutny wśród obojętności ogółu pędzili żywot. Pozostali, tworzący, dzielą z całym nastrojem czasu dwie jego cechy znamienne: racjonalizm i tendencyjność; starają się przystosować do teraźniejszości, a że ona mało wdzięczna dla poezji, stąd bezustanne zgrzyty, pesymizm, ironja. Wyłoniło się jednak sporo talentów, kilka na miarę zupełnie niezwykłą. Na czele kroczy *Adam Asnyk* (*El..y*), jeden z największych mistrzów słowa polskiego, niesłusznie dzisiaj zaniedbywany, w cień usunięty. *Wiktor Gomulicki* nie posiada już ani tej głębi i tragiczności duszy, co Asnyk, ptak to przytym małego lotu, śpiewający jednak trele bardzo nieraz kunsztowne, rzeźwiące umysł raczej, niż serce. Na wspomnienie zasługuje kilku satyryków, *Rodoć* i szerszy odeń w pojęciach, z dużym zasobem liryzmu w duszy, *Włodz. Wysocki*. *Marja Konopnicka* nawiązała do lutni poprzedników strunę nową; rozumująca i tendencyjna, jak całe pokolenie, z siłą uderzyła w strunę krzywd społecznych, aby z czasem przeobrazić się w lutnistkę o bogatej duszy, pełnej śpiewności, skłonności przytym do refleksji. Ton bojownika krzywd społecznych przejął *Andrzej Niemojewski*; temperament dziarski, wojowniczy, dzwonił poezją, jak szabelką, ze skocznej i łagodnie melancholijnej liryki przechodził łatwo w obrazowanie posępnej doli ludu pracującego całej *Poloniae irredentae*, zwiastunów lepszej doli (*Poezje*, Cykl *Polonia irredenta*: *Podziemia*, *Łuny*, *Ziemia obiecana*, *W ciszy wiejskiej*, *Stolica*, *Ptaki burzy*). Głębokie tony odczucia niedoli bytu, znajdują się w zbiorku: *Listopad*. Szamoczące się uczucia młodzieży ówczesnej najlepiej wyraził *Fr. Nowicki* (*Poezje*, 1890).

Dramat we wszystkich swych formach (cała skala od tra-

giedji do komedji) spełniał także zadanie przedewszystkim obywatelskie. Obierając tematy z przeszłości narodowej, podawał je, podobnie jak powieść historyczna, gwoli szerzenia krytyki wad i braków zarówno w charakterze narodu, jak i jego urządzeń, z wyraźnym celem narzucania pewnych morałów i prawd uzdrawiających (*Szujski*); niektórzy tylko pisali w duchu szekspirowskim lub efektów scenicznych (*Wincenty Rapacki*: *Wit Stwosz*, *Maćko Borkowicz*, *Mazur czart*); *Adam Bełcikowski*: *Król Mieczysław II*, *Bolesław Śmiały*, *U kolebki narodu*). Największy wpływ na publiczność wywierała komedja obyczajowa, w której autorzy satyrą poprawiać chcieli obyczaje. Za przykładem Francuzów powstał cały szereg autorów piszących sztuki „z tezą" społeczną, najczęściej karcącą żądzę złota, zmaterjalizowanie wieku, zepsucie obyczajów. Najwięcej siły okazał twardy realista, głęboki obserwator życia *Józef Bliziński*; duży też talent zapowiadał zgasły młodo *Józef Narzymski* (*Epidemja, Pozytywni*); najdłuższe panowanie na scenie uzyskali karcący publiczność, ale też pochlebiający jej gustom *Edward Lubowski* i *Kazimierz Zalewski*. *Bałucki* rozśmieszał karykaturami społecznemi, zaś z przejęcia się niedolą ofiar życia, z nienawiści do krzywdy i krzywdzicieli powstały sztuki teatralne *Gabryjeli Zapolskiej*, obdarzonej ogromnym temperamentem literackim, tworzącej kipiące krwią powieści społeczne (*Kaśka Karjatyda*, *Przedpiekle*, *Janka*) i doskonale zbudowane, jaskrawe w tonie, różne sfery społeczne, charakteryzujące utwory sceniczne (*Małaszka*, *Małka Szwarcenkopf*, *Tamten*, *W Dąbrowie Górniczej*, *Życie na żart*, *Żabusia*, *Ahaswer*). *Stan. Kozłowski* po próbach poważnego dramatu historycznego (*Turniej*, *Albert wójt*, *Kazimierz Wielki i Esterka*) pisze sztuki lekkie, popularyzujące pewne momenty dekoratywne z przeszłości.

Odrębne zupełnie stanowisko zajmuje *Aleks. Świętochowski*, filozof i główny publicysta pokolenia, zarazem niepospolity twórca w zakresie dramatu i noweli filozoficznej. Pierwiastek ideowy rzuca się tu odrazu w oczy, oprawiony zazwyczaj w język niepospolicie wytworny i cięty. W dramatach jego szermierka dowcipna zastępuje zazwyczaj język uczuć, djalektyka myślowa—logikę życia, niemniej działają one podniośle i są dokumentami piękna duszy.

Większa część tych pisarzy i ich satelici zapełniają okres dziejów i literatury, mimo wszystkich bardzo głębokich różnic indywidualnych zbliżeni do siebie *stylem* i nastrojem: jest nim racjonalizm, zastępujący poprzedni romantyzm bohaterski, i realizm, zastępujący dawne królestwo fantazji. Nie uprawiali oni sztuki dla sztuki, w pierwszym rzędzie pragnęli służyć społe-

czeństwu, krzepić zwątlone siły, budować fundamenty materjalnej i duchowej potęgi. Każdy to czynił na swój sposób, jedni ze wzrokiem utkwionym bardziej w przeszłość (Sienkiewicz), drudzy wpajając w naród przykazania karności, prawomyślności religijnej i konserwatyzmu (szkoła krakowska), inni zaś—zwracając wszystkie usiłowania w kierunku pracy realnej, złączonej z miłością postępu nauk pozytywnych i ideałów sprawiedliwości społecznej (pozytywiści warszawscy).

Zakwitały też warsztaty pracy, po straszliwych klęskach naród powoli się odradzał. W Krakowie Akademja Umiejętności przyczyniła się niemało do krzewienia nauk głównie historycznych, w Warszawie grono skupiające się około Kasy im. Mianowskiego, ułatwiało wielu badaczom pracę i wydawnictwo dzieł użytecznych. Historycy, lubo przeważnie jednej tendencji służący, mnóstwo opublikowali wydawnictw, rozjaśniających przeszłość narodową (do wymienionych na str. 5 należy dodać niezmordowanego wydawcę i świetnego stylistę *Adolfa Pawińskiego* z Warszawy i prof. *Oswalda Balzera* ze Lwowa, oraz *Tadeusza Korzona*, który będąc żywym protestem przeciw historjozofji szkoły krakowskiej, wzbogacił wiedzę dziełami trwałej wartości *o wewnętrznych dziejach Polski za Stanisława Augusta* i monografją *Tadeusza Kościuszki*). Historycy literatury mniej się zajmowali ściśle estetyczną analizą dzieł i filozoficznym ich pogłębieniem, trzymali się raczej wskazówek zdrowego rozsądku i użyteczności społecznej, niemniej pozostawili kilka monografji dużej wartości. Estetyczne teorje rozwijał *Stanisław Witkiewicz*, malarz, krytyk, zasłużony około odrodzenia budownictwa i stylu zakopiańskiego, świetny stylista, który długi czas oceniał dzieła sztuki ze stanowiska realizmu technicznego (*Sztuka i krytyka u nas*), by w ostatnich czasach znacznie horyzont rozszerzyć i piękno łączyć z syntezą ducha narodowego (dzieła o Juljuszu Kossaku, Matejce); analiza Mickiewicza, jako kolorysty, napisana przez Witkiewicza, może służyć jako wzór prac w tym rodzaju.

Najmniej stosunkowo badaczy mamy na polu filozofji. Była ona przez jednostronnie pojmowany pozytywizm w Warszawie zdyskredytowana, zaś na uniwersytetach galicyjskich kwitła głównie scholastyka w rozmaitych swych odmianach (*ks. Morawski, prof. Straszewski,* przy całej swej erudycji klasycznej i renesansowej także *ks. Pawlicki*—wszyscy z uniwersytetu Jagielońskiego).

WALERJAN KALINKA.

(Urodz. w r. 1826, ukończył szkoły w Krakowie, w r. 1846 brał gorący udział w rewolucji krakowskiej, był sekretarzem dyktatora Tyssowskiego. Rychło jednak stał się konserwatystą, wstąpił do redakcji „Czasu", w r. 1852 wyjechał do Paryża. Tu wydał książkę p. t. *Galicja i Kraków*, będącą silnym aktem oskarżenia przeciw rządom Austrji w Galicji; obraz to jednostronny, o winach samego społeczeństwa nie mówi. Oddawszy się na emigracji w usługi polityki Czartoryskich, brał udział w ich kampanjach dyplomatycznych, a od r. 1857—61 wydawał wespół z Juljanem Klaczką „Wiadomości polskie", czasopismo nader w swoim czasie wpływowe, które ze stanowiska konserwatywnego zwalczało radykalne prądy na emigracji. Czasopismem tym i wpływami osobistemi Kalinka i Klaczko stali się wychowawcami Stańczyków galicyjskich. W tym duchu Kalinka działał także praktycznie, jako doradca i jako wpływowy kapłan, gdyż w r. 1868 wstąpił był do zakonu Zmartwychwstańców, kierował misją w Bułgarji, w ostatnich latach zakładem wychowawczym, mającym nawracać także Rusinów we Lwowie. Umarł 1886 roku.

Dzieło *Ostatnie lata Stanisława Augusta* (1868) wprowadziło go w grono najwybitniejszych historyków, za nim poszły *Sejm czteroletni* i *Żywot gienerała Chłapowskiego*. W pracach tych publicystyka stronnicza osłabia doniosłość badań historyka; pesymistyczny pogląd na własny naród idzie tu w parze z potępianiem ruchów demokratyczno-wolnościowych i chęcią oczyszczania klasy panującej, nawet Stanisława Augusta; dominuje zaś nad polityką duch kościelny.

„Żywot" Kalinki, będący raczej apologją, napisał Stan. Tarnowski. Bardziej krytycznie: *Wł. Smoleński*: Stanowisko Walerjana Kalinki w historjografji polskiej (Pisma historyczne t. III).

Z „Ostatnich lat panowania Stanisława Augusta".

Przedmowa (skrócona).

Dzieło niniejsze, którego tom pierwszy czytelnikom podajemy, złożone z dokumentów dotąd nieznanych, dostarczyć może wiele światła do historji upadku Polski; objąć ma bowiem szereg zdarzeń, nierozerwanym ciągiem po sobie idących, od zjazdu Kaniowskiego aż do ostatniego podziału. Ważność tych pism czytelnik osądzi, spostrzegszy, z czyjej wyszły ręki; są to korespondencje Stanisława Augusta, Katarzyny II i wielu najcelniejszych osób, w Polsce i Rosji naówczas żyjących; świadectwa tym szacowniejsze, że nie są opowiadaniem ułożonym po czasie, ale związane z życiem politycznym narodu, przedstawiają dokładnie myśl, zamiar i charakter piszących i działających zarazem. Jest więc ta publikacja znacznym nabytkiem historycznym i dla nauki korzyść przyniesie.

Ale inaczej może wypaść odpowiedź w umyśle niejednego czytelnika, jeśli stawi sobie pytanie, czyli druk dokumentów, wyjaśniających przyczyny upadku państwa polskiego, w dzisiejszej chwili równie jest korzystny pod względem moralnym i politycznym, jak nim jest niewątpliwie pod względem naukowym? Nad tym pytaniem zastanowić się tutaj musimy tym więcej, żeśmy i sami długo je w sumieniu ważyli, i że od ludzi, których wysoko cenimy, z któremi łączy nas wiele wspólnych przekonań i uczuć i wiele lat wspólnej poświęconych pracy, słyszeliśmy zdania naszemu przeciwne. Sądzimy, żeśmy winni sobie, a bardziej jeszcze tym, których rady z żalem słuchać nie mogliśmy, iżby wyraźnie powiedziane były powody, dla których te dokumenty ogłaszamy.

Ostatnim słowem świadectw historycznych, które z tej epoki były lub będą jeszcze ogłoszone, jest: że upadku swego Polacy sami są sprawcemi i że nieszczęścia, które na nas spadły wówczas lub później, zasłużoną są przez naród pokutą. Ta prawda, aczkolwiek bolesna i wobec nieprzyjaciół naszych tak upokarzająca, była już nieraz powiedzianą; ale powtórzona dzisiaj, w chwili największego ucisku, jakiego naród doznał od dziesięciu wieków, nie na rozumowaniu pisarza oparta, ale nasuwająca się sama w dokumentach niewątpliwych i swą jasnością aż rażących, nabiera większego nierównie znaczenia i głośniejszym staje się wyznaniem. I te właśnie okoliczności, przydające wagi takiemu wyznaniu, były powodem zarzutów, które nas dochodziły i które zapewne jeszcze się odezwą.

„Szczery i zupełny obraz Polski pod koniec XVIII wieku, (mówiono nam) może być pożyteczny jedynie dla tych, którzy tak gorąco pragną naszą przeszłość zbezcześcić i złamać nas widokiem naszych błędów; dostarczy broni przeciwko nam, a ich usprawiedliwi i stanie się (wedle pospolitego wyrażenia), wodą na ich młyn. Nie wszystkie prawdy, można powiedzieć, nie każdy je zniesie i nie w każdym czasie; a jeśli przyznanie się do grzechów, w skrytości ducha czynione, człowieka podwyższa, to jawne z nich oskarżenie się, prócz tego, że nigdy szczerym nie będzie, graniczy z bezwstydem i złością być może. Dziś naród potrzebuje wiary w siebie, nadziei w przyszłość i wyrozumiałej dla wszystkich miłości, z wieków minionych nie jad gryzący, ale kojący balsam dziejopisowie dobywać powinni, a ktoby dowiódł, że upadku naszego przyczyną były własne i to wszystkich grzechy, ten odejmie narodowi wszelką otuchę, ten go w oczach własnych zdepce i poniży, ten go doprowadzi do rozpaczy. Jesteśmy jakoby dzieci, których matka śmiertelną złożona chorobą. Choćby ta choroba z jej uchybień powstała, czyż to czas w tych uchybieniach się rozpatrywać? Czyż samo uczucie synowskie nie nakaże raczej odwrócić od nich oczu, a o to tylko starać się, aby jej życie utrzymać? Rozbiór przeszłości trucizną będzie, a nie lekarstwem; odłóżmy go do chwili wyzdrowienia. Wówczas on będzie pożądany, a nawet konieczny, aby ustrzec od powtórnej niemocy; dziś tylko matkę dobije! A wreszcie próżnym jest staraniem i czczą pretensją chcieć dzisiaj całą wykrywać prawdę. Jakiejkolwiek mogą być wagi ogłoszone dokumenty, więcej ich pozostanie w ukryciu, czekając właściwszej do druku pory. Zabraknie więc w tym procesie aktów, i to najważniejszych może—i sąd taki, w miejsce wiernego przedstawienia przeszłości, stworzy tylko jeden więcej obraz żółciowy i fantastyczny!"

Przy rozdarciu wewnętrznym, jakie w społeczności naszej panuje, książka podobna—mówiono nam z innej strony—stać się może nie nauką i upomnieniem, lecz źródłem kwasów i niechęci, otwartą kopalnią dla ducha stronniczego, która z luźnych dokumentów i oderwanych ustępów wyprowadzi wnioski, o jakich wydawca nie myślał. Wykazanie grzechów rodzin dawniej naczelnych posłuży za nowe do walki zarzewie i utrudni, może nawet niepodobną uczyni pracę publiczną dzisiejszym potomkom. Znajdą się ludzie, o jakich w partjach politycznych nietrudno, których głównym nieraz bodźcem w działaniu była zazdrość do swoich. Tacy pochwycą skwapliwie plamiące wspomnienia i w oczy je rzucą tym, którym dorównać nie mogą. A tak ostatnim słowem tej pracy może być skandal publiczny!... Lecz niedość na tym, zawiść możnych ku sobie, dziś szczęśli-

BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA

wie przygasła, odżyje na nowo, i ci, co tak zacnie podali sobie ręce w niektórych ziemiach polskich, rozejdą się po dawnemu, na swoje i kraju nieszczęście. Tylko wyższe prawdziwe dusze czują się powołane wielkiemi cnotami odbudowywać swe imię; większość ze zwyczajnych składa się ludzi, wznowiony obraz zeszłowiecznych plam odstręczy ich, zniechęci, do nieczynności sprowadzi, a może jeszcze w obce obozy przerzuci. Dość już podobnych strat mieliśmy w latach dawniejszych; nie godzi się ich dzisiaj pomnażać i z pola służby narodowej spędzać choćby najlżejszych pracowników! Jeżeli zaś przeciwnie, wypadkiem studjów będzie, że nie kilkanaście historycznych rodzin, jak dotąd mniej więcej utrzymywano, ale cała klasa, niegdyś w narodzie wszechwładna, przyczyną była naszej zguby, to ów wyrzut bolesny w tych właśnie ugodzi, których obecnie najbardziej ściga wróg zawzięty. Było pożytecznym, koniecznym nawet przypominać jej błędy w czasie, kiedy ta klasa używała i nadużywała całej pełności swych praw. Można jeszcze zrozumieć i później rzucane na nią pociski, dopóki dłużnikiem była niższych warstw narodu. Ale dzisiaj, gdy jak Łazarz odarta, nie wie, co jej pozwolą z ojczystej dochować spuścizny; gdy ze starych szlachty polskiej przywilejów, jeden tyko pozostał przywilej męczeństwa; gdy dawną swą odkupując wyłączność, zdobywa ona blizko już od wieku własnym cierpieniem coraz to nowe obrońców narodowych rzesze: dzisiaj nie tylko roztropność, ale wdzięczność sama nakazywaćby powinna jej stare i nowe zasługi podnosić, a epokę skończoną i grzechy skończone jednym zresztą pokryć przebaczeniem!

Takie uwagi i zarzuty dochodziły nas w czasie, kiedy ta książka przygotowywała się do druku. Zbytecznym może dodać, że znajdowały w piszącym te słowa echo donośne i zaostrzały przykrość tych studjów, dość już z siebie bolesnych. Trudno rozbierać na zimno, z czym dusza zrosła od kolebki. Trudno też było ukryć przed sobą, że niejedno z tych wspomnień, które nanowo wydobywamy, zrani dotkliwie jakieś serce szlachetne, co może tajemny już ślub z Bogiem uczyniło i dobrowolną pokutą grzechy swych dziadów odpłaca!... A jednak po walkach wewnętrznych i długich namysłach przyszliśmy do przekonania, że dokumenty wszystkie, skoro niewątpliwe i skoro służą do wyświecenia prawdy historycznej, drukować nietylko można, ale i potrzeba.

Wyliczając powody, na których oparliśmy to nasze mniemanie, może nie od rzeczy będzie przypomnieć nasamprzód, do czego doprowadził system przeciwny i dążność tak długo u nas panująca zakrywania błędów, a podnoszenią nad miarę naszych cnót i zasług. Był czas, gdy pod bolesnym wrażeniem upadku

Rzeczypospolitej, naród, świeżym widokiem własnego nierządu zmęczony, przygnieciony słuszną naganą całej zachodniej Europy, zwątpił o sobie, o swym patryjotyzmie, o swoim nawet męstwie wojennym, i w własnych przedewszystkim oczach potrzebował się odrodzić. Stąd, gdy jedni na zachodzie, obok Francuzów, starą szabli polskiej odzyskiwali chwałę, drudzy widokiem dawnej mądrości i zacności narodu usiłowali go pokrzepić. Wówczas to Czacki układał swą książkę o polskich i litewskich prawach, aby pokazać, że w naszym prawodawstwie była niejedna rozumna ustawa, którą możemy się chlubić; wówczas Niemcewicz swym piórem malowniczym opisywał dzieje Zygmunta III, aby przypomnieć, że i my także czymś byliśmy et nos fuimus; wówczas też poważne grono uczonych mężów, rozbierając między siebie historję szczęśliwszych Polski epok, pominęło z umysłu dzieje wieku XVIII. Ale szukając w przeszłości pokrzepienia, mężowie ci ani przed sobą, ani przed narodem nie ukrywali ciężkich błędów i nierozumu, co świetność minionych wieków splamiły.—Historja, pisał kilkoma laty wprzódy Naruszewicz, ma ten przywilej, że umarli mogą mówić prawdę, żyjący słuchać jej bez urazy; Czacki płakał, dyktując swe uwagi nad życiem ostatniego z Jagiellończyków, i w każdej podobnież książce ówczesnej, dawną opisującej potęgę, obok wytrawności sądu z głęboką nauką połączonej, czuć ból zacny a stłumiony, że tyle niegdyś cnót, tyle wysileń, tyle wreszcie zasobów—wszystko tak marny wzięło koniec; żeśmy mogli być wielkim narodem, lecz dobrowolnie, zamiast wielkości, przodkowie nasi zostawili swym wnukom poszarpaną dziedzinę. Wszakże wkrótce potym wyszły z pamięci te przestrogi. Jak po stracie drogiej nam osoby, (że tu zacytujem słowa niedawno powiedziane) rychło ginie pamięć jej wad, a w duszy zostaje tylko żal niewysłowiony, tak i przeszłość nasza okazała nam się kochanką idealną, zakrwawioną, białym śmierci całunem okrytą. W jednej chwili zrodziła się nowa szkoła historyczna, której mistrzami byli odtąd poeci, słuchaczami dusze rozdarte boleścią. Przeniesiona do historji poezja krytyce już nie dawała przystępu i złym musiała być doradcą w nauce, której odwiecznym warunkiem jest: sine ira et studio. Zawsze tylko przed oczy stawiając wielkie wspomnienia, a na epokę upadku rzucając zasłonę, owa poezja historyczna w coraz to wyższe, nadeuropejskie cnoty ubierać nas zaczęła, coraz to fantastyczniejsze naszej przeszłości nadawać kształty, kolory i blaski, aż skończyła na bluźnierstwie, zowiąc nas Chrystusem narodów! Słyszano i powtarzano takie zdania, że nie mogąc z całym światem wytrzymać zbrodni spólnictwa, sama święta i niepokalana Polska w wieku XVIII do-

browolnie zstąpiła do grobu. Kto sam się bóstwi na świecie, rzekł poeta, ten na odwrót swego szału, odczłowiecza się pomału, tak i my, podniósszy zasługę narodu ponad wszelką miarę słuszności i rozsądku, bo aż do ubóstwienia własnego, póty nie zatrzymaliśmy się na tej drodze, dopóki nie zostały usprawiedliwione wszystkie nasze błędy, wszystkie instytucje, któremi państwo upadło, te właśnie instytucje, które naród, doświadczeniem ostrzeżony, sam pod koniec wieku zeszłego potępił najmocniej i stanowczo odrzucił. Dość przypomnieć, że i liberum veto i elekcja królów, swawola szlachty i niemoc trybunałów kryminalnych, która w dawnej Rzeczypospolitej bezkarność, a z nią nowe nadużycia rodziła, znalazły swych apologistów. Za hasłem przez wielkich mistrzów danym, którzy w historji zamiast prawdy rzeczywistości szukali ideału, znaleźli się niższego rzędu prozą i wierszem pisarze, którzy wielkość i szczytność, a priori przyjęte, tam nawet ukazywać poczęli, gdzie ich najmniej być mogło. Bez krytyki politycznej, bez studjów, bez zaglądania do krajowych źródeł, bez porównania dziejów naszych z obcemi, tworzone teorje szkołą się stały zarozumienia i zamętu wszelkich politycznych pojęć; sięgały nawet poza politykę, dotknęły najgłębszych moralnych i religijnych zasad. Bo gdy jedni twierdzili, że Polska jest Chrystusem narodów, drudzy z tym większą śmiałością twierdzić mogli, że jej powołaniem jest uzupełnić, wydoskonalić i na nowo objawić chrześcijaństwo.

I tak, gdy ciągle brzmiały też same pochwały, ciągle też same powtarzaliśmy błędy i, zanim znikły ślady jednego spustoszenia, już nowe na przyszłość zasiewaliśmy burze! Zaprawdę, w tym naszym gospodarstwie narodowym podobni jesteśmy do człowieka, co układając swój budżet, nie tylko niewątpliwe, ale i spodziewane dochody jak najwyżej naznacza, a nie chce wcale spisać swoich długów, ani przewidzieć wydatków: i cóż dziwnego, że nim rok upłynie, spotka go niedobór i że co rok część jego majątku przejdzie w obce ręce? Tak i nas od lat stu spotyka wciąż polityczny niedobór, a nie inna podobno tego przyczyna, jak ta, że wielbiąc zapał, męstwo i ofiarność narodu, ujemnym jego stronom przypatrzyć się nie chcemy.

Lecz mówią nam: Dość będzie czasu na ten rachunek niemiły, gdy wyzdrowieje matka ukochana, dziś śmiertelnie chora!—Namby się przeciwnie zdawało: rachunek ten, wówczas nam mało przydatny, dzisiaj jest koniecznym. Bo jakże matka ma wyzdrowieć, jeśli jej choroby nie znamy i lękamy się jej poznać.

Jak wydobędziemy się z tej ciemnoty, w którą zabrnęliśmy, kiedy brak nam odwagi otworzyć oczy? Tylko szczere w sobie samym rozpatrzenie się może nas ostrzec skutecznie

i co najpilniejsza, nowym stratom zapobieży. Tylko prawda od złudzeń nas uchroni i od rozczarowania; ona jedna da siłę potrzebną do walki z nieprzyjacielem i silniejszą od niego pokusą. A tym, co tak bardzo dla narodu lękali się prawdy i ostrożnie, w niepostrzeżonych w swej maleńkości dozach, radzili jej choremu udzielać, odpowiemy, że właśnie ta osobliwsza homeopatja, przez naszych moralistów używana, może była przyczyną, że naród dotąd jest chory.

Ale (zapytują nas) jakież wrażenie zrobi ta prawda, z taką szorstkością wypowiedziana, dla wielu osobiście nieprzyjemna, dla wszystkich bolesna? Azaliż nie zrazi, nie zniechęci i już bardzo nieszczęśliwych do rozpaczy nie przywiedzie? Azaliż godzi się dodawać otuchy wrogom Polski widokiem dawnego jej zepsucia?

Odpowiadając na te pytania, przedewszystkim zaprzeczyć musimy, żeby jakiegobądź Polaka można dziś jeszcze od polskości odstręczyć czy widokiem plam, jakie ciążą na jego przodkach, czy też bardziej upokorzającym wyznaniem, że naród przy wadach, które miał w wieku przeszłym, nie mógł się ostać jako państwo niepodległe. Bez wątpienia, musiał ciężko przeboleć każdy, kto się o tym przeświadczył, ale nikt dla tego niemniej czuł się Polakiem, mniej obowiązanym służyć Ojczyźnie. Nikt już dzisiaj z polskości wyzuć się nie zechce, nikt choćby chciał, nie potrafi. Silniejsza ona niż my sami, trwalsza od naszej słabości lub rozpaczy, w złej czy dobrej żyje doli i stuletnią już blizko pokutą coraz bardziej się hartuje. Jeżeli dawniej można było słyszeć o Polakach, którzy przechodzili na Niemców, Francuzów, a nawet i Rosjan—choć i tacy przy schyłku życia tęsknym wejrzeniem znowu się ku Ojczyźnie zwracali—to z każdym, które przybywa, ćwierćwieczem, owa odmiana czy apostazja staje się coraz mniej podobną. Gdziekolwiek jesteśmy: w kraju czy za krajem, w Polsce czy na Sybirze, wszędzie musimy być i pozostać Polakami: tak głęboko na dnie naszej duszy osadził Bóg uczucie polskości! A w takim usposobieniu narodu polskiego niewątpliwym, niezachwianym i któremu żaden człowiek sumienny nie zaprzeczy, czy nie jest rzeczą pożądaną rozpatrzyć się w naszych błędach, i w ich nieustannie bijącym źródle, w wadach naszego charakteru: rozpatrzyć się spokojnie, bez fałszywej a tak zgubnej dla nas samych litości? I czyż studjum to może być obojętne, albo i szkodliwe? Jeżeli przed podobnym z sobą samym rachunkiem cofały się poprzednie pokolenia, to nasze od nich nieszczęśliwsze, albo w swej wierności zaciętsze, może go odbyć z pożytkiem. Żelazo długim wypróbowane ogniem wytrzyma uderzenia, którychby krucha nie zniosła ruda—i jeszcze twardszym się staje. I czy

doprawdy wzgląd na Moskali ma nas wstrzymywać? Mybyśmy przeciwnie myśleli, że naglącym jest odjąć nieprzyjaciołom tryumf, że to oni dopiero ukazują nasze błędy i z ślepoty naszej mają nas wyleczyć. W owym sporze odwiecznym Polski z Moskwą jak całe prawo mają za sobą, tak potrzeba, aby prawdę całą stawiali przy sobie Polacy, choćby to w chwilową miało się zmienić niekorzyść i chwilowe przynieść poniżenie. Wykrycie prawdy nie odmieni zresztą naszego z niemi stosunku. Jak Moskwa nie odstąpi naszych ziem, choćbyśmy ją przekonali, że do nich prawa niema żadnego, tak i my nie wyrzeczemy się naszych uczuć, przekonań, naszych praw, cierpień, nadziei i całego duchowego jestestwa, choć dobrowolnie jej przyznamy, że Bóg użył jej za narzędzie do wymierzenia zasłużonej kary. Nikt się tu nie cofnie, nie zachwieje, nie wyprze swej roli, ani my, ani oni: my w pracy nad sobą i pokutniczym skupieniu czekając, aż przyjdzie Pańskie miłosierdzie; oni dumni, aż Bóg skruszy rózgę, gdy się stanie niepotrzebną. Z tej więc strony nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, choćby cała prawda o przeszłości była poznaną. Ważniejszym wydaje się nam zarzut, że ogłoszenie dokumentów zeszłowiecznych pomnoży rozstrój w społeczeństwie polskim. Gdyby w istocie tak być miało, bez wahania i na długo odłożylibyśmy całą pracę naszą. Bo lepiej nie znać przeszłości, niż przez nią przyszłość zamącać; bo próżną jest wszelka budowa, i na nic się nie zda wszelki materjał tam, gdzie między robotnikami niema harmonji i pokoju; bo wreszcie najgorszą by to było dla narodu wróżbą, gdybyśmy z studjów nad historją upadku Rzeczypospolitej, zamiast upamiętania, mieli wynosić pochop do wzajemnych skarg na siebie. Ale i tutaj trzeźwy pogląd do innych wniosków doprowadzi niewątpliwie. Jak w całej Europie trudno byłoby znaleźć jakąś rodzinę świetniejszą, w którejby dziejach nie było przymroku—a to jej nie przeszkadza odbierać od ludzi czci, na jaką obecnie zasługuje—tak i u nas, choć wiele imion przyćmił wiek XVIII, niemasz dzięki Bogu żadnego, któreby w naszym stuleciu nie odświeżało się i nie podnosiło pracą dzisiejszych potomków. Więc jak śmieszną byłoby rzeczą bez zasług osobistych szukać dla siebie uznania w mocy wątpliwej po dziadach spuścizny, tak równie śmiesznym byłoby a nawet niecnym bez win osobistych potępiać ludzi, którzy krajowi służą poczciwie. Doprawdy, nie masz na kogo cisnąć kamieniem! A jeszczeby godziło się zapytać, kto może ciskać, kto jest tak czysty? Nic pospolitszego jak zarzuty przedajności; nie tylko w książkach, ale i na ulicy spotkać się z niemi można; bo też od połowy XVII wieku, mnóstwo najpierwszych dygnitarzy dotkniętych było tą zarazą. Ale nie sądzimy, żeby u nas

przodków drugiego mógł ktoś obciążać tą winą, sam swobodny i z podniesionym czołem; bo niekoniecznie niewinnym był ten, o kim milczy historja. Znane są, to prawda, imiona ludzi, którzy swe sumienie sprzedawali za krocie; lecz nic dziwnego, że żaden ślad nie pozostał o tych, których kupowano za łyżkę strawy, za kilka talarów. A było takich, jak wiadomo, bardzo wielu: historja każdego rokoszu i każdej nieledwie konfederacji mogłaby na to dostarczyć dowodów. Więc potępiając grzechy przeszłości, nikt z nas zapomnieć nie może, że na każdego mniej więcej jednaka spada za nie odpowiedzialność.

Błędnym jest wreszcie mniemanie, iżby przedajność była tak przeważną naszych nieszczęść przyczyną. Zbyt nizka to zbrodnia i przy najmniejszym moralnym podniesieniu, prędko się naród z niej otrząsa i staje się niedostępnym dla wpływów tak nikczemnych. Nie jest też prawdą, żeby u nas tylko była ona tak rozpowszechnioną. Przedawali się obcym Niemcy i Anglicy; przedajniejszym byli od nas Szwedzi, a w Rosji dziś jeszcze przekupstwo panuje tak wielkie, jakiego w Polsce nie było nigdy, nawet za najgorszych czasów. Nie upadły jednak te państwa; muszą więc być insze, głębsze przyczyny złego, które nas obaliło. Historycy, którzy tych przyczyn wciąż szukają w przedajności, którzy ten zarzut nieustannie, a z pewną uciechą podnoszą, świadczą tylko o sobie—że nic więcej nie powiemy—iż sami ani dziejów, ani spraw publicznych, ani serca ludzkiego nie rozumieją.

Źródłem naszej niemocy politycznej, a zatym i głównym, jeśli nie wyłącznym powodem upadku były (wspomnieliśmy to już wyżej i każda karta niniejszej książki świadczy o tym wyraźnie) owe rozliczne niedostatki charakteru narodowego, które całej klasie wówczas rządzącej właściwie, znajdowały swój typ skończony w tylu głośnych pyszałkach od Zborowskiego i Zebrzydowskiego począwszy, a skończywszy na ostatnich Rzeczypospolitej hetmanach. W różnych czasach i w różnych ludziach ten sam charakter u nas się powtarza i już przez to samo zasługuje na rozbiór uważny. A nie powiemy, żeby to były studja należące jedynie do przeszłości, albo żeby się tyczyły jednej tylko klasy, dawniejszej szlachty: owszem, historyk sumienny wciąż musi sobie stawiać pytanie, azali te wady, które przez wieki grób pod stopami naszej Ojczyzny kopały, dziś jeszcze nie utrudniają jej odrodzenia? Było to zasługą szlachty polskiej, że swą gorącą miłość Ojczyzny, swą rycerskość i do ofiar gotowość umiała przelać, wśród walki pogrobowej, w inne warstwy narodu; i widzimy też od lat z górą sześćdziesięciu z tych warstw podnoszące się bez przerwy postaci tak wysokie, że najczystszym typom polskiego niegdyś szlachectwa w niczym

nie ustępują. Każdy dziesiątek lat ich przymnażał, w każdej wojnie ich widziano, i dzisiaj na każdym polu służby publicznej jest ich tak wiele i tak zacnych, że nikomu już na myśl nie przyjdzie odróżnić: tyś syn szlachecki, a tyś miejski! Ale szczepiąc cnoty swoje w klasach niższych, szlachta polska zaszczepiła także swoje wady. Te w mniejszych rozmiarach i przy zmienionych okolicznościach znajdują dziś wyobrazicieli z niejednej miary dawniejszym podobnych. Każdy ruch narodowy wyrzuca teraz, z niższych czy wyższych klas, cały szereg nowych ludzi; a patrząc na nich, rzekłbyś, że to z grobu powstały antenaty, znane tak dobrze choć bez karmazynu pyszałki, którym tylko pola i środków brakuje, by po staremu wszystkie zebrania publiczne swoją osobą zapełniać, zagłuszać, by w całym kraju na swoją rękę zawiązywać konfederacje, by w swym kącie powiatowym o całej decydować Rzeczypospolitej! Rzadko w którym narodzie, mimo klęsk i strasznych odmian, dochowała się jak u nas, taka przez długie pokolenia jednostajność usposobień: co się działo w XVII i XVIII stuleciu, to i dzisiaj bez mała powtórzyćby się mogło—gdyby nie ostrzegały: sumienie i przeszłość! Kto więc chce rzucić potępienie na przestępców z wieków minionych, niech je rzuca: ale zarazem niech przyłoży rękę do własnej piersi i posłucha, azali w niej się nie odezwą podobne dawnych rokoszowej pychy drgania! Jeśli przeto po wszystkie czasy i dla wszystkich ludzi nauka przeszłości uważana była za najlepszą mistrzynię, to u nas epoka tak blizka jak koniec Rzeczypospolitej najsilniejszą powinnaby być przestrogą dla nas i dla naszych następców, najwięcej dostarczyć wątku do badań i rozmyślań: Mutato nomine de te docet—historja!

Przestroga dla spółczesnych i dla następców, oto—w ostatecznym zestawieniu wielostronnych względów i rozumowań—powód stanowczy, dla którego pragnęlibyśmy widzieć ogłoszony jak najpełniejszy zbiór świadectw historycznych z czasów naszego upadku; powód zdaniem naszym tak ważny, że wobec niego prawie z oczu uchodzą wszystkie niedogodności, jakkolwiek niezaprzeczone i w podobnych publikacjach nieuniknione. Poznacie prawdę mówi Pismo, a prawda nas wyswobodzi! I gdyby w istocie był w narodzie naszym wstręt tak powszechny do szczerego w swej przeszłości rozpatrzenia się, wtedy dopiero możnaby już rozpaczyć, bo wtedyby należało zwątpić o jego życiu i wyswobodzeniu. Zdrowych to organizmów jest cechą że łakną prawdy, i te tylko odrodziły się i podniosły narody, które prawdę sobie mówić pozwalały: Włosi, których od początku bieżącego stulecia tacy mężowie jak Alfieri, Azeglio, a przedewszystkim Cezar Balbo gromili ostro za ich gnuśność, roz-

wiązłość, bezcelowość życia, polityczne fantazje i miękczący artyzm; Niemcy, którzy siebie tak twardo potępiali, że nawet w swej bogatej literaturze dowód własnej widzieli słabości, i którym pisarze jak Schlosser, Menzel, Gervinus, Hausser, wyrzucali głośno brak patryjotyzmu, brak zmysłu politycznego, życie czysto naukowe, wygodne, przy lampie i w ciszy rodzinnej prowadzone, wreszcie zbytnią przed wielkiemi uniżoność i biurokrację. A któż sobie powiedział tyle słów gorzkich co Anglicy podczas ostatniej wojny wschodniej, że już dalszych nie sięgniemy epok? Ci nawet z tego szydzili—co każdy naród u siebie szanuje—z własnego wojska, i za wzór dla siebie stawiali swych odwiecznych współzawodników, Francuzów. I kiedy te narody, w cierpkiej prawdzie na każdą niemoc szukając lekarstwa, nie obawiały się uchodzić za lichsze nawet i słabsze niż były niemi w istocie, my tylko jedni, wspinając się na paluszkach wzdętej pychy, własną, od nikogo nie przyznaną pojąc się chwałą, głosiliśmy siebie narodem wybranym, a każde choć najlżejsze upomnienie strasznym odrzucaliśmy słowem: Brzydki ptak, co własne swe gniazdo kala! Jakby prawda kalać mogła! jakby upojenie było siłą! Jakby sąd surowy o siebie nie przynosił zaszczytu i jakby nie ten dopiero w oczach drugich się poniżał, co sobie przyznawał cnoty, których nie posiada!

Ogłaszając dokumenta w niniejszym tomie zawarte, chcieliśmy ułatwić ich zrozumienie czytelnikowi mniej z szczegółami historycznemi obeznanemu, i poprzedziliśmy je wstępem obejmującym epokę Stanisława Augusta od jego wyboru, aż do zjazdu kaniowskiego. W tym wstępie nie mieliśmy zamiaru z kolei wszystkich opowiadać faktów, ograniczyliśmy się raczej na krytycznym ocenieniu ważniejszych; przytym staraliśmy się zaznaczyć tak dobrze zachowanie się każdego zosobna rządu zagranicznego w stosunkach z Polską, jak postępowanie ówczesnego rządu polskiego i opozycji. Pilnując się źródeł, byliśmy nieraz zmuszeni odstąpić w tej pracy od przyjętych po dziś dzień sądów i wyobrażeń. Zanadto wszakże nam wiadomo, jak trudno jest przy źródłach tak niedostatecznych, przy namiętnościach wzburzonych i interesach tak z sobą krzyżujących się, dotrzyć do istoty rzeczy, abyśmy z całą pewnością na własnych polegali sądach i nie mieli przypuścić, że one niejednej odmianie ulegną. Za to tylko możemy zaręczyć, żeśmy wszędzie i dla wszystkich szukali prawdy.

JÓZEF SZUJSKI.

Urodz. 1835 r. w Tarnowie, umarł w r. 1883, jako profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego i sekretarz Akademji Umiejętności. W latach młodych entuzjasta dla idei prometejskich wolności i postępu, w r. 1863 zwolennik ruchu zbrojnego, rychło po upadku powstania wraz z Stan. Tarnowskim i Stan. Koźmianem stał się twórcą szkoły „stańczykowskiej", klerykalno-arystokratycznej; o zmianie poglądów świadczy fragment z dramatu *Długosz i Kallimach*.

Próbował sił we wszystkich rodzajach twórczości literackiej, dzieła jego dramatyczne grywano przez pewien czas na scenach galicyjskich. Celniejsze: *Halszka z Ostroga*, *Wallas*, *Jerzy Lubomirski*, *Dwór królewicza Władysława*. Zasługi położył, jako historyk, za młodu opracował wielotomowe *Dzieje Polski* w duchu demokratycznym. Z biegiem czasu przepoił *Roztrząsania i opowiadania historyczne*, oraz jednotomowy podręcznik *Dziejów Polski* zasadami kościelno-legimistycznemi. Tłómaczył pięknie Arystofanesa i Eschylosa. Dzieła zbiorowe wyszły w Krakowie.

Prometejska modlitwa.

Ze wszystkich bogiń z Olimpu szczytu,
Jednę wybieram sobie!
Alke potężna, boginio siły,
Nie z mgły niebieskiej, ale z granitu,
Chcę żyć i umrzyć przy tobie.

Gdy gwałt i przemoc na mnie się zwalą,
Gdy Kronion z niebios gniewem swym grzmota,
Ty mnie ochraniaj rycerską stalą,
Bądź towarzyszką mego żywota,
Gdy Prometeja w twarde kują pęta,
Nie daj mi jęku wydrzeć z piersi hardej,
Ale stać niemy z spojrzeniem pogardy
Alke, ty święta!

Kiedy sam będę Prometeusz skuty
U nieczułego nędznej ziemi głazu,
A Okeanid chór, łzami zasnuty
Przyjdzie bolesną gromadą,
Jak jaskółek stado
Oblatać granit Kaukazu:

Kiedy maleńcy Kroniona poddani
Radzić mi będą pokorę i skruchę,
Kiedy ziejąca paszczęka otchłani
Otworzy ku mnie tonie swoje głuche:
Alke! bądź ze mną!
Alke w poważnej, długiej, czarnej szacie
Nie daj mi zadrżeć w bolu majestacie
Trwogą daremną!

Gdy mi przed oczy postawią konieczność
Niech im kłam zada mego łona wieczność
Kiedy mi bogów stawić będą moce,
Nieubłaganość wielkiego Kroniona:
Niechaj ma wola wielkość ich zdruzgoce,
Jak on niezgięta, silna, nieskończona,
Potrzebie niech ugną się mali
Niech karły do nóg się jej walą,
Nie mogąc płynąć za falą,
Ja niechaj płynę wbrew fali:
A nie pohańbię mych ojców i braci
W pokornej i skromnej postaci.

Nie!... wyprężony w męczeńskiej postawie,
Rozkrzyżowany w dumnej mojej męce,
Gdy o granity dumną pierś pokrwawię,
A w walce z sępem potargam me ręce
Niech nie pomyślę o rozkuciu przecie,
Ani o wonnym w Olimpie nektarze:
Niech nie pomyślę, jak niebios mocarze
Długim szeregiem szli-by w powitanie,
By mi osłodzić tryumf ich na świecie:
Niech raczej ginę—ginę jak Tytanie!

Bo oto czuję—że mi kiedyś może
Równy mnie Tytan pomoc z góry zniesie:
Że mu na piersiach hardy kark położę,
W przyszłości czuję ciebie Heraklesie!

Pieśń o husarzach.

Za czasów przesławnych, za Polski lat dawnych
Słynęła husarska konnica:
Jak anioł skrzydlata, jak djabeł rogata,
A piękna, jak polska dziewica.

Na koniach tureckich okutych w stal twardą
Potężni, jak skały ze stali:
Husarze młodzieńcy z anielską pogodą
Z powagą anielską jeżdżali.

U ramion im skrzydła szumiały potężne,
By z niebios zlecieli ku ziemi:
A Marja królowa przed hufcy orężne
Promieńmi rzucała srebrnemi.

Nad hufcem wysterczał oszczepów las cały,
Ubrany w proporce wiejące,
A sztandar pośrodku poszumiał wspaniały,
Jak brzoza wśród kwiatów na łące.

Na wroga podłego był koncerz przy boku
I młoty do zbroi kruszenia:
I sznury tam były, by wiązać do troku
Bluźnierców Maryi imienia!

Hej dawni husarze, to była konnica,
Gdy w stepy goniła na taniec:
Na hełmie każdego blask słońca przyświeca,
Jak spadły z niebiosów kaganiec.

Kurzawa im u nóg podnosi się chmurą
Od jarkiej pogody błyszcząca
A skrzydła te orie łopocą im górą
Że lecą, jak ptaki od słońca.

A kiedy na stepie zaczerni się w dali
Dzicz od Stambułu lub Krymu,
To w orli lot sunie mur Polski ze stali,
Jak piorun wśród czarnych chmur dymu.

Grzmi ziemia, wichr świszcze od mieczy przecięty,
Kurhanna się ziemia weseli,
A z niebios archanioł się patrzy zwiśnięty,
Jak ziemscy hulają anieli.

Gdzie sułtan, gdzie hany, gdzie basza i murze?
Rozbici, na stepy gdzieś gonią,
I kona półksiężyc, oparty na chmurze,
Przed słońcem i świętą ich bronią.

Z husarzmi nie mierzyć się piekła potęgom,
Nie mierzyć się szabli z Damasku,
Ciężarem swej broni tysiące rozprzęgą,
Jak skały rzucone w wał piasku.

Bo husarz w napadu pęd niepowstrzymany
Dał życie na koniec oszczepu,
I życia ofiarą tak razi pogany,
Jak gromem Jehowa z nieb sklepu.

Bo husarz gdy z konia upadnie w proch ziemi,
Nie wstanie już walczyć za wiarę:
Zbrój jego go zdusi klamrami ciężkiemi,
By ogień, co spali ofiarę.

Hej, dawni husarze! gdzie wy się podzieli?
Czy plemię wymarło husarzy?
Wszak czarci na ziemi—a w niebie anieli,
Na karku niejedni Tatarzy!

Hej, w szereg nam znowu, pod sztandar nasz stary!
Zbrój ducha przywdziejmy na siebie,
I oszczep nam święty pochwycić dla wiary,
Dla Maryi, królowej na niebie.

Koncerzem nam podłych przybijać do ziemi,
By chwastów nie było w dzień żniwa—
A grzesznych do troku jąć sznury mocnemi
W żelazne pogardy ogniwa.

A starym zwyczajem, w huzarskim ordynku
W rycerskie to idźmy rzemiosło:
Nie będzie nam szczęścia, nie będzie spoczynku,
Aż z piersią bluszczami przerosłą.

A jeśli upadniem, niech zbrój nasza ciężka
Potężną swą wagą nas zgniecie:
Pójdziemy do nieba, drużyna zwycięska
Bo padłym już nie żyć na świecie!

Długosz i Kallimach.

Scena 8.

Długosz i Kallimach,

KALLIMACH (*do Długosza*).

Zwycięzca! ja zwycięzcę zatrzymam w pół drogi!
Pogadajmy:

DŁUGOSZ.

Niemiłym mi tryumf tak srogi
Z szkodą mojej ojczyzny polskiej odniesiony
Nie macie co zazdrościć.

KALLIMACH.

Kiedy tej korony
Będziecie pisać dzieje, fakta te ołowiem
Zaważą, aby myśli stwierdzić waszej wątek,
Powiecie, kto dał wojnie węgierskiej początek,
Powiecie, kto przewidział jej koniec.

DŁUGOSZ.

Nie powiem.
Nie wszystko, co wie człowiek, potomności daje
Ani około siebie wątek dziejów snowa,
Są rzeczy, które mówi, są rzeczy, co chowa,
Których myśli rozumnych cicho dociec każe,
Bo różne ludzi duchy, umysły i twarze,
A dzieło jedno tylko...

KALLIMACH.

Czy zawsze tak będzie?
Słuchajcie na tym wielkim, bezbrzeżnym obszarze
Zachodu, co się słońcem gasnącym spromienia,
Wielkie dzieją się rzeczy. Świat szybko się zmienia.
Wiecie że po tym morzu w szybkim biegną pędzie
Myśli ludzkie, nie w rzadkiej już pisma postaci,
Ale z kutych w metalu ułożonych głosów,
Potężne, roznoszące z połaci w połaci
Świata wieszczbę zepsucia, lub wieszczbę niebiosów.
Święte i świeckie rzeczy dzieła tego cudem
Rozejdą się szeroko, wszędzie między ludem,
Jak między świata tego zastępy mocarzy...
A kto czynić nie może, czynić się nie waży,
Ten pismem, powtórzonym Guttenberga tłokiem
Śmie zostać królem, panem, tyranem, prorokiem!
Jeśli na owej mierze, co duchem szafarzy,
Co do pojęcia ludzi stosuje rzecz daną,
Oparta jest potęga dzisiejszych mocarzy;
Co będzie, gdy tej miary panem być przestaną,
Jeśli zuchwałą ręką drukarskiej czeladzi
Gdzie nie chcecie myśl ludzką, wiedzę przeprowadzi?

DŁUGOSZ.

Ufam, że się najwyższa ludzkiej nie zastraszy
Wiedzy, że tworu swego, rozumu potęgi
Ten panem, co niebieskie te zakreślał kręgi,
Co stwórcą tego świata, stwórcą myśli naszej.

KALLIMACH.

Tylko to, co dał wiedzieć, odmienić się może
Tym, co wiedzieć nam nie dał, a co człek zdobędzie
Sam, gdy pracować dalej, myśleć, badać będzie.
W piersi wtedy pokłócą mu się myśli Boże
Z zdobyczami własnemi, jako w bajce owej
O półbogu, co z niebios zniósł płomień czerwony
Zdobycz co go rozpięła na Kaukazu skale,
Ale z bóstwem Olimpu zrównała wspaniale!...

DŁUGOSZ.

Zrównała? Tak! jest w człeku iskra nieśmiertelna,
Przeciwna Bogu czasem, choć Nim tylko dzielna,
Zapalił ją w nim Pan Bóg, jak z wszechmocy swojej
Zapalił te gwiazd krocie, któremi ustroi
Noc niebawem to niebo nad Tatrów szczytami.
Więc tą iskrą Bóg włada, jak włada gwiazdami,
Ma ją w ręce, zna siłę, co w jej głębi drzemie
Prawd zdobytych nietrwożny: Prawda—Jego imię.
Wszystkie on jeden w wielkiej wszechcałości trzyma,
Prawd może być bez liku: Prawdy za nim niema!
Więc kędyż waszmość mierzysz mową rozkiełznaną?

KALLIMACH.

Lukrecjusza słowa nie pomnicie ano!

DŁUGOSZ.

Pomnę! Słowem tym strasznym dotknęliście srodze
Tego, który ku smutnej tej węgierskiej drodze
Patrzał, jak w szponach twoich piękna leci dusza
Niezbożność i zwątpienie czerpać z Lukrecjusza
Bóg nie dał! od twych czynów gorsze były słowa...
Przeczy twej duszy jedna, żałuje połowa,
Druga, ta co w wewnętrznej z rozumem rozterce:
Nietylko rozum ludziom dał Bóg, dał im serce.
Serca tego pragnienia rozum nie uśmierzy,
Prawdy zdobywa rozum, w prawdę serce wierzy,

Pycha go żadna, wiedza żadna nie ukoi,
Pęknie wśród prawd bez liku, bez tej jednej, swojej
Bez tej, którą go obejmał w ogniwa,
Którą człek czuje silnie, gdy się z Bogiem spływa,
Ale potężniej jeszcze, gdy upadnie, czuje.

KALLIMACH.

Nim upadnie, jest chwila, w której się buntuje,
Gdy mu pycha strumieniem w dumne czoło bucha,
Gdy z nim walczy potężny odłam jego ducha,
Gniewny, że mu dał tyle, że tyle w nim zbudził,
Aby się szarpał próżno, walczył, myślą trudził.
I jednym zawsze słowem, przed wiekami danym,
Był strofowan jak dziecko, on, co jest Tytanem.
Ha! rację może macie, że to życia wątek,
Że jak w żywocie naszym jest śmierci początek
Tak w tej tkaninie myśli jest niemoc nieznana,
Co wcześniej, później rzuci o ziemię Tytana!
Że wijąc się w boleściach straszliwej zagadki,
Ranny śmiertelnie wróci skonać u stóp matki...
Ale nim się to stanie... gdzie pójdzie, gdzie wzleci,
Gdzie sięgnie szereg dumnych, niebotycznych dzieci,
Kiedy pełniejsi Boga, z każdą myślą nową,
Z każdą prawdą, wydartą ciężkim ducha trudem
Staną pomiędzy wami, a pomiędzy ludem,
I wbrew waszemu swoje powiedzą mu słowo...
Gdy tego ludu fala do głębi wstrząśniona,
Spiętrzy się, olbrzymiego lwa pustyni grzywa,
Kiedy zawrze tą walką co dzisiaj rozrywa
Wybranych tylko, rzadkich buntowników łona?
Co wtedy?

DŁUGOSZ.

Straszne bywa, świat widział koleje
Straszniejsze widzieć może. Czymże płyną dzieje
Człeka, świata, ludzkości, jak nie walką oną,
Którą z prawy Bożemi wiedzie ludzkie łono?
Praw tych dzierży się wszystko, granitów tych szczyty,
Szumy wód, lasów ciemnia, gwiazdy i błękity
Bo im woli Bóg nie dał, więc jak obłok biały
Potulne pod królewskie kładną się sandały.
Nam dał wolę i prawa, dał przedwieczne słowo,
Dał tyle, że najstarsza moc wolnych na świecie
Tych, co spadli, by przeczyć, archanielską mowę
Rzec mogła rzeszy ludzkiej: Jako Bóg będziecie!

Rzekła! mówi! w twych ustach dzisiaj się odzywa,
Ażeby grozić prawu, lud Boży wyzywa.
Lecz nie dla wielkich tylko i mądrych tej ziemi;
Dla maluczkich Ten przyszedł, między maluczkiemi
Ten stanął, co niebieskie dziejom prawo pisze,
Biada tym, co prostaczych przerwą zbożną ciszę,
Co w morzu ludu zażedz chcą swej piersi burzę
Bez słowa, co wszechmocnie panuje naturze!
Spiętrzy się olbrzymiego lwa pustyni grzywa.
Lud co nietylko myśli, ale czuje żywo,
Lud, którego on chował na mieszkańca nieba,
Zażąda nieba od was. Wy dacie mu—chleba,
Ducha, ciała, wy trwożni w jego straszne tonie,
Rzucicie wszystko, wszystko on głodny pochłonie;
Nieba w duszy i drogi w niebo mu nie dacie...
Sam je znajdzie... Lecz wtedy w bolu majestacie
W uczuciu drogi błędnej, którą szedł za wami...

KALLIMACH.

Księgi nasze i pisma ułoży stosami,
W stosach tych apostołów krzywej drogi spali,
Czy tak?

DŁUGOSZ.

Jest stos inny, który bardziej smali,
Jest stos, w którym się topi zły kruszec i złoto,
Gdzie złoto pozostaje, a kruszec czernieje,
Na sławy buntownicze stosem tym—są dzieje!
Świat to koleją inną może się znów rzucić...
My, co wyszliśmy z stosów, możem na nie wrócić,
W katakumbowych cieniach kiedyś zmarłe chować,
Nad czym panujem jeszcze, może zapanować
Lecz odkąd On na ziemi, On nieludzkiej miary
Stanął, niema już innej, jak ta na tym świecie,
A im staniecie dalej—tym niżej staniecie...
Lat tysiące jak jeden dzień przed Boga okiem!
Kurczy się wstęga dziejów, wstecz wiekami pchnięta:
Nie zginie, kto był mędrcem, zbawcą, lub prorokiem
Nie zginie, co myśl ludzka skrzydłami rozpięta
Zdobyła, praca żadna i cnota nie zginie,
Ale w każdej tej myśli, natchnieniu i czynie
Prawd jego wiecznych święta droga się wypali,
Chwalić go będzie ludzkość, jak natura chwali.

KALLIMACH.

Nie Lukrecjusza Boga chwalicie zaiste
Choć buntowniczym duchom groźnego nie mało...

Powiedzcie, gdzie ta miara, którą niebo dało,
Kiedy rwą się tu myśli straszne, płomieniste,
Dumne, wbrew Bogu siły zrywające Boże,
Gdzie jest moc, co tym myślom wędzidło zakłada,
Co musi dawać spokój, co do modły składa
Ręce? powiedzcie proszę.

DŁUGOSZ.

A gdzieżby? W pokorze,
W zapomnieniu o sobie, w miłości za sobą
Świata, ludzi, ojczyzny...

KALLIMACH.

Wygnaniec przed tobą.

DŁUGOSZ.

W nieżałowaniu siebie... w wyjściu z swego ciała.

KALLIMACH.

Mądrość starych harmonję za moc uważała
Między duszą i ciałem, jako cel nad cele.

DŁUGOSZ (*odchodząc*).

Chodźmy, na dzień tak ciężki, mówiliśmy wiele,
Czy ciało ducha wiodło, czyli ciało dusza?

KALLIMACH (*odchodząc*).

Polska może być dumną z swojego Liwjusza!

STANISŁAW TARNOWSKI.

Urodzony w 1837 r. w Dzikowie, obecnie profesor literatury polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego i prezes Akademji Umiejętności. Pracował za młodu w Biurze dyplomatycznym Czartoryskich (obacz życiorys Klaczki!), w r. 1864 odsiadywał więzienie austryjackie za sprzyjanie powstaniu, w 1866 wraz z Józ. Szujskim założył *Przegląd Polski*, z którego wyszedł obóz galicyjskich stańczyków. Jako przedstawiciel tej partji klerykalno-arystokratycznej wywierał też przez lat czterdzieści duży wpływ na stosunki galicyjskie.

Ideje swoje wyraża też konsekwentnie w pracach z dziedziny krytyki i historji literatury. Najważniejsze: *Pisarze polityczni XVI wieku*; *Jan Kochanowski; Rozprawy i Sprawozdania (4 t.)*; *Zygmunt Krasiński; Historja literatury polskiej (6 t.)*.

Rozbiór twórczości w „Dziejach krytyki literackiej w Polsce" P. Chmielowskiego i „Współczesnej krytyce literackiej w Polsce" W. Feldmana.

Przemówienie przy immatrykulacji uczniów Uniwersytetu dnia 7 grudnia 1886 roku.

Zwyczaj nam dawny niesie, że Uniwersytet wita przez usta swoich Rektorów nowo wstępujących uczniów i uroczyście im prawo obywatelstwa u siebie. Panowie, odbieracie ten idygienat w uroczystszej niż inni, nie formie -- bo ta zawsze jednakowo i właściwie skromna — ale w uroczystszej chwili, bo wasze wstąpienie do tego Uniwersytetu przypada na rok dla niego pamiętny. Pięćsetna rocznica ślubu Jadwigi, który był początkiem wielkiej epoki naszej historji, pośrednio także początkiem niewiele późniejszej organizacji naszego Uniwersytetu, schodzi się z zamierzonym otwarciem nowego przeznaczonego mu gmachu. Przypadkowe spotkanie tych dat przypomina pięciowiekową przeszłość, a upomina, że przyszłość powinna i musi jej być godną, że nowy przybytek, opatrzną, dobroczynną ręką Najj. Pana wzniesiony, ma być nie materjalną tylko budową, ale wzmocnioną, utrwaloną, rozszerzoną budową nauki, przez nią cywilizacji powagi i siły narodu; że z tego nowego gmachu wychodzić mają ludzie podobni do wszystkich najzasłużeńszych i najchwalebniejszych, jakich wydawały nasze stare Collegja. Ten obowiązek jest tak zrozumiały, ta uwaga tak naturalna, że koniecznie musi nasunąć się każdemu, kto w te progi wstępuje z głową zdolną myśleć, z sercem zdolnym czuć, jak należy. To zaś, co ten Uniwersytet w przyszłości wyda, dla przyszłości przyniesie, czy więcej na ilość i na jakość światła w rozumach, powagi w charakterach, dla narodu całego więcej siły i oświaty, albo też ospałe przestawanie na małym, które nigdy długo w mierze nie stoi, ale zawsze podupadaniem się kończy: to wiem, że zależy w jednej części od

nas, waszych nauczycieli, ale w takiej samej, lub większej zależy od was, uczniów.

Mówi się zwykle, że wiek młody dla tego najszczęśliwszy, bo jeszcze odpowiedzialności nie dźwiga. To pomyłka; on tylko całego jej ciężaru nie czuje, bo jej skutki nie zaraz, lecz później widzi i ponosi, ale ją ma i dźwiga. Młodzież nie odpowiada za dziś, za bieżące sprawy: ale odpowiada za przyszłość, za wartość tych czynów, za mądre prowadzenie tych spraw, za pomyślność tych losów, które na naród przyjdą z latami jej dojrzałości i działalności. Wstępujecie panowie w lata stanowcze, bo ostatnie, przygotowania się, usposobienia się do przyszłości waszej własnej i społeczeństwa: od tego przygotowania lepszego, lub gorszego zależy lepsza albo gorsza dola wasza, i narodu za przeciąg waszego życia: cofnięcie się w tył, albo posunięcie naprzód, szczebel wyżej, albo szczebel niżej na tej drabinie, na której swoją wartością i zasługą ustawiają się narody, a sądzi je historja i przyszłość. Sądzi z owoców: kwiat waszej młodości ma przez te lata nauki zawiązać się na owoc. W ludzkim, jak w roślinnym świecie, kwiat jest tylko chwilowym środkiem, a owoc spełnieniem przeznaczenia. Odpowiedzialność tę, ufam, że macie przytomną w myśli i w sumieniu, że wstępujecie tu z dobrą wolą uczynienia jej zadosyć.

Czy mam przypominać, że na to potrzeba wam z czasu korzystać, uczyć się i pracować, umiłować obrany zawód nauki, wiele od siebie żądać, nie opuszczać się nigdy, a patrząc na swoje widnokręgi, na swoją dzisiejszą odpowiedzialność, wykształcić jak który zdoła najwyżej swój umysł nauką, swój charakter ścisłością i stałością w pełnieniu obowiązków? Prawdy to niezmienne i zawsze doskonałe, ale wam, równie jak mnie wiadome. Dla tego nie mówiąc o nich dłużej, wolę zwrócić się w inną stronę i to wskazać, co młodym zwykle, młodym Polakom w szczególności, a przynajmniej (skoro to jedno znam z doświadczenia), co zdaniem nietylko moim, uczniom naszego Krakowskiego Uniwersytetu utrudnia ścisłe, zupełnie dobre pełnienie tego powołania. Wrażenie, jakie młodzież tego Uniwersytetu robi na starszych, zdanie, jakie się o niej między ludźmi słyszy, wiedzieć wam dobrze i przydatnie, a mnie powiedzieć to przystoi, bo w charakterze zwierzchnika tej szkoły jest coś z ojcowskiego obowiązku i prawa, a wierzcie, że zawsze dużo i ojcowskiego uczucia.

Gdyby mnie kto zapytał, czy ta młodzież, na którą tu patrzę od lat siedemnastu jako profesor, jest gorsza od tej, którą pamiętam—do której należałem przed laty trzydziestu, jako student, mógłbym i musiałbym odpowiedzieć z czystym sumieniem: Nie. Nie jest gorsza. Złe dzisiejsze w niej do

ówczesnego bardzo podobne; dobre jest inne, ale pod niejednym względem jest go więcej. Pokolenie, które rosło przed ostatniemi, najcięższemi doświadczeniami narodu, w warunkach miejscowych nierównie gorszych, ale w lżejszej, czystszej, nie tak dusznej atmosferze całego europejskiego świata, rozwijało się żywiej, bo miało więcej słonecznego światła. Było lotniejsze fantazją, ciekawsze, ogólnego wykształcenia może żądniejsze i było weselsze. Duszą jego myśli, pobudką jego nauki, były pogodne, złote widoki. Młodzieniec dzisiejszy—młodzieniec myślący i szlachetny ma się rozumieć—w swoim popędzie do dobrego, niema pomocy tych uczuć i widoków, które nas zawiodły, ale były siłą i rozkoszą naszej młodości. On jedyną podporę ma w uczuciu świętym, ale bardzo surowym, w uczuciu obowiązku; on wie, od chwili kiedy myśleć zaczął, że nie może wiele się spodziewać, że jego cnotą ma być cierpliwość, wytrzymałość, cnoty wielkie, ale smutne, kiedy nam uśmiechały się jaśniejsze. Dlatego może młodzież dzisiejsza ma skrzydeł mniej, dlatego może jej zdolności i usposobienia nie mają tego śmiałego ufnego popędu, jakie nam dawało zaufanie do świata i do wieku. Ale to pokolenie smutniejsze gorszym nie jest: a może właśnie dlatego, że smutniejsze, to lepsze. Cokolwiek mniej błyszczące darami fantazji i słowa, ale za to mówię o dobrych tylko i o bardzo dobrych — rzetelniejsze w swojej pracy, więcej wyrobione w swoich przekonaniach, śmielsze w ich wyznawaniu. Dziś, jak zawsze między ludźmi, dobrych musi być mniej niż miernych, ale w tych dobrych jest dziś więcej uczucia obowiązku, więcej pracy, więcej rzetelnej i poważnej nauki, aniżeli było wtedy u dobrych, jak Szujski naprzykład. Że ta różnica na lepsze jest zasługą i dziełem profesorów, którzy osobistym wpływem i przykładem umieli i zamiłowanie nauki rozpalić, i w seminarjach swoich nauczyć, jak uczyć się i pracować należy, to mogę wyznać tym głośniej, im mniej własnej zasługi w tym upatruję.

Ale jeżeli tak pod wieloma względami jest niegorzej, albo i lepiej, więc co i dlaczego nie jest zupełnie dobrze? Czemu niejeden ojciec woli oddać syna na inny, nie na nasz Uniwersytet? Wszak ojciec Polak powinienby owszem mieć sobie za zaszczyt i za korzyść, żeby jego syn z tej szkoły wychodził? Kiedy mówi, że gdzieindziej znajdzie profesorów lepszych, albo że chce dla syna doskonalszej wprawy i biegłości w języku niemieckim, nie przystoi nam przeciwko temu zdaniu występować. Ale kiedy niejeden mówi, że gdzieindziej spodziewa się wychować syna na tęższego, dzielniejszego człowieka? Co w tym jest?

Kiedy przed laty skarżyli się posłowie przed Zygmuntem Augustem (na sejmie 1563 roku), że Akademja Krakowska obraca się w jaskinię łotrów, do której ojcowie boją się synów oddawać, przesadzali oczywiście. Tak źle nie było nigdy. Kiedy później nieco poważny pisarz, biskup, senator (Wereszczyński w *Publice*) upominał młodzież, żeby się nie uczyła „po krakowsku na bruku" — to przytyk ten do całej młodzieży dzisiejszej zastosować by się nie dał. Przecież jest jakiś tajemniczy *genius loci*, nie od dziś, oddawna, niedobry i miękki, który nie wszystkich, ale wielu ogarnia i pozwala im lekko, a łatwo prześliznąć się przez lata nauki, wychodzić z nich bez dostatecznego, bez rzetelnego przygotowania do życia.

Na różnych różnie on działa i różnie się w nich objawia. Zacznijmy od tych, których odpowiedzialność przed Bogiem i społeczeństwem większa, bo położenie szczęśliwsze, bo troski żadnej, a wygoda wszelka, bo ułatwień wiele w samej domowej od dzieciństwa nauce i w tym staraniu około wychowania, w którym szczęśliwi rodzice nie potrzebują się krępować i oszczędzać. Synowie rodziców zamożnych mają zawsze odpowiedzialność większą a wymówki mniej, kiedy za młodu nie uczą się i nie pracują tyle, ile należy.

Czy u nas zasługują na ten zarzut?

Jest i był za mojej pamięci zawsze zwyczaj miejscowy, krakowski, niedobry: ten, że uczniowie zastępują w towarzystwach młodzież dorosłą i usamowolnioną. Słuszne jest i potrzebne, żeby się młody zabawił, a lepiej może, żeby tańcował w domu poważnym, gdzie samo otoczenie przyzwyczaja go do uprzejmości i utrzymuje w dobrym wychowaniu, niż żeby w kawiarnianych rozrywkach i towarzystwach przywykał nie zważać na nikogo i słów czy ruchów swoich nie miarkować. Wszelako to karnawałowanie ma swoje skutki bardzo złe: nie kończy się na karnawale, ale przeciąga się długo, nie kończy się na wieczorach i tańcach, (które same już w lekcjach bardzo przeszkadzają), ale obejmuje długi szereg towarzyskich niby koniecznych obligacji, które zabijają czas i prowadzą do rozprózniaczenia, w najlepszym razie do odzwyczajenia od pracy. Po kilku tygodniach (lub paru miesiącach) takiego życia włożyć się do niej już trudno, a choć zmusi w końcu examinowa konieczność, to przecie wydaje się ona koniecznością smutną, której pozbyć się tylko chcemy czymprędzej. Dodajmy do tego, że łatwo tą drogą dochodzi się do fanfaronady, albo do zbytniej pewności siebie i przedwczesnej dojrzałości, albo do próżności w ubraniu, albo do innych nabytków czasem zdrożnych, czasem śmiesznych, a przekonamy się, że złe skutki są, najgorszym zaś ze wszystkich nie jest sama strata czasu. Fol-

gowanie sobie w codziennym obowiązku, zwyczaj zaniedbywania go i lekceważenia go, to jest najgorsze, bo działa wprost na charakter, bo mu się wyrobić przeszkadza, bo się w sprawach i obowiązkach późniejszego życia jako zły nałóg odzywa.

Trudniej jest stawiać żądania, lub robić wyrzuty młodzieńcowi ubogiemu, który chcąc nauki nabyć, musi na chleb codzienny w pocie czoła zarabiać. Ten, kiedy się w naukach zaniedbuje, lub opuszcza, bo musi zarabiać na życie, ma wymówkę gotową i tak dobrą, że na nią odpowiedzieć trudno. A przecie trzeba powiedzieć, że to zły zwyczaj i praktyka w godzinach lekcji robić co innego: gorzej być gdzieindziej, nieraz daleko, spędzić całe czasem półrocze w innym zajęciu i obowiązku, spuszczając się na to, że poświadczenie frekwencji i tak się dostanie, a examin i tak się jakoś przejdzie. Zapewne, jeżeli tylko o świadectwo chodzi, a nie o prawdziwe nauczenie się rzeczy. Mówi się często „poco chodzić na lekcje? są skrypty, są książki, z których zawsze do examinu przygotować się można". Gdyby examin był jedynym celem! Jest i powinien być celem, skoro on otwiera zawód, zapewnia przyszłość. Ale kto nie o tym jedynie myśli czy jaką posadę dostanie, ale i o tym, jakim na tej posadzie będzie, temu świadectwo nie wystarczy: ten musi żądać od siebie prawdziwej, gruntownej znajomości rzeczy i nauki, a tej mu ten luźny, dorywczy sposób nauki nie da. Jest mniemanie—ufam, że niesłuszne—o uboższej młodzieży naszego Uniwersytetu, że większość jej o naukę i biegłość w obranym zawodzie dba mało, a uczy się w znacznej części dla posady, dla chleba. Ten cel jest jej potrzebą i jej prawem, ale dostateczny nie jest. Bo jakim będzie urzędnikiem, czy sędzią, lekarzem czy profesorem młodzieniec, który tyle tylko umieć i pracować będzie, ile wymagają examinacyjne i służbowe przepisy, a w zawód swój wstąpi bez wysokiego pojęcia i głębokiego jego zrozumienia i zamiłowania?

A w nawiasie wtrącę i tę uwagę, że jednym jak drugim wydaje się to rzeczą naturalną i nieszkodliwą, opuszczać lekcje. Po co czas tracić mówią jedni, po co się nudzić, mówią drudzy, kiedy i tak z książek czy skryptów dowiem się tego, co on wykładał. Najprzód tak nie jest. Przypuściwszy nawet, że uczeń jest we wszystkim od profesora mądrzejszy, to w swoim przedmiocie profesor zawsze wie więcej od ucznia i ten zawsze na jego lekcji czegoś nauczyć się może. A oprócz tego jest coś ważniejszego: nasze Indexa mówią, że uczeń *rite professus est* chodzić na te wykłady, na które się zapisał, że zapisanie się jest obietnicą, a więc opuszczanie lekcji jest niedotrzymaniem obietnicy. Z tym zaś oswajać się, do tego przy-

zwyczajać się jest źle, bo człowiek każdy tyle jest wart, ile warte jego słowo, ile rzetelność i pewność jego obietnicy. Ale może to nas uniewinnia, że wszędzie robią tak samo: że w Wiedniu, w Gracu, a podobno i w sławnych Berlinach i Lipskach lekcje opuszczają się jeszcze bardziej, niż u nas. A czemu, pytam, uczniowie w Krakowie nie mają być lepsi jak w Gracu, młodzież polska lepsza od niemieckiej? co jej wzbrania, lub przeszkadza być lepszą? kiedy owszem wszystkie uczucia serca i wszystkie głosy sumienia żądają, wymagają, każą jej, żeby koniecznie lepszą być się starała. Co przeszkadza i wzbrania? Ta miękkość, to folgowanie sobie, o którym mówiłem. Przed laty, kiedy się tu widziało wielu rannych, zrobili spostrzeżenie ci co ich pielęgnowali, że w porównaniu do Warszawiaka, albo Litwina, Krakowiak jest niewytrzymały na ból, miękki. Gdyby przypomnieć sobie energję, z jaką uczeń warszawski walczy ze srogiemi przeszkodami, a wytrwale i skutecznie je zwycięża, to pokazałoby się, że i nasza natura moralna jest większa; nie u wszystkich ma się rozumieć, ale dość powszechnie, i u różnych, uboższych czy bogatszych, szlacheckich, czy miejskich, czy włościjańskich synów. W najlepszych naszych uczuciach i popędach bywa czasem ta miękkość. Ona to siedzi w nas naprzykład, kiedy mniemamy coś robić i działać, a naprawdę odrywamy się od rzeczywistego, od przeznaczonego nam i jedynie przystępnego działania, a bawimy się myśleniem o takim, którego wykonać, do którego ręki przyłożyć nie mamy sposobu, ani praktycznej możliwości. Wiem, że pod tym względem jest u nas pewien postęp; przynajmniej widzę jego pocieszające oznaki, ale niemniej dla samego utwierdzenia w dobrym, nieźle jest wskazać naturę złego i jego skutki.

Przy wielkich wrodzonych zaletach, dobroci serca, bystrości umysłu, łatwości w uczeniu się, częstej, a wysokiej zdolności nierzadkiej, naród nasz powinienby zdaje się być jednym ze świetnych i potężnych, ma wiele po temu. Czemu takim być przestał? Brak mu było za jego czasów szczęśliwszych woli, jej tęgości i stałości. Zamiary boskie są nieprzeniknione, ale czasem zsyła Bóg na narody, jak na ludzi, twarde losy na to, by je w tej szkole wyrobić. Naród rosyjski uciskom swoim za tatarskiej niewoli winien jest te przymioty cierpliwości, roztropności i spójności, w których jest jego siła i tajemnica jego powodzeń. Cokolwiek nam przeznaczono w przyszłości, to pewna, że na hartowaniu się, na gimnastycznym, że tak rzeknę, ćwiczeniu woli nigdy stracić, a zawsze tylko dobrze wyjść możemy. Do tego ćwiczenia zaś, jak do każdego, wiek młody najsposobniejszy; później moralna natura tężeje jak fizyczna i niełatwo się przełamuje, niełatwo nabywa. Dlatego tak nade-

wszystko proszę i upominam, byście ścisłym pełnieniem obowiązków wyrabiali w sobie wolę, hartowali charakter, jeżeli chcecie wyjść na hartowne i poważne, zatym na pożyteczne i chwalebne pokolenie.

Jest także mniemanie, że wasze wzajemne koleżeńskie stosunki nie są zupełnie takie, jak należy. Rzecz naturalna, że w wielkiej liczbie rówieników i towarzyszy muszą się tworzyć ściślejsze związki przyjaciół, których każdy dobiera sobie wedle pociągu swego serca i wedle wspólności wyobrażeń i upodobań. W miarę zaś, jak wzrasta ogólna liczba uczniów na Uniwersytecie muszą się mnożyć i te oddzielne, ściślejsze związki oparte na uczuciach i sympatjach. Ale nie żądając niemożliwej, jednakowej między wszystkiemi przyjaźni, można przecież zapytać, czy nieuniknione są wzajemne podejrzliwości i niechęci? Wiem, że niestety są do uniknienia trudne. Jesteście dziećmi wieku społecznych waśni i zawiści i to zatrute powietrze wciągacie w siebie z oddechem od dzieciństwa. Ale pamiętajcie, że jeżeli niema środka doraźnego i stanowczego na tę chorobę wieku, straszną dla wszystkich, a najstraszniejszą dla narodów słabych, to jest środek łagodzący i uprzedzający bardzo dobry, w was właśnie, w waszym wychowaniu, w waszym koleżeństwie. Już starożytni wiedzieli, a nasi starzy Polacy powtarzali zawsze, że to cel i pożytek niemal główny szkół publicznych, że przyszłych obywateli chowają razem, uczą żyć razem, w zbliżeniu, w znajomości, w dobrej woli wzajemnej. W młodym sercu nie powinno być miejsca zda się na złe, gorzkie uczucia, niechęci, nieufności, podejrzenia lub zawiści. I ci co zgodnie żyli, znali i cenili się, jako młodzieńcy, będą się cenić, ufać sobie, zgodnie żyć i działać, gdy dojrzeją. Jeżeli lata nauki w szkołach i w Uniwersytecie, zamiast do tego zbliżenia w dobrej woli wieść i służyć, chodują u was i rozwijają takie uczucia ujemne, to może być źle z wami i z waszą przyszłością, może być źle z nami. Ujemne, przeczące, złe namiętności rosną w stosunku swego przedmiotu, a w życiu późniejszym znajdziecie przedmioty ich większe, ważniejsze, jak dziś. Jeżeli truciźnie tej dacie przejść w swoją krew i zakażać ją, kiedy ście młodzi, trudno będziecie zdrowi i silni w wieku męskim; a wy, to przyszłe społeczeństwo; wasze moralne zdrowie, to jego zdrowie, to jego siła, to jego przyszłość i zbawienie.

Wszędzie i zawsze są bogatsi i ubożsi, szczęśliwi i mniej szczęśliwi; na te różnice za murami tego gmachu, na świecie, jedna jest rada: chrześcijańska cnota u jednych i drugich. Między wami zaś rada jest w dobrej woli, w życzliwości i uprzejmości wzajemnej. A tu znowu na bogatszych i szczęśliwszych

odpowiedzialność większa: i źle robią, bardzo źle ci z pośród nich—jeżeli są tacy—którzy te różnice położenia uczuć dają, lub je jeszcze zachowaniem swoim powiększają. Czy niedość twemu koledze ubogiemu przykrości i upośledzenia, że mu Bóg odmówił dostatku, a ojciec nie mógł go tak troskliwie chować, jak twój ciebie? czy w samym, choćby tylko lepszym, ładniejszym ubraniu, różnica nie jest dosyć i boleśnie widoczna? A jeżeli do niej dodasz obejście się sztywne i niemiłe, jeżeli trzymasz się zdaleka, milczenia pierwszy nie przerwiesz, jeżeli popisujesz się językiem, który jemu jest obcy, jak mu wszystkim tym przypominasz, że on nie taki szczęśliwy jak ty, jakie może uczucie żalu do siebie naprzód, ale i do świata, do społeczeństwa, do samego może Boga rozniecasz? Jeżeli już nie te względy przyszłości, których niedoświadczona młodość może nie znać, to samo dobre wychowanie winno cię było nauczyć, że trzeba robić inaczej, bo przecież to jedna z jego zasad kardynalnych i cech szlachetnych, jeżeli się ma cokolwiek nad drugim, nigdy mu tego nie dać uczuć. Cóż dopiero jeżeli to, co mamy lepszego, nie jest naszą zasługą. Ubożsi są w takich razach mniej winni, ale nie są i oni bez winy, jeżeli odwet biorą słowem szorstkim, posądzaniem niesłusznym, umyślnym drażnieniem przekonań i uczuć. Nie wiem, czy takie stosunki u nas zachodzą i spodziewam się że nie; ale gdyby zachodziły, byłoby źle, bo z niechęci młodych wyrasta później starszych nienawiść, a z tej często zguba rzeczy publicznej.

O uprzejmości jeszcze, o grzecznym i przyjemnym obejściu się z ludźmi chciałbym wspomnieć. Nie samej nauki ale przy niej i ogłady ma młody człowiek nabyć na Uniwersytecie, tej szlachetnej *urbanitas*, która jest cechą oświeconego człowieka i narodu. Obyczaj gruby, przeciwne zdanie, które się hukiem i wrzaskiem objawia, brak uprzejmości dla rówiennika, a uwagi na starszego, lub przełożonego, wszystko to przystoi tylko narodom grubym jeszcze z dzikości niewyszłym, lub zestarzałym i dziczejącym nanowo. Nasz przecie nie jest ani jednym, ani drugim i u nas, mniemam, takie rzeczy się nie zdarzają.

Czy będziecie Panowie do mnie mieć żal za to, com mówił? ufam, że nie; dobry zamiar wyczujecie i wyrozumiecie, otwartość obowiązkowa w moim tegorocznym stanowisku was nie urazi. Pochlebstwo przynęca, ale otwartość służy. Za dawnych czasów wszyscy moraliści uczyli wszystkich królów, żeby tych tylko mieli za przyjaciół wiernych, którzy im mówią prawdę. Dziś nie wiem, czy królowie mają jeszcze podchlebców—zapewne mieć ich muszą, bo ten ród brzydki jest i będzie zawsze—ale mają podchlebców wszyscy, ogół, ma ich i mło-

dzież. Niech więc pamięta, że to nie jej przyjaciele, że bajka o lisie i kruku jest wieczną prawdą: że lis od kruka zawsze czegoś chce, czasem serca, czasem tylko głosu, ale zawsze tylko czegoś dla siebie, zawsze, żeby kruk bezwiednie i powolnie jemu do jakiegoś celu służył.

Przeciw podchlebstwu jest broń dobra: rozsądek, który je przenika; prostota, która w nim nie smakuje. Trudniej walczyć z innym niebezpieczeństwem, z tym duchem przeczenia i nienawiści, który w naszych czasach chce opanować każdego i wszystko. Ale i na to jest rada. Jeżeli nas kuszą nienawiści społeczne, niech zwycięży pokusę miłość ojczyzny tą jedną uwagą, że nie może naprawdę kochać całości, kto nienawidzi części. Jest inne przeczenie, nienawiść jeszcze bardziej niebezpieczna, nienawiść chrześcijaństwa, nienawiść katolickiej wiary i Kościoła, coraz powszechniejsza także, coraz bezczelniej otwarta. Myli się, kto sądzi, że od tej tylko Bóg bezpośrednim działaniem może człowieka ustrzec i ochronić. Bóg oczywiście, ale przez człowieka i jego wolę. Wiara jest niezależną od nas łaską, ale jest i cnotą: a tą nie mogłaby być, gdyby nie była od naszego starania, od naszej woli zależną. Zachowa ją ten, kto naprawdę zechce; kto spotkawszy na swojej drodze wątpienie czy przeczenie, nie podda mu się potulnie i ślepo, nie uwierzy mu, że ono jest mądrością i prawdą, ale stosując do przeczenia samego tę zasadę wolnego badania, którą ono się zasłania, weźmie je na examin spokojnie, lecz ściśle; kto nie poprzestanie miękko na pozorach i powierzchni, ale przeczenie zbada odważnie i poważnie do gruntu. W naszych zaś czasach nie robi się tego prawie nigdy. Przeciw prawdom Bożym, przeciw zasadom uznawanym przez ludzkość w całym ciągu jej istnienia, protestuje się w imię badania, które się wolnym nazywa, kiedy częstokroć jest tylko swawolnym. Ale kiedy jeden umysł ludzki wystrzeli z pomysłem, lub domysłem i za prawdę go głosi, my nie mamy odwagi tego pomysłu oddać wolnemu i umiejętnemu badaniu, któreby jego błahość wykryło: w imię wolnego myślenia poddajemy się w niewolę przeczenia, które zbyt często dlatego się nam mądrym wydaje, że jest zuchwałym. A tak go wszędzie pełno, że sposób na nie znać trzeba. I trzeba pamiętać, że działania w przeczeniach i nienawiściach poczęte, choć się czasem udają, to nigdy na długo, nic trwałego zbudować, nic zabezpieczyć, nic zbawić nie są zdolne.

„Ze słabością łamać uczmy się za młodu", powiedział w wierszu, który nad wszystkie może lubicie, wielki poeta, którego śmierci rocznicę obchodziliście przed kilkoma dniami. Dobrze powiedział: „łamcie się z wszelką słabością", ale i tej nie

dajcie nad sobą wziąć góry. Pamiętajcie, że ta powolność i łatwowierność względem przeczenia jest także słabością umysłu niezdolnego do istotnego, sumiennego, wszechstronnego zbadania rzeczy, poprzestającego na pozorach: wiotkością woli, która walki podjąć i stoczyć nie śmie, albo się leni. Weźcie te słowa Mickiewicza na drogę waszego uniwersyteckiego życia i miejcie je zawsze w sercu zapisane, a w myśli przytomne. Do słów zaś wielkiego poety, dodajcie drugie słowa wielkiego króla, którego znowu śmierci trzechsetna rocznica za dni kilka przypada. „*Disce puer*"—miał mówić Batory—*faciam te Mości panie*". Te słowa, przetłómaczone na dzisiejszą polszczyznę znaczą: „ucz się chłopcze, nie na to, żebyś ty, ale żeby twój naród wyszedł na wielkiego pana".

FELICJAN FALEŃSKI.

Urodz. 1825 r. w Warszawie. Pod pseudonimem *Felicjana* lub zupełnie bezimiennie wydał: *Kwiaty i kolce* (1856), *Z ponad mogił*, *Odgłosy z gór*, *Świstki Sylena*, *Meandry*, *Pieśni spóźnione*, *Utwory dramatyczne* (1896—98), *Utwory powieściowe* (1884) i szereg wybornych *Przekładów* z poetów obcych.

Monografji należytej dotąd niema. Obszerniej: P. Chmielowski w dziele *Poeci polscy* i *Nasza literatura dramatyczna*.

Z dramatu „Althea"

CHÓR.

(*Hymn na cześć Artemidy (Dyany).*

Strofa.

Szumiącej puszczy królowo!
Która w spełnione wodospadów szmaty
Nurzasz, o krawędź ostrząc granitową,
Twój grot skrzydlaty!
Okrucieństw groza twarda
I niebezpieczeństw wzgarda
W twym wzroku tkwi.

W twe zimne serce nigdy jeszcze
Litości nie zbłądziły dreszcze
Blada, w źrenicach mając ostrz tysiące,
Pierś w puklerz wzdęty, nozdrza wiecznie drżące,
W łuk zgięte ciemne brwi;
W słońce czy w północ, jawnie czy skrycie,
Byleś w proch wolne wdeptała życie,
Ty się w kurzącej kochasz chętnie krwi!
Ciebie się jednej obawia:

Antystrofa.

Niedźwiedź sapiący poprzez łomów zgrzyty,
Wilk na zbójeckie wylany bezprawia,
Ryś w gąszczach skryty
Tobie w poranek mglisty
Wiatr jesiennemi świsty
Pobudkę dmie.

Za tobą w ślad, przez czarne knieje,
Zapadła puszcza, grozą zieje.
Ciebie, otchłani gardziel nienasyta
Potoki żłopiąc, grzmiącą pieśnią wita,
W czaharów chmurnej ćmie—
A ty, z światłością nocną u czoła.
Wiatr wyprzedzając, skracasz wesoła,
Sobie zabawy—drugim, życia dnie.

Epoda.

Z twej woli, mściwa bogini!
Odyńca wściekłym kłem jesteśmy tknięci,
Który mdłym cieniom z nas ofiary czyni,
Bez naszej chęci!
Grot się nam stał już tępy,
Szyjąc twych puszcz ostępy
I wzdłuż i wszerz!
Myśmy twych zabawy słudzy prawi—
Czemuż nas ślepa przemoc dławi?
Twym opuszczeniem, dziwnie zewsząd srogiem,
Czemu, zawzięcie będąc z naszym wrogiem,
Zgubić nas nędzny chcesz?
Niechże choć, miarą słuszności prawa,
Rozum nad zwierzem górę nam dawa—
Gdy nas stworzono słabszych niźli zwierz...

ALTHEA.

(wychodząc z królewskiego dworca).

Precz stąd nędzni! Czyż widziano kiedy,
By, pokorą, sam wdeptywał w ziemię
Cześć swą, twardy Kalidonu lud?

CHÓR.

Zgnębieni, cóż poczniemy? Daj nam rady słowo.

ALTHEA.

Pięść grożąca, ząb, co wściekle zgrzyta,
W oczach przekleństw błysk, milczenie wzgardy—
Oto godny człeka bój śmiertelny,
Z bogów złych, przemocą nieśmiertelną!

CHÓR.

My za jednego wszyscy cierpimy, królowo.

ALTHEA.

Bo on jeden za was wszystkich stanie—
Syn mej chwały! Któż nad Meleagra?
Czyż mu wczas, lub miękka litość znana?
Czyż mu znany głód, czy chłód, czy znój?
Od Kerannii, aż po grzbiet Tajgetu
Czarne puszcze zbiegł on wzdłuż i wszerz,
Pelargickie z grubych brył warownie
Stopą deptał—przed nim w puch pierzchała
W głębie jaskiń swych Molosów dzicz.
Lokry płoszył, żołędziami karmne,
Dory twarde, których pastwą bywa
Ptak drapieżny z pierzem, z krwią i z kośćmi.
Gdy od Pindu pędził z mroźnym wichrem,
Śnieżne sople mając w czarnych włosach,
Z przerażenia wstrząsł się dąb w Dodonie,
Wieszczkę szumiąc, której on nie słuchał...
Łowom jego równo człek, czy zwierz...
Niedźwiedź mrucząc, przed nim w gąszcz się cofa,
Żubr chrapliwie ślady jego wietrzy,
Wilk pod księżyc wyje tęskną skargę,
Jeleń mniema, że mu się na skroniach
Las rozrasta i drętwieje z trwogi.
Alcjonowy odmęt, w kruchej łodzi
Spruł zuchwały, by w Arkadji pięknej,
Z amazonki zwiódłszy bój zajadły,

Atalantę porwać im królowę...
I to taki, w chwały swej pochodzie
Trudność miałby znajść?—i to takiego
Miałby wstrzymać jeden nędzny dzik?—

CHÓR.

Bogini tym odyńcem wyzywa zuchwalce!

ALTHEA.

Ten, kto człeka zwyczajnego przerósł,
W bój nadludzki właśnie wstąpić godzien:
Bo mu trzeba, by się stał pół bogiem!

CHÓR.

Wyzywać bogi łatwiej, niż im dotrwać w walce!

ALTHEA.

O mym synu mówić— że to śmiecie?

CHÓR.

Tak jest.— Czemuż nie wraca?

ALTHEA.

Wróci.

CHÓR.

A jak zginął?

ALTHEA.

Zginął? Karły bezrozumne!
Wam—że mierzyć własnych sił małością
Posągowe bohaterów plemię?
Gdyby nawet Zeusa grom niezłomny
W Meleagra godzić śmiał— w powietrzu
Słowem jednym wstrzymam go i zdrętwię.
Gdyba Parka w nożyc swych konieczność
Już—już brała jego życia nić—
Dość mi jednym wstrzymać ją skinieniem,
Bowiem wiedzcie: że nad mgły Hadesu,
Nad niezwrotne Wiecznych zrządzeń drogi,
Wola moja prawem jest jedynym.
Tak—dopóki zechcę—chcieć zaś umiem—
Meleager nieśmiertelnym będzie!
Nawet gdyby sam chciał umrzeć—ani
Myśleć o tym wolno mu bezemnie!

Bom ja matka, jak nie było drugiej —
Której miłość nieśmiertelność dawa.
Bom kobieta, jakiej świat nie widział —
Której dość jest chcieć, by zadać śmierć!
Miłość moja ni słabości nie ma,
Ni obawy,—niepewnością nie drży,
Możebnością żadną się nie łudzi.
Siła moja w mej nadludzkiej dumie—
Pewność jest jej dźwignią i potęgą!
Jam nad bogi wyższa, nad karzące,
Od nich trwalsza, od nich bezkarniejsza—
Bowiem kara moja—tylko we mnie!
Wyższam nad nich śmiertelności wstrętem,
Silna dobrych środków mych przewagą,
W chwili każdej chętnym ich użyciem...
Bom ni bóstw tych samowola płocha,
Ni przeznaczeń ślepe w przestrzeń rządy,
Tylko ludzka wola... która kocha,
Zna swą wagę i wie, czego chce!

CHÓR.

Biada!
W twych słowach nieopatrznych śmierć nam grozi blada!
Skąd, królowo, bluźnierczej w tobie pychy tyle?

ALTHEA.

Posłuchajcie. Siódmy dzień już trwało
Meleagra życie, gdy wpatrzona
W trzaskającą wśród ogniska żagiew,
O przyszłości jego dumam sama.
Wtym w komnatę chmurne Parki weszły;
I gdy w trwodze, ku dziesięciu memu
Poskoczywszy, cała drżąca stoję—
Kloto rzekła:—Patrz! w tej skrzącej głowni
Życie twego jedynaka płonie—
W miarę, jak ją trawi ognia żądza,
Z sił żywotnych wytli się on zwolna
Aż bez cierpień w twych objęciach skona...
Jeszcze brzmią jej słowa, gdym już w dłoni
Żar zabójczy zgniotła—dziecku memu
Po raz drugi dając życie. Wtedy
Wyszła zwolna Kloto zamyślona,
Z nią Lachezys uśmiechnięta gorzko,
I Atropos, wściekle zgrzytająca.—
Tak więc—oto czemu—zdeptać mogę

Niezwrotnego Przeznaczenia władzę—
Ponad Bogi—ponad Parki nawet
Stawiam dumna mojej woli siłę!

CHÓR.

Bogowie! myśmy drżący—myśmy czołem w pyle.
Litości! Gdzież się skryje nędzny lud, jeżeli
Winni być mamy tego, cośmy usłyszeli?

EMPUZA.

(występując z chóru).

Bohaterów plemię! Kalidonu Pani!
Możnaś ty królowa, silna matka—przecież
W tobie się kobiety prędzej, później strzeż!

ALTHEA.

Dziewczę wieszcze—co ty mówisz?—co?

EMPUZA.

Któryż z bogów chętnie z władzy swej się wyzuł,
Lub z rąk wytrąconą wziąć bezkarnie dał?
W ich jest ręku grom—są zazdrosne, mściwe—
Wolno ich nie kochać—lecz się bać ich trzeba!

ALTHEA.

Ten ich kocha—komu są potrzebne—
Ten się boi komu groźni są,
Jam jest w sobie własną mą potrzebą.
Jam jak oni, także z sobą sama!

EMPUZA.

Więc się samej siebie bój! Prometej grzmiący
Gdyby się odwagi własnej swej był uląkł,
Czyżby wnętrze jego dziś mu szarpał sęp?

ALTHEA.

Macierzyńskie wnętrze sercem jest

EMPUZA.

O słabości człeka! Serce mówisz? serce?
Czy odrasta ono? czy odrasta ono,
Jeśli ją zazdrości sępa szarpią szpony?

ALTHEA.

Szydzisz sobie! Skąd ci to zuchwalstwo?

EMPUZA.

Serce kochające wyłącznością żyje—
Nic z swego oddać nie chce lub nie umie,

ALTHEA.

Dobrowolnie któżby śmierci pragnął?

EMPUZA.

Serce samolubne, jak te bogi, które
Ty w pogardzie masz—jest zawzięte, mściwe!
Czyż ty wiedzieć możesz, jak jest wielki
W matki wnętrzu przebaczenia skar?
Choć—pewniejsza rzecz zmuszonym nie być
Nigdy czerpać w skarbie tym...—Złowrogie
Dziewczę! z słowy twemi precz ode mnie!
Wątpliwości wzburzasz we mnie jady,
Krewkość moją kusisz... Precz ode mnie!
Ludzkich we mnie precz podejrzeń słabość—
Póki pewność moc mi boską daje
W Meleagrze jam troskliwym trudem
Własnej myśli wytworzyła świat—
Braci moich, którzy z nim w tej chwili
Jak i zawsze będą, są i byli,
Braci krwi mej ku pomocy mając
W Kalidonie wychowany wilczym,
Łowiec dziki serce ma z krzemienia—
Tylko zimne woli mej żelazo
Iskry uczuć krzesać w nim podoła.
Gdy zapragnę by mi godne siebie
Wnuki spłodził—tutaj, nie gdzieindziej,
Tę wybierze, którą ja mu dam!

EMPUZA.

A jak już skądinąd sam on przywiódł taką,
Która w bój o niego z tobą wstąpić zechce?

ALTHEA.

Atalanta!... Milczysz?... Więc to o niej
Mówić chciałaś. Rzecz to śmiechu godna!
Amazonka—która dłonią własną
Nożem sobie pierś wypruła krągłą,
By jej snadniej było prężyć łuk!
Która, gdyby mogła—z tejże piersi
Wrazby serce sobie wyłupała,
By jej snadniej było nic nie kochać!

Atalanta—dumna wprzód królowa—
Dziś kamienną pięścią w ziemię wbita,
Wstydu twarde w ustach swych wędzidło
Zgrzytającym zębem żuć zmuszona!

EMPUZA.

Pamiętając wszystko—nienawidząc—gardząc—
Sama jednak może pokochaną być.

ALTHEA.

Bluźnisz własnych twych przekonań wierze!
Co? co? Między matką i kochanką,
Która, biorąc wszystko, nic od siebie
W zamian nie da—między taką mówisz—
Między taką—i pomiędzy matką
Nie jak drugie, ale jak ja jedna,
Która własnych mych wnętrzności życie
Raz mu dawszy, z każdym oka mgnieniem
Wciąż nanowo życie mu to dawam—
Onby miał się wahać choć chwilę?
Precz! Szaleństwo w twych się usta pieni!

EMPUZA.

A jak on to życie niezupełnie swoje
Które niegdyś boleść, dziś cię zaś kosztuje
Bogów poniewierkę, marnie siebie ceniąc,
Zechce jej pod stopy rzucić niewolnicze?

ALTHEA.

On! tak dumny! kłamiesz! Tym sposobem
Dwa on życia dałby! Gdyż przysięgam:
Wprzód zabiję go i sama umrę!

EMPUZA.

Nieśmiertelność w śmierci syna twego gwałcąc,
Czyś jest pewna własnej śmiertelności prawa?

ALTHEA.

Milcz, szalona! Dość mi na to: znagła
Mej boskości zrzekszy się, człowieczym
Niedołęstwem obezwładnić dłoń,
W której, równym doczesności prawem,
Dzierżę wolna bytu mego kruchość,
Jak i syna trwałość wiekuistą...

EMPUZA.

Trwałość Meleagra? Ty — w twej dłoni? Jakżeś
Jest zarozumiała. Pierwszy lepszy złodziej,
Któryby, skuszony owej skrzynki złotem,
Kędy niedolotną głownię kryjesz drżąca,
Wykradł ją ze skarbca twego wraz z twą władzą
Równym tobie byłby syna twego panem!

ALTHEA.

Nóż mi w serce wbijasz, dziewczę głupie...
Strzec jej! złodziej, mówisz?—O przeklęta!
Świętokradztwo!... W oczach mi się mroczy...
Tej nędznicy strzec jak oka w głowie,
Aż nie wrócę. Gdyby zbiec zdołała,
Wraz z nią tysiąc zasłużycie śmierci..,
Złodziej! Życia mego skarb! Ratujcie!

(*wbiega do dworca*).

CHÓR.

O szalona dziewico! Czyż ci się nie zdawa,
Że słowy twemi gwałcisz gościnności prawa?

EMPUZA.

Słowy prawdy gorzkiej! Tak — przeklęty dzień,
W którym bogów złość, obcą woli mej
Mowę w usta mi włożyła, bezlitośnie
W mózg mój chory myśl nie moją mi wtłaczając!

CHÓR.

Nie znamy, skąd się wzięłaś i nie wiemy sami,
Co nam sądzić o tobie; odkąd jesteś z nami,
Tajemnicza, smutna, trwożna — któż wypowie,
W jak srogiej grozie gniewni dzierżą nas bogowie!
Z wiatry złemi, na wzdętym grzmiących klęsk zalewie
Przybyłaś do nas — po co? kiedy? jak? nikt nie wie
Zwątpienie z tobą gości, śmierć od ciebie wieje,
Drętwisz spokój, pogodę, uśmiech i nadzieje.
Bezprzytomna, nieznane, gdy cię dręczą dreszcze,
Sinemi usty w przestrzeń słowa szepczesz wieszcze...
Zdają się władać tobą podziemni bogowie—
Zdajesz się być z Otchłanią Cieniów bladych w zmowie—
Jeśliś pastwą czy sługą ich ciemnego dzieła,
Idź od nas—i twe pomsty obyś z sobą wzięła!

EMPUZA.

Tak — odejdę precz. Lecz się spełni wprzód
Bezlitośne prawo zdrad i krzywd i skarg —
Aż w rozdartą pierś bluźnierczemi usty
Próżno będzie rozpacz wzywać gromu z chmur!...
Skąd przychodzę—wiedzieć chcesz? skąd mój ród?
Pindu wał ochronny mglisto nas odgradza
Od tych stron, gdziem pierwszy dnia ujrzała brzask.
Tam, w przystępie pychy, czerń Gigantów niegdyś
Chcąc niebieskich stropów świętokradczo sięgnąć,
Peljon wiecznym śniegiem siwy, na szumiący
Osy leśnej trzykroć wydźwignęła grzbiet,
Jednym Zeus potężny pięty swej kopnięciem
Z gór tych tym zuchwalcom ciężki zdziałał grób—
Owszem — po ich członkach sunąc je drgających,
Przepaść między dwiema lądy temi wgłębił,
Na którą gdy Pencja wpłynął święty zdrój,
Tempe się urocza uśmiechnęła światu,
Niby z groźnej burzy słodkie dnia zwycięstwo...
O dolino Boska! o ty ziemskie niebo!
Któż pogodę, ciszę twą, i któż wypowie
Spokój twój słoneczny? Ach! nie mnie to nędznej
Gościć wśród twych wdzięcznych smugów, łąk i gajów...

CHÓR.

Mów dalej. Zbrodniaż jaka, myśl, czy chęć zuchwała
W szerokie świata szlaki stamtąd cię wygnała?

EMPUZA.

Zbrodnia? nie — jam czystać. Myśl? — o któż mi kiedy
Przy mnie ją przytrzyma — lub, choć opamięta?
Chęć? — O gdybym własną wolę choć na chwilę
Mogła mieć! — lecz próżno! Równie dniem jak nocą
Wypoczynku nie mam. Od bladego rana
Nigdy niestrudzoną siłą wskroś targana,
Miotam się bezwiednie jak pajęcza przędza,
Którą tchem szalonym wiatr niemiłosierny
Poniewiera niosąc, i przez głóg i ciernie
Zdarte w szmaty drżące, dalej gdzieś przepędza...

CHÓR.

Biedna! zataczasz w koło błędnemi oczyma—
Duch cię jakiś złośliwy w twardej władzy trzyma—
Tchu pragniesz—broczy piana brzeg twej wargi sinej—
Skąd ci niepokój taki—jeśliś jest bez winy?

EMPUZA.

Trzebaż winy na to? ślepych losów ślepe
Niewolniki! Wamże badać konieczności
Jarzmo, wgniatające w ziemię krnąbrny kark?
Wamże to na dłoniach i u nóg łańcuchy
Moje opatrywać krwią opływające?...
Jednak wyjdź z mych bladłych ust, męczarni słowo—
Jednak bądź koniecznie, co nie może nie być...—
Bo gdy mię badacie, czyż wy wiecie sami:
Ile wstręt wasz zbawczym dręczy was przeczuciem—
Ile mi rozkazem jest wasz trwożny sąd?...
Bo gdy mię badacie, choć zataić prawdę
Jak ją wyznać, równą dla mnie jest katuszą—
Milczeć pragnie wola, usta mówić muszą...—
Ktom jest? wiedzieć chcecie? ktom jest?—zaraz — gdyby
Zwłoki jeszcze choćby chwilkę—ktom jest?... Oto—
Równie drugim wstrętna, jak i samej sobie,
Jam dziedzictwem tęsknym w wieczny czas przeklęta
Istność wśród bezdroży głuchych!... O rozpaczy!
Nigdy żoną nie móc, matką być, kochanką—
O nic nie dbać—wszystko wiedzieć—wszystko znać—
Czytać równie w blaskach słońca przeraźliwych,
Jak w drętwiących dreszczem czarnych snu otchłaniach
Opadnięty z szat widzieć wszędzie świat—
W nic ufania nie mieć... Ale nadewszystko—

CHÓR.

Gdy miłości wyroki wzbroniły ci gniewne,
Tedy choć nienawidzieć wolno ci zapewne?

EMPUZA.

Nie—nie—nic mi nie jest wolno! O! i gdyby
Nienawidzieć chociaż! Ale nie—napróżno!
Utworzona jak być może najwyrodniej,
Tej szlachetnej nawet jam niezdolna zbrodni!
Głaz obojętności nosząc w głębi łona,
Nawet z pomsty pociech jam wydziedziczona!...

CHÓR.

Precz od nas! Dreszczem śmierci ziębisz nas do kości!
Grób ty jesteś zapadły—próżen dnia światłości—
Twardy—na łkania głuchy—oby też i niemy!...
Bowiem, co cię nas dręczyć skłania? czyż zgadniemy?

EMPUZA.

A więc posłuchajcie — wzgardą i przekleństwy
Płacąc mi, gdy chcecie — albo zbawczym wstrętem,
Póki wam jest wolno — lub litości wsparciem,
Póki stać was na to — wszystko mi to jedno.
Jak złowieszczy kruk, w dali coraz bledszej
Bystrym patrzy wzrokiem w trupa szklane oczy,
Jako wilk złowrogi, który węchem wietrzy,
Kędy skrzepła krew ciche smugi broczy,
Jak przeczucia pewność, której nic nie mami,
Tak jam jest przed wami, z wami i za wami!

CHÓR.

Co to jest? Nieszczęśliwa! coś ty powiedziała?
Oczy twe w słup — w źrenicach błysk ci groźny pała —
Z twarzy twej krew uciekła — brak tchu pierś twą gnębi —
Cóż ty strasznego czytasz w niezbadanej głębi.
Włosy ci wstają dębem jak Erynnij żmije...
Meleager nasz! Bogi srogie... on nie żyje!

EMPUZA.

Nie — Nie — jeszcze — jeszcze — Głos mi w krtani więźnie...
Meleager...
Czyliż nie widzicie, że królowa
Braci własnych, na śmierć wyprawiła pewną,
Byle on ocalał?...

CHÓR.

Mniejsza o nich. Nie mają w żyłach krwi Ojneja!

EMPUZA.

Krwi — krwi — precz oprawcy!

CHÓR.

W Meleagrze nam jednym troska i nadzieja!

EMPUZA.

Kalidońce twarde!
Drżyjcież śmierci troską o nadziei byt!...

CHÓR.

Co ty mówisz?

EMPUZA.

Dwie go razem kochać ani chcą, ni mogą —
I dla dwu współcześnie on nie może żyć

Dwie te wyłączności
To jak stal i krzemień, z których tarcia tryśnie
Iskra, która wprędce spełni żertwę srogą...

CHÓR.

O Bogi! czyż wy to słyszycie?

EMPUZA.

Jedna mu wraz z sercem życie z piersi bierze,
Chociaż o tym nie wie... Druga w płochej wierze
Siebie w nim zabije—chociaż o tym nie wie...
Atalanta!
Nie—nie—to Althea!

CHÓR.

Podtrzymajcie ją. Przebóg!—zda się życie
Uciekać z niej. Doprawdy—ten jej krzyk złowrogi
Z rdzeni duszy wyjść musiał. O! dniu pełen trwogi—
Już zapadasz niezwrotnie w mgliste gdzieś obszary
Szczęśliwych może krain—a ten zmrok twój szary
Tak nas groźnie ogarnia, że wśród sennych cieni
Milczeniem porażeni, dreszczem wskroś dręczeni,
Podczas gdy resztką słońca płoną gór krawędzie,
A z nami noc—pytamy, patrząc w dal: co będzie?—

(*Wraca Althea ze skrzynką*)

ALTHEA.

Precz przeklęta i twój razem z tobą
Niepokoju zaraźliwy trąd!
Dalej! precz z nią!—

CHÓR.

Nie trwóż jej. Czyż nie widzisz—obca sobie samej,
Sama sobą nie władnie. Zostaw ją - błagamy.
Tylko co groźnych przeczuć wygłosiła słowo,
W których przeznaczeń głucho warczy grom!—Królowo,
Patrz - na niebie bogini leśnej brzask już świta—
Cześć jej daj. Ponad nami wisi pomsta skryta...
Tyś od nas bogów bliższa, bohaterów córo,
Spraw twą wolą: niech groźny cios przeleci górą...
Często bywa, że gdy się wielki upokorzy,
Wielkość małych oszczędzi twardy wyrok boży...
Myśmy z tobą—lecz nawet, gdy zostaniem sami,
Nie bądź przeciwko sobie, gdy być nie chcesz z nami!

ALTHEA.

Gdy chcesz, módl się sobie,
Tłumie ciemny! Ja—z mym skarbem – o nic
Mogę nie dbać dumna i gardząca.
Czym błagała, by mi moc mą dano?
Nie—konieczność mieć tak chciała—która
Groźnym bogom twardym jest wędzidłem...
Wy się sobie módlcie, kiedy chcecie...
Co? mówicie: cios? mówicie: groźba?
Jak i kiedy? Skąd i prawem jakim?
O przeklęte dziewczę opętane!
Niespodzianie? powiadacie. Tamta
Serce jego nędznie wziąć mi śmiała?
Nie—to ona mówi tak—ta wiedźma!
Ducha mego twardych cnót żelazo
Nadjadając zwątpiałości rdzą...—
O przepadnij! i niech dziwną trwogę,
Której pojąć ani chcę, i mogę,
Z gorzką śliną w zbladłą twarz twą splunę!
Precz! przekleństwo!... Nie—nie—jam spokojna,
Pewna siebie... Wy się sobie módlcie...

CHÓR.

Odeszła i na ręce wsparszy chmurne lica,
Dumna, niby zaklęta w kamień nawałnica.
Bogowie! jeśli w dąb ten otchłań grom wyzionie,
On wam do nóg złamany runie—lecz w koronie!

Jako król Henricus jeszcze chyżej bieżał precz z Polski niżli do niej był jachał (1574).

Nie stało Polsce Piasta ni Jagiełła:
Opatrzność dała, tać i Ona wzięła.
Naród chce sobie swego; lecz panowie,

Tedy z zamorza, czarci wiedzą po co,
W pudełku śklanym, co je zwą karocą,
Wiodą paniątko. Istna łątka z wosku!
Cienki, opięty, kusy po czartowsku,
Pachniący mydłem, aż w nos człeku bije;
Kolczyki w uszach, kołnierzyk u szyje,
Rączka do haftu, twarzyczka różowa:
— Tfu! do pioruna!—czy zaś białogłowa

Na Króla Polsce?...
Spowity był cały
W futra, i jeszcze zęby mu szczękały,
Bo mu gadali jego poufnicy,
Że w Polsce naszej od samej granicy
Mróz trzaskający skrzypi wiekuiście;
Kiedy zaś spostrzegł, że na drzewach liście,
Na ziemi trawa, myślał sobie pono:
Że to na jego przyjazd ulepiono:
Bo wszystko macał, chcąc też dojść, nieboże,
Z czego rzecz każda zrobiona być może?

Lecz osobliwie podziw jego wzrasta,
Skoro obaczył domy, wsie i miasta;
Bo mu gadali mędrkowie ci sami,
Że więc Polacy za pan brat z wilkami.

Było też widzieć papinkarze owe!
Każdy z nich nosił w kołnierzyku głowę,
A zaś różenek mały przy kieszeni;
A wszyscy byli tacy oblepieni,
Że wyglądali, jak gdyby nie mieli
W co się przyodziać, lub jak człek z kąpieli.

Taką to drużbę pan przy sobie chowa:
Paplając, myśląc, że to jaka mowa;
A on gładyszek wśród nich z nosem w górze,
A płaszczyk na nim jak skrzydełka kurze,
A jak zaś chodzi, to się zda podryga,
To znów się wierci niby jaka fryga...

O, miły Boże! więc że nam wypadło
Mieć to miodowe królem czupiradło,
Iż się zachciało panom tego licha?
Na sam bigosu zapach, kaszle, kicha;
Barszcz w gardło drapie, w ząb go kłuje kasza;
Zrazów się sroma, węgrzyna przestrasza,
I jeno swoje cukrowane cmoka
Winka, pytlując językiem jak sroka,
Gdy szlacheckiemi tymczasem imiony
Krztusi się mydłek, jakby zdławiony...

Mieliż co zwozić panowie zwaśnieni!
Co tu z rożenkiem? chyba do pieczeni.
Co można robić z rękami, jeżeli
Niema człek pasa, ani karabeli?

A nadewszystko, co nam z takiej głowy,
Od której tylko zapach olejkowy?
Co Polsce z serca, które zamiast zbroi,
Niewieści rąbek i aksamit stroi?
Więc też na sejmie, w onym krześle chwały,
Gdzie same dotąd męże zasiadały,
On smyk wyglądał jakby chłopię płoche.

By sobie jakoś nadać wagi trochę,
Chciał się rozwalić i wyciągnąć nogi;
Ale gdy spojrzał, strach go przejął srogi
Tylu postaci, tak coś pełnych ducha,
Że im bezkarnie w kaszę nikt nie dmucha,
I też nie jednej porąbanej twarzy,
Której błysk oka dziwnie się kojarzy
Z szablicy błyskiem, a ta kiedy brzęka,
Mniej nieco śmieszna od jego rożenka.

Więc zaraz odtąd nosem kręcić zacznie,
I z Niemcy swemi bredzić coś cudacznie.

Cóż, gdy mu przyszło (jak mu słusznie każem)
Z panienką naszą stanąć przed ołtarzem,
To zamiast Bogu dziękować w pokorze,
Że się z królewską krwią połączyć może,
Ten skądiść lichy zamorski szlachetka
Pocznie wybredzać i natrącać zlekka:
— A to że brzydka, a to znowu stara,
A to metresy trzymać przy niej wara...

A idźże sobie błaźnie ty na cztery
Wiatry, jeżeli chcesz by człek był szczery!
Toż ty krew, co jest Polskiej ziemi chwałą,
Masz sobie za nic, lub za bardzo mało?
Niedoczekanie twoje wiercipięto,
Byś miał za żonę tę panienkę świętą,
Co ją swą Panią zowie Polska cała;
Co nas tak kocha, że nigdy nie chciała
Iść za mąż z kraju, chcąc być zawsze z nami.

Więc widząc chłystek, że nas nie omami
Swym trefnisiostwem, ani złapie w sidła,
Niewartym swoim parlefranse z mydła,
A nadewszystko, że mu niespodzianie
Taką Zborowski kością w gardle stanie,
Iż Wapowskiego mając rzec nazwisko,
Od zachłyśnięcia był już czkawki blizko;

Pocznie układać z swojemi panięty,
Że może lepiej, za pas wziąwszy pięty,
Kopnąć się nazad skąd się przyjechało,
Niźli się guzom nadstawiać zbyt śmiało.

Zatym, cichaczem zabrawszy manatki,
Czarcim sposobem, on paniczyk gładki,
W tej samej, w której przyjechał karocy,
Do Farmazonji prysnął o północy.

Cóż tedy? Za nim gonią panów zgraje,
A naród krzyżyk na drogę mu daje.

Z ksiąg przypowieści.

Synu mój—strzeż mego słowa!
Niech ono, jak rzecz nie tania,
Wciąż się w zanadrzu twym chowa.

Synu mój—strzeż Przykazania
Jako źrenicy! bo czyje
Oko jest ciemne—śmierć wchłania.

Niech ci pierścieniem obwije
Palec serdeczny, a zbroję
Zrób sobie z niego pod szyje.

Mądrości mów:—Tyś jest moje
Kochanie ślubne—i przy niej
Stój z przezornością we dwoje.

By cię od obcej zdrajczyni
Strzegły, co czci cudzej rada,
Słodkiemi słowa swe czyni.

Bo raz, ku ścianom sąsiada
Z za krat mych pojrzę—a oto
Niemądry człek się tam skrada.

Chyłkiem, gdzie bluszcze oplotą
Jej dom, on krocząc, się chowa
W zmierzch szary, ciemną robotą.

Ku niemu wnet białogłowa
W szetecznym pomknie ubiorze,
Złowić mu duszę gotowa.

Błędna i która nie może
Doma się ostać, lecz bywa
U węgła, we drzwiach, na dworze—

By głupich w grzechu ogniwa
Sidłając, brać mogła sobie
Niewstydna i świegotliwa.

Więc w ręce ujmie go obie,
U ust zawiśnie mu cała,
I rzeknie w chytrym sposobie:

—„Ku tobie dusza mi pała
Więc chodź—jak swego cię biorę
Gdym cię wyszedłszy potkała.

Wzmocniłam już na tę porę
Łoże, a z wierzchum nakryła
Kobierce przeróżnowzore.

Mirrhy i nardu tam siła
Pachnie z tej miękkiej pościeli
I cynamonu woń miła.

Chodź—bądźmy sobie weseli,
I wspólne miejmy wezgłowie—
Aż nas brzask zorzy rozdzieli.

Mój mąż się o tym nie dowie—
Pojechał w drogę daleką—
Wróci w miesięczne aż nowie."—

Tak z ust jej, by miód, by mleko,
Przeróżnych pieszczot osłodą
Zdradliwe namowy cieką.

Jak wół, na rzeź gdy go wiodą,
Jak tryk co smaczna mu trawa,
Szedł za zwodnicą tą młodą.

Nie wiedząc, że śmierć bladawa,
Za powróz głupstwa u szyje
Ciągnąc, na zgubę go dawa!

Aż mu wątrobę przebije
Grot struty, wtedy się dowie:
W ślady wstępował on czyje?

Że, jako ptak ślepej sobie
Rówien, sam śpieszył do matni,
Dążąc na cudze wezgłowie.

Synu! Głos tobie ślę bratni!
Słów moich pilen bądź proszę—
I w nich uporem się zatnij!

Mierz sobie dróg jej rozkosze,
Kręte jak smug zdradnej fali,
I jak pieszczenia macosze...

Zgubieni przez nią bywali
Różni—nie jeden się dla niej
Ciężko zraniony powali.

Od niej też pozabijani
Są nawet silni mocarze!
Dom jej—to szlak do otchłani,

Co wprost ku śmierci iść każe!—

ADAM ASNYK.

Urodz. 1838 r. w Kaliszu, w r. 1863 należał do Rządu narodowego, w r. 1866 ukończył studja społeczne w Heidelbergu. Umarł w r. 1897 w Krakowie, gdzie spędził ostatnie ćwierć wieku, biorąc też udział w życiu publicznym, jako poseł sejmowy, redaktor postępowo-demokratycznego dziennika i pierwszy prezes Tow. Szkoły Ludowej.

Poezje od r. 1864 pod pseudonimem *El..y*; zbiorowe wydanie w 4 tomach w Krakowie, prócz tego szereg utworów dramatycznych *(Cola Rienzi*, *Żyd*, *Kiejstut*, *Bracia Lerche*) bez właściwego uczucia tragicznego; lepsze już lekkie komedje: *Gałązka heljotropu*, *Komedja konkursowa*.

Jeden z największych liryków polskich, bogata, szlachetna i prawdziwie poetycka natura, zasługuje na poważne studja i daje głębokie zadowolenie estetyczne.

Henryk Galle: Adam Asnyk, szkic literacki. *J. D.* Słowo o Adamie Asnyku. Odczyt niewygłoszony (1906).

Juljan Apostata.

Na czele bitnych rzymskich legjonów
Spaliwszy na Tygrze floty,
Gdzie przed wiekami wódz Macedonów
Rozbijał swoje namioty,
Stanął zazdrosny jego podboju
Świeżą okryty purpurą
Cezar, co wedle sługi pokoju
Na słońcu prawdy był chmurą *)
Pieszcząc w swym sercu przeszłości marę
Chrystusa sieciom niechętny
Zamierza wskrzesić imperjum stare
I Olimp bogów ponętny.
Jedzie i marzy o swoim wrogu
Co berło świata wydziera
O tym nieznanym i cichym Bogu
Co gdzieś na krzyżu umiera.
— Duszę mam – mówi — blasków słonecznych
Pełną i niemi obrzucę
Ludzkość spragnioną jutrzenek mlecznych,
I dawną pogodę wrócę.
Przezemnie błyśnie dawna potęga
Obrządku, co światem władnie
A nowa wiara, co Rzym rozprzęga
Pod stopą moją upadnie.
Nie w ciemnym, na wpół dzikim marzeniu
Leży zbawienie dla świata
Lecz w tym Heliosa jasnym promieniu
Dojrzewa przyszłość bogata.
Mądrość, na którą wieki się całe
Składały w ciężkiej kolei:
Mamyż wymienić za to niestałe
Zaziemskich widmo nadziei?
I barbarzyńską targnąć się ręką
Na święte przodków spuścizny?
Za galilejską biegnąc jutrzenką
Odstąpić wrogom ojczyzny?
O nie, mój mistrzu, co wzrok odrywasz
Od ziemi, gdzie życia cele,
I myślą w sennym niebie spoczywasz
Ziemią się z tobą nie dzielę;

*) Tak panowanie Juljana nazywał Atanazy, biskup Aleksandryjski.

Lecz ją sam ujmę w żelazne dłonie
Promienną przeszłość odtworzę
A na zwycięskim wejdzie zagonie
Słońce, co zgasnąć nie może.
Tak dumał Juljan patrząc się w gwiazdy
I szukał swojej w niebiosach,
Aż wtym z pod ziemi perskie podjazdy
Przyszły rozstrzygać o losach.
Wzięły zwycięstwo bitne legjony,
Pierzchają hordy przed niemi
Ale wódz strzałą perską raniony
Chyli się z konia ku ziemi.
I laur ostatni rwąc na tej niwie
Obficie krwią swą go zmywa,
Spojrzał się w górę dumnie, wzgardliwie,
I sny wzgardzone przeżywa.
Potym zgarniając w dłonie już drżące
Strumień krwawego koralu
Cisnął nim w niebo jasne, milczące
Z wymówką skargi i żalu.
I zionąc duszę w namiętnym krzyku,
Słabnący rzekł Apostata:
— Dziś zwyciężyłeś Galilejczyku!
Lecz jutro!... gdzie jutro świata?
Cóż? że my padniem przy tych bożyszczach
Tchnących wdziękami młodości
Cóż? że na naszej potęgi zgliszczach
Ponury krzyż się rozgości,
Że ten świat grecki w mgły się rozwieje
Z harmonją tęczowych mytów
Że w miejsce niego niebo zadnieje
Męczeńskich pełne zachwytów.
Czy krzyż otworzy swoje ramiona
Tułaczej narodów rzeszy?
Czy w cieniu jego spocznie strudzona
Ludzkość, co nie wie gdzie śpieszy?
Czy tak jak teraz kona świat stary
Pod znakiem boskiego zbawcy
Nie będą padać ludów ofiary
Wleczone pod miecz oprawcy?
Czy w imię tego czarnego krzyża
Świat się nie spławi krwi strugą
I wiara co dziś niebo przybliża
Ciemności nie będzie sługą?

O przyjdzie chwila, w której o Tobie
Gromady zwątpią cierpiące,
Gdy ujrzę na swych nadziei grobie
Jak ja, dziś niebo milczące,
I wołać będą w dzikim okrzyku,
Padając pod topór kata:
Dziś zwyciężyłeś Galilejczyku!
Lecz jutro! gdzie jutro świata?

Herakles.

I.

Greckiego mity Heraklesem zwały
Chociaż właściwie ludem się nazywa,
Na wieczną pracę nieba go skazały,
Więc jego ramię nigdy nie spoczywa.
Jest pracowity, silny, i wytrwały,
Lwia skóra nagie barki mu przykrywa,
Lecz wobec pana swojego nieśmiały,
Łańcuchów swoich sam kuje ogniwa.
I spełnia wszystkie najcięższe zlecenia,
Kiedy podniesie maczugę—to straszny!
A jednak stąpa cicho, najzwyczajniej,
Pełen zaparcia i upokorzenia
Śmieją się z niego, że jest za rubaszny,
Kiedy go widzą w augjaszowej stajni.

II.

Dziewicza Muza nieraz wstydem spłonie
Widząc jak grubej oddany swawoli
Pijaną orgją gasi ogień w łonie
Pragnąc zapomnieć o tym, co go boli,
Lub gdy rozżarty nadmiarem niedoli
Chwyta w szaleństwie za trujące bronie,
I na świat biegnie w niszczyciela roli
I krwią niewinnych plami swoje dłonie!
Jednak pomimo tych wybuchów szału,
Przez które w niwecz idzie wieków praca
I wielkich czynów szereg się zaciera,
Z obłędu swego budząc się pomału
Kornie na dawne stanowisko wraca
I spełnia dalej dzieło bohatera.

III.

On bohaterstwo swoje mało ceni
I nie wie jeszcze, czym jest i czym będzie,
Nie wie, że cało wyszedłszy z płomieni,
Miejsce dla siebie wśród bogów zdobędzie;
Lecz wiedzą o tym bogowie strapieni,
Co w nim mieć chcieli posłuszne narzędzie,
Więc cały Olimp z wściekłości się pieni
I prześladuje go zawsze i wszędzie.
Jeszcze w kolebce posyłał mu gady
Aby go zgniotły w duszącym uścisku
I wciąż tysiącem olbrzymów nań godzi.—
Bezsilne gniewy, zasadzki i zdrady!
Będzie zwycięzcą... i przy gromów błysku
Prometeusza z więzów wyswobodzi!

Miejmy nadzieję.

Miejmy nadzieję!... nie tę lichą, marną,
Co rdzeń spróchniały w wątły kwiat ubiera,
Lecz tę niezłomną, która tkwi jak ziarno
Przyszłych poświęceń w duszy bohatera.

Miejmy nadzieję!... nie tę chciwą złudzeń
Ślepego szczęścia płochą zalotnicę
Lecz tę, co w grobach czeka dnia przebudzeń
I przechowuje oręż i przyłbicę.

Miejmy odwagę!... nie tę jednodniową
Co w rozpaczliwym przedsięwzięciu pryska
Lecz tę, co wiecznie z podniesioną głową
Nie da się zepchnąć z swego stanowiska.

Miejmy odwagę!... nie tę tchnącą szałem,
Która na oślep leci bez oręża
Lecz tę, co sama niezdobytym wałem
Przeciwne losy stałością zwycięża.

Miejmy pogardę dla wrzekomej sławy
I dla bezprawia potęgi zwodniczej
Lecz się nie strójmy w płaszcz męczeństwa krwawy
I nie brząkajmy w łańcuch niewolniczy.

Miejmy pogardę dla pychy zwycięskiej,
I przyklaskiwać przemocy nie idźmy!
Ale nie wielbmy poniesionej klęski,
I ze słabości swojej się nie szczyćmy.

Przestańmy własną pieścić się boleścią,
Przestańmy ciągłym lamentem się poić—
Kochać się w skargach jest rzeczą niewieścią,
Mężom przystoi w milczeniu się zbroić...

Lecz nie przestajmy czcić świętości swoje,
I przechowywać ideałów czystość—
Do nas należy dać im moc i zbroję,
By z kraju marzeń przeszły w rzeczywistość.

Wierzba na pustkowiu.

Stoi wierzba płacząca
Nad ciemnym jeziorem,
Drży w promieniach miesiąca
Kiedy wietrzyk ją trąca
Wieczorem.

Wkoło piaski wilgotne,
Rdzawe mchy i zioła,
Wody mętne i błotne,
I pustkowie samotne
Dokoła.

Gdy na niebie zapada
Noc martwa, noc cicha,
Wierzba stoi tak blada
Jak strwożona Dryada,
I wzdycha.

Patrzy smutna na sine
Niebosa z ołowiu,
Na wód czarną kotlinę
I piaszczystą równinę
W pustkowiu.

Chociaż cisza panuje
Grobowa i głucha,
Coś ją zgrozą przejmuje,
Bo się w niebo wpatruje
I słucha.

Gdy zegary gwiaździste
Już północ naznacza,
Lecą duchy nieczyste
Przez obszary piaszczyste
I płaczą.

Przybywają z noclegu
Wybladłe, skrwawione,
I siadają w szeregu
Pod tą wierzbą na brzegu,
Zmęczone.

Wspomnieniami ścigają
Stracony sen życia,
Nad przeszłością wzdychają
I zbutwiałe wstrząsają
Okrycia.

Wspominają swą siłę
I piękność młodzieńczą,
Upojenia tak miłe —
I klną swoją mogiłę
I jęczą.

Klną poczęcia godzinę
I matki swej łono,
Swoich ojców, rodzinę
I słoneczną krainę
Straconą.

I złorzeczą ludzkości
I żywym na ziemi,
Ich nadziejom, miłości...
I wzywają nicości
Nad niemi.

Księżyc twarz swą ukrywa
Za obłok, za ciemny
Nagle wicher się zrywa,
A z nim władca przybywa
Podziemny.

I gromadzi swe straże
I hufce śmiertelne,
I po ziemi obszarze
Spełniać dzieło im każe
Piekielne.

Każe w strony rodzinne
Powracać i czuwać
Wkraść się w strzechy gościnne
Nocą serca niewinne
Zatruwać.

Tłumić lepsze natchnienia,
Siać nędzę i ciemność
I bezmyślność zwątpienia,
Co czyn każdy zamienia,
W nikczemność.

By w narodzie, co słynął
Rycerski, szlachetny,
Śmierci jad się rozwinął,
Aby upadł i zginął
Bezdzietny.

Wysłuchały z rozkoszą
Straszliwe rozkazy,
I w powietrze się wznoszą
I po ziemi roznoszą
Zarazy.

Potrząsając skrwawione
Całuny posępne,
Lecą każdy w swą stronę:
Wzniecać żądze szalone,
Występne.

Lecą z wiatru poświstem
Stopione w mgłę czarną:
Kazić tchnieniem nieczystym,
I siać w polu ojczystym
Złe ziarno.

I znów pustka milcząca—
Noc martwa i cicha—
Stoi wierzba płacząca,
Drży w promieniach miesiąca
I wzdycha.

Daremne żale...

Daremne żale—próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia.

Świat wam nie odda idąc wstecz
Zniknionych mar szeregu—
Nie zdoła ogień ani miecz
Powstrzymać myśli w biegu.

Trzeba z żywemi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe...
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę.

Wy nie cofniecie życia fal!
Nic skargi nie pomogą—
Bezsilne gniewy, próżny żal!
Świat pójdzie swoją drogą.

Do młodych.

Szukajcie prawdy jasnego płomienia!
Szukajcie nowych nieodkrytych dróg...
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia
Coraz się dusza ludzka rozprzestrzenia,
I większym staje się Bóg!

Choć otrząśniecie kwiaty barwnych mytów,
Choć rozproszycie legiendowy mrok,
Choć mgłę urojeń zedrzecie z błękitów,
Ludziom niebiańskich nie zbraknie zachwytów,
Lecz dalej sięgnie ich wzrok.

Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach...
Nieście więc wiedzy pochodnię na czele
I nowy udział bierzcie w wieków dziele.

Przyszłości podnoście gmach!
Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wznieść,

Na nich się jeszcze święty ogień żarzy,
I miłość ludzka stoi tam na straży,
I wy winniście im cześć!

Ze światem, który w ciemność już zachodzi
Wraz z całą tęczą idealnych snów,
Prawdziwa mądrość niechaj was pogodzi—
I wasze gwiazdy, o zdobywcy młodzi,
W ciemnościach pogasną znów!

Noc pod Wysoką.

Wieczór się zbliżał, a nad naszą głową
Wciąż wyrastały prostopadłe ściany,
I wciąż się zdawał oddalać na nowo
Wierzchołek w słońca promieniach kąpany;
Więc trzeba było myśleć o noclegu,
Zanim nas zdradne ciemności zaskoczą,
Na skał urwanych przepaścistym brzegu.

Właśnie się naszym ukazała oczom,
Wciśnięta między dwa ramiona góry,
Kotlina, pełna granitowych łomów
Które zdaleka sterczały, jak mury
Zdobytej twierdzy, lub zburzonych domów.
Była to naga, posępna kotlina,
Cieniem dwuch groźnych wierzchołka piramid
Pokryta.—W głębi toń jeziorka sina
I mchu na głazach zielony aksamit...
Zresztą ni trawki, ni krzewu—jedynie
Woda, i głazy, i mchy w rozpadlinie.

Tu na jeziora zeszliśmy wybrzeże,
Między zwalone bryły granitowe,
By obrać sobie ciche na noc leże,
I mech jedwabny podesłać pod głowę
W miejscu, gdzie wielkie głazy pochylone
Od nocnych wichrów dawały osłonę.
Na niebie jeszcze dzień panował biały,
A słońce, góry zasłonięte grzbietem,
Barwiło w szczytach wyzębione skały
Złotem, purpurą albo fijoletem...
Czasu dość było do zmierzchu. Usiadłem
Tuż nad zmrożonym jeziorka zwierciadłem,

Co z brzegów w śniegi oprawne i lody,
W dali marszczyło czerniejące wody.
Patrzałem: jako w pracy nieustannej
Fala srebrzystą powłokę podmywa,
Aż tafla lodu dźwięk wydając szklanny,
Pęka i dalej z szelestem odpływa;
Patrzałem: jako na posępnej toni
Kra oderwana krąży wkoło brzegu,
Jak jedna drugą potrąca i goni,
Na trud próżnego skazana obiegu...
I żałowałem, że się próżno kręci,
Przypominając sobie ludzką dolę,
W której ach nieraz, wszystkie dobre chęci
W zaklętym muszą obracać się kole...
Tymczasem dołem gęstsze cienie rosły,
Bory zsiniały pod mgieł gęstą szatą,
I szczyt nad głową zagasnął wyniosły,
Pobladł i barwę przyjął popielatą,
Wraz z znikającą jasnością promienną
Ostatnie życia uchodziły ślady...

Mrok zwiększył martwość pustkowia kamienną,
I obszar zastygł, posępny i blady,
I swym straszliwym przytłoczył ogromem
Myśli zbłąkane w państwie nieruchomem.
Gienjusz tych wyżyn, surowy i groźny,
Powstał z przepaści, mierząc mnie oczyma,
Swego oddechu słał mi powiew mroźny
I naprzód rękę wyciągnął olbrzyma,
Rozpościerając dokoła nademną
Milczenie pustyń, nieskończoność ciemną,
I tę samotność zamarłego świata,
Co dziwnym smutkiem ludzką pierś przygniata;
Samotność, w której milczącym ogromie
Człowiek swą słabość poznaje widomie,
I chce się cofać przed nieznaną mocą,
Przed rozesłaną na przepaściach nocą,
Przed skrytych potęg gwałtownym objawem,
Przed niezbłaganym bezlitosnym prawem,
Przed rozpasanych żywiołów odmętem,
Przed nieświadomym... tajnym... nieujętym...

Uczuciem takiej grozy pokonany,
Między zaciszne powróciłem ściany,
Gdzie towarzysze legli już strudzeni
Na mchu, pod dachem gościnnych kamieni;

I sam złożyłem głowę na posłaniu
W półsennym teraz pogrążon dumaniu.
Noc gęste mroki zapuściła wszędzie;
Nawet błękity niebios przezroczyste,
Oprawne dołem w czarnych skał krawędzie,
Stały się więcej ciemne, przepaściste,
I tylko ową błękitną ciemnotę
Gdzieniegdzie gwiazdy przetykały złote.
Ciemność rzuciła pomost przez otchłanie
I wyrównała wnętrza gór podarte,
Zostało jedno, wielkie rusztowanie,
Zbitych granitów grzbiety rozpostarte,
Ponad któremi dwie wierzchołka wieże,
Dwa wyniesione ostrokręgi cieniu,
Chwiać się zdawały w niebieskim eterze
Przy migotliwym drżących gwiazd promieniu.
Cisza—a jednak w tej pozornej ciszy
Wsłuchane ucho ciągłe wrzenie słyszy,
Szmer nieustanny, na który się składa
Wszystko, co głosem z życia się spowiada:
I woda, która gdzieś w szczelinie syczy,
I fal powietrza szelest tajemniczy,
I pękających głazów łoskot głuchy,
I wszystkie światа na wpółsenne ruchy.
Czasami skała u szczytu wisząca,
Stoczy się na dół i z przeciągłym grzmotem,
O najeżone ściany się roztrąca;
Huk długo echa powtarzają potym...
Aż rozsypany głaz na drobne części
W wąwozie gradem kamieni zachrzęści.

I znowu wszystko wraca do spokoju;
Tylko, jak dawniej, szepcą z sobą góry
Podmuchem wiatru i szemraniem zdroju;
I znowu płynie cicha pieśń natury
W gwiaździste sfery, w przestrzeń nieskończoną,
Gdzie wszystkie pieśni zdążają i toną,
I tam się wiąże, i zlewa, i brata
Z całą harmonją zaziemskiego świata.

Wślad za tą pieśnią myśli moje biegły,
Wyswobodzone z tłoczącej je grozy,
Wolny, choć prawom powszechnym podległy,
Duch mój wstępował na gwiaździste wozy
I tracił z oczu ludzkich istnień chwile
I wydeptany ślad na ziemskiej bryle,

I zapominał o swojej obroży,
I o boleści, co go we śnie trwoży,
On się zanurzył w źródle wiecznie—żywym,
Poruszającym wielkie koło bytu;
Uczuł się jednym łańcucha ogniwem
Rozciągniętego przez otchłań błękitu;
On znalazł wspólne ognisko żywotów
I związek z całym ogromem stworzenia,
Z wieczystym duchem, co mu podać gotów
Rękę z ciemności, albo z gwiazd płomienia:
Więc w rozpostartej na przepaściach nocy
Już opuszczenia nie czuł i niemocy,
I mógł się poddać, jako drobny atom,
Tej twórczej myśli, co przewodzi światom,
I z nieodmiennym zgodzić się wyrokiem,
I odpoczywać, jak pod matki okiem.

Z cyklu „Nad głębiami".

XXX.

Taką jak byłaś — nie wstaniesz z mogiły!
Nie wrócisz na świat w dawnej swojej krasie;
Musisz porzucić kształt przeszłości zgniły,
Na którym teraz robactwo się pasie.

Musisz zatracić niejeden rys miły,
I wdzięk w dawniejszym uwielbiany czasie...
Lecz nową postać wziąć i nowe siły
I nowych wieków oręż mieć w zapasie.

Grób cię nie odda światu—widmem bladym,
Z mogilnej pleśni i zgnilizny plamą,
Do wnętrza śmierci przesiąkniętą jadem...

Lecz przystrojona w królewski djadem,
Musisz do życia wkroczyć życia bramą,
Musisz być inną! choć będziesz tą samą.

T. T. JEŻ.

(ZYGMUNT MIŁKOWSKI).

Zygmunt Miłkowski, urodz. 23 marca 1824 r. w Saracei nad Dniestrem (Podole), brał udział w walce wolnościowej Węgier 1848 r. przeciw Austrji, w wojnie krymskiej, w powstaniu 1863 r. należał do Towarzystwa demokratycznego i jest jednym z założycieli Ligi Narodowej i stronnictwa demokratyczno-narodowego w Polsce.

Szereg jego prac obejmuje do stu tomów. Najważniejsze: *Z pamiętników włóczęgi* (1858), *Wasyl Hołub* (1858); *Szandor Kowacz*, *Handzia Zahornicka*; *Historja o pra... pra... wnuku i pra... pra... pra... dziadku* (1864); *Urocza*; *Uskoki* (1870); *Narzeczona Harambaszy*; *Pod szlachecką strzechą*; *Za króla Olbrachta*; *Lech — Czech—Rus*; *Z ciężkich dni*; *Wnuk chorążego*; *Dyplomacja szlachecka*; *Lat temu dwieście*; *Którędy do szczęścia* (1898); *O byt.*

Monografja: *W „Naszych powieściopisarzach"* autobjografja P. Chmielowskiego. *„Od kolebki przez życie"* w Tyg. Ilustr.

Historja o pra-pra-pra... dziadku

(Fragment).

Od rana całe miasto wyglądało świątecznie. Sklepy były pozamykane. Mieszczanie i mieszczki odświętnie się postroili. Żydzi nawet zamożniejsi w rasimorowych wystąpili kaftanach i szabasowych czapkach, pomimo że nie był ani szabas, ani żadne żydowskie święto.

Po kościołach sygnowały sygnaturki i lud szedł kolejno na wszystkie msze, sądząc zapewne, że najlepszy sposób przepędzenia świątecznego poranka jest w domu Bożym. Kościoły więc od rana były pełne, lecz najpełniejszym stał się katedralny, podczas gdy wyszła suma.

Do katedry zeszedł się cały Kamieniec. Starostwo z całym dworem, wszyscy miejscowi, sądowi i administracyjni urzędnicy, całe miejskie starszeństwo wszystko z żonami i familjami, okoliczna szlachta zaproszona umyślnie przez Starostę na festyn, całe rycerstwo z pod obecnych w Kamieńcu chorągwi, większa połowa mieszczan i mieszczanek, rzemieślników, czeladzi, szkolna młodzież, słowem, kto tylko mógł zmieścić się w świątyni, każdy w niej był, słuchał sumy i kazania. W kościele zrobiła się ciżba i dużo jeszcze ludzi stało na dworze.

Kazanie miał ksiądz przeor. Pięknie rozpowiadał o św.

Stanisławie i o tym jak Piotrowina, dla dania świadectwa prawdzie, z grobu wskrzesił. Od prawdy przeszedł do cnoty i wymownie przedstawił, jak to dobrze poświęcić się dla cnoty.

Cnota w owym wieku inne trochę miała znaczenie, jak w naszym. Rozumiano pod nią zasługi na polu marsowym. To też gdy ksiądz przeor o cnocie wspomniał i rozwiódszy się nad nią, bliżej ją określił, słuchaczom natychmiast przyszedł na myśl Kuźma, a zwłaszcza słuchaczkom, które poczęły się obracać i oglądać za nim po kościele. Lecz wtym zagrzmiał ksiądz przeor.

„Dom Boży domem modlitwy jest, kto przychodzi do kościoła, po to przychodzić powinien aby się modlić, nie zaś obracać i oglądać"...

Słuchaczki spuściły oczy i ze skruchą dosłuchały kazania, które trwało z godzinę i skończyło się o pół do pierwszej.

Po kazaniu rycerstwo—jakby wymiótł—całe się wyniosło z kościoła. W kościele zrobiło się przestronnie, i coraz się przestronniej robiło, tak, że „ite missa est" wysłuchała już sama poważniejsza starszyzna. Wszystko zaś zresztą wyniosło się za rycerstwem i pociągnęło do zamku, gdzie w części obsiadło ławy, w amfiteatr na turniejowym podwórcu ustawione, w części zaległo wały.

Po mszy wytoczyła się naprzód Starościna a za nią Starosta, dworne panie i cały dwór i wszyscy Kamienieccy mieszkańcy i wszyscy przyjezdni, i jedni kolasami, drudzy dryndulkami, inni piechotą udali się na zamek, znikli w komnatach, i po chwili ukazali się na krużgankach i na galerji, która pod krużgankami była urządzona. Pomiędzy niemi nie było tylko jednego Starosty.

Podwórzec turniejowy był zabytkiem dawniejszych czasów, kiedy turnieje były jeszcze w modzie. W epoce naszej powieści odbywały się one jeszcze, ale bardzo rzadko. Każdy niemal jednakże zamek posiadał w swoim obrębie szranki na turnieje przeznaczone, na których panowie i dworzanie oddawali się ćwiczeniom rycerskim.

Lecz że właściwym przeznaczeniem tych szranków były popisy publiczne, przeto stosownie do tego były one urządzonemi. Były to zwykle okrągłe lub wielokątne place, dokoła murem budowli opasane i jedną stroną do głównej, obwieszonej krużgankami i obwiedzionej u dołu galerją, ściany zamku przypierające. Z innych stron, stopniami coraz wyżej w amfiteatr wznoszące się otaczały je ławki, stawiane w czasie widowisk, a po zakończeniu takowych wynoszone. Ławki te były poprostu deskami na rusztowaniach układanemi. Przeznaczone one były dla pospólstwa; dla dystyngowanych zaś widzów kruż-

ganki i galerje. Same szranki znajdowały się na środku pałacu, oddzielone od ławek barjerą. Na plac prowadziły dwie bramy, przy których stali heroldy.

W czasach kwitnienia turniejów, wszelkich dokładano starań do upiększenia turniejowych podwórców. Krużganki, barjery, amfiteatra urządzano z wykwintem i przepychem, przyozdabiano je kobiercami, chorągwiami i kwiatami, bronzami i posągami. W epoce jednakże naszej powieści ta manja nie przeminęła była jeszcze, ale już przemijała, jakby przeczuwając w powietrzu Cerwantesa, który paladyństwu, a przez to i jej ostateczny cios zadał. Poczęto mniej dbać o turnieje, a z niemi i o turniejowe szranki. W Kamienieckim np. zamku, okrom krużganków, które do stałej zamkowej należały budowli, wszystko zresztą było drewniane i nosiło na sobie ślady pośpiechu, z jakim było budowane. Nawet barjera przedstawiała prosty płot z desek, niezbyt wysoki, taki, że za turniejowych czasów każdy rycerz mógłby przezeń przeskoczyć.

Tej wszelako prostoty znać nie było, tak ją sobą widze zamaskowali. Amfiteatr był zapełniony, że nie było gdzie szpilką tknąć; na krużgankach i galerji było pełno.

Na jednym z najparadniejszych krużganków, na krześle aksamitem ze złotemi frendzlami obitym, reprezentującym sobą pewien rodzaj tronu, półtrzecią krzyża na wysokim poręczu ozdobionego, siedziała starościna, odpoczywająca i zlekka wachlarzem się chłodząca. Obok niej, z jednej strony starościanka, z drugiej pani Wolska, za nią panna Zatorska i jeszcze parę pań.

Środek placu, właściwe szranki turniejowe, był pusty. Widze oczekiwali, spoglądając ku bramie i gwarzyli pomiędzy sobą na krużgankach i galerjach, kawalerowie prawili damom komplementa, na które im panie komplementami odpowiadały.

Nie były, jak mówiłem, przyozdobione szranki. Muszę jednakże odwołać to, „nie były" gdy wspomniałem płeć piękną. Były—i to jak najpiękniej, w żywe, różnobarwne girlandy uwite z pań i panien, które szeregami zasiadły na galerji, i w bukiety, które na krużgankach się barwiły, pozawieszane w powietrzu, niby w jaskółczych gniazdach.

Czas upływał, środek podwórza był pusty, gwar rozmów się wzmagał.

Naraz, rozmowy raptem ustały, a z za bramy o uszy widzów. uderzyły dźwięki i brzęki wojennej muzyki. Trąby, surmy i kotły napełniły powietrze jakimś nie bez pewnej harmonji ryczeniem, połączonym z łoskotem i piskiem, zlewającemi się w monotonną i krótkiemi zwrotkami powtarzającą się melodję.

Oczy widzów zwróciły się na bramę, z za której wkrótce wysunęła się kapela, mająca na czele trębaczy, dmących w długie bronzowe trąby, ozdobione w pewien rodzaj kwadratowych z frendzlami chustek, od instrumentów na dół spadających; za trębaczami szli surmacze, za temi dobosze, a na końcu postępowali muzykanci z klarnetami, żelami i talerzami. Kapela szła krokiem powolnym i wciąż grała, przeszła przez środek placu i z boku się zatrzymała.

Za kapelą pokazała się cudzoziemska piechota, w dzidy i halabardy uzbrojona. Było jej trzy roty. Przed każdą niesiono sztandar. Zajęły one część placu, ścieśnionemi kolumnami, stając za kapelą.

Za piechotą wysunął się z bramy jeździec na koniu, w całym usarskim uzbrojeniu. Koń pod nim był dzielny, ognisty i z niedającą się opisać gracją niósł na sobie lśniącego pancerzem i hełmem rycerza, uskrzydlonego srebrnemi u ramion skrzydłami, okrytego lamparcią skórą i niosącego w prawym ręku krótką z proporcem kopję. Za pojedyńczym tym jeźdźcem pokazało się czoło usarskiej roty, czwórkami maszerującej. Widok ten wydarł mimowolne z piersi widzów okrzyki uwielbienia, zrazu liczne, niezgodne, lecz w końcu grzmotliwe i tak jakby jedna pierś je wydarła, zagrzmiało:

— Hura!...

I grzmiało póty, póki się usarze nie uszykowali rozwiniętym frontem.

„Hura!" ustało, lecz znów się powtórzyło, gdy po rocie usarskiej, pokazała się, mniej świetna, ale niemniej marsowo wyglądająca pancerna. I tak powtarzało się razy pięć, witając każdą wchodzącą i szykującą się chorągiew, pomiędzy któremi dwie ostatnie były kozackiemi.

Ostateczne chorągwie uszykowały się w kwadrat, któremu jednego boku, od strony krużganków i galerji brakowało. Jeden bok, stanowiły kapela i piechota, drugi, frontem ku krużgankom zwrócony, usarska we środku a po skrzydłach pancerne roty, trzeci kozacy, środek placu był wolny.

Po zupełnym uszykowaniu się wojska, na środek wyjechał starosta, świetnym dworem otoczony. Jak tylko się ukazał:

— Niech żyje Starosta!... wiwat Starosta!... huknęło na całym podwórcu. I huczało, grzmiało, a konie pod jeźdźcami prychać, kopytami ziemię grzebać i niecierpliwić się poczynały.

Chorągwie powitaniem przed Starostą się pochyliły.

Jaki był pod nim koń, jaki na koniu rynsztunek—nad tym niepotrzebniebym się rozwodził. Dość jeżeli powiem, że pod rotmistrzami piękne były konie, ale pod Starostą najpiękniejszy, że rynsztunki rotmistrzów i towarzyszy były pyszne i bo-

gate, ale Starosty najpiękniejszy i najbogatszy. To tylko winienem dodać, że pan Potocki nie miał na sobie zbroi, lecz strój długi, poważny, szerokim a bogatym pasem przepasany i drogim futrem wykładany. Pod szyją błyskała djamentami spinka złotem oprawna. Przy boku wisiała krzywa w jaszczurowej pochwie szabla turecka, której rękojeść osypywały drogie kamienie. Na głowie, na bok przechylony, siedział kołpaczek sobolowy, czaplim piórkiem zdobny.

Starosta powolnym stępem, hamując rwącego się konia, objechał szeregi, które w milczeniu i porządku stały. Przez ten czas grzmiała muzyka i okrzyki, i nie ucichły, aż pan Potocki zatrzymał się na środku placu.

Zatrzymał się i rękę wyciągnął. Był to znak uciszenia się. Na ten znak, jakby makiem zasiał na placu; taka zrobiła się cisza, że w niej prychnięcie lub kopnięcie kopytem tego lub owego konia echem się rozległo. W ciszy tej dał się słyszeć wyraźny i donośny głos Starosty.

— Panowie towarzysze, rycerstwo, kwarciani i wierni Zaporożce! Król Jegomość a pan nasz najmiłościwszy, polecił mi złożyć wam, w jego królewskiej mości imieniu, uroczyste dzięki, za cnotliwe i zaszczytne sprawowanie się wasze podczas ostatniej z Wołochami potrzeby...

Po tym wstępie, opowiedział mówca w krótkości dzieje wojny wołoskiej, wymienił potyczki i bitwy i otrzymane owoce. Przy końcu znów wspomniał o wdzięczności królewskiej, którą tym razem połączył z podniesieniem zasług względem Rzeczypospolitej. Od zasług ogólnych przeszedł do szczególnych, w których jako przykład dał Kuźmę Jeża.

— Panowie towarzysze, rycerstwo, kwarciani i Zaporożce!...—ciągnął—Imć pan Kuźma Jeż, czym wszyscy zaświadczyć możecie, zasłużył na to, aby go zaszczytnie wymienić i jako wzór postawić... Nie wiemy, kto on jest, skąd pochodzi, jakie posiada parentelle i kolligacje... Lecz kto takiej cnoty dał dowód, tego się o parentelle i kolligacje nie pyta, ten jeżeli nie jest świetnego rodu potomkiem, sam swoją osobą staje świetnie na czele rodu... Panie Kuźmo Jeżu, wystąp z szeregu!...

Kuźma, gdy imię jego zabrzmiało wobec takiego licznego i okazałego zgromadzenia zmieszał się. Krew uderzyła mu do głowy, w oczach mu pociemniało:—patrzał przed siebie i nic nie widział. Starosta mówił powoli, więc bohater nasz, nim kilka okresów jego osoby się tyczących wygłoszonemi zostały, miał czas przyjść do siebie i zrozumiał wezwanie wystąpienia z szeregu.

Zrozumiał, ale nie wiedział co począć—i nie występował, towarzysze szeptali mu.

— Daj waszmość koniowi ostrogi...

On to słyszał, lecz ostróg nie użył. Niepokoił się w siodle i koń pod nim się niepokoił, z czego powstało chwianie się całego szeregu. Rotmistrz podjechał do Kuźmy i cicho do niego powiedział:

— Ostrogą konia!... Szkapa jednym susem wyskoczy, wówczas osadź ją waszmość przed Starostą...

Ruch rotmistrza dał poznać widzom, który z towarzyszy jest Kuźmą Jeżem. Oczy wszystkich zwróciły się na niego. Tego Kuźma nie spostrzegł, lecz chcąc pójść za radą rotmistrza, już miał ścisnąć konia ostrogami,—lecz wstrzymał się i jakby dla nabrania otuchy wzniósł wzrok do góry.

I spotkał się ze wzrokiem pani Wolskiej.

I nabrał otuchy.

Westchnął, jakby dla zrzucenia z piersi ciężaru, i raptownym a silnym ściśnięciem uderzył konia ostrogami, zwalniając mu zarazem cugli.

Koń, jak to rotmistrz powiedział, jednym skoczył susem. Skok ten do zupełnej przywiódł Kuźmę pamięci, która tym się wyraziła, że bohater nasz natychmiast opanował konia, dał mu wolę zrobić kilka susów, powściągnął, osadził i uspokoił go, tak, że koń chrapał, strzygł uszami i rozognionym spoglądał wzrokiem, ale stał na miejscu jak wryty.

Póki to ostatnie nie nastąpiło, Starosta milczał. Gdy zaś Kuźma stanął przed nim, wydobył z zanadrza arkusz papieru we czworo złożony i pierścień i trzymając jeden i drugi, tak rzecz dalej ciągnął:

— Byłoby wielką niesprawiedliwością, gdyby cnota pozostawała bez nagrody. Czeka ją wprawdzie niechybna nagroda w przyszłym życiu, lecz wówczas tylko, kiedy jest ukrytą, kiedy o niej ludzie nie wiedzą. Wiedząc wszelako, dawałoby to najgorsze o ludziach wyobrażenie, gdyby pomijali ją milczeniem i znieważaniem: dawałoby to bowiem widzieć, że nie umiejąc poznać się na cnocie, nie warci są, aby ta pośród nich kwitła. Z tego powodu imć panie Kuźmo Jeżu, na propozycję Hetmana wielkiego koronnego i na jednogłośne zgodzenie się wodzów, którzy w teleryńskim boju uczestniczyli, sporządziliśmy dla waszmości testificatio virtuti, następującej osnowy...

Tu rozwinął papier i odczytał. Treścią tego dokumentu było poświadczenie waleczności i poświęcenia, polecone jako wzór dla spółczesnych i potomnych. Starosta przeczytał wszystko, a w końcu i podpisy, których było przeszło trzydzieści, gdyż podpisało się wiele pułkowników i rotmistrzów.

Brzmienie nazwisk na podpisach wyrażonych a kolejno i powoli wymawianych, wywołało szmer powszechnego uznania.

Kuźma stał w milczeniu, słuchał i zdawał się być pogrążonym w zamyśleniu.

Skończywszy czytanie, podał Starosta Kuźmie papier— z taką przemową:

— Z tym stań waszmość przed królem i zgromadzonemi na sejm stanami, i jeżeli jesteś szlachcicem, upomnij się o panem bene merentium, jeżeli zaś nim nie jesteś, o szlachectwo. Na podstawie tego dokumentu, jesteś szlachcicem polskim.

Tu Starosta zamilkł, a widze podchwycili:

— Niech żyje—Kuźma Jeż!... wiwat szlachcic polski!...

— Niech żyje!... — powtórzyły szeregi i podwórzec zagrzmiał Kuźmy imieniem.

Kuźma stał ze spuszczoną głową, trzymając papier w ręku. Koń pod nim żuł wędzidło i kopał niecierpliwie kopytem.

Gdy się uciszyło:

— A oto—rzekł Starosta, podając Kuźmie pierścień — dar dla waszmości od jego miłościwości Jeremiasza, mołdawskiego hospodara... Ten pierścień otwiera waszmości przystęp do łask jego hospodarskiej mości...

Kuźma wziął pierścień i z dokumentem trzymał go przez jakiś czas w ręku i milczał. Starosta i widzowie oczekiwali od niego kilka wyrazów, w którychby się podziękowanie zawierało. Uciszyli się więc, jak przed przemówieniem Starosty.

Nagle Kuźma podniósł głowę wyciągnął rękę i podał Staroście papier i pierścień.

Zdziwionym wzrokiem spojrzał na niego Potocki, jakby pytając:

— Co to znaczy?

Kuźma odpowiedział, niezbyt głośno ale dobitnie:

— Nie potrzebuję, wielmożny Starosto, ani tego pierścienia, ani tego papieru: bo ja nie za hospodara krew przelewał, ale za naszą Rzeczpospolitę, a za Rzeczpospolitę nie dla papieru, ale dla tego, że mnie moja gromada wysłała... Bo ja jestem chłop z Hrynenek, gdzie mój ojciec jest mielnikiem, ma chatę i pole...

Tu nieokreślonego znaczenia ruch jakiś ze szmerem połączony objawił się w zgromadzeniu. Kuźma odchrząknął i dalej mówił:

— Gromada, wielmożny Starosto, wysłała mnie w swoim imieniu... A jak mnie wysłała, tak ja powinien do niej powrócić... A jeżeli zasłużyłem na nadgrodę, to ona mnie wynadgrodzi... Gdybym powrócił jako szlachcic, tobym ją zawiódł, bo

ona mi nie dobijanie się o szlachectwo, ale służenie Rzeczypospolitej poruczyła. Na to mam dowód od gromady... Służyłem, Bogu dzięki zasłużyłem się, mam od was, wielmożny Starosto, i od moich towarzyszy dobre słowo, za które wam dziękuję... Tego dla mnie dosyć, abym się ojcu memu i starszym z gromady śmiało mógł w oczy popatrzyć...

To wyrzekszy, zawrócił konia i odjechał do szeregu.

Jakoweś osłupienie owładnęło na chwilę widzami, poczym Zaporożce huknęli raptem:

— Hura!...

I powtórzyli to trzykrotnie, wtórowane echem na tylnych ławkach amfiteatru odzywającym się.

Chorągwie rycerskie, krużganki i galerja milczały, z rodzajem jakiegoś podziwu przypatrując się bohaterowi naszemu.

Na jednym tylko krużganku, były jedne oczy, które wyrazem uwielbienia i zachwytu przemawiały. Strzelał z nich dziwny jakiś połysk, strzelał i zgasł—nabierającemi łzami zwilgotniony.

Uskoki

(Powieść na tle stosunków południowo słowiańskich)

(Fragment).

Smutek, jaki podczas egzekucji mieszkańców Wisznicy ogarnął, ani opisać, ani opowiedzieć się nie da. Mężczyźni wygnani zostali na plac. Kobiety z dziećmi po chatach pozostały.

W każdej chacie bośniackiej słychać było cichy, tłumiony płacz, przeplatany głośnym Boga na ratunek wzywaniem. Z płaczu tego i z tych wezwań poznać można było, że się spełnia ofiara bolesna nie pierwsza i nie ostatnia. Modlitwa za konającego trwała ciągle, póki Miłosz nie skonał. W izbie, która dla chrześcijan zastępowała kościół, rozesłany był na środku kawał czarnego sukna, reprezentujący katafalk, przy którym gorzały dwie woskowe świece. Przy tym katafalku, przez dwa dni i noc jedną w każdej chwili widzieć można było po kilkoro ludzi klęczących, lub krzyżem leżących.

Przez dwa dni i noc jedną Wiszniczanie modlili się za konającego, błagając Najwyższego o lekką, a jak najrychlejszą śmierć dla sterczącego na palu męczennika.

Przez dwa dni i noc jedną pomiędzy Wiszniczanami nie było rozmowy innej, tylko zapytania:

— Czy już?

Tylko odpowiedź:

— Jeszcze nie.

Najwyższy wykonał wielkie dzieło: stworzył świat i wszystko, co na nim jest, stworzył naturę i dał jej prawa niezmienne. Daremnemi więc były błagania Wiszniczan, nie oszczędziły one męczennikowi ani jednej boleści nie przyśpieszyły mu śmierci, ani na jedną chwilkę. Przyszła ona w swoim czasie, gdy podarte wnętrzności zapaliły się gangreną, która uderzyła na serce i zatamowała krążenie krwi.

Gdy Miłosz skonał, po wsi podawany z ust do ust, przebiegł jeden wyraz:

— Już...

Dziwna rzecz! Wyraz ten napełnił serca Bośniaków radością, każdy z głębi piersi odetchnął jakby mu ciężar spadł. Zeszli się do kościołka, gdzie katafalk wciąż na środku stał i dziękczynne modlitwy popłynęły przed tron Najwyższego, a katafalk przybrał porór woza tryumfalnego, na którym dusza Miłosza odbyła wjazd tryumfalny do miejsca wiecznej szczęśliwości, przy chórach serafinów i cherubinów.

— Już.. szeptali ludzie, i płakali z rozrzewnienia.

I dziękowali Bogu za cud.

Za cud.

Tak—za cud. Wiszniczanie tego byli przekonania, że Stwórca modłów ich wysłuchał. Prosili Go o lekką dla Miłosza śmierć i była ona w ich mniemaniu lekką. Nieboszczyk nie krzyknął, ani jęknął—podczas kiedy zazwyczaj umierający na palu napełniają powietrze jęczeniem przeraźliwym. Nieboszczyk konał tylko dwa dni i jedną noc—podczas kiedy nad głowami innych po kilka razy słońce wschodzi i zachodzi.

Ludzie w owych czasach znali się na męczarniach. Śmierć na palu, na haku, lub na stosie, była rzeczą zwyczajną, była widowiskiem gratis, które nie sami Turcy dawali. Wiedziano więc, jak i jak długo człowiek kona. Poczytano zatym za cud śmierć Miłosza, którego dusza odeszła do lepszego świata cicho i prędko.

Wiszniczanie dziękowali Bogu za to, że ich prośby wysłuchał i zgromadzili się wszyscy do świątyni, gdzie kapłan odprawił modły za duszę nieboszczyka.

Zgromadzili się wszyscy, z wyjątkiem jednej kobiety i jednego dziecka.

Domyśla się czytelnik, co to za kobieta, i co za dziecko?

Wisznicę otaczały góry w amfiteatr, piętrząc się zielonemi wierzchołkami, opierającemi się na zrębach skalistych. Siwe skały wyglądały zdaleka niby gzymsy, ustrojone w girlandy

bluszczów i dzikich winogradów. Tu i owdzie widzieć się zdawały rozpadliny głębsze; tu i owdzie rozpadlina przybierała kształt ambrazury lub niszy, lub też wyglądała jak otwór pieczary, wgłębionej w łono góry.

Jeden z otworów takich widnym był z krużganka bejowego Konaku. Budując go natura, zdawało się, radziła się człowieka. Na dwuch dużych kamieniach, formujących ściany, leżał trzeci w poprzek i formował powałę. Te trzy kamienie miały pozór otworu, podobnego do wejścia do kopalni. Podanie niosło, że tam przemysłowcy weneccy złoto niegdyś wydobywali. Była nawet legienda, do miejsca tego przywiązana, mówiąca o zaklętych skarbach, ukrywających się w łonie góry i bronionych przez siły nadprzyrodzone. Z kamienia poprzecznego zwisały festony dzikich ziół, a na spadzistości przed otworem wyrastał rozłożysty buk, który go grubym swoim pniem i konarami maskował w części.

Pod tym bukiem, od rana dnia tego, w którym Miłosza na pal wsadzono, do wieczora i przez całą noc i przez cały następny dzień siedziała kobieta z dzieckiem. Od punktu tego, do placu tracenia odległość była wielką, zwłaszcza na pieszy chód. Trzeba było spuszczać się w głęboką dolinę i wspinać na stromą spadzistość i wymijać urwiska; lecz linja prosta, w powietrzu rzucona, nie przedstawiała się tak długą, aby normalny wzrok nie mógł widzieć placu i rozróżniać na takowym przedmiotów. Przedmioty przedstawiały się wprawdzie w zmniejszeniu, lecz dość wyraźnie, zwłaszcza jeżeli patrzący z pod buka, z góry wiedział, co one znaczą.

Kobieta siedziała skulona. Na kolanach oparła łokcie, a na dłoniach głowę i patrzała przed siebie w punkt jeden, oczami, których białka osnuły się całkowicie włóknami czerwonemi. Powieki były zaognione i nabrzmiałe; ciało pokrywające orbity napuchło. Od jednego oka rzutu poznać było można, że kobieta płakała i wszystkie łzy wypłakała i za powiekami pozostało jej już tylko krew.

Toć już nie płakała, zaogniony wzrok trzymała wlepiony w plac tracenia i siedziała nieruchoma, niby skamieniała. Że jednakże skamieniałą nie była, dowodziło tego ciągłe drganie policzków, od których dłonie odskakiwały; dowodziły tego zdarzające się w pewnych czasu odstępach konwulsyjne ruchy tego ciała, oznaczające boleść skupioną w piersi i działającą tak, jak ściśniona para w kotle maszyny; dowodziły tego wydobywające się od czasu do czasu z ust jęki, które się zaczynały od przeciągłego „och!" i rozpływały w żałosne, tłumione wycie; dowodziły tego nakoniec wyrazy, któremi w długich odstępach milczenia, kobieta do dziecka przemawiała:

— Widzisz, synku? czy widzisz?—pytała.

— Widzę matko, tłum ludzi.

— A śród tłumu?

— Śród tłumu nic nie widzę, ludzie i ludzie, jedni oręż-ni, snać askirlar, a drudzy nasi, a nad tłumem...

— Co nad tłumem?

— Człowiek jeden, niby wielkolud.

— Synku, patrz dobrze, patrz i to sobie zapamiętaj: ten wielkolud, to ojciec twój.

— Ojciec?—rzekł chłopiec z akcentem zdziwienia. Zostawiliśmy go w chacie.

— To ojciec twój—odparła kobieta sucho.

I suchym łkaniem odezwała się jej pierś, a konwulsyjnym drganiem poczęły się rzucać jej członki.

Chłopczyna pochwycił ją oburącz za szyję, przytulił się do niej i nabrzmiałym przestrachem i łzami głosem zawołał:

— Matko!

Kobieta się nagle uspokoiła i zamilkła. Po długim milczeniu znów zapytała:

— Widzisz synku?

— Widzę matko.

— Tłum ludzi?

— Tłum ludzi.

— A nad tłumem?

— Ojciec, taki wielki!

— Och, wielki.

I znów suchym łkaniem odezwały się jej piersi i znów konwulsyjnym drganiem poczęły się rzucać jej członki i znów chłopczyna przytulił się do niej i nabrzmiałym przestrachem i łzami głosem zawołał:

— Matko!

Bolesne jęknięcie wypłynęło z ust kobiety i rozpłynęło się w powietrzu, rozbite na echa, które się odezwały po rozdołach.

— Czy widzisz, synku?—znów zapytała.

— Widzę, matko, widzę— odrzekł chłopczyna.

— Co?

— Ojca.

— Widzisz go dobrze?

— O! widzę, widzę jego twarz, jego włosy siwe.

— Włosy siwe—podchwyciła kobięta echowym sposobem, przeciągle i powoli.—Zapamiętaj-że dobrze, synku, te włosy. Niech one będą ci przytomne na zawsze, w każdej chwili życia twego. Pamiętaj! pamiętaj o tym, co widzisz w tym momencie.

Znów załkała, znów się zaspokoiła i znów z chłopcem kilka wyrazów zamieniła; wyrazów, z których każdy niby rylcem w pamięć dziecinną się wrażał, niby rozpalonym żelazem na sercu się wypiętnowywał. Kobieta powtarzała nieustannie:

— Pamiętaj... Patrz i pamiętaj.

Chłopczyna się wpatrywał—i tym, co w takiej odległości najbardziej wzrok jego uderzało, były siwe włosy starca, podniesionego nad tłumem. Biały kolor jest jak wiadomo, najwidniejszym. Ten więc włos siwy zajął w jego pamięci, wśród przedmiotów, jakie w niej krążyły i krążyć miały, takie samo stanowisko, jakie słońce zajmuje w systemie planetarnym. Stał on się środkowym punktem jego moralnego jestestwa, punktem, do którego odnieść się miało całe życie jego.

ELIZA ORZESZKOWA.

Urodz. 1842 r. w Mintowszczyźnie pod Grodnem, z rodziny szlacheckiej o wysokiej kulturze wolnomyślnej. Wyszedszy w 16 roku życia za mąż, rychło się cofnęła do zacisza myśli i pracy poważnej i przyswoiła sobie duży zasób wiedzy humanistycznej i znajomości życia. Utwory swoje ogłasza od roku 1867; najważniejsze: *Pan Graba*, *Pamiętniki Wacławy*, *Marta*, *Eli Makower*, *Meir Ezofowicz*, *Z różnych sfer*, *Patryjotyzm i kosmopolityzm*, *Cham*, *Nad Niemnem*, *Mirtala*, *Bene nati*, *Dwa bieguny*, *Pieśń przerwana*, *Ad astra*.

Wybór w 4 tomach w tanim wydaniu Wawelberga, Monografja w przedmowie do owego wydania, pióra *P. Chmielowskiego*.

Jan Nitowski: Eliza Orzeszkowa. Studjum *Drogoszewskiego w Bibl. Warsz.* 1902.

Z powieści „Nad Niemnem“

Fragment.

W obszernym domu korczyńskim paliły się tylko dwa światła: jedno w buduarze pani Emilji, drugie w gabinecie Benedykta. Wielki salon i większa jeszcze sala jadalna pogrążone były w ciemności, którą rozpraszać zaczynały niepewne jeszcze, tu i owdzie na okna i posadzkę kładące się światła księżyca.

W tym półzmroku rozlegały się ciężkie, nieustanne kroki. Ktoś przechadzał się po salonie tam i napowrót, snadź w głębokim zamyśleniu. Zamyślenie to czuć było w miarowym, monotonnym stąpaniu przechadzającego się człowieka, a ile razy, mijając jedno z okien, wchodził w słup księżycowych promieni, ukazywała się w nim na chwilę i wnet znowu mieszała z ciemnością postać jego wysoka, ciężka, z pochyloną głową, z założonemi w tył rękoma i zwisającemi na piersi wąsami, tak samotna, jakgdyby pokój ten był pustynią, a on jedynym jej mieszkańcem.

Jednak za zamkniętemi drzwiami nieustannym jego krokom wtórował, nieustannie też dźwięczący, przyjemny i delikatny głosik niewieści. Tam, w buduarze oklejonym papierem w polne kwiatki, kobieta biała, cicha, cierpiąca, w białym negliżu, wpółleżąca na ponsowym szeslongu, przy świetle lampy coś bardzo misternego wyrabiała szydełkiem z włóczki i jedwabiu. Druga zaś kobieta, również delikatna, ale mniej piękna i strojna, a więcej zwiędła, z plastrem okrywającym dolną szczękę, śnieżną i łabędzich kształtów szyję wyciągała nad książką, z której głośno czytała francuskie podróże po przylądku amerykańskim, zamieszkiwanym przez lud Eskimów. Jedna czytała, druga słuchała o krainie lodów, fok, reniferów, chat ze śniegu, zórz północnych, podbiegunowych nieskończonych nocy. Czasem, przerywały sobie czytanie zamienianemi pytaniami i uwagami. Ręce z szydełkiem na kolana opuszczając, jedna z nich zapytywała:

— Jak myślisz, Tereniu: czy wśród Eskimów istnieje prawdziwa, gorąca, poetyczna miłość?

Teresa nie odpowiedziała. Zamyśliła się głęboko. Z łabędzią szyją, pod światło lampy wyciągniętą, końcami palców dotykała bolejącej i leczniczym plastrem oblepionej szczęki. Erotyczne tęsknoty i marzenia dreszczami przebiegały wątłe ciała dwu tych kobiet i twarze ich okrywały wyrazem cierpienia.

— Czytaj dalej, Tereniu...

Czytała dalej, ale po kwadransie znowu czytanie przerwać musiała. Za oknem, gdzieś z dołu, podniósł się wielki, poważny, chóralny śpiew. Pani Emilja od stóp do głowy zadrżała; przelękła się. Z rozszerzonemi nieco od przestrachu źrenicami, zapytywała:

— Co to? co to znaczy? co to być może?

Teresa, chociaż także drgnęła nerwowo, wkrótce się domyśliła prawdy i towarzyszkę uspokoiła. Były to pewno śpiewy tych ludzi, co to zjechali się na wesele, na które poszła panna służąca Zofja.

— Nieznośni! czytać nam przeszkadzają! O, co za hałas! Moja Tereniu, każ zamknąć okiennice i zapuścić roletę!

Po dwuch minutach okiennica była zamknięta i gruba roleta zapuszczona; do zamkniętego szczelnie buduaru żaden już prawie dźwięk z zewnątrz nie dochodził, a przy głośnym czytaniu Teresy, od ściany do ściany i od podłogi do sufitu, wśród zmieszanych woni perfum i lekarstw, napełniły go obrazy niezmierzonych lodowców, nieskończonych nocy, jaskrawych zórz północnych, fok, reniferów i chat ze śniegu.

Ale po pustym salonie przechadzający się człowiek, przy dolatujących z dołu pierwszych dźwiękach chóralnej pieśni stanął jak wryty. Stanął w zupełnie ciemnym punkcie salonu, tak, że go wcale widać nie było, i stał dość długo. Zapewne słuchał. Może nawet słuch natężał i pochwytywał słowa pieśni:

— „Szumiała dąbrowa, wojacy jechali..."

Znów chodzić zaczął. O, jak to dawno, dawno było, kiedy te dźwięki i te słowa o jego młode, gorące serce...

Stanął znowu:

— „Nie było, nie było,
Matko, szczęścia tobie..."

Z ciemnego punktu salonu wydobyło się i nad ścielącemi się po posadzce smugami księżyca popłynęło długie westchnienie:

— „Wszystko się zmieniło,
A twa dziatwa w grobie!"

Wyszedł z ciemności i, przez pas światła przechodząc, półgłosem powtórzył:

— W grobie! gdybyż wszyscy... w grobie!

Nie mógł słuchać, nie mógł dłużej słuchać tych dźwięków i słów, które, wzbijając się z pod stóp wysokiej góry, zdawały się spływać z promiennego szczytu jego świeżej, gorącej miłości...

Ciężkim, ciągle miarowym, choć przyśpieszonym nieco, krokiem przebył sień zupełnie ciemną, salę jadalną, do której zaglądał księżyc, i wszedł do gabinetu, oświetlonego palącą się na biurku lampą.

Pokój ten był nietylko pracownią, ale zarazem sypialnią, i rzecz dziwna! zarówno jak przeciwek Anzelma, przypominał klasztorną celę. Jak tam tak i tutaj czuć było życie twarde, samotne, z miękkich wybredności i wesołych uciech odarte. Oprócz żelaznego łóżka ze szczupłą pościelą i z pięknym niegdyś, lecz starym, dywanem,—wielkiego biurka, kilku krzeseł

i starej szafy, po brzegi księgami gospodarskiemi napełnionej, nic tu więcej nie było. Na ścianach tylko wisiało kilka rodzinnych fotografji i para strzelb, pośród niedźwiedziej skóry skrzyżowanych.

Przez wpółotwarte okno do pokoju tego naleciało mnóstwo białych nadniemeńskich motylków, wzbijało się pod sufit, krążyło dokoła lampy i z rozpiętemi, krepowemi skrzydły padało na okrywające biurko księgi i papiery. Benedykt usiadł przed biurkiem i wpatrzył się w te śnieżne, skrzydlate stworzonka. Coś mu one przypominały: jakiś moment bardzo odległy, lecz niezmiernie ważny, jakiś w życiu jego punkt zwrotny...

Niegdyś, dawno temu, był wieczór bardzo do tego podobny, równie ciężki i ponury. Te motylki tak samo jak teraz kręciły się koło lampy i na rachunkowe książki padały...

On coś wtedy postanawiał—i postanowienia nie dokonał, coś miał uczynić—i nie uczynił... Co to było? Brat... syn... A! brat! Wyciągnął rękę, i z pod przycisku wyjął list, już przeczytany, lecz który poraz drugi chciał przeczytać. I wtenczas było tak samo: wyjmował z pod przycisku list brata, i czytał go, zastanawiał się nad zawartemi w nim radami. Potym już zaledwie kilka razy przez lat kilkanaście zamienili się listami, i to tamten zawsze odzywał się pierwszy, on zaś odpowiadał czasem w lat parę, krótko, zimno... bo po cóż?

Dziś znowu list od Dominika otrzymał, i miał takie uczucie, jakgdyby każdy jego wyraz spadał mu na serce ciężkim kamieniem, a w sercu piekącą łzą. Już mu się zdawało nieraz, że tyle tylko o bracie pamięta, ile o każdym, najobojętniejszym i bardzo dawno spotykanym, człowieku,—że wcale on dla niego nie istnieje; jednak dziś znowu się przekonał, że tak nie było. Swoja krew, swój ból, swoja hańba! Nic nie pomoże; całą godzinę po salonie chodził, z myślami i wspomnieniami bił się, oburzał, żółcią pluł, a teraz znowu ten list przeklęty z pod przycisku wyjął i czytać zaczął, tak zupełnie jakby rozkosz ostrą i podniecającą w męczeniu samego siebie znajdował.

„Kochany bracie!

„Zdaje się, że już ze trzy lata od ciebie wiadomości nie miałem; na ostatnie moje pismo nie zaszczyciłeś mnie odpowiedzią. Ja jednak piszę, aby rozdzielić z tobą moją radość, z dwuch przyczyn wynikającą. Pierwsza przyczyna ta, że już, chwała Bogu, jestem od roku tajnym sowietnikiem, a jeżeli Bóg życia przedłużyć raczy, może mnie kiedy i z krzesłem w senacie powinszujesz. Jakie-by tam nie były twoje przesądy i uprzedzenia, zawsze to miło mieć brata senatora, a tymczasem i tajny sowietnik wstydu tobie nie robi. Przytym,

na wypadek jakiego nieszczęścia, czy ważnego interesu, dobrze wiedzieć, że w swoim rodzonym bracie masz dobre plecy. Ot tak, powiodło się mnie na służbie, za co dla naszego ojca wieczną mam wdzięczność, bo, gdybym w uniwersytecie nie był i nauki nie miał, nigdy-bym do tego stopnia, na którym teraz stoję, nie doszedł..."

Benedykt ręce z listem na kolana opuścił; gorzki uśmiech błądził mu pod długiemi wąsami; oczy szklisto wpatrywały się w przestrzeń. Może przez wyobraźnię wywołana, stała przed nim postać ojca, i tego ojca teraz zapytywał:

— Czy w istocie w tym celu?... czy dla takiego rezultatu? Czyś mógł spodziewać się?... Jeżeli z tamtego świata patrzysz... czy Stwórcy za nieśmiertelność dziękujesz?

Drugą przyczyną radości Dominika, którą dzielił z dawno niewidzianym bratem, było świetne wydanie za mąż najstarszej córki: za pułkownika wyszła. Dla panny bez posagu była to partja świetna. Jakkolwiek bowiem powodziło mu się na służbie, funduszu nie zebrał i córce posagu żadnego dać nie mógł. Wyprawił jej tylko wesele świetne, którego opis zajmował całą stronicę listu. Jeden książę, dwuch baronów i czterech generałów wesele to zaszczyciło. Zresztą zięć jego sam za lat kilka pewno generałem zostanie.

Co się tyczy dwuch jego synów, jeden był jeszcze młodym, a drugi, starszy, kształcił się w szkole wojennej, czując wielki pociąg do wojskowości.

Potym kilkanaście wierszy listu zajmował opis zabaw i przyjemności, które przez ostatnią zimę napełniały stolicę. Włoska opera była szczytem doskonałości, a kilka balów przewyższyło przepychem wszystkie dotąd widziane...

Nie dokończywszy czytania, Benedykt położył list na biurku. Jak te motylki fruwają, fruwają dokoła lampy i na rachunkowe księgi padają! Rzeźwy wiatr wnika przez wpółotwarte okno. W domu i w sercu cicho, ciemno, ponuro. Kiedy to był taki sam wieczór? A! po owej rozmowie z żoną, w altanie. Pamięta. Wtedy poraz pierwszy dokładnie rozpoznał ten słodki egoizm i tę wdzięku pełną niedołężność ciała i ducha. Wtedy też powiedział sobie, że sam jeden z pomiędzy trzech tutaj kołatać się musi; sam jeden pozostał. Cóż? Wszędzie to samo. Z trzech, a gdzieniegdzie i z dziesięciu, nie koniecznie braci, ale rówieśników, przyjaciół, jeden pozostał. Zupełnie tak, jakby z kogoś wyciekł strumień krwi, a tylko tu i owdzie ocalałe jej krople tułały się po żyłach zosobna, skurczone, skrzepłe...

Ale co stało się wtedy, owego wieczoru, który do dzisiejszego tak był podobny? Coś go wtedy pocieszyło, podźwignęło,

do tego miejsca przykuło... Syn! I jak obraz, z mroku na jasny dzień wysunięty, stanął przed nim wyraźny, doskonale widziany moment dalekiej przeszłości. Otworzyły się drzwi pokoju, wbiegła przez nie istota ludzka młodziutka, swawolna, skacząca, i ze szczebiotem, z pieszczotą, wskoczyła mu na kolana. Drobne ramiona objęły jego szyję, niewinne oczy zajrzały w posępne źrenice, świeże dziecięce usta pocałunkami rozgładziły wszystkie zmarszczki i wszystkie chmury pozdejmowały mu z twarzy.

— Widziu! Kochasz ty Niemen? lubisz ty te motylki? lubisz ten bór za Niemnem, w którego głębi, w cieniu jodeł, zapomniany i nieuczczony twój stryj spoczywa snem wiecznym?

Dziecko już wtenczas to wszystko kochało, a on, pokusy i rady, gdzieindziej go wabiące, odepchnąwszy, wziął znów krzyż swój na barki i—jeden z trzech—tu pozostał...

Co to? Śpieszne kroki ozwały się w przyległym pokoju, otworzyły się drzwi,—te same co wówczas, - do gabinetu wbiegł zgrabny, wysmukły, młody mężczyzna. Znowu on! tylko dorosły teraz i tak dojrzały, jakby każdy rok przez niego przeżyty w widokach i wrażeniach życia, nakształt ziarna w sokach ziemi, nad miarę rósł i nabrzmiewał. Przez pokój przyległy biegł, ale u drzwi gabinetu zatrzymał się i, prędko oddychając, chustką powiódł po rozognionej i spotniałej twarzy. Przybywał widać z miejsca napełnionego upałem i ściskiem, a gdy twarz odsłonił, zdawać się mogło, że owo miejsce było także miejscem męczarni. Niewysłowiona męka biła mu z oczu i zmarszczkami występowała na czoło. Benedykt ruch żywy na fotelu uczynił, naprzód się podał.

— Witold!

Wejście syna było dla ojca niespodzianką.

— A co? skąd przychodzisz? czegożeś taki rozgrzany i zmęczony?

Młodzieniec, nie odpowiadając, naprzód postąpił i przed ojcowskim biurkiem stanął.

— Mój ojcze!..

Zawahał się, oczy spuścił i po kilku sekundach dopiero, zwykłym sobie ruchem stanowczości ręce w tył zakładając, zcicha dokończył:

— Przychodzę, mój ojcze, z ustami i sercem pełnemi skarg!

— Na kogo? czyich?—zapytał Benedykt.

— Ludzkich... na ciebie, ojcze!

Benedykt oczami błysnął.

— Na mnie, cóż? Czy kogo na drodze zrabowałem, albo czyje dziecko na śniadanie zjadłem?

— Na wszystko błagam cię, ojcze—zawołał Witold,—po-

rzuć ten ton drwiący i rozjątrzony, z jakim przemawiasz, ilekroć pewnych stron życia, dla mnie nad życie droższych, dotykamy!... Młody jestem, to prawda... lecz cóżem winien temu, że natura, zamiast serca, nie włożyła mi w piersi busoli, z igłą zwróconą ku drodze użycia, zysków i... świetnej karjery!

Wzrok Benedykta przemknął po leżącym na biurku liście Dominika, jakby go ku niemu ostatnie wyrazy syna pociągnęły.

— No, dobrze—zaczął,—czyż ja kiedy tego pragnąłem? Czego chcesz?

— Dla siebie, ojcze, nic nie chcę; dla ludzi... wiele!

— Androny!—krzyknął Benedykt i, żywo podnosząc się z fotelu, z płomieniem w oczach, z brwią namarszczoną mówił, a raczej wołał, dalej:—Wiem gdzie byłeś! domyślam się, co ci tam nagadali! Skarżą się, że dobro ich zagrabiłem, że ich ze skóry obdzieram... prawda?

— Tak, ojcze!

— Czekaj-że więc!

Z temi słowami ku szafie się rzucił, spory zwój papierów z niej wyjął i, do biurka wracając, mówił:

— Popatrz i przeczytaj! Musisz popatrzyć i przeczytać! Musisz przekonać się, że ten kawał ziemi, o który mi oni proces wytoczyli, do Korczyna zawsze należał... Musisz zawstydzić się za posądzenie, że twój ojciec kogokolwiek okradać chce!... Do tego jeszcze nie doszedłem... Nie! Jakimkolwiek jestem, do tego jeszcze nie doszedłem... Musisz zawstydzić się!...

Gdy plan Korczyna na biurku rozkładał, wielkie ręce jego drżały, ale, hamując się, długo po planie palcem wodził, ze starych dokumentów wyjątki czytał, mówił, dowodził. Potym, prostując się i wzrok na syna podnosząc, zapytał:

— Cóż? wstydzisz się teraz?

— Nie, ojcze!—odparł Witold.

— Jakto? Nie przekonałem cię?

— I wprzódy przekonany byłem, że myśl nawet o przywłaszczeniu sobie cudzej własności przejść ci, mój ojcze, przez głowę nie mogła...

— Więc cóż? więc o co chodzi? więc czyjaż w tej sprawie wina?

Witold ręce w tył założył i, śmiałemi oczyma pałający wzrok ojca spotykając, odpowiedział:

— Twoja, ojcze!

— Facecja!—wybuchnął Benedykt.—Oni, jak tabaka w rogu ciemni, wierzą każdemu pokątnemu doradzcy, który z nich sobie trzodę dojnych krów chce uczynić; oni na każdym kroku wyrządzają mi psoty i szkody...

— Przebacz, ojcze—przerwał Witold,—dlaczego oni ciem-

ni jak w rogu? dlaczego chciwością pożerani? dlaczego nieprzyjaźni?... Czy niczyjej winy w tym niema, tylko ich jednych?

Zapytania te tak uderzyły Benedykta, że umilkł, z ciężkim westchnieniem rzucił się na fotel i wahającym się głosem przemówił:

— Dlaczego? dlaczego? Ha! gdybyż to można wszystkich czarnych mar i ciężkich plag życia zapytywać: skąd? za co? dlaczego?

— My ich zapytujemy — podchwycił Witold. — Tak, mój ojcze, całą siłą umysłów i serc naszych zapytujemy, a one nam odpowiadają! Ta, o której teraz mówimy, odpowiada: „Zrodziły mię omamienia i nienawiści wieków; zagłada moja w świetle i miłości"...

Teraz, wszystko, co uzbierał z książek i od ludzi, wszystko, co włożyła w niego natura, a rozjaśniła i potwierdziła nauka, — wylewać mu się zaczęło z ust wymownych i drżących. W szerokich zarysach kreślił ideje i teorje, od których urzeczywistnienia, zdawało się mu, zależy wzmocnienie i odrodzenie narodów, jego narodu nadewszystko; w których dostrzegał jedyną podporę dla najwyższych myśli i podbojów, w wiekowej pracy zdobytych przez ludzkość; które, wedle niego, przynieść miały ratunek dla krwawych cierpień, lasem rąk, do nieba o pomstę wyciągniętych, wyrastających z gruntu, oranego przez złość i przemoc.

Od abstrakcji, mających dla niego urok tak nieprzeparty, że, mówiąc o nich, wyglądał jak człowiek w niebo zbawienia zapatrzony, niespokojnie przebiegł do powszedniej, palącej rzeczywistości. Opowiadał wszystko, co widział i słyszał tam, skąd przybył; powtarzał prośby, z któremi go tu przysłano, skargi i obwinienia, które szumiały mu jeszcze w uszach i paliły serce.

Benedykt nie przerywał, milczał, a biegły tylko znawca dusz mógłby odgadnąć, jakie uczucia zapalczywa mowa młodzieńca budziła w jego srodze i tajemniczo zatrutej duszy. Zagłębiony w fotelu, przygarbionemi plecami do poręczy jego jakby przyrósł; z bledszej niż zwykle i w tysiąc zmarszczek zoranej twarzy długie wąsy nieruchomo na pierś mu zwisały; oczy jego czasem mąciły się aż do dna, i powieki na nie opuszczał, to znowu je podnosił i namiętne płomienie na syna z piwnych źrenic ciskał. Jak grób milczał i jak w grobie odbywały się w nim rzeczy posępne i tajemnicze. Czy przejmujące go z kolei uczucia były wstydem, żalem lub gniewem—to pewna, że cierpiał, a cierpiąc, czuł jednak, że z obfitych i gorących słów syna powstawała i o pierś mu uderzała jakaś fala błękitna, śpiewna, niegdyś mu dobrze znana, lecz przez życie

pochłonięta, a teraz, niby z przepaści życia, ku niemu powracająca.

Zdaleka, bardzo zdaleka dochodziły tu jeszcze urywane nuty starych pieśni, nad osrebrzoną powierzchnią Niemna chórem śpiewanych; u okna białe motylki z lekkim stukiem na biurko padały, bijąc trwożliwie krepowemi skrzydłami o księgi rachunkowe i rozłożony plan Korczyna. Rzucał na nie czasem wzrokiem i spotykał także ku brzegowi biurka odrzucony i szeroko rozwarty list Dominika. Ilekroć spojrzenie po tym liście przesunął, tyle razy usta, mające już gwałtownym słowem wybuchnąć, zamykał, zmącony wzrok ku ziemi spuszczał i znowu milczał, coraz pilniej, z coraz boleśniejszym prawie wytężeniem wsłuchając się w mowę syna.

Witold, bardzo blady, z drżącemi rysami, przytłumionym głosem mówił:

— Ty o tym wszystkim nie wiedziałeś, ojcze? prawda, że nie wiedziałeś? O ich strapieniach, opuszczeniu, niebezpieczeństwach... o tych złorzeczeniach, któremi cię okrywają... o tych dobrych uczuciach, któremi są gotowi każde twe dobrodziejstwo, każdy promyk światła, któryby od ciebie padł na nich, odpłacić... nie wiedziałeś? Powiedz mi, mój ojcze, o! powiedz mi, żeś o tym wszystkim nie wiedział, i że tylko niewiadomość... Jak oni stryja Andrzeja wspominają!... za miłość, z jaką zbliżył się do nich, za trochę światła, za to, że duszę ludzką w nich budził... jak go wspominają! Ale ty o tym nie wiedziałeś, ojcze, nie myślałeś... i tylko dla tego...

Nagle umilkł. Coś mu głos zerwało: może łzy z całej siły powstrzymywane, może ściśnięcie się serca, oddech tamujące... Po zbladłym czole dłonią powiódł, plecami się oparł o ścianę, na której wśród skóry niedźwiedziej połyskiwały skrzyżowane strzelby.

Benedykt zdawał się jeszcze słuchać i czekać. W ziemię patrzył.

— Cóż? - odezwał się,—cóż dalej? Mów... sędzio! Słucham! chcę cały swój wyrok usłyszeć. Czy na gardło mnie skażesz, czy tylko... na wieżę?

Ile w tych słowach było bezdennego smutku, Witold nie dosłyszał; zrozumiał tylko ich ironję i szał bólu zaświecił mu w oczach. Wyprostował się, drżał cały.

— Nie masz prawa, mój ojcze, igrać tak z najświętszemi uczuciami memi!—zawołał.—Młody jestem! cóż stąd? Nam, dzieciom czarnej nocy, jak żołnierzom w porze wojny, rok za dwa liczyć się powinien! W upale cierpień prędko dojrzewamy!

Wpół ze zdumieniem, wpół z ironją Benedykt sarknął:

— Cierpień! ty... cierpiałeś?

— Więc myślisz, ojcze, że ci, których młodość gotowa istotnie w każdej jaśniejszej chwili wytrysnąć swawolą i śmiechem, nie rozglądają się przecież w koło siebie, nie rozumieją, nie czują kurczów chłostanej dumy, nie mają litości, która w nich płacze, i trwogi o rzeczy drogie, która w nich krzyczy: „Ratunku!" i o ten ratunek zapytywać im każe wszystkich dróg czynu i wszystkich otchłani myśli? Kto tak mniema, niech o to zapyta naszych, w poranku przekwitających, twarzy, oczu od wpatrywania się w oblicze wiedzy przedwcześnie znużonych, i tego, czego nikt dojrzeć nie może: tych wulkanów żalu, obrazy, nadaremnych porywów i złorzeczeń, które wrą nam w piersiach! Młody jestem, cóż stąd? kiedy już z życia tyle wyssałem piołunowych soków, ile ich trzeba, ażeby w głowie szumiały pytania: skąd? na co? dlaczego? W takich pytaniach dusze dojrzewają prędko!...

Teraz w szerzej niż zwykle rozwartych oczach Benedykta malowało się osłupiałe prawie zdziwienie. Ten chłopak, ten mały—jak go dotąd jeszcze w myśli swej nazywał—już zblizka dotknął kąpieli cierpienia, w której on sam nurzał się od tak dawna; co większa, z jednego źródła biły dla nich obu kipiące i gorzkie jej wody. Przypomniał sobie teraz, że powielekroć uderzały go i niepokoiły jakieś blade cienie, po twarzy tego młodzieńca błądzące, mgły znużenia przyćmiewające czasem ognistość jego wzroku, pierwsze zarysy zmarszczek na czole, które, według praw natury, jaśnieć powinno było nieskazitelną świeżością poranku i wiosny.

Pochylił się, szyję wyciągnął, wpatrzył się w syna. Tak! było to istotnie dziecię dnia burzliwego i ciemnej nocy. Nigdy w jasną pogodę pąki kwiatów nie rozwierają z tak męczeńskim pośpiechem swych purpurowych kielichów. Łatwo było poznać, że ta rozmowa z ojcem sprawiała mu nieopisaną mękę i że ku tej męce popychała go, tak jak niezawodnie ku wszelkiej innej popchnąć-by musiała, siła przekonań i uczuć, pracująca w nim z nieprzezwyciężonością i bezwiednością krwi, w żyłach człowieka krążącej. Dłonią szczupłą, taką, jaką miewają ofiary górnych marzeń, ale której namiętne ujęcie silnym i uporczywym być musiało, wodził po czole strapionym, udręczonym nad rozgorzałemi źrenicami, bladym.

— Ciężko... straszno... straszno mi tak mówić do ciebie, ojcze! Rozdarty jestem pomiędzy tobą a tym, co mi nad ciebie, siebie, nad wszystko droższe... Nie jam jeden taki! Co sprawiło, że pełni jesteśmy bezbrzeżnej litości nad maluczkiemi mrówkami i kretami ziemi, że w ciemne i ciasne ich podziemia iść pragniemy i idziemy, choćby wśród nich oczekiwało nas całopalenie własnego ciała i serca? Co sprawiło, że nie może-

my, choćby w pokładzie złota, tkwić z nieruchomością grzybów, ale pragniemy biec, ratować, pocieszać, uczyć, budzić, wskrzeszać? Co to sprawiło? pochód wieku, którego jesteśmy dziećmi? czy wezbrane morze myśli ludzkich, którego sami jesteśmy żeglarzami? Czy to inne morze cierpień, które, zalewając nam serca i gardła, budzi w nas jasną i wczesną świadomość powszechnego bólu świata, z bezbrzeżnym dla niego współczuciem? Ale to współczucie, te święte dla nas ideje, razem z krwią krążą nam w żyłach, z mózgiem, myślą, z sercem tętnią... One są epopeją naszą, z nich powstają nasze tragiedje... One też są naszą jedyną nadzieją! Jaką nadzieją? O! jej imienia, ty, ojcze, wspominać zabraniasz .. tu nie wolno żadnego świętego imienia wspominać, bo ciągnie ono za sobą bladą marę strachu! Ten strach wieczny... ta ostrożność niewolników, których drżeniem przejmuje sam brzęk ich obroży... to zagrzebanie szlachetnej duszy w prochu bojaźni i interesu... ta obojętność dla wszystkiego, co nie żywi i nie odziewa ciała... ten brak miłości dla ziemi i ludzi...

— Witoldzie!

W tym wykrzyku, który Benedykt rzucił w mowę syna, był taki gwałt i bólu i gniewu, że młodzieniec umilkł nagłym zamyśleniem ogarnięty. Pochylił głowę.

— Wiem, ojcze; że bardzo byłem zuchwały, — dziwnie zmienionym głosem zaczął,—pomiędzy sobą i tobą wzniosłem zapewne ścianę nieprzebitą, i która rozdzieliłaby nas na zawsze, gdybym po tym, co się stało, żył jeszcze... Ale, jeżeli martwy u nóg twoich padnę, przebaczysz mi... prawda? przebaczysz? i znowu tak samo kochać mię będziesz jak niegdyś?... Tylko umarłemu dziecku przebaczyć można taką zuchwałość i taką obrazę... Coś mam w sobie, ojcze, co mię ku ciemnym otchłaniom popycha...

Mówił to cicho i z cichym żarem źrenic, którym się objawiają najniebezpieczniejsze, skupione w sobie, szały; przytym, ruchem powolnym, a coś stanowczego w sobie mającym, wyciągnął rękę ku jednej z wiszących na ścianie strzelb.

Benedykt porwał się, i jak płótno blady, w mgnieniu oka za ramiona go pochwycił.

— Warjacie! dziecko! co ty robisz! Czemuż nie? Ty i na to gotów jesteś! U was nawet taka zaraza panuje... Tuziny was teraz kule w łeb sobie pakują! Ach, ty! Mądryś taki, a zielono ci w głowie... O, te ideje, te ideały... te... to, tamto... które tych błaznów do takich nawet rzeczy doprowadzają... Boże miłosierny!

Strzelbę, którą dziś sam w obecności syna nabijał, z rąk mu wyrwał, na ścianie zawiesił, lecz wzamian obie ręce mło-

dzieńca pochwycił i z całej siły w szerokich dłoniach je ścisnął. Prawie straszna była w tej chwili jego twarz ciemna, pomarszczona, wąsata, której groza przewidywań szeroko rozwierała oczy i podnosiła włosy nad zbladłym jak chusta, a kroplami potu świecącym, czołem. Z wyciągniętą ku synowi szyją, oczy w nim zatapiał, szeroko otwarte, przerażone.

— Wiesz ty?—szeptał—wiesz? może nie wiesz! ale ja to wiem... widywałem... wszak ty zginiesz... czy słyszysz? z tą zapalczywością swoją, z tym ogniem... z tym... to... tamto... zginiesz!

I, coraz mocniej ręce syna ściskając, powtórzył jeszcze powielekroć:

— Zginiesz! zginiesz! niechybnie zginiesz!

Aż z ogromnym westchnieniem, które, jak wicher, do samego nieba, zda się, dotrzeć chciało, wymówił:

— Boże! Boże!

Tak samo niegdyś, z tą samą grozą, w chacie Anzelma, przed oknem ciemnością nocy zasłonionym, imienia boskiego przyzywał. Ale tym razem, z ciemności, które mu przed oczyma zapadły, wydobył się głos młodzieńczy, łagodny i dziwną jakby melodją przejęty:

— Ojcze mój, nie lękaj się i nie żałuj, jeżeli dziecko twoje zginie na mlecznej drodze przyszłości, w blasku jutrzenki, w ogniu ofiary! Nie sąż także zaginionemi ci, którzy chodzą po nizinach samolubstwa, zaprzaństwa, rozkoszy ciała a nędzy ducha?!

Benedykt przez chwilę wspominał, myślał, aż serce jego gwałtownym rzutem skoczyło myślą ku bratu, który oddawna, z krwawą plamą na młodym czole, pod wilgotną ziemią spoczywał. Długo jeszcze patrzył na syna, aż ręce jego z żelaznego dotąd ujęcia uwalniając, obie dłonie ku czołu podniósł i głucho wyszeptał:

— Krwi moja! młodości moja! falo, która nas niosłaś... powracająca falo!...

Z głową schyloną, z dłońmi u czoła, ze zgmatwaną gęstwiną włosów, odchodził ku biurku, niby w śnie powtarzając:

— Powracająca fala! powracająca fala!

Były w tym szepcie groza i zachwycenie.

Potym odkrył twarz i, jedną rękę o biurko wspierając, wyprostował się, głowę podniósł, zmienił się dziwnie. Blask jego oczu wilgotny był i jakby rozmarzony, postawa dumna. Na syna patrzył.

— Słuchaj—zaczął:—jeżeli wam się zdaje, że wy pierwsi wymyśliliście wszystkie szlachetne uniesienia i wzniosłe ideje, że wy pierwsi poczęliście kochać i ziemię, i lud, i sprawiedli-

wość, to popełniacie błąd gruby i grzech przeciw sprawiedliwości...

Zatrzymał się na chwilę: tak już dawno w ten sposób i o takich przedmiotach nie mówił, że może słów mu zabrakło, albo myśli splątały się w głowie. Ale powracająca fala odnosiła mu wszystko, co życie zabrało, i przypomniała wszystko, co niegdyś umiał, wiedział, czuł.

— I w naszych ustach—mówił dalej — brzmiało niegdyś hasło poety: „Młodości! ty nad poziomy wylatuj!" i myśmy latali na mleczne drogi, i w blaski jutrzenki, i w ognie ofiary! Ten lud... to wasze bożyszcze... Boże wielki! to-żeśmy się ku niemu jak szaleńcy rzucili, jak w słońce w niego wierzyli, jak w zbawienie zapatrzyli, na rękach prawie podnieść go usiłowaliśmy, dobro nasze i samych siebie słaliśmy przed nim... Krzywdy przez ojców jeszcze zrządzone, własnemi choćby ciałami pragnęliśmy unieść ze świata i z jego pamięci... A ziemia! Boże! dzieckiem, chłopięciem, młodzieńcem, ja każdą roślinkę, każdą kroplę wody, każdy jej kamień kochałem... mógżem być wrogiem ludzi, którzy z niej powstali? To ja... ale niemało, niemało nas takich było! Śmiech bierze na wspomnienie! Młodzi mędrcy, poeci... rycerze... apostoły... wskrzesiciele... górne marzenia... wielkie nadzieje... ogniste zapały!... Wszystko jak w wodę wpadło! Śmiech na wspomnienie bierze!

Zaśmiał się istotnie, z oczyma pełnemi łez. Drżącym głosem, lecz z głową podniesioną, zaczął znowu:

— Słuchaj! Korczyńskim braku ideałów, braku miłości dla... dla...

Stare przyzwyczajenie język mu splątało. Zająknął się.

— Dla... to... tamto...

Ale powracająca fala znowu go błękitem i ogniem oblała:

— Braku miłości dla ideałów Korczyńskim zarzucić nikt nie ma prawa. Jeden ją życiem opłacił... drugiego zawiodła ona tam, gdzie powoli i stopniowo pozbył się czci i honoru... trzeci... trzeci przebył życie, zazdroszcząc temu, który w mogile leży!

Teraz dopiero, te łzy, które napełniały mu oczy, spadły z nich dwiema wielkiemi kroplami i ze zmarszczki na zmarszczkę toczyły się po policzkach. Ręką machnął, na fotel opadł i szeroką dłonią zasłonił sobie czoło i oczy.

O dwa kroki od niego na krześle siedzący Witold, osłupiały, niemy, chciwemi oczyma wpatrywał się w ojca, domyślając się istoty i natury tej siły, która go tak dziwnie wśród rozmowy z nim przetworzyła. Jak wrzątek, długo i szczelnie zamknięty, po zerwaniu pokrywy z gwałtem i szumem wylewa się na zewnątrz naczynia, tak gorycze, żale, gniewy, napełnia-

jące to strute i chmurne serce, wybuchały zeń obfitemi i namiętnemi słowy. Natura nie stworzyła go milczącym i skrytym.

Był czas, w którym dom ten rozlegał się cały od dźwięku jego głosu, hojnie wśród zbierających się tu tłumów rozrzucającego hasła, nauki, namowy, rozprawy, sprzeczki. Ale potym strasznie uciszyło go życie. Sto przyczyn na sto zamków zamknęło mu usta. Płynęły dni za dniami, lata zą latami — on milczał. Z czasem i z samym sobą rozmawiać przestał o wszystkim, o czym dawniej rozmawiał z mnóstwem ludzi: tak już przywykł. Dziś dopiero rozmowa z synem zerwała z jego serca kamienną pokrywę i otworzyła mu usta. Byłoż to opowiadanie? byłaż to spowiedź? byłoż to usprawiedliwienie się przed dzieckiem tak niezmiernie kochanym, a które mu dziś w oczy cisnęło gradem wyrzutów, prawie obelg?

Potrzebę usprawiedliwienia podszeptywało mu sumienie: „Wytłumacz, wytłumacz, dlaczego cię to dziecko znalazło takim, jakim się stałeś, i dla czego straciłeś to wszystko, co je napełnia, a coś i ty w równej mierze niegdyś posiadał!" — Serce w nim także wołało: „Mów! bo inaczej, nie pęknie i nie runie nigdy ta ściana, która wzniosła się pomiędzy tobą a tym dzieckiem, tą krwią krwi twojej, tym powtórzonym obrazem twojej młodości, tą powracającą falą wiary, nadziei, czarodziejskich i bohaterskich snów o nowych jutrzenkach i ofiarnych stosach!"

Mówił, opowiadał, co stało się i działo potym, gdy wszystko wpadło w wodę. Dawne to dzieje. Zdaje mu się, że nie dwa dziesiątki, ale dwie setki lat, od tego czasu upłynęły, tak wszystko dokoła niego zmieniło się i w nim samym. Zmienił się zaś on nie odrazu, nie nagle, ale stopniowo, jak stopniowo rdza gasi blask i wyszczerbia ostrze zakopanego w ziemi żelaza; jak stopniowo szczupleją, tracą siłę i znikają nieużywane do ruchu członki ciała; jak stopniowo zmierzch wieczoru pochłania światło dnia; jak stopniowo ciemnieje w sobie, słabnie, gaśnie człowiek ciężko i nieustannie smutny...

Mógł był odejść w wesołe strony: nie uczynił tego. Mógł w lichych przysmakach życia szukać przypadającej nań cząstki szczęścia: nie używał ich wcale. Z górnej, lotnej jego młodości pozostało mu tyle, że podłości nie popełnił, a w pracy, choć poziomej i ciasnej, pogrążył się z surowością mnicha i zapalczywością taką, z jaką rozbitek chwyta i ściska jedyną deskę ze strzaskanego statku pozostałą. Na tę pracę, acz poziomą i ciasną, padał przecież i z góry jakiś promień. Jak ktoś, co dziwi się i usprawiedliwia, Benedykt ręce rozkładał i zapytywał:

— Cóż było robić? co było robić? Mówiono, wołano, zaklinano: „Ziemia! ziemia!" Trzymałem ziemię...

Trzymał ją i dla siebie, bo w nią wrósł, i przez dumną ambicję postawienia na swoim, i przez myśl o synu.

Ale w jeden punkt zapatrzony, inne z oczu tracił; jak wół ze schyloną pod jarzmem głową, jednę bróżdę depcąc, inne dostrzegać przestawał; w jednym namiętnym usiłowaniu skupił wszystkie siły, i na nic innego już mu ich nie stało. Żelazo nie czuje osiadającej na nim rdzy, ale człowiek łzami zrazu oblewa każdą na własnej duszy dostrzeżoną plamę. Gdy nie mógł żyć tak, jakby pragnął, gdy potym już i pragnienie innego życia w nim gasło; gdy nad rozwartą książką oczy mu do snu kleić się zaczynały, gdy spory i kłótnie różnić go z ludźmi poczęły, gdy zrazu ścigać wzrokiem, a potym i rozumieć przestawał różne oddalone drogi i myśli świata,—długo we środku mu coś płakało. Jak długo? nie pamięta, wie jednak, że z czasem przywykł do wszystkiego; tylko ten płacz wewnętrzny, którego już w sobie nie czuł, przemienił się w głuchy i gorzki war, co chwila wybuchający zeń gniewem, rozjątrzeniem, niby ciężką przeciw życiu i światu obrazą. Czasem jeszcze tylko daleka, nieosobista nadzieja błąkała mu się po sercu.

— Może on? może dla niego.. przez niego... z nim?... O synu myślał. Była to już jedyna jego nadzieja...

Dwa razy w cichym domu zegar ścienny ogłaszał popółnocne godziny, a Benedykt jeszcze rozmawiał z synem, lecz już inaczej niż wprzódy. Jak niegdyś, przed wielu laty, Witold ramiona na szyję ojca zarzucił i rozpalonemi usty scałował grube łzy, które po tej twarzy ściemniałej, spalonej, ze zmarszczki na zmarszczkę ściekały. Myślał on, że bez zaprzeczenia samemu sobie wolno mu było z miłością przycisnąć się do tej piersi, która przyjęła w siebie wiele ostrych grotów i coś większego, wyższego nad własny interes osłaniała albo osłaniać mniemała; że bez zaprzeczenia samemu sobie wolno mu było ze czcią całować te ręce, których nie wybieliły próżniactwo i zbytki. Przypomniał sobie, że to nawet, co w sobie nosił i nad własne życie cenił, jemu był winien.

— Ojcze mój! do grobu, do ostatniego tchnienia wdzięczen ci będę, żeś mię nigdy od reszty ludzkości nie oddzielał, piedestałów mi nie budował, na królewicza i samoluba mnie nie chował. Gdyby nie ty, od kolebki pewno owiniętoby mię w watę zbytku i zamknięto w klatkę przesądu. Byłbym dziś może, jak ten nieszczęsny Zygmuś, lalką z żurnalu mód wycięta i niedoszłym jakim artystą, albo, jak Różyc, kartką welinu w roztworze morfiny umoczoną!

Benedykt ręką jeszcze oczy zasłaniając, z poczynającym się na ustach uśmiechem, pod wąsami mruczał:

— No, tak, tak, chłopcze! Nie zgłupiałem przecież do tego stopnia, aby myśleć, że syn mój z innej gliny niż inni ludzie ulepiony, i nie spodlałem tak, aby poddać się woli bab, które-by z mego dziecka zrobiły ładnie ufarbowany gałganek!

Z wahającemi się jeszcze uśmiechami na siebie patrzyli. Więcej niż kiedy czuli jak niezmiernie kochali się wzajem, zrozumieli też jak bardzo byli do siebie podobni. Chwili jednej wielkiego uniesienia i piorunującego wspomnienia trzeba było na to, aby z jednego z nich spłynęła ta rdza, która mu przez długie lata osiadała duszę, i aby to podobieństwo wystąpiło jawnie i jasno.

Nagłym ruchem głowę w tył odrzucając i palcami ocierając wilgotne jeszcze oczy, Benedykt zawołał:

— Jakby ciężar stufuntowy spadł ze mnie, kiedy wszystko przed tobą wygadałem. Nie wiesz, i bodajbyś nie dowiedział się nigdy, co to jest długie lata cierpieć z zaciśniętemi zębami i nie mieć na świecie jednej żywej duszy, przed którą człowiek mógłby śmiało, ufnie, wszystko, co ma w sobie, pokazać, pociechy, rady, a czasem i ratunku, wezwać. Może i to przyczyniło się wiele do mego ściemnienia i zdziczenia, żem takiej duszy przy sobie nie miał. Marzyłem nieraz, że ty mi będziesz tym wszystkim, a kiedy tego lata zdawało mi się, że i te marzenia, jak wszystkie inne, djabli wezmą, nachodziła mię taka rozpacz, żem nietylko już Andrzejowi, ale wszystkim pomarłym grobów ich zazdrościł...

Ale teraz wiesz już, ojcze, co nas dzieliło!—zawołał Witold,—i w przywiązanie moje dla ciebie wierzyć musisz...

Zawahał się nagle, zmieszał się, posmutniał znowu.

— Jednak, mój ojcze... zaczął, — jednak, powiedz mi, co myślisz... zamierzasz... z tymi ludźmi?...

Więcej niż cokolwiek innego zapytanie to przekonywać mogło, że istotnie w tym młodzieńcu pewne uczucia i myśli jak krew krążyły, jak pulsa tętniały, może samą podstawę życia jego stanowiąc. W najuroczystszej nawet chwili, w najgłębszym dla innego przedmiotu rozrzewnieniu, zapomnieć ich i pozbyć się nie mógł. Benedykt długo na niego patrzył. Uśmiech zadowolenia pod długim wąsem mu błądził.

— Uparty jesteś—zaczął;—widzę dobrze, że, śmiejąc się i płacząc, śpiąc i jedząc, zawsze o swoim myśleć i przy swoim stać będziesz! Moja natura! I mnie to stanie przy swoim kością w gardle nieraz zasiadało, a jednak i niebieskie rozkosze wzruszyć-by mię nie zdołały! Nasza, Korczyńskich, natura!

Zamyślił się, w przeszłość patrzył.

— Niegdyś postanowiliśmy byli wszyscy karczmy nasze pozamykać, aby chłopów do pijaństwa nie kusić. Wielu to uczyniło. Darzecki nie chciał. Andrzej różnił się z nim o to długo, ale potym przestał, i myśleliśmy, że za wygraną dał, zapomniał. Jednak raz, po długim milczeniu, znowu zawziętą sprzeczkę o niezamknięte karczmy i rozpijających się w nich chłopów ze szwagrem rozpoczął, i tu, ot, w tej samej sali jadalnej, przy wieczerzy, w uniesieniu tej sprzeczki, na Darzeckiego nożem cisnął... Szczęściem nóż mimo głowy szwagra przeleciał. Taki uparty był! Nie mówi już czasem o czymkolwiek, nie wspomina rok i dwa.. zdaje się, że dał pokój... aż tu nagle znowu zaczyna swoje... I ty taki...

Po chwilowym milczeniu zaczął znowu:

— Korczyńskich krew! Dziad nasz, legjonista, sześćdziesiąt lat z górą mając, jeszcze na wojnę chodził... A! przypominam sobie teraz! Towarzyszył mu jakiś Jakób Bohatyrowicz, którego starcem już przed dwudziestu kilku laty widywałem. Trochę obłąkany był, Pacenki jakiegoś, który mu żonę uwiódł, szukał... różne stare podania i zdarzenia opowiadał. Ja i Andrzej lubiliśmy go bardzo; Dominika tylko nudziła trochę jego gadanina. On był z nas na te rzeczy zawsze najobojętniejszy... Za wiele i za wesoło bawił się w wielkiej stolicy. Czy żyje jeszcze stary Jakób?

Jeszcze raz w sali jadalnej zegar ścienny wybił nocną godzinę, a Witold, odpowiadając na coraz liczniejsze zapytania ojca, mówił, opowiadał. Benedykt zapytywał krótko, kilku słowy, potym słuchał syna, z czołem na dłoni, ze wzrokiem wpatrzonym w przeszłość, która, z serca, z mózgu, ze słów jego syna wypływając, ogarniała go, podnosiła, prawie upajała. Kiedy nakoniec wstał z fotelu i przy dogasającej na biurku lampie przed oknem stanął, błękitny świt ukazał go tak wyprostowanym, rzeźkim, pogodnym, jakim może od skończenia się złotej godziny jego życia ani razu nie był.

— No, no!—rzekł,—prawdziwe dziwy! Jakby mię fala jakaś z dna wód gorzkich i zimnych na ciepłą murawę wyrzuciła!... Ale teraz, chłopcze, spać idźmy... na parę godzin tylko... na parę godzin... byle trochę przespać się i odpocząć. Potym, pójdziesz tam do nich i powiesz im, że tej kary sądowej nie żądam już... nie żądam... Istotnie, za wielką jest, a w tym, że ich oszuści wyzyskują i do złego prowadzą—moja wina! O miedzę z niemi żyję, i palcem, aby temu zapobiec, nie poruszyłem...

Uśmiechnął się smutnie.

— Andrzej-by na mnie za to nożem cisnął! Ale nie siedź tam długo—mówił dalej,—bo przecież wspólnie ułożyć musimy

różne projekty i plany na dalszą przyszłość, a potym, pod wieczór, może razem popłyniem na... to... tamto...

Zająknął się.

— Na Mogiłę! — dokończył.

Z nowelli „Gedali"

Fragment.

Korejba w ręce sąsiada pił wiśniówkę domowego wyrobu. Korejbina, z szerokim uśmiechem na kościstej i gapiowatej twarzy dolewała i dokładała jedzenia gościowi i dzieciom. Ekonom z Szumnej, ręką ze złotym pierścionkiem ocierając co chwila zsiadłe mleko ze sterczących wąsów, miodowe spojrzenia rzucał na Jadwisię, która, rozweselona i udobruchana, klęcząc na ławie, a połową ciała leżąc na stole, jadła z jednego talerza z bratem, bosemi piętami wybijała o brzeg ławki wesołe takty i zdecydowała się nawet, z chmurną trochę figlarnością, odpowiadać na zaczepki niemiłego konkurenta.

— Panna Jadwiga czegoś zła dzisiaj.

— Ja wcale nie zła, tylko się tak panu Tomkiewiczowi zdaje.

— A czy panna Jadwiga wie, że złość piękności szkodzi...

— To niech się pan Tomkiewicz nigdy nie gniewa, boby zeszpetniał...

— Czy to ja mam sobie w ten sposób rozumieć, że w oczach pani jestem teraz pięknym?...

Wszyscy obecni zajadając śmieli się i tylko Janek, na koncepty siostry i Tomkiewicza wcale nie zważając, ani na chwilę nie przestawał opowiadać o swym dzisiejszym polowaniu. Dźwięczny, cienki, wpółdziecinny jeszcze głos jego nieustannie górował nad wszystkiemi innemi głosami. Jadł, giestykulował i gadał. Najwięcej mowę swą zwracał do ojca, którego policzki wydęte były od pożeranych kartofli, a oczy błyszczały od gorąca i zadowolenia.

— Patrzę ja, tatku!... Trezor stoi... waruj! — krzyczę. — Stoi jak mur! Fuzją do oka... idę... Pójdź dalej! — mówię. — Trezor idzie dalej! pójdź dalej! dubelt foor! pif, paf, upadł...

Trezor, słysząc swe imię, biegał dokoła stołu, radośnie skomląc; dano mu talerz kwaśnego mleka.

— Cha, cha, cha, cha! — na całą izbę śmiał się Korejba — jak ta błaznota do wszystkiego staje! I do książki, i do fuzyjki... Tylko mi się kiedy nie postrzel, smarkaczu...

W tej chwili otworzyły się drzwi od sieni i, ręką czyjąś

popchnięty, do izby wpadł człowiek w długiej, podartej, u piersi rozwartej odzieży, w obuwiu wykrzywionym i białym od pyłu, z tłómokiem na plecach, z kijem i czapką w ręku. Popchnięto go tak silnie, czy też sam był tak słabym, że od progu zatoczył się jak pijany i stanął dopiero wtedy, gdy dłonią oparł się o ścianę; stanął pomiędzy drzwiami a kominem, w cieniu nieco i zgarbiony pod swym ciężarem, głowę na złote światło ognia wysunął.

Ta postać chuda, łachmanami okryta, chyląca się w nizkim ukłonie, z ciężarem na plecach, kijem w ręku, włosami rozrzuconemi i twarzą, sterczącą szczękowemi kośćmi a obleczoną skórą, podobną do żółtawego opłatka,—w tej, wesoło oświetlonej izbie, wśród tych zdrowych, ogorzałych twarzy, ciał bogatych w kości i tłuszcz, śmiechów rubasznych i skromnych dostatków, ukazała się, jakby nagle z ziemi wyrastający duch cierpienia.

— W imię Ojca i Syna...—niosąc rękę do czoła, zaczęła Korejbina.

— Wszelki duch Pana Boga chwali!—z drwiącym śmiechem krzyknął Tomkiewicz.

— Jezus, Maryja!—jęknęła Jadwisia i oczy schowała za plecy brata, który łyżkę na talerz opuścił i swawolą rozogniony wzrok swój wlepił w oczy przybyłego, zapadłe, błyszczące, olśnione i przerażone.

Ku stołowi szerokim krokiem zbliżył się krępy i silny chłopak, w krótkiej siermiężce i wysokich butach. Był to żyjący portret ojca. Tak niegdyś pewno wyglądał stary Korejba. Błękitne oczy młodzieńca błyszczały, czoło białością swą odcinało się od ogorzałych policzków; włosy miał jasno-złote jak u siostry, a ręce zgrubiałe od pracy na roli, jak u obojga rodziców. Niedbale skinął głową ekonomowi z Szumnej i stanął przed ojcem.

— Złodzieja, tatku, przyprowadziłem... groch nasz żarł, aż mu za uszami trzeszczało, a może też i w kieszenie nabrał. Niech tam tatko robi sobie sąd nad nim! ja swoje zrobiłem.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy mu matka wepchnęła w ręce talerz, pełen kartofli i skwarek, a Ignacy Korejba, podniósszy się nieco z ławy, pięścią w stół stuknął tak silnie, że aż podskoczyły na nim talerze i łyżki. Na nizkim i nawskroś zbróżdżonym czole starego rolnika, żyły nabrzmiały jak błękitne sznurki, oczy mu zapłonęły, policzki zaszły ciemną purpurą. W tym mgnieniu oka dostrzec można było, że gdy się rozgniewał, mógł być strasznym.

— A psie przeklęty! będziesz ty mnie moją krwawicę marnował!

Krzyk ten podobnym był do ryku lwa, tak jak sarkanie Stefana przypominało mruczenie młodego niedźwiadka. Zapychając usta kartoflami i szeroko giestykulując, wyrzekał on przed Tomkiewiczem na złodziejów, w różny sposób grabiących ich dobro. Choć wzbogaceni, ojciec i syn nie przestali własnemi rękami orać, siać, kosić; bronili więc swej krwawicy, jak wilki ciężko zdobytego łupu. Nagle przecież stary Korejba przestał krzyczeć i jak ludzie z osłabionym wzrokiem, dłonią sobie oczy przysłaniając, wpatrzył się w pojmanego.

— Co to?—zapytał—Gedali, czy co? Czy ty Gedali z Wołpy? No, gadajże! czyś oniemiał?

Zapytywany kilka razy poruszył ustami i po kilku sekundach zaledwie, znowu kłaniając się nizko, wybełkotał:

— Gedali! wielmożny panie! Ja... Gedali z Wołpy... ten sam, do którego wielmożny pan kiedyś po sól i żelaztwo zajeżdżał... ten sam, który tę fabrykę miał i parę tych pięknych koniów... co to pan wie... oj!...

Ochłonął nieco z przestrachu i głową żałośnie wstrząsał. Korejba dobrze go snać sobie przypominał, bo sapiąc opuścił się znowu na ławę i z gniewem jeszcze, ale znacznie już mniejszym sarknął:

— Ślicznieś się wykierował, na złodzieja, co po cudzych polach chodzi i kradnie...

Żyd chudą ręką uderzył się w piersi.

— Wielmożny panie! ja nie kradł, żeby mnie nieszczęście spotkało, jeżeli ja kradł! żeby ja jutrzejszego dnia nie doczekał..

— A cóżeś robił? — W jednym ręku trzymając talerz, a drugą w pięść ścisnąwszy, przyskoczył do niego Stefan; — a cóżeś to robił, niedowiarku, kiedym cię tam przy grochu schwytał? he?

— Nu! przepraszam!... niech wielmożny panicz nie gniewa się, ja tego grochu nie kradł...

— Cóżeś robił? — ze wzmagającym się znowu gniewem krzyknął Korejba.

Tomkiewicz, który na Żyda spoglądał z przygnębiającą wzgardą, zażartował:

— On pewno patrzył, czy w tym grochu ruble czasem nie rosną...

Żyd cicho wymówił:

— Ja jego jadł... to prawda...

Korejba wybuchnął znowu:

— A cóż to ty sobie myślisz, że ja groch sieje dlatego, aby każdy włóczęga objadał się nim podostatkiem. Poczekaj... nie daruję... musisz zapłacić, albo cię do mirowego (sędziego pokoju) zaciągnę..

Żyd znowu pokłonił się nizko.

— Oj,—jęknął—niech wielmożnemu panu sto lat życia i zdrowia będzie, kiedy wielmożny pan Gedalu daruje... ja do Szumnej na nocleg szedł i ten groch spotkał... On przy drodze rośnie! a czemu on przy samej drodze rośnie! Aj! wiele ja tam zjadł! troszeczkę...

Tomkiewicz, który widocznie dowcipem swym olśnić chciał ulubioną, figlarnie na Jadwinię zerknął i z grubym śmiechem zawołał:

— To wam, Żydzie, słowo honorowego człowieka, wasza religja wiele kraść nie pozwala, ale troszeczkę pozwala, co?

Żyd dziwnie jakoś oczyma ku mówiącemu błysnął i ze szczelnie zaciśniętemi usty milczał chwilę. Potym, w ziemię patrząc, odrzekł:

— Na co tu religja? Ona nikomu kraść nie pozwala.

I jeszcze ciszej kończył:

— Ja był głodny...

— Kiedyś był głodny, trzeba było prosić, ale nie bez pozwolenia brać...—zaczął Korejba; lecz Tomkiewicz, akcent żydowski naśladując, mowę mu przerwał.

— A jeżeli ten groch był trefny, to co teraz będzie?

Żółte wargi Gedalego poruszyły się niespokojnie; Tomkiewicz dotknął snać tym razem drażliwej strony jego sumienia. W ziemię patrząc i zwiędłe czoło swe, pod opadającą na nie gęstwiną siwiejących włosów marszcząc, dumał. Nagle wyprostował się o tyle, o ile tylko pozwalał na to tłoczący mu plecy tłomok, giestem rozpaczliwego postanowienia szeroko rozłożył ręce, twarz ku sufitowi zwrócił i po raz pierwszy, odkąd tu wszedł, głos nieco podnosząc, zawołał:

— Aj, aj! żeby sam rabbin koło tego grochu chodził, toby go trochę zjadł: taki groch!

W wykrzyku tym było tyle zapału, którym głodny żołądek przejął się dla pięknego grochu, że nikt z obecnych nie zaśmiał się, ale owszem stary Korejba i obaj jego synowie trochę spochmurnieli. Jeden Tomkiewicz miał widoczną ochotę strzelić znowu dowcipem, ale powstrzymał się, bo zauważył, że ulubiona jego zsunęła się z ławki i u komina stanąwszy, dużemi swojemi, siwemi oczyma ciekawie i poważnie na żyda patrzyła.

— Patrzcie-no,—po chwili ozwał się gospodarz domu,— coś ty tak zbiedniał, Gdalku! Jużem cię chyba z dziesięć lat nie widział, ale gdym często jeszcze bywał w Wołpie, pamiętam, że miałeś się wcale dobrze...

— Zbiedniałem panie, ze wszystkiego zbiedniałem...

Tomkiewicz wytrzymać już nie mógł.

— A żeby tak ślepy gołego okradł—huknął—jak to prawda jest, że on biedny! Który z nich biedny? Oni wszyscy, to pijawki, krwią ludzką napojone... słowo honorowego człowieka.

Gedali powolnym ruchem twarz zwrócił ku mówiącemu i patrząc nań, nie rozgniewanym, ale zamyślonym i nieruchomym wzrokiem, kij z ręki wypuścił i obie ręce ku piersi podniósszy, rozwarł okrywające ją strzępy chałata. Pod strzępami temi ukazała się koszula tak podarta, że ciemne, chude ciało zaświeciło przez wielkie jej dziury. Jednocześnie piersią tą wstrząsnął kaszel krótki i ochrypły, zza podartych rękawów chałata widać było nagie ramiona.

— Niechlujstwo!—mruknął Tomkiewicz i głośno na środek izby splunął.

Stojąca przy kominie Korejbina odwróciła twarz, szepcąc: „Matko Boska!" Korejba grubemi palcami zabębnił po stole, a Janek najniespodziewaniej w świecie swym cienkim, chłopięcym głosem zawołał.

— Dlaczego pan swojej torby z pleców nie zdejmie? Niech pan będzie łaskaw zdjąć z siebie tę torbę!

Tomkiewicz parsknął śmiechem.

— Pan! no, pan! Cha, cha, cha, cha! Słowo honorowego człowieka, jeszcze, jak żyję, nie słyszałem, żeby takich łapserdaków panami tytułować. Widać, że pan Jan wielkiej już grzeczności wyuczył się w mieście.

Chłopak zaczerwienił się jak wiśnia i z dumą szesnastoletniego gimnazjasty głowę podnosząc odparł:

— Może być, że pan Tomkiewicz o wielu rzeczach jeszcze nie słyszał, ale my to już dawno wiemy, że człowiek cywilizowany dla każdego grzecznym być powinien.

— Cicho, Janek, cicho!—ulubieńca swego oburknął Korejba, lecz wnet łaskawie dodał:

— No, zdejm już, Gdalu, ten wór z pleców i wyprostuj się, kiedy panicz tak chce.

Gedali, widocznie ucieszony, począł przez ramiona i głowę zdejmować grube sznury tłómoka. Nie mógł jednak tego uczynić odrazu: ręce mu drżały i zakaszlał się silnie.

— Jadwisiu! pomóżże mu!—zakomenderował Janek.

Dziewczynka, która stała najbliżej Żyda, podskoczyła w mgnieniu oka, czerwonemi i niemałemi wcale rękoma, przerzuciła mu w tył głowy splot grubego sznura! Tomkiewicz oburzył się.

— Jezus, Marja!—krzyknął — jeszcze czego, żeby panna Jadwiga około żydowskich łapserdaków rączki swoje brudziła! Co nadto, tego już, słowo honorowego człowieka, i świnie nie jedzą!

Ale Jadwisia, komendzie brata-gimnazjasty posłuszna, dla innych zuchwały języczek w rumianej buzi miała.

— Niech pan Tomkiewicz o moje ręce nie dba! Ja je zabrudzę, to i umyję, a wody u pana nie poproszę.

— Cóż to macie w tej torbie? czy po jałmużnie chodzicie?—szeroko gapiowate swe usta otwierając, głosem przewlekłym zapytała matka rodziny.

— Gedali przecząco wstrząsnął głową.

— Ja nie żebrak...

— A cóż tam jest w tej torbie?

— Ja kramarz... po dworach i okolicach szlacheckich, nu i po wsiach chłopskich chodzę i towar sprzedaję.

— Jednakowoż—z zamyśleniem zaczął Korejba — jak ty mogłeś tak zbiednieć Gdalku? Toż ja pamiętam, że żonka twoja trzymała w Wołpie kramę z solą, żelaztwem i różnemi drobiazgami, a ty domek własny tam miałeś i furmaniłeś. Pamiętam, ho! pamiętam ja te czasy, kiedym jeszcze w łapciach, panie dobrodzieju, do Wołpy przyjeżdżał i do was zachodził. U żonki twojej kupowałem, co mi było potrzeba; roztropna była i przystojna żydowica ta twoja Merka—a twoją bryką raz do strzecznego (stryjecznego) brata aż za Słonim jeździłem. Cóż to takiego stało się z tobą?

Gedali stał teraz prosto, o gzyms komina oparty, zupełnie prawie już pewny, że mu się tu nic złego nie stanie. Na pytanie Korejby odpowiedział:

— Co? Ot co... Pan Bóg dopuścił. Mój dom w Wołpie spalił się.

— Szkoda! szkoda!—z widocznym współczuciem rzekł Korejba.

— I dobrze!—krzyknął Tomkiewicz. — Zjadał wilk, zjedli wilka! Albo to oni mało budynków ludzkich podpalili! W Krzewnie tej wiosny podwał wódczany podpalili, a w Pawłówce karczmę.

Cicho i zlekka ramionami wzruszając, Gedali odpowiedział.

— Ja nie podpalał.

— Ale-bo nie mogłeś, a żebyś tylko mógł, tobyś podpalił.

— Nie podpaliłby,—zaprzeczył Korejba—ja jego dawniej dobrze znałem. Człek był spokojny. A Merka twoja jak ma się? Czy i ona już w Wołpie kramy nie ma?

— Umarła.

— Patrzajcie! umarła!—Szeroko znowu usta otworzyła Korejbina:—a a a! taki jeszcze i nie stara była kobieta! a z czegoż-to ona umarła?

Żyd patrzył w ziemię.

— Ot z czego! Pan Bóg dopuścił... nie tu wspominając, ze złej choroby...

— Znaczy, z cholery,—rzekł Korejba, a ekonom, szybko poruszając krzaczystemi wąsami, żywym ruchem zwrócił się do żyda.

— No, żydzie!—zawołał—jak jutro przez Szumną przechodzić będziesz, słowo honorowego człowieka, dam ci garniec świeżego grochu, tylko mi zaraz powiec, jak nazywa się ta choroba, na którą twoja żona umarła! cha, cha, cha, cha!

Gedali niespokojnie poruszył wargami.

— Nu, nie tu wspominając, to zła choroba...

— Ale ty mnie gadaj, jak ona nazywa się?

— Jak ona nazywa się? A na co to mówić, jak ona nazywa się!

— Za nic bestja nie powie! Żeby go poćwiartować, nie powie—wybuchnął śmiechem Tomkiewicz.

— Taki już u nich głupi zabobon—przywtórzył Stefan.

Janek, czerwieniąc się znowu, sentencjonalnie i dobitnie wyrzekł:

— Jest to nieludzkość, bez żadnej potrzeby zmuszać kogoś do tego, co mu przykrość sprawia.

Widocznie zaczynał brać do serca sprawę żyda; przytym obchodziły go losy koni, które żyd ten niegdyś posiadał.

— A konie?—zapytał.

— Jeden zdechł, a drugi oślepł i ja jego sprzedał za piętnaście rublów.

— Ale ty cościś dużo dzieci miałeś,—zaczął Korejba;— pamiętam, że kiedym u was bywał, z pięcioro tego uwijało się około twojej Mery.

— Siedmioro...—poprawił Gedali.

— A Jezus!—jęknęła Korejbina—siedmioro wykarmić i wyhodować, czy to żarty?

Na grubej dłoni kościsty policzek wspierając, żałośnie kołysała głowę. Ona dobrze wiedziała, co znaczy karmić i chować dzieci w lepszym nawet bycie, a cóż dopiero w takim mizernym! W głosie jej brzmiało jakby poszanowanie dla rodzicielskich boleści i trudów, gdy, łagodnie patrząc na żyda, zapytała:

— A w jakim wieku?

Powoli, to z gorzkiemi nieco, to znowu z radosnemi niemal uśmiechy opowiedział, że jedno tylko z dzieci jego było zupełnie dorosłe: córka, która po śmierci matki doglądała i chowała wszystkie inne; że z tych innych syn jeden uczył się szewctwa, drugi uczęszczał do Talmud-tory, takiej sobie żydowskiej szkoły dla ubogich chłopców, trzeci niczego nie uczył

się, bo mu Pan Bóg do niczego rozumu nie dał, czwarty zaś, Chaimek, był bardzo rozumny, ale jeszcze zupełnie mały. Co do dwuch młodszych córek, te, choć w służbę iść chciały, nie mogły,—bo nic nie umieją i żadnej siły w sobie nie mają.

— Siedzą sobie tedy w izbie i pończochy na sprzedaż robią. Jedna z nich, Małka, piętnaście lat ma i bardzo ładna, ale taka blada jak papier i nigdy nic nie mówi. Dlaczego ona nie mówi? Albo on wie! Ze smutku może, czy z biedy, bo ot, jeśby trzeba jeść więcej i troszkę wesołości nabrać, a tu skąd? W jednej izbie wszystkie osiem żyją i trzy ruble na tydzień mają, te trzy ruble, które on ze swego handlu zarabia. Całego majątku zostało mu osiemdziesiąt rubli; on za to nakupił towaru, co tydzień na szabas wraca do dzieci i przynosi im trzy ruble. Nu, jak Pan Bóg da, czasem cztery albo pięć, ale rzadko,—najczęściej trzy, i wtedy bieda; ażeby dobrze sobie przeżyć, trzebaby im mieć osiem rubli na tydzień. Och! och! żeby on miał osiem rubli na tydzień, jakie-by to było szczęście dla niego i dla jego dzieci...

Mówiłby pewno dłużej, ale kaszlać zaczął. Na palcach przeszedł część izby i do kąta splunąwszy, na poprzednie miejsce powrócił. Obecni milczeli chwilę. Zdawało się, że duch litości przez izbę tę przeleciał i miękkim skrzydłem musnął wszystkie te grube twarze...

Korejba bębnił palcami po stole i myślał... o czym? Może o czasach ubogiej swej młodości, gdy w łapciach jeszcze zachodził do domu Gdala i wesoło gawędził z żoną jego Merą. Korejbina, z policzkiem na dłoni wspartym, myślała także może o jednej ze zmarłych swych córek, która na rok przed śmiercią, tak jak teraz córka Gdala, stała się białą jak papier i milczącą jak zdławione ptaszę. Stefan siedział u okna, brodę oparł na ręku i marszcząc białe czoło, dumał; miał i on swoję zgryzotę: za rok precz z tej chaty, do wojska! Więc, słuchając o biedach cudzych, zasmucił się także. Jadwisia, która jeszcze żadnych smutków nie zaznała, przysiadła na ziemi i, odrzuciwszy na plecy złotą grzywę włosów, z podniesioną twarzą wlepiała w żyda siwe swe źrenice zdziwione. Jeden Tomkiewicz, widocznie kwaśny, strzelił znowu konceptem:

— A lichoż-bo ci kazało, żydzie, tyle dzieci napłodzić?

Gedali odpowiedział:

— Wiadomo... u najbiedniejszych zawsze dzieciów najwięcej.

Tu zadzwonił znowu chłopięcy i pełen pewności siebie głos Janka:

— Niech pan siada, panie Gdalu, proszę pana siadać.

Gedali ukłonił się, ale Korejba, propozycji syna nie podnosząc, z zamyśleniem zaczął:

— Jednakowoż, jakie to na świecie bywają wypadki. Ot, on, człowiek spokojny i uczciwie pracujący, przepadł, a ten szelma Mendel z Szumnej, kręciciel taki, że niech Pan Bóg broni, wzbogaca się aż strach! Słyszę, już Szumnę w dzierżawę bierze.

Tu oczy jego przybrały wyraz trochę złośliwy i zukosa na ekonoma zerknęły. Chodziły po świecie pogłoski, że Tomkiewicz z bogatym Mendlem okrutnie na niekorzyść dziedzica Szumnej szachrował. Zmieszał się też trochę ekonom, Korejba zaś powtórzył:

— Ha? czemu to tak? ten nic złego nie zrobił i w biedzie—a tamten, gałgan, bogaczem sobie jest... Ot, jak na świecie, lepszemu gorzej, gorszemu lepiej.

Gedali kilka kroków naprzód postąpił i nieśmiało zaczął:

— Przepraszam wielmożne państwo, u nas o tym jest przypowiastka.

Jadwisia uczyniła żywe poruszenie; nadzwyczajnie lubiła bajki i przypowiastki. Żyd wyprostował się i mówić zaczął:

— U nas tak napisane stoi. Kiedy Pan Bóg chciał temu światu Biblją dać, to powiedział, żeby wszystkie góry do Niego przyszły. Góry, ma się rozumieć, posłuchały Pana Boga, ale te, co były wielkie, stanęły na przodzie bardzo pyszne z tego, że były wielkie, i czekały, której z nich Pan Bóg Biblją da. Pan Bóg popatrzał, popatrzał i zawołał do siebie najmniejszą górę, taką małą, że ona za wielkiemi schowała się i myślała, że jej Pan Bóg i nie zobaczy. Ale Pan Bóg zawołał ją i powiedział: „Ja Biblją tobie daję, bo ty, choć mała, ale więcej jesteś warta w moich oczach od tamtych wielkich. A dlaczego ty więcej warta? Dlatego, że one pysznią się, a ty nie pysznisz się, i dlatego, że z nich wiele kamieni na ludzi spadało, a z ciebie żaden kamień na nikogo nie spadł". I dał Pan Bóg Biblją najmniejszej górze, a jeden nasz wielki rabbin—on nazywał się Ben-Jehuda—gadał, że ta przypowiastka pokazuje, jak maleńki człowiek może być więcej wart od wielkiego, jeżeli on nie pyszny i nikomu nie zaszkodził, a tamten pyszny i dużo złego ludziom narobił.

Dłonią o stół uderzając, stary Korejba z błyskiem oczu zawołał:

— To prawda! Ot, naprzykład, wiesz co, panie Tomkiewicz, kiedy mnie pan Palicki procesem dusił, aby mi niesprawiedliwie moję fortunkę odebrać, gryzłem się, panie, tak, że o mało nie chorowałem ze zgryzoty, a wszakże często myślałem sobie: choć on wielki pan, a ja chudy szlachcic łapciasty,

lepszym od niego, bo on krzywdziciel i pyszny Herod, a ja nikomu wody nie zamąciłem, własną krwawicą swoją doszedłem wszystko, co mam, a czasem to jeszcze, panie, komu i dopomogłem...

— Przepraszam wielmożnego pana,—odezwał się Gedali— to, co pan teraz powiedział, to są takie winogrony, co na kolącym krzaku rosną... ja nie wiem, jak ten krzak nazywa się, co to tak kole?

Pytającym wzrokiem wodził po wszystkich twarzach.

— Może głóg—podpowiedziała Jadwisia.

— Aha! panienka dobrze wie... glog! glog! U nas i o tym jest przypowiastka ładna.

Dziewczynka klasnęła w dłonie. Gedali przygasłym swym wzrokiem popatrzał na nią i, uśmiechając się, zaczął:

— Aj! jaka panienka wesoła! jak to dobrze patrzeć, kiedy kto taki wesoły! Och! żeby to moja Małka była kiedy taka wesoła! Ona te same lata ma, co panienka i tego samego rostu (wzrostu), tylko biała jak papier i nigdy nic nie gada. Jeżeli panienka chce, to ja i tę przypowiastkę opowiem... U nas tak napisane stoi: Kiedy Żydzi byli w niewoli babilońskiej, żył jeden bardzo uczony i pobożny człowiek, który nazywał się Urjel. I on był bardzo dobry, a dlatego, że był on taki dobry, to on żadnym sposobem tej niewoli przenosić nie mógł. Kiedy on widział, że Żydów bardzo krzywdzili, on tak płakał, że jemu z wielkiemi boleściami całe serce wylewało się przez oczy. I on szedł do tych, co niesprawiedliwie cierpieli i dawał im wszystko, co miał. Jednemu dawał troszkę swego rozumu, a drugiemu troszkę pieniądzów, a trzeciego tak sobie po twarzy gładził, jak matka swoje dziecko, kiedy ono chore. Ale to jemu nic nie pomagało i taki smutek jego przycisnął, że zaczął on do Pana Boga krzyczeć, żeby Pan Bóg jemu śmierć prędzej dał. Nu, Pan Bóg nie dał jemu śmierci, tylko spuścił na niego sen. Jemu przyśniło się, że on tak samo był w babilońskiej niewoli z całym narodem i że jeden z narodu przyszedł do niego i mówił: Rebe Urjelu, poradź ty mnie, jak ja mam sobie w tym interesie dobrze zrobić; a on chciał radzić i nie mógł, bo język w gębie kołem mu stanął.

A drugi człowiek przyszedł i mówi: Rebe Urjelu, naucz ty mego syna w świętych książkach czytać—a on chciał uczyć i nie mógł, bo sam czytać zapomniał. A trzeci człowiek przyszedł i mówił: Rebe Urjelu, daj mnie co jeść—a on chciał dawać i nie mógł, bo cały jego majątek gdzieś przepadł. Aż Rebe Urjel krzyknął okropnie i obudził się i poczuł, że w głowie ma ten sam rozum, co pierwej, a cały majątek jego naokoło niego jest. Wtenczas on padł na twarz przed Panem Bogiem

i modlił się: „Nie dawaj mnie jeszcze, Panie Boże śmierci, bo choć ja bardzo nieszczęśliwy, ale ja szczęśliwy, bo mogę radościów robić tym, co smutne!... A jeden nasz wielki rabbin—on nazywał się Ben-Akiba — gadał, co ta przypowiastka pokazuje, że jeżeli kto nieszczęśliwy i bardzo gryzie się, to niech on tylko dobrze naokoło siebie obejrzy się: a pewno zobaczy, że na tym głogowym krzaku, w którym on siedzi, słodkie winogrona rosną.

— Patrzcie—rzekł Korejba—jaki ty mądry Gdalu, tyle historji na pamięć umiesz! I niczego sobie te twoje historje, dalibóg niczego, choć żydowskie. Siadaj-no, siadaj, teraz pogadamy sobie o tym grochu.

Ucieszony okazaną mu łaską, lecz znowu przerażony wzmianką o grochu, Gedali uśmiechał się, oczyma niespokojnie błyskał i kłaniając się raz poraz, bełkotał, że nie ma śmiałości usiąść, że nic nie szkodzi... on sobie... tak postoi... Ale Jadwisia zerwała się z ziemi, schwyciła stołek i, stawiając go obok żyda, ze ślicznym uśmiechem szerokich, lecz rumianych ust, rzekła:

— Proszę siadać! pewno już nogi od stania zabolały! Co tam, ot, proszę siadać!

To „co tam" odnosiło się do ruchu, jaki uczynił żyd, aby pocałować tę czerwoną rączkę, która mu siedzenie podawała.

— A siadajże do licha!—rozkazująco krzyknął Korejba.

Żyd drgnął z przestrachu i w mgnieniu oka usiadł. Znalazł się teraz blizko ognia, i wyraźnie widać było, że nogi i ręce mu drżały, pierś podnosiła się szybkim, chrypiącym oddechem, a oczy tak zapadły, że pośród delikatnej i żółtawej skóry czoła i policzków, wyglądały jak dwie czarne, gorejące iskry.

— Ależ kiepsko wyglądasz! Lepszych od ciebie do trumny kładą—zaczął Korejba.—Chory jesteś, czy co?

— Chory, wielmożny panie, chory!

Opowiedział, że już od owego spalenia się domu i śmierci żony, zaczął kaszlać i tracić siły, ale od dwuch lat coraz mu gorzej. Coś go strasznie w piersiach gniecie i już taki słaby, aż strach! Żeby on nie był chory, mógłby chodzić prędzej i zarabiać więcej, możeby nawet jaki korzystniejszy interes sobie obmyślił. Ale to taka choroba, co bardzo siły odbiera...

— Nu, niech wielmożne państwo sami zobaczą...

Chrząknął, splunął sobie na dłoń i rękę pełną krwi ku obecnym wyciągnął.

— Matko Boska!—jęknęła Korejbina.

Jadwisia dłonią przysłoniła oczy. Tomkiewicz odwrócił się, splunął ze wstrętem i czapkę swą z ławy porwał; ale, rzecz

najdziwniejsza! pod krzaczystemi, małemi brwiami, małe i bystre oczy starego Korejby zwilgotniały. Dobrze, dobrze teraz przypominał sobie świetne czasy Gdalka, kramę jego żony, podróż, którą w budzie jego do Słonima odbywał—i pożałował go bardzo. Syn ubóstwa i własnego ciężkiego dorobku, znał on zblizka wszystkie biedy i w twardym swym ciele duszę miał miękką.

— Suchoty, czy co?—półgłosem przemówił—czemu ty do licha nie leczysz się. Żydzie?

— Ja był u doktora.

— I cóż ci doktór powiedział?

— A co? on powiedział, żebym ja codzień mięso jadł, dużo mleka pił, mało chodził i co tydzień bańki stawiał.

Uśmiech przewinął się mu po ustach, wstrząsnął policzkami, wzniósł się aż na czoło, które zmarszczył aż po siwiejące włosy.

— Mięsa jeść i mleka pić ja nie mogę, bo to bardzo drogo kosztuje... Chodzić dużo ja muszę, bo z tego cały mój zarobek... to ja w jednym doktora posłuchałem... bańki co tydzień stawię... one tylko złotówkę kosztują... nu... złotówkę na tydzień, to ja mogę na swoją kuracją wydać...

— Jezu!—zadziwiła się Korejbina—ale jakże wy możecie tak dużo chodzić przy takiej chorobie...

Przestał uśmiechać się i, poprostu, jednym słowem, odpowiedział:

— Chodzę!

W tej chwili Jadwisia, która na kilka sekund wybiegła była do sieni, wróciła i z białym, sporym garnkiem w ręku zbliżyła się do Żyda.

— Może mleka!—rzekła, podając mu garnek.

Gedalemu oczy błysnęły chciwością. Popatrzył chwilę na garnek, napełniony żółtawym, niedawno udojonym, jeszcze ciepłym mlekiem, i przecząco wstrząsając głową, rzekł:

— Dziękuję panience. Mnie tego nie można.

— Co? trefne?—ze śmiechem zawołał Tomkiewicz.

— Mnie tego nie można...

— To może choć chleba z masłem?—ozwał się Janek.

Gedali nic już nie rzekł, tylko przecząco znowu głową poruszył.

— Ot, zjedlibyście choć parę kartofli z solą, a to ze wszystkim zesłabniecie — spoglądając w garnek, gdzie było jeszcze trochę kartofli, zaprosiła Korejbina.

Widocznie zakłopotany i twarz nieco od obecnych odwracając, Gedali odpowiedział:

— Dziękuję wielmożnemu państwu za wszystko... już ja sobie jutro u szynkarza w Szumnej podjem.

— No, żyjże-to z temi ludźmi!—grubym basem krzyknął ekonom—kiedy oni z chrześcijańskiej ręki kawałka chleba nawet nie wezmą, jakby wszystko, co nasze, zarażone im było! A! słowo honorowego człowieka! psiawiary oni, niech ich djabli porwą z ich trefami i głodnemi bachorami razem!

— To prawda!—potwierdził Korejba. — Ten, naprzykład: jeść nie ma czego, leczyć się nie ma za co, a jeżeli dobry człowiek chce go trochę pożywić, to mu tam jakieś zabobony skorzystać z tego, panie, nie pozwalają Przez to człowiek do nich, żeby i jak litował się, serce straci...

Gedali słuchał uważnie, głowę schylił pokornie i ciężko westchnął. Gdy po chwili twarz podniósł, była ona okryta wyrazem głębokiej rozwagi. Roztropność i nawet przenikliwość odmalowały się w nieśmiałym dotąd jego spojrzeniu. Zwykłym sobie, trochę ochrypłym i przyciszonym głosem zaczął:

— To jest prawda, co wielmożni panowie sobie mówią. Jest na świecie tyle nieszczęścia, wiele piasku w wielkim more (morzu). Jedno nieszczęście idzie od biedy, drugie od choroby, trzecie od kłótni, a czwarte od tego, że człowiek rozumu nie ma. Ale tak zawsze na świecie nie będzie. Przyjdzie taki czas, że wszystko będzie dobrze. A od kogo ten czas przyjdzie? U nas i o tym piękna przypowiastka jest.

Wyprostował się, dłonie na kolanach złożył i twarz podniósł nieco. Widocznie spływało na niego błogie natchnienie. Może przypowieść, którą miał opowiadać, była mu ze wszystkich najulubieńszą; może ciepło ognia i łaskawość ludzka rozgrzały mu ciało i duszę.

— U nas tak napisane stoi. W starym mieście Jeszurum, na wysokim krześle siedział w wielkiej szkole, wielki rabbin Mojżesz Ben-Majmon, a naokoło niego siedziało sto, może tysiąc, a może dziesięć tysiąców jego uczniów. On do nich gadał po arabsku i po grecku i różnie; bo to był taki rabbin, który do żadnego narodu nienawiściów nie miał i gdzie tylko rozum znalazł, kłaniał się jemu tak samo, jak gdyby to był żydowski rozum. Kiedy on gadać przestał, podniósł się ze stołka najlepszy jego uczeń, który nazywał się Ben-Jehuda, i powiedział: „Rabbi, ja w Biblji jednej rzeczy nie rozumiem! Może ty mnie co takiego powiesz, że ja ją zrozumiem." A czego ty nie rozumiesz? — zapytał się Ben-Majmon.—A Ben-Jehuda odpowiedział: „Ja tego nie rozumiem, kto te anioły, co śnili się naszemu przedku (przodkowi) Jakóbu, że oni po drabinie do nieba chodzili i znów na ziemię powracali?" Ben-Maj-

mon pomyślał i zaczął tak gadać: „Te anioły, to wielkie ludzie, co robią się bardzo doskonałe i mądre, znaczy, coraz wyżej idą w górę. Im trudno w górę iść, ale oni idą, bo siły już takie mają i takie wielkie chęci, żeby tam dojść, skąd im będzie można dużo słodkości nabrać. Niech oni nazywają się proroki, albo uczone, albo miłosierdnego serca, albo wielkiego głosu, ale oni wszyscy—to te anioły, co po drabinie chodzą do nieba." Tak gadał Ben-Majmon; ale Ben-Jehuda jeszcze kontent nie był i pytał się: „A dlaczego rabbi, oni to w górę idą, to w dół? Kiedy oni tak żądają być w górze, czemu oni tam nie zostają, ale znowu nazad na ziemię zstępują?" Ben-Majmon białemi włosami jak lew potrząsnął i odpowiedział: „Żeby oni zostawali się w górze i na ziemię już nie powracali, toby oni nie byli anioły! Ale oni w górze nabierają dużo słodkości i światłości i powracają na dół, żeby te skarby po ziemi siać. A gdzie oni ziemię usieją, tam ona lepsze zboże rodzi, kłótnie z niej nie wyrastają, ale spokojność wyrasta i ludzie mniej płaczą, a więcej cieszą się. Ot, poco oni na ziemię powracają, choć im powracać trudno, i dlatego, Ben-Jehudo, oni są anioły." Ben-Majmon przestał gadać, a Ben-Jehuda i wszyscy, co tam byli, cieszyli się, dziękowali jemu za to, że im taką piękną obietnicę dał. Ben-Majmon zapytał: „Jaką ja wam dał obietnicę?" A Ben Jehuda odpowiedział: „Te anioły, Rabbi, kiedyś tak zrobią, że na świecie nie będzie ani głodu, ani kłótni, ani takich, co głupi, ani takich, co płaczą w sercu swoim krzyczą, że im bardzo źle!"

Snadź nietylko Ben-Jehuda z Jeszurum, ale i późny potomek jego, Gedali z Wołpy, cieszył się bardzo obietnicą, zawartą w słowach Rabbi-Majmona. Uderzające zaszły w nim zmiany. Stopy swe w wykrzywionych i opylonych butach silnie o podłogę wsparł, wzamian, ramiona, z których opadały podarte rękawy, podnosił nieco w górę. I twarz ku sufitowi podniósł tak, że broda, śpiczasta i prawie zupełnie siwa, sterczała nad jego szyją obnażoną i cienką jak srebrzyste skrzydło. Ruchomy blask ognia spadał mu na czoło, odkrywając na nim niezliczone bróżdy i zmarszczki, lecz z oczu rozgorzałych i zachwyconego uśmiechu tryskała słodycz mistycznej ekstazy...

Nagle tę obnażoną i cienką szyję objęło ramię sprężyste i młode, rumiane usta, schylając się nad tym zbróżdżonym czołem, wycisnęły na nim głośny pocałunek. Był to Janek, który, od stołu powstawszy i powoli zbliżając się ku kominowi, z błyszczącemi oczyma i niezmierną uwagą słuchał przypowieści Żyda, a teraz, stanąwszy przy nim, ruchem może bezwiednym, dziecinnym jeszcze, objął mu szyję i pocałował go w czoło. Wnet potym odszedł i plecami o róg komina wsparty stał

tam z pochyloną głową, zarumieniony, zmieszany, milczący. Coś widocznie w chłopcu tym zawrzało. Czy wielka litość nad tym nędznym człekiem, który z takim zapałem o zbawcach świata roił? Czy uwielbienie dla ludzi-aniołów? Czy paląca nadzieja, że on sam kiedyś takim aniołem zostanie?...

Przez drzwi od sieni ukazała się głowa kobieca, w czerwonej chustce na rudych włosach, i poszeptała chwilę z Jadwisią, która, spostrzegszy ją, wesoło ku drzwiom podskoczyła.

— Tatku! dziewczęta i parobki chcą towary kramarza zobaczyć. Czy można?

Z powieści „Bracia“

(Fragment).

Szli pod ramię drogą dość szeroką, przerzynającą ogród w całej jego długości. Srebrny sierp, otoczony gwiazdami, świecił na niebie, napełniając powietrze przyćmionym światłem księżyca na nowiu. Po dość długim milczeniu Zenon ozwał się pierwszy:

— Często zastanawiałem się nad tym, kto rzeczywiście ma słuszność, a kto się myli: ludzie światowi i weseli, usiłujący zwolnić się, o ile podobna, od kolców życia i wyzyskiwać kosztem wszelkim jego strony rozkoszne; czy też ci, którzy biorą na plecy brzemię obowiązku, strzegą tego tylko, żeby nie uronić najmniejszej jego cząstki, i zapatrzeni w gwiazdę daleką, jak ślepcy, omijają kwiaty a włażą w cierniste zarośla? Który z tych dwuch gatunków ludzi jest naprawdę głupim, a który mądrym?

— Zdaje mi się,—odpowiedział Wiktor — że w tym, jak we wszystkim, najlepszy jest rozsądny środek. Pracować trzeba, bo bez pracy człowiek musi stać się łachmanem poniewieranym i nieużytecznym. Uczciwość i rzetelność w stosunkach pieniężnych to rzecz honoru, którego pozbywszy się, człowiek się przerabia—za pozwoleniem twoim — na świnię. Cenię nawet do pewnego stopnia i dobroczynność, bo cierpienie ludzkie, kiedy je widzę, obudza we mnie litość, i byłbym ostatnim egoistą, gdybym nie umniejszył go jakim okruchem, który ostatecznie nic prawie nie znaczy dla mnie, a dla cierpiącego może w danym razie być wsparciem i ulgą. Ale na tym koniec i oprócz tego nie wiem, doprawdy, czegoby człowiek rozsądny mógł od siebie wymagać?

W tej chwili usiedli na ławce, stojącej u brzegu drogi w mglistym świetle księżycowym. Zenon z żywością mówić zaczął:

— Czyż na tym koniec? Czyż doprawdy, w ramkach, zbitych z trzech deseczek: pracy, honoru i łatwej dobroczynności, mieści się rozwiązanie tej zagadki, którą jest przeznaczenie człowieka na ziemi? Dla mnie ta zagadka jest otchłanią. Od początku świata pochylają się nad nią najszlachetniejsze głowy ludzkie i nie mogą dna jej dosięgnąć wzrokiem. Musiałeś także zastanawiać się nieraz nad pytaniem: za co i dla jakiego celu człowiek skazany jest na cierpienie i śmierć? Nieuchronność cierpienia i śmierci byłaby przerażającym figlem jakiejś mocy piekielnie okrutnej, gdyby nie posiadała celu, niepojętego dla naszych biednych umysłów ludzkich! bo biedne zmysły nasze nic o nim powiedzieć nie mogą. Ale cel istnieje niezawodnie. Natura, która nie znosi próżni fizycznej, czyżby znosiła taki bezsens moralny, jak bezużyteczne dręczenie niezliczonych miljardów istot? Przyszedłem do przekonania, że po za świadomością zmysłów naszych, tworzy się w przestrzeni i czasie dzieło jakieś olbrzymie i doskonałe, dla którego potrzebnemi są jakieś istnienia, cierpienia, umierania, a także, i może nadewszystko, nasza doskonałość. Ale ta doskonałość nie mieści się tylko w pracy, w honorze i w rzucaniu ubogim okruchów z naszego stołu, nam samym niepotrzebnych. Słusznie czy mylnie, upatruję ją w oczyszczeniu życia z najdrobniejszych chociażby krzywd ludzkich, miłości dla ziemi i ludzi, posuniętej do ofiar, sprawiających cierpienia chociażby najcięższe. Nie wiem, czy jasno się wyrażam. Nie przywykłem mówić wogóle, a szczególniej o rzeczach takich. Ale co do mnie przynajmniej, usiłowaniem moim najsilniej naprężonym jest to, aby mieć serce jaknajczystsze i oddawać usługi jaknajwiększe ziemi i ludziom. Zdaje mi się, że tym tylko sposobem osiągam cel, dla którego przyszedłem na świat. Ale są to wyniki rozmyślań bardzo samotnych, może więc błędne. Co ty, Wiktorze, myślisz o tym wszystkim?

Mówiąc, patrzał w przestrzeń, mieniącą się cieniami drzew i mglistym światłem księżyca na nowiu. Przy ostatnich słowach dopiero obrócił twarz ku bratu i z trudnością powstrzymał się od śmiechu. Powieki Wiktora były przymknięte; dopiero na dźwięk jego imienia podniosły się i zadrgały niespokojnie, jak przestraszone ptaki. W czasie długiego przemawiania brata zaczęła go była ogarniać drzemka nieprzezwyciężona, którą jednak przezwyciężał z całej siły, chwytając nie bez trudności niektóre słowa i okresy. Teraz przetarł dłonią oczy i na to, co udało mu się usłyszeć, odpowiedział:

— Mój Zeńku, wszystko to, o czym mówiłeś, należy do księży. Niech oni tam sobie dochodzą różnych gatunków grzechów ludzkich i odgadują, co człowieka spotkać może na tam-

tym świecie! To teologja. Ja w Pana Boga wierzę i codzień pacierz mówię, bo tak mię nauczyła matka i weszło to już w krew i przyzwyczajenie. Ale nad rzeczami niezrozumiałemi głowy sobie nie suszę; nie mam do tego ani czasu, ani ochoty. Co zaś do śmierci, to, mój kochany, jest ona rzeczą tak nieprzyjemną, że najlepiej wcale o niej nie myśleć. Gdy przyjdzie, to cóż robić? Ale dopóki nie przychodzi, nie wywołujmy z lasu brzydkiego wilka. Taką jest moja filozofja. Na dynamice, hydraulice, statyce, znam się dobrze, ale na nieśmiertelności duszy nic a nic. I znać się też nie potrzeba. Co Pan Bóg zechce, to i zrobi z moją duszą po śmierci, a dopóki żyję—*vive la vie*! Ale teraz chodźmy już do domu, bo zaczyna być zimno i może już spać pora... jak myślisz?

Niespełna w godzinę potym w całym domu było już ciemno i wszyscy spali, albo przynajmniej pokładli się do snu. Zenon sam jeden chodził po długim pasie drogi, przerzynającej ogród. Ilekroć znajdował się u tego jej końca, który dotykał pól szerokich, okrytych światłem drzemiącym, stawał i patrzał na srebrny rożek księżyca, wyglądający zza sosen na wzgórzu. Myślał wtedy:

— Czyżbym się mylił? Czyżbym zmarnował życie? O, źródło życia wszelkiego i jedyny zbiorniku wiedzy, jakiemi naprawdę są twoje prawa i rozkazy? Takiemi, jakie uczyniły brata mego dzielnym i szczęśliwym, czy takiemi, jakie pełniąc, stałem się przedwcześnie zestarzałym i bardzo... ty jeden wiesz, jak bardzo—smutnym?

Ilekroć znowu zbliżał się do przeciwnego końca drogi ogrodowej, do tego, który dotykał domu, wznosił oczy ku oknu brata, gdzie było zgaszone, oddawna już światło, i zapytywał w myśli:

— Który z nas głupi, a który mądry: on, czy ja?

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI.

Urodz. 1849 r. w Stoczku, studja w Siedlcach, Lublinie i Warszawie, doktorat z filozofji w Lipsku. W walce „młodych z starymi", około r. 1870 wysunął się na pierwszy plan, jako szermierz najzdolniejszy, rozporządzający świetną djalektyką i niepospolitą wiedzą. Od r. 1871 w *Przeglądzie Tygodniowym*, od r. 1881 w *Prawdzie* walczy w imieniu niezależności myśli i idei wyzwolenia

jednostki, w rozlicznych artykułach, rozprawach i dziełach rozsiewając znaczne bogactwo idei filozoficznych i allegorji poetyckich. Filozoficznych swych myśli nie ujął w system. Wydał osobno: *O powstawaniu praw moralnych*, 1879; *Dumania pesymisty* 1877; *Poeta jako człowiek pierwotny*; utwory literackie: *Niewinni* (1876); *Pisma*, 7 tomów.

Bibljografja: w „Prawdzie", Księdze pamiątkowej ku uczczeniu dwudziestopięcioletniej działalności Świętochowskiego, 1899 r.

Próby charakterystyki: w *Naszej Literaturze dramatycznej* P. Chmielowskiego, t. II. *H. Galle*: Aleks. Świętochowski.

Hymn niemych.

Kiedy przed poczęciem się świata wypełniały przestrzeń tylko mgły, kręcone siłą twórczą w niezliczonych i splątanych wirach, część tych obłoków powoli skropliła się i utworzyła ocean. W jego wnętrzu powstały rozmaite twory, a między niemi olbrzymi żółw, który wypłynął na powierzchnię wód i spoczął na nich. Jego wypukła pokrywa, obok rozległych płaszczyzn, równych i chropowatych, mieściła wielkie wyniosłości, przepaściste głębiny, obszerne wydrążenia i bruzdy, w które ściekała skroplona z chmur para, tworząc morza i rzeki. Skorupa ta obrosła tu i owdzie szczeciną trzcin, krzewów i drzew, a wreszcie zaroiła się istotami żywemi.

Była to ziemia.

Opasał ją obręczą, zrodzony również w łonie przedwiecznego oceanu, wąż, który usiłując zgnieść żółwia, pękł w nadmiernym wytężeniu i rozlał się naokoło ziemi szerokim płynnym kręgiem.

Była to rzeka Styks, oddzielająca świat żywych od świata umarłych.

Po za nią spał zastygły i skrzepły ocean, okryty bezbrzeżnym płaszczem lodowym, na którym w miejscach szczęścia lub męczarni osiadły duchy, a w przybytkach napowietrznych— panujący nad niemi i ziemią bogowie. W krainie tej nie było ciepła, tylko światło, nie było woni, tylko barwy.

Język ludzki zwał tę krainę Hadesem.

Za każdym razem, kiedy promienne oko wszechświata przymknęło swoją powiekę, po stromej ścianie skał schodziły

duchy ku przystani Styksu, w której oczekiwała na nie łódź Charona.

* * *

Ziemia zatrzęsła się walką ludzi, zabrzmiała okrzykami radości i jękami cierpienia. Ale wiatry zmiotły wkrótce wrzawę dzikich i żałosnych głosów, po której na lekkich skrzydłach wypłynęła i nad pobojowiskiem zawisła siwiooka cisza. Wtedy drogą śmierci do przystani Styksu zszedł dłuższy niż zwykle rzęd duchów. Postacie ich były ludzkie, ale powietrzne, choć nieco mętne. Każdy niósł w ręku swoje serce, niby konchę. Z niektórych serc tych wybłyskiwały różnomierne i różnobarwne ogniki, inne były wygasłe.

Duchy w milczeniu weszły do łodzi, którą Charon odepchnął od brzegu. Gęsta, smolista ciecz rzeki nie nadymała się nigdy falą, nie pokrywała zmarszczkami, nie toczyła w swym łożysku, lecz spoczywała leniwa, nieruchoma, martwa. To też gdy po jej czarnym, błyszczącym, rdzawemi smugami spręgowanym grzbiecie przesunął się statek przewoźnika cieniów, wyorał na niej swym klinowym dnem szeroką bruzdę, która natychmiast zamknęła się za nim w gładką powierzchnię bez żadnej blizny.

Łódź stanęła przy bramie w wysokim murze lodowców, świecących łuną zorzy. Na progu jej leżał i całkiem wejście przegradzał olbrzymi, kudłaty, trójgłowy pies, Cerber, który powstał, zawył paszczami w trzy strony i napełnił swym strasznym rykiem cały Hades. Na ten głos przybiegł Ajakos, klucznik, który powiódł za sobą duchy przez łąkę, porosłą sinemi igiełkami mrozu. U jej skraju przeciwległego w poprzek drogi czterej tytani dźwigali na barkach lodowy, puchem śniegu wysłany tron, na którym siedział w purpurze sędzia umarłych, Minos. Na dole, pod jego stopami, stanęli dwaj uskrzydleni młodzieńcy, którzy równocześnie zlecieli z dwu przeciwnych stron. Jeden z nich piękny, w łabędziej białości, był posłem nieba, drugi, szpetny, kruczą czarnością okryty – posłem piekła.

Skoro duchy zatrzymały się przed tronem, Minos, wskazując berłem szronowym każdą postać rozdzielił je na dwie grupy: w jedną zgarnął te, które niosły serca z płomykami, w drugą te, które miały niegorejące.

Wtedy do ostatnich przystąpił młodzieniec czarny, otworzył każdemu piersi, włożył w nie z dłoni serce, odkręcił oczy źrenicami ku tyłowi, zapalił nad głową światełko, które rozwidniło wnętrze cienia i powiódł wszystkie drogą ku piekłu, gdzie wiecznie wpatrywać się będą w siebie, niczego więcej nie widząc.

Inny młodzieniec zwrócił się do drugiej rzeszy i poprowadził ją w kierunku nieba. Tuż za tronem Minosa, Leta, rzeka zapomnienia, przesuwała swój płynny kryształ bezskaźnej gładkości w ramach zielonej murawy lodowej. Podczas gdy przewodnik szedł powierzchnią zwierciadła wody, duchy opadły w głąb i postępowały jej dnem. Wynurzywszy się z tej kąpieli, stanęły zmienione: nie miały już w swych postaciach mętów żadnych, lecz były tak niepokalanie przezroczyste, że niemal rozpływały się w powietrzu, a płomyki ich serc, teraz brylantowo lśniących i przejrzystych, migały w nim, jak gdyby oderwane.

Nieopodal od brzegu w łagodnym pochyleniu piętrzyły się szerokie schody z wstęg tęczy, wiodące do wspaniałego przybytku w kształcie otoku, którego ściany ogromnym kołem biegnące, składały się ze zmarzłych kropelek rosy. Nad odkrytym jego wierzchem wisiało wysoko u błękitu słońce, którego strugi światła, rozlewając się po perełkach zrębu, migotały w nich niezliczoną ilością barw i blasków, sprawiając wrażenie, jak gdyby ów przybytek gorzał.

Duchy weszły po schodach aż do jego podwojów, w których ukazał się odziany szatą z olśniewających gwiazd dzierganą, uroczo piękny i wspaniały Apollo. Wziął on im z ręki serca, położył je w złocistą czarę, odłamawszy przedtym od nich ogniki, które w jego palcach natychmiast wydłużyły się w cieniutkie promienie—i rzucił ten pęk rzęs świetlanych w oko słońca, gdzie one utkwiły i wzmogły jasność przestrzeni. Ruchem migowym duchy skupiły się i utworzyły białawy obłoczek, który wzleciał do góry i utonął w szlaku mlecznym na błękicie nieba.

Apollo wniósł czarę do przybytku, w którym około sierpa księżycowego, opartego na czterech skrzyżowanych strzałach piorunowych i tworzącego tron, stały w dwu łukach bocznych muzy. Usiadszy, zaczął wyjmować z naczynia konchy sercowe i przykładać je do ucha, wsłuchując się w ich tajemnicze szumy odgłosów życia. Twarz jego ustawicznie zmieniała swój wyraz, odbijając na przemiany to radość wesołą, to boleść głęboką, to zachwyt porywający. Nareszcie rzekł z pogodnym wzruszeniem:

— Dziś duchy przyniosły niebu w swych sercach wielodźwięczny chór uczuć, stłumionych na ziemi. Rozbierzcie te głosy i przelejcie je natychmiast ludziom żyjącym.

Przy jego słowach źrenica słońca, wpatrująca się w ten obraz ze stropu nieba, jak gdyby zabłysła mocniej i z poza lekkiej, ognistej zasłony, ukazało się zaciekawione i majestatyczne oblicze Zeusa.

Apollo wybrał i podał najbliższej muzie kilka konch, które zaledwie dotknęły jej dłoni, wydały dziwnie rzewny, w westchnienie przeciągnięty, cichy ton. Po przerwie chwilowej odezwały się znowu głosem, który był jak gdyby mową i jak gdyby pieśnią:

„Za pracę naszą dawano nam chleb gorzki i skąpy, który oblewaliśmy łzami w milczeniu ust głodnych, ażeby go nie postradać. Umarliśmy z niedoli, ukrywszy jej tajemnicę w sercach naszych".

Konchy umilkły. Apollo wydobył inne i wręczył drugiej muzie.

I te, na podobieństwo poprzednich, brzmiały:

„W duszach naszych przebywały widma czarowne i świeciły jutrzenki myśli, które płoszył lub gasił upiór nocy. Skonaliśmy, nie otworzywszy serc naszych i nie rzuciwszy na świat ich jasności".

Kiedy śpiewać przestały, Apollo wyjął z czary innych konch parę i oddał trzeciej muzie. Szeptały one:

„Serca nasze były podobne do siebie, jako para oczu zawsze jednowidzących i zawsze oddzielonych. Natura spajała je ciągle miłością, a świat rozcinał gwałtem. Odebrał im mowę, ażeby nie skarżyły się na swą krzywdę. Zamknął dwa wulkany i kazał im służyć za swe piece do ogrzewania jego przesądów. Nigdy też lawa uczuć nie wypłynęła z nich szerokim ujściem, tylko dymiła się wązkiemi szczelinami."

Ucichły. Apollo powierzył czwartej muzie garść konch innych, które przemówiły:

„Kochaliśmy kawałek ziemi, na której stały kolebki nasze i w której spoczywały trumny przodków naszych; kochaliśmy szacowną przędzę ich życia, pamiątki wysiłków zwycięskich i prac znojnych; kochaliśmy przyrodzone drgnienia warg naszych i ukryliśmy to kochanie w grobach."

Głos umilkł. Apollo podał kilka konch muzie piątej. „Miłość nasza—żaliły się one—chciała ogarnąć ludzkość całą, spoić ją węzłami braterstwa i obdarzyć równomierną życzliwością. Musiała wszakże zginąć w zamknięciu serc marzących, gdzie ją z wyciętym językiem uwięziła nienawiść w rodzinie człowieczej."

Skoro Apollo rozdał muzom z czary resztę konch, które również wylały z siebie w słowach utajone za życia tony, powstał i wstrząsającym głosem zawołał:

— Mądry i sprawiedliwy duchu, który od wieków i na wieki przenikasz ciało wszechświata, wysłuchaj hymnu oniemiałych.

Oblicze w źrenicy słońca wychyliło się jeszcze wyraźniej, a jednocześnie ze wszystkich konch sercowych wzbił się pie-

śnią uroczysty a zarazem łagodny chór, w którym już nie można było rozpoznać słów, tylko pojedyńcze a zestrojone w przecudną harmonję dźwięki. Kiedy omdlały ostatnie jego echa, Apollo rzekł:

— Muzy moje, powróćcie ziemi, co z jej łona wyszło i czego stracić nie powinna.

Po Hadesie rozległo się znowu wycie Cerbera.

* * *

Cała Grecja drżała w gorączce, oczekując uroczystego dnia, w którym na cześć Apollona odbyć się miało wielkie święto, połączone z igrzyskami i turniejem poetów. Już od paru tygodni porządkowano i zdobiono amfiteatr przed świątynią tego boga w Akcjonie. Ze wszech stron kraju ściągały tam liczne gromady ciekawych, pobożnych lub natchnionych — jedni z weselem, drudzy z nadzieją rozrywki, a inni z niepokojem rojeń o sławie. I nie dziwnym było wzruszenie powszechne, bo gody te odbywały się tylko raz na trzy lata.

Wybierało się na nie wielu poetów, a między niemi także Oligos, który zwykł twierdzić, że wszystkie muzy są jego natrętnemi kochankami i który znudzone próżniactwem i rozpustą bogaczki ateńskie łechtał do uśmiechu lub rozczulał do łez swemi wierszami. Zachęcony ich namową, przygotowywał on na popis długą pieśń o miłostkach Herkulesa, które dały początek znakomitym rodom.

W przeddzień wyjazdu młody jego niewolnik od rana czyścił obfity zapas szat i obuwia. I on marzył o świętym obchodzie, na który miał towarzyszyć panu, i jego duszę przenikały jakieś nieokreślone dreszcze, a tak nim owładnęły, że wypuścił z rąk sandał, którego rzemyki pociągał farbą karminową i utonął w bezwiednym zamyśleniu.

Wieczór zaczął osypywać ziemię zmierzchem, na niebie zaiskrzyły się gwiazdy, jak srebrne gwoździe na tarczy Zeusa — a niewolnik wciąż dumał. Nagle zdało mu się w półśnie, że usłyszał szum spadających z góry ku niemu postaci lotnych, że spostrzegł grono pięknych dziewic, które stanęły około niego. Trzymały one w rękach jakieś konchy kroju serc, z których zabrzmiał zgodnemi głosami chór upajającego śpiewu. Bezprzytomny niewolnik oczarowanym uchem chwytał tę niebiańską melodję, która duszę jego pieściła nieznaną dotąd błogością. Wreszcie zamilkła i widzenie zniknęło. Zerwał się, chciał biec, puścił wzrok daleko, ścigając mary i nie dojrzawszy ich, wyciągnął ręce ku niebu i tak stężał, bo znowu zdało

mu się, że go moc czarodziejska zamieniła w lirę i wygrywa na niej pieśń niedawno słyszaną.

— Dawaj sandały!—krzyknął z progu, i niewolnik się otrzeźwił.

Ale już tej nocy nie usnął. Usłużywszy panu w sypialni, wsunął się, jak cień, do jego pracowni, ukradł kawałek papyrusu i siadszy przy kaganku w swej izdebce pisał do świtu...

* * *

Wielotysięczny tłum, złożywszy ofiary Apollonowi w świątyni, pośpieszył na miejsce igrzysk. Po każdej gonitwie lub zapasach rzucał zwycięzcom garście oklasków. Z kolei rozpoczął się turniej poetów. Wystąpiło czterech: jeden czytał tragiedję, drugi—komedję, trzeci—treny, opłakujące poległych w wojnie narodowej, czwarty, Oligos—opowieść o miłostkach Herkulesa. Tłum obdarzył wszystkich głośnym uznaniem, ale żadnego uwielbieniem. Ażeby zaś choć w części nagrodzić im zawód, dano każdemu po gałązce oliwnej z gaju świętego. Odznaczenie to wywołało śmiechy i szyderstwa. Oligos, chcąc przycinkom odłamać ostrze zuchwałym żartem, stanął na podwyższeniu i zawołał:

— Nasze utwory wam się nie podobały; ale był tu jakiś lękliwy poeta, który swój płód poronił, a ja go znalazłem. Ten podrzutek zapewne będzie godnym waszej łaski. Słuchajcie!

Zgromadzeni, którzy już z miejsc powstali, usiedli rozweseleni. On rozwinął zwój i czytał.

Z początku oblatywały tłum głośne uwagi, następnie szepty, wreszcie ułożyła się zupełna cisza, cisza tłumionych oddechów.

I głos Oligosa, naprzód drwiący, zwolna poważniał, a wreszcie stał się uroczystym.

Bezimienny poeta śpiewał hymn niemych. W wyrazach, które huczały jak gromy, oślepiały jak błyskawice lub spadały jak ciepły deszczyk majowy na spieczoną ziemię, opisywał on te uczucia i myśli, które w miljonach serc zamierają, nigdy niewypowiedziane.

„Gdyby zebrać razem te zmarnowane krople—mówił w końcu—powstałyby morza, gdyby stopić te iskry, powstałyby słońca, gdyby związać te ruchy, powstałyby potęgi, gdyby skupić te radości, powstałyby szczęścia, a tymczasem człowiek stoi wobec swych losów łaknący, ciemny, bezsilny i nieszczęśliwy."

Zerwała się burza okrzyków. Z tysiąców piersi buchał ryk zachwytu, z którego ciągle wydzierało się pytanie: Kto jest twórcą tego hymnu?

Nikt nie umiał objaśnić i nikt się nie przyznał.

Wtedy tłum po długiej wrzawie postanowił, że uwije wieniec wawrzynowy i spali go na ołtarzu Apollona.

Ruszyła masa ku świątyni, ale u wyjścia zatrzymała się zwarta — zaparło jej bowiem drogę martwe ciało jakiegoś człowieka.

Wkrótce Oligos rozpoznał swego niewolnika, który zmarł nagle.

Kiedy w świątyni Apollona płonął laur nieodszukanego poety, Charon wiózł w swej łodzi przez Styks ducha z sercem gorejącym.

Lew kamienny.

— Ukochał lew naprzód samotność, więc rozkoszował się i gęstwiną leśną, w której spoczywał tak osłonięty, że go często słońce nie widziało, i płaską, olbrzymim kręgiem w kopule nieba osadzoną pustynią, po której zwykle tylko wiatr chodził i wielkie garście piasku z miejsca na miejsce przerzucał. Bo on jeden nie trwożył się i nie uciekał, usłyszawszy gniew króla zwierząt, a nawet miał odwagę zwichrzać lub głaskać mu grzywę i puszczać w wir pląsające przed nim słupy kurzu. Tygrysy, jaguary, wszystkie drapieżce, równym przestrachem zdjęte, jak żyrafy, kozy, antylopy, małpy, o ile nie ginęły rozszarpane i pożarte, pierzchały z okolicy aż tam, gdzie ich przerażające ryki lwa najsłabszym echem nie dobiegały.

Żył on więc tylko z samotnością, która mu rodziła niezliczone marzenia. Ale zwłaszcza jedno z tych dzieci umiłował. Szumem z wysoka na ziemię padającego wiatru, głosami z daleka przylatujących ptaków mówiło mu ono ciągle, że gdzieś po za widnokręgiem wznoszą się olbrzymie góry, które w zawojach z chmur lub w koronach z promieni słonecznych wznoszą nad światem swe głowy.

Poszedł tedy lew dnia pewnego w kierunku, który mu jego marzenie wskazywało. Przebył długą drogę, przepłynął szerokie morza, a owych śnionych wyżyn nigdzie nie spotkał. Zmęczony bardziej zawodem, niż podróżą, gdy mu raz chmury nawet światło gwiazd zaćmiły, legł nad brzegiem jeziora, w którym utonąć zapragnął. Szczebiotało ono do niego czule i wabiło go nęcącym szmerem swych drobnych fal:

— Ukołyszę cię, wypieszczę, ucałuję... Na moim łonie

zaśniesz w spokoju, którego ci życie nigdy nie da. Zejdź z dobrowolnej tortury na miękką pościel mojego kryształowego pałacu, przytul się do mojej piersi, która cię nigdy nie odepchnie i dla ciebie bić będzie. Szczęście jest nieczułością i zapomnieniem...

Ale u głowy tułacza siedziało skrzydlate marzenie, które mu przewodniczyło ciągle w wędrówce i które go teraz odciągało od tej pokusy.

— Nie wierz zdradzieckiej namowie. Nie ścigaj śmierci, bo ona cię goni. Ile razy zechcesz, stawi się natychmiast na twoje rozkazy: nie potrzeba jej prosić i wzywać, nie potrzeba po nią ręki wyciągać, bo ona stoi tuż przy tobie... Jesteś już u celu twych rojeń. Gdy ranek zasłony nocy pościąga i góry z mgieł omiecie, zobaczysz...

Lew powstał. Przez mroki dojrzał na drugiej stronie jeziora czarne ściany, ogromne skały czy mury, jak gdyby wynurzone z wody cielska potworów. Miałżeby on za niemi tęsknić, do nich dążyć?

Tymczasem posępne oblicze nieba zbladło; mroki rzedniały, nabierały coraz większej przezroczystości. Powoli zarysowały się rozmaite kształty w otchłani cieniów i występowały barwy z tła szarego. Wszystko, co noc stopiła w jedną czarną masę, zaczęło się wydzielać i wyosabniać.

Lew patrzył ciekawie na to budzenie się natury i jej rozdziewanie z szat nocnych. Na przeciwległym brzegu jeziora stała gromadka gór owiniętych w mgłę białawą. Jedna za drugą, podejmując ku wierzchowi tę oponę, ściągały ją przez głowy i zawieszały na krawędziach skał wyższych. A gdy brzask rozlał w powietrzu jasność poranku, gdy na niebie zapłonęła łuna, poprzedzająca wschód słońca, one już stały nagie i przeglądały się w jeziorze. Były to góry nizkie, rodzajne, karmicielki człowieka, obwieszone kiściami ziaren i gronami jagód.

Lew je podziwiał, ale ciągle wzrok puszczał po za nie, dalej, gdzie stały inne, większe, z głowami zatopionemi w puchach obłoków. Jeszcze drzemały, gdyż dopiero dzień je budzi i odkrywa.

Nareszcie cicho i skromnie, jak gdyby nie było panem i żywicielem natury, szeroko rozwartą i niczym niezmąconą źrenicą wysunęło się na lekko wyzłocony błękit nieba świeże, odmłodniałe słońce. Trącone jego promieniami wielkie, dotąd senne góry, zerwały szybko ze swych głów białe zawoje i oblały się strugami światła. Wtedy lew ujrzał widok czarujący. Na śnieżnym czole jednej z gór słońce zapaliło olśniewający djadem, który błyszczał jak zwieszony z nieba łuk ognisty.

Ramiona jej okrywał kołnierz gronostajowy, z pod którego ku dołowi zbiegał płaszcz ciemnego granatu, oszyty futrem zielonych drzew i krzewów. Ze słońcem nad głową stała ona wspaniała i majestatyczna, jak królowa, przed którą inne w licznym orszaku pochyliły się i upadły na kolana.

Lew wskoczył na ocios głazu, wystający z jeziora, usiadł, patrzył na to urocze zjawisko i powoli w zachwycie kamieniał. A chociaż słońce, odchodząc wyżej na sklepienie niebios, zdjęło swe blaski z czoła góry, chociaż ona znowu owiązała się obłokiem, on ciągle na niej wzrok trzymał.

Nieruchomy, skamieniały, z obliczem w jedną stronę zwróconym, z uśmiechem upojenia i tęsknoty na odemkniętych wargach siedzi tak od lat wielu na bryle granitu u bramy przystani jeziora. Codziennie przepływają koło niego setki statków i tysiące ludzi, wre nieustanny gwar życia i pracy, przesuwają się coraz nowe obrazy — on nigdy na nie nie spojrzał, ani na chwilę nie odchylił ku nim głowy. Natura przebiera się w rozmaite widoki, czaruje wiosną, odurza latem, siecze deszczami jesieni, mrozi chłodami zimy — on tego wszystkiego nie widzi. Nieraz wybuchały koło niego pieśni wesela, nieraz rozszalała się burza; wicher wstrząsał jego podstawą, znurtowana woda opryskiwała mu oblicze, gromy huczały nad nim jak gryzące się lwy — on nie zmrużył powieki i nie odwrócił oczu od punktu, w którym je utkwił. Spokojny i niewzruszony czeka ciągle chwili, kiedy góra, którą ukochał, znowu odgarnie swe zasłony, a on ją w koronie strzelającej promieniami światła pierwszy zobaczy.

I co w niej tak umiłował, że oczarowany nią skamieniał? Czy to, że tak wysoko ponad inne się wzniosła? Czy to, że blaskami słońca tak wdzięcznie się stroi? Czy to, że głowę na niebie oparła i nigdy śnieżnego czoła pyłem ziemskim nie opruszyła? Czy za to, że wielka, czy za to, że niepokalana, czy za to, że w światła natury zblizka spogląda?

Nigdy na te pytania nikomu nie odpowiedział, bo stawszy się głazem, jak głaz milczał.

Tylko czatownik latarni jeziora twierdzi, że pewnej nocy słyszał, jak lew przemówił do jakichś cieniów, które po falach do niego przyszły i dziwnym głosem z odrętwienia go zbudziły. Słowa jego wszakże nie wiązały się w żadną treść zrozumiałą. Mówił, że żyje, myśli i czuje, ale skamieniał na wszystko, co spodem świata się toczy, że cierpi, gdy mu chmury promienny szczyt przesłonią, ale te smutki roztapia mu w rozkosz jedna chwila widzenia góry w jej majestacie, że największym szczęściem jest zawieszenie wzroku na wysokości, do której kurz walk padołu nie sięga i która nie mdłemi ognikami

nizin, ale blaskami podniebia gorzeje. Ten tylko między ludźmi był rozumnym, zadowolonym i szczęśliwym—wyszeptał w końcu – kto tak, jak ja, kochał i kto do przedmiotu swej miłości nie zbliżył się bardziej, niż na odległość kochania.

Szeroko wieść rozniosła te słowa, które usiłowano złożyć w jasne rozwiązanie zagadki — ale daremnie. Lew pozostał sfinksem.

Siedzi on dotąd kamienny na kamiennym zrębie i patrzy w zachwyceniu ku górze, czy ona płaszczem się otuli, czy rozodziana z cieniów uroki na jego oczy rzuca. Zdaje się, że widzi on coś duszą nawet wtedy, kiedy wszyscy nie mogą niczego dojrzeć wzrokiem. A ponieważ znudził ludzi swym osłupieniem, więc uznali, że nie żyje, a jego rozmowa z cieniami czatownikowi się przyśniła.

— A ty jak sądzisz?—spytała słuchaczka.

— Ja sądzę—odrzekł—że w bajce wszystko jest możliwe.

Aspazja

AKT II. Scena III.

ANAKSAGORAS. Uciekam od tego zgiełku...

ASPAZJA. Skąd idziesz?

ANAKSAGORAS. Ze zgromadzenia narodu.

ASPAZJA. Co postanowiono?

ANAKSAGORAS. Postanowiono tupać, wrzeszczeć, lżyć, mądrość nazywać głupotą, a głupotę mądrością. Zazdroszczę ci, Aspazjo, że możesz zamknąć się przed tym jarmarkiem wszelkich namiętności i spokojnie nad niemi rozmyślać.

ASPAZJA. Spokojną nie jestem. Czy projekt Peryklesa przyjęto?

ANAKSAGORAS. Stań ponad błotnistym spraw ludzkich biegiem, niech on ci zaledwie stopy opryskuje, moja przyjaciółko. (*do innych kobiet*). Nie powitałem was dotąd—a jednej nie znam jeszcze.

DJOTIMA (*kłaniając się*). Djotima. Czy Kaljas przemawiał?

ANAKSAGORAS. Krzyczeli wszyscy, nawet zachrypnięci. (*do Aspazji*). Pierwiastki dobroczynne i piękne, łącząc się, tworzą czasem związki szkodliwe i szpetne. Chmury, które nam łagodzą skwar słońca, spotkawszy się, wykrzesują z siebie piorun.

DJOTIMA (*cicho do Zei*). Co on prawi?

ASPAZJA (*tłumiąc wzruszenie*). Więc Perykles upadł ze swym wnioskiem?

ANAKSAGORAS *(do przygnębionej Aspazji)*. Dla jego przyjaciół byłoby to bolesnym, dla filozofów powinno być obojętnym. Istnieje tylko materja i jej własność—duch, który jej cząstki kojarzy w rozmaite stosunki. Te same są w Peryklesie, co w Kaljasie, te same w gienjuszu, co w głupcu, te same w cnocie, co w występku—tylko rozmaicie ułożone. W przestrzeni pozostaje ciągle niezmienna ilość i jakość pierwiastków, nasion wszechrzeczy. Właściwie zatym, czy Perykles zwycięża, czy jest zwyciężony, materja się nie przekształca, tylko przyjmuje nową postać.

DJOTIMA *(cicho do Teory)*. Czy ty go rozumiesz?

ANAKSAGORAS (*do Djotimy*). Zapewne pytasz o mnie, obywatelko. Przepraszam, zapomniałem ci się przedstawić: jestem Anaksagoras, marny filozof, niezdatny do żadnego praktycznego użytku, zagapiony w niebo i chodzący zwichniętemi nogami po ziemi, zmuszony zajmować się polityką, a nieumiejący pogodzić ślepego z ostrowidzem. Mam synka, którego kocham, a kochać nie chcę. Ile razy mi zachoruje, siadam przy jego łóżeczku i mówię sobie: przecież on jest tylko zlepkiem cząsteczek materji, które po jego śmierci w przestrzeni się zachowają. Alboż to mój syn, oderwany od natury? Nie, to jej okruch. Ona zaś najmniejszego atomu nie zmarnuje: jednemu ciału odbierze, drugiemu da. Filozofja goi cierpienia. Gdyby serce nie było potrzebne do odżywiania krwi, należałoby je wyciąć *(do Aspazji)*. Tak, Perykles, mój syn, — to kształty chwilowe, znikome...

DJOTIMA (*cicho do Filezji*). Może ty go pojmujesz...

ASPAZJA (*otrzeźwiając się*). Ja go pojmuję. (*do Anaksagorasa*). Powiedz mi wprost: lud żądania jego odtrącił...

ANAKSAGORAS *(zmieszany)*. Nie czekałem końca. Wzburzony opuściłem zgromadzenie, gdy Perykles śród wycia i złorzeczeń zawołał: ster nie przyrósł do rąk moich, opuszczam go więc i odstępuję godniejszym, niech z pomiędzy was wystąpią...

ASPAZJA. Z takiego szczytu... w przepaść... (*dumnie*). A kto tam od niego godniejszy? *(wchodzi Fidjasz)*.

Scena IV

CIŻ i FIDJASZ.

FIDJASZ. Zwycięstwo!

ASPAZJA. Powtórz!

FIDJASZ. Z tysiąców piersi brzmi hymn chwały Peryklesa! Lud zatwierdził budowę Partenonu mnie ją powierzył! O piękne

mary, zstępujcie ku mnie z obłoków, po których was dotąd stęskniony ścigałem! Niech mi do oczu spłyną wszystkie krople rosy dzisiejszego poranka, ażebym mógł niemi wypłakać moją radość. W marmurowym łonie Pantelikonu spoczywa od wieków bogini Atena, którą ja stamtąd dłutem wydobędę i na Partenonie postawię.

ASPAZJA *(podając mu rękę)*. Bądź tak wtedy gienjalnym, jak ja jestem teraz szczęśliwą. Anaksagorasie, zatrwożyłeś mnie napróżno.

ANAKSAGORAS. Skąd mogłem się domyślać, że Perykles okiełzna tę wściekłą burzę, która go unosiła, że dzikie wrzaski zamienią się w okrzyki jego tryumfu!

FIDJASZ *(do Aspazji)*. Nie dziw się Anaksagorasowi, że zwątpił, jeżeli wyszedł ze zgromadzenia wtedy, kiedy po mowie Tucydydesa jego arystokratyczna banda usiłowała zepchnąć Peryklesa z trybuny. Ale lud, na chwilę zbałamucony kłamstwami, wkrótce opamiętał się i odparł niecny zamach na swego trybuna, którego oskarżano, że chce zbogacić się przy Partenonie.

ASPAZJA. Potwarz nieodstępnie płynie za wielkim człowiekiem, jak rekin za okrętem, ciągle spodziewając się żeru.

FIDJASZ. Ugodził on tego rekina śmiertelnie. Gdybyś widziała, jak rozszarpywał przeciwników dowodami, jak ich miażdżył wzgardą, jak chłostał dowcipem, byłabyś z niego jeszcze bardziej dumną, jeżeli bardziej dumną być możesz.

ASPAZJA. Gdzież jest ten mój tytan?...

FIDJASZ. Pozostał, a mnie wysłał, żebym cię natychmiast zawiadomił...

ASPAZJA. Co on tam jeszcze będzie robił? Czyżby... Nie!...

DJOTIMA. Kaljas przemawiał?

FIDJASZ. Tfu! Kaljas jest starym mułem. Przyniósł na targ to, czym go zła baba obładowała i sądził, że dobrze sprzeda. Wysypał najrozmaitsze bzdurstwa przeciwko Peryklesowi, wreszcie oświadczył, że na jego miejscu wystawiłby Partenon własnym kosztem. Gdy zaś Perykles rzekł: ustępuję miejsca Kaljasowi—złapany w własną pętlicę bogacz zaczął z niej głowę wyciągać. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawiają się przy nim trzy koty...

DJOTIMA. Tylko trzy!...

FIDJASZ. Eurypides, spostrzegszy je, zawołał: Kaljas nie może zbudować Partenonu, bo ma przecież te dzieci! Zerwał się huragan śmiechu i zmiótł zawstydzonego Kaljasa, którego Perykles dobił słowami: obywatele, on chciał być poważnym!

DJOTIMA. Kto teraz powie, że nie przyczyniłam się do wzniesienia Partenonu?

ASPAZJA. Zapewne...

FIDJASZ. Czym?

DJOTIMA. Koty były moje.

ASPAZJA. Uczcijmy wszakże tę zasługę tylko między sobą.

DJOTIMA. Przeciwnie, sama ją obeślę po całych Atenach.

ASPAZJA. Bez potrzeby i bez celu.

FILEZJA. Nie wyzywaj odwetu.

TEOZA. Zwłaszcza, że Elpinika powodów do niego szuka.

ZEJA. Ona przywiąże się jak klekotka do szyi swego muła i rozgłosi jego krzywdę, a twoją niegodziwość.

FIDJASZ. I zaszkodzi wygranej sprawie.

DJOTIMA. Śmieszności lękają się nawet bogowie, a wy nie chcecie jej użyć przeciwko ludziom? Wyrzucacie ze swych kołczanów najostrzejszy grot? Wyrzućcie raczej mądrość, uczciwość, odwagę, bo one w walce częściej zawodzą! Oskubany przez was ze zwodnych pozorów głupiec, łotr lub tchórz opierzy się na nowo, jeśli go wypuścicie z rąk skrwawionym, a nie śmiesznym. Wszystkie piętna dadzą się zmyć lub pozłocić: bogaty dzieciobójca może zostać opiekunem sierot, ale nikt nie wypiłby kubka miodu z Homerem, pomalowanym na niebiesko. Własna żona nie pozwoli dziś Kaljasowi rozpleść sobie włosów, a jutro go może zdradzi. Moje koty dokazały tego, czego nie dokazałaby nigdy wymowa Peryklesa.

ASPAZJA. I w to uwierzę, abyś tylko ten wypadek zachowała w tajemnicy.

DJOTIMA. Ani myślę.

ASPAZJA. Dmuchasz w gorący popiół, który ci niewątpliwie oczy zasypie i poparzy. Nie jesteś obywatelką ateńską; gdy Elpinika poruszy swe stosunki i wpływy, sponiewierają cię i wygonią jak szkodną kunę. Nie łudź się siłą demokracji, która dotąd jeszcze działa po za ustawami. Tu cudzoziemkom wolno zaledwie tyle, co strąconym z drzewa przez wiatr szyszkom: kurczyć się w deszcz i rozszerzać w pogodę, a zawsze oczekiwać tego, że czyjaś noga po nich przejdzie.

DJOTIMA. Sama powiedziałaś, że żyjemy w okresie panowania kobiet.

ASPAZJA. Ostrożnych i roztropnych. Śmiałym zapewniono przywileje i swobodę, ale pod warunkiem, że będą ladacznicami.

DJOTIMA. Puste strachy! Co znowu, czy po to przyjechałam do Aten, ażeby w nich być mądrą i unikającą światła dziennego sową? Ja pragnę używać życia pośpiesznie, niewstrzemięźliwie, wesoło, bo jego nić niedługo się przerwie.

ASPAZJA *(smutnie).* Tracę w tobie przyjaciółkę, pomocnicę... Trudno, nie chcesz iść ze mną, leć z wichrem.

DJOTIMA. Nie odpędzaj mnie, już zwijam skrzydła.

ASPAZJA (*całując ją*). Całe szczęście, żeś dobra. Anaksagorasie, zamianowałyśmy cię na bardzo zaszczytny urząd.

ANAKSAGORAS. Jaki?

ASPAZJA. Opiekuna przytułku dla dziewczynek niewolniczych. Zamierzamy wykupywać te przysmaki męskie.

ANAKSAGORAS. Najgorszy wybór! Dajcie pokój niezdarze, który ledwie umie opiekować się sobą i własnym dzieckiem.

ASPAZJA. Żądamy tylko, ażebyś nas sobą zasłonił przed areopagiem i nigdy się nie wyparł, że to zakład twój.

ANAKSAGORAS. To moich zdolności nie przechodzi. Zdobędę się jeszcze na coś więcej: poproszę Tucydydesa, który obecnie przewodniczy arystokratom nietylko w polityce, ale i w spożywaniu owych przysmaków, ażeby poparł nasze przedsięwzięcie. Szczyci się bowiem, że ma najpiękniejsze w Atenach niewolnice. Darował nawet mojemu synkowi dorodną mamkę. (*wchodzą Sofokles i Eurypides*).

Scena V

CIŻ, SOFOKLES I EURYPIDES.

SOFOKLES. Życzymy wam i sobie więcej dni takich.

EURYPIDES. Do tego domu szczęście się sprowadza...

SOFOKLES. Od dziś służba publiczna, a dla biednych nadto bilety do teatru będą przez państwo opłacane. Lud może teraz kształcić się i piastować wszystkie urzędy.

ASPAZJA. O niezapomniany dniu! Gdzież Perykles?

SOFOKLES. Układa się z posłami kilku miast, którzy przybyli dla zawarcia przymierza i uznania zwierzchnictwa Aten. Nam polecił zanieść ci radosną wiadomość.

ASPAZJA. Promieniem słońca wypisałabym ją na sklepieniu niebios, ażeby zabłysła całemu światu.

FIDJASZ (*który rysuje, często spoglądając na Aspazję, do siebie półgłosem).* Wspaniałe linje!

SOFOKLES. Pierwszy popis ich wodza nie udał się. Tucydydes poczuł, że nie jest Cymonem.

EURYPIDES. Nawet przy pomocy Hermipa. I ten kiep składał także pierwszy egzamin swojego służalstwa. Niedawno widziałem go jeszcze w gwałtownym napadzie demokratycznym, którym swędził jak przypieczony korek — i oto dziś już mówił bardzo biegle o prawach szlachetnej krwi, o powinowactwie starych rodów z bogami, o przeznaczeniu ludzi, o szkodliwości

dopuszczania klas niższych na stanowiska wyższe—słowem paplał tak, jak gdyby jego ojciec z Apolinem umizgał się do Dafny, a on był owocem tych zalotów. Obok mnie stał pewien czcigodny obywatel, wielce ojczyźnie zasłużony, bo pod Tanagrą, licząc na pobojowisku poległych, ściągał im pierścionki—ten najzapamiętalej potakiwał Hermipowi.

SOFOKLES. Ale też posiekał go Protagoras, który bronił wniosków Peryklesa z całą swoją sztuką.

FIDJASZ *(j. w.)*. Protagoras? On i to umie?

ASPAZJA. Czemu z wami nie przyszedł?

SOFOKLES. Obiecał przyprowadzić jakiegoś młodziutkiego filozofa, którego nazywa źrenicą Aten.

ANAKSAGORAS. Imię tego młodzieńca?

SOFOKLES. Sokrates.

ANAKSAGORAS. Słyszałem o nim.

FIDJASZ. Szpetny jak muza Hermipa.

EURYPIDES. Ale można się w nim przejrzeć jak w najczystszym zwierciadle.

ASPAZJA. Ten Hermip, który kilkakrotnie przez różne osoby do drzwi naszych pukał i zawsze je znajdował zamknięte, bardzo mi się teraz podoba, bo przypuszczam, że będzie trapił arystokratów swojemi komedjami. Czytałem jedną: miała smak wody po wymoczonych gałązkach jaśminu. Słaba woń czyniła ją jeszcze bardziej mdłą.

EURYPIDES. O, smak jego utworów niezawodnie się poprawi: przejdą one zapachem pieczeni, które autor na pańskich stołach zjada. Bez talentu a za pieniądze trudno opisać drobną muszlę, ale łatwo opluć piramidę. Najmita zaś literacki nie jest obowiązany wyciskać dla swych panów miłość z serca, lecz dla ich przeciwników żółć z wątroby. Arystokraci nabyli Hermipa nie po to, ażeby ich sławił, lecz nas znieważał. Na to każdego stać.

SOFOKLES. Naturalnie, on jednak ma istotny talent.

EURYPIDES. W giętkim karku.

ASPAZJA. Obchodzimy dziś wielkie święto, — nie mówmy więc o takim mizernym komarze: niech im brzęczy a nas kąsa. Hermip—nie Eschylos.

SOFOKLES. A któżby śmiał ich zestawiać! Eschylosa nie zastąpi nikt.

EURYPIDES. Nawet ty Sofoklesie?

SOFOKLES. Ja go wprawdzie pokonałem na igrzyskach, ale nie pokonam w historji. Gdy żył, odpychał mnie nieraz swą arystokratyczną wyniosłością, swym religijnym fanatyzmem, pleśnią swych zasad; śmierć wszakże okryła całunem ułomności człowieka, a odsłoniła potęgę gienjusza, który jak djamentowy

kolos, czysty, błyszczący i twardy stanął niezaćmiony i nieprzewyższony w literaturze Grecji.

ASPAZJA. Chyba tym jedynie niższy jesteś od niego Sofoklesie, że żyjesz.

SOFOKLES. Aspazjo, on stworzył Prometeusza.

ASPAZJA. Ale uczcił Zeusa, który tego Prometeusza, za wykradzenie ognia wiedzy z Olimpu, przykuł do skały i przez sępa wyszarpywał mu codziennie odradzające się wnętrzności. Ty zaś, Sofoklesie, a z tobą my wszyscy czcimy nie mściwego i okrutnego boga, lecz śmiałego człowieka, bohaterskiego męczennika, który wyzwał do walki tyrana niebios i poświęcił się dla ludzi. Najpiękniejszy to i najprawdziwszy mit, jaki kiedykolwiek usnuła wyobraźnia. Zawarty w nim dramat zaczął się przed wiekami, a nie skończy się może nigdy — dramat przeszłych i przyszłych cierpień człowieka. Ze wszystkich też legiend religji greckiej wierzę w tę jedną: tak Zeus jest, i Prometeusz jest—nigdy nie zginą i nigdy walczyć nie przestaną. Zdaje mi się nawet, że cała wiara ludzi w tym micie się zamyka, z tą różnicą, że jedni są czcicielami Zeusa, a drudzy Prometeusza. My należymy do ostatnich: kradniemy ogień bogom nieba i ziemi, którzy nas za to przytwierdzają do skał nad przepaściami, a sępom każą rozdzierać; my cierpimy, ale tymczasem ogień się rozżarza, świeci i grzeje, zapala myśl ludzką iskrami nowych prawd i natchnień. Tak będzie zawsze, Zeus i Prometeusz nazwą się inaczej, skała zamieni się na słup, krzyż lub stos, ale walka trwać będzie. Eschylos jej nie rozumiał, więc ją zamknął zwycięstwem boga i pokorą człowieka. Słusznie też przelatujący orzeł roztrzaskał czaszkę zniedołężniałego poety skorupą żółwia.

FIDJASZ *(ciągle rysując, spojrzawszy na Aspazję, szepcze)*. Pyszny model do Minerwy!

SOFOKLES. Sędziwa starość nie może pędzić z szybkością wieku młodego. My biegniemy jak dzieci, on stąpał powoli jak nasz ojciec. Ale i on miał swoją młodość — i on był Prometeuszem, bo prawdziwy gienjusz nigdy się wstecz nie cofa i nigdy się nie poddaje.

ASPAZJA. Niech spoczywa w historji zabalsamowany wszystkiemi środkami nieśmiertelności, ale dla życia obecnego posiada on jedynie wartość szanownej mumji. W jego tragiedjach ziemia wraz ze swemi tworami jest bezwładną i bierną bryłą, na której rozbija i biwakuje, rządzi i gospodarzy, lub tańczy i koziołki wywraca horda rozhulanych bogów: dla nas cała natura nie ponad sobą, ale w sobie nosi prawa i przeznaczenia. Człowiek Eschylosa dźwiga kajdany, twój, Sofoklesie — ledwie ostatnie z nich, wrośnięte w ciało ogniwo, a może człowiek

Eurypidesa mieć będzie tylko sine po nich pręgi. A to jest wielki postęp nietylko w pisaniu tragiedji, ale i w pojmowaniu świata.

EURYPIDES. Legienda mówi dalej, że Zeus chcąc za winę Prometeusza zemścić się na wszystkich ludziach, zesłał im czarującą dziewicę, która, mając puszkę napełnioną rozmaitemi nieszczęściami, otwiera ją ciągle, a zamyka wtedy, gdy z niej chce wybiec zwodna nadzieja. Pandorą jest każda kobieta i w twoich dopiero rękach, Aspazjo, nie widzę złowrogiej puszki, lecz dobroczynny róg obfitości. Całuję te ręce. *(całuje).*

ASPAZJA. Rówieśnicy łatwiej się rozumieją; ty się też ku mnie zbliżasz, a Sofokles oddala.

SOFOKLES. Nie, Aspazjo, żałuję tylko, że za wami nie podążę.

DJOTIMA (*do Eurypidesa*). Jedna z Pandor, Djotimą zwana, ciekawa jest wiedzieć, jakie nieszczęście sprowadziła na świat twoja matka, urodziwszy ciebie?

EURYPIDES. Co najmniej krzywdę dziesięciu ludzi, bo za tylu piję wino.

Scena VI

CIŻ PROTAGORAS I SOKRATES.

PROTAGORAS. Pokłon dostojnemu areopagowi. Tyle tu rozumu Aten się skupiło, że trudno na ulicy spotkać rozsądnego człowieka. (*do Aspazji, wskazując na Sokratesa*). Sokrates młodzieniec, który dotąd rzeźbił marmurowe głowy, a teraz chce rzeźbić ludzkie mózgi.

ASPAZJA (*do Sokratesa*). Będziesz wielkim, Protagoras już nosi przed tobą twoją sławę, on, który mnie...

PROTAGORAS. Aspazjo, za jedną winę jedna kara: nauczyłem małego niewolnika czytać, jak żądałaś — nie powinnaś mi więc przypominać, że kiedyś wprzód cię obraziłem, niż poznałem.

ASPAZJA (*podając mu rękę*). Tym bardziej, że dziś za obronę Peryklesa jestem ci wdzięczną. (*do Sokratesa*). Nikt mi o tobie dawniej nie wspomniał—z Aten pochodzisz? (*Sokrates milczy*).

PROTAGORAS. Mój towarzysz zaniemiał.

ASPAZJA. Anaksagoras rad cię usłyszeć.

EURYPIDES (*do Sokratesa*). Co tobie?

ASPAZJA. Usiądź Sokratesie.

SOKRATES (*który ciągle wpatrywał się w Aspazję, siada u jej stóp—błagalnie*). Nie mów do mnie...

ASPAZJA. Czemu?

SOKRATES. Nie mów... Duch, który mnie nigdy nie odstępuje i rady szepcze, odszedł i zabrał mi rozum. Ale on ośmieli się i wróci. Tak Ateny ulepiły to dziwadło, wycisnąwszy mu brzydotę w twarzy, a cześć dla piękna w sercu. Koło potworu pląsają z szyderczym uśmiechem rozmaite czary ziemskie, których on dosięgnąć nie może. Promienie jutrzenki są mętniejsze od twych spojrzeń. Uśmiechasz się litościwie najpiękniejsza z istot, nazwanych kiedykolwiek imieniem kobiety. Nie sprawiam ci wstrętu, gdy mali chłopcy ujrzawszy mnie na ulicy, tulą się w fałdy ubrania ojców. Bo też mnie nikt nie kocha, tylko własna moja dusza.

ASPAZJA. Jesteś tak młody...

SOKRATES. Głos twój brzmi jak dźwięk strun arfy eolskiej, muskanych wiosennym powiewem i miłe tony wlewa do piersi mojej. Młody jestem—mówisz. W szpetnym ciele dusza szybko dojrzewa, bo chce co prędzej z niego wylecieć. W twoim ona rozkoszuje się—nie starła z niego jeszcze ani jednej barwy dziewiczej. Zawstydzone róże pozwijałyby w pączki swe kielichy, gdybyś ty stanęła między niemi.

ASPAZJA. Poeta z ciebie — i wymowny...

SOKRATES (*powstawszy nagle*). Ocuć się, Sokratesie! Chodź mój duchu i strzeż mnie... Aspazjo, to była szczera młodzieńcza modlitwa... Eurypidesie... Protagorasie... Anaksagorasie, raczyłeś zauważyć myślący pył. Jestem—jak twierdzi moja matka—darmozjadem i nicponiem, bo chodzę po niwie filozofji i pielę z jej plonów chwasty. Zaczepiam ludzi, którzy mniemają, że wiedzą wszystko i przekonywam ich, że nie wiedzą nic, że nasypują ciągle piaskiem dziurawe worki lub nadymają wiatrem pęcherze i uginają się pod niemi, jak gdyby dźwigali wielkie ciężary.

ANAKSAGORAS. Odbierasz chleb sofistom.

SOKRATES. Nie odbieram go, bo te pęcherze przekłuwam darmo.

ANAKSAGORAS. Czego uczysz?

SOKRATES. Odróżniać grzyby, które zbieramy w lesie poznania i z których składa się cała wiedza. Są między niemi lepsze i gorsze, pożywne rydze i szkodliwe bedłki, ale ostatecznie są to grzyby: najlepsze ich gatunki trzeba spożywać młode, bo szybko giną. Dzisiejsza prawda może jutro stać się fałszem. Kłamstwo jest trującą bedłką, a przesąd robaczywym grzybem—filozof właśnie powinien je wyrzucać z koszów ludzi ciemnych, ażeby nie chorowali moralnie. Bo do cnoty prowadzi droga przez wiedzę... Zbrodniarz jest nieoświeconym, lub źle rozumującym głupcem.

PROTAGORAS *(do Anaksagorasa)*. Ten człowiek wcześnie obudził się i przetarł sobie oczy.

ANAKSAGORAS. Szeroko je otworzył.

PROTAGORAS. Mądrze mówi, chociaż ten jego wywód również możnaby obalić.

ASPAZJA *(do Sokratesa)*. Odwiedzaj nas często—będziesz zawsze pożądanym.

SOKRATES. Tak cudnie prosisz, że duch mój znowu mnie opuścił (*siada u jej stóp*). W wieczności unoszą się ideały wszechbytu, które rzucają odblaski na życie ludzkie. Ty jesteś ich najczystszym odbiciem.

ASPAZJA. Tylko mnie oglądasz — może później będziesz słuchał. Anaksagorasie, obiecałeś odczytać nam swoją rozprawę o mitach—przyniosłeś rękopis.

ANAKSAGORAS. Owszem — ale zamilczcie o jego osnowie przed każdym, dla kogo jestem w Grecji zbyteczny. Praca ta musi zginąć, a może i ja z nią, niechże przynajmniej ten los na nas poczeka (*czyta*). „Wszelkie mity o stworzeniu świata i jego dziejach pierwotnych należą do poezji, a dla nauki nie posiadają żadnego znaczenia, prócz wartości symbolów które... (*wchodzi Perykles*).

BOLESŁAW PRUS.

Aleksander Głowacki urodz. w r. 1847 w Puławach pod Lublinem. Studjował w Warsz. Szkole głównej matematykę i nauki przyrodnicze, pracował w warsztatach elektrotechnicznych. Jego *Kroniki tygodniowe* duży zdobyły sobie rozgłos dążeniem do dobra publicznego i niezależnością od panujących stronnictw; utwory artystyczne, najprzód drobne nowele, potym wielkie powieści, postawiły go w rzędzie najwybitniejszych pisarzy polskich. Utwory pomniejsze w 4 tomach w tanim wydaniu Wawelberga. Osobno: *Lalka*, *Emancypantki*, *Faraon*, *Najogólniejsze ideały życiowe*.

Obacz studja o Prusie w dziele *Ign. Matuszewskiego*: *Swoi i obcy*.

Sen.

Był na czwartym kursie medycyny pewien ubogi student. Miał jedną korepetycję za sześć rubli miesięcznie, na Pradze, u maszynisty kolei Terespolskiej, i jedną na Podwalu, u sklepikarza za trzy ruble. Sam zaś mieszkał na Piwnej, na czwartym piętrze za cztery ruble, której to sumy systematycznie nie płacił; nie dla tego, ażeby zrujnować gospodarza domu, ale że nigdy nie cuchnął pieniędzmi.

Nosił mundur wybielony na szwach, a przy nim guziki wytarte aż do czerwonej miedzi. Jego spodnie były tak filigranowe, że ledwie można je było uważać za logarytmy spodni rzeczywistych; kieszenie zaś on sam nazywał próżnią Toricellego. Nie było w nich nic, tak dalece, że w końcu zawstydzone pouciekały z ubrania, a miejsce ich zajęły dziury, aż do środka ziemi głębokie.

Skutkiem tak szczególnych warunków finansowych ubogi student miał zaklęsłe piersi, mocno zapadły brzuch i głowę zwieszoną; nie ze smutku bynajmniej, ale z tej racji, że jego biedna głowa posiadała nierówno więcej nauki, aniżeli można było udźwignąć na tak bardzo chudej szyi.

— Gdybym był Panem Bogiem, inaczejbym świat urządził—mówił niekiedy.—Wynalazbym sobie korepetycję za trzydzieści rubli na miesiąc, jadłbym codzień obiad, sprawiłbym palto na zimę, płaciłbym za mieszkanie... A tak...

Niekiedy sięgał fantazją w przyszłość i myślał:

— Dałbym sto dukatów temu, ktoby mi powiedział: czy ja skończę medycynę, czy nie?... Bo z tym głupim kaszlem, z temi gorączkami, z tym pluciem... Zresztą, co mi tam! Nie ja będę winien, jeżeli Europa straci doskonałego lekarza... Jakbym ja pysznie leczył!... Każdemu pacjentowi jedna recepta: mieszkanie suche, codziennie opalane; śniadań i kolacji można nie jadać, ale obiad bezwarunkowo; odzienie powinno być całe i zastosowane do pory roku. Przytym co najmniej, trzeba mieć dwie własne koszule i... wystrzegać się lekarzy i lekarstw.

Pewnego dnia przed świętami Bożego Narodzenia, odebrawszy za lekcję na Pradze pięć rubli, nasz przyjaciel znalazł się w dużym kłopocie. Chciał gospodarzowi zapłacić komorne za lipiec, a tu... masz!.. oddał wyjeżdżającemu koledze trzy ruble długu, sklepikarzowi ośmdziesiąt pięć kopiejek za artykuły kuchenne, stróżowi był winien rubla... Skąd tu wziąć na komorne za lipiec?..

Tak był zafrasowany brakiem równowagi w swoim budżecie, że dopiero w południe wrócił na Piwną. Gdy zaś oddał

rubla zasług stróżowi i zażądał klucza od mieszkania, stróż odparł, drapiąc się w głowę:

— Bo, proszę pana, tam się już wprowadzili na czwarte piętro...

— Któż?... jakim sposobem?... co to za rozbój?...—zawołał student, sięgając machinalnie do kieszeni, w której u bandytów bywają pistolety, a u zwykłych śmiertelników pieniądze.

— Gospodarz powiedział,—mówił stróż—że pan nie płaci pół roku, więc kazał pańskie rzeczy wynieść do mojej izby, a mieszkanie wynajął dekarzowi. Bieda tam, panie—dodał:—żona, troje dzieci... i już dzisiaj pożyczyli ode mnie kartofli i węgla. Żeby nie pański pokój, to, mówił lekarz, że pewnie przyszłoby im zmarznąć z dziećmi na ulicy...

Ubogi medyk głęboko się zamyślił.

— Ha, jeżeli tak,—rzekł—to mogę ustąpić. Ale gdyby tu się sprowadził Bloch, albo Kronenberg, pokazałbym gospodarzowi, co to znaczy lekceważyć zobowiązania!

Kiwnął głową i wyszedł na ulicę nie pytając nawet o swoje rzeczy—co było godnym prawdziwego mędrca, który z bogactw doczesnych posiada szczoteczkę do zębów, pół ręcznika i bardzo piękny atlas anatomiczny.

Już nie myślał ani o dekarzu, ani o gospodarzu. Zdawało mu się, że ma trochę gorączki, że po całodziennym poście wartoby coś przekąsić, chociaż nie czuł głodu. Gorączka, a może i wprawa dużo znaczą w tych wypadkach. Więc wstąpił do sklepiku, wziął jako smakosz, dwie suche kiełbaski, a jako człowiek praktyczny—kawał razowego chleba, i cały ten sprawunek z wielką dumą kazał sobie zawinąć w gruby papier od cukru. Zdawało mu się, że sklepikarka posądza go o wybieranie się w podróż do bieguna północnego i że ogląda go z podziwem; tymczasem sklepikarka posądzała go tylko o chroniczną goliznę i pilnie przypatrywała się, czy moneta, którą jej dał, nie jest fałszywą.

Otrzymawszy dziesięć groszy reszty, nasz przyjaciel znalazł się już stanowczo na ulicy, gdzie po śniegu, rozpuszczającym się w błocie, jeździły wozy z mięsem albo z pieczywem i sanki, napełnione amatorami poetycznych wzruszeń. W tym, na rogu chodnika, porwała go za rękę jakaś stara kobieta, ubrana w stos łachmanów i na cały głos poczęła krzyczeć:

— Panie!... panie!.. jacy my biedni!...

„Oczywiście poczuła zapach suszonej kiełbasy (te głodomory mają pyszny węch!)"—pomyślał medyk i, ażeby uniknąć kompromitacji, dał babie ostatnią dziesiątkę.

— Niechaj Bóg da ci szczęście...—zawołała osoba w łachmanach, która niegdyś snadź była wielką damą.

Tak przynajmniej wskazywały jej wykrzykniki, pełne deklamacji, dowodzących subtelnego uczucia.

Ubogi medyk wyrwał się z jej objęć, jak goły z ukropu.

„Kompromitująca baba! — myślał. — Jej chustka i mój mundur są tak podobne do siebie, że ludzie gotowi nas posądzić o kuzynostwo".

Swoją drogą, na tle dźwięczenia dzwonków, stukania sanek o bruk uliczny i turkotu dorożek, zdawało mu się, że słyszy jej błogosławieństwo, wypowiedziane równie wykwintnym jak i zakatarzonym głosem:

— Niechaj Bóg da ci szczęście!...

„Szczęście? - myślał, idąc chodnikiem, na którym potrącali go przechodnie. — Co to jest szczęście? Niejednokrotnie słyszałem ten wyraz, ale choć niczego nie brak mi w życiu i mam prawo nazywać się kompletnie zadowolonym, nie śmiałbym jednak twierdzić, że kiedykolwiek byłem szczęśliwym. No wieczorek w domu Bajera jest przecie coś wart... Niech mnie djabli wezmą, jeżeli nie zjadłem na samego siebie pięciu serdelków i pół funta sera, nie licząc bułek. A poncz co?... Oryginalny arak Goa od Fuchsa, Burgund od Maliniaka, cytryny... Cytryny były, zdaje się prawdziwe... Piłem i jadłem, jak arcyksiążę. Nawet były panny, jeżeli się nie mylę, z pierwszorzędnej restauracji, gdzie obiady wydają tylko na porcje... Nie mogę jednak powiedzieć, ażeby to było szczęście; choć po tym ponczu już na drugim piętrze tak mnie rozebrało. Ponczowe uniesienia, nawet towarzystwo panien z pierwszorzędnej restauracji nie są prawdziwym szczęściem. Czegoż bo tam brakło na tym wieczorku?... Był przecie śpiew, wino, kobiety, a jednak wszystko skończyło się nudnościami. Więc co to jest szczęście?"

Przed dwunastu laty, kiedy jechał w lekkim płaszczyku na Boże Narodzenie do domu, było mu tak strasznie zimno, że myślał iż zmarznie w drodze. Palce i uszy piekły go, nosa nie czuł, nogi miał drewniane, a po całym ciele przebiegały mu dreszcze. Lecz gdy stanął w domu i dano mu kubek gorącej herbaty z mlekiem, gdy położył się do łóżka i skostniałe nogi zaczęły mu się ogrzewać, poczuł nieznaną dotychczas rozkosz.

Z przyjemnością myślał o tym, jak go paliły uszy, o tym, że dreszcze zostały gdzieś na dworze — i wydał mu się bardzo pociesznym cień głowy ojca, z nienaturalnie dużym nosem, który poruszał się na ścianie. A jak wesoło paliła się ta świeca i jak spokojnie zasypiał on sam, ciesząc się, że mróz tak dobrze go wymęczył!

Później w jego życiu było więcej takich mrozów, desz-

czów, głodów i wszelkiego rodzaju utrapień. Ale, dziwna rzecz: żadnej z tych prywacji nie oddałby za wieczorek z ponczem i pannami, a nawet za trzydziestorublową korepetycję. Bo każde cierpienie zostawiało w duszy jego i jakby blask, słodycz i ciepło, którego niczym niepodobna było zastąpić.

„Więc to ma być szczęście?... – myślał!—Zabawna historja"...

W tej chwili spostrzegł, że jest w Saskim ogrodzie, na który zaczął już padać mrok wieczorny. Poza czarnemi gałęźmi drzew i żelaznemi kratami ogrodu widać było tu i owdzie zapalane w oknach światła.

Po alejach snuło się ledwie kilku przechodniów, biegnących ku kramom, jakby ich goniła noc i zimno. Po śniegu figlowało kilka psów, a jeden, odznaczający się cienkością talji i podwiniętym ogonem, przypatrywał się im zdaleka, wykonywując zadem takie ruchy, jakby miał zamiar usiąść na tylnych nogach, ażeby rozetrzeć sobie przednie.

Ten widok przypomniał ubogiemu studentowi, że i on sam zmarzł djabelnie. Więc położył swoją paczkę z chlebem i kiełbaskami na ławie i zaczął biegać po alei, bić się rękoma o boki i rozgrzewać uszy.

— Trzeba przyznać, — myślał czując błogie skutki ćwiczeń – że człowiek jest o wiele doskonalszą istotą od psa, który nie potrafi rozetrzeć sobie uszu.

Wtym pod ławką usłyszał niepokojące kłapanie. Spojrzał... Jego paczka leżała na śniegu potargana, kiełbasek już w niej nie było, a nad resztką chleba znęcał się okrutnie ten sam pies, który przed chwilą z taką melancholją patrzał na gonitwę swoich kolegów. I teraz przysiadał na zadzie i miał ogon bardzo podwinięty; ale jego szczupła talja zdawała się być nieco pełniejszą...

— Bodaj cię!...—wrzasnął ubogi student.

Jednym skokiem znalazł się obok psa i potężnie kopnął go w garnitur białych zębów.

Pies zaskowyczał, zatoczył się i pędem uciekł w stronę najbliższej bramy, żałośnie jęcząc:

— Aj-aj!... aj-aj!... aj-aj!... aj-aj...

Teraz dopiero, patrząc na potargany papier i resztkę niedogryzionego chleba, przyjaciel nasz jasno sformułował sobie, że mu jest zimno, że mu się bardzo chce pić, że nie ma dachu nad głową i że, bądź jak bądź, ale student czwartego kursu medycyny nie może znajdować się w tak dwuznacznej pozycji.

— Co ja tu będę czekał na ulicy, aż mnie przemarzłego wezmą do cyrkułu?—myślał.—Mam przecież bardzo przyzwoite locum: któryś z naszych musi być dyżurnym w klinice u Dzie-

ciątka Jezus, więc pójdę tam i zastąpię go. Wyśpię się za to jak anioł, zjem, wypiję...

W dziesięć minut później już był w klinice, gdzie istotnie zastał dyżurnego kolegę, któremu oświadczył chęć zastąpienia go na noc przy chorych. Kolega pilnie mu się przypatrzył, zapewnił go, że swoich chorych nie odstąpi za żadne w świecie skarby, ale że jemu da łóżko w osobnym pokoju, który akurat jest wolny. Kolega był nawet tak uprzejmy, że pomógł mu rozebrać się, kazał przynieść herbaty, położył go, okrył i wsadził mu termometr pod pachę.

— No, przecie nie myślisz kolega, że jestem chory?—zapytał, śmiejąc się, nasz przyjaciel.—Cała rzecz w tym, że wyrzucił mnie dziś gospodarz i nie mam gdzie spać... Gdyby nie to, ani myślałbym zaglądać do kliniki...

Dyżurny potakiwał gościowi, dodając w duchu, że gdyby nie dziwnie pusty żołądek, lekkie zajęcie płuc, czterdziestostopniowa temperatura i sto dwadzieścia uderzeń pulsu na minutę, to nasz przyjaciel mógłby się uważać za człowieka kompletnie zdrowego.

Tymczasem ubogi medyk czuł się z każdą godziną lepiej. Był zachwycony szpitalnym łóżkiem, co chwila wyzywał kolegę na dysputy filozoficzne o tym: czym właściwie jest szczęście i... na co jest życie ludzkie? — a już około dziesiątej wieczorem był tak zdrów, że nie tylko ciągle śmiał się i śpiewał, ale nawet chciał koniecznie wyjść za miasto, gdzie, podług jego spostrzeżeń, było już słońce i lato. Prawie siłą musieli go zatrzymywać w łóżku, dopóki po szamotaniach się nie wpadł w zupełne odrętwienie, w którym nie słyszał głosów i nie widział snujących się ludzi.

Przed jego oczyma, zamkniętemi dla rzeczy ziemskich, otworzył się inny świat

Zdawało mu się, że jest na wsi i patrzy na niebo podczas zachodu słońca. Niebo wyglądało jak szmaragdowy ocean, pokryty złotemi i srebrzystemi wyspami, które zaludniały postacie ludzkie, zwierzęce i roślinne.

„Oczywiście mam gorączkę, — myślał chory — ale co mi szkodzi patrzeć, kiedy to takie zabawne?"

Więc patrzał na ów nowy kraj, uśmiechając się sceptycznie, jak człowiek, któremu pokazują niknące obrazy i opowiadają bajki.

Przedewszystkim uderzył go wygląd przedmiotów. Liście drzew miały, jak i u nas, kolor zielony, kora brunatny, piasek był żółty, ziemia szara, kwiaty różowe, białe, niebieskie, ale wszystkie te barwy cechowały się niepojętą delikatnością i blaskiem. Takie barwy można widzieć tylko na obłokach, albo

w kroplach rosy. Nadto zaś wydawało się medykowi, że każdy przedmiot nie tylko odbija jakieś potężne światło zewnętrzne, lecz nadto prześwieca i zarazem sam świeci niepojętym własnym światłem. Wytwarzała się z tego dziwna gra kolorów, pełnych subtelności i życia.

Dzięki temu oświetleniu, wpatrzywszy się lepiej, można było widzieć pulsujący ruch kamieni, które kurczyły się, rozszerzały, falowały na powierzchni i wewnątrz, za każdą zmianą temperatury, ciśnienia powietrza, a nawet za każdym ruchem i odgłosem, jaki rozległ się w ich sąsiedztwie. Można było widzieć niekiedy bystre, niekiedy powolniejsze krążenie soków w roślinach, dyszenie ich liści i wykluwanie się nowych pączków. Zdawało się też, że przy mocniejszym natężeniu wzroku, można dojrzeć snujące się, jak obłoki, myśli w głowach i zmieniające barwy uczucia w sercach ludzkich.

Prócz tego każde drgnienie kamieni, szelest liści, powiew wiatru, nawet zmiana człowieczej fizjognomji, ogłaszały się delikatnym szmerem, który środkował między melodją a mową i albo coś sam od siebie tłumaczył i opowiadał słuchaczowi, albo z innemi głosami łączył się w jakąś obszerniejszą melodję, czy rozleglejsze opowiadanie. Tym sposobem, nie przeszkadzając sobie, rozmawiały pojedyńcze kwiatki i cały las, krople wody i ocean, ziarna piasku i niezmierne łańcuchy gór. Dla zbadania zaś tajemnic natury nie było potrzeba żadnych specjalnych metod, bo każda rzecz sama odsłaniała i odpowiadała swoje tajniki zarówno malowniczym i dźwięcznym jak prostym i jasnym językiem.

W tym osobliwym kraju, gdzie ludzie, zwierzęta, nawet rozbite cegły żyły, czuły i rozmawiały, gdzie piasek lśnił jak złoto, a brukowiec załamywał światło nie gorzej od djamentu, ubogi student, przypatrując się uważniej, dostrzegł niespodziewane zjawisko.

Wszystko tam było piękne: mężczyźni, kobiety, rośliny i kamienie; ale najpiękniejsze było to, co w ziemskim życiu nazywa się ubogim i cierpiącym. Jedwabie, aksamity, perły i złoto wśród ogólnego przepychu wydawały się powszedniemi i wyblakłemi; natomiast grube płótno, siermięgi, lipowe łapcie chłopów i łachmany nędzarzy miały w sobie coś oryginalnego, co zwracało uwagę.

Regularne twarze i posągowe kształty nużyły jednostajnością; zaś chude, połamane i okryte bliznami ciała budziły interes. Na widok pięknego człowieka ubogi student machał ręką i myślał:

— Ech! taki on jak miljony innych; widocznie o nic się nie rozbił.

Ale każda ułomność i rana zaciekawiały go i mówił sobie:

— Tego faceta musieli jednak djabelnie przejechać!...

Ten sam interes budziły strzaskane drzewa, ruiny budynków i całe okolice, zburzone trzęsieniem ziemi. Student nie pytał, skąd biorą się rzeczy foremne i ozdobne, bo na tym świecie wszystko było foremne, ozdobne i jaśniejące barwami; lecz w wysokim stopniu zajmowała go każda nieforemność, każde złamane istnienie. Było ono jakby księgą, w której zapisywały się ważne wypadki.

— Szczególna rzecz,—mówił—jak mi to przypomina zdanie: „Błogosławieni maluczcy i ci, którzy cierpią...“ Muszę wyznać, że ci maluczcy wyglądają bardziej malowniczo, a cierpiący mają w sobie coś dramatycznego.

Niedaleko skały z szafirów i topazów, skąd wypływał strumień wody, podobny do tęczy, i gdzie krył się nieszczęsny Cezar przed widziadłami setek tysięcy pobitych wojowników, student zobaczył grupę kobiet. Były tam bankierowe w naszyjnikach z pereł, hrabianki w bransoletach z djamentów, hrabiny w koronkach i strusich piórach, z zazdrością i żalem tłoczące się około starej żydówki, która siedziała przy beczce śledzi. Stroje tych dam, na tle łąki ze szmaragdów, upstrzonej rubinami, szafirami, ametystami, którą przerzynał strumień djamentów, wyglądały jak stare ścierki. Tymczasem barchanowa watówka żydówki skąd tu i owdzie wyłaziła wata, miała kolor i połysk szlachetnego bronzu ozdobionego kłaczkami srebra. I piękne twarze kobiet były jakieś smutne, a nawet (strach powiedzieć!) bezduszne. Zdawało się, że są to trupy, w których ledwie tli się iskierka świadomości, ciągle przygasającej i drżącej o to, że zgaśnie.

Wpatrzywszy się bliżej, student poznał, że damy te nic nigdy nie robiły i niczego przykrego nie doświadczyły w życiu. Ich zasób duchowy był prawie żaden, wciąż przyćmiewał się i groził zamienieniem się w nicość. Ażeby nieco orzeźwić obumierającą, żydówka z litości pozwalała im patrzyć w okienko swego życia i stamtąd czerpać jakby oddech dla wiecznie konających piersi.

Historja śledziarki była bardzo prosta: dawała ona co tydzień, przez trzydzieści lat, po śledziu i po kawałku chleba biednemu człowiekowi, który w piątek z rana przechodził około jej beczki najwcześniej.

Student spojrzał w okienko jej życia, i zobaczył jakby aleję ludzi, rozmaitego wieku, siedzących, stojących, albo leżących, a każdy jadł śledzia z chlebem i nad każdym widać było obrazy jego życia. Ten chciał się zabić z głodu, lecz, obdarowany przez handlarkę, nabrał ochoty do życia.

Tamten miał kraść, lecz w porę dany posiłek uratował go od więzienia. Inny chciał porzucić drobne dzieci, inny zabić człowieka dla pieniędzy, lecz każdego zawrócił ze złej drogi mały śledzik i kromka chleba.

Student czuł głód i gniew tych biedaków, a potym radość i budzące się lepsze myśli. Widział ich rodziny, uratowane od niedoli i ludzi, którzy mogli się stać ofiarami ich dzikości. Pomiędzy zaś całą tą gromadą snuł się otyły bankier, który zobaczywszy raz, jak litościwa żydówka obdarowywała biedaka śledziem, zaprowadził bezpłatne obiady dla ubogich i również jak ona, uratował niejednego od zguby.

Słowem, przez okienko życia starej żydówki widać było ogromny świat ludzi cierpiących a uradowanych, gniewnych a uspokojonych, i desperatów, którzy znaleźli nadzieje. Wszyscy oni mnożyli się i dawali początek nowym cierpieniom i uciechom. Taki zaś między niemi panował ruch, że biedne, salonowe damy, w których gasła dusza, popatrzywszy na ten kipiący obraz, ożywiały się, odzyskiwały niknącą świadomość bytu, po to, niestety! ażeby jeszcze boleśniej czuć jego pustkę.

Stara zaś żydówka w oberwanej watówce, z rękoma splecionemi na brzuchu, przymrużyła oczy i kiwała głową uśmiechając się litościwie. Ona nie potrzebowała patrzyć w okienko swego życia, bo miłosierna jej dusza była zasypana wspomnieniami, jak drzewo kwiatem na wiosnę.

— Tamta baba, której dałem dyskę, istotnie wywróżyła mi szczęście—mówił student.– Z tego co widzę, zaczynam domyślać się, że największym zaszczytem jest cierpienie, a największym szczęściem dobre czyny. Mnożą się, bestje, jak szczury: każdy wydaje setkę nowych czynów, a każdy z tej setki nową setkę... Tymczasem bieduy Cezar wygląda na faceta, którego inwalidzi rzymscy od wieków procesują o zgubione nogi i głowy (drakoński los)! a damy wielkiego świata nieustannie konają na pewien rodzaj duchowej anemji.

Tym sposobem ja – dodał—mogę pędzić tu bardzo przyjemne życie. Mam mundur dziurawy, żołądek o tyle pusty, że mógłby robić konkurencję okienku śledziarki, i w rezultacie nie zrobiłem nic tak złego, coby mi tu psuło humor...

W tej chwili usłyszał okropny głos, wołający:

— Aj-aj!... aj!... aj!... aj!... aj!...

Dreszcz go przebiegł i zdawało mu się, że w uszy wbijają mu sztylety. Uczuł ból tak dotkliwy, że wobec niego zbladły wszystkie piękności snu.

Skomlenie oddaliło się i powoli ucichło, a przestraszony student myślał:

— Co u djabła! (jeżeli podobnego wyrazu godzi się używać w podobnym miejscu...) to chyba ten pies, któremu dałem w zęby w Saskim ogrodzie? Padam do nóg!... Jeżeli mi urządzi drugi podobny koncert, to choć zmykaj!... No, jeżeli za takiego rodzaju krzywdę mam taki bal, to ciekawym jak wyglądają ci szlachcice, u których dać furmanowi w zęby należy do szyku?

— Wartoby jednak zobaczyć — mówił po namyśle — jaki jest mój kapitał zasług. Czym podobny do szczęśliwej śledziarki, która przez swoje okno widzi legjony obdarowanych, czyli też do tych pięknych pań, które duszą się tu, jak ryby wyjęte z wody?

Ledwie to powiedział, spostrzegł, że z jego serca wysnuwa się tysiące promieni, jakby złotych nici, które biegły w stronę ziemi i czepiały się jedne grobu rodziców, inne domu, gdzie przepędził dzieciństwo, inne drzew, pod któremi biegał, kamieni, na których siadał zmęczony, krynicy, skąd pijał wodę. Jeszcze inne serdeczne promyki zahaczały o jego kolegów, o ulubione książki, o znajome panny, nawet o gazety i paradyz w teatrze.

Były to wszystko przedmioty i ludzie, których kochał. Dzięki zaś promieniom, czy nitkom, co połączyły go z niemi, jego własne życie w tej chwili spotężniało mu tysiąc razy. Czuł radość jednego z kolegów, który o tej porze dojeżdżał do domu na święta; drugiego, który wybierał się z wizytą do pewnej miłej panienki; śledził bieg myśli trzeciego, który grał w szachy, czwartego, który uczył się na egzamin. Słodki smutek płynął mu do duszy od drzew, pokrytych śniegiem, i od starego domu, w którym wiatr kłapał spróchniałemi okiennicami.

Ale między tysiącem złotych promieni, co przynosiły mu cudzą radość albo żal tkliwy, znalazło się kilkanaście nici czarnych, łączących go z nielubianymi ludźmi i rzeczami. Te zatruwały mu szczęście, bo czy cieszył się, czy smucił człowiek nielubiany przez niego, czarna nić zawsze jednakowo targała mu serce jakimś ostrym i piekącym bólem.

— Więc naprawdę miłość daje szczęście, a nienawiść cierpienie?... —mówił zadumany, czując, że żadnej z tych złotych ani czarnych nici zerwać niepodobna.—A może ma realną wartość przestroga: „Miłujcie nawet nieprzyjacioły wasze?...” I byłożby faktem, że przez miłość i nienawiść współżyjemy z bliźniemi, którzy stają się jakby nierozdzielną częścią naszej duszy?

— Ehe!—zawołał—stare bajki... Muszę mieć tęgą gorączkę, jeżeli nawet na czwartym kursie medycyny przychodzą mi do łba podobne głupstwa... Miałyżby mnie już na zawsze udrę-

czać te czarne nici?—myślał w dalszym ciągu. I rozum mówił mu, że na zawsze, bo co raz stało się faktem, nie może zginąć ani w naturze ani w duchu. Jeżeli każdy przybór wód znaczy się na wybrzeżach, jeżeli każda epoka gieologiczna zapisuje się nawet w skałach, dlaczego nie miałyby się gdzieś zapisywać fale ludzkich myśli i uczuć? Z czasem mogą je pokryć nowe warstwy, ale zatrzeć—nigdy!...

— Głupia historja!—mruknął ubogi student i, ażeby odpędzić smutne myśli, które po nitkach nienawiści wpełzały mu do serca, jak robactwo, postanowił zbadać nową kwestję:

Na co w życiu ludzkim są cierpienia, a na co radości?

Gdy to pomyślał, w marzeniu jego zaszła wielka zmiana: zamiast barwnej, jaśniejącej okolicy, zobaczył ciemną kuźnię, w której pracowały dwie olbrzymie istoty nieokreślonej formy.

Jeden olbrzym dął miechem na ognisko, z którego wyskakiwały iskierki, mniejsze od ziarna maku, a drugi chwytał iskry i zamykał je w granitowych kulach, dużych jak karmelicka bania.

— Dzień dobry!—rzekł student—a co to robicie majsterkowie?...

— Ja—odpowiedział ten od miecha — spędzam tu nasiona dusz.

— A ja—dodał drugi—zamykam je w ciała ludzkie.

— Fiu!—gwizdnął student.—Ośmielam się wątpić, ażeby takie marne nasienie przebiło taką tęgą doczesną powłokę. Przecież ta granitowa kula ma ze trzy łokcie średnicy; jakim więc sposobem drobne nasienie duszy może z niej wypuścić kiełek?

— Gdyby wam dać mniej grubą powłokę doczesną—mruknął drugi olbrzym—prędkobyście się z nią załatwili, łajdaki!..

— Trzeci majster powie acanu, jak się to robi — odpowiedział ten od miecha, widocznie łagodniejszy.

Teraz ubogi medyk zobaczył na progu kuźni trzecią, jeszcze posępniejszą istotę, która wykonywała dziwną pracę. Brała ona granitowe kule z zamkniętemi wewnątrz iskierkami, i strasznym stalowym kolcem, przy pomocy tysiącfuntowego młota, dziurawiła granit aż do środka. Za każdym uderzeniem granit jęczał i płakał krwawemi łzami. Ale wnet z jego wnętrza wydobywała się cieniutka łodyżka światła. Wtedy olbrzym wysadzał kulę z kuźni na powietrze, tam łodyżka rosła i pokrywała się gałązkami (albo więdła), a olbrzym brał znowu kulę, znowu wbijał jej kolec, aż do środka, znowu wydobywał nową łodyżkę światła, która, wystawiona na powietrze, znowu rosła.

I tak wciąż.

— Za pozwoleniem—rzekł do straszydła ubogi student, dotykając palcami czapki—a co to majsterek robi?

— Pomagam rozwijać się duszom—odpowiedział strach.

— Aż granit skwierczy—rzekł student.

— Ale zato, spojrzyj acan, co się robi z duszą...

Medyk wyszedł przed kuźnię i patrzał na stosy brył granitowych. Gdy wiał wiatr łagodny i spokojny, jak czysta radość ludzkiego serca, łodyżki pokrywały się mnóstwem gałązek i dokoła granitowej bryły tworzył się niby las światła. Lecz jeżeli wionął wiatr gwałtowny i palący, jak namiętność, niektóre gałązki, ba! nawet cały las duszy—usychał.

A straszydło wciąż dziurawiło granit, który płakał i z kamiennego łona wypuszczał coraz nowe pędy.

— Któż pan jesteś, panie majster?...—spytał student zdumiony i przerażony krwawą robotą.

— Ja jestem Cierpienie—odpowiedziało widmo z okrutnym kolcem.— Gdyby nie ja, dusze wasze zostałyby do końca świata ziarnami maku, które śpią w bryle materji...

— Oj!... muszę mieć djabelną gorączkę — myślał student, pędem uciekając od kuźni.

Ten stan zaniepokoił go, więc rzekł:

— Spróbujmy rozumować trzeźwo, wedle wskazówek anatomji, fizjologji, farmakologji i akuszerji. Ponieważ mój mózg funkcjonuje nieprawidłowo, więc majaczy mi się, że nawet cierpienia mają swój cel, że powodują rozwój ludzkiego ducha. Gdybym zaś sądził rzeczy naukowo, w takim razie jasno rozumiałbym, że nie tylko w cierpieniu, ale nawet w całej naturze niema celu. Dowodzi przecież tego w sposób niezbity istnienie sutek piersiowych u mężczyzn, tudzież ludzkie ucho zewnętrzne, które jest organem bezcelowym, ponieważ nie możemy się nim ogarniać nawet przeciw muchom, jak to robią, dajmy na to krowy. Dalej... ponieważ jestem chory, więc marzy mi się, że nasze życie ziemskie przygotowuje duszę ludzką do życia wyższego, jak gimnazjum do uniwersytetu. Gdybym zaś był zdrów na ciele i umyśle, wierzyłbym z filozofem Hartmannem, że cały świat żyjący dąży do tego, ażeby unicestwić bezświadomy absolut, jak robaki w serze szwajcarskim dążą do zniweczenia szwajcarskiego sera. Ten zaś Hartmannowski absolut, czyli bezświadomy ser szwajcarski, sam się stworzył i swoje robaki także stworzył, ale bezświadomie, po to, ażeby go zjadły i ażeby zjadły samych siebie, także bezświadomie.

Skończywszy rozumowanie, ubogi medyk zawołał z radością:

— Widzę chwała Bogu, że moja gorączka nie musi być

zbyt wielką, jeżeli nie przeszkadza mi myśleć ściśle i zgodnie z najnowszemi rezultatami filozofji.

Wtym spostrzegł, że stoi na niezmiernej płaszczyźnie białych, wełniastych obłoków, na której środku wznosił się przepiękny posąg jakiejś osoby, większy od najwyższych gór ziemskich. Osoba ta miała błękitną szatę w mnóstwo fałdów, sięgających aż do stóp, ręce skrzyżowane na piersiach i twarz głęboko zamyśloną. Fałdy jej sukni wyglądały jak pasma wzgórz, oddzielonych głębokiemi przepaściami: po tych zaś wzniesieniach i zagłębieniach uwijały się istoty wielkości mrówek, nadzwyczajnie podobne do ludzi w uczonych biretach i togach.

Ubogi student odrazu pojął, że olbrzymia ta osoba jest obrazem Rzeczywistości i że łażące po niej mrówki usiłują za pomocą lunet, cyrklów, kątomiarów i odczynników chemicznych zbadać prawdziwy kształt owego posągu.

Widoczne było, że mrówki pracują usilnie i ze znajomością rzeczy. Na nieszczęście, posąg był miljard miljardów razy większy od nich, skutkiem czego żaden badacz nietylko nie mógł wzrokiem ogarnąć całości, ale nawet jakiejś większej cząstki. Mierzył więc po omacku, z wielkim trudem i bardzo powoli, tak, że nad poznaniem jednej fałdy pracowało kilkanaście pokoleń, myląc się i kłócąc między sobą. Dla pojęcia formy Rzeczywistości należało zbadać kilkaset poziomych i pionowych pokrojów, których obwody tworzyły linję długą na paręset wiorst. Tymczasem zbadano ledwie kilkanaście przekrojów, i to w niższych częściach posągu, zrobiono zaś kilkanaście metrów.

Mimo to rozprawiano o całości, którą jedni uważali za figurę prawidłową i celową, inni za martwą i bezładną kupę wypadków – i ci byli najzuchwalsi.

— Mam lunetę—wołał jeden—tak potężną, że widzę przez nią aż koniec mego nosa, lecz nie dojrzałem myśli w naturze.

— Co tam luneta!—odparł drugi.—Ale ja zbadałem kilkanaście nagniotków wielkich ludzi i wcale nie znalazłem duszy.

— A ja nawet życia nie widzę w naturze, — dodał trzeci—choć zrobiłem sztuczny mocz, nie różniący się ciężarem, kolorem, zapachem, ani smakiem...

— Każdy osieł robi to lepiej i taniej—przerwał mu właściciel lunety.

— Ale ja jeszcze w moim destylatorze uniwersalnym zrobię sztucznego człowieka...

Matematycy badali stopę Rzeczywistości, a ponieważ pracowali najdawniej i najporządniej, więc prędko skończyli swój kontur i odkryli w nim uderzającą prawidłowość. To upoważ-

niło ich do wniosku, że całość musi być wysoce prawidłowa, i twierdzili, że można zastosować ich formuły nawet do tych części posągu, których jeszcze żadne doświadczenie nie tknęło.

Ale badacze nagniotków i wynalazcy sztucznego moczu zakrzyczeli ich, więc praca posuwała się zwolna, i wśród ogólnego zamętu.

Widząc to, ubogi student pomyślał:

— Oczywiście jestem najdoskonalszy z ludzi, bo dokładnie zrozumiałem to, czego nie mogą pojąć najmędrsi. Rzeczywistość nie jest chaosem, lecz całością, nie tylko prawidłową, lecz i piękną, ja zaś...

W tym momencie rozległo się skomlenie psa: „aj-aj!"...— które tak wstrząsnęło chorym, że otworzył oczy...

Tym razem nie był już ani w krainie szczęścia, ani w ciemnej kuźni, gdzie wykuwano życia ludzkie, ani na płaszczyźnie obłoków, nad którą wznosiła się Rzeczywistość, lecz na szpitalnym łóżku. Otaczali go koledzy, na których twarzach spostrzegł niepokój i zdumienie.

— Cóż mi się tak przypatrujecie? — zapytał.

— To ty mówisz?—zawołał jeden.—No, więc będziesz żył...

— A stałem już obcasami w grobie — odparł rekonwalescent przypominając sobie dziwny sen.

— Chyba na tamtym świecie — odparł rekonwalescent, przypominając sobie dziwny sen.

— Aż na tamtym?... Cóż tam słychać?... Jakie wiadomości?...—żartowali koledzy.

Ubogi student machnął ręką i pomyślał:

— Żartujcie wy sobie, a ja co wiem, to wiem...

Gdy zaś przyszedł do zdrowia, nietylko nie narzekał na swoją biedę, ale owszem cieszył się z niej. A ile razy spotkała go ciężka zgryzota, przypominał sobie promienie światła, wytryskujące z granitowej bryły pod ciosami Cierpienia i mówił, że w takiej chwili dusza mu się rozrasta.

Z „Lalki" Pamiętnik starego subjekta.

...„Ze smutkiem od kilku lat uważam, że na świecie jest coraz mniej dobrych subjektów i rozumnych polityków, bo wszyscy stosują się do mody. Skromny subjekt co kwartał ubiera się w spodnie nowego fasonu, w coraz dziwniejszy kapelusz i coraz inaczej wykładany kołnierzyk. Podobnież dzisiejsi politycy co kwartał zmieniają wiarę: onegdaj wierzyli w Bismarka, wczoraj w Gambetę, a dziś w Beaconsfielda, który niedawno był żydkiem.

Już widać zapomniano, że w sklepie nie można stroić się w modne kołnierzyki, tylko je sprzedawać, bo w przeciwnym razie gościom zabraknie towaru, a sklepowi gości. Zaś polityki nie należy opierać na szczęśliwych osobach, tylko na wielkich dynastjach. Metternich był taki sławny jak Bismark, a Palmerston sławniejszy od Beaconsfielda i — któż dziś o nich pamięta? Tymczasem ród Bonapartych trząsł Europą za Napoleona I., potym za Napoleona III, a i dzisiaj, choć niektórzy nazywają go bankrutem, wpływa na losy Francji przez wierne swoje sługi, Mac Mahona i Ducrota.

Zobaczycie, co jeszcze zrobi Napoleonek IV, który pocichu uczy się sztuki wojennej u Anglików! Ale o to mniejsza. W tej bowiem pisaninie, chcę mówić nie o Bonapartych, ale o sobie, ażeby wiedziano, jakim sposobem tworzyli się dobrzy subjekci i, choć nie uczeni, ale rozsądni politycy. Do takiego interesu nie potrzeba akademji, lecz przykładu — w domu i w sklepie.

Ojciec mój był zamłodu żołnierzem, a na starość woźnym w komisji spraw wewnętrznych. Trzymał się prosto, jak sztaba, miał nieduże faworyty i wąs do góry; szyję okręcał czarną chustką i nosił srebrny kolczyk w uchu.

Mieszkaliśmy na Starym Mieście z ciotką, która urzędnikom prała i łatała bieliznę. Mieliśmy na czwartym piętrze dwa pokoiki, gdzie niewiele było dostatków, ale dużo radości, przynajmniej dla mnie. W naszej izdebce najokazalszym sprzętem był stół, na którym ojciec, powróciwszy z biura, kleił koperty; u ciotki zaś pierwsze miejsce zajmowała balja. Pamiętam, że w pogodne dnie puszczałem na ulicy latawce, a w razie słoty wydmuchiwałem w izbie bańki mydlane.

Na ścianach u ciotki wisieli sami święci; ale jakkolwiek było ich sporo, nie dorównali jednak liczbą Napoleonom, któremi ojciec przyozdabiał swój pokój. Był tam jeden Napoleon w Egipcie, drugi pod Wagram, trzeci pod Austerlitz, czwarty pod Moskwą, piąty w dniu koronacji, szósty w apoteozie. Gdy zaś ciotka, zgorszona tyloma świeckiemi obrazami, zawiesiła na ścianie mosiężny krucyfiks, ojciec, ażeby — jak mówił — nie obrazić Napoleona, kupił sobie jego bronzowe popiersie i także umieścił je nad łóżkiem.

— Zobaczysz niedowiarku—lamentowała nieraz ciotka — że za te sztuki będą cię pławić w smole.

— I!... Nie da mi cesarz zrobić krzywdy—odpowiadał ojciec.

Często przychodzili do nas dawni koledzy ojca: pan Domański, także woźny, ale z komisji skarbu, i pan Raczek, który na Dunaju miał stragan z zieleniną. Prości to byli ludzie (nawet pan Domański trochę lubił anyżówkę), ale roz-

tropni politycy. Wszyscy, nie wyłączając ciotki, twierdzili jak najbardziej stanowczo, że choć Napoleon I umarł w niewoli, ród Bonapartych jeszcze wypłynie. Po pierwszym Napoleonie znajdzie się jakiś drugi, a gdyby i ten źle skończył, przyjdzie następny, dopóki jeden po drugim nie uporządkują świata.

— Trzeba być zawsze gotowym na pierwszy odgłos! — mówił mój ojciec.

— Bo nie wiecie dnia, ani godziny — dodawał pan Domański.

A pan Raczek, trzymając fajkę w ustach, na znak potwierdzenia, pluł aż do pokoju ciotki.

— Napluj mi acan w balję, to ci dam!...—wołała ciotka.

— Może jejmość i dasz, ale ja nie wezmę — mruknął pan Raczek, plując w stronę komina.

— U... cóżto za chamy, te całe grenadjerzyska! — gniewała się ciotka.

— Jejmości zawsze smakowali ułani. Wiem, wiem...

Później pan Raczek ożenił się z moją ciotką...

Chcąc, ażebym zupełnie był gotów, gdy wybije godzina sprawiedliwości, ojciec sam pracował nad moją edukacją.

Nauczył mię czytać, pisać, kleić koperty, ale nadewszystko — musztrować się. Do musztry zapędzał mnie w bardzo wczesnym dzieciństwie, kiedy mi jeszcze z za pleców wyglądała koszula. Dobrze to pamiętam, gdyż ojciec, komenderując: „pół obrotu na prawo!" albo „lewe ramię naprzód — marsz!..."—ciągnął mnie w odpowiednim kierunku za ogon tego ubrania.

Była to najdokładniej prowadzona nauka.

Nieraz w nocy budził mnie ojciec krzykiem: „do broni!..." musztrował, pomimo wymyślań i łez ciotki, i kończył zdaniem:

— Ignaś! zawsze bądź gotów, wisusie, bo nie wiemy dnia, ani godziny... Pamiętaj, że Bonapartów Bóg zesłał, ażeby zrobili porządek na świecie; a dopóty nie będzie porządku, ani sprawiedliwości, dopóki nie wypełni się testament cesarza.

Nie mogę powiedzieć, ażeby niezachwianą wiarę mego ojca w Bonapartych i sprawiedliwość, podzielali dwaj jego koledzy. Nieraz pan Raczek, kiedy mu dokuczył ból w nodze, klnąc i stękając, mówił:

— E! wiesz stary, że już zadługo czekamy na nowego Napoleona. Ja siwieć zaczynam i coraz gorzej podupadam, a jego jak nie było, tak i niema. Niedługo porobią się z nas dziady pod kościół, a Napoleon po to chyba przyjdzie, ażeby z nami śpiewać godzinki.

— Znajdzie młodych.

— Co za młodych! Lepsi z nich przed nami poszli w zie-

mię, a najmłodsi—djabła warci. Już są między niemi i tacy, co o Napoleonie nie słyszeli.

— Mój słyszał i zapamięta — odparł ojciec, mrugając okiem w moją stronę.

Pan Domański jeszcze bardziej upadał na duchu.

— Świat idzie do gorszego — mówił, trzęsąc głową. — Wikt coraz droższy, za kwaterę zabraliby ci całą pensję, a nawet co się tyczy anyżówki i w tym jest szachrajstwo. Dawniej rozweseliłeś się kieliszkiem, dziś po szklance jesteś taki czczy, jakbyś się napił wody. Sam Napoleon nie doczekałby się sprawiedliwości!

A na to odpowiedział ojciec:

— Będzie sprawiedliwość choćby i Napoleona nie stało. Ale i Napoleon się znajdzie.

— Nie wierzę — mruknął pan Raczek.

— A jak się znajdzie, to co?...—spytał ojciec.

— Nie doczekamy tego.

— Ja doczekam, — odparł ojciec — a Ignaś doczeka jeszcze lepiej.

Już wówczas zdania mego ojca głęboko wrzynały mi się w pamięci, ale dopiero późniejsze wypadki nadały im cudowny, nieomal proroczy charakter.

Około roku 1840, ojciec zaczął niedomagać. Czasami po parę dni nie wychodził do biura, a wreszcie na dobre legł w łóżku.

Pan Raczek odwiedzał go codzień, a raz, patrząc na jego chude ręce i wyżółkłe policzki, szepnął:

— Hej! stary, już my chyba nie doczekamy się Napoleona.

Na co ojciec spokojnie odparł:

— Ja tam nie umrę, dopóki o nim nie usłyszę.

Pan Raczek pokiwał głową, a ciotka łzy otarła, myśląc, że ojciec bredzi. Jak tu myśleć inaczej, jeżeli śmierć już kołatała do drzwi, a ojciec jeszcze wyglądał Napoleona...

Było już z nim bardzo źle, nawet przyjął ostatnie sakramenta, kiedy, w parę dni później, wbiegł do nas pan Raczek dziwnie wzburzony, i stojąc na środku izby, zawołał:

— A wiesz stary, że znalazł się Napoleon?...

— Gdzie? — krzyknęła ciotka.

— Jużci we Francji.

Ojciec zerwał się, lecz znowu upadł na poduszki. Tylko wyciągnął do mnie rękę i patrząc wzrokiem, którego nie zapomnę, wyszeptał:

— Pamiętaj!... Wszystko pamiętaj...

Z tym umarł.

W późniejszym życiu przekonałem się, jak proroczemi były poglądy ojca. Wszyscy widzieliśmy drugą gwiazdę napoleońską, która obudziła Włochy i Węgry; a chociaż spadła pod Sedanem, nie wierzę w jej ostateczne zagaśnięcie. Co mi tam Bismark, Gambetta, albo Beaconsfield! Niesprawiedliwość dopóty będzie władać światem, dopóki nowy Napoleon nie urośnie.

W parę miesięcy po śmierci ojca, pan Raczek i p. Domański wraz z ciotką Zuzanną zebrali się na radę: co ze mną począć? P. Domański chciał mnie zabrać do swoich biur i powoli wypromować na urzędnika; ciotka zalecała rzemiosło, a p. Raczek zieleniarstwo. Lecz gdy zapytano mnie: do czego mam ochotę? odpowiedziałem, że do sklepu.

— Kto wie, czy to nie będzie najlepsze — zauważył p. Raczek.—A do jakiegożbyś chciał kupca?

— Do tego na Podwalu, co ma we drzwiach pałasz, a w oknie kozaka.

— Wiem—wtrąciła ciotka.—On chce do Mincla.

— Można spróbować? — rzekł p. Domański. — Wszyscy przecież znamy Mincla.

P. Raczek na znak zgody, plunął aż w komin.

— Boże miłosierny—jęknęła ciotka — ten drab już chyba na mnie pluć zacznie, kiedy brata nie stało... O! nieszczęśliwa ja sierota!..

— Wielka rzecz! — odezwał się p. Raczek. — Wyjdź jejmość zamąż, to nie będziesz sierotą.

— A gdzież ja znajdę takiego głupiego, coby mnie wziął?

— Phi! może i jabym się ożenił z jejmością, bo niema mnie kto smarować — mruknął p. Raczek, ciężko schylając się do ziemi, ażeby wypukać popiół z fajki.

Ciotka rozpłakała się, a wtedy odezwał się p. Domański:

— Poco robić duże ceregiele. Jejmość nie masz opieki, on nie ma gospodyni; pobierzcie się i przygarnijcie Ignasia, a będziecie nawet mieli dziecko. I jeszcze tanie dziecko, bo Mincel da mu wikt i kwaterę, a wy tylko odzież.

— Hę?... — spytał p. Raczek, patrząc na ciotkę.

— No, oddajcie pierwej chłopca do terminu, a potym... może się odważę—odparła ciotka.—Zawsze miałam przeczucie, że marnie skończę...

— To i jazda do Mincla! — rzekł p. Raczek, podnosząc się z krzesełka.—Tylko jejmość nie zrób mi zawodu! — dodał, grożąc ciotce pięścią.

Wyszli z p. Domańskim i może w półtory godziny wrócili, obaj mocno zarumienieni. P. Raczek ledwie oddychał,

a p. Domański z trudnością trzymał się na nogach, podobno z tego, że nasze schody były bardzo niewygodne.

— Cóż?...—spytała ciotka.

— Nowego Napoleona wsadzili do prochowni! — odpowiedział p. Domański.

— Nie do prochowni, tylko do fortecy A-u... A-u... — dodał p. Raczek i rzucił czapkę na stół.

— Ale z chłopcem co?

— Jutro ma przyjść do Mincla z odzieniem i bielizną — odrzekł p. Domański. — Nie do fortecy A-u... A-u... tylko do Ham-ham, czy Cham .. bo nawet nie wiem...

— Zwarjowaliście pijaki! — krzyknęła ciotka, chwytając pana Raczka za ramię.

— Tylko bez poufałości! — oburzył się p. Raczek. — Po ślubie będzie poufałość, teraz... Ma przyjść do Mincla jutro z bielizną i odzieniem... Nieszczęsny Napoleonie!...

Ciotka wypchnęła za drzwi p. Raczka, potym p. Domańskiego i wyrzuciła za niemi czapkę.

— Precz mi stąd pijaki!

— Wiwat Napoleon!—zawołał p. Raczek, a p. Domański zaczął śpiewać:

Przechodniu, gdy w tę stronę zwrócisz swoje oko,
Przybliż się i rozważaj ten napis głęboko...
Przybliż się i rozważaj ten napis głęboko...

Głos jego stopniowo cichnął, jakby zagłębiając się w studni, potym umilkł na schodach, lecz znowu doleciał nas z ulicy. Po chwili zrobił się tam jakiś hałas, a gdy wyjrzałem oknem, zobaczyłem, że p. Raczka policjant prowadził do ratusza.

Takie to wypadki poprzedziły moje wejście do zawodu kupieckiego.

Sklep Mincla znałem oddawna, ponieważ ojciec wysyłał mnie do niego po papier, a ciotka po mydło. Zawsze biegłem tam z radosną ciekawością, ażeby napatrzeć się wiszącym za szybami zabawkom. O ile pamiętam, był tam w oknie duży kozak, który sam przez się skakał i machał rękami, a we drzwiach—bęben, pałasz i skórzany koń z prawdziwym ogonem.

Wnętrze sklepu wyglądało jak duża piwnica, której końca nigdy nie mogłem dojrzeć z powodu ciemności. Wiem tylko, że po pieprz, kawę i liście bobkowe, szło się na lewo, do stołu, za którym stały ogromne szafy, od sklepienia do podłogi napełnione szufladami. Papier zaś, atrament, talerze i szklanki, sprzedawano przy stole na prawo, gdzie były szafy z szy-

bami, a po mydło i krochmal szło się w głąb sklepu, gdzie było widać beczki i stosy pak drewnianych.

Nawet sklepienie było zajęte. Wisiały tam długie szeregi pęcherzy naładowanych gorczycą i farbami, — ogromna lampa z daszkiem, która w zimie paliła się cały dzień, — sieć pełna korków do butelek, wreszcie—wypchany krokodylek, długi może na półtora łokcia.

Właścicielem sklepu był Jan Mincel, starzec z rumianą twarzą i kosmykiem siwych włosów pod brodą. W każdej porze dnia siedział on pod oknem, na fotelu obitym skórą, ubrany w niebieski barchanowy kaftan, biały fartuch i takąż szlafmycę. Przed nim na stole leżała wielka księga, w której notował dochód, a tuż nad jego głową wisiał pęk dyscyplin, przeznaczonych głównie na sprzedaż. Starzec odbierał pieniądze, zdawał gościom resztę, pisał w księdze, niekiedy drzemał, lecz pomimo tylu zajęć, z niepojętą uwagą czuwał nad biegiem handlu w całym sklepie. On także, dla uciechy przechodniów ulicznych, od czasu do czasu, pociągał za sznurek skaczącego w oknie kozaka i on wreszcie, co mi się najmniej podobało, za rozmaite przestępstwa karcił nas jedną z pęka dyscyplin.

Mówię nas, bo było nas trzech kandydatów do kary cielesnej: ja, tudzież dwaj synowcy starego — Franc i Jan Minclowie.

Czujności pryncypała i jego biegłości w używaniu sarniej nogi, doświadczyłem zaraz na trzeci dzień po wejściu do sklepu.

Franc odmierzył jakiejś kobiecie za 10 groszy rodzynków. Widząc, że jedno ziarno upadło na kontuar (stary miał w tej chwili oczy zamknięte), podniosłem je nieznacznie i zjadłem. Chciałem właśnie wyjąć pestkę, która wcisnęła mi się między zęby, gdy uczułem na plecach coś, jakby mocne dotknięcie rozpalonego żelaza.

— A szelma!—wrzasnął stary Mincel i nim zdałem sobie sprawę z sytuacji, przeciągnął po mnie jeszcze parę razy dyscyplinę, od wierzchu głowy do podłogi.

Zwinąłem się w kłębek z bólu, lecz od tej pory, nie śmiałem wziąć do ust niczego w sklepie. Migdały, rodzynki, nawet rożki miały dla mnie smak pieprzu.

Urządziwszy się ze mną w taki sposób, stary zawiesił dyscyplinę na pęku, wpisał rodzynki i z najdobroduszniejszą miną, począł ciągnąć za sznurek kozaka. Patrząc na jego półuśmiechniętą twarz i przymrużone oczy, prawie nie mogłem wierzyć, że ten jowjalny staruszek, posiada taki zamach w ręku. I dopiero teraz spostrzegłem, że ów kozak, widziany z wnętrza sklepu, wydaje się mniej zabawnym, niż od ulicy.

Sklep nasz był kolonjalno-galanteryjno-mydlarski. Towary

kolonjalne wydawał gościom Franc Mincel, młodzieniec trzydziestokilkoletni, z rudą głową i zaspaną fizjognomją. Ten najczęściej dostawał dyscypliną od stryja, gdyż palił fajkę, późno wchodził za kontuar, wymykał się z domu po nocach, a nadewszystko niedbale ważył towar. Młodszy zaś, Jan Mincel, który zawiadywał galanterją i obok niezgrabnych ruchów, odznaczał się łagodnością, był znowu bity za wykradanie kolorowego papieru i pisywanie na nim listów do panien.

Tylko August Katz, pracujący przy mydle, nie ulegał żadnym surowcowym upomnieniom. Mizerny ten człeczyna odznaczał się niezwykłą punktualnością. Najraniej przychodził do roboty, krajał mydło i ważył krochmal jak automat; jadł co mu podano, w najciemniejszym kącie sklepu, prawie wstydząc się tego, że doświadcza ludzkich potrzeb. O dziesiątej wieczorem gdzieś znikał.

W tym otoczeniu upłynęło mi ośm lat, z których każdy dzień był podobny do wszystkich innych dni, jak kropla jesiennego deszczu, do innych kropli jesiennego deszczu. Wstawałem rano o piątej, myłem się i zamiatałem sklep. O szóstej otwierałem główne drzwi, tudzież okiennicę. W tej chwili, gdzieś z ulicy, zjawiał się August Katz, zdejmował surdut, kładł fartuch i milcząc stawał między beczką mydła szarego, a kolumną, ułożoną z cegiełek mydła żółtego. Potym drzwiami od podwórka wbiegał stary Mincel, mrucząc: *morgen*! poprawiał szlafmycę, dobywał z szuflady księgę, wciskał się w fotel i parę razy ciągnął za sznurek kozaka. Dopiero po nim ukazywał się Jan Mincel i ucałowawszy stryja w rękę, stawał za swoim kontuarem, na którym podczas lata łapał muchy, a w zimie kreślił palcem albo pięścią jakieś figury.

Franca zwykle sprowadzano do sklepu. Wchodził z oczyma zaspanemi, ziewający, obojętnie całował stryja w ramię i przez cały dzień skrobał się w głowę, w sposób, który mógł oznaczać wielką senność, lub wielkie zmartwienie. Prawie nie było ranka, ażeby stryj, patrząc na jego manewry, nie wykrzywiał mu się i nie pytał:

— No... a gdzie ty szelma latala?

Tymczasem na ulicy budził się szmer i za szybami sklepu coraz częściej przesuwali się przechodnie. To służąca, to drwal, to jejmość w kapturze, to chłopak od szewca, to jegomość w rogatywce, szli w jednę i drugą stronę, jak figury w ruchomej panoramie. Środkiem ulicy toczyły się wozy, beczki, bryczki – tam i napowrót... Coraz więcej ludzi, coraz więcej wozów, aż nareszcie utworzył się jeden wielki potok uliczny, z którego co chwila ktoś wpadał do nas za sprawunkiem.

— Pieprzu za trojaka...

— Proszę funt kawy...
— Niech pan da ryżu...
— Pół funta mydła...
— Za grosz liści bobkowych...

Stopniowo sklep zapełniał się, po największej części służącemi i ubogo odzianemi jejmościami. Wtedy Franc Mincel krzywił się najwięcej: otwierał i zamykał szuflady, obwijał towar w tutki z szarej bibuły, wbiegał na drabinkę, znowu zwijał, robiąc to wszystko z żałosną miną człowieka, któremu nie pozwalają ziewnąć. W końcu zbierało się takie mnóstwo interesantów, że i Jan Mincel i ja musieliśmy pomagać Francowi w sprzedarzy.

Stary wciąż pisał i zdawał resztę, od czasu do czasu dotykając palcami swojej białej szlafmycy, której niebieski kutasik zwieszał mu się nad okiem. Czasem szarpnął kozaka, a niekiedy z szybkością błyskawicy zdejmował dyscyplinę i ćwiknął nią którego ze swych synowców. Nader rzadko mogłem zrozumieć: o co mu chodzi, synowcy bowiem niechętnie objaśniali mi przyczyny jego popędliwości.

Około ósmej napływ interesantów zmniejszał się. Wtedy w głębi sklepu ukazywała się gruba służąca z koszem bułek i kubkami (Franc odwracał się do niej tyłem), a za nią — matka naszego pryncypała, chuda staruszka w żółtej sukni, w ogromnym czepcu na głowie, z dzbankiem kawy w rękach. Ustawiwszy na stole swoje naczynie, staruszka odzywała się schrypniętym głosem:

— *Gut Morgen meine Kinder! Der Kaffee ist schon fertig...*

I zaczynała rozlewać kawę, w białe, fajansowe kubki.

Wówczas zbliżał się do niej stary Mincel i całował ją w rękę, mówiąc:

— *Gut Morgen, meine Mutter!*

Za co dostawał kubek kawy z trzema bułkami.

Potym przychodził Franc Mincel, Jan Mincel, August Katz, a na końcu ja. Każdy całował staruszkę w suchą rękę, porysowaną niebieskiemi żyłami, każdy mówił:

— *Gut Morgen, Grossmutter*!

I otrzymywał należny mu kubek, tudzież trzy bułki.

A gdyśmy z pośpiechem wypili naszą kawę, służąca zabierała pusty kosz i zamazane kubki, staruszka swój dzbanek i obie znikały.

Za oknem wciąż toczyły się wozy i płynął w obie strony potok ludzki, z którego co chwila odrywał się ktoś i wchodził do sklepu.

— Proszę krochmalu..

— Dać migdałów za dziesiątkę...
— Lukrecji za grosz...
— Szarego mydła...

Około południa zmniejszał się ruch za kontuarem towarów kolonjalnych, a za to coraz częściej zjawiali się interesanci po stronie prawej sklepu, u Jana. Tu kupowano talerze, szklanki, żelazka, młynki, lalki, a niekiedy duże parasole szafirowe lub ponsowe. Nabywcy, kobiety i mężczyźni, byli dobrze ubrani, rozsiadali się na krzesłach i kazali sobie pokazywać mnóstwo przedmiotów, targując się i żądając coraz to nowych.

Pamiętam, że kiedy po lewej stronie sklepu męczyłem się bieganiną i zawijaniem towarów, po prawej — największe strapienie robiła mi myśl: czego ten a ten gość chce naprawdę, i — czy co kupi? W rezultacie jednak i tutaj dużo się sprzedawało; nawet dzienny dochód z galanterji był kilka razy większy, aniżeli z towarów kolonjalnych i mydła.

Stary Mincel i w niedzielę bywał w sklepie. Rano modlił się, a około południa kazał mi przychodzić do siebie, na pewien rodzaj lekcji.

Sag mir — powiedz mi: *was ist das?* co jest to? *Das ist Schublade*—to jest szublada. Zobacz co jest w te szublade. *Es ist Zimmt*—to jest cynamon. Do czego potrzebuje się cynamon? Do zupe, do legumine, potrzebuje się cynamon. Co to jest cynamon? Jest taki kora z jedne drzewo. Gdzie mieszka taki drzewo cynamon? W Indji mieszka taki drzewo. Patrz na globus—tu leży Indji. Daj mnie za dziesiątkę cynamon... *O du Spitzbub*!... jak tobie dam dziesięć raz dyscyplin, ty będziesz wiedział, ile sprzedać za dziesięć groszy cynamon...

W ten sposób przechodziliśmy każdą szufladę w sklepie i historję każdego towaru. Gdy zaś Mincel nie był zmęczony, dyktował mi jeszcze zadania rachunkowe, kazał sumować księgi, albo pisywać listy w interesach naszego sklepu.

Mincel był bardzo porządny, nie cierpiał kurzu, ścierał go z najdrobniejszych przedmiotów. Jednych tylko dyscyplin nigdy nie potrzebował okurzać, dzięki swoim niedzielnym wykładom buchalterji, gieografji i towaroznawstwa.

Powoli, w ciągu paru lat, tak przywykliśmy do siebie, że stary Mincel nie mógł obejść się bezemnie, a ja nawet jego dyscypliny począłem uważać za coś, co należało do familijnych stosunków. Pamiętam, że nie mogłem utulić się z żalu, gdy raz zepsułem kosztowny samowar, a stary Mincel, zamiast chwytać za dyscyplinę—odezwał się:

— Co ty zrobila Ignac?... Co ty zrobila!...

Wolałbym dostać cięgi wszystkiemi dyscyplinami, aniżeli

znowu kiedy usłyszeć ten drżący głos i zobaczyć wylęknione spojrzenie pryncypała.

Obiady w dzień powszedni jadaliśmy w sklepie, najprzód dwaj młodzi Minclowie i August Katz, a następnie ja z pryncypałem. W czasie święta wszyscy zbieraliśmy się na górze i zasiadaliśmy do jednego stołu. Na każdą wigilję Bożego Narodzenia, Mincel dawał nam podarunki, a jego matka w największym sekrecie urządzała nam (i swemu synowi) choinkę. Wreszcie w pierwszym dniu miesiąca wszyscy dostawaliśmy pensję (ja brałem 10 złotych). Przy tej okazji każdy musiał wylegitymować się z porobionych oszczędności: ja, Katz, dwaj synowcy i służba. Nierobienie oszczędności, a raczej nie odkładanie codzień choćby kilku groszy, było w oczach Mincla, takim występkiem, jak kradzież. Za mojej pamięci przewinęło się przez nasz sklep paru subjektów i kilku uczniów, których pryncypał dlatego tylko usunął, że nic sobie nie oszczędzili. Dzień, w którym się to wydało, był ostatnim ich pobytu. Nie pomogły obietnice, zaklęcia, całowania po rękach, nawet upadania do nóg. Stary nie ruszył się z fotelu, nie patrzył na petentów, tylko wskazując palcem drzwi, wymawiał jeden wyraz: fort! fort!... Zasada robienia oszczędności stała się już u niego chorobliwym dziwactwem.

Dobry ten człowiek miał jednę wadę, oto — nienawidził Napoleona. Sam nigdy o nim nie wspominał, lecz, na dźwięk nazwiska Bonapartego, dostawał jakby ataku wścieklizny: siniał na twarzy, pluł i wrzeszczał: szelma! szpitzbub! rozbójnik!...

Usłyszawszy pierwszy raz tak szkaradne wymysły, nieomal straciłem przytomność. Chciałem coś hardego powiedzieć staremu i uciec do pana Raczka, który już ożenił się z moją ciotką. Nagle dostrzegłem, że Jan Mincel, zasłoniwszy usta dłonią, coś mruczy i robi miny do Katza. Wytężam słuch i— oto co mówi Jan:

— Baje stryj, baje! Napoleon był chwat, choćby za to samo, że wygnał hyclów szwabów. Nieprawda Katz?

A August Katz zmrużył oczy i dalej krajał mydło.

Osłupiałem ze zdziwienia, lecz w tej chwili bardzo polubiłem Jana Mincla i Augusta Katza. Z czasem przekonałem się, że w naszym małym sklepie istnieją aż dwa wielkie stronnictwa, z których jedno składające się ze starego Mincla i jego matki, bardzo lubiło Niemców, a drugie, złożone z młodych Minclów i Katza, nienawidziło ich. O ile pamiętam, ja tylko byłem neutralny.

W roku 1846 doszły nas wieści o ucieczce Ludwika Napoleona z więzienia. Rok ten był dla mnie ważny, gdyż zo-

stałem subjektem, a nasz pryncypał, stary Jan Mincel, zakończył życie, z powodów dosyć dziwnych.

W roku tym handel w naszym sklepie nieco osłabł, jużto z racji ogólnych, już z tej, że pryncypał za często i za głośno wymyślał na Ludwika Napoleona. Ludzie poczęli zniechęcać się do nas, a nawet ktoś (może Katz?...) wybił nam jednego dnia szybę w oknie.

Otóż wypadek ten, zamiast całkiem odstręczyć publiczność, zwabił ją do sklepu i przez tydzień mieliśmy tak dużo obrotu, jak nigdy; aż zazdrościli nam sąsiedzi. Po tygodniu jednakże sztuczny ruch nanowo osłabł i znowu były w sklepie pustki.

Pewnego wieczora, w czasie nieobecności pryncypała, co już stanowiło fakt niezwykły, wpadł nam drugi kamień do sklepu. Przestraszeni Minclowie pobiegli na górę i szukali stryja, Katz poleciał na ulicę szukać sprawcy zniszczenia, a wtym ukazało się dwu policjantów, ciągnących... Proszę zgadnąć kogo?... Ani mniej, ani więcej, tylko — naszego pryncypała, oskarżając go, że to on wybił szybę teraz, a zapewne i poprzednio...

Napróżno staruszek wypierał się: nietylko bowiem widziano jego zamach, ale jeszcze znaleziono przy nim kamień... Poszedł też nieborak do ratusza.

Sprawa, po wielu tłómaczeniach i wyjaśnieniach, naturalnie zatarła się; ale stary od tej chwili zupełnie stracił humor i począł chudnąć. Pewnego zaś dnia, usiadszy na swym fotelu pod oknem, już nie podniósł się z niego. Umarł, oparty brodą na księdze handlowej, trzymając w ręce sznurek, którym poruszał kozaka.

Przez kilka lat po śmierci stryja synowcy prowadzili wspólnie sklep na Podwalu i dopiero około 1850 roku podzielili się w ten sposób, że Franc został na miejscu z towarami kolonjalnemi, a Jan z galanterją i mydłem przeniósł się na Krakowskie, do lokalu, który zajmujemy obecnie. W kilka lat później Jan ożenił się z piękną Małgorzatą Pfeifer, ona zaś (niech spoczywa w spokoju), zostawszy wdową, oddała rękę swoją Stasiowi Wokulskiemu, który tym sposobem odziedziczył interes, prowadzony przez dwa pokolenia Minclów.

Matka naszego pryncypała żyła jeszcze długi czas; kiedy w roku 1853 wróciłem z zagranicy, zastałem ją w najlepszym zdrowiu. Zawsze schodziła rano do sklepu i zawsze mówiła:

— *Gut Morgen meine Kinder! Der Kaffee ist schon fertig...*

Tylko głos jej z roku na rok przyciszał się, dopóki wreszcie nie umilknął na wieki.

Za moich czasów pryncypał był ojcem i nauczycielem

swoich praktykantów i najczujniejszym sługą sklepu; jego matka lub żona były gospodyniami, a wszyscy członkowie rodziny pracownikami. Dziś pryncypał bierze tylko dochody z handlu, najczęściej nie zna go i najwięcej troszczy się o to, ażeby jego dzieci nie zostały kupcami. Nie mówię tu o Stasiu Wokulskim, który ma szczere zamiary, tylko myślę w ogólności, że kupiec powinien siedzieć w sklepie i wyrabiać sobie ludzi, jeżeli chce mieć porządnych.

Słychać, że Andrassy zażądał 60 miljonów guldenów na nieprzewidziane wydatki. Więc i Austrja zbroi się, a Staś tymczasem pisze mi, że — nie będzie wojny. Ponieważ nie był nigdy fanfaronem, więc chyba musi być bardzo wtajemniczony w politykę; a w takim razie siedzi w Bułgarji nie przez miłość dla handlu...

Ciekawym, co on zrobi. Ciekawym!"...

Z „Faraona".

(Fragment).

Konie były pomęczone i należało wytchnąć. Posłał więc książe kilku jezdnych, aby zamówili statki na rzece, a resztę orszaku zatrzymał pod kępą palm, które wówczas rosły między grupą piramid a sfinksem.

Grupa ta stanowi północny kraniec niezmiernego cmentarzyska. Na placu, mającym około kilometra kwadratowego powierzchni, porosłym w owych czasach pustynną roślinnością, tłoczy się mnóstwo grobów i małych piramid, nad któremi górują trzy piramidy największe: Cheopsa, Khefrena i Mykerina, tudzież Sfinks. Kolosalne te budowle są oddalone jedna od drugiej ledwo na kilkaset kroków. Trzy piramidy stoją w jednym rzędzie od północo-wschodu ku południowo-zachodowi, na wschód zaś od tej linji, najbliżej Nilu leży Sfinks, u którego stóp ciągnęła się podziemna świątynia Horusa.

Piramida, a szczególnie Cheopsa, jako utwór ludzkiej pracy, przeraża swoją wielkością. Jest to kamienny pagórek śpiczasty, wysoki na trzydzieści pięć piątr (sto trzydzieści siedem metrów) stojący na podstawie kwadratowej, której każdy bok ma około trzystu pięćdziesięciu kroków (dwieście dwadzieścia siedm metrów długości). Piramida zajmuje dziesięć morgów powierzchni, a jej cztery trójkątne ściany pokryłyby siedemnasto morgową przestrzeń. Na budowę jej zużyto takie mnóstwo kamieni, że możnaby wznieść mur wyższy od wzrostu człowie-

ka, szeroki na pół metra, długi na dwa tysiące pięćset kilometrów!...

Kiedy orszak książęcy rozłożył się pod mizernemi drzewami, kilku żołnierzy zajęło się wyszukaniem wody, inni wydobyli suchary, a Tutmozis upadł na ziemię i zasnął, książę zaś i Pentuer zaczęli przechadzać się rozmawiając:

Noc była dość jasna, że można było widzieć z jednej strony niezmierne sylwetki piramid, z drugiej figurę Sfinksa, który w porównaniu z niemi wydawał się małym.

— Jestem tu już czwarty raz—rzekł następca—a zawsze moje serce napełnia się zdumieniem i żalem. Kiedym był jeszcze uczniem wyższej szkoły, myślałem, że wstąpiwszy na tron, wzniosę coś dostojniejszego, aniżeli piramida Cheopsa. Ale dzisiaj śmiać mi się chce z mego zuchwalstwa, kiedy pomyślę, że wielki faraon przy budowie swego grobowca zapłacił tysiąc sześćset talentów *) za same jarzyny dla robotników... Skądbym ja wziął tysiąc sześćset talentów, a choćby tylko ludzi!...

— Nie zazdrość, panie, Cheopsowi—odparł kapłan.—Inni faraonowie lepsze zostawili po sobie dzieła: jeziora, kanały, gościńce, świątynie i szkoły.

— Alboż te rzeczy można porównać z piramidami?

— Z pewnością, że nie — śpiesznie odpowiedział kapłan. W oczach moich i całego ludu, każda piramida jest wielkim występkiem, a największym—Cheopsowa...

— Unosisz się—zreflektował go książę.

— Wcale nie. Swój wielki grób budował faraon przez lat trzydzieści, w ciągu których sto tysięcy ludzi pracowało co rok po trzy miesiące. I jaki z tej pracy pożytek?... Ale za to co rok przy tej robocie marniało dziesięć do dwudziestu tysięcy ludzi... Czyli—na grób Cheopsa złożyło się z pół miljona trupów... A ile krwi, łez, bólów,—kto zrachuje?

Dlatego nie dziw się panie, że chłop egipski po dziś dzień z trwogą patrzy za zachód, gdzie nad horyzontem krwawią się lub czernieją trójkątne postacie piramid. Toż to świadkowie jego mąk i jałowej pracy...

I pomyśleć, że tak będzie zawsze, dopóki te dowody ludzkiej pychy w proch się nie rozsypią! Ale kiedy to nastąpi! Od trzech tysięcy lat straszą nas swoim widokiem, i jeszcze ściany ich są gładkie, a ogromne napisy—czytelne.

— Tamtej nocy, w pustyni, mówiłeś inaczej — wtrącił książę.

— Bom nie patrzał na nie. Ale kiedy je mam, jak teraz, przed oczyma, otaczają mnie łkające duchy zamęczonych

*) Około 10 miljonów franków.

chłopów i szepczą: „Patrz, co zrobiono z nami!... A przecie i nasze kości czuły ból i nasze serca tęskniły do odpoczynku"...

Ramzes był w przykry sposób dotknięty tym wybuchem.

— Mój świątobliwy ojciec—rzekł po chwili—inaczej przedstawił mi te sprawy. Kiedy byliśmy tutaj przed pięciu laty, boski pan opowiadał mi taką historję:

Za faraona Tutmozisa I, przyjechali posłowie etjopscy umawiać się o wysokość płaconych przez siebie danin. Hardy to był naród! Mówili, że jedna przegrana wojna nic nie stanowi, w drugiej bowiem los na nich może być łaskawy i przez parę miesięcy targowali się o haracz.

Napróżno mądry król, chcąc łagodnie oświecić ich, pokazywał im nasze gościńce i kanały. Odpowiadali, że w ich kraju wodę mają darmo, gdzie chcą. Napróżno odsłaniano im skarbce świątyń; mówili, że ich ziemia kryje daleko więcej złota i klejnotów, aniżeli cały Egipt. Nadaremnie pan musztrował wobec nich swoje wojska, gdyż twierdzili, że Etjopów jest bez porównania więcej, aniżeli jego świątobliwość ma żołnierzy.

Wówczas faraon przywiózł ich w te oto miejsca, gdzie stoimy i pokazał piramidy.

Posłowie etjopscy obeszli je wokoło, przeczytali napisy i—na drugi dzień zawarli traktat, jakiego od nich żądano.

Ponieważ nie zrozumiałem tej historji — ciągnął Ramzes—więc mój święty ojciec objaśnił mi ją.

— Synu — mówił mi — te piramidy są wiekuistym dowodem nadludzkiej potęgi Egiptu. Gdyby jaki człowiek chciał sobie wznieść piramidę, ułożyłby drobny stos kamieni i rzuciłby po kilku godzinach swoją pracę, zapytawszy: na co mi ona? Dziesięciu, stu i tysiąc ludzi, nagromadziłoby trochę więcej kamieni, zsypałoby je nieporządnie i—znowu porzuciliby ją po upływie kilku dni. Bo na co im ta robota?

Ale kiedy faraon egipski, kiedy państwo egipskie, umyśli sobie zgromadzić stos kamieni, to spędza krocie tysięcy ludzi i buduje choćby przez kilkadziesiąt lat, dopóki roboty nie skończy.

Nie o to bowiem chodzi, czy były potrzebne piramidy? Ale o to, ażeby wola faraona, gdy ją raz wypowiedziano, była spełniona.

Tak Pentuerze, piramida to nie grób Cheopsa, lecz—wola Cheopsa. Wola, która posiada tylu wykonawców, jak żaden król na świecie, a taki porządek i wytrwałość w działaniu, jak bogowie.

Jeszcze w szkołach uczono mnie, że wola ludzka to wielka siła, największa siła pod słońcem. A przecie wola ludzka może podnieść ledwie jeden kamień. Jakże wielką zatym jest

wola faraona, który wzniósł górę kamieni, tylko dlatego, że mu się tak podobało, że on tak chciał, choćby nawet bez celu.

— Czy i ty, panie, chciałbyś w podobny sposób dowodzić swojej potęgi?...—nagle zapytał go Pentuer.

— Nie—odparł książę bez wahania.—Gdy faraonowie raz okazali siłę, mogą już być miłosiernemi. Chyba, że kto próbowałby opierać się ich rozkazom.

— A przecież ten młodzieniec ma dopiero dwadzieścia trzy lata!—rzekł do siebie zatrwożony kapłan.

Zwrócili się w stronę rzeki i jakiś czas szli, milcząc.

— Połóż się, panie — rzekł kapłan — zaśnij. Odbyliśmy nielada podróż.

— Alboż mogę zasnąć? — odparł książę. — Raz otaczają mnie te krocie chłopów, którzy, według twego zdania, zginęli przy budowie piramid (jak gdyby bez owych piramid mieli żyć wiecznie!...) To znowu myślę o moim świątobliwym ojcu, który może w tej chwili dogorywa... Chłopi cierpią!... chłopi rozlewają krew!... Kto mi dowiedzie, że mój boski ojciec nie więcej męczy się na swym kosztownym łożu, aniżeli twoi chłopi, dźwigając rozpalone kamienie?... Chłopi, zawsze chłopi!... Dla ciebie, kapłanie, tylko ten zasługuje na litość, kogo wszy jedzą. Cały szereg faraonów wstąpił do grobu, niektórzy konali w boleściach, niektórych zamordowano. Ale ty o nich nie pamiętasz, tylko o chłopach, których zasługą jest, że rodzili innych chłopów, czerpali błoto nilowe, albo wpychali w usta swoim krowom jęczmienne gałki.

A mój ojciec... a ja? Czyliż nie zabito mi syna i kobiety z mego domu? Czy był dla mnie miłosiernym Tyfon w pustyni, albo kości nie bolą mnie po długiej podróży?... A pociski procarzy libijskich nie świstały mi nad głową? Mamże ja traktat z chorobą, czy z boleścią, czy ze śmiercią, ażeby były dla mnie łaskawsze, niż dla twojego chłopa?...

Spojrzyj tam.. Azjaci śpią i cisza zalega ich piersi; ale ja, ich pan, mam serce pełne trosk wczorajszych i niepokoju o jutro. Zapytaj stuletniego chłopa, czy przez cały swój czas doznał tyle goryczy, ile ja w ciągu kilkumiesięcznej władzy namiestnika i wodza?...

Przed niemi z wolna, z głębi nocy, wynurzał się dziwny cień. Była to budowla długa na 50 kroków, wysoka na trzy piętra, mająca z boku niby pięciopiętrową wieżę niezwykłej formy.

— Otóż i Sfinks—mówił rozdrażniony książę—czysto kapłańska robota!... Ile razy widziałem go, w dzień czy w nocy, zawsze męczyło mnie pytanie: co to jest i na co to jest?...

Piramidy—rozumiem. Potężny faraon chciał okazać swo-

ją siłę, a może co rozsądniej, chciał zabezpieczyć sobie wieczne życie w spokoju, którego nie naruszyłby żaden wróg czy złodziej. Ale ten Sfinks!... Oczywiście jest to nasz święty stan kapłański, który ma bardzo wielką i mądrą głowę, a pod nią lwie pazury...

Wstrętny posąg, pełen dwuznaczności, który zdaje się pysznić tym, że wyglądamy przy nim, jak szarańcza. Ani to człowiek, ani zwierzę, ani skała... Więc czymże on jest? jakie ma znaczenie?... Albo ten jego uśmiech... Podziwiasz wiecznotrwałość piramid—on się uśmiecha; idziesz porozmawiać z grobami—on także się uśmiecha. Czy zazielenią się pola Egiptu, czy Tyfon rozpuści swoje ogniste rumaki, czy niewolnik szuka wolności w pustyni, czy Ramzes Wielki spędza zwyciężone narody—on dla wszystkich ma jeden i ten sam martwy uśmiech.

Dziewiętnaście królewskich dynastji minęło, jak cienie, ale on uśmiechał się i uśmiechałby się nawet wówczas, gdyby Nil wysechł, a Egipt zginął pod piaskami.

Nie jestże to potwór, tym okropniejszy, że ma łagodną twarz ludzką? Sam wiekuisty, nigdy nie znalazł żalu nad znikomością świata, przepełnionego nędzami.

— Nie pamiętasz, panie, oblicza bogów—wtrącił Pentuer—albo nie widziałeś mumji? Wszyscy nieśmiertelni z takim samym spokojem patrzą na rzeczy mijające. Nawet i człowiek, o ile już sam minął.

— Bogowie niekiedy słuchają naszych próśb,—mówił, jakby do siebie książę—ale on niczym się nie wzrusza. Nie jest litością, ale olbrzymim szyderstwem i strachem. Gdybym wiedział, że w jego ustach kryje się wróżba dla mnie, albo sposób podźwignięcia państwa, jeszcze nie śmiałbym go zapytać. Zdaje mi się, że usłyszałbym jakąś straszną rzecz, wypowiedzianą z nieubłaganym spokojem. On taki jest, ten utwór i obraz kapłanów. Gorszy od człowieka, bo ma lwi korpus; gorszy od zwierzęcia, bo ma ludzką głowę; gorszy od skały, bo kryje się w nim niepojęte życie.

W tej chwili doleciały ich, jękliwe i stłumione głosy, których źródła nie można było oznaczyć.

— On śpiewa?...—spytał zdziwiony książę.

— To w podziemnej świątyni—odparł kapłan. — Ale dlaczego oni modlą się o tej porze?

— Powiedz lepiej: dlaczego oni wogóle modlą się, kiedy ich nikt nie słyszy?

Pentuer, szybko zorjentowawszy się, poszedł w stronę, skąd dolatywały śpiewy. Książę znalazł jakiś kamień z oparciem i usiadł znużony. Rozciągnął ręce za siebie, odchylił się i patrzał w olbrzymią twarz Sfinksa.

Pomimo braku światła, wyraźnie było widać nadludzkie rysy, którym właśnie cień dodawał charakteru i życia. Książę zaś, im dłużej wpatrywał się w to oblicze, tym silniej odczuwał, że był uprzedzony i że jego niechęć jest niesłuszna.

Na twarzy Sfinksa nie było okrucieństwa, prędzej rezygnacja. W jego uśmiechu nie było szyderstwa, prędzej melancholja. On nie natrząsał się z nędzy i znikomości ludzkiej, raczej nie widział ich.

Jego pełne wyrazu, gdzieś pod niebem osadzone oczy patrzały za Nil, do krain, które dla ludzkich spojrzeń giną pod nieboskłonem. Czy śledził niepokojący wzrost monarchji asyryjskiej? czy natrętną bieganinę Fenicjan? czy narodziny Grecji, a może przyszłe zdarzenia, gotujące się nad Jordanem?...— Któż zgadnie?

Książę jednego był pewny, że on patrzy, myśli i oczekuje na c o ś ze spokojnym uśmiechem, godnym nadprzyrodzonej istoty. I jeszcze zdawało mu się, że gdy to c o ś ukaże się na horyzoncie, Sfinks powstanie i pójdzie naprzeciw.

C o to ma być i kiedy nastąpi?... Tajemnica, której doniosłość wyraźnie malowała się na twarzy wiekuistego. Musi się to jednak stać nagle, skoro Sfinks od wieków ani na chwilę nie zmrużył oka i patrzy, wciąż patrzy...

Tymczasem Pentuer znalazł okno, przez które z podziemi rozlewała się jękliwa pieśń kapłańska:

Chór I. „Wstawaj, promieniejący jak Izis, jak wstaje Sotis na firmamencie rano, z początkiem całego roku.

Chór II. Bóg Amon-Ra był po prawicy i po lewicy mojej. Sam oddał mi w ręce panowanie nad całym światem, przyczyniając się do upadku nieprzyjaciół moich.

Chór I. Byłeś jeszcze młody, nosiłeś splecione włosy, lecz w Egipcie nic nie działo się bez twego rozkazu i niepołożono kamienia węgielnego pod żaden gmach, bez twojej obecności.

Chór II. Przyszedłem do Ciebie, władco bogów, wielki bogu, panie słońca. Tum obiecuje mi, że ukaże się słońce i że będę podobny do niego, a Nil, że osiągnę tron Ozirisa i będę go posiadał na wieki.

Chór I. Wróciłeś w spokoju, szanowany przez bogów, władco dwu światów, Ra-Mer-amen-Ramzesie. Zapewniam ci panowanie wieczne, królowie zbliżą się do ciebie i złożą ci hołdy.

Chór II. O ty, ty Oziris—Ramzesie! wiecznie żyjący syn nieba, zrodzony z bogini Nut. Niech matka twoja otoczy cię

tajemnicą nieba i niech zezwoli, abyś został bogiem, o ty, ty Oziris-Ramzesie *).

— A więc pan świątobliwy już umarł!...—rzekł do siebie Pentuer.

Odszedł od okna i zbliżył się do miejsca, gdzie siedział następca, pogrążony w marzeniach.

Kapłan ukląkł przed nim, upadł na twarz i zawołał:

— Bądź pozdrowiony, faraonie, władco świata!...

— Co mówisz?...—zawołał książę zrywając się.

— Niech Bóg Jedyny i Wszechmocny zleje na ciebie mądrość i siłę, a szczęście na lud twój...

— Wstań, Pentuerze... Więc ja... więc ja...

Nagle wziął za ramię kapłana i obrócił go ku Sfinksowi.

— Spojrzyj na niego, — rzekł:

Ale ani w obliczu, ani w postawie kolosu nie zaszła żadna zmiana. Jeden faraon przestąpił granicę wieczności, drugi wschodził jak słońce, lecz kamienna twarz boga, czy potwora, pozostała taką samą. Na ustach łagodny uśmiech dla ziemskich potęg i chwały, we wzroku oczekiwanie na c o ś, co ma przyjść, lecz niewiadomo kiedy przyjdzie.

Wkrótce od przewozu wrócili dwaj posłańcy, z zawiadomieniem, że czółna są gotowe: Pentuer wszedł między palmy i zawołał:

— Ocknij się! ocknij się!

Czujni Azjaci natychmiast zerwali się i zaczęli kiełznać koni.

. . . . . .

Konie były gotowe i Ramzes usiadł na swego. Wówczas Pentuer zbliżył się, ujął za cugle rumaka władcy i prowadził go, sam idąc pieszo.

— Co to?... spytał zdziwiony Tutmozis (ulubieniec księcia).

Wnet jednak opamiętał się, pobiegł i wziął Ramzesowego konia za cugle z drugiej strony. I tak szli wszyscy, milcząc, zdumieni zachowaniem się kapłana, choć czuli, że stało się coś ważnego. Po kilkuset krokach nagle skończyła się pustynia, a przed podróżnemi wyciągnął się gościniec wśród pól.

— Siadajcie na konie — rzekł Ramzes — musimy pośpieszać.

— Jego świątobliwość rozkazuje siąść na koń! — zawołał Pentuer.

---

*) Napisy grobowe.

Obecni osłupieli. Ale Tutmozis prędko odzyskał przytomność i położywszy rękę na mieczu, wykrzyknął:

— Niech żyje wiecznie, wszechmocny i łaskawy wódz nasz, faraon Ramzes!

— Niech żyje wiecznie!... — zawyli Azjaci, potrząsając bronią.

— Dziękuję wam wierni żołnierze moi — odrzekł pan.

HENRYK SIENKIEWICZ.

Urodz. 1846 r. we wsi Wola Okrzejska, debiutował rozprawką o Sępie Szarzyńskim i nowelami „Z teki Worszyłły" o nastroju pozytywistycznym. *Szkice węglem* i *Janko Muzykant*, pisane w duchu demokratycznym, należą do najlepszych nowel polskich; z biegiem czasu zmienił jednak kierunek twórczości. Wielkie powieści historyczne: *Ogniem i mieczem*, *Potop*, *Pan Wołodyjowski*, zapewniły mu popularność niebywałą, spotęgowały ją dalsze: *Krzyżacy*, *Quo vadis*. Powieści społeczne: *Bez dogmatu* i *Rodzina Połanieckich* głoszą ideały wręcz przeciwne utworom młodości.

Pisma Sienkiewicza w kompletnym wydaniu ogłosił *Tygodnik Ilustrowany*. Osobno: *Pisma*, *nieobjęte wydaniem zbiorowym*, zawierające utwory młodociane. *Monografje*, *St. Tarnowski:* H. Sienkiewicz. *P. Chmielowski:* H. Sienkiewicz w oświetleniu krytycznym. *Ign. Matuszewski*: Studja w zbiorze *Swoi i obcy*.

Latarnik.

Pewnego razu zdarzyło się, że latarnik w Aspinwall, niedaleko Panamy, przepadł bez wieści. Ponieważ stało się to wśród burzy, przypuszczano, że nieszczęśliwy musiał podejść nad sam brzeg skalistej wysepki, na której stoi latarnia i został spłukany przez bałwan. Przypuszczenie to było tym prawdopodobniejsze, że na drugi dzień nie znaleziono jego łódki stojącej w skalistym wrębie. Zawakowało tedy miejsce dla latarnika, które trzeba było jak najprędzej obsadzić, ponieważ latarnia niemałe ma znaczenie, tak dla ruchu miejscowego, jak dla okrętów idących z New-Yorku do Panamy. Zatoka Moskitów obfituje w piaszczyste ławice i zaspy, między któremi droga nawet w dzień jest trudna, w nocy zaś, zwłaszcza wśród mgieł podnoszących się często na tych ogrzewanych podzwrot-

nikowym słońcem wodach, prawie niepodobna. Jedynym wówczas przewodnikiem dla licznych statków bywa światło latarni.

Kłopot wynalezienia nowego latarnika spadł na konsula Stanów Zjednoczonych, rezydującego w Panamie, a był to kłopot niemały, raz z tego powodu, że następcę trzeba było znaleźć koniecznie w ciągu dwunastu godzin; powtóre, następca musiał być nadzwyczaj sumiennym człowiekiem, nie można więc było przyjmować byle kogo; nakoniec wogóle kandydatów na posadę brakło. Życie na wieży jest nadzwyczaj trudne i bynajmniej nie uśmiecha się rozpróżniaczonym i lubiącym swobodną włóczęgę ludziom Południa. Latarnik jest niemal więźniem. Z wyjątkiem niedzieli nie może on wcale opuszczać swej skalistej wysepki. Łódź z Aspinwall przywozi mu raz na dzień zapasy żywności i świeżą wodę, poczym przywożący oddalają się natychmiast, na całej zaś wysepce, mającej morgę rozległości, niema nikogo. Latarnik mieszka w latarni, utrzymuje ją w porządku; w dzień daje znaki wywieszaniem różnokolorowych flag, wedle wskazówek barometru, w wieczór zaś zapala światło. Nie byłaby to wielka robota, gdyby nie to, że chcąc się dostać z dołu do ognisk na szczyt wieży, trzeba przejść przeszło czterysta schodów krętych, i nader wysokich, latarnik zaś musi odbywać tę podróż czasem i kilka razy dziennie. Wogóle jest to życie klasztorne, a nawet więcej niż klasztorne, bo pustelnicze. Nic też dziwnego, że Mr. Izaak Folcombridge był w niemałym kłopocie, gdzie znajdzie stałego następcę po nieboszczyku i łatwo zrozumieć jego radość, gdy najniespodzianiej następca zgłosił się jeszcze tegoż samego dnia.

Był to człowiek już stary, lat siedemdziesiąt, albo więcej, ale czerstwy, wyprostowany, mający ruchy i postawę żołnierza. Włosy miał zupełnie białe, płeć spaloną jak u kreolów, ale sądząc z niebieskich oczu, nie należał do ludzi Południa. Twarz jego była przygnębiona i smutna, ale uczciwa. Na pierwszy rzut oka podobał się Folcombridgowi. Pozostało go tylko wyegzaminować, wskutek czego wywiązała się następująca rozmowa:

— Skąd jesteście?

— Jestem Polak.

— Coście robili dotąd?

— Tułałem się.

— Latarnik powinien lubić siedzieć na miejscu.

— Potrzebuję odpoczynku.

— Czy służyliście kiedy? Czy macie świadectwa uczciwej służby rządowej?

Stary człowiek wyciągnął z zanadrza spłowiały jedwabny szmat, podobny do strzępu starej chorągwi, rozwinął go i rzekł:

— Oto są świadectwa. Ten krzyż dostałem w roku trzydziestym. Ten drugi jest hiszpański z wojny karlistowskiej; ten trzeci to legja francuzka; czwarty otrzymałem na Węgrzech. Potym biłem się w Stanach przeciw południowcom, ale tam nie dają krzyżów—więc oto papier.

Falcombridge wziął papier i zaczął czytać.

— Hm! Skawiński? To jest wasze nazwisko?...

Hm!... Dwie chorągwie zdobyte własnoręcznie w ataku na bagnety... Byliście walecznym żołnierzem!

— Potrafię być i sumiennym latarnikiem.

— Trzeba tam codzień wchodzić po kilka razy na wieżę. Czy nogi macie zdrowe?

— Przeszedłem piechotą pleny.

(Plenami nazywają niezmierne stepy między New-Yorkiem a Kalifornią).

— All right! Czy jesteście obeznani ze służbą morską?

— Trzy lata służyłem na wielorybniku.

— Próbowaliście różnych zawodów?

— Nie zaznałem tylko spokojności.

— Dlaczego?

Stary człowiek wzruszył ramionami.

— Taki los...

— Wszelako na latarnika wydajecie mi się za starzy?

— Sir! - ozwał się nagle kandydat wzruszonym głosem.— Jestem bardzo znużony i skołatany. Dużo, widzicie, przeszedłem. Miejsce to jest jedno z takich, jakie najgoręcej pragnąłem otrzymać. Jestem stary, potrzebuję spokoju! Potrzebuję sobie powiedzieć: tu już będziesz siedział, to jest twój port. Ach, sir! to od was tylko zależy. Drugi raz się może taka posada nie zdarzy. Co za szczęście, że byłem w Panamie... Błagam was... Jak mi Bóg miły, jestem jak statek, który jeśli nie wejdzie do portu, to zatonie... Jeśli chcecie uszczęśliwić człowieka starego... Przysięgam, że jestem uczciwy, ale... dość już mam tego tułactwa...

Niebieskie oczy starca wyrażały tak głęboką prośbę, że Folcombridge, który miał dobre, proste serce, czuł się wzruszony.

— Well!—rzekł.—Przyjmuję was. Jesteście latarnikiem.

Twarz starego zajaśniała niewypowiedzianą radością.

— Dziękuję.

— Czy możecie dziś jechać na wieżę?

— Tak jest.

— Zatym Good bye!... Jeszcze słowo: za każde uchybienie w służbie dostaniecie dymisję.

— All right!

Tegoż samego jeszcze wieczora, gdy słońce stoczyło się na drugą stronę międzymorza, a po dniu promiennym nastąpiła noc bez zmierzchu, nowy latarnik był już widocznie na miejscu, bo latarnia rzuciła jak zwykle na wody swoje snopy jaskrawego światła. Noc była zupełnie spokojna, cicha, prawdziwie podzwrotnikowa, przesycona jasną mgłą, tworzącą koło księżyca wielki zabarwiony tęczowo krąg o miękkich nieujętych brzegach. Morze tylko burzyło się, ponieważ przypływ wzbierał.

Skawiński stał na balkonie, tuż koło olbrzymich ognisk, podobny z dołu do czarnego małego punkciku. Próbował zebrać myśl i objąć swe nowe położenie. Ale myśl jego była nadto pod naciskiem, by mogła snuć się prawidłowo. Czuł on coś takiego, co czuje szczuty zwierz, gdy wreszcie schroni się przed pogonią na jakiejś niedostępnej skale lub w pieczarze. Nadszedł nareszcie dla niego czas spokoju. Poczucie bezpieczeństwa napełniało jakąś niewysłowioną rozkoszą jego duszę. Oto, mógł na tej skale poprostu urągać dawnemu tułactwu, dawnym nieszczęściom i niepowodzeniom. Był on naprawdę jak okręt, któremu burza łamała maszty, rwała liny, żagle, którym rzucała od chmur na dno morza, w który biła falą, pluła pianą— a który jednak zawinął do portu. Obrazy tej burzy przesuwały się teraz szybko w jego myśli w przeciwstawieniu do cichej przyszłości, jaka miała się rozpocząć. Część swych dziwnych kolei opowiadał sam Folcombridgowi, nie wspomniał jednak o tysiącznych innych przygodach. Miał on nieszczęście, że ilekroć rozbił gdzie namiot i rozniecił ognisko, by się osiedlić stale, jakiś wiatr wyrywał kołki namiotu, rozwiewał ognisko, a jego samego niósł na stracenie. Spoglądając teraz z wieżowego balkonu na oświecone fale, wspominał o wszystkim co przeszedł. Oto bił się w czterech częściach świata — i na tułaczce próbował wszystkich niemal zawodów. Pracowity i uczciwy, nieraz dorabiał się grosza i zawsze tracił go wbrew wszelkim przewidywaniom i największej ostrożności. Był kopaczem złota w Australji, poszukiwaczem djamentów w Afryce, strzelcem rządowym w Indjach Wschodnich. Gdy w swoim czasie założył w Kalifornji fermę, zgubiła go susza; próbował handlu z dzikiemi plemionami, zamieszkującemi wnętrze Brazylji: tratwa jego rozbiła się na Amazonce, on sam zaś bezbronny i prawie nagi tułał się w lasach przez kilka tygodni, żywiąc się dzikim owocem, narażony co chwila na śmierć w paszczy drapieżnych zwierząt. Założył warsztat kowalski w Helenie w Arkanzas i— spalił się w wielkim pożarze całego miasta. Następnie w górach Skalistych dostał się w ręce Indjan i cudem tylko został wybawiony przez kanadyjskich strzelców. Służył jako majtek na statku kursującym między Bahja i Bordeaux, potym, jako

harpunnik na wielorybniku: oba statki rozbiły się. Miał fabrykę cygar w Hawannie i—został okradziony przez spólnika w chwili, gdy sam leżał chory na „vomito". Wreszcie przybył do Aspinvall—i tu musiał być kres jego niepowodzeń. Cóż go bowiem mogło doścignąć jeszcze na tej skalistej wysepce? Ani woda, ani ogień, ani ludzie. Zresztą od ludzi Skawiński niewiele doznał złego. Częściej spotykał dobrych, niż złych.

Zdawało się natomiast, że prześladują go wszystkie cztery żywioły. Ci, co go znali, mówili, że nie ma szczęścia i tym objaśniali wszystko! On sam wreszcie stał się trochę manjakiem. Wierzył, że jakaś potężna a mściwa ręka ściga go wszędzie, po wszystkich lądach i wodach. Nie lubił jednak o tym mówić; czasem tylko, gdy go pytano, czyja to miała być ręka, ukazywał tajemniczo na gwiazdę polarną i odpowiadał, że to idzie stamtąd... Rzeczywiście, niepowodzenia jego były tak stałe, że aż dziwne, i łatwo mogły zabić gwóźdź w głowie, zwłaszcza temu, kto ich doznawał. Zresztą miał cierpliwość indjanina i wielką spokojną siłę oporu, jaka płynie z prawości serca. W swoim czasie na Węgrzech dostał kilkanaście pchnięć bagnetem, bo nie chciał chwycić za strzemię, które ukazywano mu jako środek ratunku i krzyczeć: pardon. Tak samo nie poddawał się w nieszczęściu. Lazł pod górę tak pracowicie, jak mrówka. Zepchnięty sto razy, rozpoczynał spokojnie swoją podróż po raz setny pierwszy. Był to w swoim rodzaju szczególniejszy dziwak. Stary ten żołnierz, opalony Bóg wie w jakich ogniach, zahartowany w biedach, bity i kuty, miał serce dziecka. W czasie epidemji na Kubie, zapadł na nią dlatego, że oddał chorym wszystką swoją chininę, której miał znaczny zapas, nie zostawiwszy sobie ani grana. Było w nim jeszcze i to dziwne, że po tylu zawodach, zawsze był pełen ufności i nie tracił nadziei, że jeszcze wszystko będzie dobrze.

W zimie ożywiał się zawsze i przepowiadał jakieś wielkie wypadki. Czekał ich niecierpliwie i myślą o nich żył lata całe... Ale zimy mijały jedne za drugiemi i Skawiński doczekał się tylko tego, że ubieliły mu głowę. Wreszcie zestarzał się — począł tracić energję. Cierpliwość jego poczynała być coraz podobniejszą do rezygnacji. Dawny spokój zmienił się w skłonność do roztkliwiania się i ten hartowny żołnierz jął przeradzać się w beksę, gotowego załzawić się z lada powodu. Prócz tego od czasu do czasu tłukła go najstraszliwsza nostalgja, którą podniecała lada okoliczność: widok jaskółek, szarych ptaków podobnych do wróbli, śniegi na górach, lub zasłyszana jakaś nuta podobna do słyszanej niegdyś... Nakoniec opanowała go tylko jedna myśl: myśl odpoczynku. Owładnęła ona starcem zupełnie i wchłonęła w siebie wszelkie inne pragnienia

i nadzieje. Wieczny tułacz nie mógł już sobie wymarzyć nic bardziej upragnionego, nic droższego nad jaki spokojny kąt, w którymby mógł odpocząć i czekać cicho kresu. Może właśnie dlatego, że szczególne jakieś dziwactwo losu rzucało nim po wszystkich morzach i krajach tak, że prawie nie mógł tchu złapać, wyobrażał sobie, że największym ludzkim szczęściem jest tylko nie tułać się. Co prawda, to i należało mu się takie skromne szczęście; ale tak już był zwyczajny zawodów, że myślał o tym, jak wogóle ludzie marzą o czymś niedoścignionym. Spodziewać się nie śmiał. Tymczasem, niespodzianie, w ciągu dwunastu godzin dostał posadę jakby wybraną dla siebie ze wszystkich na świecie. Nic też dziwnego, że gdy wieczorem zapalił swoją latarnię, był jakby odurzony, że pytał sam siebie, czy to prawda i nie śmiał odpowiedzieć: tak. A tymczasem rzeczywistość przemawiała do niego nieprzepartemi dowodami; więc godziny jedna za drugą spływały mu na balkonie. Patrzył, nasycał się, przekonywał. Mogłoby się zdawać, że pierwszy raz w życiu widział morze. Soczewka latarni rzucała w ciemność olbrzymi ostrokrąg światła, poza którym oko starca ginęło w dali czarnej zupełnie, tajemniczej i strasznej. Ale dal owa zdawała się biegnąć ku światłu. Długie wiorstowe fale, wytaczały się z ciemności i rycząc, szły aż do stóp wysepki, a wówczas widać było spienione ich grzbiety, połyskujące różowo w świetle latarni. Przypływ wzmagał się coraz bardziej i zalewał piaszczyste ławice. Tajemnicza mowa oceanu dochodziła z pełni coraz potężniej i głośniej, podobna czasem do huku armat, to do szumu olbrzymich lasów, to do dalekiego zmąconego gwaru głosów ludzkich. Chwilami cichło. Potym o uszy starca odbijało się kilka wielkich westchnień, potym jakieś łkania—i znów groźne wybuchy. Wreszcie wiatr zwiał mgłę, ale napędził czarnych poszarpanych chmur, które przysłaniały księżyc. Z zachodu poczynało dąć coraz mocniej. Bałwany skakały z wściekłością na urwisko latarni, oblizując już pianą i podmurowanie. W dali pomrukiwała burza. Na ciemnej wzburzonej przestrzeni zabłysło kilka zielonych latarek pouwieszanych do masztów okrętowych. Zielone owe punkciki to wznosiły się wysoko, to zapadały w dół, to chwiały się na prawo i na lewo. Skawiński zeszedł do swej izby. Burza poczęła wyć. Tam na dworze ludzie na owych okrętach walczyli z nocą, z ciemnością, z falą; w izbie zaś spokojnie było i cicho. Nawet odgłosy burzy słabo przedzierały się przez grube mury, i tylko miarowe tik-tak! zegara kołysało utrudzonego starca jakby do snu.

II.

Zaczęły płynąć godziny, dnie i tygodnie... Majtkowie twierdzą, że czasem gdy morze bardzo jest rozhukane, woła coś na nich wśród nocy i ciemności po nazwisku. Jeżeli nieskończoność morska może tak wołać, to być może, że gdy się człowiek zestarzeje, woła także na niego i inna nieskończoność, jeszcze ciemniejsza i bardziej tajemnicza, a im jest bardziej zmęczony życiem, tym milsze są mu te nawoływania. Ale by ich słuchać, trzeba ciszy. Prócz tego starość lubi się odosabniać, jakby w przeczuciu grobu. Latarnia była już dla Skawińskiego takim pół grobem. Nic jednostajniejszego, jak podobne życie na wieży. Młodzi ludzie, jeśli się na nie godzą, to po pewnym czasie opuszczają służbę. Latarnik też bywa zazwyczaj człekiem niemłodym, posępnym i zamkniętym w sobie. Gdy wypadkiem porzuci swoją latarnię i dostanie się między ludzi, chodzi wśród nich, jak człowiek zbudzony z głębokiego snu. Na wieży brak wszelkich drobnych wrażeń, które w zwykłym życiu uczą stosować wszystko do siebie. Wszystko z czym styka się latarnik, jest olbrzymie i pozbawione zawartych określonych kształtów. Niebo: to jeden ogół, woda: to drugi, a wśród tych nieskończoności samotna dusza ludzka! Jest to życie, w którym myśl jest raczej ciągłym zadumaniem się, a z tego zadumania nie budzi latarnika nic, nawet jego zajęcie. Dzień do dnia staje się podobny, jak dwa paciorki w różańcu, i chyba zmiany pogody stanowią jedyną rozmaitość.

Skawiński jednak czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy w życiu nie był. Wstawał świtaniem, brał posiłek, czyścił soczewki latarni, a potym, siadszy na balkonie, wpatrywał się w dal morską, i oczy jego nie mogły się nasycić nigdy obrazami, które przed sobą widział. Zwykle na olbrzymim turkusowym tle widać było stada wydętych żagli świecących w promieniach słońca tak mocno, że aż oczy mrużyły się przed nadmiarem blasku; czasem statki, korzystając z wiatrów, które pasatami zowią, szły wyciągniętym szeregiem jedne za drugiemi, podobne do łańcucha mew, lub albatrosów. Czerwone beczki wskazujące drogę, kołysały się na fali lekkim, łagodnym ruchem; między żaglami pojawił się co dnia w południe olbrzymi szarawy pióropusz dymu. To parowiec z New-Yorku wiózł podróżnych i towary do Aspinwall, ciągnąc za sobą długi, spieniony szlak piany. Z drugiej strony balkonu widział Skawiński, jak na dłoni, Aspinwall i jego ruchliwy port, a w nim las masztów, łodzie i łódki; nieco zaś dalej białe domy i wieżyczki miasta. Z wysokości latarni, domki były podobne do gniazd mew, ło-

dzie do żuków, a ludzie poruszali się jak małe punkciki na białym, kamiennym bulwarku. Zrana lekki wschodni powiew przynosił zmieszany gwar życia ludzkiego, nad którym górował świst parowców. W południe nadchodziła godzina siesty. Ruch w porcie ustawał; mewy kryły się w szczerby skał, fale słabły i stawały się jakieś leniwe, a wówczas na lądzie, na morzu i na latarni nastawała chwila niezmąconej niczym ciszy. Żółte piaski, z których odpłynęły fale, lśniły nakształt złotych plam na obszarach wodnych; słup wieżowy odrzynał się twardo w błękicie. Potoki promieni słonecznych lały się z nieba na wodę, na piaski i na urwiska. Wówczas i starca ogarniała jakaś niemoc pełna słodyczy. Czuł że ten odpoczynek, którego używa, jest wyborny, a gdy pomyślał, że będzie trwały, to mu już niczego nie brakło. Skawiński rozmarzał się własnym szczęściem, ale że człowiek łatwo oswaja się z lepszym losem, stopniowo nabierał wiary i ufności, myślał bowiem, że jeżeli ludzie budują domy dla inwalidów, to dlaczegożby Bóg nie miał wreszcie przygarnąć swego inwalidy. Czas upływał i utrwalił go w tym przekonaniu. Stary zżył się z wieżą, z latarnią, z urwiskiem, z ławicami piasku i z samotnością. Poznał się także i z mewami, które niosły się w załamach skalnych, a wieczorem odprawiały wiece na dachu latarni. Skawiński rzucał im zwykle resztki swego jadła, tak zaś przyswoiły się wkrótce, że gdy to czynił potym, to otaczała go prawdziwa burza białych skrzydeł, stary zaś chodził między ptastwem, jak pastuch między owcami. W czasie odpływu wyprawiał się na nizkie piaszczyste ławice, na których zbierał smaczne ślimaki i piękne perłowe konchy żeglarków, które odpływająca fala osadziła na piasku. W nocy, przy świetle księżyca i latarni chodził na ryby, któremi roiły się załomy skalne. W końcu pokochał swoją skałę i swoją bezdrzewną wysepkę, porośniętą tylko drobnemi i tłustemi roślinkami sączącemi lepką żywicą. Ubóstwo wysepki wynagradzały mu zresztą dalsze widoki. W południowych godzinach, gdy atmosfera stawała się bardzo przezroczystą, widać było całe międzymorze, aż do Pacyfiku pokryte najbujniejszą roślinnością. Skawińskiemu wydawało się wówczas, że widzi jeden olbrzymi ogród. Pęki kokosów i olbrzymich muz składały się jakby w przepyszne czubiaste bukiety, tuż zaraz za domami Aspinwallu. Dalej między Aspinwall a Panamą widać było ogromny las, nad którym co rano i pod noc zwieszał się czerwonawy opar wyziewów—las, prawdziwie podzwrotnikowy, zalany u spodu stojącą wodą, oplątany ljanami, szumiący jedną falą olbrzymich storczyków, palm, drzew mlecznych, żelaznych i gumowych.

Przez swą strażniczą lunetę stary mógł dojrzeć nietylko drzewa, nietylko rozłożyste liście bananów, ale nawet gromady małp, wielkich marabutów i stada papug, wzbijające się czasem jak tęczowa chmura nad lasem. Skawiński znał zblizka podobne lasy, gdyż po rozbiciu się na Amazonce, błąkał się całe tygodnie wśród podobnych sklepień i gąszczów. Widział, ile pod ich cudną, śmiejącą się powierzchnią, ukrywa się niebezpieczeństw i śmierci. Wśród nocy, jakie w nich spędził, słyszał zblizka grobowe głosy wyjców i ryki jaguarów, widział olbrzymie węże kołyszące się nakształt ljanów na drzewach; znał owe senne jeziora leśne, przepełnione drętwami i rojące się od krokodylów. Wiedział, pod jakim jarzmem żyje człowiek w tych niezgłębionych puszczach, w których pojedyńcze liście przenoszą dziesięciokrotnie jego wielkość, w których roją się krwiożercze moskity, pijawki drzewne i olbrzymie jadowite pająki. Wszystkiego sam doznał, sam doświadczył, wszystko sam przecierpiał; to też tym większą teraz sprawiało mu rozkosz patrzeć z wysokości na owe matos, podziwiać ich piękność, a być zasłoniętym od zdrad. Jego wieża chroniła go przed wszelkim złem. Opuszczał ją też tylko czasami w niedzielę z rana. Przywdziewał tedy granatową kapotę strażniczą ze srebrnemi guzami, na piersiach zawieszał swoje krzyże, i jego mleczna głowa podnosiła się z pewną dumą, gdy słyszał przy wyjściu z kościoła, jak kreole mówili między sobą: „Porządnego mamy latarnika.” — „I nie heretyk, chociaż Jankes!” Wracał jednak natychmiast po mszy na wyspę i wracał szczęśliwy, bo zawsze jeszcze nie dowierzał stałemu lądowi. W niedzielę także odczytywał hiszpańską gazetę, którą zakupywał w mieście, lub newjorskiego „Heralda” pożyczanego u Folcombridga — i szukał w nich skwapliwie wiadomości z Europy.

Biedne stare serce! na tej wieży strażniczej i na drugiej półkuli biło jeszcze dla kraju... Czasem także, gdy łódź przywożąca mu codzień żywność i wodę, przybiła do wysepki, schodził z wieży na gawędę ze strażnikiem Johnsem. Potym jednak widocznie zdziczał. Przestał bywać w mieście, czytywać gazety i schodzić na polityczne rozprawy Johnsa. Upływały całe tygodnie w ten sposób, że nikt jego nie widział, ani on nikogo. Jedynym znakiem, że stary żyje, było tylko znikanie żywności pozostawianej na brzegu i światła latarni zapalane co wieczór z taką regularnością, z jaką słońce wstaje rankiem z wody w tamtych stronach. Widocznie stary zobojętniał dla świata. Powodem tego nie była nostalgja, ale właśnie to, że przeszła i ona nawet w rezygnację. Cały świat teraz zaczynał się dla starca i kończył się na jego wysepce. Zżył się już z myślą, że nie opuści wieży do śmierci i poprostu zapomniał,

że jest jeszcze coś poza nią. Przytym stał się mistykiem. Łagodne jego niebieskie oczy poczęły być, jak oczy dziecka, zapatrzone wiecznie i jakby utkwione w jakiejś dali. W ciągłym odosobnieniu i wobec otoczenia nadzwyczaj prostego, a wielkiego, począł stary tracić poczucie własnej odrębności, przestawał istnieć, jakby osoba, a zlewał się coraz więcej z tym, co go otaczało. Nie rozumował nad tym, czuł tylko bezwiednie, ale w końcu zdawało mu się, że niebo, woda, jego skała, wieża i złote ławice piasku i wydęte żagle i mewy, odpływy i przypływy, to jakaś wielka jedność i jedna ogromna tajemnicza dusza; on zaś sam pogrąża się w tej tajemnicy i czuje ową duszę, która żyje i koi się. Zatonął, ukołysał się, zapamiętał— i w tym ograniczeniu własnego odrębnego bytu, w tym półczuwaniu, pół-śnie znalazł spokój tak wielki, że prawie podobny do pół śmierci.

Ale nadeszło przebudzenie.

Pewnego razu, gdy łódź przywiozła wodę i zapasy żywności, Skawiński, zszedszy w godzinę później z wieży, spostrzegł, że prócz zwykłego ładunku jest jeszcze jedna paczka więcej. Na wierzchu paczki były marki pocztowe Stanów Zjednoczonych i wyraźny adres: „Skawiński Esq", wypisany na grubym żaglowym płótnie. Rozciekawiony starzec przeciął płótno i ujrzał książki: wziął jednę do ręki, spojrzał, i położył napowrót, przyczym ręce poczęły mu drżeć mocno. Przysłonił oczy jakby im nie wierząc, zdawało mu się, że śni — książka była polska. Co to miało znaczyć!? Kto mu mógł przysłać książkę? W pierwszej chwili zapomniał widocznie, iż jeszcze na początku swej latarniczej karjery przeczytał pewnego razu w pożyczonym od konsula Heraldzie o zawiązaniu polskiego Towarzystwa w New-Yorku i że zaraz przesłał Towarzystwu połowę swej miesięcznej pensji, z którą zresztą nie miał co robić na wieży. Towarzystwo, wywdzięczając się, przysłało książki. Przyszły one drogą naturalną, ale w pierwszej chwili starzec nie mógł pochwytać tych myśli. Polskie książki w Aspinwall, na jego wieży, wśród jego samotności, była to dla niego jakaś nadzwyczajność, jakieś tchnienie dawnych czasów: cud jakiś. Teraz wydało mu się, jak owym żeglarzom wśród nocy, że coś zawołało na niego po imieniu głosem bardzo kochanym, a zapomnianym prawie. Przesiedział chwilę z zamkniętemi oczyma i był prawie pewny, że gdy je otworzy, sen zniknie. Nie! Rozcięta paczka leżała przed nim wyraźnie, oświecona blaskiem popołudniowego słońca, a na niej otwarta już książka. Gdy stary wyciągnął znowu po nią rękę, słyszał wśród ciszy bicie własnego serca. Spojrzał: były to wiersze. Na wierz-

chu stał wypisany wielkiemi literami tytuł, pod spodem zaś imię autora. Imię to nie było Skawińskiemu obce; wiedział, że należy ono do wielkiego poety, którego nawet i utwory czytywał po trzydziestym roku w Paryżu. Potym wojując w Algierze i w Hiszpanji, słyszał od rodaków o coraz wzrastającej sławie wielkiego wieszcza, ale tak przywykł wówczas do karabina, że i do ręki nie brał książek. W czterdziestym dziewiątym roku wyjechał do Ameryki i w awanturniczym życiu, jakie prowadził, prawie nie spotykał polaków, a nigdy książek polskich. Z tym większą też skwapliwością i z tym żywiej bijącym sercem przewrócił kartę tytułową. Zdało mu się teraz, że na jego samotnej skale poczyna się dziać coś uroczystego. Jakoż była to chwila wielkiego spokoju i ciszy. Zegary Aspinwalskie wybiły piątą po południu. Jasnego nieba nie zaciemniała żadna chmurka, kilka mew tylko pławiło się w błękitach. Ocean był ukołysany. Nadbrzeżne fale zaledwie bełkotały zcicha, rozpływając się łagodnie po piaskach. W dali śmiały się białe domy Aspinwallu i cudne grupy palm. Naprawdę było jakoś uroczyście, a cicho i poważnie. Nagle wśród tego spokoju natury rozległ się drżący głos starego, który czytał głośno, by się samemu lepiej rozumieć:

„Litwo, Ojczyzna moja," ty jesteś jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie"...

Skawińskiemu zabrakło głosu. Litery poczęły mu skakać do oczu; w piersi coś urwało się i szło nakształt fali od serca wyżej i wyżej, tłumiąc głos, ściskając za gardło... Chwila jeszcze, opanował się i czytał dalej:

„Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
Gdy od płaczącej matki pod Twoję opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę,
I zaraz mogłem pieszo, do Twych świątyń progu
Iść, za wrócone życie podziękować Bogu,
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono"...

Wezbrana fala przerwała tamę woli. Stary ryknął i rzucił się na ziemię: jego mleczne włosy zmieszały się z piaskiem nadmorskim. Oto czterdzieści lat dobiegało, jak nie widział

kraju i, Bóg wie ile, jak nie słyszał mowy rodzinnej, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do niego — przepłynęła ocean, i znalazła go samotnika na drugiej półkuli, taka kochana, taka droga, taka śliczna! We łkaniu, jakie nim wstrząsało, nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy której wszystko jest niczym... On poprostu tym wielkim płaczem przepraszał tę ukochaną, oddaloną, za to, że się już tak zestarzał, tak zżył z samotną skałą i tak zapamiętał, iż się w nim i tęsknota poczynała zacierać. A teraz „wracał cudem" — więc się w nim serce rwało. Chwile mijały jedna za drugą: on wciąż leżał. Mewy przyleciały nad latarnię, pokrzykując, jakby niespokojne o swego starego przyjaciela. Nadchodziła godzina, w której je karmił resztkami swej żywności, więc kilka z nich zleciało z wierzchu latarni aż do niego. Potym przybyło ich coraz więcej i zaczęły go dziobać lekko i furkotać skrzydłami nad jego głową. Szumy skrzydeł zbudziły go. Wypłakawszy się, miał teraz jakiś spokój i rozpromienienie, a oczy jego były jakby natchnione. Oddał bezwiednie całą swoją żywność ptakom, które rzuciły się na nią z wrzaskiem, a sam wziął znowu książkę. Słońce już było przeszło nad ogrodami i nad dziewiczym lasem Panamy i staczało się zwolna za międzymorze, ku drugiemu oceanowi, ale i Atlantyk był jeszcze pełen blasku. W powietrzu widno zupełnie, więc czytał dalej:

„Tymczasem przenoś duszę moją utęsknioną,
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych.
. . . . . .

Zmierzch dopiero zatarł litery na białej karcie: zmierzch krótki jak mgnienie oka. Starzec oparł głowę o skałę i przymknął oczy. A wówczas „Ta, co jasnej broni Częstochowy" zabrała jego duszę i przeniosła do tych pól malowanych zbożem rozmaitym." Na niebie paliły się jeszcze długie szlaki czerwone i złote, a on w tych światłościach leciał ku stronom kochanym. Zaszumiały mu w uszach lasy sosnowe, zabełkotały rzeki rodzinne. Widzi wszystko jak było. Wszystko go pyta „pamiętasz?" On pamięta! a zresztą widzi: pola przestronne, miedze, łąki, lasy i wioski. Noc już! O tej porze już zwykle jego latarnia rozświecała ciemności morskie — ale on teraz we wsi rodzinnej. Stara głowa pochyla się na piersi i śni. Obrazy się przesuwają przed jego oczyma szybko i trochę bezładnie. Nie widzi domu rodzinnego, bo starła go wojna, nie widzi ojca ani matki, bo go odumarli dzieckiem; ale zresztą wieś jakby ją wczoraj opuścił: szereg chałup ze światełkami w oknach, grobla, młyn, dwa stawy podane ku sobie i brzmiące całą noc

chórami żab. Niegdyś, w tej swojej wiosce stał nocą na widecie; teraz przeszłość ta przedstawia się nagle w szeregu widzeń. Oto znowu jest ułanem i stoi na widecie: zdala karczma pogląda płonącemi oczyma i brzmi i śpiewa i huczy wśród ciszy nocnej tupotaniem, głosami skrzypiec i basetli. „U-ha! U-ha". To ułany krzeszą ognia podkówkami, a jemu tam nudno samemu na koniu! Godziny wloką się leniwo, wreszcie światła gasną; teraz jak okiem sięgnąć, mgła i mgła nieprzejrzana: opar widocznie podnosi się z łąk i obejmuje świat cały białawym tumanem. Rzekbyś: zupełnie ocean. Ale to łąki: rychło czekać jak derkacz ozwie się w ciemności i bąki zahuczą po trzcinach. Noc jest spokojna i chłodna, prawdziwie polska noc! W oddali bór sosnowy szumi bez wiatru... jak fala morska. Wkrótce świtanie wschód ubieli: jakoż i kury pieją już w zapłociach. Jeden drugiemu podaje głos z chaty do chaty; wraz i żórawie krzyczą już gdzieś z wysoka. Ułanowi jakoś rzeźko, zdrowo. Coś tam gadali o jutrzejszej bitwie. Hej! to i pójdzie, jak pójdą inni z krzykiem i furkotaniem chorągiewek. Młoda krew gra jak trąbka, choć powiew ją chłodzi. Ale już świta! Noc blednie: z cienia wychylają się lasy, zarośla, szereg chałup, młyn, topole. Studnie skrzypią, jakby blaszana chorągiewka na wieży. Jaka ta ziemia kochana, śliczna w różowych blaskach jutrzni! Oj, jedyna, jedyna!

Cicho! czujna wideta słyszy, że się ktoś zbliża. Zapewne idą zluzować warty.

Nagle jakiś głos rozlega się nad Skawińskim:

— Hej, stary! wstawajcie. Co to wam?

Stary otwiera oczy i patrzy ze zdziwieniem na stojącego przed sobą człowieka. Resztki snu widzeń walczą w jego głowie z rzeczywistością. Wreszcie widzenia bledną i nikną. Przed nim stoi Johns strażnik portowy.

— Co to?—pyta Johns—chorzyście?

— Nie.

— Nie zapaliliście latarni. Pójdziecie precz ze służby. Łódź z San Geromo rozbiła się na mieliźnie, szczęściem nikt nie utonął; inaczej poszlibyście pod sąd. Siadajcie ze mną, resztę usłyszycie w konsulacie.

Stary pobladł: istotnie nie zapalił tej nocy latarni.

W kilka dni później widziano Skawińskiego na pokładzie statku idącego z Aspinwall do New-Yorku. Biedak stracił posadę. Otwierały się przed nim nowe drogi tułactwa; wiatr porywał znowu ten liść, by nim rzucać po lądach i po morzach, by się nad nim znęcać dowoli. To też stary przez te kilka

dni posunął się bardzo i pochylił; oczy miał tylko błyszczące. Na nowe zaś drogi życia miał także na piersiach swoją książkę, którą od czasu do czasu przyciskał ręką, jakby w obawie, by mu i ona nie zginęła.

Ogniem i mieczem

WSTĘP.

Rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia.

Współcześni kronikarze wspominają, iż z wiosny szarańcza w niesłychanej ilości wyroiła się z Dzikich Pól i zniszczyła zasiewy i trawy, co było przepowiednią napadów tatarskich. Latem zdarzyło się wielkie zaćmienie słońca, a wkrótce potym kometa zjawiła się na niebie. W Warszawie widywano też nad miastem mogiłę i krzyż ognisty w obłokach, odprawiano więc posty i dawano jałmużny, gdyż niektórzy twierdzili, że zaraza spadnie na kraj i wygubi rodzaj ludzki. Nareszcie zima nastała tak lekka, że najstarsi ludzie nie pamiętali podobnej. W południowych województwach lody nie popętały wcale wód, które podsycane topniejącym każdego ranka śniegiem, wystąpiły z łożysk i pozalewały brzegi. Padały częste deszcze. Step rozmókł i zmienił się w wielką kałużę, słońce zaś w południe dogrzewało tak mocno, że — dziw nad dziwy! — w województwie Bracławskim i na Dzikich Polach zielona ruń okrywały stepy i rozłogi już w połowie grudnia. Roje po pasiekach poczęły się burzyć i huczeć, bydło ryczało po zagrodach. Gdy więc tak porządek przyrodzenia zdawał się być wcale odwróconym, wszyscy na Rusi, oczekując niezwykłych zdarzeń, zwracali niespokojny umysł i oczy szczególnie ku Dzikim Polom, od których łatwiej niźli skądinąd mogło się ukazać niebezpieczeństwo.

Tymczasem na polach nie działo się nic nadzwyczajnego i nie było innych walk i potyczek prócz tych, które się odprawiały tam zwykle, a o których wiedziały tylko orły, jastrzębie, kruki i zwierz polny.

Bo takie już były te pola. Ostatnie ślady osiadłego życia kończyły się, idąc ku południowi, niedaleko za Czechryniem od Dniepru, a od Dniestru, niedaleko za Humaniem, a potym hen! ku limanom i morzu, step i step we dwie rzeki, jakby w ramę ujęty. Na łuku Dnieprowym, na Niżu, wrzało jeszcze kozacze życie za porohami, ale w samych polach nikt nie

mieszkał, i chyba po brzegach tkwiły gdzieniegdzie polanki, jakoby wyspy wśród morza. Ziemia była de nomine Rzeczypospolitej, ale pustynna, na której pastwisk Rzeczpospolita Tatarom pozwalała; wszakże, gdy kozacy często bronili, więc to pastwisko było i pobojowiskiem zarazem.

Ile tam walk stoczono, ilu ludzi legło, nikt nie zliczył, nikt nie spamiętał. Orły, jastrzębie i kruki jedne wiedziały, a kto z daleka usłyszał szum skrzydeł i krakanie, kto ujrzał wiry ptasie, nad jednym kołujące miejscem, ten wiedział, że tam trupy, lub kości niepogrzebione leżą... Polowano w trawach na ludzi, jakby na wilki lub suhaki. Polował kto chciał. Człek prawem ścigan, chronił się w dzikie stepy, orężny pasterz trzód strzegł, rycerz przygód tam szukał, łotrzyk łupu, Kozak Tatara, Tatar Kozaka. Bywało, że i całe watahy broniły trzód przed tłumami napastników. Step to był pusty i pełny zarazem, cichy i groźny, spokojny i pełen zasadzek, dziki od dzikich pól, ale i od dzikich dusz.

Czasem też napełniła go wielka wojna. Wówczas płynęły po nim, jak fale, czambuły tatarskie, pułki kozackie, to chorągwie polskie, lub wołoskie; nocami rżenie koni wtórowało wyciom wilków, głos kotłów i trąb mosiężnych leciał aż do Owidowego jeziora i ku morzu, a na Czarnym szlaku, na Kuczmańskim—rzekbyś: powódź ludzka. Granic Rzeczpospolitej strzegły od Kamieńca, aż do Dniepru stanice i „polanki" — i gdy szlaki miały się zaroić, poznawano właśnie po niezliczonych stadach ptactwa, które płoszone przez czambuły leciały na północ. Ale Tatar, byle wychylił się z Czarnego Lasu, lub Dniestr przebył od strony wołoskiej, to stepem równo z ptakami stawał w południowych województwach.

Wszelako zimy owej ptactwo nie ciągnęło z wrzaskiem ku Rzeczypospolitej. Na stepie było ciszej, niż zwykle. W chwili, gdy rozpoczyna się powieść nasza, słońce zachodziło właśnie, a czerwonawe jego promienie rozświecały okolicę pustą zupełnie. Na północnym krańcu Dzikich Pól, nad Omelniczkiem, aż do jego ujścia, najbystrzejszy wzrok nie mógłby odkryć jednej żywej duszy, ani nawet żadnego ruchu w ciemnych, zeschłych i zwiędłych burzanach. Słońce połową tylko tarczy wyglądało jeszcze z za widnokręgu. Niebo było już ciemne, a potym i step zwolna mroczył się coraz bardziej. Na lewym brzegu, na niewielkiej wyniosłości, podobniejszej do mogiły, niż do wzgórza, świeciły tylko resztki murowanej stanicy, którą niegdyś jeszcze Teodoryk Buczacki wystawił, a którą potym napady starły. Od ruiny owej padał długi cień. Opodal świeciły wody szeroko rozlanego Omelniczka, który w tym miejscu skręca się ku Dnieprowi. Ale blaski gasły coraz bardziej na nie-

bie i na ziemi. Z nieba dochodziły tylko klangory żórawi, ciągnących ku morzu, zresztą ciszy nie przerywał żaden głos.

Noc zapadła nad pustynią, a z nią nastała godzina duchów. Czuwający w stanicach rycerze opowiadali sobie w owych czasach, że nocami wstają na Dzikich Polach cienie poległych, którzy zeszli tam nagłą śmiercią w grzechu i odprawują sobie korowody, w czym im żaden krzyż ani kościół nie przeszkadza. To też, gdy sznury, wskazując północ, poczynały się dopalać, odmawiano po stanicach modlitwy za umarłych. Mówiono także, że owe cienie jeźdźców, snując się po pustyni, zastępują drogę podróżnym, jęcząc i prosząc o znak krzyża świętego. Między niemi trafiały się i upiory, które goniły za ludźmi wyjąc. Wprawne ucho zdaleka już rozeznawało wycie upiorów od wilczego. Widywano również całe wojska cieniów, które czasem zbliżały się do stanic, że straże grały larum. Zapowiadało to zwykle wielką wojnę. Spotkanie pojedyńczych cieniów nie znaczyło również nic dobrego, ale nie zawsze należało sobie źle wróżyć, bo i człek żywy zjawiał się nieraz i niknął jak cień przed podróżnemi, dlatego często i snadnie za ducha mógł być poczytany.

Skoro więc noc zapadła nad Omelniczkiem, nie było w tym nic dziwnego, że zaraz koło opustoszałej stanicy zjawiał się duch, czy człowiek. Miesiąc wypłynął właśnie z za Dniepru i obielił pustkę, głowy bodiaków i dal stepową. W tym, niżej na stepie ukazały się i inne jakieś nocne istoty. Przelatujące chmurki przesłaniały co chwila blask księżyca, więc owe postacie, to wybłyskiwały z cienia, to znowu gasły. Chwilami znikły zupełnie i zdawały się topnieć w cieniu. Posuwając się ku wyniosłości, na której stał pierwszy jeździec, skradały się cicho, ostrożnie, zwolna, zatrzymując się co chwila.

W ruchach ich było coś przerażającego, jak i w całym tym stepie, tak spokojnym na pozór. Wiatr chwilami podmuchiwał od Dniepru, sprawiając żałosny szelest w zeschłych bodiakach, które pochylały się i trzęsły, jakby przerażone. Nakoniec postacie znikły, schroniły się w cień ruiny. W bladym świetle nocy widać było tylko jednego jeźdźca, stojącego na wyniosłości.

Wreszcie szelest ów zwrócił jego uwagę. Zbliżywszy się do skraju wzgórza, począł wpatrywać się w step uważnie. W tej chwili wiatr przestał wiać, szelest ustał, zrobiła się cisza zupełna.

Nagle dał się słyszeć przeraźliwy świst. Zmieszane głosy poczęły wrzeszczeć przeraźliwie: „Hałła! hałła! Jezu Chryste! ratuj! bij!" Rozległ się huk samopałów, czerwone światła rozdarły ciemność. Tętent koni zmieszał się ze szczękiem żela-

za. Nowi jacyś jeźdźce wyrośli jakby z pod ziemi na stepie. Rzekłbyś: burza zawrzała nagle w tej cichej, złowrogiej pustyni. Potym jęki ludzkie zawtórowały wrzaskom strasznym, wreszcie ucichło wszystko — walka była skończona.

Widocznie rozgrywała się jedna ze zwykłych scen na Dzikich Polach.

Jeźdźcy zgrupowali się na wyniosłości, niektórzy pozsiadali z koni, przypatrując się czemuś pilnie.

Wtym, w ciemnościach ozwał się silny i rozkazujący głos:

— Hej, tam! skrzesać ognia i zapalić!

Po chwili posypały się naprzód iskry, a potym buchnął płomień suchych oczeretów i łuczywa, które podróżujący przez Dzikie Pola wozili zawsze z sobą.

Wnet wbito w ziemię drąg do kaganka i jaskrawe, padające z góry światło, oświeciło wyraźnie kilkunastu ludzi, pochylonych nad jakąś postacią, leżącą bez ruchu na ziemi.

Byli to żołnierze, ubrani w barwę czerwoną dworską, i w wilcze kapuzy. Z tych jeden, siedzący na dzielnym koniu, zdawał się reszcie przewodzić. Zsiadszy z konia, zbliżył się do owej leżącej postaci i spytał:

— A co, wachmistrzu, żyje, czy nie żyje?

— Żyje, panie namiestniku, ale charcze: arkan go zdławił.

— Co zacz jest?

— Nie Tatar, znaczny ktoś.

— To i Bogu dziękować.

Tu namiestnik popatrzał uważniej na leżącego męża.

— Coś jakby hetman—rzekł.

— I koń pod nim tatar zacny, jak lepszego u chana nie znaleźć—odpowiedział wachmistrz.—A ot tam go trzymają.

Porucznik spojrzał i twarz mu się rozjaśniła. Obok dwuch szeregowych trzymało rzeczywiście dzielnego rumaka, który tuląc uszy i rozdymając chrapy, wyciągał głowę i spoglądał przerażonemi oczyma na swego pana.

— Ale koń, panie namiestniku, będzie nasz?—wtrącił tonem pytania wachmistrz.

— A ty psiawiaro, chciałbyś chrześcijanowi konia w stepie odjąć?

— Bo zdobyczny...

Dalszą rozmowę przerwało silniejsze chrapanie zduszonego męża.

— Wlać mu gorzałki w gębę—rzekł pan namiestnik—pas odpiąć.

— Czy zostaniemy tu na nocleg?

— Tak jest, konie rozkulbaczyć, stos zapalić.

Żołnierze skoczyli co żywo. Jedni poczęli cucić i rozcierać leżącego, drudzy ruszyli po oczerety, inni rozesłali na ziemi skóry wielbłądzie i niedźwiedzie na nocleg.

Pan namiestnik, nie troszcząc się więcej o zduszonego męża, odpiął pas i rozciągnął się na burce przy ognisku. Był to młody bardzo człowiek, suchy, czarniawy, wielce przystojny, ze szczupłą twarzą i wydatnym orlim nosem. W oczach jego malowała się okrutna fantazja i zadzierżystość, ale w obliczu miał wyraz uczciwy. Wąs dość obfity i niegolona widocznie oddawna broda, dodawały mu nad wiek powagi.

Tymczasem dwaj pachołkowie zajęli się przyrządzaniem wieczerzy. Położono na ogniu gotowe ćwierci baranie, zdjęto też z koni kilka dropiów, upolowanych w czasie dnia, kilka pardew i jednego suhaka, którego pachoł wnet zaczął obłupywać ze skóry. Stos płonął, rzucając na step ogromne czerwone światła. Zduszony człowiek zaczął zwolna przychodzić do siebie.

Przez czas jakiś wodził nabiegłemi krwią oczyma po obcych, badając ich twarze; następnie usiłował powstać. Żołnierz, który poprzednio rozmawiał z namiestnikiem, dźwignął go w górę pod pachy, drugi włożył mu obuszek w dłoń, na którym nieznajomy wsparł się z całej siły. Twarz jego była jeszcze czerwona, żyły jej nabrzmiałe. Nakoniec przyduszonym głosem wykrztusił pierwszy wyraz:

— Wody!

Podano mu gorzałki, którą pił i pił, co mu widocznie dobrze zrobiło, bo odjąwszy flaszkę od ust, czystym już głosem spytał:

— W czyich jestem ręku?

Naczelnik powstał i zbliżył się ku niemu:

— W ręku tych, co waści salwowali.

— Przeto nie waszmościowie wzięli mnie na arkan?

— Mosanie, nasza rzecz szabla, nie arkan. Krzywdzisz waść dobrych żołnierzów podejrzeniem. Złapali cię jacyś łotrzykowie, udający Tatarów, których jeśliś ciekaw, oglądać możesz, bo oto leżą tam porznięci, jak barany.

To mówiąc, wskazał ręką kilka ciemnych ciał, leżących poniżej wyniosłości.

A nieznajomy na to:

— To pozwólcie mi spocząć.

Podłożono mu wojłokową kulbakę, na której siadł i pogrążył się w milczeniu.

Był to mąż w sile wieku, średniego wzrostu, szerokich ramion, prawie olbrzymiej budowy ciała i uderzających rysów. Głowę miał ogromną, cerę zwiędłą, bardzo ogorzałą, oczy czar-

ne i nieco ukośne, jak u Tatara, a nad wązkiemi ustami zwieszał mu się cienki wąs, rozchodzący się dopiero przy końcach w dwie szerokie kiście. Twarz jego potężna zwiastowała odwagę i dumę. Było w niej coś pociągającego i odpychającego zarazem—powaga hetmańska, ożeniona z tatarską chytrością, dobrotliwość i dzikość.

Posiedziawszy nieco na kulbace, wstał i nad wszelkie spodziewanie, zamiast dziękować, poszedł oglądać trupy.

— Prostak!—mruknął namiestnik.

Nieznajomy tymczasem przypatrywał się uważnie każdej twarzy, kiwając głową, jak człowiek, który odgadł wszystko, poczym wracał zwolna do namiestnika, klepiąc się po bokach, i szukając mimowolnie pasa, za który widocznie chciał zatkać rękę.

Nie podobała się młodemu namiestnikowi ta powaga w człeku, oderzniętym przed chwilą od powroza, więc rzekł z przekąsem:

— Rzekłby kto, że waszeć znajomych szukasz między owemi łotrzykami, albo że pacierz za ich duszę odmawiasz.

Nieznajomy odparł z powagą:

— I nie mylisz się waść i mylisz: nie mylisz się, bom szukał znajomych, a mylisz się, bo to nie łotrzykowie, jeno słudzy pewnego szlachcica, mego sąsiada.

— Tedy widocznie nie z jednej studni pijacie z onym sąsiadem.

Dziwny jakiś uśmiech przeleciał po cienkich wargach nieznajomego.

— I w tym się waść mylisz—mruknął przez zęby.

Po chwili dodał głośniej:

— Ale wybacz waszmość pan, żem mu naprzód powinnej nie złożył dzięki za auxilium i skuteczny ratunek, który mnie od tak nagłej śmierci wybawił. Waści męstwo stanęło za moją nieostrożność, bom się od ludzi swoich odłączył, ale też wdzięczność moja wyrównywa waszej ochocie.

To rzekszy, wyciągnął ku namiestnikowi rękę.

Ale butny młodzieńczyk nie ruszył się z miejsca, i nie śpieszył z podaniem swojej; natomiast rzekł:

— Chciałbym naprzód wiedzieć, azali ze szlachcicem mam sprawę, bo chociaż o tym nie wątpię, jednakże bezimiennych podzięk przyjmować mi się nie godzi.

— Widzę w waszmości prawdziwie kawalerską fantazję— i słusznie mówisz. Powinienem był zacząć od nazwiska mój dyskurs i moją podziękę. Jestem Zenobi Abdank, herbu Abdank z krzyżykiem, szlachcic z województwa Kijowskiego, osia-

dły i pułkownik kozackiej chorągwi księcia Dominika Zasławskiego.

— A ja, Jan Skrzetuski, namiestnik chorągwi pancernej J. O. Ks. Jeremiego Wiśniowieckiego.

— Pod sławnym wojownikiem waść służysz. Przyjmijże teraz moją wdzięczność i rękę.

Namiestnik nie wahał się dłużej. Towarzysze pancerni z góry wprawdzie patrzali na żołnierzów z pod innych chorągwi, ale pan Skrzetuski był na stepie, na Dzikich Polach, gdzie takie rzeczy mniej szły pod uwagę. Zresztą miał do czynienia z pułkownikiem, o czym zaraz naocznie się przekonał, bo gdy jego żołnierze przynieśli panu Abdankowi pas i szablę, z których go rozpasano dla ocucenia, podali mu zarazem i krótką buławę o osadzie z kości, o głowie ze ślinowatego rogu, jakich zażywali zwykle pułkownicy kozaccy. Przytym ubiór imci Zenobiego Abdanka był dostatni, a mowa kształtna znamionowała umysł bystry i otarcie się w świecie.

Więc pan Skrzetuski zaprosił go do kompanji. Zapach pieczonych miąs jął właśnie rozchodzić się od stosu, łechcąc nozdrza i podniebienie. Pachoł wydobył je z żaru i podał na latercynowej misie. Poczęli jeść, a gdy przyniesiono spory worek mołdawskiego wina, uszyty z koźlej skóry, wnet zawiązała się żywa rozmowa.

— Oby nam się szczęśliwie do domu wróciło! rzekł pan Skrzetuski.

— To waść wracasz? Skądże, proszę?—spytał Abdank.

— Zdaleka, bo z Krymu.

— A cóżeś waszmość tam robił? z wykupnem jeździłeś?

— Nie, mości pułkowniku; jeździłem do samego chana.

Abdank nastawił ciekawie ucha.

— Ano to proszę, w piękną waść wszedłeś komitywę. I z czymże do chana jeździłeś?

— Z listem J. O. Ks. Jeremiego.

— To waść posłował. O cóż jegomość książe do chana pisał?

Namiestnik popatrzał bystro na towarzysza.

— Mości pułkowniku—rzekł — zaglądałeś w oczy łotrzykom, którzy cię na arkan ujęli, to twoja sprawa, ale co książę do chana pisał, to ani twoja, ani moja, jeno ich obydwuch.

— Dziwiłem się przed chwilą—odparł Abdank,—że jegomość książę tak młodego człowieka posłem do chana obrał, ale po waścinej odpowiedzi już się nie dziwię, bo widzę, żeś młody laty, ale stary eksperjencją i rozumem.

Namiestnik połknął gładko pochlebne słówko, pokręcił tylko młodego wąsa i pytał:

— A powiedz że mi waszmość, co porabiasz nad Omelniczkiem i jakeś się tu wziął sam jeden?

— Nie jestem sam jeden, jenom ludzi zostawił po drodze, a jadę do Kudaku, do pana Grodzickiego, który jest tam przełożonym nad prezydjum i do którego jegomość hetman W. wysłał mnie z listami.

— A czemu waść nie bajdakiem, wodą?

— Taki był ordynans, od którego odstąpić mi się nie godzi.

— To dziw, że jegomość hetman taki wydał ordynans, gdyż właśnie na stepie w tak ciężkie popadłeś terminy, których, wodą jadąc, pewno byłbyś uniknął.

— Mosanie, stepy teraz spokojne; znam ja się z niemi nie od dziś, a to, co mnie spotkało, to jest złość ludzka i invidia.

— I kto na jegomości tak nastaje?

— Długoby gadać. Sąsiad to zły, mości namiestniku, który substancję mi zniszczył, z włości mnie ruguje, syna mi zbił— i ot—widziałeś waść, tu jeszcze na szyję moją nastawał!

— A to waść nie nosisz szabli przy boku?

W potężnej twarzy Abdanka zabłysła nienawiść, oczy zaświeciły mu posępnie i odrzekł zwolna a dobitnie:

— Noszę, i tak mi dopomóż Bóg, jako innych rekursów przeciw wrogom moim szukać już nie będę.

Porucznik chciał coś mówić, gdy nagle na stepie rozległ się tętent koni, a raczej pośpieszne chlupotanie końskich nóg po rozmiękłej trawie. Wnet też i czeladnik namiestnika trzymający straż, nadbiegł z wieścią, że jakowiś ludzie się zbliżają.

— To pewnie moi—rzekł Abdank—którzy zaraz za Taśminą zostali. Jam też, nie spodziewając się zdrady, tu na nich czekać obiecał.

Jakoż po chwili gromada jeźdźców otoczyła okręgiem wzgórze, przysłaniając rękoma od blasku oczy, patrzyli bystro w światło.

— Hej ludzie! kto wy?—spytał Abdank.

— Raby Boże!—odpowiedziały głosy z ciemności.

— Tak, to moje mołojce—powtórzył Abdank, zwracając się do namiestnika.—Bywajcie! bywajcie!

Niektórzy zeszli z koni i zbliżyli się do ognia.

— A my śpieszyli, śpieszyli, batku. Szczo z toboju?

— Zasadzka była. Chwedko zdrajca wiedział o miejscu i tu już czekał z innemi. Musiał podążyć dobrze przede mną. Na arkan mnie ujęli.

— Spasi Bih! Spasi Bih! a to co za Laszek koło ciebie?

Tak mówiąc spoglądali groźnie na pana Skrzetuskiego i jego towarzyszów.

— To druhe dobre—rzekł Abdank. — Sława Bogu, całym i żyw. Zaraz będziemy ruszać dalej.

— Sława Bogu! my gotowi.

Nowoprzybyli poczęli rozgrzewać dłonie nad ogniem, bo noc była zimna, choć pogodna. Było ich z czterdziestu ludzi rosłych i dobrze zbrojnych. Nie wyglądali wcale na kozaków regiestrowych, co nie pomału ździwiło pana Skrzetuskiego, zwłaszcza, że była ich garść tak spora. Wszystko to wydało się namiestnikowi mocno podejrzanym. Gdyby hetman w. wysłał imci Abdanka do Kudaku, dałby mu przecie straże z regiestrowych, a powtóre, z jakiejżeby racji kazał mu iść stepem do Czechrynia, nie wodą? Konieczność przeprawiania się przez wszystkie rzeki, idące Dzikiemi Polami do Dniepru, mogła tylko pochód opóźnić. Wyglądało to raczej tak, jakby imć pan Abdank chciał właśnie Kudak ominąć.

Ale zarówno i sama osoba pana Abdanka zastanawiała wielce młodego namiestnika. Zauważył wraz, że Kozacy, którzy ze swymi pułkownikami obchodzili się dość poufale, jego otaczali czcią nadzwyczajną, jakby prawego hetmana. Musiał to być jakiś rycerz dużej ręki, co tym dziwniejsze było panu Skrzetuskiemu, że znając Ukrainę i z tej i z tamtej strony Dniepru, o takim przesłannym Abdanku nic nie słyszał. Było przytym w twarzy tego męża coś szczególnego—jakaś moc utajona, która biła z oblicza, jak żar od płomienia, jakaś wola nieugięta, znamionująca, że człek ten przed nikim i niczym się nie cofnie. Taką właśnie wolę w obliczu miał książę Jeremi Wiśniowiecki, ale co w księciu było przyrodzonym natury darem, właściwym wielkiemu urodzeniu i władzy, to mogło zastanowić w mężu nieznanego nazwiska, zabłąkanym w głuchym stepie.

Pan Skrzetuski długo deliberował. Chodziło mu po głowie, że to może jaki potężny banita, który wyrokiem ścigan chronił się w Dzikie Pola, — to znów, że to watażka watahy zbójeckiej, ale to ostatnie nie było prawdopodobne. I ubiór i mowa tego człowieka pokazywały co innego. Zgoła więc nie wiedział namiestnik, czego się trzymać, miał się tylko na baczności, a tymczasem Abdank kazał sobie konia podawać.

— Mości namiestniku—rzekł,—komu w drogę, temu czas. Pozwólże podziękować raz jeszcze za ratunek. Oby Bóg pozwolił mi odpłacić ci równą usługą!

— Nie wiedziałem, kogo ratuję, przetom i na wdzięczność nie zasłużył.

— Modestja to twoja tak mówi, która jest męstwu równa. Przyjmij-że ode mnie ten pierścień.

Namiestnik zmarszczył się, i krok w tył odstąpił, mierząc oczyma Abdanka, ten zaś mówił dalej z ojcowską niemal powagą w głosie i postawie:

— Spojrzyj jeno. Nie bogactwo tego pierścienia, ale inne cnoty ci zalecam. Za młodych jeszcze lat, w bisurmańskiej niewoli będąc, dostałem go od pątnika, który z ziemi Świętej powracał. W tym oczku zamknięty jest proch z grobu Chrystusa. Takiego daru odmawiać się nie godzi, choćby i z osądzonych rąk pochodził. Jesteś waść młodym człowiekiem i żołnierzem, a gdy nawet i starość blizka grobu, nie wie, co ją przed ostateczną godziną spotkać może, cóż dopiero adolescencja, która mając przed sobą wiek długi, na większą liczbę przygód trafić musi! Pierścień ten ustrzeże cię od przygody i obroni, gdy dzień sądu nadejdzie, a to ci powiadam, że dzień ten idzie już przez Dzikie Pola.

Nastała chwila ciszy; słychać było tylko syczenie płomienia i parskanie koni.

Z dalekich oczeretów dochodziło żałosne wycie wilków. Nagle Abdank powtórzył raz jeszcze, jakby do siebie:

— Dzień sądu idzie już przez Dzikie Pola, a gdy nadejdzie—zadywitsia wsij swit bożyj...

Namiestnik przyjął pierścień machinalnie, tak był zdumiały słowami tego dziwnego męża.

A ten zapatrzył się w dal stepową ciemną.

Potym zwrócił się zwolna i siadł na koń. Mołojcy jego czekali już u stóp wzgórza.

— W drogę! w drogę! Bywaj zdrów, druhu żołnierzu — rzekł do namiestnika. — Czasy teraz takie, że brat bratu nie ufa, przeto i nie wiesz, kogoś ocalił, bom ci nazwiska swego nie powiedział.

— Więc waść nie Abdank?

— To klejnot mój...

— A nazwisko?

— Bohdan Zenobi Chmielnicki.

To rzekszy, zjechał ze wzgórza, a za nim ruszyli mołojcy. Wkrótce okryły ich tuman i noc. Dopiero gdy zjechali już z pół stajania, wiatr przyniósł od nich słowa kozackiej pieśni:

„Oj wyzwoły, Boże, nas wsich, bidnych newilnykiw,
„Z tiażkoj newoli,
„Z wiry bisurmanskoj,—
„Na jasni zori,
„Na tychi wody,

„U kraj weselyj,
„U mir chrzeszczennyj.
„Wysłuchaj Boże u prośbach naszych,
„U neszczastnych mołytwach,
„Nas bidnych newilnykiw."

Głosy cichły zwolna, potym stopiły się z powiewem, szumiącym po oczeretach.

MARJA KONOPNICKA.

Urodz. 1846 r. w Sieniątkach. Poezje ogłasza od r. 1876 od r. 1890 przebywa głównie za granicami kraju. W r. 1902 uczczono wspaniale i serdecznie jej jubileusz pisarski. *Poezje*, w porządku nie chronologicznym, lecz wedle treści uporządkowane, wychodzą w zbiorowym wydaniu w Warszawie. Osobno nie pojawił się dotąd poemat *Pan Balcer w Brazylji*, (*Bibljoteka Warszawska* z 1892 r.), śmiała próba stworzenia współczesnej epopei na tle życia chłopa polskiego na obu półkulach. Duszę tego ludu Konopnicka zna dobrze i z niej zaczerpnęła materjału do prześlicznych nowel, zamało dotąd znanych i cenionych (*Moi znajomi*, *Na drodze*, *Dym*, *Nowelle*). Wydała też szereg szkiców literackich; najważniejszy: obraz życia Adama Mickiewicza.

Monografje: Hołd Marji Konopnickiej. Kraków, 1902. A. Potocki: M. Konopnicka, szkic literacki.

Jan Hus.

(Przed obrazem Brożika).

Stoję przed wami i milczę. O sędzie,
Wy nie jesteście dla mnie sądem Boga!
Wiem, już się stos mój dymi, a u proga
Już kipi tłum ten, co mnie wieść nań będzie...
I żadne za mną nie stanie orędzie!
I otworzona już jest wielka droga,
Przez którą lecą skrwawione łabędzie
Do swego Boga.

Stoję i milczę. Gdzież moja obrona?
Gdzie głos, co za mną przemówi to słowo?
Chrystus też milczy... acz, Chrystus też kona,
A jego wielką i boską wymową
Jest krzyż i cisza i głowa skłoniona
Na pierś miłości pełną, a nad głową
Męki i hańby korona.
Stoję i milczę. Cóż powiem skazany
Za każde czucie, myśl każdą i tchnienie?
Tryumf wam! Tryumf! o wszystkie wy pany.
Obroną moją jest tylko milczenie,
A winą—duch mój, co zerwał kajdany.
Tryumf wam! Oto świątyni sklepienie
Nad głową moją powtarza—skazany!
Na stos! płomienie!

O sędzie! Wiem ja, że pod waszą mocą
Stoję przechodzień daleki i cichy
Z krain wolności, które długą nocą
Oddzielił od was kaptur i duch pychy.
Wiem, wasze klątwy świat w pyły druzgocą,
I bezpieczniejszy jest robaczek lichy
Pod moją stopą, niźli ja, o mnichy,
Pod waszą mocą.
Przecież mnie trwoga nie zgnębi, nie złamie,
Bóg zna to serce i wie, że jest czyste,
Próżno, biskupie wyciągasz swe ramię
I klątwy na mnie wyrzucasz ogniste...
Duch mój nie zaprze swej prawdy, nie skłamie!
On wolny, silny, w swe skrzydła wieczyste
Bije i z stosu ulata, o Chryste,
Pod twoje znamię...

Ja już nie kapłan, nie! Już ze mnie zdarto
Szaty, przez które podobny wam byłem,
Grom Rzymu jeszcze pali się nad kartą,
Przez którą będę popiołem i pyłem...
Ale mam duszę nie przez to rozdartą!
Biegu dobiegłem i dzień mój odbyłem,
I widział mnie Pan pod rannych zórz wartą,
I wie, jak żyłem.

Lecz w piersi mojej zostało się drżenie
Tej gołębicy, co lata nad gmachem,
Kędy jej gniazdo objęły płomienie...
Bledną przed wami nie śmierci przestrachem,

Nie tym, że padnę pod waszym zamachem,
Lecz, że na ziemię czeską idą cienie,
Że widzę groźnie strzaskane sklepienie
Nad własnym dachem...

Ojczyzno moja! Już idą momenty
I ostateczne tych dni rozwiązanie...
Od Białej Góry gdzieś słyszę tętenty,
I od Taboru bojowych surm granie...
Lud mój okuty, zabity, przeklęty...
Lecz ty wyciągasz prawicę, o Panie!
Ty Bóg żyjących i wolnych... Ty święty!
Mój lud powstanie.

Na stos mnie teraz wiedź, rzymski biskupie,
I wy o oczach rozpalonych mnichy!
Pójdę—i życia zaparciem nie kupię.
Jak wiązka mirry, tak spłonę wam cichy,
I stos mój dymy odrzuci wam trupie
Na ten świat lichy.

Patrzcie! ptak leci ku słońcu, w błękity...
On wolny, w skrzydła swobody on bije.
O ziemio! ludu! O przyszłych dni świty!
Do was wyciągam ręce, do was piję
Ostatni puhar! Cień jeszcze was kryje,
Lecz stos mój płonie... O Rzymie! czyś syty?
Ja duch... ja żyję!...

Do ziemi.

Siła mi smutków, ziemio, przyszła z ciebie,
Za wiatru wianiem, za szumem twych borów,
Za temi chmury posępnych kolorów
Na twoim niebie...
Siła mi przyszło i łez i żałoby,
Za twemi groby.

Miłość mi twoja nie dała pociechy,
Ani słodyczy nie wzięłam z kochania,
Stałaś mi zawsze z smętnemi uśmiechy,
Wśród zbóż twych grania...

I jękiem szły mi przez twoje szafiry
Skowronków liry.

Kwiaty łąk twoich dyszały tęsknicą,
Powietrze pełne łez było i rosy.
Wśród ciszy twojej, jak przed nawałnicą,
Szły gromów głosy...
I wielkie wichry o serce mi biły
Z każdej mogiły.

Od stepów twoich krakały orlice,
Z gniazd rozburzonych unosząc swe pióra,
Miesiąc twój płonął, jak ciche gromnice,
A na nim chmura...
Krwawemi smugi padały twe zorze
Za wielkie morze.

Jak cień szły za mną, przez twoje zagony,
Smętność twa stara i czarna twa dola,
I żal przewiewał w tumanach zroszony
Przez twoje pola...
Z lip twoich miodnych padały mi szumy
Ciężkiej zadumy.

Za biegiem rzek twych, za wód twoich graniem,
Pieśń ma leciała skrzydłami bijąca,
A harfy twoje wtórzyły jej łkaniem
O wschodzie słońca...
A o zachodzie szły z wielkim swym płaczem
Echem tułaczem...

Poiłaś ty mnie z gorzkiego kielicha
I gorzkim chlebem karmiłaś od młodu,
Bo zewsząd na mnie patrzyła twarz cicha
Mojego rodu...
I w noc i we dnie z bladością swą ciemną
Stała przedemną.

Proch twój mi w piersi szedł z każdym oddechem,
A kość się we mnie poczęła z tych kości,
Co pod słonecznym bieliły się blechem,
Na twej czarności...
Krwią wsiąkła w ciebie, wskroś serca mi biły
Tętna a żyły.

Ale dziedzictwem nadałaś mnie smętnem
I dział wytknęłaś posępny i dziki,
I pieśń mą tknęłaś zadumy tej piętnem
I tej muzyki,
Co dziś minionych i przyszłych spraw ducha,
Ogniem wybucha.

Nie przeto, matko, złorzeczyć ci będę,
Ni serce tobie odejmę sieroce,
Ale dni twoje tęczami oprzędę
A srebrem noce,
A jeśli we mnie co jest ku ozdobie
Oddam to—tobie!

Boś mi moc swoją tajemną rozwarła,
Gdzie kujesz życia wieczyste ogniwa,
A kiedy inni mówili: umarła,
Mnie byłaś żywa!
Więc na pierś twoją upadszy wśród ciszy,
Czułam — jak dyszy...

Urywek.

Nie wam, słowiki, wtórzyć przychodzę,
Nie z tobą, różo, kwitnąć przy drodze,
Którą przemija smutnych tysiące,
Niesionych burzą od wieku...

Nie z tobą, w blaskach budzić się słońce,
Co świecisz również cicho i jasno,
Czy duchy płoną — czy w walce gasną...
Lecz z tobą płakać – człowieku!

Z pieśni wieczornych.

Ażebyś ty, jasne słonko
Wiedziało,
Co na ziemi jeszcze cieniów
Zostało,
Nie padałobyś tak rychło
Za góry,
Za te lasy w płaszczu tkanym
Z purpury.

* * *

Krótki dzionek do wieczora
Od wschodu...
Nie rostaje pierś zakrzepła
Narodu...
Nie nabiorą światłem myśli
Człowieka,
Kiedy słonko tak nam prędko
Ucieka!

* * *

Oj, żeby to już nad ludźmi
Smutnemi
Uderzyła jasność ducha
Po ziemi!
Żeby w światło się podniosły
Powieki!
I w przyszłości dzień już nastał
Na wieki!

Przed sądem.

Drobny, wychudły, z oczyma jasnemi,
W których łzy wielkie i srebrne wzbierały,
I gasły w rzęsach spuszczonych ku ziemi,—
Blady, jak nędza, a tak jeszcze mały,
Że mógł rozpłakać się, i wołać: „matko!"
Gdyby miał matkę... i mógł stroić psoty,
I pocałunków żądać, i pieszczoty,
I spać na piersiach ojca... a tak drżący,
Jak ptak wyjęty z gniazda, i już mrący,—
Wiejski sierota stał w sądzie przed kratką.

A dziwna była ta sala sądowa,
Wielka, i pusta, i ciemna, i chłodna,
I bezlitosna, i łez ludzkich głodna,
I nigdy dla nich niemająca słowa
Miłości bratniej, i taka surowa,
Tak spiskująca ławkami w półkole
Na ludzką nędzę i ludzką niedolę,
Że Chrystus biały, co stał tam w pobliżu,
Zdawał się cierpieć i drżeć na swym krzyżu.

Przy winowajcy nie było nikogo...
I któżby bronił dziecięcia nędzarzy?
Chyba te wielkie dwie łzy, co po twarzy
Leciały jakąś pełną iskier drogą,
Chyba dzieciństwo, nędz pełne, sieroty,
I chyba tylko promyczek ten złoty,
Co mu przez okno upadał na głowę,
Jakby Bóg gładził włosy jego płowe.

Wszedł sędzia, spojrzał i rzekł: „Gdzie rodzice?"
„Nieznani,"—odrzekł pan pisarz z powagą.
Chłopiec wzniósł zgasłe, błękitne źrenice,
I ściągnął świtkę na pierś swoją nagą,
Bo oto nagle, od jednego słowa,
Zjęło go zimno i pustka grobowa...
Sędzia zadumał się, pochylił czoła
I spytał znowu: „Czy w wiosce jest szkoła?
—„Nie."—Pisarz zwykle chmurny był w urzędzie,
Przytym—pytanie było jakoś dziwne...
Wahał się chwilę, czy właściwym będzie
Odpowiedź chłopca pisać w protokule,
Więc wyprostował palce swoje sztywne
I bębnił zlekka po szarej bibule...
A sędzia patrzył na drżącą dziecinę,
Na ręce nagie, wychudłe i sine,
Na pierś zapadłą i nędzne łachmany,
Na blask tych oczu zmącony i szklany,
Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy...
Na drobną główkę, gdzie myśl głucho śpiąca
Nie znała świata innego, prócz słońca,
I innych wrażeń ożywczych, prócz rosy.

I dziwnym cieniem zaszło mu oblicze,
I w piersi uczuł drżenie tajemnicze,
Jakby ta sala pusta była tronem,
Na którym przyszłość z czołem zachmurzonem
Zasiada, pełna klęsk i spustoszenia...
I jakimś grzmiącym i ogromnym słowem
Oblicza plony na polu jałowem,
Przed sąd wzywając całe pokolenia...
I widział jak szły gęste, ciemne tłumy
I tamowały ruch globu w błękicie...
I spostrzegł, pełny trwogi i zadumy,
Że były chmurą ogromną o świcie,

Przez którą przebić nie mogło się słońce,
I zmierzch nad ziemią trwał przez lat tysiące...
Widział, że tłum ten—to siła stracona
Dla wielkich celów i dążeń ludzkości,
I czytał w groźnym spojrzeniu przyszłości,
Że chce rachunku z miljona...
I ujrzał nagle, że wydziedziczeni,
Za społeczeństwa swego cierpią winy...
I przerażony — posłyszał w przestrzeni
Sądy—nad sprawą chłopczyny...

—„Niechże was Chrystus—głos mówił—rozsądzi,
Kto więcej winien! Czy ten nieświadomy,
Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi,
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy, a nie dbacie o to,
By uczyć dziecię, które jest sierotą...
Niechże was Chrystus sądzi!"—
Lecz krzyż czarny
Stał nieruchomy i cichy na stole,
Jako milczące wobec łez ołtarze...
A sędzia powstał, i szedł, gdzie pacholę
Blade czekało na wyrok surowy,
I dotknął ręką jego płowej głowy,
I rzekł: „Pójdź dziecię! ja cię uczyć każę!"

Z szopką.

Przed dworskim gankiem stanęło ich czworo,
Główki na mrozie odkrywszy z pokorą.
Zwyczajnie, dzieci, z maleńka już karne,
Wiedzą, że dwór jest rzecz pańska, wielmożna;
Nie to, co chaty ich, nędzne i czarne,
Gdzie ledwo śnieżnej zamieci ujść można!
Nie wiem, czy które z tych biednych usłyszy
Kiedy w swym życiu, co godnym jest cześci;
Nie wiem, czy przyjdzie kto, by w chaty ciszy
Zasiąść do wielkiej lat dawnych powieści;
Czy im kto powie, jak kochać potrzeba
Zagon ojczysty, co daje kęs chleba,
Jak cudze prawa szanować, jak żywem
Poczuć się w wielkim łańcuchu ogniwem,
Lecz wiem, że zdawna uczono batogiem
Odkrywać głowę przed pańskim tym progiem.

Stanęły zbite w gromadkę. Nad niemi
Jaskrawa gwiazda na żerdzi wybłyska,
Ścieląc snop światła krwawego po ziemi...
Kometa drżąca, dziwna, bez nazwiska,
Co raz do roku zjawia się i świeci
Ponad głowami bosych chłopskich dzieci...
Drżące od zimna podniosły się głosy
I uderzyły po śnieżnej przestrzeni,
A noc słuchała smętna, a niebiosy
Pełne się zdały iskier i płomieni,
I ech żałosnych, zmieszanych w rozdźwięki,
I w jakieś ciche westchnienia i w jęki.

Najmłodszy, dziecko drobne, co z drugiemi
Stał wpośród jasnej okien dworskich łuny,
Odziany w łachman, z stopami bosemi,
Umilknął nagle, jak rwące się struny...
I ponad gwiazdą klejoną z tektury,
Wielkie i smutne oczy wzniósł do góry
I myślał sobie: „Czemu to, mój Boże,
Choć Chrystus przyszedł, tak źle jest na świecie?
I czarnej mąki garść tylko w komorze?
I niema ciepłej sukmanki na grzbiecie?
I tatuś, taki pijany z wieczora
Matulę bije, choć płacze i chora?...
Czemu to ludzie w przednowek tak bladną,
I jakby cienie po drogach się włóczą?
A dzieci we wsi z maleńka już kradną?
A jego dotąd na książce nie uczą?
Choć radby wiedzieć, co jest tam daleko,
Het, het, za lasem, za młynem, za rzeką!...
Widać dla chłopów nie przyszedł Bóg może?
Wszakże, choć co rok do dworu chłopięta
Idą z kolędą i z szopką w tej porze,
On przecie nigdy, jak żyw, nie pamięta,
Żeby kto z dworu do chaty przychodził
I mówił: „bracia, Chrystus się narodził!"
Czemu?...

O dziecię! mgła nocy zasłania
Dzień, co odpowie na twoje pytania...
Och! oby tylko nie wszedł on sądem
Klęsk ostatecznych nad morzem i lądem!
Och! oby tylko wiekowi przyszłemu
Grom pomsty twego nie powtórzył: Czemu?!

Z cyklu „Italja".

W zatoce Baji. Willa Cycerona.

Cycero?... Tu więc morze rytm dało mu boski,
Rozlepiając ton myśli na dźwięki i głoski,
I w każdą perłę lejąc muzykę echową,
Tak, że wskroś wieków słychać jeszcze każde słowo.

Cycero?... Z tej więc fali, co łódź moją trąca,
Wstała ta mowa nagła, silna, błyskająca
Słonecznemi iskrami, lub pogardy pianą,
Mowa, której Rzym słuchał, ugiąwszy kolano?

Tu więc, po tym mirtowym przechodząc się chłodzie,
Kąpał każde swe słowo w błękitnej pogodzie,
I upojon tych winnic pochlebnym szelestem,
Myślał, że tłumy, stawał, i witał je giestem?...

Tu wodząc miękką dłonią po etruskiej wazie,
Uczył się jej okrągłość zamykać w wyrazie,
W którym, choćby przeklinał i wołał: „banita!"
Drżała piękność od cudnej amfory odbita...

. . . . . .

Katylino, widzę cię! W wielkiej, jasnej sali
Siedzą rzymianie, w togach swych senackich biali;
Twarze śniade, na czaszkach nizko cięte włosy,
Półkrężnym siedzą wieńcem, dawać mają głosy.

Namysł, nieufność, bojaźń, ściągnęły oblicza.
W pośrodku dym z trójnogu kadzielnego znicza
Cienkim, błękitnym pasmem po sali się wije,
Owiewając odkryte znamiona i szyję.

Giesty latają w posły; coraz to z pod togi
Wytknie ręka dwa palce, jak księżyc dwurogi;
Owdzie brwi podniesionych łuk groźnie napięty,
A wielki palec sterczy pochyły i zgięty.

Ty sam, na rogu ławy, gwałtowne twe oko
Wbiłeś w ziemię, i patrzysz przed siebie głęboko.
Twarz z bronzu — pobielała, a obiedwie pięście
Wparte w kolana. Wściekły bunt słychać w ich chrzęście.

Włos zjeżony, kark zgięty — nie skruchą, lecz losem.
Milczysz. Gdybyś się ozwał, nie swoim snać głosem,
Lecz zdławionego gardła krzykiem, mową wilczą...
Milczysz? Pioruny bijąc w chmury z chmur — tak milczą.

Widzę cię! Ława pusta za tobą w połowie:
Odsunęli swe togi ostrożni mężowie,
By nie dotknąć się szaty, co ciebie okrywa.
Pustka cię otoczyła nad hańbę zelżywa...

Jeden z siedzących wyżej, schylił czaszkę łysą
I czoło naznaczone w poprzek grubą rysą;
Oczy w dłoń schował; palce kościste i twarde
Tłoczą wstecz, w głąb źrenicy łzy, wstyd, czy pogardę.

Szmer i ruch idzie izbą: zwrócone w bok głowy,
Spojrzeniem się tłumaczą i dzielą — nie słowy:
Coraz to skośnym ogniem odstrzeli powieka...
Duchy wiszą na ustach jednego człowieka.

Przed ławami mąż stoi, mąż pięknej postaci,
On jeden w pośród zboru pogody nie traci
I ku ławom giest czyniąc pieszczoną swą dłonią,
Mówi... Jak jasne perły, tak słowa się gonią.

Mówi... Każde z słów jego na złota kłaść wagę...
Cycero! — Kto mu przeciw stanąć ma odwagę? —
Mówi: — „Państwo .. vis... virtus... Roma... stara cnota..."
Głos dźwięczniejszy od spiżu, a twardszy od młota.

Promień słońca upada i przed nim się ściele...
Mówi... Prawo, lud... spokój... współobywatele...
— Wielkie słowa! Powagi niezłomnej i siły!
Na szerokie mu czoło wyszły grube żyły.

Zawiesza głos i słucha, jak echo się niesie,
Odbite od portyku, skroś po kolumn lesie,
Jak trąca w kapitele, i cichnie i ginie,
W szepcie liści akantu: „Śmierć... śmierć Katylinie!"

. . . . . .

Słucham, i rękę falom puściwszy z mej łodzi,
Myślę, jak głos przeszłości daleko dochodzi,
I myślę, jak głęboki nurt morza i siny,
I jak blada, na dnie, ta twarz Katyliny!

W dolinie Skawy.

Jeszcze się kwietniowe słońce mało co nad świerki bliskiego lasu podniosło było, kiedy od Bud żywieckich, rozległ się śpiew męskich i kobiecych głosów. Zdyszany był nieco i rwący się w sobie, jakby ludzie śpiewając szli, a idąc, przyśpieszali kroku.

Jest coś głęboko przejmującego w takim śpiewie z ust niewidzialnych, nad ziemią płynącym. Ptak, wiatr, strumień zwijają wtedy skrzydła i przestają dla twych uszu lecieć, szumieć, brzęczeć. Drzewa stają nieruchome, milczące, a trawy drżą tak, że widzisz brylantowe migotanie rosy. Słuchasz i śni ci się baśń stara o pieśni owej, co sama po ziemi chodzi, oczy ślepe ma i wyciągnione przed siebie ręce. Tak stara jest jak świat, tak biedna, jak bezchlebne kłosy, ale gdyby jej nie było, żadna mogiła nie porosłaby zielem, a na ołtarzu gasłyby paschalne świece. Bosa chodzi, jedną tylko lnianą koszulę na sobie ma, nie zatrzymuje się nigdzie, nie łaknie ni snu ni wody, pragnąca nie jest. Na kogo się natknie, ten za nią iść musi, i tak jak ona śpiewać, ślepym być i wyciągnięte ręce mieć w powietrze ciche i w wichry jęczące. A choćby król był, boso musi iść, iżby się zblizka ziemi tknął, czy to w kwiat, czy w ciernie ugodzi, inaczejby się w kamień obrócił, którym szatan co rok grób Chrystusów przywala, iżby zmartwychwstania na świecie nie było. Ale zmartwychwstanie jest na świecie, bo takich, co za pieśnią boso po ziemi chodzą, nigdy nie zabraknie.

Przy końcu świata odślepnie pieśń i obaczy drogi, jakiemi chodziła, bo gwiazdy w nie padają, kiedy z nieba lecą; ale teraz nie wie, która droga jest i gdzie wiodąca. Lada pacholę wodzićby ją mogło, gdyby nie to, że ręce wysoko nad ludzkiemi myślami podniesione trzyma.

Śpiew coraz wyraźniejszym się stawał. Prosta, surowa niemal, na kilku nizkich nutach trzymana melodja miała w sobie jakąś pierwotną, liturgiczną powagę i siłę. Z pagórów szła, w dolinę Skawy biegła, wypełniając sobą coraz szersze kręgi wielkiej, rannej ciszy.

Myślałam zrazu, że to pątnicy, którzy się tu często po drogach snują, pielgrzymując do Zebrzydowskiej Kalwarji. Ale nie byli to pątnicy.

Na wyrębie, w pół wysokości stromego dosyć zbocza, ukazał się niewielki wóz, zaprzężony w jednego konia. Przy koniu szedł człowiek z odkrytą głową, za wozem gromadka mężczyzn i kobiet. Mężczyźni mieli krótkie, czarne spencery,

kobiety płachty lniane, grubym węzłem u szyi związane. Szli wszyscy krokiem sporym, wymijając sterczące na wyrębie pnie drzewne i gęste krzaki jałowcu. Na stromych kamienistych spadkach mężczyźni przytrzymywali trzęsący się wóz, z obu stron podpierając ramieniem półdrabki. Wóz był głęboko wysłany ciemną zielenią świerkowych gałęzi, nad któremi srebrzyło się coś i złociło w słońcu. Kiedy się zbliżył nieco, zobaczyłam siwą trzęsącą się z nim razem głowę ludzką i świeżo zbitą ze smolnych tarcic trumnę. Pogrzeb to był z gór idący do odległego cmentarza.

Na trumnie czerniał krzyż smołą zrobiony, głowa zaś należała do skulonego w półkożuszku na rozworze dziada, który się w zieleń świerkową tak wszył, że go mało co widać było, i tylko włosy jego długie, prawie białe, lekkim poruszane wiatrem, srebrzyły się zdala w porannym słonku, niby skrzydło gołębie nad trumną bijące. Dostawszy się na gościniec z wyrębu, wóz potoczył się wolniej, a kiedym się złączyła z gromadką, pieśń, na ostatniej spadzistości przerwana, zabrzmiała znowu prosta i surowa:

....Ciężko ci jest na świat iść, ciężko i odchodzić,
Miałby człowiek wolę chcieć, chciałby się nie rodzić.
Chciałby usunąć wojnę tę, co się żywot mieni,
Chciałby sobie cicho spać u matuchny ziemi.
Pątowałem po drogach, pątowałem w smutku,
Wiela było starości, a niewiela skutku;
Teraz idę w wieczny mir, na ciche pokoje,
Teraz mi się naczną już miłe wczasy moje.

Nuta rwała się trochę, bo ludzie zmęczeni; dziad tylko, podniósszy na modre, świetliste powietrze czerwone oczy swoje, szeroko patrzał w niebo i śpiewał donośnie, też rozpoczął nową strofę suchym, cmentarnym głosem:

....Naciągałem się pługa, naciągałem brony,
Był ten zagon ciężkiemi potami zroszony;
Teraz, że mi nie trza już orać, ani siewać,
Teraz mi się wiecznego spocznienia nadziewać.
Miałem ja tu frasunki, miałem ja ciężkości,
Nie było mi uciechy, nie było sytości.
Teraz idę do ziemi, do matuchny mojej,
Już się moja duszyczka niczego nie boi

Wóz toczył się zwolna, a w miarę, jak się toczył, ustawało po drobnych splachetkach ornej ziemi pokrzykiwanie na

woły ciągnące pługi, mężczyźni odkrywali głowy, kobiety prostowały grzbiety zgięte nad rozbijaną motykami darnią i stały przez chwilę z ręką nastawioną u czoła, od słońca bijącego teraz w same oczy.

Dziad zaczął nową strofę:

....Straszyły mnie powodzie, straszyły mnie mory,
Zaglądały choroście do mojej komory;
Teraz będę cicho spać od zorzy do zorzy,
Teraz się już serce me niczym nie utrwoży.
Uganiałem ja grosza, uganiałem pola,
Teraz mnie już odeszła od dobytku wola;
Teraz mi już wszystko dość i zawiele nawet...
Świat nie stoi mi za grosz, ni za jeden lament.

Nie pamiętam, żebym kiedy oddychała poczuciem takiej szczerej, takiej zupełnej swobody wypowiedzienia głośno własnych moich uczuć, jak przy śpiewaniu pieśni tej, której słowa chwytałam, idąc za tą chłopską trumną; nie pamiętam żebym kiedy z taką zupełną jasnością czuła wspólność nędzy życia we wszystkich jego stanach i na wszystkich szczeblach. Jakaś wielka prawda, a zarazem wielka rezygnacja wstępowała we mnie z dziwną prostotą i siłą. Było to oświetlenie życia z takiej jego strony, z jakiej aż dotąd cień na nie stale padał od własnej istoty mojej, niespokojnej, nieukojonej, czczych pożądań pełnej.

Szeroka, roztrącona pieśnią cisza ulatywała przed nami, jak ptak spłoszony. Cały ten krąg powietrzny, wiosennym błękitem nabrany, od surowej, zroszonej, świeżo pługiem odwróconej ziemi, aż po zenit słoneczny, wypełniony był głosem człowieka.

Była to antyteza Taboru, szczytów Synai i gorejącego krzaku Mojżesza. Przykazy i zakazy wydały już owoce swoje, albo zjałowiały. Przebrzmiał ich głos grobowy, regulujący sprężyny życia, często aż do ich złamania. Teraz była cisza. Teraz człowiek miał coś do powiedzania Bogu i niebiosom. Nie mówił wiele. Nie skarżył się, nie jęczał, nie błagał nawet o litość i miłosierdzie. Zmęczony był. Drogę swoją przeszedł, bój przebojował, chciał spocząć.

Życie wspomniał bez żalu, bez goryczy, spokojnie, znać, że brzemię to niósł pełnią sił swoich człowieczych, raz źle, raz dobrze, ale teraz z jakimś pośpiechem, z jakimś utęsknieniem do ziemi wraca, i za to, że był, jednej tylko rzeczy żąda: nie być.

Tymczasem śpiew rósł, olbrzymiał, bo idący do miasteczka ludzie równali się z naszą gromadką i śpiewali razem. Szczególniej przejmującemi były głosy pacholęce chłopiąt i nieletnich dziewcząteк. Wiele wyrazów w ich ustach wyglądało jak zrzeczenie się życia na samym jego progu. W ustach ludzi dojrzałych robiła pieśń ta wrażenie wielkiej powszechnej spowiedzi.

...Nagrzeszyłem ja tu dość z cielesnej krewkości,
Dusza we mnie gorzała od wielkiej radości.
Teraz idę w wieczny mir, do Pana Jezusa,
Teraz mnie już nie pojma nijaka pokusa.
Miałem ja tu rodzice, miałem żonę, dziatki,
Teraz idę w ciemny grób, jak do ojca, matki.
Teraz vale*) dziateczkom i krewieństwu dawam,
Miłym sercem żegnam was, a sam się ostawam...

Wóz się trząsł na wybojach świeżo zasypanych gruzem, a z wozem trząsł się głos skurczonego na wozie dziada, trzęsła się głowa jego siwa, trzęsło się i to „vale" jakby ostatnim echem pożegnania drżące.

Co mnie dziwiło, to, że nie dosłyszałam w pogrzebowej gromadce ni jednego kobiecego szlochu.

— Nie miał to nieboszczyk rodziny? — spytałam zcicha idącej obok mnie kobiety.

— A hań matka! — odrzekła, wskazując głową na wóz, przy którym, półdrabków się trzymając chudą, zczerniałą ręką, szła sporym krokiem przygarbiona, okryta lnianą płachtą baba.

Natychmiast zaczęłam głos jej wyróżniać wśród innych. Cienki był, przenikliwie dźwięczący, dusznością jakąś, czy zmęczeniem rwany. Dotrzymywał jednak innym, a szczególniej żałości zgoła znać w nim nie było.

...Nie starajcie się światła, nie starajcie dzwonów,
Nie trzeba mi parady, nie trzeba pokłonów,
Bom ci proch a glina jest, do ziemi się wracam,
A w co byłem z naczątku**) znowu się obracam.

— A na wozie hań—widzą? To nieboszczyka przeddziad... nie gwałtem już mocny w nogach, to wiozą go... — dorzuciła kobieta, korzystając z ciszy, jako po każdej prześpiewanej stro-

*) Bądź zdrów! **) Z początku.

fie nastawała, a wśród której tylko łopot nóg po gościńcu i toczenie się wozu słychać było.

W tej chwili dziad podniósł głowę i silnym raźnym odezwał się głosem:

Winszowana dobra śmierć i lekkie skonanie,
Winszowany cichy grób, co mi się dostanie,
Terazże się powróćcie, kędy wasza droga,
A ja będę cicho spał, na łonie u Boga...

Prześpiewał, zgarbił się, skłonił głowę, i po ramiona zatonął w świerkowej zieleni. Idącej przy wozie matce głos złamał się nieco w tej ostatniej strofie. Wytrwała jednak, i, trzymając się półdrabka, szła żwawo obok trzęsącej się synowskiej trumny.

Śpiew ucichał zwolna.

Jak urzeczona szłam za jego echem.

Przykuwała mnie piękność prastarych form pieśni, przykuwała mnie mądrość i jej moc. Duch, który ją wysnuł z siebie, musiał być duchem prawdziwego filozofa; albo raczej prawdziwa filozofja życia sama sobie znalazła tu wyraz i wcielenie.

Nicość życia, nicość trudów i zabiegów jego, siewy, które nie wschodzą i nie zakwitają, kwiaty, które nie dają owoców, owoce, które trują tych, co je hodowali, znikomość wszystkich nadziei, oraz wszystkich zwątpień, wszystkich radości i wszystkich boleści, cały ten świat, który „nie stoi za grosz, ni za jeden lament" jakie to szczere, a jakie prawdziwe!

Grzech, wina, pozostawione na zewnątrz człowieka, grzech, w który wepchnięty jesteś, jak żołnierz w wir bojowiska, wina, po której idzie łaknienie „wiecznego miru", łaknienie wypocznienia od samego siebie, od własnej słabości, jaka w tym prawda, a jaka głębia smutku!...

Trumna dygotała na wozie coraz silniej; dziad oburącz chwycił się półdrabków; weszliśmy na kamienistą groblę.

Chłód powiał od mokrych łąk i stawów. Jakieś niewidzialne usta rozwiewały mi włosy na czole, a szeroka cisza pełna była ich tajemniczego szeptu.

...Przygodne tu wszystko i jednochwilowe, a przecież konieczne i nieuniknione. Koniecznym jest ból, konieczną jest miłość, koniecznemi łzy i uśmiechy. Konieczną także jest tego wszystkiego nicość.

...Miałem tu rodzice, miałem żonę, dziatki. Tu... w krainie przemian, zwiędnień i przekwitów serca. Miałem. Było to

może snem szczęścia, może snem cierpień; ale teraz zbudziła mnie ze snu tego śmierć. Teraz już zimną pierś mam, i nie czuję ani ran z ukochanej ręki, ani jej pieszczoty. Teraz mi dobrze, spokojnie. Jak spokojnie! Nie drżę z rozkoszy, lecz nie drżę i z bólu. Cichy jestem. Jestem, czym byłem — nicością. Do grobu idę, idę do ziemi, rodzicielki prochu i człowieka. Do ziemi, która była matką matki mojej, i matką ojca mego, i do której pójdą syny moje i dzieci synów moich. Rozwiązały się pęta moje, i te co łańcuchem mi były, i te, które były róż wieńcem. Wolno mi już nie kochać, nie czuć trwogi, gniewu, pogardy, zazdrości. Wolno mi nie być niewolnikiem miłości ani nienawiści; wolno mi nie dręczyć siebie i innych.

...Miłym sercem żegnam was... sercem uleczonym — z życia. Ognisko wzruszeń wygaszone, źródło porywów wyschłe, rozlatane jaskółki myśli moich powróciły do gniazda swego, do wystygłego mózgu mej czaszki.

...Opadły ramiona moje, wyciągnięte do uścisków bratnich, rozprostowały się dłonie, które zaciskałem około tego, co było tą, jak ja — nicością; stopy moje wypoczywają z dróg pilnych, o których nie wiedziałem, że do grobu wiodą.

...Bezbronny jestem, nie łaknący ani sądu, ani pomsty, ani sprawiedliwości. Pomiędzy niebem a ziemią rozwiany jestem, jako tchnienie wiatru i mniej jeszcze. Bo i wiatru tchnienie zakołysze stepem, gdy nań uderzy ze wschodu lub zachodu, ale dech życia mego nie poruszył ani jednej trawki, a większa jest nicość moja, niż ślad prochu, który po nim zostanie. Gdy słońce jutrzejsze szukać mnie będzie — nie znajdzie; a księżyc nie obaczy, iż byłem, a już nie jestem. Starta jest istność moja i wymieciona droga po mnie aż do źdźbła trumiennej słomy. Byłem, a jakbym nie był.

...Troskałem się „około wiela", a lecz jednego tylko było mi potrzeba — grobu. Ten ci jest dom wieczny i podścielisko pokoleń, które przeminęły i które przyjść mają.

...Acz lepszem byłoby, iżby nie przychodziły, bo to „co się żywot mieni, męki i wojna jest".

...Ale przyjdą i przeminą. O śmierci, ty jesteś życiem świata.

Ale i śmierć zaś rozwiązaną będzie, a gdy jej usta nie znajdą w prochu ani jednej iskry do zdmuchnięcia — wtedy nastanie mir i wieczna cisza...

Nagle stuknęło coś. To koła wozu zaczepiły o cmentarne wrota.

ADOLF DYGASIŃSKI.

Urodz. 1839 w Niegołowicach, umarł w r. 1902. Zasłużony pedagog, znakomity popularyzator wiedzy, gorący miłośnik kraju i ludu. Miłość przyrody uczyniła go poetą wszystkiego, co żyje; jego obrazy zwierząt i nawet flory mają wysoki urok oryginalności i poezji. Uwielbia przyrodę jako artysta, rozumie ją jasno i bez iluzji jako filozof — pozytywista. Jego utwory nie wszystkie stoją na jednakowej wyżynie; tworzył dużo, najważniejsze: *Z ognia życia*, *Z pól i lasów*, *Beldonek*, *Z zagonu i bruku*, *Gody życia*. Jako pedagog zasłużył się zwracaniem uwagi powszechnej na metodę poglądową, którą propagował w licznych artykułach, odczytach i książkach pedagogicznych tak swoich oryginalnych, jak i tłumaczonych. Z tych ostatnich najważniejsze: *Dittesa — Pedagogika*, *Seignebosa — Historja cywilizacji*. *Pierwsze nauczanie w domu i szkole* i wiele innych. W Przeglądzie Tygodniowym, Ateneum, Przeglądzie Pedagogicznym i innych, zamieścił także znaczną liczbę prac pedagogicznych, filozoficznych i krytycznych.

Gody życia.

Urywek.

Pochodził z bardzo starożytnego rodu Mysikrólików, których w ciągu wieków nie skaziła przymieszka krwi obcej. Błąd rodowy nie obarczył tu nigdy ani miecza, ani kądzieli, chociaż w boru pełno jest śpiewaków, niebezpiecznych dla płci pięknej, i baletnic, gotowych zawracać głowę rycerzom. Taki słowik, takie sikorki, pokrzewki różne: istna opera i cyrk i balet! Przytym Mysikróliki żyły i żyją w ubóstwie, nie zawierając związków małżeńskich dla wiana. Dusza naszego ptaka, wychowana w swojskości z pokolenia w pokolenie i odziedziczona wadliwość w budowie skrzydeł wstrzymywały go od kosmopolityzmu ptaków przelotnych. Natomiast znał przewybornie wszelkie dziwy kraju ojczystego i wyrobił w sobie zręczność, sprawność przemykania przez kręte, a ciasne labirynty puszczy nad Prądnikiem.

Doświadczył on tam mnóstwa przygód, nieznanych innym ptakom. Wywodził w pole chytrość lisią, robił zawody drapieżności kotów, wron, srok, krogulców. Nie dawał się pożreć.

Miewał nieraz spotkanie oko w oko z myszą, jaszczurką, wężem, kretem, jeżem i nic sobie z tego nie robił: myk i znikał bez śladu. Ileż razy staczał bój z ropuchą i wydzierał jej z ust mszycę albo pająka!

Wszystkie te zwierzęta tak mu spowszedniały, że wcale nie zwracał na nie uwagi. Ba, częstokroć śpiewał, choć miał przed sobą niedźwiedzia, żmiję, człowieka! Ale trwoga niewysłowiona przejmowała go nawskroś, kiedy w nocy wołanie jakieś straszliwe rozlegało się po boru: „U-hu-huu! U-hu-huu!" Serce waliło młotem w piersiach ptaka dziennego, sen uciekał z powiek, przeczucia złowieszcze dręczyły duszę.

— Oby jak najprędzej doczekać jasności dziennej!

Wyobrażał sobie, że ten wołacz jest smokiem jadowitym, okrutnym, obrosłym w kudły powichrzone, ma łeb szpetny o paszczy ziejącej wściekłością i uzbrojonej w kły mordercze, — że dybie na wszechptactwo, zabija je wzrokiem samym i oddechem.

Strwożony, rano przecierał oczy, puszczał się w drogę, widział ślady krwi przelanej, pióra wydarte czyżyków, szczygłów, gilów, sikorek, drozdów, dzięciołów, krasek.

— On to sprawił, potwór niewidzialny, który wyje po nocach tak strasznie, tak przeraźliwie! Mysikrólik jęczał trwożliwie:

— Czyk, czyk, czyk!

I znikał gdzieś w jamie podziemnej, jak gdyby pragnął ukryć się przed swoim własnym wyobrażeniem smoka, którego nigdy nie widział na oczy. A okropne „u-hu-huu!" ciągle huczało mu w uszach.

Słońce jasne coraz wyżej wznosiło się na niebie i w miarę tego malały obawy Mysikrólika. Wyraz niepokoju, przerażenia znikał w jego oczach czarnych, a blask szczęścia, nadziei, wiary w życie poczynał je ożywiać.

— Och, słońce, królu jasny nieba, dlaczego nie przyświecasz nam zawsze? Dlaczego opuszczasz dzieci swoje w nocy i wydajesz je na łup złobie ciemności? Dlaczego w zimie tak krótko, mdło jaśniejesz nad ziemią i pozbawiasz nas ciepła? Słońce, prawdo dobra, błoga, bądź z nami!

Mysikrólik, inaczej strzyżyk, był czystym poganinem, czcicielem słońca: żył w dzień, lękał się w nocy. Bił pokłony słońcu jasnemu, śpiewał mu hymny uwielbienia szczere, serdeczne. Słowik śpiewa dla popisu: głośno, czysto i przy nocnym oświetleniu nieba. Pieśń strzyżyka wypływa jedynie z potrzeby duszy: jest ona dla słońca, brzmi cicho, rzewnie, wśród

gwaru i wrzasku dziennego. Jemu wcale nie chodzi o to, aby go słyszano: modli się i jest szczęśliwy.

Wyskoczył skądś niespodzianie, jakby z pod ziemi, zawołał:

— Czyk, czyk, czyk!

Spojrzał wokoło, rzucił się w prawo, w lewo, i przepadał, a potym znowu się ukazał. Ta odrobina, słabizna, ma w żyłach krew bardzo bogatą, umie podołać wszystkim zadaniom życia.

Latem spotykał się często i przyjaźnił z rudzikiem krasnoogonkiem, ze słowikiem: pobratymstwo duchowe zbliżało te ptaki. Zresztą prowadził żywot dosyć samotny, nie uchylając się jednak od różnych obowiązków, na których spełnianiu polega dobro pospolite mieszkańców puszczy. Bo z kim tu zawierać stosunki przyjaźni zażyłej, takiej, co to raz na zawsze?...

Prawdę mówiąc, słowik jest próżny, płochy; rudzik — niezdara i charakteru słabego. No, ale ci dwaj mają przynajmniej talent z łaski Bożej, wycierają nim kąty po za granicami ojczyzny i świat się dowiaduje o istnieniu kraju nad Prądnikiem. Gil — trubadur ckliwo uczuciowy: stosunek z nim prędko się przejada, powszednieje. Zięba — zarozumialec waśniwy, ma zawsze swoje „ja" na ustach. Sikora — przewrotność uosobiona, nosi płaszcz na obu ramionach: gotowa zgubić przyjaciela, jeśli jej o zysk chodzi. Wróbel — samolub domorosły, który nic już nie widzi po za sobą i swoją rodziną. O srokach, sójkach, wronach, dzierzbach, mówią straszne rzeczy. Ciągle się słyszy:

— To złodziej, to szpieg, stręczyciel, opryszek!

Ma się rozumieć, dużo jest w tym przesady.

Strzyżyk używał wśród ptaków boru sławy wróża—ostrzegacza i jako ptak prawdomówny, znajdował wiarę u wszystkich. Czyżyki, szczygły, dzwońce, gile, pokrzewki tak mu ufały, że nie sprawdzając co za niebezpieczeństwo grozi, niosły dalej w las jego ostrzeżenia i hasła trwogi. Dzięcioły, drozdy, turkawki, a nawet wiewiórki, wołały tedy, każde po swojemu:

— Baczność, baczność!

Rzecz prosta, chodziło zwykle o gniazda i pisklęta, jaja najdroższe, przyszłość pokoleń. I rzeczywiście było drżeć o co: bo już lis skradał się do gniazda cieciorki, już krogulec zagrażał drozdom młodziutkim, sójka lub sroka była w pobliżu gniazdka szczyglego, albo — nieszczęście równe klęsce ostatniej — kukułka podpatrywała, komu podrzucić swe jaje.

Mysikrólik wołał ostrzegawczo, a wszystkie ptaki zdwajały czujność i robiły, co należało. Więc posiadające zasób sił i odwagi uderzały ławą na wroga, zwykle z wrzawą nie-

małą. Słabe, lękliwe jęczały z trwogi, zmykały do kryjówek. Niektóre udawały zuchów takich, co to umieją kiwać palcem w bucie.

Każdy ptak wyssał z żółtka jaja macierzyńskiego odpowiedni sposób walki z wrogiem gatunku.

Strzyżyk spełnił obowiązek obywatelski, narobił nieraz rwetesu w puszczy, poczym uchodził do pierwszej lepszej dziury mysiej, albo dawał nura w kupę chrustu, czy liści suchych. Po chwili znowu się zjawiał i wołał:

— Czyk, czyk, czyk!

Bo zawsze tak czykał; ale brzmiało to inaczej kiedy zapowiadał:

— Obywatele, czuwajcie! A inaczej, jeśli wyrażał uczucie miłości małżeńskiej — rodzicielskiej, lub — okazywał radość, smutek, podziw, uwielbienie, nadzieję. Przecież i człowiek częstokroć wypowiada wszystkie te uczucia, przez jakiś jeden wykrzyknik: „Oj-jej!" — „Ach!" — Czykał głośno i publicznie, śpiewał cicho i w ukryciu. Mimo niepokaźności, posiadał dużo rozumu i dzielności życiowej: był jednym z tych, którzy się nie dają zjeść w kaszy.

Jako pustelnik, stroniący od świata zgiełkliwego, przepędzał znaczną część życia w zaciszach ustronnych, być może — i na rozmyślaniach. Znał on na wylot jamy w ziemi, większe i mniejsze dziuple drzew wypróchniałych, jaskinie skał, gdzie sowy i nietoperze budują gniazda, gdzie kości i ciała praniebożczyków leżą zbutwiałe, spopielone. Jego sposób życia miał urok tajemniczości dla ptaków, skłonnych do zabobonu.

— Mysikrólik niezawodnie wie daleko więcej niż my, żyjący wyłącznie na powierzchni ziemi!

Tak mniemano powszechnie i uważano go za wieszczka— czarodzieja.

Ludzie współcześni, jeszcze zabobonniejsi od ptaków, poczęli go nawet czcić jako ptaka zagadkowego.

— Duch zły, albo dobry: na wszelki wypadek lepiej oddać takiemu pokłon.

Z wyjątkiem jastrzębi, kruków, tłumu wron, każdego uderzała w oczy też ta okoliczność, że strzyżyk śpiewa nawet w zimie.

Gdyby poezja żyła tylko prawdą rzeczywistą, umarłaby z głodu! Zresztą dusza każdego stworzenia żywego jest prawdą najistotniejszą.

Nasz bohater bezskrzydlaty żył w bezkrytycznych czasach bałwochwalstwa: czci Słońca, bogini Wandy, Żywy — wiary powszedniej w walkę uporczywą bóstwa światłości z bóstwem

ćmy nocnej. Miłośnik nieposzlakowany swojej ojczyzny leśnej, żył szczerzuchnie szczęśliwy w Bohboru nad Prądnikiem.

Tylko ten smok straszny, bies nocny, to okropne „u-huhuu"... Zły z oczyma płomiennemi, przetrząsający gąszcza niedostępne, błądzący po wrzosowiskach, po ługach błotnych, ponad źródłami i jeziorami świętemi! Już zawył straszliwiej, aniżeli zgraja wilków.

— Bóstwo jasne, przybądź, pokonaj króla ciemności, śmiertelnego wroga życia!

Potwór jaskiń nadprądnickich, mocarz ćmy nocnej, nie był taki, jak go sobie przedstawiała wyobraźnia bujna Mysikrólika poety. Wyglądał z barwy, niby odłam opoki: — podobnie jak ona—zapisany hieroglifami czarnemi na tle szarym. Spędzał dzień cały w wydrążeniach skał, albo w gąszczach liściastych, przytulony do pnia drzewa. Posępnie napuszony, zły, czy smutny, drzemie wśród jasności dnia z oczyma nawpół otwartemi, a dokoła niego wrą zgiełki życia. Usłyszał jakiś szmer w pobliżu swego leża, nastawił dwa pióropusze czarne, zdobiące mu głowę przy uszach, i zwrócił w stronę odgłosu parę oczu wielkich, okrągłych, połyskujących, jak dwa dukaty. — Eh, nic godnego uwagi nie zaszło w puszczy!

Niedźwiedź w barłogu głośniej pomruknął, kot dziki z drzewa na drzewo dał susa, odyniec zgrzybiały i marudny fuknął gniewnie na wilki natrętne, które chcą wziąć po nim w schedzie skórę i mięso, dzięcioł odłupał dziobem za duży kawałek kory, dwie wiewiórki z igraszki wyprawiają gonitwę. Szmery to zwyczajne w naszym boru.

Poprawił więc na sobie płaszcz suty, czarno pręgowany, otulił się nim tak, że tylko widać z pod szaty palce uzbrojone w szpony potężne. Pióropusze czarne opadły na łbie okazałym, zaopatrzonym w nos hakowaty, śpiczasty. Jego ślepie okropne, dziób i szpony mówią wyraźnie, że sposobem do życia jest rozbój nocny.

I znowu drzemał z oczyma nawpół przywartemi. Książę ciemności oczekuje nadejścia nocy: dopiero wtedy umie on władać.

Słońce zachodzi jaskrawo, ostatniemi promieniami żegna szczyty drzew, garby skał najwynioślejszych. Wieczornica złota wystąpiła na niebo i zda się z lubością spogląda na bory ogromne, których cienie nakrywają ziemię płachtą nocy przedwczesnej. Kukułka rzuca światu zamroczonemu dobranoc, wrony zakrakały po raz ostatni, gwar dzienny ucichł. Ćma gruba zalega parowy i wertepy między skałami, gąszcze gajów młodych. Opary białe wisiały rozpięte nad polanami, nad rzeką, jeziorem i mokradłem. Lelek na nizinach rozpoczął pracę,

nietoperz zarysował się ponad borem. W górze—niebo gwiaździste, na padołach — otchłanie ciemności.

Teraz on sposobił się do panowania: już od godziny niecierpliwie przestąpywał z nogi na nogę, drapał się szponem po szyi, układał płaszcz na sobie, ziewał, przeciągał się, a oczy zaczynały mu gorzeć jak latarnie. Z upragnieniem wyczekiwał swej pory. Ciemność i cisza przybyły nareszcie. Tylko głos świerszcza i szmer Prądnika mąciły milczenie nocy, kiedy opuścił schronienie dzienne. Najprzód zatrzepotał skrzydłami, otrząsł się na ciele, potym lekko niesłyszalnie wyleciał, i usiadł na wierzchołku skały, panującej nad doliną. Siedząc tu, wydał głos przeciągły, powtórzony przez echa boru:

U-hu-huu! — Straszliwe powitanie nocy, czy może zapowiedź jej okropności?

Wilk i ryś wyruszają na grabież, słysząc hasło. Borsuk opuszcza norę, kot z oczyma świecącemi czai się pod krzakiem, lis słuchem i węchem bada, dokąd ma iść na polowanie. Żubry i łosie rozstawiają czaty czujne. Jeleń i sarna pierzchają bez pamięci z kniei do kniei. Mieszkańcy puszczy usłyszeli dziki hymn na cześć boga Czarnego, wezwani do mordów, do przelewu krwi bezbronych czcicieli światła.

Ludzie upodobniają wołanie „u-hu-huu" do okrzyku i śmiechu czarta, a mienią powinowatym piekła tego, kto je wygłasza. Albowiem jasność i ciemność są na ziemi od początku świata, a z niemi przyroda wyznaczyła dwa rodzaje czci i czcicieli: bóstwa jasnego i czarnego.

Ptaki dzienne ocknęły się ze snu, ogarnięte zewsząd ciemnością, drżą w trwodze śmiertelnej; niektóre zupełnie straciły przytomność, uciekają naoślep, marnie giną, przepadają.

Wycie potwora nocy jest straszne, a groza jego nadzwyczajnie wzrasta, kiedy w dobie miłości dwa głosy wtórują sobie: oblubienica odpowiada na wezwanie oblubieńca. Bo on wyraźnie urąga światu, drwi z niego śmiechem biesowskim, i wyzywa do boju; ona przedrzeźnia krzyki rozpaczliwe, jęki stworzeń konających w katuszach srogich. Cóż dopiero, jeśli z temi głosami zlewa się huk wichru po jaskiniach, wycie wilków zgłodniałych, wrzaski i piski istot mordowanych!

Mroki boru są przeokropne dla tych, którzy ślepną w nocy, a przeto muszą uchem i patrzeć i słuchać. Im wrażliwsza dusza, tym większa jest trwoga. Lekko, czujnie się sypia, zwykle bez marzeń złotych o szczęściu. Strach ogromnie powiększa wszystko i ubiera w barwy bardzo czarne. Poczwary nadzwyczajne leżą naokoło, kłębią się, suną po ziemi, bujają nad ziemią, która wygląda, jak próg śmierci. A złowrogie „u-hu-huu" ciągle brzmi i brzmi po puszczy, przeraża do szpiku kości.

— Gdzieżeście wy jasne, dobre bóstwa opiekuńcze życia? Świetnie potężne przy blasku słonecznym, jesteście jako i my, bezsilne w ćmach nocy! Oko wasze nie czuwa, dłoń nas nie wspiera.

Jakże straszny jest wróg niewidzialny! Wyobraźnia nadaje mu coraz inną postać, a oczy nie mogą się z nim obyć. Słyszymy tylko nocą jego groźby i złorzeczenia, pełne nienawiści. Rano widzimy dzieła: gdzie rzucić okiem, rozlana przezeń krew powinowatych drogich, przyjaciół. Podania o nim, dzieje wróżby smoka nocy, dla dzieci światła, dochodzą do nas od wieków prastarych. Cóż nam to pomoże?...

— Królu dni jarowych, panie godów miłości, słońce najjaśniejsze, stwórz ptaka — bohatera, który przeniknie w ponure pieczary wawelu ciemności i zmoże smoka — potwora! My oto oślepieni brakiem światła, zgnębieni strachem, przykuci łańcuchem miłości do gniazd swoich, drżemy w nieprzejrzanych mrokach nocy. On widzi dobrze po przez ćmy, co się dzieje w gniazdach, szydzi z miłości naszej, z trwogi i niedoli. Ze swobodą jaskółki leci cichuchno, wpada do chat, niszczy w nich życie. Urywa głowy ptakom większym, źre ich po kęsku. Druzgocze czaszki, łamie żebra mniejszym i pochłania w całości. Pancerz kolczasty nie zdoła przed nim osłonić jeża, ani pęd szybki nie ocala zająca. Cóż my, biedne ptactwo!... On zuchwale podejmie rękawicę rzuconą przez samego króla — orła i orłu odbierze dzieci. Biada naszej puszczy, biada!

Dzień świta, światło zwycięża, wycie potwora milknie. Ptaki — niepomne, że noc czarna znowu nastąpi — śpiewają radośnie, aż się bór trzęsie. Jedna połowa życia jest szczęściem, druga — cierpieniem: obie przechodzą w wieczność i zostawiają po sobie światu—księgę dziejów.

Ranek zimowy, wczesny. Dwa bory stoją naprzeciwko: oba poważne wiekiem, milczące, podobne do gór śnieżnych, zamrożonych na wieki. Bugaj i Bohbór ich miana. Ubrały się biało na powitanie starożytnego jak świat święta słońca godów zimowych. Są to wielkie, pierwotne bory boże, które praojcowie nasi czcili ongi, a Niemcy wycinali je i budowali tam swoje Hamburgi. Do dziś dnia wycięto mnogo borów, z niemi — wiele bardzo wiele ludzi i wytępiono moc srogą stworzeń rozmaitych. Zniszczono trebiszcza bogów starych; ale ołtarze przyrody i tak trwają, ziemia pozostała i — lud w białych sukmanach.

Któżby powiedział, że ta puszcza, przyodziana całunem zimy sędziwej, ta cisza skostniała jest jednym z najważniejszych i najwięcej zamieszkałych gniazd życia ziemskiego?

Bór dlatego odbierał cześć boską, że jest wielki i tajemniczy: jak morze, niebo! Cześć mu i dzisiaj, gdyż modlitwy przodków, mogiły ich, krew przelana uświęciły tu glebę!

Między temi borami jest pole, które bartnik poganin, pierwszy osadnik, wyczynił z zapustu, pospuszczał nieciecz, i orze je i obsiewa. Pewnie jakich sto radeł udoła w ciągu dnia zryć to nowisko. Grusza dzika, drzewo olbrzymie, wyrasta wśród pola i widać z zaciosu na niej, że jest znakiem granicznym własności. Drogi rozstajne przecinają się na krzyż pod gruszą; zwierzyna głównie po nich chadza.

Śnieg walił przez noc całą, najdłuższą w roku, zadął do cna wąwozy, drogi, osady ludzkie, wysiółki, pola i lasy. Niebo przetarło się dopiero przed samym świtaniem i mróz trzaskający na dzień ścisnął.

Szkarłat tronu słonecznego ząbkiem wyziera z poza wzgórz lesistych od sławnej Wiślicy. Lekkuchne pyłki śnieżne bujają na powietrzu pod borem i cisza niczym niezamącona panuje wokoło. Z nizkości ziemskich jeszcze nie widać tarczy słońca wschodzącego; tylko wrony, wysiadujące u skraju Bohboru,-z wierzchu jodeł najśmiglejszych już chyba oglądają przecudną purpurę wschodu. Pewnie ją widzi i jastrząb, który przepędził tę noc zawieruszną w polu między lasami, na owej gruszy z zaciosem granicznym. Ptak — panosza, nieustannie żyjący na stopie wojennej, zwykle zajmuje to siadło wyniosłe. Witęź powietrzny — istny margraf na tamtych rubieżach — codziennie wymusza myto krwawe przy drogach krzyżowych.

— Biada zwyciężonym!

Jeden orzeł strąca go czasem z tego stolca, kiedy tu przyleci od garbów Karpackich.

Jastrząb jak gdyby wiedział o uroczystości dnia świtającego, zwrócił głowę ku wschodowi i okiem nieruchomym wpatrzył się w niebiosa szkarłatne, bramowane złotem.

Wtem u podnóża jodeł, na których wrony strażowały, skądś z pod śniegu strzyżyk wypadł niespodziewanie. Ptaszek maleńki — czysta grudka ziemi — rudawo szary, centkowany, z ogonkiem zadartym, cały w podrygach, jak gdyby chciał uosobić prawdę: — życie jest ruchem

Spojrzał naokoło niespokojnie, bojaźliwie, merdnął ogonkiem i zawołał:

— Czyk, czyk, czyk! „Chwalić Boga, noc przeszła, dzień na niebie!" — I potym znowu czykał ze zdziwieniem:

— Oj, jej, co też to za śnieg spadł nocy dzisiejszej!

Na bielutkiej powierzchni puchu śnieżnego drobne okruchy mchu, ziarnka jakieś widniały tu i owdzie. Malec pomknął żwawo do tej zobi, dziobnął kilka owych zczynków leśnych,

raźno derdnął raz, drugi i trzeci, podskoczył sobie wesoło, jął się pustacko trzpiotać po śniegu — jak to czynią wróble w piasku. — Widać już puścił w niepamięć mary, które go dręczyły w nocy.

— Czyk, czyk, czyk! „Doprawdy życie jest dobre!" Podrygnął, wyciągnął skrzydełko, skrobnął po nim dziobkiem parę razy: trzebaż dbać o swą powierzchowność.

Wykąpany, wygładzony, zerknął oczkiem na prawo, zerknął w górę, obrócił się w okółek, zalotnie dygnął główką, dygnął ogonkiem. Nie zrobiłby tego lepiej, gdyby nawet umiał uśmiechnąć się po ludzku. Ochoczy i szczęśliwy frunął teraz na poblizki krzak jałowcu, całkiem okryty śniegiem, i lekkutko, jak motyl, przysiadł na prątku. Tu znowu czykał z najwyższym zadowoleniem, dziobnął odrobinę śniegu i strząsnął go nieco. Wzleciał w podskokach na sam wierzchołek drzewa, napuszył pierze, spoglądał zadumany w świat i kołysał się przez chwilę. O czym też taki może myśleć?

Podniósł w stronę nieba zapłonionego oczy, wdzięcznie skinął główką: zdawał się tym pokłonem witać słońce wschodzące. Spoważniał po chwili, zmrużył oczka do połowy i — czego się można było najmniej spodziewać w tej porze roku — zaczął śpiewać głosem cichym, miłym.

Tylko nieprzeparta siła natchnienia może dziś niewolić do śpiewania. Hymn szczęścia szczerego duszy dobrej, pieśń natchniona nie leciała daleko po padołach wielkiej puszczy, spowitej w całuny śmierci. Był to jedyny głos zadowolenia z tego co jest, i może — wiary, nadziei w przyszłość lepszą.

Dźwięki radości czystej, jak szczebiot dziecięcy płynęły milutko z krtani maleńkiej, świadczyły o wzruszeniu wielkim, o natchnieniu śpiewaka. Aby czuć potężnie i wyrażać dobrze uniesienia duszy, niekoniecznie potrzeba posiadać serce o dużych wymiarach i gardło szerokie. I nie ci też na świecie śpiewają pieśni najpiękniejsze, którzy spożywają uczty sute a obfite z ciał przeróżnych nieboszczyków.

Rzeczywistość straszna rozpościera się naokoło, kto tylko żyje — cierpi, chucha w dłonie, przemyśliwa o chlebie. Niektórzy jęczą, mruczą, klną, warczą, złorzeczą dziełu stworzenia. Słychać i krakania złowieszcze:

— Jest bardzo źle, a jutro będzie jeszcze gorzej!

Tymczasem Mysikrólik, szczęśliwiec, nic sobie nie robi z zimna, z głodu, moru powszechnego, i nawet zachciewa mu się, o zgrozo, pochutnywać śpiewem wesołym.

Wrony pierwsze zwróciły na to uwagę, nastawiły uszy i słyszą wyraźnie, że pieśń brzmi tak mniej więcej: — „Choć chłodno i głodno... Ej co mi tam! Wżdy nie żyję dla żeru!"

— Do krocset, przecież to ogromnie razi!

Odrazu poczuły całą niewłaściwość zachwytów poetyckich w chwili, kiedy wypadało raczej załkać lub zawyć żałośnie. Zdziwione, ba — nawet zgorszone i oburzone — spoglądały z góry.

— Oszalał chyba, czy może wyprawia sobie z nas pożartki?... Złość ostatnia bierze na takiego lekkoducha! Należałoby skarcić swawolę dla przykładu.

One, ptaki poważne, gromadne, rozmyślają oto o przyszłości dnia całego, pieczołowicie suszą sobie głowy i już od rana zaczynają wiecować w celu rozstrzygnięcia sprawy głodowej. A ten włóczykij, łazęga jakiś, ptak ni z pierza ni z mięsa, stroi gędźby ucieszne, piska poskocznie, bęczy, jak na weselu: wyraźnie urąga im, wronom, w chwili frasunku głodowego, dolegliwości największej ze wszystkich.

— Dudo przeklęty, bodaj cię na wiosnę krogulec, albo dzierzba gąsiorek!... Bodaj ci kukułka podrzuciła w gniazdo rodzinne swe jaja!

Mysikrólik wcale nie zwracał uwagi na to, co o nim sądzą, co mówią, śpiewał dalej o chłodzie i głodzie. Ni go dziś zapały miłosne nie nagliły do pieśni, ni współzawodnictwo innych śpiewaków. Czciciel światła czuł w duszy mus nieprzeparty i śpiewał sobie, czy — słońcu.

Szczęśliwy, kto wzniesie głowę w górę i na widok szmaty jasnej błękitu niebios zapomina o powszedniej niedoli życia! Ciernie ostre żywota częstokroć ranią go bardzo boleśnie; on tym piękniej śpiewa. Wesołek natchniony, czy wieszcz z łaski Bożej?... Gdyby takich nie było w puszczy, mieszkańcy jej ugrzęźliby w błocie samolubstwa — w dbałości niewstrzemięźliwej o kęs chleba powszedniego — i zapomnieliby, że niebo przecudne jest nad niemi: żądza tuszy, dobrobytu rozpięłaby ducha na krzyżu.

Śpiewaj więc, Mysikróliku, o śpiewaj, chociaż oburzają się za to na ciebie!

Babie lato już dawno minęło, i baby, niby okruchy djamentowe, błyszczą na zimowym niebie nocy. Świat żywy ma oblicze posępne, bardzo surowe, na którym można wyczytać: „Wszelkie złe pochodzi z głodu i zimna". Każdy namiętnie ugania się za żerem: rozbija, kradnie, w milczeniu spożywa skwapliwie tak zwane dary boże.

Jasne bóstwa jaru i lata odeszły na twardy sen zimowy. Inne potęgi zajęły ich miejsce i władają: nie miłość, nie dobroć przez nie przemawia.

Martwota, ciemności — z każdym dniem większe — kładły się na ziemię nieustannie odzieraną z wdzięków przez dżdże, wichry, mrozy. Liczymy dni pochmurne, a nocy czarne.

Nareszcie przyroda zgołościała zupełnie, przyoblekła posępne barwy żałoby. Ziemia, matusia — rzekłbyś nieboszczka skostniała — leży na marach i oczekuje pogrzebu. Księżyc, król pory, przenika zimnym swym światłem w puszcze dziewicze, wskazuje drogę pątnikom zabłąkanym, zbójcom i wilkom wygłodzonym. Oświeca mogiły śpiących snem nieprzespanym przodków, praprzodków. Żyły tu ongi wielgo-ludy takie, co to jeden drugiemu poprzez Wisłę podawał siekierę. Żyły na ziemi z niemi i wielgo-zwierze i wielgo-ptaki.

Zima! Widma ponure, złośliwe, wałęsają się po świecie w nocy ciemne, — błądnice, strzygi, upiory, wilkołaki. Dziwy złowrogie strapień i nieszczęścia, wieszcząc niedolę, jęczą po lasach u szczytów jodeł, świerków i cisów. Bożec boru straszliwy, potworny, wściekle szaleje nocami, huczy, rży, gwiżdże, klaska, bierze się za bary z dębami wiekowemi, skręca je, łamie, pozbawia konarów. A znowu w nocy pogodne, mroźne, gwiaździste Dziwica, ksieni księżycowa, przedziwnie urodziwa, lecz w spojrzeniu okropnie groźna, uzbrojona w łuk i strzały, goni z psami przez knieje, pędzi przed sobą raz stado żubrów wylękłych, to znowu — łosie, dziki, jelenie. Las grzmi wtedy jak burza, trzęsie się w posadach swoich. Dachy śniegu walą się wśród trzasku, łomotu z drzew olbrzymich, miażdżą krzewiny i drzewstwo pomniejsze. Ryki niedźwiedzi przerażonych, wycie zgrai wilków, hukanie smoka — puchacza wótrują tym łowom dzikim. Biada temu łowcy, który wejdzie w drogę bogini Dziwicy, groźnej pani księżyca!

Moc niezliczonych biesów czarnych i szarych przebiega ziemię, straszy, nęka wszystkie istoty żywe. Ach, bo niema światła i ciepła—dwuch potęg cudownych, które tworzą i utrzymują życie!

„Śmierć wije się po płotu", wyprawia duchy ludzkie po drodze mlecznej na ów ostrów szczęścia wiecznego, gdzie bytują dusze umarłych pradziadów od wieków najdawniejszych — i dusze dzieci mających się narodzić. „Niemiec już tam nie rozkazuje!" — mówią skąpani w krwi ludzie z nad Łaby. - Po chatach baby stare czynią wróżby: znaczą mnogie kreski na popiele, potym obliczają — cetno, czy licho. Zwykle wypada im licho — nieszczęście. Ileż zgryzot przedwczesnych z tego powodu!

— Niezawodnie — głód, mór, lub wojna!

Inni prawią przy kądzieli baśni o krasnych ludkach, o boginkach, smokach, wilach, dziwożonach. Ktoś nawet przebą-

kiwa — o wieści pożądana — jakoby tu, na naszym Bugaju, już się w tajemnicy zjawiło jasne bóstwo jaru. Dzieci z zachwytem patrzą na wróżby, z wiarą wysłuchują baśni, które są mlekiem duszy.

Czas tak przemijał, i oto dziś nadszedł dzień, w którym słońce dobiega kresu najniższego: teraz przystanie, pocznie podbijać państwo czarnego, zwyciężać jego wojska i wznosić się na niebie tryumfalnie, a nas ziemian — darzyć weselem. Mamy dzisiaj gody zimowe, te sławne „gody, co to robią wino z wody".

Dzień uroczysty zaświtał i właśnie w jego „wieczór szczodry" przypada święto urodzin słońca młodego na niebie. Wraz z gwiazdą wieczorną wstąpi nadzieja w dusze strapione. Ludzie zaścielą stoły sianem.

— Panie, daj łąkom naszym pokosy bogate!

Zastawią misy z różnemi płodami roli: z pszenicą, grochem, bobem, makiem. Nie zabraknie i miodu. Przed ucztą będą się łamali skibką chleba i jedni drugim wyrażają życzenia szczęścia „siego lata". Smerd, rataj, służebny jest dzisiaj za pan brat z panem ojcem i z jego czeladzią-rodziną. Przypuszcza do ogniska i tego, kto w imię gościnności przekroczy kołowrót osady, choćby to nawet żyd był kupczący niewolnikiem. Ej, gość rzadko kiedy nawiedza nasze puszcze między Nidą, Przemszą Czarną, między Wisłą i źródłami Pilicy. Czasem, czasem człowiek od Gniezna, od Kruszwicy, od tych, co siedzą na Kujawach, na Mazowach, na Łąkach nadbzużańskich, zabłądzi tu w drodze do Krakowa: pątnik pobożny, prasoł, lub goniący za kupią.

Szczodry wieczór! Bydło w oborze, i pies, i kogut, i gąsior pożywią się szczątkami uczty: boć i to czeladź gospodarska. Dziewki zaśpiewają chórem pieśni, umają gaik w jabłka i orzechy, zawieszą u powały.

Tymczasem rano o świcie — zimno i głodno w puszczy. O zimno! Niema się chęci najmniejszej do podniesienia skrzydeł: mróz natychmiast wtargnie pod pachy wygrzane, wszyje się pod skórę, przejmie nawskroś do szpiku kości. Głodno! Śnieg już od dawna pokrył ziemię, utworzył skorupę lodowatą, grubą i twardą. Nieszczęście ostatnie tych wszystkich, którzy muszą wygrzebywać obrok powszedni życia z pod powłoki zlodowaciałej! Śmierć wije się po płotu.

Człowiek ma zapasy w komorach, był przezorny i może suto obchodzić gody zimowe, wyprawiać sobie wieczory szczodre, składać bogom objaty. Szczęśliwe i zwierzęta, przesypiające tę okropną porę mrozów, głodów zabójczych! Stokroć szczęśliwe są ptaki, które w przewidywaniu mądrym czasów niedoli

odleciały na wyraj do krain bogatych, ciepłych. Nas miłość ojczyzny więzami spięła, przywiązała do ziemi i — dzieci puszczy — cierpiemy srogo za swe uczucia. Trudno, matka — ziemia i ojciec — słońce nie użala się nad naszą nędzą! Ci rodzice nigdy nie rozpieszczają swego potomstwa.

— Daliśmy wam wychowanie dobre — mądrości tyle, ile potrzeba, radźcież sobie! Zresztą, macie drogę otwartą do udoskonalenia się o własnych siłach.

Pasibrzuchy zbytecznie roztyłe wśród wygód są wstrętne dla przyrody, która lubi wdzięk pracy dzielnej i skazuje na zagładę niewieściuchów tłustych, wyrodniałych. Rodzice dobrzy wychowują nas w kierunku rozwoju sił duchowych, jedynie uszlachetniających każdy gatunek. Głupcy i gnuśni niech przepadną! Drapieżnicy, podług istoty swojej, są to surowi mistrze rozumu i dzielności: bez nich, nie byłoby na świecie mysikrólików. Takie dzieło chowu idzie naprzód od wieków, a każdy dzień, każda chwila, dorzuca do skarbca perłę nową. Używamy rozkoszy tylko dlatego, że doświadczamy dolegliwości życia i ciągle walczymy z niemi. Szczęście szlachetne jest tryumfem jednostki mężnej; ale drogą do szczęścia jest cierpienie i walka. Jeżeli zaś ten i ów ginie, to jednak nic nie ubywa pod słońcem, a tylko zmiana na lepsze postępuje.

Spójrzmy na życie i jego zapasy w dzień godów zimowych! Jastrząb, samotnik dziki i nietowarzyski, siedzi obwyż na gruszy — sam sobie wystarcza. Żarłoczny, chciwy, nawet nienasycony, zachowuje spokój stateczny i z krwą zimną rozpatruje okolicę, chociaż od trzech dni pości: umie panować nad sobą ten łowca potężny. Inaczej zachowują się wrony, które właśnie siedzą na jodłach u skraju Bohboru — motłoch krewki, krzykliwy, zawzięcie sejmikujący. Kręcą się niecierpliwie na gałęziach, a płeć żeńska stroi miny dziwne i oczyma daje samcom jak najwyraźniej do zrozumienia:

— Od czegoż wy jesteście, głowy rodzin, żupanowie gromad, wodzowie drużyn wronich? Głód targa nasze wnętrza, kruczy nam w trzewach! Niechże się przecie który z was ruszy, przepatrzy co, gdzie i jak jest na świecie! Widzicie, że słońce zapowiada dzisiaj przyszłą porę miłości małżeńskiej, budowy gniazd rodzinnych, rozpłodu potomstwa... Maćki jakieś, wyskoczże przecie który! Jeżeli my, narzeczone i żony, połowice wasze, jeszcze przed jarem pomrzemy z głodu, albo znędzniejemy, to któż będzie znosił jaja przyszłości? Wstydźcie się tego, że płeć piękna musi wam przypominać obowiązki najzwyczajniejsze!

Takie pokrakiwania i nieustanne wiercenie się na drzewach rzeszy gminowładnej oddawna nosi nazwę wiecu.

Uchwała sejmowa zapadła widać, gdyż oczy wszystkich wron spoczęły na samcu, którego gromada powoływała, aby działał w jej imieniu i dla jej dobra. Naturalnie, oceniano dobrą głowę wybrańca i przeto dano mu do zrozumienia:

— Mężu zaufania, idź w świat, zbawiaj rzeczpospolitą, najsławniejszą w świecie! My poczekamy tutaj na skutki twej wyprawy i, skoro tylko obwieścisz hasło umówione, w lot pośpieszymy do żeru gotowego lub, jeśli zajdzie potrzeba, przybędziemy, ażeby działać zbiorowo.

W ten sposób załatwiono część pierwszą sprawy głodowej. Na zwiady wypchnięto wrońca—mądralę, kmiecia—wygę, który zasłynął z obrotności i roztropności życiowej: był to jeden z takich, co się o nich mawia:

— Słyszy, jak trawa rośnie i wie, gdzie raki zimują! — Głowacz niepospolity, mąż stanu zawołany, ogromnie biegły w rozbieraniu wszelkich zawiłych spraw wewnętrznych i zewnętrznych. Przedewszystkim wybornie odróżniał kij w rękach ludzkich od każdego oręża zabójczego dla ptaków. Następnie odgadywał na rzut oka wszelką złobę skrytych zamiarów człowieka i nigdy, przenigdy nie dałby się omamić pozorom jakiejś udanej dobroduszności. Przytym posiadał sąd bardzo zdrowy o rzeczach, który go wiódł zawsze najprostszą drogą do żeru. Mistrz istny, kiedy szło o zmylenie czujności matki—gęsi, lub kwoki—kury, jednocześnie odznaczał się bezczelnością i takim zuchwalstwem, że wydzierał psu z gardła kawałki padliny! Jako złodzieja bezwstydnego znały go po siołach psy, kury, wróble, sroki, dzierlatki i wogóle wszystkie zwierzęta, które w kupach śmieci poszukują kęsa chleba. Wieki czekały, aby się urodził taki wrono — bohater.

Co prawda, jest to osobnik niezbyt godny zaufania gromady; ale w rzeczypospolitej wron „uczciwy" znaczy tyle, co „głupi". Należy dodać, że swój wybór na wiecu zawdzięcza on najgłówniej stronnictwu samic, ponieważ—*suum cuique*—ma to być skarb nieoceniony, jako małżonek i ojciec rodziny. Dobro gromady leżało mu na sercu o tyle, o ile mógł przy nim zadowolić cele samolubne, upiec — jak się mówi — własną pieczeń.

Ten to prowodyr, zaszczycony wyborem swojaków, co tchu otrząsł śnieg ze skrzydeł i poleciał ku ludzkiej osadzie bartników na Bugaju.

— Gdzie tylko przebywa skrzętny człowiek, tam zawsze można znaleźć jaki ochłap.

Leciał, a rozumował po drodze i w cichości ducha rozwijał swoje pomysły znakomicie.

— Przecież to jest niepodobieństwo czyste, ażeby podczas zimy tak ciężkiej nie zdechł gdzieś jaki baran chorowity, albo—szkapa dychawiczna.. Czuję, że wkrótce dusza moja się rozraduje.

Leciał, a nic nie uchodziło jego uwagi: ciągle kręcił głową mądrą, zwracał oczy już na dół, już na prawo, na lewo; łeb chodził mu jak na zawiasach.

A wrony, pozostałe na skraju Bohboru, głodne, skostniałe od mrozu, spoglądały za nim z wiarą i niejaką dumą narodową.

— Śmiało możemy polegać na takim pośle. Bestja—nadzwyczajnie zdolny! Prawdziwie z naszych! Tylko słuchać jak na nas krzyknie:—„Źreć, źreć, źreć!"

Mróz piekący naglił różne ptactwo do przetarcia oczu ze snu i niewolił je do ruchu tymbardziej, że każdemu chodziło o śniadanie. Praca dzienna, mozolna, zaczęła się więc na dobre i puszcza, ojczyzna nasza, wyglądała, jak miska, z której każdy wydobywa jakiś kąsek pożywny.

Strzyżyk sam jeden śpiewał, nie zważając na to, że ptaki zajęte żerem powtarzały wokoło:

— Mysikróliku, marzycielu głupi!

Dzięcioł opuścił schronienie nocne w dziupli, wydał krzyk podobny do śmiechu ludzkiego i już myka naokolusieńko po pniach omszonych. Ptak to pracowity, sprężysty, przysadkowaty, ogromnie tęgi w karku, w barach, łbie, a równie tęgi w ogonie. Towarzyszy mu nieodstępnie liczna drużyna głodomorków drobnego kalibru, hołota wielce piskliwa, ciągle utyskująca: pełzacze, sikory bogate, ubogie, modre ogonatki i bargiełki. Wszystkie ze zwinnością właściwą łuszczybochenkom porywają kąski z przed nosa dzięcioła. Wiercipięty próżniackie precz udają, że i one rzekomo biorą udział w robocie poszukiwania środków do życia, a są czynne tylko w zjadaniu. Kowal, poczciwiec, cierpliwie i pobłażliwie znosi tych natrętów uprzykrzonych, kuje nieustannie, odkrywa coraz nowe źródła pożywienia i z głową zawsze wzniesioną do góry pomyka dalej. Nikt w boru nie pracuje na chleb tak ciężko, jak dzięcioł. Musi, skoro inni wydzierają mu owoce pracy. Taki, bez marzeń spać się kładzie, i żadne widma nie zatruwają mu spoczynku sennego. Niewolnik skazany na pracę nałogową dla żołądka.

Ptaki zaniepokoiły się na chwilę, spojrzały trwożliwie ku gęstwinie. Bo sujka pierzchnęła w gąszczach z wrzaskiem przeraźliwym, natrzęsła z drzew śniegu, narobiła zgiełku.

— Niema się czego bać tak dalece! Znamy cię udawaczko! Chcesz łowić ryby w mętnej wodzie, urwać łeb takiemu, co się zlęknie twego wrzasku i zgłupieje?... Powszechnie

wiadomo, o co chodzi siostrzycy wrony i sroki. Jeden gawron poczciwy wyrodził się w tej rodzinie, skalanej przewrotnością, oszustwem, skrytobójstwem.

Gil na tle śnieżnobiałym boru wygląda jak skrawek nieba zaognionego. Napuszony, w kłobuczku z aksamitu czarnego, siedzi na sęczku i pogwizduje tęskno, płaczliwie i uczuciowo. On zawsze taki rozrzewniony, tkliwy, zbolały. Nawet w dniu swoich zaślubin piskał bardzo żałośliwie, jak gdyby chciał do łez pobudzić swoją narzeczoną. W każdej chwili życia jakiś gwóźdź bolesny rani serce gila: już to wspomina sobie przyjaciela, którego przed rokiem krogulec oskubał i pożarł, już — żonę pierwszą, chociaż na wiosnę ożenił się po raz trzeci, to znowu opłakuje smutne losy synów, córek, braci. Dusza dobra, cygan, gotów dla przyjaźni dać się powiesić. Cóż, kiedy za dużo, za często płacze!

Jemiołuszka jedwabniczek, gość z północy dalekiej, nowak w naszej puszczy, przysiadł na szczycie dębu, obraca na wsze strony głowę z czubkiem pięknym, a w jego wzroku maluje się zdziwienie i rozczarowanie.

— Więc to jest wasza przesławiona Słowiańszczyzna?... Myślałem, że lecę do ziemi obiecanej, a tu widzę, istna Syberja! W mojej ojczyźnie przynajmniej zorza północna świeci nocną porą.

Zwyczajnie, taki pątnik Bóg wie co sobie wyobrażał:

— Tam pewnie jest raj, gdzie nawet mleka ptasiego nie zbraknie!

I biedak doznał zawodu.

Właśnie sroka krajowiec widzi to zafrasowanie cudzoziemca i podlatuje z sęka na sęk, z gałęzi na gałąź, merda ogonkiem nadzwyczajnie uprzejmie, a wyraźnie ma na języku te słowa:

— Czym waszeci mogę służyć? Jestem ptak międzynarodowy, nie pogardzam żadną pracą! Umiem być pośrednikiem, stręczycielem, towarzyszem przyjemnym, przewodnikiem pewnym — do usług waszej miłości!

Rzecz prosta, jest to obłuda, chęć zamotania oczu w celu wyprowadzenia w pole przybysza, nieświadomego zwyczajów miejscowych. Dobrze wiadomo, że każdy obcy w kraju cudzym nie czuje pod stopami oparcia pewnego, i jedwabniczek niezawodnie zginie, jeśli się rzuci w objęcia sroki sprosnej. Potym z takich przypadków sława zła w świat idzie:

— U nich tam nad Prądnikiem zjadają cudzoziemców!

Na szczęście dobry duch boru ostrzega:

— Czyk, czyk, czyk! „Kto żyw, strzeż się sroki!"

Odgłosy pracy na chleb powszedni, skargi, utyskiwania na czasy ciężkie dają się słyszeć w puszczy coraz wyraźniej.

Stuletni wieszczek nieszczęść przerozmaitych, kruk, już po trzykroć zakrakał, rzucił światu wróżbę doli jeszcze nędzniejszej.

— Przekleństwo! Przekleństwo!

Okropność, jak brzmi „rra" w ustach tego ptaka straszliwie czarnego!... Pewnie przylata z pola bitew, okarmiony ciałami poległych i łzy nam wieszczy.

A poseł wron głodnych, lecąc obacznie, zdaleka obegnał gruszę dziką, gdzie jastrząb posępny czynił spostrzeżenia nad swoim ujazdem.

— Zwodnik sprosny, gwałtownik rozterkliwy pokoju pospolitego, jak on się umie przyczajać! Ee, nie mnie ćwika, brać na zasadzki, na przysiadki myśliwskie! Gdyby mię głód nie naglił do pośpiechu, krzyknąłbym na swoich, aby cię wykurzyli z tej gruszy.

Napiął się, wzleciał wyżej w podniebie, sięgnął wzrokiem precz poza kresy panowania jastrzębia. Pędził dalej z tym pośpiechem gorączkowym, z jakim wrony wygłodzone lecą zawsze od borów w poranki zimowe. Wtym ujrzał w oddaleniu jakiś przedmiot ruchomy, plamę ciemną migającą na olśniewająco białym prześcieradle śniegów.

— Jeśli mnie wzrok nie myli, jest to czworonóg... Miałem przeczucie dobre, że gdzieś tu znajdę kąsek pożywny... Kiż djabeł — zając, nie zając? Zając i to widocznie zraniony! Przewybornie! Bogowie mądrzy i dobrzy stworzyli zajączka słabego, ażeby zapewnić wronom zdobycz łatwą, a pokarm smaczny.

Słońce stoi na niebie jeszcze bardzo nizko dla patrzących z poziomu. Jego tarcza jaskrawa, płomiennie rozpalona, leży na brzegu widnokręgu, łuną krwawi wokoło obłoki i złoci ubielone śniegiem wierzchołki drzew puszczy. Właśnie pod tę porę, zajączek ten pochuchrany, starzany, okrutnie zbiedzony, brnął przez zaspy na polu, niedołężnie wyciągał skoki spracowane i utykał jakby chromy.

— Psiakrew, to ci mój los zajęczy!

Chadzał za chlebem w tę noc burzliwą, i szczęście mu nie dopisało. Oj, bo też to była noc piekielna! Ludzie twardo spali w swych chyżach darnem krytych, a do cna śniegiem zasypanych; śnili o biesach, wyprawiających psoty srogie w tę noc ostatnią swego panowania na ziemi zlodowaciałej. A tu wilki gromadnie wtargnęły do osady bartników na Bugaju, obległy tam chlewy, zdobyły szturmem wieprza, kozła, krowę, rozszarpały psa niejednego. Lis znowu dobrał się do ptaków do-

mowych, wydusił je, wyniósł. Dziki rozburzyły brogi prosa. Niedźwiedź złupił barci. Kiedy głód, to i wojna.

My, dzieci puszczy, drżeliśmy ze strachu. Bo ludzie—bohaterowie, Wyrwidąb i Waligóra, potomkowie wygasłych wielgoludów, wypowiedzieli wojnę bogu leśnemu w dolinie Prądnika. Gdyby sam Pęrun zstąpił z nieba na ziemię, nie sprawiłby wrzawy większej.

Smok, nasz wróg śmiertelny, wył okropnie, przelewał krew i panował. Każdy syn ciemności rad łowił kiełby w tej wodzie mętnej. Trzeba to przypisać chyba wielkiej łasce bogów krajowych, może opiece Wandy, że puszcza nie zapadła się dzisiaj w otchłanie.

Otóż, ów zając, chudziec nędzny, poszedł na robotę w taką zawieruchę, spracował się setnie i miasto pożytku, zyskał guzy bolesne. Może go jaki kondel, ordyniec gruby, niewolnik człowieka, dopadł i skrzywdził. Może miał przeprawę z lisem podstępnym z kitą i tylko przypadkiem uniósł duszę w skórze podziurawionej jak sito. A może się urwał z wnyka, tej strasznej dusienicy zajęczej.

— Ojcze słońce, miej litość nad nędzarzem — zającem!

Biedak czuje w sobie upad sił, cierpi widać ciężko i dawa folgę skokom. Usiłuje jakbądź przekołatać się od Bugaju do Bohboru, do swojej leży rodzinnej, aby tam wylizać, wygoić rany odebrane w boju o życie. Czyż słabi mają zawsze ginąć?... On sobie myśli w duszy:

— Jeżeli mię śmierć zdejmie ze świata, to przynajmniej— na ziemi ojczystej, w kotlinie ukochanej! Tam, w kącie ciemnym, milej mi jest płakać i cierpieć, niż gdzieindziej używać i pękać od śmiechu.

Ale goniec wron, oprawca plugawy, jadowity, już spostrzegł zająca charlaka i — dalejże do niego.

— U tego zdechlaka, widzę, dusza na wylocie! Smyka się, z ledwością pełza po śniegu, jakby kołem tłuczony: znać po nim mnogie uciski na ciele i na duszy. Ogromnie lubię dobijać takich niedołęgów, którzy są jedną nogą już na tamtym świecie... Ma się zasługę, wyzwalając dusze zgorzkniałe, smętne, z lepianek cielesnych, które stoją w gruzach ostatnich. Dobić męczennika — jest to łaska szlachetnego!

Zdrajca tak myślał w głębi duszy czarnej, a nie wydał okrzyku, nie wygłosił hasła, oczekiwanego z takim upragnieniem przez ziomków zgłodniałych!

— Przecież spełniam służbę publiczną, jestem przedstawicielem sławnej rzeczypospolitej, a nie dostałem ani grosza strawnego. Przytym, cóż znaczy jeden zajączek na tuzin głod-

nych żołądków wronich? Rozdziobią to to po kąsku drobnym i wszyscy będą niezadowoleni. Niesnaski, wojny domowe mogą łatwo stąd powstać, rozedrzeć nasze społeczeństwo. O znam ja dobrze swoją drużynę wronią! Sobkostwo tego gminu wyzyskuje dzielność i zdolności umysłowe jednostki. Uczynili ze mnie rękę społeczną, chcą, ażebym się na czczo narażał dla dobra ogółu: oszukiwał na ich korzyść, kradł, rozbijał w razie potrzeby, i za to wszystko odbijaj gardłem! Potym w nagrodę za dzieła dokonane — jeżeli się przedtym wymigam od szubienicy — będę używał nazwy ojca ojczyzny. Ależ moja osoba przedewszystkim ma wartość dla mnie samego i uważam za pierwszy swój obowiązek dbać o głowę myślącą, którą noszę na swoim własnym karku. Niech ci się, luba ojczyzno, nie zdaje, że to jest twoja głowa!... Ja muszę się najeść, aby rzeczpospolita miała myśliciela sytego!

W ten sposób rozumował i powtórzył sobie samemu po cichu hasło wronie:

— Żreć, żreć, żreć! — Co może brzmieć również:

— Kraść, kraść, kraść! — A dodał z szyderstwem:

— Na tym stoi rzeczpospolita!

Mądry w żarłoczności swojej, spadł na pole z wielkim rozmachem skrzydeł. Pchany chucią pożerania, wpatrzył się pożądliwie w ciało zająca schorzałego, łykał ślinkę i szedł pieszo na jego spotkanie. Ciało wrońca wahało się na podobieństwo kaczki, a dziób wystawiony naprzód godził widocznie w jakiś punkt upatrzony.

— Bóstwo jasności, czyż zając musi ginąć dlatego, że jest słaby, biedny i — żarłoczność nań czyha?

Szarak przystanął na widok wroga i przycupnął: może chciał zachwycić tchu, może się zastanawiał, a może zląkł się i zgłupiał ze strachu. Dopieroż napastnik poskoczy, bieży co tchu w derdy na jednej nodze. Zmierzał prosto do ofiary, knując w duszy zamiar podły wsadzenia jej dziobiska grubego w ślepie szeroko wytrzeszczone.

— Rozum nakazuje mi przedewszystkim oślepić tego słabaka, a potym...

Nędznik, gdybyż przynajmniej zamierzał to zrobić *pro publico bono!*

Zaweźmie się bitwa. Przy pierwszym starciu wyszło na jaw, że i zając nie w ciemię bity, umie sobie radzić w niebezpieczeństwie.

— O słońce, ty i najsłabszym z dzieci swoich użyczasz oręża obrony!

Napadnięty natychmiast stanął słupka i skokami przedniemi sprawnie odbił natarcie napastnika, obrócił wniwecz jego

zamach na trzeszcze. Cóż z tego, kiedy postawa słupkowa odsłoniła inne znowu słabe miejsca ciała. Dziób silny wroga sięgnął teraz do podbrzusza i stamtąd, jakby kleszczami, wyrwał garść turzycy białej, którą wyrzucił w powietrze.

Zając ugodzony dotkliwie wykształcił mruk ponury:

— Prr... prru!—Szybko poruszał wargą górną i wąsami— zupełnie tak, jak człowiek, kiedy mu się na płacz zbiera. Chciał uniknąć ciosu powtórnego, przeto zebrał się w kupę, zwinął, odsadził i w mgnieniu oka wyciął w powietrze susa potężnego. Teraz już bez pamięci pomykał wśród kurzawy śniegu sypkiego jak piasek, położywszy słuchy po sobie. Kalectwo zabrało mu było siły, przestrach je powrócił.

Jednak wroniec już był dotknął dziobem, a może i językiem, ciała ciepłego, poczuł w sobie żądzę namiętną żarłoczności, chłeptania krwi żywej. I w takiej chwili właśnie zdobycz mu się wymykała...

— O nie, z pod ziemi go wygrzebię, jeśli na to przyjdzie!...

Uderzył w skrzydła, leciał ponad grzbietem szaraka, ciągle go podskubywał i grzmocił dziobem po głowie. Opuścił się na ziemię, zaskoczył nieszczęśliwcowi drogę, znowu nastawił swój oszczep, znowu na piechotę nękał chudziaka! Teraz spotkał opór, zacietrzewił się, wpadł w szał popędliwości. Rozjuszony, napierany przez żądzę żeru, zadawał ciosy coraz namiętniej i coraz boleśniejsze. Zając, doprowadzony do rozpaczy, jął kniazić, wrzeszczeć w niebogłosy:

— Litości, litości!

Ojciec — słońce patrzy i milczy, matka — ziemia ze snu zimowego nie ocknie się na wezwanie zająca.

Podczas tego jastrząb siedział poważnie na swym wyszogradzie, wpatrywał się w okolicę, wsłuchiwał w jej szmery.

— Baczność, jakieś odgłosy wojenne dolatują do moich uszu!...

Zawsze spokojny, milczący, rozwinął skrzydła potężne, wzleciał i z wysokości badał oblicznie przyczynę zgiełków. Przystanął w powietrzu oblany światłem różowego słońca wschodzącego i wkrótce już wiedział wszystko. Ma się rozumieć, że napad wrony na zająca jest i zniewagą i krzywdą pana ujazdu. Więc szparko popłynął szlakiem górnym w kierunku najechanych granic.

— Prawo łupieży skóry zajęczej w tym państwie do mnie należy!

Gniewny dotarł i z szybkością wartkiej strzały rzucił się na kark szaraka. Ale chybił celu: bo zając właśnie w tejże samej chwili wyciął szczupaka, skoczył po nad głową wrony

i... poszedł. Drapieżnik władny wpadł na poboiszcze, zasłane kłakami zajęczemi i tu spotkał się oko w oko z wrońcem. Wzniósł skrzydła, wyciągnął szyję, a straszne jego oczy rzucały pioruny gniewu, buty zuchwałej, wzgardy dla przeciwnika. Rzeźbić go i nie podpisywać: — „Siła jest prawem moim!"

Zawrzał burzą gniewu strasznego na widok tej wrony, zawsze natrętnej, wrzaskliwej, a nigdy niezdolnej stawić czoła w boju otwartym.

— Wara ci kokoszyć się w moim domu! — syknął, piorunując wzrokiem posła wron wystraszonego. Bo skok szalony zająca i spadek jastrzębia odbyły się jednocześnie tak, że wroniec — zwykle mądry — zgłupiał, widząc przed sobą ptaka groźnego, miasto czworonoga, który się trząsł ze strachu. Odskoczył też natychmiast jak oparzony, z miejsca strzelił w górę prostopadle i wrzasnął przeraźliwie:

— Strach, strach, strach!

Hasło to poleciało do Bohboru, niby głos dzwonu na trwogę, czy wici pospolitego ruszenia. Wszystko to było dziełem jednej chwilki, stało się w czasie daleko krótszym, niż trwa opowiadanie.

Teraz jastrząb wzleciał lekko, opisał wrońca kołem szerokim i wzbijał się coraz wyżej. Robił to z taką swobodą przedziwną, jak gdyby chciał tylko poigrać, napędzić strachu wronie, ciągle jeszcze powrzaskującej.

Szarak — rzecz prosta korzystał tymczasem ze zdarze wziął nogi za pas i bez względu na kalectwo — rączo śmigał ku kniei. Biedactwo, nie spodziewał się, że wpadnie z deszczu pod okap!... Wrony na wezwanie swego wódzcy najprzód odpowiedziały wrzaskiem, którego echa wstrząsnęły borem; potym porwały się z wielkim łopotem skrzydeł i, rozpierzchłe po dwie, po trzy, leciały na wyścigi w stronę Bugaju. Naraz zoczyły po drodze zmykającego zająca i w tej chwili zapomniały o swojaku, wzywającym je co tchu na pomoc.

— Głodni nie mają żadnych obowiązków, dopóki się przedtym nie nasycą.

Cała czerń chciwa żeru w mgnieniu oka spadła na pole. Obyczajem tatarskim opasały szaraka obręczą, wzięły go w środek, i dopiero, podskakując raźno, szły nań z nastawionemi włóczniami dziobów.

— Musisz zginąć nędzarzu!

On już teraz ustawał i zdrętwiał na widok tylu wrogów.—Spostrzegł to jastrząb, mocarz, który doskonale rozumie, że nietykalność granic stanowi u ptaków od stworzenia świata podstawę prawa międzynarodowego. Bez zwłoki czasu zaniechał igraszki wyścigowej z wrońcem, a rzucił się całą siłą

swych wioseł w stronę, gdzie śmierć męczeńska zaglądała zającowi w trzeszcze. Wnet, niby napowietrzny korab wojenny, zawisł nad karkami zgrai zgłodniałej i zdawał się grozić z góry:

— Dam ja wam!

Krzyk straszny powstał, popłoch niewypowiedziany. Strach pokonał żądzę żeru i wszystkie wrony, jak jedna, wyleciały w powietrze, uderzyły na wroga wśród okrzyków:

— O-ha, o-ha!

Wrzeszczą, rzekomo dopadają do jego karku; żadna jednak nie śmie należycie natrzeć. Otoczony przez czerń rozwydrzoną, spokojnie płynął w powietrzu: znać lwa po pazurach! Był pewny siebie, dobrze wiedział, że wrony nigdy nie zmogą jastrzębia. Czasem wykonał jakiś ruch nadzwyczajny, wprawiający nieprzyjaciół w zdumienie; czasem wyciął tęgiego kułaka temu, który się zanadto zbliżał.

Nareszcie sprzykrzyły mu się widać takie harce i powrócił do gruszy, usiadł z krwią zimną na gałęzi.

— Walczy się tylko dla korzyści albo — dla sławy.

Teraz wrony uderzyły do odwrotu i, krakając pieśń zwycięstwa, co żywo pognały za szarakiem niedobitkiem, którego sroki sprosne już opodały pod borem. Zamierzały skończyć dzieło rozpoczęte. Jastrząb natychmiast zrozumiał, o co chodzi czarnym wrzaskulom. A że mniemał zająca za swą własność wyłączną i niezaprzeczoną, więc postanowił znowu wystąpić przeciw bezprawiu.

— Mnie jednemu prawo przysłuża! Ja tutaj panem i tylko ja go zjem albo — nikt.

Poleciał w skok, zagroził przywłaszczycielom, natarł, ile sił stało. A tak się był zawziął w obronie tej sprawy słusznej, że wydarł ogon sroce najzuchwalszej i podskubał rzetelnie dwie wrony. Rozlał krew winowatą, i dumny, spokojny, odprowadzony przez zgiełkliwy motłoch, powrócił na swoje siodło.

— Słońce, ty stwarzasz niedolę słabych, ale sprawiasz, że wojny mocnych dają słabym ocalenie! W twojej dłoni orężem na mocnych są jeszcze mocniejsi, którzy nie ostoją się przed najmocniejszemi. I zając biedny z jedną nadzieją w Bodze może wyżyć pod twym panowaniem.

Przeto najsłabszy z ptaków, któremu jest miano Mysikrólik, śpiewa słońcu pieśń zaranną, oddaje mu swą duszę na całopalenie.

JÓZEF BLIZIŃSKI.

Urodzony w Warszawie 1827, zmarł w Krakowie 1893. Bystry obserwator życia, i w sztukach swoich nie pochlebiał nikomu, ostro karcił wady zarówno warstwy szlacheckiej, którą znał dobrze, jak i dorobkiewiczów miejskich, sympatją całą obdarzając natury nieskomplikowane, z gruntu zacne i poczciwe *(Pan Damazy, Dzika różyczka)*. Dowcip ma szlachecki, niewyszukany, pod nim ukrywa się głęboka troska o dobro społeczeństwa. Na repertuarze utrzymał się: *Marcowy kawaler, Pan Damazy* (1877), *Rozbitki* (1881), *Dzika różyczka*.

Charakterystyka: *P. Chmielowski*: Nasza literatura dramatyczna — t. II.

Pan Damazy.

(Komedja w czterech aktach).

AKT II. Scena V.

SEWERYN, MAŃKA, TYKALSKA, REJENT, potym JAN.

TYKALSKA *(z pończochą, do Seweryna żartobliwie, zastępując mu drogę)*. No, no, no, czegóżeś się tak zaczypurzył... zaczekajno!...

SEWERYN *(opryskliwie)*. O! dajże mi ciotka pokój *(wychodzi)*.

TYKALSKA. Co to, Mańka aż padła na ziemię, co się to tu porobiło?...

REJENT *(n. s.)*. Zaczynają się skandaliczne sceny; to dobrze....

TYKALSKA *(podnosząc ją)*. Manieczko, co ci? czyś ty zasłabła?

MAŃKA *(śmiejąc się z wysileniem)*. Ha, ha, ha,... nie!

TYKALSKA. A czegóż klęczysz?... Czyście się tu przemówili?...

MAŃKA *(j. w.)*. Nie! upuściłam różę i chcąc ją podnieść przyklękłam....

TYKALSKA. A Seweryn co tu robił?

MAŃKA. Nie wiem... przechodził tędy...

TYKALSKA *(kiwając głową)*. Hm, hm, hm... ejże tu między wami coś było.... *(przygląda się jej)* płakałaś.... ale co

tam, otrzyj oczki... nie kłopocz się... *(do ucha)* kto się lubi, ten się czubi... poprztykaliście się, to się i pogodzicie, ja wam powiadam... *(Całuje ją w głowę, Mańka ją w rękę).*

REJENT *(do odchodzącej Mańki).* Brawo, brawo!... trzymać się ferm, bronić swoich praw.

MAŃKA *(zatrzymując się).* Nie rozumiem pana.

REJENT. Najgorsza broń w ręku kobiety—powolność i zbytek poświęcenia, nic prędzej nie znudzi i nie odstręczy.

MAŃKA. Pan widocznie żartujesz ze mnie. *(Odchodzi).*

JAN *(spotykając się z nią przy wyjściu).* Proszę panienki....

MAŃKA *(zirytowana).* Czegóż chcesz?

JAN. Pani kazała nakryć do śniadania tu w altanie.

MAŃKA *(j. w.).* Więc cóż, to nakrywaj.

JAN. Ale pani kazała powiedzieć, żeby... *(Idąc z nią, mówi cicho).*

MAŃKA *(n. s. przyciskając ręką czoło).* Ach! Boże! Boże!... *(Wychodzą).*

Scena VI.

REJENT, TYKALSKA, potym MAŃKA i JAN.

REJENT *(n. s.).* Żeby też jedna powiedziała to, co myśli... jeżeli ona nie zrozumiała, to ja nie jestem rejentem i to jeszcze Bajdalskim...

TYKALSKA *(z westchnieniem).* Biedaczka!

REJENT. Kto?

TYKALSKA. A któżby?... ta sierota... *(robiąc pończochę siada na ławce).* Jużto muszę powiedzieć, że póki żył nieboszczyk, było jakoś inaczej.... kochał ją jak własne dziecko....

REJENT. A może też rzeczywiście... e... e... e...

TYKALSKA *(zgorszona).* A mój panie, fe... fe!...

REJENT *(siada koło niej).* Ale cóż tak dziwnego, ludzie są ludźmi, dobra pani.

TYKALSKA. Ale cóż znowu...

REJENT. Ładna panienka... *(Po chwili).* Pan Seweryn? e... e... e...

TYKALSKA *(patrząc mu w oczy).* Co pan Seweryn? Mój panie, dlaczego pan przytykasz do niej Sewerynka? Ciekawam bardzo.

REJENT. Tak mi jakoś przyszło na myśl...

TYKALSKA. Nie ładnie. *(Po chwili).* Chociaż żebyś pan wiedział to, co ja wiem... ho!... ho!... tylko że nie mogę powiedzieć.

REJENT. Jakto? tajemnica?

TYKALSKA. A nie inaczej. Powiadają, że kobiety mają długie języki, ale to bajki, mój panie, nie jeden mężczyzna większy papla, niż dziesięć kobiet.

REJENT. I to się trafia, dobra pani.

TYKALSKA. Już nie trzeba, jak mój Tobunio nieboszczyk, co to była za poczciwa dusza, powiadam panu... ale taki baba, niech Bóg broni!... jak co wiedział, to zachorowałby jakby w ten moment nie wypaplał... Jabym panu zresztą powiedziała, ale gdzież to!...

REJENT *(ironicznie)*. Jeżeli sekret, nie narzucam się wcale... e... e... e... bądź co bądź, kobieta, umiejąca dochować tajemnicy, jest rzadkością, którą umiem uszanować....

TYKALSKA. Kiedy tak, to panu powiem, bo wiem, że nikomu nie powtórzysz. *(Po chwili tajemniczo)*. Trzeba panu wiedzieć, że Sewerynek z Mańką mają romans...

REJENT *(udając zdziwienie)*. Pfu, proszę!...

TYKALSKA Jakem poczciwa!... oho, mnie nie oszukają — tylko cicho... na miłość boską... bo jakby to doszło do siostruni...

REJENT. Pani Żegocina ma zapewne inne plany?

TYKALSKA. Nie mówię nic na to, że zapewne wszystko mu zapisze, bo to gagatek, mój panie... niech sobie ma... i owszem! ale właśnie cóżby to szkodziło, żeby się niebożątka pobrali... powiedz pan sam....

REJENT. Już to panie lubicie swatać, to rzecz wiadoma.

TYKALSKA. Ładnie patrzeć, jak się takich dwoje dzieciuchów kochają... *(Po chwili)*. Ja poszłam za Tobunia tylko z przywiązania i nie skarżyłam się nigdy, chociaż był goły, jak kapucyn... bieda była taka, żeby siekierą nie urąbał.

REJENT. Dobra pani, wzajemna miłość — to skarb największy, miałem żonę, to wiem.

TYKALSKA. Jeżeliby siostrunia nie chciała o nich wiedzieć, to ja jednak znajdę na to sposób... znajdę, jakem poczciwa!...

REJENT. Miałabyś pani zasługę przed Bogiem, ale jakiż to sposób?

TYKALSKA. O, mój panie, co tam będę się legitymować.... *(Więcej do siebie)*. Kiedy powiadam, że znajdę, to znajdę.... Co miało być dla samego Anteczka, to podzielą się dwoje.

REJENT. Czy pani masz jakie kapitały?

TYKALSKA. Może i mam. *(Zamyśla się i uśmiecha do siebie)*.

REJENT *(n. s. wstając)*. Domyślałem się, że baba gra komedję... ów kapucyn... Tobunio musiał jej zostawić coś grosza... procenciki sobie ciuła, a siostruni siedzi na karku. *(Głośno)*.

Nie wkradam się w zaufanie pani, ale zwrócę uwagę, iż może fundusze jej są źle ulokowane, niepewne... jako prawnik, a z zasady człowiek bez przechwałek bezinteresowny, mógłbym może dać jaką radę.

TYKALSKA. Nie, nie, mój panie, ślicznie dziękuję, to co mam, to nie warto nawet mówić o tym.

REJENT *(n. s.)*. Babska natura, jak wypaplać co na kogo, to język świerzbi, a jak chodzi o to, żeby się nie wygadać, co ma zaszyte gdzieś w spódnicy, to zaciśnie zęby... *(Po chwili, patrząc na zegarek)*. Genia tylko patrzeć... pociąg już musi być na stacji.

(Przed końcem tej sceny weszła Mańka z Janem, który pod jej nadzorem zastawia stół w altanie).

Scena VII.

Poprzedzający, ŻEGOCINA pod rękę z HELENĄ, PAN DAMAZY, po chwili ANTONI.

ŻEGOCINA *(do Rejenta, do którego zbliżyła się puściwszy Helenę)*. Cóż Rejencie... pójdzie to... jakże ci się zdaje? mówiłeś z nim od siebie?

REJENT. Zwolna, zwolna dobra pani, przygotowuję grunt... o!... w interesach tego rodzaju, przedewszystkim cierpliwości... pośpiech może zgubić wszystko...

ŻEGOCINA. Polegam na panu... mnie dotychczas dosyć się udaje... moje insynuacje przyjął bardzo dobrze. *(Do Damazego, który stanąwszy przy stole, spogląda na zastawione jedzenie)*. Brat patrzysz, że taka skromna zastawa...

DAMAZY. Wolne żarty, panie mościdzieju.... Dziesięciu głodnychby się najadło.

ŻEGOCINA. Bo to tylko maleńka przekąska... z apetytami schowajcie się panowie na obiad... *(stojąc za stołem)*. A tymczasem, proszę na to, co jest... *(Oglądając się)*. Ale gdzież to jest Seweryn? *(Do Heleny, która pozostawszy w głębi, rozmawia z Antonim)*. Helenciu, prosimy!

DAMAZY *(idąc po nią)*. Moja kochana, nie chowajże się po kątach... siadaj tu razem...

HELENA. Tatunieczku, kiedy ja wcale niegłodna, jak tatuncię kocham...

DAMAZY. To nie racja, siedź tu. Cóż to znowu! *(Poruszenie Antoniego)*.

HELENA *(z dąsem)*. Och! Boże! *(siada obok Żegociny)*.

DAMAZY *(spostrzegszy Mańkę stojącą na boku)*. A Marynka?

ŻEGOCINA. Kto taki? *(nieukontentowana widząc, że pan Damazy idzie po nią).* A... ona ma zatrudnienie.

DAMAZY *(przyprowadza ją).* Siadaj także *(sadza ją obok Heleny.— Żegocina wzrusza ramionami. — Do Tykalskiej, która przechadzając się z pończochą, zbliża się do stołu; robiąc jej miejsce).* Proszę...

TYKALSKA. Dziękuję, mój panie *(wraca na ławkę).* Ja o tej porze nie jadam. *(Zasiedli w tym porządku: z lewej strony Rejent, w głębi za stołem Żegocina, Helena, Mańka, z prawej strony Damazy).*

ŻEGOCINA. Ale panowie zwykliście przed jedzeniem pić wódkę. *(Niecierpliwie oglądając się).* Gdzież się podział Seweryn?

DAMAZY. Tak, niby gwoli zalania robaka, panie mościdzieju.

ŻEGOCINA. Janie! idź poproś pana Seweryna, nie wiesz, gdzie jest?

JAN. W swoim pokoju *(odchodzi).*

ANTONI. Jeżeli ciotka pozwoli, ja go tymczasem zastąpię *(nalewa.—Do Damazego).* Czy można do pana?

DAMAZY. W niezawodne ręce, panie mościdzieju.

ŻEGOCINA *(do Rejenta, który oparszy łokcie na stole, złożywszy ręce, spogląda pożądliwie po talerzach).* Cóż pan Rejent tak się zamyślił?

REJENT. Mnie, dobra pani, widok tego, co jej podobało się nazwać maleńką przekąską, nasunął sporą wiązkę uwag filozoficznych...

DAMAZY *(przed wypiciem, do Rejenta).* W ręce acana dobrodzieja!

REJENT *(dziękując schyleniem głowy).* I gdybym miał talent nieboszczyka biskupa warmińskiego, napisałbym bajeczkę pod tytułem: Ludzie i Wilcy *(bierze kieliszek).* Kiedy zgłodniały wilk porwie barana, albo cielę, oburzenie niema granic... *(wypija, szukając oczyma przekąski)* robią obławy, ścigają go, trują, bez względu, że jest w swoim prawie, bo natura nie stworzyła go trawożernym...

ŻEGOCINA. Może kawałek pasztetu?

REJENT *(nakładając na talerz).* Całuję rączki. Ale gdy ten sam człowiek, mając chleb na zaspokojenie głodu, dla zbytku morduje cielęta, prosięta, ściga po barbarzyńsku zwierzynę, na to, żeby z tego zrobić w ostatku ot taki pasztet, to nikt mu nawet tego nie weźmie za złe.

DAMAZY. Przyznam się acanowi dobrodziejowi, że ja pierwszy.

JAN *(wchodząc).* Pan Seweryn słaby, powiada, że nie przyjdzie.

ŻEGOCINA. Słaby? cóż mu się stało? Mańka, proszę cię, idź, dowiedz się...

TYKALSKA *(wstając)*. Ja pójdę *(n. s.)* ta siostrunia, to nie ma zastanowienia... jakżeż można!... *(wychodzi)*.

DAMAZY *(do Mańki)*. Ale czyś i ty nie słaba? Kolory wystąpiły ci na twarz.

MAŃKA *(cichym głosem)*. Głowa mnie boli *(kładzie dłoń na czole)*.

REJENT *(bardzo zajęty jedzeniem)*. Naprzykład, czy państwo nie znacie pana „Tadeusza" Mickiewicza?

DAMAZY. Tadeusza? ja znałem, ale Marka, panie mościdzieju.

HELENA. Ale tatuńciu! pan mówi o poemacie Mickiewicza, przecie czytałam tacie wyjątki. *(Ze spojrzeniem na Antoniego)*. Pan Antoni mi przywiózł.

DAMAZY. A prawda — bodajże cię!... no — przepraszam. *(Do Rejenta)*. Tam jest także Rejent.

REJENT. Więc państwo znacie i jego Zosię.

DAMAZY. A tak, jest i Zosia.

REJENT. Czy uwierzycie mi, że widząc na wystawie w Warszawie obraz wyobrażający też Zosię, jak: *(deklamuje)*.

Czerpie z sita i sypie na skrzydła i głowy
Ręką jak perły białą gęsty grad perłowy...

ja w tej sielance dostrzegłem najkrwawszy dramat!

ANTONI *(który stoi za nim, oparty o kulisę, wpatruje się w siedzącą naprzeciw Helenę)*. A to jakim sposobem?

REJENT *(obejrzawszy się nań)*. Jakim sposobem? bardzo prostym. Na pozór jest to scena najidealniejsza... *(Z pełnemi ustami)*. Te gąski, kury, kaczęta, wszystko to prześliczne, słyszymy, jak ta Zosia woła: tiu, tiu, tiu, taś, taś, taś... Ale wniknąwszy głębiej w sytuację umysłem filozofa... *(Wypija kieliszek wina)*. W jakimże celu owa sielankowa Zosia sypie im ziarna?... żeby je utuczyć... e... e... a utuczywszy, tym samym białym paluszkiem, skazać najpiękniejsze swoje faworytki pod nóż... i to tak sobie, z zimną krwią, jakby jej kto dał prawo do tego!

DAMAZY. Jakto, więc nie mam prawa, panie mościdzieju, zabić wołu, kiedy go utuczę? to ładnie! po djabłażbym mu dawał osypkę...

REJENT *(z uśmiechem wyższości)*. Panie łaskawy... na to nie mam mu co odpowiedzieć.

DAMAZY. Spodziewam się. *(Spogląda nań z politowaniem)*.

ŻEGOCINA *(do Antoniego, którego uważał niecierpliwie).* Mój Antosiu, kiedy zastępujesz Seweryna, to bądźże uważniejszym... uplasowałeś się umyślnie tak, żeby oczkować z Mańką...

DAMAZY *(spojrzawszy się na Antoniego).* Hm, hm!... *(Mańka spogląda na nią zdziwiona).*

ŻEGOCINA. A nie uważasz, że rejent ma talerz próżny.

REJENT *(któremu Antoni podał talerz).* Rzodkiewka, o nie, ślicznie dziękuję, jestem mięsożerny... jeżeli łaska, kawałek majonezu... *(nabiera).*

DAMAZY *(n. s.).* Teraz znowu ta się zaczerwiniła... *(Głośno).* Heluś, co ci to?

HELENA (*n. s.*). Ach, Jezus Marja z tacią! *(Podnosząc się do Mańki).* Wstańmy.

ŻEGOCINA. Nic nie jadłaś.

HELENA. Dziękuję stryjeneczce. *(Całuje ją w rękę i odchodząc od stołu (n. s.).* Byłabym się pod ziemię schowała... przecież on na mnie patrzał, nie na Manię... *(przykładając rękę do twarzy)* aż mnie twarz pali.

ŻEGOCINA. No, to nie przeszkadzajmyż tym panom. *(Odchodzi od stołu, dając znak Antoniemu, żeby nalał kieliszek Rejentowi).*

ANTONI *(do Rejenta z ironją nalewając).* W samej rzeczy poglądy pańskie są wielce oryginalne i tak głębokie...

REJENT. We mnie panie leży... bez przechwałek... e... e... e... ogromny materjał na reformatora społeczeństwa, dobroczyńcę ludzkości... *(Nabiera jeszcze raz).*

ANTONI. Nie tylko ludzkości... a gęsi, kaczki, cielątka...

REJENT. Żart żartem, ale gdybym tak miał lżejsze pióro...

ANTONI *(odchodząc po nalaniu).* A cięższą głowę. *(Idzie do Heleny).*

REJENT. Tak jest *(po chwili zastanowienia)* jakto? *(n. s.)* cięższą głowę... to zakrawa na kpiny.

ŻEGOCINA *(n. s.).* Goni za nią wyraźnie, a Seweryna niema... *(Do Antoniego, biorąc pod rękę Helenę).* Pan Antoni zanadto sobie pozwala, zapomina, że jest w domu ciotki, i że ten pan jest jej gościem...

ANTONI. Nie wiedziałem, że to obowiązuje do cierpliwego słuchania bredni...

ŻEGOCINA. Za młody jesteś, żebyś poprawiał ludzi... *(Do Heleny).* Pójdź, Helenciu, przejdziemy się po ogrodzie... *(Do Antoniego).* Proszęż tu spełniać zastępstwo gospodarza przyzwoicie. *(Odchodzą na prawo).*

DAMAZY *(który oglądał się za niemi, wypija śpiesznie kieliszek).* Idę i ja, panie mościdzieju. *(Wychodzi za niemi).*

ANTONI (*n. s.*). To wyraźna jakaś manifestacja przeciwko mnie... nie dadzą mi się do niej zbliżyć.

REJENT *(wypija wino, zapala cygaro, n. s.)*. Z takiemi smarkaczami to nie warto się poufalić... a gdybym ja też był prędki? *(Wychodzi na prawo, rzucając na Antoniego pogardliwe spojrzenie).*

Scena VIII.

MAŃKA, ANTONI, JAN sprząta.

ANTONI. Nie jestem awanturnikiem, a szukałbym z każdym zaczepki... nie cierpię deklamacji, a deklamowałbym całe tyrady o przewrotności ludzkiej. *(Chodzi).* Oni popsują w głowie temu dziecku!

MAŃKA *(gorączkowo do Jana).* Sprzątaj prędzej... *(Siada zamyślona).*

ANTONI *(siada machinalnie przy niej, po chwili).* Panno Marjo, zdaje mi się, że możemy sobie wzajemnie winszować, na jednej drodze, a raczej bezdrożu jesteśmy.

MAŃKA *(budząc się z zamyślenia).* Co pan mówisz?

ANTONI. Wspólne nam grozi niebezpieczeństwo, nasze serca....

MAŃKA *(wstając).* Daj mi pan pokój, ja nie wiem już sama, czy mam serce...

ANTONI. Masz pani, masz... dowodem to, że odczuwasz...

MAŃKA. To, co odczuwam, jest w stanie podobno wyrwać ze szczętem wszystko, co tam tkwi... *(Po chwili, stojąc przed nim).* Powiedz mi pan, czy kochając prawdziwie, można stłumić w sobie uczucie?

ANTONI. Trzeba na to bardzo wzniosłych celów; dla mężczyzny podobnym celem jest sprawa ogółu, dobro ojczyzny, (*z ironją*) dla kobiety świetna partja.

MAŃKA. Fałsz!

ANTONI *(z gorzkim uśmiechem).* Fałsz?

MAŃKA. Jesteś pan zbyt skromnym sędzią, abyśmy się mogli zrozumieć...

ANTONI (*chodząc także).* Pani mówiłaś o miłości prawdziwej; chodzi o to, jakie są cechy, po których możnaby ją poznać.

MAŃKA. Jak naprzykład nazwać, gdy mężczyzna przysięga jednej, przemawia do niej namiętnie, a sięga po rękę innej?

ANTONI. Egoizmem. To najlepszy dowód, że nie kocha żadnej. Pożycie z osobą obojętną wówczas, gdy w sercu panuje inna, byłoby męczarnią nie do zniesienia.

MAŃKA. Kochając, nie odważyłby się na to.

ANTONI. Nie przypuszczam.

MAŃKA. Nie zdeptałby, nie sponiewierał uczucia, które natchnął...

ANTONI. Miłość bez delikatności jest paradoksem.

MAŃKA. Zwłaszcza, gdy był bardzo kochanym.

ANTONI. To mu wszystko jedno.

MAŃKA *(po chwili)*. Na taki zawód, jakież lekarstwo?

ANTONI. Zapomnieć.

MAŃKA. A czy pan znasz co okropniejszego, jak myśl, że to, co nam przepełnia serce, ma być złudzeniem, które się rozwieje?

ANTONI. Prawda, ale ta myśl jest lekarstwem uzdrawiającym.

MAŃKA. Jeżeli nie zabije.

ANTONI. I to się trafia, ale w powieściach, ludzie są wytrzymali.

MAŃKA (*do siebie*). Więc nie kocha!

ANTONI. W każdym razie, im wcześniej, tym lepiej.... mniejsza doza wyleczy.

MAŃKA (*do siebie*). O! nienawidzę go! *(dobywa z za gorsu różę i po chwili walki rzuca ją).*

ANTONI. W co się też obrócą moje marzenia?... Wszystko podobno jest bańką mydlaną... tyle szczęścia, co się przemarzy.

Scena IX.

GENIO, MAŃKA i ANTONI.

GENIO (*wchodzi głębią z parasolem i okryciem zawieszonym na ręku*). Tu przecie znajduję kogoś... *(przystępuje)* jakaś parafianka i młody szlagon... że nie kochankowie, idę w zakład, bo nie patrzą na siebie; więc albo brat z siostrą, albo mąż z żoną... *(Po chwili)*. Nie widzą mnie.

MAŃKA *(po chwili, otrząsając się z zamyślenia)*. Panie Antoni!...

GENIO. Hm, hm...

MAŃKA. Ach!

GENIO. Szczególny zbieg okoliczności zmusza mnie do zaprezentowania się samemu... (*n. s.*) bardzo ładna... *(Głośno)*. Jestem Eugenjusz Bajdalski, przybywam umyślnie...

ANTONI. Genio!... Bajduś!... patrzę, patrzę, cóż u licha. żem cię odrazu nie poznał!

GENIO. Pij... Antoś... a wiesz, że to dobre... jak się masz?

ANTONI. Jak się masz? *(ściskają się)*.

GENIO *(do Mańki)*. Koledzy szkolni z jednej ławki, łaskawa pani...

ANTONI. Ale skądżeś się tu wziął w domu mojej ciotki?

GENIO. A, to my tu jesteśmy u twojej cioci? nic nie wiedziałem... *(n. s.)*. Mocno ładna. *(Głośno)*. Wystaw sobie, przybywam prościusieńko koleją, jak śledź pocztowy...

ANTONI. Skąd?

GENIO. No, z Warszawy — naturalnie.

MAŃKA. Jeżeli tak, to pan zapewne głodny.

GENIO. Ach, jak pani umiesz czytać w moim... w mojej... *(n. s.)* zbajałem się, ale mniejsza o to. *(Głośno)*. Rzeczywiście, jeżeli mi wolno prawdę powiedzieć...

MAŃKA. W tej chwili każę przygotować *(odchodzi)*.

GENIO *(n. s.)*. Ananasik, jak sobie dobrze życzę.

Scena X.

GENIO i ANTONI.

ANTONI. Więc przybywasz z Warszawy?

GENIO. A jakże, w nader ważnym interesie, wszak tu jest podobno mój stary?

ANTONI. Jaki stary?

GENIO. No, fater.

ANTONI. Jakto? aha—to rejent Bajdalski jest twoim ojcem?

GENIO. I naodwrót, ja jestem jego synem.

ANTONI. Tak?

GENIO. Czy cię to dziwi? cóż w tym nadzwyczajnego?...

ANTONI. Któż powiada?...

GENIO. Chociaż rzeczywiście, na oko niktby nie przypuścił... stary zapleśniał na prowincji. A ty co porabiasz? *(z politowaniem)*. Pleśniejesz także...

ANTONI. Mam gospodarstwo, pracuję.

GENIO. Pracuję, pracuję... oni są dobrzy z tą swoją pracą na wsi, byle nam imponować... Bartek zorze, Bartek zasieje i samo sobie potym rośnie... i to się nazywa praca... daj buzi...

ANTONI. Zawsze byłeś i jesteś bajduś.

GENIO. Bajduś z Bajdusiów, chlubię się z tego... a zresztą, cóż ty sobie myślisz? Bajdalscy, to stara szlachta, tak stara, że niema ich już nawet w herbarzach.

ANTONI. Sowizdrzale!

Scena XI.

Poprzedzający i REJENT.

REJENT (*zdyszany*). Kiedyś ty przyjechał, żem nic nie słyszał... jak się masz...

GENIO *(całując go w ramię)*. Jak się mam?... przedewszystkim głodny jestem jak pies, ale znalazło się już bóstwo opiekuńcze, które ukazało mi promyk nadziei.

REJENT *(do ucha)*. Odebrałeś telegram?

GENIO *(podobnież — drwiącym tonem)*. Nie.

ANTONI. Panowie zapewne mają z sobą do pomówienia— nie przeszkadzam *(odchodzi)*.

REJENT. Jakto? nie odebrałeś?

GENIO. Ojciec odzwyczaił się widzę od kategorycznego myślenia... a gdzież logika?... Skądżebym się wziął, gdybym nie odebrał telegramu?

REJENT *(niecierpliwiąc się)*. Tylko proszę cię, nie błaznuj... od tego widzę już się nie odzwyczaisz...

GENIO. Ależ ojciec wyraża się nieparlamentarnie.

REJENT *(j. w.)*. Słuchaj, schowaj raz do kieszeni wszystkie twoje koncepta... to dobre w waszych knajpach, ale nie tu i nie w chwili, gdzie idzie o rzeczy pierwszorzędnego znaczenia. *(Po chwili, oglądając się)*. Czy wiesz, po co cię tu sprowadziłem?

GENIO. Wiem.

REJENT *(zdziwiony)*. Wiesz, a to skąd?

GENIO *(śmiejąc się)*. Znowu ojca złapałem.

REJENT *(niecierpliwie)*. Nie błaznuj... jak cię kocham... nie błaznuj!...

GENIO. No więc słucham — o cóż idzie?

REJENT *(ogląda się)*. Jest tu panna posażna...

GENIO. Wiem, wiem.

REJENT. Już i to wiesz?

GENIO. To jest wiem, że jest panna, ale że posażna, nie wiedziałem... tym lepiej...

REJENT *(niecierpliwie)*. Ale skąd wiesz? skąd wiesz? skąd? gadaj!

GENIO. Widziałem ją... cudo!

REJENT. Co ty pleciesz? gdzie ją widziałeś? dopiero zostawiłem ją w ogrodzie.

GENIO. No to muszą być dwie, bo tu była przed chwilą jedna, i...

REJENT. Głupcze—ta się nie rachuje.

GENIO. O! za pozwoleniem! a to dlaczego?

REJENT. Ta jest goła, i sierota jakaś podrzutek...

GENIO. Cóż to ma do tego? przesądy! Ji! — nie poznaję ojca.

REJENT *(płaczliwie).* Co ten plecie! co ten plecie!...

GENIO. Jeżeli są dwie, to mój wybór już zrobiony... chyba, gdyby mi się tamta więcej podobała, co wątpię...

REJENT *(pogardliwie).* I ty jesteś pozytywistą! tfy!...

GENIO. Czystej wody, tatku... przed niewodem ryb nie łapię, i gdym głodny, mam wstręt do dysertacji... o, widzę tam jakieś towarzystwo *(wychodzi na prawo).*

REJENT *(idąc za nim).* Ale czekajno, warjacie!... e... e... e... on pozytywista!... *(Zasłona spada).*

AKT III. Scena I.

Inny pokój — troje drzwi — jedne w głębi — dwoje po bokach. Na przodzie z prawej strony kanapa, w głębi z lewej strony oranżerja pokojowa.

SEWERYN, HELENA *(siedzą obok siebie na kanapie) potym* ŻEGOCINA, REJENT.

SEWERYN *(rozparty, bawiąc się sznurkiem od binokli; obejście lekceważące).* Widocznie pani nie chcesz mnie zrozumieć.

HELENA *(zajęta kwiatkiem, który trzyma w ręku).* Przepraszam pana, już sama ciekawość, którą przypisują nam kobietom, mogłaby sprawić, iżbym chciała... ale są rzeczy, których nie można zrozumieć.

SEWERYN. Czepiasz się pani słówek; być może, że się źle wyraziłem; powinienem był powiedzieć: pani udajesz, że mnie nie rozumiesz.

HELENA *(urażona).* Udaję!

SEWERYN. Porzućmy więc tę szermierkę djalektyczną i pozwól mi pani wytłómaczyć się jaśniej.

HELENA *(rozsiadając się lepiej w drugim końcu kanapy i patrząc mu śmiało w oczy).* Słucham!

SEWERYN. Wiadomo pani, że tak jej ojciec, jak imoja ciotka powzięli myśl... połączenia nas...

HELENA. Podobno. *(W tej chwili drzwiami z lewej strony wchodzą Żegocina i Rejent; spostrzegszy rozmawiających, Żegocina robi giest ukontentowania i wstrzymuje Rejenta, który chce iść dalej; nareszcie pociąga go za sobą i wychodzą na powrót na palcach. Rejent,*

odchodząc niechętnie, rzuca na nich niespokojnym okiem. Ta akcja odbywa się niezależnie od prowadzonej rozmowy).

SEWERYN. Skoro pani wiesz, więc powinnaś zrozumieć, że wszystko to, co mówiłem, odnosiło się do tej głównej kwestji.

HELENA. Tego domyśliłam się bardzo łatwo; ale ja zupełnie czego innego nie mogę pojąć.

SEWERYN. Naprzykład?

HELENA. Naprzykład, w czym ten projekt naszych opiekunów może nas krępować i wpływać na nasze postanowienie.

SEWERYN *(zdziwiony)*. Jakto?

HELENA *(drwiąco)*. Sądzę, że przedewszystkim powinniśmy się zapytać naszych serc, czy one mogą sympatyzować z sobą.

SEWERYN. Czy pani zadawałaś sobie to pytanie?

HELENA *(j. w.)*. A pan?

SEWERYN. Ja? *(n. s.)* czy taka naiwna, czy cięta? *(Głośno)*. A to dobre — zdaje mi się, że rozpoczynając rozmowę o tym przedmiocie, już tym samym odpowiedziałem za siebie.

HELENA *(z uśmiechem ironicznym skubiąc kwiatek)*. To szczególne — znamy się dopiero od dwuch dni...

SEWERYN. Czy pani nie wierzysz... już nie, powiem, w miłość, ale w pociąg od pierwszego spojrzenia?

HELENA. Och! dlaczegóż nie.

SEWERYN *(z ukłonem)*. W takim razie powinnaś sobie pani łatwo wytłumaczyć mój krok, na który zdecydowałem się tym pochopniej, że to zgadzało się z wolą ciotki.

HELENA *(po chwili milczenia)*. Możebym wytłumaczyła sobie ten dziwny pociąg, gdyby...

SEWERYN. Dziwny?

HELENA. Przepraszam pana za wyrażenie, ale istotnie on dla mnie jest dziwnym.

SEWERYN. Dlaczego?

HELENA. Dlatego, że o ile mi się zdaje, ulegać mu może serce... tylko zupełnie wolne...

SEWERYN *(spoglądając na nią z pod oka)*. Skądże pani wznosisz, że moje zajęte?

HELENA *(po chwili uderzając dłonią w poręcz kanapy)*. Więc daj mi pan słowo honoru, że tak nie jest.

SEWERYN *(po chwili ironicznie)*. Honoru? a wie pani, że pierwszy raz zdarzyło mi się słyszeć, aby w sprawach serca żądać podobnej gwarancji.

HELENA *(wstając)*. Więc możnaby stąd wnioskować, że to są jedyne sprawy, w których on nie obowiązuje.

SEWERYN *(n. s. wstając).* U! źle, to już widzę, sprawka Mańki.

REJENT *(wchodząc śpiesznie środkowemi drzwiami n. s.).* Ledwom się baby odczepił... *(Idąc prosto do Seweryna).* O, o, o! przepraszam, mocno przepraszam, nie wiedziałem, że przerywam tak miłe e... e... e... sam na sam *(bierze go za rękę).*

HELENA *(obrażona).* Skądże sam na sam? Żartujesz pan chyba!

REJENT. Pani daruje, że zabieram pana Seweryna... ale dość ważny interes...

HELENA. Ale zabieraj pan sobie... to doskonałe.

REJENT. Wiem, że pani sprawiam tym przykrość... ale...

HELENA. Mój panie, ani mię to ziębi ani parzy... cóż znowu!... *(wzruszając ramionami, idzie do kwiatów).*

REJENT *(do Seweryna).* Pomagam wam, jak mogę.

SEWERYN *(chmurno).* Raczej umyślnie pan psujesz.

REJENT *(dobrodusznie).* No, albo co?...

SEWERYN. Na to zakrawa... cóż tam za interes?

REJENT. Maleńka konferencyjka z ciocią, do czego potrzebujemy pana Seweryna. *(Do Heleny).* Przepraszam panią najmocniej *(wychodzą na lewo).*

Scena II.

HELENA *(sama — spogląda za niemi i wzrusza ramionami).* Oryginał. *(Po chwili).* Ażem urosła na parę łokci w własnych oczach... zdaje mi się, żem się dobrze znalazła... dałam mu za Manię!.. O mój paniczu, zdawało ci się, żeś trafił na wiejskie trusiątko, które łatwo obałamucisz!... emhe!... zapewne!... *(Po chwili).* Ale naprawdę skąd mnie się to wzięło?... sama siebie nie poznaję... bo z początku przeczuwając, o czym zacznie mówić, przelękłam się naprawdę, jak mamę kocham... tak samo jak wtenczas, gdy Antoni mi się oświadczył... ale co za różnica... wtenczas oboje drżeliśmy jak listeczki... on — nie wiem, ale ja nic nie widziałam przed sobą... nawet jego... ale ten... chłód wiał od niego!... komedjant przebrzydły!... *(Po chwili).* Cha! cha! cha! on mówił o pociągu od pierwszego spojrzenia... myślał, że mię tym rozbroi... e! pokazuje się, że na zimno mężczyzna nie jest wcale niebezpieczny. *(Z rękami na piersiach przechadza się dumnym krokiem wzdłuż sceny).*

Scena III.

HELENA i DAMAZY.

DAMAZY *(z fajką — wchodzi drzwiami środkowemi i spostrzegszy Helenę, staje i prowadzi za nią oczyma, ona przechodzi parę razy, nic nie widząc; spostrzegszy go, gdy się podsunął bliżej, staje przed nim, dygając i klaszcząc w ręce z oznakami ukontentowania; on ją bierze za rękę).* Bardzo dobrze, żem cię tu przydybał samą, mamy z sobą, panie mościdzieju, na pieńku.

HELENA *(n. s.).* Oho!

DAMAZY. Siadajno *(idą do kanapy).*

HELENA *(rozsiadając się w tym samym miejscu, gdzie poprzednio — n. s.).* Będzie druga scena.

DAMAZY. Muszę się raz rozmówić z tobą, raz, jak pan Bóg przykazał.

HELENA *(z żartobliwą powagą).* O cóż idzie?

DAMAZY *(ostro, łupnąwszy nogą).* Cóż to za miny jakieś! słuchać, co powiem! tak! o! *(bierze ją za rękę i sadza bliżej siebie).*

HELENA *(n. s.).* O! z tatuńciem będzie gorzej *(całuje go potulnie w rękę).*

DAMAZY. Moja kochana, wolałbym mieć dziesięciu chłopców, jak jedną dziewczynę, panie mościdzieju.

HELENA *(z przymileniem).* Jakto? mnie? mnie?... tatuńcio to mówi?

DAMAZY. Tak, ja mówię i nie cofnę!

HELENA *(j. w.).* Dlaczegóż to?

DAMAZY. A, bo tyle mam z tobą kłopotu, sam nie wiem, jak zrobić i czego się trzymać... to pan Antoni, to pan Seweryn, to znowu pan Antoni...

HELENA. Jakto? taka ze mnie bałamutka?

DAMAZY. O! dajno pokój, bo z tych karesów będę taki mądry, jak byłem... a ja muszę raz wiedzieć co po czemu... Najprzód zaczął bywać u nas pan Antoni... spostrzegłem zaraz, że to nie na darmo, i że ty niby jakoś miałaś się ku niemu. *(Helena spuszcza oczy).* Pomyślałem sobie: hm, chłopiec poczciwy, niewiele wprawdzie ma, ale pracowity, rządny.... jakby przyszło co do czego, to niechże się dzieje wola Boża! *(Helena całuje go w rękę).* Za pozwoleniem!... Chciałem cię tedy wybadać; pytam się prosto z mostu: jakże ten Antoś panie mościdzieju? a ta: *(przedrzeźnia)* fiu! fiu! ach dla Boga! czy ja wiem! jeszcze czego, i bądźże tu mądry.

HELENA *(z żalem).* Tacio zawsze tak ze mną.

DAMAZY *(niecierpliwie)*. Cicho! słuchać! więc wyperswadowałem sobie, że to z twojej strony tak sobie tylko... faramuszki, panie mościdzieju, i że łatwo sobie wybijesz z głowy, gdyby się coś lepszego trafiło. Dlatego jak stryjenka dla świętej zgody zaproponowała mi część majątku i Seweryna za zięcia, przyjąłem.

HELENA. Jakże można było!

DAMAZY. Jak? tak, że pytałem ci się i przystałaś.

HELENA. Jakto? mnie się tato pytał?

DAMAZY. Patrzcie państwo! nie pytałem się wyraźnie „jakże ci się podoba Seweryn?" temi słowy... i cóżeś mi odpowiedziała?

HELENA. Cóż miałam odpowiedzieć?

DAMAZY. Widzisz, to tak z tobą — nie powiedziałaś, że przystojny? gadaj!

HELENA. No, bo przystojny, nie garbaty, nie ślepy, nie kulawy...

DAMAZY. A no!

HELENA. Ale cóż z tego, tacio powinien był się zapytać wyraźnie, czy go chcesz za męża?

DAMAZY *(Kręcąc palcem)*. Hm, hm, hm, tybyś się też nie domyśliła, po co się pytam?

HELENA. Przepraszam, tacio się tylko pytał po prostu, czy przystojny, tak jakby o każdego innego, a jeżeli powiedziałam, że przystojny, to wielkie rzeczy! tylu jest przystojnych *(pieszczotliwie)* albo to i tatuńcio nie przystojny?

DAMAZY. No, no *(n. s.)* na jakie to ona sposoby się bierze. (*Głośno*). Koniec końcem, ja myślałem, że ci się podoba i dlatego nie byłem przeciwny, panie mościdzieju... tymczasem, wczoraj, przy kolacji patrzę, a ta mu się krzywi, jakby się octu napiła... Ale to jeszcze nic; dziś znowu rano...

HELENA (*rzucając mu się na szyję zawstydzona*). Tatuńciu!

DAMAZY. A widzisz, wstyd ci... zszedłem was w ogrodzie z Antonim i widziałem, jak cię całował po rękach...

HELENA. Raz tylko, czy dwa...

DAMAZY (*łagodniej*). Jakże można było na to pozwolić...

HELENA *(po chwili kryjąc głowę na jego piersiach)*. Kiedy ja jego kocham...

DAMAZY *(po chwili)*. Aha, kochasz, to co innego. *(Wstając)*. No widzisz, nie mogłaś mi tego odrazu powiedzieć?

HELENA *(wstając n. s.)*. A jej! odetchnęłam!... znowu nie wiem, skąd mi się wzięła taka odwaga.

DAMAZY *(chodząc)*. Hm, hm... ciekaw jestem, jak teraz zrobić...

HELENA *(proszącym tonem)*. Jedźmy do domu.

DAMAZY. Doprawdy! było po co przyjeżdżać... *(Chodzi, po chwili)*: A moje dziecko, bo to się warto zastanowić... hm, hm... widzisz, ten majątek, toby się przydał...

HELENA. I... cóż tam majątek!

DAMAZY. Ale! zapewne! tak się to niby mówi, a później, rób co chcesz... usiąść i płakać... *(Po chwili)*. A zresztą, jak tu stryjence tak wręcz odpowiedzieć, kiedy już na pół przyjąłem... zabiłaś mi tęgiego klina...

HELENA. Ja poradzę tatuńciowi, przedewszystkim dyplomatycznie.

DAMAZY. No, naprzykład?

HELENA. Ze stryjenką grzecznie, ładnie, ale ani tak, ni siak...

DAMAZY *(ironicznie)*. Aha!...

HELENA. A tymczasem, jak się tylko da, nogi za pas! i niech sobie robi co chce.

DAMAZY *(j. w.)*. Piękna dyplomacja, wymyśliła jak Bismark, panie mościdzieju.

HELENA. A dopiero z domu tatuńcio napisze list ładny...

DAMAZY. Oho! na to mnie nie złapiesz...

HELENA. Będziemy wspólnie komponować, poprosimy pana Antoniego *(patrząc mu w oczy)*. Zgoda? *(Damazy nic nie mówi, tylko zamyślony, kręci wąsa)*. No, więc wszystko dobrze... *(Klaszcze w ręce)* teraz tylko sakum pakum.

DAMAZY. Czekajno, czekaj! zwolna! zobaczymy.

HELENA. Jakto zobaczymy?

DAMAZY. No, zobaczymy *(chodzi)*.

HELENA. Nie, nie, zaraz... tatuńcio gotów się jeszcze rozmyślić... nic z tego... *(wybiega na prawo, spotkawszy Rejenta, który jej się kłania, robiąc giest ręką)*.

Scena IV.

Pan DAMAZY i REJENT z lewej strony.

DAMAZY *(zamyślony)*. Biedactwo moje! co ja się nakłopoczę jej przyszłością... *(Po chwili)*. I powiadają, że pieniądz głupstwo, a jednak gdybym miał dla niej dobry posag, zdaje mi się byłbym spokojniejszym.

REJENT *(który zatrzymał się chwilę w głębi, patrząc z afektacją za Heleną, zbliża się)*. Cóż to za pociecha mieć taką córeczkę!

DAMAZY. Hm! pociecha! ale więcej kłopotu, panie mościdzieju.

REJENT. Z zachwyceniem patrzę na pannę Helenę, coś tak harmonijnie, e... e... e... ładnego, dawno nie zdarzyło mi się widzieć.

DAMAZY *(zadowolony, jowjalnie)*. Pan się znasz na tym?

REJENT. Stary kompetent, panie łaskawy.... bez przechwałek...

DAMAZY. Powiadają, że do mnie podobna.

REJENT. Rzeczywiście, o ile młoda panienka może być podobną do dojrzałego mężczyzny, to panna Helena przypomina e... e... e... papkę... mianowicie tak coś z nosa...

DAMAZY. A tak, i ja to zawsze powiadam, panie mościdzieju.

REJENT *(po chwili)* i to tak się chucha na to, patrzy jak w obrazek, a potym...

DAMAZY. No, cóż potym?

REJENT. Ktoś porwie jak swoje i Bóg wie, jak będzie.

DAMAZY. No, widzisz pan, a powiadasz, że to pociecha... gdzie tam, kłopot... zmartwienie!

REJENT. Hm! i to prawda, ani słowa!... o! bo i ja jestem ojcem, panie łaskawy... rozumiem to dobrze...

DAMAZY. Pan masz także córkę, winszuję.

REJENT. Tylko syna.

DAMAZY. Tego kawalera, co wczoraj przyjechał?

REJENT. Tak jest, jakże się panu podobał?

DAMAZY. Dosyć, nie mogę powiedzieć.... żwawy chłopiec, a wie pan co, ślamazarnych ja nie lubię.

REJENT. Starałem się go wykształcić, bez przechwałek, od ust sobie odejmując; ma urzędowanie przy towarzystwie ubezpieczeń, a obok tego literat.

DAMAZY. Literat! fiu... gazety pisze?

REJENT. A jakże! artykuły z dziedziny ekonomji politycznej i filozofji pozytywnej.

DAMAZY. Proszę, a to bardzo ładnie z jego strony taki talent. Co prawda, ja się tego domyślałem; wczoraj przy kolacji jak zaczął, panie mościdzieju, o imiesłowach, przyimkach, zgłupiałem... a to mu szło, panie mościdzieju, jakby woda na młyn.

REJENT. Ma już ładny dochód, bo oprócz pensji, płacą mu w redakcjach od wiersza...

DAMAZY. Od wiersza, proszę!... *(po chwili zastanowienia)*. Niby, jakto, od wiersza?

REJENT. Za każdy wiersz, co napisze *(robi giest, jakby rachował pieniądze)*.

DAMAZY. Proszę, proszę, a to ładnie!... *(n. s.)* jabym nie wiele zarobił.

REJENT. W Warszawie ciągną go gwałtem do panny, mającej pół miljona posagu... *(Po chwili).* Jakże pan rozmyślił się względem propozycji pani bratowej?

DAMAZY. Nie wiem o żadnej propozycji.

REJENT. Nie dziwię się pańskiej ostrożności... ale ja, panie, wiem daleko więcej, niż pan sądzisz... wszak pan Seweryn ma być pańskim zięciem...

DAMAZY. Pierwsze słyszę...

REJENT *(ogląda się, idzie do drzwi, potym tajemniczo).* Daj mi pan słowo honoru...

DAMAZY *(zdziwiony).* A to naco?

REJENT. Daj mi pan słowo honoru; wolno panu będzie zrobić z tego użytek dla siebie... chodzi tylko o to, aby nie wiedziano, że ostrzeżenie wyszło ode mnie.

DAMAZY. Ostrzeżenie?

REJENT. Sumienie mi nakazuje tak postąpić. No dajesz pan słowo?

DAMAZY. Jeżeli to coś tak ważnego, to daję... ale...

REJENT. Więcej nie żądam. Bez przechwałek, ocenisz pan moje postępowanie z faktów... *(Po chwili tajemniczo do ucha, robiąc tubę z obu dłoni)* czy pan wiesz o jego stosunku z tą Mańką, wychowanką pańskiej bratowej?

DAMAZY *(żywo).* Jakto? jakim stosunku?

REJENT *(ze znaczeniem).* Domyślasz się pan...

DAMAZY *(gwałtownie).* Romans, czy co?

REJENT. Phh! i to gruby!

DAMAZY. Ale co się panu śni, to niepodobna!

REJENT. Nie mówiłbym, gdybym nie miał dowodów...

DAMAZY. Jakto? są i dowody?!

REJENT. Moralne tylko wprawdzie, ale są...

DAMAZY. Ależ toby była ostatnia niegodziwość!

REJENT *(ciszej).* Podłość, panie!...

DAMAZY. Pod nosem dwuch bab, które nie mają nic do roboty! więc tak się nią opiekowano?!

REJENT *(do ucha).* Szanowny panie, przez szpary patrzono... rzecz widoczna.

DAMAZY. To o pomstę woła! przecież to nasza krewna!...

REJENT. Krewna, tego nie wiedziałem.

DAMAZY. Nieboszczyk, jako wuj, nie powinien był w żaden sposób zostawiać jej na łasce żony, musiał zrobić jakieś rozporządzenie... pokażcie mi testament.

REJENT. Testament? *(Jakby do siebie).* Kto wie nawet, czy jest?

DAMAZY. Zrobili podobno zapis na przeżycie... ale niepodobna, żeby zapomniał zupełnie o tej dziewczynie... Pokażcie mi testament.

REJENT. Masz pan święte prawo zbadać... e... e... e... stan rzeczy... przyczym zwrócę uwagę... że w razie jakich trudności, zawiłości, komplikacji... *(z wyciągniętą ręką chodząc za nim)* jestem na usługi... że pan zyskasz na tym, mogę bez przechwałek zapewnić...

DAMAZY. Co mi tam! — mój interes na bok! — idzie mi tylko o to, czy zrobił co dla niej! A jeżeli zapomniał i tak się nią mają tu opiekować, zabieram dziewczynę z sobą, tak mi panie Boże dopomóż *(odchodząc)*. A to śliczne rzeczy! panie mościdzieju! *(odchodzi na prawo)*.

Scena V.

REJENT *(sam, zaciera ręce, przytyka palcami i robi rozmaite giesty zadowolenia)*. Udało mi się, chociażem trochę dalej zajechał, niż było w moim planie... nie myślałem, żeby z powodu tej dziewczyny chodziło mu o testament... dowie się trochę zaprędko... Ale nic nie szkodzi, potrafię stać mu się potrzebnym, przekonawszy, że bez moich rad nie dojdzie do niczego... *(Po chwili)*. Udaje teraz bezinteresownego, ale niech no mu tylko coś zapachnie, w inną skórę się oblecze... znam ja ludzi... *(siada na kanapie)*. No, panie rejencie, teraz tylko mądrze! bądź dobrym dyplomatą i strategikiem... byleby ten łobuz Genio mi nie skrewił... nie widziałem, żeby się do niej przysiadł choć raz... a dziś od samego rana lata gdzieś...

Scena VI.

MAŃKA z koneweczką pokojową i GENIO, wchodzą środkowemi drzwiami; REJENT na kanapie.

GENIO *(prowadząc w dalszym ciągu rozmowę)*. Panno Marjo! w każdym razie dłużną mi pani jesteś w odpowiedzi... gdy ją usłyszę, przestanę być natrętnym...

MAŃKA *(idąc do kwiatów)*. Ależ najfałszywiej pan sobie tłumaczysz moje słowa... czyż ja to nazywam natręctwem?

GENIO. Nie? — no, to dziękuję pani... uważam to już za pół odpowiedzi na moje zapytanie...

MAŃKA. Reszty pan nie usłyszysz.

GENIO. Dlaczego? pani sama nie zdajesz sobie sprawy z tego, co doznajesz, a z mojej strony byłoby zuchwalstwem pozwalać sobie badań w tym jej stanie. Ja stawiam tylko tezę ogólną, w formie zagadki psychologicznej, którą musisz mi pani rozwiązać, choćbyś miała nieco główkę potrudzić...

MAŃKA. Pan przemawiasz do mnie tak dziwnie...

GENIO. Językiem, do którego pani nie przyzwyczajona? tym lepiej... lekarstwo, do którego organizm nie przywykł, działa skuteczniej.

MAŃKA. Czy pan mnie chce leczyć?

GENIO. Nie inaczej.

MAŃKA. Trudne pan sobie postawiłeś zadanie.

GENIO. Tym większą cenę będzie miał dla mnie pomyślny skutek.

MAŃKA. Więc pan sądzisz, że się panu uda?

GENIO. Zdaje mi się, że mogę na to rachować.

MAŃKA. I na czymże pan opierasz tę nadzieję?

GENIO. Na tym odwiecznym pewniku, że prawda prędzej, czy później odnosi tryumf! *(odbierając jej koneweczkę).* Pozwól pani, ja panią wyręczę... *(podtewa tam, gdzie ona nie może sięgnąć).* Na tym, że działając otwarcie, zostaję z odkrytą twarzą, na której pani wyczytasz każdą myśl moją, bo nie przywdziewam maski jak ci, co za broń, używają fałszu *(wchodzi na wyższy stopień).*

REJENT *(który od kilku chwil, z otwartemi usty przypatrywał im się z kanapy).* On jeszcze kark skręci.

MAŃKA. To wszystko nowe rzeczy dla mnie... pan mi nowy świat odkrywasz.

GENIO *(zeskakując).* Czegóż mogę się spodziewać za to?

MAŃKA *(odbierając koneweczkę).* Wdzięczności... w każdym razie...

GENIO. Na początek przestaję na tym... *(Mańka odchodzi środkowemi drzwiami, on jej się kłania z uszanowaniem).*

Scena VII.

GENIO i REJENT.

REJENT *(wstając do Genia).* Co to było?

GENIO. Aha!

REJENT. Cóż to za łotrowstwo, lamparcie ty!

GENIO. Tylko parlamentarnie... bardzo ojca proszę!

REJENT. Znowu błaznujesz, ale uprzedzam, że nie wybrałeś się w porę...

GENIO. Czyli, że usposobienia nasze prawdopodobnie są w tej chwili o sto mil od siebie... a ponieważ nie zrozumielibyśmy się, więc odchodzę...

REJENT. Proszę zostać!

GENIO. Cóż to będzie? *(bierze krzesło i siada przodem do poręczy).*

REJENT *(stojąc nad nim).* Powiedz mi najprzód, co ty jesteś e... e... e... bo ja cię nie mogę zrozumieć... pozytywista? ideolog? czy co?

GENIO. W tej chwili jestem lekarzem.

REJENT. Lekarzem?

GENIO *(elegijnie).* Lekarzem duszy zbolałej i srodze zranionej; jeżeli moja metoda mi się uda, będę szukał w tej duszy dźwięków pokrewnych mojej.

REJENT. Warjat... e... e... e... czysty warjat! nie doprowadzaj mnie do niecierpliwości i słuchaj, co ci powiem: kazałem ci tu przyjechać w twoim własnym interesie!...

GENIO. Pośpieszyłem na wezwanie, jak syn posłuszny.

REJENT. Więc słuchajże dalej: jest w tym domu panna posażna...

GENIO. Po poezji najpospolitsza proza!

REJENT *(powściągając gniew).* Prosze cię, schowaj poezję do kieszeni i nastrój się na prozę, bo ja inaczej mówić nie potrafię... *(Po chwili)* jest panna posażna, do której ręki ułatwiłem ci drogę, a ty, nie wiem dlaczego nawet nie patrzysz na nią... *(Szyderczo).* Czy ci brak odwagi ze względu, że cyfrę posagu uważasz za zbyt wysoką w stosunku do twojej wartości?

GENIO. Ha! ha! ha! wątpię, żebyś mi ojciec znalazł człowieka, któremuby miłość własna nie podszeptywała dobrego o sobie mniemania. Jakto? cyfra posagu miałaby stanowić o wartości panny i jej wyższości nademną? fi! byłoby to stawiać pieniądz na ołtarzu, którego nie godzien.

REJENT. Godzien, czy nie godzien, ale jakiż wniosek z tego, co powiedziałeś?

GENIO. Że wszelki podobny skrupuł uważałbym za przesąd niewczesny.

REJENT. Pierwsze mądre słowo; widzę, żeś pozytywista.

GENIO *(z uśmiechem).* Ale na odwrót ubieganie się wyłącznie za pieniądzem mam za nonsens, który zostawiam ludziom tak niepraktycznym, jak idealiści.

REJENT *(desperacko).* Czy ty nie wyrzekniesz się nigdy czapki błazeńskiej?

GENIO *(z humorem).* Jako zwolennik metody pozytywnej, powinieneś ojciec wiedzieć, że ona przedewszystkim szuka faktów... a musimy przyznać za fakt, że jest w człowieku serce, które stanowi skarbnicę uciech moralnych, i że przytłumiając jego bicie, skazujemy się z samowiedzą na szereg zboczeń, mogących nas poprowadzić na manowce.

REJENT. E... on zgłupiał!

GENIO *(j. w.).* Spekulowanie na rękę kobiety w widokach

dobrobytu jest dowodem niedołęstwa, do którego dochodzi się, bujając po obłokach. Ja uważam serce i miłość za drogocenny kapitał, który w pożyciu z osobą wybraną przynosi procenty wysokości, o jakiej żaden żyd nie śmiałby marzyć.

REJENT. Słuchajno, czy ty kpisz ze mnie?

GENIO *(wstając)*. Powiedziałem, że jeśli się nie rozumiemy, mogę odejść!

REJENT. Czekaj, nieszczęśliwy, mówmy jak ludzie, nie jak półgłówki... Czy córka tego szlachcica nie podobała ci się?

GENIO. Owszem, ładna panienka i gdybyśmy oboje byli wolni, kto wie...

REJENT. Jakto, oboje wolni? co to znaczy? ona jest wolną, a i ty spodziewam się, że...

GENIO. Przepraszam ojca, ma narzeczonego.

REJENT. Niema. To już zerwane.

GENIO. Co? zerwane z Antonim, temu nie wierzę...

REJENT. Z jakim Antonim?

GENIO. Z bratem tego, którego chciano jej narzucić dla jakichś widoków familijnych...

REJENT. To ten dowcipniś kroi na nią, nic z tego!

GENIO. Zwierzył mi się, jako kolega szkolny. Jakże pozytywnie, kiedy ojciec lubi to wyrażenie, możnaby nazwać mój postępek, gdybym wiedząc o tym, wchodził mu w drogę?

REJENT. Ma bzika, daję słowo! Ależ, mówię ci, że to nigdy nie przyjdzie do skutku!

GENIO. To już nie moja rzecz... a zresztą mnie się podobała ta panienka, którą tu ojciec widział przed chwilą.

REJENT. Co? ten podrzutek, rozpustnica, która bałamuci Seweryna?

GENIO *(surowo)*. Proszę ojca, wszystko ma swoje granice, nawet żarty.

REJENT. A tom się doczekał pociechy! ależ nieszczęśliwy, zamydlono ci oczy!...

GENIO. Wiem o wszystkim od Antoniego... jego brat chciał nadużyć jej położenia w tym domu, a teraz w widokach nikczemnych porzucił ją, bez względu na stan jej serca.

REJENT. Tak jest, bo zadurzona w nim bez pamięci. *(Szydersko)*. I ty pomimo to, chcesz mu ją zdmuchnąć, tak na prędce? to już nie wiem, czy głupota, czy zarozumiałość!..

GENIO *(dotknięty)*. Wspomniałem, że występuję tylko w roli lekarza... Gdybym chciał przybrać inną w tej chwili, byłbym głupcem prawdziwym, a pozytywizm uczy, że to jest najgorszą kwalifikacją do dopięcia jakiegokolwiek celu...

REJENT. Idźże do djabła wraz z twoim pozytywizmem *(chodzi... po chwili)*. No, koniec końcem jestem zrujnowany, zarżnięty przez własnego syna!

GENIO. Rozmówimy się, jak ojciec będzie w stanie słuchać z zimną krwią.

REJENT. Przeklnę cię!

GENIO. Po głębszym zastanowieniu ojciec tego nie zrobi.

REJENT. Zrobię.

GENIO. W każdym razie namysł nie zawadzi. *(Wychodzi środkiem).*

Scena VIII.

REJENT *(sam).* Otóż są skutki, gdy się takiemu mędrkowi we łbie przewróci... ręczę, że we własnym przekonaniu ma się za kolos prawości i cnoty... a ojciec naturalnie zbłaźnił się.... dlaczego? dlatego, że chciał szczęścia dziecka... *(Po chwili).* Wielki kryminał, którego na sto kojarzących się par, przynajmniej z jakie dziewięćdziesiąt dopuszcza się bez skrupułu!

ANTONI MAŁECKI.

Urodzony r. 1821 w W. Ks. Poznańskim. Od r. 1850 — 53 był profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, potym uległ prześladowaniom rządu giermanizującego, od r. 1856—1873 wykładał literaturę polską na Uniwersytecie Krakowskim. Pisał sztuki konkursowe, z których obecnie grają jeszcze *Grochowy wieniec* (1855), Studja nad filologją klasyczną i polską, w ostatnich czasach także historyczne; zasłużył się dziełem o Słowackim (1867), którym poraz pierwszy spopularyzował imię poety, jakkolwiek do ostatniej doby jego twórczości odnosił się chłodno.

Z DZIEŁA: Juljusz Słowacki.

Rozbiór «Mazepy».

Słowacki w końcu roku 1839 i początku 1840 Mazepę nie tworzył, ale tylko przerabiał. Nad robotami tego rodzają cięży zwykle jakiś fatalizm. Dawny zamiar poety nie daje się zupełnie pogodzić z nowym. Dawne niedostatki kompozycji ustępują zwykle miejsca... nowym znowu niedogodnościom. Rzecz się naprawia i psuje równocześnie. Zdaje się, że i ówczesna praca naszego wieszcza nie stanowiła wyjątku

od tej tak powszechnej reguły. Szczegóły dramatu zyskiwały może na wykończeniu: jednolitość ucierpiała z powodu takowego przelewu.

Stało się z Mazepą, jak z Don Karlosem Schillera, o którym sam autor jego przyznał, iż widać to na nim aż nadto, że to nie płód jednej wiosny, ani odlew jednego rzutu. W pierwszej połowie dramatu niemieckiego poety toczy się wszystko około postaci infanta hiszpańskiego, w drugiej mu stanowczo wyrasta nad głowę jego przyjaciel (Markiz Poza), gromadzący odtąd w roli swojej całą wagę intrygi, jakby był bohaterem tragiedji.

Na ten to karb wyjątkowych okoliczności, dotyczących samego już sposobu, w jaki powstała sztuka, którą mamy przed sobą, kłaść więc wypadnie niedostatki, które wytknąć zamierzam. Zdaje się, że w pierwotnym kształcie Mazepy najznaczniejszą rolę w przebiegu intrygi dzierżył w rękach paź królewski, którego też imieniem dramat został nazwany. Z tej redakcji najwięcej pozostało w obrębie dwuch pierwszych aktów. Mianowicie godzi się wnosić, że akt pierwszy pozostał w niej prawie nietknięty w obecnym składzie. Stądto też na początek właśnie utworu, na ekspozycję, przypadło najwięcej takich ustępów, które słusznie zaczepiać może krytyka, jako psujące przejrzystość akcji. Są to szczegóły nietylko nie należące do rzeczy, ale nawet rzucające na nią światło fałszywe i zwodnicze.

Tak naprzykład zapytać można, co znaczy w Mazepie to, zaraz na samym wstępie dane, wprowadzenie figury kasztelanowej Robronckiej, która się zupełnie gdzieś zapodziewa w dalszych aktach? Rola ta w dramacie jest co się zowie zbyteczną, a spotykamy ją tu nałożoną kolorami, jakby to był jeden z pierwszych całego zawikłania czynników. Jest to żuk, co nie widzi dla siebie żywiołu, jak tylko w kale, i radby wszystko, co jeszcze kałem nie jest, w brud i zgniliznę zamienić. Pomijam, że ta kasztelanowa jest ze strony dziejowej prawdy anachronizmem. Nie można sobie wprawdzie wieku Jana Kazimierza wystawiać jako czasów, co się zowie arkadyjskiej czystości. Działy się i wtedy już rzeczy, o których się naszym tuzinkowym epoki tej wielbicielom ani śniło. Lecz był wtedy przynajmniej zawsze na tym, co się zdrożnego tu i owdzie dziać mogło, jakiś pokost przyzwoitości i dekoracji pozornej, która dopiero w drugiej ośmnastego wieku połowie ulotniwszy się w nicość, odkryła zepsucie w całej nagości. Takiejto bezczelnej otwartości typem skończonym jest właśnie pani Robroncka. Autor przeniósł tę paskudnicę wielkiego świata żywcem z epoki Poniatowskiego i niesłusznie ją umieścił na *tle*

czasów o całe sto lat rychlejszych. Ale jak rzekłem, dajmy tu pokój historji, i nie zaczepiajmy tej figury z powodów, które nie mają bezpośredniej wspólności ze sztuką. Lecz właśnie to względy sztuki najsilniej protestują przeciwko wprowadzeniu roli tej w dramat. Jest to w nim, co się zowie, piąte koło u woza. To też toczy się ono przy nim tylko przez ciąg pierwszego aktu — a potym odrzucone zostaje na bok, żeby darmo nie zawadzało biegowi dalszej osnowy.

Wątpić wcale nie można, że w pierwotnej postaci „Mazepy" musiała Kasztelanowa zajmować o wiele ważniejsze miejsce. Poeta, zdaniem moim, zbłądził, że w przerobieniu nie przydzielił jej znaczniejszej roli, jeśli ją już koniecznie chciał zatrzymać w dramacie. Chodziło tu widocznie o owo tak jaskrawie rzucone zarekomendowanie pazia królewskiego przed Amelją (a zarazem i przed widzami), włożone w scenie trzeciej i czwartej pierwszego aktu właśnie w usta pani Robronckiej. Do tej funkcji nie nadawał się snadnie żaden inny z ludzi tragiedji, któryby tu mógł godnie zastąpić Kasztelanową. Nie można tego jednak uznać za dostateczną przyczynę zatrzymania tej figury w obecnym kształcie dramatu.

Równie uważam za niefortunny tylko wynik dwukrotnie podejmowanej pracy nad niniejszym utworem, ową przydłuższą scenę opowiadaną (drugą w akcie pierwszym), w której dowiadujemy się od pana Chrząstki o śmiesznym zajściu zakulisowym pomiędzy jakiemiś Marszałkami dwuch stronnictw sobie przeciwnych, wjeżdżającemi równocześnie w bramę zamku Wojewody. Chodziło widać autorowi o odsłonienie obłudy, o skonstatowanie dumy zawistnej, przywdziewającej zawsze płaszczyk uprzejmej wobec drugich uniżoności, jako cechy owego wieku wogóle, a rzeczonych dwuch naczelników szlachectwa w szczególności. Może dążność taka właśnie w pierwszej redakcji Mazepy wynikała z założenia. (Wszakże i sam Wojewoda nie zdaje się być wolnym od podobnego przymiotu. Klęka w akcie pierwszym przed królem i zabiera się do ściągania mu z nóg obuwia... A potym jaka pycha odchyla się w tym człowieku nawet i przeciwko królowi!). Owoż opowiada pan Chrząstka, jak żaden z owych Marszałków wziąć kroku przed drugim niby to nie śmiał. I jeden krzyczał: niegodny! i drugi — niegodny! A skoro tylko koniec końcem jeden poważył się wreszcie ruszyć z miejsca i wjechać do zamku jako pierwszy, to się drugi tak tym oburzył, że przyszło do bijatyki.... W obecnym składzie Mazepy cała ta scena nie ma najmniejszego związku ani z główną osnową sztuki, ani nawet z żadnym ubocznym jej szczegółem. Tych dwuch Marszałków wcale nie spotykamy na scenie. Artystycznie wklejony jest ten epizod niezręcznie,

bo za pośrednictwem przydłuższego o nim tylko opowiadania, które zawsze dramatyczność oziębia. Pomysł sam, kulminujący w obrazie utknięcia w ciasnym korytarzu dwuch tych szlachciców „brzuch z brzuchem, nos z nosem", także jest niesmaczny i mało prawdopodobny. Słowem jest to scena pod każdym względem tak niepotrzebna, że w interesie reputacji „Mazepy", życzyć wypada, ażeby przynajmniej kiedy się rzecz tę daje na scenie, czynili tu reżyserowie, co do ich obowiązku należy *).

Najbardziej jednak niefortunnym następstwem tej w różnych czasach podejmowanrj pracy nad sztuką obecną, będzie niezaprzeczenie szczególna niejasność włożonego w nią zamiaru. Czytelnik widzi się przez cały ciąg „Mazepy" w niepewności, o co tu głównie chodzi? Ani sposób znaleźć tu sobie ów punkt konieczny widzenia, z któregoby cała budowa dzieła we wszystkich zakątkach swoich dała się okiem przejrzeć na wylot. Niemałą trudnością okazuje się co do „Mazepy" nawet wyrozumienie: której z figur w nim działających przydzielono rolę bohatera lub bohaterki dramatu?... Pod tym właśnie względem chwiejność jest szczególnie uderzająca! W pierwszym akcie tak sobie postępuje Słowacki, jak gdyby mu chodziło raczej o zamaskowanie rzeczywistej intencji. Opowiadanie starej Kasztelanowej, co się zowie szczegółowe, o tym „złotym sowizdrzale", który wszystkim głowy zawraca, jeszcze nim się Mazepa w zamku Wojewody pojawił; zaraz potym awanturnicze przyjście tegoż na scenę oknem i ta nieznużona ruchliwość, z jaką on od pierwszej chwili wszystkie kąty domu wojewodzińskiego osobą swoją zapełnia — wszystko to dane jest w taki sposób i tak wydatnemi rysami, że kto nie zna dalszej osnowy, ani chwili wątpić o tym nie może, że w tej to figurze gromadzi się cały interes. Równie prawie ważnym czynnikiem akcji jest Mazepa i w akcie drugim. Zuchwałe spotkanie się jego z młodą żoną Wojewody rankiem w ogrodzie — skarga, z jaką ona właśnie z tego powodu zaraz potym występuje przed królem — bezpośrednie tejże skargi następstwa — wreszcie zajście między Zbigniewem a Mazepą w wybornej owej scenie, w której zrazu obaj walczą ze sobą, a potym się godzą i przyjaźń zawierają: są to właśnie najcelniejsze tego aktu ustępy. Na mocy scen powyższych, widzowie tworzą sobie odrazu

*) W rzeczy samej dawany był we Lwowie w r. 1864 „Mazepa" po raz pierwszy z wykluczeniem zupełnym całej tej sceny, z niewątpliwą korzyścią dla ogólnego wrażenia. — Żałować należy, że żadną miarą, przez wzgląd na związek pozwolić sobie nie można podobnego wyrzucenia, lub choćby tylko skrócenia tych scen, gdzie występuje Kasztelanowa. (P. A.).

pewne wyobrażenie o wzajemnym stosunku osób do sztuki wprowadzonych. Rolę Mazepy poczytując za pierwszorzędną, właśnie przeto rozumieją, że schwycili już w rękę tę nitkę Arjadny, która ich będzie wiodła przez wszystkie przygody dalszej zawikłanej intrygi. Rozpoczyna się akt trzeci. Mazepę zamurowują w alkowie Wojewodzinej. Mniemany bohater... na długo znika ze sceny. Pod koniec czwartego aktu zjawia się wprawdzie na nowo. Lecz — już tylko w roli sprawozdawcy i pomocnika w sprawie, która nie z niego idzie, nie jego najgłówniej tyczy i nie od niego zależy!... Natomiast wydostaje się na wierzch, od trzeciego aktu począwszy, inna postać. Postać ta w aktach początkowych zajmuje miejsce poślednie. Rośnie ona i tam już wprawdzie przed oczyma naszemi, lecz tak zwolna, tak gdzieś stojąc na drugim planie obrazu, tak pod osłoną cienia rzuconego przez inne około niej figury, że kiedy wreszcie w owej pełnej dramatycznych efektów scenie, w której przychodzi do zamurowania alkowy, spotykamy się z Wojewodą oczy w oczy, jako z demonem bez litości i grozy, który cały ruch akcji porywa w swoje ręce, ażeby tego władztwa nie oddać już odtąd nikomu drugiemu aż do samego końca dramatu: — to doznajemy uczucia jakby... jakiegoś zawodu. Widząc się tu zmuszonemi do powiedzenia sobie, że więc Wojewoda jest tą najdramatyczniejszą ze wszystkich figur, której patos ma stanowić właściwej tragiedji przedmiot: doznajemy niemiłego uczucia, żeśmy się tego nie domyślili i że wrażenia nasze, otrzymane aż dotąd, trzeba, że tak powiem przestawiać i przerabiać...

Ale co ze wszystkiego najgorsze, to, że i ten drugi, ten nowy punkt widzenia nie długo zaspakaja! Przebiegszy tragiedję całą, myślący czytelnik żadną miarą zgodzić się na to nie może, żeby wszystkie włókna tej osnowy zbiegać się miały w ręku starego męża Amelji. Są charaktery w tym dramacie, są motywa w całym jego rozprowadzeniu, w które wniknąć z tego punktu widzenia wcaleby było niepodobieństwem. Zatym nie pozostaje, jak chyba powiedzieć sobie, że jedno z dwojga: albo dramat ten zupełnie się autorowi nie udał, albo ktoś inny chyba musi być w nim charakterem dominującym... Jeśliby o to tylko chodziło, kto w Mazepie, ma najczynniejszą rolę, kto najjaśniej wybucha namiętnościami, kto najwięcej ze wszystkich huczy i drugich tyranizuje, wreszcie czyja rola dla aktora jest najwdzięczniejszą do odegrania i t. d., to nie przeczę, że na te wszystkie zapytania odpowiedziećby tylko można słowem: Wojewoda! Pokazuje się wszelako właśnie z obecnej sztuki, że na definicję tego, co to jest być bohaterem utworu scenicz-

nego, nie wystarczają te zewnętrzne kryterja. Najczęściej one spotykają się wprawdzie z przyjętą rzeczy tej definicją: prawdziwa wszelako istota takowej na czym innym polega. Bohaterem dramatu jest ta jedynie figura, która idealnie zajmuje sam jego środek: tak, iż wszystko, co tylko do treści dzieła należy, okazuje się być promieniem wynikającym z tejże roli centralnej. Rola Wojewody żadną miarą nie ma tego stosunku ani do innych figur, ani do całości sztuki. Ze stanowiska wytkniętego przypuszczeniem, jakoby namiętność Wojewody była tu głównym tematem, na podobieństwo szekspirowego Otella, tylko z tą od niego różnicą, iż tu ta monstrualna zazdrość rozwija się na tle dawnego obyczaju polskiego — z tego mówię stanowiska, niepodobną jest rzeczą wcale rozbierać Mazepy Słowackiego.

W Szekspira sztuce wszystko się na to składa, ażeby Otella krok za krokiem wprowadzić w ten szał tragiczny, który całe szczęście jego niweczy i przywodzi go do tego, że żonę niewinną i najserdeczniej kochaną morduje. Okoliczności nadzwyczajne, zachodzące przy zaślubieniu Desdemony — przekleństwo ze strony jej ojca — niemniej rodowe, a raczej rasowe pochodzenie Otella — jego osobista przeszłość, szpetność jego powierzchowności — nareszcie przewrotna niegodziwość Jaga, który się uwziął na to, żeby małżonków poważnić: — wszystko to zbiega się w tym jednym punkcie, żeby wzbudzić w Otellu tę kolosalną namiętność, pod której władzą go oglądamy w drugiej połowie utworu. W dziele Słowackiego nic się zgoła na to nie składa, żeby obudzić w głowie Wojewody podejrzenie i nienawiść przeciw Amelji. Ani jej przeszłość, ani teraźniejsze jej zachowanie, ani nawet skryte skłonności nie dają do tego wcale powodu. Niema podżegacza, któryby sztucznie obudzał podejrzliwość w jej mężu. Całym źródłem zazdrości w Wojewodzie jest jego własna zapalczywość, jego zaślepienie, upór, duma — i trochę fatalizmu w zbiegu samych przypadkowych okoliczności. Te momenty żadną miarą nie wystarczają na to, żeby z tego charakteru utworzyć postać, którejby cierpienia i postępki były dostatecznym materjałem do stworzenia tragiedji...

Okazuje się tedy, że można przeczytać z natężoną uwagą całą tę sztukę, można ją widzieć kilka razy odegraną na scenie — i być w prawdziwym kłopocie, co odpowiedzieć na to, jeżeliby kto zapytał: o czyją namiętność w niej głównie chodzi i kto w niej jest pryncypalną postacią? Był rzeczywiście już nawet spór o to w lwowskich pismach czasowych, po odegraniu tam po raz pierwszy „Mazepy". W jednym dzienniku dano wzmiankę o tej reprezentacji, rozwiniętą z założenia, że

główną rzeczą jest w tym dramacie rola Amelji. Drugi dziennik wystąpił przeciwko temu twierdzeniu, dowodząc, że nie Amelja, lecz Wojewoda ma w „Mazepie" pierwszorzędne znaczenie. Nie byłoby dziwu, gdyby odezwał się jaki głos trzeci forytujący znowu na protagonistę tej sztuki szlachetnego, pełnego najwznioślejszych instynktów, a tak nieszczęśliwie kończącego w niej swój zawód Zbigniewa... Sam ten fakt, że mógł być spór taki względem tego pytania, upoważnia do wniosku, że założenie autora w „Mazepie" przeprowodzone być musi w sposób jakiś nieodpowiedni celowi. Nieodpowiedniość ta, o ile ona wynika z chwiejności jakiejś w prowadzeniu wątku dramatycznego, mogła być, jak się to już rzekło powyżej, skutkiem niejednolitej pracy autora nad tym utworem.

Jest jednak i druga jeszcze przyczyna, dla której „Mazepa" pod wskazanym wyżej względem nie czyni zadość koniecznym wymaganiom krytyki. Za przyczynę tę poczytuję brak znamion rzeczywiście tragicznych w roli, która w tragiedji naszej stanowić miała właśnie sam środek jeśli nie działania, to przynajmniej cierpienia tragicznego. Taką jest rola Amelji. O czym, ażeby się przekonać, chciejmy choć jednym rzutem oka spojrzeć na całą osnowę sztuki z punktu widzenia poety i w jego duchu.

Słowacki miał wprawdzie rzewne współczucie dla cierpień, dla boleści, dla łez, dla pragnień serca ludzkiego. Kochał istotę człowieczeństwa, ale... kochał ją i uznawał tylko w szczególnych, w upatrzonych i wyidealizowanych jednostkach. Dla ogółu, dla „tłumu" — poeta nasz nie miał serca. Zwykłą większość odsuwał od siebie ze wzgardą. Połowa jego poezji — jest to nieustanna walka z człowiekiem, jakim tenże jest w masie, w rzeczywistości, w obowiązujących społecznych formach, słowem, w tej rzeszy tysięcogłowej, która najszlachetniejsze indywidua pochłania, zamieniając im życie na jeden szereg nieprzerwanych goryczy, przykrości, rozczarowań, a w danym razie i udręczeń.

Zamierzył sobie i w obecnej sztuce wystawić dolę ziemską biednej takiej jednostki, osobistemi przymiotami upoważnionej do lepszego losu, niż jaki ją spotyka w jej otoczeniu. Tą jednostką, tą jedyną postacią w całym dramacie, z którą autor bezwarunkowo sympatyzuje, jest Amelja.

Przypadkową i obojętną zupełnie to jest rzeczą, że ją umieścił na tle stosunków naszych XVII stulecia, za panowania Jana Kazimierza. Cały akt pierwszy „Mazepy" w wielu względach przeznaczonym wprawdzie zdaje się na to, żeby nam poziomność wiekowi temu właściwą w różnych napomknieniach naznaczyć. O wiek siedmnasty jednakże i o jego w na-

rodzie naszym upadłość bynajmniej tu nie chodziło. Jakiekolwiek czasy byłby autor rzucił za tło utworowi swojemu, w każdym razie byłby on w nich ze stanowiska swego podnosił złe, przemagające nad dobrym. Pessymistą był nasz poeta. Że tu z przypadkowych przyczyn miał należeć do działających osób Mazepa, którego przygody w pierwszej redakcji sztuki zapewne traktowane były dosadniej: — wynikło stąd mimowolnie, że owa właśnie epoka posłużyła obrazowi za ramy, że przez to ten obraz otrzymał pozory historycznej tragiedji. Rzeczywiście niema tu zgoła historycznych żywiołów i z tego punktu nie można autorowi czynić żadnych zarzutów.

Biorąc rzecz w tym duchu, jak jest dana, przypatrzmy się z blizka bohaterce dramatu. Widzimy ją od pierwszej chwili postawioną w położeniu nader trudnym. Jest żoną człowieka, do którego nie zbliża ją ani wiek, ani serce. Całe usposobienie Amelji, potulne i tkliwe, a ile wnosić, nawet pewnie i stosunki towarzyskie dawniejsze, nie rymowały z jej położeniem w tym domu. Wojewoda—to magnat, starzec, człowiek popędów impetycznych i samowładnych, dumy twardej i samolubnej. Popędliwość jego zdolna jest wystawić na szwank życie nawet najdroższych osób *). Zaślepienie jego nie zna granic, jeżeli raz weźmie zapęd w pewnym kierunku. Nie jest on wprawdzie wyzuty z uczuć ludzkich, które na spodzie serca ukryte, lepsze są, niźli jego postępowanie; ale się wstydzi okazać, że je ma!

„Ba, pańskiemu czołu
Coś cięży, coś dolega — wstyd samego siebie.
Ja go znam. On się prędzej pod zamkiem zagrzebie,
Niż przyzna się do żalu...
To panisko dumne!
Ja go znam: taki dzieckiem był i pójdzie w trumnę.
Ja go znam — to dotkliwy jest pan na honorze" **).

Tak go opisuje stary sługa, który nie na to słowa te mówi, żeby Wojewodę oskarżać, ale raczej żeby go uniewinnić; dobiera więc słów ile możności eufemistycznych na określenie tej szorstkiej i samolubnej natury.

A Amelja? — Posłuchajmy co o niej trzepie stara Kasztelanowa, kiedy ją widzi po raz pierwszy:

---

*) Powiada mu Zbigniew w akcie III: „Ojcze, o będzie ze mną tak jak z moim bratem, którego ty zabiłeś przed laty niechcący". (P. A.).

**) P. II. 197.

Cóżto jest za dzieweczka? ze skrzydeł motyla
Trzewiczki ma — na głowie bez żadnego fiocha —

ZBIGNIEW.

To Mościa Dobrodziejko jest moja macocha.

KASZTELANOWA.

Ta młodziutka? To jeszcze dziecko! — A proszę cię
Bądźże mi przyjaciółką, moje piękne dziecię!
Uważaj mię jak swoję. — Cóż? jaka ty ładna!
A to panie Zbigniewie cud! Z sąsiadek żadna
Nie wyrówna.— Nie płoń się, starej wolno mówić *).

Takto więc dobrane jest ono stadło. Kto je złączył? — Bogu chyba wiadomo! Poeta o tym nie mówi. Łatwo odgadnąć, że wzajemna skłonność nie była tu dziewosłębem. Groźny rozkaz rodziców, albo krewnych lub opiekuna — to była najpewniej cała przyczyna, dla których znalazła się biedna sierota w objęciach możnego pana. Po takim ślubie jakie być może pożycie? Amelja wprawdzie ani słowem nie skarży się na swą dolę, gdyż ją poczciwie, ulegle, cierpliwie znosi. Ale podobno bynajmniej nie rozmija się stara Robroncka z istotną prawdą, kiedy powiada, już w chwili pierwszego poznajomienia się z młodą Wojewodziną:

„Tobie tu jak białemu gołębiowi w klatce!
Ten zamek bardzo smutny, tobie trzeba słońca" **).

Owoż w takichto stosunkach postawioną kobietę wprowadza Słowacki w zawikłania, które jako wyjątkowe, nieprzewidziane i nie od jej woli zawisłe, trudność jej położenia przemieniają w zawód pełen okropności i męki. Widzimy w Amelji przedmiot pokuszeń i ubliżeń, posądzeń i oskarżeń, nakoniec ofiarę brutalnej bezlitości—i to ze strony osób, których rzeczą było właśnie bronić czci i pokoju takiej istoty — jeżeli już nie na mocy praw i wynikających z niej obowiązków w sferze rodziny, to z mocy najwyższej politycznej władzy nad społeczeństwem. Król, wystawiony tu w całej szkaradzie cynizmu — dworzanin jego, lekkomyślny, niesumienny, zepsuty światem, choć nie bez szlachetnych usposobień, które niekiedy

*) P. II. 148. **) P. II. 148.

dają się z ust jego słyszeć — pasierb warjat, rozmiłowany i niby idealny, gotów życie dla Amelji poświęcić i nawet poświęcający się w końcu, ale bez najmniejszego pożytku, gdyż miłość jego jest występną, a z takich źródeł wynikają same tylko zgubne następstwa, choćby były zamierzone w najlepszej myśli... nareszcie sam Wojewoda, w zaślepieniu zaciekle dochodzący doznanej obrazy — nie tam, skąd ta obraza wyszła, ale na osobie najboleśniej właśnie oną dotkniętej: — oto najgłówniejsze typy w dramacie, których działanie samowiednie i bezwiednie składa się na to, żeby intrygę rozpoczętą tak zagmatwać, tak splątać, tak zawikłać w jeden kłąb nierozdzierzgnionych nieporozumień, iż życie na takim świecie staje się dla tej bezbronnej, niewinnie potępionej kobiety prawdziwym niepodobieństwem i zmusza ją do przecięcia tego pasma udręczeń — samobójstwem.

Otóż nastręcza się pytanie, czy natura z takich stworzona żywiołów, czy rola w taki przeprowadzona sposób nadawała się na charakter, zajmujący to główne miejsce w dramacie, jakie zapełnia nasza heroina w „Mazepie?"

Nie tylebym tu jeszcze był skłonny kłaść przycisk na tym, że rola Amelji, jako zupełnie bierna, nie zdaje się być w należytym stopniu dramatyczną wogóle. Przyznaję wprawdzie, że utarte nasze o poezji pojęcia, czy takowe są wysnute z teorji sztuki, czy w praktyczny pozyskane sposób z rozpatrywań najcelniejszych arcydzieł, żądają tego koniecznie, ażeby z rąk bohatera dramatu wychodziła rzeczywista inicjatywa całego przebiegu sprawy, która się toczy. Pierwszorzędne role bywają zazwyczaj nie tylko najsympatyczniejsze dla widzów, ale i najwięcej czynne. Na tym polega głównie ich waga, jako dramatycznych czynników. Od tej reguły jednakże w sferze poetyckiej praktyki zdarzają się przecież czasem wyjątki. Król Lir Szekspira, naprzykład, przeprowadzony jest przez całą dalszą sztukę jako zupełnie biernie tylko zachowująca się osobistość. Z wyjątkiem pierwszej sceny, gdzie Lir dzieli królestwo swoje między dwie córki najstarsze, a trzecią niesprawiedliwie wydziedzicza i od serca swego odtrąca, cały dalszy przebieg tragiedji jest to już ciąg nieprzerwany samych ciosów niewdzięczności i prześladowań, które na starca tego spadają. Mimo tak przeważnej zawisłości bohatera tragiedji, zaliczają przecież wszyscy rzeczony utwór największego z dramatycznych wieszczów europejskich do jego robót najgienjalniejszych.

Na mocy tak wymownego przykładu ze strony dawniejszej dramaturgji, byłoby tedy to uszło i naszemu poecie, że stworzył heroinę w tej sztuce w sposób, jak ją widzimy przeprowadzoną. Jego Amelja, choć nierównie więcej znosi, ani-

żeli czyni, zajmuje przecież już przez to sam środek w rozbiegu akcji, że działanie innych osób bez wyjątku do niej i tylko do niej się ściąga. W jej roli tedy mamy węzeł, łączący w jedno wszystkie szczegóły. A brak dramatycznej czynności może tu być tłumaczony uwagą, że przecież to postać niewieścia...

Natomiast upatruję stanowcze uchybienie poety co do kreacji Amelji w innej okoliczności. Bohaterka Słowackiego niczym nawet biernie się nie przyczynia do tego, że z jednej strony przewrotność i namiętność otaczających osób, z drugiej sam nawet zbieg przypadkowych okoliczności przeciwko niej się obraca. Amelja nie wyzwała rzeczywistości do walki; nie zaczepiła jej wcale! — Bez zaciągnienia samochcąc winy, cierpienia nie sprawiają wrażenia prawdziwie tragicznego. Kara i cierpienia mogą być nierównie sroższe niż przewinienie: czasem, im nierówniejszy jest ten stosunek, tym więcej na tym zyskuje odnośna osobistość tragiczna. Ale jakiś powód do tego wszystkiego, co jej znosić przychodzi, koniecznie winien być przez nią dany. Cierpienia i gorzkie rozczarowania Lira nie byłyby miały miejsca, gdyby nie własna jego wola, z niesprawiedliwością i ślepotą, uporem wyzywającym, w czyn zamieniona na samym wstępie tragiedji. Wszystko, czego on po tym od dzieci swoich doznaje, są to tylko następstwa jego własnego czynu. Dał do nich powód, wywołał je: chociaż dopiero nieprawość drugich jest źródłem, z którego wszystko z taką jaskrawością wynika.

Podobnego przyczynienia się do cierpień, jakie w naszym dramacie znosić przychodzi Amelji, żadną miarą dopatrzyć się nie można w całym jej postępowaniu. Rola jej tak jest przeprowadzona, że jej nigdzie nic zarzucić nie można. Są wprawdzie w pierwszych scenach aktu pierwszego, są i w dalszym toku sztuki miejsca, które — jeżeli się po raz pierwszy dramat ten czyta — zdają się na razie być zdolnemi wykładu, źle uprzedzającego o tej osobie *). Wykład takowy prostuje się jednakże na jej stanowczą korzyść w dalszym toku działania. Nawet w stosunku do Zbigniewa, nie można nic takiego upatrzyć, coby Amelję oskarżało. On nią zajęty od pierwszej chwili, to

*) Mam tu na myśli naprzykład owe słowa: „O Boże, król!" które wymawia Amelja, słysząc wystrzał armatni, zwiastujący przybycie Jana Kazimierza. Podobnie wątpliwemi zdawać się mogą i wyrazy: „O Boże!... Tak mi coś na sercu smutno!" z któremi się odzywa, kiedy Mazepa z natręctwem się jej narzuca. Nie są to jednak objawy niepewności siebie samej wobec tych ponętnych ułud i stąd trwogi o przyszłość, ale przeczucia możliwych następstw, uzasadnione świadomością stosunków. (P. A.).

prawda. Ona jednakże nie tylko nie podziela tych uczuć, ale się nawet nie domyśla, że jest kochaną. Stąd też ta naiwna swoboda, z jaką się z pasierbem swoim obchodzi (naprzykład na końcu aktu drugiego, w owej scenie z lilją). Dopiero w akcie trzecim, kiedy słyszy od Zbigniewa, że odjeżdża i to na zawsze — kiedy go widzi przed sobą, walącego się bezwładnie na kolana, i na pożegnanie żądającego błogosławieństwa — na całą wieczność: — wtedy dopiero otwierają się przed oczyma Amelji widoki, równie jej dotąd nieznane, jak uczucia, które w niej teraz dopiero się rodzą. Po mistrzowsku przeprowadził Słowacki tę skalę psychicznych odkryć, tę rosnocą stopniowość usposobień, słowem, tę gienezę miłości zapalającej się w wolnym aż dotąd sercu, jak prochy iskrą dotknięte — niby znienacka, raptownie, nagle, doraźnie, a jednak nie bez tych przejść pośrednich, niewidomych zwykłemu oku, bez których niema potężnych wzruszeń w naturze ludzkiej. Przychodzi więc w taki sposób, jak gdyby do wyznania miłości.

W tej scenie jest perypetja roli Amelji, a zarazem z nią byłby tedy i pozór winy, którą ona niby popełnia i za którą cierpi następnie.

Pozór ten atoli złudnym się okazuje natychmiast. Bezpośrednio po wyrzeczeniu mimowolnym pierwszych słów, zdradzających jej stan wewnętrzny, odzyskuje macocha Zbigniewa świadomość obowiązku swojego i silną wolą nie tylko broni się przeciwko uczuciu, które ją znienacka już owładać poczęło, ale je nawet i zstrząsa z siebie.

„Jaka plama
Dla mojej czystej duszy tak z Waćpanem gadać
Jak gdybym rozumiała! — Nie chcę o nic badać —
Ja będę wiecznie Boga za ciebie prosiła. —
Nie bój się: my niewinni! Bóg cierpienia zsyła,
Ale można spokojność wyprosić u Boga.
Ja Pana żegnam wiecznie".... i t. d. i t. d. *).

Gdyby Amelja odkrytą miłość pasierba o d r a z u tym tonem była odsunęła od siebie, byłoby to wprawdzie może jeszcze chwalebniej, niż jak się stało. Czyby to jednak wyglądało na wielkość duszy i z innych względów? — to, mi się widzi, inne pytanie. Heroizm taki tegoby tylko dowodził, że Amelja nic nie czuła dla Zbigniewa; że go odprawiła... bo ją to nic nie kosztowało. Niema w tym wielkiego tryumfu, być tam

*) P. II. 185.

zwycięzcą samego siebie, gdzie nie było żadnej walki, gdzie nawet pokuszenia nie było. Lecz doznać całej potęgi ułudnego na bezdroża pociągu, a jednak ten pociąg stłumić szlachetnie w zarodzie: to chwała i zasługa prawdziwa.

Okazuje się zatym, że nawet w tych zawikłaniach z pasierbem nie podlega postępowanie Amelji żadnym zarzutom, z zwyczajnego moralnego stanowiska ją sądząc. Lecz właśnie ta jej wyższość nad wszelkie z tego względu zarzuty nie odpowiada koniecznym żądaniom sztuki. Warunki tragiczności wymagały czego innego. Im doskonalszą w ogólności jest Amelja kobietą, tym słabszą jest heroiną dramatu: bo wśród wszystkich tych cierpień, które jej przychodzi znosić w dalszej osnowie tragiedji, aż do ostatniej sceny, widzimy w niej tylko niewinną ofiarę, pokutującą za grzechy, których nie było. A tragiedji celem nie jest bynajmiej wystawiać ofiary i męczennice, lecz namiętności ludzkie, na tle których, nawet wiekuiste ideje przybierają kierunek doczesny i ku ziemi ciężący...

Nie tylko ze strony wymagań sztuki, ale i z etycznego punktu widzenia, rzecz ta nie może być nazwaną inaczej, jak zbłądzeniem poety. Cierpienia ani niezasłużone, ani wynagrodzone — to najwyższy fałsz w świecie ducha! W doczesnej rzeczywistości wypadków takich wprawdzie niestety aż nadto. Ale doczesna rzeczywistość — to tylko fragment całości, której tak początek, jak koniec idzie po za granicę widnokręgu śmiertelnych. Nie dziw tedy, że my jej nie rozumiemy. Poezja jest odbiciem nieskończoności. Poezja nie jest na to, żeby powtarzała ułomności nędznej naszej egzystencji na ziemi.

Desdemona w sztuce Szekspira, w której także zazdrość męża stanowi główną sprężynę akcji, ma na pozór wiele podobieństwa do naszej bohaterki. I ona kończy smutnie, a zupełnie niewinnie. Ale z jakążto starannością baczny był na to ten niezrównany mistrz w swojej sztuce, ażeby usunąć od nieszczęśliwej żony Otella tę woń i auroelę idealnej doskonałości, która w dramacie równie jest nie na miejscu, jak skończone i bezwarunkowe zbrodniarstwo. Cały akt pierwszy Otella temu jest poświęcony, ażeby przeprowadzić przed oczyma widzów w roli Desdemony antecedencje, wobec których dalsza jej dola jest tylko logiczną wynikłością własnych jej... jeśli nie lekkomyślnych, to zawsze nierozmyślnych, jeśli nie płochych, to w każdym razie, ekscentrycznych i na oślep popełnionych postępków. Mianowicie oddanie ręki takiemu człowiekowi— jest tam nietylko aktem jej własnej woli, ale mu towarzyszy jeszcze jaskrawe nieposłuszeństwo przeciwko ojcu, z którego domu podstępnie i obłudnie uciekła. Rzuca się tedy w to burzliwe

morze, które ją ma pochłonąć, samochcąc i przy niebłogosławieństwie rodzicielskim. A Amelja Słowackiego i z tej strony jest bez zarzutu.

Ujmując pod jeden widok wszystko, com w powyższym o obecnej sztuce powiedzieć za potrzebne uważał, przyznaję jej więc z jednej strony niepospolite zalety sceniczności, dla których też dramat ten na zawsze pozostanie równie dla widzów, jak dla utalentowanych aktorów pożądaną pozycją w repertorjach; obok tego jednak zarzucam jej rażącą niejasność co do intencji, w jakiej była pisaną. Wydobywszy zaś z pomiędzy różnych możliwych założeń, jakie się nastręczają, to jedno, w którym się ostatecznie mieścić zdaje rzeczywista myśl autora, przychodzimy do uznania, że przeciw niejednemu w tej dążności protestować koniecznie trzeba.

Rozmiar dzieła tego nie pozwala zastanawiać się nad pojedyńczemi ustępami „Mazepy", o których byłoby wiele do powiedzenia. Są w tej sztuce wielkie piękności, na które wartoby zwrócić uwagę. Są też i mniej szczęśliwe, lecz zbyteczna szczegółowość nie byłaby tu na miejscu: poprzestaję zatym na rozpatrzeniu powyższym samych tylko ogólnych względów.

WŁODZIMIERZ SPASOWICZ.

Urodzony 1829 r., przez krótki czas profesor prawa na uniwersytecie petersburskim, adwokat, polityk, prawnik uczony i krytyk literacki. *Dzieła* w zbiorowym wydaniu obejmują 8 tomów, oprócz nich *Dzieje literatury polskiej* (1885).

Mocno tendencyjny we wszystkich swych pismach, rozsypał w nich jednak owoce ogromnego oczytania i niepospolitego daru analizy. Dla nich i dla głębokich nieraz uwag filozoficzno-estetycznych, zasługują one na głębsze, byle krytyczne czytanie.

Mowa w dzień setnej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza

(miana w Petersburgu 12 (24) grudnia 1898 r.).

Nie jesteśmy bardzo liczni jako naród, nie należymy do górujących i do takich, którym się powodzi, ale gdybyśmy mogli gdzieś z bardzo wysoka, z góry obejrzeć całą północną półkulę ziemską, wszystkie miejscowości, gdzie zalegamy chociażby mniej licznemi kupkami, dostrzeglibyśmy, że coś szczególniejszego się

świeci o tej dobie, jeśli nie o tej godzinie, że wszędzie rojno, że się palą świąteczne ogniki od Wilna i Warszawy przez Kraków, Berlin, Wiedeń, Lozannę, Paryż, aż do New-Jorku i do Chicago, może w San-Francisco i Władywostoku, a już najpewniej w Irkucku, Tyflisie, Moskwie i Petersburgu. Więc pewnym poruszeniem fizycznym, wywołanym pamięcią żywą o zrodzonym przez stu laty, a przed czterdziestu laty z górą umarłym człowieku, jest niby opasane ziemskie kolisko. Ten litwin własnego nawet kraju całego nie znał. Czcząc Kraków, jako Rzym słowiański, wyobraził go sobie jako miasto pod Tatrami, do Warszawy nie stąpił nigdy nogą, a o kongresowym Królestwie wyraził się raz arcyironicznie: „Pan z Litwy, a po polsku? nie pojmuję wcale. Ja myślałem, że w Litwie są wszyscy Moskale". Pierwsze 25 lat życia spędził ten litwin w kraju, a później na obczyźnie... Do tego okresu całkowicie pasowałyby słowa z „Boskiej komedji" Dantego:

„Doświadczysz jeszcze jak słono smakuje
Chleb cudzy, synu, i jak ciężka droga
Po cudzych schodach wstępować i schodzić,
A co najgorzej barki ci przygniecie
To ta drużyna niegodna i głupia,
Z którą pospołu spadniesz do tej jamy".

Podobny do Dantego i z gienjuszu i z gorącego a wielkiego serca wychodźca, był Mickiewicz tylko poetą, a nie zdał się na polityka. Obaj gonili za marzeniem, Dante za marą gibelińskiego jasnowłosego Cezara z za Alp, mającego Włochy opanować, a Mickiewicz za nieurzeczywistnialną marą mesjanicznej Polski. Nasz wychodźca prędzej jednak niż włoch doczekał się sprawiedliwości i uznania, bo tam, gdzie nawet nie był, stawiają mu spiżowe pomniki. Wprzód jeszcze, nim go zaczęto czcić pomnikami na rynkach, spotkała go cześć największa, jaka w XIX wieku okazaną być może poecie czy artyście: wydobyte z grobowca jego zwłoki przywieziono tryumfalnie do św. Stanisława na Wawelu i złożono obok zwłok Królów. Wybrany gienjusz opiekuńczy przestaje już być zwyczajnym rzeczywistym człowiekiem i staje się symbolem, w którego umyślowości i czynach naród dopatruje swoje własne dzieje.

Więc już nas prawie nie obchodzi Mickiewicz, jako przystojny młodzian o ognistych oczach i mocnych rumieńcach, który się zapalał i improwizował, który w wigilję Bożego Narodzenia 1827 roku w domu Żerbina, na placu Michajłowskim w Petersburgu, w mieszkaniu Rogalskiego, zaimprowizował całą tragiedję o Zborowskim, ten, który z tęsknoty za krajem dał

się pociągnąć w bezdenną toń mistycyzmu przez Andrzeja Towiańskiego, ą 1848 roku trochę apostoł, trochę prorok, namawiał podniesionym głosem Papieża Piusa IX do wstąpienia na tory rewolucyjne, umarł zaś w Konstantynopolu, pełniąc jakąś imaginacyjną misję.

Wszystkie drobniejsze charakterystyczne i anegdotyczne rysy nikną w oczach, a kwestja o wielkim mistrzu stawia się w takiej postaci: ta wielka postać dlatego jest wiekopomną i dziejową, że była wytworem wielorakich potęg i czynników, które się na utworzenie jej złożyły: ziemi, słońca, klimatu, składu społeczeństwa, prądów wieku, właściwości rasy. Wszystkie te wpływy ukształtowały jednostkę w pewną, tak udatną i tak niepodzielną całość, jaka się nigdy potym nie powtórzy. Wskutek tych wyjątkowo pomyślnych okoliczności, niedziałka owa z wybitnemi piętnami wieku, kraju, rasy i społecznego stanowiska swego, symbolizuje pewien naród w pewnej epoce, a dokonana przezeń pewna pokaźna ilość społecznej roboty, wpłynęła już i wpływać będzie bardzo długo na losy tak spółczesnego, jako i następnych, najdalszych pokoleń. Cała ewolucja tej jednostki, jako symbolizującej naród, sprowadza się do jednej głównej jego funkcji przeważającej, naczelnej, utrwalającej na przyszłość jej panowanie. Jest to zawiła kwestja, którą nasuwa chwila obecna. Zuchwały byłbym, gdybym zapowiedział, że ją rozwiążę. „In magnis voluisse sat est". Pozwólcie, że ją postawię i do rozwiązania jej zachęcę. Jak streścić, jak wyrazić rys przeważający, naczelny, symbolizujący całą poezję Mickiewicza?

Każda narodowość miała, albo i ma swój podkład państwowy historyczny. Od długiego współistnienia w jednym państwowym ogromie, chociażby ukutym cięciami miecza albo młota — wyrabiają się w ciągu pewnego czasu odrębne: literatura, sztuka i kultura.

Wszelki ukształt państwa jest kruchy, a nie może rozbić się przez to samo, że z biegiem czasu pojedyńcze grupy masują się w coraz większe ogromy, a więc ubywają mniej oporne i krzepkie, które innym, mocniejszym, nie dotrzymały kroku. Po rozbiciu się każdego już wyrobionego państwa, dla zawartej w nim duszy, dla wyrobionej w nim cywilizacji nastaje krytyczna chwila hamletowego zawahania się: być albo nie być? Po rozbiciu się nawy państwowej, może swojska, wyrobiona w państwie cywilizacja pójść na dno. Tysiące takich cywilizacji przepadły bez szczętu, zalane falami i prądami umysłowemi wszechświata. Jest wówczas do wyboru: albo zapomnieć o narodowych tradycjach, jako o rzeczy niepotrzebnej, zarzucić je, rozproszyć się, wynarodowić, albo z temi tradycjami, jako naj-

droższym ocalałym skarbem, wpłynąć na wierzch, jak wypływa oliwa na powierzchnię wody i posiłkując się niemi, jako kapitałem obrotowym, operować, nie wywyższając się nad innych, nikomu się nie narzucając, ale pracując na dobro i na pożytek ludzkości.

Naród, złożony z politycznych rozbitków, musi się organizować inaczej, niż przed rozbiciem, inną mieć komendę. Przodują mu już nie jak dawniej królowie, albo hetmani, albo prawodawcy, ale uczeni poeci, artyści, to jest mędrcy i wieszcze. Jak nad apostołami, po zesłaniu Ducha Świętego, latały w powietrzu ogniste języki, tak zawisały one po kolei i nad czołami wodzów odradzającej się narodowości, z których jedni są panami rozumów, a drudzy władcami serc i dusz, jak nad trójcą gienjuszów: Mickiewiczem, Krasińskim, Słowackim, nad Szopenem, nad Matejką. Samo powstawanie arcytworów umysłu i arcydzieł sztuki noszących wspólne piętno całkiem odrębnej narodowej Psyche, do żadnej innej nie podobnej, wystarcza na udowodnienie, że naród żyje i żyć będzie, bo, wedle słów Mickiewicza:

Ale równa jest wielkość, czy to światu władać,
Czy skutki wielkiej władzy nad światem wybadać.

Mickiewicz jest i będzie przedewszystkim i głównie tytanicznym poetą naszego polskiego nacjonalizmu w XIX wieku. Nie odrazu został on takim. Oda do młodości, spowiedź Gustawa w IV-tej części „Dziadów" nie zapowiadały nacjonalisty, a świadczyły o orlej lotów potędze, jakiej nikt po nim w takim stopniu nie posiadał i o szalonych burzach uczuć w całym sercu. Dopiero w celce u bazyljanów obiit Gustavus, natus est Conradus, i już odtąd niepodzielnie panuje, góruje i pochłania wszystkie inne uczucia w tym wielkim sercu — patryjotyzm. Ten pierwiastek poezji od wieków istniał, przynajmniej od Jana Kochanowskiego miał swój wyraz, ale Mickiewicz spotęgował go, nam go przyszczepił, nas tym pierwiastkiem, jak się niedawno o poetach wyraził L. Tołstoj, zaraził, i wpoił w nas to, że jak Walter, tak i każdy z nas „szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie". Ten grunt późniejszy od czasów wileńskich nadzwyczaj jednolitej poezji Mickiewicza, grunt ojczyźniany doskonale odczuł i wyraził najlepszy życiopisarz Mickiewicza, Józef Kallenbach, który całą działalność Mickiewicza ściska i streszcza w tych Mickiewicza wyrazach „ja i ojczyzna to jedno".

Wśród poetów świata, powiada Kallenbach, byli więksi rozumem, więksi darem twórczym, ale drugiego poety, któryby był dla narodu swego tym, czym dla nas Mickiewicz, nie było

dotąd. Ta ocena niezaprzeczenie słuszna, wydaje się jednak, jak gdyby była nieco kusa, niewystarczająca. Więc pojąć wielkość Mickiewicza mógłby tylko polak, więc jest to tylko największy polski poeta, ale może, nie dochodzący do miary wszechświatowych, jak Dante, jak Szekspir, jak Goethe, może nawet nie dający się zestawić z poetami drugiego rzędu, jak Schiller albo Byron. Budzą się wątpliwości, czy może być wszechświatowym poetą ten, który głównie apoteozował nie wszechludzkie uczucia, ale indywidualizm, odrębność między narodami, który nawoływał nie do pokoju, ale do walki. Są tego rodzaju zarzuty, które słychać szczególniej, ale dodam tylko urywkowo, w prasie rosyjskiej, mniej z Mickiewiczem obeznanej. Nie mogą dotąd mu darować Wallenroda, na którym się dopiero teraz poznali. Pragnąłbym kilku słowami dać tym głosom odprawę w obronie Mickiewicza.

Kosmopolityzm nic nigdy nie zbudował. Na scenę świata występowały po kolei wielkie dziejowe grupy narodowe, które się przyczyniały do postępów ludzkości, działając zbiorowo, wyśpiewując niby chórowe partje w wielkiej symfonji wszechludzkiej. Mickiewicz, wedle Kallenbacha, był twórcą jednego takiego wielkiego polskiego chorału. Dwa tylko narody były w tym położeniu w XIX wieku, że walczyły o światowe swoje istnienie: Italja i Polska; nic więc dziwnego, że ich poezje były przeważnie nacjonalistyczne, były do tego najzupełniej usprawiedliwione. Każdą rzecz można obniżyć i splugawić, nawet religję; czyż nie palono ludzi w imię Pana Boga? Czy kiedykolwiek nacjonalizm polski, którego apostołem był Mickiewicz, rozmijał się z ludzkością, czyż działał kiedy zaczepnie i podbijająco? Twierdzę, że nigdy, ani za młodu, ani później, ani przed, ani po przerodzeniu się Gustawa w Konrada, i na dowód powołuję się na śliczny wiersz Mickiewiczowski do Joachima Lelewela.

Mickiewicz bada w sobie fundusz narodowi wspólny, domowych, krajowych, ojczyźnianych tradycji:

Człowieku, sługo wieczny! bo nietylko zmysły
Ale i sądy twoje od drugich zawisły.
Pierś dziecięca ojcowskie napełniają czucia,
Gdyś młody, uciskają zwyczajów okucia,
Nieraz myślisz, że zdanie urodziłeś z siebie,
A ono jest wyssane w macierzystym chlebie;
Albo nim nauczyciel poił ucho twoje,
Zawżdy część własnej duszy mieszając w napoje —
A tak gdzie się obrócisz, z każdej wydasz stopy,
Żeś z nad Niemna, żeś Polak, mieszkaniec Europy.

Otóż ta polskość i ta dziejowo od niej nieodłączna europejskość, to jeszcze nie szczyt, ale początek tylko doskonałości, tylko punkt wyjścia po wskazanej drodze. „Z mniejszości postępujemy ustawnie do góry" by dojść tam,

Gdzie słońce Prawdy wschodu nie zna ni zachodu,
Równie chętne każdego plemionom narodu
I dzień lubiące każdej rozszerzać ojczyźnie,
Wszystkie ziemie i ludy poczyta za bliźnie.
A kto się w przenajświętszych licach jej zacieka,
Musi sobie zostawić czystą treść człowieka...

więc być wszechczłowiekiem. Takim wszechczłowiekiem był w całej pełni Mickiewicz, posiadał całą wiedzę tego wieku i był wtajemniczony we wszystkie jego aspiracje. Znał doskonale wonny, ale wcześnie odkwitły kwiatek renesansu: literaturę zygmuntowską, znał cały wiek XVIII z Rousseau i ze wszystkiemi naśladowcami francuzów stanisławowskiej epoki, wychował się na czułostkowości Rousseau, zmężniał na bohaterskich uniesieniach Byrona, przeszedł przez giermanomanję z Goethem i Schillerem, przez brytanomanję, to jest przez Szekspira, znał na wylot estetyków spółczesnych niemieckich i francuskich. Kiedy znalazł się w Petersburgu, żaden z najbardziej oczytanych rosjan z wiedzy swej nie był mu równy, nawet sam Puszkin.

Otóż ze swego uzdolnienia, ze swojej wiedzy, ze swoich górnych lotów, Mickiewicz należy do tych wybranych wszechludzkich gienjuszów, które już nie mają narodowości, sam on był twórcą polskiego chorału w poezji wszechświatowej; miejsce jego pomiędzy największemi, jacy kiedykolwiek istnieli mistrzowie. Kallenbach powiada, żeśmy Mickiewicza nie objęli jeszcze i nie prędko go obejmiemy. Ja twierdzę, że nie objęła go i Europa. Ja sądzę, że imię i pamięć Mickiewicza jeszcze będzie długo i długo wyrastać, na chwałę ziemi, która go wydała.

STANISŁAW TARNOWSKI.

(Życiorys patrz str. 33).

O Mickiewiczu.

Próżna jest i niedorzeczna praca, mierzyć poetów i oznaczać, który z nich większy. Wystarcza wiedzieć, że ten należy do wielkich. Ale jeżeli nie można mierzyć i ustawiać poetów,

to można w każdym z nich szukać właściwych przymiotów i znamion, i można także zestawiać i porównywać dzieła. Mickiewicz, jako artysta, ma szczególny, prawie niezrównany dar żywości i plastyczności w postaciach i scenach, który stąd zapewne pochodzi, że instynktem, bez namysłu, umie, jak rzadko który na świecie, utrafić właściwą proporcję piękności i prawdy, rzeczywistości i poezji. Jak on to robi, my nie dojdziemy, i on sam nie potrafiłby może wytłumaczyć; ale fakt jest, że ten wielki problem wszelkiej sztuki, połączenie rzeczywistości z ideałem, przez Homera i przez Goethego nie jest rozwiązany szczęśliwiej, niż przez Mickiewicza w *Panu Tadeuszu*. Ten wyjątkowy dar epicki łączy się u niego, znowu w sposób bardzo rzadki z najwznioślejszym i najpotężniejszym natchnieniem lirycznym. To ma wspólne z Schillerem; ale czy wielki liryk i wielki tragik niemiecki byłby miał taki, jak on, gienjusz epicki, gdyby się był w tym rodzaju tworzenia próbował? Zapewne nie, tak jak Mickiewicz, mimo prób, nie miał równego jemu gienjuszu dramatycznego. Spojrzyjmy na dzieła. Weźmy cały, w początkach naszego wieku tak rozległy obszar powieści poetycznych, która z nich, Byrona nie wyjmując, będzie się tak zbliżała do wielkiej epopei, jak *Grażyna?* i która, tu zwłaszcza nie wyjmując Byrona, ma taką w sobie tytaniczną, wulkaniczną siłę namiętności, jak *Wallenrod?* która zwłaszcza ma tak wielki, tak potężny powód i pierwiastek swej namiętności? Pani Sand łudziła się pozorami, kiedy porównywała *Dziady* z *Faustem*, a uniosła się sympatją i pomyliła w sądzie, kiedy przyznawała *Dziadom* szerszy zakres i głębsze zasoby myśli. Ale jaka postać poetyczna, oprócz samego Eschylowego Prometeusza, większa będzie w takim prometejskim porywie i charakterze od *Konrada?* Podziwia się, i najsłuszniej, elegje Schillera *Spaziergang* albo *Künstler*. Inne rodzajem uczucia, inne treścią i celem, czy mniej od tamtych szlachetne formą, a głębokie myślą, będą: *Droga do Rosji, Pomnik Piotra W., Powódź Newy?* A sonety, w doskonałości równe najmisterniejszym, a zbogacone nowym kierunkiem, wyprowadzone przez Mickiewicza z ciasnego, i zawsze tego samego na szerszy i rozmaity horyzont. *Pan Tadeusz* wreszcie, któremu *Hermann* Goethego dorównywa artystyczną doskonałością, ale nie dorównywa ani rozmiarem, ani zwłaszcza wysokim charakterem i wrażeniem?

A teraz dopiero dodajmy, że ta zdolność i twórczość poetyczna, ożywiona, uskrzydlona, rozpłomieniona jest uczuciami, jakich żaden inny poeta mieć nie mógł, że tej poezji nie chodzi ani o piękność samą, ani o filozoficzne kwestje i prawdy, ale o wielką w dziejach ludzkości kwestję i sprawę, że ona

występuje jako oskarżyciel i świadek pomiędzy dobrem, a złem, pomiędzy prawem, a bezprawiem, i po dobrej stronie stojąc, dobrej sprawie służąc, ma na myśli i celu nie swój naród tylko i swoją ojczyznę, ale chce pomagać rodowi ludzkiemu całemu, a przez to służyć Bogu samemu. Porównajmy powody goryczy, namiętności, rozterki Byrona, porównajmy drogi, kierunki, i ducha jego szlachetnych oburzeń i szlachetnych pragnień, z temi, co są w Mickiewiczu, które będą miały powody sprawiedliwsze, a lot i kres wyższy? To rwanie w górę siebie, swego narodu, pośrednio ludzkości całej, to śmiałe, otwarte dążenie do Boga, stawiane wyraźnie jako obowiązek, to jest sam rdzeń duszy i poezji Mickiewicza — i to jest jej najwyraźniejsza cecha, ta, która się od wszystkich innych wyróżnia, pod tym względem nad wszystkich innych stawia. Mickiewicz odstał od swego Kościoła nieszczęściem: ale pomimo tego jest ze wszystkich poetów naszego wieku najbardziej religijnym, najbardziej chrześcijańskim, najbardziej wierzącym. Religijnego ducha i wiarę miał Dante, miał później Tasso, i Calderon, i Milton; mieli jeszcze Francuzi w XVII wieku. Wbrew temu, co się nieraz słyszy, a widząc i przyznając wiele pogaństwa u Goethego, nie mogę dostrzedz i przyznać bezbożności w autorze *Fausta;* Byrona oburzenia i bunty, to nieraz może wyraz uczucia religijnego, które się, jako takie, wprost objawić nie umiało, lub może nie miało dość szczerości i odwagi. Ale w żadnym z nich, nawet we wzniosłym idealizmie Schillera chrześcijańskiego niema nic, wiary ani źdźbła. U naszych poetów polskich jest wiara, jest chrześcijaństwo rzetelne i żywe i jest jako treść i dusza dziejów, jako cel i kres nie jednej duszy ludzkiej tylko, ale wszystkich dążeń, prac, praw i postępów ludzkości. Takie pojęcie świata, wielkim poetom innych narodów obce, stanowi najgłębszą właśnie, zasadniczą różnicę między niemi a Mickiewiczem — i jego wyższość moralną.

Jest różnica i w jego życiu. Z wyjątkiem Schillera, którego żywot jest dziwnie czysty i wolny od skazy, nie znajdzie się podobno jednego, którego sumienie byłoby tak czujnym, serce tak na wskroś dobrym, serce i życie tak mało sobą opanowanym, tak od samolubstwa wolnym jak Mickiewicza. Ma on, zwłaszcza w młodości, pokusy i upadki, zbyt na tym świecie częste, ma w latach późniejszych błąd wielki, towjanizm; ale nawet kiedy się łudzi i myli w swoim sądzie i postępowaniu, on wszystkiemi siłami swojej duszy dobrego tylko pragnie, szczerą i wytężoną wolą do Boga dąży, chce być coraz lepszym, postępować, wsnosić się wyżej sumieniem, wolą, cnotą.

Zrazu to tylko człowiek szlachetnego serca, pięknych uczuć, wielkiego talentu, wyższy od zwykłych ludzi, ale poeta, jak inny, w którym jego własne *ja*, jest jeszcze tak silne, że natchnienie swoje czerpie z tego, co jego samego obchodzi, co jego boli, co jest jego szczęściem lub cierpieniem. Na tym szczeblu, z tych uczuć osobistych tworzy on poemat wielkiej piękności, ale taki, jaki mógł napisać niejeden inny poeta. To Gustaw, to jego szczebel najniższy, na którym on sam jest dla siebie środkiem ciężkości świata, na którym jego dusza jest zajęta sobą, opanowana przez siebie. Stopień to w jego życiu najniższy, a przecież jest on w tej osobistości swoich uczuć tak wysokim, że to, co w nim najniższe, byłoby dla wielu wysokością, trudną do dopięcia. Jego miłość i boleść, chorobliwa zapewne, przez to dla niego szkodliwa i zła, jest czysta, prawa i szlachetna.

Na tym szczeblu stał chwilę, smutny i zniechęcony i myślał, że na nim skamienieje, wpatrując się w zwierciadło swojego cierpienia. Ale niebawem przyszły rzeczy, które wstrząsnęły jego duszą, kazały jej wyjść z siebie na świat, i obejrzeć się dokoła na to, co się na tym świecie dzieje. Tam wielki nieporządek, wielkie zaprzeczenie tego, co być powinno, czym Bóg chciał mieć ten świat. I to wszędzie tak; a najgorzej, najstraszniej w kole najbliższym jego osoby i serca, w jego ojczyźnie; a tu jeszcze bezprawniej, najsroższej, w tym punkcie właśnie, gdzie stał on i ludzie, których najbardziej kochał. Gdy palcem dotknął skutków tego bezprawia, gdy ich na sobie i swoich najbliższych doświadczył, gdy pomyślał, że tak samo jest, lub będzie dalej na całej przestrzeni ziemi polskiej i w całej niewiadomej, nieprzejrzanej przestrzeni czasu, wtedy zapytał po raz pierwszy, co to jest? Jak to być może? Dlaczego tak jest? *Obiit Gustavus, natus est Conradus.* I wtedy dopiero te wszystkie niezliczone cierpienia na całej przestrzeni ziemi i w całej przestrzeni czasu, objął, skupił, wziął „w pierś swą magnetycznie". Uczucie ludzkie, sumienie ludzkie, to coś, co w człowieku jest na obraz i podobieństwo Boga, co nie może pewnych rzeczy pojąć, ani z niemi się zgodzić. Mickiewicz, czując, że się w swoim sumieniu nie myli, że słuszność mieć musi, nie mógł pojąć świata i jego sprzeczności, nie mógł pojąć Boga samego, Jego myśli i woli. Mówił sobie, że jego ludzkie rozeznanie złego i dobrego nie może być innym, jak to samo rozeznanie u Boga, bo od tamtego pochodzi i na jego przykazaniu się opiera; jego sumienie było pewne zgody pomiędzy sobą a Bogiem, w pojęciu złego i dobrego. Było pewne, że w tym procesie pomiędzy Rosją a Polską, sprawę dobrą w oczach Boga ma Polska. Ale człowiek w takich spra-

wach ma tylko sumienie, władzy nie ma. Jego wola jest bezsilną, bezskuteczną. Skuteczną jest tylko wola Boża, bo tylko ona jest wszechmocną. A więc, jeżeli świadomość złego i dobrego w Bogu zgadza się, a musi się zgadzać z tą samą świadomością w sumieniu człowieka, to jakim sposobem i dlaczego wola Boga nie działa tak, jak działałaby wola ludzka, gdyby miała moc? Jakim sposobem wola może się nie zgadzać, kiedy sumienie zgadzać się musi?

To jest pytanie, z którego wyszła *Improwizacja* (i cała trzecia część *Dziadów*), z którego wyszła cała poezja Krasińskiego, to jest ze wszystkich pytań i zagadnień polskich w naszym wieku najsilniejsze, najzawilsze, to tkwi pod każdą naszą wspólną myślą, pod każdym naszym działaniem. Tę różnicę, tę pozorną sprzeczność czujemy wszyscy. Tego zaś nie możemy wiedzieć, ani znać, ani rozumieć, co godzi pozorną sprzeczność, między wolą i działaniem Boga, a naszą świadomością złego i dobrego. Tym czynnikiem jest mądrość Boga, Jego wszechwiedza i Jego przedwiedza. Ta godzi wszystko; ta sprawia, że sprzeczności żadnej niema, bo jej być nie może, i że to, co nam dziś wydaje się sprzecznością, kiedyś, w chwili przez nią wybranej i przeznaczonej, objawi się, i będzie zrozumiane przez wszystkich, jako zgoda, jako sprawiedliwość, jako dobre. Bez tej ufności, bez tej wiary, sprzeczność jest nie do rozwiązania. Nikt z niej nie wyjdzie, chyba wyrwie się z niej gwałtem, przez zaprzeczenie Boga, sumienia i duszy.

Na tym punkcie wątpliwości i pytania stał Mickiewicz w więzieniu i po więzieniu. A Mickiewicz czuł się wielkim, wielkim przez gienjusz i natchnienie, większym przez uczucie, bo czuł za ludzkość, za „miljony kochał i cierpiał", był sumą miljonowej miłości i boleści. Z jego osobistych uczuć nie zostało nic: szczęście, miłość, wszystko to znikło, jak dym. Zostało tylko jedno, ostatnie, które go z sobą samym łączyło, tak naturalne, że bez niego on być nie mógł, uczucie własnej wielkości, duma. Oparty na słuszności swojej sprawy, silny swoim uczuciem „miljonowym". Konrad — Mickiewicz — chce, żąda, domaga się, żeby ta sprzeczność była mu wytłumaczoną. A jemu, bo on ma do tego więcej prawa, niż każdy inny, bo on jest ze wszystkich synów ludzkich najbliższy Boga, największy. Odpowiedzi nie słyszy. Nie słyszy jej dlatego, że pozostała w nim jeszcze miłość siebie w formie pychy. Poddać się tej wszechwiedzy, której nie rozumie, on nie chce; ma prawo żądać od niej, żeby mu się wytłumaczyła. Wyzywa więc Boga, grozi Mu sądem, a gdy Bóg nie odpowiada, nie odsłania mu swoich zamiarów, wtedy on, nie mogąc pogodzić sprzecz-

ności między swoim sumieniem, a działaniem Boga, sądzi Go, potępia, mówi Mu: „Tyś nie Ojcem świata, ale carem".

To szczebel drugi. Wstąpił nań Mickiewicz w więzieniu, zostawał na nim, i na nim już zapewne chwiać się zaczął, przez czas swojego wywiezienia do Rosji. Ten stopień zaś jest wyższy. Gustaw był niewinny, miał co najwięcej pokusy jakieś, zaraz odparte; Konrad jest bardzo grzeszny. Ale to nie jest jego stan stały. To jest przejście, pokusa, walka z własną myślą i uczuciem, z której on wyjdzie wyższym i lepszym, niż był. Dawna pycha opadnie z niego, jak podarta szata, zostanie to, co w nim było najczystsze, najszlachetniejsze, najwyższe. Wszystko, co ziemskie, nawet wielkość, wydaje mu się czymś małym, niedojrzałym; już on nie patrzy na siebie, ani dokoła siebie, tylko w górę. Zaczyna się zwrot religijny, pragnienie prostej wiary i pokory; a z tego wychodzi nieznacznie pragnienie bezpośredniego stosunku z nadzmysłowym światem i z Bogiem. Dojść do Boga przez pokorę, przez prostotę, przez wiarę, przez świętość, a wtedy zdobywszy Jego łaskę, mieć sobie objawioną Jego myśl, mieć sobie udzieloną Jego moc cudotwórczą, i już nie „mimo Boga", ale z Bogiem, stworzyć swój naród jako „pieśń żywą i jako pieśń szczęśliwą", to jest dążenie Mickiewicza w epoce ostatniej, to powód tego związku ze światem nadzmysłowym, którego tak szukał i w który tak wierzył, to sekret tej wiary, do której tak się przywiązał, wiary, że człowiek mocą swego ducha może rozkazywać innym duchom na tym i na tamtym świecie — to początek, powód: sekret Messjanizmu. Jest to tosamo uczucie, tosamo dążenie, którego wyrazem jest *Improwizacja*. Zrozumieć sprzeczność świata, zdać sobie sprawę z zamiarów Boga, z narodu swego „stworzyć pieśń szczęśliwą", to jest w dalszym ciągu życia tak, jak w *Improwizacji;* tylko szuka on tego na innej drodze. Nie mógł wziąć Boga szturmem, chce Go ująć pokorą, wiarą, świętością.

Wtedy znalazł — zupełnie sam, czy może z częściową czyją pomocą (Oleszkiewicza?), wszystko jedno — odpowiedź, która go zaspokoiła, która mu wytłumaczyła wszystkie sprzeczności i wystarczyła na resztę życia. Polska cierpi za ludzkość, żeby ją swoim cierpieniem oczyściła, swoim zmartwychwstaniem zbawiła. Oto trzy chwile, trzy okresy w życiu Mickiewicza, trzy wielkie przejścia jego duszy: przejście z uczucia osobistego do uczucia narodowego, z osobistym jeszcze złączonego, a z tego znowu przejście do uczucia patryjotyczno-religijnego, które religijnym zostało nawet wtedy, kiedy stało się stanowczo mistycznym, a prawowiernym być niestety przestało.

We wczesnej, doraźnej, rzec można, zupełności jego artystycznych sił i uzdolnień, choć różnic tak znacznych i widocznych niema, jest nieprzerwany postęp, któremu także trzy stopnie oznaczyćby można. Zrazu jest on zależnym od Byrona, od Niemców, od wyobrażeń i upodobań młodej jeszcze romantyczności — to *Dziadów* część druga i czwarta; ale w miarę jak wychodzi z zależności od siebie i swoich uczuć, wychodzi także ze wszystkich zależności zewnętrznych, od jakichkolwiek wzorów. W *Wallenrodzie* jeszcze ślady tej zależności są, choć pomimo wszystkiego, co ludzie mówią o podobieństwie do Byrona, powierzchowne tylko i zewnętrzne. Niema jej w *Powieści Wajdeloty*, a jest natomiast potęga i piękność nigdy przedtym niewidziana. Liryk doszedł do szczytu w *Farysie*, w *pieśni Wajdeloty*, w *Improwizacji;* artysta o nieskończonej rozmaitości form tonów, o doskonałości niezrównanej, doszedł szczytu w *Powieści* w *Wywożeniu kibitek*, w niektórych ustępach *Petersburga*. Zdawałoby się, że już wyżej nie można; ale on po tych szczytach doskonałości wznosił się przecie coraz wyżej, aż doszedł do *Pana Tadeusza* — i na nim stanął.

Czy mógł zrobić więcej? Cobyśmy jeszcze dodali, lub czegobyśmy żądać mogli w naszej poezji, czegoby Mickiewicz nie był zrobił? Przed nim martwa, dochodząca co najwyżej do zewnętrznej piękności języka, lubo z większym staraniem, niż skutkiem, siląca się na wdzięk i uczucie, przygotowująca dopiero glinę na posąg, ale niezdolna jeszcze posągu z tej gliny ulepić, strojąca instrument, ale grać na nim niezdolna, przez Mickiewicza stała się ta poezja natchnionym wyrazem na wszystkie uczucia jednej duszy ludzkiej i zbiorowej duszy narodu. Od najwznioślejszej potęgi natchnienia do najmilszego wdzięku prostoty, przybrała się w te wszystkie ozdoby i czary, z których się składa piękność, jak światło słońca z siedmiu barw i promieni. Stała się poezją miłości, stała się poezją ojczyzny, poezją wszystkich cierpień Polski podzielonej, i poezją jej życia narodowego, rodzinnego, w tym, co jest jego formą rdzenną, podstawą przyrodzoną i jemu właściwą. A jak do coraz wyższej doskonałości artystycznej, tak wznosiła się do coraz wyższej, coraz czystszej szlachetności uczucia. Tak, jak niejasny romantyzm pierwszych *Dziadów*, przewyższony jest klasyczną jasnością i prostotą *Grażyny*, jak werteryzm Gustawa przeradza się w szlachetniejsze i wyższe cierpienie za miljony, tak to cierpienie samo, ta miłość i pojęcie ojczyzny stają się coraz wznioślejsze, coraz lepsze, kiedy ideał patryjotycznej nienawiści i zemsty (Wallenrod) staje się ideałem wyrzeczenia się siebie, zadość uczynienia za złe, jakie w historji zrobiło ludz-

kie *ja* (Robak). Nie zostało jedno uczucie, jedna myśl istotna, jedna żywa, konieczna część ducha i życia narodowego, któregoby poezja Mickiewicza nie była w siebie wcieliła, objęła i wyraziła. Po *Dziadach*, po *Wallenrodzie*, po *Panu Tadeuszu*, ona już była zupełną, mogła się skończyć; może się nawet skończyć musiała.

Rzadki to wypadek i dziwny, żeby człowiek na poetę stworzony, poeta, który swój zawód i swój gienjusz kochał tą miłością namiętną, którą się widzi w *Improwizacji*, w samej pełni swoich sił, o samym południu swego wieku i swego gienjuszu — żeby taki poeta, w takiej chwili odwrócił się od poezji i rzucił swoją lutnię, jak rzecz niepotrzebną, jak dziecinną zabawkę, którą się dłużej nie bawi człowiek, z dzieciństwa wyrosły. Dlaczego Mickiewicz to zrobił? dlaczego zamilkł? Czy może bał się, że zacznie słabnąć, nie chciał doczekać schyłku i zachodu swego słońca? Nie. On zamilkł z innych powodów, słusznych lub nie, ale poważnych, wielkich, godnych jego. Sumienie zaczęło wątpić, czy dobrze jest dalej poezją żyć i poezję tworzyć, zaczęło pytać, czy to nie jest *vanitas vanitatum:* — a wyobraźnia, onieśmielona tą wątpliwością sumienia, straciła popęd i lot, odwagę i wiarę w swoje dzieła i już się do tworzenia rwać przestała.

„Przekonywam się, że się zanadto żyło i pracowało dla pustych pochwał i celów drobnych" — pisze Mickiewicz do Odyńca w lutym 1834 r. „Zdaje mi się, że już nigdy pióra na fraszki nie użyję. To tylko dzieło coś warte, z którego człowiek może poprawić się i mądrości nauczyć". Konrad nawrócony, egzorcyzmowany z pychy, z politowaniem patrzy na swoje dzieła. On, który niedawno tak dumnie „kochał swe dzieci wieszcze" i wołał na cały świat, że „nieśmiertelność tworzy", teraz odrzuca Gustawa, *Grażynę*, *Wallenroda*, jak rzeczy błahe, z których się nikt nie zbuduje i mądrości nie nauczy. Naturalnie! Poezja, piękność, sztuka, chwała własna, wszystko to marne, kiedy jeden świat się kończy; a od nas zależy, czy ten drugi, który po nim przyjdzie, będzie lepszy, albo gorszy. *This is no world to play with mammets* *). Dziś chodzi o to, żeby świat ratować, odradzać, zbawiać, w swoim sercu naprzód, a potym w sercach innych. Zbliżyć siebie do doskonałości, przez doskonałość do Boga, ludzkość ku niemu zwrócić, uczyć ją, że się i jak ratować należy, ewangielizować siebie, Polskę, świat, tego on teraz chce, to ma za swój obowiązek. Precz wszystkie piękności, wszystkie wdzięki i uroki fan-

*) Ten świat nie po to, żeby się bawić fraszkami.

tazji! Nie czaru poezji, ale rzeczywistości Bożego słowa potrzeba światu na to, żeby się odrodził.

Dlatego zarzucił Mickiewicz poezję.

Z tego poczucia wyszło wszystko, co przez resztę swego życia mówi, pisze i robi. Kryzys, która miała nastąpić i zakończyć obecną, a zacząć nową epokę dziejów świata, wydaje mu się blizką; ustawicznie widzi i wskazuje jej symptomaty. Tym śpieszniej, tym gorliwiej stara się o moralne podniesienie Polski, żeby ta oczekiwana chwila zastała ją odrodzoną, godną tej roli, tej misji, którą jej Bóg przeznacza. Myśli ciągle o środkach takiego podniesienia. W tych latach jest nietylko prawowiernym, ale najposłuszniejszym synem Kościoła. O zmianach w Kościele, cóż dopiero o zmianach w wierze, o potrzebie nowego objawienia, nie myśli. Ale równocześnie, i już coraz bardziej zatapia się w czytaniu mistyków religijnych. Żyje cały w oczekiwaniu przyszłości, w żądaniu duchowego odrodzenia Polski i ludzkości; a zarazem w mistykach, w egzaltacjach religijnych szuka dwuch rzeczy, tajemnicy przyszłości i tajemnicy bezpośredniego stosunku z Bogiem, nadzwyczajnego stanu łaski. Tą drogą, przez całe lata, nieznacznie, niewidocznie, przygotowuje i przybliża się do swego stanowiska ostatniego, aż na nie wkońcu przechodzi.

O tym mówić, śledzić jego zewnętrznych i wewnętrznych pierwiastków, starać się wskazać, choćby ogólnie przebieg tego psychologicznego procesu, w jednej godzinie, niepodobna; a wdawać się w roztrząsanie tej sprawy—zawsze boleśnie. Przejdźmy więc krótko. Jak tłumaczyć tę ostatnią zmianę w Mickiewiczu? Czym? Nadmiarem cierpienia, rozpaczą, niezgodą między prawem Boga i sumienia, a bezprawiem świata? Tak — niezawodnie. Jednak to nie wystarcza. Wielu cierpiało, niektórzy cierpieli jak on, wielkim sercem, za miljony, a nie odstępowali swojej wiary, nie brali ułudy za objawienie, nie uwierzyli w jakąś misję od Boga, której im Bóg nie dawał. Patrząc na Mickiewicza, myśli się o tych prorokach Starego Testamentu, wodzach ludu, których Duch Boży w pewnych chwilach opuszczał, za karę, lub dla próby. Jak było z nim, nie dowiemy się, bo nie „siedzimy u Boga w wiecu". Ale nasuwa się na myśl to przypuszczenie, którym niegdyś Szujski tłumaczył sobie taki Mickiewicza koniec. Zaraz po wiadomości o śmierci jego napisał młody chłopiec *Mojżesza*. Mojżesz widzi zdaleka ziemię obiecaną, ale do niej nie wejdzie. Nie wejdzie dlatego, że kiedyś nie dość wierzył i niecierpliwie kusił Boga, trzykrotnie uderzając laską w skałę. W myśli owego autora był ten Mojżesz wyobrażeniem zmarłego Mickiewicza. Jak tamten, prowadził on swój naród przez trudy niewoli i puszcze tułactwa,

jak tamten, był pośród swego ludu najwyższym. A jak tamten, widząc swój lud omdlewającym z pragnienia, trzy razy laską w skałę uderzył, myśląc, że tak przyśpieszy i potroi wytrysk upragnionej wody, chciał Boga zmusić, zamiast się na niego zdać — tak ten, widząc swój naród omdlewającym z pragnienia innej wody, wody sprawiedliwości, i sam palony jego miljonowym pragnieniem, chciał, żeby mu woda wytrysła zaraz, natychmiast, w jego oczach, zamiast czekać ufnie i pokornie. Mojżeszowi woda ze skały nie pociekła; Mickiewicz na swojej puszczy wziął za żywą wodę to, co było jej udaniem, *fata morganą* pustyni.

Taka jest myśl tego poematu. Kto wie, czy nie trafna; kto wie, czy u Mickiewicza messjanizm nie był tym samym, czym u Mojżesza trzykrotne uderzenie w skałę.

A jak we wszystkim, co pisał, był Mickiewicz wyrazem najwyższym naszych zbiorowych uczuć w ciągu całego tego wieku, tak w tym ostatnim okresie swego życia, w tej swojej pomyłce, jest może poniekąd wiernym także typem naszych usposobień: tego uczucia, które wiedząc, że jest, i że słuszne, nie chce nic wiedzieć, nic znać prócz siebie, i zadośćuczynienia domaga się niecierpliwie, namiętnie, gwałtownie. Może poniekąd jego przykład być dla nas i przestrogą, bo on uczy, że uczucie najwznioślejsze, najlepsze, kiedy tak, prócz siebie, nic znać nie chce, kiedy rozwagą gardzi, a od siebie cudu się spodziewa, może się zabłąkać i o szkodę przyprawić to, co kocha i czego pragnie.

Ale błędu nie przecząc, ani nie zmniejszając, o tym zapominać nie można, że i Mojżesz zbłądził, a przecie Bóg nie odjął mu jego praw i jego urzędu. Dlaczego? Bo choć raz przewinił, był on ten sam, który Izraelowi płaczącemu na puszczy kazał podnieść serca i głowy, ten sam, który krzepił w nim siły wśród pragnienia i głodu i znoju, ten sam, co mu złotego cielca czcić nie dał, ten sam, co nie pozwalał zwracać się wstecz i za Egiptem tęsknić, ale kazał przed siebie patrzeć i do Chanaanu dążyć — ten sam, który dla niego zdrój żywej wody wydobył. Ten zastał nas podobnie płaczących i znękanych, a podniósł nam w górę serca i duchy, podobnie kazał przed siebie patrzeć i do Chanaanu dążyć, a ze skały zamkniętej wydobyć zdrój żywej wody, zdrój uczucia i myśli, którym się wszyscy krzepimy i rzeźwimy, on w noc naszego tułactwa po puszczy rzucił jasność wielką, która zgasnąć nie może nigdy.

PIOTR CHMIELOWSKI.

Czy nauka może szkodzić twórczości? (1873).

Od najdawniejszych czasów, kiedy umysł ludzki zaczął rozwijać swe skrzydła na wszechświat cały, sądy o poetach i wogóle o artystach dosyć wybitnie w dwu formach się przedstawiały.

Poeci i artyści rozjaśniają naszą duszę, uszlachetniają nasze serca, podnoszą ponad niziny tuzinkowego żywota, a wskazując w oddali idealne wzory, któremi umysł nasz zachwycić potrafią, przyczyniają się do zmiany naszych obyczajów zawsze na lepsze. Czy wspomnieć pieśni Tyrteusza, czy marsyljankę, czy poematy Homera, czy trubadurów pienia miłosne,—wszędzie odszukamy owe tętnice silnie pulsujące, bez których życie istotne, życie ducha niemożliwymby się stało, bez których wyschłoby źródło rozkoszy, zachwytu, natchnienia! Znane są wszystkim szczegóły z dziejów artystycznego życia starożytnej Hellady. Tam na biesiadach królewskich jedno z najpoczestniejszych miejsc zajmował śpiewak (aojdos), on opowiadał o przygodach bogów i bogiń, o ich pobycie na ziemi, o miłostkach nieśmiertelnych z śmiertelnemi, o trudach, zwycięstwach i klęskach pod Troją, o tysiącznych błędnych drogach, po których się tułał przez lata nieszczęśliwy choć przezorny Odysej (Ulises). Tam przedstawienia teatralne w święta Dyonizosa (Bachusa) były sprawą państwową; niezamożnym obywatelom rozdawano pieniądze, ażeby mogli kupić bilet do teatru; scena od rana do wieczora, przez cały dzień boży, zajęta była przez aktorów, a ławki przez widzów, którzy ze świętym namaszczeniem przysłuchiwali się opowieściom djalogowym o wielkości bóstwa i przeznaczenia, o potędze ludzkiego uczucia i niezwalczonych namiętności!...

Albo i w wiekach średnich! Ci dumni, ciemni baronowie, o których dzieje opowiadają, na dworach swoich mieli bardów, minstreli i trubadurów, i żadnej uczty bez boskiej przyprawy muzyki i poezji nie uznawaliby za rzecz godną człowieka. A jakkolwiek tym bardom, minstrelom i trubadurom rozmaicie się na zamkach barońskich przytrafiało; potęgę ich słowa uznawano powszechnie, bo śpiew i muzyka stanowiły istotną część składową tego życia napół dzikiego, napół cywilizowanego, jakie przez kilka wieków w Europie naszej panowało. Wielka część wdzięku turniejów, przygód romantycznych w miłości, w walce z niewiernemi, spoczywała właśnie w obecności i znaczeniu średniowiecznych śpiewaków.

Jakieżto silne powstaje wrażenie, kiedy sztuka połączy się z najistotniejszemi przekonaniami mas, jeżeli wejdzie w jestestwo jego duchowe, które się objawia w religji. Czy gdziekolwiek i kiedykolwiek słyszano o takim zapale, o takim podniesieniu ducha, o takim wrzątku uczuć serdecznych, o namiętnym niepokoju oczekiwania i upojeniu rozkoszy, jakie wywołały wyprawy krzyżowe — rezultat zarówno religijnej jak i poetycznej strony ówczesnej umysłowości europejskiej?

Nie potrzeba jednak zaprzątać sobie głowy średniemi wiekami, kiedy chcemy znaleźć przykłady podobnych usposobień. We wszystkich obrzędach kościelnych, w pielgrzymkach i procesjach, gdzie przepych formy połączony jest z głęboką i wzruszającą treścią, gdzie uczestniczą masy, jako współczłonkowie i spółdziałacze w sprawie uroczystości, wszędzie tam istnieje taka serdeczna spójnia umysłów, że uczucie wylewa się swobodnie i udziela się wśród duchowej rozkoszy.

„Kiedym był dzieckiem — powiada Proudhon — kościół, do którego co niedziela chodziłem, wydawał mi się najpiękniejszym, najwspanialszym ze wszystkich gmachów — i dlaczego? Oto wskutek ścisłego związku pomiędzy przeznaczeniem gmachu, a religijnym nastrojem mojego umysłu. Z czasem rozwaga mogła mi dać poznać jego wady, mogła mi nasunąć nowe pomysły architektoniczne; ale ja doznałem już w sobie najpotężniejszego estetycznego wzruszenia, które, oczyszczone przez rozbior, dopomogło mi stanowczo do mego rozwoju i udoskonalenia, co może bez tego wpływu wcaleby nie nastąpiło".

Wyznania podobne każdy usłyszeć może, przysłuchując się wewnętrznemu głosowi wspomnień z czasów dzieciństwa, i młodzieńczego wieku, kiedy ze wszystkiemi obrzędami ściśle związana była wiara szczera, naiwna, miłością i bogobojnością wzmożona do potęgi najsilniejszych, najbardziej wpływowych wzruszeń naszego serca. Miłość ta właśnie rzucała urok na wszystko, cośmy widzieli i czegośmy doświadczali, zakrywała nam oczy na niedostatki i wady, na wszystkie strony niekorzystnie o ukochanym przez nas przedmiocie świadczące; miłość rozpromieniała fantazję na wspomnienie wielkopiątkowych śpiewów i pogrzebowych melodji.

W jakąkolwiek dziedzinę życia naszego spojrzymy, w dziedzinę obyczajów, religji i bytu państwowego, wszędzie sztuka zajmuje jedno z miejsc pierwszorzędnych; jest owym słowem matczynym, co rozwiązuje język niemowlęciu — by je nauczyć miłości kraju, ludzi, domu rodzinnego, wszystkiego. „co wielkie i święte" na ziemi. Sztuka jest jakby mostem czarodziejskim, po którym przechodzi się do krajów nieznanych, a jednakże silnie umysłem ludzkim wstrząsających...

Takie są słowa wielbiące sztukę: czy je słyszymy z ust nieśmiertelnego Platona, w ogrodzie Akademosa, czy z ust Cycerona, broniącego publicznie na forum poetę Archjasza, czy z cichego pokoiku skąpca pesymisty Schopenhauera.

Jeżeli nie przedstawiliśmy wszystkich argumentów, jakie na korzyść podobnego poglądu były i są przytaczane, to daliśmy przynajmniej poznać niezmierną jego ważność i znaczenie w historji przekonań.

Lecz, ażeby zachować bezstronność, musimy i drugiej strony posłuchać.

Wielu uczonych, erudytów zwłaszcza, z lekceważeniem a nieraz i pogardą patrzyło na zabiegi i działalność sztuki. Nazywali ją bajką, zmyśleniem, smalonemi dubami, niedorzecznym bełkotaniem nieoświeconych lub warjatów... Prawda — powiadają oni—powinna być naszą przewodniczką i mistrzynią: dla niej wszystko poświęcić należy, jej oddać życie, podług jej prawideł postępowanie nasze urządzić tak, aby nigdy kłamstwo i wymysł nie zaciemniły jasnego słońca z wielkim trudem zdobywanej wiedzy. Nauka, która zajęła się dochodzeniem prawdy, stworzyła, można powiedzieć, dzisiejszą oświatę, rozjaśniła umysły, wypędziła przesądy i zabobony, wykorzeniła barbarzyńskie zwyczaje, ulepszyła środki zaspakające nasze potrzeby, podniosła przemysł, pobudowała drogi, mosty, koleje żelazne, przeprowadziła druty telegraficzne, zatrzymała słońce, wzruszyła ziemię, zbliżyła lądy, wyczerpała oceany. Tymczasem poezja cóż zrobiła? Pobudzała do wojen, apoteozowała niszczycieli, fanatyzowała tłumy ukazywaniem im mar nieuchwytnych i namiętnym powstawaniem na wszystkie wyniki naukowego badania. Sztuki piękne zużytkowały bogactwo krajowe bez żadnego realnego pożytku, uczyły zbytkownego życia, rozmiękczały serca, rozluźniały obyczaje. Poezja była zawsze po stronie zacofanych. Wszakże jeszcze w naszym wieku poeci modlili się do muz, wzywali ich pomocy, prosili ich o natchnienie; dla nich bogowie nie opuścili jeszcze Olimpu i po staremu rządzą światem, kochają się w córkach Deukaljona i Pirry; dla nich ludzie wiecznie prowadzą wojnę pod Troją, a poeci jeżdżą na pegazie.

Czyż zresztą sami najzapaleńsi czciciele sztuki nie wyznają otwarcie, że ona nie robi wcale postępu, że nikt jeszcze w naszych czasach nie prześcignął starożytnych Greków, co do ogólnego zakochania w pięknie, a wszczególności pod względem niedorównanej im rzeźby. Czyż więc taki kierunek umysłu, który nie postępuje, nie doskonali się, może zasługiwać na naszą cześć i poważanie?

Ci, którzy w powyższy sposób się odzywają, zapatrują się na życie zbyt surowo, z ponurego rodzaju ascetyzmem, nie dozwalającym na żadne zboczenia od raz obranej drogi i od raz powziętych reguł. Dla nich sztuka jest rozrywką zakazaną, niegodną człowieka poważnego, miłującego prawdę. Inaczej w gronie tych, co twórczość artystyczną za mało produkcyjną uważając, za mało znaczącą w ludzkim społeczeństwie poczytują.

Oni zwracają się do samych artystów i podchwytują ich za słówka. Nieraz — powiadają — poeci i powieściopisarze, robiąc zwrot do czytelników, wyrażali dość wielkie powątpiewanie co do prawdziwości opowiadanych przez siebie zdarzeń i przedstawianych postaci. Powoływali się na słowo poetyckie albo powieściopisarskie i dodawali: „Jeżeli to słowo ma jakąś wiarę u czytelników".

Powtóre, zmiana przekonań u artystów poczytywała się za rzecz zwyczajną, charakteryzującą usposobienie poetyczne, które potrzebuje ciągle nowych przedmiotów, nowych myśli, nowych uczuć, ażeby źródło swego talentu odświeżyć, oczyścić. Któryż artysta był stałym w miłości? Niedawno czytaliśmy wiersze wyszłe z pod pióra poety:

Nie wierz mu (artyście) dziewczę, gdy z drżeniem serca
Odkryje tobie uczucia głębie...
Bo los ci przyszły, los przeniewierca
Połamie twoje skrzydła gołębie,
I w pierś twą białą niemiłosiernie
Wbije zbyt ostre zawodu ciernie!

Któryż poeta, z czasów mianowicie dawniejszych, miał jakiekolwiek przekonania polityczne, albo który stale w życiu swoim ich bronił? Dawniej artyści byli dworakami, zależeli od woli panów i królów, którzy im w zamkach swoich przytułek dawali. Później (w naszym stuleciu) poeci bawili się przekonaniami jak piłką, i te na chwile gorąco miłowali, które im służyły do wywołania efektu!... Zupełnie tak samo postępowali z przekonaniami politycznemi, jak malarze ze swojemi modelami...

Artyści lubią spokój, ciszę, nie cierpią życia zgiełkowego, parlamentarnego; uwielbiają siłę, jako jeden z najpotężniejszych efektów artystycznych i to siłę bez względu na to, czy ona się wyraża w tej lub owej krańcowej formie. Wszystkie te własności zależą jeszcze wprawdzie i od indywidualnego usposobienia, zdarzają się w ludziach innego zawodu; ale polowanie na efekty i poświęcenie mnóstwa wielkich do prawdy

dążących idei, dla ostatecznego wrażenia — jest już przymiotem artystów i wogóle dusz artystycznych. Jakie zaś z podobnego przymiotu wynikają praktyczne rezultaty, łatwo odgadnąć.

Powyżej wskazane poglądy są zbyt ze sobą sprzeczne, ażeby mogły być wprost pogodzone przez dobrowolne ustępstwa i z jednej i z drugiej strony. Pogodzenie takie wyglądałoby jak woda pomieszana z oliwą, jednolitej całości nie stworzyłoby wcale. A jednakże każdy doskonale czuje, że sprzeczności owe istnieć rzeczywiście nie powinny. Czy to poczucie ma podstawę w rozwadze, w rozumnym nad rzeczami i zjawiskami zastanowieniu? Czy naukowo da się usprawiedliwić?

Rozważmy fakty.

Istnieje w człowieku naturalne usposobienie do tworzenia z doznanych wrażeń (świadomie lub bezwiednie) nowych kombinacji; usposobienie to bowiem przejawia się we wszystkich czasach, wśród każdego stopnia cywilizacji, począwszy od najprostszego aż do najbardziej rozwiniętego, we wszystkich epokach życia pojedyńczej jednostki, tak w dzieciństwie, w młodości, jak w wieku dojrzałym i starości. Usposobienie owo przejawia się mianowicie w sennych marzeniach, w marzeniach na jawie, w robieniu planów na przyszłość, i t. p. Wszystkie te objawy swobodnej działalności umysłowej mogą oczywiście i muszą mieć bardzo różny charakter, stosownie do okoliczności czasu, wieku, zdolności, przymiotów tak jednostek jak i grup całych; w jakimkolwiek atoli stanie i charakterze się pojawiają, w każdym razie przecież istnieją; a to rzecz dla nas w tej chwili najważniejsza. Istnienie więc usposobienia do swobodnej, a niekiedy swawolnej nawet działalności umysłu naszego, nie może ulegać żadnej wątpliwości. Usposobienie to nazywają pospolicie wyobraźnią, imaginacją, fantazją.

Z drugiej atoli strony istnieje również usposobienie do jak najściślejszego zbadania tego, co jest, nie chcąc bynajmniej zmieniać go, ani w nowe kombinacje układać. Usposobienie to przejawia się także we wszystkich chwilach życia ludzkiego, jakkolwiek nie można zaprzeczyć, że daleko powolniej i słabiej, aniżeli usposobienie pierwsze; człowiek bowiem, rozpoczynając spostrzeżenia od samego siebie, usiłuje wszystko sobie wytłumaczyć podług własnych swoich usposobień i podług własnych swoich działań, stąd też długo się zadawalnia jedynie wrażeniami swojemi, nie badając gruntu i podstawy tych wrażeń. Bądź cobądź jednak, rozglądając się w dziejach całej ludzkości, nietrudno spostrzec, że usposobienie to zrobiło już w masach nader wielkie postępy, które się wyrażają w umiejętnościach, przemyśle, handlu, rzemiosłach i t. d. W najprostszej formie usposobienie to znajduje się u narodów dzikich jako dążność

do udoskonalenia środków pożycia na ziemi (ulepszenie narzędzi, budowanie domów i t. p.) i w posiłkowaniu się liczbami, rachunkiem. A jakkolwiek widzimy, że pod temi ostatniemi względami ludy owe zadawalniają się nader nieznacznemi krokami naprzód w przeciągu kilkunastu lub kilkudziesięciu wieków istnienia, to wszakże nie możemy im z tego powodu tylko odmówić całkowicie usposobienia, o którym mówimy, a które zazwyczaj się nazywa rozumem, rozwagą, inteligiencją.

Najpierwszy wniosek, jaki z powyższego zestawienia wyciągnąć można, jest ten, że ludzkość i jednostki, długo, bardzo długo jeszcze żyć będą wytworami wyobraźni więcej, aniżeli wytworami rozwagi. Ażeby nas jednakże źle nie zrozumiano i nie oskarżono nas o to, czegośmy nie chcieli powiedzieć, oświadczamy tu najwyraźniej, że mówimy jedynie w tym miejscu o przeważnym, nigdy zaś o wyłącznym działaniu jednego i drugiego usposobienia, które należąc do jednego umysłu, nigdy stanowczo oddzielić się nie dadzą. Nauka teoretycznie tylko, dla swoich rozbiorczych celów, dzieli te usposobienia i rozważa je osobno; w rzeczywistych zaś indywiduach istnieją one razem i wytwarzają taką lub inną kombinację, z tym lub innym wybitnym charakterem.

Tak więc przeważnie ludzkość działa wyobraźnią, rozumowe zaś (naukowe) badania są udziałem stosunkowo bardzo nielicznej ilości ludzi! Stąd też utwory fantazji przemawiają do daleko większych mas aniżeli dowody rozumu; tamte je entuzjazmują, poruszają, do dobrego lub złego pobudzają; te zaś pozostawiają je chłodnemi, obojętnemi—z tej prostej przyczyny, że są dla nich nieprzystępne.

Nie można się więc wcale dziwić:

Po 1-sze, że najcudaczniejsze nawet pomysły znajdą u ludu wiarę i wchodzą w skład jego umysłowych zasobów;

po 2-ie, że ludziom mało ukształconym podobają się bardzo mierne utwory sztuki, tak w zakresie muzyki, malarstwa, jak i literatury;

po 3-cie, że artyści mogą liczyć powodzenie swoje na niezmiernie oddalone od naszej epoki szeregi lat, bo zawsze chętnych znajdą słuchaczów i widzów.

Wymienione tu fakty i wiele innych, jakie się nam w życiu codziennym spotkać zdarza, tłumaczą się nader łatwo usposobieniem umysłu ludzkiego, którego wykorzenić ani można ani się godzi, usposobieniem silniejszym od owego drugiego, szukającego zamiast swobody bujania — stałości praw.

Jakiż może być wpływ naukowego, rozumowego badania na dzieła artyzmu? Wiadomo wszystkim, że rozum, jak to mówią „obcina skrzydła fantazji". Cóż to znaczy? Zdaje się,

że tylko to, iż rozum nie może znieść żadnego nieprawdopodobieństwa, żadnej nieprawidłowości. A zatym wszelkie cudactwa, wszelką przypadkowość, niedającą się niczym wytłumaczyć i wyjaśnić, usuwa z zakresu dzieł artyzmu.

I rzeczywiście, w dziejowym pochodzie cywilizacji widzimy wyraźniej, jak w zakresie sztuki przejawia się coraz wybitniej dążność do uprawdopodobnienia pomysłów.

Dawniej były bogi o kilku głowach, rękach i t. d., bohaterowie o jednym oku, sfinksy, syreny, centaury, smoki i t. p., olbrzymy z siłą sto lub tysiąc razy większą, niż ją posiadali ludzie zwyczajni, djabły, wiedźmy, czapki niewidki, buty samochody, laski czarnoksięskie, lampy Aladyna, góry otwierające się za wymówieniem pewnego zaklęcia i t. p. i t. p. W późnych epokach występowały one na widownię — ale znikały w epokach następnych. Na początku cywilizacji pojawiają się wszelkiego rodzaju dziwotwory, później przybierają coraz bardziej umiarkowaną t. j. zastosowaną do zasad prawdopodobieństwa postać, wreszcie prawie zupełnie znikają, używane czasami jako retoryczne lub ornamentacyjne przydatki. Zarówno w Grecji, jak w sztuce ludów nowożytnych te same napotykamy zjawiska. Wiadomo np. jakie dziwaczne były postacie ludzkie w sztuce bizantyjskiej lub staroniemieckiej: nogi przedstawiały się w postaci linji prostych, głowy w kształcie okręgów kół; wiadomo również, jak studja anatomiczne wpłynęły na nadanie rzeźbie i obrazom malarskim cechy prawdy i rzeczywistości.

Wogóle z postępem cywilizacji zwiększają się wymagania ludzi wykształconych, dla których właściwie sztuka istnieje. Jak tylko zajdzie znaczna zmiana w wyobrażeniach pewnej liczby ludzi, potrzebujących wzruszeń estetycznych, a zmiana taka wywołaną jest zwykle przez większe wykształcenie t. j. większy rozwój rozumowy, naukowy, musi się koniecznie pojawić zmiana w traktowaniu przedmiotów sztuki, t. j. musi się w nich wybitniej przedstawić pierwiastek rozumowy.

Wprawdzie fakt niezbyt dawno zaszły, poezja romantyczna, zdaje się twierdzeniu temu zadawać kłam stanowczy, gdyż wśród wysoko rozwiniętej cywilizacji zaczęła wyprowadzać na aw djabły, upiory, strachy i czarodziejstwa, jakby za najlepszych czasów pierwotnej, naiwnej wiary we wszystkie te osobliwości. Fakt ten atoli, istotnie zastanawiający, da się jednakże wytłumaczyć.

Romantyzm nie był właściwie protestem przeciwko nauce wogóle, ale przeciwko nauce książkowej, suchej, bezdusznej, martwej, która porywy serca za nic sobie miała, która entuzjazmem, zapałem się brzydziła, która wszystko, co stanowi przyjemność i rozkosz życia ludzkiego, zdaleka od mniemanej

lub też istotnej świątyni prawdy trzymać chciała. Byłto protest młodego, energicznego życia przeciw zmurszałej strupieszałości. Wówczas wszelkie środki wydawały się odpowiedniemi, byle się tylko dawnemu systemowi przeciwstawić.

Cóż się jednakże stało? Oto po niewielu latach, upiory, djabły, czarnoksiężniki, wiedźmy i gusła znikły niemal bez śladu; zajęły one z początku jak każda nowość (bo dla klas wykształconych były rzeczywiście nowością) — ale bardzo prędko się przejadły, i sztuka (a jak w tym razie poezja) musiała przejść znowu do studjów życia takiego, jakim ono jest w naszym XIX-ym stuleciu. I sprawdziły się słowa Śniadeckiego, wypowiedziane wśród rozpoczynającego się zaledwie u nas ruchu romantycznego. Poezja nie jest szczerą muzyką, i żaden język sam przez się nie otrzyma dziś uwagi ludzkiej w ciągłym upodobaniu, trzeba dziś poezji zająć ledwo nie wszystkie rozwinione władze umysłu; i wynalazki imaginacji muszą dziś być w dobrej poezji zaprawiane poruszeniami wyniosłemi, obrazami zgodnemi ze stanem dzisiejszych wiadomości i częstokroć nowoodkrytemi wyrokami prawdy; bo myśli fałszywe mogą nas na czas omamić i złudzić, ale ani się długo utrzymać, ani podobać nie mogą *). Słowa te raziły zapewne wielu wówczas (t. j. około r. 1821) kiedy były wygłoszone; ale obecnie już się dziwnemi nam nie wydają, i wymaganie, ażeby poezja nie ignorowała nowoodkrytych wyroków prawdy, jako zupełnie słuszne nam się przedstawia. Poeta, któryby nam dziś mówił np. o obrocie słońca około ziemi, która spokojnie w środku sfery niebieskiej spoczywa, naraziłby się tylko na śmieszność, chociażby obrazy poetyczne celowały świeżością barw i świetnością kolorytu. W rzeźbiarstwie wprawdzie i w malarstwie, w których przedewszystkim uderza nas forma, częściej, co prawda, napotyka się jeszcze amorki, wenery, sfinksy, gnomy i tytany— ale już tylko jako symbole, jako alegorje. I zresztą większość utworów rzeźbiarskich i malarskich przedstawia nam albo postaci czy sceny z życia codziennego (rodzinnego i politycznego) albo też z dziejów minionych.

Tak więc wniosek, jak poprzednio już podaliśmy, że w miarę postępu cywilizacji sztuka posiłkuje się i musi posiłkować się dorobkami nauki, zmuszana do tego wymaganiami ludzi wykształconych, wydaje nam się zupełnie uzasadnionym.

Z tego powodu zakres wyobrażeń artystycznych z jednej strony się ścieśnia, z drugiej zaś rozszerzyć się może. Ścieśnia

*) Jan Śniadecki. „Filozofja umysłu ludzkiego". Warszawa 1834 r. str. 237.

się o tyle, że fantastyczne, nieprawdziwe, nieprawdopobne, cudowne i nieprawidłowe wyobrażenia nie mogą już mieć dla sztuki żadnego znaczenia dodatniego, t. j. mającego w sobie treść istotnie zajmującą i pożywną; może się rozszeryć o tyle, że każde nowe odkrycie naukowe horyzont naszego duchowego widzenia coraz bardziej w dal usuwa, nastręczając tym sposobem nowy materjał nietylko do rozmyślań ale i do nowych kombinacji. Reszta zależy od indywidualnej każdego umysłowości. Człowiek z przeważnie rozwiniętą rozwagą, kombinacje te będzie wytwarzał w formie suchej, oderwanej, w celu zużytkowania ich w życiu praktycznym, albo jako środka ulepszającego toż życie (przemysł, rękodzieła etc.), albo też jako środka do nowych odkryć naukowych prowadzącego (wszelkie doświadczenia fizyczne, chemiczne, kombinacje matematyczne i t. p.). Człowiek zaś z żywą imaginacją zużytkuje prawdy zdobyte przez naukę do nowych obrazów, tak natury martwej, jako też żywej, tak społeczeństwa w chwili obecnej jak i ubiegłej. Wiadomo, jak np. nużą teraz każdego czytelnika wszelkie opisy natury, które prawie stereotypowemi się stały, a stąd nie dają żadnej karmi dla umysłu czytelnika, który już kilka lub kilkanaście książek podobnej treści przeczytał.

Czyż myślicie, że poetyczne przystosowanie prawd naukowych, co do natury wogóle, w formie obrazowej, nie zostałoby przyjęte z zapałem? Czyż np. pojęcie niezniszczalności materji i zachowania siły nie przedstawia nowego całkiem pola do poetycznych obrazów? Ale niech nikt uwagi tej nie bierze powierzchownie i nie wmawia w nas np, że chcemy poematów dydaktycznych, opiewających w formie wierszowanej zasady fizyki i chemji!... Broń Boże! Uważamy, że takie traktowanie nauki ubliża zarówno jej, jak i poezji samej; nauce dlatego, że jej prawdy wystawia jako coś imaginacyjnego, co może istnieć lub nie istnieć; poezji dlatego, że odejmuje jej żywotność i świeżość, przemieniając barwne obrazy poetyczne na suche abstrakcje. Nam nie idzie o to, ażeby artyści, a w szczególności poeci, powtarzali wyrazy naukowe, bo to doprowadziłoby tylko do śmiesznej pedanterji; ale o to, ażeby artyści, zapoznawszy się z wynikami nauki, przejęli się jej prawdami, przyswoili je sobie i w skład swojej umysłowości ją zagarnęli: wówczas ich talent sam im wskaże drogę postępowania dalszego, wskaże im formę najodpowiedniejszą do wcielenia swoich przekonań (bo to już będą rzeczywiście przekonania) swoich ideałów.

To samo, co o poznaniu natury, można powiedzieć i o poznaniu społeczeństwa. Dotychczas artyści po większej części

patrzyli na społeczeństwo, wśród którego żyli, i na ludzkość całą, okiem zwykłego spostrzegacza i analiza ich ślizgała się po powierzchni, do głębi się nie przedostając. Zwykle uczucia i stosunki życia rodzinnego ze stanowiska sąsiadów i sąsiadek, a co najwięcej ze stanowiska wielkomiejskiego burgiera pojmowane, nie mogły dawać wyżej ukształconym żadnych nowych myśli i poglądów. Nie przeczymy, że malowanie tych stosunków jest nietylko dla wszystkich przystępne t. j. popularne, ale i ważne; stąd też nie myślimy wymagać, ażeby się nim zajmować przestano; owszem, w niektórych wypadkach (jak np. u nas) one jedne mogą być przedstawiane. Ale potrzeba do przedstawienia ich obeznać się cokolwiek głębiej, zarówno ze stanem społeczeństwa, jak i ogólnemi celami, do których ono dąży; dalej, potrzeba znać jego potrzeby ekonomiczne zarówno w zakresie materjalnym, jak i umysłowym — bo w takim tylko razie można nie poprzestawać np. w poezji, na wyklinaniu nienawistnych dla poety objawów, jak lichwiarstwa, pogoni za posagiem, zamiłowania nowości, zbytków i t. p.; ale można też będzie podać zdrową radę, która znajdzie posłuch. Nie należy bowiem zapominać, że artysta, jak każdy inny człowiek, jest obywatelem, a zatym powinien mieć pewne przekonania społeczne i podług tych przekonań postępować. Wiemy, że dotychczas artyści niewielki brali udział w życiu społecznym i politycznym, a jeżeli brali, to niezbyt świetnie dali się poznać: — ale taki stan wiecznie trwać nie może; poczucie obywatelstwa musi być przez wszystkich zarówno rozumnie pojmowane, powinno regulować ich postępowanie. Zdaje nam się, że rozjaśnienie pojęć ekonomicznych i społecznych w umysłach artystów szkody im nie przyniesie. Rozumie się jednak, że jak poprzednio, tak i teraz zastrzec sobie musimy, aby nas fałszywie nie tłumaczono, co u nas w ostatnich czasach stało się rzeczą bardzo zwyczajną. Można drwinkować bardzo wygodnie, że każemy np. opiewać poecie popyt i zaofiarowanie, malarzowi przedstawiać podział bogactw i rysować monety; ale tym jeszcze nie obali się wcale twierdzenia, że poeta i malarz powinni nietylko czuć, ale i rozumieć obowiązki obywatelskie. O przekonanie nam idzie, o przejęcie się prawdami społecznemi, o przerobienie ich na umysłowy skarb artysty;—nie zaś o pustą formę, o przyswojenie sobie wyrazów technicznych, których się w naukach społecznych używa.

Nauka nie może szkodzić artystycznej twórczości — winna ją tylko rozjaśnić i pewniejsze drogi dla niej nakreślić, ażeby ci, co pragną wzruszeń, jakie ona dać może, nie byli wprowadzeni na manowce...

Z DZIEŁA P. T. Adam Mickiewicz.

Charakterystyka Mickiewicza.

Zasadniczą potęgą jego ducha, główną dźwignią jego czynności i postępowania, najważniejszym jego poezji czynnikiem było głębokie, niesamolubne, a świadome sobie uczucie, obejmujące miłosnym uściskiem jednostki, naród i ludzkość całą, pragnące nie tyle dla siebie, ile dla nich, nadejścia chwili uszczęśliwienia i ubłogosławienia. Uczucie to przenikało cały organizm poety, wstrząsało nim i kierowało zarówno w sprawach indywidualnych jak i ogólnych. Ujawniło się ono i w przywiązaniu do rodziny, i w serdecznym ukochaniu towarzyszy młodości, i w namiętnych lub rzewnych uniesieniach miłosnych, i w stosunku do żony, i w zajęciu się dziećmi, i w pełnieniu przyjętych obowiązków, i w miłości ojczyzny. Nie przybierało ono cech biernego, załzawionego roztkliwienia, było skupione w sobie, ale przy odpowiednich warunkach mogło się rozpłomienić, rozżarzyć i wybuchnąć lawą. Do pozowania, do dramatyzowania objawów swoich nie miało skłonności; było w zwykłych warunkach czerstwe, czysto—ludzkie, wolne od chorobliwej i zmiennej fantastyki; nie miało, słowem, właściwości takich, jak uczuciowość Słowackiego lub Krasińskiego. Uczucie Mickiewicza posiadało przymiot rzadki dosyć, zwłaszcza wśród klas ukształconych — szczerość. We wszystkich przejściach i we wszystkich stosunkach był nasz poeta najzupełniej szczerym; nigdy pochwycić go nie można na najlżejszym nawet udawaniu, jakiego ludzie nieraz mimowiednie się dopuszczają, gdy tylko raz pozwolili sobie przybrać nastrój fałszywy, którego w głębi duszy nie odczuwali.

Szczerość i głębokość uczucia nie wyłącza bynajmniej łatwości przybierania różnych stopni natężenia i różnego nastroju, gdyż zmiany stanów uczuciowości zależą od rodzaju wrażeń z zewnątrz, od siły fantazji i od rozwinięcia zdolności refleksyjnej w człowieku.

Życie dostarczało Mickiewiczowi wrażeń najróżnorodniejszych, tak pod względem rodzaju, jak i mocy. I najbliższe, rodzinne, sąsiedzkie, przyjacielskie, i dalsze ogólno-krajowe, i jeszcze dalsze — ogólno-europejskie stosunki składały się na to, ażeby duszę poety zasilić nadzwyczaj obfitym zasobem wrażeń, od spokojnych i beznamiętnych poczynając, a kończąc na wzniosłych i tragicznych. Cały okres jego życia był szeregiem zmian w pojęciach i systematach literackich, religijnych, politycznych i społecznych. Epopeja Napoleońska kołysała jego dzieciństwo; młodość ubiegła mu pod wpływem nauk uniwersyteckich, prze-

jętych duchem „wieku oświecenia" z jednej, a reakcji religijno-politycznej z drugiej strony. Pod koniec życia uniwersyteckiego oddziaływać nań zaczęła nowa poezja europejska, która się do jego umysłowości dostała pod nazwą romantycznej, ale w przeważnej mierze nie mieściła w sobie tego, co w Europie romantyzmem ściśle nazywano, nie zawierała mianowicie dążności reakcyjnych i wstecznych, przemawiając tylko głosem roznamiętnionego, „rozpojonego" uczucia i wspaniałemi obrazami wzmożonej na siłach fantazji. Pod tchnieniem tej poezji budzi się w nim poczucie siły twórczej oryginalnej, a zarazem poczucie możności wpływu na serce narodu, przez dostarczenie mu utworów, w którychby społeczeństwo odnalazło wyraz na swoje pragnienia, tęsknoty i ideały. W miarę jak nici sympatji wysnuwały się z serca poety i serca narodu, łącząc się i wzmacniając, Mickiewicz coraz dokładniej nabierał świadomości swego zadania i coraz śliślej uczucia swoje zespalał z uczuciami społeczeństwa, wchłaniając jego radość, a o wiele częściej jego bóle, i wypowiadając je natchnionemi słowy w poematach, które z serca wychodząc, do serc trafiały i niemi władały.

Niepowodzenie ruchu, na którym tak świetne pokładano nadzieje, gwałtowne przewroty pojęć w zachodniej Europie, gdzie poeta zamieszkał, niezbrodzony war poglądów, przekonań i dążeń, rojenia o rychłym uszczęśliwieniu ludzkości, rewolucje i wojny, tak gorączkowo zajmujące umysły żywe i namiętne — wszystko to tłumnie osiadając w duszy Mickiewicza, nadawało coraz to nowe kształty objawom jego uczucia, coraz to wyżej nastrój jego podnosząc i przedstawiając mu coraz rozleglejsze dziedziny, w których działalność jego zbawienną mu się wydawała. Zapomniawszy o sobie, szukał lekarstwa na bóle i cierpienia całej ludzkości, w której naród jego miał zająć stanowisko przewodnika we wszystkich interesach cywilizacyjnych. Szturmował do nieba, poruszał potęgi ziemskie, pisał i czynił, ażeby upragniony dzień udoskonalenia i szczęścia przybliżyć.

Dla nadania kształtów natchnieniom serca, zarówno w pomysłach poetyckich jak i społeczno-politycznych miał Mickiewicz do posługi niesłychanie bogatą wyobraźnię. Właściwością jej główną była plastyka i barwność tak wielka i tak wspaniała, jakiej żaden inny poeta polski nie posiadał, a z europejskich chyba tylko Szekspir i Goethe. Nietylko zjawiska, przedmioty i ludzie ze świata rzeczywistego, ale nawet mary świata fantastycznego przedstawiały się Mickiewiczowi w kształtach wyraźnie zarysowanych i właściwemi barwami naprowadzonych. Ta zdolność myślenia wykończonemi i zabarwionemi obrazami, sprawiła, że poeta stał się odrazu zrozumiałym dla wielkich

kół społecznych, najłatwiej i najchętniej przyjmujących wszelkie pomysły, które im jawnie i jasno stają przed oczyma, jakby żywe, jakby widziane i słyszane naprawdę, nie zaś za pośrednictwem pojęć tylko. Ale równocześnie ta sama zdolność myślenia wyrazistemi obrazami prowadziła poetę drogą najprostszą do widzeń i halucynacji, które bywały tak żywemi i tak przedmiotowemi, że je Mickiewicz brał za widma, istotnie z zewnątrz napływające. — Natomiast wyobraźnia jego, jako tak wybitnie, tak uderzająco plastyczna, nie posiadała przymiotu, właściwego fantazji innego naszego poety, Juljusza Słowackiego, nie posiadała lotnej eteryczności. Postaci Mickiewicza, choćby fantastyczne, są nawet w swej pieszczotliwości lub powietrzności stosunkowo krzepkie i krążą bardzo blizko ziemi; Świtezianka jego np. w porównaniu z Goplaną Juljusza, może być nazwana czerstwą dziewczyną, pomimo, że się tak lekko po falach unosi; kształty jej rysują się przed nami tak wyraźnie, iż możemy ją sobie bez trudu odtworzyć nietylko w ogólnych zarysach, ale i w szczegółach. Stąd też bardzo subtelnych odcieni w uczuciach, marzeniach i rozumowaniach nie znajdziemy w pismach naszego wieszcza, który lubił i umiał malować rzeczy wyraźne, a ludzi po większej części przedstawiał zdrowych, czujących, myślących i działających według normy nie wyjątkowej, lecz ogólnej. To, co nazywamy nerwowością, albo lepiej zdenerwowaniem, uznania u niego nie znajdowało, lecz było surowo karconym. Wypływało to naturalnie z jego zdrowej i silnej organizacji duchowej, z uczuciowości serdecznej i szczerej, z fantazji plastycznej i barwnej, a wreszcie z tego rozumu jasnego i rozległego, jaki mu był właściwym.

Rzeczywiście możemy i powinniśmy mówić o wielkim rozumie Mickiewicza. Rozum ten był zaszczepiony przedewszystkim na zdrowym rozsądku, który się rozwinął i ugruntował wśród bardzo normalnych warunków pierwotnego wychowania, utrzymującego potęgi duchowe w równowadze. Następnie ukształciły go nauki, obcowanie z mnóstwem ludzi rozumnych i utalentowanych w różnych krajach Europy, obserwacja zjawisk życiowych, a zwłaszcza własne rozmyślanie. Mickiewicz nic nigdy nie przyjmował biernie, zawsze przerabiając „nabytki cudze" na treść własnego umysłu i na każdej swej wiadomości wyciskając cechę oryginalną. Pomimo zamiłowania się w Schillerze i Byronie przez lat kilka, nie można powiedzieć, ażeby którykolwiek jego utwór, chociażby najdrobniejszy, był prostym odbiciem uwielbianych wzorów, jak to musimy np. twierdzić o bajronizmie Słowackiego. Taż samodzielność cechowała poetę naszego i w życiu rzeczywistym. Pomimo przykrości, jaką sprawiać mogło osamotnienie, nie wszedł on do żadnej partji emi-

gracyjnej, nie zapisał się pod żaden sztandar, ale wyrobiwszy sobie własne poglądy na sprawy narodu i ludzkości, urzeczywistnić je usiłował. — Mimo jednak rozległość i samodzielność tego rozumu był w nim jeden brak ważny. Jak fantazja Mickiewicza nie posiadała eteryczności, tak rozum jego nie miał uzdolnienia rozbiorczego. Jak wyobraźnia nasuwała mu obrazy wybitne plastyką i barwnością, tak rozum budził w nim myśli ogarniające całość wielką i rozległą, ale nie dbające o to, ażeby ją na poszczególne rozebrać części i podać rozbioru tego uzasadnienie. Łatwo mu było wypowiedzieć wielkie prawdy, lecz nie zdawał sobie trudu udowodnienia przez wykazanie ich podstawy i następstw. Wygłosił on np. dwa ważne twierdzenia: pierwsze, że w człowieku i w narodzie każdym jest pewna zasadnicza myśl lub uczucie, które poznawszy, najlepiej wszystkie działania jednostki lub narodu wytłumaczyć zdołamy; a drugie, że krytyka literacka nie powinna stawiać wyroku, ale tylko pisać historję utworu; — ale zdania te w pismach jego luźnie rzucone, nie rozwinęły się w szczegółach; gdy tymczasem też same zdania, zupełnie zresztą niezależnie zdobyte przez H. Taine'a, stały się podwaliną jego poglądów estetycznych, przeprowadzonych analitycznie przez wszystkie możliwe zastosowania. Co było przyczyną tego braku w rozległym skądinąd i bogatym rozumie Mickiewicza? Przedewszystkim naturalnie syntetyczna właściwość jego umysłu, uwydatniona zarówno w jego uczuciu, jak i w wyobraźni; — ale do utrwalenia tej właściwości przyczyniło się niewątpliwie i to, że za młodu nie odbył studjów filozoficznych, które w późniejszym życiu, przy ustaleniu się umysłu, już go pociągać nie mogły. Stąd wynikł wstręt Mickiewicza do dyskusji, do abstrakcji myślowych i stąd także słabość jego prób analitycznych np. w zakresie etymologji.

Przy takich czynnikach umysłowych wyrabiał się charakter Mickiewicza i sposób jego życia. Wrażliwość jego była niesłychanie wielka, ale nie powodowała bynajmniej natychmiastowego oddziaływania na zewnątrz, nie dążyła do bezpośredniego objawiania się w ruchach, słowach i czynach dlatego właśnie, że uczucie jego było głębokie i poddawało się kierunkowi rozumu. Widać to zarówno w twórczości Mickiewicza, jak i z jego postępowania w świecie. Tworzenie przychodziło mu łatwo, jak to poznajemy z rękopismów, które są daleko mniej kreślone i poprawiane, aniżeli np. rękopismy Słowackiego; a jednak pisał stosunkowo do dzielności swego gienjuszu niewiele. Pochodziło to stąd, że nie dając się powodować chwilowym wrażeniom, przerabiał je w sobie, przemieniał na najgłębszą treść duchową i dopiero wtedy brał się do pisania, gdy całe szeregi obrazów stały już gotowe w jego fantazji, gdy uczucie doszło

do stanu wyraźnej świadomości, nie zatraciwszy jeszcze siły i barwy, gdy rozum uznał całość za odpowiadającą zamiarowi. Ponieważ twory jego wytryskały ze stałych warstw duszy, a nie z ruchomej jej powierzchni, sprawiały więc głębokie wzruszenie w czytelnikach i silnie wrażały się w ich serca i umysły.

Podobnież rzecz się miała z jego stosunkami w świecie. Nie należał on do tych, którzy łatwo z ludźmi zabierają znajomość i odrazu pozyskują uznanie i uwielbienie; przeciwnie, nowych związków zawierać nie lubił, a na obcych, przy pierwszym widzeniu, nietylko uroku nie wywierał, ale nawet bardzo korzystnego wrażenia nie robił. Natomiast gdy przy bliższym poznaniu nazwał kogo przyjacielem, to dzielił się z nim całym sercem, uważał go za część swej istoty, robił dla niego nieraz więcej, niż dla siebie samego. Postać jego wtedy dopiero stawała się czarującą, gdy żywczym uczuciem promieniejąc, słowami natchnionemi dała poznać duszę poety. Wówczas wpływ wywierał na ludzi całą swoją osobistością. „Mało spotkałem ludzi — powiada Fontille, który poznał go w latach mistycyzmu — mających taką duchową potęgę, jak ją miał Mickiewicz. Należał on do liczby tych, co zyskują na bliższym poznaniu, bo wielkiemi są sami przez się. Najwięcej ceniłem w nim nie jego gienjusz artystyczny i poetyczny, bo nie czytałem ani jego prelekcji słowiańskich, ani jego poezji; ani też uderzała mię jego wymowa, ani pomysłów szczytność... cóż więc?... nie umiem powiedzieć. Wyrażał on się poprostu, z niejaką trudnością w języku francuskim, i nic takiego nie mówił, coby nie było łatwo zrozumiałym... Zdarzało mi się w chwilach posuchy duchowej szukać pociechy w modlitwie według wskazówek ewangielji. Zamknąwszy się w pokoju, czytając i odczytując św. Mateusza i św. Jana, znajdowałem w tych prostych książeczkach pokarm duchowy, czułem się przeniknionym, oblanym wodą żywota... Otóż słowa Mickiewicza sprawiały na mnie ten sam skutek. Mówiąc jasno i poprostu, wlewał on przeświadczenie o prawdzie tego, co za prawdę uważał; w rozumowania, dedukcje i indukcje nie bawił się wcale, unikając wszelkich abstrakcji. Sztuka jego na tym się zasadzała, że się bez niej obchodził. Myślał on i rozumował, jak ci, co się nie nauczyli w szkołach dowodzić za i przeciw. Jeżeli nie zdołał przekonać, to wzruszył. Potęga wpływu jego na osoby, na które działał słowem, wynikała z wielkiej bezinteresowności; nie szukał on, ani chciał czego innego, prócz ich własnego dobra". Działał więc na ludzi w żywym zetknięciu się z niemi takim samym sposobem, jak w pismach; dawał im ducha swego, nie dbając o użycie żadnych środków, któreby ubocznie skuteczność wpływu zapewniały. Jeżeli duch ten całością swoją nie zdołał mu pozy-

skać serc i rozumów, to nie starał się przekonywać o prawdzie swoich pomysłów i twierdzeń za pośrednictwem rozstrząsania szczegółów, całość ową składających. Jak pisał, tak i działał wówczas dopiero, gdy go do czynu znaglił silny popęd wewnętrzny; dlatego też nie szedł tam, gdzie szły tłumy, dlatego też nie nabrał nigdy w życiu publicznym rutyny i był jej nieprzyjacielem. Pomimo długoletniego przebywania w salonach, nigdy się nie stał salonowcem, zachowując w ruchach i w mowie właściwą sobie oryginalność, w której ślady pierwotnego wychowania na prowincji silnie się uwidoczniały. Pomimo, że w sercu jego płonęła gorąca miłość ojczyzny, nie złączał się z żadnym ze stronnictw, które w imię tej miłości skupiały ludzi i do działania powoływały. Natomiast tam, gdzie uważał za swój obowiązek wystąpić czynnie, nie baczył ani na formy, ani na zwyczaje, ani na upokorzenie miłości własnej, ani na zarzuty tłumów, ani na żadne inne względy, idąc do celu wytrwale, z poświęceniem myśli, czasu, zdrowia i pieniędzy. Działając wtedy pod wpływem uczucia, które nie zna rozpraw, bo jest najmocniej i nagłębiej o prawdzie i zbawienności tego, co przedsiębierze, przekonane, bywał szorstkim i nieubłaganym, pomimo rzetelnej dobroci serca. Wówczas z człowieka niełagodnego wprawdzie, ale wyrozumiałego, stawał się żarliwym apostołem, którego oburza ślepota ludzi, nie widzących jedynego i najwyższego dobra.

Takie cechy wielkiego gienjuszu i wielkiego charakteru wyjaśniają nam jego potęgę i jego słabość we wpływie na społeczeństwo. Jako poeta stał się najgienjalniejszym wyobraziciełem twórczości naszego narodu; przeniknął nawskroś jego serce i umysł, odtworzył najżywsze uczucia, pragnienia i ideały jego w obrazach, którym równych nie było, poruszył najgłębsze zagadnienia jego bytu, dał poznać jego charakter i nawyknienia; wlał nowe życie w literaturę i to nietylko w przeciwieństwie do poprzedniego jej stanu, a więc nietylko historycznie, ale za pośrednictwem „Pana Tadeusza" wskazał drogę jej rozwoju na przyszłość, nie co do treści naturalnie, ale co do sposobu tworzenia artystycznego. Odkąd Polska istnieje, nie wydała drugiego poety, któryby w tym stopniu, co Mickiewicz, był oryginalnym i któryby tak silny, tak ożywiający wpływ wywarł na naród.

To dowód potęgi Mickiewicza, uznanej przez wszystkich. Słabość jego tkwi w jego apostolstwie społeczno-politycznym; ale i ona dowodzi, że z wielkich przymiotów serca i umysłu wypłynęła. Istotnie w całym apostolskim jego zawodzie niepodobna nie uznać złudzenia ze strony poety; lecz równocześnie nie można nie widzieć, iż było ono z liczby najszlachet-

niejszych, o jakich tylko pomyśleć można, gdyż wynikało z wielkiej podniosłości charakteru i z głębokiej wiary w lepszą stronę duszy ludzkiej. Mickiewicz uwierzył we wszechmocną potęgę ducha zarówno nad ciałem własnym, jak i nad wszystkiemi ludźmi, nad wszystkiemi przedmiotami, nad wszystkiemi wypadkami; uwierzył w możność rychłego, niemal natychmiastowego przewrotu, tak w przyrodzie, jak i w społeczeństwie, w jego myślach, uczuciach i przyzwyczajeniach. Żadne niepowodzenie, żadna porażka nie mogły wiary tej w nim zachwiać; prędzej oskarżył siebie samego o niedostasteczne przygotowanie własnego ducha; prędzej przypuścił brak „łaski" w sobie, aniżeli niemożność zastosowania w życiu maksymy o sile wiary prawdziwej. Zdawało mu się, że on w rzeczywistości potrafi dokonać tego, czego Konrad z „Dziadów" nie mógł spełnić w świecie wyobraźni; a zdawało mu się tak dlatego, że Konrad występował przeciw Bogu, gdy on sądził się być w zjednoczeniu z Bogiem. Wszystkie cuda, o których opowiadają legiendy, wydawały mu się najzupełniej możliwemi o tyle naturalnie, o ile ten, co cuda takie miał sprawić, posiadał wiarę szczerą, prostą a głęboką.

Przekonanie to, nie będąc wynikiem nieznajomości dowodów przeczących mu, lecz opanowaniem tych dowodów za pośrednictwem natchnień, które poeta poczytywał za potęgę wyższą od rozumowania, przeszło nietylko w treść umysłu, ale wcieliło się w czyny, w postępowanie całe — i obudza w nas wzruszenie tragiczne. Byle jaka pusta głowa mogła nie popaść w te błędy, które w okresie mistycznym towarzyszyły naszemu poecie, mogła nawet szydzić z naiwności jego wiary, ale tylko dlatego, że na taką naiwność nigdy zdobyć — by się nie potrafiła. Nie chcę przez to powiedzieć, że mistyka wogóle. a towiańszczyzna w szczególności, na uznanie rozumu zasłużyć powinna. Towiańszczyzna mianowicie wykazała swoją bezsilność zbyt jawnie, ażeby można jej rokować jakiś wpływ na znaczniejszą liczbę jednostek; uboga w idee, zaplątana w sieć mglistych, fantastycznych obsłonek, mogła ona jedynie pod tchnieniem tak potężnego umysłu, tak namiętnego serca, jakie posiadał Mickiewicz, nabrać cokolwiek życia i przywiązać do siebie kilkudziesięciu ludzi. Do odrodzenia ludzkości, czy choćby jednego narodu, nie posiadała warunków, a przez lekceważenie nauki i rozumu rozbiorczego naraziła się na zupełną bezpłodność. Wszakże, obrana z owych fantastycznych obsłonek i przez Mickiewicza wyjaśniona, zawierała myśl wprawdzie nie nową, ale niemniej przeto ważną; dążyła bowiem do tego, żeby zniknął rozdział pomiędzy moralnością prywatną i publiczną, rozdział, którego nie wstydzili się ludzie głosić wówczas, jak nie wstydzą

się i dzisiaj, zarówno z katedry, jak z łamów dziennikarskich i trybun parlamentarnych. Myśl ta, oraz poglądy społeczno-polityczne Mickiewicza, na niej oparte, a dążące do ustalenia wolności, sprawiedliwości i szczęścia narodów, mają przed sobą przyszłość, tylko że nie będą mogły być urzeczywistnione tak rychło, jak marzyło wielkie i szlachetne serce wieszcza.

Wiemy dziś napewno, że w świecie zarówno fizycznym jak i duchowym istnieje rozwój powolny, który zakłócają wprawdzie nagłe wulkaniczne wybuchy i niespodziewane wstrząśnienia, ale które pomimo to idzie dalej swoją zwykłą, normalną drogą. Odrodzenie też narodów i ludzkości nie może się dokonać za jednym zamachem, jakimś „drgnieniem" mistycznym i ekstazą, lecz musi się odbywać zwolna, za pośrednictwem wszystkich środków, jakiemi ludzie rozporządzać mogą, a więc nie za pośrednictwem sercowych jedynie i fantazyjnych, ale także rozumowych i materjalnych. Atoli wiedząc to, nie możemy bezwarunkowo potępiać wzniosłej wiary poety, że ludzie odrazu przeanielić się dadzą, gdyż wiara taka, czynem objawiona, ma dla atmosfery duchowej podobne znaczenie, co błyskawice i gromy dla atmosfery fizycznej: oczyszcza ją i orzeźwia potężnym wstrząśnieniem umysłów, wprowadzeniem do nich pierwiastka, działającego jak prąd elektryczny.

Jak w poezjach Mickiewicza odbiła się przeszłość, oraz strona uczuciowa i obyczajowa narodu, tak w jego poglądach społecznych znajdują się ziarna, które się rozwinąć mają w przyszłości. Jestto jedyny nasz wieszcz — gienjusz, nietylko wielbiony i czczony, ale także rozumiany i kochany przez naród, którego był najlepszym i najwyższym w poezji wyobrazicielem.

STANISŁAW WITKIEWICZ.

Mickiewicz jako kolorysta.

(Urywek).

Talent, indywidualność i rozum są zasadniczemi warunkami twórczości artystycznej i bez nich tylko błahe lub połowiczne dzieła wydawać można. W każdym też dziele sztuki, badanym uważnie, z łatwością dają się te pierwiastki wyróżnić, a nawet ich ilościowy do siebie stosunek może być wykazany.

Są ludzie, przypuśćmy w malarstwie, obdarzeni wielkim talentem, lecz tak dalece pozbawieni indywidualnego charakteru,

iż nigdy nie są w stanie niczym wyróżnić się z tłumu i idą jak pies za panem, za prądami artystycznych kierunków, tworzonych przez inne talenty.

Wielka i silna indywidualność, sprzęgnięta z małym talentem, wypacza się w dziwactwa; używając swego ubogiego materjału z jakimś ciasnym uporem, jednostronnie, wydaje dzieła zmanierowane do szczętu, podobne do owoców zamkniętych w ciasnym naczyniu w czasie wzrostu, i przybierających kształty potworne.

Z drugiej strony wielki talent i indywidualność, nierównoważone inteligiencją, tworzą rzeczy, które są po prostu bez sensu,—i naodwrót, wielka inteligiencja, posługująca się choćby średnim talentem, wytwarza nieraz dzieła względnie bardzo dobre.

Lecz dzieła sztuki, które są i prawdopodobnie zawsze będą uważane za doskonałe,— są wynikiem współdziałania trzech sił, wyżej wskazanych.

Określenia talentu, indywidualności i rozumu, jako *sił*, nie należy brać w ścisłym znaczeniu. Przedstawiają się one jako odrębne, osobne siły tylko w skutkach, lecz w działaniu same są zapewne wynikiem wielu i różnych stanów anatomicznych i fizjologicznych organizmu.

Otóż, czy weźmiemy Michała Anioła, czy Leonarda da Vinci, Danta, Szekspira, Mickiewicza czy Goethego — Słowackiego lub Byrona, w dziełach ich zawsze znajdziemy współrzędne działanie talentu, indywidualności i rozumu—działanie wytężone często do ostatnich granic siły ludzkiego czynu.

Na tych wyżynach twórczości, gdzie prawie znikają wartościowe różnice — tylko *indywidualność* nadaje odrębne cechy dziełom — i pozwala wyróżnić je między sobą.

Lecz indywidualność jest jednym z najbardziej złożonych i najtrudniejszych do wyodrębnienia artystycznych pierwiastków. Samo określenie jej nie może być ścisłe, wskutek nadzwyczajnej różnorodności jej przejawów.

Widzimy naprzykład takiego Michała Anioła, który od pierwszego uderzenia dłuta, od pierwszej linji narysowanej, do ostatniego tchu jest zawsze ten sam; — jednolity i jednostajny, rozwija ciągle jeden motyw *kształtu*, sformułowanego w linji i ciągle tworzy pod wpływem jednakowego uczucia.

Jest to indywidualność *ciasna*, jednostronna, związana z olbrzymim talentem i rozumem — rozumem, który opóźniał ostateczne zwyrodnnienie i wypaczenie się manjeryczne jego talentu do ostatnich prawie kresów życia.

Na mnie robi on wrażenie jakiegoś olbrzymiego, kopalnego potworu, idącego wązką, *przez siebie* wprawdzie wśród twardych granitów wykutą, ale zawsze wązką ścieżką.

Niemniej ciasnym, mimo mnogości swych dzieł, jest Rubens;—a jeżeli brać przykłady ze współczesnych nam ludzi, to Wiktor Hugo może być wymownym dowodem, jak dalece dzieło sztuki traci na zachwianiu się równowagi między swemi zasadniczemi pierwiastkami. Bardzo określona indywidualność, wielki talent poetycki i wielka zaprawdę inteligiencja—lecz w miarę słabnięcia tej ostatniej, talent dziczał pod wpływem coraz bardziej zacieśniającej się indywidualności. U nas widzimy Matejkę, który dziś już jest zmanjerowany doszczętnie i bezpowrotnie.

Są to indywidualności niezłożone i wskutek tego łatwiejsze do określenia, zbliżonego do ścisłej prawdy.

Lecz jeżeli bierzemy Szekspira, Goethego i Mickiewicza, jesteśmy odrazu w lesie. Nie mamy już do czynienia z trzema pojedyńczemi ludźmi, lecz z całym ich tłumem.

Do psychologów należy objaśnić te dziwne zjawiska indywidualności złożonych, dla mnie wystarczy zaznaczenie faktu ich istnienia i wykazanie ich stosunku do sztuki. Jeszcze ludzie Szekspira, wskutek stale djalogowej formy, jego poematów, podobni są do siebie pomimo wszystkich różnic psychicznych, — podobni są z tego, że wszyscy w różnym stopniu są *wygadani*. Cały ciężar wszechstronnego talentu i wielkiego umysłu waży na rozmowach;— poeta nie występuje poza swemi bohaterami, nie dopowiada za nich sytuacji, otoczenia, pejzażu — to też do wszystkich ludzi szekspirowskich można powiedzieć to, co mówi Benedykt do Beatryczy: „Chciałbym, żeby moja kobyła była tak rącza w biegu, jak język waćpani". Ta gadatliwość, wyszukaność przenośni, cięta szermierka dowcipów — czyni z całej mnogości typów Szekspira jedną rodzinę o bardzo wybitnych rysach podobiestwa.

Lecz Goethe i Mickiewicz, oprócz tego, że zdają się w sobie nosić wszystkie odcienia ludzkiego temperamentu — przedstawiają tyle form artystycznych, że dzieła każdego z nich wzięte razem, zdają się być pracą nie pojedyńczego człowieka, lecz wielu i to bardzo różnych ludzi.

Jeżeli weźmiemy Mickiewicza, o którego tu chodzi, to przez ileż stopni i rodzajów uczuć, przez jakie rozległe horyzonty myśli i przez ile form artystycznych przejdziemy, zanim doczytamy dzieła jego do końca.

Czego on nie czuł,—o czym nie myślał i jak wszechstronnie widział!

Od ledwie dających się uświadomić przeczuć, przez wszystkie odblaski szału miłości, do wspaniałej dumy, nienawiści, rozpaczy; szalonego bólu za miljony, pogardy, szyderstwa i dobrodusznego współczucia. Od głębokiego sceptycyzmu — do

mistycznego obłędu, — od dziecinnego zabobonu — do trzeźwej jasności prawdy.

Iluż ludzi stworzyły te wszystkie, kolejno rodzące się i zamierające stany jego duszy!

Gustaw idący po prostej drodze namiętności — do samobójstwa; Konrad, którego pierś pęka i mózg djabli czy anieli biorą, z bólu za ludzkość; Walenrod, Grażyna, wszystkie tak różne postacie z Dziadów,— aż do starych safandułów i dziwaków z Pana Tadeusza, — cóż to za bogata galerja portretów, przedstawiających bez żadnej manjery, tyleż wspaniałych indywidualnych charakterów.

Oto jest wielostronna indywidualność, talent niewyczerpany w środkach i kierowany potężnym, nawet wtenczas, gdy zdaje się łamać, rozumem.

Poza psychologją człowieka, Mickiewicz *widział* naturę tak wszechstronnie, jasno, ściśle i prawdziwie, jak wątpię, czy kto inny był w stanie ją widzieć i odczuwać.

Dźwięk, kształt, barwa, zapach, czyli cała ta mowa, którą świat zewnętrzny przemawia przez zmysły do naszego umysłu, była dla niego zupełnie zrozumiałą i jasną. O nim to można powiedzieć jego własnemi słowami:

Gdzie chcesz, jaką chcesz drogą buja po przestworzu:
Czyli jak prorok patrzy w niebo, gdzie w obłoku
Wiele jest znaków, widnych strzeleckiemu oku;
Czy jak czarownik gada z ziemią, która głucha
Dla mieszczan, mnóstwem głosów szepce mu do ucha.

Niemniej od Homera plastyczny w opisaniu kształtu — przewyższa go o całe niebo w przedstawieniu barwy.

Pomijając inne strony jego twórczości, o tym własnie poczuciu barwy u Mickiewicza chcę słów parę powiedzieć z punktu malarskiego pojmowania kolorytu.

Kolorystę malarza cechują mniej lub więcej wierne widzenie barw lokalnych— właściwych każdej rzeczy,— poczucie harmonji, czyli stosunku jaki zachodzi między temi barwami; ich wzajemnego na siebie oddziaływania pod wpływem różnego natężenia światła i innych czynników, wpływających na przełamywanie się i kombinowanie barw w naturze.

Te same cechy nosi talent poety—kolorysty. Różnica — w środkach i w stosunku, jaki zachodzi między dziełem, a tym, kto doznaje od niego wrażenia.

Barwa obok kształtu jest istotą malarstwa. Zużywszy odpowiednio wszystkie swoje środki, malarz daje dzieło, które w tym założeniu, jakie mu postawił, narzuca się widzowi; daje

mu całą skończoną pełnię zjawiska świetlnego i zmusza go do widzenia w obrazie tego tylko, co sam malarz widział i przedstawił, bez względu na uprzednie wrażenia widza, od którego może tylko żądać, żeby miał zdrowe oczy — pod tym jednym warunkiem obraz może każdego w zupełności przekonać.

Nie tak jest z poetą. Poeta opisujący barwy i ich stosunki, może tylko poddawać ich nazwy. Wrażenie też najbarwniejszego obrazu opisanego będzie o tyle tylko silne, o ile czytelnik ma w pamięci pewien zasób wrażeń barwnych od natury—o ile jest w stanie pod wpływem podrażnienia wyobraźni przez opis wywoływać i uprzytomniać te wrażenia w umyśle.

Dla ludzi, nie obserwujących natury ze względu na barwę — opis jej będzie tylko martwym dźwiękiem, pustą nazwą, oderwaną od całości obrazu, — nie wyrażającą nic.

Szczęśliwszy od malarza — poeta, nie potrzebuje destylować swojej myśli przez całą rzemieślniczą stronę malarstwa. Płótno, szczecina pędzli, farby, sicatiwy, oleje, nie istnieją dla niego. Mając cały materjał mowy w umyśle, ma zawsze odpowiednie słowo na odpowiednią rzecz lub zjawisko. Poeta łatwiej dochodzi do zrobienia obrazu i zadowolenia siebie — lecz mniej może być pewnym, że widz – czytelnik dozna tych samych co on wrażeń.

Jakkolwiek bogatą jest mowa ludzka w określenia nawet bardzo subtelnych odcieni barw, jakkolwiek ściśle te odcienia będą zastosowane, któż może ręczyć, że *opis pewnej barwy* w umyśle każdego czytelnika wywoła *widzenie* tego, a nie innego *tonu?*

Lecz jakikolwiek jest ten stosunek czytelnika do opisu, każdy może się przekonać, choćby z *ilości opisanych barw*, czy dany poeta widzi, lub nie, naturę ze strony koloru, czy dany opis jest dociąganiem się do przedstawienia całego zjawiska optycznego — czy też jednostronnym opisaniem jednej jego części.

Jakże często, czytając pewne opisy, doznaje się wrażenia, że pisarz, który je stworzył, jest ślepym. Ani oświetlenie, ani ubarwienie obrazów nie jest utrzymane. Opis taki zdaje się spisem przedmiotów, dokonanym przez komornika, martwym wyliczeniem rzeczy — raczej ich użytku,—lecz nie wyrażającym wcale ich życia—ich fizjognomji.

Nie tak jest u Mickiewicza. Światło i barwa istnieją w każdym opisie jego, zachowane w bezprzykładnej harmonji. Pod jego słowa można podkładać tony barwne, naturalnie wiedząc z obserwacji to, czego opis ściśle wyrazić nie jest w stanie—to jest ich siłę, natężenie przy danym oświetleniu; — otóż można podkładać tony barwne i malować w zupełnej zgodzie

z harmonją, istniejącą w naturze — a więc jedynie obowiązującą.

Obrazy jego są w znacznej części, a niektóre całkowicie komponowane na *kolor*.

Roztacza on całe bogactwo plam barwnych, a mając ciągle w umyśle przytomne to oświetlenie, w jakim je opisuje, wydobywa je mniej lub więcej silnie, odpowiednio do siły ich tonu.

Jeżeli opisuje pewną porę dnia: poranek, południe, zmrok— noc ciemną lub miesięczną, to siła natężenia światła, więc i barw lokalnych, ilość szczegółów występujących przy nim, — na ile tylko to daje się słowami wyrazić — jest przedstawiona, jak u najlepszych kolorystów malarzy.

Nie mogąc w krótkim artykule zmieścić przykładów ze wszystkich dzieł Mickiewicza, daję tu kilka wyjątków z *Pana Tadeusza*, – które zresztą aż nadto dowodzą, że Mickiewicz posiadał poczucie koloru w najwyższym stopniu; że je wyrażał z siłą geniuszu, o tym niema już co mówić.

. . . . . przenoś moją duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk *zielonych*,
Szeroko nad *błękitnym* Niemnem rozciągnionych;
Do tych pól *malowanych* zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, *posrebrzanych* żytem;
Gdzie *bursztynowy* świerzop, gryka jak śnieg *biała*,
Gdzie panieńskim *rumieńcem* dzięcielina *pała*,
A wszystko przepasane niby wstęgą, miedzą
Zieloną, na niej zrzadka ciche grusze siedzą.

Oto jest wierne przedstawienie tła pejzażu, w barwach lokalnych. To, co w pamięci Mickiewicza zostało jako wrażenie kraju, za którym tęskni, wiąże się zawsze z jego kolorowemi pierwiastkami. Nie *rzeczy* — lecz ich *barwy* stanowią właściwy jego urok.

Opis ten jest tylko przedstawieniem barw lokalnych bez względu na harmonję—czyli ton światła i wzajemne tych barw stosunki.

Kilka zaś wierszy dalej pisze:

Świeciły się zdaleka *pobielane* ściany,
Tym bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
Topoli. . . . . .

Tu już widać, że Mickiewicz nietylko widzi dobrze barwę przedmiotów, ale zaznaczając zmianę ich *natężenia* w stosunku do siebie, daje dowód głębokiego poczucia harmonji.

Żadna barwa w naturze nie ma dla naszych oczu stałego, bezwzględnego, niezmiennego tonu. Biała plama na tle jaskrawo-zielonym będzie się zdawała różową, i naodwrót, w stosunku do tła różowego — zieloną. Biała ściana domu w stosunku do czystej kartki białego papieru, będzie się zdawała brudnawo-żółtą, — „tym bielszą", zaś w stosunku do „ciemnej zieleni topoli".

Wszystkie niżej umieszczone wyjątki dowodzą wymownie, że Mickiewicz, czując bezprzykładnie głęboko i jasno barwność natury, miał wszystkie cechy wielkiego kolorysty malarza. Barwy lokalne i ich harmonja — rozproszenie i przenikanie światła wszędzie i zawsze zgodnie z loiką światłocienia w naturze, malują się w nich z nieporównaną prawdą.

Dalej maków białawe górują badyle;
Na nich myślisz, iż rojem usiadły motyle,
Trzepocząc skrzydełkami, na których się mieni
Z rozmaitością tęczy blask drogich kamieni:
Tylą farb żywych, różnych, mak źrenice mami.

Kto pamięta taką grzędę maków kwitnących, temu cała pstrocizna, zmienność i rozmaitość tego obrazu, stanie jak żywa w oczach, a to wrażenie nieuchwytnej ćmy kolorów, jak wymownie podnosi:

Krągły słonecznik z licem wielkim gorejącym

A dalej:

. . . . . .

Tuż za dziećmi paw' siedział i piór swych obręcze
Szeroko rozprzestrzenił w różnobarwną tęczę,
Na której główki białe jak na tle obrazku,
Rzucone w ciemny błękit nabierały blasku,
Obrysowane wkoło kręgiem pawich oczu
Jak wiankiem gwiazd, świeciły w zbożu jak w przezroczu.
Pomiędzy kukurydzy złocistemi laski,
I angielską trawicą posrebrzane w paski,
I szczerym koralowym i zielonym ślazem,
Których kształty i barwy mieszały się razem,
Niby krata ze złota i srebra pleciona,
A powiewna od wiatru jak lekka zasłona,
Nad gęstwą różnofarbnych kłosów i badylów
Wisiała jak baldachim jasna mgła motylów,

. . . . . .

Jest to skończony obraz kolorystyczny, w którym zachowanie barw przedmiotów, określenie prrzestrzeni pewnej plamy koloru, łączy się z nadzwyczaj jasnym widzeniem oświetlenia. Mickiewicz nie opisuje barwy przedmiotu, wiedząc, że ona jest taką lub inną, lecz widząc ją taką, jaką jest w danym oświetleniu. W pewnym blasku słońca, wśród mnóstwa cieniów, świateł, refleksów, barwy i kształty drobnych przedmiotów „mieszają się razem" i tworzą „gęstwę";—inaczej jest w leśnej ciemni, gdzie barwy lokalne leżą czyste, określone, nie przerzynane plamami świateł i cieniów.

Oto ustęp z opisu puszczy:

A koło mnie srebrzył się tu mech siwobrody,
Zlany granatem czarnej zgniecionej jagody,
A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,
Strojne w brusznice, jakby w koralów paciorki.
W około była ciemność; gałęzie u góry
Wisiały, jak zielone, gęste, nizkie chmury.

Tu trzeba zanotować, że w opisach Mickiewicza widać jasno oddalenie, z którego przedmioty są oglądane: — plama „granatowa" zgniecionej jagody—szczegół bardzo drobny w stosunku do wielkości innych części obrazu puszczy — lecz on widzi to zblizka „siedząc na kępie". W dalszym ciągu będę miał sposobność stwierdzić przykładami tę nadzwyczajną jasność widzenia zjawisk świetlnych i ścisłość w przedstawieniu ich słowem. Wrażliwość Mickiewicza na barwę widać wszędzie: tak dobrze w pęczku liści „szarej" mietlicy; w „złocistej" marchwi i w „szaro-zielonawej" łodydze cykorji. Widać ją, czy to jarzębina „świeżym" oblewa się „rumieńcem", czy to będzie:

Ożyna, czarne usta tuląca do malin,

Czy róża, którą:

dość... postawić przed słońcem,
Aby widzów zdziwiła jasnych barw tysiącem.

Nawet w porównaniach, objaśniających stan psychiczny:

Dusza jego, jak ziemia po słońca zachodzie,
Ostygała powoli, barwy brała ciemne.

U malarzy, posługujących się naprawdę barwą i perspektywą, wykreśloną na płótnie, rzadko nawet można znaleźć utrzymanie skończenia odpowiednio do założonego oddalenia ramy obrazu od oka patrzącego. Nieraz obraz zajmuje taką prze-

strzeń wykrojoną z całego obszaru panoramy natury, że w nim wszystkie szczegóły drobne muszą być zbite w masę, o ile nie rozróżniają się między sobą barwą i siłą tonu. Rzadko o tym pamiętają nawet bardzo skądinąd dobrzy malarze i rozmijają się wtedy z założeniem swojej sztuki. Mickiewicz, który maluje słowami, jak powiedziałem wyżej, ani na chwilę nie zostawia wątpliwości co do oddalenia, z którego patrzy: — on maluje dekoracyjnie.

Oto przykład:

Włos litewskiego ludu biały albo płowy,
Pozłacał się jako łan dojrzałego żyta;
Gdzieniegdzie kraśna główka dziewicza wykwita,
Ubrana w świeże kwiaty, albo pawie oczy
I wstęgi rozplecione, ozdoby warkoczy,
Śród głów męskich jak w zbożu bławat i kąkole.
Klęczący różnobarwny tłum okrywa pole.

Albo kiedy na bezładnym tle tłoczącego się koło Zosi ptactwa:

. . . . . .
. . . . . gdzieniegdzie z góry
Upada jak kiść śniegu gołąb srebrnopióry.
W pośrodku zielonego okręgu murawy
Ściska się okrąg ptactwa, krzykliwy, ruchawy,
Opasany gołębi sznurem, nakształt wstęgi
Białej, środkiem pstrokaty, w gwiazdy, w centki, w pręgi.
Tu dzioby bursztynowe, tam czubki z korali
Wznoszą się z gęstwi pierza . . . . . .

W jednym i drugim obrazie z tła ogólnego, z całego mnóstwa przedmiotów, widzianych odrazu w masie, wyrywają się tylko te, które mają najświetniejsze barwy, lub najjaśniejsze tony.

Jeszcze jeden przykład:

Jak wąż olbrzymi w tysiąc łamiący się zwojów;
Mieni się centkowata, różna barwa strojów
Damskich, pańskich, żołnierskich, jak łuska błyszcząca,
Wyzłocona promieńmi zachodniego słońca
I odbita o ciemne murawy wezgłowia.

Komu innemu wystarczyłoby wyliczenie zajęcia, płci, stanowiska towarzyskiego tańczących poloneza gości soplicowskich; — kto inny zadowoliłby się wyliczeniem nazw ptactwa, otaczającego Zosię — Mickiewicz wszędzie i zawsze widzi czło-

wieka i naturę, jak malarz. Nazwisko, ani przeznaczenie rzeczy nie wystarcza mu, on musi dać kształt i barwę. Owszem, czasem charakteryzuje całą rzecz tylko barwą: szarak „szarzał nad rolą" lub w takim arcydziele sformułowania w kolorze całego szlachcica:

Nad murawą czerwone połyskują buty,
Bije blask z karabeli, świeci się pas suty.

Ani słowa więcej,— ale też jest to wszystko, co na jedno spojrzenie wpada i zostaje w oku z człowieka, tak ubranego, jak podkomorzy w polonezie.

Oto domostwo Maćka:

. . . . . Domu dachy
Świeciły się jak gdyby od zielonej blachy,
Od mchu i trawy, która buja jak na łące.
Po strzechach gumien niby ogrody wiszące
Różnych roślin: pokrzywa i krokos czerwony,
Żółta dziewanna, szczyru barwiste ogony.

JÓZEF SZUJSKI.

Charakterystyka Kazimierza Wielkiego.

(w Mioceum).

Jak często w dziejach znakomitsi ludzie, których udziałem padło rozpoczynać dzieło odrodzenia, Łokietek umierał w strasznej o przyszłość trwodze,—on taki pełny trudu a pełny chwały, że się nie strudził nigdy, żelazna dusza w małym krzepkim ciele! on wyganiany z dzielnicy do dzielnicy, a wracający zawsze, ulegający przewadze i podnoszący się znowu, istny reprezentant tego niepokonanego ducha polskiego, a o tyle wyższy od wielu późniejszych jego objawów, że sprężystości towarzyszył chłopski rozum i poradność... on, co jako starzec jeszcze siwy i sterany, walczył na zabój pod koniec żywota; ale w tej ostatniej walce czuł niezawodnie chwilami, że ona daremna, że ona zabójcza, że trud żywota zmarniony! Pierwsze spojrzenie takiego władcy w rozpaczy, zwraca się oczywiście ku następcy... ależ mamy wszelką pewność przypuszczenia, że i to spojrzenie nie przynosiło mu nadziei.

Annalista zachował nam przemowę króla do panów małopolskich, stojących u łoża umierającego Łokietka. „O męże, mówił, łaskawi i przychylni mnie i pokoleniu memu! obyż syn mój, moim wiedziony przykładem, takie z wami miał zachowanie, jakie ja miewałem, obyście go tak kochali jak mnie. Lecz—jeżeli inaczej będzie—polecam to zapobiegliwości i wierności waszej!"

Jakże wiele mówi to znaczące „inaczej!" Widocznie obawiał się umierający król, że młody Kazimierz nie zdoła pozyskać przychylności narodu, nie będzie z nim w zgodzie. A może już z nim w tej zgodzie nie był? Najpewniej... To co o królewiczu z czasów młodych wiemy, okazuje niezmierną przepaść między nim a rycerską Łokietka szlachtą, między nim a ojcem. Same niepochlebne rysy. Mąż Anny Aldony, dzikiej córki Giedymina, która kocha przedewszystkim pieśń litewską i tańce, ciągnie on do innego, bardziej cywilizowanego świata, niż prostaczy i wojenny dwór ojca i matki, Bolesława Pobożnego świętobliwej córki. W misjach dyplomatycznych jeździ na Węgry, do siostry Elżbiety, znanej z tego, że z łatwością przejęła włosko-francuskie, niezbyt surowe Andegawenów obyczaje. Rozsławiła go też awantura miłosna z córką Felicjana Zacha, szlachcica węgierskiego, w której lekkomyślna siostra — królowa, grała rolę pośredniczki, awantura tragicznie kończąca się, bo mściwym ucięciem ręki królowej przez oburzonego ojca i straszną tego ojca i jego rodziny karą. Obok tego niepochlebnego rysu staje drugi z pola bitwy pod Płowcami, gdy w straszny kłąb wzajemnego mordowania się rozbestwione Krzyżactwo i rozpacz polska się zwarły, — z pola bitwy... uciekł młody Kazimierz, szerząc wieść o klęsce ojca i narodu. Cóż znaczy wobec tego nierycerskiego postąpienia drobny liść wawrzynu, uszczknięty pod murami Kościana w walce z Szlązakami?... Miękki... zniewieściały... hołdujący obcemu obyczajowi rozpustnik... oto co wnosićby należało z tych dwuch rysów... tak też musiano o nim mówić po kraju... Bliżsi zaś, znający go lepiej, musieli mówić coś więcej, co też niebawem w jego życiu i działaniu wystąpiło.

Psychologji historycznej, jeżeli takie dwa rysy pozostały z dni młodych takiego człowieka jak Kazimierz, wolno iść dalej, wolno domyślać się po nich ówczesnej umysłowej fizjonomji młodzieńca. Dziesięcioletniemu, gdy siostra szła za mąż za Karola Roberta, zaświecił po raz pierwszy blask dworu obcego, będącego odbiciem wytwornej, neapolitańskich Andegawenów dworszczyzny tak barwnego wobec skromności i monotonji surowego dworu Łokietka. Związek familijny utrwalił ten wpływ na chłopca, sam Łokietek mógł go zrazu pragnąć dla

wykształcenia syna, i oto bądź przez częste znoszenie się obu dworów, bądź przez pobyt Kazimierza na dworze szwagra, bądź przez nauczycieli stamtąd pochodzących, stało się, że nie matka Jadwiga, ale siostra Elżbieta, nie ojciec Łokietek, ale szwagier Karol Robert, są wzorami obyczaju, kierownikami pojęć młodego królewicza. Ktokolwiek rozpatrzył się w wewnętrznym rządzie Kazimierza W. w Polsce, nie będzie się wahał ani chwili powiedzieć, że Kazimierz jest Karola Roberta uczniem! Też same usiłowania prawodawcze, taż sama staranność o miasta, przemysł i handel, taż sama polityka względem szlachty i duchowieństwa, toż samo w budowaniu zamiłowanie, toż samo staranie o zewnętrzną wspaniałość królewskiego majestatu.

Pomyślmy teraz co na dworze Karola Roberta mówić musiano o nierównej walce Łokietka z Zakonem, co mówiono o małej stosunkowo cywilizacji i zaniedbaniu Polski, pomyślmy, gdzie stają zwykle ludzie młodsi, pociągnięci zrazu zewnętrznym blaskiem, potym samąż treścią ku owocom cywilizacji, ci szczególniej, którzy w starszych widzą pewien wstręt ku niej; a mamy zagadkę duszy młodego Kazimierza, mamy odpowiedź, dla czego był o tyle pokojowym, o ile ojciec wojennym, o tyle niewierzącym w sukces zapasów z Zakonem, o ile ojciec tylko szabli wierzył, o tyle tęskniącym ku stanowczemu zwrotowi w polityce wewnętrznej i zewnętrznej, o ile ten ojciec mimo wysileń sam tracić musiał nadzieję lepszej przyszłości. Mamy wytłumaczenie faktu, że uciekł z walki, która mu się ostatnią być zdawała, on, marzący o błogich spokoju skutkach, on podobny z wielu miar do Henryka IV, przyjaciela włościan, co to także trząsł się ze strachu jak osiczyna, gdy po raz pierwszy ujrzał tę krwawą rzeź ludzi, która się wojną nazywa.

To jego usposobienie, wojnie przeciwne, niemożności jej świadome, wiodące go do podnoszenia przewagi znienawidzonych Krzyżaków wobec swoich, do lekceważenia zaś daremnych bohaterskich usiłowań ojcowskich, jako bezsilnych i szkodliwych, musiało Kazimierza kłócić z ojcem, rycerstwem, a uważany za miękkiego wobec wroga, musiał on uchodzić za despotę wobec swego własnego społeczeństwa. Tarcie, które z przyczyny tych różnych usposobień między nim a ojcem istnieć musiało—a nie brak było zapewne zastępu ludzi, oglądających się już na blizką śmierć Łokietka — tarcie to wyrabiało przekonanie Kazimierza, i niewiele też w dziejach naszych takich ostrych, raptownych, stanowczych zwrotów na miejscu, takich radykalnych zmian systemu, jak ta, którą inauguruje młody Kazimierz, skoro zamknął oczy stroskany synem ojciec, Władysław Łokietek.

Jeżeli zaś uznać musimy, że dwudziestodziewięcioletnie jego panowanie wygląda, bądź co bądź, jako skończone arcy-

dzieło wytrwałej, cierpliwej, zawsze celu świadomej organizatorskiej pracy, arcydzieło, na którym znać rękę mistrza w gruntownej wyćwiczonego szkole, ale i blaski spokojnego gienjuszu twórczego — jeżeli ten gienjusz przeto przypiszemy młodemu królowi, osławionemu dotąd z cudzoziemszczenia, lekkich obyczajów, małego rycerskiego ducha a despotycznego przeczenia rozgorączkowanym instynktom słusznej zresztą zemsty; to zaiste ów król młody, niepopularny, musiał mieć pewność siebie, jaką mają gienjusze, wierzący w nieomylność swojej gwiazdy i trafność swojej drogi; Kazimierz musiał mieć więcej niż przekonanie, bo natchnienie gienjuszu, który mu kazał iść drogą pokoju, chociaż bez znikomych blasków chwały, drogą ustępstw i poświęceń, wstrętnych zrazu, a przecież koniecznych; musiał mu mówić: Ani kroku dalej! bo zakon krzyżacki ma murowane grody, a ty zgliszcza tylko i horodyszcza drewniane, ma kwitnące rolnictwem, handlem i przemysłem kraje, a ty kraj wycieńczony i zaniedbany, bo sojusznikiem tego zakonu jest najpierwszy rycerz Europy, Jan, który może po raz drugi na zgubę Polski skuteczniejszą jeszcze niż w roku 1331 ułożyć wyprawę.

W sam dzień koronacji zawiera Kazimierz pierwsze zawieszenie broni z Zakonem. Odtąd bądź je odnawia, bądź wzywa dyplomatycznego pośrednictwa, przyjmuje sąd arbitrów Jana czeskiego i Karola Roberta; ale przyjąwszy, zwleka wykonanie formalności, układa ze szwagrem grę trudności i przeszkód, odracza ratyfikacje wśród trwającego wciąż pokoju. Nie udałoby się to może, ale Kazimierz załatwił tymczasem sprawę pretensji Jana, przez odstąpienie straconego już faktycznie Szlązka, przez wykupno pieniężne praw do reszty Polski. Rokując, prawie współcześnie grozi Kazimierz; utrzymuje dobre z Awinjonem stosunki, wytacza przed zesłanemi posłami papieża olbrzymi proces zakonowi o bezprawną grabież Pomorza, Kujaw i Michałowskiej ziemi; dopiero wtedy, gdy śmierć Bolesława Trojdenowicza otwiera mu dziedzictwo Rusi, gdy walka o Ruś plątać go musi w zatargi z Litwą, pokój z Zakonem przychodzi do skutku, pokój niekorzystny, bo i Pomorze i ziemia Michałowska idą w posiadanie Zakonu, ale pokój konieczny, jeżeli się chciało mieć bezpieczną od północy granicę.

Dziesięć lat utrzymywanego misternie zawieszenia broni, jest owocem jego zręczności politycznej, i zneutralizowaniem raz na zawsze grożącego Polsce czesko-krzyżackiego kataklizmu. Kazimierz w r. 1343 jest uznanym, szanownym, zasobnym monarchą, a gdy późniejsze świadectwa mówią wyraźnie o różnych, corocznych prestacjach Krzyżaków z tytułu otrzymanej podówczas jałmużną donacji — a dyplomatów w. mistrza, okre-

ślających zobowiązania Zakonu, które przy ostatecznym układzie zamienione zostały, najwyraźniej między aktami traktatu brakuje: wolno przypuścić, że pokój kaliski, jeżeli nie oddawał Kazimierzowi strat Łokietka i Leszka, to przynajmniej był pokojem honorowym, noszącym cechę dobrowolnej i do wdzięczności obowiązującej donacji, jakim niezawodnie nie byłby był układ, zawarty pod przymusem w pierwszych latach panowania. Pochopność do lekkomyślnego zawierania traktatu, walki z narodem, a w szczególności z biskupem Janem Grotem o to zawarcie dwuch prądów w kraju, pokojowego z królem, wojennego z duchowieństwem na czele, niepodobna dopatrzeć się w źródłach, jeżeli arbitralnie odrzucając raz Długosza, drugi raz tegoż Długosza w pomoc się nie bierze: w królu za to samym widzi się ustawnie podwójną grę polityczną, pokojowe oświadczenia i groźby, układy z Rzymem przeciw Zakonowi i idące po nich zakazy papieskie, aby król nie przyjmował szkodliwych warunków! Prof. Caro nie mogąc tego zakryć, smuci się, że przychylny Zakonowi i pokojowi król, ma chwile złej wiary; — my, chcąc nie chcąc, musimy tę złą wiarę poczytać za dowód jego politycznego rozumu. Trudno było Kazimierzowi płacić dobrą wiarą za tę, którą Polska w ówczesnym doświadczała świecie.

Olbrzymiemi krokami zbliżał się już podówczas w Europie ów nowy duch polityczny, który rozkiełznany z dawnej, śródwiecznej sforności, stawiającej prawo moralne po nad siłę, z dziwną naiwnością wypowiadał cyniczną przechwałkę późniejszą Ferdynanda hiszpańskiego: „Alboż ja raz brata mego oszukałem?" Ku ideałowi Ludwika XI dążą najznakomitsi królowie tego czasu. Jedni z nich, jak Jan czeski, niby na rozdrożu wieków, są dziwną mieszaniną dawnej szlachetności i dzielności rycerskiej, posuniętej do awanturnictwa bez celu, z chciwością bez granic, chęcią panowania i mieszania się wszędzie, bez planu i systemu. Drudzy, jak syn Karola Roberta, Ludwik, i syn Jana, Karol, późniejszy cesarz, poprzestają, aby dawne rycerstwo świeciło tylko szychem zewnętrznego dworskiego blasku: pod tym blaskiem chowa się umysł zimny, wyrachowany, nieufny, chwytający to tylko, co niechybne obiecuje korzyści, przenoszący też nadewszystko potęgę domową, pełny skarb i ślepych a posłusznych wykonawców woli królewskiej. Taki tam wszędzie pozór przyjaźni, obok chęci korzystania z drugiego, takie zabezpieczanie się nieufne przed najbliższemi, taka łatwość w zmianie sojuszników, wedle chwilowej korzyści, taka swawola w płataniu sobie politycznych niespodzianek, taka przestronność sumień, kiedy szło o zysk czy w ziemi, czy w pieniądzach! Wśród takich ludzi żyjący Kazimierz, nie mógł być od

innych w środkach szlachetniejszym i lepszym, ale był szlachetniejszym i lepszym w celu, bo gdy współcześni pracowali dla dogodzenia własnym ambitnym planom, w krajach zamożniejszych i nie zagrożonych, lub przynajmniej nie tyle zagrożonych, on pracował w kraju, którego rządy objął nad samą przepaścią zguby, w kraju, który był słabszym i bardziej zacofanym w kulturze i obronności, który też miał owo prawo słabszego wśród mocniejszych, aby odpierać podstępem podstęp, a wśród ostrożnych i nieufnych, być tym ostrożniejszym i nieufniejszym. Donkiszotem nie wolno być temu, który ma interesy narodu na odpowiedzialności swojej. Wśród wytrawnych graczów politycznych jest i Kazimierz graczem nielada, ustępującym, gdy złe karty w ręce, oddającym wet za wet, gdy fortuna pomyślniejsza.

Europa dzieliła się wówczas na dwa wielkie obozy, Ludwika Bawarczyka cesarza, i Jana Czeskiego; król Kazimierz przerzuca się z jednego do drugiego wedle potrzeby, szachuje Ludwikiem Czecha, a Czechem Ludwika ma rację; żaden nie był nigdy szczerym przyjacielem, obaj, nawet bez politycznej potrzeby, z niemieckiego instynktu, adwokatowali zakonowi krzyżackiemu. Zawarszy traktat odstąpienia Szląska z Janem, Kazimerz nie spuszcza z oka polskiej niegdyś dzielnicy, strzeże pilnie, aby djecezja wrocławska nie oderwała się od gnieźnieńskiej, aby Nankicz nie odstąpił Milicza królowi czeskiemu, zachowuje stosunki przyjazne z jednym niezniemczałym książęciem Szląska, Bolkiem Świdnickim, spomaga jego ruchy przeciw Czechom, drogą zastawu przychodzi do dzierżaw w odstąpionej ziemi, odrywa wkońcu od niej terytorjum Cieniawskie i Wschowskie. Zbywszy z głowy Krzyżaków, wspomina sobie Kazimierz, ile strat musiał ponieść na awanturniczego Jana, a między sześcioma listami, wypowiadającemi wojnę, które wkońcu 1344 oślepły już Jan otrzymuje, jest i list Kazimierza. Jak się kochano wzajemnie, świadczy, że Jan zwrócił się najpierw przeciw Kazimierzowi, pragnął przed śmiercią, gdy ich już zobaczyć nie mógł, dotknąć oszczepem murów stolicy polskiej, gnał ku miastu w gorączce gniewu i zemsty — aby spotkać się z grubo delikatne uczucie dzisiejsze obrażającym wyzwaniem na pojedynek. Ślepy bohater, kaleka rycerski, wyzwany przez trzydziestopięcioletniego Kazimierza; zapewne! szyderstwo z kalectwa barbarzyństwem trącące! Ale w tej ironji barbarzyńskiej była i słuszność, był wyrzut zrobiony awanturnikowi, którego przyjazdu do kraju bali się poddani jak ognia, bo obdzierał nielitościwie tak zwanemi bernami księży, mieszczan i żydów, bez skrupułów prawnych, co sprzedawał Pomorze i Dobrzyń, które nie były jego własnością, a teraz łupił i palił kraj; on kaleka i starzec, który już z wiecznością ra-

chować się był powinien. Przyjaciel spokojnego żywota, rolnictwa, handlu i przemysłu, rzucał w oczy zdegenerowanemu rycerstwu, niegdyś opiekunowi słabych, cyniczny sarkazm z tego bojowania dla bojowania, z tego tłuczenia się po świecie na szkodę dla ludzi, a na uciechę minstreli — które w następnym roku powiodło jeszcze Jana na dalekie bojowisko pod Creçy, gdzie zginął walcząc między dwoma rycerzami, prowadzącemi ślepca w tłum mordujący się wzajemnie.

Nie zdobył Jan Krakowa i nie dobrze wyszedł na swojej wyprawie. Z synem Jana, Karolem, inne były stosunki, znali się, obaj władzcy od dawna, obaj ludzie nowego czasu, obaj nieprzyjaciele Donkiszotady rycerskiej, dobrzy gospodarze i skarbnicy obaj przebiegli i ważący się na wadze politycznych interesów, a zachowujący pozory przyjaźni, ba może nawet i pełni osobistej dla siebie sympatji. Niedawno przychwycił i uwięził Kazimierz wracającego z wyprawy krzyżowej na Litwę Karola. Karol wydobył się zręcznie, dosiadszy przyprowadzonego sobie konia. Ani śladu stąd rankoru między niemi; wyrozumiały Karol radby się przedewszystkim pozbyć pieniężnych długów swoich, u Kazimierza i mieszczan krakowskich zaciągniętych..., przywrócone stosunki wiodą do traktatu w Namysłowie, gdzie cesarz rzymski milcząco pomija sprawę zakonu, i gotów dzielić się wszystkim, co Kazimierz zdobędzie. Wszakże Karol IV, dbał przedewszystkim o domową Luksenburgów potęgę, o rozkwit, bogactwo korony czeskiej. Później, za nowym zrzeczeniem się praw do Szląska, odstępuje Karol prawo zwierzchnictwa nad Wańkową niegdyś dzielnicą Mazowsza. Janowi pochlebiało prawo do oddalonego księstwa, Karol nie chciał przeszkadzać bratu Kazimierzowi do zmocnienia i zaokrąglenia państwa. To też gdy w kilka lat potym nieostrożne słowo Karola o matce Ludwika Węgierskiego, a siostrze Kazimierza, zdaje się grozić niechybną wojną; Kazimierz, aljant Ludwika, bierze na siebie rolę pośrednika między królami, w rzeczy samej nie bardzo skoremi do wojny, a wśród godów weselnych Karola z wnuczką Kazimierza, Bogusławówną Pomorską, godów świetnych, rzucają się fundamenta zgody, a monarchowie mają radzić o walnej na Turka wyprawie. Ale duch czasu nie był po temu; w kilka lat potym aljant i krewny Karola IV przysposabia anneksję Łużyc i Brandenburga, którego chaotyczny stan posłużył Kazimierzowi do świeżego odzyskania Drezdenka i Santoka. Sąsiad i przyjaciel stawał się niebezpiecznym, nowy sojusz z Ludwikiem (1369) szachuje zamiary Karola. Tak w nowożytną grę równowagi wzajemnej układają się stosunki króla z Zachodem, w grę, którą nie zawsze w Polsce znano, a rzadziej jeszcze zręcznie prowadzono, grę, która może razić dzisiaj

uczucie tych, co to chlubić się lubią idealną polityką naszej historji, jak gdyby polityka nie była tylko jednym z środków służenia ideałowi narodowemu, środkiem trafnym lub mniej trafnym, zbawiennym lub zgubnym.

Stosunki z Węgrami stanowią zwyczajnie główny przeciw polityce króla zarzut. Był to sojusz Polski odradzającej się, najstarszy sojusz, któremu Łokietek w części zawdzięczał dźwignięcie się z upadku i niejedną pomoc w ciągu panowania. Był to sojusz prawie rodzinny, odziedziczony, utrzymywany wpływem siostry Elżbiety. Z tronu Andegawenów wydawała się Polska na pół własnością domu, stamtąd szła inicjatywa pokoju z Zakonem, stamtąd wzory reform, a stamtąd domagali się Krzyżacy ratyfikacji układów od agnatki królowej, od jej męża. Wpływ był silny i wszystko składało się na jego utrwalenie. Zniemczenie szląskich, lekkomyślność kujawskich, zazdrosna niechęć mazowieckich Piastów, oddalała od nich ostatniego króla Piastowicza. Do zaboru Rusi, do pogromu Tatarów, do zadań wschodnich trzeba było wciągnięcia Węgier do sprawy.

Pierwsze układy o ewentualne następstwo, gdy król był jeszcze w sile pierwszej męskiego wieku, mogły uchodzić za polityczną na zewnątrz demonstrację; małżeństwa króla mogły je udaremnić, gdyby miał męskiego potomka; następstwo Piastowiczów, gdyby go nie miał, mogło tylko straszyć Kazimierza. Ludwik desygnowany wtenczas, gdy była nadzieja potomstwa, niebyłby zapewne dopuścił Piastowicza, a przynajmniej byłby mu Ruś wydarł. Piast jakikolwiek nie dawał rękojmi, że z ciasnego wychodząc księstwa, obejmie i poprowadzi wielkie zadanie państwa! Dawał je jeden Ludwik, który umiał korzystać z położenia swego i koniecznej przewagi, z tej konieczności, co Polsce kazała szukać jednego bodaj bezpiecznego punktu oparcia, Węgier, a szukając potwierdzenia ewentualnego prawa następstwa u Karola IV, umacniała je współcześnie pozyskiwaniem możnych panów polskich przez pierwsze pakta konwenta.

Aby znaleźć porównanie w familijnym życiu, Kazimierz, częścią własnowolnie, częścią zbiegiem okoliczności naglony, postępował jak ci bogaci gospodarni ludzie, którzy z pominięciem ubogich krewnych, zapisują swój dobrze urządzony majątek dalszemu, bogatemu i gospodarnemu członkowi rodziny. Chodzi im o ród, Kazimierzowi chodzi o państwo! Widzieć w tym zgwałcenie zasady legitymizmu, jest to widzieć zasadę tam, gdzie ona bardzo słabo tylko się odzywa. Wszakże najbliższy krewny Władysław Gniewkowski sprzedał Kazimierzowi księstwo i wstąpił do klasztoru. Wszakże książęta Mazowieccy weszli w lenny stosunek do Polski, naśladowany przez Kazi-

mierza z wzorów zachodnich. Wszakże Kujawy przeznaczone były na drugie lenno dla wnuka, syna córki, Kazimierza szczecińskiego. Spadek po Kazimierzu szedł wedle jego woli na syna siostry Elżbiety, najbliższej agnatki. Nad feodalnemi Piastowiczami miał zapanować człowiek tej samej szkoły, co Kazimierz, zdolny obronić to, co było z takim trudem zaokrąglone i powiększone, zdolny odebrać, co jeszcze odebrać należało. Jeżeli chodziło o przyszły odwet na Niemcach, dać go mogło tylko wielkie państwo... I pamiętajmy, że jakiemikolwiek były rządy Ludwika, wiodły one do rządów Jadwigi, Jadwiga do połączenia z Litwą, połączenie z Litwą do Grunwaldu.

Daje się przeto wytłumaczyć ten utylitaryzm polityczny w obmyślaniu przyszłości. Gotujący nieuchronną walkę z Zachodem, Kazimierz W. wiódł ideję Zachodu do Polski, niedawno jeszcze, a za jego nawet czasów częściowo rozbitej na swarzące się księstwa, niekształtne bryły kupy słowiańskiej. Patrzymy tylko, jak w ciągu rządów, gdzie z wyjątkiem na Wschodzie, wszelkiej unika wojny, uczynił wiele do odzyskania jakich takich granic: Wschowę do Szląska, Drezdenko i Santok od nowej Marchji, Kujawy, Dobrzyń od Zakonu, Mazowsze przez feodalny związek, odbierający mu politykę na własną rękę. Co odzyskuje, to utrwala, murarze i rzemieślnicy śpieszą dźwigać gród obrany w przyłączonej ziemi i cały system grodów strzeże niebawem granic państwa... Czorsztyn drogi węgierskiej; Skawina, Lanckorona, Olkusz, Będzin, Lelów, Wieluń, Bolesławice, Ostrzeszów, granicy szląskiej; Międzyrzec, Wieleń, Nakło, Bydgoszcz, Złotorja, Przedecz, granicy od nowej Marchji i Zakonu. Nawet na feodalnej ziemi mazowieckiej on Płock utwierdza. Jeżeli nieprzyjaciel minie te grody, niebawem, w głębi kraju otoczą go inne siedziby bezpieczeństwa publicznego i sprawiedliwości... Wszystko to jakby wywołane pamięcią najazdu r. 1331, jakby obawą przyszłych, lub nadzieją, że ten co grody ma za sobą, pójdzie na grody, choćby tak obronne i piękne jak grody Zakonu. Tymczasem zanim uderzy chwila odwetu, trzeba iść po siłę tam, gdzie ona podaje się sama, trzeba się oprzeć o szeroką przestrzeń nowych nabytków, niepokojonych dziczą tatarską i ambicją litewską, które wszakże staną się bezpieczniejszemi, gdy się je weźmie pod opiekuńcze skrzydła nowych grodów, gdy się pomnoży ich ludność, gdy się bujną ich ziemię wyzyska dla cywilizacji. Więc na Ruś Czerwoną, spadkiem po Bolesławie Trojdenowiczu przypadłą królowi i jego żonie Aldonie, Ruś płacącą dań baskakom tatarskim, zwróciła się cywilizatorska Polski misja, jej prąd na Wschód, niesłabszy, a skuteczniejszy i łagodniejszy stokroć od niemieckiego na Wschód prądu. Nieznacznie a wytrwale, jak wszystko,

co czynił Kazimierz, przetrwawszy mściwe Tatarów napady i kilkakrotne z Litwą wołyńską wojny, po oddalony Światyn z jednej, Łuck i Włodzimierz z drugiej strony, rozciągnął granice państwa, a w nowym nabytku otworzyło się pole tej pracy, która odtąd stała się głównym Polski powołaniem, chlubą, zaszczytem, bo rezultatem jej było posunięcie Europy dwieście mil na Wschód. Formą prawną tej pracy były nadania duchowieństwu i świeckim możnym, były osady miejskie i wiejskie na prawie niemieckim; dźwignią ekonomiczną—przynęcanie ludzi przedsiębiorczych, bez różnicy narodowości, na złotą obietnicę kilkunastoletniej, często dwudziestocztero-letniej wolności od czynszów. W miarę jak wybornie zagospodarowana, zabezpieczona Polska wśród błogiego pokoju, zapewnionego murowanemi grodami Kazimierza, rosła w ludność, w miarę jak miasta możniały handlem i przemysłem, a wsie szlacheckie wyżywić już nie mogły bujnie rozrodzonych synów, z rokiem prawie każdym w ciągu piętnastego i szesnastego wieku wzmagały się wędrówki na wschód możnych panów, kmieci uchodzących na wolność przed koniecznym obciążeniem robocizną, do której zmuszała ich pozostała na Zachodzie szlachta, zniewolona przez gromadne opuszczanie gruntów chłopskich do folwarcznego gospodarstwa. Mieszczanin też zachodni rozstawił się etapami handlowemi w miastach świeżo nabytych, ciągnąc tani surowiec z krainy bogatej, a śląc daleko na Litwę, do Tatarów owoce krajowego przemysłu. Energja dziwna towarzyszy temu szturmowi surowych bogactw Wschodu, energja nieustraszona niepewnością życia, miecz w jednej, pług w drugiej trzymająca ręce, energja wpływająca i na polityczny przebieg wypadków, bo polski prąd kolonizacyjny łamie w końcu upór feodalny Litwy, on przyłącza wbrew jej prawom na zdobyczy opartym Wołyń, Podole i Kijowszczyznę do Polski.

Mnogie pokolenia idą więc przez wieki, gdzie im drogę wskazała ręka wielkiego króla, idą tak długo, aż brakło poruszającego ich czynnika, aż rozpoczęła się pora użycia, aż na latyfundjach ukraińskich, niby na latyfundjach starej Italji, wybuchnęła pierwsza kwestja społeczna. Ruch ten, powtarzam, choćby rachunek z politycznych naszych dziejów wypadł najgorzej, ruch, który na ogromne przestrzenie rzucił tysiące kościołów i klasztorów, miast i wsi, grodów i dworów, który zaniósł municypalność zachodnią do Połocka, Witebska, Smoleńska, za Dniepr, który z soków tej bujnej przestrzeni, wyprowadził tyle wielkich historycznych imion—pozostanie na zawsze zapisany w dziejach cywilizacji, jako ruch dodatni, chociaż znowu na przekorę tym, co nas czynią sentymentalnym narodem,

dumającym tylko w gnieździe rodzinnym, bo i my mieliśmy naszą epokę potężnego rozpierania się w świecie!

Ale warunkiem takiej epoki jest urządzenie się, rozrost, spotężnienie wśród ładu i porządku w gniazdowym terytorjum. I tutaj — wiemy to dzisiaj, dzięki gruntownym studjom Z. A. Helcla — tutaj warunki przyszłej potężnej Polski zaczynają się i pochodzą prawie wyłącznie od Kazimierza W. Nie wykazano dotąd, co było nowym, co było świeżo wprowadzonym w ustawodawczej Kazimierza W. pracy, co ustaleniem i skodyfikowaniem zwyczajowego prawa. Przecież w głównych zarysach da się poznać i ocenić istota reformowej jego pracy: z mieszczących motywa wstępów ustaw, wspominających istniejące nadużycia, da się wyprowadzić, jakiemi były wewnętrzne stosunki kraju, gdy nastawał młody król, co musiał zaraz srodze się rzucić na zbrodniarzy, a goszcząc możnych rodziców, swawolnym synom „głowy za rozbój ucinać". Nieregularność i nieład sądów, gwałty krwawe, niepewność wszelkiej własności przed swawolą, pieniactwo z braku kodyfikacji płynące, zuchwały opór sądom królewskim, szczególnie w Wielkopolsce, zapewnienie sobie bezkarności przez udawanie się z pod prawa niemieckiego pod polskie i naodwrót, stare spominki dawnego zwyczajowego prawa nieprzystającego już w wielu rzeczach do nowych stosunków i posuniętego uspołecznienia, jak bliższość krewnych bezwarunkowa do kupna rodowego majątku, uniemożliwiająca ruch własności lub odpowiedzialność ojca za syna zbrodniarza..., oto co chaotycznie wygląda z motywów prawodawstwa Kazimerzowego, jako złe, które usunąć zamierzył.

Wyznaczenie terminów kadencji sądowych, zabezpieczenie porządku wielkiemi karami, przyznanie arcybiskupowi gnieźnieńskiemu poboru takiej kary, jaką król tylko mógł nakładać,—zapewne dlatego, że Wielkopolska rzadziej odwiedzana, potrzebowała takiej zastępczej powagi, — przywrócenie nieodwołalności wyroków, zapadłych w obecności króla, powściągnięcie apelacji, obostrzenie najwyższemi karami naruszenia tej szczególnie własności, która ustawnie strzeżoną być nie może, jak: drzew owocowych, ulów, zbiorów..., przepisy przeciw bezkarności owych, co prawo zmieniają — ograniczenie prawa bliższości, aby własność uruchomić, a zindywidualizowanie kary do winowajcy — oto odpowiedzi, które król dał zakorzenionemu złemu, może tu i owdzie będące odnowieniem starych obyczajów prawnych, ale w znacznej części niezawodnie nowe. Prawników rzeczą poświęcić się szczegółowemu temu badaniu, historyka obowiązkiem wskazać, że węgierskie wzory ustawodawcze Karola Roberta co do treści, prawo rzymskie tak co do treści, jako też stylizacji, uderzają w ustawodawczej i reformowej Kazimie-

rza pracy, która np. żywcem z Węgier przeniosła swą ustanowę najwyższego sądu prawa niemieckiego dla miast, aby uchylić zagraniczne apelacje, która w urządzeniu Uniwersytetu w Krakowie, organizację całą pożyczyła z uniwersytetów włoskich. Nie potrzebujemy podobno zwracać uwagi, że to szukanie wzorów ościennych w niczym nie ubliża wielkiemu królowi, bo wówczas, jak dziś, Zachód jest szkołą młodszych narodów, szkołą, w której sztuka ucznia na tym polega, aby dobrze, wedle potrzeby domowej, wedle natchnienia narodowej poradności i roztropności, wybierał przedmioty.

Jak potężnie chwyciło prawodawstwo Kazimierzowe zakorzenione złe krajowe, najlepiej podobno świadczy konfederacja Maćka Borkowicza, wojewody poznańskiego, zwrócona przeciw świeżo wprowadzonym postanowieniom cywilnego i kryminalnego prawa. Fantowanie szkodników bez przewodu prawnego i ściąganie z nich pełnej kary siedmdziesiąt przez wielkopolskiego starostę gieneralnego, Wierzbiętę, — oto *petra scandali* pierwszych konfederatów wielkopolskich, śmierć Benjamina starosty i sroga śmierć Maćka, z rozkazu króla, oto wypadki prawdopodobnie w związku w tych niepewnych dziejach zostające.

Ale zwrócone ku gruntowi wszelkiego społecznego porządku i sprawiedliwości ustawodawstwo Kazimierzowskie wypowiada także wielkie polityczne zasady, stara się o budowę hierarchji społecznej, o prawne zabezpieczenie stanów ludności Królestwa przeciw wkradającym się nadużyciom. Zasada: jeden król, jedno prawo, nie obala wprawdzie praw różnych, którym pozostawiona owszem najzupełniejsza swoboda, ale łączy tylko to różnowzore prawa w sądach ostatniej instancji, królowi uległych i od króla zależnych. Wolności potrzebuje państwo jako siły przyciągającej, jeżeli się ma wzmóc w ludność, handel i przemysł, średnie wieki miały tego ducha wolności, co pozwalał tworzyć ludziom odrębne zamknięte koła i swiaty cechu, klasztoru, uniwersytetu, rycerskiego związku do obrony wspólnych interesów, a który pełen ufności widział zabezpieczenie ogólnych w osobie króla, obmyślającego dobro całości. Rozróżnienie trzech odcieni w szlachcie *(miles famosus, miles e sculteto creatus, miles scartabellus)* i otwarcie zaszczytu szlachectwa powszechną służbą wojskową, odznaczenie tych hierarchicznych stopni osobną główszczyzną, jeżeli było dziełem Kazimierza, albo też przynajmniej rozciągnięciem małopolskich dystynkcji na Polskę całą, świadczyłoby, jak owo wprowadzenie feodalnego prawa o chęci sztucznego stworzenia odcieni spółczesnych, zagranicznych, w świecie demokratycznych instynktów słowiańskich, który lubił zawsze mieć niższego pod

sobą, ale wyższego nad siebie nie znosił, który też mimo usiłowań Kazimierza nie wytworzył nigdy arystokracji trzymającej się tronu i przez tron wzajemnie podtrzymywanej.

W ścisłym związku z ustawodawczą Kazimierza W. działalnością, jest założenie Uniwersytetu w Krakowie. Jest on przeważnie, bal prawie wyłącznie szkołą rzymskiego i kanonicznego prawa; filozofja i medycyna zajmują stanowisko poprzednie, teologja zapewne później za osobnym Stolicy Apostolskiej zezwoleniem, miała być zaprowadzoną i w przywileju została pominiętą. Zwabienie uczniów z zagranicy jest drugim widocznym celem owej ustanowy.

Najgłówniejszym przydomkiem Kazimierza W., stała się podobno jego nazwa króla chłopów i opiekuna żydów. Rzecz dziwna, że tradycja jedna i druga tak niedostatecznie dotąd przez historyczne badania wyjaśnioną została. Nie wiemy, co z ustawodawstwa Kazimierza poczytać, jako polepszenie bytu kmieci, nie wiemy mianowicie, czy zabezpieczenie gruntu kmiecego przed odebraniem go na rzecz dworu po śmierci kmiecia i podziałem między synów, czy wolność opuszczenia tegoż gruntu, w razie nadużyć pana, była reformą, czy tylko spisaniem zwyczaju. Nie znamy owych „cuchnących" przywilejów dla żydów, na które narzekał Długosz, wiemy tylko, że Kazimierz Bolesława Pobożnego przywilej rozciągnął na całą Polskę, i wiemy, że w statucie kilka ostrych przeciw niewiernym żydom umieszczono orzeczeń. Ale jedna i druga nazwa usprawiedliwia się i staje zzrozumiałą i konieczną, jeżeli się z licznych szczegółów chce zbadać wyobrażenie o ekonomicznej działalności króla. Wszakże królewską była administracja w obszernych dobrach korony, wszakże królewskiemi były owe liczne budowy, któremi się Kazimierz trudził całe życie, wszakże w myśl przywileju niemieckiego Fryderyka II, żydzi byli w szczególności w mocy i pod sądem królewskim. Dobrze było więc włościaninowi w królewszczyznach, pożądanym on był i miłym królowi jako kolonizator, konieczną była jego pomoc przy budowach, ściągających lud mnogi, rzemieślników i wyrobników do Polski; ochraniała też ten lud wiejski starostów królewskich opieka... Ręce robocze nie przestały być najcenniejszym bogactwem, szanował je też ten, co był przedewszystkim gospodarzem, jak Kazimierz. Ale ta ruchliwość ekonomiczna wymagała zarazem czynnika poświęconego wyłącznie drobnemu handlowi i interesów pieniężnych ułatwieniu, czynnika, który spojony silnie sam w sobie, był jakby wielkim, chodzącym towarzystwem pożyczkowym, gotowym na każde zawołanie dostarczyć sum na bieżące potrzeby, i gotowością tą okupywać tolerancję dla siebie w chrześcijańskim społeczeństwie. Takim

czynnikiem byli żydzi, ograniczeni do przywileju pożyczania na procent, wzbronionego chrześcijanom przez prawo kanoniczne, żydzi tak niezbędni przy braku gotowego grosza obiegowego, że w ustanowie Uniwersytetu Krakowskiego wyznaczonym jest umyślnie żyd Campsor, wekslarz, dla uczniów *studii generalis*, obowiązany pożyczać im za określonym bliżej procentem. To oddanie w wyłączność żydom targu pieniężnego, miało swoje ujemne strony, jakoż mam pod ręką nieznany dotąd akt skargi mieszczan krakowskich na przewagę żydostwa w mieście; a znanemi są powszechnie tradycje Długoszowskie o przyczynach zbytniej dla żydów przychylności królewskiej. Nie potrzebuje nazwa opiekuna żydów i króla chłopków pochodzić od niechętnej temu szlachty, jak chce Caro. Pamięć przechowała się w ludności żydowskiej i w ludności włościańskiej okolic Krakowa — a kto studjował, jak powstaje tradycja ludu, ten się temu dziwić nie będzie. Nie potrzebował Kazimierz być na to szczególniejszym ludu wiejskiego i żydów dobrodziejem, potrzebował być tym, czym był w porównaniu z następcami: królem przedewszystkim oddanym pracom ekonomicznym, królem budowniczym, królem założycielem wielkich śpichlerzy na lata nieurodzaju, królem, którego te wszystkie prace wprowadzały w zetknięcie z niższemi warstwami społeczeństwa. Żelazna ściana rycerskich zbroi odgrodziła następców od ludu, później uczyniły to barwne stroje dworzan i szlachty, — lud z daleka tylko spoglądał: ostatni Piast królewski, jak Ludwik XI, schodził jeszcze między murarzy, sukienników i rolników—a konsulowie miast biorą udział w niejednej jego ustawie. On też pozostał w tradycji – gdy zapomniano o innych.

Ale pozostał on w Polsce także jako wielki inicjator wszystkiego, na czym opierało się kwitnienie miast, handlu i przemysłu do drugiej połowy XVI wieku, jako założyciel emporjów, wyznaczyciel i obrońca bezpieczeństwa dróg handlowych, inaugurator prohibicyjnego systemu, ochraniającego wyrób krajowego produktu, jako organizator niesfornego żywiołu, który do miast napływał, jako legistator cechów, w szczególności jako protektor dwuch gatunków rękodzieł, które w Polsce nad inne zakwitły: sukiennictwa i garbarstwa. Widzimy z szeregu przywilejów, jak zdejmował częściowo ograniczenia wolności cłowej z buntowniczych zarządów ojca mieszczan krakowskich, poznańskich, sandomierskich, a na podstawie niewydanych dotąd najdawniejszych ksiąg miejskich krakowskich, mógłbym udowodnić, że twartym tylko rękom powierzał wójtostwo podejrzanych miast, a stanowczemi ustawami pilnował porządku i bronił swawoli w stolicy.

Takim był Kazimierz w wewnętrznych i zewnętrznych stosunkach, ale czym został dla Polski, jak długo trwała w niej rzucona przezeń podwalina uporządkowanego państwa, o tym tylko następnych dziejów wątek powiada. Dzieje pokoleń i ich władców są jakby pokłady gieologiczne, z piaskowca lub kredy jedne, z alluwium drugie, z granitu trzecie. Granitowym pokładem są dzieje rządów Kazimierza, a równie twardej rdzennej warstwy, jak ta, która po nim pozostała, nie położył żaden rząd, żadne panowanie w Polsce. Statut wiślicki został jedyną do końca kodyfikacją, grody starościńskie jedynym przybytkiem administracyjnej i wykonawczej władzy, odstąpienie od zasad jego ekonomicznych, zaznaczyło się upadkiem mieszczaństwa, przemysłu, a z niemi i tej niezawisłości skarbowej królewskiej, któraby mu pozwoliła nie oglądać się na sejmowe podatków uchwały, stać nie tylko miłością jednego stanu, ale siłami wszystkich. To co się w dziejach powszechnych nazywa monarchją nowożytną, co opiera się na zasobności skarbowej króla, na ukróceniu zbytniej potęgi i oporu stanów politycznie uprawnionych, przez stany, gotowe do wspomagania tronu wzamian za jego opiekę — na stworzeniu siły wojennej, nie z feodalnego obowiązku, ale środkami samej władzy państwa—próby te, powiadam, stworzenia monarchji nowożytnej w Polsce były częste, widać je za Kazimierza Jagiellończyka, Zygmunta I, Zygmunta Augusta — ale porównawszy je z tym, co robił i czym był Kazimierz W., musi się uznać, że jeśli później jeszcze jego następcy chwytali się jego wskazówek i śladów pracy, jako jedynej tradycji, żaden już nie był w stanie przebudować gmachu, który on, acz na mniejszym terytorjum, przed wiekami postawił.

TADEUSZ KORZON.

Charakterystyka Kościuszki.

Losy Polski miały się rozstrzygnąć razem z regulacją spraw całej Europy na Kongresie Wiedeńskim. Cesarz Aleksander wystąpił z planem utworzenia Królestwa Polskiego a raczej Kongresowego w granicach szczuplejszych, niż dawne Księstwo Warszawskie. Adam Czartoryski, osobisty przyjaciel Aleksandra i jego minister spraw zagranicznych, zadawalniał się takim tworem, licząc się z trudnościami, jakie stawiane

były przez Austrję i Prusy. Zawiadomił o tym Kościuszkę i wzywał do Wiednia. Wreszcie i sam Aleksander zażądał jego przybycia do głównej kwatery swojej, listem otrzymanym d. 15 kwietnia 1815 r. Kościuszko wziąwszy ze sobą Franciszka Zeltnera jako adjutanta swego, oraz jednego tylko służącego, wyjechał 17 kwietnia z Berville do Paryża dla uzyskania paszportu. Dawny znajomy, Fouché, był znowu ministrem policji w nowym rządzie Ludwika XVIII, ale Bonaparte zbliżał się już do Paryża, żeby rozpocząć swoje 100-dniowe panowanie. Dla uniknienia możliwych przygód w podróży, Fouché poradził wziąć paszport na przybrane nazwisko. Kościuszko nazwał się wtedy Polski.

Wyjazd nastąpił dopiero 3 maja z Berville, już po powrocie Napoleona do Tuileries, na Joigny, w kierunku granicy szwajcarskiej; tu w Pontarlier 6 maja zrobiono mu trudność dla braku wizy szwajcarskiej. Kościuszko, nie czekając na koniec narady urzędników, zawołał: „Woźnico, zacinaj konie!" (fouette, cocher!) i przejechał. 7-go nocował w Neufchâtel, dwa dni 8 i 9 spędził w Solurze w oberży pod Koroną.

Po przyjeździe, Kościuszko posłał zaraz po Ksawerego Zeltnera, co obudziło czujność policji, ale bez następstw. Przez Aarau Kościuszko przybył do Zurichu, gdzie poseł rosyjski baron Krudener ostrzegł go, że z Solury przyszło policyjne zawiadomienie o przejeździe jakiegoś znacznego cudzoziemca, z paszportem nieregularnym; lecz rozmowa z wójtem kantonowym usunęła trudność. Przez Konstancję, Wolfeck i Wurzack podróżni stanęli w Memingen w Bawarji, gdzie urzędnik nie tylko nie przepuścił ich, lecz kazał cofnąć się z terytorjum bawarskiego. Trzeba było jechać do Intrack na noc. Stąd Kościuszko napisał do króla bawarskiego o pozwolenie przejazdu, ale tymczasem musiał wrócić do Wurzack. Tu miejscowa dziedziczka, hrabina Wurzack, zapraszała do swego zamku gościa o białych włosach, ubranego czarno i budzącego w niej różne domysły. Zaproszenia nie przyjęto, przysłała jednak kolację, konfitur, cukierków, za co Kościuszko odwzajemnił się workiem kawy. Potym na wezwanie władz trzeba było wracać aż do Konstancji, lecz nadbiegł kurjer z paszportem od króla bawarskiego. Powtórnie przeto Kościuszko przyjechał do Memingen 21-go, 23-go do Monachium, a 25-go do Braunau. Tu była główna kwatera rosyjska. Cesarz Aleksander nadjechał 27 maja powitany przez Kościuszkę, ściskał go i wziął z sobą do pokoju pocztmistrza. Rozmowa trwała kwadrans i sprawiła niezadawalniające wrażenie. Kościuszko jednakże pojechał, spełniając polecenie cesarza, do Wiednia, dla rozmówienia się z Czartoryskim. Był 28-go w Lambac, potym przez Ens i St. Pölten

przybył do Wiednia 31 maja. Natychmiast pobiegł do ministra. Konferencja była tak dalece przykrą, że niekorzystnie odbiła się na zdrowiu Kościuszki. Napisał list do Aleksandra, lecz długo nie miał żadnej odpowiedzi. Zwiedzał tymczasem osobliwości, bibljoteki, i przyjmował dużo wizyt, jako to: hr. Ossolińskiego, Lanckorońskiego, ks. Ludwika Jabłonowskiego, posła przy dworze neapolitańskim, wojewodzinę Aleksandrowiczową, hrabinę Komar i wielu innych Polaków. Nareszcie odpowiedź nadeszła pod adresem ministra d. 25 czerwca, a taki skutek wywarła, że Kościuszko nagle zmienił się na twarzy i w całym postępowaniu.

Tegoż samego dnia wyjechał przez Tyrol do Solury.

Cóż było przyczyną tak nagłej zmiany? Najprzód rozmowa w Braunau: Aleksander mówił o trudnościach, jakie napotkał w odbudowaniu całej Polski i oświadczył, że dla Polaków zostaje jedyna droga: połączyć swoje losy ze Słowiańszczyzną. Powtóre: wiadomość o podpisanych dnia 3 maja traktatach pomiędzy Rosją, Prusami i Austrją w przedmiocie tworzonego Królestwa Polskiego, a właściwie nowego podziału Polski. Proklamacja Aleksandra z dnia 13 (25) maja ogłosiła to Polakom. List Kościuszki z dnia 10 czerwca 1815 roku, adresowany do samego Aleksandra, zawierał gorącą podziękę za dobrodziejstwa, gotowane dla narodu polskiego, ale też wynurzenie obaw jego co do Litwy, która jest mu drogą, ponieważ sam się w niej urodził. Nie wątpił o spełnieniu wspaniałomyślnych obietnic Jego Ces. M. lecz dla spokojności swego sumienia błagał o jedno słówko łaskawego zapewnienia.

Jaśniej, bo nie krępując się stylizacją dyplomatyczną, wytłumaczył się w liście do ks. Adama Czartoryskiego, w autografie nie datowanym, ale w tłumaczeniu francuskim u Angeberga, noszącym datę 13 czerwca, niewątpliwie starego stylu, więc 25 czerwca. Zaznaczywszy pewną różnicę w sposobie myślenia, oświadczał księciu wręcz, że nie chce nic robić w niepewności i zadawalniać się samemi tylko nadziejami, więc nieodpisanie cesarza na list ostatni staje się dlań przeszkodą do połączenia w jego duszy interesu ojczystego z cesarskim. Życie swoje poświęcał całemu narodowi, ale nie tej małej cząstce, którą pompatycznie nazwano Królestwem Polskim. „Winniśmy wieczną wdzięczność cesarzowi za wskrzeszenie imienia polskiego już zgubionego (zatraconego), ale imię samo nie stanowi narodu". Dowodzi następnie, że tylko przywrócenie kraju do Dźwiny i Dniepru mogło wytworzyć „równoważność i przyjaźń stateczną z Rosjanami". A przy liberalnej konstytucji, „Polacy byliby szczęśliwemi być pod berłem tak wielkiego monarchy (pospołu) z Rosjanami". Jak teraz rzeczy idą i z samego po-

czątku Rosjanie posiadają z naszemi (wśród naszych) pierwsze miejsca rządowe, zapewne to nie może ująć Polaków do zaufania wielkiego, owszem z bojaźnią każdy uczyni wniosek takowy, że imię polskie z czasem w pogardzeniu zostanie, i że Rosjanie traktować nas będą jak podległych im, gdyż tak szczupła garstka populacji nigdy się nie zdoła obronić intrydze, przewadze i przemocy Rosjanów. Mamyż zamilczeć o pozostałych braci naszych pod rządem rosyjskim! Serce nasze wzdryga się i ubolewa, że nie są z drugiemi złączeni. Bez nich proszę znaleźć 11 lub 10 miljonów ludzi, co miały składać Królestwo Polskie podług słów świętych samego cesarza? I które miało tak jak Królestwo Węgierskie, z konstytucją oddzielną i ze swojemi prawami łączyć się z cesarstwem (poprawiono: mocarstwem) pod jednym berłem. Tu oddzielam serce czułe, pełne ludzkości, i duszę tak wspaniałą, dobroczynną, z nikim nie porównaną Wielkiego Aleksandra, od gabinetu wykonawczego. Jemu ja aż do śmierci mieć będę wdzięczność za wznowienie imienia polskiego; chociaż w szczupłych obrębach uczyni się dobrze Polakom. „Niech Opatrzność kieruje wami, a ja jadę do Szwajcarji, nie mogąc zdatnie usłużyć ojczyźnie".

Więc nie zdziecinniał staruszek białowłosy, przeciwnie, historja XIX wieku musi mu przyznać przenikliwość trafną i siłę rozumowania nieskończenie większą, niż ks. Adamowi Czartoryskiemu i wszystkim spółczesnym Polakom. Pierwszy, wychowaniec korpusu kadetów, ubogi szlachcic, wyrasta na olbrzyma w porównaniu z synem dawnego swego komendanta, i opiekuna, bo z dwuch światów czerpał mądrość, krwią i bólami przetrawił ją w duszy polskiej i nie zamroczył jej żadnym interesem osobistym, lub kastowym, żadnym przesądem zepsutej przeszłości. Warunki zdrowego życia narodu widział jasno, i w obronie ich był nieugięty; nawet czułość serca i wrażliwość na świadczone swojej osobie dobro nie mogły tych twardych zasad wzruszyć. Spędziwszy większą część czynnego życia na obczyźnie, zachował jednakże całą logikę i całego ducha cywilizacji polskiej. Wśród rozgwaru zdań, dążeń, interesów, załatwionych na Kongresie Wiedeńskim, podnosił prastarą zasadę Unji Jagiellońskich i mniemał, jak niegdyś Żółkiewski, że na tej zasadzie może urzeczywistnić się połączenie Polski z Rosją ku zobopólnemu szczęściu obu narodów.

I w tym jeszcze ujawnił uprzejmą dobrotliwość natury polskiej, że protestując przeciwko wbrew odmiennemu rozstrzygnieniu sprawy polskiej, przypisał ten niezadawalniający rezultat samemu „gabinetowi", oddzielając wyraźnie cesarza Aleksandra i zapominając o całym narodzie rosyjskim.

W następnym roku, dowiedziawszy się, że w Warszawie ma być wystawiona brama tryumfalna na pamiątkę wjazdu Aleksandra I, przesłał 1000 franków na pomnożenie składki.

Na tydzień przed datą przytoczonego listu, dnia 18 czerwca, Napoleon, uosabiający antytezę Kościuszki, został ugodzony ostatnim śmiertelnym ciosem pod Waterloo. I Kościuszko miał swoje Waterloo w Wiedniu. Obadwaj zakończyli całkowity okres działalności swojej. Jakże atoli odmiennemi były ostatnie chwile ich życia!

„Bóg wojny" istny szatan pychy, spędził siedem lat w srogich męczarniach ducha, przykuty do skały na środku oceanu, wykrętnie usprawiedliwiając swe zamiary i czyny w pamiętnikach.

Kościuszko, wyznawca wolności i uszczęśliwienia rodzaju ludzkiego, udał się do najwolniejszego w owym czasie kraiku, do małego miasteczka, o 4000-nej ludności, i tu w skromnym mieszczańskim domku znalazł czułe serca — a nadto uwielbienie powszechne.

Przed d. 19 czerwca, datą paszportu, wydanego przez ambasadora rosyjskiego, Gustawa hr. Stackelberga w Wiedniu (na przejazd do Szwajcarji przez Bawarję z „sekretarzem i jednym służącym") ale po 10 czerwca, dacie listu do cesarza Aleksandra, Kościuszko napisał do Laharpe'a o wyjednanie mu u rządu Szwajcarskiego pozwolenia na stały pobyt. „Lubię bardzo wasz kraj i mieszkańców; bezwątpienia wolno mi będzie kupić, jeżeli zechcę, mały domek z morgiem gruntu i mieszkać spokojnie, nieznanym, pod opieką sz. Pana, któremu Naród zawdzięcza niepodległość i szczęście swoje".

Osiedlenie się takie nastąpiło na dwa lata przed śmiercią, a więc około października 1815 r. Kościuszko znalazł w rodzinie Zeltnerów troskliwą opiekę, delikatność w stosunkach codziennych, i cześć głęboką, prawie religijną dla osoby swojej. Niewiele zresztą wymagał. Zrana sam sobie przyrządzał kawę, obiad jadał przy wspólnym stole, wieczorem zasiadał do partji wista z Zeltnerami, lekarzem Schürerem i szanownym urzędnikiem miejskim, pułkownikiem Grimem. Miał sobie zalecone dla ruchu przejażdżki, więc kupił konia i sprawił powozik. W dobrą pogodę wyjeżdżał konno, ale stępa, bo chociaż odzyskał władzę w nodze, lecz mocno nie mógł się trzymać na siodle. Rachunki krawca świadczą, że kazał sobie reparować ubranie; surdut granatowy pochodził z dawniejszego czasu, bo znacznie był podszarzany; Kościuszko zdobił go tylko różą lub fijołkiem, zatykanym na klapie; nowe artykuły garderoby zamawiał dla kogoś innego, np. dla ulubienicy swojej, 12-letniej

dziewczynki, Emilji Zeltnerówny, której udzielał lekcji historji, matematyki i rysunków w godzinach przedpołudniowych.

Niedostatku nie doświadczał, a Zeltnerowie, szczególnie berwilscy, spodziewali się po nim znacznego spadku i poratowania w groźnej sytuacji pieniężnej. Chrześniaczka, Tadea Emilja, pisząc list z powinszowaniem Nowego Roku, kończy tak: „Nie mogę już więcej pisać; łzy zalewają mi papier. Bądź zdrów, najlepszy z ludzi! Ratuj nas! Ratuj nas! Emilja Zeltner".

Przekreślania i poprawki wskazują, że załatwienie takiej korespondencji było kłopotliwym i przykrym. Widocznie Piotr Józef Zeltner żądał powierzenia sobie całego, a przynajmniej znacznego kapitału, obiecując płacić procent. Kościuszko odmówił, lecz, spełniając swoją zapowiedź, zabrał się do przygotowania testamentu. Zasięgnął rady prawnej u Bonissanta, notarjusza z Moret, poblizkiego od Fontainebleau miasteczka.

W Zurichu de Krudener, poseł rosyjski przy związku szwajcarskim, wydał nowy paszport, który dał możność swobodnego podróżowania po wszystkich Kantonach. Kościuszko zwiedzał też różne miejscowości, słynne z pięknych widoków lub wspomnień historycznych, jak góry Pilatus, Rigi, pole bitwy pod Morgarten; nareszcie przyjechał do Solury (Soleure, Solothurn). Władze miejscowe nietylko nie broniły mu pobytu, lecz chciały wystąpić z uroczystym powitaniem i honorami, od których Kościuszko uchylił się ze zwykłą skromnością. Nie zakupił sobie domu „z morgiem gruntu", lecz zamieszkał u Franciszka Ksawerego Zeltnera, dawnego wójta czyli prefekta, czyli namiestnika rządowego Kantonu Solury (Altvogt, alt Landvogt und Regierungsstatthalter, ancien préfet), poprzestając na jednym pokoju, gminy Genevraye, w której księgach był zapisany, jako stały mieszkaniec i obywatel francuski. Chodziło o zabezpieczenie funduszu córek od lekkomyślności ojca. Otrzymawszy żądane informacje z przytoczeniem odpowiednich artykułów kodeksu Napoleona, Kościuszko napisał d. 4 czerwca 1816 r. testament, w którym oświadczał, że pragnie dać pannom Zeltner dowody przyjaźni i wyrazić uznanie troskliwości, jaką mu świadczyli ich rodzice (mrs Pierre Joseph Luis André, tudzież zmarła Aniela Karolina Adelaida Drouyn de Vandeuil de Lhuys Zeltnerowie) w ciągu 15-letniego u nich pomieszkania, a więc zapisuje: 1) Tadei Emilii Wilhelminie, chrzestnej swej córce, urodzonej w Paryżu d. 9 lipca 1800 r. sumę 60000 fr. i 2) jej starszej siostrze Marji Karolinie Julji Małgorzacie, urodzonej d. 26 maja w Solurze, sumę 35000 fr.; lecz kapitałami temi rozporządzać pozwala dopiero po ich zamążpójściu. Odsetki od dnia śmierci testatora ma wypłacać egzekutor testamentu, notarjusz Bonissant,

który za swą pracę otrzyma 5000 fr. Wszystkie wymienione sumy mają być pobrane z funduszów, złożonych tak u bankiera paryskiego Hottingera, jako też u każdego innego, któryby posiadał jakąkolwiek sumę testatora.

Nie było to całe mienie Kościuszki: pomniejsze, po kilka tysięcy sumy, posiadał on u Gaspara Escher w Zurichu i u kupca Bettin w Solurze. Nadto oczekiwała wciąż jego dyspozycji nieprzyjęta przez cesarza Pawła I suma w banku Thomson Bonard et Comp. w Londynie, wynosząca już przez doliczanie procentów 100000 fr. Ten dom bankierski w roku 1814 przesłał Kościuszce swój obrachunek, niewątpliwie na zlecenie cesarza Aleksandra, a stosunki uprzejme ówczesne nie pozwalały już na powtórzenie obrażającego zwrotu z r. 1798.

Oprócz sum lokowanych tu i owdzie, miewał Kościuszko pieniądze, ofiarowane przez osoby życzliwe, np. 500 dukatów holenderskich (5760 franków) od księżny Sapieżynej w r. 1817, wypłacone przez jej bankierów braci Mallet; nie jest znane przeznaczenie tej sumy, lecz nie wątpię, że rozeszła się na jałmużny dla ubogich.

Bo dobroczynność jego przybrała takie rozmiary, że wytłumaczyć się daje tylko wykonywaniem jakiejś doktryny etycznej, filozoficznej. Przede drzwiami domu gromadzili się codziennie pospolici żebracy i każdy otrzymywał po parę „rap" (centymów). Gdy Kościuszko wyjeżdżał na spacer, znajdowali się zawsze w gromadzie strategicy, którzy, dostawszy swoją należność, zabiegali mu drogę na przełaj za miastem, żeby dostać drugą kwotę. Kościuszko poznawał, palcem groził i—dawał powtórnie. Przejażdżki swoje kierował ku wsiom okolicznym i wstępował do mieszkań chłopskich, wyszukując niedolę, a przy nieurodzaju w r. 1817 wracał do domu wielce wzruszony i frasował się, że termin odebrania procentów nie nadchodzi; zaciągnął nawet pożyczkę na udzielenie doraźnego zasiłku. Koń jego stawał przy zbliżeniu się żebraka i czekał na wykonanie przez jeźdźca zwykłego ruchu ręki.

Wszystko to daje się wytłumaczyć zasadami „uszczęśliwiania człowieka" omawianemi nieraz w rozmowach i korespondencji z Jeffersonem, do którego pisywał też z Solury, dzieląc się smutkami swojemi; ale scena z biedakiem, co, wszedszy do jego pokoju, przez nieuwagę zdusił ulubioną, skaczącą po podłodze ptaszynę, domaga się komentarza chyba z księgi najszczytniejszych wzorów miłości chrześcijańskiej, jakie znajdują się w żywotach św. Franciszka z Assyżu lub innych św. Kościoła.

Miałżeby zapomnieć o nędzarzach swego ojczystego kraju, który stawał mu przed wyobraźnią w chwilach samotnego du-

mania? Na odczytanych listach francuskich ręka jego mechanicznie kreśliła przypowiastki polskie, jak np. „chrząszcz brzmi". Więc też stawał mu przed oczyma w pokornej, zbiedzonej postawie chłopek litewski, któremu się przypatrzył podczas kilkoletniej gospodarki swojej w Siechnowiczach. I ścisnęło się znowu serce jego bolesnym współczuciem. Przywołał więc notarjusza Amieta 2-go kwietnia 1817 r. i w obecności świadków, z zachowaniem wszelkich przepisow prawnych, podyktował akt, nadający wszystkim włościanom siechnowickim wolność osobistą oraz prawo własności posiadanych gruntów i zagród, przekazując Katarzynie Estkowej, wdowie po siostrzanie Tadeuszu i jej dzieciom tylko dwór z gruntami, do wsi nie przydzielonemi.

Ze stanowiska prawnego był ten akt wadliwy, a nawet nieważny. Widzieliśmy, że Siechnowicze znajdowały się w posiadaniu zastawniczym u Estków od roku 1775; że były obciążone długami, których likwidacja przeprowadzoną nie została aż dotąd; że nareszcie były darowane Estkowej w roku 1792 listem własnoręcznym. Nie zdołamy wprawdzie wyklarować stosunków Kościuszki z synami ukochanej, ale już nie żyjącej siostry Anny Estkowej: śmiemy jednakże wypowiedzieć, że w tym razie Kościuszko nie powodował się prawniczemi, ani rachunkowemi kombinacjami, lecz ideałami społeczno-filozoficznemi. W takiej formie uznał konieczność rozwiązania kwestji włościańskiej dla Polski i przekonanie swoje zalecił do wykonania obecnym i przyszłym posiadaczom Siechnowicz. Z natury umysłu i wykształcenia swego nie był ekonomistą: nie znał podobno, a z pewnością nie wyrozumiał reformy gospodarstwa rolnego, obmyślanej przez mężów stanu i przeprowadzanej już z powodzeniem od roku 1811 do 1826 w Prusach, ale nie mógłby umrzeć spokojnie, gdyby nie przesłał pozdrowienia współobywatelskiego Matwijukom i Salijukom siechowickim, on, który ofiarował duży fundusz na wyzwalanie i nauczanie murzynów amerykańskich.

Oświecanie ciemnych mas ludzkich było sprawą, która go najżywiej i ustawicznie zajmowała. Rozwijał ją w memorjale wiedeńskim, przesłanym przez pośrednictwo Czartoryskiego komitetowi, radzącemu pod prezydencją W. Księcia Konstantego o urządzeniu Polski Kongresowej, a jedna z ostatnich w jego życiu podróży szwajcarskich była skierowana do Iverun, celem zbadania zakładu naukowego, w którym Pestalozzi unaoczniał swoje pomysły pedagogiczne. Kuściuszko spędził wśród młodzieży dwa dni, 27 i 28 maja 1817 r., zachwycał się połączeniem porządków szkolnych z życiem familijnym, i wychowania fizycznego z umysłowym. Wyraził dyrektorowi pragnienie, aby

podobne zakłady upowszechniły się w Polsce. Miał przy sobie orszak przyjaciół i wielbicielek: prócz Zeltnera, księżnę Jabłonowską z synem Antonim, hr. Potocką, Jullien'a, późniejszego swego biografa. Ten ostatni zalicza do najszczęśliwszych w życiu swoim dni, spędzone w towarzystwie Kościuszki.

Urok, wywierany przez osobę jego, nie przygasał bynajmniej. Świadczą o tym ślady stosunków z ludźmi różnych narodowości i prośby zanoszone o protekcję. Pisał niejaki Poinsot o poparcie w staraniach o konsulat amerykański w m. Cette; Gebhard z Neufchatel prosił o zalecenie panny Idy Motschy na damę do towarzystwa dla księżny Borghese za pośrednictwem księcia Cianino, t. j. Lucjana Bonapartego, jakiś książę Hesko Rheinfelski, dawny generał, przysłał w darze dwa dzieła swoje; jakaś Angielka, należąca podobno do rodziny bankiera Baringa, przesłała za pośrednictwem generała (atamana kozaków Dońskich?) Płatowa przy uprzejmym liście swój romans, w którym imię Kościuszki „było wymieniane często z pochwałami, czcią i zasługami"; w dziękczynnej odpowiedzi on sam żartobliwie cieszył się, że to wszystko „znajduje się w romansie, ponieważ nikt nie będzie wierzył." Niejaki Salchi, pastor z Bütterbinden, ofiarował swój utwór: „Poème du mal", dziękując za zaszczyt, wyświadczony odwiedzinami domu. Konsul amerykański Barnet dał list polecający Miles C. Smit'owi, wychowańcowi ministra skarbu Stanów Zjednoczonych Dallasa, podróżującemu po Szwajcarji. Udziela przytym wiadomości o przyjaciołach amerykańskich i przemawiając tonem poufałej życzliwości, nazywa Kościuszkę „weteranem patryjotą Polski, przyjacielem swobód człowieka". Marszałek Macdonald, książe Tarentu, adresował do Solury list, polecający młodego Franciszka Zeltnera, nie rozumiem w jakim celu, gdy ów Zeltner był Kościuszce znany od dziecka i bawił się nieraz na jego kolanach. Brockhaus, księgarz lipski i wydawca „Dykcjonarza znakomitych mężów", zamieścił w artykule o Kościuszce fałszywą proklamację jego z r. 1806; na skutek przesłanej reklamacji z d. 21 stycznia 1816 skwapliwie obiecuje zamieścić sprostowanie, uprasza o nadesłanie autobiografji, a przy tej sposobności przesyła okazowy numer jakiegoś pisma patryjotycznego, wydawanego od 18 października 1813 r.

Wśród całej korespondencji cudzoziemskiej wyróżnia się list francuski z Drezna d. 28 maja 1816 r. podpisany: M. de Courlande P-er del Carigan. Osoba ta dowiedziała się wtedy świeżo o zamieszkaniu Kościuszki, którego dawną przyjaźń bardzo ceni; korzysta więc z przejazdu generała Paszkowskiego i posyła dobrego wina, łącząc przytym hołd od swej córki. Jestto Marja, księżniczka Saska, córka Karola, b. księcia Kur-

landji i Franciszki Krasińskiej, wdowa po Karolu Emanuelu, księciu Carignan (zmarłym w r. 1800) i matka Karola Alberta, późniejszego króla Sardynji. Czy nosiła w jakimś zakątku serca uczucie przywiązania do Polski, wszczepione przez matkę, Krasińską, czy też powzięła przyjaźń dla Kościuszki pod wpływem idei kosmopolitycznych? Rozstrzygnąć nie umiem.

Obok tych śladów uwielbienia i czułości doznawanej od obcych, z przykrością zaznaczyć muszę ubóstwo podobnych objawów ze strony Polaków. Spalenie całej korespondencji polskiej przez wykonawcę ostatniego testamentu, Amieta, pozbawiło nas na zawsze najobfitszego i najczystszego źródła informacji w tym kierunku; dorywczo tylko dowiadujemy się tu i owdzie o bytności kilku osób z kraju w ustronnej Solurze. Głuche wieści, nie dające się sprawdzić dokumentalnie, krążą o Lubomirskiej z Sosnowskich, że przyjeżdżała z czułemi oświadczeniami niewygasłej miłości z lat młodych. Hr. St. Zamojski (ordynat?) listem francuskim z d. 14 maja 1817 r. dziękował za opiekę, jakiej od Kościuszki doznawał w chorobie swojej; życzy widzenia go za rok w równie dobrym zdrowiu — życzenie to nie ziściło się. Księżna Jabłonowska z synem i hr. Potocka ukazywały się chwilowo, zapewne jako turystki. Józef Sierakowski, który później chlubił się tytułem „przyjaciela" i powinowatego po matce (Ratomskiej?) powoływał się na zaśniedziałe już wspomnienia z czasów wspólnego pobytu we Francji, albo w Anglji, a w roku 1817 mieszkał w Warszawie. Z dzieci Anny Estkowej dwaj synowie nie żyli, najstarszy, Stanisław, któremu niegdyś zalecał Kościuszko wychowanie dzieci w zasadach republikańskich, był bezdzietnym i odstrychnął się od jego zasad, przyjmując urząd radcy prefekturalnego w Zamościu pod rządem napoleońskim. Najdłużej, bo kilka miesięcy w r. 1816, spędził w Solurze Paszkowski, dawny oficer legjonów, później gienerał Księstwa Warszawskiego. Historja nie wymienia żadnych wybitnych jego czynów wojennych, a napisana przez niego książka wykazała mierne zdolności umysłowe. Ale posiadał szacowne zalety serca i głębsze, niż ktokolwiek bądź, przywiązanie do Kościuszki, a zjednał go sobie bodaj podaniem się do dymisji w styczniu 1816 r. pomimo perswazji Czartoryskiego.

Gdybyśmy do tych znanych doliczyli dwie, trzy, albo dwadzieścia i trzydzieści nieznanych nam wizyt polskich u Kościuszki na dwuletni okres pobytu jego w Solurze, to jeszcze nie zniknie wrażenie pustki, opuszczenia dokoła dostojnej osoby Najwyższego Naczelnika. Ten Eneasz, unoszący palladjum narodowe na obcą ziemię, nie mógł napełnić nietylko okrętów, ale jednej łodzi wiernemi sługami i towarzyszami. Odczuwał to boleśnie. Nie wyszła wprawdzie żadna skarga na rodaków

z ust jego, ale oskarżeniem mimowolnym były owe łzy, które mu do oczu nabiegły w słynnej z pięknego widoku pustelni, St. Verena, na szczycie jednej z gór Jurajskich, gdy francuz Jullien zadeklamował elegje Arnault'a o listku odpadłym od obalonego przez burzę dębu.

Odrzucił zaprosiny druha po myśli, mniej zasłużonego pracami a lepiej przez los wynagrodzonego, szczęśliwszego Jeffersona, bo chciał „doradzać przyjacielom i znajomym swoim". Gdzież oni byli? Czemu po radę nie przychodzili? Owi urzędnicy, gienerałowie, senatorowie, posłowie sejmowi, ministrowie nowego „Królestwa Polskiego?" Czyliż mogli gardzić zdaniem i radą męża, który okazał zadziwiającą siłę i jasność rozumu wśród walki potentatów, zbrojnych we wszelkie ułudy? Czyliż nie potrzebowali wyrozumieć gruntownie, aż do dna, dlaczego ten mąż skromny, a szczery nazwał się, „jedynym prawdziwym Polakiem w Europie" a właściwie na świecie?

Nie potrzebowali, nie czuli potrzeby. Czartoryski powoływał się na przykłady z postępowania Kościuszki, lecz stosował je opacznie, a nie dostrzegał, że po za jego plecami stanął już i szybko rośnie Nowosilcow. Wszyscy oświadczali się z najgłębszym uszanowaniem, lecz do wszystkich dają się zastosować słowa Ewangielji: „Lud ten czci mię ustami". Szli, a raczej przedzierali się przez labirynt życia politycznego manowcami, każdy z latarką oportunizmu w ręku, potykając się wciąż skutkiem błędów rachuby, wytwarzających się wciąż w spaczonych chorobą umysłach. I zaszli, jak dziś wiemy, nie ku błoniu pomyślności i chwały!

Tymczasem „jedyny prawdziwy Polak" z krwi bojara Kanieckiego, Kostiuszka Teodorowicza, jedyny od lat dwustu zdrowy, a raczej uzdrowiony mózg polski, legł na łożu śmiertelnym dnia 1 października 1817 roku. Medycyna ówczesna nazwała jego chorobę epidemiczną gorączką nerwową. Doktór Schürer odrazu przewidział zły koniec. Wierzymy, że oboje gospodarstwo uczynili wszystko, co dyktowało największą troskliwość, bo Zeltner Franciszek Ksawery uznawał w swoim gościu „największego człowieka w tym stuleciu". Dowodem wdzięczności pacjenta jest jego (drugi) testament spisany w dniu 10 października.

To ostatnie przedśmiertne rozporządzenie przeznaczało: 1) fundusz, przechowany w Anglji w banku Thomson Bonard et comp., wynoszący 100000 fr. — (to właśnie owe 12000 rb. Pawła I z doliczeniem niepobieranych procentów) — do równego działu między gienerała Paszkowskiego i pannę Emilję Zeltner, córkę byłego prefekta kantonu Solury; 2) z funduszu, złożonego w Solurze u negocjanta Bettin, a wynoszącego około 5000 fr.

dla panny Wagnery, córki komendanta z Morges — 2000, dla notarjusza Zawitz Amieta 2000, dla służącego 500 fr., reszta dla panny Urszuli Zeltner, drugiej córki eks-prefekta; 3) z funduszu złożonego w Zurichu u Gaspara Escher: 3000 dla pani Edwardowej Zeltner, żony byłego negocjanta i dla jej dzieci; z pozostałości, wynoszącej około 3000: na pogrzeb 1000 franków z warunkiem, aby ciało jego było niesione przez ubogich, resztę zaś, jak wypadnie, do podziału między ubogich; 4) Zeltnerowi eks-prefektowi i małżonce jego powozik z koniem; 5) szkatułkę z całą zawartością pannie Emilji Zeltner; 6) wszystkie papiery, pisane w języku polskim — do spalenia.

Nie było nikogo z Polaków, ani nawet Paszkowskiego zaszczyconego zapisem 50000 fr. Toć na środku oceanu, na skale św. Heleny czterech francuzów czuwało nad potępionym przez Europę i przez Francję, Napoleonem Bonaparte! Kościuszko nie miał przy sobie ani lekarza, jak Bertrand, ani historjografów, pamiętnikarzy, jak Las Cases, Gourgand, Montholon! Obydwaj przecie byli zarówno zwyciężeni orężem nieprzyjaciół.

Ale Napoleonowi wypomniano krew miljonów żołnierzy, bezlitośnie wysyłanych na pobojowiska; Kościuszko, lubo wojownik z zawodu, mógł powtórzyć śmiało słowa Peryklesa, że za jego sprawą nikt nigdy szat żałobnych nie nosił. Względem narodu niczym nie zawinił, za odebrane od niego ubogie materjalne i chore duchowe dziedzictwo wypłacił się trudem, znojem, ranami, bólami całego życia; powierzony sobie sakrament ratował, ochraniał od zatraty i skazy z czcią, odwagą, wiernością i mądrością, na jaką nikogo stać było z jego pokolenia: więc nie zasłużył na obojętność i zapomnienie.

Zachowywał zupełną przytomność umysłu, mimo wzrastającej gorączki i osłabienia pulsu. Kazał włożyć swoją szablę do trumny, a pamiątkę po Sobieskim zwrócić Narodowi. Mówił o Ojczyźnie — zawsze z miłością, wygłaszał jakieś przepowiednie o przyszłości Polski, czego obcy słuchacze powtórzyć nie zdołali. Nareszcie 15 października o godzinie 10-tej wieczorem zabrakło mu głosu; spojrzał ze słodkim uśmiechem na stojącą u nóg Emilkę Zeltnerównę, podał jedną rękę Zeltnerowi, drugą Zeltnerowej, uścisnął, opadł na poduszki i — skonał.

CZĘŚĆ DRUGA.

Po roku 1890 daje się w literaturze polskiej uczuwać drgnienie nowych prądów. Zmienia się powoli jej nastrój, zmienia się styl najwybitniejszych jej twórców.

Rozumowanie, tendencyjność, utylitaryzm, będące głównemi cechami doby poprzedniej, ustępują miejsca poezji, pojmowanej jako bezpośredni wyraz uczucia. Znika więc często zewnętrzny realizm, polegający na dobrym obserwowaniu i opisaniu zjawisk; znika bezpośrednia celowość, dydaktyczność utworów. Poeci sięgają coraz bardziej w głąb swej duszy i odtwarzają ją z całą prawdziwością wszystkich jej drgnień, wzlotów i upadków, marzeń i pragnień, występków i zmartwychwstań. Powieść chce być nietylko zwierciadłem wypadków, obrazem życia, lecz odtworzeniem głębszej treści istnienia, docieraniem do ostatecznych podkładów psychologicznych, instynktów, przeczuć, skłonności. Dążność społeczna i moralizowanie, które dotąd stały na pierwszym planie, zostają usunięte na dalszy.

Wartościowanie nie znika bynajmniej z literatury, przeciwnie. Większa część pisarzy i to najwybitniejszych, ma bardzo określone fizjognomje duchowe, ma bardzo silne poczucie idei etycznych, narodowych, społecznych; idee te święcą prawdziwy tryumf w utworach: Sieroszewskiego, Kasprowicza, Żeromskiego, Wyspiańskiego, występują silnie także w dziełach Tetmajera, Przybyszewszego i innych. Nie dzieje się to jednak kosztem artyzmu; tendencja nie jest aprioryczną; pierwszym zadaniem pisarza staje się odtworzenie prawdy wewnętrznej.

Unikają przeto pisarze zjawisk czysto zewnętrznych, pospolitych, banalnych. Formie stawia się wymagania najwyższe. Pojawia się mnóstwo form, które nie będąc zupełnie nowemi, wskrzeszają tajemnice i prawa najwyższej poezji. Chęć wyrażenia stanu duszy zapomocą muzyki słowa, wytwarza nastrój; potrzeba wypowiedzenia idei w sposób możliwie zwięzły i obra-

zowy, każe używać symbolu; nastrój i symbol obok wielkiego wyrobienia malarskiego, stają się cechami formy współczesnej.

Złożyły się na ów nowy zwrot w literaturze czynniki najrozmaitsze. Psychiczne zmiany w pokoleniu, znużonym panującą bezsilnością, wywołały u garstki czasową niewiarę w ideały, chęć ucieczki od życia, rozbujałe życie zmysłów lub trawienie się w sobie refleksją; rychło jednak stan ten („dekadentyzm") minął, życie odzyskało swoje prawa: z początkiem wieku XX wyrasta w Polsce pokolenie silniejsze, które nie zgadza się na tendencje „Szkoły krakowskiej" (patrz str. 5) i krótko wzroczny utylitaryzm, „trzeźwość" pozytywizmu warszawskiego. Nowe idee i ideały społeczne zyskują wpływ coraz większy, spotęgowane uczucia narodowe domagają się ujścia dla siebie w sferze czynu. Powstają warunki, sprzyjające odczuciu dzieł Żeromskiego, Wyspiańskiego. Twórcy ulegają wpływowi środowiska, działają też na nich w wysokiej mierze — pod względem formy — pisarze i prądy literackie zagranicy. Właśnie pod koniec XIX wieku w całej prawie literaturze zachodnio-europejskiej nastąpiła była reakcja przeciw naturalizmowi; zmysły stęsknione prawdziwego piękna zaczęły zwracać się do mistrzów zmarłych lub mało dotąd znanych, upajały się filozofją metafizyczną a nawet mistyczną, rozkochały się w wyrafinowaniu umysłowym, w świecie tajemnic ducha, w pięknie rzadkim, wytwornym, indywidualnie odczutym. Ślady podobnych wpływów dadzą się zauważyć u wielkiej liczby twórców polskich; u najwybitniejszych niema jednak mowy o zależności lub naśladownictwie; głęboka uczuciowość — stanowiąca główny podkład nowszej literatury—świadczy najlepiej o jej szczerości.

Łącznikiem między ostatnią dobą poezji a dawniejszą jest Słowacki; cechy jego artyzmu są najbardziej spokrewnione z temi pierwiastkami iskrzącej się fantazji, muzyki słowa i zaświatowości ducha, które stanowią istotę poezji Słowackiego *(Patrz książkę Matuszewskiego: Słowacki i nowa sztuka).* Do Słowackiego wróciła poezja polska po długoletnim rozbracie z romantyzmem, w najgłębszej swej istocie niezrozumianym przez gienerację poprzednią.

Rozbrat ten wykopał był przepaść między pokoleniem Mickiewicza a pozytywistycznym, powstała jakoby przerwa w łańcuchu rozwojowym duchowości polskiej, jakby przepaść, dzieląca dwa szczyty. A w tej przepaści ginął niejeden talent, niedostosowany do warunków czasu; w tej przepaści zginęła była pamięć o *Cyprjanie Norwidzie,* ostatnim przedstawicielu wielkiej poezji romantycznej. Żył on i tworzył w pełni swej potęgi do r. 1882, ale czas tak był wrogi kierunkowi jego ducha, że pisma Norwida, ogłoszone drukiem, pozostały nieznane,

a większa część jego utworów w rękopisach rozproszyła się po świecie. Dopiero w blizko dwadzieścia lat po śmierci Norwid został „odkryty" a utwory jego zostały przyjęte przez całą Młodą Polskę, jako poezja szczera, niepospolita, głęboka, jako zaginione ogniwo między romantyzmem a najmłodszemi.

Tak późno wszedszy w świadomość literatury, Norwid wpływu wywrzeć na piszących nie mógł. Własnemi szli drogami, stąd wielka ilość indywidualności twórczych.

Miriam zasłużył się przez szerzenie kultu dla sztuki i niestrudzoną jej propagandę za pośrednictwem czasopism, rozpraw i doskonałych, nieraz wprost mistrzowskich tłómaczeń. Z twórców, pierwszy w roku 1890 zwrócił na siebie uwagę *Kazimierz Tetmajer*, przedziwny malarz słowa, wyrafinowany wywoływacz nastrojów, odtwórca piękna zmysłowego, wymuszony zaś i sztuczny, o ile próbuje być heroldem idei. Mistrzem formy okazał się także *Antoni Lange*, zajmujący głównie jako organizacja nie uczuciowa, lecz raczej intelektualna, o bogatej, najważniejszych zagadnień dotyczących refleksji.

Uczuciowe natury, zajęte przeważnie osobistemi bólami i wynikającym stąd pesymizmem, miały przez pewien czas przewagę w literaturze; *Stanisław Przybyszewski* stał się z końcem wieku najgłośniejszym wyrazicielem szamotania się i rozpaczy, newrozy i niewiary, kultu nagiej treści duszy ludzkiej, jako to jedynej prawdy życia, jedynego ogniska sztuki. Nietylko w szeregu rapsodów i dramatów wypowiedział się Przybyszewski, lecz także w jednolicie pomyślanym cyklu rozpraw teoretycznych *(Na drogach duszy)* i wpływ przez to wywarł niemały. Rzeczywistość okazała jednak rychło, że teorje jego były jednostronne i uogólnieniem tylko własnej natury.

Poezje *Jana Kasprowicza* obok tematów czysto społecznych, stały się krzykiem duszy, spragnionej panowania dobra i miłości. Z początkiem XX-go wieku rozbłysła prawie niespodzianie twórczość *Stanisława Wyspiańskiego*, który w formie, lśniącej wszystkiemi pięknościami romantyzmu, przepełnionej malowniczością i muzyką wiersza, wskrzesił ducha romantyzmu narodowego: wolę czynu, bohaterstwo ducha. Poetą o wulkanicznej ekspresji uczucia, wyrażającej się potężnemi wybuchami i egzotyczną obrazowością, został *Tadeusz Miciński*.

Liryką wyrafinowanie subtelną, melancholijną, a nakazującą sobie moc i dążenie do wysokich celów, przemawia poezja *Leopolda Staffa*. Obok nich cały szereg pisarzy opanowawszy doskonale formę, jak np. *Lucjan Rydel*, daje świadectwo wysokiej kulturze poezji polskiej, jakkolwiek nie posiadał odrębnej, własnej indywidualności duchowej.

W *powieści* widać także przejęcie się pięknościami formy, które zdobyła sobie poezja, przez co niejednokrotnie zacierają się granice między jedną sztuką a drugą. Powieści i nowele *Stefana Żeromskiego* są przepojone najczystszą liryką, drga w nich bezmiar uczucia, słowo jest pełne wibracji i ognia tajemniczego; dawny podział na prozę i poezję częstokroć nie da się tu utrzymać. Uczucie to obejmuje nieskończoną miłością wszystkich wydziedziczonych i wszystkich walczących o sprawiedliwość dla wyzyskiwanych i krzywdzonych, czy to jednostek, czy to klasy lub narodu własnego. Tym samym duchem są przejęte pisma *Gustawa Daniłowskiego*. Bojową treścią są też przepełnione utwory *Wacława Sieroszewskiego;* pali się w nich niewygasła miłość człowieka i ideałów wolności i sprawiedliwości; forma Sieroszewskiego jest zupełnie epicką a obrazy ze światów egzotycznych, które zna doskonale, maluje z siłą kolorytu i charakterystyki zupełnie wyjątkową. Epikiem jest też *Wł. St. Reymont;* strona ideowa niewielką u niego gra rolę — przedewszystkim zajmuje go gra sił i namiętności, oraz życie przyrody, które odczuwa i wpaja bardzo intensywnie. Nowele *Wł. Orkana* przynoszą wierne, smutne obrazki życia ludu podhalskiego; powieść Orkana „W Roztokach" należy do najwybitniejszych utworów ostatniej doby.

I dramat rozwinął się w kierunku, w jakim cała szła literatura. Wpływy zagranicy, szczególnie Maeterlincka i Ibsena, są na nim widoczne; jeszcze większy wpływ wywarł Słowacki. Dramat przepoił się poezją, dramat poetyczny zakwitł najwspanialej. Dla sceny próbuje pisać prawie każdy z młodszych talentów; powołanych jest jednak mało. Pisał dla sceny Tetmajer, powodzenie miała *Uczta Herodjady* Kasprowicza, szlachetne linje i głęboką treść ma *Skarb* Staffa. Najsilniejszy nerw sceniczny okazał *St. Przybyszewski;* sztuki jego obiegają wszystkie sceny nietylko polskie, lecz i mnóstwo obcych; kipi w nich silna namiętność, wyrażająca się akcją skoncentrowaną, djalogiem żywym, obrazami o głębokiej symbolice. Wyborną techniką i prawdą życia podbijały sztuki *J. A. Kisielewskiego: W sieci* i *Karykatury*. Ze sztuk *Lucjana Rydla* powodzenie miało *Zaczarowane koło:* jak cała twórczość, tak i dramaty jego zanadto mają własnej treści duchowej. Ze sztuk *Jerzego Żuławskiego* cieszy się powodzeniem: *Eros i Psyche;* nie są one dziełem natchnienia, lecz pracujące literackiej myśli. Nad całe pokolenie twórców wzniosła się indywidualność Stanisława Wyspiańskiego; tragiedje i dramaty z pod jego wyszłe pióra, są punktem kulminacyjnym całej nowszej literatury polskiej, a obok utworów Słowackiego trwałym, najcenniejszym skarbem dramatu szczerze narodowego.

CYPRJAN NORWID.

Urodzony 24 września 1821 r. w majętności Laskowo Głuchy—umarł w ubóstwie i opuszczeniu, w Paryżu 28 maja 1883 r. Artysta szerokiej miary, był poetą, malarzem, zajmował się także rzeźbą. Dzieła jego za życia wydane, były niepopularne z powodu formy swojej, rozmyślnie gardzącej banalną łatwością i z powodu treści, przepojonej mistycyzmem. Dopiero roczniki *Chimery*, wydawanej przez Miriama, zaczęły od r. 1901 ogłaszać utwory wierszem i prozą, które Norwida w prawdziwym postawiły świetle; od tego czasu zwróciły się też ku niemu serca wszystkich, odczuwających piękno.

Z pism osobno wydanych krążą jeszcze w handlu księgarskim *Poezje*, wydane przez Brockhausa w r. 1863; inne są rzadkością. Pośmiertne i niektóre z ogłoszonych dawniej osobno drukowała w swoich rocznikach *Chimera*.

Promethidion.

(Urywki).

Kształtem miłości piękno jest — i tyle,
Ile ją człowiek oglądał na świecie,
W ogromnym Bogu, albo w sobie — pyle,
Na tego Boga wystrojonym dziecię:
Tyle o pięknem człowiek wie i głosi —
Choć każdy w sobie cień pięknego nosi
I każdy — każdy z nas — tym piękna pyłem.
Gdyby go czysto uchował w sumieniu,
A granitowi rzekł: żyj, jako żyłem, —
Toby się granit poczuł na wejrzeniu,

I może palcem przecierał powieki,
Jak przebudzony mąż z ziemi dalekiej...
Lecz to z granitu bryłę ten by zrobił,
A inny z tęczy kolorem na ścianie,
A inny drzewa by tak usposobił,
Żeby się dłońmi splotły w rusztowanie;
A jeszcze inny głosu by kolumnę,
Rzucając w psalmy akordów rozumne,
Porozwijał jak rzecz zmartwychwstałą,
Co się zachwyca w niebo... Szłaby dusza
Tam — tam — a płótno na dół by spadało,
Jak jesienny liść, gdy dojrzy grusza.

— Więc stądto — stąd i słuchacz i widz jest artystą,
Lecz prymem ten, a owy niezbędnym chórzystą;
Więc stąd chórzysta w innej prymem jest operze,
A prym — chórzystą — widzem w nie swej atmosferze;
I tak się śpiewa ona pieśń miłości dawna,
Nieznana raz, to znowu sławna i przesławna...
. . . . . .
I dość: niech „słuchacz w duszy swej dośpiewa"
. . . . . .
To w niebo tak — a w ziemię jak się pieśń przelewa,
Praktycznym wam i sobie, ilem jest praktykiem,
Opowiem. — Jak kamienie krągłe za strumykiem
Kształcone falą, — tak jest za pieśnią i praca,
A praca — toć największa praktyczność na świecie.
Tu, człeka znów wiecznego zapytam, bo wieczny,
Bo prawdę mówi — kłamać nie może jak dziecię,
Od pychy sław, pancerzem historji bezpieczny..

Więc — jak o pięknem — teraz, powiedz mi o pracy?
Prometej Adam wstał, na rękach z ziemi
Podnosząc się, i mówić zacznie tak: — Próżniacy!
Próżniacy wy — ciekawość siły wam zatrwoży.
Gdy — jak o pięknem rzekłem, że jest profil Boży,
Przez grzech stracony, nawet w nas, profilu cieniach,
I mało gdzie i w rzadkich odczuwasz sumieniach —
Tak i o pracy powiem, że — zguby szukaniem,
Dla której pieśń — ustawnym się nawoływaniem.
— Więc szukał lud, nurtując granit z lampą w dłoni,
I znalazł to, z czem szukał; — szukał Pers w pogoni,
I dognał to, czem gonił; — szukał Egipt w Nilu,
I złowił to, czem łowił; — toż Grek i Etruski,
I świata pan Rzymianin, i Part z koniem w łuski,
I różny inny mąż — których jest tylu!...

A teraz — wrócić do waszej rozmowy
O sztukach pięknych i pieśni ludowej,
A teraz wróćcie do wyobrażenia,
Że jest rozrywką znudzonej materji
Odcedzać światło i czyścić półcienia,
Z bezkolorowej wskrzeszając Syberji
Pozatracone Boskości wspomnienia;
Że piękno to jest, co się wam podoba
Przez samolubstwo czasu lub koterji;
Aż zobaczycie, że druga osoba
Piękna—że dobro też zsamolubnieje,
I na wygodno koniecznie zdrobnieje,
I wnet zaciasnym będzie glob dla ludzi,
Aż jaki piorun rozedrze zasłonę,
Aż jaki wicher na nowo rozbudzi,
Aż jakie fale zatętnią czerwone...

Bo nie jest światło, by pod korcem stało,
Ani sól ziemi do przypraw kuchennych,
Bo piękno na to jest, by zachwycało
Do pracy — praca, by się zmartwychwstało.

I stąd największym prosty lud poetą,
Co nuci z dłońmi ziemią brązowemi,
A wieszcz perjodem pieśni i profetą
Odlatującym z pieśniami od ziemi.
I stąd największym prosty lud muzykiem,
Lecz muzyk jego płomiennym językiem.
I stąd najlepszy Cezar historykiem,
Który dyktował z konia — nie przy biurze,
I Michał Anioł, co kuł sam w marmurze...

Pieśń a praktyczność — jedno, zaręczone
Jak mąż i dziewka w obliczu wieczności,
Zepsułeś sztukę, to zepsułeś żonę,
I narobiłeś intryg tej ludzkości,
I narobiłeś romansów... a Adam
Prometej: z pracy, bez ciebie upadam,
O! przyjaciółko, woła... jako w pieśni,
Co, nad pieśniami pieśń, próżno się wcześni!
. . . . . .
. . . . . .

Kto kocha — widzieć chce choć cień postaci,
I tak się kocha Matkę — Ojca — braci —

Kochankę — Boga nawet... więc mi smutno,
Że mazowieckie ani jedno płótno *)
Nie jest sztandarem sztuce, — że ciosowy
W krakowskiem kamień zapomniał rozmowy,
Że wszystkie chaty chłopskie krzywe, że kościoły
Nie na ogniwie polskim stoją, że stodoły
Za długie, świętych figury patronów
Bez wyrazu — od szczytu wież aż do zagonów
. . . . forma pokrzywdzona woła!...
Niejeden szlachcic widział Apollina
I Skopasową Milejską Wenerę,
A wyprowadzić nie umie komina,
W ogrodzie krzywo zakreśla kwaterę,
Budując śpichlerz często zapomina,
Że użyteczne nigdy nie jest samo,
Że piękne wchodzi nie pytając bramą!

Kto kocha, widzieć chce choć cień obrazu,
Choć ślad do lubej wiodący mieszkania,
Choć rozłożone ręce drogowskazu,
Choć krzyż, litanji choć nawoływania,
Choćby kamienną wieżę w błyskawice,
Idące — Boga by oglądać lice.
Bo Miłość strachu nie zna i jest śmiała,
Choć wie, że konać musi, jak konała;
Choć wie, że krzyżów za sobą pociąga
Pułk, jak wiązanych arkad wodociąga,
I że przypłynie konwią do kaskad wiecznych,
Czerwieniejących w otchłaniach słonecznych.

I wszelka inna Miłość bez wcielenia
Jest upiorowym myśleniem myślenia...
Bo u Polaków Charitas z Amorem **)
Są już Miłości słowem niepodzielnem,
Którego logik nie przetnie toporem.
Jak bohaterska pierś, jest nieśmiertelnem.

---

*) Autor *Machabeuszów na popiołach swych domów* i *Matki Boskiej Śnieżnej*, pierwszy poczuł powagę sztuki narodowej i kierunek jej odgaduje. Orłowski był *krajowym*, ale nie *narodowym* — przedstawia *rzeczy naturalne*, nie *naturę rzeczy*, przedstawiał, *co widział*, a nie co *przewidział!*

Rzecz swoją pisał Norwid w r. 1851, więc przed rozkwitem współczesnej polskiej sztuki.

**) Nie radbym przechodzić granic *laikowi* naznaczonych — wszakże jeżeli to herezja, to zapytuję, co jest *Akt pragnienia*, stygmata etc?...

O! Grecjo — ciebie że kochano, widzę
Dziś jeszcze w każdej marmuru kruszynie,
W naśladownictwie, którego się wstydzę
Za wiek mój—w kolumn karbowanych trzcinie
Opłakiwanej od wierzchu akantem;
W łamanych wierszach na łkania zapału,
I w Sokratejskiej sowie z ócz brylantem,
I w całej Filos twojej — aż do szału!...

O! Rzymie — ciebie że kiedyś kochano,
W kodeksie jeszcze widzę barbarzyńskim,
Którego krzyżem dotąd nie złamano,
W akademickim języku Latyńskim,
W pofałszowanych Cezarach, i w słowie:
Roma — to odwróć, Amor ci odpowie!
. . . . . .

. . . . . .

O! gdybym jedną kaplicę zobaczył,
Choćby jak pokój ten, wielkości takiej,
Gdzieby się swojski duch raz wytłumaczył,
Usymbolicznił rozkwitłemi znaki,
Gdzieby kamieniarz, cieśla, mularz, snycerz,
Poeta—wreszcie męczennik i rycerz
Odpocznął *) w pracy, czynie i modlitwie...
— Gdzieby czerwony marmur, cios, żelazo,
Miedź, bronz i modrzew swojski się zjednały
Pod postaciami, co niejedną skazą
Poryte leżą w nas, jak w sercu skały; —
O!—tobym w liściach rzeźbionych paproci
I w koniczyny treflach, i w stokroci,
I w kos zacięciu łukiem — i we fręskach.
. . . . . .

O! tobym w drobnych nawet arabeskach,
Z natury rzeczy polskiej w pokrewieństwie
Nierozplątanem będących — doślepił,
Że to Miłości balsam bronz ten zlepił...
. . . . . .

*) *Od-począł*, znaczy *począł na nowo*, począł w drugiej potędze...

Z „ostatniej bałki".

II.

Anioł leciał ponad siołem, które z obfitej zieloności drzew różnych przeświecało wesołemi oknami domostw. Godzina była południowa; na niedożętych łanach tam i sam w niebieskim cieniu snopów spoczywali żeńce. Ruchu żadnego nie było, nawet idący drogą żebrak wstrzymał się i na uboczy przyległ. Na całym obszarze widnokręgu niebios jeden tylko maleńki obłok, biały, zawisał...

Kiedy się podnosił anioł kręgiem... kręgiem... brzmiała odeń pieśń naokoło:

„Wy! pokwapcie się, lekkie, składne, jasne motyle, i wy, muszki drobne, złote jak iskry! Wy, ptaszki wesołe, i wy, zwinne polne i leśne zwierzątka... Wszystek ten drobny świat, który jakoby dla kogoś doskonalszego zabawek jest zbiorem, niech się kwapi dziś, gdyż oto, dni temu nieco, najpiękniejsze ze stworzeń, człowiek przyszedł na świat!

„Chrzest przyjmie dziś — a teraz śpi, w białe pieluszki owinięty i pogrążony w półcieniu szafirowych jedwabnych kotar — bardzo piękny — nieudawający nic, szczery i zewsząd wdzięczny. Tam w oknie tym, rozigranemi jak bluszcz białemi różami oplecionemi, nowonarodzony mieszka...

„A ktoby powątpiewał, że najpiękniejszym ze stworzeń jest człek niemowlę, ten niechaj je ogląda w domu Ojca naszego — w kościele... Cóż może być wdzięczniejszego, w każdym ruchu i w oglądaniu się na wsze strony za wszędy — obecnym, nad niemowlę czyniące nabożeństwo swej niewinności?... Ono nie idzie za tłumem, ani do świecących blasków kapłańskiego ubrania wyciąga rączyny — ani do zapalonych świec — bynajmniej. Pełni swoją modlitwę, jaka mu jest tchnięta, i zaiste, że pogłaskanym bywa niewidzialną Boga prawicą.

„Dlatego to z uweseleniem podaję wam, że jeden więcej błogosławiony, jeden więcej piękny narodził się..."

Tak gdy swoją pieśń skończył anioł, nastąpiła na bardzo mało chwila głębokiego uciszenia, poczym jak jednej struny złotej wyglos zabrzmiały słowa drobnych złotych muszek, i owadów tęczowych, i motyli w pyły świetne owianych:

„Piękny — piękny — piękny! jest człowiek dziecię i niebawem podziwiać go będziemy hasającego po łąkach—rumianego jak zorza — po was w kwiatach, z rozwianemi złotemi włosy. Gdzie skinie ręką, w której nieść będzie zdradną mgłę gazy, podchwyci motyle zbyt ufnie ssące kwiaty, podchwyci muszki

złote, szklano-skrzydłe i tęczowe owadki... A potym, z uśmiechem powodzenia, poprzewierca im szpilkami karki i tak cały kapelusz i pudełka swoje przebitemi i przybitemi ustroi. One okręcać się będą na kruszczowych palach i wspinać na wyprężane nogi, z jękiem, którego nie dosłyszy tłuste ucho człowieka, gdy po łowach rzuciwszy się, jak był, na posłanie, głęboko będzie spał, w pięknym odniechceniu tym nadobniejszy...

„I przyjdzie matka, pojrzy, zachwyci się — miękkim palcem odgarnie mu włosy z powick — chustką wonną obetrze mu czoło. Profesor przebudzonego wychwalać będzie, iż wdzięcznych tyle trudów poniósł — ale on się nic z tego, ani się nikt z tego nic nie nauczy!... Tylko człowiek — pacholę rozpocznie próbować przyszłego rzemiosła swego, to jest, ażeby wszystko podstępem ująć, zamordować, obedrzeć i dla siebie zużytecznić!"

„To jedno, od rana do nocy, codzień względem całego stworzenia poczynał on przez wszystkie wieki!..." — tak dobrzmiało echo słowom maleńkich muszek, tęczowych robaczków i motyli.

„Atoli on jest piękny, i piękna matka jego, i siostra starsza..." — szczebiotać poczną ptaszki wiewne, miłe i swobodne— „lecz strzeżcie skrzydeł waszych, w których może błyszczeć parę piór — bo pojmają was podstępnym opętaniem sieci i odrąbią skrzydełka wasze, ażeby w szkielecie wyschłym uczepić je dodatnio na kapeluszach i na włosach. Kobiety od nas wszystkich ptaszków są piękniejsze, lecz nie nauczono ich rozwijać piękność własną, tylko odzierać cudzą i brać na siebie!... Strzeżcie się więc..."

Upomnienie takie o baczność na człowieka czyny, słysząc na drzewie, wiewiórka, cała w złotym słońca promieniu złota, ześliznęła się nieco niżej i pokornie swą rozpoczęła prozę:

„Powiadają, że umiałybyśmy bawić i rozweselać ludzi, będąc jakoby wcieloną gajów krotochwilą i igraszką, bo nikt tak drzew nie łączy z drzewy, jak skok jeden nasz zwykły, niewysilony... Lecz człowiek uprzejmiej patrzy na zwinność i igraszkę, niźli ocenia pracę i trud. Wystrzegajcie się jego, jakkolwiek jest piękny i wyniosły!... Gdy my albowiem pracą znojną uzbieramy sobie na zimę jadła i, w wypróchniałym drzewie orzech zebrany do orzecha, otulimy je mchem najstaranniej, — zaraz bystry i piękny przewie się o tym, zabierze wszystko, on, któremu to jest igraszką jadła i któremu ani koniecznym jest takie jedzenie... I jeszcze z bratem swoim własnym pokłóci się, albo się i pobije o orzech jeden, i dwuch więcej swojej siostrze nie da!... ale on wprawić się musi sercem

w rzemiosło zdziercy, okrutnika i syna okrutników po wszystkie czasy."

„Jadło wszystko stracić na zimę jest wielką rzeczą..." — tęskno i słodko dośpiewa ukryty w cieniu mały ptaszek—„lecz nam przemyślny człek, bywało, igłą wykała oczy, ażebyśmy, w ciemnościach pogrążone, śpiewały bujnie..."

„Widziałem go, przez matkę kąpanego, i wiem, jak jest urodziwym,"— zadzwoni ze szklanych fal strumienia jasna rybka, — czoło ma zawsze podniesione, tak, że ogromny nasz wieloryb przy linjach czoła tego dziecka jest poziomym i płaskim. Zaiste, mądry przeto, bo on z przezroczystego włosa nici uda nić wody bieżącej, i nastroi jej hak żelazny, i robaczka albo robaczka pozór utwierdzi na haku, aby mimo idąca głodna ryba, połykając podstępną śmierć, ginęła."

Wtedy, nad strumienia brzegiem przeżuwający złotą trawę śliczny ciołek, podobny do Apisa poszukiwanego, gładki i połyskliwy, zawoła:

„Zawsze ofiarny stryj wół, który pracuje na ludzi, upomina, że nawet skoro wyciągnie do ciebie człowiek białą swoją rękę, ażeby cię pogłaskać, nie dowierzaj. Bo on uczy się szukać palcami, ile mięsa narosło, ile tłustości? On rozwiesi w jatkach białe i tuczne trupy, i bawić się będzie wyrzezywaniem we wzory skóry i mięsa, i umai je liśćmi zielonemi. Tamtędy potym pędzić będzie na rzeź sprzedane i z obłędem patrzące bydło.

„Albowiem jego całą rzeczą jest i było, po wszystkie czasy, od rana do nocy tym się zaprzątać jednym, ażeby wszystko podstępem ująć, zamordować, złupić, i zjeść, i zjeść... i co tylko można, odarszy, na siebie wdziać, i prawnuk katów nic innego nie poczuł względem stworzenia!

„On to sędziwego wołu, gdy już dlań dość żwawo w polu pługyć nie może, utuczy obmyślnie i zabije — skórę użyć pośpieszy na uchronienie obuwiem stopy swojej od szwanku — mięso zje—kości porznie dla urobienia z onych fraszek do gry zabawnej po uczcie — z rogu jednego pić będzie złoty miód a w drugi róg zatrąbi! I niemożnym stanie się, ażeby cień śladu pozostał, że tu wół istniał..."

„Nie inną niesie zagładę rodowi owiec!..." — jęknął nareszcie i baranek, biały, miękki i czysty jak obłok. — „Lubo owca sama porzuca i dawa z ochotą wełny swoje i mleko, lubo dzielić się lubi wszystkim, co ma, — ale on już od dziecka w strony podstępu, wyzysku i pożerstwa wytosował twardość serca swojego i do ostatniej chrząstki policzy wszystko we zwierzęciu. Wytoczy z niego wnętrzności, wyrobi je i sprzędzie

w struny muzyckie, ażeby na nich wygrywać piękne i głębokie akordy — pono na chwałę Boga!...“

Zasmucił się anioł, ale przemilkł; zatoczył kręgiem, kręgiem, nad poziomem — i, oparszy skroń na obłoku, wstrzymał się...

A że mówienie zwierząt bardziej muzyckie jest niż słowne, przeto z poruszonych wiewów i z rzuconych w powietrze wybrzmień potęgował się lament pieśni, który wołał jeszcze i szedł daleko, jak fala idzie morska ku niewidzialnym brzegom... Aż oto żebrak, co opodal w łachmanach przyległ był u drogi, porwał się niby ze snu, który mu ciężył jeszcze na powiekach, i gałganami swemi zatrząsł jak topol sucha w czasie burzy, wołając: „Atoli człowiek ów, od wysoko latającego ptaka do ostatniego małego grzybka pod piaskiem zjadając wszystko i stół sobie objadny ze świata całego uczyniwszy, nigdy jednak jeszcze wszystkich ludzi—braci nie nakarmił!...“ Rzekszy zaś to, dobywał z torby zeschłych odłamków chleba czarnego i maczając je w kałuży przydrożnej próbował podjeść.

Wtedy anioł w niebiosach wionął pióry ok ło oczu swoich, i myślibym, że łzę uronił, bo jako przez szyby przezrocze bieży nierówno kropla rzucona rosą na okno i tęczuje, tak przez obłok przewiewała błędnie drobna jasność do perełki podobna... Zasmucony był, zakrążył raz jeszcze nad domostwy bielejącemi w zieleni drzew i poleciał...

Tymczasem jednak, pieśń lamentu raz rzuconemi w powietrze wybrzmieniami rozlegała się tętniącą, długą falą, pomagana kłonem to trzcin nadbrzeżnych, to stepowego bujnego kwiecia, szła i szła różniebrzmienna, różnie podejmowana cichnąca, silniejsza, lecz taż sama.

I dobiegła do puszcz, gdzie leżał żubr, z monumentalną powagą żujący ziele. Ten indyjski wół, z głową ciężką, dużym wiedzeniem rzeczy dawnych, przerodził się był nieco od dni, w których, z pod Himalaja przyszedszy z Litwinem, zamieszkał głębokie mateczniki, co dnia dostępniejsze. Atoli pozostał najpoważniejszym z żywych pomnikiem dni pierwszych Europy.

Jego to brwi i ucha gdy dobiegła fala lamentu przez drżenia roślin bujnych, począł w te słowa:

„Człowieka jeszcze domiarkowanego nie zna stworzenie: energja jego sama się z siebie w nim raduje i dowcip sam w sobie szaleje z potęgi własnej. Może on jeszcze nigdy nie jadł—może on dopiero pokąsał wszystko i wyssał? Dla tegoto i nie nakarmia swoich wszystkich!... Jeżeli rozpustuje w pożerstwie i łupieniu zwierząt, to iż onych także zapomniał, albo nie zna wśród opatrznych praw ich ojczyzny. — Bydło jego są

to dzieci i wnuki jeńców, drzewa są to niedorąbane wióry! — Ale on dopędzi kresu tej chuci, gdy spotka się pierś w pierś z pomnikiem ojczyzny opatrznej tworów na tej ziemi — gdy się spotka z lasem dziewicą!

On, dziecię potrzeb, nędzy i szaleństwa, nagie, bezchronne, głodne, syn zakopciałych i zatęchłych miast, jałowej lub wycieńczonej gleby i karłowych drzew... On, przepisujący tą właśnie nędzą swoją prawa bytom!... I jakże niema być lamentu stworzeń?..."

A to gdy tchnął żubr powiewowi, co szedł falą w puszczę przez drżenia roślin, zachodziło już dobrze słońce — i zaszło, i była noc.

Kręgiem, kręgiem, gdy poleciał był anioł, mknęły potym równo i prosto skrzydła jego jak długi promień. Przy księżyca i przy wielkich gwiazd blasku przeleciał szerokie i spokojne jak niebo morze. Jutrznia bieleć gdzieniegdzie poczynała śród szafirowego mroku i wyjaśniały się opodal długie skaliste brzegi, gdy anioł jeszcze zdawał się podwajać lotu pęd, tak, że jeślibyśmy się na anielski sposób wyrażali, musiał mieć „pilny interes." Lecz skoro opalowe dopiero, ale już szerokie odbłyski zorzy wyświeciły krajobraz, dały się widzieć i rozeznawać podnóża Libanu w ojczyźnie tajemniczych rzeczy bożych. Było cicho w naturze, i tym ciszej, że na sposób i nastrój moralnego w duszy uciszenia..

Kaplica była, sama z pustelni się robiąca, a ta z groty w skale wyciosanej mocą natury, sztuki i codziennego użytku.— Przed ołtarzem zajęty był rozpoczętym nabożeństwem pustelnik jeden, gdy drugi służył mu w obrzędzie. Zresztą, ława prosta i księga na niej zamknięta i nic więcej.

Anioł zstąpił na próg stojącej otworem kaplicy, bo drzwi nie było wcale, i, wchłoniwszy się w ciąg modlitwy, widać było, że dopiero odpoczywał. Radowały się wyraźnie oczy jego widokiem aby dwuch ludzi, na których żywocie, mieniu i obyczaju nie było żadnej skazy, naznaczonej gwałtem lub krzywdą jakąkolwiek bliźniego, ludzkości i stworzenia!

Ku temu to więc leciał tak skoro z tak daleka!... Ku temu to więc taką trzeba było zadawać sobie podróż oddaloną i poszukiwanie przedsiębrać tak usilne!

Kapłan się obrócił od ołtarza i rzekł: „Orate fratres..."

Nikogo prócz anioła tam nie było, tylko dwa lwy przeszły powoli mimo progu i, otarszy się biodrami o kamienne odrzwia przy wnijściu, tymże samym powolnym krokiem oddaliły się w stronę cedrów czerniejących ponad parowami.

Tymczasem szło dalej nabożeństwo z bezwzględną starannością i spokojem, a gdy już ku końcowi tak odprawianej

Mszy się miało, podniósł anioł rękę ku księdze i gdy, wedle chaldejskiego obyczaju, skrzydłem na traf otworzył karty, zatrzymały się pióra jego i położyły śród tych wierszy:

„I postawię dla Ciebie przymierze, dnia onego, ze zwierzem polnym, i z ptactwem powietrznym, i z płazem ziemskim, a łuk, i miecz, i wojnę wygładzę z ziemie: i sprawię, że bezpiecznie mieszkać będą."

Fortepjan Szopena.

I.

Byłem u Ciebie w te dni przedostatnie
Niedocieczonego wątku
— Pełne, jak Myth,
Blade jak świt... —
Gdy życia koniec szepcze do początku:
„Nie stargam Cię Ja — Nie! Ja uwydatnię!..."

II.

Byłem u Ciebie w dni te, przedostatnie,
Gdy podobniałeś — co chwila, co chwila —
Do upuszczonej przez Orfeja liry,
W której się rzutu moc z pieśnią przesila·
I rozmawiają z sobą struny cztery,
Trącając się
Po dwie — po dwie —
I szemrząc z cicha:
„Zaczął — że on
„Uderzać w Ton?...
„Czy Taki Mistrz! Że Gra... Choć odpycha?"

III.

Byłem u Ciebie w te dni, Fryderyku!
Którego ręka — dla swej białości
Alabastrowej, i wzięcia, i szyku,
I chwiejnych dotknięć jak strusiowe pióro —
Mieszała mi się w oczach z klawiaturą
Z słoniowej kości...
I byłeś jako owa postać, którą
Z marmurów łona,
Niźli je kuto
Odejmą dłuto
Gienjuszu — wiecznego Pygmaljona!

IV.

A w tym, coś grał — i co zmówił ton, i co powie,
Choć inaczej się echa ustroją,
Niż gdy błogosławiłeś sam ręką Swoją
Wszystkiemu akordowi —
A w tym, coś grał, taka była prostota
Doskonałości Peryklejskiej,
Jakby starożytna która cnota,
W dom modrzewiowy wiejski
Wchodząc, rzekła do siebie:
„Odrodziłam się w Niebie,
„I stały mi się arfą wrota,
„Wstęgą ścieżka..
„Hostję przez blade widzę zboże...
„Na Taborze!"

V.

I była w tym Polska, od zenitu
Wszechdoskonałości dziejów
Wzięta tęczą zachwytu —
Polska — Przemienionych Kołodziejów!
Taż sama zgoła,
Złotopszczoła...
Poznałciżebym ją na krańcach bytu!...

VI.

I — oto — pieśń skończyłeś — i już więcej
Nie oglądam Cię — jedno słyszę
Coś... jakby spór dziecięcy...
— A to jeszcze kłócą się klawisze
O niedośpiewaną chęć,
I trącając się z cicha
Po osiem — po pięć —
Szemrzą: — Począłże grać? Czy nas odpycha?..."

VII.

O Ty! co jesteś Miłości profilem,
Któremu na imię Dopełnienie;
To – co w sztuce mianują Stylem,
Iż przenika pieśń, kształci kamienie...

O! Ty! co się w Dziejach zowiesz Erą,
Gdzie zaś ani historji zenit jest,
Zwiesz się razem: Duchem i literą
I „Consumatum est...”
O! Ty... Doskonałe — wypełnienie,
Jakikolwiek jest Twój i gdzie... znak,
Czy w Fidjaszu? Dawidzie? czy w Szopenie?
Czy w Eschylesowej scenie?...
Zawsze — zemści się na tobie: Brak...
— Piętnem globu tego niedostatek:
Dopełnienie... go boli...
On Rozpoczynać woli
I woli wyrzucać wciąż przed się zadatek!
— Kłos?... gdy dojrzał jak złoty kometa.
Ledwo że go wiew ruszy,
Deszcz pszenicznych ziarn pruszy,
Sama go doskonałość rozmieta!

VIII.

Oto — patrz, Fryderyku!... to Warszawa:
Pod rozpłomienioną gwiazdą
Dziwnie jaskrawa —
Patrz, organy u Fary, patrz! Twoje gniazdo
Owdzie patrycjalne domy stare
Jak Pospolita—rzecz,
Bruki placów głuche i szare
I Zygmuntowy w chmurze miecz.

IX.

Patrz! z zaułków w zaułki
Kaukazkie konie się rwą,
Jak przed burzą jaskółki,
Wyśmigając przed półki
Po sto — po sto —
— Gmach zajął się ogniem, przygasł znów,
Zapłonął znów — i oto pod ścianę
Widzę czoła ożałobionych wdów
Brutalnie pchane —
I znów widzę, acz dymem oślepian
Jak przez ganku kolumny
Sprzęt podobny do trumny
Wydźwigają... runął, runął... Twój fortepjan.

X.

Ten!... co Polskę głosił, od zenitu
Wszechdoskonałości dziejów
Wziętą, hymnem Zachwytu —
Polskę przemienionych kołodziejów,
Ten sam — runął — na bruki z granitu!
— I oto, jak zacna myśl człowieka,
Poterany jest gniewami ludzi,
Lub jak — od wieka
Wieków — wszystko, co zbudzi!
I oto, jak ciało Orfeja,
Tysiąc pasji rozdziera go w części;
A każda wyje: „nie ja!...”
„Nie ja!” — zębami chrzęści. —

Lecz Ty? — lecz ja? uderzmy w sądne pienie,
Nawołując: Ciesz się, Późny wnuku!...
„Jękły głuche kamienie:
„Ideał sięgnął bruku” —

Nerwy.

Byłem wczora w miejscu, gdzie mrą z głodu —
Trumienne izb oglądałem wnętrze;
Noga powinęła mi się u schodu
Na nieobrachowanym piętrze.

Musiał to być cud — cud to był,
Że chwyciłem się belki spróchniałej...
(A gwóźdź w niej tkwił,
Jak w ramionach krzyża!...) — uszedłem cały!

Lecz uniosłem pół serca — nie więcej,
Wesołości — zaledwo ślad!
Pominąłem tłum, jak targ bydlęcy,
Obmierzł mi świat...

Muszę dziś pójść do Pani Baronowej,
Która przyjmuje bardzo pięknie,
Siedząc na kanapce atłasowej...
Cóż powiem jej?...

. . . . . usiądę z kapeluszem
W ręku — a potym go postawię...
I wrócę milczącym faryzeuszem
— Po zabawie.

* * *

Powiedz im, że duch odbrzmiał myśli wiecznej,
Nerwy że poszły palcami na klawisz,
Uginający się i niebezpieczny
Most nad przepaścią...
....oni, że ich bawisz,
Szepną, i chrząkną, i krzesły swojemi
Stwierdzą, że siedli, i że na ziemi,
I że istnieją na planecie, który
Niesie ich rączo — a pono do góry!...

Więc ty im rzeknij, że żywot i słońce
Zatrzymał człowiek na włosie pędzlowym,
Jako na rzęsach ducha, że w bezkońce
Otchłani wziera spojrzeniem takowym...
Oni, to słysząc, utrą nos, by jasno
Stwierdzić, że czujni są i wraz nie zasną.

A przeto krzyknij już, że w Betlejemie
Bóg się narodził...
....i że więc co roku
Cieszą się ludzie — zaś niebici w ciemię
Jadają sporo, na sianie, o zmroku,
Pod rozżarzonej konstelacji znakiem:
Jadając ryby, miód i kluski z makiem!

FRANCISZEK NOWICKI.

Urodzony w r. 1864, żyje w Galicji. Wydał jeden tylko zbiorek *Poezji* (w r. 1891), mieszczący pełne siły skoncentrowanej sonety tatrzańskie i poezje społeczne, bijące entuzjazmem dla sprawy wolności i upośledzonych.

Apoteoza.

Gdy ból miljonów długi i przewlekły
Twoją pierś obrał za swe gniazdo,
Żłobiąc na czole cierniem wieszcza znamię —
Gdy oczy tłumów mgły zwątpień powlekły,
W próżnym pościgu za nadziei gwiazdą,
I gdy opadło w dół bezsilne ramię, —

Ty, dróg szukając błędnym życia rzekom,
Z któremi serce płomienne cię wiodło,
I skostniałego świata rwąc wędzidła, —
Rzuciłeś wtedy wszystkim świata wiekom,
To wulkaniczne, niestygnące godło:
Młodości, podaj mi skrzydła!

I usłyszały młode pokolenia,
Te słowa wiecznie młode i płomienne,
Budzące w duszy Ikarowe loty,
I Prometejów śmiałe wysilenia,
I dni niepokojów i noce bezsenne,
I wszystkie rannej młodości tęskuoty.

I pierś tych młodych wydęła otucha,
I gwałt tytanów uczuwszy w ramionach
Od zimnych reguł gorętszy, silniejszy,
Lotem Farysów przebiegli kraj ducha,
Zburzyli wszystko, czując siłę w łonach
Świat odbudować lepszy i piękniejszy.

Szli naprzód — kresu nawet nie szukali
W tym dumnym biegu ku jutrzence świata,
Młodości fala niosła ich wezbrana;
Za niemi w gruzach świat stary legł w dali,
Za niemi ludzkość była karłowata,
Za niemi stała przeszłość zadumana...

A gdy dzwon dziejów, wśród płaczu i gwałtu,
Hasłem do czynów rozgłosił w przestworze
Najkrwawszą z polskich tragiedji szeregu —
Oni marzeniom swym szukając kształtu,
Wzburzyli tchem swym narodowe morze,
Sterując śmiało do wolności brzegu.

Czy w czyn odziali swoją pieśń młodzieńczą,
Spytajcie ulic zbryzganych posoką,
Spytajcie lasów? polskich puszcz głębiny,
Taką wam o nich głuchą pieśń wyjęczą,
Że krew zastygnie wam w żyłach głęboko...
W tej pieśni będą spisane ich czyny.

Czy w czyn oblekli sny młodości dumne,
Spytajcie pustyń polarnej północy,
Gdzie lot skończyły nieszczęsne Ikary.
Może tam wichry powiedzą wam szumne
Czyny tych ludzi, co szli jak prorocy,
Za przyszłość świata paść na stos ofiarny.

A mrąc w pustyni śniegami obległej,
Tęskną pamięcią jeszcze tam wracali,
Gdzie duch ognisty nie znał hamowidła,
W ów kraj uroczy młodości ubiegłej —
I stygnącemi już usty szeptali:
Młodości! podaj nam skrzydła!

Cóż nam zostało?... ruiny, zwaliska,
Niewiara we wszystko, a nawet w niewiarę,
Życie bez celu, puste, błędne koła,
I to szyderstwo, co lodem przyciska
Dwudziestoletnie nasze serca stare,
Dwudziestoletnie, zmęczone już czoła.

Dziś młodość ziewa u bramy żywota,
Taka rozumna, zgrzybiała, znudzona —
Zgaszono przed nią blask wszystkich gwiazd dawnych,
Każąc jej wierzyć tylko w gwiazdę — złota.
I przyduszono wszystkie żary łona
Popiołem naszych mogilników sławnych.
A jeśli czasem wśród gniazda szaroty,
Rój piskląt orlich wykluł się, a potem
Uczuwszy pióra na swych skrzydeł końcu,
Przy blasku jutrzni chciał wzbić się w poloty —
Zlepiano wtedy orle skrzydła błotem,
By wznieść nie mogły ku gwiazdom i słońcu.

Lecz cóż my winni, że z błota i kału
Wciąż z Feniksowym uporem powstajem,
Gdy zimny rozum zbyt nam pierś ochłodzi —
I tęskni, serca, pędu, wiru szału
Płomiennym nurtom świata nieść się dajem —
Cóżeśmy winni, że jesteśmy młodzi?

Cóżeśmy winni, że ta młodość smutna,
Marzącym palcem maluje jutrzenki
Na tle naszego bezgwiazdnego nieba,
I mówi do nas zamyślona, smutna,
Odwieczne słowa odwiecznej piosenki:
„Młodości serca i ofiary trzeba!"

Gdy w ziemi naszej wszystkie zorze zbladły,
Gdy wróg dziś pisze na narodu ścianie,
Żelazną ręką Baltazara runy,
I kiedy mężów ramiona opadły,
Grzebiąc ostatnie nadzieje w nirwanie,
Gdy starcy idą z rozpaczą do truny,

I cóż my winni, że patrząc zbawienia,
Jako Anteje zrywamy się z ziemi —
A u nóg czując ciężkie hamowidła,
Szukamy świtu na niebie marzenia
Wołając usty z tęsknoty drżącemi:
Młodości! podaj nam skrzydła!

Tatry.

W dali!... jakby ciągnący ławą huf kresowy,
Z gwiazdami na szyszakach, z proporcem obłoków
Zakamieniał, dotarszy aż do nieba stoków,
Jak Tatry ciemnym murem zwarły dumne głowy!

Wielki jak sny młodości — mroźny kraj śniegowy!
Gdzie król burz — halny orkan — błądzi w szacie mroków,
Gdzie wiszą gniazda orłów, gromów i potoków,
Gdzie mistrz świata w obłokach ma tron granitowy!

Tatry!... czemuż jak siedzib szukające ptaki,
Myśli moje ku waszej zamarłej pustyni
Lecą przez mgłę tęsknoty i przez marzeń szlaki?

O pustyni Tatrzańska! bo na tym obszarze
Całej mojej ojczyzny — o skalna świątyni —
W tobie jednej są jeszcze — swobody ołtarze!

Kozica.

Z „Tragiedji pustyni."

Dziwny głos bólu, strachu, rozpaczy złowrogiej,
Biegnie w skalnych ruinach, w praświata zwalisku...
To kozica, w żelaznym oklepca uścisku
Porusza skały jękiem śmierć wróżącej trwogi.

Wolna córa gór patrzy na łańcuch u nogi
Mętnym skazanki okiem, bez nadziei błysku,
I skargi dziwne, ludzkie, śle ku skał urwisku,
Rzekłbyś: to śpiew łabędzi po wolności drogiej.

Tam — po turniach jej stado rodzinne gdzieś goni...
Tam — swobodnym siostrzycom wiatr pieśń halną dzwoni...
Tam jej młode... bez piersi matki... tęsknią do niej...

Coś brzmi w skałach!... to stado niech stanie!... niech czeka!..
Nagle drgnęła — mgłą śmierci oko się powleka...
Tam!.. wynurza się z turni groźno — cień człowieka...

Szarotka.

Grania, gdzie błądzi tylko stopa wiatru lotna,
Ku szarotce błyszczącej wśród turni szeregu,
Jak zmarzła gwiazda, puchem stulona śniegu —
Wspina się ludzka postać śmiała i obrotna.

Ptasia droga prowadzi do skalnych ścian brzegu,
Tam gdzie pełza ten góral — droga bezpowrotna?
Czy go ciągnie w tę drogę szarotka samotna?
Czyż dla niej życie swoje chce powstrzymać w biegu?

On grosz za nią dostanie!... trwożnym ruchem koła
Wspiął się... zwisnął w powietrzu... kładzie rękę na niej...
Zerwał!... zamknął nad kwiatem palce... śmierci wrota.

Czemuż nagle zbladł, patrząc zejścia w dół po grani?
Ha!... nie można zejść na dół nie zbywszy żywota!
Odwróć oczy... rozegra się dramat otchłani...

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI.

Jeden z pierwszych polskich poetów społecznych. Urodzony w roku 1864. Studjował w Galicji i Dorpacie. *Poezje* jego z r. 1891 wnoszą ton młodzieńczy i bojowy, temu tonowi dotąd wierny. *Wybór poezji* (1899), *Polonia irredenta* (kilka wydań, kompletne z r. 1907); dramat jego *Familja* otrzymał na konkursie warszawskim 1899 pierwszą nagrodę; jego *Legiendy* (1901) głęboko poruszyły całe społeczeństwo.

Wesoło żeglujmy.

(na temat Edmunda Wasilewskiego).

I.

Wesoło żeglujmy po falach żywota,
Wesoło żeglujmy, wesoło!
Choć dziko wrą fale, choć łodzią wiatr miota,
Chmur czarnych nie widzim wokoło!

Na falach, na dalach, jak hucznie, jak szumnie
To życie, to nasze ucieka,
A fale wzburzone, spienione tak tłumnie
Spiętrzają się, ryczą zdaleka!

I płyniem śród morza ludzkości wokoło,
Śród dzikich, spienionych odmętów
I kiedyś nasz żagiel powieję wesoło
Na masztach przeznaczeń okrętów!

II.

Wesoło my lećmy jak ptaki swobody
Nad lądy i morza z kolei!
Wesoło my lećmy! Uskrzydla wiek młody
I puszcza z burzami stulecia w zawody
Jak ptactwo skrzydlate idei!

Wesoło my lećmy nad tłumy te śpiące,
Co legły bez ducha wokoło!
Pod nami tumany przesądów świat ćmiące,
Nad nami w obszarach rozlewa blask słońce,
Wesoło my lećmy, wesoło!

Nad skargi serc małych, nad zwątpień otchłanie
My dumne podnieśmy dziś czoło!
Ulecim jak ptaki zwiastując świtanie,
Zwiastując ludzkości dziejowe zaranie,
Wesoło my lećmy, wesoło!

III.

Wesoło, wesoło! Brzmi okrzyk radosny
Jak burza wesela śród szczęścia i wiosny.
Wesoło, wesoło!... Lecz czemu łza w oku
I czemu, ach czemu to czoło w pomroku?...
Ta radość, co w duszy słoneczny żar wieści,
Wykwitła jak róża śród głogów boleści.

Gdzie szczęście?—Ach, ono daremnie nas szuka,
Aż kiedyś do naszej mogiły zapuka,
Gdy ono w kwiecistej podąży ozdobie
Na czele ludzkości—my będziem już w grobie!

Z cyklu „W pociągu."

Turystka.

Wśród huku i świstu, przy oknie zwieszona
Młodziutka turystka przystaje,
O szybę opiera swe wiotkie ramiona:
Zaduma na czole, westchnienie wśród łona
A oczy — dwie głębie, dwa raje!

„Ach, pani, mgła siwa widnokrąg powleka,
„Myśl płocha grę marzeń poczyna!
„Pogwarzmy! Bieg zbliża z człowiekiem człowieka...
„Gdzie kraj twój, ziomkowie, rodzina?

„Mów, za czym przebiegasz świat z końca do końca,
„Wśród życia złudnego poranka?
„Gdzie matka została? Czy łza jej paląca
„Pieścideł fantazji dziewiczych nie zmąca?
„A naprzód — czy masz już kochanka?..."

Wśród huku i świstu grzmią dołem koliska,
Świat w mglistej roztapia się dali...
Już oddech gorący w twarz powiał mi zblizka—
Na ustach szał mowy się pali.

„Daj ramię!... Ty pytasz, gdzie matka? rodacy?
„Ty pytasz, gdzie świta cel drogi?
„Poeto!... Leć ze mną, pomkniemy jak ptacy!
„W mej willi chleb z solą już czeka na tacy
„A rozkosz, umai nam progi...
„W mej willi tam szumią pieniste puhary,
„Tajemną muzyką brzmią drzewa,
„Powoje oplotły wysmukłe filary —
„Na puchach kwiecistych pod cieniem kotary
„Sen — demon skrzydłami żar zwiewa...
„Codziennie tłum służby tka nowe mi szaty,
„Tłum wierny, śród dymu i potu, —
„Codziennie do uczty w wian splata mi kwiaty,
„Codziennie po skarby w podziemne mknie światy
„Śród dymu, śród młotów łoskotu...
„Daj rękę! Uśniemy w upojeń godzinie,
„O jutra nie dbając zagadkę...
„Gdzie kraj mój? Tam kraj mój, gdzie złota nurt płynie,
„Rodzina? Ja wrogów mam tylko w rodzinie! —
„A matka? Zabiłam swą matkę!
„Bo matką mi przeszłość i w trumnie już leży,
„A wieko naciska ma stopa!
„O jutro ja nie dbam! W „dziś" tylko się wierzy,
„Na skrzydłach gienjuszu, w żelaznej odzieży
„Leć ze mną — ja jestem Europa!"

Z cyklu „Podziemia."

Potwór.

Tam hala nad szybem, jak klatka u góry,
A w klatce śpi potwór sfinksowy.
Za ścianą grzmi węgiel, wrą głosy, drżą mury:
Przed sfinksem uśpionym cień staje ponury
I w rękę pręt bierze stalowy.
Potworny kot cicho tam leży na bloku,
Kark liną szybową owity.
Śpi teraz bezduszny, skłębiony w pomroku,
Za chwilę się zbudzi gotowy do skoku
I w paszczy zatrzeszczą kłów zgrzyty.
Cień drasnął go prętem... Kot wstaje, kark kłębi,
Przebiera tłokami, szaleje,
Rozwija się lina, mknie szala do głębi,
Kot parą zaryczał... Ha, ryk ten krew ziębi!
Kot cichnie, już słabnie, już mdleje.

I znowu to cielsko bezduszne wśród hali
Potwornie się kłębi na bloku.
Za ścianą grzmią wózki. Ha, idźmy tam dalej,
Skąd czarne djamenty kot dźwignął na szali,
Gdzie państwo bogactwa i mroku.
Ta otchłań... Czy brama do piekieł czeluści?
Zgrzytnęły żelazne zapory,
Nim oko swój promień do głębi zapuści,
Już lecim, już lecim w głąb czarnych czeluści,
W głąb niosą maszyny — potwory!
Kaganiec jak gwiazda u bladej drży skroni,
Jak głucho, jak czarno, jak wrogo!
W głąb lecim i lecim, a głębie mrok słoni...
Czy brakło na ziemi dla ludzi już błoni?
Czy tam się pomieścić nie mogą?
I lecim w głąb ziemi... Kaganiec ścian trąca,
A wkoło brzmi cicho głos rzewny:
„Ty chciwy człowieku! Czy nie żal ci słońca?
„Czy wrócisz?..." Któż pyta!... My lecim bez końca,
Jak ludzkość... na szali niepewnej!

Na wozie.

Zachód gorzał w krwawych blaskach,
Lud roboczy drogą polną
Ciągnął zdala, a po piaskach
Wóz szpitalny sunął wolno.
Na posłaniu twarz zbroczona,
Włos zlepiony, bladość w licach,
Jęk niekiedy płynie z łona,
Żar ostatni tli w źrenicach,
Spiekłe wargi drżą leciutko,
Oczy błądzą po lazurze...
Ach, jak piękny błękit w górze,
Jak tam błogo, jak cichutko!...
Nie grzmi węgiel, nie drży skała,
Która biedną skroń strzaskała,
Przydusiła pierś opoką
Zdala słońca... tam... głęboko!
Wietrzyk wieje, czoło studzi,
Z pól napływa woń wiosenna
Wkoło słychać gwary ludzi,
Ukończona praca dzienna

Ach, jak świeżo tam na błoni!
Powracają, podążają
Uznojeni, umęczeni.
Wietrzyk dwoni u ich skroni.
Wnet na progach domów staną,
Sen ukoi myśl stroskaną.
Nie wyruszą aż o świcie...
Ciężkie życie.. przecież życie!..
Ach, ta skała! Toż niekiedy
W tych chodników nocy kruczej
Zda się, żyje, drga i huczy,
Jakby chciała ludzkiej biedy!
Jedna chwila!... Wielki Boże!
Człek dla dzieci i dla żony
Uznojony, udręczony
Już i słyszeć drgań nie może...
Przecież skała lekko drżała...
Raptem... Jezu! Huk, ból, męki,
Znikąd, znikąd bratniej ręki,
Dusi!... Ludzie!... Dusi!

...Ciszej!...
Wszak tu droga, wszak tu błonie,
Toć spokojniej pierś już dyszy,
Jasny, piękny błękit w górze,
Taka cisza na lazurze,
Pomalutku idą konie
Jakby czuły, że z człowieka
Ledwo dusza nie ucieka...

Wiozą człeka nie do domu!...
Gdyby stanąć, szepnąć komu?
Żona nie wie, żadne z dzieci
Za tym wozem nie przyleci...
Toż daleko! Pracy tyle!...
Może pierwsze przejdą chwile,
Wkoło cicho i pogodnie,
Lżej już, lżej już... tylko oko
Nieco ścmiło się pomroką,
Trudno chwycić tchu swobodnie!...

Ha, znów chodnik... Lampki w dali...
Boże!.. Krzyczą, lecą duchem,
Odwalają głaz obuchem,
Biorą, niosą... Człek na szali

Płynie w górę... Leci, leci
Jak na skrzydłach... Jasność biała
Dookoła świat zalała,
Wóz w obłokach siwych płynie,
Oko błądzi po obszarze...
Co to?... Widać jakieś twarze
Jakby żony... jakby dzieci...

Wóz podąża... Wnet ich minie...
Ach, ktoś ręką dotknął czoła,
Ktoś do wozu przypadł z boku,
Krzyk się rozległ... Dookoła
Nic rozeznać człek nie może...
Czarne płatki krążą w oku,
Czoło zimny znój pokrywa,
W jakiś przestwór duch odpływa...
Ciemno... głucho... noc... bezdroże...
Wielki Boże!... Wielki Boże!...

Zalew kopalni.

Odkryj ziemio swe otchłanie,
Bezsłoneczne państwo mroków,
Gdzie wezbrane sto potoków
Łzy dźwignąwszy czarnej toni,
Zmiata trupy na grzyw pianie!
Stójcie wody! Stójcie piany!
Rozpacz ludzka was powstrzyma,
Choć się nurt wasz groźnie wzdyma,
Wzniesie tamy, dźwignie ściany!

Czy słyszycie dzwonków jęki?
Czy słyszycie szal bieg żwawy?
Już podszybie wre od wrzawy,
Nie brak serca, nie brak ręki!
Czy widzicie te gromady
Z rojem lampek nad głowami?
Lecą, lecą chodnikami
Z jakimś ogniem w twarzy bladej,
Rozbiegają się na dole,
Gdzie zalane nocne pole,
Kędy szumią wód pochody —
Milczcie nurty! Stójcie wody!

Ale nurty rzek podziemnych
Suną dalej z głuchym rykiem,
Nikną lampki w grotach ciemnych,
Niknie chodnik za chodnikiem,
Woda bieży w ślad górnika,
Wszystkie drogi mu zamyka,
Wszędzie śmierć na niego dybie!
Ludzka wrzawa ginie w dali,
Już ją słychać gdzieś przy szali,
Teraz głuchnie w górnym szybie.

Stójcie wody! Stójcie piany!
Młodsi uszli, ale starzy
Pójdą jeszcze raz w toń szumną,
Z siłą dziką, bezrozumną...
Może jest tam ktoś kochany,
Z obłąkaniem czeka w twarzy,
Ręce wznosi do was w górę,
Błaga wzrokiem z głębi toni?
Stójcie piany wy ponure!
Stójcie wody śród pogoni!

W mroku jakiś cień się skrada.
Ręką ciemne ściany bada,
W dół pochylnią ślizką schodzi,
Już do kolan w mule brodzi.
Światło lampki w ręku mdleje,
Pot kroplami spływa z czoła...
Dalej w mule iść nie zdoła,
Brak oddechu... Cień się chwieje...
Coraz duszniej śród chodnika,
Płomyk z knota lampki znika
I ciemności zaświatowe
Otoczyły jego głowę...

Wsparł o ścianę pierś znużoną,
Sił nie stało... Próżna męka!
Tu zziajane jego łono
Dotknie lekka śmierci ręka...
Ach, bez bólu, bez konania
Skołotany duch uleci!
Już chłód czuje... czuje drgania...
Boże! W dali płomyk świeci..
Drugi!... Trzeci!... Świeci, świeci!

Jak trzy gwiazdki zapomniane,
Na dnie świata śród pieczary,
Tak trzy lampki przez opary
Błyszczą lekko w mgle rozlane...
A nad niemi śród chodnika
Nieruchome trzy oblicza,
Skamieniałe... oczy mętne
I na wszystko obojętne...
Wkoło cisza tajemnicza,
Woda wzbiera, płomyk syka,
Jedna lampka zgasła właśnie
I twarz znikła... Druga gaśnie
I twarz druga w mroku znika....
Jeszcze jedna lampka błyska
I twarz jedna... znana... blizka...
Patrz! Poznajesz? Włos się jeży,
Dreszcz przez całe ciało bieży,
Lampka zgasła i widziadło
W wiekuistą noc zapadło...

Starowina.

Wieczór był cichy, chłodny. Wstawały mgły i powoli zakrywały brudne fabryki, dziedzińce, pola; bieliła się tylko droga, niby długi pas lądu pomiędzy dwoma morzami mgieł. A na końcu tej drogi, w górze, wysoko, jaśniała huta żelazna i nad nią w mgle rozpinała się coraz szerzej czerwona łuna. Huta gorzała śród tych mgieł jak jakieś piekło z średniowiecznej bajki.

Przystanąłem na drodze i długo wpatrywałem się w ten obraz. Mgły gęstniały. Powietrze było przesycone wilgocią. Na lewo szarzała tajemniczo za mgłami gąszcz, zupełnie jak w jakiejś balladzie niemieckiej.

Zawróciłem. Do uszu moich dochodził głuchy huk z poblizkich zakładów. Właśnie rozległy się donośne sygnały, zwiastujące godzinę szóstą. Niebawem zaczęły się pojawiać na drodze gromadki robotników. Niebieskie bluzy, twarze blade, blaszanki w rękach.

Wnet znowu pusto było na drodze. Ruszyłem dalej. Śród tych mgieł można zapomnieć, gdzie się jest. Ot, poprostu zdaje się, że to tam ciągną się smugi bez końca, po których z mgłą wieje tęsknota i słabiuchny wietrzyk coś dzwoni. A ten głuchy huk także coś na myśl przywodzi, coś nieuchwytnego a przecież tak znajomego.

Wtym posłyszałem tuż za sobą ciężkie westchnienie, do jęku podobne, w którym przebijało się znużenie, troska i ciężar życia.

Obejrzałem się. Stała tam, wsparta oburącz na kiju, stara kobiecina, mocno zgarbiona i widocznie bardzo znużona. Twarz jej woskowa pomięta była w tysiączne fałdy. Oczy wypłowiałe, jakby oślepłe. Suknie niezmiernie ubogie, zwilgotniałym kurzem pokryte. Wargi starowiny drżały ustawicznie.

Ogarnęła mnie jakaś niewysłowiona litość na widok tej starej kobieciny i rzekłem do niej:

— A dokąd to matko śpieszycie tak późnym wieczorem? Nie lękacie się, że was tu kto potrąci a może i przejedzie?...

Stara kobiecina, drepcząc, odwróciła się w moją stronę i wsparta oburącz na kiju, podniosła trzęsącą się głowę. Odetchnęła ciężko i rzekła głosem złamanym, wymawiając wolno słowo za słowem:

— Którędy tu, panie, droga do wielkiej huty, gdzie żelazo ciągną takiemi belkami, o! — i giestem wskazała wyimaginowaną wielkość belek. A gdy z pewnym zdziwieniem na nią spoglądałem, nie mogąc zdobyć się odrazu na odpowiedź, pokiwała znacząco głową i dodała:

— Tak, tak, panie! Takiemi belkami, o, takiemi!

— A kogo tam, matko szukacie? — zapytałem.

Stara kobiecina wyprostowała z trudem zbolałe krzyże i pochyliwszy się znowu na swój kij rzekła:

— A syna szukam, panie, jedynaka. On mi jeden pozostał. Poszedł w świat za robotą, bo dziś ciężko, panie, oj ciężko to, ciężko! Ciągnął żelazo jak inni, aż go niemoc powaliła. Pisali, żeby przyjechać, pielęgnować, młodemu umierać żal. Trzeci dzień idę. Pisali w liście jak o drogę pytać. Ale któż to spamięta! A ja już, panie, nie dojrzę. Idę tedy i pytam ludzi po drodze: jak iść do tej wielkiej huty, gdzie żelazo ciągną całemi belkami? Ludzie wskazują ręką. Idę, jak pokazują. To tam więc, panie?

— Tam! — rzekłem wskazując hutę, która w mgłach gorzała ponuro.

— Takiemi belkami—odrzekłem poważnie. Już niedaleko.

— Bóg zapłać, panie! — odpowiedziała stara i powlokła się drogą, stękając.

Wkrótce postać jej zaczęła w mgle ciemnieć i niknąć. I tylko nad miejscem, gdzie ją straciłem z oczu, coraz czerwieniej gorzała huta.

— Jak w bajce, pomyślałem. Jak w bajce....

Żmija.

Rozległa, ciemna hala. W lewo żarzą się piece. Na prawo obracają się rzędy walców. W głębi szarzeje grupa nieruchomych postaci. Twarze apatyczne, wzrok senny, ręce po łokcie obnażone, założone na piersiach. Przez chwilę słychać tylko głuche warczenie kół transmisyjnych.

Wtym rozlega się dzwonek i grupa owych szarych postaci ożywia się, rozprasza po hali. Jedni stają przy walcach, inni podążają ku piecom, otwierają zasuwy, blask uderza na całą halę. Z pieca wysuwa się na wózku potworny blok rozpalonego żelaza, otoczony czarnemi sylwetkami ludzi. Sunie on do pierwszej pary walców, które go niby wargami wchłaniają, znika w ich paszczy. Lecz po krótkiej chwili z sąsiedniej pary walców wybiega on jako wydłużona czerwona belka, zatrzymuje się w pośrodku hali, cofa, zmierza ku trzecim walcom i niknie w ich wargach. I znowu przez pewien czas słychać tylko warczenie kół transmisyjnych.

Nagle z czwartych walców, niby z ust ścieśnionych, strzela ognista żmija drutu. Lecz z boku czyhała na nią ciemna postać ludzka z wystawionemi kleszczami. I zaledwie czerwony łeb żmii wychynął, gdy ujęły go te kleszcze, uniosły i wcisnęły w paszczę walców przyległych. Stało się to tak prędko, tak błyskawicznie prędko, że rozpalona żmija lekko tylko zgrzytnęła w paszczy walców i już przewija się w półkolu z jednych walców do drugich, faluje, dygoce, wściekła, bezsilna, zbliża torturowaną pierś do swego ujarzmiciela, to słania mu się do nóg. Ale on usuwa się do ściany pomiędzy walcami, opuszcza kleszcze ku ziemi, patrzy na przelatującą żmiję wzrokiem spokojnym, wiedząc, że ona nie muśnie ani jego nóg, ani jego piersi. Właśnie jej ogon wyleciał z walców po prawej, uderzył z furją o żelazne rusztowania, wbiegł między walce po lewej.

Teraz tam z ostatnich walców wystrzeliła żmija na sam środek hali. Wznosi gorejący łeb, śledzi, kogoby mogła ukąsić, szuka ofiar, wszyscy usuwają się, ona się wije, ciska na piasku, skłębia, oswobodzona już połową swej długości. Z boku czai się nowy jej ujarzmiciel. Ona go dostrzegła, z sykiem obraca ku niemu swój łeb, rzuca się na niego. On ze zwinnością kota uskoczył, rozwarł kleszcze, posypało się kilka iskier i już łeb żmii ujęty na nowo, porwany, wpleciony w sztaby kołowrotu. Warknęły transmisje. Kołowrot z szaloną szybkością zaczyna się obracać, a nawijająca się nań żmija słabnie, rudzieje, przygasa. Kołowrot warczy i warczy. Z walców wy-

dobył się czerwony ogon żmii, zamiata po hali, wznieca ogień śród rozrzuconych wiórów, grozi nieostrożnym; ale już porwany wirowym ruchem kołowrotu traci siłę, gaśnie, martwieje. Kołowrot staje. Nieżywą żmiję wywożą z hali na wózku. I znowu żarzą się piece, stoi grupa nieruchomych postaci i słychać tylko głuche warczenie kół transmisyjnych.

Za jedną żmiją przelatuje kilkadziesiąt, kilkaset. Robota wre. Najdzielniej spisuje się młody wyrostek przy czwartych walcach. Młody, igra z wściekłością przelatującej żmii. Ilekroć z walców łeb jej się wychyli, nie chwyta kleszczami odrazu. Niech ona sądzi, że wylatuje na swobodę! Dopiero po chwili dogania ją, porywa jej łeb w kleszcze, unosi nad głową; obraca się na miejscu i wciska łeb żmii pomiędzy zrywające się wargi walców przyległych. A sam stojąc w ognistym kole, patrzy na drgające ciało żmii, na falujące linje, sunące zdradziecko ku jego nodze. On nawet nogi nie usuwa, ona tej nogi nie dotknie, nie odważy się dotknąć!— Żmija drga, zbliża się, oddala, znowu zbliża, aż ćmi się w oczach od tego koła płomiennego... Oddaliła się... Nie!... Jakto?!... Nagle czuje on jakieś jadowite ukąszenie w nogę... swąd... Dokoła rozlegają się krzyki, nadbiegają ludzie... On spogląda ku swej nodze.... Znać zamroczyło mu się w oczach!.... Co się to stało?!.... Wtym wszystko zaczyna mu tańczyć przed oczami, słabnie, opada na czyjeś ręce...

Kiedy się zbudził, nie wie. Pokój widny, leży w wygodnym łóżku; głowa mu tylko fatalnie cięży i kołdra uciska, chociaż tam w nogach wisi na jakiejś obręczy. Patrzy w okna. Toż to jasny dzień! Chce zerwać się z posłania, aż tu od innego łóżka przyskakuje felczer, przytrzymuje go za ramię i woła niecierpliwie:

— No, no! Tylko bez tych głupstw! Leż cicho, kiedy ci dobrze!

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

Urodzony 12 lutego 1865 r. w Ludźmierzu pod Nowym Targiem; drukiem ogłasza swe utwory od roku 1886. Najwybitniejsze: *Poezje* (5 serji). *Melancholja*, *Wrażenia*. Utwory powieściowe i dramatyczne Tetmajera mniejsze mają znaczenie; dopiero opowiadania p. t. *Na skalnym Podhalu* okazały w całej pełni talent jego epicki; nie są to obrazy z rzeczywistości, lecz dzieła twórczości samodzielnej, wysnutej z wybornego znawstwa i głębokiego umiłowania tężyzny góralskiej z doby dawno minionej.

Z „Preludjów."

XXXV.

Ku mej kołysce leciał od Tatr
O skrzydła orle otarty wiatr
O limby, co się patrzą w urwisko —
Leciał i szumiał nad mą kołyską.
I w serce moje na zawsze wlał
Tęsknot do orlej swobody szał,
I tę zadumę limb, co się, ciszą
Wielką objęte, w pustce kołyszą.

XXXVIII.

W pożarze słowa, w róż oceanie,
W płomiennym zmysłów zachwycie
Jak grom w dzień jasny, śmierć niespodzianie
Niech przyjdzie przeciąć me życie.
A nim twarz moja zblednie jak chusta,
Nim zimne wstrząsną mną dreszcze:
Słodka dziewczyno, daj mi twe usta,
Jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze.

Albatros.

Cisza na oceanie, nie drgnie jedna fala,
Ciemno-modra płaszczyzna nieruchomo leży;
Na fali, skąd już nie znać sinych wstąg wybrzeży,
Siadł albatros od lądów i ludnych wysp zdala.

Marzy i żaden gwar mu ciszy nie zamąca,
Marzy... ziemia daleko i daleko życie...
Utonąwszy oczyma w świetlistym błękicie,
Na ciemno-modrej wodzie bieli się wśród słońca.

Zadumane, niezmierne dokoła milczenie,
W bezbrzeż sfer zapat zony spokój, sen przedwieczny,
Zda się, w kryształ promienny ściął się krąg słoneczny
I wielkie skrysztaliło się nieba sklepienie.

Ptak śni — i zdaje mu się, że Bóg ziemi jeszcze
Nie stworzył, tylko woda nieruchoma, senna,
Leży pod sennym niebem, bezkreśna, bezdenna...
Śni... sen mu przerwą wichry, pioruny i deszcze.

Wówczas na wielkich skrzydłach z szumem się podniesie,
Wrzący ocean muśnie po spienionej grzywie,
Rzuci się w pierś orkanom huczącym straszliwie
I po nad burzą w cichym zawiśnie bezkresie.

A gdy burza ucichnie, gdzieś na skale dzikiej
Usiądzie suszyć pióra od deszczu wilgotne,
I patrząc w słońce, jak on, dumne i samotne,
Słuchać w skałę bijących fal sennej muzyki.

Melodja mgieł nocnych.

(Nad Czarnym Stawem Gąsienicowym).

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Okręcajmy się wstęgą naokoło księżyca,
Co nam ciało przezrocze tęczą blasków nasyca,
I wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,
I limb szumy powiewne i w smrekowym szmer borze,
Pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach gór kwitną,
Dźwięczne, barwne i wonne, wgłąb wzlatujmy błękitną.
Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Oto gwiazdę, co spada, lećmy chwycić w ramiona,
Lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona.
Puchem z mlecza się bawmy i ćmy błoną przezroczą
I sów pierzem puszystym, co w powietrzu krąg toczą,

Nietoperza ścigajmy, co po cichu tak leci,
Jak my same, i w nikłe oplątajmy go sieci,
Z szczytu na szczyt przerzućmy się jak mosty wiszące,
Gwiazd promienie przybiją do skał mostów tych końce,
A wiatr na nich na chwilę uciszony odpocznie,
Nim je zerwie i w pląsy znów pogoni nas skocznie...

Z cyklu „Z nowych wierszy."

NA ANIOŁ PAŃSKI.

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marja pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

W wieczornym zmroku, we mgle szarej,
Idzie przez łąki i moczary,
Po trzęsawiskach i rozłogach,
Po zapomnianych dawno drogach,
Zaduma polna, osmętnica...
Idzie po polach, smutek sieje,
Jako szron biały do księżyca...
Na wód topiele i rozchwieje,
Na omroczone śpiące gaje,
Cień, zasępienie od niej wieje,
Włóczą się za nią żal, tęsknica...
Hen, na cmentarzu ciemnym staje,
Na grób dziewczyny młodej siada,
W świat się od grobu patrzy blada....

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marja pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Na wodę ciche cienie schodzą,
Tumany się po wydmach wodzą,
A rzeka szemrze, płynie w mrokach,
Płynie i płynie coraz dalej...
A coś w niej wzdycha, coś zawodzi,
Coś się w niej skarży, coś tak żali...

Płynie i płynie, aż gdzieś ginie,
Traci się w górach i w obłokach,
I już nie wraca nigdy fala,
Co taka smutna stąd odchodzi...
Przepada kędyś w mórz głębinie,
I już nie wraca nigdy zdala...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marja pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Szare się dymy wolno wleką
Nad ciemne dachy, kryte słomą —
Wleką się, snują gdzieś daleko,
Zawisną chwilę nieruchomo
I giną w pustym gdzieś przestworzu...
Może za rzeczną płynąc falą,
Polecą kędyś aż ku morzu...
A mrok się rozpościera dalą
I coraz szerzej idzie, szerzej,
I coraz cięższy, gęstszy leży,
Zatopił lasy, zalał góry,
Pochłonął ziemię do rubieży,
Na niebie oparł się ponury...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marja pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Idzie samotna dusza polem,
Idzie ze swoim złem i bolem,
Po zbożnym łanie i po lesie,
Wszędy zło swoje, swój ból niesie,
I swoją dolę klnie tułaczą,
I swoje losy klnie straszliwe,
Z ogromną skargą i rozpaczą
Przez zasępioną idzie niwę...
Idzie, jak widmo potępione,
Gwiżdże koło niej wiatr i tańczy —
W którą się kolwiek zwróci stronę,
Wszędzie gościniec jej wygnańczy —

Nigdzie tu miejsca niema dla niej,
Niema spoczynku, ni przystani...
Idzie przez pola umęczona,
Łamiąc nad głową swą ramiona...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marja pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...

O sonecie.

Lubię sonetu trudną, misterną budowę:
Zda mi się, że mi kawał marmuru odkuto,
W którym swobodnie rzeźbić może moje dłuto
W rozmiarach wiecznie jednych kształty coraz nowe.

Lubię te dźwięki pełne, szerokie, bronzowe,
Brzmiące wiecznie tą samą melodyjną nutą,
A w nieskończoną różność motywów rozsnutą,
Jak mgły na jednym niebie w przeróżną posnowę.

Lubię ten mały kościół, w którym jednak może
Olbrzymi Bóg się zmieścić, jak w potężnym tumie;
Lubię to górne, wązkie, naskalne wydroże,

Skąd runie, kto stóp pewnie położyć nie umie;
Lubię tę gwiazdę małą, co świeci, jak zorze,
Dźwięk dzwonu, co nie głuchnie w huraganów szumie

Szukają bóstwa...

Szukają bóstwa; jedni z nich w popiele
Nurzając głowy i ścieląc się w kurzu
Przy marmurowych posągów podnóżu,
Albo w posępnym, milczącym kościele;

Inni ku niebu skroń podnosząc śmiele,
W słońc życiodajnych promienistych różu,
W gór, oceanom ochronnym przedmurzu,
W mądrym i dobrym wszechstworzenia dziele;

Inni spokojni, cisi, zadumani,
W nieogarnionej szukają go głuszy,
W nieskończoności bezdennej otchłani —

Tak od początku swojego istnienia
Wszędzie szukają bóstwa bez wytchnienia,
Tylko go w własnej nie szukają duszy.

Pochwała dawnej dzielności greckiej.

Memu bratu Włodzimierzowi.

STROFA I.

Młodzieńcze grecki, co silny i śmiały,
Jednegoś pragnął: nieśmiertelnej chwały;
Jedną miał dumę: piersią swą zastawić
Zagrożoną ojczyznę,
Ubogie wzgórza i pola nieżyzne
Od klęsk wybawić:
Ku twej, o mężny, sławie i pamięci,
Pieśń niech się moja dziś wzniesie i święci.

W bystre i zimne Eurotasu wody
Młodzieńców Sparty skakał zastęp młody,
Przez dzikie knieje, ostępy i haszcze
Długokływego dzika
Ścigali; morze nawie Ateńczyka
Otwiera paszcze;
Tessalskich źrebców z wichrowemi grzywy
Dosiąść, tam żaden nie bywał leniwy.

STROFA II.

Naprzeciw Persów strasznej nawały
Lwem na bawołu. szedł hufiec mały.
Przeszli z Aresa krwawych wysieków
W podziw potomnych najdalszych wieków.
Pod Maratonem i Salaminą
Ci, co polegli w walce, nie giną,
Lecz drugim życiem z martwych ocknięci,
Wiek na wiek walą w ludzkiej pamięci.

Trzystu Spartanów w Termopil jarze,
Bogom z czar wino wylało w darze.

Kserksesa miljon gdy w nich uderzy:
Miljon od trzystu pierzchnął puklerzy.
Zdradą zwalczeni legli nareszcie.
Brzmiał krzyk tryumfu po całym mieście,
Bo ni jednego z nich nie ujrzano,
By krwawił raną w plecy zadaną.

STROFA III.

Delfy, gdy wrogów tłumem oblężone,
Dwuch bohaterów daje im obronę,
Jak wilków stado płoszące dwa tury;
W Sparcie piersi mieszkańców
Miast bram obronnych były i miast szańców;
W Hades ponury
Epaminondas gdy szedł: to mu starczy,
Że wróg nie uniósł z pola jego tarczy.

Pindar efebów idących w zawody
Przez wiecznotrwałe upamiętnił ody;
Jak potok deszczem spiętrzony nad brzegi,
Co z gór się stromych pieni:
On się, ogromny, stacza ku bezdeni *).
Wieków szeregi
Idą — tak niegdyś czyny czczono dzielne,
Czyn wzajem pieśni budził nieśmiertelne.

Kolumny Samsona.

25. I stało się gdy byli dobrej myśl, że rzekli: Zawołajcie Samsona, aby błaznował przed nami.

Księga Sędziów.

Przyprowadzono go popod kolumny,
Aby błaznował.
Lud zgarnął się tłumny,
A wielka radość była weń rzucona,
Bowiem Pan podał im w ręce Samsona
I we więziennym domu go zamknięto;
Więc wielkie było w Filistynach święto
I wielkich ofiar bił dym dla Dagona **).

*) Podług ody Horacego do Antonjusa.
**) Dagon - bóg filistyński.

Wyprowadzono go z domu więzienia
Abu błaznował i poił weselem
Tych, których kruszył grzmot jego imienia
I co na odgrom jego kroków drżeli,
A którzy teraz, spokojni i śmieli,
Mogli się pastwić nad nieprzyjacielem...
Był ślepy, siły pozbawiony, w pętach,
Ów straszny Samson, który, o sromoto!
Sam tysiąc mężów zabił kością: oto
Trwogi nie budził nawet w pacholętach
I nędzne chłopię prowadzi olbrzyma
Z wyłupionemi, krwawemi oczyma.

Samsonie! błaznuj! błaznuj nam Samsonie!
Woła lud gwarny, jak fale ryczące,
A co z przedniejszych z ludu trzy tysiące
Siadło śród niewiast na płaszczyźnie pował,
By patrzeć z dachu, jak będzie błaznował.
Tłum szalał śmiechem -- ten mocny, ten krwawy,
Ten wróg szyderca, skrępowany w liny,
Jest dziś zabawą, skacze dla zabawy,
Trzymany ręką nieletniej dzieciny!
I można plwać nań i w oślepłe oczy
Miotać mu piasek, aż je krew ubroczy,
I można rzucać mu na zgiętą głowę
Klątwy i gorsze klątew urąganie:

Samsonie! Wzywaj strasznego Jehowę!
Niech zejdzie z niebos i przed tobą stanie!
On wszakże wywiódł z Egiptu Mojżesza
I Jozuemu przygwoździł krąg słońca,
I morze rozdarł od końca do końca —
Niech cię wybawi!...
Urąga mu rzesza,
A on, pośrodku stojąc, czuł, jak wzbiera
W nim tak nienawiść, iż brzmieją mu żyły
I dech się w piersiach rozdętych zapiera,
I wszystka krew w nim i wszystkie w nim siły
I wszystka myśl w nim i czucie i ciało:
Wszystko się jedną nienawiścią stało!...
Ha, tłum piekielny!... Ha! Jak tego wroga
On nienawidzi!... To padalcze plemię,
Którego wałem raz zawalił ziemię,
Zdradą go wzięto, szydzi zeń i z Boga!.

I tak się modlił w duchu: Panie Boże!
Przez oto wszystko, co tutaj ponoszę,
Przez hańbę moją, bicz i te obroże:
Ten raz mię tylko jeden wzmocnij, proszę,
Abym za moje wyłupione oczy
I wieczną mękę w ciemnościach ponurych
I wieczną śmierć mą: zmiażdżył ten łeb smoczy!...

I kazał wieść się pod słupy, na których
Był dach stawiony i oparł się o nie,
A lud wył nad nim: Błaznuj nam Samsonie!...
I oto uczuł pod słupami temi,
Jak łaska Pańska zstępuje nań z góry,
Bo mu się ugiął pod stopą bok ziemi
I głaz zadźwięczał, gdy wstąpił pod mury.
I rozparł ramię na lewo i prawo,
Jak krzyż, a krew mu biła w piersiach lawą.
Rozprężył ręce — o rozkosz! z kamienia
Wypełzł strach blady i zadrgał mu w rękach!
O Boże! Zda się, światło przepromienia
Wydarte oczy! O Panie w niebiosach!
Dzięki Ci, dzięki! Bo oto we włosach
Ogień, żar żywy krąży; w włosów pękach
Sto gromów biega...
Sto śmierci daj, Panie,
Daj lęk okropny i wolne skonanie,
Daj taką boleść i takie męczarnie,
Których myśli ludzka cała nie ogarnie,
Których przeczuciem krew się w żyłach ścina!
Lecz daj w tej śmierci śmierć dla Filistyna!
Panie! Daj w łasce Swojej, niech się ziści,
Ogrom Twych sądów i Twej nienawiści...
I jako niegdyś hen, w gazejskiej bramie:
Wciągnął w pierś wicher i wyprężył ramię..
Zgięły się słupy — a potym odrazu
Pękły, upadły i lawina głazu
Runęła z trzaskiem... Ziemia wskroś zadrżała,
Walą się mury, krzyk grozy w motłochu,
Wyjąc, spadają z dachu krwawe ciała —
Huk, łomot, piekło...
Wzdęta chmura prochu
Zakryła słońce...
Rozpierzchnięta tłuszcza
Patrzy zdaleka, zgrozą oniemiała,

Jako bawolic stado, gdy z bawołem
Lew się w kurz zarył, padłszy z nim pospołem.
Czarny kłąb prochu wzroku nie przepuszcza—
Wreszcie przejrzeli... O piekielne dzieło!
Pośród strzaskanych krwią oblanych słupów:
Strasznych, zmiażdżonych trzy tysiące trupów!
Ciał trzy tysiące!... Już nie słychać jęków.
Pod hurmą gruzów wszystko już zginęło —
Milczenie śmierci, straszniejsze od szczęków,
Wojennej wrzawy i topielców wycia,
Weszło na zwały...
A on tam, bez życia,
Ostatkiem swojej zgruchotanej twarzy
Niebu się śmieje, błogosławi Paua.
Och! Najstraszliwszy z śmiertelnych grabarzy,
Straszny jak pomór!... Zemsta dokonana...
Samsonie! Zemsty dokonane dzieło!
Niech wielbi Boga twa krew, co się niebu
Z śród gruzów jeszcze dymi jak ofiara.
O dym dziękczynny! Takiego pogrzebu
Nikt jeszcze nie miał — ani taka kara
Była słyszaną...

Z opowieści „Na skalnym Podhalu".

Jak się Józek Smaś pojechał wysłuchać.

Józek Smaś Solicarz od Mrowców z Olczy, wielki to był strzelec, a większy jeszcze zbójnik, zaciekły i zajadły, bo nie z potrzeby, ale z ochoty. Ale największy był on bezbożnik. Nigdy na „Pokwalony Jezus Krystus" inaczej nie odpowiedział, tylko: „Niekze ta, niekze ta", albo „Niekze se bedzie". Jo Mu sie nie prociwiem — co mu nawet nie krócej, ale dłużej, niż „Na wieki wieków Amen" wychodziło. Jeżeli jako strzelec równał się ku Jankowi z Jurgowa, który od Hawrania przez Litworowe aż po Kościelec kozy niszczył; jako zbójnik ku Jankowi z Brzezawicki, o którym śpiewali:

„Na wysokim wirsku krzesom śubienicki;
Wtoz hań budzie wisioł z Janko z Brzezawicki." —

to jako bezbożnik całkiem on był jancykryst. A co przy tem było dziwne, że był bogaty. gazda i wszystko mu się wiedło, do wszystkiego szczęście miał. Nijakiego woloru bieda ku nie-

mu niemiała. Tak mu się wiedło, jakby mu Pan Bóg umyślnie błogosławił, a on nigdy może nawet w kościele nie był, chyba wtedy, kie go kścili.

Nie, żeby tak już do imentu nie wierzył, ale nic o tem wszystkiem wiedzieć nie chciał.

— Jo ta nie widzem—mówił—coby się Pon Bóg do mnie wrazoł, coz jo się Mu ta bedem popod ręce plątał? Zasiejem — zeźre mi; nie zasiejem — nie bedzie nic. Pojem — nie głodnyk; nie pojem — to mi się jeść fce. Zyjem, bok sie urodził; umrem, bo przyjdzie śmierć. Wiem, ze góry som jest niemałe, bok bez nie seł; wiem ze drzewo kwarde bok je rąbał; wiem, jako ogień poli, woda gasi, ale o Panu Bogu temze telo wiem, co o tym królu, co se ta we swojej stolicy kasi włodze. Jo ta ku temu, co ku mnie nie idzie, nie wartki.

Dufny to w siebie chlop był, obrotny, mądry, a strasznie śmiały.

Mimo tej bezbożności ludzie go kochali, a to dlatego, że dobry był, nikomu krzywdy nie zrobił, pomógł w strapieniu, mądry był do rady i mowny, a już jak jakie dudki skąd do chałupy przyniósł, mógł pić kto chciał i ile chciał. Nie z samej Olczy, z Pardółówki, z Hrubego, ale ze Zakopanego, z Poronina, z Murzasihla, z Cichego i z Bukowiny ludzie się schodzili do karczmy, gdzie pić lubił, kiedy się zwiedzieli, że z pieniędzmi przyszedł. A on się w tem cieszył i często nie rzadko komu na krowę, na konia, na stacie dał.

Ale się wiedło i przewiedło. Nie młody już był, bo miał koło 55 lat, zaskoczyła go przy Zmarzłym Stawie pod Polskim Grzebieniem na polowaczce kuzniawa, wiatr, śnieg, mróz; trzy dni i trzy noce pod skałą przesiedział, bo iść nie sposób. Tyle dobrze, że jeść tam jako tako ze sobą miał. Przyszedł do domu, rozniemógł się. Dopiero się teraz zaczęło odzywać: w grzbiecie łapa niedźwiedzia, co go nią zdzielił pod Rohaczami, nim na drzewo zdążył uciec; w kolanie, w prawej nodze kamień, co się gdzieś w Młynarzu urwał w żlebie i w kość trafił: w boku ziebra potłuczone, co go Spiżacy przy Pięciu Stawach Węgierskich oklepcami na kozy dotłukli; w głowie dziury od bitek z młodości. Zaczęło łupać po kościach, wiercić, łamać — bieda było wytrzymać. Spadł z ciała, zesłabł, trudno było z pościeli zleźć.

Niedźwiedzie, świstacze sadło, czy to na wewnątrz, czy smarowane nic nie pomogło.

Przyszła baba, stara Katarzyna Magierka od Janików, okadziła go — nic. Przyszła druga baba, jeszcze starsza. Trzebuńka, zamówiła, zaczyniła — nic. Nie pomógł i Kubuś Bed-

narz, co mu już sto lat było, choć mu owce, krowy, konie pod rękami zdrowiały!

Dopiero się zejdą baby sąsiadki radzić; siadły kole łóżka.

— Ej, kumoterku, kumoterku, już wy ta wnet dojńdziecie, dojńdziecie — powiada jedna.

— Hej, swoku, niewiemy wom juz poradzić nijako — powiada druga.

— Niwto haw juz nie poradzi, moi mieli, jedna śmierzć— powiada trzecia.

— Ej kumoterku, kumoterku, trzaby o duse myśleć.

— Coby zaś pote późno niebyło, swojaku.

— A wtoz wi? Nieroz tak bywuje — moze i popuściło by kielo telo po komunii świentej.

— Wiera, dobrze padocie, kumosicko. Cobyście tyz, kumoterku, dali się wysłuhać.

— Przed Matkom Boskom cudownom w Ludzimirzu.

— E dy ta jest i w Odrowązie, padajom, cudowno — odezwał się Smaś, któremu się Odrowąż lepiej podobał, bo dalej, a to już zbójecką i myśliwska natura, jak iść, to daleko.

— Hej, moi mieli! Ona ku ludzimirskiej ani za kuhareckę nie worce!

— Jedźcie, swoku, wysłuhojcie się!

— O jedźcie tyz, jedźcie, kumoterku, a pilno, ponaglojcie sie, bo cas!

— Jedźciez, jedźcie, moi mieli!

— Dyabeł ku wom niebedzie mioł przystępu, a on haw nie prec bedzie!

— Hej, dobrze padajom kumosicka, oni ta wse mądrze radzom. Nie prec, nie prec!

— Kiek haw wcora z domu sła, moi mieli, takie mi corne kocisko z pod nóg smyrgło. Jazek sie wzdrygła!

— Dyabeł nowoli w kota.

— Ej, kumosicko, widywali go juz ludzie i w psiej skórze.

— Ale mu się za kota obrócić noracej widzi.

— Je coz ta takiemu?! Co fce, potrafi. Dyabeł i dyabeł.

— Kie Symek Mrowca konał, to się zaś objawił za wilka. Tu! tu! popod hałupę przeseł.

— Ej raty!

— A pocymze go poznali, ze je nie wilk prowdziwy?

— Ej, ci juz wiedzieli, co poznajali! Pono w nurze miał ogień. W nocy to było.

— Ej raty!

— Nie wysłuhoł się to stary Mrowca?

— Nie dowieźli mu ksiendza. Konie uwięzły w zospak.

— Ej wicie! To ta juz nie wto inny sprawieł, ino on, ten wilk.

— Tak tyz ukwalowali sytka, ze nie co ine, lemze on.

— Hej! Ponjezusicku nosłodsy!

— Maryo Przecysto!

— Syscy janieli, jacyście ka ino po niebie!

— Kumoterku, kumoterku, jedźcie się wysłuhać! Nic juz s wos! Ino patrzyć!

— O nic! nic! Zbiedliście! Pół wos ubyło! Skapiecie!

— Jedźciez, jedźciez moi mieli, ono wom ta juz nie przepuści tym raze.

— Wiera ze nie!

— Ej nie!

I jak zaczęły nad nim jajczeć, a biadkać, a sklamrzyć, zdecydował się Józek Smaś do Pana Boga do Ludzimierza jechać.

Uchwalili na odpust, ósmego września, w samo Narodzenie Najświętszej Panny.

Ustały deszcze, co tego sierpnia lały bardzo, zaraz się Józkowi lepiej zrobiło, przestało go tak strasecnie łupać po kościach.

Wstał z pościeli, umył się, włosy masłem wysmarował, czysto się oblókł, kapelusz nowy, czucha nowa, serdak nowy, portki, krypce, jak na wesele. Radowały się baby, co go namówiły i jechać z nim miały; żony już nie miał, wdowcem był. Ale się dopiero zadziwią! — bo tu przed chałupę zajeżdża wóz, a we wozie skrzypkowie dwaj, basisty — jak na wesele! A dopiero gęby otwarły, kiedy Smaś pistolety dwa za pas, noże dwa, do garści ciupaga, a przez ramię flinta.

— Zej, bójcie się Boga, kumoterku! Coz wy robicie?!

— Dyabłów zjadło, swoku! Dy to przecie nie na kozy!

— Ani nie w Luptów na dudki, moi mieli!

A Józek Smaś oparł się na ciupadze i powiada: Nigdyjek jo nie seł inacyj ku niwtoremu panu: dziedzicowi, derektorowi, kaserowi, kupcowi, abo co fciało, niek było! A dy przecie, padocie Pon Bóg nowiększy ze syćkik. A hoj ta po inksym interesie ku Niemu jode, niekze Mu nie ublizem, ze telo ku mnie nie płaci, co hojwtory dziedzic, abo i gazda, abo i zyd psia para, cok ku nim we zbroi seł. Niekze Mu to nie bedzie krzywo, niek se nie krziwdzi. A ze to sie momy jednać, to muzykę bierem, coby wiedzioł, ze nie załujem na tę zgodę i zapłacem. A niekze i to wie, ze kie On gazda na niebie, to jo ta tez niezgorsy na swoim, w Olcy. Moze On mi pierunem zagrzmi, to jo Mu zaś basami dom obrzęceć. Haj!

I pojechał. Na jednym wozie na przodzie muzyka, na drugim on z babami.

Patrzą ludzie, dziwują się, przejechał wsie kunowotarskie, na Zaskalu skręcili, do Ludzimierza jadą. Raniutko wyjechali, dobrze na czas zdążyli. Ludzi moc, odpust ogromny, krzyk, gwar, ścisk — a co kto spojrzy, to się dobrze nie przeżegna. Tu muzyka na przodzie, za nią stary chłop, siwy, pistolety za pasem, lufa mu się z za ramienia świeci, patrzy śmiało, jak orzeł, choć widno po nim chorobę.

— Je coz to takiego?! — pytają się jedni drugich—wtoze to taki?

— Jakisi Podholan, z tyk skrzydlatyk, be ka z Wirhbukowiny, abo od Kościeliska — mówią inni.

— Z flintom jedzie.

— Moze jaki leśnicy wto wie zkąd?

— Zeć tu nie jeden leśny, aby leśnicy przyseł, a bez to przez flinty.

Dziwowali się, niemogli na nic myślą przyjść.

Zajechał Smaś przed kościół.

Tłum koło niego. Czarno i Białodunajczanie, Szaflarzanie, z Ostrowska ludzie, z Pyzówki, z Wróblówki, z Podczerwiennego, z Koniówki, z Pieniążkowic, z Odrowąża, z Ochotnicy, Niwy, z Lasku, z Klikuszowy, z Łopuszny, z Sieniawy, z Krauszowa, z Rogoźnika, z Długopola, z Maruszyny, z Morawczyny, z Rabki, z Nowego Targu, z całej okolicy, i z dalsza, od Suchej, od Żywca, od Wadowic, od Myślenic, i z dalej z Orawy, ze Spiżu, od samego Kubina, od samego Kiezmarku. Tysiące. Ale między niemi wszystkiemi Smasia z Olczy znać.

Mało w kościele miejsca było, księża słuchali i za kościołem pod lipami. Usłyszał jeden młody muzykę, bo Smaś ustawać bronił, porwie się ze słuchanicy, odtrzepnął od siebie babę, co ją słuchać własnie skończył, skoczy, patrzy — jak krzyknie!

Różnie ta skrzycał; żywy ksiondz beł.

Ustali grać.

— Coście wy za jedni?!—woła ksiądz! — Co tu chcecie?...

Wyjdzie Smaś na przodek—baby za nim, kumoszki—zdejmuje kapelusz i powiada:

— Nie wiem, jak ta do wos mówić: jegomość ociec, cy jako, bo jo ta tego nie ucony, anik ta z tem nie rabiał, ba u mnie kościół Gierlak, a zwonnica Lodowe. Ale mie baby namówiły, wysłuhoj sie, padajom, toztok się przyjehoł wysłuhać. Jak wom wola, to ja gotowy.

Potruchlały baby sąsiadki, bo go uczyły przez drogę i co grzechy i jak się spowiadać trzeba i jak pięknie do duchownej osoby mówić, a ten tak po swojemu, ze zbójecka.

Ksiądz też oczy otworzył na tę przemowę, a ludzie dookoła aż się zakołysali tłokiem.

— Jagze? — pyta Smaś!

Kazał mu ksiądz broń odrzucić.

— To juz tak na raty kazujecie? — powiada Smaś.— Gdy jo myśloł, co mi tu w nowienksym ryńśtunku przyńść trza — ale nikta juz bedzie, jako fcecie.

Rozzbroił się; oddał pachołkowi, co za nim szedł.

Ksiądz się kazał ludziom rozstąpić.

— Klęknijcie tu — powiada do Smasia.

Kląkł Smaś.

— Jo wos haw nie zabawiem długo — powiada — bo tu widzem kieloro ludzi. Juz mie to kumoski zucyły, jakie to te grzyhy, a jo ik haw nie bedem mioł korzec, ani ćwierć. Lem słuhojcie.

— Kraść ek krod, alejek wse hudobnym doł z rabunku. Niejednemu jek nogi wprawił, co dobrze sozrembu głowom nie dopadnie. Teli zrós. Anik ta nigda we swojej stronie nie zbijał, ba ka inyndyj, po Węgrak. Bićek bił, alek sie nigdy na słabsego nie zruwał. Roz mie jedna wereda; takie to małe było, od wojska przysło, w łeb wyciena, tok—przepytuje pieknie ik miłość duhownom — za brzuk i za kosule na garle rękami ujon, obróciłek to nogami do góry, wstawiłek do smrecków głową w dół i posełek. Nie tkonek sie! Dźwierzęciu jo niewyrzędzoł nigda, nie okalicyłek go, heba na polowacce, ale to myśliwskie prawo. Nie pokłamałek nikogo, nie zradziłek nikogo, wsejek wierności dotrzimował, cy my co ka ukradli i sowali, cy sie na bitke smówili, cy casi kajsi. Nigdyjek towarzisów cy przy dzielbie po rabunku, cy przy świstokak, nie ukrzywdził, jescek ze swojego dotrzył, jak to biedne beło. Pićek pił, ale to skody z tego nikomu nijakiej niebywało, ba, jesce karcmorz zarobił. Zabić człowieka, to jek zabił, ale przez potrzeby nie, ba końcem trza było zabić, bo się to do bitki brało, a tu sami dobrze wicie, zbójnik nimo wielo casu przy rabunku. I juz nie bacem, cyk ta dwok cy trzok sprawieł, bo to beło downo. Pote mi sie juz nie trafiło kiela cos. Telo na mnie tyk grzyków; mało, nie duzo.

* * *

I co się nie zrobiło: wyzdrowiał Smaś. Ale już zbójeckiego rzemiosła zaniechał.

— Jesce mi nie tak to, co mi ta ten księzyk napedzioł, hoć fajnie se mnom ugwarzył, o piekle mi uradził telo, co jaze cud radość beło słuchać, ani ta pokuta, co mi jom wsuł, a godnie ta tego beło wsute, do rozumu wjechało: jako to,

cok ozdrowiał. Bo on mi ta, ten księzyk gwarzi, gwarzi, jakie to ta dyabły w tem piekle, jako duse warzom we smole, jako klescami targajom, po klińcak włócom, a jo se myśloł za ten cos: hej! tele niejako mie ta prógowało za zycia, to jo sie i tyk dyabłów po śmierci nie barz bojem. Niewiem, cy som jest ciętse hłopy, jako Luptowianie, a przecie mie ci w ręcach mieli, a wysełek. Ty ta Górola, a jesce myśliwego i złodzieja, dyabłami nie stras, bo on dos dyasków wse uświadcy. Przydzie kurniawa we wirhak, zasuje cie; z niedźwiedzie sie prógujes; Luptocy, abo hajduki cie przysiędom: cy nie dyabły? Ale jek se to myśloł: Jak mi Ty dopomozes, Panie Boze, co pozdrowiem, to jek Twój.

I ono sie wej tak stało. Świstace, niedźwiedzie sadło nie zdołało nic, babskie, hłopskie cary, zamówienia, odcynienia nic, a On, Pon Bóg, zdoloł. Takek se pedzioł, kie mi ta ten księzyk nakazowoł, jako to Panu Bogu zbójectwo przemierzłe: pozdrowis mie, Panie Boze, juz tyz więcyl w Luptów nie pudem. Nie bedem więcyl zbijał kie sie Ty w tym tak nie ciesys, ba Cię to wrodzi. Haj. Bedzies Ty se mnom dobry, tak tyz i jo s Tobom. Jo wse taki bél: kiek bél z kim zły, to nie daj Boze! Jaze mi płomienie biegały po ręcak. Kiek zaś z kim bél dobry, abo my udobrowali ze sobom, pojednali sie: to u mnie jedno słowo, tak jako i u Niego, hań w górze, nad obłoke.

ANTONI LANGE.

Urodzony w Warszawie 1863 r. Po studjach na wydziale przyrodniczym udał się do Paryża, gdzie pracował z grupą radykalną *Pobudki*. Poezje tego czasu przedrukowane w zbiorze: *Pierwszy dzień Stworzenia*. Wydał osobno: *Pogrzeb Shelleya* (1890), 2 serje *Poezji*, *Wybór poezji*, *Rozmyślania*, i bardzo pouczające *Studja z literatury francuskiej*.

Powieść o Waligórze i Wyrwidębie.

(Urywek).

W dni zamierzchłych tajemniczej mgle,
W mrocznych lasach, pod wyniosłą górą,
Wyrastali, jak dwa dzikie pnie,
Bracia dwaj: Wyrwidąb z Waligórą,
Jak dwa żubry albo sosny dwie.

Mieli ciemny włos, błękitny wzrok,
Mieli barki silne, jak dwa woły,
A gdy szli, tak rączy był ich krok,
Że myślałeś — lecą dwa sokoły,
Lub dwie giemzy lekki niosą skok.

Mieli postać, jak olbrzymy dwa,
Nieulękłe, dzikie, muskularne,
Którym w żyłach krew jak płomień gra,—
I okryci w skóry bydląt czarne
Szli na wilka, niedźwiedzia i lwa.

I wysoko nieugięty kark
Unosili, jak obronną wieżę,
I potęgą swych żelaznych bark
Ochraniali swe obszerne leże,
Gdzie nie znano ani łez ni skarg.

Byli cisi. Lecz, gdy wrzał ich gniew,
Drżały dęby i chwiała się góra,
I Wyrwidąb ryczał jako lew,
A jak tygrys ryczał Waligóra,
I ich lica rumieniła krew.

A władały dwa te silne lwy
Nad krainą wielką i olbrzymią;
Od północy, gdzie lodowe kry,
Od tych puszcz, gdzie stare sosny drzemią,
Aż pod sinych gór nieznane mgły.

Od tych wysp, gdzie święty rośnie dąb,
Po ten step, co trawą się zieleni,
Po tę morza tajemniczą głąb,
Co się srebrem i szafirem pieni —
Z Waligórą władał Wyrwidąb.

Żaden inny nie władał tu pan,
Tylko Wyrwidąb i Waligóra:
Nie oblana krwią granicznych ran
Uśmiechała się młoda natura,
Złotym zbożem kołysał się łan.

Pnie swych dębów dwustuletnich bór,
Niby dzieciom, dawał im na chaty;
Sól i miedź im niosła głębia gór;
Skóry niedźwiedź dawał im kosmaty,
Koń swój grzbiet, a rogi swoje tur.

Turzym rogiem słodki pili miód;
W cieniu dębów stały barci pszczelne;
I dwa lwy, skończywszy dzienny trud,
Napełniali czary swe weselne,
Sycąc krew swą krwią bawolich ud.

Gdy się rankiem budzili ze snów,
Naprzód pługiem zaorali łany.
A potym szli, niby para lwów,
Bić niedźwiedzie, wilkom krwawić rany—
I z łupami powracali znów.

Waligóra w ciemnych piersiach skał
Toporami przerąbywał groty,
Albo drogi — proste jako strzał,
Albo schodził w podziemiów ciemnoty,
By zdobywać świat kruszcowych ciał.

A Wyrwidąb mocą swoich rąk
Buki, dęby w lasach rwał z korzeniem;
Chwilę ziemia pusta była w krąg,
Ale wnet pod świeżym wiosny tchnieniem,
Lśniła zbożem pól i kwieciem łąk.

Waligóra z tych podziemnych dróg
Tajemnicze wydobywał skarby
I wytaczał z nich kosę i pług;
A Wyrwidąb ziemię ciął nim w garby,
Co zajaśnieć miały w zboża stóg.

A gdy Wirwidąb druzgotał las,
Waligóra zbierał sosen bele,
Zbijał w szereg jedną z drugą wraz
I budował białych chat pościele
Dla swych niewiast, swego życia kras.

I gdy słońca purpurzył się skon,
Szli do chat swych ciepłych dwa olbrzymy,
Aby spocząć u śnieżystych łon
(Choć śnieżystych, lecz nie śniegiem zimy)
Ukochanych złotowłosych żon.

Złoty włos ich lśnił jak złoto zbóż,
W oczach fala rzek płynęła modra,
Na obliczu był rumieniec róż,
I z marmurów ramiona i biodra,
A pierś twarda była jak dwie grusz.

Dusze, obce niespokojnym snom,
Jako głębie były przezroczyste;
Nie wiedziały, co nie srom, co srom,
I półnagie chodziły a czyste —
I czystością ich promieniał dom.

Taka cisza płynęła z ich czół,
Że się od niej weseliły dusze,
I zuchwalec, patrząc na nie, czuł,
Że we własnej skąpałby się jusze,
Choć nie znały przysiąg ani stuł.

A gdy przyszedł ślubnej nocy szał,
To płonęły ogniem ich uściski,
Każdy muskuł, każdy nerw ich drgał,
Wirem huczał potok krwi ich wszystkiej,
Pocałunek każdy lawą wrzał.

Toż z radością przyglądali się
Wyrwidąb i olbrzym Waligóra,
Jak rój dziatek bujał całe dnie:
Jak gołąbka była każda córa,
A syn każdy był jak młode lwię.

Czasem ognisk rozpalili żar
I spijali miody w turzych rogach—
I rozbrzmiewał naokoło gwar:
I mówili o podziemnych drogach,
Gdzie wciąż nowy odkrywali czar;

Lub o lasów tajemniczych mgłach,
Gdzie się kryje tyle stworzeń żywych;
Lub o widmach, co widzieli w snach,
Czasem miłych, a czasem straszliwych;
Lub o łowach, o wilkach i lwach.

Albo w gwiazdy na błękitów sklep
Spoglądali zdumieni, ciekawi,
Jakich duchów zamieszkuje szczep
Świat ten dziwny, dokąd klucz żórawi
Zda się lecieć jesienią przez step?

I przychodził do nich stary dziad,
Ślepy lirnik, mądry, siwobrody;
Czarę miodu wychyliwszy rad,
Gdy rumieńcem błysły mu jagody,
Opowiadał dzieje dawnych lat.

Albo mówił, jakie cuda lśnią
Za górami, w ziemiach oddalonych;
Lub, czytając poza tajną mgłą
Dni przyszłości jeszcze niezrodzonych,
Prorokował. Wieszczem zwano go,

A Derwidem starzec sam się zwał,
W ręku nosił harfę złotostrunną...

Palingieneza.

Przeminęły ostateczne
Tysiąc wieczne dni słoneczne.
Gorejąca — kula słońca
Zatraciła złoty żar,
Cały wszechświat, życiem gwarny,
W jakiś pomrok zapadł czarny,
Wszech-ogrojec planetarny
Zlodowaciał — zastygł — zmarł.

Jako w puszczy — w noc — szkielety,
Wokół słońca mkną planety
W wirze głuchej — zawieruchy
W nieskończony wieczny mrok.
Nie zawyją żadne gromy,
Kiedy w przestwór niewidomy
Płyną martwych ciał ogromy:
Zgasł lazurów jasny wzrok.

Wiekuista noc zapadła
Na błękitu fal zwierciadła —
Całunowa – bezczuciowa —
Ostateczna padła noc.
Żadna gwiazda nie lśni złota,
Żaden promień nie migota,
Nie drga żaden dech żywota;
Bytu przemian znikła moc.

Znikły tęcze — zorze — świty,
I zapadły ziemskie byty
W grób żywiołów — proch popiołów —
W bezpotomny — nędzny pył.
Wysechł jezior błękit srebrny,
Zamilkł lasów szum gędziebny,
Zamilkł ptaków chór podniebny,
Zamilkł bój duchowych sił.

Gdzie są wyspy — lądy — morza,
Szczyty górskie — rzeczne łoża,
Gdzie są bory — gdzie potwory,
Które żyły wśród ich puszcz?
Gdzie świetlane duchów wzroki,
Gdzie są mędrce a proroki,
Gdzie Synaju szczyt wysoki,
Gdzie ognisty Boga kuszcz?

Gdzie są duchy te potężne,
Co sięgały w niebosiężne,
Nieujęte—w cień zaklęte
Tajemnicy wiecznej mgły?
Gdzie są te Prometeusze,
Męczenników wielkie dusze —
Prawd nie syte gienijusze,
Co po gromy szły jak lwy?

Gdzie jutrzenki są majowe,
Usta dziewic purpurowe?
Gdzie uśmiechy — win kielichy,
Pocałunków słodki czar?
Marmurowe kolumnady,
Gdzie posągi? gdzie Iljady?
Trubadurów gdzie ballady?
Szczebiotliwej dziatwy gwar?

Nicość! Było ludzkie plemię,
Ale dość już! Opuść ziemię.
Podnieś ciało — spójrz wokoło—
W hebanowych planet krąg.
W te oślepłe spójrz etery,
Zgasł błękitny wzrok Wenery
I księżyce Zeusa cztery —
I szkarłaty Marsa łąk.

Jak grobowa płynie urna
Trójpierścienny krąg Saturna
I księżyce — i mgławice
Ukrainnych planet dwuch.
Wirem płyną sarkofagi,
Gdzie śpi czasów szkielet nagi,
W noc okropnej Równowagi,
Która powstrzymuje ruch.

Jeszcze mgnienie tysiącletnie
Równowaga ruchy przetnie;
Lodowate — bezskrzydlate
Płyną cienie próżnych skrzyń.
Idzie noc Najuroczystsza,
Gdy wielkiego Zegarmistrza
Głos przemieni byt na zgliszcza,
Gdy zawoła światu: Zgiń!

Były niegdyś na tych światach
Wielkie duchy w dawnych latach,
Co się rwały — w ideały,
W tajemnicy wieczną mgłę,
Więc proroki — bohatyry
I kapłany śpiewnej liry,
Wielkie Danty i Szekspiry:
Dziś ich dusze — gdzie są — gdzie?

Nieśmiertelne bóstwa pyły,
Czyż się w nicość obróciły
W bezżywotny — bezpowrotny
Mogilniany — czarny głaz?
Czyli śpią ukryte ninie
W tajemniczej dusz krainie,
Jako pszczoła śpi w bursztynie,
By się zrodzić jeszcze raz?

Dalej — dalej w świat bez końca:
Za tym słońcem — inne słońca,
Ogniów żyły — planet bryły —
Dziś mogiły: wszędy grób.
W nieskończonej niebios dali
Kilka gwiazd się jeszcze pali,
Ale wokół naszej fali
Cały świat — jak jeden trup!

Takie straszne na mnie padło
Zagrobowych dni widziadło.
W tej przestrzeni — wiecznych cieni
Stałem — jak nicestwa pył.
Jako wichry mkną Eony
A w nich w przestwór niezmierzony —
Niezmierzony — nieskończony
Zwolna idą cienie brył.

Świat — jak martwych ciał kopalnia.
Ruch się zwalnia — zwalnia — zwalnia:
Równowaga — byt przemaga,
Staje — staje... Ustał ruch.
Jako we krwi pulsów bicie,
W ostatecznych minut zgrzycie
Ostateczne zgasło życie,
Ostateczny zamarł duch.

Śmierci — śmierci, czyliż w tobie
Cel — i nigdyż na tym grobie
Nad popioły — już anioły
Nie uderzą w życia dzwon?
Chwila - wiek: zagasły bryły,
I zawisły tam gdzie były! —
Paraliżu głuchej siły
Nigdyż nie poruszy On?
. . . . . .

Naraz — naraz wśród przestworzy
Słychać jakiś dreszcz, co tworzy —
Jakieś tchnienie — jakieś drżenie,
Pełne świeżych wiatru wiań.
I ogromny piorunowy,
Niby nowy hymn odnowy,
Zabrzmiał wielki głos Jehowy:
„Stań się, świecie, większy stań!"
. . . . . .

Zmora.

Od rana do wieczora
Ściga mię straszna zmora —
W każdej godzinie dnia i nocy ciemnej —
Ślepy i głuchy jakiś wid tajemny —
Staje przed moim okiem —
Czarnym cieniem — obłokiem —
Łez gorących potokiem —
I skrzydłami szeleszcze w jakiś wtór wzajemny.

Każde moje wesele
Grzebie w swoim popiele
I każdy uśmiech swoją trupią twarzą
Zatruwa w smutek, w którym się kojarzą

Pogarda — ból serdeczny —
Nienawiść — bunt odwieczny —
I gniew — i żar słoneczny,
Którym się kiedyś duchy człowiecze rozżarzą.

Pośród tańczących koła,
Gdzie piosnka brzmi wesoła —
Zdumiony stoję z uczuciem żałoby:
Że ci, co wokół mają same groby —
Śmiać się mogą tym śmiechem,
Co nie mogilnym echem,
Ale życia oddechem
Drga tak, jakby to było śród wiosennej doby.

Niby łańcuch z żelaza —
Niewidzialna zaraza
Uśmiechów moich, co zamraża w lody
Wszystkie promienie innych dusz pogody:
Ciągle za mną się wlecze —
Serce ogniem mi piecze —
Ssie jak wąż — kole — siecze —
I na zawsze mi rajskie zamyka ogrody.

W samotności — czy w tłumach —
Jawnie — czy w sennych dumach —
Czyli na miasto pójdę czy na pola,
Gdzie w zbożach kwitnie dola i niedola —
Jakby otchłań bezdenna,
Jak chmura bezpromienna,
Jak hydra sturamienna —
Zmora — ściga mię wszędzie: imię jej — Niewola!

LUCJAN RYDEL.

Urodzony w Krakowie 1868; piękne formą *Poezje* (1899), dramat *Zaczarowane koło* był swego czasu jedną z najgłośniejszych sztuk polskich; osobno też 2 tomy *Utworów dramatycznych* (1902), poemat *Pan Twardowski* (1906).

Psyche.

Ze srebrnych gwiazd na ziemię, pada nocna rosa,
Z ziemi w otchłań szafiru płynie ciche tchnienie
I z kwiatów rozmarzonych woń wieczorną żenie
I z wód lekką mgłę zbiera i niesie w niebiosa.

Na wzgórzu stanął księżyc i patrzy zukosa
Przez aleje cyprysów, co nieporuszenie
Czernieją na tle nocy, jak wysmukłe cienie —
Pod cyprysami błądzi Psyche jasnowłosa.

Idzie lotna niesiona skrzydłami motyla,
Co lśnią od złotych żyłek na perłowej błonce;
W jej ręku płomyk lampy różany migota —

Idzie i nad kwiatami przystaje co chwila:
Może wśród kropel rosy w kielicha obsłonce
Szuka łez, które ludzka wylała tęsknota?...

Parki.

Słońce we krwi umiera. Zapadło w połowie
A jeszcze się ogląda z poza gór łańcucha,
Jeszcze na mętnym niebie rudą łuną bucha,
Lecz dołem noc już idzie na skalne pustkowie.

Wicher w szczelinach targa zioła jakieś wdowie
Jęczy... cichnie i echa własnych jęków słucha,
Jakby trwożny, czy skarga nie doszła do ucha
Zgrzybiałych mar, co siedzą na głazach w parowie...

Wybladłe, siwowłose w pomroce się bielą:
Jedna przędzie zgarbiona nad szarą kądzielą
I nić — kościstą ręką — rzuca drugiej siostrze,

Która ciernie i kwiaty w drżącą przędzę wije.
Trzecia drzemiąc, kołysze naprzód i w tył szyję
I przez sen w wyschłych palcach ściska nożyc ostrze...

Z DRAMATU: **Jeńcy.**

AKT I.

ŚWITYNA.

(żelaznym łańcuchem przykowana za rękę do żaren).

Nie wyzieraj, nie wyzieraj za bronę,
nie najźrysz nic dobrego...

WICHNA

(u brony)

Oczy mi same biegą
za las czarny, za łęgi zielone —
hań wciąż dym rudy wali.

ŚWITYNA

Nie wyzieraj za bronę!
Ognie ino hań w dali,
ino dymy czerwone.

WICHNA

O Śwityno, Śwityno!
dymy rude i bure
płyną, płyną a płyną...
zbiły się w siną chmurę,
zaćmiły złote lica
Słońca Światorodzica!

ŚWITYNA

Wichno, Wichno — dziecino,
nie wyzieraj za bronę!

WICHNA

Biada nam, biada nam
Śwityno!
Przed oczyma ogień mam
i krew!... Tylo krwawych plam!...

ŚWITYNA

O nie patrz! Stamtąd strach
na serce twoje pada
i wid okropnych snów!
Już stoisz cała blada
na jawie, we złych snach
i lęk cię chwyta znów...

WICHNA.

(z krzykiem głośnym i z obłędem w oczach).

Śwityno! Biada, biada!
Uciekaj! Gore, gore!
Strach! Niemce idą! Strach!

ŚWITYNA

Twe serce — Wichno — chore,
płacz, płacz... lęk spłynie w łzach.

WICHNA

(przypada do siostry).

Uciekaj przed zwałą niemiecką!

ŚWITYNA

Przytul się, przytul do mnie,
siestruchno, dziecko!
Ucisz się, pojrz przytomnie!

WICHNA

Na niebie czarne dymy,
na niebie krwawe łuny...
Krzycz! rodziców zbudzimy!
Jadą niemieckie rabuny
od stóp do głowy cali
świcący stalą...
i konie mają w stali...
Na dworzec nasz idą
a biją, a palą...
Oćcze, broń nas, kłuj dzidą!
weź jasny miecz,
weź miecz ze ściany,
a tnij, a siecz,
odżeń ich precz!
O padł, padł krwią zalany!...
Palą dworzyszcze białe,
płomię po ścianach pnie się,
już w ogniu dach!
Świtynko! skryj mnie w lesie!
— Ja serce mam struchlałe...

ŚWITYNA

Cichaj — to płony strach,
to ino z dawnych lat
zwidują ci się mary...

WICHNA

Niemce zażegli świat,
dokoła nas pożary
i dymów zawierucha,
a pod niemieckim mieczem
krew czarnym bluzgiem bucha...
— O! już my nie ucieczem!

ŚWITYNA

Pojechali Niemce, pojechali
na rzeź, aż hen — daleko,
do zaodrzańskich plemion.

WICHNA

Brodzą we krwi do strzemion,
świat się za niemi pali,
ziemia pod niemi stęka...

ŚWITYNA

Lecz to daleko, hen — daleko!
za borem, za odrzańską rzeką,
Daleko! — Słysz, Wichenka!
(potrząsa nią).

WICHNA

(zdrętwiała).

W ziemię wrosły mi nogi
i lęk mi piersi skuł.

ŚWITYNA

Nie tobie na pożogi
płonących patrzeć siół...
To hen—za Odrą, gdzieś daleko,
ty Wichno nie myśl o tym.

WICHNA

(przysiada u kolan siostry).

Oczy mnie pieką, bardzo pieką...
połóż mi dłoń na czole.

ŚWITYNA

Czoło masz zlane zimnym potem...

WICHNA

Coś mnie tak pali pod powieką
coś mnie tak w sercu kole...

ŚWITYNA

Ukoję cię, utulę!
wyżal mi się na niedolę,
męki wypłacz i bole,
lęk swój wypłacz i trwogę —
ukoję cię, utulę.

WICHNA

Siestro — płakać nie mogę...

ŚWITYNA

Wstań, siestruś moja, wstań,
ja Wichenkę niebogę
utulę i ukoję.

WICHNA

Mam płaczu pełną krtań
i duszę się od łkań...
— O serce, serce moje!
Od łez się dławię,
żalem się krwawię,
a płakać nie mam sił.

ŚWITYNA

Toć ja przy tobie stoję,
utulę cię, ukoję...
O cisz się, cisz — kochana,
zły majak ci się śnił...

(Wichna patrzy na siostrę, potym płakać zaczyna gorąco).

WICHNA

(przez łzy).

Tyś od samego rana
łańcuchem przykowana,
musisz obracać żarna,
łańcuch się w ciało wpił —
hej dolo, dolo, dolo!
hej dolo nasza czarna!

ŚWITYNA

Pognali nas w niewolę
na łzy, na znój, na głód,
żałują chleba z solą,
rzemieniem krwawią ciało...
Oj nie tak, nie tak wprzód
u matki nam bywało —
hej dolo nasza, dolo!

WICHNA

Pognali nas, pognali
na mękę dniem i nocą,
na żałość, na sierocą...
Ani się kto użali,
ni dobre słowo powie —
hej dolo, gorzka dolo!

ŚWITYNA

I kiedyż nas bogowie
Z niewoli tej uzwolą?!
Hej dolo, ty macocho,
Ty opłakana dolo!

WICHNA

A któż tam radli sochą
oćcową naszę rolę
gdy ociec w ziemi leży?
A któż tam u wieczerzy
krząta się w izbie białej,
kto w ogniu wianki święci —
gdy nie masz już macierzy?!

ŚWITYNA

Ich kości już zbielały,
nie ostał ino cień —

WICHNA

Wciąż pomnę ich... wyrznięci!
wybici... wszyscy w pień!

ŚWITYNA

(palec kładąc jej na ustach).

O nie mów, serce krwawi.

WICHNA

Ja pomnę ich, Śwityno.

ŚWITYNA

Smętne duchy w on dzień
ustoma wyszły z ciał
i nad chmurami płyną,
jako łańcuch żórawi,
co się w powietrzu pławi —
a Światowid im dał
kraj żywny, kraj nowy!

WICHNA

Tam Niemców niema?

ŚWITYNA

Niema!
Tam się cięgiem zielenią dąbrowy,
tam z łukiem, z pękiem strzał
duchy idą na łowy,
a Światowid na przedzie,
— bóg z twarzami czterema,
na siwym koniu jedzie...

WICHNA

Tam Niemców niema?

ŚWITYNA

Niema!
Tam zawdy gotowy
Stoi stół godowy
i złocistą rzeką
słodkie miody cieką,
tam urodne dziewki
na łąkach płótno bielą,
— haj! cieniusieńkie płótno!
i wyciągają śpiewki
to wesoło, to smutno...
W złotym sadzie z kądzielą
siedzą tam białegłowy,
długie wiodą rozmowy
i wiecznie się weselą,
a naśród nich — Marzana,
bogina zadumana

siedzi milcząca, niema,
między córkami dwiema
i włos im czese płowy...
To kraj Dziw-Cud! Kraj nowy!

WICHNA

Tam Niemców niema?

ŚWITYNA

Niema!

WICHNA

Mów, zali my tam pójdziemy
na łąkę, hen — do Marzany,
do tej milczącej, do niemej,
do białej, do zadumanej?
w kraj nowy? w kraj Dziw-Cud?
O, mów, Śwityno — mów!

ŚWITYNA

Kto idzie tam, ten musi wprzód
zmartwieć od stóp do głów
i zgorzeć na stosie,
aż duch uleci zeń w dymie
na wschód! ku słońcu! na wschód!
I pójdzie po łzawej rosie
przez dolinę wiecznych snów,
gdzie nawet wicher drzymie...
a potym zasię przejdzie wbród
przez siedem cichych wód
i musi przejść przez siedem gór,
nad morze, nad olbrzymie —
tam w głębiach Wodnic chór
zawodzi jego imię;
czeka tam stary Nija,
przewójca dusz skrzydlaty,
we skrzydła go zawija,
we skrzydła z orlich piór
i niesie go w zaświaty
po moście z jasnej tęczy
a morze w dole jęczy
a w piany się rozbija...
Na ostrów pośród słonych wód
niesie go stary Nija,
a gdy go stawi na ostrowie,
przychodzą witać go przodkowie,

przychodzi cały ród...
i wieniec kładą mu na głowie
i miodem piją jego zdrowie
bo wstąpił w Kraj Dziw-Cud!

WICHNA

Tam bracia przydą? ociec? macierz?!

GERTA

(wybiega z dworca)

Pogwarki? znów pogwarki?!
a rzemień ten mój znacież,
pogańskie wy mitręgi?
Zgoiły wam się karki?
już zeszły sine pręgi?
Nie chcecie ziarna mleć!
nie chcecie rąbać drew!
— Mam darmo dać wam żreć?!
...A cięgi! cięgi! cięgi!
aż z ramion tryśnie krew...

(przykutą do żaren Świtynę chwyciła za warkocz i bije rzemiennym pasem; Wichna rzuca się między Gertę a siostrę... W dali trąby grzmią odległym głosem, odpowiadają im surmacze nad bramą).

GERTA

(na odgłos trąb przestaje katować Świtynę).

Wracają... Nuże! żywo!
w skok biegaj na podsienie,
pal ogień, warz mięsiwo...
(do Wichny)
Noś wodę do kąpieli,
pogańskie, psie nasienie.
(do nieruchomej Śwityny).
Jeszcze tu stoisz, kłodo?!

ŚWITYNA

(spokojnie na swój łańcuch wskazuje)
Trza — łańcuch byście zjęli...

GERTA

(łańcuch zdejmuje z gniewem).
Milczeć, słowiańskie szczenię!
(do Wichny dźwigającej wodę ze studni).
Ty kukło! Raźniej z wodą!
(wynosi z dworca dzban piwa i stawia u podsienia).

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI.

Urodzony 6 maja 1868 r. w Łojewie koło Innowrocławia na Kujawach. Studja uniwersyteckie odbywał w Berlinie; w r. 1898—9 redagował w Krakowie tygodnik *Życie*, który upamiętnił się w dziejach literatury polskiej; i zaczął pisać dla sceny polskiej. Utwory rapsodyczne i powieści: *Homo sapiens* (trylogja), *Wigilja*, *Nad morzem*, *Synowie ziemi;* z teorji sztuki: *Na drogach duszy* (1900); dramaty: *Dla szczęścia*, *Złote runo*, *Goście*, *Matka*, *Śnieg*, *Śluby*, *Odwieczna baśń* (1907).

O Przybyszewskim istnieje cała literatura. Najobjektywniejsze: Studjum J. Żuławskiego (w zbiorze: *Prolegomena)*, W. Pressera.

Szopen.

(Impromptu).

Leżał rozpostarty na gwiazdach w ciężkiej zadumie, bo nadeszła straszna chwila, w której nieznana ręka nieznanego Boga rozkazała mu zejść na ziemię i stać się ciałem.

Wszystkie światy toczyły w szalonych pędach olbrzymie kręgi wokół niego. A przed oczyma jego przelatywały ogromne globy, czerwone jak rozpalone żelazo, zielone i lśniące, jak łuski jadowitych wężów; światy zamarłe, pokryte wiecznym śniegiem, pełne otchłannych przepaści i iglastych grzbietów potwornych skał, światy kwieciem umajone, gdyby dziewicze raje, to znowu światy w ogniem i lawą wrzących odmętach poczęcia; w olbrzymich łukach pryskały przez niebo spadające gwiazdy i tonęły w oceanach, ale obojętne przesuwały się jego oczy przez wszystkie te niebieskie dziwy.

On śnił—śnił i patrzał w dół na biedną ziemię, uświęconą, zbrukaną, w bólu zastygłą, rozpustą szarpaną, och, na tę ziemię, przesiąkłą krwią, kościami wszelkiego stworzenia obsianą.

Ofiarną falą przewijały się wśród wszystkich gwiazd ku niemu rozpaczne jęki — pożarną łuną krwawiło się nad ziemią cierpienie i skowyt bólu; gdyby strumienie płomiennej lawy, buchały piorunne krzyki błagalnych modlitw i strasznych przekleństw, a on patrzał na tę biedną rozszalałą ziemię, chłonął jej krzyki i przekleństwa, krwawił się jej cierpieniem, a dreszczem bólu przebiegał przez niego jej szał.

* * *

Kto nietylko uchem chwyta dźwięki zdania i ich wiązania, ale duszą wsiąknie w muzykę Szopena, a uprzytomni sobie charakter naszej ziemi:

Daleki obszar ugorów, pusty, szeroki, jak jęki rozkołysanych dzwonów; morze piasku, porosłe niebieskiemi odłogami łubinu, ogromne pastwiska, spowite w senną ciszę upieką południa; tu i owdzie szkli się biały piasek rzeczki, a nad nią obwisły w ciężkiej zadumie wyschłe gałęzie nawpół spróchniałej wierzby; tu i owdzie małe wysepki żółtego kwiecia dziewanny lub rozłożyste kępy błękitnej cykorji.

To znowu równina, jak daleko oko sięga, pokrajana w szmaty jęczmienia, w krwawe zagony ciężkich jak bicz kłosów pszenicznych, w rozkwiecone białe pola tatarki; tu i owdzie mały staw, porosły sitowiem i trzciną, lub przy drogach rów głęboki, obsadzony srebrnemi topolami.

I w każdej porze roku zmienia się ziemia, ale ton zadumy, bezmiernej tęsknoty, jakiegoś roztkliwienia i żalu zawsze pozostaje ten sam.

Nic smutniejszego nad nasz podzimek, kiedy dniami całemi jęczy deszcz na szybach, roztapia ziemię, a w nocach rwie się wiatr, co upiornie wyje wśród nagich gałęzi lip i jaworów.

A jaka niewypowiedziana tęsknota wzbiera się w sercu, kiedy księżyc w nocach jesiennych spowija nasze ścierniska i puste ugory w jakieś tajemnicze czary, kiedy na bólem stężałych polach osiadł złamany wiatr i z cichym poświstem przewłóczy się wśród pożółkłej trawy, a wraz biją o siebie smutnym dźwiękiem ostatnie metaliczne liście srebrnych topoli.

A nawet wtedy, kiedy cała ziemia rozpasana szałem twórczym, dumna swym kwitnącym przepychem, zda się wykrzykiwać radosne hejnały, nawet wtedy otula duszę ciemne skrzydło smutku.

Bo kiedy cała przestrzeń zwolna się kurczy, zwęża, cała rozkosz barw w pomroku się stapia, albo kiedy w uparne południe niedzieli, łany pól się słaniają i w parnej gorączce pokładają się w zbolałych pokosach, wtedy wyłaniają się z duszy dziwne przeczucia, jakiś niepokój i smutek, nie wiadomo dlaczego, — tęsknota, nie wiadomo za czym.

W tym tkwi pojęcie, z jakim się u ludów słowiańskich związała postać Marzanny, bogini śmierci i życia, miłości i rozrodu, a jeszcze silniej usymbolizował lud Wendów upiorną godzinę południa w swej Południcy, co skrycie nachodzi spoczywających żniwiarzy i w wieczny sen ich spowija.

A przed oczyma tego, co nie uchem, ale duszą swą pije niespożyte czary muzyki Szopena, roztaczają się w nieskończonych korowodach obrazy i wizje:

Nasz chłop z całym swoim fatalizmem i swoją pokorą, czy to kiedy w tępej rezygnacji słania się nad trumną ostatniego dziecka, roztwiera ramiona i mówi: Bóg dał, Bóg wziął!—albo czy też kiedy z niewzruszoną pogardą śmierci wystawia się na największe niebezpieczeństwo — nasz chłop z całą swoją butą i beztroską, co dalej będzie, czy to kiedy do upadłego tańczy w karczmie i cały krwawo zapracowany zarobek przepija, lub też rzuca się z szpadlem lub widłami na swego ekonoma — nasz chłop z całym swoim pierwotnym mistycyzmem religijnym, czy to kiedy godzinami całemi leży na krzyż na zimnych płytach wilgotnych kościołów i błaga Boga o przebaczenie, lub też na kolanach czołga się w błocie do świętych miejsc pielgrzymki.

I w nieskończonych obrazach przesuwa się przed oczyma życie tego ludu, jego wesela, chrzciny i pogrzeby; słychać łkanie skrzypiec i dudnienie basów, miarowe a piskliwe wykrzyki: hej nasza! — to znowu żałobne szlochy; widać szerokie, faliste kręgi tancerzy, co z kieliszkiem na głowie tańczą, a ani kropli z niego nie uronią, to znowu tupanie, podrygi i podskoki, że aż ziemia w karczmie lub na sklepiskach dudni.

W ziemi i w ludzie tkwi najgłówniejszy rdzeń twórczości Szopena.

Ziemia, jej bezbrzeżna tęsknota, jej zaduma i smutek narysowała i wyciągnęła linje, w jakich się jego uczucie potężną falą przewalać musiało, a lud dał mu pierwsze wprawdzie, niezmiernie pierwotne, ale zasadnicze formy, w jakich już od wieków tę tęsknotę, ten smutek i tę zadumę odtworzył.

Tęsknota.

Wokół Twej głowy wieniec zwiędłych kwiatów, gdyby korona czarnych słońc, a twe oblicze płonie żałobą zastygłych gwiazd.

U nóg Twych kona burza mego żywota, gasnącą falą oblewa Twe stopy chory płód mej duszy.

Szaremi skrzydły okrąża Cię obłęd mych ciemnych przeznaczeń—kolebko Ty moja, grobie Ty mój!

Z czarnych mgławic mego początku wyrosłaś w chmurne nieb stropy, w słabej muszli perłowej mego bytu płyniesz

w głuche bezkresy, Ty bolesna piękności, coś jest ponad wszechpięknością.

Tęsknoto Ty!

I czemu stałaś mi się grobem, czemuż płonące Twe pienia, któremi innych zwiesz w niepojęte krainy piękna, kraczą w mej duszy. Złowrogie wróżby, a czerwone pochodnie, które innym stawiasz po drodze ku wzgórzu szczęścia, czemuż gromniczną żałobą obstawiły mi łoże?

Byłaś mej braci słowem Boga, co z Niczego światy wyrzuca, byłaś jej żebrem Adama, co święte cuda w sobie nosi, byłaś jej wiecznością i bezgraniczem potęgi — tylko w moją głowę wwierciłaś suche kolce cierniowego wieńca.

Ty bolesna piękności — coś jest ponad wszechpięknością.

Tęsknoto Ty!

A przecież stało napisane, że moja dusza syta Twej boskiej siły, odrodzi od nowa w nowej potędze i piękności świat cały i wszechstworzenie.

— Bo i jemu i mnie dany ten sam początek.

Stało napisane, że dusza moja będzie mocą Twojej wszechmocy, powietrzem, które wszechstworzenie nową rozkoszą upoi, obejmie wszechświaty, porozrywa pieczęcie ich tajemnic, a nad gwiazdami od jednej do drugiej rozpostrze się gdyby płaszcz królewski, a na nim spocznie Twój święty majestat odkupienia.

I jeszcze stało napisane, że oddasz się w moc moją, dasz się ująć ślubną obręczą mego słowa, rozświetlisz mi dźwięki, co z pod mych rąk wypłyną, w słoneczne dale mych pól rodzinnych, roztętnisz barwy moje tą siłą i życiem, jakim drga wiosna w wiecznych porodach.

Z poza ciemnych gór miałaś wzejść krwawym słońcem nad Twym nowym królestwem i nigdy już nie zapadać, bo w nowym Twym królestwie słońce nie zapada.

Moją męką, moją Gehenną miałaś się odkupić na nową przyszłość, na Nowy Zakon.

A otóż patrz? Tu króluję, jak Pan Zastępów, Ja, Twoje odkupienie i piekło Twoje!

Patrz! Majestat mój opanował wszechbyty. Ja, Twoje ostatnie słowo, co nieskończoną i przepotężną ręką pisze w ciemnościach przyszłości czyn z Boga urodzony, czyn Nowego Testamentu, czyn rozerwania wszelkich pieczęci.

Tu siedzę na mym tronie i myślę, czymby Cię odkupić można.

A teraz widzę Cię!

Wokół Twej głowy wieniec tysiąca nagich błyskawic, burze lat tysiąca rozszarpały Twoje włosy i cała wieczność szczęścia i rozpaczy ludzkiej rozpasała się w Tobie. Płyniesz

na tęczach rozszalałych mocy, a wola Twa gdyby otchłań kipiących sił.

O daj mi akord, coby objął Twoją moc. Daj mi to wszechmocne słowo, daj mi to: Stań się! pierwszego dnia coby Cię wypowiedzieć mogło.

Ten akord, to słowo, co światy z ich torów postrąca, akord co się jednym olbrzymim słońcem, jedną olbrzymią pożogą słońca od jednego krańca do drugiego na niebie rozleje — och akord ten! och słowo to!

Silniej, bliżej, straszniej! Ha! Kto zna to słowo, kto zna ten akord?

Ja znam tę pieśń, Ja syn Twej burzy, Ja syn Twojej rozpaczy, Twoich wiecznych obłędów!

Daj mi tę nową pieśń — silniej, bliżej! Bliżej jeszcze!

Rozlej się na światów przestworza strugami krzyczących błyskawic, rozszalej się orkanem, co góry piasku pod niebo rzuca, rozpioruń się grozą Jehowy, gdy ze Synai swe gromy ciskał: Jam jest Pan Bóg Twój!

Już słyszę wściekłą wichrzycę skrzydeł tej pieśni, już kłębi się orkan jej mocy w moich żyłach, już prężę się, rosnę, wybiegam głową w niebo, już pękają fale, już przebłysk bezgranic, już oddech wieczności, już...

Daremnie! Zanikło!

Jak robak toczyłaś mój tron królewski, toczyłaś bezustannie, toczyłaś, aż chwiać się począł, zadygotała na mej głowie królewska korona, a razem z mym tronem Cezarów runąłem na ziemię: strzępy i łachmany, to moja purpura...

Z zimnym blaskiem zagasłych słońc więdnieje Twe oblicze, na Twej głowie wieniec zwiędłych kwiatów, a w słabej muszli perłowej mej niemocy płyniesz w ciemną dal wiecznych cieni i bez siły, Ty straszna piękności, coś jest nad wszechpięknością.

Tęsknoto Ty!

Goście.

Epilog dramatyczny w jednym akcie.

OSOBY:

ADAM.
BELA, jego żona.
POLA, jego siostra.
GOŚĆ.
NIEZNAJOMY.
STARZEC PIERWSZY.
STARZEC DRUGI.
WODZIREJ.
GOŚCIE.

W pałacu przygrywa muzyka Danse macabre Saint-Saënsa.

Park. Noc księżycowa. W dali rzęsiście oświetlony pałac. Po parku przesuwają się z uśmiechem i gwarem pary ludzi — wchodzą do pałacu, to znowu wychodzą. Na scenę wchodzi dwuch starców, siadają na ławie.

SCENA I.

STARZEC I. STARZEC II.

STARZEC I. Jak się to wszystko zmienia na świecie. Pamiętam ten pałac, kiedy jeszcze żył stary hrabia. Panie, jakie tu serdeczne, a wesołe były bale... Ale odkąd go ci nowi przybysze kupili — wszystko się zmieniło. Mnie tu coś ciągnie, taki jakiś stary nałóg, ale mi tu już niemiło.

STARZEC II. Skąd oni się tu wzięli?

STARZEC I. Niewiadomo. Spadkobiercy hrabiego właśnie pałac wystawili na licytację — oni przyjechali — Bóg wie skąd, no — i kupili...

STARZEC II. W pałacu ukrywa się jakaś tajemnica.

STARZEC I *(zamyślony)*. Jak tu było wesoło! Pamiętam, jak się przed trzydziestu laty tu bawiłem — och, to inny był dom, jak teraz — inny, inny...

STARZEC II. Bo było w nim czyste sumienie i szczęście i spokój.

STARZEC I. A teraz?

STARZEC II. Tam jakaś tajemnica na dnie się ukrywa. Jakaś straszna tajemnica. Mnie nie oszukają pozory, ani te ciągłe bale, ani ta sztuczna wesołość.

STARZEC I. Co się tam na dnie kryć może? Jaka tajemnicza zbrodnia? Co?

STARZEC II. *(Bo ja wiem).* Zbrodnia — hm — wszystko jest zbrodnią — człowiek na to stworzony, by płodził zbrodnię.

STARZEC I. Tak, tak, wszystko może być zbrodnią.

STARZEC II. Życie samo, bo żyjesz kosztem innego.

STARZEC I *(zamyślony).* Ożenisz się z kobietą, o której nie wiesz, czy cię kocha...

STARZEC II. Przyjdzie na świat dziecko, którego wychować nie możesz...

STARZEC I. Udusisz wstrętnego skąpca, którego pieniędzmi mógłbyś świat cały uszczęśliwić...

STARZEC II. Przekroczysz prawo, które samo może być zbrodniczym...

STARZEC I. Tak to wszystko może być zbrodnią...

Po chwili.

STARZEC II. Nie winmy ludzi — oni na to stworzeni, by zbrodnie płodzić, a wszystko może być zbrodnią... Ach, ludzie tacy biedni, tacy biedni...

STARZEC I. I oni, ci nowi przybysze, zdają się być weseli, a taki dziwny lęk wyziera im z oczu...

STARZEC II. Ha, bo dziwni, dziwni goście zapełnili ich dom. Zwłaszcza ten jeden, co krok w krok wlecze się za Adamem: gdzie Adam się ruszy, jest przy nim — taki cień nieoderwany...

STARZEC I. Jakoś mi strasznie niemiło. To jest, jak gdyby jakieś nieszczęście zawisło nad tym domem.

Chwila milczenia.

STARZEC II. Tylko nie winmy ludzi. Ludzie czasami bardzo biedni,— a może nawet żadnej zbrodni nie popełnili. Natura dziwnie bywa czasem złośliwą. Karze za grzechy, które sama w serce człowieka wszczepiła.

STARZEC I. Tak, tak. Dziwnie się mści chwila szału i szczęścia...

STARZEC II. Czasami człowiek nie wie, że zbrodnię spełnił... Nagle w sercu powstaje mała ranka — rozrasta się w straszliwy sposób — człowiek nagle przejrzy, ale wtedy dopiero, jak go już obłęd chwyta... I to czasami nawet w chwili szczęścia jakieś nagłe wspomnienie — słaby jakiś wyrzut — z tym jednym wyrzutem kojarzą się tysiące — coraz silniejsze, coraz cięższe — rozpoczynają się poszukiwania, dochodzenia... najdrobniejszy szczegół, najmniejsza krzywda wyrasta do po-

twornych rozmiarów — i, ot, dom napełnia ci się dziwnemi gośćmi.

STARZEC I. Tak, tak, to ta tajemniczo ukryta sprawiedliwość wewnętrznego porządku rzeczy...

STARZEC II. Tego ludzie nie wytworzyli — oni znają tylko karę, a sprawiedliwość serce samo wymierza...

STARZEC I. Serce... he, he — za swoje własne złe podszepty i uwodzenia...

STARZEC II *(śmieje się cicho).* Tak, tak, tak...

Z pałacu dochodzi muzyka—pary się zbierają, wszystko gromadzi się tłumnie na werandzie pałacu.

WODZIREJ *(klaszcze w ręce).* Panowie i panie, taniec się rozpoczyna!

STARZEC I *(do drugiego).* Chodźmy i my, niech sobie przypomnę te piękne czasy, kiedy tu było tak dobrze i wesoło...

STARZEC II. I dobre sumienie... *(wychodzą).*

SCENA II.

Z werandy pałacu schodzi Adam, głęboko zadumany, stoi chwilkę, potrząsa głową.

ADAM *(po chwili).* Straszny gość zagnieździł się w tym domu... *(zamyślony)* straszny, straszny...

POLA *(schodzi z werandy, podchodzi ku Adamowi, bierze go za rękę).* Adam! Adam! Mój biedny bracie — ja muszę opuścić twój dom.

ADAM *(przerażony).* Co? co? Ty chcesz opuścić mój dom?

POLA. Tu niema miejsca dla mnie — twój gość mnie wypiera...

ADAM. Co, miejsca niema? Dla ciebie niema miejsca? No, to ci zbuduję nowe pałace, marmurowe — z kryształu, jeżeli zechcesz, z czerwonego porfiru, zielonego syenitu — miasta ci całe zbuduję—całe miasta — świat cały ci zabuduję — tylko zostań, zostań...

POLA. Och, gdybyś ziemię całą dla mnie zabudował, to jeszcze nie będę miała miejsca. Twój gość zewsząd mnie wyprze... Już ja ci się teraz na nic nie przydam... Ten dom twój, to dom nieszczęścia, lęku—dom złego sumienia...

ADAM. Pola!

POLA. Nic, nic — stało się coś strasznego w tym domu; ja ci się pytać nie chcę, nie chcę nicować twej duszy — o Boże, żeś ty musiał wejść w ten dom! I co cię tu sprowadziło do tego domu?

ADAM. Miłość.

POLA. A spełniłeś zbrodnię...

ADAM. Co? co?

POLA *(z cichym uśmiechem).* Ja już wszystko przeczułam i przeklinam ten dom, który duszę twą zabił.

Chwila milczenia.

POLA. Tak! na nic ci się już nie zdam. Adam, pomnisz to nasze wielkie szczęście, to spokojne, ciche szczęście, zaczym wszedłeś w ten dom? Raz na skałach na brzegu oceanu? Morze tak gładkie i miękkie, jak dłoń ukochanej kobiety; jakaś zaświatowa melodja zmroków i gasnącej purpury na niebie wypełniała świat cały — i ocean znikł i świat cały spłynął nam z oczu...

ADAM *(nagle).* Och, jaki ja byłem wtedy szczęśliwy!

POLA. A pamiętasz, przed rokiem jeszcze, zaczym wszedłeś w ten nieszczęsny dom, pamiętasz te białe noce nad morzem Północy? Słońce, co właśnie zaszło, skryło się na chwilę za morze — już, już znowu powstać miało — w wielki ogromny majestat purpury, co niebo obciągnął, wcinały się długie, złote gońce światła, co białym żarem za chwilę świat zalać miało. Pomnisz, z jakim szczęściem chłonąłeś te dziwne czary?

ADAM. Pomnę! Zbyt dobrze pomnę — może, gdybym to wszystko zapomniał...

POLA. To co?

ADAM. Możebym się wtedy pozbył tego strasznego gościa.

Milczenie.

POLA. Gdzieś ty go spotkał?

ADAM. Gdzie, gdzie? Ha! na drodze życia, droga siostro. Wtedy, jak mi się noga poślizgnęła, jak bez myśli i bez pamięci rzuciłem się na oślep — w to, to... nieszczęście—ha, ha... miało ono być szczęściem... Każdy człowiek, któremu się noga poślizgnie... wiesz, dostaje w dom takich gości...

POLA. Adam! Coś ty zrobił?

ADAM *(patrzy na nią z cichym uśmiechem — wymijająco).* Gdzie go spotkałem? Ot, widzisz przyczepił się do mnie po raz pierwszy w wielkim mieście. Idę późną nocą do hotelu, a droga wypadała przez ciemny i dziwnie ponury park. I nagle, jakby z pod ziemi wyrósł, stanął człowiek przede mną i spojrzał na mnie wzrokiem, ale to takim wzrokiem, który całe ciało wypełnia, rozpiera je, zimnym dreszczem plecy, piersi zbiega. Drżałem, trząsłem się, ale oczy nasze się splotły, oderwać ich nie mogłem, zlepiły się z sobą.. On powiedział tylko: odtąd pozostaniemy razem. Przez całe życie pozostaniemy razem.

POLA. Jakąś ty zbrodnię popełnił, Adam?

ADAM. Istnieje jakiś człowiek, któryby zbrodni nie popełnił? Jakiejś, choćby małej zbrodni? Co to znaczy, duża, mała zbrodnia? Największa może mieć tak małe skutki, że staje się małą i naodwrót... A czy ty nie masz czasem lęku i trwogi, żeś może nieświadomie spełniła jaką zbrodnię, taką, o której może nawet nie wiesz? Nie czujesz lęku i trwogi?

POLA. Nie na tyle, bym sama przed sobą uciekać musiała.

ADAM. Szczęśliwa!

POLA. Widzisz moje życie ciche, spokojne, zrównoważone.

ADAM. Zrównoważone... tak — jak było jeszcze przed rokiem nasze wspólne życie.

POLA. Przed rokiem.

ADAM. I jesteś szczęśliwa z mężem?

POLA. Spokojna, spokojna. A to już szczęściem... *(zamyślona).* I czemuś tego — takiego gościa wprowadził do swego domu?

ADAM. Musiałem, musiałem! A powiedz mi, czy jest jakiś dom, w którymby taki pan nie gościł?

POLA. Straszne, straszne! *(po chwili wskazuje na pałac, skąd coraz głośniejszy dochodzi oddźwięk muzyki).* A to cię nie ogłusza?

ADAM. Nic, nic — chwilami pragnę się oszołomić, ale gość mój nie pozwala mi zapomnieć — to, to *(wskazuje na pałac)* to dla niej, dla mej żony: kobietę to ogłuszy, ale mnie — nie...

POLA. Adam ja muszę cię opuścić, taki dom to jak zaraza... Zarazek nieszczęścia przyczepi się do sukni i wniosę go w mój dom.

ADAM. Tak, idź, idź — ale z tobą znika dla mnie reszta spokoju, ukojenia, *(nagle z rozpaczą).* Och móc zapomnieć, móc zapomnieć!

POLA *(opadła, głucho).* Móc zapomnieć... *(po chwili).* A nie mógłbyś opuścić tego domu?

ADAM. I dokąd ucieknę? Przed sobą uciec? Nie można!

SCENA III.

Z werandy schodzi Bela.

BELA. Adam! Adam!

ADAM. Co? Tu jestem!

BELA *(podchodzi).* Jesteś niedobry. Czemu gości spraszasz, jeżeli wciąż uciekasz? Co chwilę trzeba cię szukać po

wszystkich kątach *(rozdrażniona)*, a dziwnych, dziwnych gości sprosiłeś.

ADAM *(zamyślony)*. Tak, straszni goście gnieżdżą się w naszym domu.

BELA. Czemuś ich sprosił?

ADAM *(znacząco)*. Myśmy ich przecież oboje, tak, o b o j e w dom sprowadzili.

BELA. Co? Oboje? Co?

ADAM. Nic, nic — tylko Pola mi mówi, że odjeżdża do domu.

BELA. Co? Odjeżdżasz do domu? Adam zatrzymaj jąl co z nami będzie? — Polu zmiłuj się, czy wiesz jaką ty pustkę pozostawiasz?

POLA. Wiem niestety, ale muszę już jechać, muszę — tu, tu w waszym domu mi niedobrze, a u mnie tak cicho, tak smutno, ale spokój, spokój...

SCENA IV.

Wchodzi Gość niespodzianie.

GOŚĆ *(uprzejmie)*. Ależ państwo, goście was szukają... Chcą twoje zdrowie pić, Adamie, cóż ty taki nieswój — a pani jakaś przygnębiona.

ADAM *(nerwowo do Beli)*. Idźcie do sali, powiedzcie, że zaraz przyjdę. Głowa mnie boli, chwilę jeszcze pochodzę po parku...

POLA *(nieprzyjaźnie do Gościa)*. To zostawmy go tu chwilę samego — chodź pan...

GOŚĆ *(uprzejmie)*. O nie, ja z nim pogadam, ja go zwykle uspakajam.

BELA. Chodź Pola, choć — słyszysz? Taniec, taniec.... *(odchodzą)*.

SCENA V.

ADAM i GOŚĆ.

ADAM *(patrzy nienawistnie na gościa)*. No i cóż? Na krok mnie nie odstąpisz? nie dasz mi chwili spokoju?

GOŚĆ. Wiesz, żem nieodstępnym twoim towarzyszem. Pamiętasz tę noc w ciemnym parku? — Wtedy ci już powiedziałem, że odtąd pozostaniemy razem. To niemiła rzecz, ale już muszę pozostać przy tobie. To takie moje przeznaczenie. — Widzisz, jam twój cień. Co?

ADAM *(opada)*. I nigdy mnie nie opuścisz?

GOŚĆ. Nigdy.

ADAM *(z mocą)*. A gdy cię z serca wyrzucę, gdy znajdę tylo siły i odwagi, by się zamknąć dla ciebie, gdy się stanę tak mocny i powiem ci precz! gdy znajdę kogoś lub cośkolwiek, co mą duszę wypełni, że będziesz się musiał od mych stóp oderwać, że będziesz musiał umilknąć...

GOŚĆ. Hm, kto inny możeby umiał to zrobić. — Ty nie!

ADAM. A jeżeli rozum mój zyska taką przewagę, że powiem sobie, iż to, co zrobiłem, zrobić musiałem—że była tylko ta jedyna droga?...

GOŚĆ. Do szczęścia?

ADAM. Wszystko jedno, w przepaść, w otchłań, w rozpacz, ale że tak się stać musiało.

GOŚĆ. Rozum dziwnie nierozumny w takich razach...

ADAM. Ale, jeżeli zdołam to zrobić?

GOŚĆ. Wtedy cień mój za ścianę rzucę. Roztoczy nad tobą straszne skrzydła — gdzie się ruszysz te czarne, upiorne skrzydła — nie! straszne ręce, rozczapierzone, groźne palce, gdyby szpony szatana, co już, już cię pochwycić mają — gdzie się ruszysz, będziesz zawsze widział te straszne, czyhające, podstępne szpony—teraz jeszcze ramiona rozwarte, przyczajone, ot — tak, jak pantera do skoku: jedna sekunda, a obejmą cię piekielnym uściskiem, coraz silniej cię dusić będą, coraz silniej...

ADAM. Aż, aż?

GOŚĆ. Aż uduszą *(śmieje się)*. I jesteś mój, mój, mój!

ADAM *(zrywa się)*. A dlaczego ja twój?

GOŚĆ *(śmieje mu się w oczy)*. Ach, jak ty pragniesz to zamilczyć, zdusić w swoim sercu—czemu się pytasz, dlaczegoś ty mój? Wiesz przecież sam najlepiej.

ADAM. A jeżeli te ręce nigdy się od ściany nie oderwą?

GOŚĆ. Hm, jeszcze gorzej. Zresztą mówiłem ramiona, ramiona, zda się przyczajone do skoku, jak pantera—Ha, ha... Te ramiona ci się rzeczywiście przeistoczą zwolna w takie drapieżne, szatańskie zwierzę — będziesz je miał ustawicznie przed oczyma — i co chwilę czujesz, że to drapieżne zwierzę skacze na ciebie, przedniemi łapami obejmuje twoją szyję, tylnemi wpija się w twoje biodra, a cały pysk wżarty w twoją pierś: rozrywa ją, szarpie w kawały, gruchocze żebra, dogryza się do serca — ha, ha, ha — wyrywa serce, takie biedne serce, krwią ociekające...

ADAM. Dosyć już, dosyć...

GOŚĆ. Wiesz, w starym Mexico u Azteków był zwyczaj, że ofiarowywano serce, świeżo wycięte z piersi człowieka, matce — słońcu.

ADAM. A to słońce, któremu moje serce ma być ofiarowane?

GOŚĆ. Sprawiedliwość.

ADAM. Ludzka?

GOŚĆ. Niema ani ludzkiej, ani boskiej. Jest jeden porządek rzeczy, że tak być musi, a nie inaczej — kto go przełamie, serce jego na śmierć skazane...

ADAM. Nieubłagany jesteś?

GOŚĆ. Jestem strasznym gościem—co? Strasznym gościem...

Dolatuje coraz silniejszy oddźwięk muzyki.

ADAM. Och tą muzyka, ta przeklęta muzyka.

GOŚĆ. Nie zagłusza cię? Nie oszołomi cię? Spróbuj, spróbuj — tańcz, upij się, odurz się rozkoszą, tańcem, muzyką... Czemuż uciekasz przed tym wszystkim? Czemu się chowasz ustawicznie w parku, że cię odnaleźć trudno.

ADAM. Nie mogę słuchać muzyki. Nie mogę patrzeć na taniec! Gryzie — gryzie — gryzie. Och te cienie, te uśpione cienie na ścianie. Zawsze je widziałem, zawsze mnie straszyły. Każdy przedmiot wyrastał w to zwierzę, co kłami swemi serce mi wyrywało, szarpało, gryzło...

GOŚĆ. Ha, ha, ha... *(nachyla mu się do ucha).* Gryzie? he? gryzie?

ADAM *(milczy stępiały).*

GOŚĆ. Ha, ha, — takie szczury, co? szczury? To tak wgryzuje się drobnemi, cieniutkiemi ząbkami i szarpie i wcina, i wgryza się — albo co? Jak kret, to tak temi małemi łapkami tą twardą opokę, taką spiekłą ziemię — taką stwardłą skorupę—zdawało się, że to kamień—to wiesz, temi małemi łapkami tak tę ziemię rozluźnia, wgrzebuje się powoli, powoluteńku ale głębiej i głębiej z taką wściekłą zapalczywością. Potym już kreta nie widać, tylko kupka — ach nie! mogiłka ziemi rośnie — rośnie coraz wyżej, im głębiej się kret wgrzebie—a naraz mogiła usypana; nie rośnie już więcej...

ADAM. To znaczy?

GOŚĆ. Kret zrobił swoje

ADAM. I ta mogiła?

GOŚĆ. Na rozstajnych drogach.

ADAM. Dla zbrodniarzy? Co?

GOŚĆ. Lub dla samobójcy — ha, ha... żeś też o tym nie pomyślał... Tymbyś się ode mnie wyzwolił... — A przecież to tak łatwo. My zbyt na serjo bierzemy śmierć... I to tak delikatnie urządzić można, bez rozgłosu, bez ludzkiego gadania. Chcesz uniknąć jakichś przykrych rzeczy, nie chcesz, by o tym

mówiono — i na to rada jest: tuż za parkiem jezioro, wyjeżdżasz łódką na wodę, nadchodzi nagła burza, albo też łódka zmurszała, no! i toniesz... Nieszczęśliwy wypadek! Pogrzebią w święconej ziemi — he, he... albo też wracasz z polowania: masz strzelbę źle przewieszoną, potrącisz o drzwi — lufa wypali — no! i znowu przypadek... albo idziesz w góry, ot! to najpewniejsze, noga ci się na mchach obślizgnie, albo się kamień obsunie... a to podobno przyjemna śmierć: lecisz, lecisz; w jednej sekundzie przeżywasz najpiękniejsze chwile twego życia...

ADAM. Więc tylko śmierć mnie od ciebie uwolnić zdoła?

GOŚĆ *(zimno)*. Tylko!

ADAM. Więc tylko śmiercią odkupić się zdołam?

GOŚĆ. Tylko!

ADAM. Straszny jesteś.

GOŚĆ. Śmierć nie jest tak straszna. Śmierć dobra... Czemuż ja nie mogę być tak dobry jak śmierć?

Głosy z werandy; śmiech i rozgwar.

WODZIREJ. Adam! Adam! Chodźże wreszcie. Pijemy teraz twoje zdrowie!

ADAM. Idę, idę *(idzie do pałacu)*.

GOŚĆ. Pamiętaj! to jedno, co cię ode mnie uwolni!

SCENA VI.

Pauza długa.

NIEZNAJOMY *(podchodzi z drugiej strony; wpatruje się w okna pałacu, potym odwraca się do gościa. — Nagle)*. Wszak to tu ten dom, w którym się stały dziwne, tajemnicze rzeczy?

GOŚĆ. Tak, tu.

NIEZNAJOMY *(po chwili)*. Bal, muzyka, taniec... hm... To nie zagłusza, nie zagłusza... To upiorów nie rozproszy, to na chwilę upoi, a potym to przez chwilę oszołomione serce mści się podwójnie, że dało się uśpić. Bo serce ludzkie, straszne i mściwe. Nie da spokoju, nie da... *(po chwili)*. Czy ja tam wejść mogę? Bo coś mnie ciągnie do światła i wesela — ciągnie nieprzeparcie...

GOŚĆ. Czemubyś nie miał wiejść? Jeden gość więcej — cóż to stanowi? Zresztą niezadługo zapełni się ten dom gośćmi, których gospodarz sam nigdy nie znał — a dziwnych gości ma już teraz u siebie!

NIEZNAJOMY. Dziwnych? *(patrzy chwilę zamyślony)*. Och, gdybym ja tam wejść mógł.

GOŚĆ. Ale gospodarz już dawno na was czeka. Takie

jego przeznaczenie, że dom mu się coraz dziwniejszemi gośćmi zapełnia.

NIEZNAJOMY. A może się mylę, może to dom szczęścia i spokoju, a mam nieszczęsny zwyczaj wchodzić w chwilach szczęścia i wesela... Ale ja samotności nie znoszę: jakby mnie furje gnały — latam po ulicach, błąkam się; straszny niepokój gna, smaga mnie wściekłym biczem... i wtedy tak przykucnę przy płocie bogatych — tam, gdzie się w oknach świeci, skąd muzyka dolatuje i gwar i śmiech wesoły, i naraz zdaje mi się, że jestem na trzęsawisku bezradny, — ciemno.— Nie wiem, w którą stronę — aż naraz błędny ognik, ot! wybawienie! On pokaże mi drogę, pokaże kierunek... i idę, i idę i grzęznę coraz głębiej, ale iść muszę... I teraz nie wyrzucajcie mnie — o! bo mnie wyrzucić nie można — patrzcie! ja porządnie ubrany; nie zrobię wstydu — tylko patrzeć na taniec, chłonąć muzykę, oślepiać oczy światłem... o! nie zagłuszy, nie zagłuszy, ale da chwilę zapomnienia — a w domu bogatych jeszcze bezpiecznie, względnie bezpiecznie. Bo jestem jak szczwane zwierzę, ludzie mnie ścigają, osaczyli ze wszystkich stron, sumienie opętało, serce nie chce okłamywać, mózg błędny...

GOŚĆ. Tym razem nie pomyliłeś się — tu ci będzie dobrze. To ludzie, którzy strasznie cierpią, a zagłuszyć się nie umieją...

NIEZNAJOMY. Tak? To wejdę. Kocham ludzi, którzy cierpią — kocham.. a — a w domu bogacza względnie bezpiecznie, względnie... *(idzie zwolna do pałacu).*

SCENA VII.

Przez chwilę scena próżna. Głośna muzyka. Gość patrzy nieruchomie na pałac. Nagle muzyka cichnie, a po chwili wychodzi Adam chwiejny, podchodzi do gościa.

ADAM. Tyś go wpuścił?

GOŚĆ. Sam wszedł.

ADAM. Czemuś go puścił? Teraz już nie mogę przekroczyć progu tego domu.

GOŚĆ. Nie!

ADAM. Niema ratunku?

GOŚĆ. Nie!

ADAM. I dla niej też nie?

GOŚĆ. Dla kogo?

ADAM. Dla mej żony.

GOŚĆ. Zaraz tu przyjdzie.

ADAM. Gdzie Pola? — szukam jej, szukam — Pola! Pola!

GOŚĆ. Schowała się w najskrytszy kąt twego pałacu. Ona cicha i spokojna — a teraz ma lęk. Bo dziwnych i strasznych masz gości.

ADAM. Straszne!

GOŚĆ. Pamiętaj, com ci mówił. O przypadek tak łatwo. Przypadkiem łódka utonie — noga się w górach obślizgnie — tysiące sposobów... *(po chwili).* Zresztą dziwni jesteście. Bierzecie to życie tak strasznie na serjo. Czemu? To trochę szczęścia, ta śmieszna ułuda, która na chwilę pokrywa otchłań życia, by się za chwilę głębsza i straszniejsza odsłoniła... Te chwile upojenia; to omamienie, że żyje się po coś i na coś — że się ma cele w życiu—he, he... jacyście wy śmieszni—biedne robaki, piłki w rękach losu i przeznaczenia i wielkich, nieznanych tajemnic — a wam się zdaje, że wy ster prowadzicie... A ja już cię nie opuszczę, bo opuścić cię nie mogę... Patrz, idzie żona twoja... I ją ten nieznajomy z domu wypędził... Teraz na chwilę zostawię cię twoim rozmyślaniom—w wielkiej godzinie życia zwykle ludzi opuszczam... *(chwilę zamyślony)* albo też poczekam, przejdę się po parku... Ludzie w takich chwilach tak dziwnie tchórzliwi: życie wydaje się im nagle tak dziwnie piękne, takie ponętne... Poczekam, mnie jeszcze nikt nie zwiódł — nikt jeszcze przede mną nie uciekł... *(odchodzi, spotyka się na drodze z Belą—patrzą chwilę na siebie).*

SCENA VIII.

BELA. Ty straszny! Ty przeklęty!

GOŚĆ. To nie ja — życie straszne i przeklęte! *(ginie w parku).*

BELA *(do Adama).* Adam! Adam! Adam! Pola odjechała — teraz już wszystko skończone. Już siły straciłam — nie mogę dłużej tej męki znieść... Obłęd nasze progi przekroczył. Na nic szał, muzyka, upojenie...

ADAM. Więc Pola wyjechała?

BELA. Uciekła z tego domu...

ADAM. Z domu złego sumienia.

BELA. Uciekła, wtedy, gdym się tańcem zagłuszyć chciała.

ADAM *(mocno).* Teraz niema ratunku.

BELA *(zrywa się).* Uciekajmy.

ADAM. Dokąd?

BELA. Gdziekolwiekbądź, choćby na koniec świata.

ADAM. Pola powiedziała, że, choćbym cały świat zabudował najkosztowniejszemi pałacami, to dla niej miejsca niema.

BELA. Och, zapomnimy, zapomnimy — patrz! moje ramiona jak ze stali, — ja cię niemi poniosę, utulę, obejmę tak mocno, że w tej rozkoszy o wszystkim zapomnimy.

ADAM. Nie, nie! Ten straszny, straszny gość nie da nam spokoju.

BELA. Więc co? co?

ADAM. Co? Wyjedziemy łódką na jezioro — łódka zmurszała — jezioro głębokie.

BELA. Adam!

ADAM. Albo pojedziemy w góry — na wysokie, niebezpieczne szczyty — noga się osunie, ja cię za sobą pociągnę i — i — będziemy wolni.

BELA. Niema innego wyjścia!

ADAM. Niema! *(Bela rzuca mu się z głośnym płaczem na szyję).*

SCENA IX.

Pola wbiega, rozgląda się trwożliwie na wszystkie strony.

ADAM i BELA *(radośnie).* Pola! Pola!

POLA. Cicho — Cicho...

ADAM. Więc zostaniesz przy nas!

BELA *(rzuca się jej na szyję).* Zostaniesz teraz — już cię nie puszczę.

POLA *(bezładnie).* Nie zostanę — zostać nie mogę. Nie mam szczęścia w moim domu, ale mam spokój, a tu u was zaraza — przyczepi się do sukni i zawlokę to do domu męża, wszczepię jad w moje dzieci...

BELA. Zostań! zostań...

POLA. Nie, nie — uciekłam, skryłam się, ale gonili za mną, oni tam straszne rzeczy robią — słyszysz? niema już muzyki — światła gasną — patrz! widzisz? ciemno w pałacu.

Pałac niknie w ciemności, tylko noc księżycowa.

POLA. Przybiegłam, bo was raz jeszcze widzieć musiałam. Och, och! coście wy zrobili? Jaką zbrodnię spełniliście?

ADAM *(twardo).* Jaką? Żadnej! Miljon ludzi robi to samo i są szczęśliwi...

POLA. I za co ta straszna pokuta?

ADAM. Za co, za co? *(nagle do Beli).* Czemuś mnie nie odkupiła — czemuś mi chwili szczęścia nie dała?

BELA. Boś go mieć nie chciał — nie chciał — chowałeś się przede mną, odtrącałeś, gryzłeś szyderstwem, odpychałeś

mnie — a ja, ja rwałam się do ciebie, pragnęłam cię... Tyś tylko chciał się zagłuszyć, odurzyć, upoić i coraz bardziej dom nasz gośćmi się zapełniał.

ADAM. Dziwnemi gośćmi... Ha! bo na ścianach były czarne, czyhające cienie — czarne zwierzę, co już się rzucić na mnie miało. Bo słyszałem krzyk i płacz, taki straszny, rozdzierający płacz: coś, jakby płacz dziecka, któremu się wielką, wielką krzywdę wyrządza za to, że było dobre, że kochało — ha, ha... *(nagle do Poli)*. Idź, idź! To dom złego sumienia. To zaraźliwe.

POLA *(chce mu się rzucić na szyję)*.

ADAM *(odpycha ją)*. Tu w tym domu zaraza — patrz, jaki straszny dom! — idź!

POLA. Boże — niema ratunku — a ja tak was kochałam! a ja myślałam, że wam pomóc mogę... *(odchodzi)*.

ADAM. Zapóźno, Pola, zapóźno...

SCENA X.

ADAM i BELA *chwilę sami.*

ADAM *(zamyślony)*. Więc ja pójdę w góry — tam, gdzie się mech pod nogą oślizgnie, gdzie kamień się przypadkiem pod nogą obsunie...

BELA. Lękam się! Ja taka młoda — taka silna jeszcze. — Lękam się.

ADAM. To pójdę sam.

BELA. Nie, nie, nie! Pójdę, gdzie chcesz, ale lękam się — takam jeszcze młoda...

ADAM. I ja młody...

BELA. Otoczę cię taką miłością, tak cię utulę, — patrz, jam silna, ja muszę iść z tobą, ale zostań jeszcze; jeszcze spróbuj; nie odpychaj mnie od siebie — rzućmy się w wir życia, będziemy je chłonąć, upajać się nim...

ADAM. Cieni nie zgonisz ze ścian, kreta pod ziemią nie poszukasz...

SCENA XI.

GOŚĆ *zwolna nadchodzi.*

BELA. Cóż chcesz? Cóż? Przeklęty — ty straszny.

GOŚĆ. To tylko życie straszne. To tak niezmiernie śmieszne, że ludzie tak życie kochają: śmierć dobra i cicha... To trochę głupiego szczęścia — to mamidło, ten majak szatański. To

upojenie się swoją siłą, celami, to przeświadczenie, że jest się wielkim, że ma się jeszcze tyle do zrobienia: to wszystko głupstwo, to lep, na który życie ludzi bierze. Śmierć, śmierć, to jedyne — pluje się życiu w twarz i mówi się: mnie nie omamisz! I idzie się z wielką powagą i pogardą w śmierć!

ADAM *(do Beli).* Choć, chodź — pójdziesz ze mną?

BELA. Tak się lękam, tak się lękam!

ADAM *(łagodnie do gościa).* Kobieta się zawsze lęka *(błędnie)* he, he... Więc pójdę sam... A, trudno... Zostań — jeszcze masz życie przed sobą — jesteś jeszcze silna i młoda...

BELA. Adam! Adam! *(stoi jak przykuta do ziemi).*

ADAM *(idzie, ogląda się za nią, ale nic nie mówi).*

GOŚĆ. Pójdę z tobą. Będzie ci łatwiej. A już czas, już czas....

JAN KASPROWICZ.

Urodzony 12 grudnia 1860 r. w Szymborku na Kujawach. Studja uniwersyteckie odbywał w Lipsku, doktorat uzyskał w roku 1905 we Lwowie. Wydał *Poezje* (1889), poemat *Chrystus* (1891 i 1905), *Z chłopskiego zagonu* (1891), *Anima lachrymans* (1894), *Miłość* (1894), *Krzak dzikiej róży* (1894), *Ginącemu światu*, (1902), *Salve Regina* (1904); dramaty: *Świat się kończy* (1891), *Bunt Napierskiego* (1899), *Uczta Herodjady* (1905).

Studja o Kasprowiczu wydali: P. Chmielowski, Ad. Stodor, Miriam (patrz odpowiedni dział „Wypisów").

Bądź pozdrowiona!

Choć ty mną miotasz po spienionej fali,
Jak burza morska resztkami okrętu,
Tutaj, gdzie chmur mi słońce nie przepali,
Gdzie każdy jęk mój ginie w głuchej dali
Zamętu;

* * *

Choć ty mi w duszę wlewasz żółci zdroje,
Że myśl tu nieraz żółci przeciwieństwem,
Że, gdy ogarną mnie twe niepokoje,
Rzucam na siebie i na blizkie swoje
Przekleństwem;

* * *

Choć ty mnie krwawym naznaczyłaś chrzestem,
Stanąwszy blada już nad mą kołyską;
Choć przez cię nieraz jako starzec jestem,
Że mi śmierć, zda się, z swych skrzydeł szelestem
Tak blizka;

* * *

Bądź pozdrowiona, o ty bez promienia,
Który nadzieją martwe serca pieści,
Spowita płaszczem bezdennego cienia,
Źródło mej pieśni, macierzy natchnienia,
Bolesci!...

Z chałupy.

Natur und Kunst sie scheinen sich zu fliehen
Und haben sich, eh man es denkt, gefunden.
Goethe.

I.

Chaty rzędem na piaszczystych wzgórkach,
Za sadami krępy sad wiśniowy,
Wierzby siwe poschylały głowy
Przy stodołach, przy nizkich obórkach.

Płot się wali; piołun na podwórkach;
Tu rżą konie, ryczą chude krowy,
Tam się zwija dziewek wieniec zdrowy
W kraśnych chustkach, w koralowych sznurkach.

Szare chaty! nędzne chłopskie chaty!
Jak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy, proste, jak wy, bez rozkoszy...

Dziś wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień, co łzawią obficie —
Hej! czy przyjdzie czas, co łzy te spłoszy?!...

II.

Tam za wioską — przyjm, Ojcze nasz, dzięki! —
Jak pszeniczne kołyszą się ławy!
Żyto, jęczmień i owies złotawy
Jak zginają ziarniste swe pęki!

Wiatr od pola się rozgrał — czyż w jęki? —
Z dróg się mgliste podnoszą kurzawy;
Nad drogami, śród pokrzyw i trawy,
Skrzypią krzyże, godła łez i męki.

O Ty Boże! o Chryste, o Panie!
Płonny owoc ta ziemia nam płodzi —
Tłuste kłosy, bo tłuste uprawy:

Nie nadarmo ten wiatr tak zawodzi
I tak smętne poszumy na łanie —
Tu kłos każdy, to chłopski pot krwawy.

III.

Święty Kazimierz — powracają czajki;
Święty Wojciech — bociany klekocą,
Słońce grzeje, rowy w mlecz się złocą.
Brzmią skowronki, rychłe, polne grajki.

Po murawach dzieci, strzępem krajki
Podkasane, w pasy się szamocą;
Na przyzbicach baby w głos chichocą —
„Eh! kumolu! bajki, żywe bajki!"

Wiosna!... wiosna wszędzie życie budzi!
Jej błękity, słoneczne uśmiechy
I pod chłopskie wciskają się strzechy.

I tu raźniej biją serca ludzi,
Choć się troski za troskami tulą
Do tych piersi pod zgrzebną koszulą.

Z cyklu „W ciemności schodzi moja dusza".

Modlitwo moja, cicha i bez słów,
Ku gwiazdom płyniesz z mej znękanej duszy!
O swej tęsknicy złotym gwiazdom mów,
Niech je twój smętek do żalu poruszy,
Modlitwo moja, cicha i bez słów.

Z głębin powstajesz, a ku wyżom mkniesz
Na skrzydłach dziwnie tajemniczej mocy;
Niema-ś, a jęczysz, jak zraniony zwierz,
Rozbrzmiewa wokół wielki płacz sierocy,
Gdy wstawszy z głębin, ku wyżynom mkniesz.

Łowisz po drodze głuche szumy drzew,
Które wiatr bujnej pozbawił korony:
Przygnębiający, pogrzebowy śpiew,
Na strunach żałob jesiennych zrodzony,
Łowisz po drodze z serca nagich drzew.

Nad brzegi idziesz spochmurniałych wód,
Na żółte łąki, na zwiędłe ścierniska,
Mgłą się opijasz, przejmuje cię chłód,
Co z ziół zeschniętych siwy szron wyciska
Ponad brzegami spochmurniałych wód.

Odlatujący ścigasz ptactwa klucz,
Śledzisz, czy bracia w drodze się nie znużą:
Żałość wyziera z twych pobladłych ócz,
Gdy spoczniesz w gnieździe, rozrzuconym burzą,
W gnieździe, skąd ptactwa precz uleciał klucz.

Porywasz szepty z spiekłych ludzkich warg,
Wnikasz do wnętrza złamanego człeka,
Niedomówionych lub przycichłych skarg
Żywisz się strawą: radości daleka,
Chłoniesz szept bólu z spiekłych ludzkich warg.

Modlitwo moja, cicha-ś i bez słów,
Choć jesteś sercem głośnych jęków świata,
Który, ścigany przez złowróżbny huf
Nędz nieodstępnych, ku gwiazdom ulata
Z tobą, modlitwo cicha i bez słów.

Na ziemię bożą wielki upadł cień,
Widma rozpaczy po jej ścieżkach suną,
Powietrze pełne ich wymownych drżeń,
Że mrok się rozlał nad zagasłą łuną,
Że na tę ziemię wielki upadł cień.

W wiekowych bojach zwątlał zastęp dusz,
Zgłuchły zwycięskich pochodów tententy;
Z dróg się podnosi suchy biały kurz,
Ale z pod ciężkich stóp orkanu wszczęty,
Co w boju wieków pobił zastęp dusz...

Długie westchnienie krwawych, przeszłych lat,
Zgasłych na polu przygasłej już chwały,
Oto mój pacierz! Nie cząstka, lecz świat
W jego cichości zamyka się cały
Długim westchnieniem krwawych, przeszłych lat.

Sil się, milcząca modlitwo, ach! sil,
Abyś w sferycznej swej drodze nie padła,
Straszną rozterką tych dzisiejszych chwil...
O jak gorzkiego potrzeba ci jadła —
Sil się, niesyta modlitwo, ach! sil!...

Beznadziejnością nadchodzących dni
Wzbieraj w ogromy skargi niebosięgłej,
Niemej, a głośnej! Dusza o tym śni,
By wzruszyć globów płomienistych węgły
Beznadziejnością nadchodzących dni.

Zginąć, nie patrzeć na ten wielki ból,
Który rozsadzi ziemię na atomy,
Nim szczęście zdąży wzrosnąć śród jej pól!
O ciało słabe, o duchu znikomy:
Zginąć, nie patrzeć na ten wielki ból!

Modlitwo moja, cicha i bez słów!
Ku gwiazdom płyniesz z mej znękanej duszy!
O swej tęsknicy złotym gwiazdom mów,
Niech je twój smętek do żalu poruszy,
Modlitwo moja, cicha i bez słów...

Moja pieśń wieczorna.

(Fragment).

On był i myśmy byli przed początkiem —
niech imię Jego będzie pochwalone!
Razem z gwiazdami byliśmy i słońcem,
zanim się gwiazdy i słońca
jęły rozbijać w swych kołach,
zanim się stało to, co cię pożera.

O duszo, spragniona miłości,
o duszo, spragniona spokoju!
On był i ty w nim byłaś przed początkiem,
nim jeszcze miłość i spokój
stały się ogniem trawiącym,
zanim się stały zabójczą tęsknicą
i tym kamiennym, ślepym przerażeniem...

Dzień mój przygasa —
za wielkim, niebotycznym przygasa mi szczytem,
krwawą za sobą zostawiając zorzę,
która się czepia ogniami
tych oto smreczyn i ścian poszarpanych,
zatartych śladów moich stóp.
Dzień mój przygasa, ten złoty,
ten lazurowy, ten słoneczny dzień
w błogosławieństwie swych drogich promieni
więżący klątwę dla człeka,
dla zbłąkanego pielgrzyma.
Niech gaśnie! niech ginie!
Niech upragniony nadejdzie już wieczór
ze swoją ciszą wieczystą,
która mi mgłami szepce miesięcznemi,
że zanim miłość i spokój
stały się ogniem trawiącym,
zanim się stały zabójczą tęsknicą
i tym kamiennym, ślepym przerażeniem,
On był i myśmy byli przed początkiem.

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!
kiedy od cichych pól,
od rżysk i rzecznych pobrzeży,
od przecznic i od ugorów,
od wypaczonych chat
i od tych stodół zwietrzałych
chłopięca płacze piosenka:
A grajże mi, piszczałeczko,
a grajże mi, graj!
Uliniłem cię z wierzbiny,
gdzie ten potok srebrnosiny,
gdzie ten szumny gaj!
Pani pana tam zabiła,
zieleni się, hej!
A cierniste krzewię głogu
kwiat swój sypie po rozłogu,
a szept idzie z kniej!...
A dusza słucha i słucha...
A dzień jej przygasa,
a ona śladem tęsknicy
płynie rozlewną falą księżycową,
rosami płynie, lśniącemi na łąkach,
i wierzchołkami ukojonych drzew

i grzbietem białych gór
ku onym dniom zapomnianym,
gdy miłość i spokój
nie były ogniem trawiącym,
ani kamiennym ślepym przerażeniem.
Przestwór się przed nią rozszerza
i przepełniony wiekuistą nocą,
topi w swych głębiach wszystko, co ją zmogło
urągowiskiem i grzechem
i wypełnioną pokutą,
wstydu i hańby pociemniałą twarzą
i podeptaniem świętych, bożych praw
i krwawą zemsty pochodnią
i bólu, bólu strasznego
tak pożądanym, a tak żrącym widmem.

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!...
Na senne kwiaty wystąpiła rosa,
na łąk płaszczyzny, na ciemny łan zboża,
a ona siadła u brzegu jeziora
i rozmodlona patrzy w jego głębię —
i oparami wznosi się nad wielką,
nad uciszoną, rozmodloną wodą —
i słucha i patrzy i szepce
swoje wieczyste pacierze.
Z zapadłych wiosek płyną rozhowory,
w bagniskach dzikie odzywa się ptactwo,
a gdzieś w pustkowiu, a gdzieś na rozstaju,
w samotnej chacie połyskuje światło,
a tam, zdaleka cicha idzie Śmierć.
Od zórz zachodnich, w ziół zasypiających
rozkosznej woni piosnka się kołysze,
nad niemowlęcia kolebką wysnuta:
O tej radości, o tym weselu,
o tym cudownym, ukrytym zielu
z za siódmej góry, z za siódmej rzeki
które na smutek słodkie ma leki.
O tej godzinie, co szczęście niesie,
pieśń się kołysze po krzach, po lesie,
po falach żyta pieśń się kołysze
w tę uroczystą wieczorną ciszę,
a w ślad za pieśnią cicha kroczy Śmierć.
Wyszła z dziedziny, gdzie miłość i spokój
nie są ci ogniem trawiącym,

ani zabójczą tęsknicą,
ani kamiennym, ślepym przerażeniem,
i w świat podąża, ku onym rozstajom
k'temu pustkowiu, ku chacie samotnej,
k'temu słabemu, czerwonemu światłu..
Ścieżyną zdąża i traktem szerokim,
po drodze zerwie jakiś kłos zielony,
albo też listek topoli
i w zamyśleniu rzuci je pod nogi.
Lekkiemi stopy przygnie jaką trawkę,
lub owad zdepce na miedzy,
albo swą długą, białą, przezroczystą
zanurzy rękę w staw
i jego srebrną powierzchnię
powlecze rdzą opalową.
Czasem w tym swoim pochodzie
siędzie na chwilę pod krzyżem pochyłym
na opuszczonej mogiłce,
i głowę ukrywszy w dłonie,
głębokim jękiem zapłacze,
rozlewającym się na okrąg świata,
a potym wstaje i traktem rozległym
albo miedzami idzie znów wśród zbóż
k'temu pustkowiu, gdzie w chacie samotnej
czerwone, słabe połyskuje światło.
A za nią snuje się smuga
sinych oparów i mgieł,
na których ciężkim, dalekim obrzeżu
zachodnia krwawi się zorza...

Czemu nie gaśniesz, ty zorzo?
On był i myśmy byli przed początkiem,
zanim się stało to, co nas pożera!
Czemu nie gaśniesz?!
Ach! jak się w twoich płomieniach
palą te grona jarzębin!
jak się rozżarza ten żwir —
ten szary piasek na drodze pątniczej!
Wybaw człowieka, o Panie,
od żagwi gniewu Twojego!
Dusza ci śpiewa psalm, jak niegdyś, niegdyś —
śród koralowych jarzębin,
przy rozszumiałych, wielkich polach zbóż,
przy tajemniczych pogwarach tych lip,
rozkołysanych Twym świętym oddechem...

Pokorna, cicha, nieskalana dusza
stoi u wrótni kościołka
i psalm Ci śpiewa, tak wieczny,
jak wieczną ona i Ty!
Na roztęczone mgławice kadzideł
kładą się dźwięki organów
majestatyczne, cudotwórcze dźwięki,
i podpływają ku cichej, pokornej,
ku nieskalanej, ku skupionej duszy,
klęczącej w progu świątyni.
Grona jarzębin rumienią się w słońcu,
prastare lipy szumią hymn pierwotny,
przenikający głębinę jestestwa,
łan się kołysze rozłożysty, złoty,
w oknach świergocą jaskółki,
nad poszeptami pacierzy
nieprzeliczonych pątników
białe wzlatują gołębie,
a w rozmodleniu milczącym,
na skrzydłach psalmów tak wiecznych,
jak wieczna ona i Ty,
wznosi się dusza ku Tobie.
Bo gdzież jest większy Pan i król i władca?
Gdzież moc Ci równa i równa potęga?
Sam z siebieś powstał, majestat Twój płonie
na tym z wieczności zbudowanym tronie.
Z Siebie stworzyłeś ten przestwór bez końca
i z Siebie-ś w niego rzucił żar na słońca.
Istnienie-ś swoje zamknął w prochu ziemi
i wichr piersiami oddycha Twojemi.
Duszę człowieka wywiodłeś ze Siebie
wraz z duszą globów, świecących na niebie.
Tyś, Boże, ziarnem i kłosem i listkiem,
Wszystko jest z Ciebie, i Ty jesteś Wszystkim
i przez Cię wszystko, nieśmiertelny Panie,
ma nieśmiertelne w Tobie królowanie.
Gdzież moc Ci równa? Gdzież równa potęga?
Gdzież jest ten płomień, co skry Twej dosięga?
Gromem przemawiasz z łyskającej tuczy,
głos Twój morzami i wulkanem huczy,
trzęsieniem ziemi ogłasza Twe wieści,
lub słodko szumi, szemrze i szeleści.
Straszliwym bywasz w swym monarszym gniewie:
rozkwitłe pola zatapiasz w ulewie,

żagwią pożarów godzisz nam w zagrody,
bijesz dobytek i zatruwasz wody.
Lecz kto opiece twej odda się szczerze,
tego Twa łaska od złego ustrzeże.
Bo czyjaż dobroć Twych bezmiarów sięga?
Gdzież moc Ci równa i równa potęga?

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy,
tej nieskalanej, pokornej i cichej!...
On był i myśmy byli przed początkiem —
chwalmy i wielbmy jego święte imię!

Czemu nie gaśniesz, ty zorzo,
nad oceanem tych ciężkich oparów,
co pochłonęły me słońce?
Księżyc się dźwignął ponad węża gór,
osrebrza brzegi obłoków,
lśni się na rysach śnieżystych;
od wschodu pełza dzika noc,
stoki swym wielkim przytłacza spokojem,
a ty się palisz!
Stamtąd — od nizin dalekich,
usypiających poza stu wodami,
poza tysiącem dróg,
jakieś się echo przyczołguje w duszę —
Cicho!
To płacz tej dawnej, chłopięcej piosenki:
A grajże mi, piszczałeczko,
A grajże mi, graj!
Uliniłem cię z wierzbiny,
gdzie ten potok srebrnosiny,
gdzie ten szumny gaj!
Ach!...
Przeorałem łan o świcie —
od pola, do pola,
kąkol wyrósł w moim życie,
dolaż moja, dola!
A grajże mi, piszczałeczko,
A grajże mi, graj!...
A grajże mi, graj....
Czemu się żagwisz?
Niech raz już wszystko zagaśnie!
Jarzębina się rumieni,
szepcą lipy stare,

suchy piasek się podnosi —
Czemu nie milkniesz, ty zorzo?
Dlaczego krzykiem ognistym,
wystrzelającym z tych przepastnych szczelin,
między dwiema piekielnemi ściany,
tak mnie oślepiasz i tak mnie ogłuszasz,
że dojść nie mogę do kresu?
Dzień mój już przygasł,
a zorza jego się krwawi,
jakby się krwawić miała w nieskończoność!...
Wszystko pożera swemi płomieniami —
duszę mi pali i świat cały pali!
Z olbrzymich snopów ognia,
jakby młóconych niewidzialnym cepem,
sypią się ziarna skier
w okrąg na niebo i ziemię!
Księżyc się zajął
i w mgnieniu oka wyrósszy
w ogromną kulę ognistą,
zaczyna rwać się w kawały
i płomiennemi wali się bryłami
na cielska płonących gór,
na popiół smreków spalonych.
Płoną jeziora,
sto wód się pali,
i tysiące dróg!
Z rozszalalego wnętrza ziemi
ogniem buchają wulkany,
gwiazd miljony tną błyskawicami
spieniony potok płomieni
i z hukiem
giną w czeluściach czerwonych...
Boże!
Czemu mnie karzesz?
W tych rozżarzonych stanąłeś przestworzach,
cały spłomienion, większy niż przestwory,
z krzyżem ogromnym, płomienistym w dłoni
i rozżagwiony rzucasz na mnie Świat...
Karz mnie!
Bom ci ja człowiek, który wyszedł z grzechu
i prześladowan był przez grzech — do końca!
Moja to wina!
Bo oto moja nieprawość
mnoga, jak iskry tych ogni,
przeszła granice, Panie, Twych zamiarów!
. . . . . .

Karz mnie!
Bom ci ja człowiek skazany na karę,
bo dzień mój przygasa
a zorza jego się krwawi
i świat się mój pali!
Bo dawno już przeszedł czas —
moja to wina, moja wielka wina —
gdzie miłość i spokój
nie były ogniem trawiącym
ani zabójczą tęsknicą
ani kamiennym, ślepym przerażeniem...

A grajże mi, graj!...
Jarzębiny się rumienią —
suchy piasek się podnosi —
A grajże mi, graj!...
On był i myśmy byli przed początkiem,
zanim się stało to, co nas pożera...

Błogosławioną niech będzie ta chwila
Kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!
Kiedy na wieki — na wieki
gaśnie jej dzień — — —

Salve Regina.

(Fragment).

Ziemio! ziemio!
Tęsknota chodzi po tobie
w wieńcu z gałązek oliwnych
i z wielkim, czarnym krzyżem na wątłym ramieniu.
I krople potu roni
i, dzierżąc kielich goryczy
w białej, zmęczonej dłoni,
klęka co kroku w swej drodze krzemiennej,
i modli się, i płacze, i wzdycha, i modli...
A jej modlitwy i łzy
i te westchnienia głębokie
co krok się w przędze zmieniają pajęcze,
jak one włókna jedwabne,
porozwieszane na rżyskach
w październikowe dni
i na kończynach więdniejących traw —

na całym tym ogromnym, rozległym obszarze
mrącego świata...

O, wy, modlitwy i łzy!
O, wy, głębokie westchnienia
naszej samotnej Tęsknoty,
poklękującej na krzemiennej drodze,
z kielichem goryczy na dłoni
i z czarnym krzyżem na wątłym ramieniu!
Zmieniacie w mgły się pajęcze
i, otuliwszy jej postać
w swoje rozwiewne przędze,
czynicie z niej by obłok, wstający z poranku
na wielkich obszarach świata,
i rwiecie ją z sobą do góry!
O wieńcu z gałązek oliwnych!
W wieniec przemieniasz się złoty —
w promienny wieniec gwiazd —
na skroni naszej Tęsknoty,
i nad głębiami nocy świecisz niepojęty!
o ty kielichu goryczy,
z twardej wykowan miedzi!
W alabastrową przemieniasz się czarę,
na zapomnianym ustawioną grobie,
pełną słodkiego napoju wieczności,
i do bezmiarów rośniesz niepojętych,
i sam się w napój rozpływasz,
i swoją wonią przepełniasz
duszę biednego człowieka!

O krzyżu na wątłych ramionach
naszej serdecznej Tęsknoty,
wraz z tobą dźwigającej tajemnicę bólu!
W skrzydła się zmieniasz anielskie
i wnet ją niesiesz ku blaskom,
lśniącym nad nocy głębiami,
ku onym dusz miljonom,
o których tutaj dawno zgasła wieść.
Tam lśni jej biała szata,
a z białego łona
lilja jej czystością rośnie ubielona.
I depce węża głowę
swoją promienną stopą,
i z lutnią, naciągniętą na tony wieczyste,
śpiewa przesłodki hymn,

zasłyszan ongi, tak dawno, tak dawno,
że miała zagasnąć czas
owa szarpiąca wieść
o tajemnicy krzyżowego bólu —
śpiewa swój hymn przenajświętszy:
Salve Regina!

Milczcie!
Nie do was idzie wielkie objawienie
od skalnych, cichych brzegów
tajemniczego jeziora,
nad którym czarne cyprysy
cicho schylają swe głowy...
Milczcie!
Płaczem i jękiem,
urodzonemi z nicości,
nie zakłócajcie tej pieśni,
którą, śród dusz miljona
z białą lilją u łona
wieczysta śpiewa Tęsknota.

Nie! nie! śpiewajcie ją wszyscy!
Wasze to życie i wasza to krew —
ta pieśń wstrząsająca,
która swym świętym pogłosem
nie o świątynne łamie się sklepienia,
ale przez pola idzie, wielkie pola,
i zmartwychwstanie zmarłym daje kościom,
i we wiosennym uśmiecha się blasku,
i śnieg na łąkach roztapia,
i zwiędłe trawy w świeżą stroi zieleń.

Dlaczego płaczesz?
Nędza jest wszędzie!
Nędza w miłości i nędza w cierpieniu!
Łam się!
Nie masz spokoju?
Rozpękające drzewa twojej ziemi
nie przywabiają cię woniami swemi?
Uciekasz przed się, aby szukać ciszy,
która twe serce usłyszy?
Nędza jest wszędzie!
w twym sercu jest nędza
i w tych zwaliskach zagasłego świata,

na które patrzysz zadziwionym okiem,
nic — tylko nędza!
Patrz! patrz bez końca!
Patrz na ten odblask ginącego słońca,
którego czerwień zalewa te łuki —
te poszarpane arkady,
te widma kolumn
i te dalekie kopuły!
Nie masz spokoju?
Wre w tobie echo pradawnego boju,
z którego wyszła zwyciężczynia Śmierć?
Jej-li to sztandar powiewa ogniami
nad tym rozległym, krwawym widnokręgiem
tam, nad tym gajem cyprysów i pinji?
Łam się i patrzaj! folgi nie daj oku!
Z bezdennych głębin wieczystego mroku
jakiś wyłania się potwór!
Cicho, powoli
nietoperzowe rozpościera błony,
zakrywa zorzę ich ciemnią
i rośnie...
I kulistemi dwoma płomieniami
swych nieruchomych źrenic
patrzy ci w duszę i błony
nietoperzowe roztacza
i rośnie...
I grube wyciąga ramiona,
i kulistemi dwoma płomieniami
patrząc ci w duszę, w otchłań ludzkiej nędzy,
w to nieustannych gniazdo niepokojów,
podważa glob ciemniejący —
Salve Regina! —
do piersi go tuli kosmatej
i miażdży —
Czemu uciekasz?
Czemu w przestrzenie dążysz, jak ta plewa,
którą wichr porwał z wymłóconych kłosów
i pustą rzucił w pustkowie?
Boże!...
Czemu uciekasz, jak ten blask gasnący,
gdy się rozprasza w ciemnościach?...

Nikt cię nie kochał?
Nikt ci krwawego nie otworzył serca,
abyś w nim duszę zanurzył

i, wykąpany w jego krwi płomiennej
mógł wszechwidzącą odczuwać źrenicą
drgania tęsknoty i bólu,
rozlanej w wielkiej, świętej duszy świata?
I sam tęsknotą i bólem
drżeć niby harfa eolska,
z słonecznych stworzona kryształów?
Drżeć niby świat ten ogromny,
przeczuwający
nieskończonego bytu promienistość,
przez ból idącą, przez wielkie cierpienie?...
Boże!...

Nikt cię nie kochał!

A ty, czyjąś duszę
tak miłował, abyś mógł zapomnieć,
że jest granica między złem a dobrem?
W czyjeś ty serce spojrzał z taką wiarą,
aby jej siła mogła ci je rzucić
do twoich stóp nieskalanych?
Do stóp bożego wybrańca,
co serca podnosi
i twórczym swym tchnieniem,
nieskazitelnym i wiecznym przez miłość,
pył z nich otrząsa i zbawia?
Co je podnosi nad wzlot własnej duszy,
nad ból swój własny i nad swą tęsknotę,
i — niby święte tajemnicze słońca,
uwite z błysków przeczuć,
powstałych z Twórcy i dążących k'Niemu,
pomiędzy gwiazdy je rzuca,
by niestrawionym promieniały światłem?

Nigdyś nie kochał!

Łam się!
Pomiędzy sobą a morzem miłości,
huczącym pieśnią potężnych zapomnień,
i przepotężnych pożądań,
i nieodkrytych, Twórcy pełnych głębin,
i uświadomień potężnego szczęścia,
sameś piekielną budował opokę.
Rozbite ciosy swej duszy
na samolubny znosiłeś Babilon,
albowiemś sądził, że jesteś sam jeden,

i że nad ciebie nie może być — życia.
I wówczas Szatan stawał na twej wieży,
śmiał się ku tobie oczyma Pokusy
i, pełną kłamstwa czarą swych przyrzeczeń
obezwładniwszy twą duszę,
kazał ci jedno: abyś kochał siebie!
kazał ci jedno: abyś wierzył w siebie!
kazał ci jedno: abyś zbawiał siebie!
i kłamstwo było i niemoc
w twoich akordach, co wielbiły miłość!
I kłamstwo było i niemoc
w twoich akordach, co głosiły wiarę!
I kłamstwo było i niemoc
w twoich akordach, co brzmiały nadzieją!...
A poza tobą — jak blizko! jak blizko! —
huczało pieśnią potężnych zapomnień
i przepotężnych pożądań,
i nieodkrytych, Twórcy pełnych głębin,
i uświadomień potężnego szczęścia
to wielkie, święte, jasne, nieskończone
morze miłości....

Łam się!

A gdy w odległych przepaściach twej duszy
jęły się budzić echa tego Słowa,
co w płomienistym rodziło się krzewie —
kiedy od brzegów tajemniczej wody
szum dolatywał przedwiecznych objawień,
poszeptujących tajemniczym głosem,
ażebyś kochał — cierpieniem,
naonczas Szatan tę twoją opokę,
twój samolubny Babilon,
w Górę przemieniał Oliwną,
i w szacie Zbawcy,
z Sfinksa obliczem, na którym wyryto
nieodgadniętą zagadkę boleści
i rzeczy przyszłych dalekie widzenie,
pełne wyrazu smutku i tęsknoty,
klękał w oblaskach księżyca,
na współczujące słaniał się rozłomy,
i z rąk anioła brał kielich,
i krwawym zlewał się potem,
i modlił się i płakał i wzdychał i modlił...
A gdzieś od strony Jeruzalem nędzy,
gdzieś od Syonu zbrodni,

od źródła i ujścia bytu,
gwar przypełzywał na łunach
urągających wieczystemu Światłu,
pozapalanych, aby przyćmić Jasność!
I rozchylały się gałęzie drzew,
i z chrzęstem łamały się krzewy,
i żwir się zsypywał po zboczach,
i w krwawych ogniach pochodni
pozapalanych, aby przyćmić Jasność,
urągających wieczystemu Światłu,
tłum się wyrzucił z Judaszem na czele...
i obdarowan pocałunkiem zdrady,
brał krzyż na siebie, wielki, czarny krzyż,
i na Golgotę po krzemiennej drodze
szedł twój Kusiciel —
jak twa tęsknota
szedł, modlił się i wzdychał i płakał i modlił.
A potym — w przepaść rzucił czarny krzyż,
w bezdenny rozdół szumiący,
i zolbrzymiawszy, legł na twej Golgocie,
na Babilonie twej duszy.
I rozkrzyżował ręce
i w strasznej, cierniowej koronie
na zolbrzymiałej głowie,
przygasającym patrzał na cię wzrokiem,
tak przenikliwym i smutnym,
żeś modlił się i płakał i wzdychał i modlił...

A na zachodzie
płonął krąg słońca,
ogromny krwawy krąg,
przecięty ogromnym obłokiem,
i rzucał ogromny
cień Kusiciela,
skrzyżowanego na twojej Golgocie,
na Babilonie twej duszy,
i topił świat w jego mroku —

Zaś gdy cię złamał ból,
gdzieś sam się słaniał na głazy,
kiedyś brał kielich goryczy
i Judaszowej pocałunek zdrady
na swoich wargach odczuwał,
wówczas się zrywał z opoki,
stawał przed tobą, okryty

ciemną purpurą nocy,
i wzrok utkwiwszy szyderczy
w twych oczach, obłędnych z żalu,
na świat się cały rzechotał
wielkim szyderczym rzechotem...
A poza tobą — jak blizko! jak blizko!
huczało pieśnią potężnych zapomnień,
i przepotężnych pożądań,
i nieodkrytych, Twórcy pełnych głębin,
i uświadomień potężnego szczęścia,
to wielkie, święte, jasne, nieskończone
morze miłości....

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

Poeta, dramaturg, malarz, odnowiciel polskiej sztuki stosowanej. Urodzony w Krakowie 1869 r., profesor tamtejszej Akademji sztuk pięknych. Ogłosił dramaty: *Legienda*, (dwa różne opracowania), *Meleager*, *Warszawianka*, *Protesilas* i *Laodomja*, *Lelewel*, *Klątwa*, *Legjon*, *Wesele*, *Wyzwolenie*, *Bolesław Śmiały*, *Achilleis*, *Akropolis*, *Noc listopadowa*, *Skałka;* rapsody: *Bolesław Śmiały*, *Kazimierz Wielki;* nadto studjum o Hamlecie.

Ze studjów nad Wyspiańskim zasługują na wymienienie: Antoniego Potockiego, A. Niemojewskiego, W. Feldmana (wykłady o Stan. Wyspiańskim i Stef. Żeromskim).

Z POEMATU: Kazimierz Wielki.

1. Idą posępni
a grają im dzwony
ze wszystkich kościołów,
a grają im dzwony
żałobne.

2. Idą posępni
a niosą korony
ozdobne,
misterne, a dla nich
ciążące jak ołów,
korony zczerniałe,
pogrobne.

3. A grają im dzwony
ze wszystkich kościołów
a szumią, łopocą
szarfami przyczołów
chorągwie, proporce
pogrzebne!

4. A grają im dzwony
ze wszystkich kościołów
ogromne, tętniące,
podniebne.

5. A śpiewy nad niemi
jak skrzydła Aniołów
kołyszą się górne,
wróżebne.

6. A idą posępni
ze wszystkich kościołów
z cechami, wieńcami,
co kwietne, pachnące,
w tysiące były liczone.

7. I chłopy sukmanne
I pany strojone
w pąsowe żupany, delije.

8. I dziewki przekrasne,
panięta przejasne,
jaśniejsze niż białe lelije.

9. A idą żałobni
a idą posępni
przez długie ulice podgrodne;
a idą żałobni
a idą posępni
choć niebo błękitem pogodne.

10. Wiatr chmury przegania,
to skrywa, odsłania
orszaki pochodne, stokrotne;

11. A cienie się wiją
to jaśnią, to kryją,
to w biegu znikają przelotne.

12. A oni posępni
a grają im dzwony
ze wszystkich kościołów zawodne
. . . . . .

13. Czyli łąki nietknięte tak gwarzą,
Czyli kwiaty wycięte się skarżą, —
Czyli łąki i łany się kłonią,
Czyli wiatru przegięte pogonią.

14. Czy to lasów stoki się chwieją,
Czy tak wieńce jodłowe wonieją...
Czy to lasy sosnowe się kłonią,
Czyli wiatru przegięte pogonią.

15. Za orszakiem, — czy to łąki szarzeją...
za orszakiem, czy to łany już gwarzą,
za orszakiem, czy to bory się chwieją
za orszakiem, czy to lasy już idą!...
czyli pszczelne roje tak brzęczą,
za orszakiem,— czyli ziemie tak jęczą.

16. A idą żałobne
posępne, pogrzebne
i łąki pachnące
i lasy podniebne
wnuczęta moje pogrobne.

17. A grają im dzwony
ze wszystkich kościołów,
ogromne, tętniące,
wróżebne.
. . . . . .
. . . . . .

Z „Wesela".

AKT II. Scena 7.

STAŃCZYK, DZIENNIKARZ

STAŃCZYK

(idąc)

kto się za mną włóczy wciąż

DZIENNIKARZ

ktoś przede mną ciągle stąpa

STAŃCZYK

(już był usiadł)

domek mały, chata skąpa
Polska, swoi, własne łzy,
własne trwogi, zbrodnie, sny,
własne brudy, podłość, kłam;
znam, zanadto dobrze znam.

DZIENNIKARZ

Zacz kto? —

STAŃCZYK

błazen!

DZIENNIKARZ

(poznając)

wielki mąż!

STAŃCZYK

wielki, bo w błazeńskiej szacie;
wielki, bo wam z oczu zszedł,
błaznów coraz więcej macie,
nieomal błazeńskie wiece;
Salve bracie!

DZIENNIKARZ

Ojcze Salve!
Szereg dobrych błaznów zszedł,
przywdziewamy szarą barwę;

koncept narodowy gaśnie;
Gasną coraz te pochodnie,
które do hajduków ręku
przywiązane żarem płoną.
Skapały, zżarły się świece,
a że do rąk przytroczone,
więc jeszcze palą się ręce,
w tę samą zaklęte stronę,—
Trzebaby do służby narodu
błaznów całego zastępu;
palą się hajduki w męce,
z własnego bólu się śmieją;
gasną świece narodowe,
okropne rzeczy się dzieją,
śmiechem i szyderstwem biegu
obudzić, ośmielić zdolne
serce spodlone, niewolne,
które naszą krew zaprawia

STAŃCZYK

A wolicie spać

DZIENNIKARZ

to jedno!
Usypiam duszę mą biedną
i usypiam brata mego;
wszystko jedno, wszystko jedno,
tyle złego, co dobrego,
okropne rzeczy się dzieją.
Patrzeć na przebiegi zdarzeń —
dalekie, dalekie od marzeń,
tak odległe od wszystkiego,
co było wielkie w kraju;
że wszystko, co było, przepadło,
bezpowrotnie w mroku zbladło:
to bajki o trzecim Maju!
Matkę do trumny się kładło,
siostry i rodzinę całą;
ksiądz pokropił i poświęcił
grabarze gruz przywalili;
epigonów, co zostało,
na stypie się weselili
wesołością, co przeklina;
w pijaństwie duszę zabili
a nie mogli zabić serca.

Zostało serce co woła
spłakane u bram kościoła,
skrwawione u wrót świątyni.
i jeszcze w męce okrutnej,
w czułej litości rozrzutnej
samo siebie wini

STAŃCZYK

Asan, jako spowiedź czyni,
spowiedź, widzę, cudzych grzechów;
Acan się zalewa łzami,
duszę krwawi, serce krwawi;
ale znać z acana mowy,
że jest, — tak — przeciętnie zdrowy;
jutro humor się naprawi. —
Gotów mi płakać najrzewniej,
rozczulać się cudzych grzechów,
u blizkiego widzieć tramy,
zbrodnie, brudy, grzechy, plamy
i za swojego blizkiego
uczynić publiczną spowiedź, —
A! doprawdy! warte śmiechów, —
może jeszcze rozgrzeszenie
wziąć kapłańskie z cudzych zbrodni?

DZIENNIKARZ

Wina ojca idzie w syna;
niegodnych synowie niegodni;
ten przeklina, ów przeklina, —
ród pamięta, brat pamięta
kto te pozakładał pęta
i że ręka, co przeklęta,
była swoja. — Rozbrat wieczny
duszy z ciałem, ciała z duszą;
w nim się słabi kruszą, —
miecz do walki obosieczny, —
my sąm słabi. — Wielkość gniecie,
przekleństwo nosi na grzbiecie:
Zbrodnie nosi, czarne kiry,
Szatę krwawą Dejaniry;
Wielkość: Zbrodnia, Małość: podła; —
Jakaż nasza dzisiaj Wola?!
czarodziejska dłoń ogrodła
nasze pola.

STAŃCZYK

Łzy ze źródła!
Tyle żalów o nieswoje
A cóż tobie niepokoje
tych, co w grobach leżą?
Myślisz, — że się trupy odświeżą
strojem i nową odzieżą, —
a ty z trupami pod rękę
będziesz szedł na Ucztę — mękę
i jako potrawy żuł,
czym się tylko kiejś kto truł;
wsączał w siebie i pił
czym tylko kto będzie gnił;
czy to ma być twoja krew?!

DZIENNIKARZ

Moja krew, moja krew, —
czy ja wiem — okrzyk mew,
gdy gonią po nad skały,
okrzyk mew osmętniały,
żałośliwy, straszny
gdy od brzegu odbiegły daleko.
Morze ciche, strop się chmurzy,
ale burza i orkan daleko.
Tylko głuchość i pustka bezmierna, —
a tu skrzydła rozchwiane do lotu,
nie pragną, nie pragną powrotu
i wiedzą, że tam, gdzie dążą,
wylądu szukać daremno;
przekleństwu swojemu wierne,
lecą — i nie śmieją ustać,
aż krew do ust pocznie chlustać
ze znużenia, — wtedy padną,
łzą nie pożegnane żadną
bo śmierć ulga, ulga zgon.

STAŃCZYK

Zaśpiewałeś kruczy ton;
tobież tylko dzwoni w głuszy
pogrzebowych jęków dzwon
. . . . . .
A słyszał-żeś kiedy, z wieży
jak dźwięczy i śpiewa On.

DZIENNIKARZ

Zygmunt, Zygmunt...

STAŃCZYK

Dzwon królewski: —
Siedziałem u królewskich stóp,
królewski za mną dwór:
synaczek i kilka cór,
Włoszka — a wielki chór
kleru zawodził hymny; —
a dzwon wschodził, —
zawisnął u szczytów
i z wyżyn się rozdzwonił:
głos leciał, polatał,
kołysał się górnie,
wysoko, podchmurnie, —
a tłum się wielki pokłonił;
pojrzałem na króla
a król się zapłonił...
dzwon dzwonił.
. . . . . .

DZIENNIKARZ

A toć on nam tętni dziś,
jak grzebiemy, kto nam drogi;
Zwołuje nas, każąc iść
posłuchać kościelnych szumów
w wielkim zamęcie rozumów,
w wielkim modlitew rozjęku
On pan, ten dzwon królewski
nieustający w brzęku
o pękniętym sercu,
nasz ton. — Nad przepaścią stoję
i nie znam, gdzie drogi moje

STAŃCZYK

Byś serce moje rozkroił
nic w nim nie znajdziesz inszego,
jako te niepokoje:
Sromota, sromota, wstyd,
palący wstyd;
jakoweś Fata nas pędzą
w przepaść, —

DZIENNIKARZ

ty Wid!

STAŃCZYK

ja Wstyd!!
Piekło wiem gorsze niż Dante,
piekło żywe . . . . . .

DZIENNIKARZ

żyję w Piekle!

STAŃCZYK

Społem w przepaść!

DZIENNIKARZ

Społeczeństwo!
Oto tortury najsroższe,
śmiech, błazeństwo, —
to my duchy najuboższe, —
„Społem" to jest malowanka,
„społem" to duma panka,
„społem" to jest chłopskie „w pysk"
„społem" to papuzia kochanka,
próżność, nadczłowieczeństwo, —
i przytym to maleństwo
serce pęknione, co krwawi.

STAŃCZYK

Asan prawi, —
jako najwalniejsi gębacze,
odrośl od samych pni
z moich dni

DZIENNIKARZ

wolałbym już stokroć razy
policzone dni,
niż ten bieg, bieg, pęd, gonitwa
ku przepaści, otchłani, zawrotom!
Ach kresu, ach kresu lotom!
Stacza się sercowa bitwa,
opadam coraz na głazy,
mrze na ustach modlitwa,
ach kresu, ach kresu lotom, —
Niechby się raz wszystko spali,

zetrze się, na proch się zsypie,
jak kolumny, na gruz się rozwali,
byśmy padli potruci
jadami w pogrzebowej stypie;
Niechajby się raz wszystko spali!
I te nasze polskie posty
dusz do polskich świętych
i te nasze tęczowe mosty
czułości nad pustką rozpiętych,
malowanki Częstochowskie
w koronach, — i wszystkie Wiary! —
Nieszczęścia wołam!!

STAŃCZYK

puszczyku

DZIENNIKARZ

Możeby nieszczęście nareszcie
dobyło nam z piersi krzyku
krzyku, coby był nasz,
z tego pokolenia. —
Ach Sumienia, Sumienia!
Już było tych prawd bez liku
dla nas — Prawdy czy Fraszki??
Stoimy u polskich granic
a mamy obecność za nic,
od talentów zawisłe igraszki

STAŃCZYK

puszczyku!
Zgrałeś się przy zielonym stoliku,
czy z kobietami w gorączce
opętałeś duszę mdłością
i w tej momentu palączce
oślep gnasz we własne próchno.
A gdy na nie wichry dmuchną,
rozleci się zgasłe próchno
zamurują się otchłanie
i krzyk i jęk i wołanie
zda ci się błazeństwem duszy,
które nikogo nie skruszy,
które zeżre siebie samo
a trzewia mu gniciem cuchną.
Znam ja, co jest sercem targać

gwoździmi, co się w serce wbiły,
biczem własne smagać ciało,
plwać na zbrodnie, lżyć złej woli,
ale Świętości nie szargać:
bo trza, żeby święte były,
ale świętości nie szargać,
to boli

DZIENNIKARZ

Tragediante

STAŃCZYK

commediante,
Dla ciebie błazeńska laska

DZIENNIKARZ

piastujesz ją, piastun stary
znasz tylko: status quo ante;
błazeństwo z tobą się zrosło

STAŃCZYK

Oto naści twoje wiosło:
błądzący w obłędów powodzi,
masz tu caduceus polski,
mąć nim wodę, mąć.

DZIENNIKARZ

Fatum nas w obłędy wodzi:
u rozstajnych dróg, zły Duch!
Tu moje rozstajne drogi;
ty mój Duch — zły, — demon, Szatan
błazeństwem ja z tobą zbratan,
byłem ci duszą poswatan,
nim dusza stała się trup; —
a teraz mi pachnie grób,
czuję trąd.

STAŃCZYK

Naści; rządź!
masz tu caduceus polski,
mąć nim wodę, mąć

DZIENNIKARZ

Nie chcę żadnych więcej prób.
Serce miałem kiedyś młode,
porwałeś mi serce młode
wlałeś jad goryczny w krew,

nie widzę, nie widzę dróg,
zaćmił mi się Bóg.

STAŃCZYK

Fata pędzą, pędzą Fata, —
Wielkość, — Nicość, — pusty dzwon,
serce strute, —
uderzyłeś błazna ton,
moją nutę.
Kłam sercu, nikt nie zrozumie,
hasaj w tłumie!
Masz tu kaduceus, chwyć!
Rządź!
Mąć nim wodę, mąć!
Na Wesele! Na Wesele!
Idź!
Mąć tę narodową kadź,
Serce truj, głowę trać!
Na Wesele! Na Wesele!
Staj na czele!!!

Z „Wyzwolenia".

„Tam-tam" nazywa się narzędzie
w orkiestrze, które dzwon udaje.
Jak mówią teatralne zwyczaje,
używa się mniej więcej wszędzie,
gdzie się do sztuki dzwon dodaje.
A więc w „Kościuszce" do przysięgi,
z dna wód w „Zaczarowanym kole"
raz się z nim w górne idzie sprzęgi,
raz się znów staje z nim na dole.
Jest „tam-tam" rzeczą właśnie taką,
że zawsze się w nią tłucze jednako.
Wrażenie, jakie wywołuje,
jest tym, co w sobie kto poczuje.
„Tam-tam" jest w stanie dzwon Zygmuntów
z przedziwną oddać dokładnością,
waży zaś ledwo kilka funtów
i każdy dźwignie go z łatwością,
co uprzystępnia szerszej masie,
w teatrze drżeć przy tym hałasie,

imitującym nastrój dzwonu
z przedziwną subtelnością tonu.

O Zygmuncie! słyszałem ciebie
i natychmiast poznam, gdy usłyszę.
Niech ino się twój głos zakolebie
i przenikliwy wżre się w ciszę,
w ciszę, pół-gwarną, pół-szemrzącą,
niech ino wpadną pierwsze tony,
tą melodją dźwięku rwącą,
już wiem: żeś Ty jest w ruch puszczony,
że wołasz, wołasz: P ó j d ź c i e z e m n ą,
i wołasz wiek już nadaremno.
Oni się, co najwyżej zasłuchają
i oczy mgłą im łez napłyną.
A gdy ty wołasz: W n i j d ź p o t ę g o,
wrażenia u nich pierwsze miną.
A gdy ty wołasz: D z i e j ó w k s i ę g o
r o z e w r z e j k a r t y n a d n a r o d e m!
N a r o d z i e, w r ó ż ę, z m a r t w y c h w s t a n i e s z,
choć stoją jeszcze, choć czekają,
czekają: kiedy brzmieć przestaniesz
i ton ostatni twój zawarczy...
Gdy więc za tobą pójść nie godni;
a czystych wrażeń tęsknią głodni;
na ten użytek „tam-tam" starczy.

L e g j o n.

SCENA XII.

(Noc nad wielkiemi wodami. Wody się kłębią od ciał, co w piekielnym uścisku sprzężone, żrejq się wzajem, szarpią, mordują. Na falach łódź wielka, której maszt: krzyż z długiemi ramiony, a żaglem wielka płachta chorągwi białej; na tej Vera Ikon Chrystusowej twarzy. Nad falami w powietrzu unoszą się skrzydlate Harpije, Zmory, Syreny, Erynije. Wioślarze mają ręce przykute łańcuchami i kajdanami do wioseł i dylów łodzi. U masztu stoi Mickiewicz i dzierży pochodnie, wysoko nad wioślarzami).

CHÓR

przykowałeś nam ręce łańcuchem

MICKIEWICZ

płyniecie ze mną w Arce
zespoleni, wzniesieni duchem

CHÓR

kajdany na rękach ciążą,
przykowałeś nam ręce łańcuchem,
wiosła ciążą i dłonie słabnieją,
przepadniem w kruchej barce.

MICKIEWICZ

zespoleni, wzmocnieni wiarą,
imajcie wioseł ze siłą
imajcie wioseł z mocą
płyniecie w Arce — Światła, w Arce!

CHÓR

przepadniem w lichej barce:
upiory w powietrzu krążą,
upiory, skrzydlate żarłoki;
wiosła ciążą i dłonie słabnieją;
na wodach widma szaleją,
kołyszą się trupy i płyną
żarłoki nad niemi krążą

MICKIEWICZ

Walka zakryła się Nocą
Nie patrzcie na płynące ciała,
imajcie wioseł z mocą,
imajcie wioseł ze siłą,
zespoleni, skrzepieni wiarą,
zespoleni, wzniesieni duchem:
płyniecie w Arce wybrani

CHÓR

przed nami Noc i Szatani
trupy za wodą płyną
już ciało jadem przegniło;
upiory w powietrzu krążą,
na wodach widma szaleją,
za nami, za nami dążą, —

ręce w kajdanach słabnieją,
przykowałeś nam ręce łańcuchem

MICKIEWICZ

zespoleni, wzniesieni duchem,
płyniecie w Arce wybrani,
imajcie wioseł z mocą
imajcie wioseł ze siłą,
nie patrzcie na płynące ciało,
trupy za wodą płyną,
spychajcie wiosłem, niech giną
w przepaści, Nocy, Otchłani.

CHÓR

Trupy na łódź się walą
woda przyrzuca je falą,
ciała się z wodą chwieją,
za łodzią, za łodzią płyną

MICKIEWICZ

Spychajcie wiosłem, niech giną

CHÓR

W kajdanach ręce słabnieją

MICKIEWICZ

Nie patrzcie na płynące upiory

CHÓR

Czyli woda, czyli trupów zapory,
woda się wzdęła wałami

MICKIEWICZ

Szatany, Szatany nad wodami

CHÓR

Widma w powietrzu szaleją,
lecą skrzydlate żarłoki,
przysiądą i trupy żreją

MICKIEWICZ

Nie patrzcie

CHÓR

ręce słabnieją
ciała się z wodą chwieją

za łodzą, za łodzią płyną,
nastają z falą, nastają,
nawy się tonące czepiają;
przepadniem w lichej barce

MICKIEWICZ

płyniecie w Świateł Arce;
wokoło Noce szaleją,
upiorów ćma skrzydlata, —
nie patrzcie...

WIOŚLARZ I

trup mego brata
łodzi się uczepił ręką;

MICKIEWICZ

wioślarzu, zapomnij brata,
nie czas płakać nad bratem
wiosłujesz światło świata;

WIOŚLARZ II

mój ojciec, trup mego ojca
z krwawiącą, rozbitą szczęką
ochlusnął mnie krwi szkarłatem.

MICKIEWICZ

przyodziej się krwi szkarłatem,
wstąpiłeś do męki ogrojca
wyrzekłeś się ojca dla Sprawy,
przysięgałeś, że idziesz do Sławy,
wiosłujesz światło świata,
zapomnij ojca i brata.

STERNIK

Oto matka moja poraniona
na pokładzie upada i kona
krew z ust bucha, ostatnia to męka;
szat moich czepia się ręką;
ręka przy sterze słabnieje;

MICKIEWICZ

nie zejdziesz, nim świt zednieje,
choć matka śmiertelnie raniona,
przez krew będziesz Arkę prowadzić,
poprzysięgłeś był Sprawy nie zdradzić:
nie zejdziesz, choć serce szaleje

STERNIK

O męko, straszliwa męko;
uwolnij, przez krew łódź płynie;
woda krwią płynie czerwona;

MICKIEWICZ

ze krwi ofiarę uczynię
a ofiara będzie policzona

STERNIK

o matko, ty umęczona
a Syn się poprzysiągł Sławie;
kajdany mym rękom ciążą

WIOŚLARZ I

o bracie, żelaza mnie wiążą
żem duszę zaprzedał Sprawie

WIOŚLARZ II

serce i duszę zakrwawię;
trupy koło nas krążą

CHÓR

pochodnia dogasa, pochodnia!
pochodnia dogasa u steru.

MICKIEWICZ

Nie patrzcie, nie patrzcie, do steru!

CHÓR

W powietrzu jęk, gaśnie pochodnia!

MICKIEWICZ

Nie słyszcie powietrznych jęków,
nad światem przechodzi Zbrodnia,
zbrodnia się stała u steru.

CHÓR

Krew trysła, krwią spłynęła pochodnia,
upiory się zbiegają do żeru,

MICKIEWICZ

nie patrzcie,—nie patrzcie, do steru!

CHÓR

Nie widzim kto na okręcie!
wokoło Noce. Otchłanie.
Gdzie płyniem, na czyje zaklęcie;
coże nam po Sławie, po Sławie,
gdy serce zlękłe w obawie
o ród nasz, o braci, ojce;
zaszliśmy w męki ogrojce.
coże nam po Sławie, po Sławie!
próżna nam Arka i Sława,
gdy serce szaleje trwogą,
wokoło śmiertelna jawa.
1. Pochodnia w łęku dogasa
2. Nie widzim kto na okręcie
3. trupy, wał trupów w odmęcie,
fale się wzdymają od ciał;
jako od raf i skał,
łódź się na trupach przegina.

MICKIEWICZ

Larwy, piekielne upiory,
Szatanów kłamliwe Piekła,
nie patrzcie, kto sercem chory,
kogo miłość kłamliwa urzekła.

CHÓR

1. O poznaję ojca!
2. patrzę syna!
3. o matka!
4. o dziecię zabite!
fala jak kołyska je trąca
5. o żono! patrzy tonąca!

MICKIEWICZ

Nie patrzcie, piekielne larwy,
kłamliwa was miłość urzekła,
głąb wyrzyga widma Piekła.

CHÓR

Kłamliwa nas miłość urzekła,
do twojej wstępować łodzi,
pochłoną nas fale powodzi,
potopu zaleją nas wody;
przyrzekałeś, przyrzekłeś Gody.

MICKIEWICZ

Przysięgaliście na Śmierć i na Mękę
przysięgaliście na chorągiew Zbawienia,
Duch wasze złączył Sumienia,
Sprawie przysięgliście rękę.

CHÓR

Odprzysięgamy sumienia,
żądamy odprzysiąc rękę,
na Śmierć zawiodłeś i Mękę.

MICKIEWICZ

Niegodni, niegodni istnienia!
przecz Śmierci lękacie się trwogą?
zaparliście się tworzenia,
odprzysięgliście sumienia,
cóż ręce wasze mogą, —
Trwożliwe duchy, zaprzańce
precz w Otchłań, w Noc zapomnienia,
Niegodni, niegodni istnienia,
przecz daremno śle Niebo błyskańce!
Będziesz słyszeć gromy potępienia:
Duch nad cię przemówi Słowo.

CHÓR

Oto mową mówi piorunową,
oto prorok, prorok, oto lew,
oto wkoło Noc i morze krwi.

MICKIEWICZ

Mieliście być jako lwi!—
Wkoło Noc i morze krwi,
we świętej Arce płynący
wśród odmętów, otchłannej topieli,
jakoście pierwsi pośpieli
jakoście pierwsi powstali.

CHÓR

Jak wytrwać, wokoło burze,
niebo zawieruchy chłoną,
mgły wkoło, przepaście odmętu,
na pokładzie krwi ciepłej kałuże.
O ręce we krwawej jusze,
nie przeniesiem odrazy i wstrętu,

proroku, gdzie wiedziesz wybrańce?
Obiecywałeś Raj złoty,
Słoneczne kwiatów pogody,
a krwią spłynęły narody.

MICKIEWICZ

Na Gody was wiodę, na Gody,
krwią żywą spłynęły narody,
omyj się we krwawej jusze.

CHÓR

Jawny lęk porywa dusze,
my w grzechu, we krwawej jusze,
przez Noc płyniemy w niemocy,
słabniemy, słabniemy, słabniemy.
Pochodnia i Światło gaśnie.

MICKIEWICZ

Na Gody was wiodę, na Gody,
oto Światło, pochodnia co gaśnie;
oto Światło serca utajone
żywym już ogniem rozjaśnię,
będzie Światło żywe dopełnione.

CHÓR

Ogień zanieca na łodzi!!
chce spalać desek pokłady,
do Zagłady dąży, do Zagłady.
1. Co czynisz proroku klęski,
2. czyn-ogień zanieca w łodzi,
3. trupy w ogniowej powodzi
powiedzie hetman zwycięski;
4. Co czynisz proroku klęski!

MICKIEWICZ

Umarłe! Śmierć was odrodzi!
zapalam desek pokłady,
dopełnię dzieła zagłady.

CHÓR

Zagładą grozi, zagładą, —
ogień się ima łodzi!
O, patrzcie, u steru pokładu
Śmierć, Śmierć ster wodzi!!!

MICKIEWICZ

Niemasz lęku i trwoga daremna,
oto Noc płomieniem czerwona,
łódź z wami ogniem szalona,
patrzajcie Śmierć ster wodzi!
Dopełni dzieła zagłady
Zmartwychpowstania przysięga!
Ze śmierci ciał się urodzi
Duch Słowo, Słowo potęga!

CHÓR

Ogień już steru sięga
płomieniem ster porze odmęty
przeklęty prorok, przeklęty,

MICKIEWICZ

Spełnione dzieło zagłady,
Zmartwychpowstania Przysięga!

CHÓR

Giniemy, belki się walą,
Śmierć, Śmierć u steru łodzi,
płomienie piersi palą.

MICKIEWICZ

Zmartwychwstaniecie młodzi!

(wśród łun pożaru widać Tanatos, jak kieruje sterem Korabiu).

Z DRAMATU: **Noc Listopadowa.**

POD POSĄGIEM SOBIESKIEGO.

GOSZCZYŃSKI

Wiatr dmie, że ogród cicho łka
za każdym liści szelestem...

GŁOS I

Idą.

GŁOS II

O teraz słychać gwar...

GŁOS III

W pałacu gasną sale.

GOSZCZYŃSKI

Zapada mgła — — Ty jesteś bracie?

GŁOS I

Jestem!

GOSZCZYŃSKI

Policz nas.

GŁOS I

Szesnastu ludzi.

GOSZCZYŃSKI

Po drzewach jakaś arfa gra
i ogród jęczy tłumem mar.

GŁOS I

Jeźli się książe obudzi?...

GŁOS II

A jeśli nie przyjdą cale? —

GOSZCZYŃSKI

Niepokój, ogień piersi żre.
jak Harpja; złość ssie krew,
Przysięgi, jako słowa czcze;
na marne poszedł siew.

GŁOS I

Już idą...

GOSZCZYŃSKI

Słyszę.

GŁOS III

To szum drzew.

GŁOS I

Nie przyjdą.

GOSZCZYŃSKI

W ogród wstąpił czar.

GŁOS I

Będziem wszystko bić w łeb,
w łeb i na odlew z obu stron.

GOSZCZYŃSKI

Gałązki obsiadł lśniący szron
i coraz gęstsze smugi mgły,

GŁOS I

Już idą — —

GŁOS II

Czy to ty?

GŁOS I

Tak ciemno.

GOSZCZYŃSKI

Ulituj się ty Boże nade mną; —
Sądzisz, że już koszar dopadli?

GŁOS I

Tak sądzę.

GOSZCZYŃSKI

Ta cichość mnie zabija —
Nie wraca nikt.

GŁOS I

Wicher szumi.

GOSZCZYŃSKI

Czas mija.

GŁOS I

Na zimnie stoję godzin dwie.

GOSZCZYŃSKI

Milcz. — Ogień piersi pali,
ręka się niecierpliwa rwie.

GŁOS I

Byleśmy się tam w pałac dostali,
tego pana z pościeli zwlec.

GŁOS II

Co powiesz, jeźliby zdążył zbiec? —

GŁOS III

Mgieł gęstwa na ogród spada.

GOSZCZYŃSKI

Stoimy jako orłowie w chmurze.
Drzewa szepcą, — miotem gałęzi
a krzewy w słomianej uwięzi
przystanęły, równie jako my,
w oczekiwaniu i lęku.

GŁOS III

Idą mgły.

GOSZCZYŃSKI

Wicher powiał szumem...

CHÓR

Ogród gada:
Przystanęli tak bohaterowie młodzi
na ogrodzie w bolesnej zadumie.
A oto przy drzew śpiewnym szumie
posąg staje we świateł powodzi.

GOSZCZYŃSKI

Wszakże on wskazuje — — tam

NABIELAK

W stronę pałacu wskazuje.

GOSZCZYŃSKI

Jak gdyby rozkaz daje nam.

NABIELAK

On wie i czuje,
to, co czujemy my.

GOSZCZYŃSKI

Widzisz — ręka mu drży.

NABIELAK

To księżyc cień rzucił liści
i cień liści przemknął po ramieniu.

GOSZCZYŃSKI

Jak śnieg on biały w tym odzieniu.

NABIELAK

Wskazuje tam a patrzy żywym okiem.

GOSZCZYŃSKI

Przykuł mnie wzrokiem.

NABIELAK

On wie i czuje.

GOSZCZYŃSKI

Patrz — drgnął, — to koń się wspina! —

NABIELAK

To cienie drzew.

GOSZCZYŃSKI

Bije godzina.

(Przystanęli tak bohaterowie młodzi
na ogrodzie w bolesnej zadumie
a oto przy drzew śpiewnym szumie
niewiast dwie pośrodkiem przechodzi.

Idą środkiem, śród młodych szeregu.
Idą wolno ujęte uściskiem...
Nie powstrzymać tajemnic w ich biegu...
Noc ta dziwnym przemawia zjawiskiem:)

(Demeter z córką Korą żegna się).

KORA

Powiedzie mnie Orkus w noc,
w świat ciemny wichrów burz;
nie zaznam słońca już,
nie zaznam twoich ust, twych ócz;
o matko, żegnaj dziecię.

DEMETER

Żegnaj mi dziecię, żegnaj córo;
Orkus cię czeka, Orkus wzywa,
musisz zejść k'niemu nieodbicie;
zejdziesz w kraj śmierci, poślubiona,
kędy cię żenie Moc straszliwa,
Moc niezbłagana, bezlitośna.
Pomnisz, pamiętasz wielą laty,
jakom płakała lubej straty,
i skargi wodziłam żałośna.

KORA

Orkus mnie wzywa, idę żona,
przez letni jeno czas szczęśliwa,
gdy z tobą matko, blizka tobie; —
a oto dzisiaj znów w żałobie,
drogą co wiedzie do podziemia,
idziem i płaczem obie.

DEMETER

Pocałuj usta, całuj oczy;
tak-że się smutkiem lice mroczy
i całun biały cię otula
a przedsię róż z twych lic nie płoszy? —

KORA

O matko, przykrać ta koszula,
którą przywdzieję, ślubna jemu,
przemieszkująca tam w pustoszy.
O matko, przykreć to wezgłowie,
które podadzą służebnice,
gdy legnę w jego łożnice.
Jakoż uchylę moich losów?
Orkusa miłość jak oddalę?
Jak Orkusowi ślubowana,
czarem miłości zniewolona;
oto się już tajemnie palę
i oto już tajemnie płonę,
bym jego uznała pana
a on przytulił mnie żonę.

DEMETER

O córo, żegnaj ukochana;
matczyne serce pogardzone;
już mnie nie trefić twoich włosów,
ostatni raz twe plotłam kosy;
już mnie nie stroić tobie szatki,
już idziesz precz od matki;
jeno mi dziwno, że twarz płonie,
że twoja twarz w rumieńcach;
tyżeś się stała rozkochana,
żeś w ślubnych wyszła wieńcach?

KORA

O matko, wstydem przed cię płonę
a żar me piersi pali —
żeście mi poznać miłość dali;
wszakżeś wiedziecie mnie dziś żonę,
więc się ten płomień w licach trwali;
przetom spłoniona i rumiana,
i tobie wyznać muszę.

DEMETER

Jakoż te więzy twoje skruszę?

KORA

O nie sądź one nieznośliwe.

DEMETER

Tęć więzy ciebie mi odbiorą.

KORA

O matko, — letnią wrócę porą.

DEMETER

Do łata, wiosny czekać długo.

KORA

Muszę do czasu tam być sługą
i muszę jemu żoną.

DEMETER

Pierwej-że z matką twą rodzoną
być tobie wolną i dziewiczą,
niż tam w podziemiu niewolniczą.

KORA

O matko, przedsięś przepomniała:
w ogniach miłości stoję cała, —
czas bym odeszła już.
Żegnaj mi, — żegnaj matko dziecię;
z wiosną mię drugą znów ujrzycie.
Odchodzę precz w kraj snów.

DEMETER

Odchodzisz w ciemnie wichrów, burz;
nie zaznasz słońca już...

KORA

Za drugą wiosną wrócę znów.

(Tu przystanęła zapłoniona,
Z objęć się matki uchyli;
przejrzysta kryje ją zasłona
a w zadumanej jej postawie
widać, że łzami mówi prawie;
a z ócz i czoła to zgadywać,
że jakąś tajemnicę sili,
którą kazano jej ukrywać.
Łzy te, co jej do ócz się cisną,
dziwnym weselnym blaskiem błysną.
Na ustach palec położyła
i tak do matki swej mówiła):

Pamiętasz, matko, jako lecie
ustroiłam się w żywe kwiecie
i biegłam do cię w śpiewie, z pola?...

DEMETER

Spominasz darmo dzień wesoły
na dniu, gdy obie płaczem społy,
że nie odmienna tobie dola,
że giniesz dla mnie, twej macierze,
gdy cię za żonę Orkus bierze
i za Styg wiedzie, ku otchłani,
gdzie będziesz władać i pani.

KORA

O matko, Hymen mnie powiedzie
w orszaku sług na przedzie;
pochodnię smolną spali jasną.
Sługom na czoła wieńce włoży
i śpiew zanuci pochodowy,
jako mam zacząć żywot inny,
zasiadszy tron królowy.

DEMETER

O córko, rzucasz matkę własną;
w pochodniach, które dla cię płoną,
żywoty onych gasną.

KORA

Z wiosną, gdy pierwsze lody spłyną,
gdy pierwsze wichry powioną,
wrócę i żywot zacznę nowy.

DEMETER

Rzucasz mnie, — to ostatnie chwile,
jako na ciebie patrzę żywą?! —

KORA

Ja, matko, będę tam szczęśliwą.

DEMETER

A przedsię droga to cmentarna.

KORA

Tajemnic tobie część uchylę:
Nie jestem ci ja, matko, ubogą;
bogate podziemu śpichlerze:
z każdego owocu się bierze
nasienie i skrzętnie kryje;
tam przechowują się ziarna,
a jak je przyniosę na świat,
to każde kwiatem odżyje
i owoców urodzi mnogo.

DEMETER

Patrz! wszystkie pędy pomarnieją,
gdy nocą wichry powieją;
patrz, oto martwy konar drzew.

KORA

Pamiętaj, matko, wczesny siew.
Śpieszno mi odejść, śpieszno tam,
gdzie stróżką ziarn być mam
i zgarnąć wszystek płód.
Rzeczy tajemne tam się dzieją;
nie mogą się beze mnie stać.

DEMETER

Opuszczasz mnie, mnie, twoją mać, —
do serca podszedł chłód;
już idziesz, biegniesz, śpieszysz...
Marnieją moje letnie chudoby;
o bezlitośna, ty się cieszysz
a mnie ostawiasz groby.

KORA

Z tajemnic moich, matko znaj:
Jest inny tamten kraj,
kędy są wiecznotrwałe siły;
z tych coraz nowy rośnie pęd
i wzejdą i będą rodziły.
Tam wszelki żywot ma swój byt
i czeka, aż dlań błyśnie świt
i czeka, aż dlań przyjdzie czas:
zajaśnieć pełnią kras.

DEMETER

A te zwarzone, kędyż legną;
im-że w barłogu zimnym gnić?...

KORA

Umierać musi, co ma żyć...

DEMETER

Ty na śmierć wiedziesz twe służebne!
Poznaję miłość twą przeklętą
i moc i słowa twe wróżebne.

KORA

My oto, matko, zmartwychwstaniem
na wielkie siewu święto.

DEMETER

Już palą dla cię pochodnie!!

(Wchodzi Hymen, jego orszak z pochodniami i muzyką i otaczają Korę).

KORA

Z tajemnic moich, matko, wiedz:
Gdy wszystko żywe musi ledz
pod ręką, która znaczy kres;
śmierć tych użyznia nowe pędy
i życie nowe sieje wszędy.
Więc smutna, matko, tym rozstaniem,
ale weselna tajemnicą,
szaty przyoblekłam godnie. —
Poniechaj żalu, poniechaj łez.

DEMETER

Obłędna, stamtąd nikt nie wraca;
Przysięgą zguby więzisz duszę.

KORA

Gdy więzy śmierci skruszę
i zieleń pędów nowych rzucę

na niwy, łęgi, na zagony, —
o matko, Bogów godna praca! —
sposobić każ lemiesze, brony...

DEMETER

Śmierć biorąc żywa, spełniasz zbrodnię!

KORA

(stała się poważna).

Zaś w nieśmiertelnych wieńcu wrócę.

MUZYKA

(weselna zaczyna grać).

DEMETER

Noc cię uwodzi w wieczność ciemną.

KORA

(stała się rozkazującą)

Pochodnie święte nieść przede mną!!!
Przede mną weselne pochodnie!!!

(Orszak, muzyka weselna otacza Korę i uprowadza do podziemu)

DEMETER

(przepada na ogrodzie)

PODCHORĄŻY I

(wbiega nagle)

Piotr nas Wysocki śle.
Sam idzie.

GOSZCZYŃSKI

Gdzie?

PODCHORĄŻY I

We mgle.
Ku koszarom kawalerji na bój.
Chce ich dopaść uśpionych co tchu.
Gdzie twoi?

GOSZCZYŃSKI

Czekają tu.

PODCHORĄŻY

To wszyscy?

GOSZCZYŃSKI

Tylu wystarczy.

PODCHORĄŻY

A reszta?

GOSZCZYŃSKI

Czekać daremno.

PODCHORĄŻY

Ja drogę wam wskażę do domu.

PODCHORĄŻY II

(nadbiega)

PODCHORĄŻY I

Wysocki przydzielił nas dwuch.
My znamy przejścia pałacu.
Strzec bacznie wszystkich wyjść,
by książe sam pokryjomu
nie uciekł.

GOSZCZYŃSKI

Patrzaj, drga we wichrze liść
i drzewa grają szumem.
A przyniosłeś naboje, ładunki?

PODCHORĄŻY II

W tej puszce, — rozdzielcie, bierz.

GOSZCZYŃSKI

Więc Wysocki dobędzie koszary?

PODCHORĄŻY I

By ino wpadł znienacka do leż.

NABIELAK

Gotowi?

GOSZCZYŃSKI

Gotowi.

PODCHORĄŻY I

Za mną!

(pada strzał wpobliżu)

GOSZCZYŃSKI

Słychać strzał!

PODCHORĄŻY II

To Wysocki już wyszedł z ogrodu.
Wystrzałem sygnał wam dał.

GOSZCZYŃSKI

A pokłońmy się białemu królowi...

PODCHORĄŻY II

Gotowi?!

NABIELAK

Gotowi!

CHÓR

Gotowi!

(wybiegają).

DEMETER

(wchodzi)

Gdzieżeś córo, co byłaś mi ptakiem,
radośnym letnim śpiewakiem? —
Zda mi się jeszcze płacz twój słyszę
i słuchem gonię w głuchą ciszę
i zapłakana żalem dzwonię
ji w skardze słuchem własnych jęków,
jakoby twoich córko lęków.
A tyżeś może tam wesoła? —
Płoniesz Hymenu płomieniami? —
Cóż będzie córo z memi dniami?
Cóż będzie z długą ciemną nocą
dla mnie, gdy cale światłem ninie
oczy twe dla mnie nie migocą
i jeden dzień za drugim spłynie
i noc za nocą spadnie,
a ciebie przy mnie nie będzie? —
Tyżeś już zaszła w te otchłanie,
gdzie Orkus straszny władnie,
skąd moc cię moja nie dobędzie? —

(nawołując)

Hekate, córko Tytana Taurydy, światłonośna niewiasto, dzierżąca pochodni dwoje, — zjaw się ty czujna wszelkim skargom i żalom; ty, co obecna jesteś, gdy matki rodzą; ty co samotnych strzeżesz pustkowi i drogom roztajnym stróżujesz. Zjaw się!

(z pod ziemi wychodzi)

HEKATE

(pochodni dwoje dzierży w ręku)

Oto stoję!

DEMETER

Córkę mi wydarto, porwano i uwięziono; straciłam ją z przed oczu, pięknolicą i młodzieńczą. Gdzie jest, gdzie zanikła, zatraciłam pamięć i nie wiem, i przeto ciebie wzywam, leć, goń, szukaj; o ty, która odgadujesz tajemnice bogów i ludzi przywodzisz do utraty rozumu i do szału, leć ty i świeć dwojgiem świateł głowni płonących i odnaleź córkę moją najmilszą.

(oddala się w ogród.)

HEKATE

Do mnie Eumenidy lotne; wy, które zamieszkujecie Tartaru rozległe pustkowia skalne! Dalej! wy, kroczące w mroku i chmurą otoczone ciemną.

Przybądźcie! Krzywda się stała!

EUMENIDY

(wychodzą z pod ziemi).

HEKATE

Wy wylęgłe z kropel krwi, padłych na ziemię czarną; ze krwi mordowanego zrodzone, a przeto krwawemi łzami płaczące.

Porwano oto pełne życie
w pełni świeżości kras
i uwiedziono w noc i grób
i uwiedziono na rozdroża i łęgi zapadłe.
Patrzajcie, krzywda się stała:
Oto wszystko widzicie umarłe,
powiędłe i zgasłe i zbladłe;
ziemia się stała, jako trup,
drzewa obnażone z szat,
zdeptany owoc, kwiat.
Hej, wy Eumenidy lotne,
do zemsty! do zemsty mściwe!
Krzywdy się stały straszliwe.
Zburzona spokojność chat
i cichość małżeńskiego łoża.
Szałem obejmujcie duszę,
niechaj w obłędzie krwią poją się ciała
i duch się świetli zbrodniami,
pognany w męczarń katownie,
Do zemsty! Krzywda się stała!
Zapalcie czerwone głownie!!!

EUMENIDY

(Już zapalają swoje żagwie
i nagle u blasku łun czerwonym,
oczy ich świecą krwią ociekłe.
Na głowach węże, w splot wiązane,
czoła im bólem prężą
a one bólem, raną wściekłe,
wsłuchane w słowa te wołane).

HEKATE

Nie spoczniem, aż trzykroć razy
księżyc się odmieni złoty.
Poprzysięgnijcie loty,
nie spocząć, wy niestrudzone,
aż krzywdy będą pomszczone.
Wojna, wojna, wam żer i wasza objata!
Na świat, na świat, wy mściwe!

Upadajcie ludziom na pierś i kark
i ssajcie ze serca krew,
niech znają Boży gniew.
Wężami przegońcie park
i dalej, dalej i dalej,
latami sięgnijcie świata!
Rózga niech mściwa obali!
Ziemia oto we skardze zadrżała:
Krzywda, krzywda się stała!!!

EUMENIDY

(rozbiegają się po ogrodzie)

HEKATE

(zapada się).

TADEUSZ MICIŃSKI.

Urodzony w 1873 r. w Królestwie Polskim. Wespół z Sewerem napisał silny dramat *Marcin Łuba*; indywidualność swoją przejawił dopiero zbiorem poezji *W mroku gwiazd* (1902); *Do źródeł duszy polskiej* (1905), szereg gorących inwokacji i rozmyślań nad najważniejszemi zagadnieniami życia zawodowego; dramat *Kniaź Patiomkin* (1906).

Czarne księstwo.

Pną się we mnie czarne kwiaty —
złote kwiaty,
krwawe kwiaty.
Nim Adonai przeklął Kainowe plemię,
wirowały już te światy,
w ogniach Mocy i Tronów —
i z kryształowych dzwonów
płynęły w rajskich melodjach na ziemię.

Ach, moich szaleństw złowieszcze bachmaty
wichrem spadających komet
uniosły mię w zamek Chimery —
gdzie na krzyżach rozpięte
ciała męczonych Andromed
i niemych Sfingów twarze wniebowzięte.

(...fosforycznie przyświecają
w studniach głębokich —
jednookich
olbrzymów do się zapraszają....)

Na rubinowym szczycie, oplątana w ljany
zodjaków i w sennych mgławic protosfery—
ta Jeruzalem piekielna.
Jako płonące świeczniki
żarzą się wichrem rozszumione cedry.
Wśród kolumn czarnych olbrzymiej katedry
zaklęta postać leży Bereniki
(...a hymn jej grają
zimowe bezdroża —
a skrzydła nad nią roztaczają
Samumy...)

* * *

Pośród nocy miesięcznej, przez bory
orszak magów płynie w adoracji —
nad słoniami złota kiść akacji —
to królowie wyklętej Gomory.

W tańcu zwiewnym czarne bajadery
lśnią skarbami podziemnej Golkondy —
Na warkoczach skrzą gwiazdy, drżą szmery,
jak kwiat mango w ściskach anakondy.

Wrzask tympanów, brzmią dzikie litaury,
Od pochodni goreją świątynie —
to na Olimp się wdarły Centaury
i w zadumie patrzą na boginię:
(a hymn jej grają
zimowe bezdroża —
a skrzydła nad nią roztaczają
Samumy).
Nad cysterną — wśród gorącej splątanej zieleni
kwiat niewoli brudną krwią się mieni
i zatapia w mrok siny swe łona —
duch za kratą wytęża ramiona.

* * *

Kiedy w rajskim dziwnym śnie,
kołysany szeptem tulipanów,
w mgły srebrzyste przyoblokłem Cię
na dalekiej wyspie Oceanów

(w dziwnym rajskim śnie) —
szafirową w ogniach różę
wydałem z mojego łona
i łzy szczęścia w gwiazd wichurze
przetopiłem w blask Orjona —
ach, ujrzałem Cię:
przeze mnie wyśnioną,
przeze mnie na wiek potępioną.

Bóg mściwy wywarł ten mój serca kwiat
i wśród jaskiń księżyca pustyni
duchy wężów się wzniosły w las pinji —
a ze skał niebosiężnych, gdzie był chram,
patrzył na mnie fosforyczny, zimny gad—
ze skał, gdzie się tuli śmierć do bram.

* * *

Ponad głębiami czarnych wód
leżę w bezchwiejnym, cichym śnie
i marzę — że ty przyjdziesz do mnie
tam strącić — w swój piekielny gród.
Na uczcie króla Baltazara
sfałszował mag żydowski Daniel
jej złote imię Uhparisim.
A imię znaczy:
— nieśmiertelny
— i bogom równy!
— zejdź w zimny wilgotny loch kościelny
— i zabij tę, co w trumnie śni —
— Mené — Mené — co w mroku lśni —
— jej duszę — serce twe —
— Mené — Mené —
— a ja Cię wzniosę — bóg piekielny —
— ponad aniołów czyn niedokonany
— ponad najgłębszą z gwiazd
— o której mędrce marzą i szatany...
O pani konających, nasyć oczy moje.

Ananke.

Gwiazdy wydały nade mną sąd:
— wieczną jest ciemność, wieczny jest błąd
— Ty budowniku nadgwiezdnych wież
— będziesz się tułał, jak dziki zwierz,

— zapadnie każdy pod tobą ląd —
— wśród ognia zmarzniesz — stlisz się jak lont.

A gwiazdom odparł królewski duch:
wam przeznaczono okrężny ruch,
mojej wolności dowodem błąd,
serce me dźwiga w głębinach ląd.
Poszumy płaczą mogilnych drzew,
Lecz w barce życia płynie mój śpiew.
Ja budowniczy nadgwiezdnych miast
szydzę z rozpaczy gasnących gwiazd.

Bądź zdrowa.

Bądź zdrowa! [jak dziwnie brzmi dzwon!]
Bądź zdrowa! [lecą liście z drzewa...]
Bądź zdrowa! [miłość jest jak zgon...]
Bądź zdrowa! [wiatr złowrogi śpiewa...]
— *Już nigdy!* —
Rwie serce twój płacz!
— *Wydarł się z piersi niespodzianie,*
— *żegnam Cię — trzeba — i Ty Boże racz* —
— *litości!...* — —
W konie!... Chryste Panie.

Witeź Włast.

(Ponura olbrzymia sala w Krzyżtoporskim zamku: ciemna, o wysokim łuku sklepień, wązkie framugi przepuszczają krwawe, ostre wiry zachodzącego słońca. Mury pozieleniały od pleśni — na łóżku kilka skór kozich i wilczych. Pod obrazem Matki Boskiej, gdzie tli się niebieska lampka, wisi czarna szabla i nieśmiertelniki; starodawnych kilkoro ksiąg na wielkim góralskim stole i krucyfiks. Sędziwy król Włast pisze — w ubogiej płóciennej czamarze, wysoki, z wyrazem świętości i natchnienia).

WŁAST

Nosząc w sobie te uczucia, a oraz czując krzyż Wasz, Ojcze Święty — krzyż, jaki od początku chrześcijaństwa nie spoczywał jeszcze na stolicy apostolskiej, czując, że złe usiłuje uczynić jeszcze cięższym krzyż ten!... błagam Boga, który jest w niebiesiech — aby, nie wodził Was, Ojcze, na pokuszenie.

(Wchodzi Melchior, sługa i dwa orły zabite rozpościera za skrzydła).

WŁAST

(pisząc dalej):

Poddaliście się temu złemu, podparliście i wzmocniliście to złe siłą władzy waszej — dopuściliście, aby Rzym stał się siedliskiem grzechów ducha, — aby w tym miejscu Chrystus Pan ukrzyżowany był niż gdziekolwiek na świecie *(spostrzegając orły)*. Cóż to?

MELCHIOR

Krzywda nam się dzieje! okrutna krzywda, te orły gnieżdżące się na niedostępnej wieżycy—święty znak zamku Krzyżtoporów i wielkiego rodu, co duchem wodził naród, naród rozpostarty od morza aż po góry Tatr — te orły widzące Boga, gdy ginęły z oczu ludziom — Panie! te orły już zabite!

WŁAST

Może piorun je uśmiercił — to jest los zbyt górnie nad chmurami lecących, którzy królewskie władyctwo rozpościerają na pokorne rody sarn, świstaków, łabędzi. Śmiercią żyjąc, zaginąć musiały.

MELCHIOR

Wstyd Wam to, Miłościwy Panie, którzyście sami szli za wielką sprawę z mieczem, — wstyd potępiać orły rodu swojego.

WŁAST

Nie potępiam — lecz widzę szlaki nizinne a więcej boże. Jakże zginęły?

MELCHIOR

Myślicie, że od kuli zuchwałego myśliwca?—Żołdaki Krzeczuna postawili im przynętę na bagnie, przynętę z białego jagnięcia, który beczał w szuwarach za matką, wtym orły ukazały się nad jeziorem moczarnym, długo krążąc jęły się opuszczać, lecz jakby niedowierzające. Jam był zdala, nie spodziewałem się też podstępu, wtym nagle orły, padszy na moczar, jęły skwirzyć przeraźliwie, wleczone sznurami po bajorze. Miłościwy mój! kijami połamano im skrzydła, w źrenice wbito im gwoździe, a błocko i krew uczyniło z nich te nieforemne maszkary. Nie miałem broni— krzycząc, biegłem dokoła jeziora, a te rozbójnicze sotnie śmiały się ze mnie: chamie, ratuj panów! — niebo tak było szafirowe i złe! Ot, zbity jestem, skopany buciskami, a najgorzej, że już orłów nie będzie w tym zamku! Zbóje! na sam widok teraz ich munduru! mam jeszcze broń zakopaną w ziemi z dawnego powstania, te celne ślepia, umiejące patrzeć za orłami w przestworzu, wyśledzę w wąwozach!

WŁAST

Spójrz w lice umęczonego Chrystusa!

MELCHIOR

Zaczarujmy kule, załóżmy proch pod zamczysko, i tak zginiemy, broniąc się i zagrzebując razem z nami w podziemiach relikwie i testamenty.

WŁAST

A jeżeli Bóg nie zechce nas śmiercią zbawić i uwiędniemy jako trawy zżęte, rzuceni na gnojowisko, gdzie lęgną się robaki i żmije — w upokorzeniu, w męce, w niechlujnej jamie życia — dziej się wola Twoja, Chryste!

MELCHIOR

I docisk ma trwać dalej? i Krzeczuny będą panowały? i robak z piekła, który nie umiera, przyjdzie tu — w święte podziemia zapuści swój niecny narybek!

WŁAST

Niechaj rozpanoszy się złe i podepce nas stopą ciężką — czyż przeto my dla Boga staniemy się niczym, gdy On dla nas jest Jakóbową drabiną upokorzeń, zanurzoną aż na dno męczarni piekielnej, a wznoszącą się poza góry Tatr, ku gwiazdom niewiadomym na ziemi!

MELCHIOR

Więc jeśli mamy żyć—to niema rady, musimy zwyciężyć. Niedarmo jest baśń wśród ludu o witeziu Właście.

WŁAST

Myślisz o synu moim? Ma on broń, zaiste, trud i blask chrześcijaństwa.

MELCHIOR

Królewicz objawi nam, gdy wróci.

WŁAST

Już nam Bóg objawił!

MELCHIOR

Miłościwy, będę mówił srogo, bo mi już serce wypłynęło z piersi. Mocniejszy, niźli nasza wiara jest książę ciemności. Nie obroniły nas święte ołtarze, ani to zamczysko! Życie nasze musi być zasadzone w ziemi wiecznej, na nowy bór.

(Włast patrzy zdumiony i zachmurza się).

MELCHIOR

(wybucha płaczem).

Panie, nie chcę tracić wiary,
ale tu — nas szatany rozdrapią;
bo się pogięły filary,
z ostrołuków łzy niebieskie kapią!

Mchy, paprocie, grzyby i skrzypiele —
cały herbarz grobu i moczarów,
do nas, Panie, przyszedł na wesele
i wieczorem — wśród mglistych oparów
widzę jakby duchy utrapieńce!
Pokazałem ich raz pannie Leńce.

WŁAST

Milcz, daj wody!
(Melchior, podając, wzdycha).
Znowu?

MELCHIOR

Bo już niema wina
a Ty władco nikniesz w oczach.

WŁAST

Brednie — jestem gliną,
w piecu mię garncarz przepala,
i naczynie on Panu sposobi,
i w ornament mię prosty on zdobi,
a co człeka nie wzmoże — to skala!
Wieści żadnej?

MELCHIOR

Prócz bożego znaku,
którego my, ludzie, nie umiemy czytać.

(Orły zawiesza nad drzwiami – przybijając im skrzydła gwoździmi).

WŁAST

(do siebie)

Tak wisiał na bramie Stambułu, nie chcąc się wyprzeć Boga, niejeden z pradziadów naszych, zaczepiony o żebro na żelaznym haku!

(Otwierają się na oścież drzwi, w złotej oślepiającej powodzi światła — Lena. Staje przez chwilę, zbliża się po omacku do Własta).

LENA

O, jak tu zimno w tym mrocznym kurhanie,
gdzie rosną puszcze sennej pleśni!
Słyszycie! grają słońca pieśni
na Przemienienie i na Zmartwychwstanie!

WŁAST

Amen, dzieweczko, lecz nie grom starości,
że schodząc w mrok, mroczne kwiaty rości!

LENA

Wykradłam tajemnicę bytu
i w purpurową krwi każdą kropelkę
zaklęłam słońce! jak ptak wśród błękitu
lecę — a bóle mi różami płoną.

WŁAST

Jesteś poetką szaloną!

LENA

Kłaniały się niwy złociste
mojemu sierpowi —
śpiewał skowronek przejrzyste
melodje....
Maki oprzędły w korale
na bronz opalonych żeńców
i płynęły ziemi żale
w pieśni olbrzymiej tych jeńców.
Słońce jakby szukało ofiary
podwajało blask i żary
płomienne rozpaliło morze.
Błysnęły kosy jak noże
święcone w zboża krwi.
W zaświatach płonęły zorze,
wstaje królestwo Boże
i naród lwi.
I biegłam przez pokosy
patrząc na lud ten bosy,
co nucił groźny śpiew —
a w moim sercu wrzały
kipiące życiem skały —
Mojżesza gniew!
I szłam przez morze kłosów —
zrzuciłam z siebie szaty,
nagością objaty
modliłam się do smych losów —
one przyrzekły — zwyciężyć!

WŁAST

Bogiem się trza zorężyć!

LENA

Jego grom łyska w mą duszę:
i jak Wanda — rzucę się do rzeki,
by mną — mym sercem nakarmić wieki.

WŁAST

To są komet pióropusze,
a gdzie niebieski firmament?

LENA

Czuję w sobie wieków zamęt —
ale wystrzeli cud
nowe królestwo i lud!

WŁAST

Powoli, dziecię powoli,
Pomnij na losy Ikara:
tym bliższą, groźniejszą jest kara —
im więcej użyjem swej woli

LENA

Ja nie z soli ani roli,
ale z tego co przeboli
wyrosłam!

WŁAST

Ciebie nęci gromka sława,
bohaterstwa świetne wzory,
lecz to ziemi jest sprawa,
a gdzie dyjament pokory?

LENA

Ty nie pytaj o rodowód
moich natchnień, moich piór —
duch ma tysiąc, jeden powód,
by się darł na szczyty gór.
Ale słowo — pusty dźwięk —
srebrne grają uździenice —
na podworcu kopyt brzęk.
Wiatr od stepu wionął w lice.
Po szumiących ziół równinie
rozpędzeni jak Centaury,
pół chrześcijany — a pół Maury —

WŁAST

Przebóg, w tej dziewczynie
wulkan się pali — nie dusza!

LENA

To tylko obłęd —

WŁAST

Co?

LENA

Milczeć zmusza!

WŁAST

Milczenie wiary *(do siebie)* —
płyń źródło mej duszy podziemne!
list do Papieża gromiący rzucam w ciemne jary!

LENA

Prowadźcie nas — Wy obłoki ducha —
zanim uderzy grom — a Bóg wysłucha.

MELCHIOR

(patrzy przez otwarte drzwi).
Wsiąknęli w bory. Ha, Krzeczun nadchodzi,
z jakimś nieznanym — zabić ich się godzi!
palnę choć śrutem! lecz może w pokłony?
o Jezu radź mi i Archanioł Michał!
sprawię wam sosu! *(we drzwiach)* Wasz uciemiężony
nędzarz Właśt z królów polskich w dal wyjechał.

(Krzeczun z brodą siwą wspaniałą, lecz oczy nikczemne, złe. Ubrany niby zwyczajnie, a rażąco — jak azjatycki chan, kiedy podróżuje incognito. W ręce ma laskę ogromną czarną, z gałką nabijaną rubinami. Na piersi szarfa i jakiejś niebywałej drogocenności order. Z nim jego krewny Kuno — z szerokiemi kruczemi brwiami nad lodowemi oczyma — młody — z strzelbą — po myśliwsku).

KRZECZUN

Dawno?

MELCHIOR

(nabijając strzelbę)
Ja nie kukułka, abym czas mierzył.

KRZECZUN

Powiedz, że czekamy.

MELCHIOR

Odjechał, mówię!

KRZECZUN

Weź konia i dojedź!

MELCHIOR

Jam nie dojeżdżacz.

KRZECZUN

Djable, kurtę skroję-ć!...

KUNO

(do Krzeczuna)
Nie rzucaj Twych słów, Teściu, do borsuczej jamy.
(do Melchiora)
Acan zechciej zawołać w interesie Pana,
a tu za fatygę.

MELCHIOR

Służba nagradzana
jest w Krzyżtoporach.

KRZECZUN

A ileż tej służby?
Waćpan, wyżlica — dwoje — więcej, któżby?
chyba potomstwo?

MELCHIOR

W tej lufie jest kula,
lecz tym, co tłuką orły, ślepia się wypali, z dansu
strzelałem nieraz wilki — mnie to nie rozczula,
że może być wiłkołak —

KUNO

Trzy kroki dystansu,
drabie! Pan twój cię ćwiczyć każe
że gości jego znieważasz!

KRZECZUN

Plemię wraże — jak nienawidzi nas!

MELCHIOR

Wzrok nie dopisuje —
wziąłem was za przebrane w strój magnacki zbóje.
(odchodzi).

(Krzeczun ogląda ściany — żegna się po trzykroć przed obrazem Matki Boskiej i wzdycha).

KRZECZUN

Smutek jest dziełem rąk ludzkich, mój synu.

KUNO

Piękna sentencja do czegóż prowadzi?

KRZECZUN

(kiwa głową)
Czy ja wiem? w grób.

KUNO

Wolę szklankę dżinu
a z Ewangielji przypowieść o kadzi.

KRZECZUN

(wypiwszy)
Trafiłeś w sedno — z tych przeklętych murów
powiewa na mnie gościec melancholji.
Gdym był u Seraskiera Oglu w Anatolji,
miałem swój pałac, z czarnych jak węgiel, marmurów
a białe jak lilje kobiety.

KUNO

Wolę płeć złotawą!

KRZECZUN

He, he, jak Lena? Byrona prześcignąłem sławą
mych szaleństw — dziś, gdy jestem stary —
w Twe ręce (pije — wali w stół pięścią)
bądź mym zięciem! choć przodków moich z grobu
[wstaną mary
nie wierzysz?

KUNO

(krzywiąc się)

Bywałem na seansach. Jedno głupstwo wszędzie.

KRZECZUN

Hm, tak! cóż mnich Włast? — uciekł jak Józef
w kolendzie do Egiptu z nadzieją! zdrowie Heroda!

KUNO

Był to wzór mocarzy —
mąż ziemi — z orlim wzrokiem!

KRZECZUN

Postrach cerkiewnej bibuły!
Pereant mnichy — co nam życie struły
swą niedorzeczną baśnią.... o, nikczemne
trwogi syczące, że za grobem czeka
jakiś sąd straszny... Wiem, że to są mity
o wiecznym życiu bające człowieka,
lecz wychowany w nich byłem, spowity.
Teraz dokładniej zdaję sobie sprawę
z tego, jak można i jak żyć należy —
jak trzeba w dziele mieć odważną wprawę,
i przeciąć nagle, co nam trudność jeży.
Dzisiaj zapóźno — bo dwakroć nie wraca
sposobna chwila, co z gruntu wytraca.
Włast młody wyrósł, a jak szatan zdolny —
któż wie, co niesie, jakiej Hydry znicze?
Mój syn, Piotr, żywił pragnienie zbrodnicze —
z więzień na wyspie umknął — teraz wolny!
Smok, co nam służy — i którego karmim,
jątrzy się — niepokoi i może pochłonie
skrętami miljonowej, strasznej, mrocznej armji
nas, — któż wie — niejeden kniaź zaprzęga konie
lub w torpedowcach pali.

KUNO

Europa nam służy,
dopóki ludojadów Ty masz w Czarnej Łuży
a ja rozciągam me skrzydła jastrzębie.

KRZECZUN

(zagląda w podziemia)

Chłop tu ma w pamięci
władanie dawne i tworzy legiendy,
iż w tych podziemiach rycerze zaklęci
śpią, aż ich zbudzi głos czyjejś komendy.
Po nocach gwiezdne upiory tu jęczą
i komuś grożą i kogoś tu męczą...

KUNO

Chyba drwisz sobie z tych obłąkań dziczy?

KRZECZUN

Drwię bez wątpienia — ale któż obliczy,
ile niechęci w chłopskiej jest pokorze,
ile ukąszeń w każdym jest spojrzeniu,
które chce czytać w duszy i sumieniu.
Ongim próbował, czy dobroć nie zmoże
i nie przechyli na mą stronę chamów —
nie żałowałem grosza — ani namów —
ale zaczęli wówczas w oczy szydzić,
a ja zacząłem bić i nienawidzić.

KUNO

Mój teściu, mnie ty zrób nadbrzeżnym wałem,
a ja odbryzgnę zakrwawioną pianą! —

KRZECZUN

Byłbym spokojny, bo w duchu stwardniałem,
gdybym nie mać miał starą, obłąkaną,
która mnie Antychrystem zwie, przeklina, biada —
żem Piotra zabił w lochu — a Helena
do wrogów mych ucieka, snami grozy gada —
co myślisz?

KUNO

Mnie tam nie straszy Gehena
ani poczwarki jakieś z nieba trupie!
żelazną pięścią trzymam — albo też — przekupię.

KRZECZUN

W jamie dymami Własta więc podkurzę,
a Ty swym złotem wyszturchaj go z nory.

KUNO

Winszuję teściu, ale ci nie wróżę
borsuczej delji.

KRZECZUN

Więc przyzwij smoka na te ciemne bory.

KUNO

Na różny sposób zwierza się zabija,
lisa zagryzie wilk — a wilka żmija,
tę znów obuchem, ale czy obucha
użyjesz wtedy, gdy zechcesz zabić ducha?
Tu właśnie walka jest z tak zwaną duszą,
której bieg w górę zmienić w dół potrzeba.
Nie można zgnębić tych łotrów katuszą —
więc ich obłąkać wśród ciemnego żleba.
Spójrz na tę jodłę, która wisi w górze,
korzeniem swoim rozparła się w skale
i nad przepaścią stoi wytrzymale
w wichrze i gromach — lecz gdy wynaturzę
i błotną ziemią zastąpię granity —
zginie — i wrony jej obsiędą szczyty.
Największe dobro w zło największe zmienić,
niechybną pomoc w potężnego wroga —
miłość w nienawiść — i tę rozplomienić,
by w swoich piersiach krzyżowała Boga —
co myślisz Panie? wielki dom warjatów
zbudować zamiast fortec — kazamatów?

KRZECZUN

Potężny jesteś jak piorun bijący —
a masz podziemny chód — jak smocze jamy!
będziesz zwyciężał — gdzie ja byłem drżący.—

(Wchodzi Właśt)

WŁAST

Zdziwienia swego ukryć nie zdołamy.

KRZECZUN

(uprzejmie)

Czas, który pali i który spopiela,
odmienić zdołał i nasze niechęci.

WŁAST

Daruj mi, Panie, lecz robota czeka —

KUNO

My przepraszamy, żeśmy go wezwali.

WŁAST

Niewolnik znosi — swój łańcuch ze stali.

KRZECZUN

Czemu umyślnie zniżasz się do sługi,
gdy ci przystoi miano przyjaciela?

WŁAST

Zaiste, Panie, idą z pola pługi

KRZECZUN

Ot, widzisz, Waćpan — ja idę ze zgodą —
a Twa prawica od mojej ucieka!
wszakże podobno chrześcijaństwa ozdobą
jest wasza cnota i zdolność kochania?

WŁAST

Nie tak dalece, by naigrawania
znosić przywykła.

KRZECZUN

Mówię całkiem szczerze,
iż pięknej zgody obecnie pożądam;
Jak wiecie, Piotr mój, braterstwa przymierze
zawarł z Witeziem — chętnie to oglądam,
mocno się cieszę, wróżąc pożądaną
zwaśnionych zgodę — stron obu wygraną!

WŁAST

Jeżeli wiem, Piotr zwiedza turmy Szlisselburga
a mój syn w Indjach zgłębia Radżajogę!

KRZECZUN

(wesoło)

A może zaraz za progiem zaszurga?

WŁAST

Czekam cierpliwie dokąd waszmość zmierza?

KRZECZUN

Wprzód go zapytam jak starą ta wieża?

WŁAST

Lat tysiąc z górą!

KRZECZUN

To też na podwórzu
wszystko się murszy, chwieje, wprost zagraża
nagłym runięciem — bez okien ku morzu,
bez wielkich stepów, gdzie zboże się stwarza
na wykarmienie świata!

WŁAST

(gniewnie)

Kto wziął fale mórz!
Kto w mogiłę zmienił step!
o nędzo sumienia —
nie możesz znieść moich gwiezdnych zórz
i mego milczenia?

KUNO

The time is money — niech się sprzeczają kobiety.
Wasz syn w giermańskiej kulturze mógłby stać się
[chwałą—
brzękiem napełnić głąb ziemskiej orbity;
lecz aby Gemüth mógł się oblec w ciało,
trzeba pieniędzy: wiecie czym z grecka talenty?-
Już w swej przedziwnej legiendzie Chrystus Pan
każe, aby magnesy miał w sobie bogacza wielki łan.
Kto ma dom jeden niech zakupi cały burg —
i niech zdobędzie księstwo—ten co posiada jeden
[mórg.
Duch jest kosztowny jak rozwój djamentu,
zawiera skarby on kopalne borów —
ma z miljonowych lat łuskę potworów —

WŁAST

Bóg jest nam słońcem — wyhoduje duszę
by rosła wzwyż jak jodła w zawierusze.

KUNO

Tak? wiedzcie, że syn Wasz nie dba o Zamczysko
ni o papieża — ni krzyż —

KRZECZUN

ani o kobiety!

WŁAST

Zginął?

KRZECZUN

Niestety — chcę mówić —

KUNO

tak, niestety — umarł dla życia,
stał się mistyk!

WŁAST

(wzrusza ramionami)

KUNO

Psychjatrja miałaby tu typ z wieku Belzebuba,
jak zbrodniarz jaskiniowcem —

KRZECZUN

(pokazuje na czoło)
poprostu ma czuba!

KUNO

Patrząc na koniec nosa, grzeje się pod figi cieniem.

WŁAST

Jakże się wiąże z naszym zatraceniem
Waściów przybycie?

KRZECZUN
Niesiem wam ratunek.
Porzuć swój upór — sprzedaj te ruiny!

KUNO
Ja górę złota dam za kawał gliny —

KRZECZUN
Za garść przywidzeń dam ci przyszłość jasną —

KUNO
Za kupę śmiecia — zyskasz —

WŁAST
wzgardę własną?

KRZECZUN
Starcze, uporem swoim grzebiesz syna!

WŁAST
Przynajmniej będę miał go gdzie pochować.

KUNO
Ja ci wskazuję drogę, co jedyna —

WŁAST
Inne mi drogi Bóg raczył zgotować!

KRZECZUN
(do siebie)
Dudy!

WŁAST
Wyrosłem z opieki!

KUNO
Lecz idzie naprzód wielki postęp świata.
Dziś mamy elektryczność — antropopiteki, —
a tu widma!

WŁAST
Duchów wian cierniowy
ziemię z gwiazdami w jasną przyszłość splata!
Tu naszych losów dumne firmamenty.
A ty kto jesteś? warjat — czy przeklęty —
skoro się ważysz judaszować duchom?

KUNO
Słowiański kniaziu, oddamy się skruchom,
lecz pod warunkiem, że się stukniesz w głowę,
tryskając myśli nie tak piorunowe —
ale teutońsko jasne —

KRZECZUN
rusko zdrowe!

KUNO

(ciszej)

Znasz moją moc i wpływ mój na papieża!
Więc runie grom na ciebie z Watykanu:
grom — żmija czarna wleci do twego kurhanu
gdzie kwitną niebieskie groszki.

WŁAST

Precz mi tego zwierza!

KUNO

Teraz waszmościa żegnamy na długo!

KRZECZUN

Jak niewolnik ziemię wygryziesz — Mości Boży sługo!

(Włast zostaje z wzrokiem spuszczonym w ziemię. Po chwili idzie do kąta — zdejmuje czarną damascenkę.— Melchior wchodzi i przerażony stoi w progu. Włast dobywa jej jak do walki, potym się żegna i nagle łamie szablę na kolanie).

MELCHIOR

Panie, wszak dziada jest ta serpentyna
którą się zdołał od wroga wybawić —

WŁAST

(krzycząc)

Ale gdyby Chrystus miał szablę i przyszła
[przedśmiertna godzina
zwątpienia — to co? możeby zechciał swą szablę
[zakrwawić?

MELCHIOR

Czuję w powietrzu szatanów kurniawę —
pójdę, będę bił w dzwon, jak na Ave!

(Melchior wychodzi — biją dzwony).

LEOPOLD STAFF.

Urodzony 1878 r. we Lwowie. Ogłosił: *Sny o potędze* (1901), *Mistrz Twardowski* (1902), *Dzień duszy*, *Ptakom niebieskim* (1905); dramaty: *Skarb*, *Godiwa;* przepyszne tłumaczenie dzieł Fryderyka Nietzschego.

Kowal.

Całą bezkształtną masę kruszców drogocennych,
Które zaległy piersi mej głąb nieodgadłą,
Jak wulkan z mych otchłani wyrzucam bezdennych
I ciskam ją na twarde, stalowe kowadło.

Grzmotem młota w nią walę w radosnej otusze,
Bo wykonać mi trzeba dzieło wielkie, pilne,
Bo z tych kruszców dla siebie serce wykuć muszę,
Serce hartowne, mężne, serce dumne, silne.

Lecz gdy ulegniesz serce pod młota żelazem,
Gdy pęknięsz, przeciw ciosom stali nieodporne,
W pył cię rozbiją dłoni mej gromy potworne!

Bo lepiej giń zmiażdżone cyklopowym razem,
Niżbyś żyć miało własną słabością przeklęte,
Rysą chorej niemocy skażone, pęknięte.

Było to dawno.

Na dworze noc taka ciemna, mróz szczypie siarczysty,
Kurzawę śniegu miecie wietrzna zawierucha.
W komnacie mojej ciepło, jasny ogień bucha,
Nie dolatują do mnie wichury poświsty.
Jest mi zaciszno, dobrze między memi sprzęty,
Siedzę samotny, jakby od świata odcięty.

Jest mi dobrze i ciepło, spokojnie i cicho,
Siedzę wygodnie w starym, spłowiałym fotelu
I patrzę w ogień... patrzę bezmyślnie... bez celu...
Jest mi dobrze... Tam wicher miota się jak licho,
A ja się grzeję, patrząc w żar... Gdy wzrok się zmęczy
W tył przechyloną głowę wspieram na poręczy.

Zamykam oczy, ręce me splatam u głowy
I nie myślę o niczym... bo mi tak najlepiej.
Jeszcze się myśli jakie wspomnienie uczepi
Szare.—Bo o czymże myśleć wśród nocy zimowej?
O niczym, to najmądrzej. Jeszcze mnie omota
Nitka niepożądana... smutek i tęsknota.

A nie chcę sobie teraz psuć miłej godziny,
Nie chcę, by mnie co teraz obchodziło zgoła.
Gdy mi się znudzi w końcu bezmyślność, wzrok zdoła
Bawić mię dostatecznie... Przecież pajęczyny
Wiszą w kątach... a zresztą czy nie dość wymownie,
Nie budząc myśli, bawią rozżarzone głownie?

Trzeba korzystać z chwili spokojnej... Me ściany
Oświeca ogień blaskiem stłumionej czerwieni...
Tak dziwnym światłem izba spokojna się mieni...
Pokój napełnia chwila ciszy zapomnianej. —
Przedziwny nastrój... Zwrotką ciągłą i ustawną
Powraca jakiś motyw „To było tak dawno"...

To było dawno... bajki prastary początek...
Świat baśni... Hej! królewny, karły, krasnoludki!
Do mnie tutaj! Będziemy rozpędzali smutki!
Zaraz wynajdę bajki zajmujący wątek
A wy dalej snuć powieść będziecie zabawną...
Bajka już rozpoczęta... więc... Było to dawno...

Zbliżcie się, proszę bardzo, ukochane karły,
O, poznaję was wszystkich... lecz jacyś odmienni
Jesteście... późna pora... więc możeście senni...
Nie? Więc smutni? — „Ach, nasze królewny pomarły
W więziennych lochach, w mrocznej, podziemnej pieczarze,
Dlatego niewesołe są dziś nasze twarze."

Żal mi was... Lecz jak dzisiaj wygląda wasz parów
Górski, w którym mieszkacie? — „Nie mamy już skarbów,
Olbrzym odkrył kryjówkę pośród skalnych garbów"...
Zapomnijcie! Dziś trzeba się śmiać! — Wśród chojarów
Gąszczy zostały śmiechy wesołej swawoli,
Lecz powiedz, czemuś smutny ty, co ciebie boli?...

Nie jestem wcale smutny! Owszem, chcę zabawy...
Po to was przywołałem... Śmiejcie się, bo wierzę,
Że zawsze jeszcze walczą zwycięsko rycerze,
Których w bój prowadzicie. —„Dawniej na bój krwawy
Rwałeś się z niemi całą duszą rozognioną...
Dziwno nam... gdzie twój zapał? wystygłoż twe łono?"

Czyż nie wiecie? Jam walczył, lecz... skończyłem klęską...
„Walczyłeś?" — W wirze boju wypadłem ze strzemion
Raniony w pierś i otom niemocą oniemion...
„Pierś ci rozdarli młodą?..." — Dziś z dumą zwycięską
Wracają tryumfalnie waleczni witezie,
Mnie koń mój na żałobnym, czarnym wozie wiezie...

„Opatrzym twoją ranę..." Precz! Na nic mi leki!
Niech śmiech bucha, jak płomień tchem wichru rozdmuchan!
Precz smutki!... Wina pełny podnoszę roztruchan
Na cześć radości... Kiedy zaciążą powieki
Oczu... Gdy się upijem... pójdziem spać... Hej dalej!
Śmiejcie się!... Jacyś smutni jesteście, ospali...

Śmiejmy się! To już było tak dawno... Do czarta!
Czemuż się, mały karle, porywasz z podłogi..
Rękoma obejmujesz mą szyję... — „Ból srogi
Trawi cię, chora głowa twa o poręcz wsparta...
W oczach masz łzy tak wielkie... Zmogli cię zdradziecko?
Otrzyj łzy. Nie płacz! Wstydź się!.. Takie duże dziecko..."

Nie płaczę... To już było tak dawno... Me ściany
Oświeca blask płomienia czerwony, gorący...
Gdzież karły... Wkoło cicho... cicho... Jestem śpiący...
Zda się drzemałem... coś mię zbudziło... zbłąkany,
Przedziwny nastrój zwrotką ciągłą i ustawną
Powraca: jakiś motyw „To było tak dawno..."

Z „Mistrza Twardowskiego".

MODLITWA PRZED CZYNEM.

(Fragment).

Odsuń mi Panie, na jesień żywota
Dzień mego czynu.. Oto stoję w wiośnie,
A karmią wiosny jest dzieła tęsknota...
Niech widzę, jako krzew mój bujnie rośnie,
Jak się w rozkoszy rozwoju szamota
Z wichrami, kiedy burza go ochłośnie...
Odsuń na jesień życia cel mój, Panie.
Wszakże rozkoszą wiosny dojrzewanie...

Bo oto dusza ma jest jako drzewo
Złotemi ziarny pszczół owiane rojnie,
Olśnione blasków słonecznych ulewą,
Dojrzewające ciężarnie, spokojnie,
Pyszną, soczystych owoców odziewą,
Dorodnym plonem obarczone hojnie...
Piękno me teraz na soki się zmienia
W cudownej pełni świętego rodzenia....

Duch mój jest ciężki wnętrzną swoją treścią,
Bo owoc jego jeszcze nie strząśniony...
Szczęśliwą, pełną rozkoszy boleścią
Stawania się, dojrzewa upojony...
Jam teraz latem, cudowną powieścią
O przyszłych żniwach, co bogate w plony,
Zbliża się w blasku chwały i zieleni...
Odsuń mi zbiorów czas i czas jesieni...

Duch mój jest drogą do celu, pochodem
Ciągłym, dążeniem wprzód nieustającem...
Nie bierz mi, Panie, w życiu mojem młodem
Rozkoszy ruchu i pędu! Stojącem
Jeziorem kres jest i spoczynku chłodem...
Nie daj, bym życia cel przed życia końcem
Osiągnął... Nie daj, bym jak spustoszałe
Był drzewo, które przeżyło swą chwałę...

Niedokonany czyn śpi jeszcze we mnie,
Cudnym zapasem jest moich śpichlerzy,
Wypełnia sobą moich skarbców ciemnie,
Jest siłą, która cicho we mnie leży...
Spełnione dzieło ucieka tajemnie
Z mojego ducha... między ludzi bieży,
Staje się złotym owocem, z jabłoni
Strząśniętym, skarbem jasnym cudnej dłoni...

Niedokonanym czynem jam bogaty...
Lecz idą parne przejrzałości noce.
Posłuszny jestem i niosę objaty...
Oto mi każą niezbadane moce,
Abym sam sobie dłonią był, co szaty
Złote mym sadom pozdziera, owoce
Moje... I duch mój musi treść swą stradać...
Idzie czas... Zaczną z drzew owoce padać...

Deszcz Jesienny.

O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny,
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany... płacz szklany.. a szyby w mgle mokną
I światła szarego blask sączy się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny.

Wieczornych snów mary powiewne, dziewicze
Napróżno czekały na słońca oblicze...
W dal poszły przez chmurną pustynię piaszczystą,
W dal ciemną, bezkresną, w dal szarą i mglistą...
Odziane w łachmany szat czarnej żałoby,
Szukają ustronia na ciche swe groby,
A smutek cień kładzie na licu ich młodem...
Powolnym i długim wśród dżdżu korowodem
W dal idą na smutek i życie tułacze
A z oczu im lecą łzy... Rozpacz tak płacze...

To w szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny,
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany... płacz szklany.. a szyby w mgle mokną
I światła szarego blask sączy się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...

Ktoś dziś mnie opuścił w ten chmurny dzień słotny...
Kto? Nie wiem... Ktoś odszedł i jestem samotny...
Ktoś umarł... Kto? Próżno w pamięci swej grzebię...
Ktoś drogi... wszak byłem na jakimś pogrzebie...
Tak... Szczęście przyjść chciało, lecz mroków się zlękło.
Ktoś chciał mnie ukochać, lecz serce mu pękło,
Gdy poznał, że we mnie skrę roztlić chce próżno...
Zmarł nędzarz, nim ludzie go wsparli jałmużną...
Gdzieś pożar spopielił zagrodę wieśniaczą...
Spaliły się dzieci... Jak ludzie wkrąg płaczą..

To w szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny,
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany... płacz szklany... a szyby w mgle mokną
I światła szarego blask sączy się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny.

Przez ogród mój szatan szedł smutny śmiertelnie
I zmienił go w straszną, okropną pustelnię...
Z ponurym, na piersi zwieszonym szedł czołem
I kwiaty kwitnące przysypał popiołem,
Trawniki zarzucił bryłami kamienia
I posiał szał trwogi i śmierć przerażenia...
Aż strwożon swym dziełem, brzemieniem ołowiu
Położył się na tym kamiennym pustkowiu,
By w piersi łkające przytłumić rozpacze
I smutków potwornych płomienne łzy płacze...

To w szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny,
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany... płacz szklany... a szyby w mgle mokną
I światła szarego blask sączy się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny.

Wejmuta.

Noc bije czarnym skrzydłem w moje okno,
Noc puka cichą dłonią w moje drzwi,
A z nią lęk wchodzi do mej izby ciemnej,
Wlatują ciche, szaropióre ptaki,
Bolesne sny,
I nad znużoną moją głową krążą,
Jakby pierzaste, wielkie, ślepe ćmy,
Jak nietoperze szeleszczące głucho —
A u wezgłowia łoża mego siadła
Bezsenna zmora.

Na dworze sosna w wichrze płacze, łka,
Strażniczka wieczna, wierna okien moich
Skarży się głucho.

Ty nie śpisz, tęskna siostro sosno,
Sosno Wejmuto?
Ukoję duszę twą smutkiem zasnutą,
Wysłucham twoich łkań...
W łagodne, dobre, miękkie ukojenie
Ukołysały ziemię nocy cienie
A ty wybuchasz tęsknotą żałosną,
A ty się skarżysz...

Czemu się tak posępnie żalisz, siostro sosno,
Siostro Wejmuto?
Czemu ponurych łkań żałobą
Przez całą noc rozmawiasz sama z sobą,
W pochmurną noc wybuchasz wielkim płaczem,
Co leci w pustą dal echem tułaczem?

Czemu się tak posępnie żalisz, siostro sosno?
Czemu się duszy mojej żalisz, ciemna sosno?
O czym ty marzysz?

O, mów, ja słucham twej skargi!

Powiedz, powiedz cichym, tajemnym swym szmerem,
Szeptem twych czarnych gałęzi
Jaki twój żal...
Powiedz, powiedz! Głuchym, bezdennym
Jękiem rozpaczy zawodzi twój płacz!
Cicho, cicho wyszeptaj twój ból,
Ucisz twe serce...

Czarna noc w twoich skryła się konarach
I straszy ciebie!
Czarna noc w twoich czai się konarach,
Widma usiadły ciężko na konarach,
I tłoczą ciebie...

Szum przytłumiony idzie z twojej głębi,
Szum niespokojny, jak ptak przelękniony,
Co trwożnym skrzydłem trzepoce wśród burzy.
Szum głuchy targa się, szarpie, szamoce
Wplątany w twardą uwięź twych gałęzi
I potężnieje i rośnie i huczy,
Jakąś złą mocą opętany, groźny!
A potym dziki, gniewny, zbuntowany
Dźwiga się chmurny, wyrywa się w niebo
I godzi w piersi wichrów swoim szałem
I wyje wściekle!

A wiatr przerażony
Przypadł ku trawom i strwożony dyszy...
Nie śmie się porwać ciśnięty o ziemię...
O, sosno, jak ty w wichrze płaczesz, łkasz!
Strażniczko wieczna, wierna okien moich,
Jak ty się skarżysz!!!

O, wierzę teraz, że drzewa jak ludzie,
Mają też dusze!
...Jak ludzie...
O, wierzę teraz, że drzewa jak ludzie,
Niewypłakane, żrące noszą w duszy łzy!

O, wiem, że ból wytacza z serca drzew
Najdroższą krew,
Serdeczną krew!
Zranić cię musiał jakiś topór wraży,
Skaleczyć musiał twój wysmukły pień
I po twym ciele gibkim, siostro sosno,
W pomroku twoja krew serdeczna płynie,
Krew, w której tętni smutek bezgraniczny...
Czuje się woń,
Woń mocną twojej krwi żywicznej,
Płynącej z krwawej i otwartej rany,
Potwornym ciosem toporu zadanej —
Woń krwi ze serca, co pod korą śpi
Wśród czarnych twych konarów...
Czuje woń tęgą twej żywicznej krwi,
Żywicznej krwi...

Sosno, sosno, czemuż tak nagle tajemny twój szept
Zamilkł urwany?
Sosno, sosno, czemuś siostrzane przerwała wyznanie,
Spowiedź twych cierpień żałosną?
Boisz się, siostro, wyszeptać twój żal?
Boisz się własnych swych słów?

Znieruchomiona bezbrzeżną boleścią
Stoisz pomrokiem owiana —
Ramiona ciemne rozprzestrzeniasz w dal
I stoisz cicha, bez ruchu, wyniosła,
Groźna, surowa.
I nagle — milcząc — znów chwiać się poczynasz
Zwolna, bez szeptu,
Znowu kołysać i giąć się poczynasz
I przerażeniem dzikim oniemiała
Rytmem straszliwej, bezmownej boleści,
Ruchem powolnym, równym i miarowym,
Leniwą wymową swej smukłej postaci
Zawodzisz skargę milczącą bez słów,
Pieśń beznadziejną bez słów
Smutno, przeciągle...

Czemu zawodzisz tym obłędnym ruchem
Twojej zczerniałej kibici
Bezmowną skargę
W pomroczu czarnym, osowiałym, głuchym?

Sosno, sosno!
Ślepe swe oczy strach w mroku wyłupia,
Szklane swe oczy!
Trwoga mnie chwyta i drżę,
Że, oszalała, rękoma konarów
Ciemne swe skronie pochwycisz
I zaczniesz szarpać czarne swoje włosy,
I milcząc zaczniesz się chwiać i kołysać,
I dziko zaczniesz się giąć i kołysać,
I rytmem strasznej, bezmownej rozpaczy,
Ruchem powolnym, równym i leniwym,
Niemą wymową swej gibkiej kibici
Zawodzić zaczniesz wściekłą pieśń bluźnierstwa,
Wyjącą pieśń
Nad swą potworną boleścią!

A teraz stoisz nieruchoma, ciemna,
Tylko konarów końce lekko drżą,
Jakby kobiety obłąkanej dłonie,
Jak dłonie ramion naprzód wyciągniętych,
Co poruszają się lekko,
Jakby płoszyły jakiś sen bolesny,
Jakby broniły się rozpacznej myśli,
Lub jakby kogoś uspokoić chciały,
Lub jakby duszę uspokoić chciały,
Że łza, co w serce upada, nie pali,
Że rozpacz szponem duszy nie rozdziera —
Jakgdyby ruchem swym zaprzeczyć chciały,
Że ból żre serce, że cierpienie boli...
Konary twoje ciemne lekko drżą,
Jak dłonie ramion naprzód wyciągniętych,
Co uspokoić chcą i czemuś przeczyć,
Choć same w niemą mowę swą nie wierzą,
Wierzyć nie mogą!
Nie mogą!!!

Siostro sosno, siostro sosno,
Kończ swoją spowiedź żałosną! Mów!

Wejmuto! Jak ty w wichrze płaczesz, łkasz!
Strażniczko wieczna, wierna okien moich,
Jak ty się skarżysz!

Boleść swe czarne, ciężkie, gniewne dłonie
Kładzie na duszę
Za każdym cichym twym szeptem...
Potworne, wielkie, twarde, ostre głazy
Lecą na serce
Za każdym smutnym twym szeptem...
O, sosno, serce kona tysiąc razy,
Kona w męczarni
Za każdym strasznym twym szeptem!...

O, wierzę teraz, że drzewa, jak ludzie,
Mają też dusze!
....Jak ludzie...
O wierzę teraz, że drzewa jak ludzie,
Niewypłakane, żrące noszą w duszy łzy!

Sosno, sosno!
Hardość jest w twoim głuchym szumie,
Hardość boleści zaciętej w swej dumie,
Hardość gnębionych dusz!
Boś ty północy córą, siostro sosno,
I twe siostrzyce i ja!!!

Dzikość gór ciemnych jest w twym głuchym szumie,
Surowa dzikość odwiecznych puszcz leśnych
Dawno zrąbanych...
Może wspomnienie twych ojców,
Sosno samotna,
Może wspomnienie twych ojców,
I myśl, że jesteś samotna,
Napawa cię bólem?

O, coś z tajemnic głębin i dna,
Coś z bezdni nieznanych,
Przerażających bezmiarem i głuszą,
Jest w twoim szumie!

Przychodzą do mnie czasem o północy
Wieści tajemnic głębin i dna,
Wieści czeluści nieznanych,
Przerażających do mnie czasem o północy

Mary milczące
O tak bezdennych, niezgłębionych oczach,
Jak toń przepastna ciemnej duszy mej...
O, nie śmiem spojrzeć w ich niezgadłe lice,
Bo obłęd piją z nich moje źrenice,
Obłęd przestrachu drżącego wędrowca,
Kiedy się ujrzy nad stromą krawędzią
Zawrotnej głębi!

Sosno, sosno!
Mary milczące o bezdennych oczach
Z twojego szumu powstają
I idą ku mnie...
O, biada!
. . . . . .
Siostro! Zamknijmy oczy!
. . . . . .
Jak szum twój jęczy i płacze i łka,
Strażniczko wieczna, wierna okien moich!
Musiałaś niegdyś widzieć o północy
Otwierające się u stóp przepaści —
Musiałaś niegdyś słyszeć szum podziemny
Otwierających się u stóp przepaści —
Że łkasz tak strasznie!

W przedbytu swego głuszy, siostro sosno,
Musiałaś niegdyś widzieć duszę moją,
Musiałaś ongiś spojrzeć w duszę moją,
Że o północy, gdy płaczące dzieci
Chcą czuć kojącą dłoń matki na czole,
Samotna trwogą łkasz nieuciszoną,
Niezapomnianym wspomnieniem
Mej dzikiej duszy!...

Zamilcz, zamilcz ciche tajemne twe szepty,
Szmery swych czarnych konarów!
Zamilcz, zamilcz głuche, bezdenne
Jęki rozpacznych, obłędnych swych łkań!
Zamilcz, zamilcz! Zbyt wielki twój ból,
Bym go mógł uśpić!

Siostro sosno, siostro sosno!
Na wieki musisz, na wieki,
Bez końca, bez końca
Tęsknić, tęsknić — a w tej tęsknicy
Tętnić ból będzie bezbrzeżny!
Nie dano tobie, nie dano,

Jak mnie, o sosno samotna
W śpiący spokój spowić swe serce,
Oblec obłocznym snem ciszy.

I szumieć będziesz tak, sosno łkająca,
Tak przerażona smutna i samotna
Wiecznie, bez końca bez końca...

W rytm twego łkania i twojej boleści,
W rytm twego szumu szumi moja krew,
Jakby płynęła w twych żyłach...
I czuję, jak twych szumów głuchy wiew
Wsącza w me serce twą żywiczną krew,
Żywiczną krew...
Wsącza w me serce twój ból, żal, tęsknotę
I serce moje szumi, płacze, łka,
Jak wicher, chmurnym, jesiennym wieczorem
Wśród uschłych drzew...
O, jak szaleje twa żywiczna krew
W mym sercu chorem!...

Siostro sosno, sosno samotna,
Sosno Wejmuto!
Patrz! Ukołysać chciałem twój smutek,
Utulić chciałem twój żal
A teraz płaczę wraz z tobą...

Pieśń o zdobywcy słońca.

A kto z was tęskni w głuchych snach,
Niech pieśni mojej słucha!
Rzucam wam śpiew, królewski łach
Z płaszcza, co kryje mi ducha!

Rzucam wam pieśń płomienny strzęp
Serca, co w czarną noc śpiewa...
Żre je tęsknoty krwawy sęp,
Lecz rozpacz nie zalewa...

Hej, kto z was tęskni w głuchych snach,
Niech słucha pieśni mojej,
O tym rycerzu, co zabił strach,
A w czarnej walczył zbroi...

O tym rycerzu, co w ciemną noc
Jedzie od lat tysiąca
I choć w krąg lęk, on kocha moc
I ciągle szuka słońca.

Choć go nie wiodła żadna z gwiazd,
Choć twarz mu kryła bladość,
Nie struł go smutek waszych miast,
W sercu mu kwitła radość.

Czy ją jak maskę kładł na twarz?
Tych pytań mi zaniechać!
Wśród mroku, w którym z lęku łkasz,
On umiał się uśmiechać.

Bo kochał wielkość, radość, Sen,
Choć nikt w nie już nie wierzy.
Przeto mi bratem rycerz ten
Najpierwszy wśród rycerzy...

Wierzę weń, w drogi jego plon,
Choć noc zniszczyła mosty...
Tułaczkę jego, jego zgon,
Śpiewa wam śpiew mój prosty...

Rycerza, który zwalczał noc,
W pogodzie śpiewam ducha,
Pieśniarz, co kocha Słońca moc!...
Kto tęskni z was, niech słucha.

I.

A gdy minęło tysiąc lat
I wieki tysiącleci,
Jął więdnąć złoty słońca kwiat
I coraz słabiej świeci.

Jak popiół jął mżyć suchy mrok,
Marł owoc nieb prześcigły...
Z rozpaczą ludzki widział wzrok,
Że słońca żary stygły!

I jęła noc wypierać dzień
Z odwiecznych, starych granic,
Już w świt nie tajał nocy cień
I słońca trud był na nic!

Tłumy wznosiły straszny wrzask
I rozpacz jak wilk wyła...
Z dnia został jeno krótki brzask
I marzła ziemi bryła...

Ledwie zabłyśnie słońcem wschód,
Już noc go spycha w schyłek.
Nie mógł zmóc mroku światła trud,
Daremny był wysiłek.

Aż przyszła chwila dzikich gróz!
Tłum czekał w noc stężałą
Słońca, co przerwie mrok i mróz...
Lecz słońce już nie wstało!

I beznadziei ślepy szał
Zaryczał słońca głodem!
Tłum wił się, obłęd jęczał, łkał
Za jednym bladym wschodem!

Pragnął rozpaczą wszystkich sił
Wydźwignąć słońca złoto
Z toni, sznurami własnych żył
Wyciągnąć je tęsknotą!

I jął się dźwigać słońca krąg
Ciężko na brzeg bezdeni,
Jakby potęgą ludzkich mąk
Wleczon na sznurach promieni.

W okropnej ciszy trwało w pół
Na skraju nieboskłonu...
Nagle runęło z hukiem w dół,
W kształt urwanego dzwonu.

I buchnął płacz, obłędny płacz!
Umarła tarcz słoneczna!
Cienie jął snuć mrok, czarny tkacz,
I noc nastała wieczna...

Zimno i noc, rozpacz i ból
Padły na miasta czarne...
Śmierć się włóczyła pośród pól,
Nastały mroki cmentarne...

Nie było gwiazd i księżyc zgasł,
Lód — jezior ściął zwierciadła
A beznadzieja, jakby głaz,
Na serca ludzi padła.

A kiedy nikt nie czekał już
I zgasły sny wierzące,
Wyjechał rycerz w nocną głusz
Zdobywać złote słońce.

Miał czarne zbroje, czarny koń
Skry pod nim z chrap rozsiewał,
A rycerz jechał w martwą błoń
I taką pieśnią śpiewał:

II.

„Wieść głucha mknie przez pusty step,
Że temu lat tysiące
Na martwych sklepach czarnych nieb
Świeciło jasne słońce!

Że świecił boski słońca kwiat
Promienna tarcza złota...
Już o tym przed tysiącem lat
Szeptała mi tęsknota.

Pochwałę słońca śpiewam, pieśń,
Jasną weselem ducha,
Jak dzwon rozbrzmiewa piersi cieśń,
Choć śpiewu nikt nie słucha.

Bo w załamaniu trwożnym rąk
Rozpaczą tłum zohydział...
Ale ja wierzę w słońca krąg,
Któregom nigdy nie widział.

Że wkoło wieczna noc i cień,
Rozpacz im gardło dusi?
Któż wątpić śmie, że gdzieś lśni dzień...
Wszak słońce lśnić gdzieś musi!

Czyż przeto wątpić w słońca żar,
Że wkoło mróz i ciemno?
Kto nie śpi w pętach trwożnych mar,
Niech śpiewa słońcu ze mną!

Wszak nim ruszyłem w głuchy świat,
Tęsknota mi szeptała
O słońcu złotym, jako kwiat...
Skądżeby o tym wiedziała?

Gdzieś musi lśnić!... Więc idę w dal
I błądzę przez bezdroża...
Może zapadło w głębie fal
I śpi gdzieś na dnie morza?

Może z podniebnych spadła chmur
I tajnie gdzieś spoczywa
W przepaściach niedostępnych gór,
Tarcz słońca wiecznie żywa?

Czarny pode mną parska koń
I czarna na mnie zbroja...
Przebiegam góry, lasy, błoń
I szukam na dnie zdroja.

Nie wieńczą kwiaty włóczni mej,
Ale ją snami zdobię...
Przebiegłem tysiąc pól i kniej
I wciąż się w dal sposobię...

Czyż przeto wątpić w słońca świt,
Że od tysiącoleci
Pomrok zalega niebios szczyt
I słońce już nie świeci?...

Zdobywać słońce jadę w świat,
Promienną tarcz ze złota,
Już o nim przed tysiącem lat
Szeptała mi tęsknota..."

III.

Hej, kto z was tęskni w głuchych snach,
Niech słucha pieśni mojej,
O tym rycerzu, co zabił strach,
A w czarnej jechał zbroi...

O tym rycerzu, co w ciemną noc,
Jedzie od lat tysiąca,
A choć w krąg lęk, on kocha moc
I ciągle szuka słońca...

Jechał wśród gór, przez bór i las,
Ogłuchłym jechał stepem,
Odpierał tarczą drzewo, głaz,
Rozdzierał noc oszczepem.

Jechał wśród gór, przez bór i las
I śpiewał słońca chwałę,
I minął długi, długi czas
I przeszły lata całe.

A on śni wciąż, że jutro już,
Zobaczy rozświt w dali,
Włócznia zakwitnie blaskiem zórz,
Słońcem się zbroja rozpali.

Że błyśnie jasna, boska tarcz,
Jak wielka brama złota,
A koń przez haszcz i jar i karcz,
W słoneczne skoczy wrota...

On koniem dumny zatoczy łuk,
Zahuczą spiże i miedzie,
I po gościńcu złotych smug,
W odźwierze słońca wjedzie.

I jechał, dzielny nucąc śpiew,
Rycerz zdobywca słońca.
Koń pod nim szedł wśród skał i drzew,
Nie było drodze końca.

Aż nagle pnąc się w stromą wyż,
Bodąc rumaka ostrogą,
Uderzył rycerz w trąby spiż,
Radością dziką, złowrogą!

Pod nogą konia bezdni głąb
Ciąg urywała drodze.
W przepaści pomrok spał i ziąb.
Rycerz powściągnął wodze.

Bo nagle w dali ujrzał cud!
Nad brzegiem nieboskłonu
Rozkwitał słońca jasny wschód,
Cel złoty jego gonu!

Słońce, pożarny tęsknot sen,
Wstające skrajem tarczy!
Oślepion patrzał rycerz hen
Ile sił oczom starczy!

W duszy mu krzyk zwycięski grzmiał
Szalony, jako szczęście!
Porwał go w wir radosny szał!
Rycerz jął wodze w pięście!

Duszą wtopiony w blasków toń,
Rumakiem łuk zatoczył,
Ubódł ostrogą... Parsknął koń
I w złote słońce skoczył...

ZOSTAŁA WIEŚĆ,
KTÓRA SIĘ DUSZOM ŚNI:

Wieść niesie, że był rycerz raz,
Co się zakochał w słońcu,
Któż go nie widział... Długi czas
Szukał, aż znalazł je wkońcu.

Choć go nie było tysiąc lat
Śpiewała mu tęsknota,
Że słońce jest jak złoty kwiat
I jak ogniste wrota.

Więc gdy u słońca stanął bram,
Gdzie szczęście ma swe leże,
Rumaka spiął i skoczył tam,
Przez przepaść w złote dźwierze.

WŁ. ST. REYMONT.

Urodzony 6 maja 1868 roku we wsi Kobiele Wielkie, gub. Piotrkowskiej. Przeszedszy rozmaite koleje, poznał życie wszechstronnie i stał się jednym z najtęższych realistów w powieści polskiej.

Dzieła: *Pielgrzymka do Jasnej Góry* (1894), *Komedjantka* (1896), *Fermenty* (1897), *Ziemia obiecana* (1898), *Lilli* (1899), *Przed świtem* (1902), *Z pamiętnika* (1903), *Chłopi.*

Charakterystykę ob. w zbiorze Ign. Matuszewskiego: *Twórczość i twórcy.*

Budzenie się lasu.

(Z opowieści p. t. „Sprawiedliwie").

Las, jak zwykle przed świtaniem, przycichnął, pochylił się nad śpiącym i stał jakby na czujnej bardzo straży, osłaniając go sobą od deszczu.

Ciemności zwolna rzedły, bladły... rozjaśniały się.

Po mrokach rozlewała się świtowa szarość.

Las usypiając, budził ptaki i zwierzęta.

Stado wron wyrwało się cicho z pod konarów jodeł olbrzymich: kołowało chwilę wysoko i poszybowało na żer, do wiosek.

W lesie było jeszcze ciemno, od wschodu bielało nieco, przecierał się świt, i na tym mętnym jeszcze, widmowym tle brzasku, kontury czubów drzew rysowały się jak profile gór; na dole pod drzewami leżał gęsty mrok.

Wiatr ustał zupełnie, drzewa stały cichą, skłębioną masą; opuszczały przemarznięte, przemoczone gałęzie, pochylały konary bezwładnie w jakimś znużeniu ogromnym, zapadały w głęboki sen... przerażający majestat usypiającej potęgi rozlewał się dokoła...

Czasami tylko gałąź jakaś drgała przez sen, otrząsała się z deszczu, podnosiła się ku świtom i zapadała w ciche omdlenie...

Czasem tylko pień jakiś olbrzymi, jakby kurczył się w sobie od zimna, drgnął niepochwytnie, rozprostował gałęzie, przechylił się koroną ku dalekiemu jeszcze słońcu — i pogrążał się w słodkie odpocznienie.

Czasem tylko jakiś głos przejmujący, coś jakby westchnienie głębokie, jakby jęk śpiącego lasu, jakby krzyk majaczeń sennych — drgał wskroś i przepadał w coraz bielszym świcie...

Tylko nizkie, chude, mizerne krze leszczyn, osik, brzózek i grabin, tulących się do pni olbrzymów śpiących, drżały ledwie dostrzegalnie, jakby z trwogą, tuliły się do siebie i szeptały cicho... drżąco...

Jedne jałowce stały nieruchomo i hardo pokryte pancerzem twardych, zielonych igieł, po których spływał deszcz, nie cierpiały tyle. Ale gęste, długie pędy malin dzikich, poskręcane chaotycznie, czepiały się kolcami drzew, darły się na kamienie, oplatały mrowiska, jakby uciekały we wszystkie strony z rozpaczą, bo deszcz przenikał ich delikatne pokrycia i po cienkich ciałach spływał wielkiemi kroplami, aż do korzeni, aż do wnętrzności...

Sosny drgały nerwowo, a świerki stały, jakby bez czucia, okryte potężnym wachlarzem gałęzi.

Szare spojrzenia świtu coraz niżej, coraz głębiej opadały, i wypłakanym, zielonawym światłem przenikały wskroś lasów.

Las zadrgał pod tym doknięciem, ale spał jeszcze.

Ciżba przeogromna kolumn, niby w pra-gotyckiej świątyni, zaczynała wyłaniać się ze zmroków, majaczyła tłumnie dokoła, a przez konary olbrzymów, niby przez gotyckie okna, zasnute pajęczyną, przedzierały się brzaski dnia coraz jaśniejsze i różowsze; pełzały po szarych kolumnach drzew, migotały w kroplach deszczu i osuwały się na ziemię, na mchy zrudziałe, na liście zeszłoroczne, na krze drżące i ledwie dostrzegalną jasnością wydobywały na wierzch twarz Jaśka, który spał, przyciśnięty do korzeni dębu.

Trzask rozległ się w ciszy i po chwili z gęstwiny krzaków wynurzyły się ogromne korpusy jeleni; szły ostrożnie, z wyciągniętemi łbami, przystając co chwila i węsząc na wszystkie strony. Poczuły Jaśka, zbiły się w kupę, krótki bek się rozległ, stanęły nieruchomo i obwąchiwały śpiącego... odskoczyły nagle, bo Jasiek coś mówił przez sen położyły na grzbietach rogi i pomknęły w las.

I zwolna budziło się życie w głębiach leśnych; sroki kłóciły się zapamiętale na modrzewiach, wisiały przyczepione do giętkich gałązek, bujały się z niemi i tak wciąż a nieustannie krzyczały, że las cały rozbrzmiewał, a przebudzony zając wyłaził z pod krzaków, stawał słupka, obcierał oczy łapkami i kicał w głąb z całych sił: to lis pomykał chyłkiem, kitę spuścił, nos wystawił, wietrząc na wszystkie strony, i migał jak cień złowrogi i straszył, bo ptaki z krzykiem uciekały na drzewa; to znów wiewiórka tańczyła zapamiętale po szczytach,

po gałęziach, po sękach — była wszędzie i nie była nigdzie, tylko jej delikatny szaro-rudy korpus migotał jak błyskawica wśród drzew, a wysoko, nad lasami, ciągnęła ogromna procesja kawek, słychać było łomot skrzydeł i krótkie przerywane krakania; to sarny szły gromadą do zdroju, który szemrał pomiędzy kamieniami; przemykały się tak cicho wśród drzew, tak delikatnie stąpały, że najmniejszy szelest nie zakłócał ciszy śpiącego lasu, chwiały się tylko lekko gałązki leszczyn, pod któremi się przesuwały.

Bo las spał jeszcze. Słońce już było na widnokręgu, i jego czerwone, zimne promienie ślizgały się po wierzchołkach i rozpryskiwały po szarych pniach, i przesubtelnemi zaledwie przeczutemi dźwiękami zadzwoniły pod sklepieniami lasów.

Walka o ziemię.

(Z „Chłopów". Tom II).

Przodem ruszył, a za nim chłopy wywalili się na środek drogi, zaś z tyłu pociągnęło nieco kobiet i dzieci.

Skwar też już przeszedł, przedzwaniali właśnie na nieszpór, słońce przetaczało się ku lasom, niebo wisiało pogodne i jasne, zaś skraje były tak przejrzyste, że nawet dalsze wsie wynosiły się przed oczyma kiejby na dłoni, a w zieleni borów okiem mógł rozeznać żółte pnie sosen, białe gzła brzózek i szare, wielgachne dęby.

Kobiety zostały za młynem, a chłopi szli wolno pod wzgórze. Kurz się wzbił za niemi, że jeno niekiedy zabielała jakaś kapota.

Szli w milczeniu. Twarze były surowe, miny zadzierzyste, a oczy wynosiły się hardo, nieustąpliwie.

Zaś dla ochoty bili niekiedy o ziem dębowemi lagami, a czasem to i ktoś w garście pluł, i prężył się, kiejby do skoku.

W godnym porządku ciągnęli, jakby za procesją, bo jeżeli któremu wyrwało się jakie słowo, wnet ścichał pod karcącemi spojrzeniami; nie pora była na rajcowanie, każden się stulał w sobie i krzepą wzbierał.

Na kopcach granicznych pod krzyżem przysiedli ździebko odpocząć, ale i teraz nikt się nie odezwał; błądzili jeno cichemi oczyma po świecie. Lipeckie chałupy ledwie widać było z za sadów, złota bania na wieży kościelnej błyszczała w słońcu, pola się zieleniły jak okiem sięgnąć, na pastwiskach pod lasem gmerały się rozsypane stada, dym niebieską strugą wy-

nosił się pod borem z jakiegoś ogniska, i śpiewania dziecięce dzwoniły, a granie fujarek roznosiło się po całej ziemi, strojnej we zwiesnę, w radość, w dziwny spokój, że niejednemu wezbrało serce cichym żalem i obawą, niejeden westchnął ciężko i trwożnie zerkał na Podlesie...

— Chodźmy, nie o plewy przecież idzie! — przynaglał Rocho, dobrze miarkując, że się ociągać poczynają.

Skręcili prosto do zabudowań folwarcznych, starą, zachwaszczoną drogą, że kiejby kwietnia wstęga leżała wskroś zbóż zielonych; nędzne żyta niebieszczały od modzaków, spóźnione owsy żółciły się całe od ognisk, pszenice wymiękłe a przypalone czerwieniały od maków, zaś ziemniaki ledwie co wschodziły. Opuszczenie widne było na każdym kroku i niedbalstwo.

— Prosto żydoska gospodarka, jaże patrzeć boli! — mruknął któryś.

— Najgorszy parobek a jeszcze lepiej w groncie robi!

— Bo drugi, choćby i dziedzic, a nawet tej świętej ziemi nie poszanuje!

— Doi ją i doi kiej głodną krowę, to i nie dziwota, co zjałowiała.

Wyszli na ugory. Okopcone i zrujnowane zręby budynków wznosiły się już niedaleko, spalony sad poczerniałemi szkieletami drzew, wyciągających się boleśnie ku niebu, otaczał czworaki dworskie o zapadłych dachach i sterczących kominach, zaś pod ścianami, w chudych cieniach pomartwiałych gałęzi widać było gromadę ludzi. Miemcy to byli. Antał piwa stojał na kamieniach, ktosik w progu przygrywał na fleciku, a oni siedzieli porozwalani na ławkach i trawie, w koszulach jeno, z fajami w zębach, i pili z glinianych garnczków; dzieci baraszkowały kole domu, a pobok pasły się tęgie krowy i konie.

Musieli dojrzeć idących, gdyż jęli się zrywać, przysłaniać oczy garściami, a patrzeć ku nim i cosik wrzeszczeć, ale jakiś stary Szwab zaszwargotał ostro, że wnet przysiedli na miejsca spokojnie, pociągając z kuflów; flecik zagwizdał nutą jeszcze słodszą, skowronki dzwoniły prawie nad głowami, a ze zbóż sypało się gęste, niemilknące strzykanie świerszczów i kajś niekajś głos przepiórki się wyrywał.

A chociaż spieczona ziemia dudniała pod chłopami, a podkówki szczękały o kamienie coraz bliżej, Niemcy się ani poruszyli, jakby nic nie słysząc, a jeno lubując się piwskiem i tą słodkością, jaką tchnęło powietrze przedwieczerza.

A chłopy już dochodziły, coraz ciężej szli jeno i wolniej, powstrzymując sapania i kije zaciskając; serca się zatłukły,

gorący dygot warem oblewał krzyże, gardziele zasychały, ale grzbiety się prężyły i ślepie rozgorzałe hardo wżerały się w Miemców, a z twarzy, kieby zastygłych, biła surowa zawziętość i nieustępliwa moc.

— Niech będzie pochwalony!—rzekł Rocho po niemiecku, przystając, a za nim, półkolem stanęła gromada, cieśniąc się i przywierając ramionami.

Niemcy chórem odpowiedzieli, nie ruszając się z miejsc. Jeno ten stary, ze siwą brodą, podniósł się i pobladły wodził oczyma po ciżbie.

— Ze sprawą przyśliśmy do was — zaczął Rocho.

— To siadajcie, gospodarze, z Lipiec widzę jesteście, to pogadamy po sąsiedzku! Johan, Fryc, ławek dla sąsiadów.

— Bóg zapłać, sprawa krótka, to postoimy.

— Nie musi być krótka, kiedyście całą wsią przyszli! — zawołał po polsku.

— Bo wszystkich zarówno obchodzi.

— Jeszcze trzy razy tyle ostało w domu! — powiedział z naciskiem Grzela.

— Bardzośmy wam radzi, a kiedyście przyszli pierwsi, to może piwa się z nami napijecie ... na sąsiedzką zgodę.... Nalejcie no, chłopcy....

— Wychlaj se sam! Jaki szczodry! Nie na piwo przyślim! — zakrzyczeli gorętsi.

Rocho ich przyciszył oczyma, a stary Niemiec rzekł kwardo:

— No to słuchamy!

Cichość padła, sapanie, a krótkie przydechy się rozległy, Lipczaki barzej się zwarły, dreszcz przejął wszystkich, a Niemcy też stanęli, jak jeden, wynieśli się naprzeciw zwartą kupą i jęli złemi ślepiami wpierać w chłopów, za brody targać, nabzdyczać, a cosik zcicha mamrotać.

Kobiety trwożnie wyglądały oknami, dzieci kryły się po sieniach, zaś jakieś wielgachne, rude psy warczały pod ścianami, a oni z dobre „Zdrowaś" stojali tak naprzeciw w głębokiej cichości, kieby to stado baranów, co już ślepiami krwawo toczy, przebiera kopytami, grzbiety pręży, łby przygina i leda chwila runie na się rogami. Aż Rocho przerwał.

— Przyślim od całej wsi po to — mówił po polsku, głośno i wyraźnie — by was prosić po dobroci, żebyście nie kupowali Podlesia...

— Tak! Juści! Po to! — powtórzyli za nim, trzaskając kijami.

Tamci zrazu osłupieli.

— Co on gada? Czego chce? Nie rozumiemy! — bełkotali, uszom nie wierząc.

Więc im Rocho raz jeszcze i po niemiecku powtórzył, a ledwie skończył, Mateusz ciepnął zapalczywie:

— I byście se, pludry, poszły do wszystkich djabłów!

Skoczyli naraz jakby ukropem polani, wrzask buchnął, kłębiąc się a szwargocąc zajadle, trząchając kulasami, tupiąc ze złością, że już niejeden z pięściami darł się ku chłopom i wygrażał, ale stali nieporuszeni, jak mur, paląc srogiemi oczyma, ręce się im jeno trzęsły, a zęby zacinały.

— Czyście wy wszyscy powarjowali? — wołał stary, podnosząc ręce. — Wzbraniacie nam kupować ziemię! Dlaczego? Z jakiego prawa?...

Znowu mu Rocho wyłożył wszystko spokojnie, szeroko i jak się patrzy, ale Niemiec, poczerwieniawszy ze złości, wrzasnął:

— Ziemia jest tego, kto za nią płaci!

— Tak wygląda po waszemu, ale po naszemu jest inaczej, że powinna być tego, komu jest potrzebną — powiedział uroczyście!

— A to w jaki sposób, za darmo może, po zbójecku? — kpił urągliwie.

— Za te dziesięć palców, duża płata! — odpowiedział tak samo Rocho.

— Głupie gadanie! Co tu będziemy czas tracili na żarty, Podlesie kupiliśmy, jest nasze i pozostanie, a komu się to nie podoba, niech idzie z Bogiem i omija nas zdaleka. No, czego jeszcze czekacie?...

— Czego? By wam powiedzieć: wara od naszej ziemi!— buchnął Grzela.

— Wynoście się sami, póki was gonić nie zaczniem.

— Póki jeszcze prosimy po sąsiedzku! — wołali drudzy.

— Grozicie. Do sądu podamy! Znajdziemy na was sposób, nie odsiedzieliście jeszcze za las, to wam przyłożą, i razem odrobicie!— drwił stary, ale już się trząsł ze złości, a i drugie ledwie się hamowały.

— Wszarze przeklęte!

— Zbóje! Psy śmierdzące!— wrzeszczeli po swojemu, wijąc się w kupie, kiej przydeptane gadziny.

— Cicho, psiekrwie, kiej naród do was mówi! — zaklął Mateusz.

Jeno, że się nie ulękli, krzycząc coraz głośniej i całą kupą się przysuwując.

Rocho, bojąc się bitki, ogarniał chłopów, i do spokoju niewolił, ale mu się wyrywali, krzycząc jeden przez drugiego.

— Zdzielże który w łeb pierwszego z brzega.

— Juchy im ździebko wypuścić!

— Damy się to chłopcy? Z całego narodu się wytrząsają!

— I na swoim nie postawimy? Wołali drudzy, zachęcając się, a cisnąc coraz bliżej i groźniej. Aż Mateusz odgarnął Rocha na stronę i wysunął się przed Niemców, kiej wilk, błyskając zębami.

— Słuchajta, Miemcy! — ryknął, wyciągając pięście. — Mówiliśmy do was po ludzku, poczciwie, a wy grozicie kreminałem i przekpiwacie się z nas! Dobra, ale teraz zagramy z wami inaczej! Nie chceta zgody, to wama zapowiadamy przed Bogiem i ludźmi, jak pod przysięgą, że na Podlesiu nie wysiedzicie! Przyszlim z pokojem, a wy chceta wojny! Dobra, kiej wojna to wojna! Mata za sobą sądy, mata urzędy, mata pieniądze, a my jeno te gołe pięście... Obaczymy, czyje będzie górą! A jeszcze to wam dołożę, byście zapamiętali... jako ogień ima się słomy, ale zeźre i murowańce, a chyta się i zboża choćby na pniu... bydło też pada na paśnikach... zaś żaden człowiek nie uciecze od złej przygody... Spamiętajta, co rzekłem: wojna w dzień, i w nocy, i na każdym miejscu...

— Wojna! Wojna! i tak nam, Panie Boże, dopomóż — huknęli wraz.

Niemcy skoczyli do drągów, leżących pod ścianą, kilku wyniesło fuzje, to za kamienie chwytało, kobiety podniosły wrzask.

— Niechno który strzeli, a wszystkie wsie tu zlecą!

— Zastrzelisz, pludro jednego, to cię drudzy kijami zatłuką, jak psa parszywego.

— Nie zaczynajcie, Szwaby, bo z chłopami nie zdzierżyta.

— A waszego mięsa i głodny pies nie tknie.

— Tknij me, pludro jedna, tknij!—grozili zuchwale i wyzywająco.

Stali już zblizka, ślepiami się jeno bodąc, przestępując z nogi na nogę, trzaskając kijami, a wrzeszcząc zajadle, że wymysły i pogrozy latały nad głowami, kiej kamienie; już się wyciągały pazury i niejeden aże dygotał z gotowości, gdy Rocho ogarnął swoich i odwiódł w tył. Chłopy rade nierade odwracały się półbokiem, i czujnie, pilnując zajdów, odchodzili, tymci szydliwiej za się krzykając.

— Ostajta z Bogiem, świńskie pomioty!

— I czekajcie, aż wam czerwony kogut zapieje!

— Zajrzymy tu potańcować z waszemi pannami!

Jaże ich Rocho musiał przyciszyć, tak srodze gębowali.

Zmierzch się już kładł na ziemiach, słońce zaszło, chłodny wiater przegarniał zboża, że kłoniły się, dzwoniąc kłosami, wilgotniały trawy od ros siwych, głosy piszczałek i dziecińskie wrzaski roznosiły się od wsi, żabie rechoty grały na bagniskach, i szedł już światem cichy, pachnący wieczór.

Chłopi wracali wolno, rozpięte kapoty powiewały, niby białe skrzydła; szli gwarnie, przystając co chwila, któryś już śpiewał, aże bory oddawały, jensi gwizdali z uciechy, to gwarząc, obejmowali gorącemi ślepiami podlaskie ziemie.

— Gronty łacno podzielne — rzekł stary Kłąb.

— Juści, gospodarki możnaby wykrajać, kiej plastry miodu, jedna w drugą i każda z łąką i paśnikiem.

— Byle jeno Miemcy ustąpiły — westchnął sołtys.

— Nie turbujcie się, już my w tym, że ustąpią — zapewniał Mateusz.

— Wziąłbym tę ziemię z kraju, przy drodze — szepnął Pryczek Adam.

— A mnieby się widziały w pośrodku, te z figurą — rzekł inszy parobek.

— Jabym się darł o te od Woli.

— Cie, żeby tak dostać na ogrodach po foliwarku!

— Jaki mądrala, najlepszeby chciał!

— Wystarczy la wszystkich po kawale—uspakajał Grzela, bo już byli się sprzeczać zaczęli.

— Jeżeli dziedzic się zgodzi, a odda wam Podlesie, to niemała praca was czeka, niemały trud — ozwał się Rocho.

— Wydolim! wydolim wszystkiemu — wołali radośnie.

— Owa, nie straszna praca na swoim!

— Nawet wszystkim dziedzicowym ziemiom byśmy poradzili.

— Niech jeno dadzą, a obaczycie.

— Człowiekbych się wparł w ziemię, kiej drzewo, i niech mu kto poredzi, niech poprobuje wyrwać!

Rozgwarzali się między sobą, coraz prędzej idąc, bo już od wsi zaciemniała gromada kobiet, biegnących naprzeciw.

Śmierć gospodarza.

(Z „Chłopów". Tom III).

Księżyc się wtoczył na granatowe, wysokie niebo, gwiezdnym migotem przesiane, i wznosił się coraz wyżej, leciał, kiej ptak, wlekący wskroś pustek srebrzyste skrzydła, chmury spały kajś niekaj, pozwijane w puszyste białawe kłęby.

Zaś na ziemiach wszelkie stworzenie uznojone legło w cichy i słodki sen, jeno ptak jakiś tu i owdzie śpiewał rzęsiste piosneczki, jeno wody szemrały cosik jakby przez sen, a drzewiny, pławiące się w księżycowych brzaskach, zadrgały niekiedy, jakby się im dzień marzył; czasem pies warknął, albo przelatujący lelek zatrzepotał skrzydłami, a nizkie opary jęły zwolna i troskliwie przysłaniać pola, kieby tę mać utrudzoną.

Z pod ledwie rozeznanych ścian i ze sadów rozchodziły się ciche dychania, ludzie spali na powietrzu, powierzając się z dufnością nocy.

I w Borynowej izbie leżała senna cichość, świerszcz jeno strzykał pod kominem i Jagusine oddechy trzepały się, kiej skrzydła motyle.

Noc musiała być już późna, pierwsze kury zaczęły piać, gdy naraz Boryna poruszył się na łóżku, jakby przycykając, wraz też i księżyc uderzył w szyby i chlusnął, oblewając mu twarz srebrzystym wrzątkiem światła.

Przysiadł na łóżku i kiwając głową, a robiąc usilnie grdyką, chciał cosik powiedzieć, ale mu jeno zabulgotało w gardzieli.

Siedział tak dość długo, rozglądając się nieprzytomnie, a niekiedy gmerząc palcami we świetle, jakby chcąc zebrać w garście ową rozmigotaną rzekę księżycowych brzasków, bijącą mu w oczy.

— Dnieje... pora... — zamamrotał wreszcie, stając na podłodze.

Wyjrzał oknem i jakby się budził z ciężkiego snu, zdało mu się, że to już duży dzień, że zaspał, a jakieś pilne roboty czekają na niego...

— Pora wstawać, pora... — powtarzał, żegnając się wielekroć razy i zaczynając pacierz, rozglądał się zarazem za odzieniem, po buty sięgał, kaj zwykły były stoić, ale nie nalazszy niczego pod ręką, zapomniał o wszystkim i błądził bezradnie rękoma dokoła siebie, pacierz mu się rwał, iż jeno poniektóre słowa mamlał bezdźwięcznie.

Skołtuniły mu się naraz w mózgu wspominki jakichś robót, to sprawy dawne, to jakby odgłosy tego, co się dokoła niego działo przez cały czas choroby, przesiąkało tó w niego w strzępach nikłych, w bladych przypomnieniach, w ruchach zatartych, jak skiby na rżyskach i budziło się teraz nagle, kłębiło w mózgu, i na świat parło, że porywał się co chwila za jakimś majakiem; lecz nim się go uczepił, już mu się rozłaził w pamięci, jako te zgniłe przędze i dusza mu się chwiała, kiej płomień, nie mający się czym podsycić.

Tyle jeno teraz wiedział, co się może śnić o pierwszej zwieśnie drzewom poschniętym, że pora im przecknąć z drętwicy zimowej, pora nabrane chlusty wypuścić ze siebie, pora zaszumieć z wichrami weselną pieśń życia, a nie wiedzą, że płone są ich śnienia i próżne poczynania...

Zaczym cokolwiek robił, czynił, jako ten koń po latach chodzenia w kieracie czyni na wolności, że cięgiem się jeno w kółko obraca z przywyku.

Maciej otworzył okno i wyjrzał na świat, zajrzał do komory i po długim namyśle pogrzebał w kominie, zaś potym, jak stał, boso i w koszuli, poszedł na dwór.

Drzwi były wywarte, całą sień zalewało księżycowe światło, przed progiem spał Łapa, zwinięty w kłębek, ale na szelest kroków przebudził się, zawarczał i poznawszy swojego, poszedł za nim.

Maciej przystanął przed domem i skrobiąc się w ucho, ciężko się głowił, jakie go to pilne roboty czekają?...

Pies radośnie skakał mu do piersi; pogładził go po dawnemu, rozglądając się frasobliwie po świecie.

Widno było, jak w dzień, księżyc wynosił się już nad chałupą, że modry cień zesuwał się z białych ścian, wody stawu połśniewały, kiej lustra, wieś leżała w głębokim milczeniu, jedne ptaszyska wydzierały się zapamiętale po gąszczach.

Znagła przypomniało mu się cosik, bo poszedł śpiesznо w podwórze; drzwi wszystkie stały otwarte, chłopaki chrapały pod ścianami stodoły, zajrzał do stajni, poklepując konie, jaże zarżały, potym do krów wsadził głowę, leżały rzędem, że ino im zady widniały we świetle; to z pod szopy zachciał wóz wyciągnąć, już nawet porwał za wystający dyszel, ale dojrzawszy błyszczący pług pod chlewami, do niego pośpieszył i nie doszedszy całkiem zapomniał.

Stanął w pośrodku podwórza, obracając się na wszystkie strony, bo mu się wydało, że skądciś wołają.

Żóraw studzienny wynosił się tuż przed nim, cień długi kładąc.

— Czego to? — pytał, nasłuchując odpowiedzi.

Sad, porznięty światłami, jakby zastąpił mu drogę, srebrzące się liście szemrały cosik cichuśko.

— Kto me woła? — myślał, dotykając się drzew.

Łapa chodzący wciąż przy nim, zaskomlał cosik, że przystanął, westchnął głęboko i rzekł wesoło:

— Prawda, piesku, pora siać...

Ale w mig i o tym przepomniał; rozsypywało mu się wszystko w pamięci, kiej suchy piasek w garściach, jeno że wciąż nowe wspominki popychały go znów gdzieś naprzód;

motał się w one złudy, jak to wrzeciono w nić uciekającą wiecznie, a cięgiem na jednym miejscu.

— Juści... pora siać...— powiedział znowu i ruszył raźnie kole szopy opłotkami, wiedącemi na pole, natknął się na bróg ów nieszczęsny, spalony jeszcze zimą i już postawiony teraz na nowo.

Chciał go zrazu wyminąć, lecz nagle odskoczył, rozwidniło mu się na mgnienie, błyskawicą rzucił się wstecz czasu, wyrwał z płota kołek i ująwszy go oburącz, kiej widły i z nasrożoną twarzą, rzucił się na słupy, gotowy bić i zabijać; lecz nim uderzył cobądź, wypuścił kołek bezradnie.

Za brogiem, od samej drogi, a pobok ziemniaków, ciągnął się długi szmat podorówki, przystanął przed nim, wodząc zdumionemi oczyma.

Księżyc już był w pół nieba, ziemie pławiły się w przymglonych brzaskach i leżały operlone rosami, jakby zasłuchane w milczeniu.

Nieprzenikniona cichość biła z pól, zamglone dale łączyły ziemię z niebem, z łąk pełzały białawe tumany i wlekły się nad zbożami, kiej przędze, obtulając je, niby ciepłym, wilgotnym kożuchem.

Wyrosłe zielonawe ściany żyta pochylały się nad miedzę pod ciężarem kłosów, zwisających kieby te rdzawe dzioby piskląt, pszenice szły już w słup, stały hardo, lśniąc czarniawemi piórami, zaś owsy i jęczmiona, ledwie rozkrzewione, zieleniały kiej łąki, w płowych przesłonach mgieł światła.

Drugie kury już spały, noc była późna, pola pogrążone w głęboki sen odpoczywania, jakby dychały niekiej cichuśkim chrzęstem i jakimś echem dziennych zabiegów i trosk — jak dycha mać, kiej przylegnie wpośród dzieciątek, dufnie śpiących na jej łonie...

Boryna naraz przyklęknął na zagonie i jął w nastawioną koszulę nabierać ziemi, niby z tego wora zboże naszykowane do siewu, aż nagarnąwszy tyla, iż się ledwie podźwignął, przeżegnał się, spróbował rozmachu i począł obsiewać...

Przychylił się pod ciężarem, i zwolna, krok za krokiem szedł i tym błogosławiącym, półkolistym rzutem posiewał ziemię na zagonach.

Łapa chodził za nim, a kiej ptak jaki spłoszony zerwał się z pod nóg, gonił przez chwilę i znowu powracał na służbę przy gospodarzu.

A Boryna, zapatrzony przed się, w cały ten urokliwy świat nocy zwiesnowej, szedł zagonami cicho, niby widmo błogosławiące każdej grudce ziemi, każdemu źdźbłu i siał — siał wciąż, siał niestrudzenie.

Potykał się o skiby, plątał we wyrwach, niekiedy się nawet przewracał, jeno że nic o tym nie wiedział i nic nie czuł, kromie tej potrzeby głuchej a nieprzepartej, bych siać.

Szedł aż do krańca pól, a gdy mu ziemi zabrakło pod ręką, nowej nabierał i siał, a gdy mu drogę zastąpiły kamionki, a krze kolczaste, zawracał.

Odchodził daleko, że już ptasie głosy się urywały i kajś w mglistych mrokach zginęła cała wieś, a obejmowało płowe, nieprzejrzane morze pól, ginął w nich, kiej ptak zabłąkany, lub kiej dusza, odlatująca ze ziemie — i znowu się wyłaniał bliżej domów, w krąg ptasich świergotów powracał i w krąg zamilkłych na chwilę trudów człowieczych, jakby wynoszony z nawrotem na krawędź żyjącego świata przez chrzęstliwą falę zbóż....

— Puszczaj, Kuba, brony a letko! — wołał niekiedy niby na parobka.

I tak przechodził czas, a on siał niezmordowanie, przystając jeno niekiedy, bych odpocząć i kości rozciągnąć i znowu się brał do tej płonej pracy, do tego trudu na nic, do tych zbędnych zabiegów.

A potym, kiej już noc ździebko zmętniała, gwiazdy zbladły i kury zaczynały piać przed świtaniem, zwolniał w robocie, przystawał częściej i zapomniawszy nabierać ziemi, pustą garścią siał — jakby już siebie samego rozsiewał do ostatka na te praojcowe role, wszystkie dni przeżyte, wszystek żywot człowieczy, któren był wziął i teraz tym niwom świętym powracał i Bogu Przedwiecznemu.

I w oną żywota jego porę ostatnią, cosik dziwnego zaczęło się dziać i niebo poszarzało, kiej zgrzebna płachta, księżyc zaszedł, wszelkie światłości pogasły, że cały świat oślepł nagle i zatonął w burych skołtunionych topielach, a coś zgoła niepojętego jakby wstało gdziesik i szło ciężkiemi krokami wskroś mroków, że ziemia zdała się kolebać.

Przeciągły, złowróżbny szum powiał od borów.

Zatrzęsły się drzewa samotne, deszcz poschniętych liści zaszemrał po kłosach, zakołysały się zboża i trawy, a z nizkich, rozdygotanych pól podniósł się cichy, trwożny, jękliwy głos:

— Gospodarzu! Gospodarzu!

Zielone pióra jęczmion trzęsły się, jakby w płaczu, i gorącemi całunkami przylegały do jego nóg utrudzonych!

— Gospodarzu! zdały się skamleć żyta, zastępując mu drogę i trzęsły rosistym gradem łez. Jakieś ptaki zakrzyczały żałośnie. Wiater załkał mu nad głową. Mgły owijały go w mokrą przędzę, a głosy wciąż rosły, olbrzymiały, ze wszystkich stron biły jękliwie, nieprzerwanie:

— Gospodarzu! Gospodarzu!

Dosłyszał wreszcie, że, rozglądadąc się, wołał cicho:

— Dyć jestem, czego? co?

Przygłuchło naraz dokoła, dopiero kiej znowu ruszył posiewać ociężałą już i pustą dłonią, ziemia przemówiła w jeden chór ogromny:

— Ostańcie! Ostańcie z nami! Ostańcie!...

Przystanął zdumiony, zdało mu się, że wszystko ruszyło naprzeciw, pełzały trawy, płynęły rozkołysane zboża, opasywały go zagony, cały świat się podnosił i walił na niego, że strach go porwał; chciał krzyczeć, ale głosu już nie wydobył ze ściśniętej gardzieli, chciał uciekać, zabrakło mu sił, i ziemia chwyciła za nogi, plątały go zboża, przytrzymywały brózdy, łapały twarde skiby, wygrażały drzewa, zastępujące drogę, rwały osty, raniły kamienie, gonił zły wiater, błąkała noc i te głosy, bijące całym światem:

— Ostańcie! Ostańcie!

Zmartwiał naraz, wszystko przycichło i stanęło w miejscu, błyskawica otworzyła mu oczy z pomroki śmiertelnej, niebo się rozwarło przed nim, a tam w jasnościach oślepiających Bóg Ojciec, siedzący na tronie ze snopów, wyciąga ku niemu ręce i rzecze dobrotliwie:

— Pódzi-że duszko człowiecza do mnie. Pódzi-że utrudzony parobku...

— Zachwiał się Boryna, roztworzył ręce, jak w czas podniesienia:

— Panie Boże, zapłać! — odrzekł i runął na twarz przed tym majestatem przenajświętszym.

Padł i pomarł, w onej łaski pańskiej godzinie.

. . . . . .

Świt się nad nim uczynił, a Łapa wył długo i żałośnie.

WACŁAW SIEROSZEWSKI.

Urodzony w r. 1868, we wsi Wólka Kozłowska, gub. Warszawskiej. Pracował u ślusarza, w r. 1888 za udział w organizacji socjalistycznej wysłany na Sybir, zajmował się tam pracami naukowemi i rozwinął w sobie pierwszorzędny talent epiczny. Owocem poszukiwań naukowych wielkie dzieło „Dwanaście lat w kraju Jakutów". Powieści i nowelle: *Na kresach lasów*, *W matni*, *Risztau*, *Brzask*, *Latorośle*, *Powieści chińskie*, *Powrót*, *Ucieczka*, *Ol-Sani-Kisani*.

Ob. studja: Ign. Matuszewskiego (w tomie p. t. *Twórczość i twórcy)*; M. Mutermilcha: Piewca niedoli.

Sclavus saltans.

(Wspomnienie z Syberji).

Breza wracał do domu po całodziennej pracy na spiekocie. Znój i kurzawa zamieniły go w murzyna, któremu dziwny traf losu przylepił blond brodę i jasne wąsy. Prowadził przed sobą na lejcach parę koni wyprzężonych do pługa. Okulary przekrzywiły mu się na nosie; czarny, filcowy kapelusz z obwisłemi od starości brzegami, zjechał mu na tył głowy. Opierając się mocno na zdeptanych obcasach, Breza spuszczał się ostrożnie po pochyłości, ze świeżo pooranych zagonów ku swej samotnej chałupce, szarzejącej na dnie kotliny.

Zapadał wieczór. Już poczerniał las okalający dolinkę, już opar nocy bielał nad łąkami i ćmił odblask zorzy na poblizkim jeziorze, czarnym od lasów odbicia. Gwiazdy migotały blado w wysokościach. A wkoło było tak cicho, że głuchy tupot koni, rwących się niecierpliwie do odpoczynku i szmer ciągnionego przez nie pługa wydawały się Brezie jedynemi dźwiękami, trącającemi o pomierzchłą pierś ziemi.

Brezę opadła nagle straszna tęsknota, jeden z tych gwałtownych wybuchów bólu, co wali od czasu do czasu wygnańców na łoże i zmusza ich tam do leżenia godzinami całemi bez ruchu. Pośpiesznie wyprzągł konie i uwiązał je u słupów, aby wypoczęły i obeschły z potu, zanim pójdą na wilgotną trawę łąki. Od proga pies zabiegł mu drogę i zajrzał w oczy, ale rychło odszedł i czekał potulnie w oddali, czy go aby puszczą do chaty. Wiedział, że w takich chwilach pan jego

nie lubi żadnych karesów. Breza wszedł do ciemnej izby i poczuł wielką ochotę do natychmiastowego leczenia wygnańczej przypadłości na łóżku, ale musiał przedtym ugotować coś dla psa, a z tej racji i dla siebie. Rozpalił więc na kominie ogień i przystawił doń garnek, oraz imbryk. Poczym oparł czoło o róg stołu i przesiedział tak długo, bardzo długo, walcząc ze straszną pustką, ssącą mu duszę, jak upiór. Ocuciło go głośne ujadanie wiernego Sokoła. Wyszedł, wziąwszy na wszelki wypadek broń, gdyż nocne odwiedziny w tych stronach nie zawsze należą do pożądanych. Ktoś jechał ku niemu zamaszystym skoczem po leśnej drożynie. Wkrótce wyłonił się z ciemności jeździec.

— Poczta! Z gminy przysłali — rzekł po jakucku.

Podał Brezie pocztę i, nie złażąc z konia, poprosił go o szczyptę tytuniu. Dostał ją od wygnańca, znikł równie szybko w nocnej pomroce, jak nagle się zeń wyłonił. Breza wpadł do izby, i zwitek niecierpliwie rozerwał. Było tam trochę gazet i tomik (Poezji). Jeszcze raz uważnie przejrzał numer za numerem, lecz listów nie znalazł. Czas jakiś patrzał nieruchomym wzrokiem w skaczące w kominie płomienie, poczym zaczął przebiegać od niechcenia zwykle pogardzane (poezje); czytanie jednak niepostrzeżenie pochłonęło go do tego stopnia, że dopiero wygaśnięcie ognia zmusiło go do oderwania oczu od książki. Wykipiały imbryk smętnie pykał w osypisku żarzących się węgli; nawpół opróżniony garnek warkotał gderliwie; pies widocznie zwątpił już o swej wieczerzy, gdyż zwinął się w kącie potulnie do snu; głodne konie rżały na dworze. Zanim Breza dopełnił swych obowiązków gospodarskich, noc ciemna jak loch, otuliła ziemię. Zapalił świecę i próbował dalej czytać, ale nie mógł: palące myśli, drogie, wdzięczne, dalekie obrazy, biły weń, jak wichry melodyjnemi strofami mowy ojczystej, porywały, szarpały za serce, unosiły w dal, w zwyż, niby rozmachy potężnych skrzydeł.

Schwycił książkę, broń na ramię zarzucił i ruszył do podobnego sobie samotnika, który mieszkał o milę.

Już zdala dojrzał, że sąsiad też nie śpi—światełko w jego okienku migało, jak zachodząca za kraj stepu, gwiazda. Gdy Breza zbliżył się do zagrody, usłyszał wewnątrz głosy. Towarzysz miał gości. To odrazu zepsuło humor Brezy. Nie wiedział, kogo zastanie u towarzysza. Ale był to trzeci, taki sam, jak i on samotnik — niewolnik, przygnany jak i Breza tęsknotą do towarzysza z innej i ze znacznie większej odległości. Zebrani przywitali Brezę radośnie, bez cienia zdziwienia, gdyż takie niespodziane nocne odwiedziny były rzeczą dość zwykłą pośród pustelników. Skorzystali jedynie z okazji jego

przybycia, aby nastawić jeszcze raz samowar... Podczas, gdy się krzątali, Breza siedział zgarbiony na stołku i mrukliwie odpowiadał na krótkie pytania. Schowana w zanadrzu książka gniotła mu piersi, płonął pragnieniem odczytania im rzeczy, które go upoiły i zarazem wstydził się swego porywu przed tym trzecim, nieoczekiwanym gościem.

Poznali jednak coś po jego twarzy, gdyż gospodarz, którego wbrew wyszukanemu jego obejściu, przezywano Dorożkarzem, wyrzekł dobrotliwie:

— Co tam kryjesz? Widzę, że coś przyniosłeś... Syp! Syp!... Kolega Korneli też posłucha!...

Podsunął Brezie szklankę czarnej, jak atrament herbaty. Kolega Korneli, mężczyzna wysoki a taki tęgi, że wydawał się nizkim, prawie kwadratowym, podniósł na Brezę szafirowe oczy, ostro w ciemne brwi i rzęsy oprawne; następnie odgarnął z czoła bujne blond włosy i przysiadł na stołku.

— Słuchamy...

Chwilę Breza walczył z sobą, wreszcie z rozpaczliwą odwagą książkę z zanadrza wyciągnął.

— To takie.... śliczne.... To takie.... przedewszystkim.... przedewszystkim... okropnie ładne... Wszystko ładne... Ale najpierw przeczytam wam jeden wiersz!...

— Owszem, owszem!...

Maro swych gości po uczcie prowadzi,
Gdzie zakupieni wczora niewolnicy
Na zgniłej słomie wpółnadzy i bladzi,
Wypoczywają zamknięci w piwnicy.

— Doskonale!— zawołał Dorożkarz — wpółnadzy i bladzi! Doskonale! Co dalej?

Maro — to znawca! On swoje obole
Wie, na co wydać, krwi dobrej zna cenę:
Jak Amor każde u niego pacholę,
A mąż — gladjator! choć dzisiaj w arenę!

— Hm! Co to, to wątpić! — mruknął Dorożkarz.

Ot, pierwszy: Numid, nabytek wspaniały:
Tors jakby z bronzu, a włos, jak lwie grzywy.
Rzut oka, zda się, przekuć można w strzały,
Nerwy drgające wyciągnąć w cięciwy!
Przepyszny towar!...

— To niby ty, Korneli! — wtrącił Dorożkarz.

— Cicho, Dorożkarzu, jeżeli raz jeszcze się odezwiesz, zostaniesz zdegradowany na.... konia!... bronił się opryskliwie siłacz.

Gdy Maro go nogą
Kopnął, wołając: „wstań bydlę!" — twarz dzika
Spłonęła jakąś ognistą pożogą
I ryknął wściekle: „nie budź niewolnika!"

Głos Brezy załamał się, ale co gorsza, przewracając kartkę zauważył, że i ręka mu drży niegodnie. Spojrzał lękliwie na towarzyszy. „Kolega Korneli" słuchał w surowym skupieniu, lecz Dorożkarz, korzystając z przerwy, westchnął bardzo cichutko i bardzo żałośnie:

— I to prawda! Grato nie'l sonno e piu l'esser di sasso, mentre che'l danno... Niech chrapie.

Co za głos — wstrząsła się podziemna cisza...
Lentulus w strachu zgubił wieniec róży...
Wielcy bogowie!... Na brodę Jowisza
Zda się, jak gdyby wołał: „nie budź burzy!"

„Kolega Korneli" wstał ostrożnie, odszedł w głąb izby i zaczął się przechadzać tam krokami stąpającego na palcach niedźwiedzia.

...Słychać, jak kędyś powstaje bezładnie
Pomsta, co kiedyś nad światem zapadnie,
Warczącą przepaść zgrozy słychać zdala...
Drżyjcie! to Romę niewolnik obala!

„Kolega Korneli" przystanął.

Breza nie mógł wytrzymać i zerknął nań ukradkiem. Pod wężowo zmarszczonemi brwiami „Kolegi", płonęły migotliwie dwa szafiry, jak dwie, wstrzymane w locie błyskawice. Na podbladłej twarzy Dorożkarza tułał się wymuszony uśmiech.

...Oto powstają wraz z klątwy tej echem
Gromy strasznego stuleciom wybuchu...
Goście pobledli, a Maro z uśmiechem
Rzekł: Przez Herkula! wszak on na łańcuchu!...

— Słusznie... Bez obawy messieurs!...— szepnął cichutko, jak przedtym, Dorożkarz.

...Lecz biesiadnicy cofali się żywo...
Maro ich tedy ku innej wiódł stronie,
Gdzie, jak łuk zgięty w pyszną linję krzywą,
Stał Grek młodzieńczy, ukrywszy twarz w dłonie.

I płakał. Biada, kto płacze w niewoli
Łza, jak rdza, męską moc ducha przejada...
Kto w więzach słabnie, jest godzien swej doli...
Rozpaczającym niewolnikom — biada!
On rodzinnego nie ujrzy już nieba...

Lektor ciężko odetchnął i znów rzucił wzrok na towarzyszy. Dorożkarz już się nie śmiał — leżał wyciągnięty na łożu, z twarzą zwróconą ku górze i rękami założonemi pod głowę.

Ni na igrzysku nie chwyci w lot dzidy
Rzuconej ręką gibkiego efeba...
Łańcuch rwą tylko lwy, albo Numidy:
Łzy — to zbyt wiele, i łzy — to zbyt mało!

— Dość! szepnął „Kolega Korneli" kładąc swą potężną dłoń na książce. Zdziwiony Breza spojrzał mu w twarz przeciągle. Szeroko otwarte oczy młodzieńca płonęły teraz zupełnie inaczej: blask w nich rozlał się i zadymił posępnie, jak płomień pogrzebowej pochodni. Kiwnięciem głowy wskazał na Dorożkarza. Ten nie ruszał się, powieki miał przymknięte i w pierwszej chwili zgorszonemu Brezie zdawało się, że słuchacz jego usnął; lecz wnet spostrzegł, że tak nie jest, że po delikatnych, pożłobionych cieniami policzkach towarzysza płynie coś okrągłego, lśniącego, jak szklane paciorki, że zaciśnięte kurczowo usta drgają mu porywczo, jak małemu dziecku... Odsunął książkę, czując, że i jemu coś przysłania i zwilża źrenice...

Czas jakiś milczeli, nie patrząc na siebie, aż Breza powstał nagle, wziął broń, książkę wcisnął napowrót w zanadrze i bez pożegnania wyniósł się za drzwi.

Świtało.

Szare lasy, szara ziemia i szare mgły splątały się razem w niewyraźne skręty. Pobladłe niebo, ledwie — ledwie poczynało nasiąkać barwami młodego poranku. Dalekie jeziora świeciły mierzchliwie wśród sit. Siwa rosa dużemi perłami wisiała na okiściach traw, na gałązkach i liściach drzew, na nikłych kwiatach, na ciemnych igłach świerków i modrzewi. W puszczy odezwały się nieśmiało pierwsze ptaki.

Breza szedł zapatrzony w cudny dlań widok budzącego się dnia i szeptał zdławionym głosem:

— Drżyjcie.... To Romę niewolnik obala.... Łzy to zbyt wiele... Łańcuch rwą tylko lwy, albo Numidy!...

Risztau.

(Fragment).

(Młody przyrodnik, Stanisław Wichlicki, wybiera się na wierzchołek Risztau (Kaukaz) dla badania lodowców i hal od strony rzeki Urucha. Towarzyszy mu Czerkies Selim; w dolinie zostawił narzeczoną Helenę z jej rodzeństwem. Dochodził do szczytu, gdy wał kamieni zatamował bieg Uruchy i rzeka wylała. Prawdziwy potop zalał wierzchołki Risztau; pozostali w dolinach byli pewni, że Wichlicki zginął, ale Helena z Jurkiem wyruszyli z pomocą).

XII.

Od owej strasznej chwili, gdy trzęsienie ziemi zbudziło Selima i Wichlickiego, a nagła powódź zmusiła ich uciekać na skały, nieszczęściom nie było końca. W pierwszym momencie rozbiegli się, uchodząc na oślep przed wodą, która z rykiem pędziła za niemi, nieledwie chwytając ich za nogi. Lecz gdy znaleźli się już dość wysoko, z pierwszego strachu ochłonęli, a po złagodniałym szumie i bełkotaniu wody poznali, że przybór zostawili daleko po za sobą, zaczęli się nawoływać. Pierwszy odezwał się Wichlicki. Czerkies mu odpowiedział, ale choć był niedaleko, oznajmił, że nie śmie się ruszyć, gdyż nic nie widzi; radził więc zaczekać do rana. Czekali, otoczeni grubemi ciemnościami, a głuche grzmoty, drżenie gór i szamotanie się wody ostrzegało ich, że to jeszcze nie koniec przygody. Całą jej doniosłość zrozumieli wtedy dopiero, gdy światłość dnia rozjaśniła tuż pod ich stopami rozlaną ogromną taflę szarego, brudnego jeziora. Na pozór powierzchnia jego wydawała się spokojną, ale uważne oko mogło dostrzec nieustające drganie, wywoływane jakimś potężnym wgłębkowym ruchem, nieprzerwanym dopływem wody, pod...niającym coraz to nowe obrzeża piasku, kamieni i łąk. Woda podnosiła się coraz wyżej, trzeba więc było uciekać co prędzej z tych wąwozów o prostopadłych ścianach. Selim proponował udać się w górę, nie w dół rzeki, gdzie było wyjście; ale Wichlicki nie zgadzał się na to, gdyż pamiętał dobrze, że tam urwiska były liczniejsze i bardziej strome.

— W dole zasypią nas kamieniel Tam wody dużo, wyjścia nigdzie niema.... Trzeba iść na Risztau! — upierał się góral.

Wichlicki po krótkim wahaniu ustąpił. Przed odejściem przeszukali brzegi, w nadziei, że woda wyrzuciła choć cokolwiek z porwanych im rzeczy. Napróżno: przepadł muł, cenne zbiory, zapasy żywności, odzież, broń — wszystko znikło bez śladu. Został tylko karabin, woreczek z nabojami i kindżał, które zdążył schwycić Selim, tudzież zawiniątko niepotrzebnych rupieci, uratowane w zamieszaniu przez Wichlickiego. W zawiniątku znajdowało się mydło, szczoteczka do zębów, igły, nici, nożyczki i inne drobiazgi, ale na szczęście — było i pudełko zapałek.

Poszli krawędzią niezalanych upłazów. Na jednej z łąk natknęli się na stado „żeranów", z których Selim dwa zastrzelił. Tego dnia nie poszli dalej; całą noc palili ogień, krajali mięso w drobne paski, suszyli je i wędzili. Ustał huk walących się skał i trzęsienie ziemi. Powódź jednak wzrastała. Nad ranem woda podeszła pod samo ich obozowisko. W dalszej podróży coraz częściej zastępowały im drogę strome cyple i ostre poszczerbione grzebienie, na które wedrzeć się było niepodobieństwem. Woda już je była podmyła, musieli więc brnąć w niej, a miejscami nawet płynąć. Groza położenia szybko wzrastała. Próbowali więc wdzierać się na szczyty, narażając na trudności, które przed godziną wydawały im się nie do zwalczenia. Gdy już ręce i nogi nie miały za co chwycić, wracali nieraz ze znacznych nawet wysokości.

Tymczasem w dole z przerażającą szybkością znikały gzymsy, dające przejście. Wkrótce drogę przecięła im zwarta kolumnada skał, prosto wystających z wody. Szaleństwem byłoby myśleć o przebyciu wpław takiego korytarza z bronią, z żywnością, przez wodę bardzo zimną; tym bardziej, że dalej w górze było prawdopodobnie więcej takich pułapek. Wichlicki nie chciał iść, Selim nie upierał się już przy swoim, tylko żałośnie na szczyty spoglądał.

Wrócili więc; ale powódź już przecięła im odwrót; przywiązawszy żywność i rzeczy na głowach, brnęli mieliznami, drżący i skostniali od zimna, aż stanęli na przeciwnym brzegu.

Ale i tu rachuby ich zawiodły: położenie nie polepszyło się bynajmniej. Zrozpaczeni, wybrawszy najbardziej pociętą i najwięcej nierówności mającą opokę, zaczęli po niej, niby po gzemsach ogromnego tumu, piąć się w górę, wsadzając palce w szczeliny. Ciężko dysząc, przylgnąwszy piersią do skały, z rozkrzyżowanemi rękoma, posuwali się zwolna, jak drobne robaczki po niebotycznym urwisku, lękając się spojrzeć w dół, gdzie błyszczało pod niemi stalowe zwierciadło jeziora. Byli już na połowie wiszaru, gdy Wichlicki, który uważał sobie za obowiązek iść pierwszy, zarwał się i spadł z kamieniem w ręku.

Selim widział, jak leciał; słyszał jak plusnęła woda, ale nie mógł się obejrzeć; natychmiast jednak zaczął się cofać ostrożnie, co mu zabrało więcej czasu, niż wejście na górę. Znalazł Wichlickiego siedzącego już na brzegu; był blady i w mokrych rzeczach szukał pudełka z zapałkami.

— Nie zamokło — rzekł, uśmiechając się z trudnością.

Selim spostrzegł, że lewa jego ręka zakrwawiona wisiała bezwładnie.

— Bóg jest wielki! — szepnął, powiesił karabin na złomie i usiadł koło pana.

Młodzieńca ocaliła głęboka woda; rękę tylko ściskał sobie mocno: opatrzyli ją, przewiązali i przenieśli obozowisko na najwyższy punkt stoku, gdzie skały schodziły się pod kątem. Selim w miejscu zacisznym, nakrytym występem urwiska, zatknął w szparę kindżał, na nim powiesił naboje i karabin, poczym, uporządkowawszy trochę i oczyściwszy miejsce, poszedł szukać drzew na ogień, rwać trawy i wici na pościel. Wichlicki tymczasem robił znaki na skale w celu zmierzenia szybkości przyboru. Obaj załatwili się prędko.

Zbocze było prawie nagie, więc zbieranie mchu i zieleni nie zajęło dużo czasu; z drzewem trudniejsza była sprawa: trzeba było wyławiać je z wody, czatując na fale, które je przynosiły do brzegu.

Siedzieli w milczeniu u słabo tlejącego ogniska, zapatrzeni w wodę pozornie nieruchomą, na której powierzchnię kiedy niekiedy tylko w różnych miejscach wypływały bąble, a źdźbła trawy, patyki i piana od wydętego środka leniwo dążyły ku brzegom. Rozsiany blask zakrytego słońca przez urwiska słabo odbijał się w toni mętnej i zapylonej.

— Pół stopy... dwie i pół stopy na dobę... Mamy zapasu na pięć dni... — rzekł Wichlicki, uważnie obejrzawszy znaki. — Co myślisz, Selimie, jak prędko z aułu mogli dać znać o wypadku?

— Myślę, panie, że nie śpieszyli się bardzo...

Wichlicki odwrócił głowę i znowu umilkli na długo.

Pociemniały szare skały, ściemniło się niebo nad niemi, zorza purpurową światłością zalała wąwóz i krwawo zabarwiła jezioro. Muzułmanin zdjął beszmet, starannie rozpostarł go na brzegu, poczym rozzuwszy się, stanął na nim i zaczął modlić się, z twarzą zwróconą ku wschodowi. Klękał, szeptał, bił czołem, wstawał i miedzianą twarz z niemą prośbą wznosił do góry. Wichlicki rzucił się na stos mchu i patrzał na blado migocące nad skałami gwiazdy.

Z zachodem słońca blizkość lodowca silniej uczuć się dała; powiał chłód przejmujący, a nad powierzchnią wody zaczęły

snuć się siwe opary, zaczęły one wykwitać ze szczelin skalnych, drobnemi obłoczkami staczać się ze szczytów. Wkrótce cały spód wąwozu zatonął w mlecznej ich białości; tylko niebo nad niemi pozostało szafirowe, iskrzące się i czyste.

Wichlicki siadł bliżej ognia, obok Selima.

— Czy ty masz tam kogo w górach, Selimie? — zapytał Czerkiesa.

— Nie mam nikogo, panie. Bracia moi zginęli na wojnie. Ród mój wyszedł do Turcji. Sam zostałem jak wilk i nikt się o mnie troszczyć nie będzie... Prędzej o tobie wspomną twoi rodacy z podgórza.

Twarz Wichlickiego gorącym pokryła się rumieńcem.

— Nie zrozumiałeś mię, Selimie. Pytam o innych, o tych, co pomóc nie mogą, a będą płakali po tobie!

— O tak! Mam żonę i kilkoro dzieci.

— Wiesz co, Selimie, ty mię tu zostaw! Przeszkadzam ci, jestem niezręczny... chowałem się w miastach... Sam wydostaniesz się może... Wtedy pójdziesz...

— Nie kończ, panie! Nie godzi się słuchać!... Czerkies nie porzuci towarzysza... Byłeś mi w drodze nie panem, lecz przyjacielem... Zresztą wydostać się stąd niepodobna... Bóg widać chce, abyśmy tu obaj zginęli.

— Po co mówić o zgonie?... Jeszcze czas... mamy broń, żywność, ogień... Jeszcze wody może zacząć ubywać... Myślałem, że zamiast siedzieć bezczynnie, będziesz wolał... A dla mnie wszystko jedno... nawet wolałbym umrzeć sam... Możeby ci się udało ludzi sprowadzić...

— Sześć dni czasu trwałaby droga... Nie mam jedzenia, odzieży... Trzebaby było iść przez lody... Sam powiedziałeś, że przybór wody zostawia nam tylko pięć dni czasu... Zresztą wyjścia stąd niema... Sam próbowałeś... Niech się stanie jak Bóg postanowił... Ty, panie, trzęsiesz głową... Ty, widziałem, nie modlisz się nigdy... Wasz Bóg to przecie także Bóg!...

— Wierzę teraz tylko w ludzi, Selimie. Tak się stało...

Zamilkli.

— Ludzie daleko, nie usłyszą, Bóg pokazał potęgę swoją!... — posępnie mruknął muzułmanin. — Nikt się zresztą nie odważy... chyba Jurek...

— Jurek nie przyjdzie — rzekł cicho Wichlicki.

— Widzisz! Więc poddać się trzeba woli Boga... Gdyby choć pochowali nas!... Wszak twoi możni naczelnicy szukać cię będą?...

Wichlicki nie odpowiedział. Nic go to nie obchodziło, co się stanie potym, gdy ich woda zaleje. Wątpił, czy „naczelnicy" troszczyć się o niego będą... Pożałują może, pogadają

i koniec... Ale nie uważał za właściwe mówić o tym Selimowi, chcąc zaś przerwać rozmowę, która na drażliwe zaczęła wchodzić tory, udał, że śpi. Nie zasnął jednak, a gdy po pewnym czasie poszedł obejrzeć stopień przyboru, zauważył, że Selim podniósł też głowę i powiódł za nim błyszczącemi oczyma. Kiwnął mu głową i w milczeniu położył się na wilgotnym posłaniu.

Mglisty poranek rozwidnił wąwóz. Skały, woda — wszystko było to samo, tylko brzegu mniej mieli przed sobą. Chmury, płynące nizko, czepiały się krawędzi urwisk, strzępy ich w kłębach staczały się aż na dół. Woda cicha, szara lizała kamienie drobnemi falami! Selim leżał nawznak, bez ruchu, a Wichlicki, z głową wspartą na ręku, biegł wzrokiem za drobnemi karbami wód, wpatrywał się w migotliwą łuskę potwora, bez wytchnienia pożerającego im z pod nóg ziemię. Chwilami wyobrażał sobie, jak te fale będą lizały i kołysały jego ciało i Selima, opite, martwe, zimne trupy, jak oni będą stukali głowami o skały, i ogarniało go wówczas uczucie niepohamowanego wstrętu, dzikiej, przejmującej grozy... Nie rozpaczał, nie buntował się... wiedział, że musi umrzeć, a to musi jak stal płytka przecinało wszelkie rozumowanie, wszelkie żałości. Ciążyła mu jednak bezczynność, rojem obsiadały myśli boleśniejsze niż śmierć... Wolałby ginąć w walce, w szamotaniu się... Jeśli przekona się, że niema już nadziei, rzuci się i popłynie...

— Opowiedz co, Selimie... Opowiedz, jak byłeś na wojnie... Skąd jesteś, gdzie mieszkasz? Kto są twoi?... Wszak ja o tym nic nie wiem... nic mi nigdy nie mówiłeś...

— Nie pytałeś, panie! — odrzekł czerkies, a Wichlickiego przykro dotknął ten łagodny wyrzut. — Jestem stary i stare to dzieje, mało komu znane; tobie jednak, panie, opowiem je przed śmiercią. Kiedyś siedział w miasteczku, zauważyłeś pewnie na południu duże góry, pokryte lodowemi szczytami. Stamtąd jestem. Nie w górze jednak wśród kamieni mieliśmy nasz auł, lecz w dole, wśród lasów, gdzie rosną słodkie kasztany, orzechy i wino dojrzewa... Mój ojciec był rycerzem, „uzdeniem", miał dużo ziemi, a w górach stada baranów, krów i koni. Strzegli ich naprzemian starsi bracia... Czterech miał stary synów i trzy córki; ja byłem przedostatni. O wojnie słyszałem od urodzenia, ale była daleko; nie wierzyliśmy, żeby kiedy do nas przyszła. Aż tam, gdzie teraz jest miasteczko, pewnego razu zatrzymały się okręty; wysadzili żołnierzy, wytoczyli działa, poczęli sypać szańce. Oddziały krążyły po okolicy, zaczęła się wojna. Dwaj moi starsi bracia zasłynęli już

wcześniej, jako „abrecy". Pytano się o nich. Zabrano ojca. Ja z młodszym bratem pilnowaliśmy wtedy stad w górach. Ogarnęła nas rozpacz. Matka wykupiła starego: dała dużo pieniędzy. Córkę młodszą, śliczne dziecko sprzedać musiała. Powieźli ją handlarze do Stambułu. Ojciec, jak tylko wrócił, zabrał nas, dobytek, i ruszył w góry, na same szczyty. Mówił, że lepiej zginąć, niż być niewolnikiem. Było nam tam i zimno i ubogo. Niedługo zostawaliśmy na miejscu. Wybuchła powszechna święta wojna. Jeden z braci przyniósł nam wieści o niej. Stary wziął nas, konie co lepsze, i poszedł. W sakli została matka z drugą siostrą. Stary był oczytany w piśmie, świątobliwy i roztropny, więc go zrobiono „miurydem" naczelnikiem. Często prowadził nas na bój, a zawsze szczęśliwie. Nakoniec zginął brat starszy, a ja zostałem ranny. Cofnęliśmy się w góry, gdzie mieliśmy kryjówkę na cyplu skały. Można było tam dostać się tylko po wązkim, jak ostrze szabli przesmyku. A że nikt o tym przejściu nie wiedział, zlatywaliśmy jak sępy stamtąd, przynosili bogatą zdobycz, przyprowadzali kobiety. Cośmy wsi spalili, krwi przeleli—nie przeliczyć! Służyliśmy, jak kto umiał Allahowi; nie było pośród nas zaprzańców, a gdy się jeden znalazł, zginęliśmy wkrótce, bo niema nic gorszego nad zdradę! Wypędziliśmy łotra, który nie szanował obyczaju i skrzywdził towarzysza. Trzeba było go zabić... Popełniliśmy omyłkę!... On przyprowadził żołnierzy. Podczas mgły wdarli się po przesmyku do naszego gniazda, gdyż my, pewni bezpieczeństwa swego, nie stawialiśmy straży. Zeszli nas śpiących; szczęk oręża obudził niektórych. Rzucili się do broni. Żołnierze zaczęli mordować nas bagnetami i strzelać prosto w twarz. Mój stary walczył jak lew, chciał wyprzeć wrogów, zrzucić ich w przepaść — nie mógł. Napływali jak fala i zabili go nakoniec. Zaleli plac cały i posuwali się ku nam, a my staliśmy nad brzegiem przepaści. Mój brat, dziecko jeszcze, nie wytrwał, gdy żołnierze podeszli blizko i strzelili, padł na kolana, broń rzucił i zaczął wołać: „Pardon, brat!" Przebiłem go kindżałem. Czerkies nie zna „pardon"; żołnierz nie zna „brat". Potym każdy z nas schwycił żołnierza i rzucił się z nim w przepaść. Górale umieją się z gór staczać, ale wielu z nas zginęło. Ja złamałem rękę. Potym długo błąkałem się w górach. Nie szukali mię, myśleli, że umarłem. Później poszedłem do Turcji. Byłem w Mekce i mam biały zawój „chadżi". Służyłem w konnicy sułtana. Ale nie mogłem wytrzymać. Tęskniłem do słodkiego powietrza naszych gór. Wróciłem. Na miejscu, gdzie był nasz auł, wyrósł las. Ledwie znalazłem ślady jego w gąszczu. Wyschły zdroje, znikły pola, zarosły ścieżki, pozawalały się mosty; sakle, leżące w górach,

pokrył powój... Po grobach ojców włóczyły się niedźwiedzie, ryły je dziki.... Chciałem oddychać tutejszym powietrzem.... Służyłem za „czapara" w policji, aby się wysłużyć. Potym za uciułane pieniądze kupiłem kawałek gruntu, trochę bydła, koni; ożeniłem się, mam troje dzieci... Nie wystarczało nam na życie, bo grunt lichy, wiatry zimne, a w dolinach blizko morza niewolno... zacząłem panów na polowania w góry prowadzać. Brali mię, gdyż umiem po rusku... dobrze płacili... Znali mię w górach, i nikt nie powie, że Selim zły, nie dotrzymuje słowa, nie mówi prawdy... Selim nie boi się śmierci... Selim przywykł umierać... Ale Selim zgrzeszył, sprzedał duszę za ciepły powiew od morza, za kamienie rodzimych gór... Cała jego nadzieja w miłosierdziu Boskim... Będzie... jak on zechce... gdyż On jest wielki, a wyroki jego są niezłomne... Czerkies umie umierać... Niech się mój pan o Selima nie troszczy...

Wichlicki chciał odpowiedzieć, ale surowe, prawie okrutne spojrzenie Selima powstrzymało go. Obawiał się, by podrażniony czerkies objaśnienia jego nie wziął za przestrach. A wiedział, że nic bardziej poniżyć go nie mogło w oczach tego górala, który lubił go właśnie za jego zuchwałą odwagę. W milczeniu przeto patrzał w głąb wąwozu, który zupełnie zatkały ciężkie dżdżowe obłoki. Deszcz mżył już, echo przynosiło odgłosy potężnych grzmotów, odzywających się stronami. Wicher wpadał w skaliste korytarze i gwiżdżąc przelatywał je, wydymał rdzawe fale, kłębił chmury. Nakoniec lunęło, jak z wiadra. Ze zrębów skał spływać na nich poczęły potoki błota; musieli razem z ogniem schronić się od nich co prędzej. To im na chwilę kazało zapomnieć o żółtych, pianą pokrytych bałwanach, wybiegających ku nim z pod mgły.

Noc znowu była pogodna, gwiazdami iskrząca się; tumany na dół opadły. Gdy uspokoiły się rozkołysane wody, Wichlicki poszedł obejrzeć wysokość przyboru i nie mógł powstrzymać okrzyku przerażenia. Ten deszcz skrócił im życie o dzień cały! A gdy od pierwszej chwili nie dostawało im całej doby do czasu możliwego przybycia pomocy, teraz zabrakło już dwuch dni! Wrócił, usiadł i wmawiał w siebie, że wszystko stracone, że najlepiej nie myśleć, nie liczyć, lecz spokojnie czekać końca, jak Selim. Czyżby ten dziki człowiek był istotnie od niego mężniejszy?! Prawda, on w modlitwie mógł znaleźć ukojenie. Szczęśliwy! Wichlicki też miał w duszy jakieś urywki, jakieś wyrazy, ale z nich hymnu potężnego, jasnego, któryby mu duszę rozświetlił, ułożyć nie umiał. Tymczasem twarz czerkiesa taką zdradzała chwilami ekstazę.... A jednak i on nie spał! Drżał i zębami szczękał od chłodu

i wewnętrznego wzburzenia, skulony w nędznym legowisku. Gdybyż choć trochę ciepła i jasności!

Burza nie pozwoliła im uzbierać drzew, ogień przeto tlił się zaledwie, podtrzymywany mokrym mchem i liśćmi z pościeli. Wichlicki chciał koniecznie zasnąć: kurczył się, zbierał w sobie, skupiał ciepło i chwilami zapadał w odrętwienie pełne widziadeł, z którego budził się jeszcze bardziej rozbity, chory, z utęsknieniem wyglądający słońca. Oblegały go roje myśli, które za dnia umiał tłumić. Widział to, „czego już nie ujrzy". Widział Helenę spłakaną, rozżaloną, i matkę pogrążoną w boleści... Ręce ku nim wyciągał i wołał głosem wewnętrznym:

— Przebaczcie!

Serce mu pękało, całą istotą buntował się przeciw gwałtowi, zwolna spełniającemu się nad niemi... Helena młoda — myślał — pocieszy się! Nikt ją już więcej może nie spróbuje wyprowadzić w świat szerszy... zostanie tutaj... Wyjdzie za Szymona... ale nieraz jeszcze się uśmiechnie... Nie! byle nie za Szymona!... Niechby wyszła za Jurka!... Ale matka... matka! Dla niej zgon jego wniwecz obróci dwadzieścia osiem lat pracy i troski... Miała jego jednego, a teraz zupełną będzie sierotą!...

Gdybyż choć zostawił co po sobie! Jaką wielką pracę, jaki ślad! Taka kobieta, jak jego matka, zniosłaby cios mężniej... Ale on nie zostawił nic, nic... prócz pensji, którą być może wyznaczy jej Towarzystwo... Dotychczas wznosił tylko fundament... W uniwersytecie żył odosobniony, zdobywał wiedzę... potym walczył o majątek, stanowisko... Choć go mieli za zimnego, oschłego praktyka, kochał jednak to, co inni kochali, tylko po swojemu... A choć milczał nieraz, burza w nim wrzała...

— Bo zaleliby mię, zaleli, jak teraz te fale zaleją — myślał z goryczą o ludziach.

— Ba! gdyby był wiedział, że się wszystko tak rychło skończy, może... nie rozpychałby tak gwałtownie, nie deptał, wdzierając się wyżej... Wszak nie mógł inaczej... pracował dla siebie, dla chleba... Ale gdyby mu zostawili trochę więcej czasu, wypłaciłby się, oddał... Tak wszyscy przecie... Szczęśliwi ci, którzy, tocząc kruszynę, wierzą i upewniają drugich, że pchają góry przed sobą...

Ale natychmiast wyobraźnia jego ruchliwa i czuła przedstawiła mu zupełnie inny obraz... Widział całe morze drobnych drgnień pojedyńczej woli, składających się na potężne, majestatyczne ruchy dziejowej fali... Ci działają, których wysiłki zlewają się harmonijnie z ruchami wszystkich... ku słońcu. Cierpią, fala wyrzuca ich często, wiatr w pianę rozbija, ale —

żyją!... On nie ciągnął nigdy w stronę przeciwną, ale nie żył... był bierny, istniał, jak kamień istnieje, więc nie będzie miał nieśmiertelności, nie będzie miał własnym piętnem naznaczonych czynów, a teraz nie ma spokoju; zostanie po nim tylko puste miejsce i żal u blizkich mu osób...

O tak, trzeba, aby każdy czyn, każdy ruch nasz zawierał jasną cząstkę ideału, inaczej... wszystko jest śmiercią, znikomością, martwotą... powtarzał sobie. Ale wszystkie te uwagi, rozmowy, rozmyślania wistocie ślizgały się po wierzchu jego świadomości. Wszystko mroziła, pozbawiała życia jakaś zimna, twarda bryła, w jaką stężała nagle jego dusza, jaką czuł wciąż wewnątrz siebie, gdzieś w okolicy serca. Marzenia posępne jak zmora, nie słuchały żadnych dowodzeń. Dziwił się, że z takim trudem i przymusem wspomina Helenę, matkę, innych...

Zerwał się wietrzyk. Szmer fal, lekko uderzających o głazy ukryte we mgle i ciemnościach, wróciły go do rzeczywistości. Słuchał ich szeptu miarowego, kojącego i zwolna uspokajał się — cichła paląca rozpacz, burzliwe wrzenie. Czuł się wyczerpanym. Miejsce ich zajmowała smutku pełna pokora i dziwna, niewytłumaczona tkliwość. Przestał się oburzać, dręczyć, nie pragnął nawet; tylko w duchu chylił się do stóp społeczeństwa, które go wychowało i stworzyło, do stóp matki, Heli, pani Strasiewiczowej — wszystkich tych znanych i nieznanych mu istot, które mógł dotknąć, ból zadać, lub których z ofiar korzystał.

— Przebaczcie! - mówił szeptem.—Zawiodłem was... Znikam i unoszę z sobą wasze wysiłki... Znikam! Ach, jakbym pragnął żyć, jakbym żyć pragnął! Poznać wszystko, i zużyć włożone we mnie siły. Jak chłop orałbym grunta... byłbym z temi... najniższemi... najbiedniejszemi... Nigdy fałsz, nawet słowo dwuznaczne nie skalałoby ust moich...

Czuł żal, że nie może, że nie będzie tym wymarzonym... Brud drobnych fałszów, zamilczeń, ustępstw, jakie w rozmaitych życia okolicznościach musiał był spełniać, palił go teraz, jak ślady haniebnego piętna. Leżał bez ruchu i jęczał w gorączce.

Naraz wydało mu się, że chęcią, całym jestestwem jest inny! Stały, czysty, niezłomny... oczyścił się, odmienił... ale za chwilę już go nie będzie... I wszystko leciało w ciemną przepaść rozpaczy wobec tego jednego wyrazu: śmierć. Przywaliła go ta, która na każdego czyha, którą każdy razem z sobą nosi, ale jej nie widzi! Czy nie lepiej rzucić się i skończyć odrazu?! Nie, stanowczo, on nie ma duszy ze stal i On nędzny i słaby, nie w stanie myśleć spokojnie o śmierci!

Wtym zdawało mu się, że z wyżyn górskich jakaś mglista postać niewieścia z płaczem chyli się ku niemu i wypowiada imię jego w długim szeregu zmarnowanych synów. I znowu ogarnęły go żal i tkliwość. A co: jeżeli go żałują i szukają, a on na dzień, na godzin kilka przed wyzwoleniem z własnej umrze ochoty? Nie, on będzie czekał do ostatniej chwili. Będzie wyciągał duszę jak nitkę do ostatniej możności. Niech stanie się, co się ma stać w naturalnym biegu! On nic nie skróci i nic nie ujmie z bólów mu przeznaczonych... Rozpacz tamtych byłaby stokroć większa, gdyby ujrzeli, że osłabł, że zwątpił. Będzie dźwigał swój Krzyż!

Usnął uspokojony, ogrzany promieniami wschodzącego słońca.

Spokój nie opuścił go już więcej, choć, obudziwszy się, ujrzał wodę bardzo blizko: podmywała im nogi.

— Oho! krzyknął. — Widzę, że trzeba będzie wznieść rusztowanie dla rzeczy.

I w tej chwili błysnęła mu myśl, że przez sztuczne wzniesienie będzie jeszcze można choć na dzień jeden odwlec chwilę ostatecznego końca. Wziął się przeto zaraz do dzieła, żałując, że mu to wcześniej do głowy nie przyszło.

Wydobywał z wody kamienie, pozostawiając jako podstawę niezalane jeszcze. Pracował dzień cały, unurzał się, zamoczył, ale był wesół.

— Widzisz, Selimie, jaka wieża! — rzekł do Czerkiesa, który, chmurny, nie brał udziału w robocie. — Gdybyśmy wcześniej zaczęli, bylibyśmy mogli wybudować do samego szczytu.

Muzułmanin mruknął coś pod nosem, ale stał się także weselszym; sam usiadł wyżej i powiesił kindżał, patrony, karabin i resztę pozostałej im żywności.

Woda wciąż jednak przybierała, i cieniuchną, jak lakier połyskujący warstewką pokryła dawne ich obozowisko. Noc przedrzemali, siedząc na stoku usypanego kopca, plecami oparci o skałę. Najbardziej brak ognia dawał im się we znaki, ale nie mieli drzewa i nie było miejsca na ognisko; drżeli więc od zimna i niewywczasu, głębokie przygnębienie opanowało ich znowu... Nie mówili do siebie... Selim szeptał wciąż, zapewne pacierze, a Wichlicki znowu starał się odpędzić czarne myśli, krążące nad nim, jako stado sępów... Znikąd nadziei, znikąd pociechy!... Rozwieje się, zniknie, jak mgła, jak atom wody, wysuszonej przez słońce!... Odpędzał pokusę samobójstwa. Liczył szczerby na przeciwległych skałach, wpatrywał się w cieniutkie żyłki wody, wypełniającej wgłębienia dokoła skazanych na rychłe zalanie kamieni. Nie przeklinał,

nie burzył się już, ale z coraz większą trudnością walczył z pragnieniem rzucenia się w głębinę i uspokojenia nazawsze. Coraz częściej zapadał w jakiś półsen, w którym nic nie czuł, prócz bólu drżącego od zimna ciała... Oburzało go ogromnie to psie uczucie. Budził się przeto, głową wstrząsał.

— Chcę umrzeć, jak rycerz!—powtarzał.

Obojętnie, prawie pogardliwie spoglądał na wiszary, na szarą, gładką wodę, na błękitne, dalekie niebo, przesycone słońcem. Chmurniał tylko, gdy wzrok jego padał na ciemną, pokornie zgarbioną postać Selima.

— Za co ten umiera? Sprowadziłem go tu za liche pieniądze... A jednak nie skarży się!... Selimie, siądź wyżej, tu ci będzie lepiej!

Czerkies podniósł opuszczone powieki i objął go długim spojrzeniem.

— Giaurze — rzekł hardo: — Selim siedzi, gdzie chce.

— Nie chciałem cię obrazić, Selimie! — odparł spokojnie, choć zawrzał gniewem.

I znowu godziny upływały w milczeniu. Słychać tylko było szmer drobnej fali, pluskającej pod niemi.

Noc była straszna. Mżył deszcz; nie widzieli nic, słyszeli tylko coraz bliższy szmer wstrętnego, zimnego potworu, czuli, jak obejmował im nogi i zwolna wchłaniał, cal za calem. Zalał ich już po kolana, cierpieli niewymownie, a nie mieli ani siły, ani ochoty się ruszyć. Nareszcie, gdy mrok rzednieć zaczął, a deszcz ustał, Wichlicki otrząsnął się z letargu i wdrapał wyżej, gdzie suchego miejsca nie więcej nad piędź zostało. Tu stanął, i dygocząc od zimna, patrzał na bezmiar wody, błękitniejącej w brzasku. Wyjął z woreczka kilka kawałków cuchnącego mięsa i zaczął je pożerać. To go trochę rozgrzało i wróciło mu przytomność.

— Selimie! — odezwał się. — Chodź, nie bądź uparty. Tu jest miejsca dla nas obu. Chodź, bracie! — rzekł łagodnie.

Czerkies nie ruszył się, nie podniósł spuszczonej głowy. Jak wilk kłapał zębami, plecy mu się trzęsły, każdy włosek drżał w brodzie. Wichlicki schwycił go pod ramiona i wciągnął wyżej pod skałę; w tej chwili kamienie, podmyte z tej strony, osunęły się, a on sam wpadł po pas w wodę. Oblało go zimno straszne, przejmujące, płomienne prawie; by uciec przed nim natychmiast, oparł się o głazy, chciał wyskoczyć. Ale kamienie znowu się pod nim osunęły. W tej chwili wzrok jego padł na zsiniałą, cierpieniem zeszpeconą, zezwierzęconą twarz Selima, z obłąkanemi od strachu oczyma, i widok ten wrócił mu spokój i wolę. Zamknął oczy, zaciął usta, plecami oparł się o skałę — i czekał. Członki tężały mu, ból łupał

w kościach, trząsł nim, jak wichura trawką, i drżenia okropne uchodzącego życia przedostawały się do głowy, do mózgu, do rdzenia istoty. Nakoniec wszystko zdrętwiało, tylko serce tłukło się jeszcze w strasznych, niepohamowanych uderzeniach, za każdą nową falą wody, zalewającą mu piersi. Znowu opadły go marzenia. Widział Helę, matkę... góry i kraj ciepły... Chciał coś mówić, ale nie mógł, więc rzucał się w przepaść i unosił z sobą zamiast nieprzyjaciół... kamienie! Potym ogarniały go ciemności, zapomniał o wszystkim.... Otworzywszy oczy, dziwił się znowu, skąd się bierze ta niezmierzona, błyszcząca jasność tak blizko niego... Czuł, że skamieniał, że coś potężnego więziło mu ręce i nogi. A jednocześnie widział, że Selim oszalał: wyraźnie słyszał, jak krzyczał: „Giaurze, nie umieraj!... Ludzie!... Czy słyszysz?.. strzelają!" Sam czerkies schwycił za broń i wystrzelił, potym zaczął trąbić w lufę karabinu, a ten chrapliwy hymn, niby tryumf śmierci, roznosiły echa po dolinie, po wodzie, po świecie całym...

Jego, Wichlickiego, nic już nie obchodziło; czuł że umiera. Nie widział ludzkich postaci, które istotnie zjawiły się na skałach; nie widział, jak biegały rozpaczliwie wzdłuż szczytów, aż uspokoiły się; jedna z nich zniknęła, inne zeszły po zrębach, jak można było najniżej i rzuciły sznur. Po chwili długiego, jak wieczność oczekiwania, z za węgła wynurzyła się mała, z próchniaków naprędce sklecona tratwa, a na niej do połowy zanurzony w wodzie płynął Jurek.

Selim poznał go, śmiał się, wykrzykiwał jego imię i szeptał coś do ucha Stanisławowi, którego głowę trzymał na kolanach, aby ją uchronić od zalania.

Ciało młodzieńca już wspłynęło.

— Żyje?! — hukał Jurek.

— Żyje!... szeptał Selim — ale się śpieszcie, gdyż mdleją mi ręce!... śpieszcie się!...

STEFAN ŻEROMSKI.

Urodzony 1868 r. w Strawczynie, do szkół uczęszczał w Kielcach i Warszawie, był pewien czas bibljotekarzem Muzeum Narodowego w Rapperswylu. Pisma: *Rozdziobią was kruki, wrony. Syzyfowe prace, Opowiadania, Utwory powieściowe, Ludzie bezdomni, Oryman mści się, Popioły, Powieść o udałym Walgierzu.*

Ze studjów nad Żeromskim: *Ignacy Matuszewski* (w zbiorze: Twórczość i twórcy); *W. Feldman:* O twórczości St. Wyspiańskiego i Stef. Żeromskiego; *Ant. Potocki:* Szkice i wrażenia literackie.

Historja Jędrzeja Radka.

Z powieści „Syzyfowe prace".

Nieznośny upał jednego z ostatnich dni sierpnia żarzył się nad pagórkowatą okolicą. Spiekota ogarnęła pola, ssała mokre łąki i dosięgła najbardziej cienistych kryjówek lasu. Było już po żniwach i widzialny przestwór kraju spał w tym cieple snem kamiennym.

Naokół ciągnęły się żółtawo-szare ścierniska, połyskujące szczeciną źdźbeł, równo uciętych. Tu i owdzie złociło się półko lnu, czerniały stożki koniczyny, albo niwka ziemniaków o więdnących badylach. Teraz wśród pól ogołoconych widniało dokładniej, niż zwykle, białe pasmo szosy. Ginąc za najbliższym pagórkiem, jakby się raptem urywało w zakresie szczerego pola, ukazywało się dalej niby równa i ostra linja, dzieląca płaszczyznę na dwa obszary, kryło się w zaroślach i znowu, jak wąż, bielało w ogromnej dalekości, pod niebieskawą smużką leśną, u samego krańca widnokręgu.

Brzegiem tej szosy wędrował równym krokiem Jędruś Radek. Miał na sobie uczniowski mundur, na głowie czapkę z palmami, na plecach tornister, w ręce patyk. Źle było iść w takie gorąco. Buty miał na wysokich obcasach z podkówkami, kupione swego czasu na rynku w postaci żółtej. Cholew nawet w ostatniej chwili nie było sposobu uczernić, to też i zachowały swój juchtowy kolor. Za to przyszwy i obcasy Jędrek wyczyścił starannie szuwaksem własnego wyrobu, spreparowanym z odrobiny mleka i miałko utłuczonego węgla. Kiepski to był szuwaks; but nie miał *glancu* i okrutna żółcizna świeciła z pod czernidła, osobliwie w szparach między

podeszwą i przyszwą. Pragnąc nadać im jaką taką formę, musiał Jędrek wewnątrz kłaść duże wiechcie słomiane i zawijać nogę w spore onuce. Przyszwy, dzięki temu, na oko zdawały się węższemi, ale za to nogi bolały nad wyraz, osobliwie w drodze. Drelichowe spodnie kryły obrzydłe cholewy. Mundur Radka był kiepski, przerobiony z kapoty, ufarbowanej na granatowo. Zamiast srebrnego galonka na kołnierzyku, przyszyta była najzwyczajniejsza bawełniana tasiemka po dwa grosze łokieć. Płaskie guziki tego uniformu były powycierane i nie miały srebrnego blasku.

Tylko palmy i litery *P. P.* (Progimnazjum Pyrzogłowskie) błyszczały na słońcu. Tornister odparzał srodze plecy wędrowca, mieściły się w nim bowiem wszystkie gramatyki, podręczniki algiebry i gieometrji, dzieła Cezara i Ksenofonta, „*Słowiestnost'*" i „*Lezesztyki*" niemieckie. Oprawa każdej z tych książek była starannie zawinięta w papier, a wszystkie kajety w porządku. Już tak drugi dzień Jędrek „dymał" z pod samych Pyrzogłów w stronę Klerykowa. Noc go zaskoczyła w okolicy pustej, wsi naokół nigdzie widać nie było, przespał się tedy w stercie pod lasem, zmarzł dosyć dobrze nad ranem i szedł drugiego dnia ostro zaraz od świtu. Przed południem trafiła się przy drodze wielka, stara karczma, zaszedł tedy do niej dla wypoczynku. Na pytanie, coby zjeść można, odpowiedziano mu, że niema nic innego prócz bułek i piwa. Kazał sobie przynieść pięć bułek i kwartę piwa. Bułki były stare i twarde, jak rzemień, a piwo nosiło pseudonim „drozdowskiego" prawdopodobnie dla tej racji, że miało smak kwaśnego soporu z ogórków, a temperaturę kałuży na gościńcu w dzień upalny. Jędrek wyjął z tornistra osełkę masła, zawiniętą w czystą szmatę, krajał bułki nożykiem, smarował je masłem, zapijał „drozdowskim" i spoczywał w chłodzie izby. Naprzeciwko niego siedziała gospodyni. Z za balasów szynkwasu widać było tylko jej tłustą, czy obrzękłą twarz, podwiązaną chustkami. Złe oczy tej baby świeciły się, jak węgle i badawczo w podróżnego wpijały.

— Skądże to kawaler—rzekła nareszcie—wolno spytać?...

— Zdaleka, moja pani,—rzekł Radek, nie kontent wcale z indagacji.

Szynkarka przysunęła sobie lepiej rynkę z duszoną kiełbasą, odetchnęła gniewnie i rzekła:

— Zdaleka? *Uczyń* i sam idzie *piechtą?* Cóż to znowu za moda!

Jędrek zaczerwienił się i zmieszał niepomału.

— Idę,—rzekł—do Klerykowa. Skończyłem cztery klasy w Pyrzogłowach, a teraz chcę się dostać jako do piątej...

— Widzicie... A i cóż to rodzice nie mogli odesłać *kuniamy*, nie żeby zaś piechotą rypać tyli świat? Przecie od nas do Pyrzogłowów, — a bo ja wiem, — będzie pewnie osiem mil z *ogunem*. Cóż ta za rodzic i taki musi być bez honoru, żeby zaś...

— Ja nie mam rodziców — skłamał Radek na poczekaniu i ze złością krajał swoje zczerstwiałe bułki.

— No, to krewni przecie jacyś muszą być u Boga Ojca?

— Daleko stąd jeszcze do Klerykowa? — zapytał, pragnąc uciąć wszelkie pytania.

— Do Klerykowa? Ho-ho... Do Klerykowa, mój panie, to jest po naszemu siedem mil — i oha. W jeden dzień nie zajdzie, choćby zaś nie wiem jak szedł...

Znużenie, niby ogromny ciężar, przytłaczało barki uczniaka: z przyjemnością byłby się rozciągnął na długim i szerokim stole karczmy, w miłej wilgoci, zlekka tylko cuchnącej siwuchą i staremi kiełbasami, ale wprost lękał się pytań szynkarki. Dopóki nic a nic nie wiedziała o jego paranteli, traktowała go z jakim takim uszanowaniem. Gdyby się dowiedziała o wszystkim, z pewnością mówiłaby mu *ty* i spoglądała nań z góry.

Życiorys Jędrzeja Radka krótki był i pospolity. Urodził się we wsi Pajęczyn Dolny, w czworakach dworskich, na werku biednego fornala. Wiek pacholęcy spędzał już to w izbie, gdzie mieściły się familje trzech ratajów, już pod odkrytym niebem i nad wiekuiście odkrytą gnojówką, której toń ciemnofijoletowa stała tuż przed drzwiami czworaków. Od wybrzeży gnojówki do podpórek łoża, wkopanych w ziemię, pełzał na czworakach, nosząc w zębach nie zawsze czystą koszulinę, przez wysoki, na pół zgniły próg chałupy,— następnie zwiedzał samopas nietylko tę skromną przestrzeń, ale znacznie szersze obszary gnojów, błot, kałuż i gnojówek już z twarzą zwróconą ku niebu, co, jak wiadomo, wyróżnia człowieka od bydląt ziemi, — aż do chwili, kiedy powołany został do pilnowania przedewszystkim gąsiąt, a w następstwie maciory z prosiętami na dworskim okólniku. Nie można powiedzieć, żeby te obowiązki spełniał wzorowo.

Zdarzyło się pewnego razu, że mu karbowy „wytatarował" postronkiem skórę na plecach i w ich sąsiedztwie, do tego stopnia, że winowajca z wielką niechęcią siadał na ziemi; kiedyindziej sam dworski lokaj za sekretne wylizywanie rynki kuchennej nadarł mu sporo uwłosienia, ze zbytnią, co prawda, rosnącego bujnością. Te (i wiele innych w tym guście) wskazówki moralnego prowadzenia się zarówno na okólniku, jak i na szerszym przestworze świata ugruntowały pierwsze podwa-

liny pryncypjów społecznych w duszy małego pastuszka i byłyby zapewne starczyły mu na długo, aż do następnych, równie kształcących, jak starczą wszystkim Jędrkom folwarcznym, gdyby nie interwencja Antoniego Paluszkiewicza, zwanego Kawką.

Ten Kawka był nauczycielem dwu młodych paniczów. Chodził niegdyś na uniwersytet i często chełpił się z tego powodu, wygłaszał wolnomyślne mniemania wśród osób, które na żaden sposób wolnomyślnością przejąć się nie mogły, bo wśród księży i szlachty, osiadłej na intratnych folwarkach, nosił długie, niezgrabne palto, przydeptane buty i obrzydliwie kaszlał. Mieszkanie guwernera znajdowało się w śpiczastej baszcie, nowszemi czasy przystawionej do wiekowego dworu. O każdej dobie dnia i prawie o każdej nocy słychać było stamtąd jednostajne pokaszliwanie i stąd urosło drugie nazwisko Paluszkiewicza. Dwaj wychowańcy urządzali mu bardzo często pod oknami pewnego rodzaju koncerty. Spędziwszy dzieci folwarczne, kryli je w krzakach i rozkazywali im kaszlać na komendę w sposób odpowiedni, naśladujący głos guwernera. Dziedzic z familją, cała służba wyższego stopnia i wszyscy wogóle mieszkańcy Pajęczyna mieli z tego tytułu niemałą uciechę. Jeden tylko Kawka nie zwracał na to wszystko najmniejszej uwagi. Kiedy z krzaków dawały się słyszeć zabawne głosy, a zewsząd śmiech mniej lub więcej głośny, jak zwykle wychodził na balkonik z książką w ręku, siadał okrakiem na krześle i ani trochę nie zmieniał sposobu kaszlania. Z czasem, kiedy przechodził wpoprzek dziedzińca, obok czworaków, albo ulicą wiejską, z każdego zaułka rozlegał się śmieszny głos któregoś z ukrytych psotników:

— K u — w y k... e e e... k u — w y k... e e e...

Najwięcej talentu w dręczeniu Paluszkiewicza wykazywał właśnie Jędrek Radek. Przed rozpoczęciem solennego koncertu wydawał zawsze, pod batutą panicza, nienaśladowane, znakomite w swoim rodzaju beknięcie, pewien gatunek introdukcji, po której dopiero następowały chóralne wrzaski. Radek wybornie przedrzeźniał „belfera" nietylko głosem, ale i ruchami. Ile razy Kawka szedł w stronę plebanji kłócić się w niebogłosy z wikarym o pozytywizmy i determinizmy, miał zawsze poza sobą Jędrka, niby cień, który go w małpi sposób naśladował. W tym celu pastuszek brał na się długą płachtę, w rękę patyk, na nos zakładał jakiś drucik, zwinięty w kształt binokli, kudłał sobie włosy jeszcze bardziej, garbił się, właził w błoto na sposób „prefesora". Sama dziedziczka dawała mu nieraz za te sztuki kromkę chleba z miodem, kawałek cukru, albo napół zgniłe jabłko. Czując za plecami potężnych protektorów, Jędrek coraz bardziej kształcił się w swej umiejętności.

Doszło do tego, że skoro tylko Kawka ukazywał się na dziedzińcu, pauper wołał go po imieniu i nazwisku, łżył i wydrwiwał. Przyszła jednak i na niego kreska. Pewnego razu w dzień pochmurny i deszczowy mały Radek siedział u płotu, nakryty workiem od dżdżu i wiatru, gdy w tym ujęły go za kark dwie ręce i podniosły w górę. Chłopak wydał krzyk przeraźliwy i zaczął szarpać się gwałtownie. Nic jednak nie pomogło. Paluszkiewicz chwycił go wpół, wlókł przez cały ogród i zziajany, ledwo żywy, wciągnął po schodach do swego mieszkania. Jędrek rozpierał się we drzwiach nogami, nie mogąc inaczej, walił Kawkę w brzuch głową, szarpał na nim odzienie, ale koniec końców ulec musiał. Wepchnąwszy malca do pokuju, Paluszkiewicz zamknął drzwi na klucz i upadł na łóżko ze zmęczenia.

— Ty mi zerzniesz dudy — dobrze... — rzekł mu chłopak zuchwale, — ale poczekaj, zapamiętasz se ty! Co masz za rację do mnie — chy?

Kawka wysapał się, uspokoił, zapalił papierosa i jął chodzić po izdebce. Minęło tak kilkanaście minut. Chłopakowi wydało się, że „belfer" o jego obecności zapomniał, — więc rzekł:

— No — bić to bić — niali, a nie, to mię, panie, wypuszczaj!

Młody człowiek spojrzał na niego z za swych okularów i mruknął:

— Poczekaj, poczekaj, nic pilnego...

Następnie zaczął przewracać stosy swych książek i papierów. Czynił to bez ładu i porządku, ciskając tomy na prawo i na lewo. Jędrek miał się na baczności i pilnie zważał na każdy ruch pedagoga, przekonany, że ten lada moment wyrwie z dziury jakieś niewidziane i niesłychane narzędzie męki. Wzrok jego spoczywał w przelocie na klamce, szybach okna i oszklonego wejścia, za którym mieścił się balkonik. Tymczasem Kawka wyciągnął z głębi swych zbiorów duży atlas zoologiczny, pełen kolorowych figur zwierząt i położył go przed chłopakiem na stole, mówiąc:

— Weź i obejrzyj sobie te obrazki.

Jędrek ani myślał patrzeć, gdyż wydało mu się, że posiadł sekret belfra.

— Jabym się — rozumował — zabawiał obrazikami, a onby mię, para, z tyłu w łeb tak ćwiknął, żebym ani tchnął..

Belfer tymczasem defilował już po izbie, trzymając papierosa w ustach, książkę w ręku i półgłosem mrucząc na pamięć słowa i frazesy angielskie, które mu tego dnia do nauki wypadły.

Znowu minął kwadrans czasu.

— Jak tam prosięta w ziemniaki dworskie wlezą, żeby na mnie zaś nie było, bo ja tu nic nie krzyw!—nagle wrzasnął mały więzień.

— Prosięta... a tak... No to niech będzie na mnie.

— A tak, to tak...— rzekł urwis obojętnie i z rezygnacją począł patrzeć na okno, później na piec, na stół, na książki, na samego belfra, wreszcie na malowane żyrafy i nosorożce. Te ostatnie zaciekawiły go wkrótce tak bardzo, że patrzał na nie bez ruchu, jak cielę na malowane wrota.

— A i cóż to za koń taki, mój Jezus kochany, — myślał, ogarnięty przez wszechmocny podziw. Chylośna to szyja u takiego gada...

Rozpalona ciekawość podniecała go do przewrócenia stronicy i objęcia sekretnym wejrzeniem tego, co mieszczą karty następujące. Wypatrzył wreszcie chwilę, kiedy Kawka, spacerując, plecami był do niego zwrócony, naślinił mocno palec i odwrócił cicho grubą kartę. Stał na niej duży tygrys z ognistemi ślepiami.

— Chy, to ci kot! — krzyknął chłopak, zapominając o wszystkim.

— To nie kot. Takie zwierzę nazywa się — tygrys — rzekł Paluszkiewicz, nie przerywając swego mamrotania.

Teraz Jędrek, zaabsorbowany całkowicie, odkładał kartę za kartą aż do zmroku. Wtedy dopiero Paluszkiewicz wypuścił go z mieszkania, obdarzywszy bardzo smacznym ciastkiem. Prosięta istotnie wlazły w kartofle. Za powrotem do domu mały badacz fauny obcokrajowej, wskutek nieścisłego strzeżenia okazów swojskiej, dostał od matki siarczyście po karku. Ani ta kara, ani daleko sroższe, a spadające z fornalskiej ręki ojca, nie wpłynęły jednak na poprawę obyczajów młodzieńca. Zbiesił się całkiem. Skoro tylko nadarzyła się chwila, rwał cichaczem do byłego studenta na ciastka, na wykradanie mu z przed nosa tytoniu i na oglądanie malowideł. To ostatnie rozwinęło się w nim niebawem w nałóg iście chłopski, dający się wyrwać z ciała chyba pospołu z duszą.

Kawka sam nie wiedział, kiedy urwisa nauczył doskonale czytać, tak się to stało prędko. Już w jesieni tegoż roku Jędrek zabazgrywał koślawemi figlasami grube kajety, w długie wieczory zimowe ciągnął już *ruskie,* a latem następnego roku Paluszkiewicz jął przemyśliwać o umieszczeniu wychowańca w progimnazjum pyrzogłowskim. Kilkoletni pobyt „na kondzie" w rozmaitych Pajęczynach dał mu sposobność, przy prowadzeniu życia mało co wykwintniejszego od wzorów, zostawionych przez mistrza Djogenesa, zgromadzenia kilkuset rubli.

Sam zapadał coraz głębiej i coraz szybciej na suchotki. Porzucił tedy kondycję, odwiózł ulubieńca do Pyrzogłów, siłą prawie wydarszy go rodzicom, którzy płakali za tym dzieckiem, jak po zmarłym, oddał do klasy pierwszej, z góry wypłacił za niego koszta utrzymania na niezbyt drogiej stancji, a sam został w tymże miasteczku i żył „z kapitału". Chłopak najadł się cierpień i wstydu niemało, zanim jako tako przystał do poziomu pyrzogłowskiej kultury. Dzięki korepetycjom opiekuna uczył się wybornie i z pochwałą przeszedł do klasy drugiej.

A opiekun tymczasem skapiał zupełnie. W maleńkiej izdebce, której okno wychodziło na cuchnące żydowskie podwórze, defilował z kąta w kąt, ucząc się ciągle i ciągle różnych rzeczy, niezbędnych mu do szerokiego studjowania psychologji. Podczas drugiego roku więcej zresztą leżał na sienniku, niż łaził. Wtedy także zaczął przepisywać na czysto dzieło swego życia, rozłożonego w ruchomych kartkach, które zajmowały większą część pokoju. Pewnej nocy jesiennej, nocy wichru i słoty, spoczął na zawsze przy tej robocie.

W Pyrzogłowach i wogóle na sąsiadującym z niemi świecie wiedziano jedynie, że był to i umarł taki, co wcale nie chodził do kościoła. Z pogrzebem były pewne korowody, gdyż księża tamtejsi nie chcieli zmarłego chować na cmentarzu katolickim. Dopiero w ostatniej chwili zdecydowano się pokropić trumnę wodą święconą i odwieźć na mogiłki. Resztę swego funduszu Paluszkiewicz wręczył był na kilka miesięcy przed śmiercią utrzymującej stancję, gdzie mieszkał Jędrzej Radek. Pani owa po zgonie filozofa, o ile mogła, zmiejszyła rozmiary spadku, ale bądź co bądź Jędrek wytrzymał u niej aż do końca roku i przeszedł do klasy trzeciej. Wtedy dał sobie radę. W progimnazjum pyrzogłowskim lepsi uczniowie klasy trzeciej i czwartej mieli prawo udzielania korepetycji wstępniakom i pierwszakom. Zarabiali nieźle. Radek należał do „kowalów" gimnazjalnych i miał opinję dobrego ucznia. Z trudem, o głodzie niemal i w srogiej poniewierce przetrwał korepetycjami klasę trzecią, czwartą — i zdał na patent. Był obyczaj w Pyrzogłowach, że większość uczniów biednych, z patentami kończących, waliła wprost ze szkoły: — *primo* — do seminarjum na księży, — *secundo* — na oficerów do szkoły junkierskiej, — *tertio* — do apteki. Radkowi prorokowali wszyscy stan księży: chłopski syn, kowal, mumja egipska... Tymczasem on co innego miał w głowie. Jemu „pan" ukazał horyzont tak daleki w naukach i na świecie, że Radek na księdza nie miał żadnej ochoty. Nie pojmował, co to jest uniwersytet, nie zdawał sobie sprawy z ogromu nauk, ale wiedział, że ten uniwersytet

istnieje. Zresztą w duszy jego trwały, jak wiecznie żywe stygmaty, słowa Paluszkiewicza takie nawet, których nie mógł zrozumieć w całej rozciągłości, jak nieodwołalne prawa żyły rady, wskazówki i napomnienia. Wdzięczność dla opiekuna stała się jak gdyby jednym więcej zmysłem, za pomocą którego badał i przebywał świat. To, co inni otrzymali jako spadek po całym szeregu przodków ucywilizowanych, jako wychowanie domowe, on miał od „pana". Tym żył i tym się krzepił w swej nędzy.

— Nauka jest, jak niezmierne morze... — mówił pan. — Im więcej jej pijesz, tym bardziej jesteś spragniony. Kiedyś poznasz, jaka to jest rozkosz... Ucz się, co tylko jest sił w tobie, żeby jej zakosztować!

Radek poprzysiągł sobie, że będzie się uczył naprzekór wszystkiemu, skoro pan tak przede śmiercią kazał. Nic go zresztą do wsi nie nęciło. Pamiętał ciągle, każdym nerwem i jakby każdym mięśniem razy karbowych, lokajów, paniczów. Na wspomnienie ochłapów, które mu rzucano z ganku dworskiego za znęcanie się nad Paluszkiewiczem, krew w nim kipiała i pożar obejmował głowę. Nie przebaczał i rodzicom. Miał w pamięci zachętę matki, ażeby przedrwiwać nauczyciela dla zyskania sobie względów dworu, oraz ślepe ciosy pięści ojcowskiej, karzące za to, że się na górkę do pana wymykał. Wobec tamtego całego otoczenia stał w jego myślach biedny, cichy, schorowany człowieczek, który na wszystko głupstwo świata, na jego plugawą złość i nikczemną przemoc spoglądał z niedbałym uśmiechem i wyraźnie objaśniał, dlaczego jest tak, a tak, jak gdyby rozwiązywał zagmatwane dla innych, a jasne dla niego równanie algiebry.

Uczucia te szczególnie spotężniały w sercu młodego gimnazisty, gdy po czteroletniej nieobecności, już jako kandydat, do klasy piątej, zjawił się w Pajęczynie. Przez cały czas pobytu w szkole, ani razu nie odwiedził rodziców, gdyż wakacje spędzał już to z opiekunem, już na kondycji letniej, co mu przynosiło piętnaście rubli srebrem zarobku. Znalazszy się na łonie rodziny, po raz drugi musiał zobaczyć niejako samego siebie, rozważyć swe życie i zaszłe w nim odmiany. Każde miejsce mówiło mu o tym, co było, wszyscy ludzie, kogo tylko spotkał, nie interesowali się wcale zmianami, jakie w nim zaszły, lecz stwierdzali ciągle jeden fakt, że uczeń, który wobec nich stoi, jest to przecie ten sam Jędrek Radków, pastuch prosiąt z okólnika. Nikogo nie wzruszały jego prace, trudy i męki, które go z oberwańca wiejskiego przekształciły na ucznia, lecz jedynie ta okoliczność, że to oni, ci znajomi, tegoż ucznia pamiętają, jako świniarka. Było to tak powszechne,

że Jędrek sam nie mógł odnaleźć siebie współczesnego. Cztery lata, wszystko, co stanowiło jego byt rzeczywisty, — gdzieś jakby znikło. Stały natomiast znane miejsca z ich dławiącą tożsamością, podwórze, baszta na końcu dworu, gdzie urządzał muzykę, i cały zakres niewzruszenie takich samych pojęć i praw pajęczyńskich.

Radek stykał się piersiami z czymś, co było nim dawnym, jakby wstępował w swoją dawną, a porzuconą formę, i uczuwał wstręt niewymowny. Mieszkał u rodziców na czworaku, a właściwie w pobliżu tej budowli, gdyż obadwaj z ojcem sypiali na dworze w czasie nocy jasnych, a pod pustą szopą w czas deszczowy. Ojciec i matka przypatrywali mu się z nieustającym ani na chwilę zdumieniem. Szczególnie ojciec dziwował mu się bez końca. Mało do niego mówił, a jeśli wyrzekł jakie słowo, to z wyrazem pytania w oczach, czy to aby godzi się powiedzieć. Młody Radek wstydził się i tatula i matki i swojej obecności w przeklętym Pajęczynie — nie wiadomo przed kim. Umyślnie nosił grube szmaty chłopskie, chodził boso i wyręczał ojca w pracy folwarcznej, żeby tylko od nikogo z przejezdnych nie być poznanym. Był to jednakże wstyd połowiczny, kryjący w sobie żal głęboki, a gorzki, jak piołun.

Rodzice nie mogli mu na dalszą naukę dać nic więcej prócz paru osełek masła i kilka sztuk zgrzebnej bielizny. Naokół nikt dlań nic nie miał innego, prócz mniej lub więcej gryzącej ironji. Mimo to, a może nawet dlatego, energja Jędrka rosła i odwaga tężała. Wezwał na pomoc wspomnienie nauczyciela i z tym kapitałem zarzucił na plecy tornister, wyruszając w świat szeroki. Rodzice obydwoje płakali, odprowadzając go daleko, daleko za pola folwarczne. Nie wiedzieli, jakim słowem przemówić na pożegnanie, zapewne ostatnie, co mu radzić, przed czym go ostrzegać. Patrzyli tylko w milczeniu, pragnąc zachować w źrenicach obraz jego postaci. I Jędrek milczał. Zostać w Pajęczynie Dolnym nie mógł za nic na świecie. Czuł, że niema tam dlań takiej nawet przestrzeni, żeby mógł na niej postawić dwie stopy, a jednak, idąc po twardej szosie i nie oglądając się poza siebie, płakał i on cichemi, chłopskiemi łzami.

Posiliwszy się jako tako w karczmie przy rozstajnych drogach, dał szynkarce należne kilkanaście groszy i miał wziąć ze stołu tornister, kiedy tłuste babsko znowu go zagadnęło:

— A czy aby kawaler skąd nie ucieka? Żebym zaś jakiego kłopotu nie miała...

— Odczep się pani! — rzekł Radek głośno i stanowczo.

— Tak? Z takiego *kamerdunu?* Zaraz my się tu prawdy dowiemy!

To rzekszy, żywo skoczyła ku drzwiom, usiłując je na klucz zamknąć. Gimnazista pchnął ją tak potężnie, że się zatoczyła aż pod beczki, stojące w kącie, i wyszedł. Mijając prędko wieś, słyszał za sobą wrzaskliwy głos szynkarki:

— Po sołtysa, po sołtysa! Łapaj, trzymaj...

Za wsią, za ostatnim jej drzewem znowu go upał pochwycił w szpony. Zdarzenie w karczmie nie sprawiło mu przykrości, lecz owszem pewną satysfakcję, zaraziło go jednak pewną, niewidzialną odrobiną przesądu. — Zły znak, zły początek... — szeptał do siebie.

W tamtej stronie pagórki znikały już prawie całkowicie. Przypiaskowy, a miejscami szczerze piaszczysty grunt rozkładał się, jak okiem sięgnąć na płaszczyźnie ogromnej, zimnej i nudnej. Daleko szarzały mizerne skrawki lasu, bliżej gdzieniegdzie między polami widać było mały, plugawy pagórek, wydmę piachu, jałową i martwą jak mogiła, a na niej parę jakichś rosochatych, suchych i zgarbionych od urodzenia sosenek i brzózek. Po obudwu stronach drogi ciągnęły się dwa suche rowy, zarośnięte wysoką trawą, która dźwigała tak niezmierne brzemię kurzu, zwianego z szosy, że zdawała się pod nim umierać. Słupy telegraficzne rzucały na białe płótno szosy swe krótkie i martwe cienie. Gdzieniegdzie sterczał z ziemi podłużny kamień, z gruba ociosany i w półokrąg zakończony u góry. Głazy te miały na sobie jakieś barwy drogowe i koślawe cyfry, a czyniły wrażenie prostackich chłopów wioskowych, poprzebieranych w uniform państwowy, którzy stoją „w o f r o n t" i czegoś stróżują, ale sami nie wiedzą — czego. Żreszta na całej szosie leżała martwota.

Radkowi posiłek (a osobliwie piwo) nie wyszedł na zdrowie. Głowa mu ciężyła, nogi się plątały i morzyła go senność. W pewnym miejscu zauważył w polu gruszkę, obok niej suchotnicze krzaczki; zaszedł tam i przespał się w cieniu. Wkrótce jednak maszerował znowu. Pot kroplisty stał na jego spalonej twarzy i szyi, brudził tasiemkę kołnierza, a nawet sam kołnierz zabarwiał na kolor jasno-siny. Niezbyt pośpiesznie idąc, Radek dopędził furę z tarcicami, wlokącą się noga za nogą, i zrobił propozycję chłopu, który szedł obok sprzężaju, czyby za dwadzieścia groszy nie pozwolił mu przysiąść na deskach. Chłop długi czas patrzył na niego, a następnie wyciągnął rękę po pieniądze. Jędrek przysiadł się bokiem na deskach i zwiesił nogi. Drobne szkapki, ciągnące wóz, chude i mizerne „chety" bez żadnej prawie maści, z wielkiemi łbami, grzywami i ogonami, szły ledwo ledwo, dotykając prawie nozdrzami pyłu

szosy. Wysoki i obdarty właściciel ich śmigał nad niemi bezmyślnie batem i raz za razem pokrzykiwał:

— Wijo-a-ocha... Wijo-a-ocha...

Od chwili, gdy Jędrek siadł na wozie, nie spuszczał z niego oczu i nawet okrzyku swego zapomniał. Gdy się już napatrzył do woli, rzekł:

— A skądże to pan?

— Taki ja pan, jak i wy, gospodarzu... — powiedział Radek.

Chłop zamilkł i znowu się przyglądał. Dopiero po upływie długiej chwili mruknął sceptycznie:

— Niby, jak ja?

— E, wiecie co, pójdę ja lepiej...— rzekł nagle uczeń. — Szkapy wasze nie najbogatsze, ledwo idą, a mnie pilno. Oddajcież mi te dwadzieścia groszy...

— Dwadzieścia groszy? Niby one, co mi je pan dał?

— A no jakież?

— Ij, gdzież jabym ta pieniądze panu oddawał... — rzekł chłop, wywijając batem i patrząc na ogony swych szkapiąt.

— A no i jakże, przeciem nie siedział na waszym wozie pacierza...

— A cóż mi ta z tego. Jechać to jechać, a gdzież jabym ta pieniądze oddawał.

— Dajcież te pieniądze, żeby między nami nie było znowu czego!...

— Między nami niby?

— No!

— Wijo-a-ocha... — rzekł chłopowina z takim spokojem, jakby Radka wcale przy nim nie było.

Łzy zakręciły się w oczach wędrującego chłopca. Źle mu się wiodło w tej drodze. Nie rzekł już słowa i poszedł dalej. W zamyśleniu stawiał wielkie kroki i ani się obejrzał, jak przebył dystans kilkowiorstowy. Spiekota trwała jeszcze ciągle, tylko przydrożne słupy i krzaczki odrzucały dłuższe cienie. Znagła wędrowiec usłyszał poza sobą głuchy turkot i zobaczył duży tuman kurzu, posuwający się z szybkością. Wkrótce zrównała się z nim para pysznych koni bułanych zaprzężonych do bryczki, na której siedział furman w liberji i szlachcic w kapeluszu słomkowym, otulony żaglowym kitlem. Szlachcic był młody, wąsaty i, naturalnie, ogorzały. Wejrzenie miał gwałtowne, bystre, ciężkie i tak prawdziwie pańskie, że Radek natychmiast uczuł w sobie chamską duszę i zdjął czapkę. Pojazd minął go, sypiąc naokół chmurą kurzu. Gdy z zamrużonemi oczyma stał, zwrócony ku polom, i czekał, aż piasek opadnie, usłyszał nagle chrapliwy i rozkazujący głos:

— Hej, kawalerze, hej!

Radek roztwarł oczy i dostrzegł, że bryczka stoi w odległości kilkudziesięciu kroków, a szlachcic wzywa go ku sobie takim giestem, jakby mu obiecywał pięćdziesiąt batów.

— Kawalerze! — wołał coraz głośniej.

Radek podbiegł do bryczki i z odkrytą głową stanął przy jej stopniu.

— A skąd to kawaler? — zapytał szlachcic pewnym głosem sędziego śledczego.

Z pod Pyrzogłów.

— Skąd?

— Z Pajęczyna Dolnego.

— A kawaler coś za jeden, czyj syn?

— Tam jednego...

— Co za jednego... tam?

— Włościanina.

— Proszę... włościanina. A dokądże to tak walisz samopas, kochanku?

— Do Klerykowa.

— Fiu — fiu. A i po cóż to?

— Do szkół, proszę wielmożnego pana.

— Cóż, u licha! ojciec na szkoły dla ciebie ma, a na furmankę nie ma? Konie trzymają ojciec?

— Nie.

— Więc skądże, do djabła, bierze na szkoły, jeśli nawet koni...

— Mój ojciec służy we dworze... — powiedział Radek z rumieńcem na twarzy.

— Za karbowego, czy jak?

Młodzieniec wahał się przez chwilę, pragnąc z całej siły skłamać i potwierdzić, ale przemógł się wreszcie i wyznał:

— Nie, za rataja.

— Patrzcież państwo! Już teraz rataje kształcą swe potomstwo w Klerykowie. A do którejże to klasy walisz w tym tornistrze, mój filozofie?

— Do piątej, proszę wielmożnego pana.

— Do piątej? No, proszę... Jakże to sobie radę dajesz w tym Klerykowie, skoro tak rzeczy stoją?

— W Pyrzogłowach dawałem korepetycje.

— W Pyrzogłowach? Ja się pytam o Kleryków.

— Nie znam Klerykowa, wielmożny panie.

— To ty dopiero pierwszy raz?

— Pierwszy.

— I myślisz tam również temi korepetycjami handlować?

— Nie wiem, proszę wielmożnego pana. Tak idę...

— Tak idziesz? No, to siadaj na koźle, podwiozę cię do miasta.

Radek szybko wgramolił się na kozioł i usiadł obok tęgiego furmana w liberyjnej czapce i letnim ubraniu w białe i niebieskie prążki. Konie skoczyły z miejsca i poniosły bryczkę wśród tumanów burego pyłu. Kiedyniekiedy tylko ukazywały się oczom młodzieńca niewielkie chaty, drzewa, słupy wiorstowe i dalekie gaje. Nie panował on już nad sobą, ani nad swemi postanowieniami. Wszystkim zaczęło rządzić ślepe zdarzenie, czy cudza fantazja. Wiedział to jedno, że po przyjeździe, który sam przez się był już dziełem szczęśliwego trafu, czeka go cały szereg wstrząśnień i rozmaitych zjawisk o nieznanym kształcie, zakresie i kierunku. Co to będzie dalej? Jaki — myślał — jest ten Kleryków?

Rozdarta sosna.

Z „Ludzi Bezdomnych".

Rano, przed ósmą, Judym zdążał piechotą na dworzec kolejowy. Był to jeden z pierwszych dni września. Jeszcze słońce pieściło się z ziemią i posępne czarne domy obłóczyły na się szaty jego świetliste.

Poprzedniego dnia Judym otrzymał kartkę od Joasi z zawiadomieniem o jej przyjeździe. Razem z babką i panną Wandą dążyła do Drezna, gdzie miały się spotkać z Karbowskimi. Babka chciała spędzić dwa dni w Częstochowie. Ona, panna Joasia, jeden dzień miała poświęcić na odwiedzenie kuzynki, mieszkającej w pewnej miejscowości Zagłębia. Donosiła, że wysiadszy na dworcu, pragnie zobaczyć twarz kuzynki, że chciałaby spędzić ten cały dzień „kochany" na zwiedzaniu fabryk i rzeczy godnych widzenia.

Podkreśliła także grubemi linjami sentencję, gdzie wyrażona była decyzja nieodwiedzania nikogo. Judym, czytając te wyrazy, doświadczał wrażenia, że litery krwią spływają i kurczą się z bólu... Szedł na dworzec, myśląc właściwie tylko o tym, co zawierało się w tym życzeniu. Świst lokomotywy na stacji ściskał mu serce.

— Ach, gdyby to nie dziś, gdyby tylko nie dziś... Żeby się to chociaż już było zdarzyło... — szeptały jego blade wargi.

Na dworcu spotkał już kilka osób, które go uchyleniem kapelusza witały. To jeszcze bardziej odbierało mu pewność siebie.

W dali rozległ się sygnał, zwiastujący pociąg, i wkrótce, jak barwne dzwona węża, długie ciało zaczęło się przeginać w zwrotnicach. W jednym z okien doktór zobaczył Joasię. Była ubrana w skromny kapelusik podróżny. Miała szarą suknię. Gdy szła ze schodków wagonu, cudna jak uśmiech szczęśliwy, jakoś dziwnie urocza, rozpiękniona, Judym doświadczał śmiertelnych dreszczów. Zdawało mu się, że u jej stóp, u jej nóg najdroższych umrze z boleści...

Przez chwilę nie mogli przyjść do słowa. Nawet uściśnienie rąk wydało im się czymś dziwnym, a wzajemna obecność i możność rozmowy bez świadków, gdy szli ulicą po za obrębem dworca, zdumiewającą niespodzianką. Judym czuł na prawej dłoni rozkosz dotknięcia ślizkiej, delikatnej, ogrzanej rękawiczki. Jak drogi skarb, nieznacznie przycisnął tę rękę swą do piersi, niby dla wyprostowania klapy surduta, i powierzył ten uścisk sercu, w którym wiła się zamknięta żmija. Szli szeroką ulicą, po bruku uwalanym w błocie, mówiąc o rzeczach obojętnych. Panna Joasia zmuszoną była dbać o swą suknię.

Kiedy niekiedy podnosiła oczy pełne blasku i wówczas odrobina żalu za tak sztywne przyjęcie ukazywała się na jej czystej twarzy.

Judym dostrzegł i to także.

— Będzie pan łaskaw pokazać mi fabryki tutejsze? — spytała z odrobiną zalotności.

— Z wielką chęcią... Właśnie idziemy...

Gdy nie protestował przeciwko tytułowi „pan" i gdy natychmiast zgodził się na to zwiedzanie fabryk, lekka mgła bladości przebiegła po jej twarzy.

Weszli w podwórza fabryczne.

Otoczyła ich puszcza machin i warsztatów.

Tu hale otwarte, w których wiły się złote węże drutu, gdzieindziej zionęły ogniem jamy pieców martenowskich, dalej jęczały młoty parowe, bijące w belki białej stali.

Kupy węgla, szmelcu, stosy szyn, „gęsi" — zagradzały im drogę. Judym miał już wyrobione pozwolenie zwiedzania wszystkich robót, a nawet delegowanego specjalistę technika, który miał go wraz z „kuzynką" oprowadzić. Technik nawinął się wkrótce, bardziej zapewne usposobiony do oprowadzania „kuzynki", choćby też w towarzystwie lekarza, niż do ślęczenia nad jakimś rysunkiem w kantorze.

Poszli tedy we troje. Technik był człowiekiem młodym, o wykwintnych manjerach. Powierzchowność „kuzynki" sprawiała mu widoczną dystrakcję w układaniu zdań, objaśniają-

cych procent żelaza w rudzie miejscowej i rozmaitych gatunkach sprowadzanej. Weszli po schodach na wielki piec.

Widzieli kaskadę, ochładzającą mur rozpalony, trąbę, która prowadzi do jego wnętrza upalne powietrze, która zdaje się oddychać, jak aorta.

Joasia nie mogła się dosyć napatrzeć cienkiej smugi szlaki, tryskającej jak krew z górnego otworu. Właśnie przy nich przebito piec i ognista rzeka wylała się na ziemię. Cudne iskry strzelały z tego złotego strumienia. Fale jego posłusznie płynęły do łożysk swoich, które im długiemi drągami otwierali czarni ludzie w siatkach na twarzy. Łuna stała jeszcze nad tą sadzawką ognistą, gdy ją opuścić musieli, dążąc gdzieindziej.

Wprowadzono ich do sali maszyn, pompujących gorący wicher. Olbrzymie koła o kilkunastu metrach średnicy, do połowy zanurzone w ziemię, toczyły się w swych miejscach bez szelestu, w jakimś milczeniu i chwale. W cylindrach błyszczących, jak lustra, coś nieustannie cmokało, jakby wielka gęba niechlujnego potwora chłeptała napój. Z innego miejsca wyrywał się dźwięk nieistniejący...

Był to krótki, urwany śmiech szatana. Serce Joasi było strwożone. Czuła, że ten głos do niej się stosuje, że radosne marzenia o szczęściu, jej cichą miłość zobaczył. Spojrzała na Judyma, szukając w jego oczach zaprzeczenia, ale ta twarz droga była martwa...

Obejrzeli piece martenowskie, które wytwarzają stal, odlewaną w kubłach na belki. Te „kolby" wędrują stamtąd do walcowni, gdzie znowu w czeluść pieca wrzucone zostaną i do białości się rozpalą.

W wielkich halach, wyłożonych żelaznemi płytami, wszystkie wrota stały otworem.

Przeciągi rwały wzdłuż i wpoprzek, ochładzając czoła, plecy i ręce, które pali białe żelazo. Nie istnieją tam płuca chore, niema nerwów. Kto chory, ten umiera.

Jak ognista kula pędzi na ręcznym wózku przez halę biała belka. Nie widać ludzi, którzy ją dźwigają. Pada na ruszt, który się z posadzki wydobywa. Jest on, jak plecy o kilkunastu metrach długości, wyginającej się zupełnie wzorem kręgosłupa i, niby z kręgów, złożone z kół wydłużonych.

Czterej olbrzymi czarni ludzie z jednej, i czterej z drugiej strony walców, w siatkach na twarzy, dzierżąc w ręku długie obcęgi, ujmują belkę w swą władzę. Pchną ją mocno między szeroko rozdziawione walce dolne. Jak bryła masła stal się między nie wślizguje. Po tamtej stronie czeka na nią ruszt,

który się z ziemi wysunął. Czyny ludzi są płynne, rytmiczne, prawie jak taniec.

Gdy biała płyta zgnieciona i wygięta, niby podpłomyk, zjawia się przed niemi, ujmą ją wraz długiemi rękoma swemi i popchną między cylindry górne.

Wypływa po drugiej stronie dwa razy cieńsza, gdzie czterej na nią czatują. Przystąpią pewnemi ruchy, jak machiny z żelaza, raz — dwa — trzy — cztery.

Wyciągną długie ręce, zbrojne w żelazo, uderzą ją i odepchną.

Zanurzą w wodzie szczypce rozpalone.

Pochwycą inni i, jak żołnierze, czekają.

Wstęga białej blachy coraz dłuższa, coraz dłuższa, niby pływająca smuga ognia, ukazuje się to w górze, to na dole, to tu, to tam... Pływa w powietrzu... Zdaje się uciekać z pośpiechem, jak gad bajeczny, ścigany przez złośliwe dzieci. Chowa się w szczeliny i męczy.

Ruszty szczękają i drżą. To się dźwigną do wysokości poziomu szczeliny między górnemi walcami, to się do najniższej zsuwają.

Wysoko, w milczeniu stoi nieruchomy człowiek, obracający korbę, która ściska walce.

Tuż obok latają po ziemi węże stalowe.

Biały ucinek sztaby płonącej, wprowadzony w ciasny otwór, wybiega co chwila w przestrzeń, zmierzając do coraz węższych kryjówek. Tam stoją młodzi ludzie z krótkiemi szczypcami, którzy chwytają pysk węża, gdy się wysuwa i niosą go swobodnie na salę. Dopiero gdy ogon stukać zacznie po ziemi, kierują go do innej szczeliny. Drut pędzi z szaloną szybkością. Ogon ginąc w otworze, trzepie się na prawo i lewo, jak żywy...

Ogłuszający huk...

Belka stalowa spada na kowadło.

Nieruchomy młot parowy zlatuje na nią, jak piorun, razem prostym, niby uderzenie pięści. Zgnieciona kolba przybiera formę płaskiego kręgu. Wtedy w środek jego stawiają przyrząd, który ma wybić otwór, doskonale okrągły. Młot spada, raz za razem, ze wściekłą siłą. Dzwoni potężnym jękiem, który odbija się w halach, w powietrzu, w ziemi... Z hukiem rozlega się lwi ryk żelaza... Stęka w nim gniew kopalni zwyciężonej przez silne ramię człowiecze. Krąg z wybitym otworem jest kołem lokomotywy. Jako kupa żółtej gliny z głębin wydobytej, ma teraz wzdłuż i wpoprzek ziemi, do najdalszych zakątków nosić szczęście i rozpacz, przemoc i braterstwo, cnoty i zbrodnie.

Nim stanie na szynach, walczy z ujarzmicielem. Wyżera mu oczy, a twarz zalewa potem; płomieniami, którym je poddał, napełnia jego płuca i serce na ostre przeciągi wystawione. Szarpie mu nerwy w tej samej minucie, gdy młot parowy szarpie i rozbija jego cząsteczki...

Zdjęte z kowadła umieszczono na zakrzywionych widłach i w bok wysunięto. Przyszło doń dwu ludzi: jeden z ostrym młotkiem w rodzaju ciupagi tatrzańskiej, drugi z młotem na długim toporzysku. Ostrze siekierki przystawiono do wystającego brzegu koła i młot spadać zaczął na jej obuch. Ani jeden cios nie chybił. Słychać było suchy szczęk żelaza o żelazo... Joasia doznała wrażenia, że to jest śpiew. Po wielkim huku organów w jakiejś katedrze, daje się słyszeć śpiew, śpiew z tłumu, bojaźliwy, strwożony... Stygnące koło poszło dalej, w swą drogę.

Judym nachylił się do swej towarzyszki i zapytał:

— Czy widzi pani dobrze pracę tych ludzi?

— Widzę... — rzekła głosem zdumionym.

— Tak, tak... niech się pani dobrze im przyjrzy.

Nie mówili nic więcej, ani w halach, ani na ogromnych dziedzińcach, zawalonych istnemi górami miału, gruzów, piasku. Wiatr porywał i nosił z miejsca na miejsce pyły i dziwne jakieś rdze lotne.

Gdy pożegnali uprzejmego mentora, minęli wrota fabryki i gdy jej mury daleko zostały, szli za miasto. Było już blizko południa.

Domy obok drogi i jej kanałów, zarażonych zjadliwemi wyciekami fabryk, były coraz mniejsze, coraz bardziej nędzne. Na końcu miasta, wzdłuż drogi ciągnęły się budy, resztki chałup wiejskich, imitujące domy miastowe. Grunt tam był bagnisty. Dookoła stały zamokłe pastwiska, na których czarnym dnie ropiała zohydzona woda. Nieco wyżej ciągnęły się glinianki, napełnione wodą deszczową.

Gdzieniegdzie sterczała jeszcze sosna po wyciętym lesie. Judym wchodził z Joasią na podwórze domostw śmierdzących, otwierał drzwi nieproszony i oczami wskazywał jej ludzi. Były tam dzieci robotników z cynkowni. Wynaturzone okazy gatunku ludzkiego, przedwcześni starcy z obliczami trupów i wzrokiem, który woła o pomstę do nieba. Spoglądały na nich babska paskudne i złe, twarze chorych, którzy może sądzili, że to śmierć nareszcie drzwi uchyliła...

Szli tak od domu, do domu...

Zanim stamtąd zdołali się wydostać, Judym spytał, nie podnosząc oczu:

— Gdzie zamieszkamy?

Długo nie odpowiadała. Oczy jej tylko jaśniały.

— Czy tu? — szeptał, rysując coś na piasku.

— Gdzie zechcesz...

— Ale czy chciałabyś tutaj?

— Tak.

— Dlaczego tutaj?

— Chciałabym pomagać ci w pracy.

— Mnie... w pracy...

— Myślisz teraz: „Co mnie i tobie, niewiasto"...

Judym spojrzał na nią straszliwemi oczami i rzekł cicho, sennym głosem:

— Skądże ty te wyrazy...

— Założymy szpital, jak w Cisach... Och, mój Boże! Będzie to coś, zupełnie innego. Ja będę twoją felczerką...

— Dobrze... Ale czy potrafisz dom prowadzić?... Dom?

— Ho — ho! Nie traciłam czasu na darmo. Wstawałam codzień, w ciągu całego czasu rano i szłam do gospodyni uczyć się gotować, prać, prasować, smażyć...

— Konfitury...

— Ale jakie! Żeby mój pan wiedział, jakie...

— Czy tak?

— A właśnie że tak. Ułożyłam już wszystko, od *a* do *z*, jak co będzie w naszym domu.

— W domu...

— W naszym własnym domu... Nie myśl, że chcę dużego mieszkania, albo mebli. Och, wcale! Brzydzę się meblami, politurą, lakierem. Firanki, dywany, jakież to wszystko brzydkie! Poczekaj, ja ci powiem...

— Joasiu...

— Poczekaj... Będziemy wszystko, albo prawie wszystko, co inni obracają na zbytek, oddawali dla dobra tych ludzi. Ty nie wiesz, ile szczęścia... Z tej resztki, którą dasz swej żonie, z tej najostatniejszej, zobaczysz co ona zrobi.

— Cóż ona zrobi?

— Ani się nie obejrzysz, kiedy nasze mieszkanie pełne będzie sprzętów prostych, jak u najuboższych ludzi, ale za to pięknych, jak u nikogo. My tu stworzymy źródło poczucia piękna, nowego piękna, sztuki jeszcze nieznanej, która obok nas śpi, jak zaczarowana królewna. Będą tu stołki sosnowe, ławy, stoły. Będą je okrywały proste kilimy...

— Tak, tak...

— Chodnik do sieni, utkany w chłopskim warsztacie, ze skrawków niepotrzebnej materji, jest tak samo miły, jak perski dywan. Ściany, wyłożone drzewem świerkowym, są cudnie piękne...

— Masz rację!... — rzekł Judym, patrząc w jej twarz, pełną szczęścia, szeroko rozwartemi oczyma,— to jest tak, niewątpliwie. Tak i ja myślałem. Człowiek tak samo przywiązuje się, musi się przywiązać do prostego kilimka, jak do gobelinu, do zydla, jak do otomany, do światłodruku, wystrzyżonego z czasopisma, jak do cennego obrazu.

— Wszystko to pokochamy, bo będzie nasze, w krwawym trudzie zdobyte bez krzywdy niczyjej. Gdzież tam! Za każdą rzeczą będą szły przyjazne spojrzenia tych, co z miłością dla ciebie będą próg nasz opuszczali. Wszystkich ludzi, których ty uzdrowisz, dobry lekarzu... Dobry lekarzu...

Boski szept uwielbienia płynął z jej ust.

— Istotnie, jak ty wiesz wszystko, jak ty wszystko widzisz dokładnie! Wszystko to pokocham, bo będzie pochodziło od ciebie, z rąk twoich czystych. Te przedmioty staną się częścią mojej osoby tak, jak ręka, noga, może, jak sama głowa, jak samo serce. I gdyby przyszło to wszystko porzucić, odtrącić jednym zamachem...

— Gdy przyjdzie gość, albo pacjent, sam się zadziwi, że ludzie żyją szczęśliwie, a tak inaczej. Proste, czyste sprzęty, polne kwiaty w glinianym wazonie... Po cóż nam zimny blask wyrobów fabrycznych? Po co stroje, powozy? Nigdy nie czułam większej rozkoszy, jak kiedy ojciec mój zabierał mię na wózek bez resorów i wiózł do lasu, po drodze, pełnej wystających korzeni drzew, przeciętej wyrwami. Żaden resor nie potrafi uginać się tak doskonale, jak dębowa „literka" wystrugana przez cieślę. Ach, ja już tak dawno straciłam gniazdo rodzinne! Prawie nigdy go nie miałam. W piątej klasie byłam zaledwie, gdy mię ojciec odumarł. Mamy prawie nie pamiętam... Każda istota ma swoje ognisko, swój dach. Mały skowronek — i ten... Gdy pomyślę, że teraz moje życie tułacze ma się już skończyć...

— A cóż się stanie z temi chałupami, cośmy je widzieli przed chwilą?—zapytał Judym głosem, pełnym jakiegoś jąkania i zgrzytu.

Stanęła na drodze i ze zdumieniem czekała. Patrzył na nią — to prawda, ale jej nie widział. Oczy jego były jakby zezowate i zbielałe.

— Cóż zrobimy z niemi? — pytał się, stojąc na tym samym miejscu.

— Z kim?

— Z niemi! Z temi z budów!

— Nie rozumiem...

— Ja muszę rozwalić te śmierdzące nory. Nie będę patrzał, jak żyją i umierają ci od cynku. Polne kwiaty w doniczce, to tak... To dobrze... Ale czy można?...

Wzięła go za rękę, gdyż pewne przeczucie wolno jak zimna stal wpychało się w jej serce. Wyrwał rękę i mówił szorstkim, obrażającym głosem, patrząc przed siebie:

— Muszę ci wszystko powiedzieć, chociaż to dla mnie gorsze od śmierci. Doprawdy, doprawdy wolałbym umrzeć, jak Korzecki...

— Korzecki?

— Gdybym to mógł słowem nazwać! Ja tak cię kocham! Nigdy nie myślałem, że może się z człowiekiem stać coś takiego... Twoje uśmiechy, które odsłaniają serce, jakby zdejmowały z niego zasłonę. Twoje czarne, puszyste włosy... Budzę się w nocy i, już nie śpiąc, widzę cię, czuję cię na sercu moim. Minie długa, święta chwila i dopiero wiem, że niema nikogo... A odkąd tu przybyłem i zacząłem patrzeć, coś we mnie rozdmuchuje ogień. Pali się we mnie! Nie wiem, co to płonie, nie wiem, co trawi ten pożar...

— Mój Boże...

— Widzisz dziecko...

— Mój Boże, jaką ty masz twarz!...

— Widzisz... Ja jestem z motłochu, z ostatniej hołoty. Ty nie możesz mieć wyobrażenia, jaki jest motłoch. Nie możesz nawet objąć tego dalekim przeczuciem, co leży w jego sercu. Jesteś z innej kasty... Kto sam z tego pochodzi, kto przeżył wszystko, wie wszystko... Tu ludzie w trzydziestym roku życia umierają, bo już są starcami. Dzieci ich — to idjoci.

— Ale cóż to ma do nas?

— Przecie to ja jestem za to wszystko odpowiedzialny! Ja jestem!

— Ty... odpowiedzialny?

— Tak! Jestem odpowiedzialny przed moim duchem, który we mnie krzyczy: nie pozwalam! Jeżeli tego nie zrobię ja, lekarz, to któż to uczyni? Tego nikt...

— Tylko ty jeden?

— Otrzymałem wszystko, co potrzeba. Muszę to oddać, com wziął. Ten dług przeklęty... Nie mogę mieć ani ojca, ani matki, ani żony, ani jednej rzeczy, którąmbym przycisnął do serca z miłością, dopóki z oblicza ziemi nie znikną te podłe zmory. Muszę wyrzec się szczęścia. Muszę być sam jeden, żeby obok mnie nikt nie był, nikt mię nie trzymał!

Joasia stanęła w miejscu. Powieki jej były spuszczone, twarz martwa. Nozdrza chwytały powietrze. Z ust padło krótkie słowo:

— Ja cię nie wstrzymam...

Były to wyrazy ciche i oblane krwią wstydu. Zdawało się, że z żył, gdy to mówiła, krew rozpalona wytryśnie.

Judym odrzekł:

— Ty mię nie wstrzymasz, ale ja sam nie będę mógł odejść. Zakiełkuje we mnie przyschłe nasienie dorobkiewicza. Ja siebie znam. A zresztą... niema już co mówić...

Wzdrygnęła się, jakby ją to słowo w tył pchnęło. Szli obok siebie w milczeniu, daleko, daleko...

Ciągnęły obok nich furmanki, z rudą galmanu, przeróżne bryczki, powozy... Szło dużo ludzi... Nie widzieli tego wszystkiego. Gościniec zaprowadził ich do lasu. Tam usiedli pod drzewem.

Joasia uczuła, że ramię Judyma wsparło się o jej ramię, widziała jego głowę zwieszoną na piersi. Nie była w stanie poruszyć ręką. Siedziała, jakby w twardy sen pogrążona, kiedy wypijamy morza boleści, nie mając siły wydać jednego westchnienia.

W pewnej chwili Judym usłyszał jej płacz samotny, jedyny, płacz przed obliczem Boga.

Nie dźwignął głowy.

O jakiejś godzinie usłyszał jej głos cichy, z głębi łez:

— Szczęść ci Boże!

Nie mógł odpowiedzieć sam za siebie, ale jakiś głos obcy, tak jakby Dajmonjon, o którym pisał przed śmiercią Korzecki, wymówił z głębi jego serca:

— Daj Panie Boże.

Joasia wstała.

Przez chwilę widział z pod bezwładnych, ciężkich, obwisłych powiek jej twarz bolesną. Była, jak maska pośmiertna z gipsu.

Za chwilę stracił ją z oczu.

Odeszła szosą w stronę miasta, w stronę dworca kolei...

Siedział tam długo. Kiedy znowu rzucił oczyma na drogę, nie było już widać nikogo. Wiatr tylko porywał z niej kurz wapienny, miotał go w górę, jak plewy. Kurz wapienny, naśmiewający się...

Judym uciekł.

Szedł brzegiem lasu, później środkiem pastwisk błotnistych, Gdzieś błądził. Nad wieczorem ujrzał przed sobą, w polu szkielet zabudowań kopalni.

Straszna nienawiść do tego widoku i wyniosła wzgarda. jak pysk w kły uzbrojony, otwarła się w jego piersiach. Szedł dalej.

Stanął nad brzegiem szerokiej wody, płytko rozlanej. W nizkich, nędznych, zżółkłych trawach kisł ten czarny zalew

śmierci, który nad otchłanią kopalni chwieje się lichemi falami. Ciemna woda zdawała się marzyć, zdawała się czekać, kiedy runie w głębinę wydrążoną, kiedy napełni puste lochy, kuszące próżnie, które ją ciągną, ssą, wzywają.

Judym ją poznał. To ona! Widział już w nocy. Tej nocy... Szukał na falach świetlistego znaku, długiej, ruchomej skazówki, która przeszywa, jak wyborowa stal damasceńska. I uczuł w sobie ostrze.

Daleko, daleko za lasami łkał świst pociągu, niby słowo tajemnicze, zawierające sens życia.

Tuż obok stóp Judyma było szerokie, suche zawalisko, otwór w postaci leja, zwróconego wierzchołkiem na dół. Wgłębi ziemi, pod nim były kiedyś galerje kopalni. Warstwy skał piaskowca i łupku gliniastego, wskutek „wyrabowania" budynku, podtrzymującego piętro, zarwały się od własnego ciężaru i, spadając, odłamami swemi napełniły puste przestrzenie pokładów węgla. Gleba zewnętrzna zsunęła się w przepaść wraz z murawą, krzewami i utworzyła dół, głębokości dwudziestu metrów.

W miejscu rozdarcia widać było pręgi piachu siwe i jasnożółte. Naokół stały karłowate, nędzne sosny.

Jedna z nich rosła na samym brzegu zawaliska. Oberwana ziemia ściągnęła w głębinę prawy jej korzeń, a lewy został na twardym gruncie. Tak ją dzieje kopalni rozdarły na dwoje. Pień jej stał jedną połową swoją w górze, a drugą szedł wraz z waliskiem, niby istota ludzka, którą na pal wbito. Tamten, z bryłami ziemi w dół ściągnięty, prężył się, jak członki na torturach. Wszczepione w glebę pazury górne trzymały się z całej siły...

Judym zsunął się w zwalisko, żeby go nikt nie widział. Rzucił się na wznak. Pod sobą, w głębi ziemi słyszał od czasu huk wystrzałów dynamitu i prochu. W górze widział obłoki sunące po niebie lazurowym.

Obłoki, jasne, święte, zaczerwienione obłoki...

Tuż nad jego głową stała sosna rozdarta.

Widział z głębi swojego dołu jej pień rozszarpany, który ociekał krwawemi kroplami żywicy. Patrzał w to rozdarcie długo, bez przerwy.

Widział każde włókno, każde ścięgno kory rozerwane i cierpiące. Słyszał dokoła siebie płacz samotny, jedyny, płacz przed obliczem Boga.

Nie wiedział tylko, kto płacze...

Czy Joasia? Czy grobowe lochy kopalni płaczą?

Czy sosna rozdarta?

Z „Popiołów".

(Fragment).

Gdy od 4-go lipca Austryjacy poczęli rozciągać swój front aproszów od Certosy, przez Pallagina, Dosso del Corso i Chiesa Nuova przez Simeone i Valle aż do Spanavera i, zatrudniając co noc po kilka tysięcy chłopów z okolicy, oraz swoich własnych żołnierzy, wznosili wciąż nowe linje dwuramników złączonych kurtynami, a w tyle sypali czworoboki zamkniętych redut, gdzie kolejno umieszczali swe baterje od pierwszej do ósmej, prace i czuwania dosięgły szczytu. Książę Gintułt sam począł zapadać na zdrowiu. Niespodziewanie, w największy upał, lodowate dreszcze, bóle głowy, rozum i przytomność wyczerpujące z czoła, a nadewszystko niechęć śmiertelna do jadła i napoju, do świata, słońca i powietrza. Ręka skostniała podnosi do oczu szkła perspektywy, a oczy widzą nie to, na co patrzą. Dalekie smugi wyrzuconej ziemi, równie ogniowe szańców darnią już odziane, dalekie gęstwiny platanów i morw, trzciny, wierzby i eukaliptusy na pobrzeżach, a znagła... cóż to? Jak żywa rośnie przed upadłemi oczyma wydma piaszczysta gdzieś w kraju, jasna, żółta, sypka, usychającym jałowcem tam i sam porosła...

Świat zewnętrzny oddarty jest od człowieka, zwisa z duszy jak łachman ciężki i bolesny, nie do odtrącenia a nad siły, nic z nią nie mający wspólnego... Ludzie snują się i wiercą naokół, jak gdyby pogrążeni w falach szczególnego eteru, w cienkich mgłach smętnicach. Czyny ich głupie, ordynarne, wrzaskliwe, kamieniami walą się na głowę, na ciemię jej, na piersi i na ramiona. Tymczasem już ludzie przyzwyczaili się do posługi. Żądali jej natarczywie, jak od robotnika płatnego na dniówkę. Szedł tedy wciąż temi samemi szlakami, ale już jak wóz bez koni, pchnięty z góry w wyżłobione koleje. Coraz mniej mając w oczach światła, coraz słabiej rozróżniając kontury spraw, a nawet twarze, czynił przecie swoje. Policzki przybrały barwę popiołu, kości ich wylazły. Oczy wwaliły się w swe doły. Usta zamilkły. Wreszcie czyny ręki były to już raczej znaki woli żywego ducha, niż akty ciała.

Oto teraz, siedząc po przebudzeniu na swym leżaku, zawinięty w płaszcz i wtulony w siebie, myślał, że musi wstać i iść na służbę. Niemoc przytłukła go, jak wieża. Ręce i nogi leżały cięższe od kloców dębowych.

— Pocóżeś tu, głupcze, został? — zadrwił z niego nagły, postronny śmiech szatański.

Usunęła się wraz przed wewnętrznym okiem duszy ściana domowa na obraz kotary, a za nią widać było nicość, nędzę i śmieszną trywialność poświęcenia. Patrzał przez chwilę na całe rzeczy, na początek i koniec ich, na wierzch i środek. Wszystko, co tu przedsiębrał, wsiąknie w ziemię tak samo, jak wsiąka deszcz, tak samo, jak wsiąka w ziemię krew zastrzelonego człowieka—i zginie. Śladu nie będzie. Któż jest, ktoby odróżnił drzewo, czerpiące soki ze dżdżu, od drzewa wyhodowanego ze krwi? Czyjeż oczy wyleją łzę? czyje piersi westchną? W mrok się rozpraszał ostatni brzask wytrzymałości.

— Już nie pójdę nigdzie! — cisnął słowo głośne, jak klątwę na nieszczęśliwych, którzy szelestu jego kroków wyglądają. Runął na wznak i zamknął oczy.

— Zdychajcie! Wszystko mi jedno. Teraz i ja nareszcie będę próżnował.

Owinął się starym, zielonym wojskowym płaszczem i niweczył swe dreszcze szeregiem skuleń i wyprężeń ciała. Sen go opętał twardy...

Wtym runął gromem strzał armatni. Okna zadrżały w swych zawiasach wszystkiemi futrynami. Szyby żałośnie dźwięknły. Ledwie pochwytny szmer w ścianach przeniknął je, jakoby dreszcz tyfusowy. W luftach kominów załopotały strącone skrzydła sadzy.

— Jesteś... — wyszeptał.

Zarazem rozrzucił poły płaszcza i wstał. Ulegając nakazowi starego nałogu, siadł po umyciu przy tualetce podróżnej, ostatnim wykwintniejszym sprzęciku, ogolił się starannie i uczesał. Potym oczyścił porządnie mundur już podczas ryku kilkudziesięciu armat. Skoro wyszedł na ulicę, huczała niesłychana kanonada. Tak znał się na tonie armat, zależnym od oddalenia, że wnet odróżnił baterję Redela i jednorogi Axamitowskiego od naszczekiwania dział Monet'a z cytadeli i Jakubowskiego z San-Giorgio. Oto dzwonią pociski z bastjonu St. Alexis, z bastjonu Luthérien, z *retranchements Charles*... Szedł ulicą Garety, mechanicznie, prawie bez udziału myśli licząc pociski. Krył się przed słońcem. Pod murami stał już cień włoski, martwy, jak opończa nieruchomo zwisły z wysokości nagich ścian. Ulice były puste, jak wymiótł. Tam i sam wyjrzała z bramy kędzierzawa głowa ulicznika, albo wśliznęła się w ciemną i wilgotną sień strwożona kobieta. Przyzwyczajony do codziennego huku armat od czterech miesięcy, książę szedł ospale, ze zwieszoną głową. Nagle osobliwy, nieznany łoskot uderzył go w dekę piersiową, jak cios pięści. Oto z narożnego domu na przecięciu dwu ulic, z domu cichego, śpiącego w cieniu swych drewnianych żaluzji runął olbrzymi

narożnik. Kupa cegieł z futrynami okien zwaliła się na środek ulicy o kilkadziesiąt kroków przed idącym. Zrazu nie mógł zrozumieć, co to się stało. Ale jakaś blada twarz w wyrwanym oknie... Wraz palnął w tę samą ścianę pocisk, buchnął płomieniem. Wyrwał drugą dziurę, rozleciał się na tysiąc skorup wartkich, ledwie dostrzegalnych, wiercących się w kilkudziesięciu miejscach na przestrzeni jakich stu sążni. Szczęście chciało, że książę stał o pięćdziesiąt co najmniej kroków od miejsca wybuchu, wskutek czego czerepy bomby przeleciały już nad jego głową. Jeden z ułamków kręcił się długo na kamieniach ulicy. Gdy spoczął, książę, czując się mimowoli, podszedł ku niemu i wejrzał nań z taką ostrożnością, jakby oko zapuszczał w przepaść. Zobaczył podługowaty złom żelaza, urywki na nim kutych obręczy, resztki tlejącego drelichu i smolnych sznurów...

— Karkas... — wyszeptał ze drżeniem.

Ale nim spojrzał, nim to pomyślał i wymówił, już kilka nowych piorunów padło na ulicę. Prały ją straszliwe, kilkopudowego wagomiaru brandkugle, wyrzucające ogień przez trzy swoje „oczy", ryczały lane walce knyplów, służące do targania wiązań wszelkiego rodzaju, splątanych przez pracę ludzką, pękały w powietrzu, około drzwi i okien z hukiem głośniejszym od armatniego wystrzału „świecące kule", wyrzucały z bruku i ziemi leje sążniowej średnicy wielopudowe, jednookie, uszate bomby i skakały naokoło, jak gumowe piłki ślepe granaty. Książę dyszał prędko. Nogi się pod nim trzęsły, serce przestało bić i trzepotało się, jak dzwon na trwogę. Widział był dotychczas walki fortów z fortami na kule, bitwy pułków na bagnety, ataki konnicy na konnicę. Teraz co innego...

— Bombardują miasto...— wymamlał do siebie, brnąc dalej spłoszonemi kroki.

Rozbijał mu głowę, miażdżył oczy, dusił oddech przeciwny naturze, grzmot walących się domów, wrzask śmiertelny niewidzialnych ludzi, łomot i stęki wyrwanej ziemi, buchanie prochu, trzask drzewa, łoskot kamieni. Zielone drzazgi okiennic, zębce, krzyże, ramiona potrzaskanych ram okiennych i futryn, strzępy i zwitki rynien z malowanej blachy, gruz czerwony glinianych dachówek, jak liście pierzchało to wszystko bryzgami w powietrzu. W rozwarte jamy okien i drzwi skakały kłęby ognia. Zaduch smoły, dziegciu, prochu, gałganów palących się od zapraw otaczał każdy dom płonącą atmosferą. Książę wtulony we framugę przy studni ulicznej łypał na wszystko oczyma i przeciągał się od zimna.

— Madonna! Madonna!... — rozległ się za nim, gdzieś u stóp krzyk człowieka na ziemi.

Rzucił okiem na czarną twarz, białe zęby, wysadzone na wierzch, straszliwe oczy, na ręce błądzące bezradnie po nagim bruku. Wtulił się w mur jeszcze głębiej, przylgnął do niego, jak płaskorzeźba. Nie podnosił oczu...

— Żeby choć prędzej... — szepnął mu do ucha jego własny duch. Myśl tę usłyszał tak wyraźnie, jak głos owego człowieka, który się wił coraz ciszej na kamieniach. Zmęczone ciało wzdryzgnęło się od kilku szlochów urwanych. Przycisnął płaszcz do piersi i wśród wzmagającej się orgji pęknięć, strzałów dookolnych, wśród piachu z cegieł, czarnego dymu i ognia pożarów, zaczął usilnie nakazywać spokój rozbieganemu sercu. Namacał wreszcie wolą obojętność w ciemnościach wewnętrznych duszy, a dłonią rękojeść szpady. Odszedł stamtąd. Ale dalej w ulicy, przed kościołem San Rocco przejście było zagrodzone. Zapchała je barykada zwalonych ścian i gruzów, buchająca pożarem. Wiodąc ręką po murze, obok którego postępował, trafił na bramę otwartą, czy otwór wyłamany. Wszedł do ogrodu. Ujrzał dokoła siebie drzewa porozrywane, konary z owocami rzucone o kilkadziesiąt kroków od pnia, srebrne zagajniki cytryn i bardziej ciemne pomarańcz, pokrzywione drzewa figowe skwarzące się we własnym ogniu. Liście, gałęzie, kwiaty stratowane... Przez chwilę zadumał się sennie nad wyniosłą grubolistną magnolją, którą kula ścięła w połowie wysokości. Jeszcze, zdawało się, drży pień... Raz wraz waliła w ten śliczny ogród pięciopudowa bomba. Zapadszy się w miękką, skopaną i wynawożoną ziemię na półtora sążnia, wyrzucała stóg ziemi z korzeniami fig i migdałów, wykroty obwieszone gruzłami czarnej próchnicy, miecąc na wsze strony donice z kwiatami, rododendrony i żywopłot z bukszpanu, kamelje i biały bambus. Książę szedł przed siebie naoślep. Ujrzał nagle ciemnik z winorośli, rozpięty na obłąkach i na drzewach morwowych. Tuż u wejścia siedział na płaskich kamieniach człowiek jakiś i trzymał w ramionach umierającego chłopca lat pięciu, a raczej zmiażdżone szczątki chłopięce. Oczy dziecka zaszły już mgłą, ciało rozerwane, krwawe, zwisło, jak rzecz wiotka. Jeszcze żebra wznosiły się i opadały, a maleńka gardziel, biała jak kameljowy kwiat, łykała powietrze. Człowiek siedzący kołysał się naprzód i w tył, jak wahadło. Całował konające usta, wysysał jego oddech, ulatający w milczeniu straszniejszym tysiąc razy, niż huk kanonady. Nie podniósł oczu na księcia, gdy ten zadreptał koło niego, żeby coś pomóc, nie wiedząc w czym i jak. Wciąż tylko zgrabiałemi palcami przyciskał do piersi coraz mocniej, coraz trwożliwiej

skrwawione szczątki. Chuchał nadaremnie w otwarte usta dech żywota, czy może przyjmował w swe rozdarte serce ostatnie tchnienie... Skrzypiały wokoło drzewa, pękało i paliło się miasto. W głębi czarnych ulic kotłowały się straszliwie, nieustające womity murów. Książę wpatrzył się oślepłemi oczyma w ów szczególny, jedyny na świecie bełkot śmierci miasta. W dymie, pod sklepieniem z płonących kul, zbity kamieniami, ociekający krwią od zranień ułamkami kul, czarny od prochu, z płaszczem tlejącym w kilku miejscach, przyszedł do bramy Pradelli. Z tyłu, od miasta waliły się teraz perzyny, czad spalenizny i upał pożarów. Nie stało powietrza na oddech. Kanonjerowie ledwie mogli ustać w dymie. Pod murem leżał porucznik Kobylański, któremu urwało rękę w krytej drodze dwuramnika przedmostowego Pradelli. Książę musiał stanąć do roboty u boku Czechowskiego, niegdyś w kraju majora, awansowanego obecnie na kapitana. W tę bramę najzacieklej biły pociski ze wszystkich baterji austryjackiej paraleli. Słychać było głuche stękanie odwiecznych murów i nieustanny łoskot brył cegły walącej się w zgniłą fosę. Dwa jednorogi, broniące gruzów wieży, rzetelnie tego dnia pracowały. Sam kapitan celował, chodząc od jednego do drugiego. Gdy Gintułt stanął przy nim, spojrzał przez ramię, wskazał ręką granatnik, sam rzucił się na ziemię pod murem. Książę ujął dłonią dwa drążki celownicze łoża, nastawił, uregulował mosiężną suwaczkę w dioptrze, i ledwie dostrzegając dalekie pola ogniowe szańców austryjackich, wykrztusił zeschłemi usty:

— Pal!

Czarny od dymu kanonjer przyłożył żywy, mocny, kończysty węgiel lontu. Pół okrągły ogon łoża skoczył w tył i szczęknął, powstrzymywany w klinach legarów. Runął potężny, dźwięczny strzał. Książę był przy drugim dziale. Schylił się, wlepił oko w dioptrę i znowu sennym głosem:

— Pal!

Kiedy kanonjerowie rychtowali pierwsze działo, wsunął głowę między policzki strzelnicy i wyjrzał. Grobla przedbramna była pusta, zalana przez białe słońce. Dalej pod dymem rozesłało się błoto Payolo tak zielone, kwietne od porostów grążelowych, od lilji wodnych, od mokrych szuwarów i tataraku, że oczu nie można było oderwać. Z okopów austryjackich, które stały w drugim rzędzie za linją barkanów i kurtyn, pękały co chwila w morzu dymów nowe stożkowate, śnieżno-białe ich słupy. Całe powietrze wstrząsało się od dźwięcznego łoskotu, a ziemia trzęsła się nieregularnemi drgawkami. Książę wrócił do roboty, między kanonjerów, których białe ze zgrzebnego płótna lejbiki przemieniły się w ciemne łachmany. Pot

czarną plamą wylazł na ich plecach i barkach. Ręce mdlały od wprowadzania łóż na miejsca. Tylko białka oczu błyskające świadczyły o rozpętanej i wściekłej sile.

Nadjechał gienerał Borton ze sztabem. Już wówczas słabła kanonada. Miasto płonęło. Ludność, schroniwszy się do piwnic i do lochów, nie ratowała swego mienia. Nad wieczorem tegoż dnia, po obustronym zaprzestaniu walki, książę Gintułt szedł przed samym zachodem słońca do Miglioretto, gdzie było czoło boju. Minął bramę Pusterla, most arkadowy na Corso delle Barche al Palio. Zielona od skrzeków woda, zakisła i nieruchoma, gnijąca pod kożuchami grzybienia, pełna była gruzów i strzępów. Wierzby i eukaliptusy, wysysające wilgoć z błot, były pościnane albo podarte. Na poszarpanej drodze tarzały się niebieskawe od spalenizny czerepy bomb i rozprysłych kul. Smutek śmierci ściskał serce żelaznemi klamrami na tej drodze samotnej. Minąwszy Palazzo del Té, książę szedł ku Miglioretto śliczną niegdyś platanową aleją. Nie ocalało tu ani jedno drzewo. Ogrody były zryte, same groble i forty uszkodzone nadzwyczajnie. Były to ślady bombardowania tych miejsc specjalnie poprzedniego ranka, kiedy nieprzyjaciel wyrzucił 5,114 pocisków granatnikowych i 824 bomby. Idąc po groblach, obok upustów, między cuchnącemi kanałami, książę nie znajdował w żadnym z fortów Axamitowskiego. Miał polecenie od gienerała Bortona oświadczyć ustnie szefowi baterji polskiej, że nazajutrz całe przedmieście San-Giorgio, będzie bez strzału oddane nieprzyjacielowi. Załoga wyjdzie w nocy, bez szelestu. Wszystkie siły należy wytężyć ku obronie Miglioretto. Przybywszy do strzałczanu, dwuramnika wysuniętego na czoło układu wszystkich szańców, bastjonów, redanów, kurtyn, lunet i biretów, znalazł olbrzymie zmiany. Wszystkie podmurowania Miglioretto były napoły zburzone, palisady zgorzałe.

W chwili, gdy książę przyszedł, Axamitowski po kilku dniach i nocach walk nieustannych spał snem kamiennym. Oficerowie i kanonjerowie byli tak spracowani, że drzemali stojąc, półleżąc, zwisając z łóż, wozów prochowych i armat. Noc zapadła. W ostatnim blasku dnia widać było zblizka najszerszą gać błot, zginających się ku Mincio. Jezioro Payolo przeobrażone teraz w bagna, których środkiem ciekła leniwie zgniła rzeczka, porośnięte było gajami nieprzejrzanemi trzcin jasno-żółtych, szelestnych, sitowiem, tatarakiem i rokiciną. Gwar szpaków rozlegał się tam na całej przestrzeni. Groblę, prowadzącą przez błota do wioski Cerese na zajezierzu widziało się w całej długości.

Książę tak przecież był zmęczony, że ledwie spostrzegał i słyszał, ledwie wiedział, gdzie jest. Powtarzał sobie w myśli raz za razem zlecenie i czekał. Wszystkiemi siłami ciała starał się, ażeby ustać na nogach. Wszedł po drewnianych stopniach na *banquette* szańca, miejsce wyniesione pod poziom, gdzie stoją obrońcy, żeby strzelać ponad ziemne przedpiersie. Przechadzał się tam i napowrót między jednym działem a drugim. Te posępne, spracowane spiże zdały się w tej chwili drzemać tak samo, jak ludzie. Posłaniec uczuł, że jest tu między wszystkiemi sam, sam jeden czuwający. Zajadłe ćwierkanie szpaków przemieniało się w dziką melodję... Roje komarów wirowały tu i rzuciły się na twarz. Wstrętne myśli rzuciły się na duszę. Gdy tak błąkał się, głową przewyższając *hauteur d'appui* nasypu szańca i gdy zabrnął w najciemniejsze pieczary smutku, dano mu znać, że szef wstał i czeka.

Książę zdał mu raport i zarazem prosił o pozwolenie udania się na spoczynek. Axamitowski, usłyszawszy wieść hiobową, chwycił się za głowę i siedział przez chwilę bez ruchu. Potym dopiero przypomniał sobie drugą prośbę i zaprowadził księcia do baraku w głębi sąsiedniego *bonnet de prêtre*, gdzie spał niedawno. Gintułt przycupnął na wygniecionym posłaniu i wnet usnął. Miał sny straszliwe, sny nie zapomniane na całe życie, w których zamknięte są światy samoistne, prawdy nam tylko samym wiadome i zjawiska prawdziwie nieziemskie. W tym śnie pamiętnym książę przebiegł jakieś inne, całkowite życie od jego początku do końca. Zapamiętał niektóre tylko kształty, ułamki, blaski widzianego światła i jego mglistą całość. Kilkakroć skakały na jego piersi pociski przeraźliwe. Uderzały, wypadając z ciemności, naprzód w ziemię, jak lane kule, a potym mknęły koło uszu na podobieństwo wielkich chrabąszczów, skarabeuszów niezwykłej wielkości. Wrażenie ich przelotu, ich muskanie twarzy szorstkiemi skrzydłami było nie do zniesienia Z przezsennym jękiem, którego z piersi nie można wyrzucić, uciekał, przeczuwając, że znowu padnie, odbije się od ziemi i skoczy kula skrzydlata... Wtym tę trwogę senną, straszliwszą niż wszystko na rzeczywistym świecie, zgniótł gromadny wrzask, jęki, łoskot broni. Książę, wyrwany z twardego snu, ocknął się, ale nie wiedział nic o sobie. W malaryjnej półwiedzy siedział na posłaniu i patrzał przed siebie. W czołach i barkach biretu, w narożnikowych szczególniej kątach ujrzał tłok artylerzystów, mocujących się, jakby w czasie ćwiczeń gimnastycznych. Żołnierze wielkiego wzrostu przełazili przez wierzchołki przedpiersia i tu rażeni śmiertelnie wyciorami, drągami, bagnetem darli się do armat. Gintułt nie mógł

pojąć, co to za ludzie. Widział w blaskach ognia ich nizkie czarne kapelusze z białą obwódką, białe z ciemnemi potrzebami mundury, szerokie, czerwone pasy, ciemne spodnie i czarne kamasze.

— Gułaje! Bij, zabij!— wrzeszczał obok niego jakiś podoficer, pędząc naprzód z bagnetem.

— Regiment Franza Guiläy...— myślał książę, rozumiejąc teraz dopiero, co się dzieje.

Tymczasem już wszystkie armaty były opanowane. Infanterja austryjacka, prowadzona do szturmu przez pułkownika Ridt von Latterman pchała się ze wszech stron na okopy. Olbrzymi kanonjer austryjacki w ciemno-piaskowym mundurze obuchem młota wbijał bretnal w zapał granatnika... Ale jednocześnie przez wązką szyję szańca krokiem żelaznym a cichym nie wbiegła, lecz zaiste wskoczyła jak pantera kompanja grenadjerów polskich. Książę zerwał się ze swego miejsca, znalazł szpadę i biegł do szeregu. Szerokie bagnety werznęły się w Austryjaków. Zwarty zastęp przebił najbliższych napastników. Ale wdzierały się nowe ich szeregi. Zawrzała bitwa nie na bagnety już, lecz na kolby. Rozwścieczona garść sięgnęła po gardziel wroga. Zrzuceni w ciemność przez wierzch szańca, tonęli w fosach. Bili się na moc, szarpiąc bronią mundury. Rosła kupa trupów i rannych. Wreszcie wnętrze biretu opustoszało. Napastnik zginął, albo wyrzucony został na zewnątrz. Kompanja grenadjerska chyżym krokiem wysunęła się przez szyję i wsiąkła w ciemność. Gintułt szedł z niemi. Broń do ataku, krok żelazny, oko wlepione w mrok. We wszystkich naczelnych szańcach wrzała walka śmiertelna. W fosach, między palisadami, w martwych kątach narożników słychać było ciosy i jęki. Kompanja, idąca naprzód, przez rowy, przez wały rannych i trupów, dojrzała przed sobą białe mundury. Wzięła je ścigać wilczemi susy. Wnet byli w bagnach. Już stamtąd dochodził szczęk i ryk boju. Dopadli. Wrzask z tyłu przebitych, rozkazy oficerów szczujące do rzezi, przekleństwa, skomlenie rannych. Chyżo z dobytą szpadą szedł książę, porwany przez uniesienie. W pewnym miejscu kupa białych oskoczona przez cisalpinów i Polaków biła się po pas w błocie.

W trzcinach wyniosłych, suchych, trzeszczących żołnierze tworzyli zwarte koło. Kogo bagnet dosięgnął, tego spychał w bagno, w żywy grób. Kolba go dotłukła, a obcasy wdeptywały w bajoro. Żeby nie zapadać się w błocie, stawali na żywych jeszcze ciałach i z nich prali w tłum uciekający. W pewnej chwili kule ogniste oświetliły całe Payolo. To Redel wyczuł swym ogniem skradających się pod wodzą kapitana artylerji, Szmita, oraz inny oddział pod kapitanem Martynowem

wpław przebywający rzekę. Strychowana z barerjów del Té runęła na nich kanonada. W wybuchach prochowego ognia książę widział dokoła zbroczone bagnety i lufy, rzygającą z ran krwią zlane piersi i gęby, wyszczerzone zębce, wywalone, straszliwe oczy. Krwawe szpony wszczepiły się w czyjeś włosy... Nowy blask! Własna szpada cała jak piorun! Czerwieni się i cieknie gorący ogień krwi. Nowy cios... Po rękojeść! Dłonie, palce kurczowe chwytają idącego za nogi z głębi trzęsawiska. Zduszone rzężenie gardzieli, bełkot ust w błocie. Trzask trzcin. Ktoś ucieka. Szczęk kolby o czaszkę i cichy płacz. W samym kanale Payolo zapaśnicy siepali się pierś w pierś, dusili się wzajem za gardła i spychali na wieki do jam śmierci. Coraz już rzadziej, ale coraz wyraźniej, rozdzierały ciemności gromy nieludzkich ryków i krzyki zemsty.

Dopiero nade dniem wycieczka była odepchnięta na całej linji. Grenadjerowie wlekli ze sobą gromadę niewolnika, schwytanego w szuwarach. Książę staplany w bagnie plątał się między ludźmi, dźwigając głowę ciężką, jak kowadło. Mróz go przenikał od stóp do głów. Nogi się gięły. Ledwo widząc drogę i przedmioty, zawlókł się rano do swej w mieście izby i nieprzytomny zgoła upadł na łóżko.

Spał teraz jak drewno, pogrążony w potach, dreszczach i ciemności. Gdy się kiedy niekiedy ocknął, znajdował przy wezgłowiu proste, gliniane naczynie z winem rozcieńczonym wodą. Nachylała się ku niemu ohydna twarz lichwiarza, który mu pożyczał pieniędzy. Był to Żyd z twarzą mantuańską, popielato-czarną. Książę widział w półśnie, że lichwiarz przeszukuje kieszenie jego płaszcza, że przewraca w tualecie, gdzie nic cennego nie było. Bawił się tym widokiem. Byleby cisza... Dwa, czy trzy razy zjadł skibkę chleba, popił wodą i znowu spać! Piątego dnia Żyd wbiegł do izby w popłochu i z krzykiem. Targając chorego, wrzeszczał przeraźliwie, że Francuzi poddali miasto i wychodzą, że Miglioretto już obsadzone przez Austryjaków a w bramie Cerese pięciuset ludzi. Książę zrazu nie chciał ruszyć się i nie wierzył, ale koniec końców wstał z łóżka. Ogarnął się jak mógł i wyszedł. Żyd za nim. Mówił prawdę. Piechota z jednym sztandarem generała Foissac-Latoura ciągnęła wolno w stronę mostu Molini ku cytadeli, za nią artylerja z działami. Furgony generała dowodzącego i innych, a nawet powozy oficerskie i ekwipaże ich żon szły, dudniąc między gruzami. Przerznąwszy się wskroś motłochu, książę zobaczył nareszcie swoich. Szli w porządku z obnażoną bronią. Artylerja na przedzie, za nią konnica, kompanje piesze na ostatku. Oznajmiono mu, że garnizon poddał się i z hono-

rami wychodzi przez cytadelę, a legja ma rozkaz zamykać kolumnę.

Stanął w szeregu, dobył szpady i postępował obok działa. Pułki lekkie francuskie zajęły sklepione mosty, minęły je, ale nie posuwały się dalej. Wązkie przesmyki gruntu między jeziorami i na przedmurzu fortecy zastawione nędznemi domostwami tak były pełne wojska, że noga ludzka wcisnąćby się tam już nie mogła. Artylerja Axamitowskiego i jej armaty weszły na most, w ciemną czeluść murów grubych, bezkształtnych, trupio szarych od wielowiekowych pyłów mąki. Kompanje piesze wciąż jeszcze stały w ciasnych ulicach. Książę był w szeregu między żołnierzami. Oczy jego włóczyły się bezradnie po starych pajęczynach, które mąka obarczyła, po śladach powodzi i owych posępnych oknach-strzelnicach, co wychodzą na stęchłe jeziora. Milczące w tej chwili młyny były wstrętne, jakby tortury średniowieczne.

Gdy tak w ciszy strudzone wojsko czekało na chwilę wyjścia z przeklętego miejsca, biała kolumna austryjacka ukazała się z dala w ulicy. Oficerowie szli równo z nią krokiem chyżym. Zbliżywszy się, sformowali szyk w dziwny sposób. Naprzód klinem weszli między artylerję i piechotę polską, a potym wzięli broń do nogi. Nikt z Polaków nie przeszkadzał im, ani protestował. Wychodzili z honorami na podstawie kapitulacji jawnie zawartej i odczytanej w szeregach. Drugi jej paragraf wszem wobec głosił, że wojska cisalpijskie, szwajcarskie, polskie i piemonckie będą uważane i traktowane pod każdym względem, jak wojska rzeczypospolitej francuskiej. W pewnej chwili, na rozkaz Austryjacy pochwycili za broń i nastawili ją przeciwko grenadjerom, woltyżerom i artylerji. W tejże chwili ze wszystkich zaułków, z dziedzińców, z za murów rzuciła się na nieprzygotowanych piechota olbrzymim tłumem. Wydzierali zdradziecko napadniętym z rąk karabiny, czapki wbijali na oczy, albo je zdzierali i wlekli obezwładnionych po bruku. Wiązali ręce powalonym na ziemię. Oficerowie w pierwszej chwili oniemieli z przerażenia. Ale i ich nie oszczędzono.

Ujrzeli, jak napadniętym w ciasnych zaułkach żołnierzom i podoficerom zdzierają naramienniki i biją niemi po twarzy, jak szarpią za włosy, kopią nogami, tarzają w błocie ulicznym, wiążą ręce i nogi. Ujrzeli wreszcie, że zdzierają mundury oficerskie z tych, którzy je męstwem, w bitwach, przed oczyma dwu armji zdobyli, wiążą dłonie do lufy karabina, żeby puszczać przez kije.

— Do broni! — rozległ się krzyk.

Było już za późno. Kolumna była rozerwana na kilkanaście części, a każda z nich obskoczona. Broń wydarto.

Z kompanji najbliżej mostu stojących kilkuset żołnierzy chyłkiem przemknęło się ku cytadeli i uszło losu współbraci. I na grupę dwudziestu oficerów artylerji zwaliła się masa piechoty austryjackiej z nastawionym bagnetem. Obstąpiono ich pierścieniem grubym na dziesięciu chłopa. Poznawszy, co się dzieje, wyrwali szpady. Sparli się brat w brata ramionami i utworzyli pierścień obronny. W milczeniu poczęli bić. Szpady ich trzaskały w karabiny i bagnety, młynem ognistym warcząc. Raziły i przeszywały. Ktoś zaczął komenderować. Błyskawicami nagłych ciosów parli chłopstwo i otwierali sobie drogę. Wnet jednak ten i ów, zajechany bagnetem osunął się na ziemię. Żywi rozwściekli się od męki, od krzywdy, na widok tej hańby niesłychanej w dziejach świata. Bili się w szale. Gintułt nie widział świata. Werznął się sam między żołdactwo, w tłum zbity i prał, na śmierć idąc. Wtym tłum na rozkaz rozchylił się przed niemi w dwie strony. W dali, z ulicy wyjeżdżał orszak gieneralski, a najdalej, w otoczeniu wspaniałego sztabu, na pysznym koniu gienerał baron Kray de Krayova. Major Królikiewicz bez czapki, ze skrwawioną szpadą w ręce, blady jak trup poszedł na jego spotkanie i z dala, wskazując, co się dzieje, wołał o rozkaz zaprzestania zbrodni. Feldmarszałek z wyrazem wzgardliwego szyderstwa przymrużonemi oczyma spojrzał naokół i rzekł niedbale:

— Wszystko, co się dzieje, dzieje się na mocy paragrafu sekretnego, dodatkowego kapitulacji z dnia 28 lipca. Niema tu żadnego bezprawia. Zbiegowie z pod sztandaru Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości będą wydani każdy zosobna pułkowi i bataljonowi, do którego należą.

Tknął konia ostrogą i chciał w bok odjechać. Ale major Królikiewicz chwycił groźnie cugle jego konia i nie puścił, choć nad nim szable zawisły. Głos mu zaparło. Krwawe oczy wlepił w dowódcę.

— Zapewniam każdemu życie... — wycedził marszałek.

W tej samej chwili z przeciwnej strony przymuszony jechał w tłumie oficerów polskiej konnicy blady Foissac-Latour. Zbliżając się do końca mostu, zamknął oczy. Oficerowie polscy miotali mu w twarz obelgi. Książę Gintułt złamał swą szpadę i ze wzgardą cisnął mu ją w piersi.

Wołano z szeregów:

— Zdrajco!

— Krzywoprzysięzco!

— Spełniłeś największą zbrodnię na ziemi: podstępnie, na hańbę wydałeś zbiegów!

— Patrz teraz w oczy tym, którzy z ognia wyszli, gdzie bez drżenia umierali ich bracia.

— Dawaliśmy ci życie za naszą sprawę i honor. Mówiliśmy ci, jak rycerze: jeśli nas chcesz rzucić na pastwę wrogom dla ratowania Francuzów i siebie, miej odwagę uczynić to jawnie. My wiemy, co czynić mamy. Skłamałeś pod przysięgą.

— Mówiliśmy, że gdy jawnie nam wyznasz, co zamierzasz, zamkniemy się w wieży prochowej i braterskiemi dłońmi wszyscy wraz rzucimy ogień, żeby się wysadzić w powietrze. Hańba ci, zdrajco!

Foissac-Latour podniósł oczy. Potym białą, drżącą rękę. W milczeniu, patrząc w shańbiony tłum jeńców, salutował ich długo.

Powieść o udałym Walgierzu.

(Początek).

I.

Na progu wyniosłym morza, gdzie sosny rumiane cień błękitnawy na jasne piaski rzucają, — oparły się wozy królewskie. Ustały zgonione konie, zarznęły się w piasku skrzypiące koła. Każe król rozbić szkarłatny namiot swój. Zwisła ciężka, złota frendzla zasłony, na wiotki piasek opadła. A przed zasłoną na żerdzi głęboko wykopanej szeleści plemienna stannica, królów wojenny proporzec. Czterdzieści wnet stanęło stołów. Siadła pospołu drużyna bojowa. Siadł i najemnych gości tłum: pieczeniegi i waregi, czechy i morawy, za złoto żołdu zdradzające swój ród nemety, sasy, bawary.

Na siedzisku wyniosłym rozparł się król. Szkarłat rodowy piastowski obleka jego tron i ziemię szeroko—daleko. Po prawicy i po lewicy ma król wiciądze swe, ojczyce ziemi. Cieszy się król.

Pierwszy to raz od tylu czasów wielki rostruchan podnosi. Bezcenne migają kamieńce, lśni złoto, gdy do ust niesie wino z za gór, z za światów. Na cześć drużyny pije. Krzyczy mu w ląd i w morze drużyna wieczną cześć.

Haw — białe morze. Pod sinym, dalekim niebem chluszcze bryzgami fal, na nizkie piaski dumne wełny wyrzuca.

Władacz wciąga nozdrzami wiater słony, w siwą dalekość morskich potoków oczy zanurza.

— Na twoją cześć, głębokie morze! Na twoją wieczną sławę, święta, jedyna, moja! — woła w płaszczyznę ziemi.

— Pieśni!— wzywa drużyna.

Wyjdzie z tłumu, gdzie czeladnicy, pachoły i posługacze wojenni, spomiędzy chorągwi chłopskich — starców kudłatych zgraja. Siwy tłum. Zasiądą wokrąg. Nastroją liry.

Śpiewają panu słowiańską, przedwieczną, wojno-pamiętną pieśń. A pieśń jasnego pana za nogi obłapia, czołem mu bije. A pieśń go woła...

Wsparł na mieczu łokieć, na pięści wielką głowę niezwyciężony. Obrócił jasne oczy na dziady grające. Słucha. Słucha, jako ta pieśń uderza w krzyk, pomstą pomstuje. Dym kłębami siwemi, ogień drżącemi jęzory wybucha z niej. Ku niemu leci, ku jego sercu z żelaza, ku piersiom szlochającym tajemnie pod kolczą zbroją, co płaczu jako żyw nie zaznały. Krzemienie proc furczą, cięciwy w pieśni tej brzęczą i brzechwy lotnych strzał świszczą. Słychać w niej płacz śmiertelny dzieciąt bezsilnych i dziewek ledwie podrosłych. Hańba z niej woła ojczyców, za siwe kudły wleczonych ze siół przez długie mosty w kajdany żelazne, w plenice.

Czarna się dymi krew, co wypłynęła bez pomsty z żył mocnych chłopów nieznanemi broniami pobitych w paliszczach, kamienną ongi ciosanych siekierą, w warownych grodach pośrodku bagien i w tynach nad słodkiemi wodami, gdy się z najeźdźcą piersią gołą o jego żelazną pierś siepali.

Wzdycha król. Ręką szarpie głownię mieczową. Krwawemi oczyma, w których ogień bucha i dym się kłębi, wodzi po ludziach. Nagle się uczta przerwie. Jeden drugiego pyta: czemuż to władacz sposępniał?

Postrzegł król ich milczenie i skinął ręką na grajki.

— Milczeć!

Porwie w lewą dłoń czarę, a prawą uściśnie jelca straszliwego koncerza. Wstaje olbrzymi. Ciało jego obleczone od stóp do głów w kolczugi sieć stalową. Kutta, koszula pancerna, lśni na ramionach, a płach jej mieni się i drży na wielkich piersiach. Stolica pod stopą żelazną trzeszczy. A w pięści zwartej sieczysty brzeszczot raz wraz szczęka.

I słowo wieszcze pada w tłum:

— Słuchajta! Wodze, namiestnicy, i wy, chorągwie! Na śmierć piję sasom, którzy na nasze ziemie przedwieczne idą. Abym ich, póki mego żywota, tym mieczem i waszym mieczem wyrąbał, zdradzieckim żegadłem wyżgał, żeleźcem grotów przebódł, garścią zemściwą pociemku wydusił. Ziemią nagłym pożarów zagonem wiecznie za niemi chodźmy, rzekami będziewa tajemnie brodzić, w morze na łodziach zbiegniemy i na wałach bezdennych pod próg uśpiony podpłyniem. Złupimy miasta i sioła, spalimy siedliszcza do ostatniej przyciesi...

Okrzyk:

— Na śmierć sasom!

— To wam zapowiadam wszem wobec: nie pozwolę grzebać trupów pobitych, gdziekolwiek niemców dopadnę — w kraju dziadoszan, czy na piaskach lutyckich. Niechaj z nich korazuny i gugelhauby, nabiodra i plechy nagolenne łupi ciura, trupy ich niechaj wilcy roznoszą po puszczach, sępy po skał grzebieniach. Niechaj nagi między zasiekami leśnemi leży pfalcgraf Burkhard i margraf Gero. Nie zazna czci, ani rozkoszy spoczynku w ziemi, która jest moja, Frydrych mąż żelazny, Widredy i graf Folkmar z dwiestą zwalonych rycerzy! Niech zgniją u wierzchu bagna w potokach krwawych i w pyle! Na wieczną rzeczy pamiątkę zostaną niepogrzebani Adelhajd, Ira, Thietmar, Doda i Ludolf. Tak rozkazuję. A ktoby się woli mojej sprzeciwił, przez Boga wiecznie żywego — biada mu!

Wołanie:

— Biada mu!

A skoro siadł, każe czeladnikom odpasać sprzączki skórzanych tłumoków i wywalić przed bracią wojenną zgarniony za Odrą łup. Sam rzuca w ciżbę głębokie czary i kruże ze złota, rogi i kielichy, sadzone parangonami bezcennej wody, dzbany z kryształu przejrzystego, jak woda, greckie amfory i szkatuły niemieckich majstrów cudnie w metalu kowane. Między srogie zastępy, w krzywoślepą hordę pieczeniagów każe nieść w darze italskie arbalety, cisowe kusze, zaciągane lewarem z żelaza, hiszpańskie tarcze i krótkie piki. Pieszym chorągwiom chłopów odzianym jeno w serdaki a czuje, w sztyki z rogami i kły, uczynione z obłupionych łbów dzików i turów, wilków i lisów, uzbrojonym jeno w oszczepy z osękami, w rogaciny, w kamienne oksze na długich styliskach, a wielkie na chłopa pawęże, szczodrze rozdaje czekany, barty i obuchy z żelaza, cepy kolczaste, smycze i arkany z surowego rzemienia. Konnym swym wojom każe nieść wielkie, obosieczne koncerze, radość serca męskiego, i cudne kopaliny z połyskliwego żelaza, miedziane nagłowne myśnice, czepki kolczate, rękawice, płachy przedsobne i zasobne pancerzów. Rotom drabów najemnych sypie bez liku, garściami, srebro i złoto denarów kupieckich. A gdy tak szczodrze król wręcza dary każdemu ze swych rycerzy, każdemu ze swych sług do ostatniego pacholęcia, słychać od czat dalekich wrzaskliwe hasło rogu. Wszystkie się oczy w tę stronę zwróciły i jako czujne ogary pomknęły w las. Oto wyszedł z brodów orszak konny pod czatowniczą strażą i ku namiotowi pańskiemu podąża. Przysłonił wódz dłonią oczy i wilcze miota spojrzenie.

Aż znagła wstał.

Ciężko po stopniach idzie z tronu.

Zmierzały wprost ku królewskiemu stołkowi wielkie rycerze niemieckie zakute w żelazo. Forgi wielobarwnych piór, jakoby obłoki na czubach krzesanic, chwiały się na wierzchołkach obłych szyszaków. Nieustraszone ślepia patrzały zuchwale z widzierów hełmowych. Każdy miał prawicę żelazną na klindze miecza, a lewicą ściskał rękojeść mizerykordji. Ze środka ich, jakgdyby z zamczystego łona zastępu, wyszedł człowiek chudy, z kaprawemi oczyma, z twarzą wykrzywioną od boleści. Nogi miał bose i nagie aż do kolan, ręce nagie aż do ramienia. A nagość jego kości kryła kapa wytarta, z nędznego sukna żałoby uszyta. Pod nią wisiały strzępy mniszego habitu. Na głowie miał czapkę biskupią, w ręku biskupią krzywulę. Ujrzawszy w oddali majestat, stanął skulony, stopa przy stopie, kolano przy kolanie. Podniósł rękę i pokazał w niej krzyż.

Wnet blada trwoga skupiła dookoła wodza drużynę. Opat-doradzca przysunął się do pańskiego boku i szepce:

— Panie!... Bacz.. Święty człowiek idzie przeciwko tobie.

— Tenże to z Myśny?

— On. Patrz, płacze.

— Czegóż płacze?

— Płaczek on boży. Kaprawy, patrz, z płakania. Bosy. Bez koszuli i bez nogawic zimie i lecie. A zamiast łoża pień ma bukowy, który był sobie wydłubał w tajemnicy przed ludźmi. A obwiedziony jest pień-łoże płotem z tarniny, żeby go kolce wyrywały ze snu. Głowę zaś, panie, układa na poduszce z badylów róży dzikiej. Za dnia, gdy nań nie patrzy nikt, wdziewa na głowę mitrę biskupią z pnia drzewnego uciosaną, na której ze wszech stron ciężkie zawiesza kamienie.

— Czemuż to czyni, powiedz?

— Żeby go, panie, biły po głowie, gdyby się o sprawach żywota ziemskiego zadumał. Patrz, wielki królu, — na tobie zbroja złocona z łusek stalowych na skórę nieprzebitą naszytych, pod stopą twoją szkarłat bezcenny. A na nim gałgan zetlały! Wiedz o tym, panie. Zanim, posłuszny woli cesarskiej, po stopniach stolicy biskupiej poszedł, gdy w puszczy, w bratnim eremie przebywał, widzieli bracia na zemdlonym od twardej pracy, że przepasany jest łańcuchem żelaznym z kolcami, który mu w biodra wrósł, a skórę brzucha przetarł i, w otwartych wieczyście ranach, gołych wnętrzności dotykał.

— Duma król. Z głębi potężnych piersi wzdycha. Aż oto woła ku biskupowi:

— Wydam ci ciała poległych w boju, jeno tu nie płacz przede mną.

Szepce opat do ucha monarchy:

— Panie, ach, panie!...

Patrzy król pod przyłbicę, w zawarte maski onego towarzyszów lwiemi oczyma. W oczy ich patrzy ze straszliwym uśmiechem, jak między żelazy goreją.

— Wydam ci ciała poległych: z chwałą je chowaj w tej ziemi.

Pomruk złowrogi w drużynie. Spinają sprzączki żupic pancernych. Mocno przypasują obojczyki i blachownice, zarękawia i fartuchy kolczate. Nizko spuszczają przyłbice, żeby ocienić lica nanośnikami. Trzask słychać mieczów i pobrzęk cięciw. Pomruk głośniejszy w drużynie. Gwar.

Schyla się biskup, podnosi krzyż i błogosławi nim króla.

Postąpił król ku biskupowi. Ujął dłoń i powiódł w pokorze bosego ku złotej zasłonie namiotu. Orszak niemiecki za królem. A gdy komornik spuścił za niemi zasłonę, rozejdzie się w obóz drużyna z gwarem złowrogim, z szeptem zemściwym. Zostali jeno na placu czterej.

Stoją w hełmiech zawartych. Jeden ma kamail na głowie, szyszak z nanośnikiem, spadającym aż do brody, drugi i trzeci mają lambrekiny frankońskie. Paiże dzierżą na lewym ramieniu. Na wielkich mieczach się wsparli. Cierpliwie stoją. Długo czekają milczący. Aż ów na czele, którego głowę okrywa olbrzymi gocki szłom, Walgierz o dłoniach potężnych, o udach z żelaza, o kolanach z miedzi, uderzy głośno mieczem w puklerz.

Raz, drugi.

Cisza.

Uderzy Walgierz powtóre z łoskotem.

Rozdzieliła się złota zasłona. Komornik.

Uderzy Walgierz Udały mieczem w puklerz potrzecie.

Rozdzieliła się złota zasłona.

Król.

Stoi między zasłonami z głową odkrytą, jasnowłosy. Ręka jego za pasem. W oczach zaduma. Patrzy ku czterem.

— Udały... — cicho wyszepta.

Milczą rycerze.

— Słuchasz, patrzysz, mierzysz ślepiami me sprawy. Wciąż mrok na twojej twarzy, a chmura na twoim czole.

— Wciąż chmura na moim sercu!

— Wciąż cię pycha na rumaku oszalałym unosi. Wciąż ci strzyga o jednym zamku dalekim szepce po nocach.

— Dusza się moja wydziera do tyńca, praojcowego dworzyszcza, do stolicy mej ziemi.

— Milcz o stolicy twej ziemi!

— Dawno, dawno już milczę. Nazbyt dawno już milczę.

— Bylebyś nigdy nie zaczął przemawiać o tym, co na wieki minęło. Goście w moim obozie...

— Dziś będę mówił.

— Nie mów dziś nic, koniądzu!

— Dziś będę mówił pierwszy raz i ostatni.

— Pilnujże dobrze głowy!

— Oto me słowo: idę ze stanu z towarzyszami. Niech słyszą niemce, że z obozu twojego wychodzę! W dziedzinę moją, w żupy wiślańskie powracam. Przed chwilą piłeś, wodzu, w dłonie nasze puhar rycerski na zgubę rodu sasów. Zaprzysięgałeś pomstę żywym i trupom. A ledwie się pokazał bosy wróż, jużeś się przeląkł haniebnie.

— Sądzisz moje uczynki. Ja wasz jedyny sędzia i wódz! Ja życia i śmierci pan!

Śmieje się hardo Walgierz Udały.

Spojrzą po sobie z żelaznych oknisk wściekłe oczy czterech rycerzy. Milczą żelazne ich usta.

Król rozkazuje:

— Zdejmijcie zbroje. Odpaszcie pasy. Złożycie na ziemi paiże, a na nich miecze i włócznie w krzyż.

Spojrzą po sobie powtóre z żelaznych jam okrutne oczy. Milczą żelazne usta. Rozkaz królewski nie spełniony.

Szarpie król pas. Porwie miecz. Klasnął w ręce. Biegnie ku niemu komorzych tłum.

Rozkazał:

— Trębić!

Zawrzasną rogi. Biegnie rycerstwo. Trzepie się ręka królewska ze stopni tronu nad głowami zuchwałej czwórcy.

Rozkazał:

— Sąd! Szarpajcie ich w sztuki mieczami! Oburącz! Walcie w zdradzieckie piersi obuchy młotów!

Rozruch i zgiełk w drużynie. A porwać za koncerz, za młot nikt nie ma siły.

Nie zadrżał Walgierz Udały i nie uchylił głowy ni jeden z towarzyszów: Mściw, ani Wydrzyoko, ni Nosal wielkoramienny. Stali czterej przeciwko wojsku.

Wokoło żelazny mur rycerskich ludzi. Na silnych koniach kiryśnicy w zbroi zupełnej. Paiże na ich ramieniu rozsiały wszechmocną zgrozę, a drzewa włóczni pod pachami — czyhają. Daleko stanęły seciny pieszych chorągwi. Jasno srebrzone pawęże, wielkie na chłopa, stworzyły równy, śmiercią błyszczący

tyn, co idzie daleko, daleko, aż do fal pienistych morza. Glewie dobyte z pochwy czeka na rozkaz, na cios. W słońcu glewie połyska. Napięte są cięciwy samostrzałów.

I rzekł w koło wojenne i w ulicę rycerską gromowym głosem Walgierz Udały:

— Drużyno polska, drużyno bojowa! Schodziłem z tobą, drużyno bojowa, ziemie saskie i ziemie lutyckie. Paliłem z tobą zamczyska i miasta. Tym oto mieczem rąbałem za dnia w boju męże w żelazo okute. Tą oto dagą przeszywałem po nocy serca śpiących. A teraz, słuchaj, drużyno bojowa, szarpie mię słowy król, który me ziemie w szpony porwał. Szarpie mię w sztuki jakoby mieczem, przeszywa uśmiechy piersi moje jakoby puinałem. Znieważa król mnie, wiślańskiego koniądza, władzcę na Tyńcu i ponad całym światem rzecznym od niezmierzonych gór po łyse góry, pana wszech puszcz jodłowych aż po mazowszańskich piasków sosny. Bije król słowem twardszym od obucha okszy w piersi Nosala z za Dunajca, Wydrzyoka z za Pilicy i Mściwa z puszczy, gdzie się poczyna w ciemnościach bożych Czarna Nida. Słuchaj mię, królu polski! Mnie wiślańskiego władacza...

— Nie słucham cię, rycerzu Udały. Nie znam twej władzy i zakazuję ci zwać się panem świata wodnego, widni świętej, przez którą biała Wisła idzie. Zakazuję ci zwać się władaczem puszcz. Obie oce moje sięgają za łyse i za niezmierzone góry, a ręce moje sięgają w dalekie morawy. Moje są dunaje — wody, bystre — głębokie, co ze śniegów się rodzą, i moje są strumienie, co z puszczy jodłowej płyną nizkiemi łąkami. Wziąłem ziemie, które swemi nazywasz, żelazną dłonią. Jam jest jedyny ich odzierżyciel. Wydarłem cię z morawskiej pięści, ja wolny i niezwalczony. A przygarnąłem cię pod mój proporzec, żebyś nie leżał u cudzego progu i żebyś chodaka krzywoślepej dziczy węgierskiej nie całował. Uczyniłem cię rycerzem polskim, pozwałem cię i powiodłem na zwycięstwa przeciwko niemcom, którzy są wrogowie na wieki wieków mego i twego plemienia. Ziemiom twym kazałem wrosnąć na wieki w moje ziemie. Siłom twym kazałem wrosnąć w moje siły, w moje ręce żelazne, w głos mego rogu, w połysk mojego pancerza. Moje siły są z waszych pancerzów i szczytów, pióra mego szyszaka wzdyma wicher waszego krzyku przed bitwą. Moje siły nie są moje i nie są wasze, jeno są nasze. A siły nasze zrosły się w naszą rzecz wiekuistą, rzecz pospolitą...

Woła zuchwale Walgierz Udały:

— Królu polski! wychodzę z twojego koła, gdyż nie chcę służyć pod twoją stannicą. Jestem ci równy i władzy twojej

już nie chcę dźwigać. Dotąd dźwigałem, a teraz nie chcę. Wracam na zamek, gdzie ojce moje od początku czasów władały. Ze mną Wydrzyoko, Nosal i Mściw. Każ mię porąbać mieczami, walić w me piersi młoty, bić w moje oczy z kusz. Nie chcę już niemców wojować pospołu z tobą, któryś jest twardy samowładca, któryś jest straszny najeźdzca, a bosego się niemców wróża boisz. Nie chcę z tobą wojować, bo mi się wojować z tobą nie podoba!

Jak grom spada z wysokości słowo królewskie:

— Znam ja cię, władco drewnianego zamczyska, hardy ojcowicu nędznej dziedziny! Widzę na wylot twe myśli. Chodziłeś pod moją sprawą i w cieniu mego proporca na sasy i na lutyckie sioła. Łakome twoje ręce czerpały moje mienie, a oczy zdradzieckie wypatrywały moc moją. A teraz chcesz moc moją w swoim zawrzeć zamczysku, za tynem ją przyczaić i przeciwko mojej pięści wykręcić. Wziąłem cię za gardziel tą pięścią, gdyś był w broni skórzanej, którą ci z turzej skóry ciura uszył, a kowal żelaznemi nabił gwoździami. Teraz odziany jesteś kolczugą z niemieckiej stali, którą z ramienia swego zwlokłem i tobiem z łaski dał. A przetnie miecz mój łuski....

— Na głowie mojej szłom pradziadów!

— A ty Mściw! Ty, Wydrzyoko! Ty, Nosal! Dałem wam miasto wilczych szłyków zbroje rycerskie. Otworzę ja te zbroje nanowo! Znam ja nienasycone wasze gardziele! Znam piersi, pełne szału kłótni, a ślepia chciwe jak u sępów!

Ponuro goreją oczy towarzyszów Walgierza. Ręce ich na głowniach mieczów, na toporzyskach złożone—czekają. Zawarte milczą usta.

GUSTAW DANIŁOWSKI.

Urodzony w Cywilsku 1871 r., studja odbywał w instytucie technologicznym w Charkowie. Wydał poemat *Na wyspie*, *Poezje* (1902). Nowele: *Nego*, *Dwa głosy*; powieści: *Z minionych dni*, *Jaskółka*.

Pociąg.

Miasto Ryszwil rosło z przerażającą szybkością.

Młodzież z pewnym niedowierzaniem słuchała, gdy starzy twierdzili, iż pamiętają doskonale, jak na tym samym miejscu świeciły słomą kryte chaty; wśród nich dymiło zaledwie parę fabrycznych kominów, a na palcach można było policzyć blaszane dachy domów, wyzierających z pomiędzy strzech, jak rzadki kwiat kanianki z żółtych łanów lnu.

Dziś kanianka pochłonęła len do szczętu.

Olbrzymie budowle rozpostarły się na wysokim brzegu, a nizkie domki i chaty znikły, lub przeniosły się na dół — hen, za rzekę. Na tym samym urwisku, gdzie rósł niegdyś las, wzniesiono kosztem miljonów pyszny dworzec kolejowy, który był dumą Ryszwilu.

Zamiast drzew wyrosły alabastrowe kolumny, na których legło kryształowe sklepienie, pokryte obficie freskami i złotem.

Pod marmurowe arkady wpadał co parę godzin zdyszany pociąg. Tu zatrzymywał się, tu też się kończył tor kolejowy— prawie na skraju urwiska, tak, iż przyjezdnym dość było przejść parę kroków, by znaleźć się obok zawiadowcy, który właśnie stał oparty o balustradę i patrzał w przestrzeń. Widok był rzeczywiście piękny.

Marmurowe płyty terasy, piętrzącej się nad wodą, różowiły się od słonecznych blasków. O dwieście stóp poniżej balustrady płynęła szeroką wstęgą rzeka, mieniąc się całą kaskadą barw — od brudnego złota do krwawej purpury. Tuż obok sterczały wyniosłe gmachy Ryszwilu, nad którym wiły się dymy i dymy — bez końca. Na przeciwległym, płaskim brzegu czerniały skupione, nizkie domki, dalej majaczył las, a nad nim konało ogromne słońce. Zawiadowca częścią patrzał w dal, częścią myślał o rozmaitych rzeczach, a także i o tym, że most i przedłużenie toru nietylko psułoby widok, ale jest zgoła

niepotrzebne, gdyż ludność dolnego wybrzeża i tak na czas do roboty zdąża. Po chwili spojrzał na zegarek, gdyż oczekiwał jeszcze jednego pociągu. Był to pociąg *extra*, którym dzieci pierwszorzędnego pensjonatu wyjechały przed świtem na majówkę o kilka stacji za miasto.

— Słońce zachodzi: powinien wkrótce być — pomyślał; poczym zaczął iść po mozajkowym chodniku w kierunku swego biura. Wpół drogi spostrzegł telegrafistę, który bez czapki biegł prosto ku niemu, niosąc w ręku papier.

— Skąd to?

— Z trzeciej stacji przed Ryszwilem — wyjąkał zdyszany telegrafista, niezwykle pomieszany i blady.

Zawiadowca jął czytać, nie mogąc zrazu zrozumieć, o co chodzi.

Telegraf brzmiał w następujący sposób:

— Zawiadowcy — Ryszwil. Pociąg z dziećmi nie zatrzymał się na stacji. Minął ją pomimo sygnałów z naszej strony. Powód dotychczas niewiadomy. Co się stało — damy znać.

— Dawno otrzymany?

— Przed kwadransem.

— Jakieś bałamuctwo — szepnął zawiadowca, poczym silnie zaniepokojony, szedł szybko ku stacji.

— No cóż tam dalej? — spytał, wchodząc do biura.

— Właśnie odbieram — odparł jeden z urzędników — i schylając się nad wązkim paskiem papieru, sylabizował powoli:

„Zawiadowcy — Ryszwil. Na piątej wiorście przed trzecią stacją znaleziono maszynistę i palacza — obaj bez życia. Spleceni w jeden kłębek. Wszelkie pozory bójki. Konduktor wyskoczył. Żadnych zgoła wyjaśnień dać nie może. Zdruzgotane ma nogi, mdleje co chwila. Pociąg pędzi sam. Druga stacja zawiadomiona" — skończył zdławionym głosem.

Nastała chwila długiego milczenia.

— Co to będzie?! — szepnął ktoś w końcu.

— Co to będzie?! — powtórzyli, jak echo wszyscy.

— Nic! — wybuchnął oprzytomniały zawiadowca. — Linja wolna, kocioł w lokomotywie tęgi — nie pęknie. Panowie ruszajcie do swoich zajęć. Ani słowa nikomu! Nie niepokoić publiczności. Ja idę po naczelnika. Telegrafuj pan tymczasem na drugą i pierwszą stację o dalsze wiadomości — zwrócił się do jednego z telegrafistów.

— Zaraz — odrzekł tenże i pochylił się nad aparatem.

Tymczasem przed stacją wszczął się hałas i ruch. Cały kwiat Ryszwilu dążył na spotkanie swych dzieci.

Na olbrzymi asfaltowy podwórzec wtłaczały się co chwila lśniące zaprzęgi najrozmaitszego rodzaju i gatunku: jechały obszerne landa, ciągnięte przez poważne perszerony. Mknęły wysokie amerykany, zaprzężone w rosłe folbluty. Zajeżdżały breki, biedki jednokonne. Dalej dreptały krótko ostrzyżone muce, wesoło pobrzękując w dzwonki i ciągnąc za sobą nizkie, dziwacznego kształtu, koszyki.

Klaskanie biczy, krzyki furmanów mieszały się z turkotem kół i parskaniem koni.

Elegancko ubrani panowie wyskakiwali pierwsi przed gankiem i wyjmowali z pojazdów strojne kobiety.

Na pustym przed chwilą peronie zrobiło się wkrótce ciasno. Mozajkowa jego posadzka, zdawało się, naraz zmieniła się w majaczną, ruchomą łąkę — pełną pstrych kwiatów. Z obłoków śnieżnej białości muślinów wykwitły obficie różnokolorowe róże, chabry niebieskie, żółte nieśmiertelniki, kwiaty ciemne w paski i kropki, kwiaty o barwach mieszanych, jak bratki. Nie brakło też drogich klejnotów — od łzawych pereł, migotliwych djamentów do purpurowych korali i krwawych rubinów.

Z jaskrawych tych kielichów wychylały się pyszne biusty, nagie ramiona, ślicznie zarysowane szyje, kształty głowy, otoczone falami najrozmaitszych odcieni włosów, z pod których błyszczały dumne czoła i nie słabiej od brylantów iskrzące się oczy. Nad wszystkim unosiły się zmieszane zapachy pachnideł, a z góry lał się potok elektrycznego światła, które podnosiło świetność tualet, potęgując zarazem białą matowość tych różnorodnych twarzy, o rysach delikatnych, przeważnie pięknych, zrzadka bezmyślnych, albo też, szczególnie u mężczyzn zawiędłych i dziwnie zmęczonych.

Podczas gdy różnobarwny tłum rozmawiał, śmiał się, wymieniał ukłony i uściski, w biurze telegraficznym stukały niezmordowanie aparaty, a z nich wysuwały się wązkie paski papieru, pełne złych wieści, które siały śród urzędników niepokój i trwogę. Niecierpliwe spojrzenia zwracały się raz wraz na wielkie drzwi zamknięte, oczekując wyższej władzy, a z nią jakiegoś rozkazu.

— Nakoniec! — rozległo się kilka szeptów.

Drzwi się rozwarły, ukazał się w nich upragniony naczelnik ruchu, a za nim zawiadowca.

— No cóż tam?! — rzekł sucho pierwszy.

— Źle, panie—odparł jeden z urzędników, wręczając mu papier.

— Nie pytam: jak? — oburknął naczelnik i czytał półgłosem: „Pociąg minął i naszą drugą stację w całym pędzie. Z pasażerów nie dostrzegliśmy nikogo; prawdopodobnie nie

wiedzą o niczym Lokomotywa, zdaje się, w porządku. Cała linja zawiadomiona. Czekamy wieści od was".

— Czego oni się śmieją! — syknął przez zęby naczelnik, zwracając się niecierpliwie w stronę peronu, skąd dolatywało przytłumione echo jakiegoś śmiechu.

Poczym, usiadszy, oparł głowę na dłoniach i siedział chwilę w milczeniu. Cały personel wpatrywał się w chmurną twarz jego, jak w tęczę, czekając, co powie.

— Papieru! — zabrzmiała krótka komenda. Cały stos kartek znalazł się w tej chwili przed nim.

Wziął z nich jedną—zamyślił się, a później pisał szybko:

— „Zawiadowcy pierwszej stacji.— Zwróćcie pilną uwagę na lokomotywę pociągu i dajcie znać, sądząc z dymu i pary, jak daleko zajść może? Z jaką mniej więcej pędzi szybkością i czy nie zwalnia biegu?"

— Telegrafuj pan natychmiast! — zwrócił się do jednego z urzędników. Urzędnik pochwycił skwapliwie kartkę, a reszta jęła się przysłuchiwać pilnie taktowi naciskanego klawisza, by w ten sposób treść depeszy pochwycić.

— Czy pan masz jaki plan działania? — zwrócił się do naczelnika, zawiadowca.

— A pan? — odparł rozdrażnionym tonem.

— Ja? Nie — brzmiała odpowiedź.

— A więc czekamy cierpliwie — szepnął i jednocześnie jął nerwowo szarpać zwichrzoną brodę.

Nastała długa chwila męczącej ciszy—tak, iż można było słyszeć dokładnie turkot wciąż jeszcze nadjeżdżających powozów i porwane zdania i wykrzykniki snującego się po peronie tłumu.

Nagle warknął dzwonek.

Wszyscy porwali się ze swych miejsc.

Naczelnik podbiegł do aparatu, pochylił się nad wysuwającym się skrawkiem papieru, a za nim cały personel.

— „Minął naszą stację—sylabizował naczelnik.—W oknach wagonów nie dostrzegliśmy nikogo. Śpią, widać, wszyscy, nie podejrzewają niebezpieczeństwa. Pary i paliwa w lokomotywie, niestety, jest dużo. Ostatnią wiorstę przebiegła w przeciągu niespełna minuty i pęd pociągu się nie zmniejsza".

— Co myślicie robić?!—skończył złamanym głosem.

Wszyscy spojrzeli po sobie i zastygli, jak stali, a białe ich twarze w błękitnym oświetleniu lamp elektrycznych wyglądały jak gipsowe maski.

— Puścić naprzeciw drugi pociąg — szepnął ktoś nieśmiało.

— Któż go poprowadzi? — odparł głos z kąta.

— Usypać nasyp — wtrącił ktoś z boku.

— Może most przerzucić przez rzekę!? — odparł drwiąco zawiadowca—to również praktyczna rada!

Zrobiło się znowu cicho. Twarze przybrały wyraz bezradnego przygnębienia, a oczy błagalnie zwróciły się w stronę naczelnika.

Ten milczał; miał twarz popielatą i wykrzywione usta. W końcu przeciągnął parę razy dłonią po czole i jęknął tonem pełnym rezygnacji:

— Żadnej tu rady niema! Chodźcie, panowie: trzeba powiedzieć im wszystko.

Co rzekszy, zabrał drżącemi palcami depeszę i szedł zgarbiony, ciężkim krokiem, a za nim wlokło się całe biuro długim szeregiem.

To nagłe zjawienie się tych smutnych postaci wywołało na peronie ogólne wzruszenie.

— Co się stało? — Cóż to za kondukt żałobny? — posypały się liczne uwagi.

A oni przeciskali się przez tłum w milczeniu, ze spuszczonemi głowami — powoli, jakby odwlekając stanowczą chwilę ujawnienia swej tajemnicy. W końcu balustrada wstrzymała ten pochód. Naczelnik, poczuwszy, że dalej iść nie można, odwrócił się, spojrzał w rozciekawione twarze strojnego tłumu, pobladł jeszcze bardziej i zaczął mówić wzruszonym głosem:

— Szanowni Ryszwilanie! — Otrzymaliśmy telegraficzne wieści, które czuję się w obowiązku zakomunikować wszystkim...

— Coś złego! — wtrącił ktoś z boku.

— Jakiś krach pewno — odezwały się liczne głosy.

— Cicho! — komenderował ktoś inny.

— Tak, cicho! — posypały się rozkazy.

Umilkli wszyscy, a on jął czytać te krótkie jak strzały, urywane zdania, które ołowiem padały na serca słuchaczy, coraz cięższe, coraz wyraźniejsze i pełniejsze grozy.

— „I pęd pociągu się nie zmniejsza..."—skończył wreszcie. Podniósł wzrok i mógł myśleć, że stoi przed gromadą trupów, przebranych w jaskrawe całuny: tak sino-blade były wszystkie twarze, białe wargi, a oczy zmętniałe, jak szkło matowe. Ostatnie szeregi nie wiedziały jeszcze, o co chodzi; czuły jednak, że zaszło coś niezwykłego i strasznego przytym.

— Co się stało? Mówcież! – zerwała się zawierucha nerwowych pytań, i w miarę odpowiedzi cichła, aż zmieniła się w śmiertelną ciszę i osłupienie. W końcu odrętwiały tłum oprzytomniał na chwilę. Wszystkie oczy wparły się w bladą twarz naczelnika, żądając od niego jakichś wyjaśnień, pociechy, ratunku.

On zaś, poczuwszy na sobie źrenice tłumu, odwrócił się i spojrzał machinalnie w rzekę.

Tysiące oczu poleciało w ślad za jego spojrzeniem — i blady strach rzucił się wszystkim na piersi. Ta wijąca się u stóp urwiska wstęga była aż nadto wyraźną odpowiedzią. Patrzyli w milczeniu w rzekę szeroko rozwartemi oczyma, okryci zimnym potem, nie mogąc wzroku oderwać od lśniącej fali, która, mrucząc złowrogo, biła spienioną piersią o płyty marmurowej terasy.

Po chwili zastygłe serca jęły się tłuc szalonym rytmem, jak ptaki w klatce, a później zerwało się kilka łkań krótkich, które zamieniły się w ogólny cichy jęk.

Ten pierwszy głos boleści niemego dotychczas tłumu zbudził z głębokiego zamyślenia stojącego na uboczu człowieka.

Człowiek ten nietylko swą prostą szarą odzieżą wyróżniał się wśród wykwintnego tłumu: twarz jego była również ciemniejsza — prawie bronzowa, jakby ogorzała od słońca, lub ściemniała od dymu; rysy miał także grubsze, mniej delikatne ale zato pełne energji i woli. Wszystko to, wraz z wyniosłą, atletyczną jego postacią, nadawało mu wśród tych przerafinowanych twarzy odrębny, pociągający urok silnego, naturalnego piękna. — Człowiek ten oddzielił się naraz od tłumu i pewnym krokiem zaczął oddalać się szybko od Ryszwilu, idąc wzdłuż szyn.

O dwa prawie kilometry od stacji wpoprzek plantu wisiał przeznaczony dla pieszych most, pod którym przechodziły pociągi.

W tym miejscu człowiek zszedł z szyn, wdrapał się szybko na nasyp i stanął na moście. — Słońca już widać nie było, tylko białe obłoki różowiły się jeszcze po brzegach; na liljowym tle nieba odcinały się twardo ciemne sylwetki słupów telegraficznych i odległe drzewa. Przed nim żółciało płótno kolejowego toru i błyszczały dwie srebrne linje szyn.

Wkrótce ostatnie blaski zorzy wieczornej zagasły. Drzewa, słupy i szyny roztapiały się kolejno w pomroce. Nastała ta krótka martwa chwila, kiedy dzień już kona, a noc jeszcze nie wstaje.

Naokół było szaro i cicho bardzo.

Po chwili porwał się senny wiatr, rozniósł zapachy pól i łąk i zemdlał w dolinie. — Lazurowe niebo przybrało kolor ciemnego błękitu i cicho wyszła letnia noc ze światłami rzewnych gwiazd.

Człowiek zrzucił czapkę, rozpiął kurtkę na piersi i pił chciwie świeże, chłodne powietrze. Chwilami oglądał się i widział wtenczas bladą smugę elektrycznego światła za sobą:

to znowu wpatrywał się badawczo w ciemną dal i nadsłuchiwał pilnie.

— Zdaje się, już? — szepnął w końcu i nozdrza mu grać zaczęły.

Rzeczywiście — w oddali zamigotały jakby dwie centki ogniste, które wzrastały powoli. Wkrótce można już było poznać, iż są to dwa wielkie reflektory zbliżającego się pociągu. Wreszcie zamajaczył komin; zawisł obłok zmieszanego z iskrami dymu; z cieniów wynurzyła się ogromna lokomotywa i, sapiąc, głucho toczyła się po szynach, jak potwór olbrzymi. W miarowym jej warku czuć było ślepą potęgę nieskrępowanego żywiołu i bezlitosną obojętność bezdusznej machiny. Za nią toczyły się niewolniczo posłuszne wagony. W pierwszym mieścił się personel uczący. — Panowała w nim martwa cisza, przerywana szelestem oddechów nauczycielek i nauczycieli, którzy pokładli się byli na ławkach w śnie ciężkim, bez marzeń i sennych widziadeł.

Na zwiędłych ich twarzach malowała się obojętność umarłych i wyczerpanie znużonych. W bladym świetle tlejącej latarni czynili wrażenie zapylonych posągów, które wiatr jakiś pozrzucał z piedestałów i pokładł pokotem.

Pomimo zaduchu, niektórzy pookrywali oblicza, jakby się czegoś wstydzili, lub lękali światła. Ci nie wiedzieli napewno: dokąd jadą i co ich czeka u kresu podróży?

A zresztą śmierć dla nich była tylko—niezbudzeniem się.

W dalszych wagonach porozmieszczane według starszeństwa jechały dzieci — chłopcy i dziewczęta — rozmaitego wieku i wzrostu.

Starsze przeważnie spały, zmęczone długą majówką i świętem, ale nie tak spokojnie, jak ich przewodnicy. Oddechy były szybsze i mniej regularne.

Niektóre chwytały się rękoma za poręcze ławek, jakby się chciały gwałtem ze snu podźwignąć; lecz po chwili opadały ich wątłe dłonie, a z piersi wydzierało się westchnienie skargi, że tak są słabe.

Na twarzach innych leżało piętno niewypowiedzianej jakiejś tęsknoty. Oczy niektórych były wpółotwarte, a tkwił w nich wyraz niezwykłego przerażenia i niemego smutku. Z pod niejednych powiek sączyły się wielkie łzy.

Na piersiach wielu leżała snadź męcząca zmora, bo się rzucały niespokojnie, chwytając zbielałemi wargami powietrze.

Inne znów miały, widać, sny cudowne i rozkoszne widzenia, bo wyciągały marzącym ruchem swe szczupłe ręce, a na spragnionych ustach zjawiał się uśmiech, w którym było więcej melancholji, niżeli radości. Wszystkich łączyły jakieś smutne

przeczucia i nieświadomy niepokój, który, zdawało się, krążył w pomroce nad tą drzemiącą gromadą.

Młodsze z tego powodu usnąć nie mogły, lecz zbijając się w pary lub małe grupki, gwarzyły cicho. Jakiś chłopczyk, siedzący na ziemi, z głową opartą na kolanach dziewczyny, prosił ją bezustanku: — Daj mi spokoju! — a usta mu drżały od tłumionego płaczu...

Ona mu wreszcie położyła swe małe dłonie na czole, pytając: — Tak dobrze?!

— Dobrze mi — odparł z twarzą pełną zachwytu.

— Dlaczego? — spytała, schylając się nad nim.

— Bo nic nie myślę! — wyszeptał, objął ją za szyję i zamknął oczy.

W drugim znów kącie, pod oknem, chłopiec blady, o niezwykle delikatnym i smutnym profilu, pokazując innym lecące tłumnie iskry, mówił:

— Skrzą się, by zgasnąć...

— A co z nich zostanie? — szepnął ktoś z boku.

— Dym — odparł i chwycił go zimny dreszcz.

I znów siedział w milczeniu, a tak był szczupły i w twarzy miał tyle cierpienia, że jedna z dziewcząt, myśląc, iż głodny, dała mu ciastko.

— Jeść nie chcę, ale mam straszny głód i pustkę tu — wskazał na piersi.

W końcu wagonu jakaś nieliczna gromadka starała się otworzyć szczelnie zamknięte drzwi.

Perlisty pot wystąpił im na skronie, a w oczach malował się olbrzymi wysiłek. — Kiedy zaś jeden z nich, poślizgnąwszy się, upadł, reszta obsiadła go wokoło i z narzekaniem:

— Jacyśmy słabi! — zaczęła płakać cichutko.

Tymczasem świece w latarniach dogasały, a w miarę ciemności wzmagał się płacz i tajemny niepokój.

Strwożone dzieci, tuląc się do siebie, szlochały coraz żałośniej.

Niezmordowane dudnienie kół głuszyło łkania, a nieubłagana lokomotywa, nakrywszy pióropuszem dymu cały pociąg, leciała wciąż naprzód, wlokąc te senne i płaczące wagony na zgubę, śmierć i zatracenie.

W miarę zbliżania się pociągu coraz większa burza zmienionych uczuć zrywała się w piersi oczekującego nań człowieka.

Myśli, szybkie jak piorun, zapalały się w mózgu.

— To wszystko pędzi — szeptał — bez steru na zagładę Ryszwilu. Rozumiał, iż żadna martwa tama nie zdoła wstrzymać szalonego biegu rozpędzonej machiny, że dość jednak świadomej sile wtargnąć do środka, by ślepych bogów pokonać.

Zapalał się do tej walki, a w miarę zapału rosły w nim siły; zdawało mu się, że głową sięga chmur, a gwiazdy mu wiszą nad czołem. Właśnie czerwony księżyc wytoczył się z za lasu, rozwidniając mrok nocy. W fantastycznym jego świetle stojący na moście samotny człowiek czynił wrażenie upiora-ducha—tak bladą miał twarz, a w oczach błyskawicę. W całej jego, pochylonej naprzód, postawie, w szybkim falowaniu piersi, we wzroku, zacięcie wlepionym w reflektory zbliżającego się pociągu — znać było, iż są to dwie wrogie potęgi, które za chwilę zmagać się będą na śmierć i życie.

W parę sekund lokomotywa była zaledwie o parę sążni od mostu.

Olbrzymie jej latarnie zalały czerwoną łuną drewniane jego wiązadła; po twarzy zaś stojącego na nim człowieka przeleciał płomień jeszcze jaskrawszy.

Szybko zbliżył się ku przeciwległej krawędzi i skurczył się w sobie, jakby gotując się do szalonego skoku.

W tej chwili komin buchnął nowym kłębem dymu i spowił nim wszystko.

Tymczasem Ryszwil przeżywał ciężkie chwile, męczące, jak noc bezsenna.

Złowróżbne wieści z błyskawiczną szybkością rozlatywały się po mieście, roznosząc jęk, płacz, trwogę i rozpacz.

W całym Ryszwilu nie było tego wieczora duszy spokojnej, bo każdy miał w pociągu część krwi, kości i serca własnego w postaci swego potomstwa. To też, pomimo tego, iż noc zapadła już głęboka, nikt jeszcze w mieście nie spał.

Ci, co się nie pomieścili na dworcu i w podwórzu, wylegli na balkony, które stały się podobnemi do kęp kwiatów — tylko że twarze tych kwiatów były dziś niemniej znużone i bolesne od dźwigających balkony karjatyd. To męczące oczekiwanie groźnej katastrofy, ta niepewność — co będzie właściwie, a jednocześnie poczucie, że zajdzie coś strasznego, doprowadzały chwilami tłum do szału.

— Niech się raz to stanie — byle prędzej.

Myśl taka drżała wtenczas we wszystkich mózgach, choć nikt jej nie śmiał głośno powtórzyć, bo mimo to, iż z matematyczną niemal pewnością można było przewidzieć, że alabastrowa balustrada nie wytrzyma pociągu, że musi runąć on w przepaść i zatonąć w rzece — przez rozpacz, przez niepokój i trwogę przeciskała się chwilami otucha i na niczym nieoparta nadzieja. Ryszwilanom nie mogło pomieścić się w głowie, by ta sama siła, która dostawiała im zboże z pól odległych, kryształ z gór, korale i perły z mórz, miała się naraz przeciw nim zwrócić i jednym zamachem zniweczyć w proch całe ich

pokolenie. A kiedy odebrane wieści, widok kończącego się tuż na skraju urwiska toru, ryk fal, plujących falą na białe marmury — rozproszyły już wszelką wątpliwość, oni jeszcze chwytali się najdziwaczniejszych środków, by widmo klęski odegnać.

Sprowadzono więc na peron wszystkich dygnitarzy miasta, — straż ogniową; rozstawiono wzdłuż toru żołnierzy.

Kobiety, z rozwiązanym włosem i obłąkanemi oczyma, zdzierały z rąk i szyi klejnoty i rzucały w rzekę, jakby ją chciały przebłagać, zasypać, lub wstydziły się, że są tak strojnie ubrane na śmierć swych dzieci.

Chwilami zrywał się zmieszany gwar pytań: dlaczego pogłębiono rzekę?! Dlaczego niema mostu na przeciwległy brzeg nizki?

Po takim paroksyzmie szału wyczerpany tłum uspakajał się na chwilę, a były to momenty wprost tragiczne.

Na peronie panowała martwa cisza. Na policzkach jednych gorzały ceglaste rumieńce, a dolne szczęki latały im, jak w febrze; inne znów twarze były blade, jak płótno, a z nieruchomych źrenic toczyły się łzy wielkie i ciche.

Elektryczne lampy zlewały na te pomęczone głowy błękitnawe potoki światła; kryształowe sklepienie skrzyło się świetnością złoceń i fresków, a wśród urywanych łkań rozlegały się rozkołysane jęki dzwonów, bijących na trwogę.

Właśnie w jednej z tych chwil, ciężkich jak konanie, jakiś starzec, co miał prawnuki w pociągu, ukląkł i na trzęsącej się głowie jął kłaść znaki krzyża.

W tej samej chwili ktoś krzyknął rozdzierającym głosem:

— Idzie! — i runął na kolana.

— Idzie! Okropny krzyk wydarł się z tysiąca piersi i płacz olbrzymi przeleciał nad tłumem i podciął wszystkim nogi.

— Ojcze nasz, któryś jest w Niebiesiech—jęczał trzęsący się starzec.

— Ojcze nasz, któryś jest w Niebiesiech — powtórzyły wśród łkań wszystkie usta i załzawione oczy wzniosły się w górę... Ale ujrzeli, miast nieba, malowidła i złoto na sklepionym krysztale. Stropił się starzec; ręce mu się zaczęły trząść jeszcze silniej i szlochając, jak dziecko, ponowił słowa modlitwy.

— Święć się imię Twoje — powtórzył tłum za nim.

— Przyjdź Królestwo Twoje — rzekł ciszej.

— Bądź Wola Twoja, jako w Niebie—wyszeptał i umilkł nagle, bo uczuł, że nigdy dotąd nie pragnął ani imienia, ani Królestwa, ani Woli Bożej na ziemi, a bluźnić nie śmiał, gdyż

w oddali migotały coraz wyraźniej złowrogie oczy zbliżającego się pociągu.

— I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy...— zaczął starzec i... chwycił się nagle za skronie. — Przebacz to kłamstwo! — jęknął i zwalił się na kamienną posadzkę.

Tłum ryczał, obłąkany rozpaczą, że się nawet modlić nie może.

Pociąg tymczasem wtaczał się pod arkady.

Nowa, okropna burza wydartego gdzieś z głębin wnętrzności jęku powaliła tłum na twarz, tak, iż z pozoru wyglądał jak łan skoszony jednym zamachem. Stało się wprost straszno; tylko dzwony w Ryszwilu szalały i głucho warczała wściekła lokomotywa, ścieląc dym na ciała powalonych.

Naraz gwizd przeraźliwy rozdarł powietrze.

Wszystkie dzwony Ryszwilu zamarły nagle.

Zahamowany silną dłonią pociąg stanął, jak wryty. A gdy opadły dymy, przed lokomotywą w krwawej łunie reflektorów ukazał się człowiek.

Szarą kurtkę miał rozpiętą na piersiach, nabrzmiałe żyły na skroniach, a w twarzy płomienie; w ręku trzymał jeszcze pokruszone szczątki alabastrowej balustrady, która gruzami swemi stworzyła przejście przez rzekę.

Jowiszowe swe oczy ogniste wlepił w przeciwległy brzeg nizki.

Tam rozpalały się jakieś złote łuny na niebie, jak gdyby słońce wracało, a z ciszy nocnej leciał nad falą spokojną drżący głos dzwonka, jak śpiew skowronków donośny, wołając wszystkim:

— Wstawajcie!

Z DZIEDZINY KRYTYKI LITERACKIEJ

MIRIAM.

Zenon Przesmycki (Miriam) urodzony w r. 1861. W r. 1887 redagował w Warszawie tygodnik literacki *Życie*, potym podróżował dużo, kilka lat w Paryżu studjował nowoczesną literaturę. Od roku 1901 wydaje w Warszawie czasopismo artystyczne: *Chimerę*. Osobno wydał w r. 1894 tom poezji p. t. *Z czary młodości;* potym rozrzucił jeszcze po czasopismach dużo oryginalnych utworów, ważniejsze są atoli jego przekłady poetów obcych (Maeterlincka, Zeyera i t. d.); zasadniczo zaś dla nowszej literatury polskiej rozprawy Miriama mają znaczenie teoretyczne.

O twórczości artystycznej.

(Z rozprawy o M. Maeterlincku. Urywek).

Każde dzieło poetyckie, a zatym i utwór dramatyczny, który autor wprost nawet poematem nazywa, winno być świątynią marzenia. Marzenie jest możliwe tylko tam, gdzie lotów wyobraźni nazbyt ściśle nie krępują granice, gdzie twórca — jak powiada w którymś z listów Krasiński — nie zamyka swego dzieła, nie dopowiada wszystkiego, lecz zostawia trochę wolnego pola duchowi czytelnika, gdzie poza obrazem właściwym, niezmierzone, związane z nim otwierają się widnokręgi, gdzie dzieło zawiera w sobie odziany w symbol szmat nieskończoności. Głąb zatym wewnętrzna, nieskończoność ukryta na dnie — oto, co, według Maeterlincka, jest, obok właściwej naturom poetyckim umiejętności ich oddania, najważniejszym z warunków i najpierwszym ze źródeł piękna poetyckiego. I jest to —

być może — zaczątek najprawdopodobniejszej i najmożliwszej do konsekwentnego przeprowadzenia definicji tego ostatniego. Po runięciu wszystkich pojęć i określeń absolutnego piękna, a wobec nieodzownej potrzeby jakiegoś kryterjum przy ocenie dzieł sztuki (bez niego bowiem wszelki sąd krytyczny byłby mniej usprawiedliwionym, empirycznym, lub też więcej umotywowanym, umiejętnym, filozoficznym zdaniem indywidualnym),— ta miara, jako najzgodniejsza ze stwierdzonym faktem wiekuistości tworów gienjuszu, lecz zarazem ciągłej ewolucji form i postaci piękna, zdaje się jedynym pryncypjum, dającym się przeciwstawić pozytywnemu i, zresztą bynajmniej kwestji nierozwiązującemu aposterjoryzmowi, i odpowiadającym jako tako na tajemnicze: dlaczego? dlaczego to jest pięknym, a tamto brzydkim? czemu tego zwiemy gienjuszem, a tamtego talentem? dlaczego stopniujemy, określając jeden utwór jako rzecz piękną, a drugi — jako arcydzieło? co tym, arcydziełami zwanym tworom gienjuszu ludzkiego, wiekuiste w świecie piękna zapewnia życie?

Posłuchajmy wynurzeń kilku mniej więcej współczesnych nam duchów, wynurzeń, dających pośrednią lub bezpośrednią na te pytania odpowiedź. Oto poważny i głęboki głos naszego Asnyka.

Tylko treść, która z całością się splata,
To czego żaden trąd nie upośledza,
Czego nie dzieli egoizmu wiedza
Od innych ogniw duchowych wszechświata,
To, co chwilowy zakres swój wyprzedza
I z dolą wszystkich pokoleń się brata,
Tylko ta wspólna źródeł samowiedza,
Co z gwiazd na gwiazdy wzlatuje skrzydlata
I wszędzie siebie znajduje świadomie,
W zmierzchach minionych i przyszłych stuleci,
W sercach spółbraci, i w światów ogromie,
I w każdym życiem drgającym atomie —
Ta jedna, z czasu wyplątana sieci,
Nieśmiertelnością poza grób wyleci.

„Uważam" — powiada Juljusz Zeyer, znakomity poeta czeski—„każdą twórczość artystyczną za zdolność do wizji i do komunikowania tych wizji otaczającym. Im w wyrazistszej komu wizji jawią się rzeczy w sobie, a więc ich rzeczywista istota i istnienie, to, czym są, a nie to tylko, czym się wydają powierzchownie zmysłom naszym, tak niedoskonałym; im bardziej wizjonerskiemi słowy, im z większą potęgą, im intensywniejszemi

światłami i cieniami kto tę swą wizję innym przed duszami wyczarować zdoła; im absolutniej kto duszami innych owładnie i w swoim kole czarodziejskim zakląć potrafi, tym większy to artysta, poeta. Głębia perspektywy — zda mi się — stanowi wielkość sztuki. Suggiestja, płynąca z przedmiotu, dopiero nadaje mu wartość."

„Gienjusz prawdziwy" — uważa Ruskin, wielki reformator estetyki angielskiej — zdradza wielkość swą już w samym sposobie traktowania rzeczy: maximum in minimis, a wielkość ta zasadza się na umiejętnym pochwyceniu charakteru specyficznego danego przedmiotu, z uwydatnieniem jednocześnie wszystkich rysów piękna, jakie posiada on wspólnie z wyższemi sferami bytu." A gdzieindziej utrzymuje, iż są dwa rodzaje poetów: „jedni czują silnie, myślą słabo i niedokładne mają o prawdzie pojęcie, — są to poeci drugorzędni; drudzy czują silnie, myślą silniej jeszcze i wzrokiem ducha obejmują prawdę ściślą, — są to wieszczowie pierwszorzędni".

„Co to jest poeta?" „To jegomość" — opowiadają figlarnym, a jednak nie odbierającym zdaniu głębokości tonem gamin'a bracia Goncourt — „który przystawia drabinę do gwiazdy i wstępuje po niej, grając na skrzypkach".

„Sztuka" roztrząsa kwestję filozoficznie; wyborny estetyk M. Guyau — nie może ograniczyć się do czystej sensacji, barwy, dźwięku i zewnętrznej strony rzeczy. Artysta, postawiwszy sobie za cel rzeczywistość, nie poprzestanie na pozornej, pospolitej jej stronie, która, bądź co bądź, nie stanowi zupełnej rzeczywistości... Pojmować i przenikać, zgłębiać przynajmniej oczyma ducha otchłań „niezgłębionego" i „niepojętego" — oto największe zadowolenie, jakie nam dać może poezja..."

„Gienjusz twórczy" — powiada mistyk Pirmez, jeden ze zwiastunów odrodzenia literatury w Belgji — „to mętne wspomnienie". Gdzieindziej żąda od poety „tej pierwotnej, boskiej namiętności, tego płodnego wykipienia, kędy dzień i noc, wchodząc jako pierwiastki, ważą nieustannie, przez swój związek tajemniczy, serca ludzkości między miłością i nienawiścią, wiarą i rozpaczą, i komunikują mu dreszcz głęboki, wiekuisty, powszechny." A jeszcze w innym miejscu twierdzi, iż „poeci, ogarniając jedną miłością przeszłość i przyszłość, rzucają światło w tę otchłań, którą zwiemy duszą ludzkości."

I dziesiątki i setki myśli podobnych przytoczyćby można. A wszystkie godzą się, iż Piękno bez tła nieskończonego, bez perspektywy gdzieś w niezmierzoność, ku gwiazdom i za gwiazdy sięgających, obyć się nie może, iż artystą, poetą, twórcą, gienjuszem jest ten, czyja wyobraźnia obie strony świata

ogarnia, kto w każdym objawie świata zewnętrznego, w każdym drgnieniu myśli czy uczucia, ten pierwiastek nieskończoności obok pierwiastku zmysłowego symbolicznie uwydatnić potrafi, kto „nieskończenie małe" efemeryczne z „nieskończenie wielkim" wiekuistym w wizję takiej jedni, jaką w rzeczywistości one przedstawiają, powiązać zdoła. Na tym polega wiekuista nieznikomość arcytworów gienjuszu, raz, dlatego, że kryją one w sobie pierwiastek niezmienny, powszechny, nieśmiertelny, ewolucyjnym meandrom świata zmysłowego nieulegający, a powtóre, że w takich dopiero przestworzach duch i wyobraźnia skrzydła orle rozwinąć może. Dzieło starzeje się w prostym stosunku do swego antimistycyzmu — wyraża to po swojemu Maeterlinck. *) Każde z szeregu nieśmiertelnych arcydzieł poetyckich, będących klejnotami skarbca ludzkości, może być potwierdzającym wywód powyższy przykładem. „Czymże są" — pyta Guyau — Rig-Veda, Bhagawad-Gita, Biblja, jeśli nie wielkiemi poematami metafizycznemi, w których ubarwiony przez wyobraźnię zewnętrzny widok natury łączy się z głęboką i smętną perspektywą na rzeczy poza obrębem świata zmysłowego stojące? „Lukrecjusz"—powiada estetyk angielski Shairp — „jest ciężkim w tych ustępach poematu swego, w których argumentuje i wykłada filozoficznie swą teorję atomistyczną, ale myśl jego nabiera polotu z chwilą, gdy — zaniedbując wykład — oddaje się pełnej zachwytu kontemplacji wielkich prądów elementarnych i tego bezgranicznego potoku życia, który przenika całokształt bytu." Królewski tron „łabędzia awońskiego" wspiera się właśnie na tych głębiach i oddaleniach, jakie umiał on odsłonić w zużytych często i zapożyczanych stąd lub zowąd tematach. Z dzieł Zoli nie giną te, w których — wbrew swej jednostronnej doktrynie — stworzył on, pod naciskiem gienjuszu, wybiegające daleko, w nieskończoność poza granice dokumentowo badanego świata zmysłowego, perspektywy. I nietylko co do literatury ma to walor. Stosuje się to jednako do każdej sztuki. Czyli-ż Beethowen, Schuman, Wagner nie zawarli w swych nieśmiertelnych utworach niezmierzonych wizji, roztrącających granice zmysłowej rzeczywistości i wdzierających się w sfery bezkreśne? A w malarstwie, przyjrzyjmy się np.— zwraca uwagę Zeyer—portretom, które wyszły z pod pędzla mistrzów. Cóż stanowi ich wielkość? Podobieństwo? poza? rysunek i modelacja bez zarzutu? Koloryt wyborny? Nie. To wszystko są także zalety gienjuszu, ale będące

*) l'Ornement des noces spirituelles du Ruysbroeck l'Admirable. Introduction, p. XIX.

dlań środkiem poniekąd, nie zaś celem. Tym ostatnim jest charakter, wewnętrzna wizja portretowanego, pochwycenie tkwiącego w nim, pod pokrywką zmysłom dostępnych szczegółów, pierwiastku transcendentalnego, otworzenia okienka do jego głębin ukrytych.

Sztuka wielka, sztuka istotna, sztuka nieśmiertelna była i jest zawsze symboliczną; ukrywa za zmysłowemi analogjami pierwiastki nieskończoności, odsłania bezgraniczne pozazmysłowe horyzonty. Ongi była taką nieświadomie, gnał ją ku temu instynkt gienjuszów; dziś — może pobudzona przykładem śmiałych pionjerów nauki, którzy, rzucając się zuchwale w otchłanie Nieznanego, jęli badać tajemnicze objawy śmierci, snów, instynktów, hipnozy, magnetyzmu, siły psychicznej (Crookes) i t. p. — stają się nią świadomie. Nowe te badania, doświadczenia i odkrycia wykazały, naprzód, wszystkich nieuprzedzonym i nie odtrącającym ich z zaciętością akademicko-oficjalnej rutyny duchom, że owa wiedza pozytywna, której olbrzymie postępy w drugiej połowie bieżącego stulecia tak rozentuzjazmowały świat cały, iż poczęto ją uważać—i słusznie, poniekąd — za otwierającą nowy okres rozwoju ludzkiego następczynię padłych w prochy wiar religijnych, idealnych metafizyk i ulatających w błękity romantyk,— jest jeszcze w pieluszkach. Jasną stało się rzeczą, że obawy poetów i estetyków, jakoby — wyjaśniając wszystko, tłumacząc wszystkie zagadki, zdzierając wszystkie zasłony — miała ona pozbawić poezję właściwych jej dziedzin nieskończoności i tajemniczości, a w następstwie i racji bytu, — są nieuzasadnione, bo całe szeregi notorycznie stwierdzonych, lecz żadną dotąd na znanych nam prawach natury opartą hipotezą nie wytłumaczonych faktów, świadczą o bezdennych snadź otchłaniach praw, jeszcze wiedzy nieznanych, odkrywają nowe bezkreśne widnokręgi w naturze i w człowieku, wskazują, że szczupłą wysepkę wiadomości naszych otacza nieskończone morze tajemnic, nie mających w sobie nic nadprzyrodzonego, ale mimo to będących tajemnicami i nie dających się dotąd podciągnąć pod stwierdzone reguły. Pojęto, iż poeci nie mają wcale potrzeby bawić się poetyckim odtwarzaniem termometrów, lokomotyw, balonów, lamp elektrycznych i t. p. (jak tego próbował np. Sully Prudhome), aby stanąć na wysokości wieku wiedzy, odrzucającej nadnaturalność, bo przed niemi rozciągają się całe przestworza zjawisk i faktów naturalnych, fizycznie stwierdzić się dających, ale nie wytłumaczonych, wyzierających z głębi jakiejś czy dali tajemniczej, bezgranicznej, w której intuicja twórcza wyobraźni poetyckiej odpowiednie do orlego skrzydeł rozmachu znajduje miejsce. Z drugiej strony, też same badania i odkrycia dowiodły

po części, że rozmaite przeczucia, przepowiednie, czary, nadnaturalności i cudowności romantyków, a zwłaszcza skrajnych mistyków romantycznych, nie są wcale czczemi widmami jedynie ich wyobraźni, lecz przeciwnie, dowodem wielkiej intuicyjnej ich potęgi w odczuwaniu faktów, które nauka dziś stwierdzać poczyna. Podciągali je oni tylko pod niewłaściwą kategorję umysłu, widząc w nich coś nadzwykłego, nadprzyrodzonego i często w dogmacie religijnym rozwiązania dla nich szukając. Zmieniwszy jedynie punkt widzenia, mistycyzm mógł i musiał dalej ciągnąć swe dzieło w literaturze, — i odrodził się też w dzisiejszym symbolizmie, który może się uważać za nowy, pierwszy po romantyzmie, rzeczywisty etap w rozwoju poezji, bo doktryna naturalistyczna, wskutek jednostronności swej, stanowi objaw reakcji jedynie, nie zaś szczebel dalszy w drabinie ewolucyjnej.

Mistycyzm dzisiejszy w sztuce stracił dawny ascetyczny, religijny, odrywający się od ziemi charakter — i stał się naukowym raczej. Pojęto, tym razem wyraźniej już, nie przeczuciowo jedynie, że nieskończoność, ku której wiekuiste, nieukojone wloką nas tęsknoty, nie kryje się gdzieś po za granicą świata zmysłowego, w niebiosach, lecz stanowi istotę wewnętrzną świata całego, człowieka każdego, zjawiska najdrobniejszego, istotę kryjącą się pod powłoką efemerycznych, przejściowych form i postaci i przezierającą niekiedy na zewnątrz w tych właśnie objawach, dla których ludzie żadnego nie mogą znaleźć wytłumaczenia. Pojęto dalej, że jeśli z jednej strony, doktryna naturalizmu, mająca na oku jedynie podległą zmysłom rzeczywistość, łudzi się, sądząc, iż dąży do „prawdy", — to z drugiej, mistycyzm, odbiegający zupełnie od świata zewnętrznego naprzód, traci również możność należytego ogarnięcia całości i osiągnięcia możliwej wszechstronności; powtóre, sam sobie odbiera zrozumiałość i dostępność, mówiąc abstrakcyjnie lub za pomocą sztucznych symbolów o tej istocie rzeczy (essence des choses), która najczęściej w ramach form zmysłowych nam się jawi i którą dogodniej byłoby obserwować w tych właśnie, chociaż niezrozumiałych nam, ale jak świetlne promienie przez szczeliny muru ograniczoności zmysłowej przenikających przejawach; po trzecie, wreszcie, zawierzając wyłącznie i zupełnie abstrakcjom, dochodzi częstokroć do próżnego fantazjowania. Zrozumiano, jednym słowem, iż, jak w życiu nie mamy możności przyjrzeć się wewnętrznej, nieskończonej świata i człowieka istocie, i musimy zadowolić się temi oślepiającemi oko przebłyskami, które rozdzierają od czasu do czasu szare tło zmysłowej rzeczywistości, tak też i w poezji można tylko w ramy rzeczywistych i odpowiednich szczegółów

zmysłowych oprawiać perspektywy nieskończoności, specjalnemi dotknięciami pędzla poetyckiego markować te ostatnie, kazać się ich domyślać duchowi zdolnego do marzenia czytelnika i tu i owdzie tylko fosforycznym błyskiem drogę ku głębiom ukrytym rozświetlać.

Razem z uświadomieniem się tych poglądów, uświadomiło się — choć bodaj że nie zostało nigdzie dotąd w stanowczych słowach sformułowane — ścisłe pojęcie symbolu. Pojęcie to kryje się na dnie przytoczonego powyżej aforyzmu Maeterlincka o różnicy między alegorją i symbolem. Glossa do tego aforyzmu tak mniej więcej brzmiećby mogła: alegorja jest z jednej strony analogją najczęściej sztuczną, a niekiedy poprostu w rzeczywistości zmysłowej istnieć nie mogącą (np. wszystkie bajki o zwierzętach mówiących lub spełniających różne czynności ludzkie) i dlatego w zewnętrznej, widomej swej części — martwą; walor ma i prawdą jest w niej tylko sens ukryty, tylko perspektywiczne podobieństwo, bez nich alegorja nie miałaby wartości; ale — z drugiej strony — to znaczenie wewnętrzne tyczy się w niej zawsze prawie powierzchownej, zmysłowej tylko strony rzeczy, i przeto Maeterlinck mówi, iż „ma ona korzenie w świetle, ale szczyt jej jest jałowym i zwiędłym", bo efemerycznym i z głębi nieskończonej nic w sobie nie mającym.

Symbol, przeciwnie, jest analogją żywą, organiczną, wewnętrzną, jest odtwarzaniem rzeczywistości, w której formy, postacie i zjawiska zmysłowe mają swój sens zwykły, powszedni dla ludzi zadawalających się powierzchnią, lecz dla szukających głębiej, kryją w swym wnętrzu otchłanie nieskończoności; zewnętrzna, widoma część symbolu musi być konkretnym obrazem ze świata zmysłom podległego, tak, aby nawet dla tych, którzy żadnej głębi szukać w niej nie będą, miała zupełnie jasne, powszednie znaczenie; „korzenie" zaś winien on „mieć w ciemności" t. j. za tym obrazem konkretnym muszą otwierać się bezkreśne widnokręgi ukrytej, nieskończonej wiekuistej, niezmiennej i niepojętej istoty rzeczy.

Poezja — reasumują, słowami Bernarda Lazare, *) tę najwięcej za sobą danych mającą teorję estetyczną — jest sztuką zamykania symbolów w jasnych zupełnie zdaniach i ukrywania tajemnic w łonie obrazów konkretnych.

*) Les quatre faces, Paris 1901, p. 4.

Poezja Jana Kasprowicza.

(Jan Kasprowicz: *Ginącemu światu*, *Miłość*, *Moja pieśń wieczorna*, *Salve Regina*).

Królewskie pieśni! Wielkie, uroczyste tony! Majestatyczne symfonje wiekuistych, nieznikomych tęsknot i pragnień duszy! Na usta cisną się słowa najradośniejszego zachwytu, najgorętszego uwielbienia na widok niesłychanej, olśniewającej, cudownej transifiguracji poety. Oto z niewolnika dotykalnej rzeczywistości, z głosiciela „szczęścia ziemskiego dla wszystkich" wołającego:

Skrzydła Ikarów, posklejane woskiem,
Rzućcie od siebie, a natomiast silną
Antejów stopę postawcie na ziemi,

urasta nam w oczach kolosalny, wyzwolony, orficzny pieśniarz najgłębszych, metafizycznych pierwiastków ducha człowieczego. Oto szlachetny, lecz z natury rzeczy powierzchowny filantrop, apostoł współczucia dla wszystkich doczesnych nędz i bólów ludzkich, przetwarza się w psalmistę bólu większego od tych przemijających, „urodzonych z nicości" płaczów i jęków, bólu wiekuistego, żrącego, lecz razem tak świętego, zabójczego, lecz razem „zapładniającego światy", bólu duszy, czującej, że nieskończoność jest jej udziałem, a szarpiącej się bezuadziejnie w więzach ograniczoności cielesnej. Oto Tyrteusz wszystkich nędzarzy, wszystkich uciemiężonych i wydziedziczonych, głoszący miłość dla nich, lecz razem — bo to jest klątwą wszelkich tyrteizmów — nienawiść dla ciemiężycieli, dla szczęśliwych i wielkich tego świata, zmienia się w arcykapłana tak wielkiej, że aż niepojętej tłumom miłości, miłości, której obca wszelka janusowość, miłości wszystko ogarniającej, „zapominającej, że jest granica między złem i dobrem", i przeto cudotwórczej, świat cały przeobrazić zdolnej. Oto trybun, wódz stronnictwa, jawi się nam jako „zapomniany człowiek na rozdrożu", ale który

skrzydłami trzepocąc,
jak ptak ten nocny,
któremu okiem kazano skrwawionym
patrzeć w blask słońca,

wejrzał w „niegłębione, nieobjęte moce", wczuł się w nieogarnioną jedność bytu, wchłonął ją niejako w siebie, i w którym

teraz jak w ognisku zbiegają się wszystkie bytu promienie. Oto bard chaotycznych, oderwanych zdarzeń i zjawisk żywota, wtórzący ich zgiełkowi potężnym jak surma, lecz jak surma też chrapliwym niekiedy głosem, wydobywa nagle z piersi śpiew stokroć potężniejszy, „długi, przeciągły jak wichru powiewy" ale przytym czysty, przezroczy, jak rozdzwoń stu tysięcy kryształowych dzwonów, wielki śpiew powszechny, nieprzemijający, na wsze czasy i kraje, w którym niepoliczone głosy bytu, zlane i sharmonizowane w duszy twórczej, w olbrzymią układają się symfonję.

Kolosalne, niewidzianej gwałtowności, i tak późne, że aż niespodziane wyzwolenie się duszy z pod tyranji zewnętrzności! Przez to jarzmo któż nie przechodził? Oddziaływanie najbliższego pierścienia zjawisk cielesnych jest tak potężne, takie dominujące, takie brutalne, że—na podobieństwo światłości słońca, przy której nie możemy dojrzeć innych słońc, setki i miljony razy od naszego większych — przysłania nam wszystkie oddale, głuszy wszystkie subtelniejsze reakcje i przeczucia ducha i, pośród nieograniczności bytu, zamyka nas w ciasnych murach wrażeń zmysłowych. Ludzie zwykli nie wychodzą nieraz przez całe życie z tego więzienia, a i poecie potrzeba dopiero — albo potężnych, świadomych cofnięć się ducha w siebie, dla wytworzenia należytej oddali, odpowiednio stosunkującej perspektywy, albo też wielkich uciszeń się nocnych, pośród których objawiają się światy nieznane; wielkich samotnych wsłuchiwań się w dalekie szumy potoku życia, aby pochwycić prymordjalne, harmonizujące wszystko tony; głębokich nurkowań w morzu zjawisk, aby dotrzeć do ich istoty i uczuć nierozerwalność mikrokosmu duszy własnej i makrokosmu wszechświata. Stosunkowa słabość i płytkość pierwszych młodzieńczych utworów, nawet u największych świata poetów, świadczy, że i oni stopniowo dopiero dochodzili do wyzwolenia dusznego, do owej Emersonowskiej potęgi marzenia, „która każdą moc poddaje twemu władaniu, która wdziera się w głąb rzeczy niezmiernie tajnych i niezmiernie skrytych, która z człowieka czyni przewodnik wszech prądów elektrycznych". Ale Kasprowicz nietylko mimowiednie, z natury istoty człowieczej, przez młodzieńczo-krótkowidzące przychylanie się ku bardziej oczywistym, najbliższym faktom materjalnym, ulegał temu jarzmu. Nie nadaremnie był nadto dziecięciem trzeźwej, praktycznej epoki, która w przeciwieństwie do niebosiężnych wzlotów romantyzmu ubóstwiła dotykalną rzeczywistość epoki odrzucającej wszystkie „Hirngespinsty", powątpiewającej o wszystkiem, co zmysłom niedostępne, podporządkującej wszystko dobrobytowi materjalnemu, epoki, dla której jedyną prawdą była

prawda doświadczalna, jedynym celem — szczęście doczesne dla wszystkich, jedyną wiarą — postęp jakiś nieokreślony i fantastyczna jakaś równość, jedyną szlachetnością—współczucie dla nędzarzy i uciśnionych materjalnie, jedynym wymaganiem od wszystkich i od wszystkiego, a więc i od poezji,—pożytek społeczny. Wstępujący w życie poeta przyjął z młodocianym zapałem wszystkie te nowe, gromko obwoływane hasła i doktryny, podał siebie i pieśń swoją na służbę światu — i skuł się jeszcze ściślej z zewnętrznością dobrowolnemi, świadomemi przekonaniami, które także umieją kneblować duszę i skrzydła jej przystrzygać. I była to — w publicystycznym życiu Kasprowicza — doba namiętności stronniczych, wystąpień nacechowanych chęcią prozelityzowania, napaści na „sztukę dla sztuki", braną lekkomyślnie, wzorem płytko myślących społeczników, za „cacko dla cacka" urągliwych odezwań się, o poetach, którzy usuwali się od swarów społecznych, jako o ostrygach egoistycznie zamykających się w swej skorupie. I był to — w twórczości poetyckiej Kasprowicza — okres krzepkich, glebą pachnących malowideł wsi i grzmiących okrzyków bojowych, szorstko namiętnych wybuchów uczucia i melodramatycznych nieco obrazków nędzy, niefortunnego adaptowania *ad usum* doktryny, najwznioślejszych tematów metafizycznych i twardego dydaktyzowania w pieśniach społecznych. Mocy w tym, a niekiedy i koloru bardzo wiele — ale życia wnętrznego nie czuć; szczerości dużo, ale głębi brak. Gdzieniegdzie tylko — i te miejsca są najlepsze, żyją po dzisiaj: — zabrzmi cichutko, jakby przypadkiem wyrywające się westchnienie czy szloch wpółurwany, głos duszy...

Bo dusza wiła się, spętana i udręczona, w swoim więzieniu, pragnąc żyć, wypowiedzieć się, urzeczywistnić swe przeznaczenie. I pod jej zapewne tajemniczym nakazem, poeta, nie zdając sobie może z tego należytej sprawy, nadał, w przełomowej chwili pisania „Miłości", drukującemu się wówczas, acz raczej do poprzedniej jeszcze epoki należącemu zbiorkowi poezji taki dla nas wymowny tytuł: „Anima lachrymans".

Ale chwila wyzwolenia już się zbliżała. Poeta, zmęczony „piekłem tego życia", zgiełkiem walk stronniczych, pełny zwątpienia o ich celowości, pełny bólu nad ich niepoliczonemi ofiarami, targany stu sprzecznościami, pożerany przez jakieś „nieznane pragnienia, zdolne rozsadzić pierś Lucyfera lub Prometeja", zapragnął ciszy — i, szukając jej na wiecznie zbawczym łonie przyrody, otworzył tej wielkiej matce bramy swojej istoty, „pozwolił prądom niebiańskim przepływać swobodnie przez swą duchowość" (Emerson). Niezmierzone, zanim się spostrzegł, rozsłoniły się przed nim widnokręgi, nieprzeczuwane

występować jęły na jaw tajniki, „apokalipsy świat przed jego okiem wnet się roztoczył, jasny, pełen cudów, o jakich przedtym nie marzył" — i dusza gwałtownie zrywać się jęła do jakichś nieśnionych dawniej lotów. Ale „śmiertelny w nieszczęśliwych tłumie wychowany człowiek, kroczący przez głuszę ciemnego żywota — czyż umie przyjąć bez lęku to, co jest przeczeniem dotychczasowego bytu?" Wszystko, co dotychczas, mocą nawyknienia czy przekonania, światem było poecie, cała cielesna ograniczoność, wszystkie ciasne altruizmy, wszystkie zdroworozsądkowe pojęcia, wszystkie widma przeszłości (bo już tylko widma pod nowemi niebami, ale zato tym zajadlejsze), czepiły się kurczowo skrzydeł wyzwalającej się duszy, chcąc ściągnąć ją z powrotem do swej ciemnicy.

I wszczęła się tragiczna walka wnętrzna, której dzieje opowiada, a raczej daje odczuć cykl poematów, noszący tytuł: „Miłość".

Niezwykła to książka, ukrywająca w sobie, podobnie jak „Faust" Goethego, dwie treści jednocześnie. Uczucie, wyrażone w tytule, fabularną i architektoniczną jedynie odgrywa w niej rolę. Mamy przed sobą szereg różnych faktów, różnych komplikacji życiowych z dziedziny miłości, ale jej istoty, jej głębin, które poeta, nieco później, z taką potęgą, z takim jasnowidztwem, odsłonił w „Salome", tutaj nie szukać. Istotnym ideowym wnętrzem jest (świadczą o tym nawet usunięte w 2-gim wydaniu, a dziwnie ironicznego nabierające dziś posmaku przedmowy do dwuch pierwszych rozdziałów) odzwierciedlenie własnej duszy poety w przełomowych chwilach jakiejś gwałtownej Umwertung aller Werte, jakiegoś zupełnego przemienienia ode dna;—a kolejne postacie, obrazy i cała epicka strona poszczególnych części poematu to tylko symbole, punkty ogniskowe, w których się zbiega wszystko, co wówczas było duszy tej treścią. Oto naprzód l'Amore desperato, rozdzierający psalm niewypowiedzianej udręki, śmiertelnego bólu nieodwołalnych rozstań z czymś, co było nam wszystkim, co okazało się złudą, co przeklinamy i błogosławimy zarazem. W przebrzaskach nowych widnokręgów rozwiały się, w grobie legły bez powrotu miraże szczęścia czysto ziemskiego. Poeta wie już, że szczęścia w nich nie było, że na błędne dzięki im zaszedł manowce, — a jednak głosem sentymentu, głosem wspomnień, głosem żalu za wszystkim, co mija, przemawiają one tak potężnie do jego cielesno-uczuciowych pierwiastków, że zdaje mu się, iż rozstania tego nie zniesie, i rozpacznie przyzywa Śmierć, „bolejących bytów, złamanych jestestw zbawicielkę." Jednocześnie wszakże, nieświadomie szukając ukojenia „pieści się formalnie" z przyrodą, jakby w przeczuciu, że w jej świętym ogniu dusza „jak drogi metal z żużli się oczyści." „Miłość—Grzech" to walenie się doktry-

nalnie ciasnych lub powierzchownych ideałów — i jak poeta tłumaczy w przedmowie, świadomość winy, że się wiarę w nie utraciło, a jak raczej wynika z przebłysków nieświadomych w samym poemacie, skrucha bolesna za grzech, że się młodą, prostą, szczerą wiośnianą duszę przemijającym zaprzedało formułkom. W „Amor vincens", po zerwaniu z dawnemi bóstwami, obłąkane miotanie się duszy, która już przeczuwa nowe cele i drogi, ale w rozbiciu swym i rozbolałości jeszcze wyraźnie dostrzec ich nie może; potym nagłe zstąpienie „Ciszy, co w jeden środek skupia władze ducha," i przeczucie jedności, jaśni wnętrznej, z której rodzą się pieśni „wonne, jak kwiat ten, który lipy wieńczy, słodkie jak miód ten, co mieszka w tym kwiacie, silnej jak napój, gdy ten miód rozcieńczy grzybek fermentu..." Aż nareszcie pękają ostatnie więzy, dusza otrząsa ostatnie strzępy ograniczności cielesnej — i w zakończającym książkę cyklu pieśni „Z gór", tej na pozór idylli miłosnej na tle tatrzańskim, stajemy olśnieni przed bezdennym misterjum ducha.

Dusza poety, oczyszczona, wyzwolona, „od bluszczów wiotsza, pnie się, płonąca cała, około pragnień drzewa, co swym wierzchołkiem ku błękitom sięga", rozpływa się jak kropla „w płynących dalach" wszystkości, a jednocześnie staje się jak gdyby ich ogniskiem: bory w niej szumią, siklawy huczą, żleby gadają odwieczne tajemnice, skały pierwotnemi, runicznemi rozdźwięczają hymnami. Wszystko wkoło ożywa, wszystko jest jej tak blizkie, bratnie, wszystko jest nią i ona wszystkim, przestwór cały i ją z nim razem wypełnia „przeszywający do szpiku kości, odwiecznych dum miarowy, pełny i rozciągły ton." Tajemnicze, prześwięte, mistyczne zaślubiny duszy poety z duszą wszechświata! Zlanie się wszystkiego takie ostateczne w jedni bezwzględnej, że nikną przeciwieństwa, różnice, że blaski dźwięczą, tony świecą, że wyodrębniająca zbytnio „szorstka ciała tkań" nieznośnym duszy wydaje się ciężarem, że pozostaje tylko uczucie nieskończonej, nieustannej wibracji świetlistej wiekuistego ruchu, niezmiennej istoty wszechbytu.

Niezwykła książka, powtórzymy o całości cyklu. Nierówna, niepewna, tu i owdzie przeładowana scholastyką lub retoryką (części II i III), gdzieindziej niepozbawiona sentymentalnej frazeologji. Przyczyniła się do tego niewątpliwie owa pozorna treść i stosowana do niej architektonika poematu. Z drugiej zaś strony, świeży rozbrat z dotychczasowemi sferami życia i jak gdyby ocknienie się duszy w zupełnie nowym świecie (które dałoby się przyrównać do nagłego, zdyszanego wynurzenia się na bezbrzeżną, słoneczną powietrzność po długim nurkowaniu pośród zwierzokrzewowych gąszczów, skaliska i ciemni

podwodnych) — nie mogły sprzyjać doskonałym, harmonijnym, jednolitym wcieleniom. Ale za to jakaż bezmierna pełnia ducha, jakie kolosalne, niesłychane jego podniesienie bije ze wspaniałej, organowej symfonji. „Przy szumie drzew" (porównałbym ją tylko z Cullen Bryant'owską Thanatopsis) i z rozsianych po całym, noszącym nazwę „W turniach" poemacie, ekstatycznych, buchających niby pióropusze białych płomieni, dytyrambów. Nie mamy czasu myśleć o szczegółach, o niedoskonałościach, odchodzimy cali drżący, pod wrażeniem, że jakiś podhorebowy czy synajski musnął nas podmuch.

Z tej strony grobu wszakże, póki „szorstka ciała tkań" obleka duszę, ekstazy takie wniebowstępne, wyzwolenia takie absolutne trwać mogą okamgnienie zaledwie — i poeta zstąpić musiał z czarodziejskiej wyżyny niewysłownych widzeń i czuć. Straszliwy był to *descensus Averni*: ze „świadomości jasnej bezkresowego bytu" na ciasne i obłędne zmysłów manowce, z harmonji wiekuistej w zamęt przemijających dążeń i zabiegów ludzkich; z wolności w więzy ciała, z nieskończenia w ograniczoność, ze światłości w mrok. Pierwsze wrażenia tak gwałtownych przełomów muszą być, z natury rzeczy, niedogłębione, ogólnikowe, chaotyczne — i takie też ich notacje znajdujemy w lirycznych częściach „Krzaka dzikiej róży". Poeta nie może się naprzód oprzeć czysto osobistym uczuciom, „w ciemności schodzi dusza moja" — woła z rozpaczą, przeklina wampira dawnych, czysto ziemskich „ideałów", który mu tak długo „ssał drogi szpik" tej duszy, wzdycha i tęskni do „rozśpiewanego, szumiącego lasu", do „rozmiłowanych, roztęsknionych" tatrzańskich cisz wieczornych, przez pamięć, że one to nadziemskie zbudziły w nim pragnienia i na błogosławiony ów zawiodły go Tabor. Potym, jakby w obawie, by niedawne wspomnienia nie ściemniły się i nie zblakły, próbuje narzucić w najogólniejszych zarysach dzieje olbrzymich wnętrznych swych metamorfoz, dzieje wędrówki ducha, co „zrzuciwszy brzemię ciał, zawisł nad przepaściami, jak blask słoneczny" i znowu, „przebywszy dziwną drogą, do ciał powrócił"; ale zdobywa się tutaj tylko na jęk, iż „na ziemię bożą wielki upadł cień", iż „w wiekowych bojach zwątlał zastęp dusz" i na wyrazy bezmiernego współczucia dla „świata nieszczęśliwego, ziemi łez, kraju pogrzebnej pieśni". Niekiedy tylko jakiś błysk nieświadomy zaznacza, że beznadziejna nędza świata nie jest losem nieszczęsnym jedynie, lecz i winą także, że za wyrzeczenie się celów wiekuistych, za „śmierć życia", życia prawdziwego, dusznego, granice ziemskości przechodzącego, za postawienie nad wszystkim, „strasznego dla duchów ogromu ciała", jakiś nowy, przerażający „dzień ów, dzień gniewu" popędzi wieki na straszny sąd. Mamy tu wszystkie zarodki późniejszych gigantycznych natchnień poety,

ale tylko zarodki, przeczucia, widma bez wyraźnych zarysów, skry świetlne wybłyskające w półzmierzchach przedstworzennego zamętu. Dopiero gdy ten uciszać się zaczął, — cały bezmiar nowej nieogarnionej, zaświatowej treści przesiąkł zwolna w świadomość zmysłową, powiązał się lub stoczył walkę z istniejącemi już tam pierwiastkami i po fermencie olbrzymim znalazł jedyne, ostateczne równoważniki myślowe, słowne i obrazowe. — I zrodziły się w pełnych już, wyrazistych, a zupełnie nowych, absolutną własnością poety będących postaciach i wcieleniach: poczucie wiekuistego rozdarcia wewnętrznego w jestestwie ludzkim, wiekuistego rozdźwięku między metafizycznemi pragnieniami jedni, nieskończenia a instynktami ciasnej przemijającej indywidualności cielesnej,— oraz poczucia tego następstwo i wyraz — Ból i Tęsknota. Ból — nie wyczerpań, nie zwątpień, nie rozkładu, lecz mocy. „co wśród smutnych idzie pól chmurnie, groźnie i stanowczo, by stracony zdobyć świat", ból, „który sam jeden wszechmocny posiada głos, który sam jeden rozpieśnia duszę słabego człowieka w natchnioną pieśń, zapładniającą światy". Tęsknota tragiczna, i „zabójcza, pożerająca" ale zarazem stanowiąca najistotniejszą cechę człowieczeństwa, „kielich goryczy, z twardej wykowany miedzi, który przemienia się w alabastrową czarę, pełną słodkiego napoju wieczności, i przepełnia swą wonią duszę biednego człowieka". Oto dno całej odtąd twórczości Kasprowicza, oto najwewnętrzniejsza treść takich, między najwyższemi arcytworami ducha ludzkiego, stanąć mogących poematów, jak, „Na wzgórzu śmierci", „Moja pieśń wieczorna" i „Salve regina", oto źródło tych innych, mniej ważkich może lub nie tak skończenie doskonałych, ale co chwila objawiennemi płomieniami rozbłyskających pieśni „Święty Boże", „Dies irae", „Salome", „Hymn św. Franciszka z Assyżu", „Judasz" i „Marja Egipcjanka".

Chronologicznie pierwszym był dramat metafizyczny „Na wzgórzu śmierci", zamykający potężnym, przejrzystym akordem zmagania się duszne w cyklu „Krzak dzikiej róży". Jakby przez ekspiację za poroniony ongi „poemat społeczno religijny" o Chrystusie, za obniżenie wiekuistych, nadziemskich Idei do poziomu doktryn przemijających, — poeta — po tym odrodzeniu i przemienieniu wnętrznym, podjął, przedewszystkim, raz jeszcze temat tragiedji golgockiej. Ale jakże inaczej zarysowuje mu się on teraz! Krzyż nie na pod-jerozolimskim „wzgórzu śmierci", lecz na niedostępnej jakiejś zda się królować wyżynie, w magicznych ciszach najwyższych Dokonań, a niby dokoła niego, lecz tak nieskończenie odeń daleko, trzy światy, lub raczej trzy stopnie świata ludzkiego, zwierciedlą w różne sposoby przełomową Ofiary chwilę. Jak gdyby jakiś olbrzymi

fresk Orcagni o czterech kondygnacjach. Najniżej, mistrzowsko uwydatniony w barwnym, rodzajowym obrazie tłuszczy, towarzyszącej boskiemu skazańcowi na miejsce kaźni, świat zmysłowy: panowanie instynktów, rozpasanie żądz, zbestwienie złości i nienawiści, królestwo bezmyślności lub obłudy, szulerska gra w liczmany, „ideałów", powoływanie się bezwstydne na wieszczów i proroków, bluźniercze przyzywanie Boga na pomoc i niejako do spółudziału w swych chuciach i nienawiściach. Nie brak i dodatnych napozór czynników: „przekonań", „wiar", „patryjotyzmów", „zdrowych rozsądków", „uczoności" chwiejnych, małostkowych „dobroci",— ale wszystko to płaskie, płytkie, przyziemne, krótkowzroczne i skutkiem tego równie do dobra, jak do zbrodni doprowadzić zdolne. Jednym słowem, poziome targowisko ludzkości, która zapomniawszy o celach wiekuistych, *propter vitam vivendi perdidit causas.*

Wyżej, ponad niemotą tego zgiełku, ponad martwotą tego życia,—świat ducha na ziemi, świat myślących, czujących, pragnących, wyrywających się poza widnokręgi zmysłowe, wzbijających się i opadających znowu, *ecclesia militans* ducha w walce z ograniczonością cielesną, świat tych nielicznych, dla których życie ziemskie jest nie celem, lecz środkiem tylko, zobrazowany w przepięknej platońskiej rozmowie dwuch filozofów, greckiego i żydowskiego. Jeszcze wyżej, nawet dla tych nielicznych wybranych, niewidzialny i tylko niekiedy w przeczuciach niejasnych wiedzieć o sobie dający, świat tajemny, świat metafizyczny, świat symbolu, jak gdyby odsłonione i w dwoistości swej upostaciowane wnętrze istoty człowieczej na ziemi, wiekuisty djalog duszy i ciała. Bo Lucyfer u Kasprowicza to nie żaden luby ckliwym satanistom literackim, groźny piękny i pięknie smutny, dumny, otwarty i pewny siebie wróg dobra, współzawodnik Boga, rodziciel buntowników twórczych, „mszcząca potęga rozumu" (forza vindice de la ragione), to raczej niewolnik, co zerwał się z uwięzi i chce panować „równy przy równym" to podstępny fałszerz, umiejący działać tylko kłamstwem i złudami jakichś pozornych, *infinis de la chair,* to nędzarz, który, kusząc nawet Chrystusa, nie ma nic do obiecania prócz marnych, przemijających bogactw i rozkoszy ziemskich, to pierwiastek ciała, materji, ograniczoności, to instynkt znikomej, doczesnej, przeciwstawiającej się nieskończeniu indywidualności człowieczej. Jest on kochankiem „duszy wygnanej z raju" t. j. duszy wcielonej, ma nad nią „nieprzemożoną władzę", bo wlewa w nią wiarę, że przy nim dopiero, t. j. w uzewnętrznieniu cielesnym, „światło dane jest jej oczom, ruchliwość jej stopom, moc jej głosowi, świeże barwy sinemu licu jej płótnu", i że w dali od niego, czyli rozstawszy się z ciałem,

byłaby „niema, ślepa, nieruchoma", zdolna tylko do straszącego żywych w miesięczne noce jęku, do błądzenia, do upadku. Nie ufa jednak sam w moc swej władzy, pyta wciąż duszy, czy w niego wierzy, a gdy ta, po spełnieniu się tragiedji golgockiej, zwątpiała, zrozpaczona mniemanym zgaśnięciem nadziei, która przed chwilą już ją wyrywała z objęć kłamliwego kochanka, rzuca się w nie napowrót, słyszemy raz jeszcze jakiś trwożny, błagalny, niepewny, czy długo potrwa to poddanie się, wykrzyk Lucyfera: „Duszo! duszo! duszo!" I finał ten otwiera perspektywę, jeśli nie na jakiś przyszły tryumf ducha, to w każdym razie na możebność i nawet pewność dalszej walki... Takie pojęcie szatana, najbardziej, nawiasem mówiąc, zbliżone do prastarych tradycji wiedzy tajemnej, musiało zbić z tropu amatorów bohatersko-pozerskiej demoniczności. Szatan Kasprowicza był dla nich niedość „strasznym" i takim pięknym, że wydała im się zbyteczną „obawa przed jego knowaniami", w które nawet „tak bardzo uwierzyć nie mogli". Ponętny on, istotnie, i uroczy, jak ponętną i uroczą jest sfera cielesno-zmysłowa z jej linjami, kształtami, barwami, światłami, tonami, aromatami, ale straszny, straszniejszy niż w jakichś specjalnych, teatralnych atrybutach grozy, właśnie dla tego, że wślizguje się niepochwytnie, że, nim się spodziać można, zmusza do kochania siebie, że skutkiem tego przykuwa do rzeczy przemijających, a zasłania oczom duszy wiekuiste. Szatan u Ropsa miażdży ironją i brutalnością, bo w dziedzinie płciowości absolutnym jest panem. W szerszej daleko koncepcji Kasprowicza bywają chwile, że szatan drży, by dusza się nie wyzwoliła, a on nie wrócił w pęty niewolnika.

Potężna i głęboka ta treść filozoficzna, znikąd niezaczerpnięta, lecz wyczuta intuicyjnie przez poetę, musiała z chwilą uwyraźnienia się ostatecznego, przybrać i kształty jedyne, doskonałe. Przedziwną jest architektonika poematu, gdzie zasadniczo różne trzy światy: widziadlany, intelektualny i realno-zmysłowy, przewijają się i splatają nieustannie, nietylko nie przeszkadzając sobie wzajemnie, lecz przeciwnie, harmonijnym wydźwiękając akordem. A każdy z nich ma jednak niesłychanie intensywny, własny ton i charakter; przeciągła żałosna psalmodja nawoływań, skarg i westchnień duszy, przeciwstawia się lapidarnemu djalogowi dwuch myślicieli; ten znowu odbija, niby czysto linjowy rysunek, od jaskrawych plam, któremi poeta odmalował zgiełkliwą tłuszczę. Ogromna prostota linji i ekonomja szczegółów, niesłychana acz szlachetnie powściągliwa potęga ekspresji, język wreszcie tęgi, soczysty, a giętki i podatny,—uzupełniają tamte cechy i składają się na jedno z naj-

bardziej nieomylnych wcieleń poetyckich — nietylko w naszej literaturze.

Dalekim echem ozwał się u Kasprowicza raz jeszcze ten sam temat dwoistości natury ludzkiej w późniejszej znacznie „Marji Egipcjance". Echo to wszakże już czysto uczuciowe: niemasz tu filozofji, niemasz symbolicznego postaciowania dwojakich pierwiastków duszy ludzkiej. Tylko „biedna, grzeszna Marya" wędruje przez świat niezmordowanie za widziadłem, za wieścią głuchą, za czymś, czego zmysły znaleźć nie mogą. I przemagają instynkta cielesne, i zapomina o swym zaświatowym pragnieniu, i oddaje się cała życiu, żądzom, rozkoszy, i znowu porywa się, oszalała tęsknicą niewysłowną, i znowu upada, i kaja się, i bluźni, i wlecze się znowu z rozpaczą i skruchą wśród nędzy i skwaru, i chwieje się tak życie całe, i nie znajduje ukojenia—aż w śmierci. Przedziwna ta, w prostocie, naiwności i gorącości swej elegja nostalgiczna przechodzi pod koniec w płomienny, wizjonerski, ekstatyczny dytyramb pragnienia metafizycznego, tak potężnego, że przemaga ono nawet reakcję cielesności, zwycięża Lucyfera i porywa go z sobą ku sferom nadzmysłowym. Ten rys ostatni w tajemniczości swojej zbiega się z inną głębią magiczną, którą poeta, w „Salome", intuicyjnie zapewne odsłonił w najdemoniczniejszym rozhukaniu cielesnej żądzy kobiecej, że, mianowicie, zdolna ona „płomiennym mieczem swej potęgi rozżec do wieczystego płomienia" duszę mężczyzny i dać jej moc „wieszczenia spraw będących ponad istnieniem".

„Święty Boże" i „Dies irae", ogłoszone wkrótce po „Wzgórzu śmierci", oraz późniejszy znacznie „Judasz", ustępują bardzo pod względem pełni, głębi i przejrzystości tamtemu arcydziełu. Może w owym wielkim fermencie nowej, zdobytej w chwilach ekstaz nadzmysłowych, jasnowidczej świadomości, z pierwiastkami dawnej świadomości zmysłowej, przemogły chwilowo te ostatnie. Albo też może poeta pod jakiemiś niefortunnemi wpływami chciał „rozlewać się na zewnątrz, zamiast skupiać i ześrodkowywać wszystko w sobie"; może, nie zadowalając się odsłonięciem dna duszy własnej, która przecież w najgłębszej swej głębi identyczna jest z duszą wszystkości, zapragnął jakiegoś bardziej objektywnego odtworzenia nędz, bólów, jęków, przerażeń całej ludzkości; może—w „Święty Boże" i „Dies irae" — nęciła go poprostu parafraza starych tych hymnów, uzupełniona i wzmocniona odczutemi potężnie stanami wnętrznemi śpiewających czy słuchających. Może nawet wszystko to działało jednocześnie, wytwarzając zamęt, niepewności, sprzeczności, powierzchowne przejścia i płytkie rozwiązania. Dość, że pieśni te, mimo porywających, rzadkiej mocy ekspresji (dla których,

zda się, „Święty Boże" i „Dies irae" przyćmiły nawet w oczach szerszych warstw czytelniczych poemat, „Na wzgórzu śmierci"), mimo błyskawicznych, objawiennych rozsłonień się ku dalom i głębiom bezdennym,—w całości są chaotyczne, mętne, pozbawione wielkich, szlachetnych linji, i zdają się brzmieć nie z owych pozazmysłowych wyżyn ducha, do których poeta już zdążył nas przyzwyczaić, ale gdzieś u poziomów, pod niższemi, ciaśniejszemi niebami.

Na szczyty, i to najwyższe, wprowadzają nas z powrotem „cudotwórcze, majestatyczne dźwięki" „Mojej pieśni wieczornej" i „Salve Regina". W ciemnych barwach, w posępnie krwawych oblaskach tonie jeszcze uroczysta pierwszej medytacja. Ale w rozmodleniu wieczornym tych samych turni, na których poeta przeżył „złoty, lazurowy, słoneczny dzień" ekstaz i uniesień najwyższych, wielkie zstępuje nań uciszenie. Jakieś dalekie, dalekie echa „przyczołgują się w duszę". Na mrocznym tle wizji, „ginącego świata", jasnemi arabeskami przewijają się tęskne, rzewne zwrotki chłopięcych lub nad kolebkami nuconych piosenek „o tej radości, o tym weselu, o tym cudownym, ukrytym zielu, które na smutek słodkie ma leki". Między wybuchy bólu, buntu, zwątpienia wplatać się zaczynają zapomniane wiary i uczucia „pokornej, cichej, nieskalanej duszy" młodzieńczej. Śmierć nie jest już przerażającym, rozhukanym kościotrupem, lecz widmową, lekką, cichą postacią, idącą „z dziedziny, gdzie miłość i spokój nie są ogniem trawiącym, ani zabójczą tęsknicą, ani kamiennym, ślepym przerażeniem". Siostra to już prawie ukochana z „Hymnu św. Franciszka", wybawicielka, przez którą człowiek staje się szczęśliwym uczestnikiem nieśmiertelnego żywota. I ból zmienia się w zbożną rezygnację, bunt—w skruchę męską. „Świat niech się kaja, lecz niechaj nie ginie". Wszystkie te głosy, niby w fudze potężnej, przebiegają różne tonacje, dościgają się i luzują wzajem, a na dnie ogólnej ich harmonji majaczy jakby przeczucie nowego głosu, jeszcze nieużytego, ale który wyraźnie brzmi już w duszy twórcy,—głosu wyzwalającej, zbawczej, zwycięskiej „Tęsknoty". — Nadziemskim, tajemnic pełnym hymnem „Salve Regina", na lutniach i harfach „naciągniętych na tony wieczyste", przesłodkim i bolesnym zarazem, tragicznym i weselnym, pogrzebnym i zmartwychwstannym, — pozdrawia poeta tę Panią świata, tę odkupicielkę, przez którą wąż, co przyniósł na ziemię śmierć i lęk i rozpacz, został podeptan na wieki, tę „druchnę bożą", wiodącą światy „niby na wielki bój, w którym się wszystko ma złamać, co było Życia wielkiego przeczeniem". Boleśnie, tragicznie brzmi pieśń, bo straszliwie człowiek łamać się musi, przemóc całą cielesność, poznać nędzę wszystkiego

na ziemi, „nędzę miłości i nędzę cierpienia", — aby wianek oliwny na skroni samotnej jego tęsknoty w promienny gwiazd przemienił się wieniec, aby kielich goryczy w jej ręku wionął wonią słodkiego napoju wieczności, aby czarny krzyż bólu na jej wątłych ramionach w skrzydła się zmienił anielskie i uniósł ją „ku blaskom, lśniącym nad nocy głębiami, ku onym dusz miljonom, o których tutaj dawno zgasła wieść". Ale gdy to się stanie — i tu poeta w weselne, tryumfalne uderza dźwięki, i wszystko tonąć zaczyna w smugach ognistego złota, w bielach liljowych, w promienistościach niebiańskich — tęsknota przestaje być samotną, indywidualną, staje się wieczystą bytu Tęsknotą, a pieśń, którą pośród miljona dusz śpiewa z białą lilją u łona,

nie o świątynne łamie się sklepienia,
ale przez pola idzie, wielkie pola,
i zmartwychwstanie zmarłym daje kościom,
i we wiosennym uśmiecha się blasku
i śnieg na łąkach roztapia
i zwiędłe trawy w świeżą stroi zieleń.

i wszystko ogarnia w jedni bezgranicznej,

i w wielkie rozlewa się morze,
wszechmocnych pełne zapomnień,
i zbawiających pożądań,
i nieodkrytych, Twórcy pełnych głębin,
i uświadomień szczęścia,
którego ludzkie nie widziało oko,
o którym ludzkie nie słyszało ucho.

Najwyższe te niematerjalne już prawie koncepcje ujawniają się u Kasprowicza w tak przejrzystych i wyrazistych wizjach, że drugi przykład podobnie nieprawdopodobnych wcieleń mógłby się znaleźć chyba w niektórych pieśniach „Raju" Dantejskiego lub w „Widzeniach" św. Teresy. O „Salve Regina" i o „Wzgórzu śmierci" studjaby całe pisać można; na tym sprawozdawczym miejscu, z konieczności do najogólniejszych uwag i zaznaczeń musieliśmy się ograniczyć.

Słów tylko jeszcze kilka o formie najzewnętrzniejszej. Kasprowicza zajmowała zawsze bardziej muzyczna strona wiersza niż plastyczna. Jest w tym nieco dziedziczności płomiennej, ale też i wyraźna skłonność osobista, skoro nie dał się pociągnąć współczesności naszej, zaniedbującej bardzo często rytm, tę, rzecby można, istotę poezji, na rzecz plastyki lub

wyrazistej ekspresji. W dawniejszych utworach korzystał przeważnie z bardziej znanych strof i całkowitych postaci poetyckich — i trudno przytoczyć jakąś, którejby nie próbował lub nie przekształcał po swojemu. W Miłości wszakże dopiero, poprzez oswobodzone od podziału na strofy rytmy kanconowe, doszedł do najlepiej, zda się, odpowiadającego mu wiersza wolnego, (vers libre) w którym rządzi już wyłącznie rytm, tak się mający do podziałów na stopy, części i t. p., jak rytm w muzyce do taktu. Tym wierszem, w cyklu „Z gór", osiągnął prawdziwe cuda — i pierwszy po Asnyku, który oddał całą plastykę Tatr, stworzył z tegoż tematu coś nowego, mianowicie, muzyczną ich transpozycję. Asnyk odtworzył ogrom, brzemię, materjalność gór naszych, Kasprowicz ich linję, ich ruch, ich darcie się czy wzbijanie w górę. Zwracamy uwagę na jeden choćby ustęp o juhasie rzucającym ze skraju krzesanicy radosny wykrzyk: o haj! Cała dusza Tatr w tym małym urywku.—Kasprowicz nie porzucił wcale regularnych form poetyckich przez niechęć do „barbarzyńskiego zabytku skostniałej poetyki klasycznej" (jak mu w banalnie nowatorskim frazesie imputował jeden z krytyków), jeżeli zaczął pisać wierszem wolnym (nie białym, jak sądził tenże krytyk), to dla tego, że on mu w danej chwili bardziej od innych odpowiadał. Nie zarzekał się jednak bynajmniej starych form, powracał do nich niejednokrotnie (w tejże „Miłości", w „Krzaku dzikiej róży"), wymagając od poezji czegoś innego niż prostego odróżnienia się od poezji poprzedników. Ostatnie swe poematy pisał czysto rytmicznym, tu i owdzie rymowanym, gdzieindziej asonansowanym, jeszcze indziej zupełnie białym, a tak bezwzględnie wolnym wierszem, że nie chciał sobie nakładać nawet jarzma obowiązkowej nienawiści do starych form i, gdzie mu było potrzeba, używał ich z całym spokojem (np. w hymnie do Boga w „Mojej pieśni wieczornej", albo nawet w całej „Marji Egipcjance"). Ważniejsza rzecz, iż modyfikował i reformował ten swój wiersz wolny—i od prostej melopei w cyklu „Z gór", i nawet w niektórych ustępach „Wzgórza śmierci", przeszedł do tego, co nazwałbym orkiestracją całości poematu. Byłby to znowu ciekawy przedmiot do szerszego rozbioru, w którym mogłoby się okazać, że hurtowne podciąganie inowacji Kasprowicza pod rozwiązujący jakoby wszystko wpływ wagneryzmu, jest — co najmniej — zdawkowym frazesem. Na razie jednak musimy się zadowolić prostym stwierdzeniem, że, po pewnych niedoskonałościach przy pierwszych krokach, tym bardziej uderza mistrzowstwo skończone w dalszych utworach, a zwłaszcza w *Salve Regina*.

IGNACY MATUSZEWSKI.

Urodzony 2 czerwca 1858 roku w Wilanowie. Kształcił się w Warszawie i na uniwersytecie lipskim. Jeden z pierwszych w Polsce zaczął się zajmować nowemi prądami w filozofji, oznaczającemi zwrot ku metafizyce i w literaturze, będącemi reakcją przeciw pozytywizmowi. Pisma: *Djabeł w poezji* (1894), *Czarnoksięstwo i medjunizm* (1896), *Swoi i obcy* (1898), *Słowacki i nowa sztuka* (1902), *Twórczość i twórcy* (1904).

O Królu Duchu Juljusza Słowackiego.

(Fragment).

Przystąpienie do skrystalizowanej akcji mistyczno-reformatorskiej przyśpieszyło tylko naturalny proces rozwoju duchowego poety, który, prędzej czy później, musiał wyśpiewać dźwięczno-barwną symfonję w rodzaju „Króla Ducha", jak Mickiewicz musiał wyrzeźbić i wymalować „Pana Tadeusza".

Przeszkodzić powstaniu tych dwuch biegunowo przeciwnych sobie arcydzieł sztuki naszej mogły tylko okoliczności zewnętrzne; w warunkach normalnych, każdy z obu poetów, o ileby nie przestał tworzyć, musiał iść po linji najmniejszego oporu i doprowadzić do zenitu dominującą potęgę swojego ducha.

Linja rozwoju artystycznego Mickiewicza wygląda prościej, był on bowiem indywidualnością, nietylko niezwykle głęboką, ale i niezwykle jednolitą i prostą. Potężne nad wyraz uczucie kojarzyło się u niego z niemniej potężną wyobraźnią plastyczną. Rozlewności muzycznej nie spotykamy u autora „Pana Tadeusza" prawie wcale. Wszystko, nie wyłączając wulkanicznych wybuchów namiętności, najfantastyczniejszych wizji, a nawet mistycznych wzlotów, przybiera formy jasne, określone, wypukłe i logiczne.

Nie mówiąc już o opisach życia i przyrody, które należą bezwątpienia do jedynych w swoim rodzaju, weźmy metafory, dotyczące najmniej materjalnych przedmiotów i uczuć, a wszędzie znajdziemy tęż samą wyrazistość i plastykę.

Oto przykład:

Snuć miłość, jak jedwabnik nić z piersi swych snuje,
Lać ją z serca, jak źródło wodę z wnętrza leje,
Rozkładać ją, jak złotą blachę, gdy się kuje
Z ziarnka złotego; siać ją, jak się zboże sieje,
Hodować ją, jak matka dziecko swe piastuje.

To przykazanie wszechmiłości wyrzeźbione, nie wyśpiewane: poeta widzi, jak się uczucie rozsnuwa, rozpływa, rozkłada, rozsiewa, rozrasta, by ogarnąć ogół i dać sercu moc wyższą, „jak moc przyrodzenia", a równą „mocy aniołów i stwórcy".

A weźmy teraz utwór zupełnie mistyczny: „Widzenie" w którym Mickiewicz opisuje wyzwolenie się duszy z więzów ciała:

Dźwięk mnie uderzył... Nagle moje ciało,
Jak ów kwiat polny, otoczony puchem,
Prysło, zerwane anioła podmuchem,
I ziarno duszy nagie pozostało.
I zdało mi się, żem się nagle zbudził
Ze snu strasznego, co mnie długo trudził.
Tak ocierałem moje przeszłe czyny,
Które wisiały przy mnie, jak łupiny
Wokoło świeżo rozkwitłego zioła.

. . . . . .

I mogłem latać po całym przestworze,
Biegać, jak promień przy boskim promieniu
Mądrości bożej; i w dziwnym widzeniu
I światłem byłem i źrenicą razem.

. . . . . .

Przeszedłem ludzkie ciała, jak przebiega
Promień przez wodę, ale nie przylega
Do żadnej kropli; wszystkie nawskroś zmaca
I wiecznie czysty przybywa i wraca,
I uczy wodę, skąd się światło leje
I słońcu mówi, co się w wodzie dzieje...

Tutaj sięga poeta po za świat widomy, lecz nie przestaje być dostępnym dla naszego wzroku; tłumaczy rzeczy nieznane i nierozumiałe przez znane i zrozumiałe, nadzmysłowe przez zmysłowe; tworzy wizję nadziemską, nie obrażając wymagań ziemskiej logiki, daje obraz nierealny w realnej i wypukłej formie i, pomimo rozlewności i podmiotowości tematu, pozostaje

od początku do końca artystą przedmiotowym, plastykiem, który i sam widzi i każe nam przedewszystkim widzieć rzeczy, nie dając się napozór ująć w kształty cielesne, a mimo to ucieleśnione.

Porównajmy analogiczny opis u Słowackiego, kiedy dusza Popiela opuszcza jego złamane ciało:

Krwawe mgły były, które ducha gniotły,
Kiedy wychodził z bolesnego ciała,
Które ból strzaskał, a węże oplotły,
Gdy ducha — gwiazda jasna wywołała.
W mgłach długie, złote, komeciane miotły
Czyniły szelest — a bezdenność grzmiała...
Duch w państwo ducha niewidzialne wchodził,
Jak gdyby ocknął się — i znów się rodził.

Ani jesienna mgła, chmurą jaskółek
Mętna, cielesnym oczom wyobrazi
Ów straszny, wielki ducha bezprzytułek,
Bezdno, które duch krwawy sobą kazi...
Ani tę chwilę, gdy do harfy pszczółek
Złotych podobna myśl brzękiem cię razi,
I odlatuje we mgły nakształt tęczy,
I gdzieś daleko jeszcze brzmi i brzęczy...

Ani tę chwilę pojmiesz odbieżany
Teraz przez cały świat, chwilę rozpaczy,
Gdy serce, jak już zegar zatrzymany,
A ból godzinę zawsze jedną znaczy.
Serdeczne ci się otwierają rany,
A myśli anioł już nic nie tłumaczy;
Z świata cię żadne nie dochodzą wieści,
Wszystko ucichło w duchu — prócz boleści...

I tutaj są obrazy, i obrazy te, rozpatrywane pojedyńczo, posiadają nawet wielką wyrazistość, suma ich jednak nie wiąże się w całość wypukłą i plastyczną, jak u Mickiewicza, nie przemawia bezpośrednio do oka, lecz rozlewa się w barwną i lśniącą harmonję dźwięków, budzących w nas jakiś mistyczny dreszcz, jakieś niejasne, a jednak silne uczucie grozy.

Nie widzimy prawie nic konkretnego, ale uczuwamy głęboko, i serdecznie wewnętrzny stan ducha, który wszedł nagle w bezdno wieczności, przerażony i samotny; dręczony „brzękiem" własnych myśli i wspomnień; dławiony bólem; niepewny

losu, jaki go czeka; oderwany od świata i wsłuchany z niepokojem w „szelest" komet, sunących po firmamencie, oraz w huk grzmotów, wstrząsających bezmiarami otchłani...

Szczegółowe zestawienie przytoczonych wyżej cytat uwydatnia doskonale różnicę pomiędzy typami twórczości obu naszych wielkich romantyków.

Mickiewicz maluje nam nadprzyrodzony byt ducha z możliwą w danym wypadku dokładnością, Słowacki uderza z olbrzymią siłą w pewne tylko struny naszej wrażliwości i otwiera pole do marzeń na temat życia zagrobowego.

U Mickiewicza widzimy wszystko co się dzieje, choć to, co się dzieje, jest cudem, u Słowackiego czujemy tylko, że się stało coś, przechodzącego granice ludzkiego pojmowania, że poeta i jego bohater przekroczyli kres ziemskiego istnienia i wprowadzają nas w jakieś niezgłębione i tajemnicze przepaści, których natura pozostanie dla nas na wieki zagadką mistyczną: Mickiewicz daje nam obraz, Słowacki budzi w nas nastrój.

Jeżeli jednak Mickiewicz stanął odrazu na właściwym dla swego gienjuszu gruncie i wskutek tego rozwijał się zupełnie normalnie, Słowacki zaczął od tworzenia rzeczy, w których nie mógł ujawnić wszystkich właściwości swojego ducha, gdyż żadna ze znanych wówczas i popularnych form poezji nie dawała do tego odpowiedniego pola.

Liryka czysta, krystalizująca w kunsztownej formie uczucia osobiste, nie wystarczała poecie, którego gienjusz domagał się szerszych lotów. To też, chociaż wiersze egotyczne autora „Testamentu" należą niewątpliwie do najcudniejszych pereł liryki nowoczesnej, stanowią one drobny tylko ułamek całego ogromu twórczości i posiadają przeważnie charakter okolicznościowy: są najczęściej owocem chwilowego podniecenia, wyrazem bólu, zachwytu, nienawiści, uwielbienia, wywołanego jakimś faktem zewnętrznym, który wyprowadził serce poety z równowagi.

Co prawda, arcydzieła poezji egotycznej zawsze i wszędzie powstawały w ten sposób i w takich warunkach, Słowacki jednak posługiwał się tą formą nie stale, lecz wyjątkowo; nie dlatego, żeby nie umiał sobie z nią radzić, ale dlatego, że ramy utworów czysto lirycznych były dla niego za ciasne, że nie mógł w nich rozwinąć swobodnie skrzydeł swojej wyobraźni, w której łonie drzemały kaskady barw, oraz korowody figur i kształtów, czekających wyzwolenia.

Zwrócił się więc poeta do istniejących form poezji objektywnej: do opowieści poetyckiej w stylu Byrona i Mickiewicza, oraz do dramatu w stylu Szekspira i stworzył kilka rzeczy bardzo wybitnych, nie będących jednak ostatnim wyrazem jego olbrzymiego talentu.

Dlaczego?

Bo i te formy były zbyt jednostronne i za mało elastyczne dla złożonego typu wyobraźni Słowackiego, który, jak wiemy, nie był plastykiem czystej wody i nie umiał nadawać swoim subjektywnym marzeniom dostatecznie wypukłych i namacalnych kształtów, ani przedmiotowego zabarwienia.

Prawda, że zdolności plastyczne, jakie autor „Mazepy" wykazuje w pierwszych swoich dramatach i poematach, mogłyby zapewnić każdemu poecie wybitne stanowisko w literaturze, ale Słowackiego nie można mierzyć miarą ogólną. Wobec tego, co zrobił później, pierwociny jego talentu, aczkolwiek nie zwykle piękne i silne, same w sobie, bledną i słabną, jeżeli je zestawimy z arcydziełami epoki dojrzałości, kiedy poeta zdał sobie sprawę z natury i wymagań swojego gienjuszu i zapanował nad właściwą sobie techniką artystyczną, jak mistrz, nie mający godnych współzawodników.

W początkach swojej działalności silił się Słowacki na sprzeczną ze swoim usposobieniem objektywność epicką.

Cały poemat „Żmija" np. składa się z szeregu opisów natury stepowej i życia kozackiego; niema tam jednak ani jednego ustępu, mogącego stanąć na równym poziomie nietylko z obrazami „Pana Tadeusza", ale choćby z tym wyjątkiem z „Ballad i Romansów" Mickiewicza:

Świteź tam jasne rozprzestrzenia łona,
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszczą oczerniona,
A gładka, jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się dobą
I zwrócisz ku wodom lice:
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą,
I dwa obaczysz księżyce.

Niepewny, czyli szklana z pod twej stopy
Pod niebo idzie równina,
Czyli też niebo swoje szklane stropy
Aż do nóg twoich ugina:

Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
Dna nie odróżnia od szczytu:
Zdajesz się wisieć w środku niebokręga,
W jakiejś otchłani błękitu.

W porównaniu z tym jasnym, prostym, logicznym, realnym a zarazem podniosłym obrazem przyrody, znany opis Czertomeliku (Żmija), chociaż niewątpliwie piękny i dźwięczny, wydaje się ubogim, pomimo większego bogactwa w szczegółach.

Piękny to widok Czertomeliku,
Sto wysp przerznęły Dniepru strumienie,
Brzoza się kąpie w każdym strumyku,
Słychać szum trzciny, słowika pienie,
A kiedy wiosną wezbrane wody,
Zaleją wszystkie wyspy dokoła,
Jeszcze nad wodą widać drzew czoła,
Jakby rusałek cudne ogrody.
Gałązkę mącą wodne błękity,
I jeszcze słowik w gałązkach śpiewa,
I szumią brzozy, lecz nad ich szczyty
Wznosi się fala i nikną drzewa,
Dziko Dniepr szumi, gdy w jego łonie
Sto wysp zielonych wiosną zatonie.

Poeta daje tu za wiele i za mało; obrazowi brak koncentracji epicznej; każdy szczegół wysuwa się naprzód, mącąc jasność ogólnej kompozycji. Widać, że Słowacki nie panował tak silnie, jak Mickiewicz, nad wrażeniami objektywnemi.

Ale za to w „Anhellim", „Beniowskim", lub w „Szwajcarji" gdzie poeta nie troszczył się o malowniczość epiczną, gdzie świat zewnętrzny odgrywał tylko rolę bodźca psychicznego, nie modelu, gdzie poeta rozlewał wrażenia przedmiotowe w muzycznych falach podmiotowego uczucia—tam tworzył opisy —jeżeli te nastrojowe obrazy opisami nazwać można—przecudowne i jedyne w swoim rodzaju.

Bo też „w Szwajcarji", „Balladyna", „Lilla Weneda", poczęści „Kordjan" i „Podróż na Wschód", następnie „Beniowski", a zwłaszcza „Król—Duch"—to utwory, w których złożona, rozlewno—plastyczna wyobraźnia Słowackiego znalazła właściwy i podatny grunt do rozwoju.

W tych dziełach jest on nietylko wielkim, ale wyjątkowym poetą, jest Słowacki par excellence pisarzem, pod którego piórem rzeczywistość zmienia się w marzenie, a marzenie przybiera pozory jakiejś eterycznej rzeczywistości; jest

artystą nawskroś podmiotowym, który snuje bogatą, lśniącą i dźwięczną przędzę snów, dalekich od życia realnego, a jednak żywych.

Im bardziej poeta dojrzewał, im swobodniej tworzył, tym więcej oddalał się od przedmiotowości, tym głębiej pogrążał się w przepastne otchłanie własnego ducha, wydobywając z nich na jaw nowe samoistne światy, pełne uroczej harmonji i oślepiającego blasku.

Wzbierająca ciągle i coraz potężniej fala twórczości szukała sobie formy, w którejby się najpełniej i najswobodniej wypowiedzieć mogła.

Słowacki próbuje dramatu szekspirowskiego „Balladyna", „Lilla Weneda"; pisze „Anhellego" prozą biblijną; później zwraca się do pokrewnego duchem Kalderona, którego „brylantowa i pełna świętości imaginacja upaja poetę". Tłumaczy więc „Księcia Niezłomnego", który—jak wyznaje w liście do matki, „połamał mu kości wewnętrzne, gdyż zawiera pioruny poezji i działa nie na nerwy, ale na samo czyste uczucie, nie melancholję, ale boleść obudza, nie rozhartowywa czytelnika, ale go czyni silnym i podobnym spokojnemu aniołowi..." W duchu kalderonowskim tworzy Słowacki „ks. Marka" i „Sen Srebrny Salomei" ale i ta forma go nie zadawalnia. Przekłada „dla rozprawy" parę ustępów z Homera i wreszcie zatrzymuje się na typie poematu stroficznego, w którym względnie najłatwiej osiągnąć syntezę pierwiastków liryczno—muzycznych z epiczno-plastycznemi na wielką skalę i tworzy—„Króla—Ducha".

Don Kichot i Robinson.

Słów kilka w obronie szlachetnego rycerza z La Manchy.

Przed paru laty, w epoce wojny Hiszpanji z Ameryką, p. Straszewicz ogłosił artykuł p. t. „Dwa typy—dwie idee". W artykule tym autor, uosobiwszy Amerykę i Hiszpanję w nieśmiertelnych typach literackich, Robinsona i Don Kichota, dochodzi do wniosku, że pierwszy przewyższa drugiego niesłychanie pod względem moralnym i winien być niejako uznany za ideał człowieka prawdziwie społecznego.

Dlaczego?

Bo Robinson był obserwatorem, Don Kichot marzycielem; Robinson był zdrowy, Don Kichot chory; pierwszy pracował i mnożył swoje siły, drugi wyczerpywał je bez pożytku; pierwszy miał żelazną wolę, drugi kaprysy warjata.

„A teraz—powiada autor—wyobraźmy sobie, że na drodze Don Kichota stanął Robinson. Don Kichot w łatanej bibułą

zbroi, na wynędzniałej szkapie, wycieńczony warjactwami, zdenerwowany romansami, zdemoralizowany wizjami, myślący o sławie i podboju fantastycznych królestw, a naprzeciwko—wytrwały, rozważny Robinson, z ciałem i duchem zahartowanym w twardych mozołach. Czy może być spór, kto zwycięży: Don Kichot, czy Robinson?"

O to sporu być nie może, ale czy zawsze i wszędzie zwycięstwo jest synonimem szlachetności i chwały, oraz tytułem do sympatji?

Przecież zwycięstwo Niemców nad Francuzami, chociaż usprawiedliwione logicznie, zrobiło tryumfatorów antypatyczniejszemi, niż byli, i to nietylko u nas, lecz i w całej Europie.

Przykładów podobnych, w drobnym i w wielkim stylu, możnaby znaleźć mnóstwo.

Nieraz porażka więcej nawet podnosiła jednostki i narody, niż zwycięstwo.

A ci, co zginęli pod Termopilami? A wielu, wielu innych, wciągniętych do żałobnej listy dziejów z krótkim, ale wymownym dopiskiem: *Gloria victis!*

Nie myślimy ujmować się za Hiszpanją, która odebrała zasłużone cięgi, ale czy mamy prawo porównywać dzisiejszą, a nawet historyczną Hiszpanję do Don Kichota? Sądzimy, że nie.

To, że Don Kichot powstał na ziemi hiszpańskiej, niczego nie dowodzi.

Przecież grunt angielski wydał nietylko Robinsona, lecz i bladego Hamleta o nadczułych nerwach i złamanej, przez nadmiar rozumowania, woli. Dlaczegoż autor nie obrał go sobie za typ rasy anglo saskiej? Wszak Hamlet jest równie popularny, jak i Robinson?

Dlaczego? Dlatego zapewne, że Hamlet to typ na wielu punktach pokrewny Don Kichotowi, tylko traktowany nie humorystycznie, lecz tragicznie. Zróbmy Hamleta bohaterem komedji, a będzie z niego Don Kichot, włóżmy Don Kichotowi koturny i maskę tragiczną, a przeobrazi się w Hamleta.

Obaj przecież wzdychają do czynów, obaj chcą doprowadzić świat do „normy", obaj są „rycerzami prawdy" i „sprawiedliwości" i obaj nie robią nic, albo prawie nic pozytywnego, jeden bowiem rąbie worki z winem i zakłuwa barany, drugi zaś w chwili uniesienia przebija „kapitalne cielę"— Poloniusza.

Zresztą, obok melancholika biernego, Hamleta, wydała literatura angielska kilku melancholików czynnych, a zwłaszcza bajronowskiego Kaina i Manfreda, którego Taine uznał właśnie za typowego przedstawiciela rasy anglo-saskiej.

Mimo to wszystko, autor artykułu „Dwa typy—dwie idee" —wybrał sobie Robinsona, gdyż, pisząc artykuł publicystyczny, troszczył się nie o ścisłość krytyczno-literacką, lecz o efekt, o obraz uzmysławiający dobitnie i jaskrawo jeden z punktów programu, który od lat kilku propaguje.

Zresztą na usprawiedliwienie wyboru można przytoczyć jako argument, że wielkie typy bajronowskie i szekspirowskie, jako wytwory gienjuszów, zawierają, prócz cech czysto angielskich, i znamiona ogólno ludzkie, a wskutek tego wybiegają daleko po za granice danego narodu, stając się reprezentantami człowieczeństwa, gdy Robinson jest tylko wierną i dokładną kopją anglika średniej klasy, odtworzoną z talentem, ale nie ożywioną tchnieniem wyższych aspiracji i, wskutek tego, bliższą przeciętnego poziomu rasy.

Jeżeli jednak autor miał do pewnego stopnia prawo zrobić Robinsona reprezentantem Ameryki, to stanowczo zbłądził, wybierając Don Kichota na przedstawiciela Hiszpanji. Cervantesowski bohater jest czymś więcej, niżeli Hiszpanem i, podobnie jak Manfred, Kain, Hamlet, Faust etc., należy do nielicznej galerji typów o wszechludzkim, nie rasowym tylko, podkładzie psychologicznym.

Takie typy istnieją wszędzie i wszędzie są rozumiane. Don Kichotów spotykamy w każdym społeczeństwie, Robinsonów tylko w angielskim. Francuz, Włoch i Hiszpan, znalazszy się na bezludnej wyspie, możeby się ratował od śmierci głodowej w sposób analogiczny, ale z pewnością przechodziłby przez inne zupełnie ewolucje duchowe. Nie należy bowiem zapominać, iż Robinson jest nietylko anglikiem lecz przedewszystkim anglikiem i protestantem, wychowanym na Biblji, oraz na „Common Prayer Book'u".

To specyficzne zabarwienie czyni z energicznego rozbitka typ narodowy, czego nie można powiedzieć o Don Kichocie, którego psychologja ogarnia szersze, nie wyłącznie iberyjskie horyzonty. Otóż figury pojętej tak ciasno, jak Robinson, nie można zestawiać z typem, mającym dzisiaj, wbrew może przewidywaniom poety, znaczenie ogólno-ludzkiego symbolu.

Typami prawdziwie hiszpańskiemi w historji byli: krwawy Arbuez, zuchwały Kortez i Pizarro, ponury i ambitny król Filip II, okrutny książę Alba.

W literaturze, Hiszpanami nawskroś są bohaterowie Calderona, Lope de Vegi, Tirso de Moliny, ale nigdy Cervantesa, a przenigdy Don Kichot.

Charakterystyczne cechy herosów hiszpańskich stanowią: bezwzględność, ponurość, okrucieństwo i fanatyzm, oraz duma, połączona z nadzwyczajną drażliwością na wszystko, co dotyczy t. zw. „punktu honoru".

Cechy te na podkładzie wyjątkowo szlachetnym wytwarzają świętych rycerzy wiary, jak „Książę Niezłomny"; w połączeniu zaś z egoizmem i zmysłowością, dają „Don Juana", nie tego jednak, którego skosmopolityzował Molière i Mozart, lecz owego pierwotnego, z legiend i dramatów hiszpańskich, fanatyka na wywrót, nie uznającego żadnych praw, prócz własnego kaprysu, odważnego aż do zuchwalstwa, samolubnego aż do okrucieństwa, i żyjącego tylko chwilą bieżącą, bez troski o jutro, a tym bardziej o pojutrze.

Pomiędzy temi dwoma krańcami leży cały szereg typów mniej fantastycznych, ale niemniej hiszpańskich.

Czy to będzie „Lekarz własnego honoru", zabijający niewinną a ukochaną żonę, żeby zetrzeć ze swojej czci pozorne plamy, czy „Alkad z Zalamei", wieszający samowolnie oficera, który uwiódł mu córkę, i otrzymujący za to przebaczenie, a nawet pochwałę królewską, czy Eusebio „La devocion de la Cruz", popełniający wszystkie możliwe zbrodnie w przekonaniu, że mu to będzie wybaczone ze względu na codzienne modły do Krzyża—wszystkie te hiszpańskie nawskroś figury w niczym nie przypominają Don Kichota.

Wśród nich należało szukać antytezy Robinsona.

Don Kichot jest wprawdzie egzaltowany, jak oni, to prawda, ale w gruncie poczciwy i dobroduszny; jest dumny, ale nie pogardza ludźmi; jest honorowy, ale nie mściwy; odważny, ale nie okrutny; pobożny, ale nie fanatyk; poważny, ale nie ponury; fantastyk, ale na tle idealistyczno-etycznym; marzyciel, ale umiejący w chwilach spokoju mówić bardzo rozsądnie, a nawet dawać bliźnim rady praktyczne; żądny sławy, ale litościwy i dobroczynny względem wszystkich... Czyż te właściwości zgadzają się z charakterystyką, nakreśloną przez autora „Dwóch typów".

Gdyby Don Kichot był takim, jak chce autor, to musiałby budzić wstręt lub pogardę, a tymczasem dzieje się przeciwnie: zacnego hidalga kochają i szanują wszyscy bez wyjątku, nawet ci, którzy nie podzielają jego mrzonek.

Przecież właściwym nazwiskiem Don Kichota było: Alonzo Quijano z przydomkiem: dobry!...

Kocha go Sancho, chociaż niejednokrotnie dostał przez niego kije; kocha go siostrzenica i gospodyni, które opuścił, idąc w świat szukać przygód; kocha go ksiądz proboszcz i bakałarz, i balwierz nawet, który z najlepszą wiarą i wolą przyśpiesza śmierć chorego rycerza, puszczając mu „ośm talerzy krwi".

Co najważniejsza jednak, że kocha go—czytelnik.

Za co? Za jego dobroć, szlachetność, bezinteresowność,

marzycielstwo, naiwność i czystość moralną, oraz za jego — niedolę.

Nie wiem, czy oddał kto piękniej od Heinego uczucia, które budzi uważne i bezstronne przeczytanie „Don Kichota": „W naiwności dziecięcej brałem wszystko za dobrą monetę, sądząc, że wszelkie kaprysy losu, który prześladował bohatera, należą do porządku rzeczy. Drwinki i szyderstwa stanowią przecież tak samo istotną część heroizmu, jak rany cielesne — te mnie martwiły, tamte budziły współczucie. Byłem dzieckiem i nie znałem jeszcze ironji, którą Bóg stworzył współcześnie ze światem, a którą wielki poeta naśladował w swoim małym drukowanym światku; wylewałem więc łzy, czytając, jak szlachetnemu rycerzowi płacono niewdzięcznością i batami...

„Czujemy, że chociaż lew niepochopny do walki, odwraca się do Don Kichota tyłem, bohaterska odwaga rycerza zasługuje na podziw niemniejszy; że czyny jego tym wyżej cenić należy, im słabsze i suchsze było jego ciało, im wątlejszą zbroja, co go chroniła, im nikczemniejszą szkapa, co go niosła...

„Gardzimy nizkim tłumem, który obchodził się z bohaterem brutalnie, ale większą jeszcze pogardę budzi tłum wyższy, odziany w barwne płaszcze jedwabne, umiejący pięknie mówić i ozdobiony tytułami książęcemi, a drwiący mimo to z rycerza, wyższego o całe niebo od szyderców i umysłem i sercem.

„Kochanek Dulcynei rósł w moich oczach w miarę zagłębiania się w książkę—i nigdy nie zapomnę dnia, kiedym doszedł do opisu smutnego pojedynku, w którym zwyciężono Don Kichota. Serce mi pękało prawie, gdym przeczytał, jak szlachetny rycerz, leżąc na ziemi, ogłuszony i zmiażdżony, i nie podnosząc przyłbicy, przemówił, jakby z głębi grobu, słabym, zbolałym głosem, do zwycięzcy: „Dulcynea jest najpiękniejszą kobietą na świecie, a ja najnieszczęśliwszym rycerzem na ziemi; ale nie mogę dopuścić, by słabość moja zaprzeczyła prawdzie; pchnij w moją pierś bez zwłoki kopją, rycerzu!"

„Ach, ten rycerz srebrnego księżyca, ten błyszczący przeciwnik, który zwyciężył najszlachetniejszego i najodważnieszego człowieka na świecie, był przebranym cyrulikiem, czy bakałarzem".

Czyż to nie prawdziwa tragiedja!... Prawdziwa nietylko poetycznie, lecz i życiowo.

Małoż to idealistów pada pod „życzliwemi" ciosami trzeźwych cyrulików, lub bakałarzy, których drażni wysoki nastrój aspiracji i niecodzienność postępków?

Ba, gdyby się Don Kichotom powodziło w życiu i przed-

sięwzięciach, i cyrulicy, i bakałarze, ludzie w gruncie rzeczy nienajgorsi, pierwsiby im hołd złożyli. Ale cóż, kiedy klątwą każdego Don Kichota jest właśnie rozdźwięk pomiędzy potęgą i szlachetnością pobudek, a mizernością i śmiesznością wykonania zamierzonego czynu...

Czyż jednak miarą wartości moralnej jednostki jest powodzenie, czy motywy działania? Można potępić dany postępek ze stanowiska utylitaryzmu, a mimo to zachwycać się nim, jako faktem wysoce etycznym; można błądzić objektywnie, a być bohaterem subjektywnie; można nie umieć, albo nie móc działać, ale umieć chcieć dobrze i szlachetnie, a i to znaczy niemało.

Wszelkie szlachetne aspiracje, o ile są szczere i głębokie, oddziaływają zawsze dodatnio na ogół, choćby nawet nie były wcale urzeczywistnione, a nawet gdyby je urzeczywistniono fałszywie.

Czyż bezowocna, jak dotąd, działalność ligi pokoju nie stoi stokroć wyżej moralnie od bardzo bogatej w skutki realne działalności księcia Bismarcka? A jednak niezbyt dawno jeszcze drwiono ze zwolenników „pokoju wiecznego", jako z Don Kichotów!

Jakaż idea zresztą, czy to etyczna, czy naukowa, lub społeczna, nie przechodziła i nie przechodzi, co czas pewien, przez fazę „donkiszoterji?"

Donkiszoterja—to pewne stadjum każdej myśli, każdej reformy, każdego odkrycia, czy ulepszenia, każdego programu, każdej walki o prawdę i sprawiedliwość. Zawsze musi ktoś zwrócić na coś uwagę, pomylić się raz i drugi, narazić na drwiny, lub kije, walczyć z wiatrakami przesądów, z baranami rutyny, oraz ze złą wolą, obojętnością i bezmyślnym szyderstwem wielkich mas.

I powtarza się to zarówno przy nowych, jak i przy starych, ale nie zrealizowanych dotychczas i nie dających się nigdy zrealizować w zupełności ideach.

Ludzkość nietylko z trudem przyswaja sobie nowe zdobycze myśli i ducha, lecz bardzo łatwo zapomina o dawnych, pomimo, a może właśnie dlatego, że są doskonałe.

Któż nie wie, że powinien być dobrym, wyrozumiałym, sprawiedliwym i łagodnym względem nizkich i słabych, a pełnym godności w stosunkach z wyższemi od siebie—a kto stara się postępować w ten sposób?

Kto nie rozumie, że należy walczyć ze złem, obłudą, kłamstwem, samolubstwem, wyzyskiem, niesprawiedliwością? — a kto się na podobną walkę narazi, wiedząc, że najczęściej pozostanie osamotniony i opuszczony, jeżeli nie zdradzony, przez tych, na których pomoc najwięcej liczył?

A jeżeli znajdzie się człowiek, który, nie troszcząc się o względy i rezultaty praktyczne, nierówną walkę podejmie, będzie nazwany—Don Kichotem.

I słusznie. Należy pamiętać jednak, że owo pogardliwe napozór miano jest naprawdę—zaszczytnym.

Don Kichot bowiem—to nietylko obijany i wydrwiwany przez rzeczywistość marzyciel, lecz zarazem symbol najszlachetniejszych wysiłków i aspiracji, tłumionych ciągle przez codzienny bieg życia, a jednak niezbędnych dla rozwoju duchowego ludzkości.

Człowiek, który nigdy w życiu nie walczył, a przynajmniej nie marzył o walce z wiatrakami—może zrobić wiele dla siebie samego, ale z pewnością nie przysporzy ani odrobiny szczęścia innym, nie narazi swoich interesów dla dobra ogółu, nie podniesie temperatury uczuć swego otoczenia...

Zapewne, że społeczeństwo złożone z samych Don Kichotów, musiałoby umrzeć z głodu; za to społeczeństwo, złożone z samych Robinsonów, mogłoby, przy sprzyjających warunkach, zatonąć po uszy w materjalizmie praktycznym...

Nie zapominajmy, że Robinson stał się tym, czym jest, tylko dzięki swemu osamotnieniu na wyspie bezludnej, że tylko konieczność wydobyła z niego owe zasoby duchowe, które nas w podziw wprawiają.

Przedtym był to sobie dość zwykły awanturnik, potym przyzwoity „obywatel" kraju. Gdyby nie rozbicie okrętu, możeby został równie przyzwoitym plantatorem kawy, a może i handlarzem niewolników—przecież to w owej epoce nie uchodziło za zbrodnię!

Co do Don Kichota, rzecz się ma odwrotnie. O ile Robinson przystosowuje się tylko do warunków i okoliczności, nie pragnąc sięgnąć wyżej i dalej, o tyle Don Kichot wybiega ciągle, i sercem, i wyobraźnią po za ich granice. Gdyby urodził się w innej epoce, nie byłby pewno śmiesznym, znalazłby bowiem możność zużytkowania olbrzymich skarbów swego szlachetnego entuzjamu w sposób praktyczny; ponieważ jednak los postawił go wśród nieodpowiedniego otoczenia, biedny marzyciel popełnia jedno głupstwo za drugim.

Błędy to jednak przedmiotowe, nie podmiotowe. Don Kichot zawsze jest sam z sobą w porządku, i, czy to uwalniając galerników, czy rozbijając marjonetki ojca Piotra, przekonany jest w duchu, że działa w imię sprawiedliwości i że broni nieszczęśliwych i uciśnionych.

O tym subjektywnym podkładzie należy ciągle pamiętać przy ocenianiu społecznej wartości typu Don Kichota.

Jeżeli typ Robinsona pożądany jest ze względu na materjalny rozwój społeczeństw, to typ Don Kichota jest konieczny, jako ferment, przeciwdziałający zbytniemu zasklepianiu się narodów w skorupie samolubstwa i interesów czysto praktycznych.

Entuzjazm, romantyka i marzycielstwo są jak mocne narkotyki: w nadmiernych dozach—odurzają i obezwładniają; w właściwych—podniecają i pokrzepiają organizm jednostkowy i społeczny.

Dozowanie tych środków nie jest łatwe, to prawda; ale stąd nie wynika bynajmniej, żeby je usuwać raz na zawsze z medycyny społecznej i wyrzucać pogardliwe za okno...

Charakter sztuki nowoczesnej.

Co odróżnia sztukę nowoczesną od sztuki starożytnej?

Większe bogactwo i zawiłość motywów wogóle, a psychologicznych w szczególności. Dramat Szekspira, zestawiony z tragiedją Sofoklesa, wygląda jak bujny las dziewiczy obok utrzymanego starannie parku.

„Mojżesz" Michała Anioła więcej ma duchowej potęgi i wyrazu, niżeli „Zeus" Fidjasza. „Wiosna" Botticellego zdaje się składać z samych nerwów, gdy „Afrodyta Medycejska" uderza przedewszystkim harmonją kształtów cielesnych.

Im bardziej zbliżamy się ku czasom nowożytnym, tym bardziej komplikuje się i przeduchowia sztuka. Jeden rozdział romansu Balzaka więcej zawiera i porusza problematów psychologicznych, niż „Iljada" i „Odyseja" razem wzięte.

Rozwój estetyki—to ciągły proces różniczkowania się i rozkładania rzeczy prostych pozornie na liczne czynniki elementarne. Jak filozofja starożytności uwzględnia tylko cztery zasadnicze żywioły, tak estetyka owoczesna znała i uznawała tylko pewną ograniczoną liczbę zjawisk typowych. Jak z ognia, ziemi, powietrza i wody wyłoniło się z czasem mnóstwo pierwiastków, tak i typy rozpadły się na indywidua, a indywidua—na nastroje.

Sztuka starożytna, oraz zrodzona z niej pseudoklasyczna, tworzyły postaci o charakterze ogólno ludzkim, uosobione abstrakcje cnót, wad i namiętności, oderwane prawie od warunków czasu i przestrzeni. Romantyzm zaczął się troszczyć o „koloryt lokalny" uwzględniał skrupulatnie psychologję narodową i rasową, a na miejscu schematycznych typów postawił

żywe indywidua. Realiści i naturaliści poszli jeszcze dalej i biorąc w rachubę wpływy, jakie na człowieka wywiera dziedziczność, otoczenie, wychowanie i praca zawodowa, pogłębili znacznie problematy psychologji indywidualnej.

Tutaj skończył się proces rozkładu typów na indywidua, które uznawano przez czas długi za pierwiastki ostateczne, za jednostki duchowe, nie dające się estetycznie rozszczepić na czynniki prostsze.

Ewolucja jednak nie zatrzymuje się nigdy. Skończywszy z typem, wzięto się do indywiduów i proces różniczkowania trwa bez przerwy, przynosząc coraz to nowe niespodzianki. Jaźń ludzka przedstawia się modernistom nie jako całość jednolita, lecz jako szereg stanów, „nastrojów" psychicznych, z których każdy można wydzielić z reszty i traktować samoistnie.

Nie jest to w gruncie rzeczy nic innego, jeno zwycięstwo żywiołu lirycznego nad żywiołem epicznym. Sztuka starożytna była epiczną par excellence, dbała bowiem więcej o czyny, niżeli o motywy czynów, odtwarzała chętniej zewnętrzną, niżeli wewnętrzną stronę działalności ludzkiej, przedstawiała plastycznie zdarzenia i wypadki życiowe, nie wnikając zbyt ściśle w to, co się dzieje w sercu i mózgu bohaterów.

Jeden z wybitniejszych przedstawicieli modernizmu niemieckiego, wiedeńczyk, Hugo von Hofmannsthal, tak charakteryzuje dążenia sztuki nowoczesnej: „Nie chcemy wymyślać historji, tylko oddawać nastroje; nie chcemy rozważać, tylko przedstawiać; nie chcemy zaciekawiać, tylko wywoływać wrażenie. W każdym zdarzeniu, w każdej epoce widzimy tylko środek do artystycznej podniety. Poemat jest najwyższym, ostatecznym wyrazem zdarzenia: oddaje nie myśl, tylko nastrój. Malarstwo działa rozkładem linji i barwy; poezja wyborem, miarą i dźwiękiem. Opowiadanie—to reporterja" i t. d. („Blätter für die Kunst").

Dzisiaj dramat wewnętrzny dominuje nad zewnętrznym.

Prototypem estetycznym epoki jest nie skory do czynu Orest, lecz elegijny Hamlet, który zamiast działać, analizuje swoje uczucia i odsłania przed widzem zakrwawione włókna cierpiącej duszy.

Liryzm opanował nawet sztuki plastyczne. Malarz współczesny nie odtwarza natury, lecz wrażenia, które w nim natura budzi: pejzaż, według estetyki dzisiejszej, nie jest przedmiotowym obrazem kawałka przyrody, lecz odbiciem „stanu duszy" malarza w danym momencie.

Wszystko, co się styka ze sztuką i pięknem, skłania się ku podmiotowości; nawet krytyka subjektywna i wrażeniowa

zaczyna brać górę nad dawnym objektywnym stosunkiem do produktów artyzmu.

W muzyce niesłychany rozwój harmonji pozwolił na odtwarzanie takich subtelności lirycznego nastroju, o jakich starzy, prości mistrzowie, dla których melodja była alfą i omegą ekspresji, nawet marzyć nie mogli.

Nietzsche, którego dzieła można uważać za najdoskonalszą krystalizację literacką ideałów estetyki modernistycznej, a który, zgodnie ze swoją paradoksalną naturą, gromił niekiedy w teorji to, co szerzył w praktyce, tak charakteryzuje nowoczesną sztukę i nowoczesnych artystów.

„Kto zdoła wypowiedzieć dokładnie to, czego ci mistrze nowych narzędzi wyrazu wypowiedzieć dokładnie nie zdołali?... Wszyscy pogrążeni w literaturze po oczy i uszy: pierwsi artyści wykształceni na literaturze wszechświatowej, pośrednicy i mąciciele różnych sztuk i zmysłów (Wagner jako muzyk należy do malarzy, jako poeta do muzyków, a jako artysta wogóle do aktorów); fanatycy ekspresji „za wszelką cenę", wielcy odkrywcy w dziedzinie wzniosłości, a także brzydoty i okropności; jeszcze więksi, jako odkrywcy efektów, wirtuozi nawskroś, znający tajemne i przykre ścieżki do wszystkiego, co kusi, wabi, uwodzi, przynagla, wywraca; urodzeni wrogowie logiki i linji prostych, żądni wszystkiego, co obce, egzotyczne, potworne, krzywe, sprzeczne same z sobą... Wogóle zuchwale śmiała, wspaniale-potężna, wysoko-lotna i wysoko porywająca rasa wyższych ludzi" *).

Słowa powyższe, w których poza jaskrawą i paradoksalną formą ukrywa się znaczna doza prawdy, stosował Nietzsche głównie do Wagnera i późniejszej gieneracji romantyków francuskich (r. 1840), jakoto: Balzaca, Delacroix etc. To jednak, co mówi o sztuce i literaturze współczesnej sobie, nie różni się w zasadzie od przytoczonego wyżej poglądu.

Według Nietzschego, dzięki „zmysłowi historycznemu", który nas nauczył rozumieć to, co odległe i obce, posiadamy tajemny dostęp do wszystkiego, „zmysł, instynkt, smak i język do wszystkiego". Rozumiemy np. Homera, którego „dystyngowani" XVII stulecia—„nie czuli"; podoba nam się Szekspir, „ta zadziwiająca, hiszpańsko-maurytańsko-anglosaska synteza", która pobudziłaby do śmiechu i gniewu ateńczyka z epoki Eschylosa, „ta dzika pstrocizna, ta plątanina subtelności, brutalności i sztuczności najwyższej" pociąga nas właśnie, ale za to „brak nam

*) Jenseits von Gut und Böse, str. 229—230.

zmysłu do rzeczy skończonych i ostatecznie dojrzałych". Nie podoba nam się w dziełach i ludziach „to, co jest prawdziwie dystyngowanym (vornehm), co oddaje chwilę gładkiej ciszy morskiej i halkijońskiego wystarczenia samemu sobie". Nie podobają nam się „pozłota i chołd, cechujące rzeczy, które dojrzały, ani owe chwile i cuda, kiedy wielka siła zatrzymała się dobrowolnie przed bezmiarem i nieokreślonością".

„Miara jest nam obcą—przyznajmy się do tego. Nasza wrażliwość reaguje tylko na bodźce nieskończoności i bezmiaru. Niby jeździec na rozhukanym koniu, puszczamy, stykając się z nieskończonością, cugle, my ludzie współcześni, my półbarbarzyńcy, i czujemy się szczęśliwemi wówczas, gdy nam grozi największe niebezpieczeństwo" *).

Tak określa nastrój i kierunek sztuki nowoczesnej jeden z najwybitniejszych jej przedstawicieli, typowy „półbarbarzyńca", prawdziwy „człowiek współczesny, urodzony wróg „prostych linji" „logiki" i „miary", „fanatyk ekspresji", „mistrz nowych narzędzi wyrazu", starający się odczuć i oddać „wszystko", znający niebezpieczne ścieżki do tego, co „kusi, uwodzi, wywraca, co potworne, krzywe i sprzeczne same z sobą".

Charakterystyka modernizmu napisana przez Nietzschego jest zarazem samokrytyką, ale samokrytyką, uznającą konieczność takiego, a nie innego stanu rzeczy. Nietzsche stawia wysoko miarę i spokój klasyczny, a nawet pseudoklasyczny, ale rozumie, że dusza współczesna już do tych momentów wrócić nie może—przynajmniej w danej chwili.

Dlaczego?

Bo dzięki zbiegowi różnych okoliczności, rozwinął się w nas „zmysł historyczny", t. j. zdolność wczuwania się i wżywania w ducha cywilizacji umarłych, obcych, odległych w czasie i przestrzeni, egzotycznych; rozbudziła się w nas ciekawość poznania wszystkiego, nie wyłączając rzeczy najdziwaczniejszych i najpotworniejszych **).

Umysł nasz stał się przez to bogatszym, wrażliwość głębszą i elastyczniejszą, ale zyski te okupiliśmy zatratą poczucia jednolitości i wewnętrznego spokoju. Może to stan przejściowy, może z czasem opanujemy ten nadmiar wrażeń i wzruszeń,

---

*) Jenseits von Gut und Böse, 118—9.

**) Camille Mauclair w swojej doskonałej charakterystyce symbolistów francuskich zaznacza, jako rys znamienny, ich pociąg do erudycji i do rzeczy rzadkich: «Contrairement aux naturalistes, ignorants toute tradition littéraire, les jeunes gens savaient beaucoup, et sérieusement. Ils savaient même trop, égarant leurs lectures sur des s i n g u l a r i t é s littéraires et s'éprenant des choses qui ne dépassaient pas la curiosité dans leur zéle excessif à tout connaitre".

które rwą naszą duszę na strzępy, dzisiaj jednak jeszcze do tego nie przyszło.

Sztuka nowoczesna jest tylko odzwierciedleniem nastroju, albo, ściślej mówiąc, legjonu „nastrojów“ psychicznych ludzkości dzisiejszej.

Nastrojów tych niepodobna ująć nietylko w jedną, ale wogóle w żadną jasną i ześrodkowaną formułę. Stoi temu na przeszkodzie zarówno zbyt wielka obfitość i różnolitość wzruszeń, jak i ich subtelność, lotność i niepochwytność.

Dlatego linje proste i logika normalna, które wystarczały Grekom, Rzymianom i Francuzom XVII stulecia, nie wystarczają współczesnemu artyście. Jest on nietylko „urodzonym wrogiem logiki“—jak go nazywa Nietzsche – ile wrogiem wniosków, wyprowadzonych ongi z przesłanek, których wartość i znaczenie uległy radykalnemu przeobrażeniu.

Zmienił się człowiek, a z nim zmienił się świat i stosunek ludzkości do świata. To, co starożytnym wydawało się jasnym, pewnym i prostym, wydaje nam się ciemnym, wątpliwym i zawikłanym: wyraziste kontury dawnych syntez filozoficznych zostały zatarte przez rylec krytycyzmu.

Pojęcia prawdy i piękna rozszerzyły się, ale i rozwiały zarazem w coś nieskończenie wielkiego i nieskończenie — mglistego. Na miejscu dogmatów objektywnych stanęły subjektywne poglądy, wrażenia i wyobrażenia. Jednolity niegdyś świat rozpadł się na tęczowy chaos zjawisk, w których pewny siebie ongi, a dzisiaj nieśmiały i niespokojny człowiek szuka po omacku własnej drogi i punktu oparcia...

Jaki człowiek—taka sztuka: ewolucja sztuki jest tylko skutkiem i wykładnikiem ewolucji ducha ludzkiego.

STANISŁAW SZCZEPANOWSKI.

Urodz. 1846. † 31 października 1900. Jeden z wybitnych polityków demokratycznych Galicji, napisał kilka książek, nader bogatych w treść ideową. Wielbiciel ducha romantyków polskich, z ich punktu widzenia rozpatrywał także literaturę. Rzecz o *Farysie* jest ilustracją jego ducha i metody.

O „Farysie“ Mickiewicza.

„Podróż jest zwycięstwem“.

Naprzód rozpatrzyć należy, gdzie i w jakich warunkach powstał poemat „Farys“. W roku 1824 Mickiewicz znajdował się w Odessie. Z tego czasu datuje się wycieczka jego do Krymu i przecudne sonety krymskie. W Odessie poeta spotykał się ze spółczesnym towarzystwem polskim, a pomiędzy nim był tam nadzwyczajny oryginał, Wacław Rzewuski, syn hetmana polnego, znanego z czasów sejmu czteroletniego. Za młodych lat zrobił on wycieczkę do Syrji i Arabji, ażeby stamtąd sprowadzić konie czystej rasy arabskiej. W tej wycieczce zakochał się we Wschodzie, w życiu emirów i beduinów arabskich. Zamiłowanie do jazdy konnej, duch rycerski i awanturniczy i inne ślady tej wycieczki pozostały u niego przez resztę życia. Powróciwszy na stepy, jeździł w ubiorze na pół arabskim na pół kozackim, a nareszcie zginął w powstaniu 1831 r. Że Rzewuski nadał bezpośrednią treść poematowi—widać z napisu „Kasyda na cześć Tadż-ul-Fechra“. To był tytuł Wacława Rzewuskiego. Chociaż ani w korespondencji ani w pamiętnikach przyjaciół Mickiewicza, niema dowodów ściślejszych stosunków z Rzewuskim, to jednak wpływ jego wykazuje sam poemat przez nadzwyczajną wierność, z którą oddaje wrażenia życia na pustyni.

Za uzasadnienie tego twierdzenia pozwolę sobie dowód zaczerpnąć z literatury zupełnie innego kraju, t. j. z literatury angielskiej. Pomiędzy podróżnikami angielskiemi pierwszej połowy tego wieku odbija oryginalnie kapitan Burton, wielkiemi rysami przypominający Wacława Rzewuskiego. Postać wybitna, znakomity lingwista, głęboki uczony; on pierwszy z Europejczyków dotarł do Mekki i Medyny w postaci pielgrzyma arabskiego. Wyprawa ta była połączona z ciągłym niebezpieczeń-

stwem życia, bo niedozwoloną było rzeczą dla chrześcijanina zbliżanie się do tego świętego miejsca mahometan. W zachowanym dzienniku Burtona z tej podróży uderza nadzwyczajne podobieństwo opisów jego, do tych obrazów poetycznych, które znajdujemy w Farysie Mickiewicza. Pozwolę sobie tylko kilka ustępów z Burtona przetłómaczyć na język polski. Jest to opis pustyni, która się zaczyna za miastem Suez, gdzie wykopany został kanał Suezki. Otóż, jak opisuje angielski podróżnik, wrażenie pustyni jest nadzwyczaj pobudzające dla wszystkich władz umysłu i ciała podróżnego. Nad nim niebo straszne w swej piękności, a wiatr Samum ogarnia go, jak gdyby lew zionął ognistym oddechem. Wokoło pagórki piaskowe, każdy powiew wiatru żłobi ślady fal ruchomych. Ten, kto w tej pustyni podróżuje, znajduje się w ciągłym niebezpieczeństwie życia, on wie, że pęknięcie worka z zapasem wody, może spowodować śmierć. Kraj dziki, w którym znajdują się dzikie zwierzęta i dzicy ludzie. Cóż może być bardziej wspaniałego? Serce człowieka bije w piersi na myśl mierzenia sił swoich z całą potęgą natury, i wyjścia tryumfującego z tej próby. To tłumaczy przysłowie arabskie: „Podróż jest zwycięstwem“.

Potym opisuje, jak jednostajność pustyni i brak rozmaitości wrażeń wpływa na ciało, umysł, na zdrowie i na ton całego usposobienia—jak niejako wszystkie siły i władze umysłu i ciała się koncentrują i skupiają. Zdaje mi się, że z całego ustępu żadne zdanie nie jest bardziej charakterystyczne, jak właśnie to przysłowie arabskie „Podróż jest zwycięstwem“.

To przysłowie mogło być jako motto użyte do poematu Mickiewicza „Farys“ bo ten poemat, który wygląda jako czyste dzieło imaginacji, odzwierciedlające naturę, której Mickiewicz zupełnie nie widział, a którą poznał przez wrażenie, jakie wywarła na umysł innego, jest równocześnie symbolem podróży przez życie, która się kończy zwycięstwem. Że to była myśl i duch poematu Mickiewicza, pokazuje się z tego, że przedstawiwszy walkę dzielnego jeźdźca ze wszystkiemi władzami natury, jego spotkanie z szakalem, z sępem, i trupami, jego ostateczną walkę z huraganem afrykańskim—opisuje, jak wyszedszy z zapasów, dokonawszy zwycięstwa, dopiero zatapia się myślą nie w rzeczach codziennych, ale w myślach obejmujących duszę świata:

„Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
Zda się że go ze wschodu na zachód obejmę.
Wytężyło się me oko, tak daleko, tak szeroko
Że więcej i świata zasięga, niż jest w kole widnokręga,
Jak pszczoła topiąc żądło i serce z nim grzebie,
Tak ja za myślą, duszę utopiłem w niebie“.

Podczas kiedy cały poemat jest wiernym oddaniem natury pustyni, koniec pokazuje, że to nie jest tylko zwyczajna podróż, ale podróż całego życia, podróż zwycięska przez życie. Bo co uderza w tym poemacie, to przedewszystkim ta niepohamowana siła, która przebija z każdego słowa, z każdego czynu Farysa. Farys jest słowem arabskim, na gońca, lub rycerza. Tutaj jednak duch rycerski, bohaterski, łączy się z myślą tryumfu, z pewnością zwycięstwa; niema tutaj ani chwili powątpienia we własne siły, a możliwość zwycięstwa ostatecznego jest cechą tego poematu i to cechą, która różni go od wielu innych podobnych. Bo my sami w naszej literaturze mamy inny poemat na ten sam temat, to jest „Farys wieszcz“ Karola Balińskiego. Pod względem języka, piękności obrazów poetycznych, trudno nawet powiedzieć, żeby był on niższym od poematu Mickiewicza, ale jest jedna zasadnicza różnica: podczas kiedy poemat Mickiewicza kończy się zwycięstwem—u Balińskiego Farys zaczyna już od jakiejś nuty żałosnej, od ubolewania:

„O i ja kiedyś byłem Farysem
Lecz czy wiecie, co Farys znaczy“

i dopiero opisuje:

„Olbrzyma, olbrzym niech wytłómaczy“.

Zwracam uwagę, że Farys Mickiewicza nigdzie nie mówi o sobie, nigdzie się nie nazywa olbrzymem, ale przeczytawszy poemat widać, że on jak olbrzym zwalczył wszystkie trudności, zwyciężył, tryumfował;—tymczasem Farys Balińskiego nazywa się olbrzymem, a jednak ubolewa i wypowiada tylko żale, że ten świat nie jest dla Farysów, że wszyscy jego bracia Farysi polegli. Widzimy więc tutaj dwa zupełnie inne rodzaje uczucia, otoczone tą samą pięknością artystyczną, czarem cudownego języka poetycznego, a jednak, zdaje mi się, że w zastosowaniu praktycznym, w skutkach, nadzwyczajna zachodzi różnica pomiędzy Farysem Mickiewicza, a Farysem Balińskiego. Pierwszy pokrzepia i utwierdza wiarę w nasze siły, tchnie poczuciem i pewnością zwycięstwa,—drugi utwierdza przekonanie, że świat nie jest polem, na którymby szlachetni mogli zwyciężać, że na świecie moce złowrogie i nieszlachetne muszą przemagać, a szlachetne mogą tylko ginąć. Zdaje mi się, że w ten sposób cały czar poezji użyty jest tylko do wywarcia jakiegoś wpływu na nasze uczucia, na wzbudzenie jakiejś żałości—a zarazem cały ten czas poezji tylko utwierdza to przekonanie, że bohaterstwo choć istnieje w intencji, jest daremnym, bo świat jest za nizki, za zły, ażeby mógł być polem dla czynnego i zwycięskiego bohaterstwa. Tak więc pomimo całej cudownej

poezji tego drugiego poematu, należy on do tego rodzaju sztuki, która osłabia nasze siły w walce życia.

Zestawienie tych dwu poematów naprowadza mię na zestawienie dwu podobnych poematow angielskich. Już sam Baliński swego Farysa nazywa wieszczem, podczas kiedy u Mickiewicza Farys posiada bardziej rysy rycerskie. U Balińskiego, właściwie jest przeprowadzony opis misji poety. Otóż na ten sam temat misji poety, mamy śliczny poemacik angielski o śpiewaku irlandzkim, Tomasza Moore'a. Ten poemat zupełnie tak samo, jak Farys Balińskiego zaczyna się pewną nutą żałosną. Świat jest jakiś przewrotny, świat nie jest miejscem, w którym szlachetność może zwyciężać: „Oh! Blame not the bard".

„Nie wyrzucaj śpiewakowi, że on na grobie swej ojczyzny tylko płakać potrafi i że znajduje jeszcze chęć i usposobienie do czerpania tych rozkoszy, które życie przynosi". To jest pomimo całej uroczej poezji i niesłychanego wdzięku rytmu i słów—ta sama ewangielja zwątpienia, od której siły i ręce opadają. I zestawić można z tym drugi poemat, który stoi doń w zupełnie tym samym kontraście, co poemat Mickiewicza do Balińskiego, t. j. „Śpiewak grecki" Byrona. Jest to jeden z klejnotów poezji, przedstawia śpiewaka greckiego wtenczas, kiedy Grecja była jeszcze pod jarzmem tureckim i dopiero zamyślała o powstaniu. Wzywa on duchy wszystkich greckich bohaterów i woła potym na żywych Greków, chcąc się przekonać, czy którykolwiek z nich rozumie tradycje starych dziejów i zdobędzie się na naśladowanie przykładu dawnych bohaterów. Skoro widzi, że nie jest zrozumianym i nikogo nie porywa, że jego umysł czuje wspólnie tylko ze zmarłemi, a nie z żyjącym narodem—wtenczas powiada, że nie chce takiego życia, i woli zginąć, niż żyć wśród narodu niewolników. I tak samo jak ten niesłychaną muzykalnością rytmu i dźwięku, a jednakowoż tamten pozostawia wrażenie przygniatające, tymczasem wiersz Byrona mimowoli pobudza do wytężenia sił, do wiary i do nadziei, pomimo, że niby na pozór, śpiewak nie znalazł odgłosu; ale energja, z którą wypowiada swe przekonanie i wywołuje ducha zmarłej Grecji, z którą każe żyjącym na nowo walczyć za niepodległość narodu, robi wrażenie, że pomimo, iż nikt z żyjących teraz go nie zrozumiał, to jednakowoż ta sprawa musi zwyciężyć. Podczas kiedy tkliwa poezja Balińskiego i Moore'a utwierdza wiarę w klęskę każdej sprawy szlachetnej, — to męskie nuty Mickiewicza i Byrona dodają siły i pewności, że każda wielka sprawa, właśnie dlatego, że jest wielką i szlachetną, musi zwyciężyć.

Wskazałem na różnice w obrobieniu zupełnie tego samego tematu i wskazałem, że właśnie w tym temacie Mickiewicz i Byron mniej więcej przystąpili do tworzenia w tym samym usposobieniu i dali wyraz temu samemu duchowi Dlatego tym bardziej interesujące jest porównanie, gdzie poeci do pewnego stopnia tak zbliżeni duchem, traktują swe przedmioty. W Farysie widzimy bohatera tryumfującego. Natomiast w jednym z najpiękniejszych poematów Byrona, opisującym gladjatora konającego w cyrku kolizeum, widzimy także opis męstwa, ale nie tryumfującego, tylko daremnego. Zamiast wszelkiego tłómaczenia z oryginału angielskiego, nie można lepszego dać wyobrażenia o tym poemacie, jak odczytując ustęp z prelekcji Mickiewicza, który się odnosi do niego:

„Ostatni i najpiękniejszy wizerunek nieszczęść tego rodu, wizerunek Słowianina cierpiącego, ale już z duchem na wzlocie ku Bogu, mamy w „Gladjatorze konającym". Sławny ten posąg muzem Kapitolińskiego w Rzymie, cenionv przez artystów jako przewyborne dzieło sztuki, nie ściągał na się uwagi wieku przeszłego, który wolał Wenery i Kupidynów. Wziętość tego posągu poczyna się z wiekiem obecnym i teraz, można powiedzieć, stanowi on główny przedmiot ciekawości: zawsze widać koło niego gromadę cudzoziemców przypatrujących się pilnie i z wnijściem w głęboką myśl sztukmistrza. Myśl tę odgadnioną uczuciem, przejawili poeci. Któż nie zna prześlicznych wierszy Byrona o nim? Byron, lepiej aniżeli Winkelmann, Visconti i wszyscy znawcy, pojął, co znaczy ten gladjator; z dziwną przenikliwością gienjuszu wyczytał w nim przeszłość całego narodu; nigdy nie będąc w krajach słowiańskich, poznał, że to słowianin. Leży on pośród cyrku rzymskiego raniony śmiertelnie; krew poczyna mu toczyć się z rany, kroplami podobnemi—jak powiada Byron—do tych bujnych i rzadkich kropel deszczu, co padają przed ulewą. Nic go nie obchodzi, co się koło niego dzieje; nie patrzy ani na przeciwnika, który go obalił, ani na lud, który bawi się widokiem jego śmierci; umiera bez gniewu, bez wstydu i bez żalu; zdaje się być w zachwyceniu i myśli—jak też powiada Byron—o swoim kraju".

To jest przecudny wiersz Byrona. Mówi tam, że oczami już nie widzi, że oczy jego już są tylko na usłudze serca, a to serce jest w jego ojczyźnie: „Cały jego duch zebrał się do odlotu i w tej uroczystej chwili przyszła mu na pamięć rodzinna jego chatka nad Dunajem, skąd go wyrwano kiedyś". Sztuka starożytna nie wydała nic tragiczniejszego nad ten posąg. Otóż Gladjator ten ma pewne rysy, które zbliżają go do rycerza: ma męstwo, posiada sztukę szermierzy, walczy, oddaje życie, ale podczas kiedy Farys, kiedy prawdziwy rycerz walczy za jakąś

myśl wyższą i albo zwycięża, albo poświęca się dla niej, wierząc, że chociaż on polegnie, to przyjdą inni, którzy zwyciężą—to gladjator walczy, zwycięża lub kona, ale nie skutkiem woli własnej, ani skutkiem jakiegoś polotu, tylko jako niewolnik, jako narzędzie cudzej woli—i to jest ta różnica między rycerzem, wyobrażającym godność ludzką, z gladjatorem, który jest tylko narzędziem innej woli. Dlatego też prawie niepodobna ująć w obraz poetyczny gladjatora tryumfującego t. j. szermierza mężnego, który zwycięża i pokonywa innych, gdyż taki zawsze może sprawić tylko wrażenie kata lub oprawcy. Jedynym sposobem, ażeby jeszcze ująć to w jakiś obraz poetyczny, było poruszenie litości, że ten człowiek był niewłasnowolnym tylko narzędziem przymusu. Dlatego też to, co w pojęciu walki bohaterskiej stanowi treść, t. j. wiara w tryumf dobrej sprawy, w zastosowaniu do gladjatora staje się zupełnie bez znaczenia. Owszem, odbiera temu gladjatorowi wszelką szlachetność, którąby mógł mieć, jeżeliby nam się przedstawił, jako ofiara despotyzmu i losu. Ta różnica walki podjętej pod wpływem jakichś celów wyższych, a walki, gdzie się jest tylko narzędziem innej jakiejś potęgi, przebija się w całym życiu ludzkim i w całej historji.

Można powiedzieć: jakiż związek mogą mieć rycerze i gladjatorzy z obecnym, prozaicznym życiem ludzkim? Tak jednak nie jest, w każdej sferze życia pojawia się to pojęcie walki, mocowania się z trudnościami, w każdej sferze życia można albo walczyć i pracować w poczuciu godności ludzkiej, pewnego celu lub obowiązku, albo można być tylko niewolnikiem, narzędziem nieodpowiedzialnym, pod wpływem cudzej woli. Że w każdej sferze życia można odkryć zastosowanie tych myśli, pokazuje bardzo dobrze sama nazwa wielkiego stowarzyszenia robotników amerykańskich „The Knights of labour“ (Rycerze pracy), stowarzyszenia, które w ostatnich czasach doszło do ogromnej potęgi w Ameryce i niejednokrotnie wpłynęło na losy polityki całego kraju. Otóż sam tytuł tego stowarzyszenia „Rycerze pracy“ oznacza tę myśl, że w każdej sferze pracy w życiu codziennym, znajdzie się sposobność do okazania ducha albo rycerskiego, albo niewolniczego ducha godności ludzkiej, albo upadku ludzkiego. Jednak oprócz tego ogólnego zastosowania, zdaje mi się, że i kontrast tych dwu obrazów, rycerza zwycięskiego i gladjatora walczącego za rozkazem cudzym, znajduje się jeszcze daleko silniej wyrażony w historji naszego narodu i jego losach.

Już w ustępie z Mickiewicza, który przytoczyłem, zaczynał się opis tego posągu od słów, że to jest wizerunek Słowia-

nina cierpiącego. Taka sama myśl znajduje się w Zaleskim, który także zobaczywszy gladjatora, zawołał:

„Bystro w konającego twarz Gladjatora
Patrzałem, aż mi żyła w skroń nabiegła sina,
I w krwi całej zagrało hura! Słowianina.
Zamierzchłych gdzieś stuleci brat, ożył w posągu,
Jęknął—co czuł i cierpiał w żałosnych dni ciągu".

Ten obraz zupełnie odpowiada obrazowi Byrona w Gladjatorze i dopiero te dwa obrazy zestawione z Farysem, pozwolą mi uwydatnić myśl historyczną, która się w nich przebija, t. j. różnicę pomiędzy heroizmem rycerskim, heroizmem zwycięstwa i godności ludzkiej a heroizmem niewoli. Sam Mickiewicz niejednokrotnie wraca do podobnych obrazów, mianowicie opisuje inny jeszcze posąg grecki Szlifierza: „Słowianin stał się dla artystów modelem jeńca wojennego, ideałem siły fizycznej pokonanej przez siłę moralną. Sztuka więc zostawiła mu całą piękność i można rzec, całą godność fizyczną. Zawsze jest wystawiany rosłym, pleczystym i kształtnym; ale chociażby nie miał rąk w tył związanych, łatwo byłoby poznać w nim niewolnika: postawę ma ugiętą i nieswobodną, idzie z głową spuszczoną i nie śmie podnieść oczu. Tacy są słowianie na wielu pomnikach, a mianowicie na kolumnie Trajana, gdzie się zupełnie różnią od Partów, Medów i innych ludów konnych".

Szlifierz jest może jeszcze tragiczniejszym od typu gladjatora—on ostrzy nóż, on już nie jest tylko gladjatorem pokonanym, ale doszedł do tego ostatniego szczebla nikczemności: on będzie oprawcą.

Czemuż opisując typy podobne, jak gladjatora i szlifierza, zawsze się powtarza u Mickiewicza i Zaleskiego to słowo: Słowianin? Czemu oni te typy biorą jako charakterystyczne słowiańskie? Zdaje mi się, że odpowiada to prawdzie historycznej, która przebije się nawet w nazwie niewolnika w najrozmaitszych językach europejskich. Wiemy, że w języku niemieckim niewolnik jest Sclave to pochodzi od Sclavonus—Słowianin, po francusku i po angielsku także nazwy te pochodzą z tego samego źródła, tak, że dla całego szeregu ludów nowożytnych europejskich, Słowianin dał nawet nazwę na typ niewolnika. I dziwna jest rzecz, że nawet w języku rzymskim, słowo, które oznacza niewolnika, znowu zawiera pierwiastek *srv*, ten sam, który się znajduje w nazwie jednego z najliczniejszych szczepów słowiańskich: srb, Serbowie na południu. Sorabowie nad Elbą. W dziwnym to jest kontraście, jeśli czytamy w dawnych kronikach o pierwotnych rysach ludu słowiańskiego; nie przedstawiają

go jako człowieka zbrojnego, jak każdy prawie człowiek był w owych czasach, tylko spotyka się lud ten z gęślą, zupełnie bez uzbrojenia żadnego. A równocześnie widzimy, że ten lud pokojowy, w którego naturze nie leżała żadna chęć krzywdzenia innych, stał się właśnie typem niewolnika nietylko pokrzywdzonego, ale zamienionego później na gladjatora, który ginie lub kona dla igraszki drugich; zamienionego na szlifierza, na oprawcę.

Widzimy tutaj, że w historji ludzkiej nie można się wyłamać z pod uczestniczenia w dziejach. Ten Słowianin, który się zamykał w swoim życiu sielskiem, który nie chciał niczyjej krzywdy, który chciał tylko żyć dla siebie, ten Słowianin przez to, że się sam odsunął od pola działania historycznego, że nie chciał być bohaterem zwycięskim i tryumfującym, stał się typem niewolnika, który jest igraszką cudzej woli i despotyzmu. I dlatego to, miano Słowianina we wszystkich jezykach europejskich stało się pojęciem hańbiącym, mianem niewolnika, człowieka bez godności i odpowiedzialności własnej.

Otóż na tym tle sielskim, pokojowym, słowiańskim, na powierzchni tego ludu spokojnego, potulnego, i pokornego, pojawia się z biegem historji typ zupełnie inny, – typ rycerstwa polskiego, który o tyle jest wyższym od gladjatora konającego w Kolizeum. To jest znaczenie historji polskiej, że ta pokora, ta potulność, rezygnacja, niechęć do brania czynnego udziału w historji—ustąpiła, i że nastała nowa idea i duch nowy, który się nie da tratować cudzej potędze i woli, ale duch, który chce sam zwyciężyć, duch co ma ideę własną, myśl wyższą, do której urzeczywistnienia dąży. Kilka wieków po powstaniu rycerstwa polskiego, przedstawia się nam znowu w historji powstanie typu podobnego, t. j. typu rycerstwa kozackiego. Nie doszedł on nigdy do tego urzeczywistnienia historycznego, do którego doszło rycerstwo polskie, ale zabłysnął dosyć długo w zgodzie z rycerstwem polskim, ażeby nam przedstawić możliwość połączenia się typów szlachetnych i rycerskich. Jako chwilę takiego połączenia znamy z historji naszej bitwę pod Chocimem, 280 lat temu, gdzie połączone wojsko polskie i kozackie odparło całą potęgę turecką. I chociaż biorąc na uwagę cały bieg historji, trudno porównać ten niedoszły typ rycerstwa t. j. kozaczyznę z historją narodu polskiego, to widać jednak zarodek tego samego ducha, którego rozwojowi tylko sprzeciwiały się okoliczności historyczne; bo cokolwiekbądź mogło być później, to w tej wielkiej walce pod Chocimem, zdaje mi się, że nikt nie może dostrzec różnicy pomiędzy rycerstwem polskim pod wodzą Karola Chodkiewicza, a pomiędzy rycerstwem kozackim pod dowództwem Konasiewicza Sahajdacznego.

Jeżeli to pojęcie rycerstwa walczącego, połączone z poczuciem godności ludzkiej, rozwinęło się na obszarach Polski i Rusi, to równocześnie rozwinęła się w Słowiańszczyźnie myśl i idea inna. Ta sama bierna, potulna natura słowiańska, która wytworzyła typ całego narodu oddanego cudzej woli, który może posiadać wszelkie możliwe cechy i pozory cywilizacji, ale gdzie będzie brak tego jednego znamienia rycerstwa wyższego i szlachetnego, t. j. brak poczucia godności ludzkiej, gdzie wszystkie te przymioty, i to męstwo i ta cywilizacja i to wykształcenie będzie na usłudze innej, cudzej woli, gdzie nie będzie jaśniała nad tym myśl własna i idea wyższa. I dlatego poglądy historyczne Adama Mickiewicza oddają tę nadzwyczajnie głęboką prawdę, że po za wszelkiemi przyczynami chwilowemi, chwilowych rozterek, walk i wojen—pomiędzy Polską a Rosją leży głęboka przyczyna rozdziału, leży głęboka duchowa różnica, zupełnie innego rozwoju jednego narodu i drugiego —jednego, który przedstawia dążenie do rycerstwa niezależnego, do rycerstwa godności ludzkiej, do urzeczywistnienia bohaterstwa ludzkości, i drugiego narodu, w którym mamy może najdoskonalsze w obecnej historji wyobrażenie „heroizmu", o którym czytamy w „Przeglądzie wojska" z III cz. Dziadów.

Ta to różnica i w zarodku duchowym i w rozwoju duchowym tych dwu organizacji politycznych, ta jest przyczyną, że pomimo najrozmaitszych prób pogodzenia tych dwu kompleksów politycznych, które niejednokrotnie usiłowano przeprowadzić—zawsze ta kardynalna różnica duchowa na nowo rozbiła wszystkie kombinacje polityczne. Ces. Mikołaj zwykł był mawiać, że on tylko zna dwa rodzaje Polaków, tych, któremi pogardza i tych, których nienawidzi. Ci któremi pogardza, to są ci, którzy odstąpili od misji polskiej, bronienia godności ludzkiej, którzy się stają narzędziami despotyzmu i cudzej woli. —Ci których nienawidzi, to są ci, którzy pozostali wiernemi tej misji.

Pokazuje się, że ces. Mikołaj pojął równie dobrze, jak Mickiewicz, tę głęboką różnicę, która leży pomiędzy dwoma typami I zdaje mi się, że obok studjów zwyczajnych historycznych, obok uwzględnienia zwyczajnych wypadków politycznych, należy się czasem wznieść do tego wyższego poziomu zapatrywań historycznych, które przedstawia Mickiewicz w swoich prelekcjach, bo wtenczas rozumie się lepiej obowiązki, które historycznym rozwojem całego narodu, nałożone są na każdego pojedyńczego Polaka; każdy bowiem powinien być swoim ministrem zagranicznym, a równocześnie pamiętać, że w każdym położeniu—nawet prywatnym, ma sposobność działania tak, jak gdyby był pod rozkazem cudzej,

wyższej woli. — Wtedy rozumie się też trudności, które ten typ przedstawia w urzeczywistnieniu swego ideału—trudności, które stają na przeszkodzie, aby ten rycerz walczący był także zwycięskim. Przyczyna jest całkiem jasna: tam, gdzie człowiek jest niewolnikiem cudzej woli, tam zarodek organizacji leży właśnie w tym ślepym posłuszeństwie;—tam zaś gdzie nie jest narzędziem, ale istotą powodującą się własną godnością i pamiętającą o swoim właściwym powołaniu, tam pozostaje on w usłudze myśli wyższej, ale nie tworzy podstawy tego mimowolnego, koniecznego zarodku organizacji, która dodaje tak ogromnej siły tym kolosom, zbudowanym tylko na ślepem i niewolniczym posłuszeństwie. To samo poczucie godności ludzkiej, jeżeli nie jest należycie wykształcone i oponowane przez wyższą ideę, koszlawieje i staje się tylko zarodkiem niesforności i anarchji, — wolność staje się samowolną, a naród, który niby przedstawia typ wyższy rycerstwa, staje się słabym i bezsilnym wobec narodu przedstawiającego tylko heroizm niewoli. Zdaje mi się, że dość podnieść swoją myśl na te wyżyny przez Mickiewicza wskazane, dość zastanowić się nad temi głębszemi przyczynami klęski typu wyższego,—ażeby poznać źródło złego, a zarazem i źródło poprawy, bo wskazówki takiego pokierowania ducha narodowego, ażeby to, co powinno być pierwiastkiem siły, też się nim stało, ażeby ten Farys był nie Farysem ginącym, ubolewającym Karola Balińskiego, ale zwycięskim Adama Mickiewicza.

W historji naszej mamy dowody, że w tych wszystkich epokach, w których pomimo niesforności pozornej, naród polski potrafił skupić całą swoją potęgę i zjednoczyć przedstawicieli ducha godności ludzkiej, ku urzeczywistnieniu wspólnej myśli wyższej—że w tych wszystkich wiekach Polska może najsilniej na całym świecie i najznakomiciej posiadała dar kojarzenia i skupienia pierwiastków podobnych sobie. Cechą dziejową całej historji polskiej właśnie są te dobrowolne unje Polaków z Litwą i Rusią, bo Ruś wtenczas należała do W. Ks. Litewskiego, z Prusami, Inflantami, Wołoszą i t. d. Ta siła kojarzenia dobrowolnego, która właśnie jest antytezą zdobywania przymusem i gwałtem—cechowała naród polski we wszystkich wiekach jego świetności. Wierzymy, że przywróconą mu zostanie w chwili, kiedy nad polskim indywidualizmem zapanuje wspólna wielka idea.

ALEKSANDER BRÜCKNER.

Jeden z najznakomitszych slawistów polskich, urodz. 1856 r., profesor slawistyki przy uniwersytecie berlińskim. Szereg prac jego długi, poświęcony filologji polskiej, litewskiej i ogólno-słowiańskiej. Szczególną wagę posiadają rozprawy jego z dziedziny historji kultury (*Litwa starożytna* (1903), *Różnowiercy polscy* (1905) i najdawniejszej literatury polskiej (*Kazania świętokrzyskie*, 1891; *Literatura religijna w Polsce średniowiecznej* 1903; *Mikołaj Rej* 1906). Gorący miłośnik języka polskiego, poświęcił jego poznaniu rozprawy: *Cywilizacja i język* (1901), *Z dziejów języka polskiego* (1903), *Dzieje języka polskiego* (1907). Napisał też dwutomowy podręcznik *Dziejów literatury polskiej* i (po niemiecku) Historję literatury rosyjskiej.

Dawność i znaczenie języka polskiego.

Żyjemy w chwilach ostrych walk narodowościowych. Zawiodły dawne nadzieje przyjaciół ludzkości. Zdawało się niegdyś, że skoro ludzkość (mówię tu o kulturalnej) przeboleje walki religijne i stanowe, skoro wolność sumienia i zniesienie przywilejów się osiągnie, że zapanuje spokój i braterstwo. Stało się inaczej. Pokazało się, że walki o wiele ostrzejsze ten sam organizm trawią, walki narodowościowe i społeczne, idące albo luzem, albo, jak we wschodniej Galicji, splatające się razem.

Walki narodowościowe, by o nich tylko wspomnieć, spowodowały i wytworzyły najdziwniejsze stosunki. I tak np. ludy małe, których kultura od wczoraj się liczy, u których ten pokost kultury jeszcze nie obeschł należycie, te ludy puszą się i buńczuczą, przypisują sobie jakieś zasługi, znaczenie, powołują się na przeszłość, prawią o przyszłości, roją marzenia, a wszystko w rażącej sprzeczności z prawdą dziejową, z rolą ich skromniutką. Odwrotnie, ludy, które rzeczywiście kulturę tworzyły wraz z innemi, przedstawiają sobie, jakoby były jedynemi twórcami tej kultury, jakby tylko z ich apteczki, wedle ich recept, wydawano potroszę tej kultury - i nam, którzyśmy zawsze w kulturze europejskiej żyli, z zasobów jej zawsze bezpośrednio czerpali i już w XVI wieku innym narodom, najoświeceńszym nawet, kroku dotrzymywali.

Wobec takich stosunków, wobec chełpliwości i buty wielkich i małych, należy nam, dyktuje to instynkt samozachowawczy, od czasu do czasu rzucać wstecz spojrzenia, obliczać i wymierzać drogę, jakąśmy przeszli, baczyć cośmy zrobili, czym jesteśmy; należy nam stwierdzać, czym też i kultura polska jest, i co znaczy.

Nie myślimy przedstawiać całego bilansu tej kultury; weźmy z niego tylko jednę pozycję, pozycję najważniejszą, która się sfałszować nie da, której ani umniejszać, ani powiększać nie można Tą pozycją, którą się oblicza z największym spokojem, z pewnością niby matematyczną, jest właśnie język, język naturalnie nie jako abstractum, lecz w związku nierozerwalnym z kulturą, jako środek i narzędzie kultury i literatury.

Mówimy zaś o języku tym chętniej, ponieważ u nas niestety nie doceniają właśnie znaczenia języka. U innych narodów rzecz ma się zupełnie inaczej. Proszę porównać byle gazetę petersburską a gazetę lwowską, jak one się przedstawiają pod względem formy zewnętrznej; ortografja rosyjska znaczne trudności wykazuje, gdyż nie obliczona wcale dla rosyjskiego języka, lecz wzięta z bułgarskiego (cerkiewnego), t. j. z zupełnie innego, obcego; mimo to nie rażą nigdy błędy ortograficzne w publikacji rosyjskiej.

Wziąć do rąk jakikolwiek nasz dziennik, nie dość różnych niepomyślnych wieści, wieści te, pisane jeszcze taką ortografją a czasem i takim językiem, że aż pożal się Boże! Jeżeli zaś z czym, to z językiem, nie broniącym się, prowadzonym na rzeź i okaleczenie jak baranek jaki, należałoby postępować z największą pieczołowitością; każde zaniedbanie jego mści się, jakby zaniedbanie form towarzyskich w życiu towarzyskim. Właśnie zaś nasz język jest instrumentem tak znakomitym, że nie godzi się go odstrajać. Nie tylko zaś dziennikarze i publicyści język nasz psują, ale i z literatami nie zawsze bywa lepiej; i oni nie cenią dosyć języka. I weźmy znowu przykład z obcych niw. Stary Turgeniew, pogrążony w absolutnym pesymizmie, gdy o wszystkim i o wszystkich zwątpił, ujął się, niby ostatniej, a raczej jedynej kotwicy, języka narodowego; ten był mu ostatnią otuchą na tym świecie i na łożu boleści wyśpiewał Iwan Sergiejewicz wspaniały hymn tryumfalny dla tego języka. Z podobnym nie spotykałem się u nas, prócz rzadkich, wyjątkowych wierszy, u Bohdana Zaleskiego („Mowa nasza... w sercach wykochana; Jak anielskich strun narzędzie, taka strojna i ograna"); prócz owego dytyrambu, jaki wobec miłosławskiego pomnika dla Słowackiego Henryk Sienkiewicz

wyśpiewał o tej mowie, co „niepożyta jak śpiż, świetna i droga jak złoto, jedna z najwspanialszych w świecie, tak piękna i dźwięczna, że chyba tylko język dawnych Helenów może się z nią porównać". My przecież mamy jeszcze większe tytuły i obowiązki do cenienia języka, niż Turgeniew, syn Rosji wszechpotężnej.

Więc, jak mówię, nie doceniamy języka i wcale nie zbytecznym byłoby takie Towarzystwo jego ochrony, któreby dbało o czystość, jeśli już nie o wytworność tej szaty językowej, przeciw której nawet najznakomitsi grzeszą; nawet „Młoda Polska", chociaż zasługi jej zresztą wielkie, bynajmniej nie jest wolną od zarzutu psucia języka; tu odkąsywa coś od słów, tu znowu coś dorzuca niepotrzebnie, na co i po co—nie wiem; np. „miast", nie „zamiast" lub „miasto"; „poszum" i „poszmer" zamiast „szumu" i „szmeru"—usterki, bez których w prozie obejść się możemy, inaczej niż w poezji, bo nieszczęsny poeta robić musi, jak miara wierszowa wymaga.

Jednak dość tych uwag czy kamyczków rzucanych do ogrodu publicystów i literatów; wszyscyśmy przecież równo winni okazywać szacunek dla języka, w sposób należyty, nietylko dbając o poprawność ortografji, strzegąc się tromtadratycznego accusativus („ja ją nie widziałem"), strzegąc się słów obcych, nieraz najzbyteczniej u nas kosztem słów własnych się panoszących.

Szacunek, winny temu językowi, wyrazimy również, jeżeli uprzytomnimy sobie nie raz, nie na chwilę tylko, jeżeli przejmiemy się całkowicie myślą, czym ten język właściwie jest, co on znaczy; jeżeli uprzytomnimy sobie, dlaczego nam go tak cenić należy.

Język polski jest językiem bardzo dawnym. Terminu tego „dawny", nie używamy w znaczeniu starości, pod tym bowiem względem języki są sobie równe; wszystkie poczęły się, gdy pierwsza „obstrukcja" u stoków wieży Babel się rozpoczęła i od tego czasu datują. Chyba języki sztuczne jak żargon żydowski lub szwargot złodziejski nie są „dawne"*); wszystkie zresztą języki są równie stare; osobliwsza jakaś starość nawet nie wychodzi im zawsze na dobre, że jako przykład przytoczę

*) Przykłady jednego i drugiego w naszej literaturze niezbyt są liczne ani wczesne. Literatura humorystyczna XVII i XVIII wieku, intermedja (sceny komiczne) szkolne i wiersze o wojnie żydowskiej lub o Mesjaszu żydowskim nie dają «żargonu», przedrzeźniają tylko polszczyznę. Pierwszą próbkę gwary naszej «bosańskiej» (złodziejskiej) dał bakałarz pilzneński Jan Jurkowski w pierwszym intermedjum swego «Scylurusa» (z roku 1604), gdzie pijanica Matys z złodziejem Ktosiem rozmawia np. tak: «Mam trzesca blesca rogietkę, Przykłosnę wranek swą biedkę—a jadzi też tam mam kierstrąga,

język litewski, tak „stary“, a mimo to nie kulturalny. Pod dawnością języka polskiego rozumiemy zupełnie co innego.

Język polski jak i siedziby ludu polskiego stanowią właśnie środkowy punkt całej Słowiańszczyzny. Z faktem tym u nas nie liczono się nigdy; u nas bowiem najczęściej polityka decyduje i w umiejętności, więc z powodu wypadków 1831 roku Słowiańszczyzna stała się Tabu dla naszych uczonych i nikt nie zaglądał poza zasłonę, zakrywającą prasłowiańską boginię.

Inne narody słowiańskie wyprzedzały nas też skutecznie w ocenieniu znaczenia, znajomości pierwotnych stosunków historycznych, językowych itd. słowiańskich, z jawną stratą i z krzywdą dla nas i naszego znaczenia.

Gdyby nie to zerwanie dawnej łączności nauki polskiej z nauką słowiańską, nie przyszłoby np. moim zdaniem do całego szeregu różnych teorji o „najeździe“, który miał wytworzyć państwo polskie itd.

Lecz nie wdając się w historję, tu podkreślę tylko, co znaczy to środkowe stanowisko języka polskiego w całej Słowiańszczyźnie.

Języka nie stanowią tylko słowa potoczne, których używamy, ale i nazwy miejscowości, topograficzna nomenklatura cała. Otóż właśnie polska ta nomenklatura, a więc integralna część języka polskiego, jest najstarożytniejszą między wszystkiemi słowiańskiemi, tak dalece, że jeżeli mię uczeni zapewniają, jakoby nazwa Kijowa miała od Finów pochodzić, to wystarczy mnie wskazać, że w topografji polskiej powtarza się taż nazwa, aby tę hipotezę, jako bezpodstawną, usunąć. Rosjanie sami, lepiej, niż my pod tym względem oświeceni, centralne stanowisko języka polskiego — naturalnie w badaniach umiejętnych — uznawać rozpoczynają. Wymienię tu jednę taką cechę. Każdemu z nas wpada w ucho właściwość, którą język polski z prasadyb słowiańskich wyniósł, mianowicie nasze nosówki *ą* i *ę*, które inne języki słowiańskie albo zupełnie zatraciły, albo zachowały w minimalnych śladach, podczas gdy u nas są one po dziś dzień jeszcze w całym rozkwicie.

Nietylko ten szczegół; cały ustrój języka polskiego, jego brzmienia samogłoskowe (a samogłoski nadają językowi właściwą harmonję i eufonję) są tak misternie zbudowane, że żaden z języków słowiańskich nie dorównywa temu bogactwu, tej

---

pułtora skornego wasąga—a głyczałżeś one jątrznice, co ono była sak z wilczyce—nogiećci ją dał, widał ty to, kropihę mi od niej zszyto—a gdy ten spodyn skwira, jam pan u swych lachów, w Pandolach i Maurkach naskrę gdusce strachów» i t. d. Idąc ze stypy po panu (spodynie), rozmawiają obaj o śniadaniu z kiełbasą i kirsztrankiem a Ktoś popisuje się swym znaczeniem.

różnorodności, tej delikatności, temu cieniowaniu polskiego wokalizmu—lecz o tym pomówimy jeszcze niżej osobno; zbyt ciekawa to materja, żeby ją krótką zmianką zbywać.

Był czas, kiedy o tym albo nie wiedziano, albo nie chciano wiedzieć, albo też dawano się łudzić cechom zupełnie zewnętrznym. Czechów np. razi wprost nadmiar słów obcych w naszym języku; Czech nie może pojąć, dlaczego używamy słowa „dach“ zamiast jakiejś „pokrywki“ czy czegoś podobnego, i zawsze zarzucają nam, oni i inni, jakoby język polski wyzbył się przedewszystkim słowiańskiej terminologji. Nie całkiem niesłusznie. Nasza to polityka dawna, wyrzucać własne a przyjmować obce.

Tak samo jak w handlu i przemyśle rugowaliśmy nasze mieszczaństwo a dawaliśmy przytułek i obdarzaliśmy hojnemi przywilejami Włochów, Niemców, Szkotów, Ormian, Żydów, Węgrów, podobnie wypowiedzieliśmy gościnę naszym własnym, prasłowiańskim wyrazom i zastąpiliśmy je całym zalewem słów obcych, najrozmaitszego pochodzenia.

Prawda, że to znowu karta, świadcząca najwymowniej o kulturze polskiej. Zwykle bowiem rzecz ma się tak, że jakiś naród niższy, mniejszy, w zawisłości czy to kulturalnej czy politycznej od drugiego będący, przyjmuje żywcem od tego drugiego pewne pojęcia i liczne wyrazy. U Czechów przeważają wyrazy niemieckie; Serbowie i Bułgarowie mają wprawdzie na piśmie wyrazy słowiańskie, ale ich nie używają a w mowie potocznej zastępują je wyrazami tureckiemi, nawet takie wyrazy jak las, most, itp. bywają u nich tureckie. Nawet Rosjanie dla niejednego, np. dla konia, pieniędzy i t. d. wzięli nazwy wschodnie, perskie, arabskie, głównie zaś tatarskie *łoszad'*, *dieńga*, *tamga*, *jam* (poczta), *jarłyk*, *kazna*, *bułat*, *bumaga*, *bułany*, *dest* (ryza papieru) i t. d., albo „cerkiewne“ dla pojęć „oderwanych“.

Zwykle więc przeważają w pewnym języku naleciałości z jednego tylko cudzego języka. Jedyny polski kroczy torami odmiennemi między wszystkiemi słowiańskiemi, nie ogranicza się wpływem jednego obcego języka, posiada najbogatszą kartę, na której spisane są wyrazy ze wszystkich kątów świata, łacińskie obok niemieckich, włoskie obok węgierskich, tatarskie*) obok wołoskich, czeskie (najliczniejsze i najważniejsze) obok ruskich, najmniej licznych i najpóźniejszych. Przedmiot to tak

*) Od tatarskich nie odłączamy tureckich (np. *jar* i *jaruga* i t. p.). Ormiańskich niema prawie zupełnie, chociaż mamy tyle familji ormiańskich, Abgarowiczów, Agopsowiczów i t. d. Hebrajskie tylko nowe w języku literackim wyjątkowo się znachodzą, częstsze w gwarze, szczególnie miejskiej.

ciekawy, same dzieje kultury polskiej, przenikania się jej coraz nowemi prądami, występują w tych słowach tak wyraziste, że poświęciłem im osobną książeczkę. („Cywilizacja a język“ — Warszawa 1901 r.), gdzie z obcych słów, z ich następstwa w czasie, z ich liczby i znaczenia, wykreślałem obrazki dawnych czasów, życia w kościele i mieście, w obozie i szkole, u dworu i sądu.

Nie uwzględniłem w tej książeczce jednego źródła, z którego się język nasz, acz rzadko, zasilał — biblji. Na dowód więc, z jakich to źródeł najrozmaitszych język czerpie, przytoczę kilka przykładów, jakto całe słowa albo ich używanie czy forma z Pisma św. wypływać mogą.

Oto np. *skarbonka* albo *skarbona*, do której ofiary czy oszczędności składamy. Nie miał język polski nigdy takiego wyrazu, ma on tylko *skarb*, *skrzynkę* i t. p., ale z biblji znano ową *karbanę* albo *karbonę*, do której się myta krwi, trzydziestu srebrników judaszowych, przyjąć nie godziło i z hebrajską *karboną* zlał się nasz *skarb* w *skarbonę* nie od tak dawna; w XVI wieku nikt jeszcze o niej nie słyszał, mawiano np. „w karbanę, t. j. w ten skarb“ i t. d.

Weźmy dawny wyraz *sklimkować* t. j. oszukać, zwieść, zmyślić, zfabrykować. Znano go i używano ogólnie, np. w zbiorze facecji wierszowanych p. t. „Biesiady rozkoszne Baltyzera z kaliskiego powiatu“ (około r. 1615) czytamy skargi na dwór i ludzi dworskich, że złote góry obiecują, „ołownych, nie tak sklimkują“. Jeszcze Józef Andrzej Załuski, co nietylko stare druki, ale i stare słowa zbierał, powie (w fraszkach wydanych r. 1753) o poecie, że coś „zklimkował“ (wymyślił). Wymyślił to słowo Erazm Gliczner, pedagog niegdyś, potym znakomity szermierz protestancki, i puścił w obieg roku 1579 w dziele p. t. „Odpór na odpowiedź kwestji niektórych“ (przeciw Jezuicie Wujkowi i jego księgach o czyśccu). Listami bowiem papieża Klemensa św. (następcy Piotra św.) wojowali katolicy przeciw nowowiernikom, ale XVI wiek świadectwo to jako nie autentyczne, Klemensowi — Klimkowi (polska forma imienia) podsunięte tylko, odrzucał; więc czytamy u Glicznera: twoje (Wujkowe) świadectwo z listu tego Klimka zmyślonego płonne jest... uważ to, że ten Klimek nie wstydliwie *zklimkował* to co sobie imieniem Piotrowym zmyślał. Za Glicznerem powtarzali ten świeżo ukuty termin inni protestanci, potym katolicy sami.

Myślę nawet, że nasze *drwić* i *drwiny* z Biblji poszło. Nie znają tej przenośni inne języki słowiańskie; my używaliśmy pierwotnie tylko zwrotu „jakby *drwa* gryzł“ o czymś niesmacznym; *drwa* zaś w znaczeniu bredni, plotek, z czego drwić,

drwiny („drwami“ nazywa np. Karmanowski poeta swe fraszki), poszły z listu św. Pawła, gdzie mowa o ogniu, próbującym złoto a niszczącym drwa, słomę i t. d.; ów ustęp ciągle w ówczesnej polemice teologicznej (o czyściec) cytowano, mawiano coraz o drwach niby o plewie, baśniach (np. w owym „Odporze“ Glicznera na całych stronicach to się powtarza) i co najmniej przyczynił się ów cytat biblijny do ustalenia takiego używania „drew“ i „drwienia“.

Dlaczego nazywają—w szkole szczególniej — pewną część ciała *sempiterną?* Poszło to z psalmu 77, wiersza 72, gdzie *posteriora* i *sempiternum* w znaczącym bardzo związku się zjawiają; terminu tego użył już Załuski w owych fraszkach 1753 r. (w fraszce Osculum *sempiternum*, nadzwyczaj charakterystycznej dla oceny, jak to się czasy i pojęcia o „shoking“ zmieniają: krewną jego starościnę rawską Załuską, słynną z wiedzy, z smaku i dowcipu, gdy jej pryszczyk na ustach wybiegł, zagadnął „gaszek smorgoński“, że całusem go zdejmie — ona mu tę receptę schować kazała, jeżeli zachoruje—na hemoroidy!) Od psalmujących żaków to wyszło, jak od nich i *repetować* i *solmizować* i *paupry* i *puery* a może i *fasoł*, *fasołować* (troszczyć się, gryźć), poszły: *puerami* nazywano grających w komedji szkolnej, na gwiazdkę wystawianej; *solmizować* (a może i *fasoł*) od „da re-mi-fa so-la“ poszły; od nich wiemy o *korydonach* (głupich, nieukach, częsty to w dawnej literaturze termin) i o *dardańskich* osłach i o *bombizie* (ministrze kalwińskim; nazwa do dziś na Litwie używana, z łacińskiej reguły gramatycznej *pix bombix* i t. d.).

Wracamy jednak od tej wycieczki na pole kontrowersji teologicznych i szkolnych, do założenia naszego, do nadzwyczajnej różnorodności obcych terminów w języku naszym.

Szczególniej dawni nasi pisarze niewyczerpani w swych pomysłach; wobec nich nowsi nierównie skromniejsi. Gdy Mickiewicz, mówiąc o rzeczach wschodnich, w wschodnich terminach nie przebierał, zarzucili mu natychmiast „klasycy“ warszawscy tatarszczyznę, radzili przekładać Sonety krymskie na polskie. Ciekawym, na jakie miano zasłużyliby u nich dawni pisarze, wplatający bez skrupułu terminy wschodnie, chociaż bynajmniej nie o wschodnich rzeczach mówią. Np. Wacław Potocki powie w misterjum wielkonocnym „kilkuset *galbinów* odżałować“, to znaczy, używa nagle rumuńskiego terminu dla dukata (że galbin rumuńska nazwa, nie wiedziałem, pisząc rozprawę o języku poety) albo powie: „przemówi słowo *Sakał*, aż błazen z proroka“, ale *sakał* to madiarska nazwa brodacza; albo „tam prowadzą duszami ładowną *zacharę*“, ale *zachara* to prowjant, który Turcy do Kamieńca wozili; albo

„*zekier* do łuku przy strzale“, ależ *zekir* to turecka nazwa pierścienia itd. Ogólnie używają np. *munsztułuku*, t. j. daru za pomyślną nowinę — „napiwne“ nazywa się zresztą stale „oduznym“, bardzo stosownym dla rycerskiego narodu. Rumuńscy *kurcjanie* (niby dworzanie, szlachta), *kałaraszy* (posłańcy konni) i t. d. gospodarują u naszych pisarzy XVI i XVII wieku, u Stryjkowskiego czy u Potockiego w najlepsze. Pamięć niejednego terminu (kunaku np. dla noclegu i t. p.) ożywił Sienkiewicz i tłumaczów swych w ambaras niemały wprowadził. Cóż więc sądzić o tym mnóstwie obcych przybyszów?

Nie czyni ono nam wielkiej ujmy; każdy bowiem naród z znaczną starodawną kulturą obfituje w terminy obce. Niemiec np. najprostszego zdania bez słów łacińskich nie złoży; nawet ciała swego nie nazywa własnym, lecz obcym słowem, *Körper*, nawet dla „listu“ i „pisania“ musi się od łacinników zapożyczać, bo *Brief* i *schreiben* nie niemieckie słowa, lecz łacińskie *breve* i *scribere*; wszystko co do ogrodu, piwnicy, domu, miasta i t. d. należy, z łaciny on zowie. Tylko dzicy, którym słownik paruset słów wystarcza, mogą się, nie mając żadnych potrzeb, bez pożyczek obywać. Odwrotnie, ułamki ludów, podpadające pod wyłączny wpływ obcej kultury, nasiąkają obczyzną w całej mowie, np. mowa połabskich Słowian, w Hanowerze, za Elbą, od Słowiańszczyzny odciętych zupełnie, niemiecką mowę w słowiańskie dźwięki i formy ubrała; podobnie i kaszubskie narzecza się wynaradawiają, mówią np. „Kabatcy“ *ty masz spiewane* (du hast gesungen, zamiast *ty spiewał*); albo „wendscy“ Serbowie nad Sprewą krają *z nożem*, nie *nożem*; albo nasza śląska brać pyta: „gdzie oni jadą“, t. j. „gdzie pan jedzie?“ To są skrajności: mowa bez słów obcych i mowa wyradzająca się w obcą. My się złotego środka trzymamy; nikomu specjalnie w niewolę się nie oddaliśmy, czerpiemy z wszelakich zasobów obcych, nie tracąc nigdy pod nogami własnej ziemicy; silni tym poczuciem zostawiamy innym zabawkę wymyślania „własnych“ nazw dla chemji lub telegrafu.

Świadczy to o nas bardzo korzystnie; to dowodzi, żeśmy żyli zawsze z innemi ludami razem, żeśmy słuchali jak mówią, przyjmowali z potrzeby a najczęściej bez wszelkiej potrzeby, obce ich nazwy, nawet dla rzeczy własnych*),

*) Tak pozbyliśmy się słów własnych na korzyść obcych np. dla oznaczenia *losu* (zamiast naszego *źrebia*); my już tylko *szukamy* (suchen), dawniej *iskaliśmy*—dziś chyba pies się *iszcze*; spożywamy *kawałki* zamiast *kęsów, żuchełków* i t. p. (z niemieckiego); *rachujemy, stosujemy się, budujemy, żegnamy, cofamy się, tańcujemy* i t. d. i t. d. z Niemcami. Liczniejsze przykłady, patrz w książeczce «Cywilizacja i Język».

Dziś temu zaradzić trudno. Ale ponieważ „Młodą Polskę“ przedtym zaczepiłem, więc teraz wypada uznać jej zasługę; ona bowiem, świadomie czy nie, język odczyszcza i upolszcza napowrót.

Żeromski, Reymont, nie mówiąc o innych, jak Orkan lub Jasieńczyk, wprowadzają do języka nie tylko tam, gdzie chłopom rozmawiać każą, ale wogóle do swoich powieści i szkiców słowa djalektyczne, gwarowe. Gwary bowiem przechowały nieraz rzeczy dawne, o których język piśmienny, kulturalny, od wieków zapomniał.

Wiadomo, że „Młodą Polskę“ obrzucają najrozmaitszemi zarzutami: od niemoralności do egzotyzmu; że zarzucają jej nawet ze strony językowej niepotrzebne—jak mówią—pstrzenie mowy naszej za pomocą nowych, nieznanych słów gwarowych. Zarzut to najniesłuszniejszy i ci, co go czynią, naraziliby się kiedyś na tę samą śmieszność, która dziś w naszych oczach okrywa Osińskiego, Koźmiana i innych stróżów parnasu warszawskiego, co to Mickiewiczowi wymyślali od Pińczuków, barbarzyńców i dziwolągów językowych—gdyby nie to, że my prędzej dziś żyjemy a więc i prędzej zapominamy.

Reforma, rozpoczęta przez Mickiewicza, przez Słowackiego i innych dokonana, była konieczną, aby ten język, któremu niemal sztucznie krwi ujęto, który wedle modły francuskich salonów pozbawiono wyrazistości i barwności, do dawnej przywrócić świeżości, blasku i mocy. I już dziś uważać można za zasługę „Młodej Polski“ powoływanie do nowego życia starych wyrazów, zapomnianych.

Charakterystyka Słowackiego.

Poeta to innej miary, niż Mickiewicz. Ten słusznie pragnął dożyć tej pociechy, żeby wzięły wieśniaczki do ręki jego księgi, proste, jako ich piosenki;—o czymś podobnym Słowacki nigdy nie marzył. Nie dla tłumów jego poezja, im ona niezrozumiała, nie przystępna, rażąca ich i niepokojąca, nie kojąca ich trosk i bólów, ani piękna, ani prawdziwa nieraz w zwykłym znaczeniu słowa, nierówna, pełna wzlotów górnych i upadków nizkich. Poeta to raczej dla niewielu, dla wybranych, poeta dla wykształconych umysłowo, odczuwających subtelniejsze piękno, sztukę większą, natchnienie lotniejsze, rezygnujących z wrażeń i wdzięków realnych, nieraz grubsze, z poezją czerstwą, silną, rumianą, plastyczną, zmysłową, nawet gdy w nieskończoności się gubi, z porywającą siłą uczucia; marzyciel

Słowacki z rzeczywistością nie liczy się nigdy, buja w krainach urojonych, unosząc tam powolnych sobie na skrzydłach potężnego natchnienia, czarując muzyką swych słów, barwą swych obrazów, ich nastrojem smętnym, nieraz rozpaczliwym, w pogoni za ideałem, nigdy niezaspokojony na ziemi, smutny.

Melancholicznej muzy Słowackiego cechą podstawową jest właśnie ów smutek, tęsknota, żal głęboki:

Trochę w tym wina jest mojej młodości,
Trochę tych grobów, co się w Polsce mnożą,
Trochę tej ciągłej w życiu samotności,
Trochę tych duchów ognistych, co trwożą,
Palcami grobów pokazując kości...

Młodość przypadała na czasy, kiedy żyło się właśnie w krainie marzeń, a zastępowało tylko rzadko na padół ziemski i godziło z rzeczywistością tylko chwilowo: u Słowackiego młodość ta zaczęła się nadzwyczaj wcześnie i przedłużyła nadmiernie. Już dzieckiem „ileż to razy, patrząc na stary zamek, marzyłem, że kiedyś w ten wieniec wyszczerbionych murów nasypię widm, duchów, rycerzów, że odbuduję upadłe sale i oświecę je przez okna ogniem piorunowych nocy, a sklepieniom każę powtarzać dawne Sofoklesowskie „niestety", a za to imię moje słyszane będzie w szumie płynącego pod górą potoku, a jakaś niby tęcza z myśli moich unosić się będzie nad ruinami zamku".

Marzenia spełniły się, chociaż nie rychło.

W pomniku, który sobie Słowacki za życia, jak Horacy lub Puszkin wystawił, zgadza się, że

Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie, jak dźwięk pusty, trwać przez pokolenia.

Lecz kto szlachetny, przyzna:

Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

I słusznie chlubi się poeta:

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść, taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionej łodzi,
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?
Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic, tylko czoło zdobi,
Lecz po śmierci was będzie gniotła, niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba, w aniołów przerobi!

Bo Słowacki sam to nie Anhelli, nie załamał rąk w bezbrzeżnym smutku, w bezsilnej rozpaczy; rwał się do czynu:

zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei
i przed narodem niosą oświaty kaganiec,

i wołał tryumfująco, jeszcze w Beniowskim:" przyszłość moja i moje będzie za grobem zwycięstwo, bo lud mój,

Gdy zechce kochać, ja mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał;
Kiedy kląć zechce, przeze mnie kląć będzie;
Gdy zechce płonąć, ja będę rozgrzewał;
Powiodę tam, gdzie Bóg, w bezmiar, wszędzie.
W me imię będzie krew i łzy wylewał;
Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi,
W dzień, jako słońce, w noc, jak żar prowadzi!

A w „Królu-Duchu" zstępował wieszcz nowego ducha między nas, w płomiennej koronie, z zasłoną na licu, którą oko błyszczące przenika.

Każdy z nas w głosu jego głuchym dzwonie
Ojczyznę śpiącą, gdzieś pod mogiłami,
Odrywającą się z wiekowej ciszy,
Słyszał lub sądził wyraźnie, że słyszy...

Nawet dramaty jego ożyły, o czym nie marzył, stały się podwaliną klasycznego repertuaru polskiego, bo chociaż z warunkami scenicznemi nie zawsze się godzą, należą do wielkiej sztuki.

Od ściśle przedmiotowej i plastycznej, epicznej, zrównoważonej, męskiej poezji Mickiewicza odbija w dziwnym rozgwarze muzykalno-rozwiewna, przedmiotowa, liryczna i nastrojowa, kapryśna i fantastyczna muza Słowackiego; jest w niej coś z kobiety, z wrażliwości nadmiernej, istnej mimozy, nie płoszącej tylko weny ducha lekkiego,

Który na mózgu, jak motyl na róży,
Usiądzie, aż się kwiat listkami zmruży,
A potym nagle odemknie swe łono,
Świeże i jasne, i na okolice
Roześle wonie, co wszystko pochłoną.

Ten feminizm Słowackiego był czymś zupełnie nowym, utrudniał jeszcze bardziej uznanie jego natchnień w czasach

i stosunkach, antypoetyckich jak rzadko, w literaturze, której kobieta i wszystko, co jej jest, pozostała dotąd obcą. Byłyż poetki na parnasie polskim, ale śpiewały one na męski ład, na tematy religijne, dydaktyczne, poważne; obywatelska, patryjotyczna cecha dawnej literatury wykluczała z góry feminizm, nie uznawała kobiety, jej nerwów i kaprysów, jej próżności i wietrzności, jej snów i marzeń; mulier taceat in litteris, było niby jej hasłem, jak nigdzie indziej.

Z podrzędnej tej roli nie wynosiła jej i rozpasana, lubieżna liryka Morsztynów—inni o kobiecie milczeli, nawet Kochanowski, jakby ta najpewniej „męża koroną“ być miała, o której najmniej się prawiło.

Sentymentalna literatura, hołdując miłości, choćby platonicznej, kobietę wskrzesiła, chociaż więcej się bawiła igraszką i lalką, niż się nią głęboko zajmowała.

Dopiero w romantyzmie uwolnienie czy rozpasanie indywidualności wprowadziło kobietę do literatury, natchnęło ją własnym życiem, przestało uważać zabawką czy utrapieniem mężczyzny, odwiązało niewolnicę od pręgierza, czy zdjęło pieścidełko z etażerki. Taką to emancypacją hołdował romantyzm kobiecie najgłębiej i najszczerzej; choć się nie rozmarzał przed nią, jak za czasów kultu dam i turniejów róż i sądów miłości, uznał w niej pierwszy człowieka—siostrę, ocenił w niej godność ludzką. Tę stronę romantyzmu nie Mickiewicz jednak wyraził zupełnie; nie stworzył on znamiennego typu kobiecego, jeśli wyjątkową, amazonkę Tassa, Grażynę albo najpospolitsze, Telimenę przestarzałą i Zosię, którą wdzięki świeżej młodości ratują, pominiemy.

Już „Marją“ Malczewski stanął wyżej, niż Mickiewicz, malujący namiętności i skargi męskie. Na słońcu przeciwnym stanął Słowacki, pierwszy nasz psycholog, malarz czy rzeźbiarz kobiety; żaden poeta polski, żaden słowiański, nie stworzył równie bujnej girlandy główek kobiecych, od wiotkich, eterycznych niebianek poprzez szeregi ziemskich kochanek, niewolnic, sióstr, aż do furji i jędz piekielnych, do Gwinony i Rzepychy, pokrewnych sobie, do Balladyny, nie obcej im duchem. Wyjątkiem jest utwór Słowackiego bez wybitnej roli bogdanki, np. Kordjan; Beniowskiego Aniela przewyższa, a Swentyna Sawie dorównywa; w Królu-Duchu nawet, przynajmniej w dalszych rapsodach, zrównoważone są niemal płci obie. Nie przypadkiem też wiele utworów Słowacki od heroin nazwał, od „Marji Stuart“ aż do „Snu Salomei“.

I w nim samym, jak i w bohaterach, których tworzył, w „Kordjanie“ i innych, było coś kobiecego: bierność zupełna woli. wyobraźnia płomienna, bujająca nad światem, uczucie eg-

zaltowane, melancholja rzewna, głęboka—nawet upojenia szczęściem nie wyraża on po męsku, jemu

Wszystkie uczucia gwałtownemi loty
na serce spadły, jak gołębi chmura,
pić łzy i białe w nim obmywać pióra,
aby się czyste rozlecieć po niebie!

A były w nim inne rysy kobiece, próżność, przyrodzona niemal, spotęgowana poczuciem własnym talentu, spółczesnym górnym mniemaniem o zadaniu i zasłudze wieszcza, więc wybujała nadmiernie, aż do chorobliwej przesady, o roli własnej w narodzie...

Nie wyczerpuje rysów i znaczenia Słowackiego ani nieprześcignione mistrzostwo formy, przepych wiersza, czar słowa, blaski obrazowania; ani gienjalne pomysły, jakich mu każdy poeta zazdrościć musi, ani feminizm jego; ani obce słowiańskiemu duchowi lubowanie się w okropnościach, jakby przykładem Wiktora Hugo poddane; ani gonienie za efektem, za ekscentrycznością. Już to wszystko było nowe w literaturze polskiej, skromnej dotąd raczej (jak niewykwintne np. rymy Mickiewicza i proste jego słowa), nie lśniącej w szatach wzorzystych, nie stąpającej na wysokim koturnie. Słowacki dawał jeszcze coś więcej. Wierzył on głęboko, ale religja jego była nie mniej kapryśną, jak jego estetyka; więc nie znał owczych popędów, nie szedł za tłumem, wytartą wiekami koleją, nie zawahał się Rzymu zgubą Polski nazwać, drogę ku Tjarze zwróconą oznaczyć jako kłamną, Jezuitów kąsać. Za to wierzył, „że ludy płyną, jako łańcuch żórawi w postęp“ że pochodnię oświaty wysoko dzierżeć należy, wierzył w „ducha-rewolucjonistę“, od klerykalizmu, któremu się tylu poddawało, odstrychał się zawzięcie. Sam arystokrata w myśli, czuciu i słowie, demokracji się nie zapierał, wierzył w respublik jedynaka syna— od konserwatyzmu Krasińskiego oddalał się najbardziej, poeta postępowy, chociaż burżuazyjnemi formami postępu, konstytucjami czy parlamentami, gardził nie mniej, niż Krasiński lub Mickiewicz; i w jego oczach władał niemi tylko pieniądz — interes. Tym się co do zasad społecznych wyróżniał, bliżej stojąc Mickiewicza, niż Krasińskiego, nie dzieląc ich kultu Napoleońskiego. Najbardziej wyróżniał się—u Słowackiego koncentrowało się wszystko w samej poezji, żaden z naszych wielkich nie wytrwał przy niej dłużej i stalej, niż on—jako poeta; prześcignął spółczesnych, oddźwięk znalazł, nie za życia, w dziesiątki lat, po zgonie dopiero, oddźwięk, wzmagający się coraz, przygłuszający wielkiego rywala. Dziś, kiedy od obrazu nie wymaga się ani anegdoty dziejowej czy prywatnej, ani ilustracji

etnograficznej czy topograficznej, rywalizacji z płytą fotograficzną, kiedy żąda się emocji kolorystycznych, nastroju barwnego—i w poezji raczej to, co Słowacki, niż to, co Mickiewicz daje, popłaca.

Czego się fantazja czarodziejska Słowackiego dotknie, pomysłu „Starego Wila", czy notatki pisarza bizantyńskiego, wspomnienia z Jaszun i Czerczej, czy grobu Agamemnona i Chrystusowego, szumu morza, w konchę zaklętego, czy bezbrzeżnej tęsknoty stepowej, namiętności przerażających, czy smutku trapiącego: wszystko przetapia ona w fale i strugi poezji, mieniącej się, jak łuski wężowe i pióra pawie, zawieszonej tęczami nad szarą powierzchnią ziemską. Słowacki to jedyny poeta, który poezję dla poezji cenił, który jej nie rzucał, jak ją Mickiewicz i Krasiński rzucili, któremu jego pieśni były jego czynami, któremu poezja zastępowała wszystko—i uciechy życia i szczęście trwalsze.

Mickiewicz i Słowacki, acz całkiem odmienni, przedstawiają typy najzupełniej jednolite, skończone poeta, w którym przeważało uczucie, musiał w końcu zerwać z samym kultem słowa i formy, i Towianizm go tylko w tym utwierdził, nie oderwał go od poezji; marzycielowi — fantaście ten sam Towianizm nowego do rojeń poddawał materjału. Obaj zespalali się całkowicie z poezją słowa i czynu; żaden krytycyzm nie ostudzał ich uniesień; nawet na manowcach mistycznych imponują oni głęboką wiarą, poddajemy się czarowi ich osobistości, ich przekonania niezachwianego, nawet gdy słowom czy argumentom nie przyznajemy mocy. Inaczej stajemy wobec Krasińskiego; tu rozszczepienie między człowiekiem a poetą zupełne; on z góry poezji za swe powołanie nie uznaje, rwie się do czynu politycznego; nie dowierza nikomu, zwłaszcza sobie; zapatruje się krytycznie, trzeźwo, na świat, oburza się jego podłością i głupotą; jest pesymistą, z ciała, chorobami i bólami znękanego, i z duszy, refleksją trawionej, wątpieniem wyżartej; konserwatysta i katolik, z tradycji, z wyrozumowania,— czy i z serca? To wszystko, jako człowiek; całkiem inaczej, jako poeta: idealista, wierzący w postęp ludzkości, w zbawienie świata, a drogi do tego jasno ma wytknięte; zdrowy i silny, wahań nie znający; pokrzepiający zwątpiałych i słabych; tylko pod względem narodowości i w życiu i w poezji sobie wierny. Do historji literatury należy tylko poeta Krasiński, poeta refleksji, uzupełniający poezję uczuciową i fantazyjną spółmistrzów, na silnym podkładzie myślowym wznoszący się ponad szranki narodowości i czasu, poeta o wszechludzkich aspiracjach, szczególniej w początkach swego zawodu.

Arjanie polscy.

(Fragment).

Polski romans historyczny, chociaż objął całą przeszłość dawnej Rzeczypospolitej, nie wyczerpał dotąd ciekawszych jej motywów. Zwykłym polem popisów i nieodzownemi przyborami zawsze jeszcze pozostają, od dni Niemcewicza i Bronikowskiego, intryga miłosna na tle obyczajowym, wykonanym mniej lub więcej szczegółowo i barwnie, intryga, spleciona z byle jaką akcją historyczną, odgrywającą się stale przy huku trąb i kotłów, parskaniu rumaków, szczęku oręża, wśród tłumów w kosztownych zbrojach, deljach, kontuszach; intryga, przerywana napadami, oblężeniami, ucieczkami, powracająca do dworów pańskich, a zaglądająca mimochodem w dworki szlachty kuligującej, w komnaty i alkowy miejskie lub pod słomianą strzechę chłopka.

Wielki talent wystawi w takich ramach szerokie a barwne obrazy, wprawi w ruch ludzi krewkich a szlachetnych i słabych a śmiesznych, wywoła kolizje tragiczne lub drastyczne, jednym słowem wzruszy nas i przerazi, a choćby tylko zabawi. Lecz i on w końcu znuży czytelnika, przedstawiając przeszłość zbyt jaskrawo a jednostronnie zarazem; w ciągłym hałasie wojennym lub w gwarze biesiadnym trudno uchwycić fizjognomję codziennego życia, wpatrzyć się—nie w poszczególne barwne obrazki—lecz w całą przeszłość, mianowicie w te jej załomy i dzieje, które, choć mniej świetne i głośne, za to sięgają głębiej, splatają się ściślej i jedynie zdolne wzruszać nas trwalej.

Szereg takich, dotąd mało lub wcale nieobrabianych konfliktów, wypływa ze zmącenia spokojnej powierzchni prastarego bytu nowemi powiewami i prądami z zagranicy; ze starcia się dwuch cywilizacji, epok, pokoleń; ze starcia, nietylko wywoływanego przesileniem ekonomicznym i socjalnym w wieku naszym lub upadkiem „sarmatyzmu" w wieku przeszłym, jaki w „Listopadzie" dorywczo przedstawiano, lecz powtarzającego się tak samo w wiekach poprzednich, np. w owym niepohamowanym wdzieraniu się renensansu i reformacji w głuche, zapadłe kąty na Rusi i Litwie, w owym uderzającym kontraście między prastarą ruską a nową włosko-polską kulturą, przetwarzającą każdy szczegół domowego życia, przetapiającą wszelką myśl i uczucie, narodowe i religijne, wobec której bezsilne są wszelkie próby zatamowania prądu, podejmowane przez jednostki hołdujące domowym tradycjom; przez ascetów chroniących się przed nowym życiem po celach; przez wychodźców, jak książę Kurbski

lub mnich Artemjusz, podtrzymujących chylącą się bodowę. Co za ciekawy a nowy szkic obyczajowy da się skreślić na podstawie opowiadania ks. biskupa Wereszczyńskiego o własnym ojcu i jego wychowaniu, lub co za konflikty dośledzi powieściopisarz w dziejach ostatnich książąt Ostrogskich lub Wiśniowieckich i połączonych z niemi przemianach, charakteryzujących całe pokolenie szlachty litewskiej i ruskiej!

Lecz nierównie ciekawsze, zawilsze i głębsze procesy psychiczne dadzą się odtwarzać na tle różnic wyznaniowych, na tle owej walki katolicyzmu i protestantyzmu wszelkich odcieni z jej dziwnemi, niespodziewanemi zwrotami. Spotykamy w dawnych zapiskach co krok dramaty domowe, walki sumień i przekonań, małoduszne ustępstwa i gorzkie po nich wyrzuty, napraszające się do ujęcia w ramy noweli czy powieści. Wymienimy byle jaki fakt, na chybił trafił, np. wyjście Lucławic z rąk arjańskich.

Łucławice na Podgórzu, nad Dunajem, posiadłość Taszyckich i Głońskich, gdzie głośny apostoł arjaństwa, Faust Socyn żył, umarł (1604 r.) i pochowany, były długi czas przestankiem dla nadjeżdzających z Siedmiogrodu arjan, szkołą dla ich młodzieży po zniesieniu rakowskiej, zborem głównym, za słynnego Ionasza Szlichtynka, dla sąsiedzkiej szlachty arjańskiej, dla Potockich, Morsztynów i innych. Od Andrzeja Gosławskiego i żony jego, wdowy po Taszyckim, trzymającej Łucławice dożywociem, odkupił je Zygmunt Taszycki, wychowanek sędziwego Stanisława Lubienieckiego, w którym arjanie silne pokładali nadzieje. W ich otoczeniu obiecywał młody Zygmunt wytrwałą wiarę; to samo ślubował młodzieży szkolnej, gdy go w przemowie uroczystej witała; najsilniej zaś tkwiła w nim pamięć matki, pochowanej wraz z ojcem na cmentarzu lucławskim, która go na łożu śmiertelnym zaklinała, by zboru arjańskiego strzegł jak oka w głowie, by nie dał go sobie wydrzeć podstępem lub mocą, grożąc, w razie przeciwnym, potępieniem jemu i jego pokoleniu. Lecz niebawem zachwiała się stałość: ożeniony z katoliczkami, z których głównie druga, Czermińska z domu, nienawiściom przeciw arjanom pałała, dał się w końcu nakłonić Gąbickiemu, biskupowi krakowskiemu, szczególniej gdy zaczęto patronów arjańskich prześladować; porzucił więc związki rodowe i przyjacielskie i zbór wyznawcom odebrał. Lecz utracił odtąd spokój wewnętrzny: dzień i noc trapiła go mara matki, wyrzucającej mu niewdzięczność, zdradę i złość jego. Gdy raz w południe legł znużony na łożu, ujrzał z przerażeniem, jak matka, od wyrzutów i gróźb zacząwszy, w końcu na niego się rzuciła i pokrycie mu zdarła, że oszalały ze strachu uciekł; ciągłemi wyrzutami sumienia gryziony, zginął nieznanym

rodzajem śmierci w wojnach kozackich. Siostra jego żony (Czermińskiej) Bierecka, goszcząc w Lucławicach, cieszyła się, wstąpiwszy do zboru, że da się on na obszerną karczmę przerobić, lecz nie długo było tej uciechy, gdyż w kilka dni umarła. Rozwiodła się ona była z mężem, zamożnym ziemianiem przemyskim, idącego do łaźni przestrzeżono bowiem przed trucizną, jaką przyrządziły dwie panny służebne, żona i kilka czarownic. Przekonawszy się o truciźnie—naczynie drewniane, w jakie ją wlano, pękło — kazał Bierecki czarownice spalić, a panny przed drzwiami żony obwiesić.

Przytoczony właśnie epizod opowiedział znakomity autor historji arjaństwa, Stanisław Lubieniecki (młodszy), który i dumną Czermińską znał i na czele młodzieży od Zygmunta Taszyckiego zapewnienie stałego wytrwania przy wierze przodków otrzymał; któremu, gdy w Kopenhadze dla prześladowanych wszędzie spółwyznawców o kawałek ziemi prosił, aby na nim jeśli nie żyć, przynajmniej umrzeć mogli, arcybiskup Swaning w oczy szyderstwem cisnął: „Są przecież ludzie, co i na powietrzu gnić mogą", ten wreszcie, który sam wraz z córkami od trucizny zginął.

Pełno po kronikach rodowych konfliktów i przygód, jak owe lucławskie, nietkniętych przez naszych powieściopisarzy; w samym dziele Lubienieckiego kilkanaście podobnych znajdziemy. Arcyrzadko, i to niemal mimochodem, urywkowo, zahaczają nasi pisarze o najświetniejszą epokę dziejową i te tej przemiany i różnice, jakie prądy reformacji w narodzie szlacheckim wywoływały, zwykle pomijają głębokim milczeniem, pozbawiając się najciekawszych tematów, owe lata, wrące życiem duchowym, kiedy to religja i spory o nią, zdawało się, groziły zerwaniem związków przyjacielskich, rodzinnych, państwowych; kiedy w imię religji, zapominając o odwiecznych prawach gościnności, gospodarz i goście do kordów się rwali; kiedy w jej imię pomiatano czwartym przykazaniem, wyżłabiała się przepaść między rodzicami a dziećmi, braćmi a siostrami, mężem a żoną; jedni drugich skłaniali prośbą lub groźbą, gdy racji nie stawało; pan uciskał dla niej poddanych; w imię religji zrzekano się dobrowolnie związków, stanowisk, bogactw, odosobniano się, używano wreszcie wszelkiej broni, podstępów, obmowisk, kłamstw, by przeciwnika oskarzyć, wyszydzić, zbezcześcić. I zdawało się chwilowo, że powtórzyły się owe wieki po Chrystusie, kiedy to na wschodzie każdy wrażliwszy umysł oddawał się polemice i spekulacjom, porzucał doczesne zajęcia, zagłębiał się w pismo i doktorów kościoła, cytował i objaśniał po swojemu teksty. Niedarmo skarzyła się w r. 1562 „Zgoda" Kochanowskiego, że świeccy

Jęli się sami kazać i żony wćwiczyli —
Więc teraz wszyscy każą, a żadna nie słucha;
Spytajże, skąd apostol? Duch, pry, gdzie chce dmucha...
Wy każecie, wyprawcież na Podole mnichy;

a w parę lat później „Proteusz" (pióra kalwina, Andrzeja Wolana) twierdzi:

...że wasze biesiady,
Zwłaszcza na wnet, o wierze dysputują rady.
A chcą ci być doktormi, co nic nie umieją:
Tym rozumu przybywa, gdy szyję naleją.
Fraszka u was swarzyć się o Pańską wieczerzę...
Powadziła was, słyszę, ona święta Trójca;
Chcecie wiedzieć, jako Syn urodził się z Ojca
Chcecie wiedzieć, jako Duch z Obudwu pochodzi,
A widzę żeście bardzo w tych naukach młodzi...
Stąd wielkie zamieszania rostą i fasoły;
Drudzy się korda radzą nie prawdziwej szkoły i t. d.

Polemika teologiczna rozrywa wtedy nietylko związki przyjacielstwa i pokrewieństwa; ona to sprawia, że izba poselska zamiast popierać egzekucję praw, obronę granic lub unję państw, bada wiarę, zrzuca „jarzmo rzymskie" i domaga się służby Bożej i nauki „wedle szczyrego słowa" które każdy inaczej określa. Polemika teologiczna ściąga niepospolite umysły z właściwych im torów na manowce im obce: Warszewicki, Gliczner, Frycz porzucają dla niej filologję, pedagogję, nauki polityczne; spółwyznawcy zapominają o autorze „Poprawy Rzeczypospolitej", a pamiętają o badaczu dogmatów. Przy nagłym zgonie Orzechowskiego nie opłakują utraty świetnego stylisty, mówcy, historyka, czy polityka—cenią w nim jedynie najsłabszą jego stronę polemiczno—teologiczną, owe nieraz niecne, a zawsze błahe wycieczki przeciw Stankarowi i Fryczowi. Oto spółczesny wiersz Andrzeja z Pilzna, nieudolny lecz ciekawy, wyliczający wszystkich przeciwników, jakich „Oksza" (topór, herb rodowy Orzechowskich) rąbała (modernizujemy tylko pisownię i objaśniamy w przypiskach nazwiska):

Epitafium Stanisławowi Orzechowskiemu.

Sroga śmierć nam nietrefnie bardzo uczyniła,
Lże cię miła Okszo, teraz wyszczerbiła.
Tłukałaś, rębała, siekła te kacierskie błędy,
Których tym czasem dosyć między ludźmi wszędy.
Nic cię nie ustraszały i sęki zawiłe;
Było to przed twym hartem jako próchno zgniłe.

Już przed tobą Krzywonos[1]) much nie umiał chwatać;
Już on bujny Sokołek[2]) nie śmiał w zgórę latać;
Już Przechadzka[3]) nie umiał i rozdziewić gęby,
Gdy hardy Puklepa[4]) wziął toporzyskiem w zęby[5])
Wzieła i Sarna blatem a obuchem Brzoza;
Znali cię, miła Okszo, jak rzeźnika koza.
Z Płatka płatki padały, a zasię Biandrata
Przed tobą na Lizmana wołał: rata! rata!
Odcięłaś rogi krowie a szyję Chimerze,
Co chcieli przepyskować w starożytnej wierze.
A stąd cię Niemcy, Włosi i Hiszpani znają;
Ostrsza w Polsce nie była Oksza, powiadają.
Przeto acz okrutna śmierć nam cię wyszczerbiła,
Ale co(ś) wyciosała tego nie skaziła.
Latają po wszem świecie twe trzaski z papiru,
Które z kacerzmi nigdy nie będą mieć miru.
Pierwej tedy przez Przemyśl San rynkiem popłynie,
Niżli twa, Okszo! w Polsce pamiątka zaginie.

Nie zamierzamy kreślić znanych dziejów wzrostu i upadku reformacji w Polsce; chcemy zwrócić uwagę na niejedną dramatyczną, czy komiczną kolizję, wydobyć garść znaczących szczegółów z zapomnianych dzieł, broszur i rękopisów, zbliżyć tryb życia ich i ich samych zapomnianych, nieraz spotwarzonych, nigdy dostatecznie nie ocenionych, do sądu i znajomości ogółu, zwrócić uwagę naszych powieściopisarzy na tę niewyczerpaną kopalnię motywów i konfliktów. Wybraliśmy arjan, bo jeżeli kto, to oni — i najciekawsi i najwięcej zapomniani i najniesprawiedliwiej zasądzeni. Nasz ogół wie o nich tylko, że przeczyli przedwiecznemu bóstwu Chrystusa; że Raków był ich Atenami; że zdradzili kraj dla Szwedów, za co niby ich wygnano; słyszał może o wałach lub cmentarzyskach arjańskich po polach i lasach, i przywiązanych do nich podaniach; czytał może o chrzcie—nurzaniu dorosłych lub owe niedorzeczności, jakie znany romans o ojcu arjaninie Adama Szmigielskiego prawił.

Natomiast może mniej między nami rozpowszechnione jest przekonanie, że szare kopieniaki (płaszcze) owych ludzi bez broni, kryły najlitościwsze, najcieplejsze serca polskie; że mię-

[1]) Feliks Krucygier, superintendent. [2]) Falconius, minister. [3]) Minister. [4]) Stanisław Paklepka zmarły 1565 od powietrza. [5]) W rękopisie wssędi

dzy arjanami siedemnastego wieku odnajdziemy, i najbystrzejsze głowy i najbartowniejsze charaktery; że umiejętność polską owego wieku między europejskiemi reprezentują najświetniej dzieła polskich arjan, a nazwiska ich znają i powtarzają ze czcią tam, dokąd nazwiska innych Polaków nie docierały; że kwestje, wznowione za naszych czasów i światu, jako objawienie głoszone, rozsądzały między sobą już owe zboreczki arjańskie w Lublinie, Rakowie, czy Łucławicach. I potępiły one niewolę chłopa na trzysta lat przed emancypacją włościan; zakazały wojowania bronią dawno przed wielkiemi ligami pokoju; nie przyznawały trybunałom prawa miecza, nim jeszcze ktokolwiek o zniesieniu kar cielesnych pomyślał; głosiły naukę niesprzeciwiania się złu, a zwalczania go dobrem; natrafiały u mędrców tego świata na te same zarzuty, szyderstwo i obojętność, jakie po wiekach np. Lwa Tołstoja czekały; broniły one najwytrwalej wolności badania i wyznania, niewiązania sumień, nieprześladowania wiary w czasach, gdy inkwizycja katolicka i protestancka tylko stosem i mieczem, więzieniem i torturą, banicją i konfiskatą prawowierności strzec się podejmowała. I nie wiedzą u nas, że zasady i metody arjańskie, niegdyś od samych protestantów oplwane i potępione, wystawiane zawsze jako dzieło szatańskie, już dawno rozeszły się i rozrosły z tryumfem po wyznaniach protestanckich; że „kąkol", wypleniony u nas, przyjął się na glebie obcej; że w Anglji i Ameryce tysiącami liczono i jeszcze dziś liczą zwolenników lub wyznawców dawnego arjaństwa, między niemi Isaak Newton i inne znakomitości, choć z czasem arjaństwo i nazwę zmieniło, i wierne swej zasadzie ciągłego rozwoju, w szczegółach się przekształciło i nowego ducha nabrało; że, jednym słowem, w Europie i Ameryce na racjonalistyczny rozwój wiary nasze arjaństwo stanowczy wpływ wywarło.

I mimowoli wzrusza nas obraz owej szarej, cichej, kornej gromadki polskiej, znoszącej dla Ewangielji wszelkie urąganie, podejrzywanie, wykluczanie; wyrabiającej w sobie ową karność i tęgość ducha, jaką w najgroźniejszej próbie wykazać miała. Bo gdy po wieloletnich częściowych prześladowaniach nakoniec wszystkich arjan z kraju wygnano, nie dlatego, że zawinili, lecz tylko dla tego, że „źle wierzyli" zaprzeli się oni świata i mienia i wzięli krzyż na się, choć starczyło przyjąć katolicyzm, by się przy wszystkim utrzymać; nie zawahała się większość ich porzucić wrogi kraj ojczysty i udać się na tułaczkę, a nigdzie nie liczyć na litościwe przyjęcie, jakie np. francuskich lub salcburskich emigrantów o wiarę między spółwyznawcami pewnie czekało, i litowała się nad niemi chyba śmierć, która z kilkuset ciągnących do Siedmiogrodu, a złupionych po

drodze przez żołdactwo cesarskie, rychło tylko trzydziestu przy nędznym życiu zachowała.

W dziejach literatury zajmują arjanie również znaczącą kartę; żadne wyznanie nie wydało stosunkowo tak licznych i tak znakomitych pisarzy w szesnastym i siedemnastym wieku, jak oni. Wprawdzie przeważają u nich publikacje w języku łacińskim i treści teologicznej, głównie dogmatycznej, spisane przez Włochów i Niemców; niewolno nam jednak zapominać, że należeli do nich Andrzej Frycz, Marcin Krowicki, Marcin Czechowicz. Z pod pióra ostatniego wylewała się polszczyzna tak poważna, uroczysta i namaszczona, że mu tylko Skarga dorówna; Szymon Budny, Jan Niemojewski, Hieronim Moskorzowski, Samuel Przypkowski, Jonasz Szlichtynk i inni, a z poetów Erazm Otwinowski, Olbrycht Karmanowski, Zbygniew Morsztyn, przedewszystkim zaś Wacław Potocki, najwięcej narodowy ze staropolskich autorów, który bogaty swój zawód poetycki zaczął od tych samych hymnów i pieśni religijnych, jakie w zboreczkach Lubieniecki, Wiszowaty i inni składali, a do końca życia, choć katolickie dogmata przyjął, etyki arjańskiej się nie zaparł. Należy przytym pamiętać, że inne wyznania protestanckie, np. kalwińskie, samoistnego życia duchowego u nas nie rozwinęły, że żyły głównie zasobami obcemi; — jedynego Andrzeja Wolana odznacza obfita czynność literacka (w języku łacińskim), obok niego wymienić można było Węgierskiego historyka reformacji, i tych niewielu, których polskie dzieła na niemieckie tłumaczono, więc „Postylę" Grzegorza z Żarnowca, dzieło polemiczne Jakuba Niemojewskiego i „Apologję" Marcina Krowickiego. Ze wszystkich wyznań tylko arjanie polscy, chociaż między starszemi spotykamy wielu obcych przybyszów, Włochów, Francuzów, Greków, (np. Blandratę Statorjusza, Paleologa Socyna) a między młodszemi jeszcze więcej Niemców (Szmalca, Völkela, Ostoroda, Krella, barona Wolzogena i innych) wytworzyli własną dogmatykę i etykę, wyłożyli ją przed światem w licznych publikacjach łacińskich i zaważyli samoistnie w rozwoju religijnym Europy, a względnie i Ameryki.

Nie wolno więc historji kultury polskiej pomijać arjan, niewolno jej pozbawiać się samochcąc kartki ciekawej, a tak niezwykłej w swych dziejach. Tymczasem w literaturze naszej o arjanach głucho; są szacowne wiadomości bibljograficzne u Jochera i Wiszniewskiego, luźne inne w publikacjach Krasińskiego, Łukaszewicza i i., lecz nie znalazł się nikt, ktoby podjął na nowo i uzupełnił niedokończoną historję arjaństwa Stanisława Lubienieckiego („Historia reformationis polonicae", drukowana w Amsterdamie r. 1685, pisana zaś jeszcze r. 1665)

lub bibljografję Sanda („Bibliotheca Antitrinitariorum", którą po śmierci autora Benedykt Wiszowaty rozszerzył i wydał, tamże r. 1684. Kto o polskich arjanach i ich nauce informować się zamierza, musi zawsze jeszcze sięgać do dzieł angielskich (np. Wallace „Antitrinitarian biography" Londyn 1850, w trzech tomach, czerpiące z dzieł obcych, Bocka, Sanda i t. d. bez własnych badań; z dawniejszych wymieniamy żywot F. Socyna i inne lub niemieckich; głównym dziełem pozostaje ciągle jeszcze: Der Socinianismus nach seiner Stellung in der Gesamtentwicklung des christlichen Geistes, nach seinem historischen Verlauf und nach seinem Lehrbegriff dargestellt von Otto Fock, Kiel 1847, 722 Str.). Lecz Fock nie umiejąc po polsku, ogranicza się głównie do nauki Socyna (Fausta) i do późniejszych publikacji arjańskich, objętych szczególnie w tomach łacińskiej bibljoteki braci polskich i kreśli tylko pobieżnie początki arjaństwa, o Budnym, Czechowiczu i innych ledwie wspomina, nici splątanych nie rozwija. F. Trechsel zamierzał w trzeciej części dzieła p. t. „die protestantischen Antitrinitarier von Faustus Socin, nach Quellen und Urkunden geschichtlich dargestellt" przedstawić obszernie początki antytrynitaryzmu polskiego, lecz części tej nie napisał*). Badania utrudza nadzwyczajna rzadkość dawnych dzieł arjańskich, Czechowica, Budnego i innych; już Sand—Wiszowaty, poinformowany zresztą wzorowo, o wielu wcale nie wiedział, a po nich znowu niejedno zaginęło bezpowrotnie, szczególniej co po rękopisach zostawało, dzieła pierwszorzędnej wagi Otwinowskiego, Budzyńskiego i innych, których strata niepowetowana.

Luki tej w literaturze naszej wypełniać nie myślimy, nie zamierzając kreślić historji, dogmatyki lub etyki arjańskiej, tym mniej występując w roli jej obrońców. Najsłabszą stroną była ich dogmatyka, niewolna od sprzeczności i niedomówień, odrzucająca tradycję, a trzymająca się pisma, już szczerze racjonalistyczna w gruncie, a przecież jeszcze i supranaturalistyczna, nie umiejąca pogodzić Boga i człowieka, przeznaczenia i wolnej woli, nieśmiertelności duszy i znikomości ciała; egzegieza ich silna w krytyce innych, słaba sama w sobie, gwałcąca i naciągająca nieraz potwornie lub śmiesznie znaczenie stanowczych miejsc pisma św. Zacietrzewieni w spekulacji, zatapiając się z predylekcją w swej chrystologji, którą tylko wszystkich

*) Początki arjaństwa polskiego bada teraz Dr. lic. Kruske, protestant śląski, któremu już kilka dzieł pokrewnej treści zawdzięczamy (Jan Łaski i spory sakramentarskie, 1901; Georg Israel, senjor jednoty wielkopolskiej 1894—oba dzieła po niemiecku).

chrześcijan odstraszali, zaniedbywali arjanie etykę, szerzenie jej zasad, choć jedynie niemi silnie wpłynąć mogli na społeczeństwo; kroczyli więc torami przeciwnemi od braci czeskich, z któremi zresztą, prócz fundamentalnych różnic dogmatycznych, tyle ich łączyło: ruchliwość literacka, srogie prześladowania, szerzenie się między gminem ubogim, unikanie świata i pokus jego. Tym zacietrzewieniem dogmatycznym tłumaczymy rażący brak ich ekspansywności: zebrani w małych gronkach, zespalają się oni tym ściślej. Przez całe dziesięciolecia odstępstwa od nich nieliczne, a jeszcze rzadziej przyłączy się do nich jaki ewangielik, bo z innych wyznań do nich nie przychodzono; z góry skazani niby na niepłodność i wymarcie, które wygnaniem tylko przyśpieszono. Charakterystyczną dla nich cechą jest, że jeszcze ostatnie ich pisma polskie np. wykład prawdziwy na cztery miejsca Pisma Św. o bóstwie Jezusa Chrystusa". Junasza Szlichtynka z Bukowca r. 1645 starają się wyłącznie usuwać owe świadectwa o przedwieczności Chrystusa, z ewangielji ś. Jana (I, 1): Na początku było słowo (na początku t. j. nie przed wiekami, lecz na początku ogłaszania Ewangielji); VIII, 58: Nim Abraham był, ja byłem (tj. w przeznaczeniu lub przejrzeniu u Boga!) i t. d. fałszerstwa arjańskie, np. ów rzekomy list lekarza Jana Smery, Połowca, wysłanego przez Włodzimierza księcia Kijowskiego, dla badania wiar, pisany z Aleksandrji, gdzie mowa o prześladowanych przez Greków wyznawcach prawdy Chrystusowej, t. j. arjańskiej, z któremi się Słowianie i resztki żydów nawróconych połączą*); dalej owo skrzętne wynajdywanie rzekomych cudów Opatrzności Boskiej, czuwającej widocznie nad arjanami — te i podobne słabostki wolimy pokryć milczeniem.

Nas zajmuje arjaństwo jako niezwykły okaz kultury polskiej, pouczający a ciekawy i dla nie-teologa w swym zarodzie, i w niektórych szczegółach. Ze stulecia ich dziejów (1550—1660) zastanowimy się więc nad początkami, w których się najróżnorodniejsze prądy obce i swojskie ścierały i zlewały; wskażemy polemikę co do utrzymania chłopów w poddaństwie i używania „miecza", t. j. dzierżenia urzędów; przytoczymy świadectwa o życiu w zborze i w domu, świadectwa zarówno przyjaciół, jak i wrogów lub odstępców; damy kilka mniej lub wcale nieznanych szczegółów biograficznych, anegdotycznych i literackich. Nadmieniamy, że dla wygody zatrzymaliśmy utartą nazwę, chociaż polscy „arjanie" w chrystologji inne zajęli

*) List ten znalazł niby około roku 1567 djak Andrzej Kołodziński w jakimś kościele pod Samborem.

stanowisko niż Arjusz, arjanami więc ich się zwać nie godziło; nazywano ich też ebionitami, samosatenami, focynjanami (od dawnych sekt, przeczących bóstwu Chrystusa, uznających w Chrystusie tylko człowieka). Antytrynitarjuszami (nie przyjmującemi dogmatu o Trójcy św.) lub, szczególniej w Siedmiogrodzie, unitarjuszami (nie dzielącemi jedynego Boga na osoby), anabaptystami, nowochrzczeńcami lub nurkami (odrzucającemi chrzest niemowląt, a nurzającemi dorosłych, katechumenów), wreszcie socynjanami (od ich „herezjarchy", Fausta Socyna, lecz przewaga jego datuje dopiero od ostatnich lat szesnastego wieku) — nazwy pojedyńczych odłamów, budneistów, farnowjanów, i t. d., pomijamy. Wszystkie te nazwy są zbyt dowolne lub jednostronne, najtrafniejsza byłaby może nazwa braci polskich, przypominająca nazwę i losy braci czeskich; pod tym tytułem wydano też zbiorowe pisma Socyna, Krella, Szlichtynka i t. d. („Bibliotheca Fratarum Polonorum", Amsterdam 1656 roku w pięciu lub więcej tomach) lecz ponieważ na stronę dogmatyczną nacisku nie kładziemy, możemy nazwę u nas utartą zatrzymać. Arjanie sami zwali się najchętniej chrystjanami, od Chrystusa, pozostawiając nazwę chreścjan („od Chrztu i Krzyżma, którym w dzieciństwie czarowani bywają", Czechowie „Rozmowy christiańskie" K. 13) „papanom czy papieżyncom", protestantom i innym*).

---

*) Pierwszy, ile uważam, użył terminu tego Wawrzyniec Krzyszkowski w tłumaczeniu rozmowy św. Justyna 1564 r. (Chrystyjanie żywot Chrystijanski), chociaż na tytule jeszcze «chrześcjanski» figurować ma — mój egzemplarz (z bibljoteki Akademji petersburskiej) karty tytułowej nie miał.

IGNACY CHRZANOWSKI.

Jeden z najwybitniejszych historyków i znawców dawniejszej literatury polskiej. Urodz. w r. 1866 w Stoku na Podlasiu. Studja odbywał w Warszawie, Wrocławiu, Berlinie i Paryżu, gdzie gruntownie pracował nad językoznawstwem. Ogłosił szereg prac pomniejszych po czasopismach; osobno zaś: *Okruchy literackie* (1903), *Kazania Sejmowe Skargi* (1903), *Marcin Bielski* (1905). Obecnie wydaje *Historję literatury polskiej*, która zapowiada się jako podręcznik dla uczących się wzorowy.

Tło historyczne kazań sejmowych Skargi.

Kazania sejmowe Skargi, ogłoszone po raz pierwszy drukiem w roku 1597, to najdoskonalsze, najczystsze zwierciadło jego jasnej, pięknej, wspaniałej duszy, jego płomiennej miłości ku Bogu, Kościołowi katolickiemu i ojczyźnie, jego głębokiego rozumu; powstały pod wpływem życia polskiego w wieku XVI wogóle, zwłaszcza zaś w latach 1588—1597, pod wpływem wzrastającego rozstroju państwa w pierwszych latach panowania Zygmunta III.

Jedną z przyczyn rozstroju była sprawa religijna. Odziedziczyli innowiercy po Stefanie Batorym jego słynną ordynację dla Krakowa przeciwko tumultantom, karzącą gardłem tego, kto w mieście rozruchy wywoła i z jakiejkolwiek przyczyny napada na domy, do jakiegokolwiek użytku przeznaczone*). Lecz wkrótce po śmierci wielkiego króla wybuchł nowy tumult: w święto Wniebowstąpienia r. 1587 zburzono „bróg" ewangielicki. Protestanci musieli się bronić i oto już na konwokacji domagają się procesu, to jest wykonania konfederacji z r. 1573; temu jednak oparło się duchowieństwo katolickie, poczytując konfederację za bezprawie i bluźnierstwo, i jeden tylko biskup kamieniecki, Goślicki, konwokację podpisał. Podczas obrzędu koronacyjnego nie pozwoliło duchowieństwo Zygmuntowi III złożyć przysięgi, że projekt obwarowania konfederacji wykona.

---

*) W. Sobieski. Nienawiść wyznaniowa tłumów za rządów Zygmunta III, Warszawa, 1902; str. 37.

Na sejmie koronacyjnym w Krakowie przyrzekł król rozpatrzeć i przeprzeć sprawę na przyszłym sejmie, sprzeciwili się jednak temu posłowie mazowieccy. Na sejmie r. 1589 tak ostro starły się z sobą dwa stronnictwa – z jednej strony dwór i duchowieństwo pod wodzą Karnkowskiego, a z drugiej innowiercy i ich obrońcy z Zamoyskim na czele—, że, jak pisał prymas do papieża, o mało do wojny domowej nie doszło; obwarowanie konfederacji przepadło z kretesem, i na sejmie w r. 1590 już nawet nie odraczano wniosku do sejmu następnego. W r. 1591 zburzono zbory helwecki i socyniański w Krakowie i spalono zbór protestancki w Wilnie. Innowiercy zwołali zjazd do Chmielnika, skąd wyprawiono posłów do króla, ale nic nie wskórano: obiecał wprawdzie Zygmunt przeprowadzić śledztwo w sprawie rozruchów, lecz ono do niczego nie doprowadziło. Wreszcie uchwalił sejm w r. 1593, dzięki Zamoyskiemu, ustawę przeciwko tumultom, ale ustawę ogólnikową, bez zaznaczenia charakteru wyznaniowego, i to jedynie do czasu powrotu króla ze Szwecji; na ziemię pruską nie rozciągała się ustawa, i już w czasie wyjazdu Zygmunta do Szwecji wybuchł w Gdańsku tumult protestantów przeciwko katolikom. Po powrocie królewskim znów wniesiono ustawę o tumultach na obrady sejmowe (1595), i znów, mimo jednomyślności izby poselskiej, wniosek upadł wskutek stanowczego oporu biskupów; pomimo zakazu króla, urządzili dysydenci olbrzymi zjazd w Toruniu i znów wyprawili posłów ze skargami na burzenie zborów i z oskarżeniem Skargi, że krzewi z kazalnicy nienawiść wyznaniową. Na sejmie w r. 1596 zdołali innowiercy przeprzeć ustawę o tumultach na cztery miesiące, co nie zażegnało jednak nowego tumultu, zburzenia zboru braci czeskich w Poznaniu w dzień Bożego Ciała; a w roku następnym wybuchł straszny tumult w Krakowie [1]). Pogłębiała nienawiść wyznaniową literatura satyr, broszur, paszkwilów, stronnicza, gwałtowna, namiętna, deprawująca serca i bałamucąca głowy [2]), a zachowanie się wobec tumultów króla, który podczas burzenia zboru krakowskiego najspokojniej grał sobie w piłkę, nie mogło mu pozyskać miłości dysydentów.

Ale nie tylko wśród dysydentów nie umiał sobie Zygmunt serc zdobyć. Mawiał o nim podkomorzy szwedzki Sparre, że podobny jest do księgi czystej, na której, jak na wosku, wyciśnie się to wszystko, cokolwiek na niej Polacy wyryją. Stało

---

[1]) Sobieski, l. c., 49–88.

[2]) Ob. Brückner. Nienawiść wyznaniowa za Zygmunta III, Przewodnik naukowy i literacki, 1902, str. 403–418, 499–509, 592–610.

się zupełnie inaczej. Rychło zniechęcił sobie Zygmunt szlachtę, która nie mogła pogodzić się z tym, że jej król chodzi w stroju zamorskim, że zajmuje się alchemją, złotnictwem, tokarstwem, muzyką, malarstwem; a w oczach możniejszych, jak mówi Piasecki, najbardziej upadlała go „umiłowana gra w piłkę, we Francji przystojna, ale w Polsce dzieciom zostawiona zabawa". Lecz mniejsza o to. Ważniejszą jest rzeczą, że już w pierwszym roku swego panowania dopuścił się Zygmunt krzywoprzysięstwa, że w Rewlu rozpoczął tajne konszachty ze swoim ojcem, ubliżające czci narodowej, co było „oszustwem, spekulacją na rachunek narodu".[1]) Małżeństwo z Anną Austrjaczką dolewało oliwy do ognia. Zdrowa polityka wymagała, aby po wstąpieniu na tron szukać poparcia w karnym stronnictwie Zamoyskiego; od zgody pomiędzy królem a kanclerem zależał spokój państwa, zachwiany podczas bezkrólewia; tymczasem zgody nie było i być jej nie mogło, skoro król dążył do *absolutum dominium*, kanclerz do równości szlacheckiej, skoro król opierał swą politykę na przymierzu z Habsburgami, kanclerz nienawidził ich równie mocno, jak cały naród. Zjazdy lubelski i jędrzejowski, nadewszystko zaś sejm inkwizycyjny, sponiewierały majestat królewski w oczach społeczeństwa. Zaostrzał się antagonizm wskutek rozdawania przez króla urzędów: Wojciech Baranowski, mianowany biskupem płockim, musiał ustąpić z podkanclerstwa, i pieczęć mniejszą otrzymał nie Piotr Tylicki, tylko Jan Tarnowski; umarł biskup krakowski, Piotr Myszkowski, a Zygmunt, łamiąc słowo królewskie, na którym, „jako na skale królestwo polskie stoi"[2]), mianował na jego miejsce kardynała Jerzego Radziwiłła; umarł kasztelan krakowski Seweryn Bonar, kasztelanję otrzymał Janusz Ostrogski ku oburzeniu sejmiku proszowickiego[3]). Powaga królewska coraz to więcej upadała: sumiennie pracował na to sam król Zygmunt. Póki żyła Anna Jagiellonka, był majestat królewski jeszcze w jakim takim poszanowaniu, ale, kiedy nie stało sędziwej królowej, nie tylko ród królewski, jak mówi Piasecki, ale i wszystek stary dworu polskiego obyczaj z powagą majestatu zasnął. Już od Orzechowskiego nauczył się szlachcic święcie wierzyć, że królowi winien jedynie „tytuł na pozwie, dwa grosze z łanu a pospolitą wojnę"; teraz urosły mu rogi, i pysznił się, mówiąc „one słowa bystre i głupie: Urodziłem się wolnym szlachcicem, nie boję się nikogoż i króla samego"[4]). Rozpoczął się „rząd *po-*

---

[1]) Szujski, Dzieje Polski, III (r. 1894), str. 152. [2]) Orzechowski, Djalog około exekucyej, wydanie Turowskiego, 74. [3]) A. Sokołowski, Przed rokoszem, Kraków, 1882, str. 68 nast. [4]) Kazanie sejmowe szóste.

pularitatis"; z powagą króla słabła i władza jego, ograniczona do rozdawania starostw i dostojeństw, do przedstawiania sejmowi wniosków rządowych.

Rządził sejm. Ale sejm z rokiem każdym tracił swe znaczenie, rozpoczynała się bowiem decentralizacja jego władzy na korzyść sejmików. Przed rokiem 1572 takiej decentralizacji nie było, gdyż odbywały się sejmy prowincjonalne czyli główne, w Kole dla Wielkopolski, w Korczynie dla Małopolski (później jeszcze w Warszawie dla Mazowsza); otóż te sejmy wychodzą powoli z użycia. Dawniej „partykularne sejmiki miewały swoje gienerały, na których oni wszystkie swoje województwa przez posłańce swe znosili o artykułach, na sejm danych, i tam je moderowali; tak, iż z jedną sentencją Mała Polska, z takąż i Wielka, posły na sejm posyłali; a jeśli w czym różne były, zgodzie i uznaniu onego głównego parlamentu, sejmu, podawali: zaczym konsultacje poważnie i zgodnie odprawować się miały. Otóż, wniósszy to, że każde województwo podług woli swojej o sprawach Rzeczypospolitej stanowi, znieśli naprzód one gienerały, dla zgody postanowione; bo skoro oni z każdego województwa poczęli upornie przy swych artykułach stać, na cóż się było na gienerał zjeżdżać? Znieśli też zaraz *autoritatem* sejmów, od której nie jeno prawa wszystkie nasze, ale i sam król władzą bierze"[1]). Wysyłały sejmiki posłów swoich na sejm walny nie z pełną, ale z „zamierzoną władzą", *cum limitata potestate*. Ta zaś *potestas* była *limitata* głównie w sprawach podatków. Już za Stefana Batorego, kiedy sejm w roku 1578 uchwalił pobór na wojnę moskiewską, trzy województwa, krakowskie, sandomierskie i sieradzkie, odmówiły podatku. Za Zygmunta III sejmiki coraz to częściej przywłaszczają sobie prawo uchwalania podatków, coraz to mocniej utrwala się praktyka „brania do braci", corazto jaskrawiej uwydatnia się decentralizacja finansowa[2]). Nie dosyć na tym. Dążą sejmiki do zagarnięcia w swoje ręce sprawiedliwości, administracji skarbowej i wojskowej, wogóle całego zarządu publicznego. Sprawiedliwość była już nawet w rękach sejmików dzięki trybunałowi koronnemu, który był jedną z najważniejszych zdobyczy, osiągniętych przez ruch szlachecki[3]). Do decentralizacji sprawiedliwości przyłożył rękę sam Zygmunt, oddając sprawę ukarania Gdańszczan za tumult sejmikom, które sprawców wyszukać i surowo ukarać radziły; i słusznie niektórzy senatorowie

---

[1]) Zwierciadło Rzeczypospolitej polskiej, na początku roku 1598 wystawione. Wyd. Turowskiego, str. 7—8. [2]) Pawiński. Rządy sejmikowe, str 348. [3]) tamże, 353.

„za złe mieli królowi, że w sprawie, wyłącznie do niego należącej, do sejmików się odwołał, jakby o jakiego zewnętrznego nieprzyjaciela chodziło"[1]). Decentralizacja zarządu skarbowego w tym się ujawniła, że na sejmie r. 1589 ustanowiono z każdego sejmiku poborców, a nadto szafarzy wojewódzkich, co właściwie było równoznacznym z odsadzeniem podskarbiego od jego urzędu[2]). W tymże roku, na zjeździe łęczyckim, zwołanym przez prymasa Karnkowskiego, stanęła uchwała o „wyprawie żołnierzem", polegająca na tym, że każde województwo zobowiązywało się za sumę swojego poboru wystawić na określony przeciąg czasu własne wojsko[3]). „Zdaje się, jak gdyby odtąd już w rozwoju wewnętrznym Rzeczypospolitej nic niezrozumiałego, nic niejasnego dla historyka być nie mogło. Dążność ujawniona najzupełniej, wszystko, jak na dłoni: rozrzucić to, co jest spojone, rozsypać, co z trudem zebrano, poćwiartować na kawałki to, co organiczną całość zawsze i wszędzie stanowić powinno"[4]). Tę to właśnie decentralizację rządu miał niewątpliwie Skarga na myśli, kiedy zaraz na początku pierwszego kazania sejmowego nawoływał posłów i senatorów, aby „co się zraniło, zleczyli; co się rozwiązało, spoili".

Tak więc już w pierwszych latach panowania Zygmunta III tracił sejm walny swe znaczenie i powagę, a w roku 1591 zadano mu cios śmiertelny uchwałą, że w osiem tygodni po sejmie odbędą się „zjazdy na zwykłych miejscach" „dla dania liczby przez posły braciej... obierania poborców": to pierwszy w ustawodawstwie polskim ślad sejmików relacyjnych[5]). Rząd *popularitatis* tryumfował...

Ale potęga jego była ułudna. Bo i cóż się działo na sejmikach? Już Orzechowski wiedział, „co umieją sejmiki, na których duży słabego, śmiały mądrego łatwie z kluby swej wybija, ku swojemu pożytku sejmikiem kierując". Dowodów nie braknie. W roku 1596, naprzykład, partja kasztelana czechowskiego Mikołaja Spytka Ligęzy zbrojno zjechała na sejmik do Wiszni (pomimo że statut z roku 1496 zabraniał noszenia broni na sejmikach) i zmusiła szlachtę do powierzenia mandatu poselskiego kasztelanowi[6]).

A jak się odbywały sejmy? Oto co mówi Karnkowski w swoich „Exorbitancjach": „Schodzą się posłowie drugdy aż o dwudziestej godzinie, najadszy się i podraziwszy sobie do-

---

[1]) Heidenstein, przekład M. Gliszczyńskiego. Petersburg, 1857; II, 335 nast. [2]) Pawiński, l. c., 355. [3]) tamże, 357. [4]) tamże, 358. [5]) tamże, 118. [6]) E. Barwiński. Kartka z dziejów sejmowania w Polsce (Pierwszy rocznik koła literacko artystycznego we Lwowie, 1896).

brze;.... w wotowaniu wrywają się jeden drugiemu;... najdują się takowi, którzy uzurpują te słowa: „Bym sam miał zostać przeciwko wszystkim, tedy przy swej intencji zostanę;... najdują się posłowie, którzy, choć im bracia zakażą co takiego czynić, jednak ważą się uczynić przeciw woli braci swej; odezwie się kilkanaście województw do braci, jednak za pozwoleniem drugich województw zawierają, *et inducitur schisma* szkodliwe i dysmembracja *in uno codemque corpore*; częstokroć *postulata* ziem i województw wtaczają i chcą, aby odprawowane były, odłożywszy na stronę *praegnantia negotia reipubl.*;.... niedawnych czasów *invaluit morbus linguae* brzydliwy, wielomówność niepotrzebna;... *in tantum ad summum excrevit praesumpta potestas nunciorum*, że się ważą dać *absolutam potestatem pacis et belli*, której sami od braci nie mieli" [1]).

Na sejmie roku 1589 upadł projekt reformy elekcji głównie wskutek oporu senatu duchownego. Uchwalił sejm r. 1590 pogłówne na wojnę turecką — sejmiki zaoponowały. Karnkowski, „prymacjalnego dostojeństwa ku zachwianiu uchwał sejmowych, jedynego Rzeczypospolitej utwierdzenia, nadużywając i tegoż wichrzycielom do wzniecania rozruchów użyczając" [2]) zwołał, bez wiedzy króla, zjazd do Koła, na którym orzekli posłowie wielkopolscy, że „to wszystko, co się na sejmie przeszłym działo, podnoszą, kasują i za prawo mieć nie chcą"; i wierzyli posłowie, że „co czynią, nie czynią nic przeciw władzej ani dostojeństwu jego (króla) i owszem go, jako pana, czczą i dostojeństwa jego pilnie strzegą, wszakże przykładem przodków swych czując gwałt w wolnościach swoich, czując praktyki dziwne, zjechali się, aby wszystkiemu temu zapobiec" [3]). Słusznie nazywa Piasecki ten postępek Karnkowskiego *detestabilis infirmandae authoritatis comitialis exemplum*, ohydnym przykładem osłabienia powagi sejmowej; słusznie się wyraził i podkanclerzy koronny, Jan Tarnowski, że, choćby Karnkowski największych rzeczy dokonał, choćby setki szkół pobudował, nigdy nie wynagrodzi Rzeczypospolitej krzywdy, jaką jej zjazdem buntowniczym wyrządził [4]). Sejm, otworzony w grudniu tegoż roku 1590, zatwierdził uchwały zjazdu kolskiego, to jest uprawnił bezprawie. A cóż mówić o sejmie r. 1592, inkwizy-

---

[1]) Wyd. Turowskiego, 7 10.

[2]) Piasecki. Kronika, przekład polski (Kraków, 1870), str. 99.

[3]) Joachima Bielskiego dalszy ciąg kroniki, wyd. Sobieszczańskiego (Warszawa, 1851), str. 139, 138.

[4]) Piasecki, Chronicon (Cracoviae, 1648), str. 106.

cyjnym, na którym ostro starły się z sobą dwa stronnictwa, regalistów i kanclerystów, o sejmie, na którym runęła powaga majestatu królewskiego, na którym nie było zgody ani w senacie, ani w izbie poselskiej! Sejm roku 1593 rozpoczął się zawziętą kłótnią o marszałka, i wszczął się „rozruch taki w poselskiej izbie, że aż drudzy okny ledwie nie skakali"; kłócili się z sobą posłowie krakowscy, a i w senacie „bardzo wiele rozróżnionych wtenczas było"; już tylko sześciu dni brakowało do ukończenia sejmu, „a nic się jeszcze nie zrobiło na nim"[1]), wciąż się jeszcze kłócono i dopiero w dniu ostatnim pozwolono królowi na wyjazd do Szwecji. Na sejmie roku 1595 radzono nad ligą turecką, „wszakże do żadnej konkluzji nie przyszło"[2]), gdyż innowiercy, wsparci przez „polityków", domagali się, grożąc zerwaniem sejmu, ażeby przedewszystkim załatwiono sprawę religijną, i skończyło się na tym, że sprawę ligi odłożono do sejmu nadzwyczajnego. Sejm roku 1596 zaraz na początku stał się widownią bezprawia, które było dalszym ciągiem i skutkiem przemocy, jakiej dopuściło się na sejmiku w Wiszni stronnictwo Mikołaja Ligęzy: wysłano na sejm delegatów protestującej przeciwko gwałtowi szlachty lwowskiej, Jakuba Leśniowskiego, podczaszego Lwowskiego, i Jana Swoszowskiego, pisarza ziemi lwowskiej; zaczęły się kłótnie, aż wreszcie zapadł ciekawy wyrok izby poselskiej. „To gdy panowie posłowie przypuścili na swój rozsądek, różni różnie rozumieli: jednak przychylili się do tego, iżby to były wielkie rzeczy, gdyby protestacjami tak ważne rzeczy mieli rozrywać... Nie po mniejszej części przedsiębrali, iż ci panowie posłowie, od protestantów naganieni, ludzie są wielkiej sławy i wielkiego baczenia. A gdybyśmy ich ruszyć mieli, jużby uszczerbek był honoru, boby byli *in regestro civium factiosorum notati*, i prawo takich *poena honoris* karze, a nie życzemy tego, aby to miało na domie tak zacnych ludzi zostawać. I tak *propter bonum pacis* wszystkim siedzieć kazali, tak panom protestantom, jako też i drugim tym, którzy nierządnie byli obranj"[3]). Tak więc jasno się pokazało, że nie tylko na sejmiku, ale i na sejmie, „rząd *popularitatis* musi mieć swoje króliki": zlękli się królika posłowie, uprawnili jego bezprawie, zasłaniając się *bonum pacis*. Podczas obrad wybuchła kłótnia pomiędzy posłami koronnemi a litewskiemi: kłócono się o „przywilej Kazimierzów w czerwonym axamicie.... który dozwala Polaka obrać, gdzieby godnego Litwina nie było;.... i tak, jako się sejm w niezgodzie zaczął,

[1]) Kontynuator Bielskiego 193—199. [2]) tamże 227. [3]) Barwiński, l. c.

taki też koniec miał" [1]). Z sejmu roku 1597 rozjechano się z niczym, „naswarzywszy się co dosyć, posłowie to o confederatię, do której ludzi religiej greckiej zaciągali, to i ine, mniej ważniejsze, Rzeczypospolitej sprawy, a o obronie (co była pilniejsza) ni słówka: ano mało po obijaniu ścian, gdy się dom wali" [2]). Sejm zerwano; Zamoyski, który podczas obrad tak wspaniałą mową zagrzewał do miłości ojczyzny,[3]) złożył piśmienną deklarację, że, jako hetman i kanclerz dobrze kraju strzec będzie, ale że Polska sama siebie gubi niezgodą [4]).

Oto kilka znamiennych szczegółów z tych sejmów, które Skarga wymową swoją oświecał, z sejmów, „które tylo same na oddalenie i leczenie przygód i złych razów Rzeczypospolitej wam zostały" [5]).

Zamęt ogólny wzrastał z powodu braku sprawiedliwości, nie żeby praw nie było, tylko, że one egzekucji nie miały, co stwierdzają same konstytucje sejmowe [6]). Było prawo, karzące za zabójstwo szlachcica wieżą i grzywnami (których ilość podwojono nawet w r. 1588); była banicja i infamja za nieposłuszeństwo prawu pospolitemu i jego sankcjom karnym: ale cóż z tego, kiedy łatwo się było od wykonania wyroku wykręcić. Nie mogło być mowy o należytej egzekucji tam, gdzie istniały prawa *Neminem captivabimus* i *Nemine instigante*, gdzie brakło władzy wykonawczej. Nie było bezpieczeństwa ani życia, ani mienia; mężobójca uchodził, sprawy cywilne, których końca doczekać się nie było można, przechodziły w sprawy kryminalne. Toczyły się rozprawy o korekturze praw i skróceniu postępowania sądowego, ale jedynym ich skutkiem była.... odpowiedź i zajazd [7]).

Jakże zachowywała się wobec tego przeciętna opinja publiczna? Był szlachcic przekonany — nauczył go tego jeszcze

---

[1]) Kontynuator Bielskiego, 273. [2]) tamże, 301.

[3]) Mowę tę wydrukowano po raz pierwszy w drugiej połowie XVII wieku (około r. 1682) w broszurze »Recepta na to, abyśmy się długo w ojczystej ziemi osiedzili»; pisemko to wydał z rękopisu Plebański w «Bibljotece Warszawskiej» r. 1887 i osobno, nie wiedząc o egzemplarzu drukowanym, który posiada bibljoteka ordynacka hr. Krasińskich.

[4]) Heidenstein, II, 391.

[5]) Kazanie sejmowe trzecie.

[6]) Statuty, przeciw mężobójcom uczynione, dotychczas w egzekucję nie przychodziły, dla czego morderstwom zabieżeć się nie mogło, bo ci, którzy mogli popierać nagłownika i konwikcją głowy czynić, jednali się i głowę zajednawszy abo kogo inszego w relacji, a drudzy zmyśloną osobę na zmowie mianowali abo w procesie sądowym tak folgowali, że głównicy win, prawem opisanych, uchodzili. (Vol. leg., wyd. z roku 1733, str. 1213). [7]) Wł. Łoziński. Prawem i lewem. Lwów, 1903, str. 27, 35.

Orzechowski—że niema na całym Bożym świecie państwa, któreby się lepiej rządziło i szczęśliwsze było, niż Polska; nie wątpił, że „królestwo polskie jest ludem wybranym" [1]); cieszył się złotą wolnością i bujał, „jako orzeł bez pętlic, na swej przyrodzonej, pod królem swym.... swobodzie" [2]). Dumny był, że ma króla, który mu się nie rodził, którego obrał sobie po to, by mu kaduki i starostwa sypał, własnym kosztem go bronił i po klasztorach dzieci mu chował, a we wszystkim posłów ziemskich słuchał. Zresztą patrzał na króla podejrzliwie, jako na przyrodzonego nieprzyjaciela wolności. A przez wolność rozumiał, „moc żyć, jako to kto chce" [3]) Bojąc się nawet cienia *absolutum dominium*, sam je na chłopie wywierał w przekonaniu, że wolności „chłopstwu nie trzeba, bo wolność byłaby ku ich skazie" [4]). Bronił zaciekle mądrości prawa *Neminem captivabimus*, bo „jużbyśmy naszej wolności zadzwonić ku pogrzebowi mogli, gdyby szlachcica było poimać wolno" [5]). Prawo o mężobójstwie poczytywał za dobre i sprawiedliwe, bo przecie całe prawo polskie jest „tak dobre, jakiego żadne niema królestwo" [6]), więc nawet słyszeć nie chciał o jego obostrzeniu na „głowa za głowę", „zwłaszcza, żeśmy nie wszyscy jednacy: inna chłop, a inna szlachcic" [7]), a zresztą byłoby wówczas jeszcze gorzej, bo „wszędy na świecie, gdzie są kaźni okrutne, tam złości więcej" [8]). Gdy mu kto mówił, że państwo nie ostoi się wobec nieprzyjaciół bez twierdz pogranicznych, miał odpowiedź gotową: „Lacedemoniane (murów) mieć nie chcieli, ukazując na ludzi, na których męstwie a sile, nie w murach, zdrowie.... Rzeczypospolitej.... zawisło.... i Tatarowie tym mocni są, i nikt ich nie zwalczył, iż miast nie budują" [9]) A kiedy go za słowa łapano, pytając, czemuż więc własną piersią granic nie broni, oburzał się: „Byłaby to wielka niewola, żeby mię kto z mej ojczyzny zegnać miał i kazał mi, jako na kraj świata, pod Tatary" [10]). Na zarzut, że w Polsce nierząd coraz to gorszy panuje, odpowiadał: „Polska nierządem stoi" [11]); zresztą reformom lepiej dać pokój, „bo wszelka odmiana w Rzeczypospolitej jest niebezpieczna" [12]). A kiedy kto wreszcie przyparł go do ściany i łopatą mu w głowę włożył, że reforma jest konieczna, oglądał się trwożliwie, czy go kto nie podsłuchuje, i mruczał: „Ba, jabymci nie był bardzo przeciwny temu.... ale wiem ja, że na to bracia nie pozwolą" [13])....

---

[1]) Quincunx, 60. [2]) tamże, 74. [3]) Górnicki, Rozmowa Polaka z Włochem; wydanie Gałęzowskiego, str. 706.
[4]) tamże, 712. [5]) tamże, 722. [6]) tamże, 738. [7]) tamże, 755.
[8]) tamże, 797. [9]) tamże, 846. [10]) tamże, 851.
[11]) tamże, 705. [12]) tamże, 801. [13]) tamże, str. 832.

HISTORJA

OSWALD BALZER.

Urodz. w r. 1858 w Chodorowie w Galicji, studja prawnicze odbył we Lwowie, kształcąc się z szczególnym zamiłowaniem w historji pod kierownictwem znakomitego pedagoga Ksawerego Liskego. Po osiągnięciu doktoratu w Krakowie, uzupełniał studja w Berlinie; od r. 1885 wykłada na uniwersytecie lwowskim prawo polskie. Szereg jego prac historycznych jest bardzo długi; kilkakrotnie zabierał głos także w obronie interesów polskich przed obcemi, jak w r. 1897 wydawszy „List otwarty do Teodora Momsena", kiedy ten radził rozbijać twarde łby Słowiańskie, lub obroną prawa Galicji do Morskiego Oka w Tatrach. Z prac jego najważniejsze: *Gieneza trybunału koronnego* (1886), *Studja nad prawem polskim* (1889), *Gienealogja Piastów* (1895), *Corpus iuris polonici.*

Reformy społeczne i polityczne konstytucji trzeciego maja.

(Urywek).

Autor przedstawia próby reform w wielu kierunkach, przedsięwzięte przed Sejmem czteroletnim. Reformowano wiele i w rozlicznych kierunkach. Lecz nie zawsze znachodzono wyjście trafne i skuteczne; usuwano instytucję złą, zasadę szkodliwą, i stawiano w jej miejsce inną; ale ta nowa rzecz, jaką stworzono, lepsza od dawniejszej w jednym względzie, przedstawiała inne usterki i wady. Były to pierwsze niepewne próby trzeźwiejącego narodu, który wiedział, że trzeba iść inną niż dawniej drogą i nowej dla siebie drogi szukał, ale nie zawsze ją umiał trafnie odszukać, ani też, odszukawszy, pewnym po niej stąpać krokiem. Miały te próby inną jeszcze stronę ujemną. Zbliżano się do ran, jakie tkwiły w organizmie na-

szym, z różnych stron, i starano się je uleczyć, ale nie wszystkie dostrzeżono odrazu i nie na wszystkie znalazły się zaraz środki; naprawiano więc częściowo tylko i bez jednolicie obmyślanego planu, więcej dorywczo, aniżeli systematycznie; zwrócono się przedewszystkim do tego, co się najbardziej jątrzyło i na oko najwięcej uderzało: do organizacji rządu; mniej już do tego, co tkwiło głębiej, choć to było właśnie przyczyną wszystkiego złego. Była więc ta naprawa tylko tymczasowym środkiem zaradczym, i nie mogła być niczym więcej; wielkie zadanie gruntownej, we wszystkie szczegóły ustroju Rzeczypospolitej sięgającej reformy, nie zostało jeszcze spełnione. Ale był to już w każdym razie zwrot ku lepszemu, pobudka i zachęta do dalszej, głębiej idącej naprawy, koniecznie jej przygotowanie i szczęśliwa zapowiedź.

Zapowiedź spełniła się. Stanęła Konstytucja Trzeciego Maja, dokonana przez Sejm czteroletni. Na początku sejmu była jeszcze rzeczą nieprzewidzianą. Gromadzono się na obrady głównie w tym celu, ażeby dokonać aukcji wojska i załatwić inne sprawy bieżące: możliwości innych, tak daleko sięgających reform, nie przypuszczano, owszem, wiążąc się w konfederacją, opisano się przy istniejących prawach i instytucjach rządowych, prócz jednej tylko Rady Nieustającej, którą dla wpływu, jaki na nią wywierała ambasada rosyjska, znienawidzono i wnet (19 stycznia 1789 r.) uchylono. Ale te dwie sprawy, uchwalenie komputu wojska do 100,000 i zniesienie Rady, obie rzeczy dokonane w początkach sejmu, pociągnęły za sobą ważne następstwa; dla wojska trzeba było reformować system podatkowy, w miejsce Rady trzeba było utworzyć nowy rząd. Praca nad temi reformami dotknęła szeregu innych pytań i objęła niebawem kwestję całej organizacji społecznej i politycznej Polski. Z końcem marca 1789 r. stanęła uchwała o ofierze dziesiątego grosza, t. j. o podatku nałożonym na dobra dziedziczne szlachty, i złamała przez to odwieczną wolność podatkową szlachty. W listopadzie tegoż roku wprowadzono, naprzód na Litwie, a potym w Koronie, Komisje porządkowe cywilno-wojskowe, które jako władze wybieralne i kollegjalne, nie były wprawdzie instytucją doskonałą, ale tworzyły bądźcobądź władze administracyjne powiatowe, żywiej funkcjonujące, jakich zdawna Polsce brakowało, i które w rzeczywistości w ciągu krótkiego czasu swego istnienia wiele dobrego w administracji miejscowej zdziałały; z końcem lipca 1790 r. przyznano metropolicie kijowskiemu krzesło w senacie i przez to klerowi unickiemu zapewniono reprezentację w sejmie. Prócz tego wyznaczano komisje i deputacje do ułożenia projektów w sprawie reformy całego ustroju Rzeczypospolitej, i projekty te wielokrotnie dyskutowano lub

częściowo uchwalano. Pomyślna chwilowo konstelacja polityczna pozwalała pracę prowadzić dalej, a kiedy się zmieniła na niekorzyść, przyśpieszyła przez to dokonanie dzieła reformy. Tak więc między tym, co pierwotnie leżało w zadaniach Sejmu czteroletniego, a tym, czego dokonał, jest pewna niestosunkowość. Konstytucja Trzeciego Maja jest z tego punktu widzenia niespodzianką. Ale nie jest nią z innego względu. Poczęło się już dawniej odrodzenie narodu i coraz szersze z biegiem czasu obejmowało warstwy; zrozumienie wad ustroju Rzeczypospolitej stawało się coraz powszechniejszym, i coraz powszechniejszym było poczucie potrzeby zasadniczej ich naprawy; nie było też przypadkiem, że na sejmie znalazła się wielka ilość ludzi hołdujących temu nowemu prądowi. Trzeba było tylko sposobności, ażeby tłumione dotąd myśli i dążenia powołać do akcji, a sposobność po temu znalazła się właśnie na sejmie. Nowe, wielkie siły, jakie się w narodzie zbudziły, znalazły nareszcie możność tworzenia. Stworzyły rzecz najpiękniejszą i najdoskonalszą, jaką życie nasze polityczne trzech ostatnich wieków poszczycić się może.

W jedenastu rozdziałach określiła Konstytucja najważniejsze zasady ustroju Rzeczypospolitej. Główny nacisk kładzie na trzy sprawy, i tutaj najważniejsze przeprowadza reformy. Są niemi: organizacja społeczna, organizacja władzy prawodawczej i organizacja najwyższej władzy wykonawczej.

Szlachcie zapewnia „wszystkie swobody, wolności, prerogatywy pierwszeństwa w życiu prywatnym i publicznym", zatwierdza jej wszystkie przez królów nadane przywileje; równość szlachecką zabezpiecza, wolność osobistą i bezpieczeństwo własności poręcza. Dawne, najistotniejsze prawa szlachty zostawia tedy w niczym nienaruszone. Ale uznaje także, w mniejszym co prawda zakresie, prawa innych stanów, mieszczaństwa i chłopów.

Według ustawy o miastach z 18 kwietnia 1791 roku, uznanej za część składową konstytucji, nietylko mieszczanie, ale i szlachta mogą się trudnić handlem; szlachcic, który mierzy łokciem i kwartą, szlachectwa z tego powodu nie traci. Naodwrót, mieszczanom wolno nabywać dobra ziemskie i oddać się w ten sposób zawodowi rolnika. Prysła więc odwieczna zapora, dzieląca sfery ekonomicznych zajęć obu klas społecznych; przynależność do pewnego stanu nie miała na przyszłość tamować swobody ruchu w dziedzinie gospodarczej. Dając mieszczanom takież samo jak szlachcie prawo *neminem captivabimus*, utrzymano jednak dawniejszy rozdział w sprawie dostępu do urzędów ziemskich i państwowych: te zastrzeżone zostały dla szlachty z małemi tylko wyjątkami, jakoto, że mieszczanie

mają przystęp do funkcji kancelaryjnych i dosługiwać się mogą stopni regientów; przyznano im także wstęp do palestry sądowej, jak niemniej do komisji porządkowych cywilno-wojskowych, w których zapewniono udział trzem delegatom miejskim. Również dozwolono mieszczanom wstępować do wojska (z wyjątkiem kawalerji narodowej) i dosługiwać się rang oficerskich. Ale co do godności duchownych, pozostało jak przedtym: prócz kanonji doktoralnych, żadne inne kanonje w katedrach nie stały otworem dla mieszczan; tylko w kollegjatach przyznano im możność uzyskania wszelkich kanonji i prelatur, jak niemniej wogóle wszystkich niższych beneficjów świeckich i zakonnych, o ile szczególnemi postanowieniami fundacyjnemi nie były zastrzeżone dla szlachty.

Nie ustąpiono więc w tym względzie mieszczaństwu wszystkiego. Nie tu też leży punkt ciężkości reformy miejskiej: najważniejsze jej postanowienia dotyczą wewnętrznej organizacji miast. Każdy, kto się w mieście osiedli, tamże posiadłość miejską nabędzie lub handel założy, czy to mieszczanin czy szlachcic, krajowiec czy cudzoziemiec, obowiązany jest przyjąć „miejskie"; to zaś przyjęcie „miejskiego" obowiązuje go do podległości władzom miejskim, do spełniania obowiązków miejskich. Rząd miasta ma więc pełną władzę nad wszystkiemi obywatelami, nikt się z pod tej władzy wyłamywać, nikt jej działania paraliżować nie może. Jak zaś niema wyłączeń dla osób, tak też niema z drugiej strony ingierencji władz obcych w rząd miasta. Zniesiona władza starosty, wbzronione sądom ziemskim i grodzkim wszelkie wykonywanie jurysdykcji w sprawach miejskich. Podlega tylko rząd miasta zwierzchnictwu komisji policji, naczelnej władzy administracyjnej w państwie, a i w tej komisji stan miejski przez plenipotentów swoich ma zapewnioną reprezentację i ochronę swoich interesów. Teraz dopiero znalazły się warunki, wśród których rząd miejski rozwinąć mógł sprężystą działalność nad porządkiem i podniesieniem miast skutecznie, a bez przeszkody pracować.

Są wogóle dwie władze w miastach, administracyjna i sądownicza, rada miejska i sąd miejski (magistrat), obie wychodzące z wolnego wyboru mieszczan. Prawo wyboru i wybieralności przysługuje mieszczanom, mającym posesję miejską, dziedziczną; nie ma zatym zupełnego pod tym względem równouprawnienia wszystkich między sobą: jest cenzus niejako majątkowy, ale jest dana gwarancja, że rządy miasta spoczną w ręku najstateczniejszych żywiołów. O urządzeniu rad miejskich ustawa z 18 kwietnia bliższych szczegółów nie zawiera, natomiast szczegółowo urządza tok instancji sądowych. Instancją pierwszą jest magistrat miejski, instancją drugą sąd apelacyjny;

sądów takich jest w Małopolsce 7, w Wielkopolsce 7, na Litwie 6, w najważniejszych miastach, każdy ze ściśle oznaczonym zakresem terytorjalnym. Do tych sądów apelacyjnych obiera każde z oznaczonych miast co dwa lata po pięć osób z pośród mieszczan. Trzecią wreszcie instancję stanowią sądy asesorskie. W miarę ważności i wartości spraw określono kompetencję poszczególnych instancji. Była to nowa zdobycz dla miast, gdyż sądy w obu pierwszych instancjach były wyłącznie mieszczańskie, w trzeciej, asesorji, miasta miały zapewnioną reprezentację przez swoich plenipotentów.

Nadto tym plenipotentom dozwolono przedstawiać w sejmie wnioski i żądania w imieniu miast; była zatym daną sposobność zwrócenia przynajmniej uwagi sejmu na ich potrzeby, przestrzeżenia go przed błędnemi w tej mierze krokami.

Wątpliwą wartość miało inne postanowienie ustawy z 18 kwietnia: o nobilitacjach. Włożono na sejm obowiązek nobilitowania wszystkich plenipotentów miejskich, którzy przez dwa lata zasiadali w asesorji i komisjach, wszystkich mieszczan, którzy dosłużyli się rangi sztabskapitana lub kapitana chorągwi w wojsku, wszystkich, którzy doszli do stopnia regienta, wszystkich, którzy nabyli posiadłość ziemską, opłacającą 200 zł. podatku dziesiątego grosza; nadto jeszcze na każdym sejmie należało nobilitować 30 mieszczan z pośród tych, którzy położyli zasługi przez założenie i prowadzenie handlu lub przemysłu na większą skalę. Nie był to środek podniesienia mieszczaństwa, wzmożenia go w siłę i znaczenie, wszystkie bowiem jego najlepsze i najtęższe elementy miały być perjodycznie, w znacznej ilości, wchłaniane przez szlachtę. Byłto raczej środek zasilania i odradzania szlachty, z punktu widzenia szlacheckiego korzystny i rozumny.

Ustawa z 18 kwietnia tyczyła się właściwie jednej tylko grupy miast, t. j. miast królewskich; nie dotknęła miast prywatnych i dotknąć ich nie mogła, byłaby bowiem naruszyła nabyte prawa dziedziców. Ostatecznie nie była to jednak zbytnia luka w konstytucji. Do miast królewskich liczyły się wszystkie niemal ważniejsze miasta w Rzeczypospolitej; miasta prywatne, jeżeli nawet kiedyś kwitły, zniszczały bardzo skutkiem długowiekowego ucisku panów, jaki na nich ciężył, zeszły prawie bez wyjątku do znaczenia osad, mało różniących się od wsi. Dla nich organizacja autonomiczna jaką wprowadzono w miastach królewskich, była zatym przedwczesną, niepotrzebną, a nawet niebezpieczną. A jednak jest w tej ustawie widoczny ślad, że o tych miastach nie zapomniano, owszem, o podniesieniu ich myślano. Nie mogło ulegać wątpliwości, że miasta wolne po pewnym czasie, skutkiem przyznanej sobie pełnej autonomji, byłyby się musiały

podnieść i zakwitnąć. To mogło, jak łatwo przewidzieć, wywołać pośród właścicieli prywatnych pewne współzawodnictwo, a zarazem dążność do nadania swoim miastom takiejże samej autonomji, stworzenia takich samych dla ich rozwoju warunków. Cóż tedy stanowi ustawa? Oto uprzedza ona tę dążność właścicieli i postanawia, że na żądanie pana król ma wydać takiemu miastu odpowiedni dyplomat erekcyjny — a przez to dla dalszego rozwoju miast w Polsce szerokie otwiera horyzonty.

W sprawie chłopskiej, dwie były rzeczy możliwe do zrobienia: usamowolnienie ekonomiczne i usamowolnienie prawne. Usamowolnienia ekonomicznego konstytucja nie przeprowadziła, i spotykała się z tego powodu niejednokrotnie z zarzutami — najniesłuszniej. Pańszczyzna i czynsz kmiecy stały się ilościami majątkowemi, główną pozycją, która o wartości dóbr stanowiła, regulatorem ceny w obrocie zamiennym nieruchomości, nabytym prawem prywatnym, które każde ustawodawstwo uznać musi. Znieść je za indemnizacją—na ten pomysł nie zdobyto się wówczas jeszcze nigdzie, a najmniej można się nań było zdobyć w Polsce, gdzie skarb był ubogi i najpierwszym potrzebom państwa prawie nie mógł wystarczyć. Znieść je bez indemnizacji, znaczyło to sprowadzić powszechną ruinę ekonomiczną. Nie można było zatym uchylić wyraźnie ani pańszczyzny, ani czynszów, ani co za tym szło, przywiązania kmiecia do gleby. Nie bez wyraźnej jednak intencji konstytucja sprawę tę pomija milczeniem, a natomiast stanowi, że odtąd wszelkie umowy, jakie stanęły lub staną pomiędzy panami a włościanami, mają stanowić podstawę wzajemnego ich stosunku, dziedzicznie na następców przechodzącego, przez obie strony ściśle dotrzymywanego. Nastał niedawno przedtym w Polsce zwyczaj, co prawda, sporadycznie na razie pojawiający się, że panowie, uczuciem ludzkości wiedzeni, zwalniali chłopów swych dobrowolnie od poddaństwa, a natomiast wchodzili z niemi w umowy, w których obowiązki chłopskie ściśle i zazwyczaj o wiele łagodniej niż przedtym były określane. Do tej świeżo kiełkującej nowości nawiązuje konstytucja, i o niej wyłącznie mówi, a przez to samo wskazuje na nią, jako na zasadniczą normę urządzania stosunków wzajemnych pomiędzy panem a chłopem. Było to tak samo, jak co do miast prywatnych, otwarcie szerokiego widnokręgu dla rozwoju sprawy chłopskiej w przyszłości. Takie umowy nie byłyby jeszcze uwłaszczeniem chłopa, ale byłyby niewątpliwie znacznym złagodzeniem poddaństwa, tamą wszelkiej samowoli pańskiej, a zarazem środkiem polepszenia bytu materjalnego chłopa. W myśl tej zasady postanowiono też, że ktokolwiek przybędzie z obczyzny do Polski, czy to cudzoziemiec, czy wychodźca obecnie powracający, ten ma być

uważany za wolnego, a jeśli się osiedli na gruncie chłopskim, podstawą jego powinności będzie umowa z panem. Zrobiono więc wszystko, co tylko zrobić się dało; inne załatwienie strony ekonomicznej sprawy chłopskiej było niemożliwe. Druga strona tej sprawy została jeszcze pomyślniej rozstrzygniętą. Postanowiono, że chłop ma zostawać pod opieką prawa. Zwrotu tego bliżej nie określono, ale niepodobna go rozumieć inaczej, jak tylko w ten sposób, że chłop o swoje krzywdy upomnieć się może przed sądem publicznym, choćby nawet chodziło o sprawę przeciwko jego panu.

Taką jest treść reformy społecznej w Konstytucji Trzeciego Maja. Granic i różnic stanowych Konstytucja nie usuwa, równouprawnienia wszystkich wobec prawa nie przeprowadza, na pierwszym planie stawia interes szlachty: jej przyznaje najdalej sięgające prawa, zasila ją najlepszemi elementami z pośród mieszczaństwa, jej zastrzega wyłączny udział w sejmie a przeważny w rządzie: nadając prawa mieszczanom, oświadcza, że ten nowy porządek rzeczy „wolnej szlachcie polskiej dla bezpieczeństwa i całości wspólnej ojczyzny" daje siłę; dolę chłopów poprawiając, podnosi, że waruje mimo to „dziedziców przy wszelkich pożytkach od włościan im służących", szlachtę za najpierwszych obrońców wolności narodu i konstytucji samej ogłasza.

Czy była przez to wszystko złą ta konstytucja? Bynajmniej. Przez kilka wieków przedtym rządziła się Polska zasadą wyłączności szlacheckiej, był w niej właściwie jeden tylko stan uprawniony, inne były zgoła upośledzone. Po takim precedensie zasada powszechnego równouprawnienia byłaby pozostała tylko szeregiem pięknych zasad, spisanych na papierze, które nie byłyby zdołały wejść w życie. Po kilku wiekach ciężkiej niewoli, upośledzenia i ciemnoty chłopstwa, ruiny, upośledzenia i apatji mieszczaństwa, nadanie pełni praw obywatelskich obu tym stanom byłoby eksperymentem najniebezpieczniejszym i najzgubniejszym; praw tych nie byłyby one potrafiły odpowiednio użyć, byłyby ich zdołały chyba nadużyć, ze szkodą dla siebie i całości. Poszła więc konstytucja drogą pośrednią i musiała nią pójść; że zaś tak a nie inaczej uczyniła, w tym leży dowód jej dojrzałości; stanów nie zrównała ze sobą, ale te, które dotąd były upośledzone, podniosła, stworzyła dla każdego z nich sferę swobody takiej, jaka w danych warunkach możliwą była do stworzenia. Stworzyła więc stan rzeczy, który w późniejszych dziejach Polski, gdyby się mogły były dalej samoistnie rozwijać, byłby otrzymał nazwę stanu przejściowego. Ale taki stan przejściowy był w Polsce koniecznym i nieodzownym warunkiem dla przygotowania nowożytnych form życia

społecznego. Niemniej przeto była reformą sięgającą najgłębiej, była stanowczym złamaniem wyłączności szlacheckiej i uprawnieniem stanów innych; była wielką ewolucją społeczną, taką samą co do siły i znaczenia, jaka się dokonała pod koniec XV i w początkach XVI wieku, ale w przeciwnym, dodatnim kierunku. Nie dając zaś równouprawnienia pod względem prawnym, wskazała przynajmniej ideał jego w sferze etycznej. Lud wiejski nazwała najdzielniejszą kraju siłą, bogactw krajowych źródłem, naród cały, nie w dawnym już, szlacheckim tego słowa znaczeniu, obrońcą całości i swobód ojczyzny ogłosiła. Zatknęła sztandar uobywatelenia całego narodu, na razie jako ideę, na przyszłość jako program do spełnienia.

Władza prawodawcza, sejm, pozostała co do składu swego taką samą, jak była poprzednio. Miała dwie izby, wyższą, senatorską, i niższą, poselską. Był więc sejm, jak przedtym, instytucją ściśle szlachecką, z przedstawicieli szlachty większej i mniejszej, duchownej i świeckiej złożoną. Miasta, jak widzieliśmy, posłów do sejmu nie wysyłały, a tylko przez plenipotentów z komisji przedstawienia w nich swoje czynić mogły. W tym więc względzie innowacji nie było. Była ona w innych kierunkach, a przedewszystkim w określeniu wzajemnego stosunku obu izb sejmowych do siebie. Był dawniej senat czynnikiem równorzędnym z izbą poselską w sejmie; projekt, który się miał stać ustawą, wymagał przyjęcia przez obie izby (i przez króla). W konstytucji rzecz tę inaczej rozstrzygnięto. Podzielono wszystkie wogóle sprawy sejmowe na dwie grupy, z których jednę nazwano prawami ogólnemi, drugą uchwałami sejmowemi. Do praw ogólnych zaliczono prawa konstytucyjne, cywilne, kryminalne, tudzież ustawy wprowadzające nowe, wieczyste podatki; do uchwał sejmowych wszelkie inne sprawy, jak między innemi: uchwała wojny, zawarcia pokoju lub wogóle traktatów międzynarodowych, uchwała podatków doczesnych, uchwała budżetu, zaciągnięcie pożyczki państwowej, nobilitacje i inne nagrody i t. p. W miarę różnicy spraw, odmienny przepisano sposób ich załatwiania. Uchwała sejmowa przychodziła do skutku, jeżeli liczba głosów, oddanych za nią w obu izbach, razem dodana, stanowiła większość. Już w tego rodzaju sprawach izba poselska miała zapewnioną dla siebie przewagę, gdyż komplet jej głosów wynosił 177 przeciwko 156 głosom senatorskim (licząc w to już dwie kreski królewskie). Mieli zatym posłowie możność majoryzowania senatu w każdej tego rodzaju sprawie. Co do praw ogólnych, zliczania głosów nie było. Prawo takie uchwalała właściwie sama izba poselska większością głosów; senat mógł się wprawdzie uchwale sprzeciwić, ale tylko prowizorycznie; jeżeli na następnym sejmie izba

poselska ponownie prawo uchwaliła, opór senatu był bez skutku: nabierało ono mocy obowiązującej. Tak więc stanowisko senatu wobec izby poselskiej zmieniło się zasadniczo: z czynnika współrzędnego organizacji sejmowej stał się czynnikiem podrzędnym, nie miał możności zapobieżenia ustawie, którą uważał za niebezpieczną lub szkodliwą. Czy to było rzeczą dobrą i pożyteczną? Niewątpliwie w czasach dawniejszych zrobiono wiele smutnych doświadczeń na możnowładztwie polskim, a i teraz, w chwili spisywania konstytucji, były w nim, jak się samo przez się rozumie, jednostki potępienia godne; mogło więc społeczeństwo czuć pewną obawę zdawania losów ustawodawstwa w jego ręce; ale ta sama obawa nie była przecież w zasadzie wykluczoną i co do izby posłów. Z tego punktu widzenia nie należało sprawy rozstrzygać. Lepszą była zasada, nietylko dzisiaj powszechnie uznana, ale i w dawniejszej organizacji sejmowej polskiej zdawna ustalona, że ciało prawodawcze powinno się składać z kilku czynników w równym stopniu uprawnionych, które nawzajem się kontrolując i równowagę między sobą utrzymując, mogłyby zapobiegać niedostatkom pośpiesznej, niedojrzałej akcji prawodawczej.

Był dawniej, obok senatu i posłów, trzecim takim czynnikiem prawodawczym król, który uchwale przez obie izby powziętej mógł się sprzeciwić, odmówić jej sankcji. Praktycznie słaba władza królewska nie mogła wprawdzie z tego prawa najczęściej korzystać, ale była przynajmniej zasada, uznana jeszcze wyraźnie na sejmie z r. 1768. I tę zasadę obaliła Konstytucja Trzeciego Maja; królowi żadnego samoistnego stanowiska w sejmie nie dała, włączyła go do izby senatorskiej i przyznała mu tam tylko głos podwójny, mający rozstrzygać w razie równości zdań. Uczyniła go tylko prezydentem senatu, i tak go też wyraźnie nazwała; prawo sankcji mu odjęła, atrybucji monarszych w zakresie ustawodawstwa go pozbawiła. Sejm składał się więc właściwie z dwu tylko elementów: senatu pod prezydencją króla i izby poselskiej, co też z naciskiem w konstytucji podniesiono. Że to nie była rzecz dobra, dowodzić nie potrzeba.

W całej tej reformie władzy ustawodawczej widnieje zatym bardzo dokładnie jedna myśl zasadnicza, która się przez nią jak nić czerwona przewija: dążność do supremacji izby poselskiej, do stanowczego ograniczenia innych czynników sejmu. Skąd się ta dążność wzięła? Po części zapewne z nieufności do możnowładztwa i nieufności do króla. Ale były niewątpliwie przyczyny głębsze. Król był naczelnikiem państwa, teraz zwłaszcza, jako król dziedziczny, od narodu niezależnym; senat składał się z wyższych dostojników państwowych, mianowanych

przez króla, zasiadających w sejmie z mocy urzędowego stanowiska; tylko izba poselska wychodziła z wyborów, ona była właściwą przedstawicielką woli i dążeń narodu. A w duszy tego narodu-szlachty zdawna już tkwiło głęboko wyryte przekonanie, że wszystko, co się w państwie dzieje, dziać się powinno z jego woli. Wyraźnie stwierdza tę teorję sama konstytucja: „Wszelka władza społeczności ludzkiej początek swój bierze z woli narodu", mówi ona na jednym miejscu; a na innym: „Izba poselska, jako wyobrażenie i skład wszechwładztwa narodowego, będzie świątynią prawodawstwa".

Poseł uważany jest na sejmie jako reprezentant narodu całego, nie zaś tylko swojej ziemi, swojego sejmiku. Wobec tego ma on możność postępowania według własnego zdania, nie krępuje go instrukcja sejmiku. Stosownie też do tego stanowi konstytucja, że co do „uchwał sejmowych" nie mają być wydawane żadne instrukcje; co do „praw ogólnych" instrukcji takich dopuszcza, ale niewątpliwie w tym już tylko znaczeniu, że są to życzenia, wskazówki sejmikującej szlachty, nie zaś mandaty rozkazujące, jak przedtym. Przez to zmieniony został charakter całego sejmu; od początku aż dotąd był on właściwie kongresem pełnomocników poszczególnych ziem — teraz przekształcił się w właściwą reprezentację narodu, stał się ciałem parlamentarnym w nowożytnym tego słowa znaczeniu, z tym oczywiście ciągle zastrzeżeniem, że reprezentacja jego składała się tylko z wysłanników szlachty. Ta zaś zmiana charakteru sejmu pociągnęła za sobą dalsze praktyczne następstwo: że *liberum veto*, opierając się ciągle jeszcze w teorji na owej kongresowej naturze sejmów polskich, zniesione zostało. A że główna racja prawna konfederacji polegała na tym, iż stanowiąc większością, zastąpić mogły braki sejmowania polskiego, z zasady jednomyślności wynikające, przeto z usunięciem tej racji usunięto i konfederacje same. Runęły dwa najsilniejsze filary nierządu polskiego. Aby zapobiec zbyt częstej zmianie najważniejszych, zasadniczych ustaw państwa, jak tego aż nazbyt liczne przykłady wykazywała niedaleka przeszłość, postanowiono, że zmiana konstytucji nie może być dokonaną pierwej, jak dopiero za lat 25, na osobnym ekstraordynaryjnym sejmie konstytucyjnym, w tym celu zwołanym. Rozumiejąc, że z biegiem czasu potrzeby narodu zmienić się mogą, dozwolono zmienić także i konstytucję; chciano tylko, ażeby każda ustawa zasadnicza przeszła przez czas próby, ażeby naród miał możność przekonać się dokładnie, co w niej jest dobrego, co złego, a co jeszcze nieokreślonego, i ażeby ciągłe zmiany konstytucyjne nie wzruszały porządku i trwałości stosunków w państwie.

Głęboko sięgające reformy przeprowadziła konstytucja w organizacji rządu. Najdonioślejszą z nich była: zniesienie tronu obieralnego. Uznano tron, jako „elekcyjny przez familje", t. z. jako dziedziczny w rodzinie aż do jej wygaśnięcia, poczym naród miał mieć dopiero prawo, „żadnej preskrypcji podpadać nie mogące" obrania sobie nowego domu panującego. Dziedziczność idzie w linji męskiej, według zasad primogienitury; ponieważ zaś powołany na następcę Stanisława Augusta elektor saski Fryderyk August nie miał potomstwa męskiego, przeto musiano zrobić wyjątek, uznając infantką córkę jego Marję Augustę Nepomucenę i stanowiąc zarazem, że mąż jej, którego otrzyma za wolą ojca i zgodą stanów polskich, rozpoczynać ma nową dynastję. Reforma ta usuwała bezlik klęsk zewnętrznych i wewnętrznych, a nadto wzmacniała znakomicie stanowisko króla jako naczelnego kierownika rządu. W pierwszym rzędzie wynikało z niej, że król musi być nieodpowiedzialnym, gdyż odpowiedzialność monarchy, polegająca na możności usunięcia go z tronu, nie zgadza się z pojęciem dziedziczności. Ustanowiono wprawdzie, że z elektorem saskim mają być ułożone *pacta conventa*, ale sankcją ich dotrzymania miała być przysięga króla, nie zaś upoważnienie poddanych do wypowiedzenia posłuszeństwa. Konstytucja wynagradzając to, co mu odjęła w zakresie ustawodawstwa, nadaje królowi tak silne i przeważne w rządzie naczelnym stanowisko, jakiego od wielu wieków nie miał w Polsce. Daje mu prawo nominacji biskupów, senatorów, ministrów i wszystkich urzędów wykonawczych, o ile te urzędy nie są obieralne. Daje mu prawo najwyższego dowództwa w wojsku i mianowania w nim komendantów, tudzież wszelkich oficerów, a przez to ogranicza samowładzę hetmanów w czasie wojny. Daje mu prawo ułaskawiania skazanych za zbrodnie, z wyjątkiem skazanych za zbrodnie stanu. Bardzo daleko wreszcie sięga znaczenie króla w ustanowionej teraz najwyższej władzy wykonawczej, nazwanej strażą praw.

Straż skupia w swym ręku wszystkie nici administracji całego państwa, zakres jej działania rozciąga się zarówno na Koronę, jak i na Litwę. Szczęśliwa myśl, tworząca rząd centralny państwowy, usuwająca dawniejszą jego dwoistość, dopełniająca ostatecznie dzieło Unji lubelskiej, została tedy utrzymaną. Składa się straż, prócz króla: z prymasa, którego zastąpić może pierwszy z porządku biskup, z pięciu ministrów, t. j. ministra policji (marszałka), ministra pieczęci (kanclerza lub podkanclerzego), ministra wojny (hetmana), ministra skarbu (podskarbiego) i ministra pieczęci do spraw zagranicznych (kanclerza lub podkanclerzego), powołanych do straży z liczby szesnastu ministrów, fungujących w poszczególnych działach ad-

ministracji państwowej. Prymas i pięciu ministrów mają w straży głos stanowczy; bez takiego głosu zasiadają w niej nadto: marszałek sejmowy z zakresem władzy, który poniżej wyjaśnimy, następca tronu po dojściu do pełnoletności (18 lat) dla obznajomienia się i nabrania wprawy w sprawach rządu, i dwaj sekretarze. Jest tedy straż rodzajem rady ministrów w rozumieniu dzisiejszym. Wybór wszystkich jej członków, z wyjątkiem tych, którzy głosu stanowczego nie mają, zależy od króla. Atrybucja *par excellence* monarsza złożenia najwyższej władzy wykonawczej według swego uznania, niedawno przedtym zniesiona, została tedy królowi przywrócona. Przepis, że nominacja do straży ma skutek w zasadzie tylko na dwa lata, dawał królowi możność pozbycia się w krótkim czasie sił, któreby nie odpowiedziały swojemu zadaniu; z drugiej zaś strony przyznane mu prawo zatwierdzenia nominacji na czas dalszy, umożliwiało zatrzymanie talentów wybitniejszych, pracowników wytrawnych, a zarazem utrzymania w tym najwyższym organie rządu pewnej ciągłości działania i tradycji zasad rządowych. Straż nad sprawami rządu obraduje i przez głosowanie je rozstrzyga, ale król może pójść za zdaniem większości lub mniejszości, lub nawet wydać postanowienie takie, za którym nikt się w straży nie oświadczył; jego wola jest tutaj ostatecznie rozstrzygającą.

Ale ten rząd, a zwłaszcza król, tak obszerną wyposażony władzą, mógł znaleźć sposobność nadużycia jej, działania na szkodę państwa i narodu, naruszania obowiązujących ustaw. Postawiono więc pewne szranki władzy królewskiej. Przepisano, że każda rezolucja ze straży, z podpisem ręki królewskiej wychodząca, ma mieć moc obowiązującą w takim tylko razie, jeżeli będzie kontrasygnowaną przez jednego z pięciu ministrów w straży zasiadających. Co do ministrów zaś, wydano przepis, że są odpowiedzialnemi przed sejmem. Sejm z powodu czynności urzędowych może ich prostą większością głosów obu izb złączonych postawić w stan oskarżenia, które ostatecznie załatwia sąd sejmowy. Ta odpowiedzialność ministrów i kontrasygnata ich na rezolucjach straży była dostateczną rękojmią, że rząd praw naruszać nie będzie; z drugiej jednak strony nie dawała im zbytniej a nieuzasadnionej przewagi nad królem, gdyż król opornego ministra mógł usunąć ze straży po upływie dwulecia.

Mniej fortunnym było natomiast inne postanowienie, że sejm, prócz prawa oskarżenia ministra, ma możność, bez żadnego wyrażonego powodu, uchwalić większością dwuch trzecich części wotów sekretnych usunięcie go z urzędu, którejto uchwale król poddać się musi. Interes przestrzegania praw w rządzie był już dostatecznie zabezpieczony odpowiedzial-

nością ministrów, to zaś prawo nadawało sejmowi pewną przewagę nad niemi, krępowało ich swobodę ruchu i działania. Ale bez racji nie było przecież to postanowienie. Była to w niedoskonałej tylko formie przeprowadzona zasada, która dzisiaj powszechne ma uznanie, że kierunek rządowy powinien się zgadzać z programem większości parlamentarnej, i że z chwilą, w której pomiędzy jednym a drugim powstanie rozbrat, reprezentanci dawniejszego kierunku rządowego, choćby nawet władzy swej w niczym nie nadużyli, ustąpić powinni.

Prócz prymasa i ministrów przyznano jeszcze miejsce w straży, jak już wspomnieliśmy, marszałkowi sejmowemu. W rządzie samym marszałek udziału nie brał; jedyną funkcją, jaką mógł spełniać, było zwołanie sejmu gotowego w razie jakiegoś nagłego niebezpieczeństwa ojczyzny lub sporu pomiędzy królem a ministrami o kontrasygnatę, jeżeliby sam król sejmu takiego zwołać nie chciał. Nie miał więc marszałek kontroli nad zwykłemi czynnościami rządu, miał tylko daną możność zastąpienia króla, i to nawet wbrew jego woli, w zwołaniu sejmu. Było to do pewnego stopnia osłabienie powagi królewskiej, wyraz owej dawnej, w krew narodu wsiąkłej nieufności do panujących, ale nie można zaprzeczyć, że przepis sam miał logiczną rację w sobie. Mogły się zdarzyć wypadki, gdzie król z narażeniem dobra państwa byłby zwłóczył z zwołaniem sejmu, i nie było środka, któryby go mógł do takiego zwołania skłonić, był bowiem nieodpowiedzialnym wobec narodu, a uchwała straży, odpowiedzialnej przed sejmem, choćby jednomyślnie powzięta, nie wiązała go bynajmniej. Miał więc marszałek w tym wypadku sposobność stanąć na straży interesu publicznego, dokonać rzeczy, której z pogwałceniem tego interesu nie chce dokonać naczelny zwierzchnik rządu. W dzisiejszym ustroju państw nie przypuszcza się tej możliwości; pokłada się zaufanie w monarsze, że rządzić będzie konstytucyjnie, i nie ogranicza się go taką zasadą, jaką wprowadzono w konstytucji; ale nie zapominajmy, że się to działo w Polsce, gdzie przez długie wieki przedtym stosunek poddanych do panującego stał na gruncie nieufności.

Ogółem biorąc, trzeba tedy powiedzieć, że stworzono w Polsce rząd silny, sprężysty, i—na co nacisk trzeba położyć —parlamentarny w nowożytnym tego słowa znaczeniu. Były jeszcze pewne usterki w jego organizacji, ale zasady przewodnie, na których ją oparto, były najlepsze; opierając się na nich, można było z biegiem czasu usunąć, co w tej organizacji było jeszcze złego, uzupełnić, czego jej jeszcze nie dostawało. Tak więc już z ogólnego stanowiska trzeba przyznać tej reformie rządowej niepospolitą doniosłość. Większego jeszcze zna-

czenia nabiera ona, jeżeli ją ocenimy na tle stosunków polskich. Chroniczny defekt Rzeczypospolitej, na który od tak dawna utykała, brak rządu, został stanowczo usunięty.

Rozważając Konstytucję Trzeciego Maja w szczegółach, powiedzieć trzeba, że dokonała wszystkiego lepiej, niż to zdołano uczynić dawniej, w okresie reform, poczętym r. 1764. Była więc pod każdym względem znacznym krokiem naprzód, wielkim postępem nietylko w stosunku do tego, co u nas istniało w epoce upadku, ale i w stosunku do wszystkich reform, jakie przed nią celem naprawy Rzeczypospolitej przedsięwzięto. Była reformą gruntowną i powszechną, *in capite et in membris*, przetworzeniem całego ustroju Rzeczypospolitej. Dawniejsze ograniczały się przeważnie do organizacji rządowej, a były zawsze tylko częściowe, zatym niedostateczne; ta przekształciła wszystkie najważniejsze elementy politycznego i społecznego życia narodu. Dawniejsze poruszały się więcej na powierzchni, zarodków złego nie dotykając, a przez to nie miały też warunków trwałego bytu; ta sięgnęła w głąb rzeczy, nie tylko władz rządowych i ustawodawczych dokonała naprawy, ale naprawiła wszystko, co się dało, w układzie społecznym, którego nieprawidłowa formacja była źródłem i początkiem wszystkiego złego. W tym rozumieniu reforma ta jest pierwszą, nie ma żadnych poprzedniczek z czasów sobie bliższych. Dokonała odrazu wszystkiego, czego przedtym nawet zosobna nie odważono się przeprowadzić: uprawniła stany niższe, uchyliła *liberum veto* i konfederacje, zniosła elekcyjność tronu, odpowiedzialność króla i niemoc rządu; usunęła wszystko, na co Polska od kilku wieków chorowała i umierała, stworzyła jej warunki dalszego bytu. Była wielkim odrodzeniem narodu, społecznym i politycznym przełomem, od którego począwszy, nowe miał rozpocząć życie. Była jedną z tych chwil, na które Bóg wieki każe czekać narodom, o których potym wieki pamiętać muszą.

Nie była wolną od błędów i usterek. Była dziełem ludzkim, a więc dziełem niedoskonałym. Ale doskonałą sama być nie chciała. W kilku sprawach, jak np. w sprawie mieszczańskiej lub chłopskiej, niedwuznacznie zaznaczyła, że to, co wprowadza, nie jest najlepszym, że jest możliwe lepsze jeszcze załatwienie rzeczy. Wolała jednak obrać drogę pośrednią, gdyż skrajna byłaby jej z pod nóg grunt usunęła. Każde społeczeństwo może mieć tylko taką konstytucję, do jakiej dojrzało; jeżeli ona miarę jego dojrzałości przechodzi, podepta ją i zniszczy; wszystkie klauzule prawne, zapewniające jej wykonanie, nie wystarczą, bo gwarancja konstytucji leży w społeczeństwie samym. Musiała więc i ta konstytucja zastosować się do warunków, wśród których powstała. Ale przez to, choć nie była dosko-

WYDAWNICTWO MICHAŁA ARCTA w WARSZAWIE
i H. ALTENBERGA we LWOWIE

WILHELM FELDMAN

WSPÓŁCZESNA LITERATURA POLSKA

WYDANIE **PIĄTE** UZUPEŁNIONE, ZAWIERAJĄCE:

DZIEJE PIŚMIENNICTWA POLSKIEGO od r. 1861—1907

Wydanie tanie w jednym tomie

cena rb. 3 kop. 20

(poprzednie wydanie kosztowało rub. 11).

TREŚĆ WSPÓŁCZESNEJ LITERATURY W. FELDMANA:

KSIĘGA PIERWSZA.

ZAMKNIĘCIE I PRZEŻYTKI ROMANTYZMU.

ROZDZIAŁ I. **I. Charakter i znaczenie romantyzmu polskiego.**

Dwoisty charakter polskiej poezji romantycznej. Mistycyzm myśli, prometeizm życia. Przemiana typu ludzkiego, przemiana w kulturze polskiej. Charakter działalności poetów.

II. Romantyzm a r. 1863. Ukształtowanie się losów narodu w trzech zaborach.

Oddziaływanie poetów na umysły w czasie ruchu narodowego. Romantyzm a Romuald Traugutt. Skutki pogromu. Represje w Królestwie i na Litwie. Zabór pruski i austrjacki.

III. Reakcja przeciw romantyzmowi w historjografji, filozofji i krytyce literackiej.

Historyczna szkoła krakowska i jej mistrze. Kalinka, Spasowicz, Walewski. Upadek metafizyki. Pozytywiści warszawscy i dogmatycy katoliccy w Krakowie. Zwrot przeciw literackiej krytyce idealistycznej. Małecki. Tarnowski. Chmielowski. Krupiński.

IV. Podłoże i idee społeczne.

Praca organiczna. Objęcie rządów przez stańczyków w Galicji. Powstanie typu przemysłowego w Królestwie. Światła i cienie.

V. Pożegnanie pozytywizmu.

Los przeżytków romantyzmu. Ostatni romantycy polityczni: Mierosławski. Zjednoczenie emigracji polskiej. Romantycy ducha: Towiański. Zgnębieni przez czas poeci.

ROZDZIAŁ II. **Cypryan Norwid.**

Losy człowieka. Orfika polska. Drogi jego rozwoju. Metoda twórczości. Poszukiwanie istoty zjawisk. Naczelne jego postacie. Krakus, Wanda, Kleopatra, Quidam. Królestwo misterji. Forma jego twórczości. Opanowane uczucie, głąb myśli. Charakter słowa Norwida. Symbolika. Ideał jego. Dostojeństwo człowieka i pracy. Pojęcia o sztuce. Prometej z młotem. Stanowisko Norwida w poezji polskiej. Żywot.

ROZDZIAŁ III. **Leonard Sowiński.**

Charakter jego poezji. Zagadnienie bóstwa i zagadnienie narodowe. «Z życia». Duch 1860 roku. Powrót po klęsce i rozbrat z czasem. Ostatni bajronista. Żywot i dzieła.

ROZDZIAŁ IV. **Felicjan Faleński.**

Znaczenie formy w romantyzmie. Felicjan, jako największy erudyta form literackich. Dramaty. Brak własnej indywidualności. Wyrafinowanie estetyczne. Żywot i dzieła.

ROZDZIAŁ V. **Epigoni.**

Przeżytki. Odyniec. Deotyma. Młodsi. Ernest Buława. Pseudoromantycy warszawscy. Miriam. Ordon. Kraushar. Czesław Homunculi.—Lwów. Grupa «Szczutka». Chochlik. Rodoć. Stebelski. Bartusówna.—Kraków. Buszczyński. Styl bohaterski Kaz. Brzozowskiego. —Obniżenie typu w Julianie Moërs z Poradowa, w Leop. Starzeńskim, Anzelim Urbańskim. Epoka romantyczna. Komorowski. Kaz. Gliński. Wojciech Dzieduszycki. Berło romantyki w rękach Grottgera i Matejki.

KSIĘGA DRUGA.

REALIZM.

ROZDZIAŁ I. **Ogólny charakter literatury.**

Typ dojrzewającej młodzieży. Przemiana w charakterze literatury. Pozytywizm a wiek oświecenia. Utylitaryzm. Skrępowanie fantazji i uczucia. Rozkwit prozy. Zadanie jej bezpośrednio społeczne. Powieść jako wychowawczyni społeczeństwa. Zanik Boga z literatury i życia. Formułki religijne w Krakowie. Agnostycyzm w Warszawie. Rezygnacja filozoficzna i społeczna.

ROZDZIAŁ II. **Literatura w życiu codziennym.**

Znaczenie słowa drukowanego. Produkcja literacka po r. 1863. Kraszewski-Bolesławita. Przystosowanie się jego do ducha antiromantycznego. T. T. Jeż. Karłowacenie duchów. Zacharjasiewicz. Wł. Łoziński. Bałucki. Lam. Miecz. Pawlikowski. Powieściopisarki: Zbigniew-Sadowska. Morzkowska.—Gawędziarze szlacheccy: Suffczyński. Strutyński. Bykowski. Wilczyński. Żywoty i dzieła.

ROZDZIAŁ III. **Poezja. Adam Asnyk.**

Asnyk, jako poeta okresu. Przemiana z romantyka w racjonalistę. Podkład naukowy poezji. Wzniosłość jej charakteru. Rezygnacja i harmonja. Ich niedostateczność wobec sfinksa wieku. Wiktor Gomulicki. — Poezja wielkomiejska. Gomulicki, jako parnasowiec. Skarłowacenie poezji. Wirtuozostwo formy. Żywoty i dzieła.

ROZDZIAŁ IV. **Powieść. Orzeszkowa.**

Orzeszkowa, jako przedstawicielka całego okresu kultury. Świat jej idei. Pozytywizm wobec nowych prądów socjalnych. Przejście do romantyki. *Nad Niemnem.* Duch utworów ostatnich. Żywot i dzieła.

ROZDZIAŁ V. **Aleksander Świętochowski.**

Indywidualizm arystokratyczny, szybujący ponad ziemią i wpatrzony w ludzkość, nie w człowieka. Ideowy pjonier trzeciego stanu. Walka z duchem przeszłości. Kres racjonalizmu. Pogodzenie w wszechogarniającej miłości. Żywot i pisma.

ROZDZIAŁ VI. **Literatura w życiu codziennym.**

Rozwój teatru we Lwowie, Krakowie i Warszawie. Stan scen polskich w latach siedmdziesiątych. Upadek poezji dramatycznej. Surogaty. Szujski. Bełcikowski. Rapacki. Łętowski.—Komedja. Bałucki. Fredro ojciec i syn. St. Dobrzański. Mellerowa. Koziebrodzki—Sztuka ludowa. Anczyc.—Komedja społeczna. Bliziński. Zmiana typu szlacheckiego. Rodzaj artyzmu. Mieszczaństwo na scenie. Chęciński. Okoński. Narzymski. Lubowski. Sarnecki. Zgliński. Kaz. Zalewski, jako okaz reprezentatywny upadku. Żywoty i pisma.

ROZDZIAŁ VII. **Reakcja uczucia. Poezja. Marja Konopnicka.**

Brak w pozytywizmie idei społecznej i narodowej. Konopnicka wprowadza nowy ton ludowy. Walka z krzywdą społeczną. Stopienie się z duszą ludu. Zharmonizowanie w refleksji. Żywot i pisma

ROZDZIAŁ VIII. **Dalsza reakcja uczucia. H. Sienkiewicz.**

Potrzeba wyrazu dla ideału narodowego. Powstanie wobec ruchu ludowego—ruchu szlacheckiego. Indywidualność szlachecka Sienkiewicza przytłoczona w pierwszych pismach przez pozytywizm. Nowele wiejskie. Reakcja i powrót do przeszłości. Trylogja. Wysoki nastrój Mickiewicza wobec ducha trylogji. Zasługa Sienkiewicza — siła i granice jego talentu. Wyobraziciel przeciętności szlacheckiej. Życie.

ROZDZIAŁ IX. **Dalsza reakcja uczucia. Entuzjaści społeczni.**

Reakcja społeczna przeciw pozytywizmowi. Nowe warstwy ludowe i nowe idee. Ruch robotniczy. Charakterystyka działań podziemnych. Limanowski. Bol. Czerwieński. Sieroszewski. System rządów w Królestwie. Szukanie syntezy. Początki ruchu ludowego w Galicji i Warszawie. Nowi ludzie. *Przegląd społeczny. Głos.* Polemika między *Głosem* a Ludw. Krzywickim o lud. Inne czynniki ludowe. «Odkrycie» Zakopanego przez Chałubińskiego. Odbicie w poezji. M. Bohusz. Jan Kasprowicz. Włodz. Wysocki. Lange-Napierski. Fr. Nowicki. A. Niemojewski. Struna sybirska. Adam Szymański. Żywoty i pisma.

ROZDZIAŁ X. **Powieść. Bolesław Prus.**

Dwoistość w twórczości Prusa. Natura uczuciowca, intelekt pozytywistyczny. Pierwsze utwory. Wzrost koncepcji życia przez uczucie. Dyktowana przez nie *Placówka.* Antagonizm bohatera uczucia z czasem swoim treścią *Lalki.* Stąd filozofja przeduchowienia. Żywot i dzieła.

ROZDZIAŁ XI. **Sztuka w życiu codziennym. Powieść.**

Ostatni pisarze szlacheccy. Jordan. Junosza. Abgar-Sołtan. Szlachcic z czasem swym idący. Sewer. Żywotność talentu młodzieńcza. Chłop Sewera. Ewolucja społeczna. Ideologja szlachecka. Neokonserwatyzm w Krakowie i Warszawie. T. Jeske-Choiński. Pisarze galicyjscy. Rogosz. Fr. Rawita. Romanse kobiece. Narrator salonowy: M. Gawalewicz. Żywoty i pisma.

KSIĘGA TRZECIA.

NATURALIZM.

ROZDZIAŁ I. **Doktryna naturalizmu i bojownicy na gruncie polskim.**

Skarga Sygietyńskiego na brak w Polsce powieści naturalistycznej. Naturalizm we Francji. Zola i jego teorje. Stan literatury artystycznej u nas. *Wędrowiec* i Stan. Witkiewicz. Naturaliści polscy.

ROZDZIAŁ II. **Pierwsi naturaliści.**

Adolf Dygasiński. Poezja natury, intelekt pozytywistyczny. Ostateczne zwycięstwo poezji. Gabryela Zapolska. Sposób jej patrzenia na świat. Nuta erotyczna. Niezdolność do wielkiej koncepcji życia. Powieści Sygietyńskiego. Liryzm Ostoji. Mizantropja Niedźwieckiego. Upadek typu w twórczości Gruszeckiego. Żywoty i pisma.

ROZDZIAŁ III. **Ewolucja naturalizmu. Reymont. Sieroszewski.**

Zdobycie większych praw przez subjektywizm. Indywidualizacja wrażeń. Koloryt impresjonistyczny. Nastrojowość. Wł. St. Reymont. Chwytanie życia ze strony zewnętrznej, charakterystycznej. Żywiołowość odczucia i opisu. Chłop Reymonta. Punkt kulminacyjny w epice homerowskiej. Twórczość W. Sieroszewskiego. Siła i skupienie. Światopogląd religji ludzkości. Spokój siły. Apostolstwo czystego człowieczeństwa. Żywoty i pisma.

ROZDZIAŁ IV. **Znaczenie naturalizmu dla literatury polskiej.**

Twórczość, wypływająca z umiłowania społeczeństwa. Prawda i szczerość, jako warunki artyzmu. Wzbogacenie języka. Niedostateczność naturalizmu. Konieczność reakcji.

KSIĘGA CZWARTA.

NASTROJOWCY.

ROZDZIAŁ I. **Reakcja przeciw pozytywizmowi i naturalizmowi w Europie.**

Podkład społeczny tej reakcji. Bankructwo i wyczerpanie mieszczaństwa. Sceptycyzm i tęsknota romantyczna. Ewolucja we Francji. Dwa typy. Senzualista spragniony używania i metafizyk zdezorjentowany. Schyłkowcy. Smutek czasu. Skandynawczycy. Ucieczka w sztuce. Nowe formy artystyczne. Prądy ducha. Mistycyzm filozoficzny. Ujście jego we Francji religijne. Nastrojowość formy i treści. Maeterlinck. Światopogląd jego i poezja.

ROZDZIAŁ II. **Reakcja przeciw pozytywizmowi i naturalizmowi w Polsce.**

Okres wyczerpania ducha w Królestwie pod koniec panowania Aleksandra III. Wzrost prześladowań i słaba reakcja w podziemiach. Upadek aspiracji narodowych oraz artystycznych. Skargi poetów. Podjęcie przez Miriama wydawnictwa *Życia*. Miriam jako utylitarysta społeczny. Program niejasny. Głosy z zachodu. Ant. Lange. Typ intelektualisty. Wirtuozostwo formy. Poezje Miriama. Brak bezpośredniości w odczuwaniu, erudycja i cyzelerstwo wiersza. Przedmowa do przekładów z Maeterlincka. Znaczenie jego dla literatury. Żywoty i pisma.

ROZDZIAŁ II. **Nastrojowość powieści.**

Prądy spirytystyczne i filozoficzne. Poszukiwacze. Bezdogmatowcy. *Bez dogmatu* Sienkiewicza. Trafna obserwacja—zła interpretacja Płoszowskiego przez autora. Charakter Anielki. Wrażenie powieści. Mnożenie dekadentów. Bezdogmatowiec L. Belmonta. Liryzm i beznadziejność powieści Ign. Dąbrowskiego. Żywoty i pisma.

ROZDZIAŁ IV. **Sztuka w życiu codziennym. Powieść.**

Rozrabianie tematów i form Sienkiewicza i Prusa. Reakcja przeciw wiedzy i zdobyczom XIX w. Powieści T. Jeske Choińskiego. Adam Krechowiecki. M. Rodziewiczówna. W. Kosiakiewicz. Zapanowanie banalności i szarzyzny. Żywot i pisma.

ROZDZAŁ V. **Poezja. Kazimierz Tetmajer.**

Poezja, jako wyraz głodu szczęścia. Przedstawiciel słabości. Hymny do Nirwany i Miłości uzupełniające się wzajemnie. Pesymizm niezaspokojonych zmysłów. Uszlachetnienie tęsknoty na tle przyrody tatrzańskiej. Brak zdolności do odczucia i wyrażenia ideału. Rezygnacja niemocy. Życie i pisma.

ROZDZIAŁ VI. **Dalszy rozwój sztuki. Przejściowi.**

Muza codzienności. Wiersze Stan. Rossowskiego. Or-Ot. J. St. Wierzbicki Wł. Bukowiński. Adam M...ski. Wpływ Tetmajera. Ewolucja. Szukanie. Nowe typy artystyczne na zachodzie. Przewrót w sztuce i w duszy. Znaczenie Fryd. Nietzschego dla ewolucji. Pierwiastki nowej sztuki. Walka sprzecznych pierwiastków w poezji Kasprowicza. *Anima lachrymans*. Elementy nowej sztuki u Wacława Liedera. Stylizowane wiersze Szczepańskiego, Stena. Liryzm Z. Dębickiego, F. Mirandolli. Poezja bruku wielkomiejskiego: Włodz. Perzyński. Żywoty i pisma.

KSIĘGA PIĄTA.

NEOROMANTYZM.

ROZDZIAŁ I.

«Młoda Polska» w Krakowie. «*Życie*». Po forpocztach armja. Założenie «*Życia*». Grupowanie się młodych. Polemika ideowa. Głos Stan. Szczepanowskiego. Artura Górskiego odpowiedź. Analiza duszy młodego pokolenia. Hasła powrotu do Mickiewicza. Przejście *Życia* w ręce St. Przybyszewskiego.

ROZDZIAŁ II. **St. Przybyszewski.**

Indywidualność suggestywna. «Confiteor» artystyczne. Metafizyka sztuki. Punkt jej zasadniczy: sztuka, jako wyraz syntezy uczuciowej; «naga dusza». Taniec miłości i śmierci. Fatum płci. Jednostronność tego światopoglądu. Romantyzm fizjologiczny na tle zupełnej niewiary w życie historyczne. Poezja tęsknoty uduchowionej. Siła jego artyzmu. Życie i pisma.

ROZDZIAŁ III. **Rozkwit i cienie nowej sztuki. Neoromantyzm.**

«*Życie*». pod redakcją Przybyszewskiego. Rozkwit wielorakich form artyzmu. Malarstwo w Krakowie. Teatr T. Pawlikowskiego. Grafika. Duch J. Słowackiego. Rozbujanie życia artystycznego w Krakowie. Ataki dziennikarskie na «*Życie*». Niezrozumienie nowych prądów, przemilczanie arcydzieł, polemika o «Kamelje-Ofelje». Znaczenie symptomatyczne stosunku ogółu do nowej sztuki. Zmiana typu młodzieży. Upadek idei społecznych, brak grupie *Życia*—poza Wyspiańskim i Kasprowiczem — syntezy idei polskiej. Dekadentyzm w literaturze, jako odbicie dekadentyzmu panującego w społeczeństwie. Sztuka, jako ucieczka od życia. Neoromantyzm w formie— niemoc w treści. Uzupełnienie się nowej sztuki treścią bohaterską pod wpływem St. Wyspiańskiego. Upadek *Życia*.

ROZDZIAŁ IV. **Sztuka w życiu codziennym. Ostatnie powieści Sienkiewicza.**

Różniczkowanie się społeczeństwa. Sienkiewicz, jako reprezentant Starych. *Rodzina Połanieckich*. Zmysł realny w malowaniu ludzi, małość idei. Marność ideału. *Quo vadis* i *Krzyżacy*. Zalety malarskie. Piękno formalne, brak piękna i wielkości ducha. Tajemnica popularności Sienkiewicza i słabość jego myśli. Konflikt między Sienkiewiczem a młodemi.

ROZDZIAŁ V. **Poezja. Jan Kasprowicz.**

Rozdarcie doby współczesnej. Powstanie z jej smutku poezji Kasprowicza. Linja jego rozwoju. Walka między kulturą a żywiołowością. *Krzak dzikiej róży*. Przeżycia duszy tragicznej. Syntetyzowanie tych stanów. *Na wzgórzu śmierci*. Ból metafizyczny. Hymny, śpiewane *Ginącemu światu*. Prometej zrozpaczony. Tragiedja ludzkości. Złe panujące wiecznie, szatan tryumfujący. Odkupieniem miłość. Forma poezji Kasprowicza. Charakter jej polsko-ludowy.

ROZDZIAŁ VI. **Powieść. Stefan Żeromski**

Przeraźliwy ton duszy polskiej. — Nieromantyczny romantyzm. Stan umysłu po bankructwie wszystkich ideałów. Złowieszcza wymowa nawet piękna. Zwycięstwo materji. Aryman mści się za próbę wyzwolenia ducha. Smutek ziemi polskiej. Reagowanie na te zjawiska serca głębokiego. Indywidualizm Żeromskiego. Walka z wszechkrzywdą. Smutne bohaterstwo. Żywot i pisma.

ROZDZIAŁ VII. **Ewolucja teatru.**

Odwrót od sztuki mieszczańskiej. Poszukiwanie poezji na scenie. Sztuki p. Kozłowskiego. Gadomski. Realizm. Aleks. Mańkowski. Jasieńczyk. St. Rzewuski. Farsy Zygm. Przybylskiego. Obniżanie się poziomu artystycznego publiczności warsz. Teatrzyki ogródkowe. Sztuka ludowa. Sienkiewicz. Sztuki żydowskie. Naturalizm. Znaczenie Ibsena dla teatru. Światopogląd i technika. Hauptman i Suderman. Sudermaniści: Graybner. Rabski. Ronikier. Wacł. Sawiczewski. T. Konczyński. M. Szukiewicz. Wkroczenie poezji na scenę. T. Pawlikowski, jako

kierownik teatru. «Młody Kraków». Modernizowanie się talentów aktorskich: Siemaszkowa. Solski. Kamiński. Sztuki baśniowe. Sarnecki. Tetmajer. Szukiewicz. Wpływy Maeterlincka. Przybyszewski. J. A. Kisielewski. Silny rytm życia, środki jego sceniczne. Od entuzjazmu do greckiego fatum. Zofja Wójcicka. Lucjan Rydel. Wykończenie formy i brak własnej indywidualności. Inne próby. Odżycie Słowackiego dla teatru. Zjawienie się St. Wyspiańskiego. Żywoty i dzieła.

ROZDZIAŁ VIII. **Romantyzm w sztuce i w życiu.**

Tęsknota, jako źródło bytu wyższego. Rozrost myśli narodowej. Nowe warstwy ludowe. Stronnictwo chłopskie w Galicji, robotnicze w Królestwie. U kresu: koncepcja powstańcza. Prądy narodowo-mistyczne. Idee St. Szczepanowskiego. Skarykaturowanie przez Lutosławskiego. Przetrwanie symboliki poetyckiej w umysłach realistycznych Idealizacja chłopa. Kosynjer. Widma romantyzmu a Kraków. Atmosfera czasu.

ROZDZIAŁ IX. **Stanisław Wyspiański.**

Moc suggestywna jego indywidualności. Wyspiański jako rezultat rozwoju «Młodej Polski», synteza jej i szczyt. Podobieństwa z czasem i różnice. Bijąca odeń wiara w przyszłość. Drogą jego Sztuka. Zdeptanie słabości. Moc w poezji i malarstwie. Wyspiański jako myśliciel. Fatum u niego i u starożytnych. Opanowanie losu. Światopogląd bohaterski. Proklamowanie prawa żywota. Stąd tragizm. Idea bohaterstwa w zastosowaniu do Polski. Wskrzeszona przez Wyspiańskiego rola wieszcza poezji. Wina tragiczna, ciążąca nad narodem. Wyzwolenie z winy i jego stopnie w szeregu pierwszych dramatów. Przezwyciężenie starego romantyzmu—neoromantyzm. Wieszczby przyszłości Polski Zmartwychwstanie ludzkości przez syntezę Akropolu z Wawelem. Świat form artystycznych. Przetwarzanie pierwiastków życiowych w wyższą jedność. Stylizowanie prawdy. Nowy teatr polski. Istota dramatu Wyspiańskiego a testament Mickiewicza. Hypostazowanie przeżyć duchowych. Stany duszy jako postacie fantastyczne. Twórczość *par excellence* dramatyczna. Suma życia w konfliktach. Nadmiar życia wymaga skrótów symbolicznych. Czynniki muzyczne w tej twórczości. Misterjum słowa Wyspiańskiego. Wielkość i piękno istotą twórczości Wyspiańskiego. Stanowisko jego w Sztuce Znaczenie dla Polski. Życie i dzieła.

ROZDZIAŁ X. **Neoromantyzm najmłodszych. Poezja a życie.**

Przemiana w duszy polskiej. Walka z zewnętrzną rzeczywistością, Berenta *Próchno*. Wyrafinowanie artystyczne, zwrot przeciw dekadentyzmowi i słabość syntezy. Wł. Orkan. G. Daniłowski. Bojownicy w literaturze. Walka i tworzenie samego siebie. Poezja Leop. Staffa. Pożegnanie romantyzmu, wyczarowywanie nowych światów. Prometeizm. Mistycyzm poezji Tad. Micińskiego. Poezja skojarzeń uczuciowych. Głosy głębin. Burzyciele. Satyrycy. Satyra A. Nowaczyńskiego. Jan Lemański. Dusza marzycielska wobec rzeczywistości. Na gruncie warszawskim. Próba reakcji przeciw neoromantyzmowi. Prace K. Irzykowskiego. Rys tragizmu w życiu polskim. Przezwyciężanie słabości. Młodzi w walce o ideał. Reakcja ze strony starych. Walka z «Młodą Polską». Nowe widnokręgi. Żywoty i dzieła.

ROZDZIAŁ XI. **Neoromantyzm najmłodszych. Poezja a marzenie.**

Przeciw łączności sztuki z życiem. Sztuka oderwana. Założenie przez Miriama *Chimery*. Doktrynerstwo jej i jednostronność. Estetyzm i stylizowanie. Poeci marzenia. St. Brzozowski. St. Wyrzykowski.

M. Komornicka. Jan Wroczyński. Kaz. Wroczyński. Edw. Leszczyński. Pióra kobiece. Nowa nuta. K. Zawistowska. Bron. Ostrowska. D-mol: M. Wolska. Epigoni. Kontynuatorzy Tetmajera, *Życia* i *Chimery*. Żywoty i dzieła.

ROZDZIAŁ XII. **Sztuka w życiu codziennym. Teatr.**

Wkroczenie na scenę poezji tragicznej. Stworzenie dramatu polskiego. Twórczość dramatyczna Kasprowicza, Micińskiego, Staffa. Surogaty poezji. Dramaty Jerzego Żuławskiego. Linja upadku. Zmienne prądy. Nastrojowość na scenie. Dramat bohaterski. Śladem Wyspiańskiego. Próby F. Płażka. Dramaty Jadwigi Marcinowskiej. Kaz. Rakowski. Bezduch tragizmu. Prace Jul. Germana. Epigoni. Sztuki Ad. Nowaczyńskiego. Brak zmysłu dramatycznego i odczucia wielkości w historji. Ign. Grabowski. Obrazy teraźniejszości. Rittner, Grubiński. Włodz. Perzyński. Styl i idea jego komedji. Artyzm powierzchni życia. Bol. Gorczyński. Stef. Krzywoszewski. Z. Kawecki. Poezja a scena. Przeciw naturalizmowi. Ujemne warunki dla rozwoju teatru w Polsce. Środowisko poznańskie. Warszawa. Prąd z góry i od społeczeństwa. Zabicie wśród publiczności zmysłu dla wielkiej sztuki. Bankructwo teatru warsz. moralne i artystyczne. Scena we Lwowie. Zmienne koleje. Kierownictwo Ludw. Hellera, wrogie dla ducha poezji. Teatr krakowski. Starania St. Wyspiańskiego o uzyskanie jego kierownictwa po Józ. Kotarbińskim. Stan obecny. Opieka sfer panujących teatrami polskiemi. Sejm galicyjski a teatry. Konkursy dramatyczne i ich bezużyteczność. Bilans dzisiejszego dramatu polskiego. Żywoty i dzieła.

ROZDZIAŁ XIII. **Sztuką w życiu codziennym. Powieść.**

Upadek wpływu Sienkiewicza. Ostatnie powieści szlacheckie. Kaz. Laskowski. Józ. Weyssenhoff. Kultura artystyczna bez nowych imperatywów społecznych. Słabość jego satyry. Wpływy Orzeszkowej — Przybyszewskiego—Żeromskiego. Feliks Brodowski. Feliks Jabłczyński. M. Muttermilch. Kaz. Zdziechowski. J. Augustynowicz. Tad. Jaroszyński. Młodsze autorki. Przemiana w typie kobiecym. Kobieta nowa a miłość. Marion. M. Zabojecka. Zofja Rygier-Nałkowska. Ewa Łuskina. — Powieści feljetonistyczne. Satyra. Janusz Korczak. Przemysł w literaturze Pisma Wacława Gąsiorowskiego. Powieść a krytyka. Żywoty i dzieła.

ROZDZIAŁ XIV. **Zwycięstwo i synteza „Młodej Polski".**

Zgon St. Wyspiańskiego. Odczucie jego wielkości. Stosunek ogółu do innych twórców ostatniej doby. «Młoda Polska» a krytyka literacka. «Młoda Polska» a wzrost kultury artystycznej. «Młoda Polska» a sztuki plastyczne. «Młoda Polska» w muzyce. Idee zasadnicze «Młodej Polski». «Młoda Polska» a idea narodowa.

ROZDZIAŁ XV. **Zamknięcie.**

Schyłek doby neoromantycznej. Osłabienie ruchu literackiego. Klęska polityczna. Świtanie nowego pozytywizmu. Reakcja przeciw poezji. Uprawnienie poszukiwania nowych form. Potrzeba zachowania osiągniętych zdobyczy. Nieśmiertelność ducha romantyzmu.

Skorowidz nazwisk. Spis portretów. Spis reprodukcji artystycznych.

BIBLIOTEKA

BIBLIOTEKA NAUKOWA WAP

31905/2